



## **Zdigitalizowano w ramach projektu „OCHRONA I KONSERWACJA CIESZYŃSKIEGO DZIEDZICTWA PIŚMIENNICZEGO”**



**2007-2010**

Wsparcie udzielone przez  
Islandię, Liechtenstein oraz Norwegię  
poprzez dofinansowanie  
ze środków Mechanizmu Finansowego  
Europejskiego Obszaru Gospodarczego



Zrealizowano  
ze środków  
Ministra Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego

# Ogniwo

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ



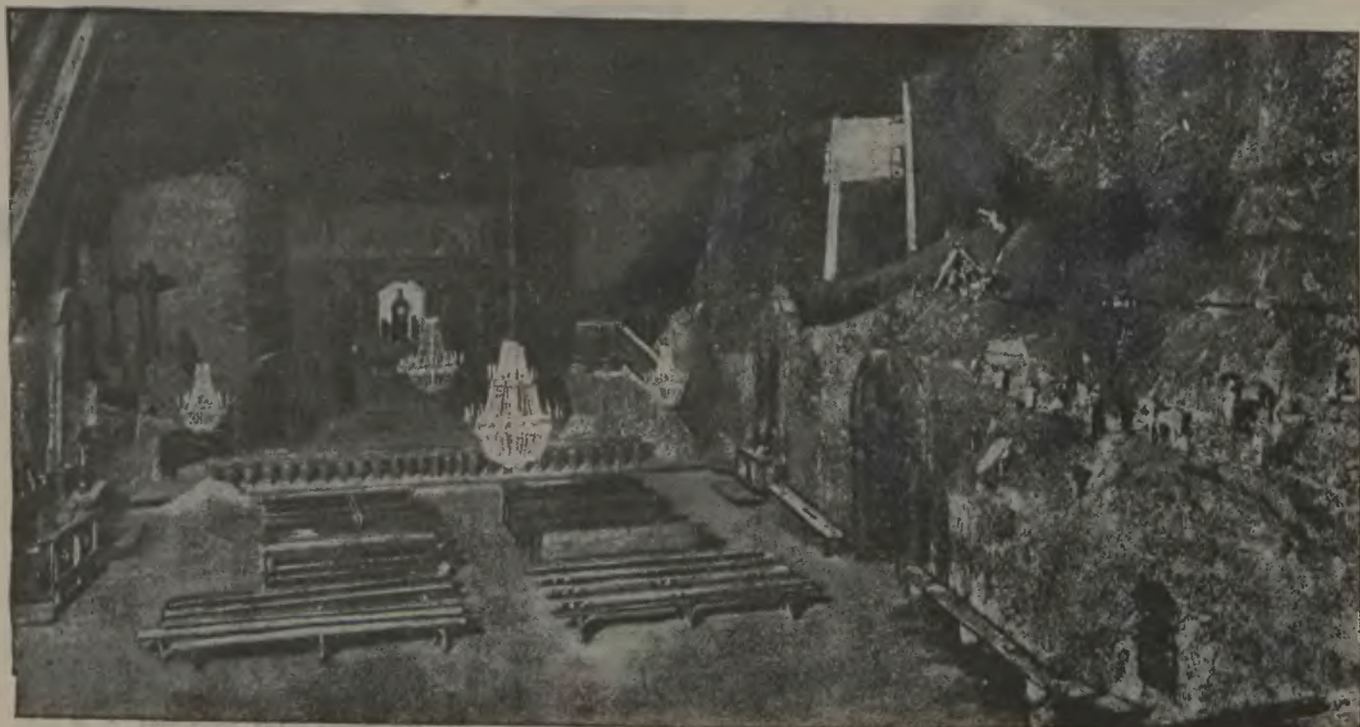
.... PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM ....  
.... MŁODZIEŻOWYM ORGANIZACJI ....  
.... NYM INFORMACYJNYM OŚWIATO: ....  
.... WO-KULTURALNYM NAUKOWYM ....  
.... SPORTOWYM I WYCHOWAWCZYM ....



WIELICZKA  
KOPALNIA SOLNYCH DJAMENTOW

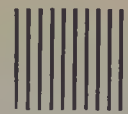
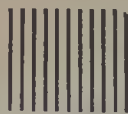


Komora Łętów w kopalni soli we Wieliczce.



Kaplica św. Kingi.





### W GÓRĘ CZOŁA!

Rok ubiegły był dla nas rokiem tworzenia się nowych form w życiu społeczno-organizacyjnym. Dość wspomnieć o powstaniu Rady Naczelnej i Zrzeszenia Związków młodzieżowych. — Dopiosła zmiana, jaka się dokonała przez powstanie tych organizacji, jest dowodem, że w pracy społecznej w ciągu starego roku nie próżnowaliśmy, ale w miarę sił spełniliśmy swe obowiązki i to w warunkach prawdziwie trudnych. Ciężkie czasy kryzysowe przeżywał każdy z nas młodych wraz z całym społeczeństwem naszym. Organizacjom młodzieżowym dawały się odczuwać te same braki co społeczeństwu. Mimo wszystko okazało się jednak, że najważniejszym warunkiem powodzenia i pomyślnego rozwoju organizacji i całego życia młodzieżowego jest ochotna i zgodna współpraca wszystkich — zwłaszcza dzisiaj, kiedy ludzie dbają każdy tylko o siebie, gdy każdy pyta, jaka stąd korzyść dla niego, bo dla innych nie myśli się poświęcać — jakby nie pamiętał, że sprawie społecznej służyć musimy z własnej wewnętrznej potrzeby, a całkowitą zapłatę czerpać z świadomości, że się tej sprawie dobrze służy.

Nie przestawajmy tylko na stwierdzeniu złego, ale w Nowym Roku robimy wszystko lepiej. Nasz dobry przykład, owoce naszej pracy, choćby drobnej i nieznacznej, ale stałej i wytrwałej — z pewnością odniosą dobry skutek. Niech w tym Nowym

Roku każdy z nas co miesiąc tylko jednego współpracownika przekona i zyska, iluż nas będzie za rok?

A tam, gdzie przeszkody znajdziemy na drodze swej pracy, uczmy się za młodu przezwycięzać je, bo przeszkody są na to, by je przełamywać.

Jak zabrać się do pracy w Nowym Roku na poszczególnych placówkach, to już rzeczą zarządów, by obmyśliły i omówiły dokładnie program swej pracy, bo tu nie zawsze pomoże jakiś szablon a nawet najlepsza wskazówka i rada często może w danej miejscowości okazać się niepraktyczną. Więc myśleć i działać! Oto hasło każdego z nas, któremu rozwój i przyszłość naszej młodzieży polskiej leży na sercu.

Zerwać musimy w Nowym Roku z tem wszystkim, co nazywamy słabością i tchórzostwem, a wykrzesać z siebie wiarę we własne siły, męstwo, oraz wiarę w sprawiedliwość dziejową. My młodzi musimy wznosić coraz to nowe wartości do wszystkich dziedzin naszego życia społecznego i nauczyć się własnym trudem kuć los swój i tworzyć nowe warunki bytu. Naszym obowiązkiem jest przygotować się z Nowym Rokiem do nowego życia dla dobra własnego i całego społeczeństwa naszego.

Niech każdy z nas na swym posterunku ofiar nie spełnia swe obowiązki.

### NA NOWY ROK

Czyż Rok Nowy, co dziś schodzi —  
Gdzieś z zaświatów w nasze wioski —  
Poważnione serca zgodzi —  
I uwolni lud od troski? —

Czyż Rok Nowy, co zstępuje —  
Gdzieś z wyrajów w nasze chatki —  
Nową dolę nam wykuje —  
I uścieli drogę w kwiatki? —

Czyż Rok Nowy — co witamy —  
Z sercem pełnem dziwnej złudy —  
Rajskich szczęść otworzy bramy  
I przyniesie same cudy? —

Czyż Rok Nowy — Rok ten Boży —  
Co władanie objął świata,  
Wszelkiej nędzy kres położy  
I z serc brudy powymiała? —

Czyż Rok Nowy — dzień radosny —  
Co nam w sercach dumę wznosi —  
Niesie same czary wiosny — — —  
Czyż żyć ludzkich On nie skosi? —

Czyż Rok Nowy? — złudna mara —  
Zwiewne w sercu są nadzieje —  
Nim doczekasz dziś wieczoru,  
Wszystkie plany wiatr rozwieje.

Kto z swej duszy nie wykrzesze  
Ogniem czynu szczęścia zorzy,  
Tam, gdzie własne ma pielesze,  
Niech w grób zaraz się położy.

Kto nie wyjdzie z plugiem w pole —  
By zaorać, zasiać niwy,  
— Nic położy krzyż na czołe —  
Ten nie będzie sam szczęśliwy.

Tylko własną pracą — dlonią —  
Tylko silną wolą ducha — —  
Ci, co darmo łez nie ronią —  
Zerwą nędzy swej łańcucha. —

W własnem sercu — w silnej woli —  
Nasze szczęście — dola siedzi —  
Nie skarż się więc, co cię boli —  
Niech nie widzą łez sąsiedzi. —



„Sursum corda” — chłopcze młody — —  
„Sursum corda” — ty dziewczeco — — —  
Bierz się z życiem na zawody —  
Lecz pogodnie wciąż miej lico. —

Nie znaj smutku ni rozpaczy,  
Ogień krzesaj w swojej duszy. —  
— Choćbyś miał jeść chleb tułaczy, —  
Niech ci serca ból nie zgłuszy!

Ten Rok Nowy — stare dzieje  
Niesie wiosko cicha w tobie.  
Gromy, burze i zawieje —  
I noc ciemną w zimnym grobie.

Ten Rok Nowy — nim zaorze  
Nowych łąnów chlebne pola —  
Ty błogosław wioskę Boże —  
Niech jej szczęśna będzie dola.

## Znaczenie Zarządu w Organizacjach Młodzieżowych

Przechodziłem niedawno koło rozpoczętej budowy domu. Zatrzymałem się chwilę i podziwiałem sprawność robotników, pod których rękami dom rósł jakby na drożdżach. Tu pomocnicy znosili i zwozili cegłę, kamienie, drzewo, tam murarze wznosili mur, cieśle pracowali nad więźbą, stolarze układali podłogi, wprawiali ramy, a robota wszystkich przyspieszała z dnia na dzień tę chwilę, kiedy dom będzie zupełnie wykończony.

Przypomniła mi się nasza organizacja. I my pracujemy nad budową odrodzenia naszej młodzieży. Mamy organizacje i stowarzyszenia młodzieżowe. I w tym gmachu wre praca. Chociaż jeszcze nie wszystko wykończone i doskonałe, to jednak postęp jest widoczny z każdym dniem.

Jak dojść do tego, by nasze organizacje w możliwie doskonały sposób spełniły swe zadanie? Przykład musimy brać z robotników budujących dom. Budowniczy rzadko się tam pokazuje. Wykończył on plany, dał dokładne wskazówki, dostarcza materiału budowlanego, dozorca dogląda pracy, uważając, aby była wykonywana ściśle według planu, ale pracę właściwą spełniają robotnicy, ten szary tłum, który układa cegły, rżnie, gładzi i zbija belki.

Podobnie i w naszej organizacji. Zarządy główne (t. j. władze centralne) można porównać do rozumu, który nadaje kierunek pracy i obmyśla środki pomocnicze. Ale najważniejsza praca musi się odbyć w komórkach samych, w stowarzyszeniach. Od pracy w poszczególnych stowarzyszeniach zależy też wydajność pracy w całej naszej organizacji.

Są ludzie, którzy myślą inaczej. Powiadają, że Centrale powinny mieć instruktorów, którzy stale objeżdżają Stowarzyszenia lokalne, głoszą tam wykłady i właściwie prowadzą pracę. Stowarzyszenie może założyć ręce i czekać, aż instruktor przyjedzie. Taki sposób myślenia, to objaw wygody, lenistwa i niedołęstwa.

Dziś takie rozumowanie jest zupełnie fałszywe! Dziś każda organizacja młodzieżowa musi pracować w swoim zakresie i w swoim kółku, jeżeli całość naszych organizacji ma działać sprawnie.

Kto jednak jest powołany przede wszystkim do tej pracy? Pracę tę musi podjąć młodzież sama! Zarząd jest do tego powołany, by tę pracę wspierać, kierować nią, ale pracę samą muszą wykonać członkowie.

W pierwszym rzędzie obowiązek pracy stowarzyszeniowej spoczywa na członkach Zarządu, ponieważ: 1. Zostali oni wybrani do Zarządu, bo ich

uważano za najzdolniejszych i najodpowiedniejszych na ten urząd. 2. Oni sami urząd ten przyjęli. Zobowiązali się więc pracować w pierwszych szeregach, dlatego ten obowiązek wykonać muszą. 3. Na nich spada odpowiedzialność za sprawy Stowarzyszenia. Wszelkie powodzenia i niepowodzenia Stowarzyszenia pójdą na ich rachunek i odpowiedzialność moralną.

Jakie obowiązki mają wobec tego członkowie Zarządu? Muszą być wzorem i przykładem dla innych członków. Muszą znać dokładnie statut i nie mniej dokładnie go przestrzegać. Muszą się stosować do uchwał, powziętych na posiedzeniu Zarządu. Że muszą odznaczać się szczególną pilnością w uczęszczaniu na zebrania, w korzystaniu z biblioteki, ewent. czytelnii itp., to zrozumiałe. Oprócz obowiązków zwykłego członka mają członkowie Zarządu obowiązki, jakie wkłada na nich urząd w Zarządzie, a więc: dokładne prowadzenie ksiąg, przestrzeganie porządku, punktualności, opieka nad majątkiem i go: podarką Stowarzyszenia itp. Nadto każdy członek zarządu musi wnieść do pracy w Stowarzyszeniu jak największy zasób zrozumienia sprawy, ofiarności i poświęcenia się. Pierwszym będzie, jeżeli się rozchodzi o wypełnienie obowiązku, o jakąś ofiarę. Być członkiem Zarządu, to nie znaczy przyjmować tylko honory i splendory, ale przede wszystkim obowiązek, trud i pracę.

Jak w sobie wyrobić te cnoty i przymioty dobrego członka Zarządu?

Należy myśleć o stanowisku, jakie się zajmuje w Stowarzyszeniu, jakoteż o całym Stowarzyszeniu. Co i jak możnaby i należałoby zmienić na lepsze? Oto pytanie, które często sobie należy stawiać. Wskazówki i podniety do ulepszeń znajdziemy w „Ogniwie”. Czytać je przeto należy „od deski do deski” i zastanawiać się nad niemi. Zebrania Zarządu należy dobrze przygotować i jak najczęściej odbywać. Na posiedzeniach Zarządu należy nie tylko czytać, ale i przedyskutować ważniejsze artykuły z „Ogniwa”, — posiedzenia te muszą być szkołą członków Zarządu i sposobnością do radzenia nad tem, jakby organizacje młodzieżowe pchnąć na coraz lepsze tory.

Członkowie Zarządu, znając i wypełniający ściśle i przykładowo swe obowiązki, będą porywali za sobą innych członków, podniosą Stowarzyszenia młodzieżowe na taką wyżynę, że i starsze społeczeństwo zacznie je należycie cenić i popierać, o ile tego dotychczas jeszcze nie uczyniło.

**IX. BAL JEDNOŚCI**

5. stycznia w sali „PRACY” w Karwinie  
Początek o godz. 20-tej



## Zadania—praktyczne w pracy organizacyjnej

Czem większy gmach, tem silniejszych wymaga fundamentów. I gmach organizacyjny życia kulturalnego oraz pracy społecznej potrzebuje pewnych fundamentów — podstaw materialnych. Nie ulega wątpliwości, że rozkwit życia kulturalnego i pracy społecznej musi być oparty o dobrobyt gospodarczy. Wprawdzie niema dziś mowy o materialnym dobrobycie ani też odrazu nie potrafimy go wytworzyć w naszym społeczeństwie, przecież istnieją środki, które mogą przynajmniej złagodzić ciężkie położenie gospodarcze. Środki te zaniedbujemy w naszej pracy organizacyjnej przez zaniedbywanie praktycznych potrzeb życia codziennego.

Po tem ogólnem rozumowaniu nazwijmy sprawę po imieniu. Przejdźmy do spraw, poruszonych w ostatnim numerze „Ogniwa” w artykule „O nasz program”, gdzie w punkcie trzecim jest podkreślona konieczność przysposobienia młodzieży do zawodowej pracy codziennej. A zatem nasz program pracy w organizacjach młodzieżowych należy uzupełnić praktycznymi zajęciami, czy to w formie konkursów, czy ćwiczeń praktycznych. Konkursy czy ćwiczenia praktyczne mają i to wielkie znaczenie, że pracę organizacyjną przenoszą z zebrania do prywatnych domostw, zmuszają uczestników do indywidualnej pracy nad sobą pod bodźcem szlachetnego współzawodnictwa, oraz wzbudzają zainteresowanie pracą organizacyjną wśród reszty domowników.

Z powyższymi uzupełnieniami program pracy organizacji młodzieżowej powinien obejmować:

- a) pracę kulturalno-społeczną: chór, teatr amatorski,
- b) pracę oświatowo-wychowawczą: kółko samokształcenia,
- c) pracę nad wychowaniem fizycznym: sport,
- d) pracę gospodarczą: przysposobienie zawodowe.

Każda z wymienionych grup pracy społecznej dysponuje sama przez się szerokim zakresem działania i obfituje w bogactwo kierunków.

Rozpatrzmy więc bliżej przynajmniej niektóre kierunki przysposobienia zawodowego. Może tu być mowa o kursach praktycznych z zakresu poszczególnych rzemiosł, n. p. kob. roboty ręczne, koszykarstwo, introligatorstwo, zdobnictwo itp., które to tematy zależą głównie od miejscowych potrzeb i stosunków i dlatego wspominam o nich jako temacie dyskusyjnym. Zaznaczyć jednak należy, że w tym kierunku przysposobienia zawodowego natrafimy na trudności techniczne (materiały, przybory, koszty) oraz brak personalu instruktorskiego.

Łatwem natomiast do zrealizowania a zarazem bardzo aktualnem jest przysposobienie handlowe i rolnicze, zaznaczające się w praktyce na każdym kroku jako paląca potrzeba.

W dziale handlowym na pierwsze miejsce wysuwają się następujące tematy: Prowadzenie ksiąg, korespondencja, zasady spółdzielczości, obowiązki podatkowe instytucyj gospodarczych. Skromna nasza sieć organizacji gospodarczych wymagałaby rozszerzenia, tymczasem w niektórych wypadkach jest trudna do utrzymania nawet w swych skromnych rozmiarach, ponieważ brak ludzi, którzyby ten dział

pracy potrafili opanować. Nie ludźmy się, że wystarczy mieć personal fachowy, lecz każdy członek zarządu czy rady nadzorczej powinien być fachowcem, a nie tylko figurą, wybraną przez wainę zebranie.

Dział rolniczy, może najbogatszy w tematy, wymaga na wstępie pewnego zastrzeżenia a mianowicie, że nie jest on aktualnym tylko dla młodzieży rolniczej, lecz dla spraw rolniczych. Przecież prawie cała nasza młodzież rekrutuje się ze wsi i bez względu na swe właściwe zatrudnienie ma do czynienia z gospodarstwem wiejskiem chociażby w minimalnych rozmiarach gospodarstwa podwórkowego (ogródek, pszczoły, drób, króliki). Chocież naogół są to inwentarze drobne, przecież wymagają i te pewnych wiadomości fachowych, nowoczesnych kierunków, a prowadzone racjonalnie mogą się poważnie przyczynić do polepszenia bytu gospodarczego. Nawet niejednen bezrobotny mógłby na tej drodze znaleźć środki do życia. Do szczegółowych wskazówek jeszcze powrócimy.

W obu ostatnio wymienionych kierunkach mamy do dyspozycji dostatek personalu instruktorskiego oraz pomoc centralnych organizacji w tej dziedzinie. Niechaj więc każda gmina w bieżącym roku pomyśli o zestawieniu przynajmniej jednego zespołu przysposobienia zawodowego z członków miejscowych organizacji młodzieżowych. -ko.

## O współpracę chórów i kółek samokształcenia

W dniu 20 grudnia 1935 odbyła się w Cieszynie Czeskim konferencja delegatów Kółek samokształcenia i Związku Polskich Chórów, w której oprócz funkcjonariuszów obydwu organizacji i dyrygentów okręgowych wzięło udział kilku zaproszonych gości.

Dla poinformowania tej części uczestników, która dotąd nie zetknęła się bliżej z pracą Kółek samokształcenia, wygłosił p. R. Z. referat na temat „Celowość Kółek Samokształcenia”. Drugi referent, p. kier. P., w referacie o podstawach prawnych pracy Kółek wykazał, że ich działalność mieści się całkowicie w ramach przepisów prawnych o komisjach oświatowych, które przewidują tworzenie kółek dyskusyjnych.

W wyniku konferencji ustalono potrzebę bliższej współpracy. W miejscowościach, gdzie zachodzą po temu warunki, a więc gdzie istnieją chóry, a brak dotąd Kółek samokształcenia, istniejące placówki chórowe urządzać mają w pewnych odstępach czasu zebrania oświatowe na sposób Kółek samokształcenia. Bliższe warunki i program postępowania ustali komitet, złożony z członków zarządów Związku Chórów oraz Kółek Samokształcenia.

CZYTELNIKOM, PRZYJACIOŁOM, I WSPÓŁPRACOWNIKOM „OGNIWA” NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA W NOWYM ROKU SKŁADA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA



# STEFAN ŻEROMSKI

Stefan Żeromski ujrzał światło dzienne w Stawarcynie, ziemi kieleckiej, w 1864 r., a umarł w 1925 r. Śmierć Żeromskiego pogrążyła w ciężkiej żałobie literaturę polską i cały naród polski, bo literaturze ubył potężny twórca, a narodowi polskiemu — jeden z największych obywateli.

Autor „Popiołów” budził powszechny zachwyt i entuzjazm w całym narodzie. Żeromski to wyraził cierpienia narodu polskiego, a zarazem tłumaczył niedolę człowieka wydanego na łup nieodgadnionym zrządzeniom losu, który jednych wywyższa na wierzch, a drugich pognębia i upośledza.

Żeromski był sędzią surowym i bezwzględny w wszelkiej krzywdzie, wszelkiej niesprawiedliwości, która dzieje się ludziom, jako jednostkom, czy ludom, jako narodom.

Ten człowiek przyszedł na świat z „głodem sprawiedliwości” w duszy. A że żył w czasach, kiedy o wszystko było łatwiej, niż o nasycenie tego głodu, przeto cierpiał przez całe życie. Żeromski od dziecka patrzył na rozbite nadzieje i wysiłki pokoleń, które próbowało zerwać łańcuchy niewoli a pozostawił je swoim następnym jeszcze mocniej spójone i skute.

To była jego pierwsza szkoła cierpienia. Dokoła siebie widział z jednej strony gwałt i ucisk polityczny, z drugiej nędzę i cierpienie.

Oddany do gimnazjum w Kielcach uczył się dobrze i rozwijał szybko. To też w wyższych klasach widzimy go już spiskującego przeciw szkole rosyjskiej i prowadzącego z nią upartą walkę.

Te lata należały do najszczęśliwszych jego lat. Lubił o nich wspominać, czemu dał pełny wyraz w „Syzyfowych pracach”.

Pierwsze próby jego utworów należą do epoki kieleckiej. Z nich dowiadujemy się także, że już na ławie szkolnej Żeromski rozważał nietylko zagadnienia literackie, lecz także zagadnienia społeczne i narodowe.

W takiej atmosferze dojrzewał autor przyszłych „Ludzi bezdomnych”.

Po ukończeniu gimnazjum w 1887 r., będąc zupełnym sierotą, znalazł się w trudnym położeniu. Nie mając środków na studia uniwersyteckie rozpoczął życie „guwenera” (nauczyciela domowego) po różnych dworach, co dało mu możność poznania kraju. Po pięciu latach tej „włóczęgi” wyjechał do Szwajcarii, gdzie w Rapperswyli objął stanowisko bibliotekarza.

Cztery lata rapperswylskie (1892—1896) dały mu więcej niż studia uniwersyteckie. Zdobył tu wiedzę nietylko książkową, lecz i wiedzę praktyczną, patrząc z bliska na życie Szwajcarów („Na pokładzie”).

Do kraju wraca w 1896 r., gdzie objął stanowisko bibliotekarza w bibliotece ordynacji Zamoyskich.

Wojna (1914 r.) zaskoczyła go w Zakopanem.

Żeromski był wielkim wcale tego słowa znaczeniu twórcą. Cała masa arcydzieł wyszła z pod jego pióra, ujęte w szereg powieści, nowel i sztuk teatralnych, przesyconych głębokim umiłowaniem Ojczyzny i narodu, a w szczególności maluczkich w tym narodzie.

Żeromski to głęboki znawca duszy ludzkiej, docierający do jej najskrytszych tajników, pełen miło-

ści i miłosierdzia dla człowieka, świadom wszystkiego zła, które go swoim brzemieniem przygniata i nie pozwala mu podnieść się do góry ku światłu, — współczujący zgodnie z nauką Chrystusa, wszystkiemu, co cierpi, — wyznający zasadę, że „człowiek jest to rzecz święta, której nikomu krzywdzić nie wolno” („Ludzie bezdomni”), — marzyciel i reformator społeczny, budujący królestwo pracy i szczęścia na ziemi, a przede wszystkim w gorąco ukoślanej Polsce, — oddany całą miłością swojego życia narodowi, nad miarę biorący w siebie jego smutki i upokorzenia w okresie niewoli, przeciwstawiający tej niewoli „Sen o szpadzie”, przeciw wszystkim brudom i wstrętom życia, mimo ogarniającego go pesymizmu („Aryman mści się”). Żeromski to człowiek pełen ofiary i poświęcenia, dający społeczeństwu czyn codzienny w postaci szczerzenia oświaty wśród ludu, zakładania szkół i ochronek. To nieustrudzony bojownik o polskość duszy polskiej („Rozdzióbiam nas kruk i wrony”) i pierwszy głosiciel chwały odzyskanego przez Polskę morza.

Stefan Żeromski nie pozostawił odłogiem w dziełach swoich ani jednego zagadnienia, związanego z polską duszą współczesną, duszą swojego pokolenia. Torturowanego przez tysiące wątpliwości. Żeromski był nadto niezrównanym znawcą przyrody, którą znał na wylot i umiał malować, jak nikt inny. Jego opisy ziemi i morza mało mają sobie równych w literaturze pięknej.

Stefan Żeromski, jeden z najlepszych synów Polski, z niej zrodzony, jej sokami wykarmiony, chlubnie jej odsłużył swoją ciężką służbę artysty-pisarza i obywatela.

Kozimierz Dobrzyński.

## DZIAŁAJ MŁODOŚCI!

Od wieków wielu — gdy Ludzkość istnieje,  
Wciąż przeciw sobie buduje zapory —  
I w Niej, zawodzi, kładzione nadzieje,  
Że świat raz wepchnie na odmienne tory.

Brakło Jej hufców, coby w czynów stali  
Przeszkód bezmiary poprzezwyciężali. —

Ręka misterna w marmurze zakłęta  
Uczuć i duszy bezmierne ilości,  
W pracy szlachetnej ni razu nie drgnęła,  
Aż wkońcu wreszcie stoi w gotowości.

To, o czym śniła, do czego dążyła,  
Mozolnym trudem i pracą zdobyła. —

My do tej ręki podobni być mamy,  
Bo przyszłość cała nam młodym należy,  
Gdy wszystkie glazy z dróg pousuwamy,  
Staniemy silni, na swojej rubieży.

Wszędzie, gdzie wyją wrogie morza brzegi,  
Tam stanąć muszą Młodości szeregi.

Wszędzie niezgody szaleją odmety,  
Brat przeciw bratu spisek knuje skrycie,  
Wtedy dopiero cel nasz osiągnięty,  
Gdy wśród Ludzkości nowe będzie życie.

Młodości! — działaj, zanim noc nadejdzie,  
A z dniem przebyłym i czynów chęć przejdzie.



Niech nam do czynu zagrają pobudki,  
Niech nam do czynu zagrają trębacz —  
Szlachetne będą porywów tych skutki,  
W jedno się złączą dążenia prostackie.

Gdy dłonie własne razem połączymy,  
To lepszą przyszłość sobie wywalczymy! —

Gdy wspólnych pragnień połączy nas dola,  
Kiedy o górze walczyć będziemy szczyty,  
Wtedy gnuśności zniknie niewola,  
Nad światem niebo rozpostrze błękity.

A przed tym górnym, niebotycznym wzlotem,  
Miłość niech będzie ramion naszych spletem!

Pójdźmy wspólnoty złączeni więzami,  
Do wspólnych celów pośpieszajmy rażni,  
Jeżeli miłość razem pójdzie z nami,  
To żadnej nigdy nie zaznamy kaźni.

Że w nowy chcemy świat przemienić stary,  
Burzmy jednością gnuśności przywary! —

Czuwaj drużyno, bo przeszkody wielkie  
Na drogi twoje rzucił los szyderca! —  
Nic nie zdziałają te wybryki wszelkie,  
Kiedy do celu wszystkie dążą serca.

Świat w nowe tory wypchnięty zostanie,  
Bo nowych czasów nadchodzi zaranie! —

---

## ZWIĄZEK POLSKICH CHÓRÓW

---

### Coś o rozśpiewaniu naszego społeczeństwa

Z pośród tych przedmiotów, które dla wychowania narodowego mają znaczenie pierwszorzędne, wymienić należy może na pierwszym miejscu śpiew. O doniosłości śpiewu i o jego znaczeniu dałoby się

bardzo dużo pisać. To jednak nie będzie tematem dzisiejszego artykułu. W każdym razie kto zna historję, mógł zauważyć, że pieśń miała i ma w wychowaniu narodowym ogromne znaczenie. Pieśń zagrzewała wojska do zwycięskich bojów, pieśń podnosiła uciskanych na duchu, pocieszała w niedoli, dodawała otuchy w bojach o prawa i sprawiedliwość. Pieśń rozweselała, bawiła, koła dusze strapiione i stęsknione. W uznaniu znaczenia pieśni wszystkie narody ją pielęgnują, rozszerzają, by ona stała się własnością, nie pewnej tylko grupy miłośników muzyki i pieśni, lecz by ta pieśń stała się własnością szerokich warstw społeczeństwa.

Śpiew to stały towarzysz zabaw dzieciennych, różnych uroczystości i obchodów. Jest on potrzebą duszy tych najmłodszych i ludzi dorosłych i jako taki zasługuje na to, by zajęto się nim baczniej, by pielęgnowano go z większym zrozumieniem i zamiłowaniem.

Do tego, by pieśń stała się własnością wszystkich, służyć powinna w pierwszym rzędzie szkoła, później różne towarzystwa śpiewacze. Szkoła ma w dzieciach rozbudzić zamiłowanie do wszystkiego co piękne, wzniosłe i pożyteczne, a więc i do pięknej i wzniosłej pieśni, zaś towarzystwa śpiewacze mają w swych gronach skupiać wszystką młodzież pozaszkolną i chętnych ludzi starszych i rozbudzać to zamiłowanie do pieśni dalej. Nie rozbudzi jednak zamiłowania do pięknej pieśni nauczyciel w szkole, mało kiedy kto inny do śpiewu dziecko przekona i nauczy go kochać pieśń i śpiew.

Może w krótkich słowach zechcemy się zastanowić nad pewnemi kwestjami, dotyczącemi tego, co powyżej powiedziane, t. j. że pieśń ma się stać własnością nie tylko pewnej grupy miłośników muzyki i śpiewu, lecz ma być własnością szerokich warstw społeczeństwa.

W jaki sposób to przeprowadzić? Zadanie trudne, lecz nie niewykonalne. Kto ma zacząć? Dom rodzinny, więc ojciec, matka, starsze rodzeństwo. Znowu zapyta może ktoś — a jak? Otóż do śpiewu pobu-

---

Kazimierz Konarski:

### ANTON KENDER

Antoni Kendzior oparł się o parapet statku i zapatrzył się w siną dal morską. Wielki transatlantyczny parowiec, „Pułaski”, minął nad ranem Szczecin i parł teraz całą siłą swych maszyn ku Gdyni. Z olbrzymich kominów waliły się kłęby czarnego dymu, przesłaniającego ztyłu za statkiem horyzont smugą czarniawej mgły.

Kędzior zamyslił się. Jechał drogą, którą ostatni raz przebywał w odwrotnym kierunku przed kilkunastu laty, kiedy był dzieckiem niemal. Jechał z matką do ojca, do Ameryki. Ojciec był kolejarzem, pracował w warsztatach kolejowych w Gdańsku, ale na parę lat przed wojną rzucił tę służbę i dał się namówić na tulaczkę. W Ameryce wiodło mu się niezgorzej, ale żarła go straszna tęsknota za krajem i za rodziną. Kraju ze sobą przywieźć nie mógł, matka, choć z lękiem, dała się namówić na podróż. Stała Kędziorowi w oczach owa daleka droga, odbyta w strasznych warunkach, na lichym emigranckim statku, z burzą na Atlantyku, z której, zdawało się, że żywi nie wyjdą. Wyszli wprawdzie cało, ale

w Ameryce czyhało na nich nieszczęście. W niespełna miesiąc po przyjeździe przywieziono im ojca martwego do domu. Zabiła go maszyna, do której się nieopatrznie zbliżył. W rok po ojcu zmarła matka, zaraziwszy się tyfusem w szpitalu, gdzie była pielęgniarką. Mały Antoś został w Nowym Jorku sam, bez grosza przy duszy, bez znajomej twarzy w całym tem wielkiem, tak straszliwie obcym mieście.

Próbował walczyć z nędzą, która opłatywała go coraz silniej, imał się wszelkiej pracy, jaka popadła, ale pracy tej nie było za wiele i dla dorosłych, więc jego, chudziaka, odprawiano najczęściej z kwitkiem. Bywały dnie, że nie miał co jeść, ani gdzie głowę na noc schronić. Tęsknił za krajem, za ludzką mową, za rodziną, którą miał pod Gdańskiem. Całą duszą pragnął tam wrócić, ale skądże miał wziąć pieniędzy na bilet okrętowy? Zabrała go ze sobą rodzina farmera, jadącego aż do podnóża Kordyljerów, na pograniczu Kanady. Ludzie byli prości, dobrzy, dziecko, spragnione serca, przyłgnęło do nich całą duszą i stało się z czasem niemal członkiem rodziny.

Wybuchła wojna światowa, ale minęły miesiące, nim wieść o niej dotarła do źródeł rzeki Missou-



dziać można tylko śpiewem, tak jak do pracy przykładem pracowitości. Wiemy, że dzieci wszystkiego się uczą naśladownictwem. Będą też naśladowały domowych, kiedy ci będą śpiewali. Dzieci do tego nie będzie potrzeba zmuszać. One same zaczną śpiewać, oczywiście z początku bardzo nieudolnie i niezdarne, lecz już od samych początków przyzwyczajają się do śpiewu, zaczną same śpiewać coraz lepiej. Dziecko śpiewu potrzebuje tak jak człowiek dorosły. Najbliższe otoczenie dziecka powinno śpiewać jednakowoż w jego otoczeniu tylko pieśni stosowne, odpowiadające wiekowi dziecięcemu, a nie jakieś melodie brukowe i szlagiery, które może najlepiej z ust dziecka ukazują swą płytkość i banalność. Nieśwety po naszych domach mało, albo wogóle nie słyszy się śpiewania. Najlepiej pozna to nauczyciel z rozpoczęciem roku szkolnego, kiedy matki przyprowadzą mu swe najmłodsze pociechy i kiedy potrzeba rozpoczynać z nauką śpiewu. Spora część dzieci ani nie muknie i na śpiew patrzy jak na coś niebываłego. Ogromnie mu się podoba i patrzy na współuczniów jakby z żalem i z zarzutem, pod adresem domu rodzinnego, że inne dzieci już coś umieją śpiewać a ono nie.

Już więc w domu rodzinnym powinniśmy dzieciom, młodszym braciom i siostram śpiewać. Nie musi to być śpiewanie całą pierśią, wystarczy nuceć mniej lub więcej głośno.

Po wstąpieniu do szkoły spada obowiązek umuzykalnienia i rozśpiewania dzieci na samych nauczycieli. Śpiew jest przedmiotem obowiązkowym, t. zn. że uczyć się go muszą wszystkie dzieci. Nauczyciele śpiewu uczą bardzo sumiennie, a kierując się odpowiednimi przepisami urządzają również popisy śpiewacze z dziećmi czy to na wieczorkach, akademjach, czy uroczystościach różnego rodzaju. Występy dzieci podobają się ludziom, dzieci są aplauzom zachwycone, występ się podobał i samemu nauczycielowi, który czasem jest bardzo wymagający, a jednak jest coś, co nie jest w porządku, jest coś, co winno być naprawione. Dzieci śpiewają dużo

ri, gdzie w głębokich lasach schowana leżała farma zacnego, Antkowego gospodarza. Wreszcie, którejś zimy przywędrowała do nich wiadomość, że wojna się skończyła. Nastaly znowu lata ciszy, pracy i spokoju. Z małego walego Antosia Kędziora zrobił się Anton Kender, chłop naschwał, rozłożyty, krzepki, jak pomorski dębeczak.

Pomorski? Nie, o Polsce, o Pomorzu zapomniał już nasz Antos zupełnie. Dawniej, czasem jeszcze stawały mu przed oczami dziecinne lata, płątały mu się po głowie słowa polskiego pacierza lub polski wyraz matczynej pieśczoły, ale stopniowo zamierało w nim to wszystko. Polaka w okolicy na dziesiątki mil nie było na lekarstwo, ust po polsku nie było do kogo otworzyć przez tyle lat, to i nie dziwota, że zapomniał. Amerykanin — Anton Kender i kwita.

Pewnego razu gruchnęła po całej okolicy wielka nowina. Oto do ich zapadłego kąta mają kolej budować. Skądś dowiedziano się, że właśnie teraz decyduje się sprawa wybrania jednego z dwóch kierunków, w jakim ma być przeprowadzona nowa droga. W jednym przypadku nasi koloniści mieliby kolej pod bokiem, w drugim przeszłaby od nich o

-- ale w szkole, umieją nieraz cały szereg bardzo ładnych i wartościowych pieśni, lecz śpiewają je tylko w szkole, a na polach, przy pracy, w domu, na wycieczkach — cicho, głucho. Rzadko kiedy wyrwie się ktoś z pieśnią. Czyżby na to miały się dzieci uczyć w szkole czytać, pisać, rachować, śpiewać, by poza szkołą nie czytać, nie pisać, nie rachować, nie śpiewać?... Wszystkiego, czego się taki mały obywatel w szkole nauczy, ma używać w późniejszym życiu. Musimy jednakowoż do tego wszystkiego dziecko zachęcać i pobudzać. W szkole zachęca je nauczyciel a czasem współuczniowie, zaś poza szkołą obowiązek ten spada na dom rodzinny. I do śpiewu można zachęcać. Wytlumaczyć dzieciom, że krowy im się będą lepiej pasły, jeżeli im się będzie śpiewało, że czas im szybciej minie i pod.

Pomimo zorganizowanej pracy szkół ogólnokształcących i pomimo licznych towarzystw śpiewaczych, których praca zdąża w kierunku powszechnego rozśpiewania społeczeństwa, daje się zauważyć raczej stopniowy zanik śpiewu niż jego rozpowszechnianie. Na polach, podczas pracy nie słychać dzisiaj śpiewu. Nie śpiewa dziś kosiarz, nie śpiewają „żnoczki”, mało słychać pasterzy — nie słychać dziś śpiewu. W kościołach również coraz mniej ludzi śpiewa. Na zebraniach towarzyskich, na weselach, wycieczkach nie umieją dziś ludzie zaśpiewać poza kilkoma pieśniami o banalnej częstokroć treści i melodji nawet najprostszych swojskich piosenek ludowych. Nie umieją czy nie chcą, czy się leż może wstydzą?...

Powiedziałby może ktoś, że w danej miejscowości istnieje parę chórów i że sprawa z rozśpiewaniem jest w porządku. Otóż nie! Istnienie w jakiejś miejscowości chórów nie jest jeszcze jednoznaczne z ogólnym rozśpiewaniem ludności. Chóry są jedynie dowodem tego, że w danej miejscowości znalazło się kilkanaście lub kilkadziesiąt osób mniej lub więcej chętnych do uprawiania wielogłosowego śpiewu chóralnego, a poza tem zdarzyć się może, że w danej miejscowości ogół ludności a nawet sami

kilkadziesiąt kilometrów. Uradzono wyprawić delegację do władz kolejowych. Do delegacji został wybrany między innymi i Anton Kender.

Do Nowego Jorku, który opuścił przed piętnastu laty, nie czuł Kędzior najmniejszego przywiązania; z pobytu w mieście tem wyniósł same tylko czarne wspomnienia katastrof, które go tu spotykały i nędy, jakiej zaznał. Załatwiwszy więc sprawy, już miał wracać, kiedy skusiło go obejrzeć port i stojące w nim okręty. Wybrał się tam tedy i laził od jednego kolosa do drugiego, gapiąc się na wszystkie strony.

Nagle drgnął. Za nim szło kilku ludzi, nucąc jakąś piosenkę. Skąd on ją zna, tę piosenkę? Napewno zna. Ale skąd?

Piosenka urwała się nagle i do uszu Kędziora doszedł strzęp prowadzonej po polsku rozmowy.

— Ja ci mówię, Antos, że on go wcale nie widział....

Kędziorowi nagle fala gorącej krwi uderzyła do głowy. Potem druga i trzecia... Puls bije w skroniach jak młotem. Po raz pierwszy od lat piętnastu usłyszał mowę polską. Odczuł wewnętrzną potrzebę powiedzenia tego sobie. Uśmiechnął się i rzekł zci-



członkowie chórów samorzutnie zbiorowo nigdy nie śpiewają. Rozśpiewanie to nie tylko uprawianie śpiewu przez pewną grupę osób interesujących się śpiewem, lecz rozśpiewanie to samorzutne zbiorowe śpiewanie bez rozkazu, bez musu a raczej z wewnętrznej potrzeby. Rozśpiewana będzie więc jakaś okolica wtedy, jeżeli przy każdej sposobności usłyszymy śpiew. Śpiewać więc będą ludzie przy pracy, w domu, na zebraniach, weselach, festynach... Gdzie się zejdzie parę ludzi pokrewnych duchem i myślą, zabrzni nasza polska piosenka.

W ten sposób pojęte hasło rozśpiewania może być zrealizowane jedynie przez umiejętne nauczanie pieśni jednogłosowych, specjalnie do tego celu wybranych.

Obecnie, kiedy w każdej wiosce prawie istnieje chór czterogłosowy, jest do śpiewu jednogłosowego dziwne nastawienie. Traktowany on jest przez wielu nauczycieli i dyrygentów jako coś niższego, bardziej podrzędnego. Jest on praktykowany jako wstęp do śpiewu wielogłosowego, lecz samodzielniego. Znaczenia wielu ludzi mu przypisywać nie chce. A jednak trzeba sobie z tego zdawać sprawę, że pozbawienie śpiewu jednogłosowego jego samodzielności, traktowanie tego śpiewu jednogłosowego jako coś podrzędnego i jako wstępu do śpiewu wielogłosowego stało się powodem zaniku rozśpiewania. Kiedyś śpiewano pieśni tylko jednogłosowo, to też lud śpiewał. Można było mówić o rozśpiewaniu. (C. d. n.)

## Wyniki konkursu śpiew. Zw. Pol. Chórów w Czechosłowacji dnia 15 grudnia 1935 w Cz. Cieszynie

### Klasyfikacja ogólna:

	Nazwa chóru	Miejscowość	Dyrygent	Ilość zdobytych punkt.
1	Chór męski Tow. Naucz. Pol.	w Czechosłowacji	Karol Berger	32
2	" " „Echo”	Karwina	Rudolf Wojnar	30
3	" " Macierzy Szkolnej	Cz. Cieszyn	Paweł Trombik	29 <sup>1/2</sup>
4	" " Kółka Śpiew. Teatr. M. Szk.	Górna Sucha	Rudolf Pastuszek	28
5	" miesz. Kat. Chór Kościelny	Cz. Cieszyn	Leon Szmeja	27 <sup>1/2</sup>
6	" " Macierzy Szkolnej	Cz. Cieszyn	Adolf Żyła	27
7	" " Macierzy Szkolnej	D. Błędowice	Józef Manderla	26
8	" " Zw. Ewang. Młodzieży	Ligotka Kam.	Wiktor Kubica	24 <sup>1/2</sup>
9	" męski Z. A. M. P. „Jedność”	w Czechosłowacji	Karol Dziadura	23 <sup>2/3</sup>
10	" miesz. „Siła”	Stonawa	Henryk Hrabiec	22 <sup>1/2</sup>
11	" " Zw. Ewang. Młodzieży	Cz. Cieszyn	Paweł Trombik	20 <sup>2/3</sup>
12	" męski „Siła”	Stonawa	Karol Fuzek	20
13	" miesz. Macierzy Szkolnej	D. Żuków	Józef Wachtarczyk	19 <sup>2/3</sup>
14	" " St. Mł. Kat. „Lira”	Trzyniec	Henryk Dobesch	19
15	" " Macierzy Szkolnej	Mosty ad Cz. Cieszyn	Hubert Tesarczyk	18

cha do siebie:

— Polish.

A potem jeszcze ciszej i zupełnie już nieśmiałym głosem dodał:

— Po... polsku...

Zdziwił się sam swemu głosowi, który się w tak osobliwe dźwięki ułożył. Powtórzył raz jeszcze słowa: Po polsku... i aż zadrżał, z taką siłą uderzyły go te wyrazy.

Rozmawiający minęli go. Byli to marynarze. Mimowoli przyspieszył kroku i szedł za nimi w niewielkiej odległości, wsłuchując się chciwie w dołatujące ku niemu dźwięki ich rozmowy. Szli tak już dość długo, gdy nagle skręcili na mostek, łączący wybrzeże z jednym ze statków. Kędzior, który szedł jak automat, ocknął się teraz, zatrzymał się i jał się przyglądać statkowi. Był to duży transatlantyczny parowiec, o wysokim, kilkopiętrowym pomoście i dwóch potężnych, jak wieże, kominach. Na przodzie wielkimi literami wypisana była nazwa okrętu „Gdynia”.

Kędzior oczy przetrął, kiedy ten napis zobaczył. Gdynia? Przecież tak właśnie zwała się jego rodzinna wioska nad morzem. Pamięta ją przecież dosko-

nale. Stacja kolejowa tam była, ojciec codzień do Gdańska jeździł, a i on sam do szkoły. Gdynia. Tak ją nazywali sami, ale na stacji był niemiecki napis — Gdingen. Dlaczegoż na tym statku nie napisano Gdingen, tylko po polsku Gdynia?

Ostatnie wyrazy: po polsku, Gdynia — powiedział półgłosem i znów poczuł w sercu jakby ukłucie igły od dźwięku tych słów.

Przypomnił sobie, że marynarze rozmawiali po polsku i nagle ogarnęło go zdumienie. Czyżby to był okręt polski? Polski okręt? Niemożliwe. A jednak...

Na mostku ukazała się znów grupa marynarzy. Także trzej, ale nie ci sami. Naszywki złote — oficerowie. Kędzior natężył słuch.

Kędzior osłupiał. Więc tu na tym statku i oficerowie po polsku gadają? W głowie mu się kręciło. Nie rozumiał zgoła nic. Znów jak automat szedł za oficerami. Doprowadzili go oni do Domu Polskiego. Wejść za nimi nie chciał i znów, jak tam w przystani, zaczął oglądać ów gmach. Odrazu wpadła mu w oczy księgarnia. Polska księgarnia. Tyle książek. Wszystkie po polsku. Z trudem brnął oczyma po tytułach. Prze... Przegląd... sylabizował mozolnie. Wszedł.

C. d. n.



## Klasyfikacja chórów męskich ;

	Nazwa chóru	Miejscowość	Dyrygent	Ilość zdobytych punkt.
1	Tow. Nauczycieli Pol.	w Czechosłowacji	Karol Berger	32
2	„Echo”	Karwina	Rudolf Wojnar	30
3	Macierzy Szkolnej	Cz. Cieszyn	Paweł Trombik	29 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
4	Kółko Śpiew. Teatr. M. Szk.	Górna Sucha	Rudolf Pastuszek	28
5	Zw. A. M. P. „Jedność”	w Czechosłowacji	Karol Dziadura	23 <sup>2</sup> / <sub>3</sub>
6	Stow. „Siła”	Stonawa	Karol Fuzek	20

## Klasyfikacja chórów mieszanych :

1	Katolicki Chór Kościelny	Cz. Cieszyn	Leon Szmaja	27 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
2	Macierzy Szkolnej	Cz. Cieszyn	Adolf Żyła	27
3	Macierzy Szkolnej	D. Błędowice	Józef Manderla	26
4	Związek Ewang. Młodzieży	Ligotka Kam.	Wiktor Kubica	24 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
5	Stow. „Siła”	Stonawa	Henryk Hrabiec	22 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
6	Związek Ewang. Młodzieży	Cz. Cieszyn	Paweł Trombik	20 <sup>2</sup> / <sub>3</sub>
7	Macierzy Szkolnej	D. Żuków	Józef Wachtarczyk	19 <sup>2</sup> / <sub>3</sub>
8	Stow. Mł. Kat. „Lira”	Trzyniec	Henryk Dobesch	19
9	Macierzy Szkolnej	Mosty ad Cz. Cieszyn	Hubert Tesarczyk	18

Nagrodę Światowego Związku Polaków z Zagr. w Warszawie zdobył chór męski Tow. Naucz. Pol.

Nagrodę za pieśń kościelną, ufundowaną wspólnie przez Związek Stow. Mł. Kat. oraz Zrzeszenie Zw. Ew. Mł. zdobył Kat. Chór Kościelny w Cz. Cieszyń.

Nagrodę J. W. P. dyr. Piotra Feliksa, prezesa Zw. Pol. Chórów za pieśń ludową, zdobył chór mieszany Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszyń.

—::—

## Uwagi po konkursie

Prawdę powiedziawszy, to wyniki konkursu bardzo wielu rozczarowały. Niejedne chóry, posiadające już ustaloną reputację i naprawdę dobre chóry, znalazły się na takich miejscach, które nie przewidzieli nawet najsłabsi pesymiści. Przede wszystkim trzeba znać jedną kardynalną zasadę, iż wynik konkursu nie jest odpowiednikiem wartości chóru w ogóle, ale jest oceną jedynie za pieśń konkursową. To znaczy, że nawet dobry chór może znaleźć się na końcu tabeli, ale z drugiej strony trudno zaryzykować twierdzenie, iż kiepski chór może zająć czołowe miejsce. Dobry chór może źle zaśpiewać i to się dosyć często zdarza, ale trudno o wypadek, ażeby słaby chór zaśpiewał koncertowo.

Dlatego nim ktoś wyda swój sąd, musi dokładnie i naprawdę obiektywnie rozpatrzyć te wszystkie czynniki, które wpływają na wyniki każdego konkursu czy też innych zawodów. Niesłychanie trudną rzeczą jest sędziowanie na jakichkolwiek zawodach, lecz stokroć trudniejszą na zawodach śpiewaczych, gdzie nie mamy do dyspozycji najlepszych argumentów na ewentualne, a raczej nieuniknione sędziów: metr i zegarek. Dlatego też na zawodach śpiewaczych opieramy się jedynie na zaufaniu w fachowość i bezstronność sędziów. Jakież tu szerokie pole do stawiania zarzutów i posądzeń! Przy zawodach lekkoatletycznych wymawiamy się na złą bieżnię, wykrzyki publiczności, niesympatyczną twarz konkurenta i Bóg wie na co, ale przy zawodach śpiewaczych od A do Z zarzuty lecą pod adresem sędziów. Udowodnij tu takiemu, że jest w błędzie, skoro budując na fałszywym założeniu, druzgocącą argumentacją położy cię na obie łopatki. Sędziowie uważają, iż to i to jest podstawą oceny, ale „opozycjonista” twierdzi wręcz przeciwnie, zależnie od właściwości „jego” chóru.

E. Guziur.

(Dokończenie w nast. unmerze.)

Nie ten jest mądry, kto wiele spraw umie,  
Lecz kto złe od dobrego rozeznac rozumie.

Mikołaj Rey.

## Od Administracji.

Wobec konieczności unormowania nakładu naszego pisma i uniknięcia ewent. podwójnej ekspedycji, prosimy pp. odbiorców, wzgl. organizacje młodzieżowe o niezwłoczne zawiadomienie administracji „Ogniwa”, czy pragną w przyszłości abonować nasze wydawnictwo za pośrednictwem poczty, czy kolportażu.

**Prenumeratę Ogniwa uskutecznić należy natychmiast złączonymi czekami!**



# WIELICZKA, KOPALNIA SOLNYCH DJAMENTÓW

Słynna kopalnia soli w Wieliczce pod Krakowem, jedna z najstarszych w Europie, może być uważana śmiało dla niesamowitego piękna jej kryształowych podziemnych pałaców, za jeden z prawdziwych cudów świata.



Witraz św. Kingi w Muzeum Saliarnym we Wieliczce, przedstawiający znalezienie w bryle solnej pierścienia królowej.



Marszałek J. Piłsudski, zwiedzający w r. 1919 kopalnię wielicką.



Górnik w stroju uroczystym.



# DZIAŁ KOBIECY

## Zawód gospodyni domu

Nazwa „naukowa organizacja” często wielu ludzi odstrasza swą sztywnością i powagą. Odczuwa się to zwłaszcza bardzo silnie, gdy chodzi o gospodarstwo domowe i wszelkie dziedziny życia z niem związane. Sama myśl zastosowania naukowej organizacji do prac domowych, do biegu życia rodzinnego, przeraża wiele osób, którym się zdaje, że mechanizacja zapanuje nad trybem życia i pozbawi go wszelkiego uroku.

Zapytajmy się jednak, w jakim celu propagujemy ciągle potrzebę gospodarczego wykształcenia kobiet u nas? Otóż celem wykształcenia jest umiejętne opanowanie wszystkich warunków i okoliczności życia rodziny śląskiej. Urobienie młodego pokolenia w atmosferze zamięłowania do sprawnej, wydajnej pracy, do planowego wysiłku. To niezmiennie ważne czynniki wychowawcze, których nie można zmarnować a które podają nam szkoły gospodarcze.

Każdy zawód wymaga specjalnego przygotowania. A jakie wiadomości potrzebne są gospodyni domu? Są to wiadomości, które podaje się w szkołach gospodarczych, rodzinnych a te możnaby zreasumować w następujących 10 przykazaniach:

1. obznajomienie się z podstawowymi zasadami odżywiania,
2. znajomość higieny mieszkania i higieny osobistej,
4. podstawowa znajomość kroju i szycia,
5. ogólne pojęcie o własnościach różnych towarów włókienniczych,
6. umiejętne radzenie sobie z udoskonalaniem środków pomocniczych w kuchni,
7. ocena estetycznego wyglądu mieszkania,
8. rachunki domowe, prowadzone w sposób przejrzysty,
9. wychowanie dzieci,
10. rola towarzyszk i nieraz i pomocnicy męża.

Jak widzimy, trzeba mieć masę wiadomości, żeby wzorowo wypełnić obowiązki gospodyni domu.

Poza temi wiadomościami gospodyni musi posiadać cały szereg zalet umysłu i charakteru, a to: zamięłowanie do swego obowiązku, pilność, pracowitość, dokładność, czystość, równowaga, pogoda ducha i t. d.

Brak wspomnianych zalet u gospodyni odbija się ujemnie bezpośrednio na jej rodzinie, ponieważ ona wpływa uszlachetniająco na wszystkich członków rodziny i oni są jej odzwierciedleniem. Zdrowe ognisko domowe, w którym rządzi schludna, skrzętna gospodyni, skrywa w sobie bezmiar cnót i szczęścia.

Osoby, pragnące wykorzystać owe zdolności, znajdują szerokie pole do popisu w gospodarstwie domowym. Potrzeba gospodarowania jest instynktem wrodzonym każdej kobiecie, czy mężatce, czy niezamężnej. Każda będzie stwarzać choćby najmniejsze gospodarstwo, ściągając ludzi do swego „domu”

i z radością chwalić się przed przyjaciółmi ciastem własnego wyrobu lub serwetą, wyhaftowaną przez siebie.

Owo wrodzone zamięłowanie do gospodarowania, do tworzenia coraz to miłszego domu, musi być dopełnione przez stałą dążność kobiety do doskonalenia pracy i środków pracy w gospodarstwie, gdyż w tem usiłowaniu nikt jej nie zastąpi i nie dorówna.

Wkładając w dbałość o własne ognisko domowe tyle umysłowych zdolności, ile serca, czasu i sił kobieta stworzy idealny dom, z którego wyruszać będą w codzienny trud życia ludzie świadomi swych celów, mocni i pełni pogody.

Ł. W.

---

Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru  
I wszystkie serca nastroił do wtóru,  
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,  
A wodząc po nich wichry i pioruny,  
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:  
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

A. Mickiewicz.

---

## SPORT

### Nasz sport w Nowym Roku

Dla zrealizowania celów, jakie chcemy uskutecznić zapomocą wychowania fizycznego, potrzeba dwóch rzeczy, a mianowicie: jednoci organizacyjnej oraz fachowego programu, opartego o stałe wytyczne, jakimi są masowość oraz wszechstronność.

Co do tego pierwszego, t. zn. jednoci organizacyjnej, to wiadomo, że u nas dotąd takiej nie było. Powstawały różne organizacje, zajmujące się wychowaniem fizycznym, które to organizacje nie tylko że nie współdziałały, ale sobie wzajemnie przeszkadzały w pracy, czemu nie należy się dziwić, jeżeli sobie uświadomimy fakt, że są to przeważnie organizacje o pewnym klasowym zabarwieniu, które traktują wychowanie fizyczne jako siłę, przyciągającą młodzież.

Pierwszy etap do zjednoczenia zrobiły kluby sportowe, które zrzeszyły się w Związku Polskich Klubów Sportowych. Dalszym etapem będzie, musi być, jeżeli chcemy osiągnąć to, o co walczymy jako grupa społeczna na Śląsku (patrz artykuł poprzedni „Dlaczego państwa...”), zjednoczenie wszystkich polskich organizacji, zajmujących się wychowaniem fizycznym, w jedną całość, obojętnie czy przez zlanie się ich w jedną całość, czy też przez wytworzenie nadbudówki z przedstawicieli poszczególnych organizacji.

Co do drugiej rzeczy, t. zn. programu opartego o masowość i wszechstronność, wiadomo, że n. p. „Siła” była zapatrzona przeważnie w przyrządową gimnastykę niemiecką, którą zresztą już sami Niemcy porzucili, przekonawszy się, że jest ona szkodliwa dla zdrowia, „Sokół” uprawiał prawie to samo. „Beskid Śląski” zajmował się tylko turystyką letnią a ostatnio wobec konkurencji „Gronia” zwrócił baczniejszą uwagę na turystykę zimową i narciarstwo.



## USTĄPIENIE PREZ. MASARYKA.

Sędziwy prezydent T. G. Masaryk już dawniej wyraził chęć ustąpienia, motywując to tem, że sobie już chyba na wypoczynek zasłużył. Z myślą tą nosił się ciągle, aż ostatecznie w dniu 14 grudnia b. r. zgłosił oficjalnie swą rezygnację. Dnia 20 grudnia b. r. wyszła ustawa o państwowem uczczeniu prezydenta Masaryka, który otrzymał przydomek Oswobodziciel.

## WYBÓR NOWEGO PREZYDENTA.

Dnia 18 grudnia odbył się uroczysty wybór nowego prezydenta. Wybrany został dr. Edward Benes, uczeń i przyjaciel prof. Masaryka, którego ten ostatni przy swoim ustąpieniu polecił jako swego następcę.

**Zyciorys prezydenta dr. Benesza.** Nowowyzbrany prezydent Republiki, dr. Edward Benes, narodził się dnia 28 maja 1884 r. w Kozlanach koło Kralovic w Czechach, jako syn małorolnika. Po ukończeniu gimnazjum winohradzkiego studiował na uniwersytecie praskim filologię, uczęszczał na wykłady filozofii i socjologii, a wówczas także zaprzyjaźnił się ze swym nauczycielem, prof. dr. Masarykiem. W rok później wyjechał do Paryża, gdzie poświęcił się studjom nauk politycznych i socjologicznych. Na podstawie swej pracy p. t. „Problem austriacki a kwestja czeska” uzyskał doktorat w r. 1908 w Dijonie, gdzie studiował prawo. Po swym powrocie do Pragi był w r. 1908 promowany doktorem filozofii. W r. 1909 uzyskał posadę profesora ekonomji narodowej na akademji handlu w Pradze. a swą karierę profesorską kontynuował później jako socjolog na uniwersytecie praskim i na wyższej szkole technicznej. W tym też czasie, t. j. w r. 1909. poślubił Hanę Vlčkovą. Na ów czas przypada także żywsze zainteresowanie się czynną polityką w stronnictwie prof. dr. Masaryka, które znalazło swój wyraz w kilku publikacjach. Gdy pod koniec r. 1914 Masaryk wyjechał zagranicę, aby pracować tam w kierunku usamodzielnienia się Czechów i Słowaków, dr. Benes był łącznikiem między Masarykiem a organizacją bojową w kraju, którą później nazwano Maffią. Jesienią r. 1915 wyjechał do Genewy a później na stały pobyt do Paryża.

W Paryżu stał się sekretarzem czeskosłowackiej Rady Narodowej, którą założono na początku r. 1916. Tu m. i. wydał znana programową księgę p. t. „Rozbijcie Austro-Węgry!” Jako redaktor rewji „La Nation Tchèque” nawiązywał stosunki z kolo-njami czeskosłowackimi na obczyźnie oraz z dzien-nikarzami i uczonymi a później także z oficjalnemi i dyplomatycznymi kołami Ententy. Konferował z rządami w sprawie uznania armji czeskosłowackiej i paryskiej Narodowej Rady jako rządu de facto. Dnia 14 października 1918 r. przemieniono Radę Narodową na tymczasowy rząd czeskosłowacki, w którym tekę ministra spraw zagranicznych powie-rzono Benesowi, a jako taki stał wspólnie z ówczes-nym prezydentem ministrów dr. Kramarzem na czele delegacji czeskosłowackiej do konferencji ko-kojowej. Po podpisaniu pokoju w Wersalu i St. Ger-main 28 lipca 1919, wzgl. 10 września 1919 dr. Be-nesz wrócił do Pragi. Odtąd dr. Benes sprawował

zaś w klubach utarło się przekonanie, że alfa i ome-gą sportu jest piłkarstwo. Wprawdzie we wszystkich wymienionych organizacjach uprawiano inne działy wychowania fizycznego, ale to tylko dorywczo. Stan ten zawdzięczamy głównie brakowi fachowych in-struktorów oraz przyrzędów i urządzeń sportowych. Pierwszy krok naprzód w tej dziedzinie zrobił Zwią-zek Polskich Klubów Sportowych, który ustalając swój program pracy na zimę kierował się właśnie zasadą masowości i wszechstronności. W progra-mie tym jest popularyzacja i uprawianie sportów zimowych przez zaprowadzenie kursów narciar-skich i łyżwiarских dla początkujących w Karwinej. Suchej Górnej, Olbrachcicach i t. d. Kursa te zaczyna się w drugiej połowie stycznia, o ile warunki śnieżne w danych miejscowościach dopiszą. W programie Z. P. K. S. jest również uwzględnione wykorzystanie zimy do wyszkolenia przodowników lekkoatletycz-nych i gier sportowych, którzy będą w lecie te dzie-dziny wychowania fizycznego prowadzili na terenie swoich klubów. Kursa te zaczęły się już w Karwinej i Suchej Górnej, dalszy ich ciąg odbędzie się w styczniu ewentualnie po sezonie narciarskim wcze-sną wiosną. Widać więc, że program Z. P. K. S. jest zbudowany na zasadzie wszechstronności w sporcie, bo nie tylko narciarstwo i łyżwiarstwo w zimie, oraz piłka nożna w lecie, ale też inne działy wycho-wania fizycznego, jak lekka atletyka i gry, do czego właśni przygotowują się owi przodownicy. Zasada masowości w sporcie a raczej we wychowaniu fi-zycznym również jest respektowana w tym progra-mie, gdyż z zapoczątkowaniem innych działów wy-chowania fizycznego może nie tylko jedenastu ludzi w pewnym wieku i pewnej płci, bo tylko chłopcy. hasać po boisku, ale też kobiety i dzieci, na co spe-cjalnie kładzie nacisk.

Reasumując to wszystko, trzeba nam sportow-com iść do Nowego Roku z nastawieniem i hasłem „w jedności siła”, czyli zjednoczenia naszych towa-rzystw wychowania fizycznego tak organizacyjnie jak programowo. Tu muszą pójść w kął różne am-bicje osobiste i grupowe, bo rozchodzi się o rzecz wyższą.

Efem.

## P. K. S. „GRON”, BYSTRZYCA N. OL.

Program pracy sekcji narciarskiej: 2 i 3 stycznia kurs dla początkujących i działwy szkolnej w By-strzycy. — 10—24 stycznia wyjazd 10 członków na kurs narciarski do Zakopanego. — 13—18 stycznia kurs dla zawodników w Nydku. — 18—19 stycznia zawody pograniiczne w Nydku. — 9 lutego zawody klubowe w Nydku. — 22 lutego bal narciarski w Nydku (rest. p. Bajtka). — 23 lutego pogoń za lisem w Nydku.

Od walki wewnątrz duszy i od zwycięstwa w niej zależy cała siła zewnątrz. Kraj i człowiek wewnątrz bezładny — upada. Ludzie wewnętrzni często jako sternik wśród burzy, rzucają się do rudla: patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skina, a los łódki jest w rękach ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednej fali nie odwróci.

A. Mickiewicz.



urząd ministra spraw zagranicznych bez przerwy aż do 19 grudnia 1935.

Prezydent dr. Benes był czynny także na polu literackim. Najważniejszym jego dziełem jest księga wspomnień p. t. „Wojna światowa a nasza rewolucja”.

### AMNESTJE POLITYCZNE.

Po Polsce, która przed niedawnym czasem wydała amnestję dla więźniów politycznych, ogłoszono amnestję dla niektórych kategorii przestępców politycznych także w Czechosłowacji, a to z okazji ustąpienia prez. Masaryka. Amnestje polityczne z okazji świąt godowych wydały Węgry i Austria. W Austrii korzystają z amnestji osoby, które brały czynny udział w puczu lutowym i lipcowym.

### WOJNA ABISYŃSKO-WŁOSKA.

Mussolini nie uląkł się uchwalonych przez wszystkie państwa, zastąpione w Lidze Narodów —

z wyjątkiem Austrii i Węgier — sankcji karnych. Wobec tego Francja i Anglia zaproponowały Włochom i Abisynji plan ugody. Według tego planu Abisynja miałaby odstąpić Włochom niektóre prowincje, w zamian za co Abisynja otrzymałaby wolny dostęp do morza, którego dotychczas nie posiada. Abisynja planu tego, jako sprzecznego z postanowieniami Ligi Narodów, nie przyjęła, również Włochy nie okazywały ochoty do przyjęcia tegoż. Autorowie planu, angielski minister spraw zagr. Sir Samuel Hoare i francuski min. spraw zagr. Laval znaleźli się w ciężkiej sytuacji. Laval wprawdzie utrzymał się narazie, natomiast Hoare widział się zmuszonym do ustąpienia. Jego miejsce zajął najmłodszy z angielskich polityków, Eden, jeden z najlepszych znawców Ligi Narodów. W Abisynji samej wojna trwa i jest na niektórych odcinkach bardzo zacięta. Wojska abisyńskie, cofające się doniedawna do wnętrza kraju, przechodzą do ofensywy.



—:— Kaplica św. Antoniego z XVII w. z postaciami w soli rzeźbionymi w salinach we Wieliczce.











# OGNIWO

## DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ



.... PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM ....  
.... MŁODZIEŻOWYM ORGANIZACJI ....  
.... NYM INFORMACYJNYM OŚWIATO: ....  
.... WO-KULTURALNYM NAUKOWYM ....  
.... SPORTOWYM I WYCHOWAWCZYM ....



# PUSZCZA BIAŁOWIESKA



Potężny żubr, „brodacz sędziwy”, władca Puszczy Białowieskiej.

Puszcza Białowieska, ten największy obszar leśny Europy Środkowej, mimo zniszczenia jej, jakie zadała wojna wszechświatowa, nie straciła ze swego uroku, a dziś pod ochroną, jako Park Narodowy, odzyskuje pierwotny swój wygląd — pokazując nam w całej postaci piękno odwiecznych, dziewiczych borów, które ongiś szumiały nad całą niemal Polską.

Dzieje Białowieży są bardzo dawne, a źródło i data pochodzenia jej nazwy ginie w mrokach przeszłości. Pierwsze imienne wzmianki o niej spotykamy w kronice Długosza, a w 100 lat potem w kronice Marcina Bielskiego. Już królowie z rodu Piastów, jak Leszek Biały i Kazimierz Wielki, często bywali tu na polowaniach. Na tak zwanej Górze Batorego rozbijał namioty król Zygmunt August, zjeżdżając do puszczy na łowy. August III kazał wystawić drewniany pałacyk

myśliwski, który został zniszczony doszczętnie podczas przemarszu wojsk napoleońskich.

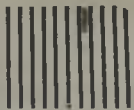
Podczas wojny światowej wycięto całe połacie puszczy, — pięćsetletnie, przepiękne okazy drzew padły pod siekierą. Żubry wywieziono lub wybito prawie doszczętnie. Pozostałe niedobitki padły podczas najazdu bolszewickiego. I oto Puszcza Białowieska — — odwieczne siedlisko żubra „puszcz imperatora”, — została się bez żubrów. Sprowadzono więc kilku potomków żubrów białowieskich z parków i zwierzyńców europejskich. Obecnie liczba ich wraz z młodym przyrostem wynosi siedemnaście sztuk.

Puszcza białowieska, która znajduje się na terenie części powiatów wołkowyskiego, białskiego i prużańskiego, jest rzeczywiście największym obszarem leśnym na Niżu Europy Środkowej, zajmując wraz z puszcza Świfocką około 1053 klm. kw. powierzchni

---

15 - II 1936 Krajowy Bal Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie





### Młodzież naprzód!

„Odradzać dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, zrobić go wyższym, zrobić go potężniejszym i silniejszym, to jest wasze zadanie”.

Józef Piłsudski

Od szeregu lat spotykamy się ze zjawiskiem bezrobocia wśród młodzieży. Nigdy jednak jego prawdziwe oblicze, jako najbardziej piekającej bolączki życia naszego, nie występowało z taką bezwzględnością, jak obecnie. Każdy rok dorzuca do wielkiego rezerwuaru „bezrobotnych od urodzenia” nową falę młodych rąk i mózgów, dla których niema miejsca w warsztatach pracy.

O potrzebie walki z fatalnymi skutkami tego zjawiska, o konieczności przeciwdziałania złu bezrobocia — przeświadczony jest każdy, kto myśli i czuje społecznie, kto młody i młodo czuje. A jednak akcji zatrudnienia młodzieży nie można traktować w oderwaniu od całokształtu walki z bezrobociem i jego ujemnymi skutkami. Ta akcja zajeżdża się zbyt ściśle z szeregiem najistotniejszych problemów gospodarczych i społecznych, aby mogła rozwijać się oddzielnie od innych wysiłków, zmierzających do uzdrowienia stosunków na odcinku świata pracy.

Brak zasadniczych i realnych środków do walki z bezrobociem utrudnia nam bardzo planować akcję młodzieży w tym kierunku. To jednak nie upoważnia nas do bezczynności i dlatego musimy zmobilizować wszystkie nasze siły, by na odcinku naszego świata pracy zdobyć godne stanowisko. W tym kierunku pracowitą dłoń czerpać będziemy ze wszelkich przynależnych nam uprawnień w naszym środowisku, a rozwiązaniu tej kwestji poświęcimy szczególną uwagę.

Młodzież naszą przygotować musimy wszechstronnie do przyszłego samodzielnego życia i tak ją uzbroić, aby później potrafiła sobie w życiu dać radę na każdym posterunku i przy każdym warsztacie pracy. Staraniem naszym będzie, aby młodzieży ułatwić samodzielną start życiowy, by nie stanęła bezradnie wobec zagadnień życia.

Ale kryzys młodzieży dzisiejszej jest nietylko kryzysem gospodarczym. Znaczne szczyby poczynił on w psychice i moralności młodzieży, spaczył niekiedy stosunek do społeczeństwa, do spraw ogółu i własnych. Młodzież, wytrącona poza nawias życia produktywnego, staje się szczególnie podatną na wszelkiego rodzaju złe wpływy życiowe. Temu trzeba przeciwdziałać!

Każdą chorobę leczyć należy u źródła, tak więc i w leczeniu psychiki młodzieży trzeba sięgnąć do głównego siedliska zarazków chorobowych. Lekarstwo tu najważniejsze to znów praca, do której tak trudno dopuszcza się dziś młodzież. Człowiek, który pracuje, tem samem przyjmuje inną postawę wobec otoczenia i samego siebie. Czuje się potrzebnym, uży-

tecznym, rozumie swą wartość i swą rolę w życiu. Czuje potrzebę udoskonalenia się i rozwijania, chce iść z prądem życia naprzód.

I tu właśnie leży jeden z punktów ciężkości młodzieżowej pracy organizacyjnej. Wychować musimy młodego człowieka przez pracę, nawet przez tę ciężką pracę fizyczną, tak nieraz chętnie a niesłusznie lekceważoną i pogardzaną, bo praca ma wielką wartość uzdrawiającą.

Trzeba nam zatem nauczyć młodzież samodzielnej pracy nad sobą, trzeba jej wpoić umiejętność patrzenia na świat własnymi oczyma i własnych doszukiwać się prawd. Trzeba nam przyjać młodzieży, którzyby potrafili wyczuć, kiedy trzeba być zwierchnikiem a kiedy kolegami młodzieży, którzy ją potrafią zapalić do pracy nad nią samą. Trzeba nam wychowawców młodzieży. Wychowawcą musi być każdy, kto jest „starszym” w społeczeństwie młodych, a kto wnosi nową treść w życie młodego pokolenia. Pamiętajcie, że rezultat wszelkiego wysiłku w tym kierunku zależeć będzie od sumy włożonej w to pracy.

A zatem czas już najwyższy, byśmy z ciemnych i ślepych ulic wyszli na światło, z dorywczoci do systematycznej pracy.

Pracę naszą musimy ująć w formę zorganizowanego obowiązku i dążyć do tego, aby nie było wśród nas leniuchów i maruderów, ale byśmy się stali ludźmi czynu i pracy.

Nie tam, gdzie żłoby tłuste i pełne, lecz tam, gdzie szczera, uczciwa praca i trud wre, gdzie obowiązek rozumu obywatelskiego jest nakazem oraz prawem najwyższem — tam musimy dążyć!

A gdy wszyscy, cała nasza polska młodzież, zrozumie, w jaki sposób sumę naszej energii, wydawaną dorywczoci — w czasie chwilowych porywów — zamienić na zjednoczoną pracę stałą i systematyczną, wtedy będziemy mogli z otuchą patrzeć w przyszłość.

Matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kąć rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoly, srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecięcych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją dzieci polskie śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie.

Józef Piłsudski.



# Uczmy się!

Władysław Kondratowicz w wierszu p. t. „Niepiśmienny” w pięknych słowach wypowiedział głęboką i szlachetną tęsknotę chłopca niepiśmiennego, odczuwającego potrzebę nauki:

„Ja nie zazdroszczę, chowaj mię, Boże,  
nie i nikomu na Bożym świecie.  
Jednego tylko zazdroszczę może,  
że wy, uczeni, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,  
nauczcie piórem wodzić w potrzebie,  
tożby latało, tożby latało,  
jak błyskawica po jasnym niebie!

Wszystko co boli, co cieszy szczerze,  
co sam obaczę, co mi kto powie,  
wszystkobym wiernie kładł na papierze,  
dumkę po dunicy, słowo po słowie.

Spisałbym widok Bożego świata,  
każdy tak pięknie, każdy odmienny, —  
a teraz — wszystko marnie ulata:  
hom nieuczony, hom niepiśmienny!

Jakże smutno płynąć musiało życie tego chłopca. My pod tym względem jesteśmy w lepszym położeniu, gdyż każdy z nas miał sposobność skończyć szkołę ludową a wielu i szkołę wydziałową. Mamy różne kursa dokształcające i szkoły zawodowe.

Lecz dla nas, dla naszych warunków i to nie wystarczy. Życie wymaga od nas bardzo wiele, więcej od tego, co nam dała szkoła. Szkoła daje nam pewne podstawowe wiadomości. Mamy dobre szkoły. Lecz opuściwszy szkołę, nie możemy zakładać rąk i mówić: „Mam już dosyć wiadomości”. Życie kieży szybko naprzód, rozwija się i przynosi coraz coś nowego. Kto nie postępuje z niem, ten się cofa. Chcąc być obywatelem pełnowartościowym, trzeba się w życiu jeszcze wiele uczyć. Słusznie też powiadamy, że całe życie jest szkołą. Są ludzie, którzy z każdego spostrzeżenia, z każdego przeżycia, z każdej przeczytanej książki lub gazety potrafią wysnuć dla siebie jakąś naukę i przez to wzbogacają swój umysł.

Tacy ludzie osiągną coś w życiu. W swoim prywatnym życiu są dobrymi gospodarzami, a w życiu społecznym dobrymi obywatelami i pracownikami. A więc! Miejmy głowę otwartą i uczmy się! Mamy bardzo wiele środków, które możemy do nauki wykorzystać. Mamy gazety, mamy biblioteki, bywają różne odczyty, kursy i przedstawienia teatralne. Dodam jeszcze, że każdy rozumny człowiek zakupi sobie od czasu do czasu jakąś książkę, która odpowiada jego upodobaniom i potrzebie. Jest to bardzo piękny objaw, że wśród naszych robotników, górników, hutników, rzemieślników i t. d. jest sporo takich, którzy, idąc za wewnętrzną szlachetną potrzebą kształcenia się, nabyli z biegiem czasu mniejszy lub większy zbiór książek, utworzyli sobie w ten sposób własne biblioteki, z których pilnie korzystają. Ludzie ci wykształcili się, są światłymi obywatelami i znaczą coś w społeczeństwie. Oby i między naszą młodzieżą było jak najwięcej takich, którzyby odczuwali potrzebę kształcenia się i umieli ocenić wartość dobrej własnej książki.

Obecnie wypadałoby wypowiedzieć kilka uwag, jak czytać książki i gazety, jak korzystać z odczytów

i różnych imprez, by z tego wszystkiego coś dla siebie skorzystać.

Ad 1. O czytaniu książek, a odnosi się to wszystko i do czytania gazet, pojawił się już w 1. numerze „Ogniwa” informacyjny artykuł. Do myśli, wypowiedzianych w tym artykule, dodam jeszcze to: Ponieważ pamięć nasza nie potrafi na całe życie zachować wszystkiego, co czytamy, poleca się w osobnym zeszycie spisywać tytuły książek, które przeczytamy. Do tego możemy dopisać kilka uwag, które się nam podczas czytania danej książki nasunęły. Jeżeli to nie jest nasza własna książka, dobrze byłoby zanotować, skąd pożyczyliśmy książkę. Jeżeli zaś znajdujemy w czytanej książce lub gazecie jakiś bardzo pouczający odstęp, to go sobie odpisujemy do osobnego notatnika, lub przynajmniej zaznaczamy, że taki artykuł jest tam i tam (str. książki, względnie numer gazety). Notatnik ten od czasu do czasu przeglądamy. Przez to odświeżamy w pamięci to, cośmy czytali.

Ad 2. Z poprzedniej uwagi wynika, że mamy czytać nie dla zabicia czasu, lecz celowo. Nietylko dlatego, by zażyć przyjemności przeżycia akcji, przedstawionej w książce czy w sprawozdaniu prasowym, lecz i dlatego, by się stać lepszym i mędrszym. To samo odnosi się do uczęszczania na odczyty i przedstawienia. I tu trzeba z uwagą śledzić treść wykładu czy akcji sztuki, oceniać wszystko, starać się uchwycić i zapamiętać co najważniejsze, a gdy uznamy coś za bardzo ważne, notujemy sobie to, — a co ważniejsze, staramy się o zastosowanie tego wszystkiego w życiu własnym. — „Idź i czyń tak!” Or.

## Nie pluć na podłogę!

Cobyście pomyśleli o człowieku, który, widząc w jakimś biurze napis: „Nie wolno palić”, umyślnie wyciąga papierosa i z całą zuchwałością go zapala i potem — z dumą strząsa popiół na podłogę?

Cobyście pomyśleli o człowieku, który, mimo napisu: „Nie pluć na podłogę”, umyślnie to robi.

Pomyślelibyśmy wszystko najgorsze, prawda?

Młodzież nasza wie dobrze o tem, że jeśli czegoś nie wolno, to się tego nie robi. A jeśli — znowu — są takie przepisy, których trzeba przestrzegać, to choćby to było bardzo uciążliwe, nie wolno nam się od nich uchylać.

Czy jednak naprawdę tak jest? Czy w naszym życiu organizacyjnym nie postępujemy często tak, jak owi ludzie, o których wspominałem na wstępie, co to akurat czynią wszystko odwrotnie, a nie tak jak powinni?

Co powiecie n. p. o organizacji, która wydała 2000 Kcz na sztandar, a potem pisze do Centrali, aby ją zwolniono ze składki, bo niema z czego płacić?

Czy to jest „po naszymu”? Czy tak postępować się godzi? Co jest obowiązkiem? Czy kupić sztandar, który kosztuje, a rzadko bywa używany, czy też zapłacić składkę, do której jest się zobowiązanym statutem?

To taki sam przykład, jak z tem paleniem. Gorzej nawet — bo tam ów człowiek postąpił rozmyślnie, „na złość” — a tu jest bezmyślność, nieznajomość podstawowych zasad współżycia organizacyjnego.

Co powiedzielibyście o organizacji młodzieżowej, która zakładałaby parki i korty tenisowe a nie abonowała pisma młodzieżowego? Czy ci ludzie wykaza-



liby mądrość i przywiązanie do organizacji?

Te pytania rzuciłem kiedyś w pewnej organizacji. Zrobił się huk. Skąd mamy o tem wiedzieć, iż każdy powinien abonować czasopismo młodzieżowe?

Odpowiedziałem im tak.

— Moi kochani! Jak wam się zdaje? Czy dzisiaj, gdy człowiek szczyli się swoją kulturą i wyrobieniem, powinny jeszcze istnieć „czarno na białem” takie napisy, jak: „nie pluć na podłogę”?

— Nie powinny, — odchrząknęło mi w odpowiedzi.

— Dlaczego, — zapytałem?

— Bo ubliżają człowiekowi! Jakto?! człowiekowi, rozumnej istocie, trzeba dopiero aż przypominać, że nie żyje 10.000 lat temu w jakiejś jaskini, lecz wśród cywilizowanych ludzi, którzy winni być dobrze wychowani? Przecież każdy człowiek, sam z siebie powinien wiedzieć, iż spluwanie na podłogę jest czemś bardzo, bardzo paskudnem.

— Takie napisy powinny wisieć w muzeach obok dawnych narzędzi tortur, jako smutne pamiątki barbarzyństwa, dorzucił z zapalem jeden z obecnych.

— No więc! Czy zatem tak podstawowy obowiązek członków naszych organizacji młodzieżowych wobec pism organizacyjnych powinien być dopiero nakazywany?

— Nie powinien, ale...

— Ale co?

— Ale to, że ludzie wiedzą doskonale, iż wiele rzeczy jest dobrych, postępują jednak źle. Takie nakazy są potrzebne dla tych słabych na duchu.

Rozpoczynamy najpierw wszyscy od abonowania „Ogniwa” a potem będziemy myśleć o sztandarach, kortach i t. p. A nie naodwrot.

Nikt bowiem nie rozpoczyna budowy domu ani od balonu, ani od zasadzenia pnącego wina, ani od zbudowania altany. Najpierw trzeba zużytkować pieniądze na fundamenty i sam dom; potem zasadza się pnące wino lub buduje altanę.

Takim fundamentem dla nas powinno być „Ogniwo.” Zamówcie i czytajcie wszyscy „Ogniwo”! A to każdy z nas uczynić może, kto ma trochę dobrej woli.

J. T.

## ŻYWA GAZETKA

O żywych dziennikach, czy jak to się zwykle mówi, żywych gazetkach słyszy się u nas bardzo rzadko. Czasem urządza się coś takiego na obozach, czasem też jakieś towarzystwo zorganizuje wieczór pod hasłem „żywego dziennika”. Naogół bowiem utarło się mniemanie, że jest to impreza bardzo trudna, wymagająca specjalnego przygotowania i wykształcenia.

Tymczasem żywa gazetka jest pewną formą pracy oświatowej, pewną imprezą, którą można doskonale zużyć na potrzeby wewnętrzno-organizacyjne. Ona właśnie może stać się terenem, na którym członkowie zaprawiają się do wystąpień publicznych, segregują i poznają swoje zdolności.

Oprócz wyrobienia pracowników żywa gazetka ma wiele innych cech dodatnich, które czynią ją niezwykle pożyteczną.

A więc najpierw może ona wraz z gazetką ściennej, jaką widzimy często w szkołach, zastąpić względnie uzupełnić prasę codzienną, której często brak

członkom naszych organizacji. W tym zakresie należy artykuły żywej gazetki ilustrować i uzupełniać na łamach gazety ściennej.

Dalej żywa gazetka może dać słuchaczom bardzo miłą i pouczającą rozrywkę, a talenty wykonawców będzie pogłębiać i rozwijać.

Wiele jeszcze dałoby się dobrego powiedzieć o żywej gazetce, ale najlepiej się o tem może przekonać każda organizacja, wprowadzając ją na swoje podwórko.

Przyjrzyjmy się więc — jak się to robi.

A więc najpierw wybiera się odpowiedni zespół ludzi, którzy trochę się znają na pisaniu i mają łatwiejszy dostęp do książek i czasopism. Oni następnie wybierają z pośród siebie redaktora naczelnego czyli poproszonym kierownika. Dalszym etapem pracy jest ustalenie terminów — ukazywania się żywej gazetki. Najlepsze na to są zebrania Kółek samokształcenia.

Gdy się już ostatecznie ustali czas, miejsce i listę osób zaproszonych do współpracy, wówczas trzeba rozdzielić teki redakcyjne. Taksamo jak to robimy w redakcji gazety ściennej. A więc dział informacyjny, społeczny, kulturalny, literacki, organizacyjny, humor, rozrywki itp. Przy tym rozdziale należy dbać o to, by żaden z członków zespołu nie był zbyt obciążony i żeby przypadł mu dział odpowiadający jego zainteresowaniom.

Najtrudniejszy bodaj jest dział informacyjny i wypadków. Należy bowiem zapełniać go „materiałem” jeszcze „gorącym” czyli bardzo aktualnym. Zwykle więc brak czasu na odpowiednie przygotowanie się. Jednak przy pewnych zdolnościach i sprycie można wszystkiemu zaradzić.

Największa trudność kryje się najpierw w doborze tematów, które przecież winny wszystkich zainteresować a następnie w ujęciu, które musi być wystarczająco obszerne, a jednocześnie nie nudzące i ciekawe.

Zamiast dalej rozwijać ogólne wskazania, dam tu najlepiej krótkie sprawozdanie z żywej gazetki, zorganizowanej ostatnio przez jedną z naszych organizacji.

W powyżej wyluszczonego sposobu skompletowany komitet redakcyjny wyznaczył otwarcie pierwszego numeru na jedną z ostatnich sobót. Zapowiedział to wielki plakat, wywieszony w lokalu z napisem „Żywa gazetka — obieżyświat” Nr. 1 dnia... w... Afisz zamykał wielki znak zapytania. Oczywiście można inaczej, a więc podać program autorów, zachęcić członków itp.

W wyznaczonym terminie zebrała się hurma ludzi, bo wszyscy byli zaintrygowani. Członkowie siedzieli, jak na zwykłym zebraniu. Przed nimi stał długi stół, za którym siedziało 6 osób. Punktualnie o 19-tej wstał siedzący w środku redaktor naczelny i w paru słowach powitał zebranych, przedstawiając zespół, czyli określając przydział „tek” i charakteryzując rolę i cel żywej gazetki. Po tem krótkim zagajeniu zapowiada artykuł o „sprawie Abisynji” druha X. Wywołany wstaje i określwszy położenie, króciutką historję i stanowisko Abisynji, opisuje całe zajście i przygotowania wojenne oraz charakteryzuje znaczenie tego zatargu dla Afryki i Europy. W ten sposób słuchacze, którzy z pochwytych dorywczo wiadomości nie mogli wyrobić sobie zdania o całej sprawie, otrzymują pogląd na całość.

Prelekcję taką możnaby jeszcze zilustrować mapą. Po artykule następuje dyskusja, głównie informa-



tyjna, tzn., że słuchacze proszą o pewne dodatkowe objaśnienia.

Następny „publicysta” zdaje sprawozdanie ze Zjazdu Młodzieży. Ktoś inny znów opisuje wycieczkę krajoznawczą. Następny odczytuje nowelkę własną lub cudzą, a kierownik działu rozrywkowego zadaje parę zagadek i rebusów, kończąc opowiadaniem paru dobrych kawałów.

Wszyscy uczestnicy rozchodzą się zadowoleni i z zaciekawieniem — co przyniesie następny numer gazety.

Może i w naszej organizacji spróbujemy zorganizować „Żywą gazetkę” i „zaprzagnąć” do pracy wszystkich członków. Będzie to doskonałym środkiem do wzajemnego zżycia się, gdyż najbardziej łączy wspólna praca i wspólnie przeżyty trud. J. L.

## ZWIĄZEK POLSKICH CHÓRÓW

### Coś o rozśpiewaniu naszego społeczeństwa

(Dok.)

Jeżeli zgodzimy się z tem, że ogólne rozśpiewanie społeczeństwa najskuteczniej może być dokonane przez śpiew jednogłosowy, wtedy pieśni jednogłosowe przestaną być w szkole i w chórach materiałem dla niższych klas i dla mało wyrobionych chórów, przestaną niejako być wstępem i etapem przygotowawczym do śpiewu wielogłosowego, lecz staną się podstawą każdego śpiewu i fundamentem rozśpiewania ogółu. Mogłby może ktoś po tem co powyżej powiedziano powiedzieć, że śpiew jednogłosowy jest w szkołach i chórach uprawiany. Tak i nie. Jeżeliby chodziło o stronę formalną, to istotnie uczyło się pieśni jednogłosowych w szkołach i w chórach i nawet się tych pieśni uczy, lecz śpiew ten jest traktowany powierzchownie i nie przypisuje mu się większego artystycznego znaczenia, ani znaczenia społeczno-kulturalnego, nie mówiąc już o doborze tych pieśni bardzo przygodnym i zmiennym. Nigdy zaś śpiew ten nie jest traktowany na równi z wielogłosowym, który wszędzie przy wszelkich uroczystościach ma rolę reprezentacyjną.

Powtarzanie jest matką nauczania. Tak winno być i w śpiewie. Powinno się powtarzać pieśni cenniejsze z poprzednich lat. To powtarzanie stałoby w ścisłym związku z dążnością do stworzenia w szkołach i towarzystwach śpiewaczych tak zw. stałego repertuaru pieśniarskiego, na co nauczycielstwo i dyrygenci powinni w swej pracy zwrócić szczególną uwagę. Niejednokrotnie repertuary chórów i szkół zmieniają się z każdym rokiem, tak że dziecko lub śpiewak występujący ze szkoły lub z chóru nie umie nic oprócz pieśni z ostatniego roku szkolnego lub z okresu ostatnich prób chóru. Zapobiec temu można przez zaprowadzenie stałego repertuaru pieśniarskiego i jego ciągłe powtarzanie. Nie wyklucza to rzecz oczywista wprowadzenia nowości repertuarowych, co zresztą jest wskazane i konieczne, lecz podstawa repertuaru, jego szkielet winien być stały, do pewnego stopnia niezmienny. Tu nasuwa się pytanie, jakie pieśni na-

leżałoby włączyć do tego stałego repertuaru szkoły i towarzystw śpiewaczych. Należałyby tu ze względu na praktyczność przede wszystkim wartościowe pieśni jednogłosowe.

Rozśpiewanie dzieci, młodzieży i starszych przez pieśń jednogłosową nastroić będzie przy dzisiejszym ustosunkowaniu się do tych pieśni wiele trudności. Przede wszystkim będzie trzeba zwalczyć istniejące u nas przesady, że pieśń i śpiew jednogłosowy jest oznaką małego wyrobienia muzycznego. Trzeba będzie przekonywać, że szkoła, towarzystwa śpiewacze rozśpiewane przez pieśń jednogłosową dobrze spełniają swoje zadanie w stosunku do ogólnej kultury muzycznej, umuzykalnia bowiem w sposób najbardziej prosty i naturalny. Jedną z największych trudności będzie dobór odpowiednich pięknych i wartościowych pieśni tak pod względem muzycznym jak i literackim. Lecz temu można zaradzić.

W Polsce był przed niedawnym czasem rozpisany konkurs, czy coś w tym rodzaju, na zestawienie 25 dzieł z literatury pięknej, któreby każdy obywatel miał przeczytać. Wychodzono przy tem z tego słusznego założenia, że jeśli każdy obywatel przeczyta uważnie ten zbiór, ujednolątni poglądy obywateli na pewne kwestje i da się ludziom to, co każdy z literatury pięknej powinien wiedzieć. Poznają ludzie z przeczytanych dzieł ducha poszczególnych epok literatury i historii, a na tej podstawie potrafią wszyscy ocenić i uznać ogromny wysiłek i poęgę ducha własnego narodu. Jakie są wyniki tego konkursu, nie wiem, nie wiem, które dzieła zostały do tego zbioru włączone, w każdym razie nasuwa się tu w związku z tem co powyżej powiedziano pytanie, czyby nie można było u nas rozpisać również czegoś w rodzaju konkursu, a jeżeli nie konkursu, to czyby powołani do tego nie zestawili jakiegoś stałego repertuaru pieśni, któryby każdy Polak w Czechosłowacji miał dokładnie znać. Owszem, powinnością każdego z nas byłoby pieśni te znać gruntownie, całe i śpiewać je przy nadarzających się sposobnościach. Należałoby również znać genezę i pochodzenie niektórych z nich. Wystarczyłoby może jakie 25 pieśni. Pieśni te musiałyby być śpiewane przy każdej sposobności, jednogłosowo, nie z bejzantnią lecz otwarcie, z serca, z wewnętrznej potrzeby. Musiałby ten repertuar obejmować pieśni skrupulatnie dobrane. Do repertuaru należałoby bezwarunkowo włączyć pieśni szczególnie takie, które w śpiewakach umacniałyby ducha wspólnoty, jedności narodowej, pieśni zacierające różnice stanowe i klasowe. Swoim duchem powinnyby te pieśni stać nad nami, nad naszymi stanowiskami społecznymi, pieśni, któreby wszystkich łączyły w jedną wielką polską, serdeczną a szczerą rodzinę śpiewaczą.

Czy Związek Polskich Chórów chlubnie spełniający swoje zadania nad zestawieniem takiego stałego repertuaru pieśniarskiego dla Polaka w Czechosłowacji się zastanowi? Nie byłoby potrzeba wcale wydawać nowego śpiewnika, gdyż część tych pieśni znajduje się już w wydany przez „Związek” śpiewniku jednogłosowym „150 pieśni” (do nabycia w księgarni Macierzy Szkolnej w Czes. Cieszynie za cenę 4 Kcz), a resztę można stopniowo umieszczać w „Ogniwie”. Zgóry uprzedzam, że zestawienie takiego repertuaru napotykałoby na pewne trudności, bowiem zestawiony przez jednostkę nosiłby cechy jednostronności. Należałoby te pieśni wybrać tak, by były uzupełnieniem repertuaru pieśni dla szkół. Chcąc więc



korzystnie i celowo, zestawić repertuar pieśniarski dla młodzieży i starszych, należałoby najprzód zestawić taki stały repertuar dla szkół a to dlatego, by jeden repertuar łączył się z drugim i uzupełniał go. Jeżeliby więc repertuar pieśniarski szkoły obejmował 25 pieśni, a repertuar dla młodzieży i starszych również 25 pieśni dobrze przez każdego opanowanych i przyswojonych, mielibyśmy 50 pieśni w zapasie, z którymi śmiało i bez obawy moglibyśmy występować przy każdej nadarzającej się sposobności. Jeżeli każdy z nas będzie umiał te 50 pieśni, wtedy na wycieczkach, festynach, zabawach i innych przeróżnych sposobnościach nie będą się zdarzały wypadki odośnionego śpiewania początkow pieśni. Ktoś zacznie śpiewać i zaraz będzie miał kilkunastu pomocników. Zresztą jeżeliby ktoś wątpił, by człowiek mógł zapamiętać na dłuższy czas aż 50 pieśni, możnaby ilość tych pieśni zmniejszyć, lecz to może byłoby wstydem dla nas, bo przecież jest dużo ludzi starszych, którzy znają całe dziesiątki pieśni kościelnych na pamięć. Owszem należałoby pieśni te powtarzać i nie pozwolić, by się je zapomniało.

Ponieważ dyrygentami chórów są przeważnie nauczyciele, którzy wychowują w szkołach dorost śpiewaczy, możnaby na podstawie obowiązujących planów naukowych zestawić najprzód stały repertuar pieśni dla szkół, a potem dla młodzieży i starszych. Praktyczne znaczenie opracowania i przeprowadzenia powyższego byłoby ogromne. Sądzę, że w ten sposób z powrotem do życia powołana nasza polska pieśń stałaby się podstawą powszechnego rozśpiewania naszego społeczeństwa. Należałoby jednak pieśni te ćwiczyć równocześnie z przyswajaniem tekstu, gdyż tekst wyuczony w oderwaniu od melodji zapomina się łatwiej. Melodja i tekst powinna w umyśle śpiewającego stanowić nierozdzielalną całość.

W dwóch artykułach poruszyłem kilka uwag dotyczących kwestji rozśpiewania, wychodząc z tego założenia, że istnieje ścisły związek między rozśpiewaniem a odpowiednim nauczaniem i propagowaniem pieśni jednogłosowej. Nie należy jednak wszystkiego co w tej sprawie było powiedziane rozumieć zbyt jednostronnie i może z tej strony, że nie doceniam wartości śpiewu wielogłosowego, gdyż ten bardzo lubię i wysoko cenię i rozumię, jakie ma znaczenie w umuzykalnianiu i wyrobieniu muzycznym danej grupy i jednostki. Niemniej powinniśmy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że wielogłosowy śpiew chóralny czy to szkolny, czy pozaszkolny pozostaje śpiewem pewnej tylko grupy, nie zaś szerokich mas społeczeństwa, dla których wartością piosenka jednogłosowa będzie codzienną najprostszą i dla wszystkich najprzystępniejszą formą wyrazu muzycznego. Uczmy więc śpiewu nie dla próżności i popisów, ale po to, byśmy umieli zaśpiewać przy każdej nadarzającej się sposobności, by nasza pieśń polska była nam wiernym towarzyszem w chwilach górnych i chmurnych, byśmy sobie umieli zaśpiewać sami, a nie czekali aż nam coś zupełnie obcego kto inny zaśpiewa.

J. S.

**Cała przeszłość — i cała przyszłość — w nas być powinna. Ojczyzna — to samo życie. Jak krew bije w tętnach, jak serce w piersiach uderza, jak myśl w mózgu przepływa, tak w nas żyje ojczyzna.**

Stefan Żeromski.

## Współpraca chórów i kółek samokształcenia

(Streszczenie referatu, wygłoszonego przez przedstawiciela Kółka karwińskiego na posiedzeniu Zarządu Zw. Pol. Chórów w Czechosł.)

Chóry i Kółka samokształcenia posiadają wiele punktów styecznych.

Chóry propagują pieśń, zwracając z jednej strony uwagę na poziom artystyczny, przede wszystkim jednak dążą do rozśpiewania szerokich rzesz społeczeństwa. Pod tym względem mamy jednak wiele do zrobienia, zwłaszcza jeśli chodzi o pieśń jednogłosową. Chór posiada zadania wychowawcze i oświatowe, działa na rozum i serce. Krzewienie pieśni jest ważnym działem w pracy oświatowej. Chór jest także podstawą do pracy w dziedzinie teatralnej, bowiem zespoły amatorskie rekrutują się z członków chóru i obydwie formy pracy są z sobą ściśle związane. Większą niż dotychczas wagę będzie trzeba przywiązywać w chórach na inne rodzaje pracy oświatowej, a więc na inscenizację pieśni, recylacje, deklamacje chóralne, czytelnictwo i t. p. Chóry powinny również uprawiać ćwiczenia i odpowiednią zabawę.

Kółka samokształcenia, mieszczące się w ramach organizacji istniejących, z którymi nie konkurują (gdyż nie pobierają wkładek osobnych, nie urządzają samodzielnych imprez), wychowują młodzież, kształcą swoich członków oświatowo i wyrabiają przyszłych pracowników dla naszych organizacji. Praca w kółkach polega na wygłaszaniu krótkich referatów przez członków, na dyskusji i omawianiu spraw sportowych i innych bieżących. Tak jak chóry, są one organizacją wspólną dla obojga płci. Referaty w Kółkach samokształcenia różnią się od innych odczytów tem, że są urządzone systematycznie, są dostosowane do poziomu i do zainteresowań młodzieży. Liczba tych referatów w Kółkach rośnie bardzo prędko i w r. 1934 przewyższyła już liczbę odczytów, wygłoszonych we wszystkich kółach Macierzy.

W ramach pracy Kółek samokształcenia mieści się także propaganda śpiewu. Na zebraniach Kółek śpiewa się pieśni jednogłosowe a w ostatnich czasach zaprasza się chóry do występów. W podobny sposób propaguje się teatr amatorski przez urządzenie referatów i omawianie przedstawień.

Już z tego pobieżnego szkicu widzimy, że działalność chórów i Kółek samokształcenia zahacza w wielu punktach. W chórach prowadzi się pracę oświatową i wychowawczą, która jest głównym zadaniem kółek. W kółkach propaguje się pieśń i muzykę. Ta sama młodzież, która chodzi na zebrania chórów, może być pociągnięta do pracy w kółkach i odwrotnie. W wielu miejscowościach chóry i kółka pracują bardzo ściśle z sobą. Celowość naszej pracy wymaga, aby taką współpracę zaprowadzić w całym kraju.

Chór może się stać równocześnie kółkiem samokształcenia, jeżeli n. p. jedną próbę w miesiącu poświęćmy na referat oświatowy, przeprowadzimy dyskusję, urządzimy występ chóru i postaramy się o odpowiednie inne urozmańcenia. Gdybyśmy tę rzecz przeprowadzili praktycznie, wzrosłaby poważnie liczba kółek samokształcenia, ale także praca chórów nabrałaby głębszego znaczenia.



W miejscowościach, w których istnieje już kółko samokształcenia, chóry powinny wesprzeć jego działalność przez udział w jego zebraniach, występy jednogłosowe, chóralskie i t. p. Tam, gdzie dotychczas brak kółka samokształcenia, a istnieje więcej chórów, jeden z nich, n. p. neutralny chór Macierzy, mógłby w swoim łonie zawiązać kółko, które dzięki poparciu innych chórów mogłoby się stać instytucją wspólną dla zainteresowanych chórów. Kółka takie, które staną się łącznikiem całej młodzieży, powinny powstać tam, gdzie zachodzą odpowiednie warunki. Gdzieś indziej wystarczy, jeżeli w chórze urządzi się regularne pogadanki oświatowe. W jednym i drugim wypadku będziemy mogli propagować i pieśń jednogłosową i muzykę, omawiać sprawy chórów, popularyzować literaturę, szerzyć oświatę wśród członków.

Do zakładania przystępujemy ostrożnie, po dokładnym rozpatrzeniu warunków. Referentem może być dyrygent chóru, ale także inna osoba, której udzielimy wskazówek, jak należy wygłaszać referaty. Aby uniknąć rozdrobnienia, robotę rozpoczynamy w porozumieniu z innymi organizacjami.

Kółka samokształcenia rozwijają swoją działalność w ramach statutu Macierzy. Odczyty publiczne, dostępne nie tylko dla członków, ale także dla zaproszonych gości, zgłasza się z reguły z ramienia miejscowej komisji oświatowej. Przy zgłoszeniach zebrania kółek samokształcenia pamiętać trzeba o podaniu całego programu, a więc nie tylko tematu referatu, ale i dyskusji, wyszczególnieniu pieśni i innych punktów, wchodzących w skład programu. Na lokal najlepiej nadaje się szkoła. W myśl przepisów o komisjach oświatowych gminy są zobowiązane dostarczyć budynków szkolnych lub innych sal gminnych na cele takich odczytów. Przed przystąpieniem do rozpoczęcia akcji oświatowej należy o tem zawiadomić Radę Szkolną miejscową, względnie Powiatową.

Pracownicy oświatowi w chórach i kółkach samokształcenia powinni zaznajomić się z postanowieniami ustawowymi o komisjach oświatowych, które przewidują pracę kółek samokształcenia (t. zw. debatni kroużki), wymieniają tematy, jakie można wygłaszać z ramienia komisji oświatowych i omawiają uprawnienia, z jakich korzystają organizatorzy tych odczytów (lokal, subwencje gminne i t. p.).

Należy wyrazić nadzieję, że chóry wydatnie przyczynią się do wzmożenia ruchu samokształceniowego przez poparcie istniejących kółek, założenie nowych i przez urządzanie wewnętrznych pogadanek chórowych na sposób zebrania kółek samokształcenia.

## AKADEMJA GIMNAZJALNA

Dnia 14 grudnia w Orłowej w hotelu Gwarectwa urządziliśmy, młodzież polskiego gimnazjum realn. w Orłowej, Akademię ku uczczeniu wielkich polskich pisarzy. Głównym punktem Akademii była sztuka p. t. „Wiesław”. Wystawienie „Wiesława” było o tyle trudniejsze, iż wystawiono sztukę w formie operetki w 6-ciu obrazach ze śpiewami i tańcami. Trzeba było włożyć dużo pracy, by ją należycie wyćwiczyć i odpowiednio zaprezentować się przed gośćmi i rodzicami, których spodziewaliśmy się bardzo wiele. Obaj profesorowie, a więc reżyser p. Motyka i dyrygent p. Guziur mieli przed sobą trudne zadanie. Nadanie od-

powiedniego kierunku gry poszczególnym amatorom, wyćwiczenie scen zbiorowych, licznych polskich tańców, śpiewów, nie jest rzeczą łatwą. Dzięki jednak energii profesorów i naszemu pilnemu uczęszczaniu na próby, potrafiliśmy zdobyć wiarę w swe siły i pokonać wszelkie trudności. „Wiesław” to inscenizacja sielanki K. Brodzińskiego, od którego śmierci w tym właśnie roku upłynęło 100 lat. Z tego też powodu wybrano tę sztukę. W tym roku przypadała także rocznica śmierci i innych wielkich pisarzy i poetów polskich — na ich właśnie cześć urządziliśmy wspomnianą Akademię, którą zagał p. dyrektor Feliks, witając licznie zgromadzonych gości. Następnie prof. Niemiec w pięknym przemówieniu przedstawił wobec przepelnionej sali potęgę i piękno literatury polskiej, znaczenie pisarzy i poetów, jak A. Mickiewicza, M. Konopnickiej, W. Reymonta i Stef. Żeromskiego, w końcu K. Brodzińskiego, a w związku z jego działalnością omówił sielankę p. t. „Wiesław”, którą zanedługo publiczność miała oglądać na scenie. Po przemówieniu nastąpiło odegranie sztuki, wystawionej w 6 obrazach. Obraz pierwszy przedstawił wesele krakowskie. Wszystkim podobały się cudne stroje krakowskie i dobrze wykonane tańce. W obrazie drugim mogła publiczność śledzić początek akcji „Wiesława”, a więc przybycie Wiesława do gospody, zapoznanie się z Haliną i naleźycie, z życiem odtaneczonego krakowiaka. Pierwsze więc dwa obrazy oddane były w nastroju pogodnym, wesołym. Następne za to dwa obrazy mają charakter smutny, wzruszający nas do głębi (szczególnie III). Wiesław powraca do domu z zakupionymi konikami i po wewnętrznej walce ze sobą wyznaje swym przybranym rodzicom, Stanisławowi i Bronisławie, miłość ku Halinie, którą poznał w przydrożnej karczmie, i prosi ich, by pozwolili mu ożenić się z Haliną, chociaż wie, że oni dawno już przeznaczili dla niego swoją 12-letnią córkę Bronikę. Rodzice po ciężkiej wewnętrznej walce, kierowani szlachetnością duszy polskiej, zgadzają się i Wiesław z sąsiadem Janem wybierają się do matki Haliny. Smutny i nastrojowy ton nadają temu obrazowi sami rodzice, opowiadając o stracie swej starszej córki. Obraz następny przedstawia dziewczosłbę w chacie Doroty. Dowiadujemy się znowu z ust Doroty o smutnych przeżyciach Haliny. Obraz piąty jest spotkaniem się rodziców Wiesława z Haliną i poznaniem w Halinie swej straconej córki. Obraz ostatni, szósty z rzędu, to zaręczyny Wiesława z Haliną. Obraz kończy się z temperamentem odtaneczonym mazurem i odśpiewaniem okolicznościowych krakowiaków.

My amatorzy ocenić swej gry nie możemy. Jedynym wskaźnikiem naszej gry i możliwą oceną był fakt — zadowolenie z nas reżysera i liczne oklaski, jakimi obdarzała nas publiczność po każdym odegranym obrazie. Uznaniem wreszcie dla nas amatorów była i ta okoliczność, że na ogólne żądanie powtórzyliśmy „Wiesława” w szkole wydziałowej w Cz. Cieszynie. Z pierwszego występu byliśmy zadowoleni, z drugiego jeszcze więcej. Powodem tego była znacznie korzystniejsza strona dekoratywna i należyte oświetlenie tudzież reflektory.

Amator.

Cechą zdrowych natur jest to, że łakną prawdy, — i te tylko narody odrodziły się i podniosły, które prawdę sobie mówić pozwalały.

Kalinka.



# **7 PODHAŁA** **PANI PAWŁOWA**

I.

*Kochana pani Pawłowa —  
Któż jeszcze jej nie pamięta?  
I owszem, toć przecie wciąż żyje  
i chowa swoje wnuczka.*

*Nieraz bywało, raniutko  
Przynosi mi kawę w garnuszku  
I z białą serwetą w ręku  
Siaduje na mojem łóżku.*

*Spojrzy mi w oczy i potem  
W głos się serdecznie zaśmieje:  
„Nie śpijcie, a jeno słuchajcie  
Jakie też były tu dzieje.*

*Mój świętej pamięci małżonek, —  
Niech Pan Bóg nad duszą mu świeci, —  
Nie wiedział za młodych swych lat,  
Co to są żona i dzieci.*

*Co mógł, to zanosił do karczmy,  
Siadywał śród takich osób,  
Jak on, i co mógł, to przepijał,  
Aż ja się wzięłam na sposób,*

*Przyszedłam po rozum do głowy, —  
Jest rozum u orostej chłopki, —  
I sama zanoszę do karczmy  
Wszystkie codzienne zarobki,*

*Zadumał się na to małżonek  
Omal nie umarł z zdziwienia:  
„A cóż to“ — tak krzyknął „ma znaczyć  
Czy to się świat już przemienia?!”*

*„A juści, że się odmienia“ —  
Odpowiem i świeże butelki  
Każę postawić na stole,  
Niech się raduje człek wszelki.*

*I spojrzę jednemu z nich w oczy,  
Że aż go przeszły ciarki.  
Zerwał się chłop mój, w stół huknął,  
Aż szklane zabrzękły miarki.*

*„Ha“ — krzyknę — „ma chłop swoje prawa  
Ma swoje prawa niewiasta  
I ona się szastać nie będzie  
Skoro się mąż jej nie szasta“.*

*Okrutnie się zasumował  
I nie mógł już patrzeć na to,  
Ażeby pijała żona  
Harował zimę i lato.*

*Zaś każdą swobodną chwilę, —  
Niech Pan Bóg nad duszą mu świeci, —  
Przepędzał nie w karczmie, lecz w domu  
U swej żony i dzieci.*

*I wiecie, taka przemiana  
Wyszła nam wszystkim na zdrowie:  
Gdzie tylko spojrzeć, naokół  
Gazdują nasi synowie.*

*On teraz, patrząc, tam sobie  
Pod tą mogiłką leży,  
Od czasu do czasu z północkska  
Do mych zapuka dzwierzy.*

*Tak więc, to jedno wam powiem, —  
Boście już przecie nie młodzi, —  
Czasami nawet pijaństwo  
Na dobre ludziom wychodzi.*

## **Umiarkowanie czy abstynencja?**

(Szkie wykładu).

A.

1. Powszechne zdanie: „upić się jak nieboskie stworzenie i leżeć gdzieś w rynsztoku — człowiekowi nie przystoi; ale tak raz za czas sobie wypić — to nie zaszkodzi”.

2. Można by tak mówić: „żeby nie to — „gdyby” (jak to się mówi: „żeby nie to żeby — to byłaby ciocia wujem”!).

B. I.

1. Skąd się biorą pijacy? Umyślnie chcieli nimi zostać? — urodzili się pijakami? — z nieba spadli? Oni chcieli pić „tylko umiarkowanie” — a jednak zostali pijakami! Bo alkohol — narkotyki (jak tytoń, morfina, kokaina), tj. środek odurzający. Choć umiarkowanie używany — powoduje różne zmiany w organizmie, który potem odczuwa głód za narkotykiem i żąda coraz większej dawki. Kto wczas się spostrzeże i ma silną wolę — może się uchronić od rozpicia: lecz większość ludzi słabej woli — a alkohol jeszcze bardziej ją osłabia! — Wyobraźmy sobie cud: wszyscy pijacy zniknęli z powierzchni ziemi — zostali sami umiarkowani. Po pewnym czasie — znowu pełno pijaków z pośród tych, którzy „miarę przebrali”. A gdyby ten cud się stał i pozostali sami abstynenci — zjawiliby się wtedy pijacy? — Czyli umiarkowane picie wcale nie chroni przed pijaństwem. Pijak — to tylko człowiek, który daremnie usiłował być umiarkowanym...

2. Dowodzi tego również historia walki z pijaństwem: z początku zwalczano tylko upijanie się, zalecając umiarkowanie. Później, widząc, że z tych umiarkowanych robią się ciągle nowi pijacy, zaczęto głosić zupełną abstynencję, jako broń. (W Irlandji np. żył wielki działacz, Mathew (czyt. melsju), który przez 19

Kazimierz Konarski:

## **ANTON KENDER**

(Dokończenie.)

Od tego się zaczęło. Wrócił do siebie na wieś z pełnym kuferkiem polskich książek, gazet, broszur. Zaczął czytać bez ładu i składu, co mu tam w sklepie w rękę wsunęli. Już w kolei poczuł, że go coś ciągnąć zaczyna ku mglistemu wybrzeżu dzieciństwa, ku Polsce. Kiedy wrócił do siebie, do swej puszczy zielonej, uczucie to zrazu osłabło, ale ziarno, raz rzucone, zakiełkowało i poczęło rozrastać się coraz silniej. Wiedział już, że Polska jest niepodległym państwem i całą duszą zapagnął ją zobaczyć. Wreszcie zdecydował się jechać. Podróż nie stanowiła już teraz, gdy był człowiekiem wcale zamożnym, takich trudności, jak dawniej.

W Nowym Jorku, w Domu Polskim, skierowano go do polskiej agencji okrętowej. Pewne nieporozumienie wynikło przy kupowaniu biletu. Poprosił o bilet do Gdańska. Po angielsku. Miał ochotę odezwać się po polsku, ale nie śmiał.

— Parowiec nasz idzie do Gdyni, nie do Gdańska, — objaśnił go urzędnik, — ale to bardzo blisko, przesiądzie się pan na inny statek, albo dojedzie koleją w pół godziny.



lat pozyskał prawie miliony członków dla swych stowarzyszeń umiarkowanych: 20 lat zalecał umiarkowanie — a kiedy widział, że to bezcelowe, zaczął głosić abstynencję.)

3. Weźmy dalej nasze zwyczaje towarzyskie: jak łatwo umiarkowany może się upić! Na uroczystościach rodzinnych, przyjęciach itp. częstują i przymuszają do picia. Umiarkowany nie może odmówić — wypije jeden, drugi i trzeci, a gdy będzie coraz to inny do niego „przypijał”, upije się łatwo; choć nie chciał! U abstynenta — sprawa odrazu załatwiona. Umiarkowany podtrzymuje te bezmyślne zwyczaje pijackie. On podtrzymuje nie tylko zastarzałe zwyczaje pijackie, lecz także większość gorzelni, fabryk wódek i karczem!

4. Nieszczęśliwe wypadki: szofer nie potrzebuje być pijany, by spowodować katastrofę; kilka kieliszków może wystarczyć, że w chwili wypadku, kiedy porusza natychmiastowej decyzji, umysł jego zawiedzie, bo nie działa należycie. Podobnie na kolei, w fabryce itp.

5. Małą wartość umiarkowania wykazuje także nauka: różne badania dowiodły, że jeśli ktoś pije stale, choć w małych dawkach i choćby nawet nigdy nie przebrał miary — to dawki te jakby łączą się z sobą i działają niszcząco na organizm, zwłaszcza na nerwy. Podobnie z kroplami wody, spadającymi na kamień: jedna kropla nic nie robi — ale tysiące wydrąży nawet kamień!

6. Niebezpieczeństwa moralne umiarkowanego picia. Umiarkowany, choćby się nawet nie upił ani nie rozpił, zaciemnia swój umysł, osłabia nerwy i wolę. Już przy t. zw. „różowym humorze” zamieszanie w umyśle: mowa bezładna, „trzy po trzy” — dowcipy nieodpowiednie — o byle co zaczepki — kłótnie — nieraz bójkę — a nawet morderstwa! Takie i podobne występki czynią nieraz nawet ludzie szlachetni, którzy

nigdy tak się nie zachowywali, gdyby zawsze byli zupełnie trzeźwi. Pijąc jednak umiarkowanie, człowiek podobny jest do jeźdźcy, który puścił z rąk cugle...

## II.

1. Tak więc abstynencja zawsze lepsza od umiarkowania:

a) chroni od tych wszystkich ujemnych skutków umiarkowania;

b) wyrabia silną wolę, odwagę, charakter: odmawianie sobie, płynięcie przeciw prądowi (z prądem to i zdechła ryba płynąć potrafi!) — czyli abstynent, to zuch! Akcja abstynencka potrzebuje ludzi z zasadami, z silnym charakterem;

c) uspołecznia: każąc wyrzekać się alkoholu z miłości do Boga, bliźnich i siebie samego, budzi idealizm, budzi świadomość, że dla wspólnego dobra trzeba niejedno poświęcić;

d) w życiu rodzinnym staje się jednym z głównych filarów szczęścia, zadowolenia, dobrobytu.

2. Różnica między umiarkowaniem a abstynencją da się ująć w takich porównaniach:

a) Pijaństwo — to złe drzewo: umiarkowany przyznaje to i chciałby je usunąć, lecz obcina je od korony, a korzenie puszczają nowe pędy! Abstynent przykładą siekierę do korzenia i złe drzewo wycina zupełnie.

b) Pijaństwo — to zaraza w stawie: umiarkowany chce się zarazy pozbyć — ale tylko zbiera zdechłe ryby z powierzchni i codzień jest pełno nowych ryb nieżywych. Abstynent spuszcza staw, oczyszcza i zarazę usuwa.

c) Pijaństwo — to powódź: abstynent buduje silny wał ochronny — umiarkowany buduje także wał, tylko słaby i kruchy i jeszcze w dodatku robi w nim wycięcie małe, aby móc nadstawić gardło i trochę sobie popijać...

T. F.

→ Jakło do Gdyni? przecież to zwykła rybacka przystań?

— Nie, tam teraz jest port, zobacz pan.

— Port Gdynia?

Osób było przy okienku dużo i nie było czasu na dłuższe objaśnienia. Ruszył na statek.

A w tydzień później dojeżdżał do polskiego wybrzeża. Dzień był pogodny, tak, że choć statek jechał w dużym oddale od lądu, można już na nim było rozeznać niektóre szczegóły. Jechali teraz wzdłuż wąskiego półwyspu helskiego, wąskim paskiem lądu, oddzielnego od morza zatoką Pucką. Z poza drzew błysnęła ku nim tafla wód zatoki. Kędzior drgnął. Poznał ten widok, przypomniał sobie, że bywał tu z rybakami. Była to więc pierwsza jaskółka ze światła wspomnień, z zaczarowanej krainy dzieciństwa. Po niej przyszły dalsze: latarnia morska, Hel. W Helu pamiętał biały dom na brzegu. Pamiętał go lepiej od innych, bo się w tym miejscu kiedyś w czasie kąpieli topił i ledwie go uratowali. Jest ten dom? Myszkował oczyma po wybrzeżu. Ten nie. Ten nie. Chyba ten... Tak, napewno ten. Ucieszył się jak dobrym znajomym.

Statek wykręcił na południe, otworzyła się przed nim szeroka przestrzeń zatoki, zalana słońcem. Jeszcze chwila i oto w oddali ukazują się te po ucięte

wieżę kościoła Panny Marji, śmiga w niebo ostra igła gdańskiego ratusza.

Na statku zaczyna się ruch, wynoszą bagaże pasażerskie, odwijają jakieś liny.

Kędzior, zapatrzony w zbliżającą się ku niemu ziemię, w Gdańsk, nie słyszy tego, nie spostrzega, że statek wykręcił ku wybrzeżu, w prawo. Rozgorączkowanymi oczyma wodzi po wybrzeżu, odkrywa coraz to nowe znajome punkty.

Ta wieża, to chyba klasztor w Oliwie. A ta kępa, to Sopoty. A to co? Boże miłosierny, co to?

Wprost przed nim wyrastała z topieli wodnej w całym swym majestacie Gdynia.

Jak macki sunęły ku niemu białe smugi wrzynających się głęboko w morze łamaczy fal, dalej widniał splełany las masztów, kominów, dźwigów, jeszcze dalej śmiało się w słońcu białymi swymi murami rozległe miasto, wtulone w puszysty kołnierz lasów, pokrywających okoliczne wzórza.

Przechodzącemu koło niego marynarzowi rzucił pytanie, wskazując ręką na port.

— Co to jest?

Powiedział to po polsku, po raz pierwszy od lat piętnastu odezwał się do kogoś po polsku.

Majtek popatrzył na niego trochę zukosa i odrzekł:



# ARMJA EMIGRACJI

WITOLD ZECHENTER

W Brazylii ścinał drzewa, we Francji pod ziemią rył,  
gdzie tylko los go rzucił — tam pracował, tam tęsknił i pił —  
i modlił się i kochał i tęskne pieśni śpiewał  
i dalej pod ziemią i dalej karczował drzewa.

A kiedy dziewicze drzewa tęskniące za Atlantykiem  
na słonym wietrze w liściach egzotyczny wieczór przedły,  
rzucił siekierę szczerbatą twardego karczownika  
i wyl i walił się w piersi miłością Polski obłądny.

Świat toczył się i w lata wzrastała ziemia  
i gdy zahuczał grzmot i runął czas skrwawiony,  
zamienił młot na miecz i w Wielkiej Wojny szpony  
rzucił się tęsknić i pić i bić i śpiewać.

A potem w Brazylii znów i Belgii i Francji,  
w Mandżurji i w Afryce, po całym świecie na Saksach  
w ośm miljonów krzepił się, urastał  
w narodu czwartą część — armję emigracji.

I znowu ścina drzewa i znowu pod ziemią ryje,  
gdzie tylko los go rzuci — tam pracuje, tam tęskni i pije  
i modli się i kocha i tęskne pieśni śpiewa  
i dalej po d ziemią ryje i dalej karczuje drzewa...

---

— A cóż ma być? Dyc to Gdynia.

— Gdynia. Boże miłosierny. Jego Gdynia. Ta  
mała, cicha wioszczyna. Cud, prawdziwy cud.

A cud potężniał z każdym obrotem śruby parowca. Minęli wejście do portu. Wyciągnęły ku nim swe stalowe ramiona olbrzymie dźwigi, ogarnął ich wir portowego życia, ogłuszył loskot maszyn, gwizd lokomotyw i syren okrętowych. Do pociągu, stojącego obok statku, podjeżdża z chrzęstem olbrzymi dźwig. Stał, przekręcił się, i oto nad pierwszą węglarką zawisły olbrzymie kleszcze. Spuściły się, chwytają wagon. Chwila ciszy, potem gwizdek, maszyna zawracała, targnęła łańcuchami i oto wagon idzie do góry, jak zabawka dziecinna. Z całym wagonem przekręcił się teraz dźwig ponad statek, wyrócił wagon. Węgiel z loskotem runął w głęb statku, podczas gdy węglarka, już wyprostowana, wracała powietrznym łukiem na swe miejsce na szynach.

Wszystko to tchnęło siłą, ale i ładem, i wszystkimi tchnęło Polską.

Po polsku rozmawiali robotnicy w porcie i maszyniści.

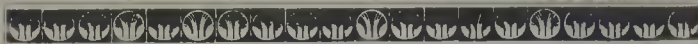
Po polsku rozmawiał tłum pasażerów, cisnący się do wyjścia.

Po polsku krzyczały wielkie reklamy, widoczne aż tutaj z miasta.

Po polsku zdawało się szumieć morze pod stopami Kędziora i wiatr nad jego głową.

Przed nim, dokoła niego, wszędzie była Polska.

I w nim samym już było trochę Polski, a teraz płynęła ona wielką falą przez oczy jasne, szeroko otwarte i przez uszy i przez serce proste, gorące, ogarniając tulącą Kędziorową duszę miłością, zapalając w niej jakieś nowe, nieznane ognie.



Nie znam epoki bardziej udatnej, bardziej silnej pod względem twórczości poezji żołnierskiej, jak nasz okres legionowy. Kulturę polską ożywiły pieśni żołnierskie, wycisnęły i wyciskają tyle obcych nabytków, przejętych przez polskich żołnierzy z armij obcych. Jeżeli pieśń ma jakieś znaczenie, jeżeli to, co jest piękne, co odpowiada głębokiej potrzebie duszy, ma jakiś wpływ, to pieśń żołnierska jest tem wielkiem, trwałem ogniwem, które zapewnia życie Legionom, dopóki istnieje żołnierz polski.

Józef Piłsudski.



# STANISŁAW WYSPIAŃSKI

W listopadzie 1907 r. zmarł w Krakowie wielki artysta malarz, jeden z największych wieszczów narodowych, Stanisław Wyspiański. Przepaliło się to serce, płonące żarem miłości. Zgasło w oczach jego światło natchnienia, które zawsze i wszędzie widziało Polskę, która czekała wtedy na nowe siły swoich dzieci i nowe światła, rzucające lunę ku drodze przyszłości — — —

Wyspiańskiego każdy utwór dążył do wyzwolenia Polski. „Jestem ten, co się na wszystko waży!” — powiada poeta, który miał odwagę zawsze mówić twardą prawdę i kazać to wszystko, co słabe i złe było w narodzie. Musiał on ostro, silnie i stanowczo ciąć w wady i winy, bo gdyby był miękko i delikatnie przemawiał, nie słuchanoby jego słów ani jego ostrzeżeń. Wyspiański dla Polski był prawdziwym prorokiem gromiącym, był duchem, co nie myślał o sobie, stopiony cały w jednym ogniu miłości Ojczyzny.

Nicma pieśni Wyspiańskiego, osnutej około jego własnych, osobistych bólów i uczuć. Nie znajdziemy tam skarg jego duszy, na cierpienia i na smutki własne. Nicma tam rozpacz i żalu nad tem, czego mu życie nie przyniosło, czem mu młodość nie rozkwitła, za czem on tęsknił i gonił — — —

Wszak nawet trzech nasi najwięksi poeci, Adam, Juliusz i Zygmunt, — którzy duchową Polskę na królewski tron wprowadzili, miewali pieśni i lzy dla wypiewania własnych bólów i nieszczęść — — — Wyspiański siebie nie zna, nie widzi, u niego był hart

w dźwięku słów,  
Jęk był pełen siły...  
By dreszczem wstrząsnął znów  
I żywych i mogiły.”

Zapatrzone, zasluchane w życie Polski ciągle nad tem pracował i myślał, jakimi obrazami do ducha narodu najskuteczniej przemawiać.

Wyzwolenia! wyzwolenia! — woła poeta. Otwórzcie wrota, wyjdźcie z tego koła, przestańcie poruszać się jednym i tym samym ruchem — — — ludzie! Wszyscy razem i w sukmanach i we frakach, w gorsetach i adamaszkach, poeci, dziennikarze — — — artyści-literaci, wyjdźcie z tego szablonowego koła — czy wam ta muzyka nędznego chochoła uszu nie razi, serca nie rozdziera — — — duszy nie łamie? — — — Wszystko robicie wedle jednej miary, jednego taktu, wszystko wedle tego samego materialnego celu. O! tak!... Cel nas zabija! Cel nasz to my i nasze jutro — samolubne bytowanie.

Jak bardzo Wyspiański kochał lud, o tem świadczą wszystkie jego prace. On jednak wad ludu nie wykazuje, bo wie, że każdy o wadach tych mówić potrafi, tylko on zrzedstawia, iż inteligencja i tzw. „wyżej urodzeni” z ludem żyć nie umia, nie umia pracować dla ludu i duszy jego podnosić. W „Weselu” naocznie wykazuje, iż potrafimy się bawić, deklamować — ale kiedy należy przystąpić do istotnego czynu, już zapomnieliśmy, kędy nasza droga.

Kiedy Wyspiański zamierzał objąć kierownictwo teatru krakowskiego, to marzył, iż Kolberga wszystkie zbiory splecie w całość i na scenie pocznie przedstawiać — „wtedy pokaże narodowi prawdziwe życie ludu i jego duszę taką, jaką jest, a nie jaką ją zwykle malują.”

Gdziekolwiek w dziełach jego występuje postać ludowa, tam jest ona wyrzeźbiona tak żywo i tak naturalnie, iż rzadko kto tak potrafi postaci ludowe chwycić i słowami rzeźbić.

Każde dzieło Wyspiańskiego to wyzwala nie z wad, win, upadków i senności ducha, aby łatwiej można było się wyzwolić — z win wrogów i krzywdzieli!

Wyzwała „Warszawianka”, która rzuca Polakom twardą prawdę w oczy i przypomina, że: — Żołnierza kraj po wojnie potrzebować będzie rolę siał zbożem.

Wyzwolenia pragnie Wyspiański, — więc oto Mickiewicz prowadzi Legion — — — na łodziach ciemną nocą płyną do Polski ci, którzy chcą odrodzenia — — — a kiedy burza grozi rozbiciem i słabi wątpią, poeta woła:

„Ze śmierci ciał się urodzi  
Duch Słowo — Słowo potęga...  
Zmartwychwstańcie młodzi!”

Wyzwolenia ragnie Wyspiański, gdy Kazimierza Wielkiego, budzonego ze snu stawia przed oczami narodu. Wyzwolenie widzi wtedy, gdy Lelewela stawia na czele tych ludzi, co chcą, aby się nowa Polska na nowych narodu siłach dźwigała. O wyzwoleniu myślał, gdy Wawel-Akropol polski zbudować pragnął i przedstawił niezwykle oryginalny w pomysł i planach projekt zabudowania całego wzgórza Wawelu.

Wyzwolenia chwilę zbliża i maluje w cudnych barwach, gdy na „Weselu” złotym rogiem każe budzić do innego ruchu i czynu.

Wśród pieśniarzy „Młodej Polski” Wyspiański staje jako posąg ze spiżu kutu. Kiedy tamci jęczą i kwilą na temat miłosny — Wyspiański woła: „Polska to jest wielka rzecz!” i o Polsce mówi, pisze i marzy, ale nie płacze nigdy żałosliwą nutą, ani nie truje ducha wątpliwością i beznadziejnością. On sumienie narodu rozbudzał, a każda praca jego skierowana była ku temu, by każdy czynił rachunek ze swych powinności i zaległości oraz by pojął, że Polska to życie i sumienie Narodu.

O Wyzwolenie błaga, gdy w „Nocy listopadowej” Łukasińskiego przedstawia jako bohatera, który woła:

„Wytrwania! Wytrwania!  
„O dajże im, Boże,  
„Niech siły ich się nie zmarnia.  
„Bądź srogie więzienie  
„Wieczyste me łoże  
„i żywot jedyną męczarnią.  
„Niech wloką, niech wloką,  
„Niech w lochy zakuja,  
„Niech sępy żrą me ciało,  
„by ino tym braciom,  
„co dzwonią w Warszawie,  
„Zwycięstwo się walki dostało.”

Siłą płomienia zwyciężał Wyspiański i spełniał posłannictwo prawdziwego Apostoła nowej idei dla Polski. Pieścił on tę Polskę jakby orlę młode i do nowych sposobów lotów. Jako mistrz słowa o formie przedziwnie pięknej wniósł Wyspiański do skarbcza literatury polskiej ogrom bogactwa i piękna, jako myśliciel, filozof nowego pokroju, jako polityk narodowy,

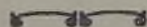


śmiały i pełny zwycięstwa, jako niezrównany mistrz pędzla, barw i linii chwytnych jakowas harmoniją niewymownie prostą a piękną. Wyspiański to wielki twórca Witraży, imponujących genialnymi pomysłami. Wszędzie i zawsze był ten człowiek apostołem myśli, wiodącej w odrodzenie narodu, a nigdy siebie nie wysuwał, nie narzucał. — Wyspiańskiego rzadko kto widział, słyszał czy znał. Cichość, pokora, zapomnienie o samym sobie czyniło z niego człowieka zamkniętego w ubogich ramach izby-pracowni. Tam rozważał losy dziejów narodu polskiego i wołał niewstrzymaną siłą: — — —

„Czas idzie, czas. Ducha widownie  
Rozświecił się, jak zorze różnobliskie...  
Ziemia da odrodzenie nam. Wiem, że jest bliskie,  
Niech się jeno uciszy duch ciemności,  
Niech się zgłuszą złe siły w nas.”

— — — — —  
W przyszłość idźcie! W przyszłość! W czyn!  
W tem wskazaniu przyszłości tkwi wielkość Wyspiańskiego, który odkrywał narodowi nowe drogi. On mówił do narodu słowami prorocstwa. Nie zrozumiano w pierwszych chwilach Wyspiańskiego. Wiedział o tem i dlatego pisał:

„Kiedy naród w sobie się szamoce,  
Gdy nad narodem ciemne rozwlekły się noce,  
budzi się prorok duch — co go powiedzie.  
Ten, sam ze się zapłonie, jako słup ognisty,  
a będzie przed szeregiem zwartym szedł na przedzie!  
Temu Bóg odda dusz jedynowładztwo!”



## TEATR AMATORSKI REŻYSER W KSIĘGARNI

Jerzy Tor.

Powiadają księgarze, że zawód ich byłby strasznie nudny, gdyby nie sprzedawali sztuk teatralnych. — ?

Ano z tej prostej przyczyny, że panowie reżyserzy i kierownicy teatrów amatorskich przy wybieraniu sztuk są nadzwyczaj zabawni.

Tak opowiadają.

A jak wygląda w rzeczywistości?

Przychodzi do księgarni M. Szk. młodzieniec i prosi sprzedawcę o komedję „Lilja Wenera”. Ekspedjent zgłupiał. Przypomina sobie szybko wszystkie znane tytuły sztuk i natrafia na zbliżony.

— Może to być dramat Słowackiego „Lilla Weneda”?

— Nie... „Lilja Wenera” — To jest „elegancka” komedja. Grali ją przecież w X. To nie ma? Co?

Chodziło oczywiście o „Lillę Wenedę”.

Albo:

Jakiś reżyser przegląda od dwu godzin stosy dramatów. Nagle wchodzi jego kolega z tej samej co on

## PORANEK KU CZCI HORACEGO

W grudniu urządziło gimnazjum orłowskie niezwykły poranek a to z okazji 2.000-nej rocznicy urodzin największego poety rzymskiego Horacego. Uroczyste otwarcie poranku zagał p. dyrektor, poczem chór klasy VII i VIII odśpiewał pieść łacińską „Mecenas atavis”, następnie prof. Włosok w referacie swoim przedstawił życie i twórczość Horacego. Prelegent przedstawił, jak Horacy, który dzięki swoim pieśniom wzbil się na szczyty sławy i swojemi utworami „zbudował sobie pomnik trwalszy od spiżu”. Wykład był tem ciekawszy, bo przeplatano go deklamacjami ód Horacego, których treść zawsze przedtem profesor objaśnił. Prelegent przedstawił nietylko znaczenie Horacego w literaturze rzymskiej, lecz także w literaturze światowej wogóle i jego wpływ na twórczość niektórych pisarzy polskich, a szczególnie na Kochanowskiego. Na zakończenie chór odśpiewał popularną pieść „Integer vitae...” Student.

Czwartem i ostatniem przykazaniem pedagogiki polskiej jest ustawiczna i czynna propaganda idei narodowej przykładem, życiem, słowem. Jest to jedyna droga do wytworzenia siły narodowej — a dobra sprawa tylko siłą triumfować może.

Stanisław Szczepanowski

niejscowości. Przeglądają razem. Nagle — natrafiają na „Dziewicę Orleańską” Schillera.

— Czy to dobre? — pytają.

— Doskonale — objaśnia sprzedawca — ale nie na scenę amatorską. Potrzeba przecież masę osób a wszystkie muszą być ubrane w kostjmy historyczne; przytem dekoracja jest droga, no i charakteryzacja...

— To nic. My mamy aktorkę, co lepiej gra, jak w prawdziwym teatrze.

— Wiesz — powiada reżyser do kolegi — ta rola Joanny, to ci „fajn” pasuje do Zochy. Patrz, w helmie będzie grał Nie, to musimy grać...

Inny obrazek.

Starsza pani i reżyser przerzucili już wszystkie istniejące komedje, poczynawszy od starych komedjo-pisarzy francuskich, a skończywszy na nowoczesnych pisarzach polskich. Żadna nie odpowiada wymogom starszej pani. Nagle bierze ona do ręki — pewno już po raz czwarty — obszerną komedję „Król dziadów”. Pani rzuca okiem na początek, na koniec, znowu w środek i znowu na zakończenie i —

— Proszę pana, to musicie grać! — powiada do towarzysza.

— Jak pan doktorowa każe...

— Niech pan wypisze rachunek — rzuca ekspedjentowi.

Wszyscy czytelnicy głowią się zapewne nad pytaniem: dlaczego tę właśnie sztukę wybrała?

Otóż — zdradzę to. W sztuce zachodzą oświadczyń, które odbywają się według „babusinej” ety-



kleły: młodzieniec klęcząc prosi o rękę swej ulubionej. Główną rolę kobiecą miała tam grać córka burmistrza a zakochanego młodzieńca — syn p. doktorowej, który miał szczerze zamiary wyjawic swe uczucia pannie burmistrzante w oficjalnych oświadczeniach. W miasteczku różnie o tem gadali. Wobec takiego obrotu sprawy mamusia chciała koniecznie, aby oświadczenia odbyły się na „widoku” i były wiadome „urbi et orbi”.

W czasie przedstawienia — opowiadał potem ktoś z obecnych — gdy nadeszła ta chwila, zerwały się na cześć młodej pary oklaski i okrzyki rozentuzjasmowanej publiczności, która o całym tym „tricku” pani doktorowej wiedziała już z „poczty pantoflowej”.

I jeszcze jeden „kwiatuśzek”:

— Ile kosztuje komedia „Wicek i Wacek”?

— 12 Kł.

— Oj drogo! To niech pan tylko da samego „Wicka”!

Oto jaskrawe przykłady wzięte żywcem z księgarni.

A teraz troszeczkę tytułów sztuk, jakie najczęściej kupują reżyserzy kółek amatorskich. „Chrapanie z rozkazu”, „Rysia w Krynicy”, „Szpital warjatów”, „Narwany myśliwy”, „Pokój do wynajęcia”, „Żyd w beczie”, „Niuniek ma hiszpankę”, „Madame Kino”, „Myszy bez kota”, „Jeden z nas musi się ożenić”, „Siódma córka prezydenta”, „Jedyny włamywacz we wsi”, „Nie mam czasu” itp.

Czy to są dobre utwory, że takie mają powodzenie? Nie. Mają zabawne tytuły i to decyduje w pierwszym rzędzie o ich wyborze. Byle głupia farsa, bez istotnej treści i myśli przewodniej, potrafi zakasować najwartościowsze utwory. Dowodzi to o upadku smaku i gustu w kółkach amatorskich, jak i u publiczności, która takie przedstawienia znosi.

Decydują tu też względy i względziki uboczne, jak np. dobra rola dla wygrania się komika miejscowego, choć cała sztuka dla danego środowiska nie odpowiada, efektowny kostjum, w którym występuje bohaterka sztuki, okazja do skojarzenia pary zakochanej itp.

W parze z brakiem starania w wyborze sztuki idzie niedbalstwo w wystawieniu. Widziałem kiedyś „Manewry jesienne” w teatrze amatorskim. Parodia teatru! A biedny autor chyba dmuchnął w grobie ze wstydu na resztę pyłu, jaka pozostała z jego czcigodnych kości.

Albo są też takie zespoły, które, jak to było w X., zakupioną w czwartek po południu cztero-aktową komedię ze śpiewami grają już w najbliższą niedzielę. Można sobie wystawić, jak to potem idzie! W 3 i 4 akcie nerwy widza gotowe są do wymówienia posłuszeństwa!

Fajleton ten, to mikroskopijny obrazek z przeżyć sprzedawcy sztuk teatralnych dla zespołów amatorskich. Na ten temat możnaby napisać całą książkę, która — zdaje się — byłaby najweselszą książką na świecie, gdyby w gruncie rzeczy nie była właściwie śmiertelnie smutną!

Czy tak jest wszędzie, we wszystkich zespołach amatorskich? Wartoby zrobić rachunek sumienia i wypowiedzieć się w „Ogniwie”. Takie szczere wyznanie „grzechów” dobrze robi, a przede wszystkim spowoduje może żal i poprawę. Przydałoby się to pewnie niejednemu jeszcze przed przyszłym sezonem teatralnym.

# SPORT



## Z życia Związku Polskich Klubów Sportowych

Jak już wszystkim wiadomo, Z. P. K. S. urządza w sezonie zimowym kursa dla przodowników lekkoatletycznych i gier sportowych. Celem kursów jest zapoznanie uczestników z poszczególnymi konkurencjami lekkiej atletyki tak praktycznie jak teoretycznie, wyłapanie tak zawodników jak i organizatorów lekkiej atletyki. W tym celu w program kursów wchodzi nie tylko praktyczne przejście wszystkich konkurencyj, ale nauka organizowania zawodów i sędziowanie, co ma się usutecznić już w sezonie wiosennym na boiskach przez urządzenie treningowych zawodów lekkoatletycznych, w których część uczestników będzie startowała jako zawodnicy a część będzie sędziowała, raczej uczyła się sędziować. Wiadomo bowiem, że w wielu klubach jest ochota i zapał do lekkiej atletyki, ale brak takich właśnie ludzi, co by wiedzieli jak i czego się jąć. Co do gier, również to samo (głównie koszykówka i siatkówka) celem odnajdywania talentów sędziowskich oraz wyeliminowania najlepszych graczy do reprezentacji Z. P. K. S. tak w siatkówce jak w koszykówce, lecz to już muzyka przyszłości.

Dotąd praca idzie dosyć, że tak powiem, żółtym krokiem a to z dwóch przyczyn: po pierwsze nastawienia, uczestników niektórych kursów, fałszywego — idą oni na kurs do sali gimnastycznej z nastawieniem, że nauczą się tam różnych sztuczek i szluk akrobatycznych na przyrządach, z czym będą się mogli później popisać publicznie i zbierać brawa. Widać tu więc wpływ starej niemieckiej gimnastyki przyrządowej, która jeszcze gdzieś u nas pokutuje tak w stowarzyszeniach jak pojęciach poszczególnych ludzi. Drugą przyczyną jest to, że w sali gimnastycznej nie można wszystkiego robić, z lekkiej atletyki, a tylko niektóre rzeczy można zgrubsza przygotować, jak np. skoki. O biegach zaś i rzutach niema mowy, co zaś do gier, to też przeważnie nasze stare niemieckie sale gimnastyczne nie pozwalają na trenowanie tych rzeczy (szybko, niski strop, mała przestrzeń i t. d.). W dodatku część uczestników wyjechała na kurs narciarski (nawet sam prowadzący kursy dał się zwabić zewem hieł śnieżnej do Zakopanego) — czyli krótko a wczłowało kursa są odroczone na 3 tygodnie do pierwszej dekady lutego. Wtedy i gorączka za śniegiem u nas minie, powróci tęsknota za boiskiem i można będzie dalej z większym zapałem i z większą ochotą pracować, bo luty i marzec mina i można będzie przenieść się na boisko, gdzie i większa liczba będzie mogła brać udział w treningach i więcej będzie je można urozmaicić.

A wice, sportowcy, nastawmy się na systematyczną i dosyć ciężką, chociaż przyjemną, przynajmniej czasem, pracę:

Kto więc choć trochę czuje, że krew polskiego sportowca w jego żyłach płynie, ten na kurs w lutym przyjdzie i zadokumentuje, że polski sport na Śląsku był, jest i nigdy nie zaginie!  
Efem.



# DZIAŁ KOBIECY

## O czym należy wiedzieć, żeby się właściwie odżywiać

Prababki nasze a nawet babki wychowały swoje rodziny nie znając wymagań racjonalnego odżywiania. I było dobrze, i jadło się dużo i smacznie. Czemu więc mamy zadawać sobie trud wnikania w tajemnice racjonalnego odżywiania?

Z jednej strony warunki życia uległy zmianie: domagają się większych wysiłków jednostki, bardziej intensywnego życia. Z drugiej strony nauka wykazała, że zasobami żywności musimy z wielką umiejętnością szafować i nie można nadużywać pewnych pokarmów bez szkody dla organizmu. Wiemy, że pożywienie może czasem wywołać choroby jedynie złym

doborem. To też od kobiety, prowadzącej dom, wymaga się umiejętnego dostarczania posiłków członkom rodziny.

Decydującym momentem w ocenie pożywienia był dotychczas smak. Ale jakież jest nasz stosunek do wartości odżywczej?

Aby się zdrowo odżywiać musimy pamiętać, że pokarmy wogóle można rozdzielić na kilka grup.

1. Pokarmy, które są źródłem siły i ciepła. Te są potrzebne dla ludzi fizycznie pracujących, im cięższa praca, tem więcej należy dodać pokarmów.

2. Pokarmy, służące na odbudowanie i naprawienie tkanek naszego ciała. Umożliwiają one, aby dziecko rosło.

3. Pokarmy zupełne. Pokarmy, które spełniają obydwa poprzednie zadania, t. zn. dodają ciału siły i ciepła oraz służą do budowania organizmu.

4. Pokarmy orzeźwiające. Chociaż są mało pożywne, dodają ciału wody a często ważne dla organizmu witaminy.

Prawie wszystkie pokarmy można zaliczyć do jednej z następujących grup:

Pokarmy, które są źródłem siły i ciepła	Pokarmy, które budują tkanki ciała	Pokarmy mniej lub więcej zupełne	Pokarmy orzeźwiające
Cukier czokolada Miód Masło Olej Sadło	Mięso Jaja Ryby	Mleko Chleb Ryż Ciasta Rośliny strączkowe Ser (bardzo pożywny) Mąka	Świeże jarzyny Sałaty Świeże owoce

Dlaczego o tem wspominamy? Dlatego, żeby podkreślić, że różne pokarmy różne mają zadania i różną mają wartość odżywczą. Ta wartość odżywcza nie idzie zawsze w parze z ceną pokarmu. Są pokarmy drogie a mało pożywne i naodwrot. Zadaniem gospodyni jest więc dokładna znajomość wartości odżywczej różnych pokarmów. Jeżeli obowiązkiem męża jest pracować na materialne utrzymanie rodziny, to nie mniejszym obowiązkiem żony jest zapewnić mężowi i dzieciom racjonalne i zdrowe odżywianie.

W. Ł-ówna.

### Barszcz na samych jarzynach.

Wszystkie jarzyny z cebulą gotuje się z pół kg buraków (na 6 osób), obranych z łupy i pokrajanych w plastry, przez półtorej godziny, na wolnym ogniu. Potem dolewa się naturalnego kwasu burakowego lub ogórkowego, zagotuje dwa razy, odcedza, podaje do stołu, dodając kopru świeżego lub suszonego usiekanego. Do tego ziemniaki gotuje się w całości, lub fasola, niektórzy lubią jaja na twardo, pokrojone. W razie braku kwasu dodać cytryny. Octu należy unikać, bo psuje wartość potrawy.

### Marchewka z groszkiem.

Marchew utrzeć na tarku i razem ze sokiem dać do rondla z dodatkiem odrobiny soli, cukru i łyżki masła. Przed podaniem zakłócić wodę z mąką, zagotować, w lecie dodać usiekanego kopru lub pietruszki, zimą — suszonego, dodać groszku z małej puszki dla smaku, raz jeszcze zagotować i podać.

## KOMUNIKATY

**Wędrzynia.** Dnia 6 stycznia br. w lokalu Czytelni Katolickiej odbyła się uroczysta wigilijka Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej z bardzo urozmaiconym programem. Wewnętrzna ta uroczystość zrobiłaby na obecnych wielkie wrażenie, gdyby nie przykry incydent, który nie pozwolił wyczerpać całego programu, a o którym nie chcemy pisać. Obecny:

**Końska.** Z. E. M. urządza w niedzielę, dnia 19 b. m. w sali p. Waleszównej w Końskiej Wieczorek, na którym zostanie odegrana operetka K. Bergera: „Nawrócony”. Wstępne: 4.—, 3.— i 2.— Kł. Po wieczorku zabawa towarzyska. Zarząd.

**Trzanowice.** Koło Macierzy Szkolnej urządza w niedzielę, dnia 26 stycznia br. o godz. 7 w sali p. J. Klaubafowej w Trzanowicach wieczorek, na którym zostanie odegrana sztuka K. Bergera p. t. „Panna Halka mężatka”. Po wieczorku odbędzie się zabawa towarzyska.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Zawiadamiamy P. T. Stowarzyszenia, że wszelkie mające się odbyć imprezy będziemy ogłaszali w „Ogniwie”, natomiast sprawozdania z odbytych imprez tylko w tym wypadku opublikujemy, gdy rozchodzić się będzie o jakąś zasadniczo ważną rzecz.

Dalej komunikujemy, że termin wnoszenia prac konkursowych na nowelkę treści zimowo-sportowej przedłuża się do 25 stycznia b. r.





## KRONIKA ŚWIATOWA.

**Okrucieństwa wojny.** Wielkie oburzenie wywołała wiadomość o zbombardowaniu przez lotników włoskich abisyńskich ambulansów Czerwonego Krzyża, wskutek którego zabitych zostało przeszło dwudziestu rannych oraz jeden lekarz szwedzki. Włosi usprawiedliwiają barbarzyński ten czyn tem, że Abisyńczycy nadużywają znaku Czerwonego Krzyża dla ochrony swych składów amunicji.

**Czyżby nowe porozumienie?** Dnia 1 stycznia 1936 pojawiły się w pismach paryskich bardzo poważne artykuły na temat konieczności zbliżenia francusko-niemieckiego. Na tle urzędowej deklaracji p. Laval'a, ogłoszonej w izbie dnia 27 grudnia r. ub., nabierają one posmaku planowej aktualności. Faktem jest, że w chwili obecnej zapanował zarówno w Paryżu jak też, zdaje się, w Berlinie, optymizm „zbliżeniowy”. Wśród niedyskrecyj prasowych angielskich na temat warunków zbliżenia Niemiec do mocarstw zachodnio-europejskich wymieniano głównie trzy: żądanie Niemiec, aby posiadały b. silne lotnictwo (według pewnych źródeł „silniejsze, niż najsilniejsze dotąd istniejące”); żądanie zwrotu dawnych kolonii i wreszcie: żądanie skreślenia odpowiedzialności Niemiec za wywołanie wojny światowej, t. j. artykułu 231 traktatu wersalskiego.

**Wojna włosko-abisyńska.** Wskutek ulewnych

deszczów na północnym froncie akcja wojenna jest znacznie utrudniona i prawie że zamarła. Na froncie południowym Włosi cofnęli się aż do samej granicy. Na tym odcinku dochodzi do krwawych utarczek. Na ogół obecne położenie jest dla Włochów gorsze. Sprawa sankcyj naftowych traci na znaczeniu. Wogóle daje się odczuwać pewne zobojętnienie w kwestji sankcyj, z drugiej strony poszukuje się nowych dróg do zażegnania sporu włosko-abisyńskiego. Podobno Mussolini, zniewolony nikłym wynikiem dotychczasowej akcji wojennej, okazuje skłonność do ustępstw.

## Rozwiązanie z Nr. 3:

### 1. Łamigłówka.

D	W	U	T	Y	G	O	D	N	I	K
		O	G	N	I	W	O			
			J	E	S	T				
		S	P	Ó	J	N	I	A		
			N	A	S	Z	E	J		
M	Ł	O	D	Z	I	E	Ż	Y		

### 2. Rozwiązanie rachunkowe.

1.) Najmłodszy ma 1 część	3.) Najmłodszy ma 300 Kč
drugi ma 2 części	drugi ma 600 „
trzeci ma 4 „	trzeci ma 1,200 „
czwarty ma 8 „	czwarty ma 2,400 „
razem mają 15 części	razem mają 4.500 Kč
2.) 4.500 Kč : 15 = 300 Kč.	

### 3. Zdrowie fizyczne i duchowe.

## Dział rozrywkowy

### 1. Rozsypanka.

Z rozsypanych sylab utwórz wiersz jednego poematu A. Asnyka.

czy — by — do — z — na — prag — wych —  
no — co, — n — dzie — szy — trzej — ju — ży —  
le — na — ch — ty — do —,  
czy — li — nie — wych — ży — do — się —  
ten, — n — cie — i — szę — ci — w — wa — su —  
u — się — kto.

### 2.


Do poszczególnych pól wpisać takie liczby, żeby po zliczeniu w kierunku pionowym i poziomym dały zawsze sumę 500.

### 3.

1. — — — —
2. — — — —
3. — — — — — — — —
4. — — — — — — — —
5. — — — — — — — —
6. — — — — — — — —

1. Co posiadali apostołowie?
2. Przyimek.
3. Co ma w życiu człowiek uczciwy i wytrwały?
4. Co robi przewodnik.
5. Przyimek.
6. Co odnosi w każdej wojnie jedna strona?

**Prenumerata** pojedynczego numeru w kraju 50 h, zagranicą 15 gr. — Kwartalnie 3.— Kč.

**Adres redakcji:** Czeski Cieszyn, ul. Dworcowa 18.

**Redaktor odpow.:** Karol Bocek, Cz. Cieszyn, Cegielniana 7.

**Wydawca:** Komitet Wydawniczy.

Drukiem W. Nitkiewicza w Cz. Cieszynie.



# Ogniwo

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ



.... PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM ....  
.... MŁODZIEŻOWYM ORGANIZACJI ....  
.... NYM INFORMACYJNYM OŚWIATO: ....  
.... WO-KULTURALNYM NAUKOWYM ....  
.... SPORTOWYM I WYCHOWAWCZYM ....



ROK 1863

W STYCZNIOWĄ ROCZNICĘ  
A. GROTTER MALARZ POWSTANIA STYCZNIOWEGO



A. Grotter.

„BITWA“

„Lituanja“



## W obronie dzisiejszej młodzieży!

Młodzież dzisiejsza jest przedmiotem częstej krytyki i to wcale niepocholebnej. Nieraz słyszy się czy to w domu czy w szkole, że młodzież dzisiejsza to nie przedwojenne pokolenie idealistów, że brak jej wzniosłych celów; naklejono jej etykiety „nieromantycznej trzeźwości, braku uczuć” i t. p. Ten epitet generacji, pozbawionej ideałów, zyskała nam młodzież „w c z o r a j s z a”. Młodzież ta, która przeżyła całą okropność wojny i własnymi oczami widziała spustoszenie, przez nią siane, nie mogła mieć wiary we wyższe ideały i tą wiarą w życiu się kierować. Pokolenie, wychowane wśród pękających granatów, w oszałamiającym wirze historycznych wydarzeń, któremu życie podcięło skrzydła przed lotem, nie wspinało się na wyżyny ducha; słyszało i czytało o pięknych zasadach, ale rzadko tylko widziało je w czynach. Znikła więc sympatja dla romantyki błędnych rycerzy, a jej miejsce zajęła rzeczywistość, posunięta do krańcowości. Zachwiały się autorytety, od wieków uważane za świętość, w walce życiowej brak było oparcia. To też nie dziw, że młodzież tę cechował brak poszanowania dla jakiegokolwiek wzniosłego dogmatu.

Wojna odegrała tu rolę czynnika rozkładowego, który przyspieszył naturalny proces rozwoju myśli ludzkiej, odbywający się na dwóch niezmiennych, równoległych kierunkach. Ten dualizm — to ruch postępu i — wsteczności, fala i przeciwfala, akcja i reakcja. Gdy więc skrajne potępienie idealizmu przeżyło się i gdy weszła ona w bój życiowy, pojawiły się oznaki zmiany ku lepszemu, pojawił się ideał młodzieży dzisiejszej. Ideałem młodzieńca, który świat Robinzonów i Indian ma już za sobą, jest człowiek, któremu by nie było nic obcym ani w zakresie zdrowia fizycznego ani teżyzny duchowej i moralnej. Ten młody człowiek uważa wprowadzić za punkt honoru znać się na wszystkich sportach i uprawiać przynajmniej trzy, ale kładzie równy nacisk na rozwój duchowy.

Wiadomo dobrze, że młodzież związku z przeszłością zrywać nie myśli i nie może. Ale nie wystarczy bierny sentyment dla przeszłości — część dla niej trzeba okazać twórczą, budującą pracę. Dziś, gdy cały świat ugina się pod brzemieniem katastrofalnego kryzysu gospodarczego, gdy trzeszczą więzadła mocnych imperjów, gdy padają w gruzy odwieczne kanony granitowych filarów przekonań i ustalonych od wieków prawd, jest ten ideał szczególnie na czasie, dla nas Polaków zaś ma to przykazanie podwójne znaczenie, znaczenie większe aniżeli dla innych narodów. To, czego żądał Asnyk od Młodych po powstaniu styczniowym, powinno być i dla nas dziś, w niewiele lat po wielkiej wojnie, myślą przewodnią.

„Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg” — wołał poeta.

Najczulszym miernikiem wszelkich wydarzeń życia kulturalnego jest młodzież i ona najsilniej na nie reaguje. Nic więc dziwnego, że także idący siedmiomilowymi krokami naprzód rozwój techniki wystąpił w znacznym stopniu wśród młodzieży. Młodzież dzisiejsza myśli, marzy i śni o stali i o żelazie, o kołach zębatych, tłokach i szybkościach. Ale o jednym nie zapominamy. Nasza epoka stoi bez wątplenia pod znakiem maszyny, czujemy się związani wielką siłą i nieugiętą wolą, która huczy i wstrząsa kopalniami i warsztatami, która wprawia w ruch olbrzymie koła rozpędowe i tłoki, liczy się z ich twardymi i niezłomnymi prawami. Nigdy jednak zgrzyt i łomot motorów nie przygłuszy głosu ducha i nigdy syczący pęd turbiny nie stłumi płomienia sztuki.

Przedmiotem ostrej krytyki i zarzutów jest sport. Zarzuca się młodzieży, że ogarnięta szaleem rekordowych wyczynów, światła poza sportem nie widzi, zaniedbuje obowiązki i zapomina o pracy. Mówią, że dawniej, kiedy nie było sportów, było o wiele lepiej. Zapewne, nadmierne i wyłączone zajmowanie się sportem jest niewskazane i jak każda monomanja szkodzi. Trzeba jednak przedewszystkiem w piękne, letnie popołudnie pójść na boisko i zobaczyć brzoźwe, tryskające siłą i zdrowiem postacie. Znika i zapewne wkrótce zniknie już zupełnie typ bladej, zaszuszonego studenta, górnik czy hutnika, którzy znają lasy i góry tylko ze słyszenia. Człowiek rzeźki i zdrowy pracuje szybciej, intensywniej i lepiej i wiadomości nawet abstrakcyjne przyswajają sobie łatwiej, aniżeli pozbawiony słońca i powietrza wielkomiejski uczeń niedawnych czasów.

Głęboką więc prawdę kryją w sobie słowa: „W zdrowem ciele zdrowy duch”.

Widzimy przeto, że przesady o beztreściwości i braku ideałów dzisiejszej młodzieży zaczynają się powoli rozwiewać. Nie jest tak źle, jakby się pesymistom na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Młodzież łączy się na polu pozytywnej i twórczej pracy. Dla niej treścią życia poczyna być zbawienna i budująca praca. Młodzież dzisiejsza ideałów łaknie, nie jej winą jest, że ich przez lat przeszło dziesięć w życiu zobaczyć nie mogła. Ale ten ciężki okres przejściowy już się kończy, a zarazem zaczyna się coś nowego. Kto zaś wierzy w instynkt samozachowawczy ludzkiego ducha, ten żywi nadzieję, że z mglistych bezdroży ludzkość wydołanie się na drogę właściwą i sprowadzi życie naszej epoki na nowe, słoneczne tory. Nasza młodzież polska owiana jest duchem optymizmu: ona wierzy w siebie, wierzy w wartości twórcze swej pracy, wierzy w lepsze jutro.

A. M.



# NOWE ŻYCIE

Wszystkie organizacje młodzieżowe muszą należycie wykorzystać długie wieczory zimowe i wolniejszy czas do przysposobienia i wzmocnienia rozwoju swej pracy.

Jak się do tego zabrać? Tak jak budowniczy do budowy wielkiego domu.

**1. Trzeba umieć pracować.** Budowniczy, nim przystąpi do budowy domu, musi ukończyć szkołę, inaczej zwali się mu każdy dom. Zarządy muszą się nauczyć, jak budować życie w organizacjach. A więc muszą czytać „Ogniwo”, radzić i omawiać wszystkie ważniejsze artykuły na posiedzeniach zarządu. Jeśli potrzebujecie rady czy pomocy, to zwróćcie się do swych Zarządów naczelnych lub do redakcji „Ogniwa”.

**2. Trzeba mieć plan.** Nim budowniczy przystąpi do budowy, musi opracować dokładny plan, obliczyć wszystko: jak wielki ma być budynek, jaki fundament, mur, okna, ile potrzeba cegły, drzewa.

Otóż plan pracy musi sobie ułożyć każdy zarząd, każda organizacja młodzieżowa. Inaczej będzie partaczyla, wegetowała i żyła, ale łataniną tylko. Jeżeli sami sobie zdolacie ułożyć plan, odpowiadający jak najwięcej stosunkom miejscowym, to najlepiej. Jeżeli tego nie potraficie, opracujcie go przy pomocy sekretarjatu. Omówcie ten plan gruntownie na kilku posiedzeniach zarządu. Zastanówcie się, co należałoby jeszcze wstawić do planu, co możnaby opuścić, albo zmienić. Po ułożeniu planu zabierzcie się natychmiast do planowej i gruntownej pracy.

**3. Zyskać pracowników.** Budowniczy musi zawrzeć kontrakty z pracownikami. Wy, członkowie zarządu, zaraz obecnie w okresie zimowym obmyślcie dokładnie, kto ma wygłosić przewidziane w planie wykłady, deklamacje, monologi itp. Zyskajcie sobie i zobowiążcie tych pracowników.

**4. Dopilnować pracy.** Budowniczy, obmyśliwszy wszystko i wydawszy rozporządzenia, sam musi dopilnować, by wszystko zostało dobrze i na czas wykonane. Sam pierwszy będzie na stanowisku, pierwszy na polu pracy. Zarząd musi dopilnować, by ułożony plan został wykonany, by nie został martwą literą. Przypominać pracownikom przyjęte obowiązki! Myśleć naprzód, przewidywać przeszkody i trudności i na czas wynajdywać środki zaradcze! Zarząd sam musi świecić dobrym przykładem.

Weźmy się żywo po młodzieńczemu do pracy i to od zaraz! Rozpocznijcie choćby w małym kółku najgorliwszych, ale rozpocznijcie. Większą sztuką jest pracować stale, wytrwale i coraz lepiej, niż raz do roku urządzić jakąś „akademję” stowarzyszeniową. Nasza praca musi się odbywać przede wszystkim na ciągle odbywanych zebraniach, z początku może nawet nieudolnych, ale coraz to lepszych, a nie zasażać się na przygotowaniu jednego choćby nawet bardzo udatnego zebrania, przedstawienia lub wieczornicy. Wlejmy nowe, ciągle coraz doskonalsze życie w nasze organizacje młodzieżowe! Idźmy naprzód drogą pracy w nowe życie, lecz stale i wytrwale!

Jako rycerze walczący musimy mieć nie tylko siłę ramienia, ale moc głowy i serca.

Józef Piłsudski,

Henryk Sienkiewicz.

## Mowa poetów

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możliwyby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: — Oto nadomiar wszystkiego daję wam spiż dźwięczny a niespożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, sławiały posąg swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą. —

I została ta mowa, niespożyta jak spiż, świetna i droga, jak złoto, jedna z najważniejszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze spiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała, jak grzmot w górach; czasem unosiła się ponad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta, jak łza, — Boża, jak modlitwa, — słodka, jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i, położywszy na niej natchnione dłonie, wy dostał z jej strun takie dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń ta kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemską, że wówczas nawet, gdy przestawał grać...

...wszystkim się zdawało,

że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił.

.....

Lećcie u zorzy prosić purpury,

Perłę u rosy, szafiru u ehmury,

A może gdzie zawieszona

Na niebie tęczowa nić —

To tęczę wziąć na wrzeciona

I wić, i wić, i wić.

.....

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami perłę, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających djamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebysłanym blasku, przepychu i majestacie, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i szylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.



Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić? A jednak uczynił. Zdołał — bo poezja w jego duszy była, jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna.



## O dział regionalny i ludoznawczy

My Polacy na Śląsku Cies. chociaż jesteśmy tylko drobną częścią wielkiego narodu polskiego, to jednak mamy święty obowiązek dążyć do tego, by nie uronić niczego na tym skrawku ziemi z polskiego regionalizmu. Musimy to wszystko, cośmy po przodkach naszych odziedziczyli, należycie poznać, pokochać, pogłębiać i rozszerzać. Nasze piękne narzecze musimy się starać zachować takie, jakie przekazali nam przdtkowie nasi, bez usterek i obcych naleciałości. Nasze pieśni ludowe, wypierane coraz bardziej przez różne „szlagiery” o wątpliwej wartości, niech zabrzmią po naszych uroczych górach i nizinach śląskich. Do pielęgnowania naszych przeslicznych pieśni powołane są przede wszystkim nasze chóry, znajdujące się niemal w każdej wiosce — one też mają obowiązek zainteresowania się i popularyzowania na większą skalę naszej pieśni ludowej, gdyż najlepszym odzwierciedleniem polskiej duszy Ślązaka jest jego własna piosenka ludowa. W niej wyraża się najróznorodniejsze uczucia, czasem tak ujmująco i serdecznie, że poprostu byłoby grzechem, by ta pieśń poszła w zapomnienie.

Ale nie o samą pieśń tylko w tym wypadku mi chodzi. Mamy przecież oprócz piosenek ludowych jeszcze przepiękne podania, wierzenia, zwyczaje, legendy, baśnie, mamy przesliczny kobiecy strój wałaski, stare skrzynie t.z. „tróhły” z ciekawymi ornamentami, stare dzieła, różne dokumenta z dawnych czasów, pamiątki sztuki ludowej itp. Wszystko to razem wzięte stanowi nader ciekawy i interesujący materiał do studjów ludoznawczych i pielęgnowania kultury regionalnej. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż w Cieszynie istnieje już od czasów przedwojennych „Towarzystwo Ludoznawcze”, które zajmuje się pracą i studjami w tym zakresie, oraz wydaje własny organ p. t. „Zaranie Śląskie”. Lecz to jest po drugiej stronie, zaś my z wyjątkiem Muzeum Śląskiego w Orłowej nie mamy żadnego towarzystwa ani też pisma, poświęconego regionalizmowi i ludoznawstwu.

Abyśmy temu brakowi zaradzili i mogli utrzymać tę cenną spuściznę, by te piękne pieśni, zwyczaje, baśnie, wierzenia nie poszły w zapomnienie, stwórz-

Społeczeństwa wolne więcej zawsze kładą nacisku na wyrobienie charakteru, społeczeństwa zaś biurokratyczne na wytresowanie, — bo jedne potrzebują samodzielnych obywateli, drugie zaś płatnych sług. Całe niebo dzieli organizację od biurokracji. W szlachetności charakteru tkwi więcej karności, aniżeli w przysiędze służbowej. Karność i organizacja są to przymioty niezbędne, ale muszą one być oparte na szlachetnych charakterach i na wiedzy głębokiej.

St. Szczepanowski.

my w naszym centralnym organie młodzieżowym „Ogniwie” specjalny dział, poświęcony ludoznawstwu i kulturze regionalnej. Apeluje przeto do wszystkich, a zwłaszcza młodych ludzi dobrej woli, by zainteresowali się tą kwestją oraz podjęli się szczerze planowej akcji zbierania różnych piosenek ludowych, podań, baśni, wierzeń, przysłów, strojów i przesyłali je do „Ogniwa” dla wymienionego wyżej działu. Od naszych starzyków i starek można się i dziś jeszcze dowiedzieć tyle nieznanych jeszcze szerszemu ogółowi ciekawych rzeczy z czasów dawniejszych, kiedy to ludzie wierzyli w różne gusła, czary, zaklęcia, czarownice, topielców, solony, „mory”, „nocznice”, duchy leśne itp. Trzeba tylko chcieć, a każdy „wyłowi” coś interesującego.

Do dziś dnia opowiadają sobie ludzie, w bardziej zapadłych zakątkach, przy różnych okazjach, najczęściej zaś na popularnych „szkubaczkach”, ciekawe historie i niejedna „staroświecko” piosenka bywa przypominana i odśpiewana. Idźmy wszędzie tam, gdzie moglibyśmy coś dowiedzieć się i usłyszeć, zapisujemy to wszystko skrzętnie i przesyłamy do Redakcji żywcem, tak jak słyszeliśmy z ust opowiadającego, nic nie ujmując, ani dodając od siebie. Zbierajmy nietylko pieśni i opowiadania, ale interesujemy się wszystkimi, co podpada pod pojęcie ludoznawstwa i regionalizmu. Przekonamy się z czasem, że nawet z najskromniejszych prac może powstać obszerny materiał ludoznawczy i regionalny, z którego młodszy od nas czerpać będą naukę i chęć do dalszej pracy.

Józef Wałach.

Prawda puszczone w obieg, prawda przez podanie idąca z ludzi do ludzi, jest tradycją. A jakże dajemy prawdę innym? Czy tylko ją powtarzając, opowiadając? Nie! — oto przelewając w nich rozkosz, jakiej każdy doświadcza z uczucia prawdy, przejmując ich tym ogniem, którym płonimy sami, — czyniąc z nimi to, co słońce czyni z naturą. Tak krzewić, puszczać dalej tradycję, mogą tylko ludzie sami pełni życia i siły.

A. Mickiewicz.

**Prosimy wszystkie Organizacje Młodzieżowe, by na swych posiedzeniach omówiły i załatwiły sprawę abonowania**

**„Ogniwa”**



# Ze Związku S. M. K.

W myśl uchwały Zjazdu delegatów powinny stowarzyszenia w styczniu odbyć swoje Walne. Walne należy zgłosić w starostwie, przynajmniej 24 godzin przedtem. Zgłoszenie wystylizować następująco:

Do Urzędu powiatowego w Czeskim Cieszynie.  
(We Frysztaickiem skierowuje się podanie do Komisarjatu policyjnego w Karwinie lub Boguminie.)

Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej w.... zawiadamia, że w niedzielę, ..... b. r. o godz. .... po południu urządza Walne zgromadzenie swych członków w.... (podać: gdzie?) z następującym porządkiem obrad:

1.....

2..... itd.

W ...., dnia ....

sekretarz.

(stampilja)

prezes.

## Starsi, razem z nami!

Dobrze i sprawnie pracuje się w naszych stowarzyszeniach, ale stokroć lepiej byłoby, gdyby nasze starsze społeczeństwo nie traktowało nas tak obojętnie. Nawet rodzice niektórzy natyle jeszcze mało są poinformowani o naszych celach, że niejednokrotnie zakazują swym dzieciom wstępować do stowarzyszenia. A przecież to stowarzyszenie jasno ma cel wytknięty, świetlane sobie wymierzyło zadania i do ich zrealizowania uparcie zdąża. Chce przede wszystkim dać młodemu człowiekowi sposobność w godziwy sposób spędzić wolny czas. Chce go nauczyć samorządu i praworządności w małym zakresie, by później w życiu w ważnych zagadnieniach społecznych łatwo się orjentował. Stowarzyszenie zapoznaje z formami kulturalnymi, które są odbiciem charakteru człowieka i jego poziomu etycznego; przez to wprowadza czynnik wychowawczy do twego życia. Uczy ono odwagi cywilnej w wypowiedaniu swego zdania i przekonania, oświeca przez wykłady i odczyty, uczy sumienności, panowania nad sobą, wstrzemięźliwości, słowem kształci rozum i serce młodzieży.

Niechby więc starci przyszli do nas, zainteresowali się naszą pracą, podzielili swemi doświadczeniami. Wszak nie może być starszym obojętnym nasz stan intelektualny, a jeszcze więcej moralny. Nie można przypuszczać, że instynkt ludzki potrafi człowieka utrzymać na pewnym poziomie, pod który słoczyć się nie może. Człowiek stać się może nieraz gorszym od zwierzęcia, właśnie dlatego, że ma rozum i wolną wolę i, jeśli pokochał zło, z tem większym wyrafinowaniem i wyrachowaniem do jego osiągnięcia zmierza. Więc poziom etyczny trzeba misternie podnosić i podtrzymywać. To byłaby wdzięczna rola starszych. Przytem sami odmłodnieliby, przenosiliby się chwilami od tej szarzyzny twardego, codziennego obowiązku ku górnym sferom swej własnej młodocianej beztroski i młodzieńczego romantyzmu.

Do tej pracy wnieść jednak trzeba dużo umiaru i taktu, aby zaraz na wstępie, zamiast przyciągnąć, pozyskać, nie odepchnąć. Wiadoma to rzecz, że młodzież jest niedoświadczona, a przytem porywcza, za-

palna. Gotowa porwać się na wszystko. Nie jest to bynajmniej jej błędem, ale raczej przywilejem. Trzeba tylko, by ten zapal i ogień skierowany został na właściwe tory. Jeżeli czasem ta młodzież robi coś, co w przekonaniu starszych jest głupiem, szkodliwym, to nie ją należy winić, ale raczej starszych, którzy od młodzieży stronią.

Pójdźcie więc między nas, wmyślcie się w nasz sposób myślenia, a zyskacie naszą sympatję, dodajcie do naszego zapalu wasze doświadczenie, wasz rozum, a unikniemy niemiłych i szkodliwych w swych następstwach zgrzytów, a nasza wspólna, zgodna praca stanie się harmonijną pieśnią, co naszą wędrówkę uczyni lekką i wieść nas będzie po szlakach ziemskiego obowiązku ku naszym wspólnym ideałom.

Esempiak.

---

---

## JAK SIĘ PRZYGOTOWAĆ DO WYKŁADU

Wykład czy referat jest nie tylko formą pracy oświatowej ale zarazem ważną częścią programu każdego zebrania. Należyty cel osiągniemy z wykładu tylko wtedy, jeżeli jest wykład dobrze opracowany.

Każdy, kto chce wygłosić referat, musi dobrze znać rzecz, o której chce mówić. Tylko wtedy prelegent będzie mówił z przekonaniem i będzie mógł dawać wyjaśnienia w dyskusji, gdy temat dobrze opracuje i opanuje. Każdy mówca powinien dlatego wybrać sobie odpowiedni temat.

Jak nabyć potrzebnej wiedzy?

Mówca musi rozsądnie i celowo czytać, a o ile się nadarzy sposobność uczęszczać na kursa dla prelegentów. Czytać będzie przede wszystkim i to gruntownie gazety (lecz nie wiadomości o zbrodniach i rabunkach), ale artykuły wstępne i rzeczy pouczające. Dalej czytać będzie książki i broszury, które mu dają najwięcej wiadomości, jakich potrzebuje, a które zrozumiale przedstawiają nawet najtrudniejsze sprawy.

Ważną przytem jest zasada: czytaj z ołówkiem w rękę! Jeżeli czytam większe książki, wtedy po przeczytaniu każdego rozdziału notuję sobie treść na kartce. Notujemy więc każdy artykuł, każdy ustęp z książki, o którym wiemy, że się nam może przydać, a na górze karteczki piszemy w jednym lub dwóch słowach treść karteczki. Jeżeli znajdę ciekawą treść w gazecie, wtedy wycinam artykuł i naznaczam na brzegu datę i nazwę gazety.

Taki zbiór materiałów wypisanych i streszczonych z książek, broszur i wyciętych z gazet nazywa się kartoteka, która może być nieraz pożytecznym środkiem pomocniczym dla mówcy.

Jeżeli mam wygłosić referat, muszę sobie najpierw uświadomić dokładnie: o czym chcę mówić i do czego chcę zapalić czy pozyskać słuchaczy. W wykładzie mówić będę tylko o sprawach ściśle z tematem związanych.

Przed wykładem muszę sobie jasno odpowiedzieć na pytanie, o czym będę mówił i w jakim celu będę mówił, czyli, że muszę mieć temat i cel wykładu. To wszystko muszę przemyśleć, aby ten wykład był mo-



ją własnością. Dlatego mowca musi się przejąć tematem, przepracować go, przemyśleć i podchodzić doń jak do istoty, czy myśli ukochanej, a potem wystarczyć wziąć ołówek do ręki i poułować czy napisać to, co się czuje, najprostszyimi słowami. O tem, jak opracować wykład, obszerniej napiszę w następnym numerze „Ogniwa”.

JAN KASPROWICZ

## 7 PODHALA PANI PAWŁOWA

II.

*Kochana Pani Pawłowa,  
Toć każdy z nas pamięta.  
I owszem, wszak dotąd żyje  
I chowa swoje wnuczka.*

*Nieraz, bywało, raniutko  
Przynosi mi kawę w garnuszku  
I z białym ręcznikiem w ręku  
Siada na mojem łóżku.*

*Raz, popatrzywszy mi w oczy,  
Zagadnie: „Słuchajcie, mój Panie  
Nie jedną mieliście opowieść  
Ta jeszcze wam się zostanie.*

*Widzicie naokół mych synów,  
Rozkosz to moja jedyna,  
Lecz z wszystkich najbardziej jednego  
Umiłowałam syna. —*

*Sprawiato mi dużo kłopotu  
To moje niesforne dziecię,  
Pręt potrzaskałam niejeden  
Na jego twardym grzbiecie.*

*Losy nie były łaskawe, —  
Dziś mówię o tem spokojnie, —  
Wyrwało go z domu nieszczyćście  
Zginął na Wielkiej Wojnie.*

*Ale o matce pamiętał  
Jeszcze w ostatniej chwili,  
Wiedział, że nikt już tak samo  
Życia jej nie umili. —*

*Co się nie stało! W tej izbie  
Siedząca, — Czas płynie, —  
Czytałam starą bibliję  
O marnotrawnym synie.*

*W samo południe! Dzień piękny  
Wiosna, jak malowana,  
Wtem czuję, że ktoś mi uściśnął  
Te moje stare kolana. —*

*„Wróciłeś, najdroższy mój synu!”  
— „Chciałem zobaczyć znów ciebie  
I tu się pożałić, żeś matuś  
Nie była na moim pogrzebie”.*

*Tak sobie, wiecie, gwarzy, —  
Tak rozmawiamy spokojnie,  
Ja z synem moim najdroższym,  
Co zginął w dalekiej gdzieś wojnie.*

## KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

Jedną z bardzo ważnych dat w historii literatury polskiej jest rok 1835. W tym bowiem roku przestało bić serce jednego z największych i najczynniejszych pisarzy polskich, Kazimierza Brodzińskiego. Kiedy więc upływa setna rocznica tego wypadku, naszym obowiązkiem jest przypomnieć życie i czyny tego zacnego człowieka. Droga jego życia nie była wysłana różami, nie otaczały go przepych ani bogactwa, jak wielu innych współczesnych mu pisarzy, ale prowadził on życie smutne i ubogie. Smutne dlatego, że już w trzecim roku swego życia utracił matkę, a matką, kobieta zła i niegodziwa, nie lubiła małego Kazimierza. Dziecię to miało już z natury serce bardzo uczuciowe i tkliwe, pragnęło więc miłości. Niestety Bóg nie dał mu zaznać tej miłości w domu rodzinnym i Kazimierz był zmuszony szukać jej gdzieś indziej. Znalazł ją wśród ludu. Pokochał więc ten lud całym swoim szlachetnym sercem i bardzo się do niego przywiązał. Zapoznał się z jego zwyczajami i podaniami, które też były pierwszym pokarmem dla jego fantazji poetyckiej, a także pierwszym bodźcem dla własnej twórczości. Uczęszczał tylko do szkoły niemieckiej. Szkoła ta jednak nie zabiła w jego sercu uczuć patriotycznych. Okazał się on bowiem nie tylko dobrym pisarzem, ale i dobrym Polakiem, biorąc udział w kilku wyprawach wojennych. Jego chęć wiedzy była tak wielka, że mimo tego, iż znajdował się w ciężkich warunkach materialnych, przecież wciąż się kształcił. Dzięki tej pracowitości zostaje mianowany profesorem uniwersytetu warszawskiego.

Literacka działalność Brodzińskiego jest bardzo ważna. Jako człowiek wykształcony widział, że w Polsce zaczyna wzrastać znajomość obcych literatur. że pojawiają się przekłady i wzmianki o dziełach obcych, że pojawiają się nowe hasła i teorie, ale widział także, że wszystko to pojawia się tylko przygodnie, bez programu, że pisarze wprowadzający te nowości nie określają wobec nich jasno własnego stanowiska. Czuł więc, że trzeba koniecznie jakieś informacji, ujmującej wszystkie te nowości w całość, któraby umożliwiała publiczności zorientowanie się w tym chaosie. Zadania tego podjął się sam w rozprawie p. t. „O klasycyzmie i romantyzmie, tudzież o duchu poezji polskiej.” W tym utworze szczególnie przejawia się jego miłość patriotyczna. Jest mu obojętne, czy literatura polska będzie klasyczną czy romantyczną, chodzi mu tylko o to, aby była narodową, t. j. aby była wyrazem epoki i społeczeństwa, a treść jej była oparta na rodzimych polskich pierwiastkach. Ażeby zaś to osiągnąć, każe zwrócić i zapoznać się z dziełami pisarzy złotego wieku. Znaczenie tej rozprawy polega przede wszystkim na tem, że była ona dowodem, iż zasady poetyki francuskiej zaczynają poetom ciążyć, że rzucała hasła reformy, podkreślała potrzebę zwrócenia się ku swojskości, rodzinnym źródłom poezji. Brodziński, uczęszczając do szkoły niemieckiej, nie znał z początku wcale zasad obowiązującej poetyki. Tem też więc najwięcej różni się od innych pisarzy tego okresu, którzy wychowywani w zupełnie innych warunkach, poprzedzali swą twórczość poetycką dokładnym poznaniem reguł i

**Czytać „OGNIWO” to mało, trzeba jeszcze do niego pisywać!**



przepisów obowiązujących wówczas estetyki. Brodziński w swych utworach nigdy nie krępuje się temi regułami. Uważa je za zupełnie niepotrzebne, a nawet szkodliwe, gdyż one przeszkadzają pociecie opiewać to, co jego serce czuje. Że zaś jego serce czuło miłość do ludu, więc chcąc to jakoś okazać, wziął sobie za temat swych utworów proste jego życie. Zwierciadłem tego jest przepiękna sielanka krakowska p. t. „Wiesław”. W tymto utworze widzimy jak na dłoni to pracowite życie wieśniaka, jego szczere uczucia, jego wierzenia, bogobojność i zwyczaje. Chciwie zbierał Brodziński wszystkie te wesołe piosnki ludowe, które kiedyś w młodości śpiewał, ażeby je tu umieścić i aby tu one zajaśniały w całej swej piękności, by wszyscy mogli się zapoznać z szlachetnym charakterem ludzi prostych, a także z ich wielką religijnością. Pięknie więc poeta zapłacił za tę trochę miłości, okazanej mu w dzieciństwie, wtenczas kiedy mu jej tak brakowało, kiedy jej tak pragnął.

Przez wprowadzenie do swych utworów pierwiastka religijnego, patriotycznego i ludowego stał się Brodziński zwiastunem nowego prądu, romantyzmu. Pojawienie się jego rozprawy było zaś zjawiskiem tak ważnym, że rozpoczął się nowy okres w dziejach recepcji romantyzmu. Położył więc on wielkie zasługi na polu literatury polskiej. Toteż kiedy w tym roku upływa sto lat, kiedy zakończył tę swoją szlachetną pracę, powinniśmy wszyscy oddać mu należną cześć.

Zyta Haffarówna.

## ZWIĄZEK

## POLSKICH CHÓRÓW

### Uwagi po konkursie

#### II.

Przeglądając karty klasyfikacyjne poszczególnych chórów zauważyłem, iż prawie wszystkie chóry, które uzyskały mało punktów za „czystość i brzmienie” (druga rubryka karty klasyfikacyjnej), spadły na dalsze miejsca, bez względu na inne walory śpiewu chóralnego. Nie rozmawiałem na ten temat z pp. sędziami, ale z zapisków sędziowskich wynika, iż za podstawę ogólnej oceny brano rygorystycznie czystość i brzmienie chóru. Jeżeli chór czysto brzmiał, no to i w innych rubrykach widzimy lepszą klasyfikację. Ale nie daj Boże, jeżeli chór wykazał poważniejsze braki w czystości intonacji. Tak jakoś sędziowie skąpili w dawaniu punktów, że w rezultacie chór chociażby posiadał wiele innych zalet, leciał bez pardonu w dół. Naturalnie, iż takie postawienie rzeczy może wywołać poważne zastrzeżenia. Dlatego szkoda, iż to wielka szkoda, iż pp. sędziowie nie odchyliłi rąbka tajemnicy i nie zechcieli umotywować swych ocen. Czy naprawdę alfą i omegą śpiewu chóralnego jest czystość brzmienia (założenie to postawiono z „premedytacją” albo może podświadomie),

albo czy też nie wchodzi tu w grę moment wychowawczy? Co do pierwszego twierdzenia można mieć zastrzeżenia i to poważnie przekonywujące. Uważam, iż klasyfikacja całego konkursu miała znaczenie wychowawcze, o formach poprostu demonstracyjnych. Nieszczególnie brzmienie i nieczystości intonacyjne to zasadnicze wady chórów, występujących w konkursie. Ja naprawdę nie wiem, co omęlało niektórych dyrygentów (przepraszam za śmiałe wyrażenie) przy ćwiczeniu pieśni. Przeróżne pianissima, crescendo, westchnienia czy znów szalone tempo, wszystko się słyszało, z wyjątkiem czystego brzmienia nie już zawitych przejść modulacyjnych, albo zawikłanych współbrzmień, ale prymitywnej harmonji, poruszającej się w czystej diatonice. Słuchając opisu jednego chóru (miesz.) aż się zdziwiłem, jakie spustoszenia może dokonać gorączka konkursowa. Znam ten chór z wizytacji i mimo bardzo słabego umieszczenia się w tabeli zaliczam go do dobrych chórów, bo jak już raz zaznaczyłem, na konkursie ocenia się wykonanie pieśni konkursowej a nie wartości chóru wogóle. Jednak to, co pokazał ten chór na konkursie, kładę na karb rozgorączkowania się ale nie na estradzie, lecz już od pierwszej próby chóru, kiedy rozpoczęto ćwiczyć pieśń konkursową. Chciano pokazać coś nadzwyczajnego, silono się nawet na hyperinterpretację zresztą w szlachetnej intencji, i w tych miejscach, gdzie byli przekonani, iż dopięli swojego celu, przy najczulszych pianissimach, brakło gruntu pod nogami, nie było poprostu harmonji. Był tylko jakiś konglomerat dźwięków, bo i takich środków w dzisiejszej kompozycji się używa, jednak w partyturze tego nie było i nie mogło być już z racji autora, którego trudno posadzić o taką rewolucyjność w harmonji. Naturalnie, że sędziowie odpowiednio to osądzili i w rezultacie chór, który uleciał w sfery nadziemskie, znalazł się na miejscu... (nie wygałam się jednak!).

Celowo wziąłem ten jeden chór na stół operacyjny, ponieważ był jakby ucieleśnieniem ogólnej wady. (C. d. n.)

Cyprjan Norwid.

### MOJA PIOSENKA

#### I.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba  
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie  
Dla darów nieba — — —

Tęskno mi Panie...

#### II.

Do kraju tego, gdzie winą jest duża  
Popsować gniazdo na gruszy hocianie,  
Tęskno mi Panie...

#### III.

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony  
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:  
„Bądź pochwalony”...

Tęskno mi Panie...

### Przypominamy

że P.T. Czytelnicy powinni wszelkie zaległości oraz prenumeratę za pierwszy kwartał uiścić do 15 lutego b. r.



## Józef Piłsudski

## WIELKOŚCI, GDZIE TWOJE IMIĘ?

Rok 1863 stoi na przelomie naszych dziejów; stara Polska umiera — nowa się rodzi. Na przelomie dziejów stałe epokowe zdarzenie — powstanie naszego narodu, walka orężna, długo trwająca, długo zalewająca krwią i pożogą ziemię naszą. Na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 1863 roku. Wyrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare, — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry 1, 8, 6, 3. Plonęły te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego, popowstaniowego Polaka, — nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmienny sposób odczuwania i reagowania. Pod wpływem wypadków roku 1863 rodzi się inna Polska z innym ujęciem życia i zadań. Skutki sięgają tak daleko, że śmiało rzecz można, że dziś jeszcze, gdy dziecko na świat przychodzi, jest obciążone rokiem 1863.

Gdy badam tę epokę i porównywał ją z innymi, to śmiało powiedzieć mogę: ludzie byli wówczas wulkanami, było w nich to, co w nich żyło, — pogarda, niechęć, nienawiść, zbliżona prawie do wojny domowej. I gdy życie mego narodu w różnych epokach porównywał, to znam tylko dwie epoki, podobne do tej treuga Dei. Jedna — gdy palec Boży dotknął naszej ziemi i wulkany trysnęły, żeby z nas Herkulanum i Pompeję na wiek zrobić, gorącym popiołem wulkanu, jak w mogile, zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa. A druga — to epoka, gdy wśród wulkanów świata, ziemia nasza na nowo, nad potoki lawy goracej się dźwigała.

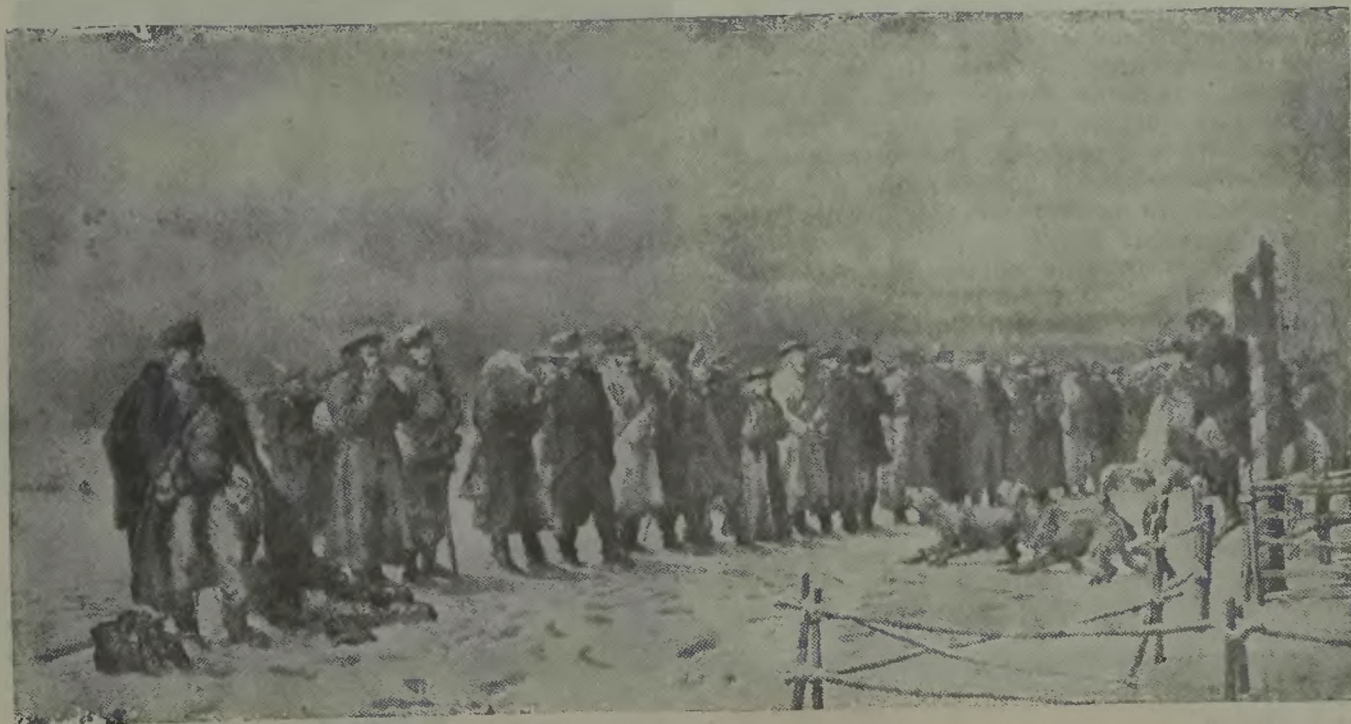
gdy te Herkulanum i Pompeja, w mogile zasypane,  
z pod popiołów żywemi się sławały — to epoka  
nasza.

Gdym czytał, gdym szukał, gdym badał, natrafiałem powoli na to, co ruch cały trzymało tak długo. Nie mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi olbrzymie tysiące żołnierza, olbrzymią technikę pracy państwowej, więzienia i baty, rok cały, całe 365 dni toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?

Szukałem gorączkowo. Wielka epoka wielkich ludzi nie dała, lub większym z tej doby niezwalczona przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instylucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach.

Wielkości, gdzie twoje imię?

Rok 1863 dał wielkość nieznana, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczająca wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej i wysiłków woli, siły moralnej, — nie treuga Dei szui zbiorowej, nie treuga Dei tchórzów, lecz treuga Dei ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosną w olbrzymy olbrzymiej pracy moralnej.



Р о ч ъ д   н а   С ы б и р

A. Grottger.





Jan Sawa (Konopnicka).

## ROK 1863

Poszła młódź do lasu,  
Pustką stoją dwory,  
Pozostał pod strzechą  
Kto stary lub chory.

Poszła młódź wśród boju,  
Inni poszli w pęta:  
Ratujże ich, Panno  
Częstochowska, święta.

Nieraz ciemną nocą  
W okno ktoś kołaczę;  
Przynieśli rannego:  
— Cicho... matka płacze.

Pozostały matki  
I siostry i żony,  
Zastał smutek wielki,  
Żal nieutulony.

Płyną z różnych domów  
Gorące modlitwy.  
Czasem strzały słychać:  
Tu bitwy, tam bitwy...

Jedzie sznur kibitek  
Na wschód od Tobolska  
Tylu swoich synów  
Żegna Matka — Polska.

### A. GROTTGER

Jeden z największych malarzy polskich Artur Grottger, choć umarł już w trzydziestym roku życia, pozostawił po sobie spuściznę, posiadającą niezwykłą wartość, nie tylko artystyczną, lecz również ideowo-historyczną.

Nie mogąc z powodu słabego zdrowia stanąć w szeregach powstańczych, chciał choć swym pędzlem służyć Ojczyźnie. Wszystkie prawie jego większe dzieła są poświęcone wypadkom 1863 roku, dlatego też można śmiało powiedzieć, że Artur Grottger — to wielki malarz Powstania Styczniowego. W jego obrazach odzwierciadla się ówczesna dusza Narodu, który ze smutkiem beznadziejnego poświęcenia składał ofiary na ołtarzu miłości Ojczyzny.

Obrazy Grottgera przedstawiają żywo późniejszym pokoleinom czem byli, jaką bronią walczyli i jak ginęli bohaterowie walk o wolność 63 roku. Przypominają nam owe ścieżki wojenne w ostępach leśnych, rozpaczliwe bohaterstwo bitew i potyczek ze stokroć mocniejszym wrogiem, lzy pożegnań i płacz żałobny kobiet i dzieci, ostatnie drogi skazańców, śnieżne syberyjskie szlaki, mogiły poległych i straconych. Cały kwiat wiary, nadziei i miłości, który z tych mogił wyrósł ku czci potomności.

Wielu malarzy i poetów z tamtych czasów w swych twórczych dziełach składało hołd ofiarnym bohaterom Powstania Styczniowego, lecz nad wszystkimi uczuciem i talentem góruje Grottger. On to ołówkiem i pędzlem najwspanialszy wystawił im pomnik.

Najsłynniejsze i najpiękniejsze są cztery jego cykle: „Wraszawa”, „Polonja” (Polska), „Lituanja” (Litwa) i „Wojna”.



**DUCH**

A. Grottger



# Harcerstwo

## Zdobywajmy sprawności

Uzyskanie jak największej liczby sprawności powinno się stać dążeniem każdej harcerki. Te drobne kółeczka, naszyte na rękawie, świadczą, że właścicielka ich jest sprawna w tym lub innym kierunku. Im więcej tych kółek, tem więcej dowodów, że jest się zdolną do różnych prac, umie się dużo i przez to jest się więcej wartościową.

Bodźcem do zdobywania sprawności powinno być nietylko dążenie do prześcignięcia innych w zręczności, ale chęć do usamodzielnienia się. Tu uwydatnia się charakter wychowawczy zdobywania sprawności.

W naturze ludzkiej leży, że każdy chętnie pozwala się obsługiwać innym i lubi wyręczać się drugim. Jakże to pięknie jednak, gdy potrafimy pokonać w sobie tę słabość i przez zdobywanie coraz to nowych umiejętności praktycznych stajemy się coraz więcej samowystarczalni. Poniżajacem jest dla nas, gdy musimy stale oglądać się na pomoc innych w rzeczach takich, gdzie mogłybyśmy przy dobrej chęci i zręczności najzupełniej obejść się bez czyjejś pomocy. Harcerka nie powinna nigdy mówić, że czegoś zrobić nie potrafi. O ile zechce, potrafi wszystko. Jeżeli nie umie danej rzeczy wykonać, to, mając szczerą chęć nauczyć się tego, z pewnością celu dopnie.

Nie bądźmy pasorczykami naszego otoczenia, lecz przeciwnie, stańmy się nietylko samowystarczalni, ale dopomagajmy jeszcze innym w wykonywaniu ich pracy.

Każda z harcerek powinna posiadać sprawność „mistrza do wszystkiego”, co to w każdym wypadku da sobie radę, wszystko potrafi zrobić i wszystkiemu zaradzić.

Usamodzielnimy się prawdziwie wtedy, gdy będziemy miały to głębokie przekonanie, że każdej pracy damy rady, a przekonania tego nie nabędziemy, siedząc z założonymi rękoma, lecz w ciągłym dążeniu do pogłębiania swych umiejętności, które uczynić nas mogą prawdziwie pożytecznymi dla otoczenia.

Obecny okres zimowy jest doskonałym czasem do zdobywania najróżnorodniejszych sprawności.

A więc do pracy, by wykazać się jak największą ich ilością.

Czuwaj!

Irena Zagórska.

## SPORT



### Sporty zimowe

Zorganizowany sport zimowy nie może u nas pościć się długoletnią tradycją. Łyżwiarstwo było na Śląsku od dawna popularne, szczególnie wśród działwy szkolnej, ale dopiero powstanie polskich klubów sportowych umożliwiło założenie kilku sekcji łyżwiarskich tak dla młodzieży, jak i dla dorosłych. Narciarstwo uprawiały u nas już przed wojną spora-

dycznie jednostki, ale dopiero od r. 1931 sport ten uprawiamy systematycznie. Pierwszy impuls wyszedł z szeregow Słowarzyszenia Akademickiego „Jedność”. Najwięcej około rozwoju narciarstwa w naszym kraju zasłużyły się szczególnie dwie organizacje: „Beskid Śląski” oraz P. K. S. „Groń”, które przejęły inicjatywę, wychodzącą od jednostek i pchnęły narciarstwo na drogę zorganizowanego wysiłku zbiorowego.

Błędnem byłoby zapatrywanie, że którakolwiek organizacja posiada wyłącznie monopol uprawiania tego czy innego sportu zimowego. Tak n. p. jeśli chodzi o łyżwiarstwo, to najlepsze warunki po temu mają kluby sportowe, które w programie swoim mają uprawianie sportów letnich i zimowych. W długim okresie zimowym inicjatywa zarządów klubów winna skierować się właśnie w kierunku sportów zimowych. Łyżwiarstwo ma wszędzie widoki powodzenia, tem bardziej, że boiska zamienić można na ślizgawki. Jak wykazują doświadczenia, zamiana taka bynajmniej nie jest połączona z deficytem. Kluby sportowe mają także najlepsze widoki na uruchomienie drużyn hokejowych. O ile mi wiadomo, w poprzednim sezonie posiadaliśmy tylko jedną polską drużynę hokejową. Jeśli w propagowaniu łyżwiarstwa, szczególnie zaś sportu hokejowego, prymat powinien przypaść klubom sportowym, to nie oznacza to bynajmniej, aby i inne organizacje nasze nie mogły zająć się popularyzowaniem tego pięknego sportu.

To samo dotyczy narciarstwa, które przedewszystkiem będą uprawiały trzy organizacje: Beskid Śląski jako towarzystwo turystyki górskiej, z którą ściśle wiąże się narciarstwo, kluby sportowe, które winny uprawiać sporty zimowe zgodnie ze swoim programem oraz harcerstwo, jako organizacja, skupiająca największą ilość młodzieży w wieku szkolnym, w którym rozpoczynać trzeba pracę sportową. Sekcje narciarskie stnieją także, choć w mniejszej ilości, przy Sokole, Sile i innych towarzystwach. Publiczne zawody narciarskie urządzały dotąd jedynie dwie organizacje: Beskid Śląski i Groń. Równoczesna propaganda narciarstwa w tak licznych ośrodkach młodzieżowych nie musi bynajmniej przynosić szkody, chodzi tylko o to, aby wszystkie zainteresowane organizacje uznawały potrzebę i konieczność współpracy w tej dziedzinie, i aby ewentualne zawody ustalano po wzajemnem porozumieniu się. W miarę rozwoju i rozpowszechniania się różnych gatunków sportu coraz bardziej narzucać się będzie konieczność utworzenia wspólnego organu porozumiewawczego dla wszystkich organizacji sportu i wychowania fizycznego. Myśl ta, rzucona już w r. 1931, siłą rzeczy zostanie prędzej czy później zrealizowana.

Tegoroczny sezon zimowy nie zapowiada się narażać zbyt świetnie. Ani narciarze, ani łyżwiarze nie mogą się entuzjasmować nagłą odwilżą, jaka nawiedziła nas akurat w sezonie. Ale stan ten z pewnością nie potrwa całą zimę, a zresztą nasza akcja musi być obliczona na dłuższą metę. Należałoby jak najbardziej zachęcić naszą młodzież, aby uprawiała czynnie sporty zimowe, aby zapisywała się do sekcji łyżwiarskich, hokejowych i narciarskich przy naszych organizacjach, które, o ile na to warunki pozwolą, zorganizują dla swoich członków wypożyczalnie sprzętu sportowego. Sposobności do kształcenia się w kierunku sportowym należy zawsze jak najlepiej i jak najcelowiej wykorzystać.



## Biała Olimpijada

W bieżącym roku cały świat sportowy z zapa-  
tym oddechem obserwować będzie przebieg rozgry-  
wek olimpijskich, które odbędą się częściowo w Ber-  
linie, częściowo zaś w Garmisch Partenkirchen. W  
Berlinie latem b. r. stanie do zapasów światowy sport  
lekkoatletyczny, zimą zaś w Garmisch odbędzie się  
olimpiada zimowa, na której uwzględnione będą pra-  
wie wszystkie rodzaje sportu zimowego.

Data otwarcia olimpiady zimowej w Garmisch  
jest dzień 6 lutego b. r. W dniu tym małe miasteczko  
Garmisch odwiedzi, według przewidywań, około  
100.000 widzów.

Przygotowania do olimpiady w Garmisch idą w  
dwóch kierunkach. Jednym z nich jest chęć zorgani-  
zowania bez zarzutu techniki rozgrywek olimpijskich,  
drugim zaś obowiązek ułożenia stutysięcznej rze-  
szy widzów i uczynienia im pobytu w Garmisch moż-  
liwie najwygodniejszym.

W tym celu pobudowano w Garmisch oddziały  
pocztowe, tory kolejowe, linje telegraficzne i telefo-  
niczne urządzenia informacyjne i t. p.

W olimpiadzie zimowej w Garmisch Polacy bio-  
rą udział we wszystkich konkurencjach. Na czoło pol-  
skiej drużyny olimpijskiej wysuwa się Marusarz i  
Czech (biegi i skoki narciarskie). Na dalszym planie  
stoją Górski i Orlewicz. To jest czołowa czwórka pol-  
skich olimpijczyków, poza którą na olimpiadę jedzie  
drużyna kolejowa, patrol wojskowy i zespół zawod-  
ników do konkurencji klasowych.



Skok ze skoczni pod Krokwią w Zakopanem.

Narciarze polscy pod kierownictwem Bronisława  
Czecha trenowali intensywnie do świąt Bożego Na-  
rodzenia. Po świątach halny wiatr i brak śniegu unie-  
możliwił treningi. Dnia 28 grudnia przybył do Zako-  
panego trener światowej sławy — Herald Sandvik,  
który do chwili obecnej energicznie przygotowuje na-  
szych sportowców do występów w Garmisch.

## Do P.T. Chórów!

Zwraca się uwagę, iż chóry, które nie przysłały w  
terminie swych sprawozdań rocznych, zostaną wy-  
kreślone z Związku Pol. Chórów! Odnosi się to w  
szczególności do szeregu chórów okręgu cieszyńskie-  
go. Zaszły takie wypadki, iż chóry wogóle nie wie-  
dzą o ostatnich poleceniach Związku (z dnia 7 I 36),  
ponieważ dyrygenci (niektórzy!) poprostu całą przy-  
słaną korespondencję odłożyli ad acta! Chórzyści,  
domagajcie się spełnienia poleceń Związku, a prze-  
dewszystkiem ażeby Wam został przeczytany ostatni  
okólnik.

**Uwaga okręg suski!** Walne Zebranie okręgu od-  
będzie się w niedzielę, 2 lutego 1936 o godz. 14-tej w  
Domu Robotn. w Gór. Suchej.

**Uwaga okręg orłowski!** Walne Zebr. okręgu od-  
będzie się w poniedziałek, 3 lutego 1936 o godz. 18-tej  
w pol. gimn. w Orłowej.

Nietylko delegaci, ale całe chóry niechaj przyby-  
wają na okręgowe Walne Zebrania!

Uprasza się, by wszelkie komunikaty były prze-  
syłane najpóźniej trzy dni przed 1-szym i 15-tym każ-  
dego miesiąca.

Redakcja.

**Trzanowice.** Stowarzyszenie Młodzieży Katolic-  
kiej urządza w niedzielę, dnia 9 lutego br. o godz.  
6 1/2 wieczorem w sali p. J. Klaubaufowej w Trzano-  
wicach wieczorek, na którym zostanie odegrany  
dramat w 4 aktach p. t. „Dwie ofiary”. Ceny miejsc  
normalne. Po wieczorku odbędzie się zabawa towa-  
rzyska.

**Mar. Góry.** Koło Pol. Związku Szkolnego w Mor.  
Ostrawie złożyło zamiast wieńca na trumnę śp. Ro-  
zalji Wąglowej, swego długoletniego i zasłużonego  
członka — kwotę 50.— Kę dla biednych dzieci szkoły  
wydziałowej w Mor. Ostrawie.

## DZIAŁ

## KOBIECY

### O pracy zarobkowej kobiety

Sprawa pracy zarobkowej kobiet wywołuje dziś  
dużo dyskusyj. Bezrobotni ojcowie rodzin, patrząc na  
„wyondulowane i wymanikurowane” kobiety przy  
biurkach, pogrążają się w depresji... Tu widzi zbytek,  
a tam, w domu — głodne dziecko, opuszczające szkołę  
z braku obuwia...

Z chwilą wybuchu wojny światowej kobiety po-  
szły do biur, by zastąpić mężczyzn, walczących na  
frontach. Kobieta zdała egzamin, mimo braku odpo-  
wiedniego przygotowania, podolała pracy i wykony-  
wała ją nie gorzej od mężczyzn. Lecz okres zawiero-  
chy wojennej minął; wrócili z placu boju ci, którzy  
ocaleli i inwalidzi i... pozostali bez pracy, bo ich po-  
sady zajęły pracowniczki mniej płatne, a tem samem  
więcej wygodne dla pracodawców.

Wśród kobiet niestety następuje okres „posado-  
manji”. Bo i poco być zależną materialnie od ojca,  
gdy po skończeniu zakładu ogólnokształcącego moż-



na było zarobić sobie na jedwabne pończoszki i fryzjera, na które ojciec nie miał, albo nie dawał. Mężatki przyszły do przekonania, że mężowie ich zarabiają za mało — rzuciły dom i też poszły do pracy. Dońi zdany na łaskę przygodnej pomocnicy domowej, dzieci pozostawione same sobie. A kobieta? Otulona futrem lub owinięta lśniącym jedwabiem „odpoczywa” po pracy w kawiarni lub restauracji. Życie rodzinne istnieć przestaje.

Nadchodzi fala kryzysu, redukcje. Część kobiet zmuszona wrócić do domów; zmuszona ograniczyć swoje wydatki wnoszą do niego atmosferę niezadowolenia, albo rzuca go, jeśli nadarzy się okazja, dla więcej zarabiającego mężczyzny. A dzieci, o ile były? O tem się nie myśli wcale. W kunsztownie zrobionych główkach rozbawionych mam brak myśli o kształtowaniu charakterów swych dzieci.

Kryzys pogłębia się dalej. Bezrobotni domagają się pracy. Nie możemy pozwalać sobie na zbytki jednych kosztem życia innych. Nie przez ciastka, a przez zwiększenie konsumpcji zwykłego chleba prowadzi droga do dobrobytu.

H. W.

### Dobre flaczki.

Tak zwane oczyszczone już flaki wymoczyć dobrze w zimnej wodzie przez godzinę, natrzeć solą, wyskrobać, ściągnąć brudniejszą błonę, umyć dokładnie w kilku wodach, następnie nastawić w większej ilości zimnej wody, jak się chwilę pogotują odlać tę wodę, gdyby jeszcze nadbyła pachniała powtórzyć, zalać letnią wodą osoloną, niech się wolno gotują przez 3 godziny.

Następnie odcędzamy, na boku gotujemy smak z jarzyn, marchewkę, pietruszkę, seler utarty na pasieczki, krajemy w bardzo cienkie pasieczki flaki, wkładamy do smaku z jarzyn, kto chce, może jeszcze dodać rosołu, płynu powinno być tyle, aby przykrywał treść. W razie braku rosołu dolać wody.

Gotować na boku do miękkości, dodać szczyptę majeranku, pieprzu gorzkiego, angielskiego ziela 2—3 ziarenka. Nakoniec zrobić zaprawkę, zagotować, podać. Odgrzewane lepiej smakują.

## ZWYCIĘSKI SKOK

(Nowelka konkursowa.)

Zima była u nas potężna.

Wszystko to, co niedawno jeszcze gwarem i życiem było, teraz leżało pospane, spokojne, ciche i jakoby obumarłe. Potoki i strumyki górskie, co to niedawno z poszumem przeogromnym spadały po kamienistych uboczach kaskadami w doliny i zawrotnymi śpiewały zwrotkami, teraz leżą ciche, spokojne i pomarłe. Mróz położył kres swawolom, zakuł rozigrane w stalowe okowy lodu, ujarzmił rozbrykane i pod mroźne, królowej Zimy, podporządkował panowanie.

A gronie? — —

Te, te same gronie, które wiosną, latem i jesienią rozbrzmiewały zwrotką rozgłaszanych treli borowych śpiewaków, umilkły, bo zima wypędziła tych skrzydlatych śpiewaków, hen daleko, aż gdzieś tam, tam, do ciepłych krajów, gdzie słońce ponoć ciągle świeci i nie zachodzi.

## KRONIKA ŚWIATOWA

**Polska polityka zagraniczna.** Dnia 15 stycznia b. r. minister spraw zagranicznych Józef Beck wygłosił ekspozycję o polskiej polityce zagranicznej, które transmitowane było przez wszystkie rozgłoszenie polskie. Już sam fakt rozgłaszania ekspozycji przez radio wywarł wielkie wrażenie. Samo przemówienie było bardzo jasne, nie pozostawiające żadnych wątpliwości co do kierunku polskiej polityki zagranicznej, której nieraz nie chcieli zrozumieć i w której prostą linię nie chcieli wierzyć. Minister Beck poruszył także stosunek do Litwy i do Czechosłowacji, co wywołało w prasie liczne komentarze. Po raz pierwszy od istnienia Polski jej minister zagraniczny postawił jasno kwestję stosunków polsko-czeskich. Będą one zawsze uzależnione od postępowania rządu i władz czechosłowackich w stosunku do mniejszości polskiej w Czechosłowacji.

**Zgon króla angielskiego Jerzego V.** Dnia 20 stycznia, dwie minuty przed północą, zmarł król Wielkiej Brytanji i Irlandji, cesarz Indji, w wieku 71 lat. Panował lat 25. Pogrzeb jego odbył się we wtorek, 28 stycznia. W pogrzebie brało udział wiele koronowanych głów, prezydentów i innych dygnitarzy państwowych. Tron objął najstarszy syn jego, książę Walji, jako Edward VIII. Nowy król stoi w wieku 42 lat, jest dotychczas kawalerem i znany jest w całym świecie jako sportowiec. Z usposobienia jest bardziej podobny do swego dziadka, Edwarda VII, niż do swego ojca, czyli jest usposobienia bardziej demokratycznego. Podróżował wiele, stykał się z szarym tłumem, sam brał czynny udział w wojnie światowej.

**Zbliżenie czechosłowacko-austriackie.** Dnia 16 stycznia b. r. bawił w Pradze austriacki kanclerz dr. Schuschnigg, gdzie wygłosił odczyt na temat „Drogi i cele gospodarczej odbudowy Europy środkowej”, w którym przemawiał za stworzeniem niepolitycznego bloku gospodarczego państw, położonych nad Dunajem. Kanclerz Schuschnigg przyjmowany był oficjalnie. Wizytę jego uważają w kołach politycznych jako zapowiedź zbliżenia czechosłowacko-austriackiego. Między oboma państwami ma dojść do umowy przyjacielskiej.

Teraz gronie leżały pomarłe.

Niekiedy tylko ciszę ponurą przerwał głos z drzewa spadającej szyszki, albo szelest łamanej gałązki, której zwierzę jakieś niebacznie dotknęło. Albo sarna, albo i zajączek...

Oj, biedę ogromną miały zające. Nie było ni kawałka lichej choć trawki i kory na śniadanie nie było, bo drzewek młodych niewiele tutaj, a głód jednak ciągle ten sam, ciągle ten straszny i niezaspokojony. Skakały więc posmutniałe, słuchy długie bacznie trzymając w górze, aby szelest żaden nie uszedł uwadze.

A sarny? — —

I sarny okrutnie cierpiały. Niekiedy tylko litościwa ręka gajowego pod drzewo jakieś siana kawałek rzuciła, ale to prędko znikło, a znów nic, jak tylko głód cierpieć i biegać po lesie, ciągle głodne i głodne. Jak się musiały smucić te ich serca, byle im w oczy tylko zajrzeć, ile tam było łez niedoli, boć to także i sarny płakać umieją.



# TEATR AMATORSKI

## Inspicjent

W artykule o suflerze powiedziano: „Sufler jest artystą, jako reżyser, aktorzy i inspicjent.” Kto to ten reżyser, ci amatorzy, to wiemy, to w porządku, ale kto to ten inspicjent, to już gorsza sprawa. Musi więc być w dobrze zorganizowanym zespole teatralnym ktoś, co się nazywa inspicjent. Jemu właśnie przyrzynimy się bliżej.

Inspicjent jest zastępcą reżysera. O ile reżyser jest twórcą artystycznego przedstawienia, o tyle jest inspicjent „stróżem” wykonania projektów reżysera. Istnieją dwa rodzaje inspicjentów. Jedni z całym poświęceniem oddają się pracy swej funkcji. Cieszą się z każdego powodzenia, smucą z niepowodzenia, są wszędzie z reżyserem, doradzają mu, zważają na jego wskazówki i posiadają wyrozumienie dla obowiązku i porządku. Drudzy z musu ruszają się pomiędzy kulisami niezadowoleni z tego, że dostała się im „tylko” funkcja inspicjenta. Chodzi im o to, że ich praca nie jest znaną dla widza, że mogliby triumfować w tej lub owej roli. Pierwsza grupa, to inspicjenci najlepsi, zawsze poszukiwani. Drudzy, to nicponie, których należałoby posłać na zieloną trawkę. Inspicjent zważa na rozkazy reżysera, zapoznaje się z jego myślami, planami i podług nich kieruje ostatnimi próbami i przedstawieniem. Z chwilą, kiedy reżyser podał wszystkie wskazówki, ruszył z miejsca i nadał sztuce zasadnicze cechy i kierunek. Wtedy cała praca przechodzi na inspicjenta.

Praca inspicjenta zaczyna się na próbie dekoracyjnej. Na wszystkich następnych próbach musi być

obecnym, ponieważ on prowadzi te próby wraz z suflerem, a reżyser z sali obserwuje i poprawia błędy o charakterze ogólnym. Inspicjent znaczy sobie w egzemplarzu zmiany w wejściach i wyjściach, zmiany w scenach, rekwizyty, efekty zakulisowe i świetlne. Wszystko to ma on znaczone i to najlepiej ołówkami kolorowymi w swym egzemplarzu. Inspicjent na próbach wysyła osoby na scenę, zwraca uwagę na efekty zakulisowe i oświetlenie i zmiany dekoracyjne. Czy ni to na wszystkich swych próbach, aby utrwalić w pamięci wszystkie te rzeczy i aby przyzwyczaić amatorów do różnych zmian.

Powinnością inspicjenta jest zawołać amatora i zwrócić mu uwagę na wejście na scenę. Nie należy przyjmować to w ten sposób, aby inspicjent gonił za kims po całej gospodzie. Dobry amator wie sam, kiedy występuje. Wypływa stąd, iż inspicjent powinien grać tylko role małe, o ile brakuje amatorów. Inspicjent ma nosić z sobą lampkę elektryczną i różne drobne rekwizyty, najczęściej na scenie potrzebne; a więc szpilki, sznurki, grzebień, papier, listy, losy zastępujące banknoty, scyzoryk, nożyczki i t. d. Rekwizytami temi może bardzo dopomóc amatorowi, który zapomniał n. p. list, telegram, nóż etc. Inspicjent taki razem z porządnym suflerem mogą uratować przedstawienie od niejednej katastrofy. Inspicjent daje znak na podniesienie kurtyny i daje znaki dzwonkiem.

Egzemplarz inspicjenta musi być odpowiednio przygotowany. Nie będziemy przygotowywali sztuki na sposób teatralny, lecz przygotujemy ją sobie w miarę naszych zapotrzebowań. Przed pierwszą stroną każdego aktu wlepimy sobie arkusz czystego papieru. Tutaj narysuje się plan sceny, zaznaczy rekwizyty na scenie i ich umieszczenie, napisze się, z których kulisów i horyzontów zestawie się sceny. Zaznacza się także rekwizyty amatorów i rekwizyty, które posługuje się za sceną (strzał, grzinot, dzwonek etc.). Przed każdym aktem oznacza się zasadnicze oświetle-

## <sup>15</sup>/<sub>II</sub> Bal Krajowy M. Szk. w Cz. Cieszylinie <sup>15</sup>/<sub>II</sub>

I inne jeszcze zwierzęta cierpiały niedostatek.

A nad tem wszystkim bór, ciągle ten sam, tylko teraz, zimą, grubą warstwą okistego śniegu posypany, narzekał i jęczał dniami nad niedolą współobywateli leśnych, zaś nocami kołysał do snu zgłodniałych. Niektórzy ze snu tego już nie powstałi, leżą dalej spokojnie, ale już bez życia, sztywni, nasyceni na zawsze. Bór litościwy swojego użył im płaszcza, zatrzepotał kurczowo skrzydlatemi chojarami i śnieg zsywał na pomarłych, których mróz i głód zamor-dował.

Zima była u nas potężna. —

Niekiedy jeszcze i wiatr potężny zahuczał, rozchybotał wtedy i te bory, śniegiem białym pokryte. A wtedy i one płakać poczęły. Płacz ten głuchem ję-czeniem poniósł się w doliny, po śnieżnych pustko-wiach sunął w nieprzeniknioną, szarą dal i nie wra-cał nazad już nigdy. A kiedy te gronie płakały, grube płatv śniegu z szelestem na oszkloną mchową pod-ściółkę padały, pomarłych grzebiąc leśnych współ-obywateli.

I gronie płakać unieją. —

Niekiedy także słonko spojrzało ospale na ten świat nasz szeroki, oblało blaskami wszystko, co po drodze spotkało. I na gronie nasze spojrzało. A błyszczwały one wtedy przeogromnie, jakoby dumne stały w brylantowym rozognieniu, blaskami fioletowych odcieni się paliły i stały swój obraz daleko, aż tam, gdzie ziemia i niebo się stykają.

Radość wtedy jakowaś owiewa te gronieczkowe zbocza, ruch je ogarnia, jakieś cienie po śniegowym suną szlaku, rozpędem gnane ogromnym, nikną, aż gdzieś w dolinie.

Ach, radość jest wtedy ogromna.

— — — — —  
Tomek mu było na imię.

Ojca dawno już nie miał, drzewo przy ścinaniu go zabiło. Na cmentarzu teraz leży wioskowym, o swych rodnych groniach i o szczęściu Tomkowem marzy sen złoty.

Oj, nie ma już Tomek ojca.

Matka mu jeszcze pozostała, matka — staruszka,



nie. Następnie przegląda się tekst sztuki i na marginesie znaczy się stronę wejścia i wyjścia. P — prawo, L — lewo, S — środek. Jeżeli mamy więcej wejść, to oznaczamy je I, II, III. W tekście znaczy się głównie zmiany świateł i efekty zakulisowe. Warunkiem egzemplarza inspicjenta jest przejrzystość. Znakowanie musi być wyraźne i celowe, bo w przeciwnym razie zamiast sobie pracę ułatwić wprowadzimy samego siebie w błąd. Dodać należy, że najlepiej jeżeli inspicjent przepisze sobie sztukę na maszynie z opuszczeniem tekstu, gdzie nie ma żadnej pracy.

Jak widzimy, rola inspicjenta jest bardzo ważna. Inspicjentów prawie że nie spotykamy przy naszych sekcjach dramatycznych. Dobry inspicjent ułatwi pracę reżyserowi i podniesie poziom przedstawień. Wszędzie więc, gdzie znajdują się odpowiednie siły, należy sobie zaprowadzić inspicjenta. Tam gdzie nie ma potrzebnych sił, lepiej obejść się bez inspicjenta, bo zły inspicjent tylko utrudnia pracę w zespole.

W. Zagóra.

## KOMUNIKATY

Chór Towarzystwa Nauczycieli Polskich w Cz. Cieszyńskie urządza w sobotę, dnia 8 lutego 1936 w sali „Polonii” w Czeskim Cieszyńsku uroczystość 10-lecia, na którą jak najuprzejmiej zaprasza Wydział.

Program uroczystości: I. J. Gorczyński: Gaude mater Polonia. II. Przemówienie okolicznościowe. III. 1. Hasło: Cześć pieśni. 2. Fr. Chowaniec: Pieśń jubileuszowa. 3. Wallek-Walewski: Burza morską, 4. Wallek-Walewski: Krakowiak. 5. Jan Kiszka: Z nad Olzy I. — IV. 1. P. Maszyński: Szarotka. 2. P. Maszyński: Łzy. 3. St. Surzyński: Matyszek. 4. Jan Kiszka: Z nad Olzy II. — V. Rewelerski Chóru T. N. P.: Przeboje w układzie K. Bergera. — VI. Zabawa ludowa. Początek o godzinie 8 wiecz. Wstęp: Dobrowolne dary.

Orłowa. (Z. P. Ch. w Cz.) Walne Zebranie Okręgu Orłowskiego odbędzie się dnia 3 lutego b. r. o godz. 6-tej w Pol. Gimn. Real. w Orłowej. — Dyrygent okręgowy.

Strzycięż. ZEM. w Strzyciężu urządza w niedzielę 9 lutego b. r. o godz. 3 swe Walne Zgromadzenie.

która zawsze z uśmiechem śledziła swego chłopaka. Był jej skarbem ogromnym, najcenniejszym.

Tomek był rośły, zgrabny, zawsze zdrowy i wesoły.

Wesoły, bo pośród tych gróni się zrodził i wychował, pośród nich ciągiem żył, ciągle z nimi gadał i śpiewał. One, kiedy Tomek mały w kołysce jeszcze leżał, one do snu kołysanki mu śpiewały, później, kiedy już na nogach potrafił się utrzymać, one go pacierza w ojcowskiej mowie uczyły.

Znał Tomek na wylot gronie całe, ten świat swój cały, ten żywioł rodny, pośród którego wyrósł i zmężniał; wszystko znał, wszędzie był i być musiał, każdy pień rośłych smreków, od korzenia, aż hore do samego wierzchołka znał i w tych wszystkich pieczarach już chodził, bo kochał on te gronie rodne, ten świat swój cały.

A teraz — zima ponura i mroźna. —

Już w dzieciństwie, po białym śniegu, na małych jeździł nartach. O zmroku jeszcze, każdego ranka, do

## Konkurs na nowelkę zimową „Ogniwa”

Z nadesłanych Redakcji „Ogniwa” 13 nowelek żadna nie odpowiada w zupełności wymaganym warunkom, to też Komitet Redakcyjny nie mógł wyznaczyć I nagrody.

II nagrodę uzyskała nowelka p. t. „Najlepszy skok”. Jest ona treścią i ujęciem najbardziej zbliżona do postawionego zadania, jakkolwiek zdradza duży wpływ Zegadłowicza, wzgl. jego niefortunnych, krajowych naśladowców. Pierwszą jej część drukujemy w niniejszym numerze. Autorowi polecamy popracowanie nad wyrobieniem własnego stylu.

III nagrodę uzyskał bezpretensjonalny, szczery opis pierwszej wycieczki narciarskiej p. t. „Ze wspomnień”. Ualetnowany jej autor, to absolwent szkoły wydziałowej, s'oiący dziś w wieku 16 lat. Umieszczona będzie w jednym z najbliższych numerów „Ogniwa”.

Inne nadesłane prace omówimy, wzgl. oddrukujemy z nich najudatniejsze fragmenty w numerze następnym. Niezależnie od oceny poszczególnych prac stwierdzamy z zadowoleniem, że wśród młodzieży naszej jest sporo materiału na dobrych współpracowników pisma młodzieżowego z talentem choćby już nie literackim, to przynajmniej dziennikarskim, którzy z pewnością uwzględni się przy późniejszych konkursach, w których piszący nie będą krępowani jakimś specjalnym tematem i będą mogli pisać na tematy według własnego unodobania. Polecamy wszystkim zainteresowanym, aby już teraz przygotowywali się i szukali wdzięcznych tematów oraz najlepszej, swoistej formy ich ujęcia.

Redakcja.

## ROZWIĄZANIE ZAGADEK.

Z nr. 1 nadeszło 7 rozwiązań. Nagrodę przez losowanie otrzymał Jan Wałach z Nydku.

Zagadkę z nr. 2 dobrze rozwiązała Anna Kondorówna z Nydku.

Z braku miejsca dział rozrywkowy odkłada się do nast. numeru.

szkoły się spuszczał, zawsze z radością, bo nartv. i śnieg — to był jego żywioł, który całkowicie jego duszę i serce pochłaniał. — —

Teraz już Tomek jest rośły i dojrzały.

Dwudziesty rok ta zima mu przyniosła w podarunku, ale on ciągle kocha te swoje gronie i kochać nie przestanie, bo one go wychowały, bo one pogwarem i poszumem swoim do snu go kołysały. —

Kocha je i kochać nie przestanie.

C. d. n.

Po tem poznacie słowo prawdy, że pada cicho i leży długo, a potem wchodzi powoli... Owocem jego zaś jest miłość i zgoda.

A. Mickiewicz.

Żaden człowiek siły swej nie zna, dopóki jej w potrzebie z siebie nie dobiedzie.

E. Orzeszkowa.



A. GROTTER „ZNAK“ „LITUANJA”



Prenumerata pojedynczego numeru w kraju 50 h, zagranicą 15 gr. — Kwartalnie 3.— Kč.

Adres redakcji: Czeski Cieszyn, ul. Dworcowa 18.

Redaktor odpow.: Karol Bocek, Cz. Cieszyn, Cegielniana 7.

Wydawca: Komitet Wydawniczy.

Drukiem W. Nitkiewicza w Cz. Cieszynie.



# Ogniwo

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ



.... PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM ....  
.... MŁODZIEŻOWYM · ORGANIZACJI ....  
.... NYM · INFORMACYJNYM · OŚWIATO: ....  
.... WO · KULTURALNYM · NAUKOWYM ....  
.... SPORTOWYM I WYCHOWAWCZYM ....



# ZAKOPANE

## POLSKA STOLICA SPORTÓW ZIMOWYCH



Dziwna rzecz — kiedy ziemię przykryje gruba warstwa śniegu i skuje tęgi mróz — zdawałoby się, że człowiek najchętniej schowie się za piec — ludzie wyruszają tam, gdzie śniegu najwięcej i gdzie panuje najsroższa zima — w odludne góry. I w górach panuje prawie wielkomiejski ruch. Lecz jeżdżą tylko sanki i narciarze. Obrazek przedstawia drogę do Morskiego Oka z widokiem na Mięguszwiecki szczyt w Tatrach.



### O dobrą gazetę

Jeśli chcemy wiedzieć, co się w świecie dzieje, to wystarczy przeczytać taką czy inną gazetę. I codziennie z ciekawością czytamy wiadomości z całego świata, dowiadujemy się o najróżniejszych sprawach i o wszystkich ważniejszych wypadkach, jakiegokolwiek tylko się zdarzyły. Prócz tego w różnych gazetach znajdujemy różne poglądy. Jedna chwali coś, inna zaś to samo krytykuje. Jest naszą rzeczą, byśmy zdolali o tem, co przeczytaliśmy, wyrobić sobie własne zdanie. To też niekiedy, czytając gazety, zauważamy, że nie jest to tak, jako to tam sobie piszą, że to kochane pismo blaguje i wypisuje niestworzone rzeczy. A jednak, rzecz dziwna, bo możemy jakiś dziennik nienawidzić, a przecież codziennie go czytamy. Jak się to dzieje?

Otóż człowiek, dziś żyjący, cierpi głód wiadomości, który zaspokaja tylko gazeta. Ciężkie i niepewne czasy powodują, że ludzie dziś są niespokojni, wystraszeni, mają — Bóg wie, przed czem — obawy, jednym słowem boją się nie wiadomo kogo, tak, że życie obecne wygląda zupełnie inaczej, jak dawniejsze, jakoś minęły czasy spokoju, a nastały czasy niepewności i zamieszania. I nie dziwnego, że prawie każdy czytelnik gazet szuka w nich przede wszystkim jakiegoś zawiadomienia o zmianie, zmianie na lepsze. Czy jednak gazeta sama może coś tu zrobić? Owszem — może nam dopomóc, bowiem gazeta ma wpływy na nasze życie i to wpływy bardzo wielkie. Dla przykładu wystarczy wspomnieć, że w takich państwach jak we Francji czy w Anglii losy rządów często rozstrzyga opinia publiczna, którą wyrażają gazety. Przeto prasa, jak ogólnie nazywamy gazety, jest potęgą, mającą wpływy na losy tego czy innego państwa.

Jakże teraz u nas wygląda ta potęga? A raczej powiedzmy sobie, jakiej trzeba nam gazety?

Gazeta, dziennik, pisze wszystko i o wszystkim. Jest również przeznaczona dla wszystkich i oddziaływanie na każdego, kto ją czyta. Dlatego też wciąga najszerze masy czytającej publiczności do uczestniczenia w życiu społecznym. Zatem praca w redakcji, dziennikarstwo, jest więc w pełnym znaczeniu tego słowa pracą społeczną.

Nas, młode pokolenie, ten rodzaj pracy społecznej winien jaknajbardziej interesować. Gazeta dla naszego społeczeństwa musi być pisana, rzecz proszę, jasno i zrozumiale. Musi czytelnikowi dostarczać karmy duchowej, choćby nawet najpoważniejszej, to jednak zawsze lekkostrawnej i smacznej. Żeby nie karmiła nas obrazami najpotworniejszych zbrodni, oszustw, skandalów i innych zgroza przejmujących sensacji. Pismo tego rodzaju nie spełnia roli społecznej, lecz wręcz przeciwnie — demoralizuje i unieszczęśliwia społeczeństwo. Dobra gazeta wychowuje, kształci, służy pomocą i radą.

Cóżby należało zrobić, byśmy posiadali dobrą gazetę? Trzeba przede wszystkim wykorzystać to, co posiadamy. Nasz dorobek kulturalny nie jest zbyt bogaty, a jednak ginie w zapomnieniu. Posiadamy jednak bogactwo życia duchowego naszego ludu. Bogactwo to, jak pewien znakomity uczoney powiedział, po zetknięciu się z ludem naszym, czeka na swego odkrywcę. Niestety, z żalością należy stwierdzić, że obecnie bogata dusza ludu ozebracza się na rzecz jakiegoś modernizmu. Temu najskuteczniej może zapobiec dobra gazeta, która przez systematyczną działalność uświadamiającą podniesie poziom umysłowy czytelnika, będzie stać na straży naszej kultury, starając się o jej rozpowszechnienie. Będzie także czuwać nad tem, by nasze życie duchowe nie tylko że nie podupadało, ale by stałe się rozwijało.

W jakim stanie znajduje się u nas prasa, o tem czytelnikowi zostawiamy własne zdanie. Pozwolimy sobie tylko stwierdzić, że brak akcji informacyjno-uświadamiającej zastępuje produkcja plotek i straszaków. Powody, które spowodowały taki stan rzeczy, są wielorakie. Jednym z powodów mogło być też to, że nie byliśmy zjednoczeni. Bowiem na pismo codzienne musi się złożyć zbiorowy wysiłek całego społeczeństwa. Każdy z nas młody, każdy z naszego społeczeństwa, winien poczuć się do obowiązku dopomożenia w tej wspólnej, doprawdy dla nas ważnej sprawie. Właśnie nadarza się sposobność, podyktowana zresztą koniecznością, by podjąć zadanie wprowadzenia w życie codziennego. Dowiadujemy się, że w tym miesiącu ukaże się znowu „Dziennik Polski”, a więc nasze codzienne pismo. Jak mówią, będzie wychodził w Czes. Cieszyńcu, co nas może tylko cieszyć. Życzylibyśmy sobie, aby gazeta ta była faktycznie taką, jakie nasze społeczeństwo pragnie. Sądźmy jednak, że pismo codzienne jest dla nas jaknajbardziej konieczne i że nasze społeczeństwo z niecierpliwością oczekuje, skoro się pojawi. Ale tym, którzy tę pracę podejmują nie wystarczy życzyć, ale trzeba faktycznie pomóc.

My młodzi winniśmy tu wnieść zapal i energję. Zdaje się bowiem, że tem można zrobić w tej sprawie najwięcej.

Res.

Pytacie się, jak pomóc, W naszych warunkach chyba nie wystarczy, byśmy, o ile posiadamy własną gazetę, tylko ją chętnie czytali — trzeba z nią współpracować. W pierwszym rzędzie winniśmy ją rozpowszechniać. Dalej dostarczać informacji — jest rzeczą czytelnika pisma codziennego donosić redakcji wszystko o czem wie, by pismo mogło te wiadomości rozszerzyć na ogół czytelników. Następnie winniśmy nie kryć się z swymi uwagami pod adresem dziennika.



# CO TO JEST ORGANIZACJA?

Kiedy tak ważną rolę przypisujemy organizacji i stowarzyszeniom, musimy przyjrzeć się bliżej samej organizacji i zobaczyć czym ona jest.

Stowarzyszenie młodzieży, o przedwzrostkiem sama młodzież, ale nie ta nie znająca się, albo znająca się tylko na ulicy czy przy kieliszku, ale młodzież skupiona, złączona, zjednoczona koleżeństwem, niemal braterstwem w jedną całość. — Sest ich wi lu, ale są czemś jednym.

I cóż w tem wielkiego albo dobrego, może ktoś zapytać.

Oto przede wszystkim to, że przez stowarzyszenie, przez organizację młodzież spełni zasadniczy postulat: dąży do społecznego życia dąży do tego, żeby ludzie żyli razem i wspólnie sobie pomagali.

Jeżeli Bóg dał nam taką naturę która dąży do stworzenia jedności z wiec'u jeśli wszyscy pragniemy tej jedności to musi chyba w niej być coś wielkiego, to ta jedność musi być dla wszystkich ludzi a więc i dla młodzieży. Lecz tej jedności trzeba się uczyć, trzeba się do nie zaprawiać; ta jedność jest dobrem które trzeba zdobywać. A kiedyż człowiek nauczy się owej jedności, jeśli o niej nie wie od młodości, jeśli każdy młodzieniec każda dziewczyna żyje tylko sobie, nie wie i nie dba o drugich? To z czem człowiek wyrośnie za młodu, to później daje społeczeństwu. Wyrośnie ktoś z poczuciem jedności solidarności, wspólności troski i siły, to da tę siłę i troskę społeczeństwu tylko egoistów. da jeno to przekonanie, że że jemu tylko powinno być dobrze, a reszta? — Wszystko jest dla niego ale on dla nikogo.

A zatem w stowarzyszeniach ów wspólny węzeł jedności musi wytworzyć to, że każdy młodzieniec, który należy do stowarzyszenia, już nie żyje tylko dla siebie,

ale żyje dla całego stowarzyszenia, dla wszystkich, należących do stowarzyszenia. To t go żeby taką jedność wytworzyć, nie wystarczy, by się młodzi już zebrała, ale ale wszyscy stowarzyszeni muszą dążyć do jednego celu, temi samymi środkami. Cel ten i środki obejmuje i przedstawia we wszystkich organizacjach statut, niejako ustawa, obowiązująca wszystkich. Statut jest najważniejszą bodaj rzeczą w każdej organizacji. Dlatego że jest w jakimś zbiorowisku ludzkim statut, którego się wszyscy trzymają, dlatego to zbiorowisku nazywa się organizacją.

Statut w gromadzie ludzi zaprowadza porządek, a porządek jest niezbędnym warunkiem wszelkiego tworzenia, każdej budowy. Każdy wie, że kupa drzewa, kamieni i cegły to jeszcze nie jest dom, ale domem jest celowo, w pewnym porządku ułożone: drzewo, cegła lub kamienie. Że zaś porządek jest tak ważny dla społeczeństwa, który z ludzkiej masy czyni wielką siłę, dla każdego człowieka że porządek w życiu decyduje o wartości życia, dlatego młodzież trzeba uczyć porządku nie tylko tego zewnętrznego, który każe czyszczyć buty, czyłatać ubranie, ale owego porządku organicznego, zdolna do rozwoju i życia.

Z tych paru uwag widać że stowarzyszenie jako jako organizacja, wprost ze swej natury, ma wielkie znaczenie wychowawcze, kształcące. Mówię tu o stowarzyszeniach związanych słowem o organizacjach młodzieży i to młodzieży pozaszkolnej; dlatego też te organizacje muszą wiać sobie za cel dostarczanie młodzieży tych dóbr, których ona jest poza stowarzyszeniami pozbawiona. Stowarzyszenia muszą w swoim statucie wyznaczyć sobie taki zakres pracy taki plan działania, aby naprawdę ratowały młodzież od zepsucia, od zaniku jej sił i zdolności.

## DZIAŁ REGIONALNY I LUDOZNAWCZY

### Straszydła

#### Nocznice

O „nocnicach” opowiadają starzykowie i stareczki, niezmiernie ciekawe i interesujące szczegóły. Są to podobno dzieci, które zmarły przed chrztem. Pokazują się one w bezksiężycową noc letnią, na cmentarzach i barzynach jako małe światełka zdolne człowieka tak omamić, że ten traci świadomość drogi i może być przez „nocnicę posnitykany” po gąszczach, cierniach i urwiskach. Rano może się omamiony ocknąć w miejscu odległym o kilka lub kilkanaście kilometrów, od właściwego celu wędrówki. Były podobno nieszczęśliwe wydarzenia, kiedy „nocznica” zaciągnęła człowieka na moczary, gdzie biedaczysko utonął w barzynie.

Opowiadają że jak w której wiosce „pochowają” nieżywówrodzone dziecko, to zaraz na tem cmentarzu straszą „nocznice” i ściągają na manowce.

#### Mory

Pytam pewnego sędziwego starzyczka:

—Starzyczku powiedzcie mi cóż też to są te „mo-

ry?” Opowiedzcie mi wszystko, co wam o nich wiadome.

— Ależ z chęcią, mój miły — mówi starzyk, — opowiem ci wszystko co „żywnie” wiem. Pilnie słuchaj i skrzętnie zapisuj, co się dowiesz. Otóż „mory” są to „snoci” złe duchy które mogą się dowolnie zmieniać w kota, białą lub czarną myszkę, brzydkiego owada i nawet weź żdźbło lub „szpendlik”. Taki duch wkrada się w porze nocnej do chat, usiada na piersi, ramię lub nogę, śpiącego człowieka i śsie krew z jego ciała. Najbardziej lubi młodą i swierzą krew z silnego i zdrowego młodzieńca lub dziewczyny. Ja, prawie ci synku, to nie są żadne żarty z „morami”, dyć nawet najsilniejszy młodzieniec lub dziewczyna, co noc odwiedzania przez taką „larwę”, usycha jak podcięte drzewo, stałym ubytkiem krwi, aż wkońcu umiera z wycieńczenia.

—Br, toć naprawdę straszne, choć ciekawe rzeczy opowiadacie starzyku, aż mróz przechodzi po kościach. Wicie też coś o sosonach bądźcie tacy dobrzy, opowiedzcie mi coś o nich. Czytelnicy „Ogniwa” będą wam bardzo wdzięczni! —



— Nale dyć solony a „mory” są podobne! Tylko że solony są istomi żyjącymi — dziewczynami. Każda taka dziewczka solona ma wyznaczony „czas”. To znaczy, że ona w porze nocnej, zawsze o jednej i tej samej godzinie, popadnie w stan odrętwienia. Ciało solony staje się przez dłuższą chwilę jakby odumarle, zaś dusza przemieniona w kota lub białą myszkę wynika się do swego kochanka, by ssać z niego krew, młodość i siłę żywotną. Jakem był jeszcze chłopakiem, to o Marynie Szygutowej z Pasieczek, opowiadali ludziska, że była soloną. Była najładniejszą dziewczyną w okolicy, a mimo to że niejeden chłopak odebrał sobie życie z powodu niej, to za nic w świecie nie chciała wyjść za mąż. Takie już ich przeznaczenie. Są też także solony co zamiast krwi człowieka śsią soki drzew.

### **Duchy leśne i wodne - rusalki**

Na polankach leśnych, w noc pełni księżyca, tańczą i wyprawiają harce przesłiczne panny leśne. Czynią to między dwunastą a pierwszą godziną w nocy. Jeśli jakiś młodzian zabłąka się w ich szeregi w tym czasie, pozywają go w tany i tak wartko nim wywijają aż biedak „zedrze” nogi po kolana i ginie. Te duchy leśne lubią podobno pokazywać się ludziom na rozstajnych drogach i zwodzić na manowce.

W stawach, rzekach i jeziorach mają znowu siedzibę panny wodne. Czyhają u wybrzeży na ludzi, by porywać ich i ściągać do swego podwodnego królestwa.

### **Duchy pokutujące i podziemne**

— Stareczko, podobno za waszych starych czasów ludzie bardzo wierzyli w rozmaite duchy. Wyłóżcie mi moc ciekawych rzeczy o nich, kupię wam zato, coście jeszcze nie mieli!

— Eh, dyć ja tam po tobie nic nie chcę; co ci opowiem, to wszystko za darmo z dobrej woli. To masz rację, że za „starodawna” ludzie wierzyli w lada co, o czym się dziś ludziom nawet nie śni. Wtedy niemal każdy potok, rzeka, staw, droga leśna, stare budowle, miały każde swoją ciekawą historię lub podanie i niejeden duch tam przebywał. Na miejscach,

gdzie stało się jakieś niesamowite wydarzenie, nagle śmierć lub zabójstwo, musiał duch zabitego tak długo przebywać, dopóki nie miał nastąpić naturalny koniec jego życia. Był to dobry, ale nieszczęśliwy duch, więc zjawiał się zbłąkanyin ludziom jako wierny opiekun i przewodnik. Gdzie znowu się ktoś powiesił, lub popełnił samobójstwo w inny sposób, to zawsze na tem miejscu straszło. O północy duch samobójcy przemieniał się w psa, który okropnie wyl, aż ludziom włosy na głowie się jeżyły od strachu. Albo też insi słyszeli straszliwe zawodzenie i płacz żalony pokutującego ducha.

Wtedy to nawet śmierć we własnej postaci ludziom się pokazywała. Była odziana w białą „plachtę” z kosą w ręce, zaś na kogo palcem „kiwnęła”, ten w paru dniach umierał.

W kopalniach mieli również górnicy swoje duchy, skarbków, którzy się opiekowali skarbnami podziemnymi, zjawiali się górnikom w grożącym im niebezpieczeństwie.

### **O chytrym chłopie**

Jedyn chłop miał strasznie spurnom babe, rontym się z nim wadziła, toż szpekuliyrował, jako się ji pozbyć. Naroz mu cosi trzasło do czepanie i zrobił się ślepy. Baba też ib rozmyślała, jako to zrobić, coby go już nie musiała oglondać na łoczy. Zakludziła go rozku kowioru na som krajiczek brzegu i pyto się go:

— Widzisz chłopcze, tyn kwiotek, co się noń dziwom!

— Niewidzym babeczko! — odpowiada chłop.

Baba naozist wierzyła, że je taki ślepy i rozeгнаła się z kopieczka i bęc — ale ni do chłopu, jyny do wody, bo chłop nie był głupi a honym się umknął. Baba się topiła i wrzeszczy na chłopu:

— Chłopcze, widzisz mie? Chłopcze, retuj mie!

Chłop się teraz gor zrobił ślepy i prawi:

— Nie widzym babeczko, nie widzym! — i haba zamiast chłopu poszła na dno kowiora.

Józef Wałach, Rzeka.

## **10-lecie chóru Tow. Nauczycieli Polskich**

W sobotę, 8 lutego br., obchodził chór T. N. P. jubileusz swej nader bogatej i chlubnej 10-letniej działalności. Chór ten powstał i rozwija się w trudnych warunkach, chociażby już z tych względów, że członkowie jego zjeżdżają się z całego Śląska. Ofiara to wielka i zasługująca na pełne uznanie. Chór T. N. P. posiada jedną wielką zasługę, nie mówiąc już o sukcesach artystycznych, że jest właściwie ojcem licznych chórów, rozsianych po wioskach i miastach, które rok później po założeniu T. N. P. zrzeszyły się w coraz piękniej rozwijającym się Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że bez Chóru T. N. P. nie byłoby i Związku Pol. Chórów. Dlatego też tę okoliczność specjalnie podkreślić w przemówieniu przed koncertem prezes Zw. Pol. Ch. p. dyr. P. Feliks. Na szczęście Chór T. N. P. jest ulubieńcem i dumą naszego społeczeństwa, bo nie łatwo zyskać uznanie wśród swoich. Sama ofiarność i dobra wola naszego nauczy-

cielstwa nie przyniosłaby tych wyników, jakich jesteśmy i daj Boże będziemy świadkami, gdyby zabrakło odpowiednich kierowników. Chór T. N. P. miał i mieć będzie dobrych dyrygentów, bo nasz teren nie leży odłogiem, ale został gruntownie przeorany i ziarno pieśni zostało rzucone w dobrą glebę. Toteż rosną nietylko zastępy śpiewacze, ale i szeregi nowych dyrygentów. Prawdziwą szkołą nowych dyrygentów jest i będzie chór T. N. P. Cała rodzina śpiewacza na Śląsku życzy sobie, ażeby chór T. N. P. w dalszym ciągu przodował i patronował wszystkim chórom na Śląsku.

Jubileuszowy koncert zawierał pieśni ze starszego i młodszego repertuaru, a więc pieśni, które już słyszeliśmy. Miłą niespodzianką była pieśń jubileuszowa, której autorem jest członek chóru, p. Fr. Chowaniec. Przy pulpicie widzieliśmy znowu byłych dyrygentów chóru: pierwszego i założyciela chóru, nieocenionego dyr. pana Kiszę, oraz drugiego, który nie



złakł się nawet „Burzy” Wal. Walewskiego, p. prof. Ernesta Bergera. Jednak ta reminiscencja dawnych czasów nie powiodła się, bo trudno, ażeby utwór takiego „ciężaru” oddać bez gruntownej repetycji, w dodatku ze zmienionym składem chóru. W każdym razie pieśń ta odpowiadała szerokiemu gestowi dyrygenta. Inne pieśni pod batutą obecnego dyrygenta p. dyr. K. Bergera, odśpiewano dobrze. Najlepiej wykonano Maszyńskiego „Łzy” oraz Surzyńskiego „Matyszek” (tylko to pechowe miejsce!) Z brzmienia wynika, że nie zaszkodziłaby podwójna ilość drugich basów. A

więc Szalajpiny-nauczyciele, zapisujcie się do chóru! W zakończeniu koncertu usłyszeliśmy przeboje w wykonaniu chóru rewellersów. Głosy zdrowe i piękne, jednak czasem wykonanie zbyt „chórowe”. Nie chcę chwalić tego drugiego sposobu wykonania, które często przeradza się w niesmaczną manierę, ale trudno, na tem założeniu opiera się chór rewellersów.

Koncert udał się, jednak publiczności stanowczo mogło być więcej!

Emanuel Guziur.

## PIĘKNO ŚLĄSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ

Spółeczeństwo śląskie reprezentuje typ swoistej jednostki zbiorowej o wybitnym instynkcie organizacyjnym. To jest fakt niezaprzeczony i ogólnie uznany.

W związku z tem pozostaje fakt, że również na charakter muzyki oddziałał ów duch zbiorowości. Śląsk posiada skarb muzyczny niepospolitej piękności: Jest nim śląska pieśń ludowa. Kto ją stworzył? Oto stworzył ją wielki artysta, a mianowicie zbiorowy, bezimienny genjusz ludu śląskiego. Mimowoli nasuwają się na pamięć piękne i wzruszające swą prostotą słowa, które wypowiedział zasłużony zbieracz pieśni śląskich, Dr. Juliusz Roger w przedmowie do swej epokowej publikacji z r. 1863:

„Na piaszczystych polach Śląska wyrosły wonne kwiaty gminnej pieśni. Tu żyli skromni kompozytorzy, których imiona dawno przebrzmiały lub może nigdy nie były znane, ale ich nuty, orzeźwiające duszę i serce, nie zagina, dopóki lud żyć będzie.”

Tak jest, nazwisk tych kompozytorów nigdy nie będziemy znali, bo pieśni śląskie olśniewające pięknoscią melodji, wyśpiewała zbiorowa dusza ludu. Śląsk zachował poczucie swej odrębności narodowej. Nie będzie przesady, jeśli powiemy, że największą zasługę w tym procesie uświadamiania narodowego ma pieśń ludowa. Żyła ona w ukryciu, tajemnicie pielęgnowana i srogo tępiona, a jednak przetrwała i zwyciężyła, bo wróg nie mógł wyrwać z gleby kwiatów na niej wyrosłych ani nie mógł zniszczyć tego, co było i jest częścią organizmu narodowego. Ileżto razy pod okiem szpiegującego żandarma austriackiego krzepiła pieśń serca swą narodową nutą.

Na czem polega czar śląskiej pieśni ludowej? Oto przede wszystkim na wielkiem bogactwie form. Ta różnorodność muzyki zostaje w związku z rozmaitością krajobrazu śląskiego, z właściwościami gleby i warunkami życia. Na tem tle wytworzyły się daleko idące różnice regionalne w śląskiej pieśni.

Krajobraz Śląska jest bardzo urozmaicony. Trudno znaleźć na jednym terenie takie kontrasty, jakie spotykamy na ziemi śląskiej. Oto na południu Śląsk zielony czyli Beskid śląski, pełen lasów sosnowych z glebą niezbyt szkodłą. Osiadły tu lud spokojny, łagodny i pracowity, upartym wysiłkiem zbiera skąpy plon chudej ziemi.

Z Beskidu rozłacza się ku północy równina.

Nagle przybiera krajobraz zupełnie odmienne cechy: Wchodzimy w Śląsk czarny, w zagłębie górnicze i ośrodek przemysłu. Niema tu ani pól ani łąk. Sterczą tylko kominy hutnicze, wieże szybów i hałdy rozżarzonych żużli. Ponury krajobraz, spowity mgłą

dymu i kłębami sadzy. A w głębi drugi świat, podziemny, pełen tajemniczej powagi. Zawrotne tempo pracy ogłusza hukami tłoków fabrycznych, walców stalowych i świstem syren. To mrowisko ludzkie dąży życiem i tętnem zorganizowanej pracy. Jednostka ginie tu w zbiorowości, porwana dynamiką potężnego rytmu życia. Człowiek tutejszy jest inny, niż w okręgach rolniczych: brak mu owej pogody i bezpośredniości.

Na tle tych kontrastujących z sobą okolic rozwinęła się pieśń, odzwierciedlająca w sobie wszystkie odrębne cechy krajobrazu i człowieka, wzrosłego wśród warunków życiowych.

W Beskidach rozlegają się pieśni pasterskie z charakterystycznym „helokaniem” i z arsenalem instrumentów góralskich, jak kobzy, gęśliczki, ligawki i fujarki.

W dolinach rozbrzmiewają tradycyjne pieśni zbiorowej pracy: żniwarskie, przy „pobabie na len”, obrzędowe, miłosne, weselne. Między pieśnią gór a pieśnią dolin różnice są bardzo wyraźne tak w melodji, jak i w rytmie. W górach bowiem ma pieśń krótki motyw, powtarzany wielokrotnie tak, jakby szczyty cchem go sobie podawały, jej rytm jest zdrowy i jędrny. Inaczej w dolinach: tu melodia przybiera łkającą nutę zadumy i tęsknoty i odznacza się bogatą chromatyką.

Odrębny ton ma pieśń Śląska czarnego: Jest to pieśń szarego dnia pracy. Tętni w niej rytm zbiorowej, ciężkiej pracy. Bez rozkłkliwości i bez sentymentalizmu płynie ta pieśń, pełna prostoty i energii.

Największy czar mają ludowe pieśni śląskie przez to, że zachowały dotychczas swą archaiczną odrębność.

W duszy ludu śląskiego zaszczerpiiony jest od wieków kult pracy. Z tego kultu pracy wyrósł także i kult pieśni. Bo pieśń ludu śląskiego jest pieśnią pracy.

-nik.

Leopold Janicki:

## Polski śpiew wśród obcych

Śpiew Polaków żyjących poza granicami naszego państwa — ma znaczenie szczególne. Rozbrzmiewając na obczyźnie, w osobliwych niejednokrotnie warunkach, przewyższa on tem samem wszystkie wysiłki, podejmowane przez propagatorów pieśni polskiej na gruncie własnym, pod dachem swojego domu, pod



opiekuńczemi skrzydlami własnej państwowości. Wartość żywej pieśni polskiej na obczyźnie jest przeogromna. Jest przede wszystkim dowodem naszego na tej obczyźnie istnienia, naszej hardości, naszego

do Narodu przywiązania i szczerego umiłowania kultury swego narodu. Wszystkie te cechy posiada śpiew polski wśród obcych.

—:—

## W ROCZNICĘ ZGONU MIECZYŚŁAWA KARŁOWICZA

(List z Zakopanego.)

Cudny dziś wieczor w Zakopanem. Srebrzysty sierp półksiężyca zawisnął wysoko na ciemnym stro-pie niebieskim. Skąpany w jego bladej poświacie potężny Giewont mającący przed nami jak jaka piękna, nieziemska zjawia. Niebo roziskrzone tysiącami gwiazd, które migocą tajemniczo i ślą swoje nikłe promyki na biały całun ziemski.

Urok takiej to nocy chłonał swoją wrażliwą duszą Mieczysław Karłowicz, kiedy przez 26 laty wyruszył z Hali Gąsienicowej na samotną wycieczkę narciańską. Nie przypuszczał zapewne, że z niej więcej nie powróci. U stóp Małego Kościelca wybiegła na jego spotkanie lawina śnieżna, aby mu się stała białą, miękką mogiłą. I w czasie, kiedy jego najbliżsi kładli się do snu, a mroźna noc rozpostarła swoje skrzydła nad majestatycznymi Tatrami, tam, zdaleka od swoich, wydawał osłaniać się tchnieniem ten, co góry te najgoręcej pokochał. Tak zginął młody, ale znakomity już muzyk polski, chluba i nadzieja całego narodu, który jeszcze dziś bełśnie odczuwa jego stratę. Zgasł najzdarliwszy wielbiciel Tatr, którego pamiątki jeszcze na lawie szkolnej rozpalily w duszy mojej uczucie uwielbienia dla pięknych przyrody górskiej.

Idąc w kierunkach pocztę, po drodze rozmyślałem o tem dziwnem zrzędzeniu losu. Daremnie szukam w otoczeniu miasta odpowiednika własnych nastrojów. Ulicami falują w różnych kierunkach nieprzejrzałe tłumy, a zwoniam dzwonczki długich szeregów góralskich sanek, narciarze wracający z gór w pełnym ryn-

szlunku suną na swoich deseczkach w kierunku nocnych legowisk. Wszędzie gwar i ścisk nieopisany. Wszyscy żyją jeszcze wspomnieniami cudownego dnia słonecznego i puszystego śniegu, który lśnił i drgał w przepięknych barwach słońca.

Zatopieni w wieczornym rozgwarze miasta nie odczuwają tajemniczej wynioŹy tej cichej, mroźnej nocy zimowej, dalecy są od rozważań nad niepojętą tradocionionym wzorem czystego i wzniosłego idealizmu.

Samotny poruszam się wśród barwnych tłumów ludzkich, ale myślami uciekam do grona tych swoich najbliższych, którzy potrafią zrozumieć uczucia, jakie mnie w tej chwili przepelniają. Nad głową moją migocą roje gwiazdek, tych samych, które w tej chwili świecą nad Waszemi głowami. Niechże one zaniosą Wam moje serdeczne pozdrowienia i niech Wam powiedzą, że choć chwilowo oddzieliły nas przestrzenie, zawsze nas łączyć będą te same myśli i te same uczucia gorące. I kiedy na gwiazdne zaświałę popatrzyć w wieczornej ciszy przypomnijcie sobie, że walle ich światelka oponicniały także ostatnią drogę Mieczysławowi - Karłowiczowi. Zbierając się w poniedzialek na Kółku, poświęcić krótkie, lecz tem serdeczniejsze wspomnienie temu mężowi, który dla dzisiejszego zmaterializowanego pokolenia pozostanie nie-doścignionym wzorem czystego i wzniosłego idealizmu.

Zakopane, 8. II. 1935.



Widok na Hrubego i Krywań



# Z PODHALA

## PANI PAWŁOWA

### III.

*Kochana Pani Pawłowa,  
Toć każdy z nasi ją pamięta  
I owszem, wszak dotąd żyje  
I chowa swoje wnuczeta.*

*Pewnego rana, raniutko  
Przyniosła mi kawę w garnuszk  
I z białą serwetą w ręku  
Usiadła na mojem łóżku:*

*„Słyszałam o tem“ — zagadnie,  
„Więść do mnie przychodzi mnoga,  
Że ludzie się włóczą po świecie  
Szukając Pana Boga.*

*Że o tem wszystkiem też stoi  
W niejednej uczonej księdze  
I że się ludzie wciąż skarżą  
Na swoją ludzką nędzę. —*

*A mnie się zdaje — słyszycie, —  
Jak wróble pod dachem świergocą,  
To wiosna do naszej izdebki  
Wkracza swą całą mocą.*

*Wstańcie i idźcie do lasu,  
Do tego idźcie potoku,  
Gdzie tak, — wiem o tem, — lubicie  
Siadywać każdego roku.*

*Pełno tam jaskrów złocistych,  
Szerokich, jak moje dłonie,  
Pan Bóg tam stoi nad nimi  
W swojej słonecznej koronie.*

*A idąc miedzami do lasu  
Popatrzcie na nasze się łany,  
Wnet się nam owies wykłosi  
Sprawi to Pan Bóg kochany.*

*Idźcie do mojej stajenki,  
Spojrzyjcie na moje bydłeta,  
Z bożego żyją obroku  
Karmi je wola prześwieta.*

*Mojemi karmi je dłońmi  
I niech tam będzie, co będzie  
Na niebie jest Pan Bóg i ziemi,  
On z nami jest tutaj i wszędzie.*

*On wiosną, On zimą i latem,  
On w naszej jest żniwnej jesieni  
Niech piszą, co chcą, o tem księgi,  
Toć tego już nic nie odmieni.*

Miłość jedna nie działa marnie... promienna sama w sobie gasi zawiści, osłabia urazy, daje wszystkim spokój, łączy rozdzielonych, podnosi upadłych, gładzi nierówności, prostuje krzywizny, wspiera każdego, nie obraża nikogo... a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, znajduje się bezpiecznym i nie ulęknie się niczyjej groźby. Miłość tworzy prawa, a kto nią pogardzi, wszystko straci.

Z aktu Unji Horodelskiej z r. 1413.



Skocznia narciarska pod Krokwią.

*Wdzięczna mu jestem za wszystko,  
Za chleb i za garstkę barłogu  
I mówię nie warto go szukać,  
Gdyż człek jest przy Panu Bogu.*

*Kochaną Pani Pawłowa,  
Przyniosła mi kawę w garnuszk.  
I plecie, co jej się widzi,  
Siedząc na mojem łóżku.*

Naród jest tem, co w zbiornikach ludzi na tym globie ziemskim jest najbardziej istotnego, najściślej prawdziwego. Uczucie miłości dla narodu swego jest niepojęte i niespożyte, tak samo jak uczucie miłości dzieci dla rodziców, i rodziców dla dzieci. Podobnie jak w nas żyje nasz ojciec, dziad, i pradziad, tak samo w narodzie żyje i trwa jego przeszłość, — prężą się siły, czyny, żądza i idea naddziadów, wiczyćście wstające z martwych.

Stefan Żeromski



# ZWIĄZEK POLSKICH CHÓRÓW

## Uwagi po konkursie

### III.

Niewątpliwie po tej praktycznej lekcji, jaką był omawiany konkurs śpiewaczy, chóry a właściwie dyrygenci, bacniejszą uwagę zwrócą na intonację ćwiczonej pieśni. Te chóry zaś, które z powodu niewyrobionego materiału głosowego nie odegrały ważniejszej roli, muszą dużo pracować nad emisją głosu, która jest czasem zbyt zbliżona do formy „naturalnej”.

Chciałbym jeszcze przy tej sposobności poruszyć jedną chociaż dosyć drażliwą, jednak bardzo ważną sprawę. Żyjemy w epoce różnych gwiazd: filmowych, sportowych i t. d., a ja chciałbym coś powiedzieć o gwiazdach wzgl. gwiazdeczkach chórowych (płci pięknej i brzydkiej). Niewątpliwie każdy dyrygent je dobrze zna. Są to chórzystki, rzadziej chórzysci (ale nie z powodu większej skromności, tylko dlatego, że im rzadziej głos dopisuje), od których zależy powodzenie chóru. Poproszę „ciągnąć” chór, względnie odpowiedni głos. To jest dodatkowa strona chórowych gwiazdeczek, o czym wie dyrygent, chórzysci, no i same gwiazdy. Jednak świadomość tej nieodzownej powoduje pewnego rodzaju zaślepienie, charakterystyczny symptom każdej „star”. To zaślepienie prowadzi do przeceniania swojego znaczenia (I. tenory!) i do nadużywania narządu głosowego z wielką szkodą dla piękna brzmienia chóru. O tym również dobrze wie dyrygent jak i chórzysci, ale nie wiedzą gwiazdeczki. Nie mogą wiedzieć! Współkolegom i ko-

leżankom brak kompetencji i fachowego autorytetu, a dyrygent za nic w świecie nie poruszy tego tematu na lekcji chóru. Ja też dlatego o tym piszę w „Ogniwie”.

Kochane gwiazdy i gwiazdeczki! Proszę zawsze pamiętać, iż nieodzowność waszego głosu ma się uwydatniać (a może raczej „usłyszalniać”), kiedy nie śpiewacie. Tak, kiedy nie śpiewacie, t. zn. iż walory waszego głosu i waszego udziału w chorze powinno się stwierdzić, kiedy was brak. Podczas śpiewania trzeba tego daru Bożego, jakim jest piękny głos, wprawdzie używać tak, ażeby był oporą dla innych słabszych, ale nie wolno tego słuchaczowi podawać w sposób nahałny, nieprzyzwyczajony, tak jak gdybyśmy chcieli powiedzieć: „Patrz i podziwiał mnie, bezenimie chór nic nie wart!” Naturalnie że tu trzeba pewnej dozy skromności i poskromienia swojej indywidualności, co właśnie w chórach jest nietylko rzeczą pożądaną, ale wprost konieczną. Brzmienie chóru ma być aljażem wszystkich głosów, a nie jaskrawą mozaiką. Rzecz naturalna, że piękny i silniejszy głos zawsze się odbija od reszty, ale chodzi tu o umiar, tak bardzo potrzebny we wszystkim. Życzeniem jest, ażeby ta kwestja stała się mniej drażliwą i ażeby dyrygenci mogli bez obaw w razie potrzeby ingerować. Wierzę (a może się łudzę), iż same gwiazdeczki chórowe im w tym dopomogą.

Minio różnych usterek konkurs śpiewaczy wykazał dosyć poważny postęp naszego śpiewactwa. Należałoby także coś napisać o zaletach i tu mi z pomocą przychodzi artykuł w „Śpiewaku”, wychodzącym w Katowicach, napisany przez jednego z sędziów naszego konkursu p. Leopolda Janickiego, nacz. dyrygenta Zw. Śl. Kół. Śpiew.

Emanuel Guziur.

(C. d.)

## ZWYCIĘSKI SKOK

Stanęli zawodnicy na skoczni.

Czekają wszyscy na znak, by kolejno runąć z całą, ogromną energią w dół, a później, jak orzeł wzlecieć w górę, z wężłami w dół i smreków się zrównać, popłynąć i dopaść znowu na ten biały, ukochany śnieg.

Ośmnaście zawodników — —

Wszyscy pewnie zwycięstwa — —

I Tomek jest między nimi, i Tomek pragnie zwyciężyć.

W okolo skoczni zebrani są ludzie, którzy z entuzjazmem zwycięzcę zawodów przybyli powitać.

Patrzy Tomek bojaźliwie pomiędzy ludzi zebranych, na moment się uśmiecha, przymiera powieki, śni i marzy o zwycięstwie. Ma rozkaz zwyciężyć. Jeżeli zwycięży, weźmie zasłużoną nagrodę, jeżeli jednak nie wykona rozkazu, napewno i przed karą się nie uchyli.

Zaczęli skakać — —

Sędzia dawał znak, zawodnicy kolejno skakali, a w krótką chwilę po tem, ogłaszał wynik przez tubę.

Tomek skacze ostatni — —

Skaczą zawodnicy, jak ptaki wzbijają się w powietrze, a głos w tubie ogłasza:

— Sześćdziesiąt jeden —

— Pięćdziesiąt dziewięć —

— Sześćdziesiąt trzy —

— Sześćdziesiąt jeden —

Przyszła kolej na Tomka.

Spojrzał jeszcze raz na tłum zebranych ludzi, nabiera otuchy, widzi, jak trzyma chusteczkę, do powiewania już przygotowaną, jak ją kurczowo w zębach trzyma, jak może ona sama modli się najwięcej o jego zwycięstwo.

Ruszy! — —

Tomek nie widzi teraz, tylko tę najdroższą, która zwyciężyć mu rozkazała, a która może modli się o jego zwycięstwo.

Przysiadł na pędzących nartach, jak ryś się przy-  
czaja który na swą ofiarę skoczyć się gotuje.

Rozkaz zwyciężyć!

Mostek — —

Tomek przeży się i całą swoją potężną energią odbija się od niego.

Rozpęd rzucił nim w przepaść — —

Tęczą wzbija się w powietrze jak orzeł płynie, wysokości smreków, zda się, dorównywuje, byle tylko najdalej, byle tylko zwyciężyć.

Dopada ziemi.

Sunie po białym podłożu rozpęd maleje i Tomek w końcu staje obok zbiorowiska ludzi — widzów.

Powiewają chustki po chłopcach ogłasza wszystkim wynik Tomkowego skoku:

— Sześćdziesiąt trzy i pół! —



# Harcerstwo

Franciszek Machalski.

## W Dniu Myśli Braterskiej

Dziś serca wszystkich skautek biją w rytm zwycięski —  
niemy okrzyk triumfu uderza w pierś świata!

Nad ludzkie niepokoje, niedole i klęski  
nasza pieśń wichru lotem nad ziemią przelata!

Drży na falach eteru przedziwna depesza,  
z serc małych radjostacyj w świat skautek wysłana —  
na innych serc antenach uśmiechem się wiesza,  
hymnem nowych upojeń drży duszy membrana...

Zniknęły lądów dale i bezkresy morza —  
siedzimy przy mistycznym dziś razem ognisku,  
z dusz nam się wypromienia precudowna zorza  
nowej ludów epoki w rąk bratnim uścisku!

Nasz sztandar ponad ludy, jak płomień, wystrzela —  
łączy je, wiąże razem, stapia w jedną bryłę!  
Nasze hasło się w dusze, jak pocisk, wycela,  
nienawiść w miłość zmienia, słabość ducha — w siłę!

Siostry-skautki, dziś niesiem wam żarne życzenie,  
by człowiek człowiekowi stał się wnet człowiekiem —  
by dzień myśli braterskiej nie przeminął cieniem,  
lecz, by się stał braterskiej odłąd myśli wiekiem!

—::—

## Przed Dniem Myśli Braterskiej

Dzień 22 lutego, t. j. dzień urodzin obojga Naczelnych Skautów świata, obchodzony jest już od kilku lat przez wszystkie skautki jako Dzień Myśli Braterskiej.

— Najwięcej dotychczas —

Rozległ się ten głos w pobliskim borze, echo dalego poniosło, jako zwiastowanie wszystkim borom i całym gróniom, że ich Tomek zwyciężył, że ich Tomek skoczył najwięcej.

— Mało — szepnął Tomek, sam do siebie, będzie bura. —

Wtęły wszędzie Tomka te same, białe chustki, te same głosy wiwatowania.

Spojrzał w tłum.

Widzi —

Oczy jej jakoby posmutniały, chustka ciągle kurczowo trzymana w zębach, — poznał Tomek, — mało skoczył musi teraz koniecznie być więcej.

Skaczą znów zawodnicy, drugi raz walczą o zwycięstwo.

I znowu odzywają się wyniki z tuby:

— Sześćdziesiąt i pół —

— Sześćdziesiąt dwa —

— Sześćdziesiąt trzy i pół —

Niesie echo dźwięk ten ziwrogi, gróniom i borom całym go oznajmia, i powraca, Tomkowi głos gróni i borów bo ucha szepce.

— Oj, Tomku, już jesteś dościgniony, musisz chlubać i nas okryć.

Znowu spojrzał w tłum ludzi ona patrzy na niego czyta Tomek z tych ukochanych oczu to samo, co już echo mu oznajmiło.

Po sposobie, w jaki spełniasz swój obowiązek, poznasz wartość swoją.... A co to jest obowiązek? Jest to zadanie powszechnego dnia.

Goethe.

skiej. W dniu tym skautki całego świata łączą się myślą z swymi siostrami, rozszaniami po wszystkich częściach kuli ziemskiej. Ogarniają serdeczną, życzliwą myślą druchny w dalekich, obcych państwach, często nawet nieznane sobie bliżej, lecz bliskie sobie wspólnymi idealami, poczuciem należności do wielkiej rodziny skautowej. Wszak jedno z naszych praw powiada, że „harcerka — za siostrę uważa każdą inną harcerkę”.

Służba wspólnym ideałom, zbliża nas mimo tysięcy kilometrów odległości, pozwala porozumiewać się mimo różnicy języka, kultury, pochodzenia.

W Dniu Myśli Braterskiej łączymy się w serdecznym uczuciu nie tylko z harcerkami dalekich krajów, lecz dzień ten powinien zacieśnić węzły siostrzane wśród nas samych, pracujących na jednym terenie.

Uświadamijmy sobie, że tworzymy jedną wielką całość, wielką rodzinę. O ile w rodzinie panuje wzajemna miłość, harmonia, wtedy każda radość jest przeżywana o wiele głębiej, zaś wszelkie niepowodzenia, trudności, łatwiej się przezwyciężają, gdyż członkowie czerpią z atmosfery miłości rodzinnej siłę do znoszenia przeciwności losu.

I my, zrozumiałwszy w całej pełni znaczenie tej wspólnoty uczuć, opartej na tych samych ideach i programach, połączymy serca nasze w Dniu Myśli Braterskiej niewidzialną nicią harcerskiej, siostrzanej serdeczności, która da nam siłę i hart do znoszenia trudu życia codziennego.

Irena Zagórska.

— Oj, Tomku, już jesteś dościgniony, musisz zwyciężyć, musisz chlubać i nas okryć.

Przymknął Tomek oczy, ma rozkaz, a nawet już dwa, musi zwyciężyć, bo biada, jeżeli...

Ma silne postanowienie — musi cel osiągnąć.

Najlepszy wynik drugich skoków:

Sześćdziesiąt trzy i pół —

Sędzia daje znak. Tomek rusza.

Nie popatrzył na ukochaną, bał się, że nie wytrzyma tego widoku, że wyrazu tych oczu nie znieśnie. Miał postanowienie, siła i niezlomne — zwyciężyć. Tak zwyciężyć!

I znowu rozpęd, znowu ten świst w uszach przegromny, jak poprzednio, znowu to odoicie od mostka i ulecenie w przepaść.

Czy zwycięży?

Do skoku tego włożył Tomek całą energię duszy i serca, cały ten żar rozkoślawanej swej krwi, to postanowienie niezłomne, te rozkazy dwa —

Oj, Tomku, musisz zwyciężyć, musisz chlubać i nas okryć —

— Płynął —

Tomek przywarł oczu, czy zwycięży, niewiedomo. Głuchy wstrząs — Tomek ląduje.

On ostatni —

Powiewają chustki, serca wszystkich młotem uderzają, głos z tuby oznajmia:



# TEATR AMATORSKI

## Jak reżyser poprawia

Wielki kłopot dla reżysera nasuwa „poprawianie” na próbach. Metody są tutaj różne. Przedewszystkiem dają się wyróżnić dwa sposoby „poprawiania”. Spotykamy reżyserów, którzy potrafią poprostu przerobione miejsce sztuki zagrać na scenie. W przeciwieństwie do tego rodzaju pokazywania względnie poprawiania, niektórzy reżyserzy wyjaśniają całą sytuację do najsubtelniejszych jej odcieni słowem. Jaką drogą postępować w danych warunkach, to trudno powiedzieć. W pierwszym wypadku trzeba być bardzo dobrym amatorem, a w drugim potrzebny jest giętki język. Dla początkujących zdaje się najlepiej zasłosować pierwszy sposób poprawiania. Tak też podaje i wiele podręczników. W ciągu pracy przychodzi się jednak do innego poglądu. Wiemy, jak wygląda u nas na scenę pierwszy raz wprowadzony Janek czy tam Marynka. Rola wykuta na pamięć, deklamowana zupełnie bez ruchu. Reżyser bardzo ostrożnie powinien przystąpić do formowania tej plasteliny. Najprościej znowu wypada pokazać amatorowi, jak należy wykonać dany ruch, a więc np.: lewa ręka do góry, prawa nieco w tył, oczy „wybałuszyć”, machnąć prawicą w kierunku drzwi i krzyknąć: „Proszę natychmiast wyjść!” Reżyser pokazał cały ten ruch. Powtarza niezgrabnie, amatorki się śmieją, cały zawstydzony powtarza jeszcze raz niepewnie i znacznie gorzej. W domu taki ruch ćwiczy, ćwiczy źle, w następstwie czego ruch na wieczorku będzie nienaturalny i niezgrabny. I tak na pierwszy ogień odbiera się sposobność samodzielnego myślenia nad ruchami. Amator powinien kombinować, jak ten ruch wykonać, a reżyser go tylko naprowadza. Może nie wszystko bę-

dzie tak, jak sobie tego życzy reżyser, ale będzie ruch własny amatora, a nie nieudolnie zkopjowany ruch reżysera. To jedna rzecz. Druga, zdaje się o wiele ważniejsza, powoduje, że wszyscy amatorzy mają te same ruchy, bo pochodzą od jednego, a trudno wymagać, żeby w naszych podgórskich wioskach byli reżyserzy, którzyby umieli pokazywać ruchy dla każdego typu inne, sięgające do daleko idących szczegółów. Wiemy dalej z doświadczenia, iż ruchy pierwszego występu przechodzą w ruchy stałe. Amator uważa ruchy te za dobre i jedyne, stosuje je raz, drugi, dziesiąty, aż się zakorzenia na zawsze. Spotykamy to bardzo często i u najlepszych naszych amatorów. Widzimy go pierwszy raz na scenie, drugi, ósmy a wiecznie, do znudzenia czasem te same ruchy, niech to będzie w tragedji, dramacie czy komedji. Uważać też bacznie należy na naśladowanie ruchów amatorów między sobą. Każdy winien mieć odrębne, oryginalne ruchy! W stosunku do młodszych amatorów najlepiej iść drogą pośrednią. Trochę pokazać, trochę powiedzieć, pochwalić, raz drugi wymagać jeszcze lepszego ruchu lub wymowy, aż wkońcu doprowadzi się do dobrego wyniku. Starszych amatorów z większą praktyką sceniczną poprowadzić przy pomocy objaśnień, przyczem omówić raczej cel ruchu, to co ma ruch uwydatnić, aniżeli opisać sam ruch.

Wielkie błędy a szczególnie, gdy te się przytrafiają lepszym amatorom, może reżyser poprawić w cztery oczy. Nie można tak postępować zawsze, bo wiem poprawiając jednego uczą się wszyscy. Zachodzą częste, a jakże częste wypadki, że amator po kilku uwagach, po kilku powtórzeniach czuje się dotknięty, obrażony. Przez to pokazuje jedynie, że nie dorósł jeszcze na scenę. Im więcej poprawień, tem lepiej opanowuje się rolę, tem więcej komplementów dla amatora, reżyser tak dowodzi, iż dany amator potrafi o wiele więcej i piękniej niż pokazuje. Poprawianie zaczyna się po gruntownym objaśnieniu sztuki i ról. Reżyser z sali śledzi przebieg sztuki, inspicjent uważa na ruchy wskazane przez reżysera, a reżyser pilnuje, by sceny i akty tworzyły harmonijną całość. Lekkie błędy poprawia się po przeciwczeniu sceny czy aktu. Wielkie i zasadnicze błędy poprawia od razu. Dobrze więc, jeżeli się sztuki nie ćwiczy całej podczas jednej próby. No, ale to już należy do samego ćwiczenia sztuki.

Zważmy obecnie stosunek reżysera i inspicjenta na próbach do amatorów. Reżyser musi sobie wyrobić wśród zespołu autorytet. Autorytet jest najbardziej decydującym czynnikiem w pracy teatralnej. Wszyscy muszą być przekonani, że ich reżyser nawięcej umie i najlepiej. Nie chodzi o zaprowadzenie rygoru w koleżkach lecz o wyrobienie poczucia posłuszeństwa i obowiązku. Krzykiem nie dojdzie się daleko! Trudno tutaj pisać, jak należy postępować, zależy to od materiału, z jakim się pracuje i od danych warunków. W każdym razie można podać kilka punktów, o których należy pamiętać. Reżyser przygotowuje się sumiennie. Obmyśla sytuacje w domu i z gotowem projektami przychodzi na próbę. Jeżeli ktoś przez dwa

— Zwycięski skok, największy kiedykolwiek na tej skoczni osiągnięty, skok rekordowy —

— Sześćdziesiąt siedm —

Zabiło gwałtownie Tomkowe serce — zwyciężył. Tomek Zwycięzca — sześćdziesiąt siedm —

Niesie echo radosną nowinę groniom całym i borem bekdzkiem — Tomek — sześćdziesiąt siedm — rekord — zwycięstwo — chluba — —

Rozkaz spełniony.

Popatrzył —

Już chustka ukochanej powiewa w powietrzu, za zwycięstwo mu dziękuje.

Spełnił omek rozkazy, należyta weźmie też nagrodę.

Oj, Tomek jest bardzo szczęśliwy, dziękuje Bogu, że dał mu zwyciężyć.

Rozkazy spełnione —

Sześćdziesiąt siedm —

Będzie nagroda —

A gronie i bory bekdzkie rozhoworzyły się całe, hejnał dziękczynny zanoszą Tomkowi, za zwycięstwo, za skok zwycięski.

Bo był to prawdziwie skok zwycięski!

Józef Ondrusz.



dzieścia prób znienienia w jednym i tem samem miejscu ruchy, dekorację to ośmiesza się przed innymi i daje dowód, że sam nie umie wiele. Notować i jeszcze raz notować sobie wszystko! Reżyser nigdy nie wytyka amatorowi jego słabostek i interesów z życia prywatnego. Klótnie nie należą i nie wchodzi w program pracy scenicznej. Na próbach nie wie reżyser, kto jest jego kolega Józef, kto jego narzeczona Marta, kto wójtowa Stefka itd. Idealne równouprawnienie! Poprawiając reżyser inaczej podchodzi do jednego, inaczej zwraca uwagę drugiemu. Są amatorzy zdolni, ci

zazwyczaj rolę przeciągają, trzeba więc trochę temperamentu ująć. Tych najłatwiej poprawić, bo też ich jest najmniej. Inni, a tych jest najwięcej, stoją poniżej poziomu swego zadania. Tym trzeba poświęcić wiele czasu i cierpliwości. Reżyser powinien poznać swych ludzi i stosownie do tego pracować. Przy poprawianiu ma się dwoje uszu. Jedne słyszą wszystko, co wchodzi w zakres sztuki, drugie są głuche na docinki, czasem tak drastyczne. Uzbroić się w świętą cierpliwość i dobroć, bo pracujemy nie dla siebie, nie dla zysku, ale pracujemy dla całego społeczeństwa.

—:—

## Jak opracować wykład?

Temat wykładu powinien być zřęcznie ułożony, zaproszeniu na zebranie. Musi być zřęcznie ułożony, żeby zainteresował i przyciągnął członków na zebranie. Często można temat podać w formie pytania, np. zamiast: „Konieczność organizacji młodzieży” o wiele lepiej jest powiedzieć: „Dlaczego młodzież musi się organizować?”

Każdy wykład musi się składać z trzech części, ze wstępu, osnowy i zakończenia.

1. **Wstęp.** Wstęp musi być krótki. Mówca musi we wstępie przedewszystkiem zainteresować słuchaczy. Zacznie od czegoś znanego lub ciekawego i wskaże na to, że sprawa, którą chce przedstawić we wykładzie, jest nader ważną. Oprócz tego poda mówca we wstępie dyspozycję całego wykładu. Po wysłuchaniu wstępu musi słuchacz wiedzieć: 1) dlaczego mówca właśnie o tej sprawie mówi i 2) co będzie mówił.

2. **Osnowa.** Właściwego tematu mówca nie będzie omawiał we wstępie, tylko w osnowie. Materiał podzieli mówca na kilka punktów. Podział, czyli dyspozycja jest konieczna przy każdym wykładzie. Osnowa może być albo objaśnieniem jakiejś sprawy, albo odparciem zarzutów.

3. **Zakończenie** W zakończeniu musi mówca wyciągnąć wnioski z tego, co powiedział w osnowie. Zakończenie musi być właściwe, t. zn. takie, aby się do niego słuchacze mogli zastosować. Zakończenie musi być naturalne, t. zn. wypowiem tylko te myśli, które każdemu słuchaczowi podczas słuchania osnowy nasunęły się. Zakończenie musi być krótkie i poręczające. Słuchacz musi wyjść z wykładu przekonany o tem, że tak powinien uczynić, jako mówca powiedział w zakończeniu.

### Z a s a d y.

1. Wykład powinien trwać 20 minut, najwyżej pół godziny. Tylko dobry mówca może zainteresować słuchaczy w dłuższym wykładzie. Długi wykład, chociażby dobrze opracowany, staje się nudnym i nie osiąga celu.

2. Wykład należy dosłownie wypracować. Zwłaszcza tacy mówcy, którzy nie często jeszcze przemawiali, powinni koniecznie wypracować dosłownie wykład. Żaden mówca nie powinien wygłaszać wykładu bez ułożenia sobie choćby dokładnej dyspozycji.

3. W wykładzie należy tylko to mówić, co należy do tematu. Mówca musi zawsze mieć przed oczyma pytanie: o czem chce mówić? i drugie: czy to, co chce mówić, odnosi się do tematu jego przemowy?

4. Sposób przedstawienia rzeczy w wykładzie musi być naturalny i jasny, prawdziwy (nie przesadzać, mówić tylko prawdę!), dostosowany do pojęć słuchaczy. Jednym z bardzo ważnych środków do jasnego przedstawienia rzeczy jest przytaczanie wykładów, powoływanie się na życie codzienne, na wiadomości z gazet i doświadczenia osobiste. Doświadczeni mówcy podają następującą receptę na popularne i skuteczne wykłady: Jeżeli osnowę podzieliłem na 3 części, wtedy dobieram 3 odpowiednie przykłady, dostosowane do pojedynczych punktów dyspozycji i w ścisłym związku z niemi przedstawię temat.

### III. Jak wygłaszać wykłady?

Wykładu koniecznie trzeba się wyuczyć na pamięć. Czytany wykład nigdy nie ma tej siły, co wygłoszony z pamięci. Mówić trzeba powoli, wyraźnie, bez polykania końcówek wyrazów, podkreślając przy mówieniu najważniejsze słowa zdań i najważniejsze ustępy całego wykładu. Wykład należy wygłaszać donośnie, lecz nie za głośno.

Przemawiający musi zawsze pamiętać o tem, że wykład w Stowarzyszeniu nie jest ani mową, ani wykładem profesorskim. W mowie rozchodzi się przede wszystkim o poruszenie uczucia, namiętności, o porwanie słuchacza, choćby za pomocą frazesów. Wykład musi kształcić, podawać wiadomości, a zarazem porwać słuchacza, zachęcić do dobrego, — musi przemawiać do rozumu i do uczucia słuchaczy.

## DZIAŁ KOBIECY

### UCZNIOWSKIE ŚNIADANIA

Pożywienie młodzieży w wieku szkolnym musi dostarczać każdej cząstce organizmu materiał który zastąpiłby zużyte tkanki, a że ruchliwość młodzieńca, gry, sporty wymagają dużego nakładu sił zrozumiała jest konieczność dostarczania organizmowi dostatecznych zasobów. Oprócz tego dziecko rośnie, musi więc wytwarzać nowe tkanki. Jeśli równowaga między pożywieniem otrzymanem przez organizm a szybkością rozwoju wszystkich tkanek nie jest zachowana następuje zastój całego organizmu.

Tymczasem w tym okresie dzieci są kapryśne i nie chcą przestrzegać zleceń matki przy odżywianiu



się. Młodzież huntuje się przeciwko jakimkolwiek dyktandozłom, o ile objawiają się w skrepowaniu jej gustów, jej zachęci. Mleko! chleb! tego nie lubimy. I cóż robią matki? Oto przestają przygotowywać dotychczasowe kromki chleba które tak często wracają nniętknięte, a natomiast do ręki uczniowskiej wkładają pieniądze na zakup tego, co się młodzieży podoba.

Dziecko za otrzymane pieniądze kupuje ciastka, pieczywo, pozbawione najcenniejszych dla dziecka witamin i to jest powodem złego wpływu na organizm. Nic dziwnego, że dziecko nie lubi pokarmów zdrowych i naturalnych, jak mleko, chleb razowy, jarzyny itp. A to są właśnie potrawy, które powinny być spożywane na drugie śniadanie, gdyż zawierają potrzebne pierwiastki.

Zczego pawinno by się składać drugie śniadanie uczniowskie? 1) Z filiżanki ciepłego mleka, w szkole otrzymywanego w szkole, 2) kawałka chleba z masłem, marmeladą, serem. Dobrem uzupełnieniem są owoce, które można zmienić z 1 żniża od pory roku i zasłapić suszonemi. W czasie silnych mrozów można dać tabliczkę czekolady, która rozgrzewa organizm. Śniadanie musi być czyste i apetycznie zapakowane w papierze czystym, nie gazetowym, który przechodzi przez dziesiątki rąk a druk odbija się na jedzeniu.

Odżywianie młodzieży jest to sprawa wielkiej wagi, mogąca się odbić niekorzystnie na zdrowiu całego pokolenia. A chyba głównie matki, które wychowują młode pokolenie, powinny dołożyć jaknajwięcej starań, aby i fizycznie było ono godnym przedstawicielem polskiego narodu.

Ł. W.

## Kronika światowa

**Premjer dr. Hodża w Paryżu.** Premjer i minister spraw zagranicznych dr. Milan Hodża przybył w niedzielę 9 lutego b. r. do Paryża. Minister wziął udział w uroczystym obchodzie ku czci prezydenta Masaryka, który się odbył w teatrze Sorbony i w którym wziął udział także prezydent Francji Lebrun. Rozmowy polityczne, które prowadził min. Hodża z różnymi politykami francuskimi, toczyły się około kwestji powrotu Habsburgów do Austrii, stanowiącej największą bolączkę Małej Ententy, oraz o planie utworzenia bloku gospodarczego państw naddunajskich.

**Pakt francusko-sowiecki.** W najbliższym czasie ma być ratyfikowany pakt francusko-sowiecki. Liczni parlamentarzyści francuscy wypowiedzieli się w debacie przeciwko ratyfikowaniu. — Prasa angielska stwierdza jednomyślność prasy polskiej w sprawie tego paktu. Nawet pisma opozycyjne, które dotychczas stały w obronie sojuszu polsko-francuskiego, występują przeciwko pktowi francusko-sowieckiemu z wszelką stanowczością. Zdaniem pism angielskich stanowisko Polski dyktowane jest niedowierzaniem w szczerość polityki sowieckiej w środkowej i wschodniej Europie. „Daily Mail” przypuszcza nawet możliwość wypowiedzenia sojuszu polsko-francuskiego na wypadek, gdyby pakt ten miał być ratyfikowany przez parlament francuski. W tym sensie miał się wypowiedzieć jeden z polskich dyplomatów.

**Oficjalne straty Włoch.** Włoskie ministerstwo

wrjny ogłosiło listę strat armji krajowej od początku kampanji afrykańskiej. Mają one wynosić 844 zabitych i zn arłych wskutek chroób. Lista ta nie obejmuje strat włoskich wojsk kolonialnych, składających się z krajowców afrykańskich.

**Powstanie w Abisynji.** Coraz częściej nadchodzą z Abisynji wiadomości o powstaniu, które miało się rozpocząć w prowincji Godżam i które podobno rozszerza się na inne prowincje. Na czele powstańców stoi abisyński naczelnik Taba Jochan, do którego przyłączyło się dalszych pięciu naczelników. Cesarz utworzył osobną armję dla stłumienia powstania.

**Zalarg sowiecko-japoński.** W ostatnich tygodniach dochodzi do krwawych starć na granicy mandżusko-sowieckiej pomiędzy oddziałami sowiecko-monogolskimi a oddziałami mandżusko-japońskimi. Japonja uważa naruszanie granic Mandżukuo jako „wojnę bez wypowiedzenia wojny” i zapowiada energiczną kontrakcję.

**Zamalo uzbrojeni.** Tempo zbrojeń staje się coraz to większe. Rząd angielski opracował plan dozbrojeniowy, na którego zrealizowanie potrzebnych będzie 300 milionów funtów (36 miliardów Kč), i który ma być wykonany w przeciągu 3 lat.

**Socjalista Leon Blum pobity.** Znany francuski przywódca socjalistów Leon Blum został napadnięty przez grupę studentów z obozu royalistów i krwawo pobity. Po wypadku zebrala się rada ministrów na nadzwyczajnem posiedzeniu, na którym uchwalono rozwiązanie związków: Ligi Action Francaise, Związku Studentów Action Francaise i narodowej federacji Camelots du Poi. Przenoszono liczne rewizje domowe u działaczy prawicowych.

**Morderstwo polityczne.** W Davos w Szwajcarii student Dawid Frankfurter z pochodzenia żyd. zastrzelił przywódcę narodowych socjalistów Wilhelma Gustloffa w jego mieszkaniu. Zbiegł, lecz później sam się stawil do dyspozycji władz bezpieczeństwa. Zznał, że czynu dokonał z pobudek politycznych, aby się zemścić na hitlerowcach w Rzeszy.

**Tragiczne skutki orkanu śnieżnego.** W Bułgarii szalecie orkan śnieżny, którego ofiara padło dotychczas 84 osób, które zmarły, i kilkaset rannych.

## KOMUNIKATY

**ZE Z. Z. E. M.** Zwracamy uwagę wszystkim ZEM, chcącym przeprowadzić zmianę statutu, żeby się z tem wstrzymały aż do następnego komunikatu. — Sekretarjat ZZEM.

**BYSTRZYCA.** Walne Z. E. M. W niedzielę, dnia 23 lutego b. r. odbędzie się w salce zborowej o godz. 2 po poł. Walne Zebranie ZZ. E. M., na które wszystkich członków i przyjaciół związku jak najserdeczniej zaprasza Zarząd.

**Komunikat dla Kółek Samokształcenia.** Jak powstała książka? Oto tytuł bardzo ciekawego referatu, ilustrowanego szeregiem obrazków. Człowiek, żyjący na świecie już kilka lat przed Chrystusem, pragnął utrwalić swoje myśli na czymś stałym. Utrwalanie to odbywało się z początku bardzo prymitywnie. Stworzono różnego rodzaju pisma: obrazkowe, klinowe, hieroglificzne itd. Ten powolny, lecz stały rozwój



techniki pisarskiej od powstania pierwszej książki aż do obecnych czasów, w których rozwój sztuki drukarskiej stoi bardzo wysoko, ujął treściwie i ciekawie p. Wiktor Sembol, drukarz z Fryszlatu. Każde Kółko Sam. powinno go na jedno ze swoich zebrań zaprosić i zapoznać się z rozwojem pisma i sztuki drukarskiej.

Kółko Samokształ. Dolno- i Średnio-Suskie.

**GRODZISZCZ.** Miejscowe Koło Macierzy Szkolnej urządza w niedzielę, dnia 23 lutego br. o godz. 7 wieczorem w sali „Braterstwa” wieczorem, na którym zostaną odegrane 2 komedje: „Babska rewolucja” i „Stryj przyjechał”. Po wieczorku odbędzie się zabawa towarzyska.

**KOŃSKA.** Miejscowe I. Koło Macierzy Szkolnej urządza w niedzielę, dnia 23 lutego b. r. o godz. 18.30 w sali p. Waleczowej wieczorem, na którym zostanie odegrana komedja Wilczyńskiego p. t. „Najnowsze swaty”. Po przedstawieniu zabawa towarzyska. Zarząd.

**SUCHA GÓRNA.** Połączone Koła Macierzy Szkolnej i „Siła” w Suchej G. i Śr. na „Podlesiu” urządza we wtorek, dnia 25 lutego b. r. w sali p. Waleczka „Ostatki”, na które serdecznie zapraszają.

—:—

## Piotr Skarga

Z pism poetów i pisarzy t. zw. „Złotego Wieku” literatury polskiej (druga połowa wieku XVI) wionie szlachetny duch obywatelski, wzywający Polaków do miłości ojczyzny, wskazujący im drogę służby dla niej, a zarazem potępiający postępowanie ówczesnej szlachty. Lecz nie pomogły nic prośby, ni zaklęcia poetów, bo Polska za panowania Zygmunta III Wazy zaczęła staczać się w ciemną otchłań przepaści. Właśnie w tej naglącej chwili pojawia się na widowni dziejów Polski największy kaznodzieja, iakiego kiedykolwiek naród polski wydał. Był to jezuita Piotr Skarga Powęski. W tym roku, a nawet w bieżącym miesiącu obchodzimy czterechsetną rocznicę urodzin tego, jak go później nazwano, „tyrana dusz ludzkich”.

Już od najmłodszej młodości odznaczał się wspaniałą wymową, przepięknym charakterem i czynami miłosierdzia względem chorych, ubogich i więźniów. Talent jego wymowy, uzupełniony wykształceniem na Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie i we Wiedniu, postawił go na szczycie największych mówców polskich. Powszechna jego sława spowodowała powołanie go na stanowisko rektora nowozałożonej Akademji w Wilnie (r. 1578).

Po dziesięciu latach zostaje powołany przez Zygmunta III Wazę za nadwornego kaznodzieję. Zatem przeniósł się do Krakowa na dwór królewski i tutaj, a później w Warszawie (kiedy stolica tamże została przeniesiona) przez 23 lat pełnił tę zaszczytną funkcję. Teraz też występował na sejmach polskich jako „poseł, ale nie jednego powiatu”, t. zn. iako poseł rze-

przez ludzi wybrany, lecz wysłany przez samego Boga z poselstwem do narodu. By go nawoływał do poprawy. A „poselstwo” pełnił Skarga dobrze, głównie zaś w swych kazaniach sejmowych, wygłaszanych w dzień otwarcia każdego sejmu. Piętnował w nich z niesłychaną odwagą grzechy narodu względem matki-ojczyzny, wzywając naród ten do opamiętania i pokuty. Przepowiadał mu zarazem w słowach pełnych grozy i wstydu upadek Polski, jeżeli nie nastąpi poprawa. Ale już w roku 1611 zmęczony pracą opuścił Warszawę i osiadł w Krakowie, gdzie niebawem zakończył swe światobliwe życie i spoczął w kościele św. Piotra.

Znaczenie Skargi na polu literackim jest bardzo wielkie. Napisał on między innymi dzieło p. t. „O jedności Kościoła bożego”, zaś w celu umoralnienia Polski opracował „Żywoty Świętych”. Jednak na czoło jego twórczości literackiej wysuwa się osiem „Kazań sejmowych” wydanych po raz pierwszy w r. 1597. Kazania te zawierają wszystkie myśli i uczucia, wszystkie przestrogi i wady, te wszystkie zaklęcia i prośby, które Skarga wygłaszał w sali sejmowej. Dzieło to zawiera całokształt jego nauki o patriotyzmie, nauki najwspanialszej, na iaka zdobyła się literatura polska przed Mickiewiczem. Kazania te są jednocześnie surowym, strasznym lecz niestety, sprawiedliwym rachunkiem sumienia narodu polskiego, co Skarga uważał za grzech wobec najlepszej matki-ojczyzny.

Szyrocki Henryk.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

**Czytelnikowi „Ogniwa” z Tyry.** Co to jest dyskusja, pyta Pan? Otóż słowo dyskusja pochodzi od łacińskiego wyrażenie (discutere), oznaczającego: rozrywać, rozrzucać. Dyskusja wywiązuje się po wykładzie lub referacie. Otwiera ją przewodniczący zebrania (mówi: „Dziękuję za rzeczowy i wyczerpujący referat. Teraz przystępujemy do dyskusji: kto z obecnych zapisuje (zgłasza) się do głosu?”). Zebrani zapisują się wzgl. zgłaszają się do głosu i przemawiają w porządku, jak im przewodniczący głosu udzieli. W dyskusji wolno przemawiać tylko o tem, co się ściśle łączy z wykładem. Mówcy dyskusyjni powinni mówić krótko i nie powtarzać tego, co już powiedziano. Dyskusja jest szerszym omówieniem spraw, poruszo-

nych w wykładzie. Jedni dzielą się swojemi spostrzeżeniami i uwagami, inni zapytują o wyjaśnienie rzeczy niezrozumiałych, lub też zbijają wywody główne go mówcy. Dyskusja bardzo przyczynia się do pogłębienia, urozmaicenia i większego zrozumienia sprawy omawianej w referacie.

—:—

Psychika nasza jest wytworem życia narodowego. Kto sądzi, że umie się obyć bez narodu, objawi tylko brak głębszej oryginalności. Życie narodowe jest jedynym medjum zachowania własnej indywidualności. Jest to stasliwe prawo dziejów, i ja pierwszy zgrzeszyłem w pismach swoich, zapoznając je.

Stanisław Brzozowski.



# Obrady Dyrygentów okręgowych

Posiedzenie zagał prezes Związku p. dyr. Piotr Feliks powitaniem obecnych i złożeniem życzeń noworocznych. Doniósł także o zdarzeniu w naszej rodzinie śpiewaczej, a mianowicie o ślubie głównego dyrygenta p. prof. Guziura, któremu imieniem Zarządu złożył gratulacje. Specjalnie powitał gościa w osobie delegata Kółek samokształcenia, nowego dyrygenta okręgowego p. Brzóske i pracownika na polu zbierania śląskich pieśni ludowych p. naucz. Tacinę z Ol-drzychowic.

Po odczytaniu i zatwierdzeniu protokołu z ostatniego posiedzenia Zarządu oraz z posiedzenia przy-djalnego zabrał głos delegat K. S., który w obszernym referacie przedstawił współpracę Chórów z Kółkami samokształcenia. Interesujący ten wykład ogłosili-sy już w jednym z poprzednich numerów naszego dwutygodnika.

Referat wywołał żywą dyskusję, w której zabie-rali głos prawie wszyscy obecni, podnosząc wielkie znaczenie takiej współpracy obu Kółek, która z pew-nością przyczyni się do podniesienia oświaty w sze-regach naszej młodzieży. Uchwalono wydać do chórów osobny okólnik, w którym wezwie się je do zbadania terenów własnych i przystąpienia do zapoczątkowa-nia omawianej współpracy. Jeden z okręgowych dy-rygentów podzielił się z obecnymi krótką historią powstania i rozwijania się oraz stałej czynności Kółka samokształcenia, z której wynikało, iż praca taka, prowadzona konsekwentnie i programowo, budzi w młodzieży wielkie zainteresowanie, wyszukała ją na przyszłych dobrych pracowników społecznych i stwa-rza podwaliny uświadczenia narodowego. Mówca wskazał na bardzo ważny moment, wpływający na sprawność w prowadzeniu Kółek, a mianowicie ra-dził, by przewodniczącego oraz referentów wyznaczać tydzień naprzód. Uniknie się wówczas nieprzyjemne-go zaskoczenia danego członka i powstania w obra-dach nieprzyjemnej sytuacji wyczekiwania, aż wybrany przewodniczący lub referent ochłonie z pierwszego wrażenia i rozroczone prowadzenie obrad lub referat. Jeżeli wybierze się te osoby naprzód, na-tenczas mają one czas na przygotowanie się i wy-wiaza się wówczas należycie ze swego zadania.

Wynikiem tej żywej dyskusji było sformułowa-nie całego szeregu konkretnych wniosków, dotyczą-cych organizowania Kółek, prowadzenia obrad i zgła-szania ich do władz, co poda się do wiadomości członkom Związku. Prócz tego wygłaszać się będzie na ten temat referaty na walnych poszczególnych okręgów.

Skarbnik Związku zdał sprawozdanie z kasowo-ści ostatniego ćwierćrocza. Szczegółowe zestawienie rozyci w dochodach i wydatkach dało jako wynik sumę 3449 Kł w dochodach, 3194 w wydatkach, tak iż do nowego roku kalendarzowego wchodzimy z go-tówka 255 Kł.

Nastąpiły w dalszym ciągu sprawozdania: dyry-genta głównego i poszczególnych dyrygentów okrę-gowych. Mimo, iż wszyscy na posiedzeniu obecni byli świadkami ostatniej wielkiej imprezy Związku, a mianowicie Konkursu śpiewaczego w Cz. Cieszyńie, to jednak z wielkiem zainteresowaniem wysłuchali sprawozdania dyrygenta głównego p. prof. Guziura.

Dowiedzieli się bowiem o szczegółach pracy przygo-towawczej, o wnioskach co do wręczenia nagród zwy-cięskim chóróm, o listach pochwalnych, które otrzy-mają wszystkie biorące udział w konkursie chóry, jako też i o tem, iż w imprezie tej wzięło udział prze-szło 400 śpiewaków. Słusznie więc prezes Związku nazwał dyrygenta głównego duszą tej imprezy i wy-razil mu podziw oraz uznanie za tę pracę, która wy-kazała wiele zrozumienia rzeczy i była nacechowana wzorową karnością. Wszyscy obecni podzielali w zu-pelności zdanie Prezesa.

Ustalono termin Walnego Związku na niedzielę, 22 marca b. r. po południu. Przed tym terminem mu-szą jednak okręgi odbyć swoje Walne, by w ten spo-sób przygotować materiał na główny sejmik śpiewac-twa w Cieszyńie.

Sporo czasu zajęło omawianie zjazdu śpiewacze-go w Warszawie. W tym celu zostanie utworzony z najlepszych śpiewaków reprezentacyjny chór męski oraz mieszany. Dyrygenture chóru męskiego obejmuje dyrygent główny p. prof. Guziur, mieszanego dyry-gent okręgowy p. naucz. Wojnar. Szczegóły pracy przygotowawczej zostaną podane do wiadomości później.

Również wielce interesujące było sprawozdania poszczególnych dyrygentów okręgowych. Każdy prze-prowadził w swym okręgu w ubiegłym roku kalenda-rzowym liczne wizytacje, kierował prace występów okręgowych i czuwał nad tem, by praca w chórach okręgu jego powierzonej pieczy szła zadowalającym tempem i pomyślnie się rozwijała. Ciekawy fakt ma-my do zanotowania w okręgu Biedowickim, gdzie z okazji zjazdu okręgowego oraz konkursu, objętego programem tego zjazdu wręczono śpiewakowi p. Krzystkowi Bolesławowi dyplom uznania za jego wy-trwała pracę śpiewacką. Wymieniony w orzeczeniu pieciu lat nie opuścił ani jednej próby iako też ani jed-niej imprezy, na której występował chór, którego p. Krzystek jest członkiem.

Wzór godny naśladowania. W przyszłości o ta-kich pilnych śpiewakach i śpiewaczkach postanowio-no pamiętać, przyczem rozważano możliwość zabra-nia takich członków na zjazd do Warszawy bezpłatnie.

Referatu p. nauczyciela Tacinę, pilnego zbiera-cza pieśni ludowych śląskich, wysłuchali obecni z wielką uwagą. Referat ten dał powód do zabierania liczych głosów w dyskusji. Wszyscy mówcy uznali wielką wartość opublikowania i uwiecznienia tej żmudnej pracy drukiem. Postanowiono zwrócić się do Akademii Umiejętności w Krakowie z prośbą, by śla-skie pieśni ludowe zechciała wydać jako odrębna ca-łość i stworzyć w ten sposób cenne źródło badań na-szego folkloru.

---::---

Czeka nas... wielki wysiłek, na który my wszyscy, nowoczesne pokolenie, zdobyć się musimy, jeżeli chcemy obrócić tak daleko koło historii, aby wielka Rzeczpospolita była największą potęgą, nie tylko wo-jenną, ale także kulturalną, na całym Wschodzie.

Józef Piłsudski.



## Dział rozrywkowy.

1. Łamigłówka: Z liter a a a e n n n n o o r r t y ż z utworzyć w kwadracie, podzielonym na 16 mniejszych kwadratów, 4 wyrazy, mające następujące znaczenie: 1) lekarstwo, wyrabiane z ryby, 2) pora dnia, 3) nasienie o silnym zapachu, 4) niezbędne narzędzie domowe.

2. Na polanie pasł pastuszek owce. Przychodzi do niego turysta i pyta się go, ile ma owiec. Pastuszek odpowiada: „Gdyby ich było 3 razy tyle, moje 2 burki, ja i oni panoczku ku temu, toby ich było 250. Ile owiec miał pastuszek?”

3. Łamigłówka: Na polowaniu ubito 120 sztuk zwierzyny, zając i kuropatw. Razem mają te zające i kuropatwy 320 nóg. Ile jest zające, a ile kuropatwy?

## ROZWIĄZANIE, Z NUMERU 2.

1. Rozsypanka: Kto się usuwa w ciszę i cień, ten się do żywych nie liczy. Do tych należy jutrzejszy dzień, co nowych pragną zdobyć.

2.

100	50	180	170	500
180	170	100	50	500
50	180	170	100	500
170	100	50	180	500
500	500	500	500	

3. 1. Wiara 2. w 3. powodzenie 4. prowadzi 5. do 6. zwycięstwa.

## OBRAZ A. GROTTGERA



Prenumerata pojedynczego numeru w kraju 50 h, zagranicą 15 gr. — Kwartalnie 3.— Kč.

Adres redakcji: Czeski Cieszyn, ul. Dworcowa 18.

Redaktor odpow.: Karol Bocek, Cz. Cieszyn, Cegielniana 7.

Wydawca: Komitet Wydawniczy.

Drukiem W. Nitkiewicza w Cz. Cieszynie.



Używanie znaczków gazetowych pozwolone reskr.  
Dyr. Poczt i Tel. w Opatowie, l. 55.661—III—35 z dnia  
4. XII. 1935. Pocztowy urząd podawczy: Čes. Těšín.

Nr. 5

1 MARCH 1936

ROK II

# OGNIWO

:-:

**DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ**

:-:

**PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFORMACYJNYM  
OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM - SPORTOWYM I WYCHOWAWCZYM**

## Piękno Tatr



Widok ze skoczni na Halę Gąsienicową.





Droga do Morskiego Oka.



Widok z Hali Gąsienicowej.





### KULTURA W ŻYCIU PRAKTYCZNEM

Na zapytanie co to jest „kultura“, rzadko kto z nas odpowiedziałby jakąś definicją naukową — odpowiedzielibyśmy obrazowo, że składają się na nią takie rzeczy jak: malowidła, rzeźby, wynalazki, pomniki na placach, wielkie monumentalne budowle itp. Uczony pochylony nad mikroskopem, badający w swoim ciuchym gabinecie bakterje, śpiewak czy artysta dronatyyczny grający przed tysiącem ludzi, którzy dla niego zebrawi się w wielkiej sali teatralnej — to obrazy łączące się z naszym pojęciem „kultury“. Wogóle słowo „kultura“ budzi w nas szacunek, łączy się z wyobrażeniem rzeczy wielkich, pięknych, cennych i ważnych. Kulturę rozumiemy jako coś oddalonego od naszych codziennych spraw, coś „na niedzielę“, coś, co tylko od czasu do czasu jest nam dostępne, radując i podnosząc na duchu jak dzień niedzielny po szarych dniach tygodnia.

Jednak podobne tłumaczenie słowa „kultura“ byłoby zbyt szczupłe — posiada ono znaczenie o wiele szersze. W znaczeniu tem oznacza nie tylko rzeczy oddalone od nas, do których tylko niekiedy i na krótki czas mamy dostęp; — ale określa te sprawy, które wiążą się najściślej z naszym codziennym życiem i stanowią o pełni bogactwa i piękna życia każdego człowieka.

Zatem nasuwa się określenie „kultura osobista“ człowieka. Ludzi, którzy ją posiadają poznajemy łatwo. Cechuje ich przede wszystkim na każdym kroku panowanie nad sobą. Wpadając w gniew nie wybuchają potokiem ordynarnych wyzwisk, ale zachowują się godnie, zawsze spokojnie i stanowczo. Kultura osobista to umiarkowanie w jedzeniu i picu, we wszelkiej zabawie i rozrywce, oraz w postępowaniu i pracy. W pracy szczególnie, bo praca jest umiejętnością i wymaga wprawy i ćwiczenia. Człowiek niekulturalny pracuje nieregularnie, bezplanowo i osiąga też rezultaty małe. Bo, żeby praca wydała owoce musi być prowadzona systematycznie, według pewnego porządku — planu i w oparciu o te siły i środki, które mamy do dyspozycji. Jedną z najważniejszych spraw w naszym życiu jest stosunek do otoczenia, do bliższych i dalszych ludzi, z którymi się stykamy (kultura postępowania). Człowiek niekulturalny drży przed swoim zwierzchnikiem, schlebia i poniża się przed silniejszym zaś słabszego od siebie traktuje wyniośle i dręczy, nie bacząc na to, że może stać się tak, iż jutro jego samego w ten sposób potraktują. Posiadanie kultury osobistej wymaga poczucia godności własnej, ale uczy równocześnie podporządkowania się wspólnym celom wyższymi (narodowym, społecznym). Widzimy więc jasno, że nie mamy tu do czynienia z jakimiś nieuchwytnymi teorjami, kwestjami papierowymi, książkowymi — lecz ze sprawami realnymi, związanymi z naszym codziennym życiem.

Mówiąc szerzej o kulturze, mamy na myśli naukę i wiedzę. Ludzie ciemni lekceważą książki, nie słuchają dobrych rad od mądrzejszych i doświadczeńszych, i dopiero bolesne doświadczenia życiowe uczą ich pokazując jak wiele stracili tkąc w ciemnocie. Znowu więc nie myślę o jakiejś wiedzy papierowej, nie mającej życiowego znaczenia. Mam tutaj na myśli przede wszystkim wiedzę praktyczną. A zatem niezależnie od tego jaki zawód wykonywamy zawsze powinniśmy się starać o rozszerzanie i pogłębianie wiedzy zawodowej, oraz opanowywać coraz lepiej technikę naszej pracy (tzn. ulepszać narzędzia pracy i kształcić swą umiejętność w posługiwaniu się nimi). Ale umieć pracować to jeszcze za mało. Jakże np. obejść się w życiu bez znajomości praw i przepisów władz? Nieznając tych rzeczy, narażamy się mimowoli na przekraczanie ich i dalej na tysięczne przykrości i szkody z tego powodu. Weźmy na przykład inną dziedzinę nauki — wiedzę o człowieku. Wielka to rzecz znać się na ludziach. Do jednych ludzi mamy jakieś naturalne, instynktowne zaufanie, inni odpychają nas od siebie. Ale im więcej umiemy tem rzadziej będziemy mylić się w naszych sądach, tem mniej rozczarowania i przykrości dla nas. Im więcej wiemy i umiemy tem łatwiej jest nam przystosować się do ciężkich warunków i wydobyć choćby z najgorszych kłopotów. Wiedza — nauka jest wszechstronną i nieograniczoną. Uczymy się zaś nie tylko z książek, ale z życia, z tego co słyszymy, co widzimy i co przeżywamy sami. Uczymy się aż do śmierci i z wzrostem naszej wiedzy rośnie nasza kultura.

Jednak i to jeszcze nie wszystko. Cóż nam po mnóstwie wiadomości, jeśli nie wiemy co z nimi począć? Człowiek chciałby nadać swemu życiu jakiś kierunek, uczynić je pięknym i dobrem, a do tego sama wiedza praktyczna nie wystarcza. Nie żyje bowiem człowiek w odosobnieniu, każdy dla siebie, na swojej łecz. Żyjemy zorganizowani, jesteśmy w związkach, w społeczeństwie, narodzie i państwie. Od tego co dzieje się z narodem i państwem zależy pośrednio i bezpośrednio nasz los, — i od tego co dzieje się z nami zależy los narodu — państwa. Musimy zatem dobrze orjentować się i umieć odróżnić pożyteczne od szkodliwego prawdę od fałszu. Czytając gazety spotykamy się z różnemi zdaniem, ale nie nam te zdania nie powie, jeśli nie będziemy mieli zdania własnego. Żyjemy w czasach niespokojnych, kiedy niesposob odrywać oczu od przemian dokonujących się wokół nas. W zmianach tych my młodzi musimy mieć swój udział. powinniśmy rozumieć nasz czas i żyć zgodnie z duchem tego czasu!

-SZ.-

Nacóż dano nam życie, jeśli nie na to, aby się nauczyli pełnić swą powinność?

Adam Mickiewicz.



## JAN KOCHANOWSKI

Któż nie zna imienia jednego z największych polskich poetów, ojca języka polskiego literackiego twórcy pierwszego dramatu?

Jan Kochanowski urodził się w roku 1530 w Sycynie jako syn ziemianina. Pierwsze swoje nauki zawdzięcza matce swojej, kobiecie nadzwyczaj wykształconej, i mądrej. Następnie udał się przypuszczalnie na uniwersytet do Krakowa, później wyjechał zagranicę i w Padwie, na najbardziej znanym uniwersytecie studiował. Wówczas kwitł we Włoszech prąd odrodzenia, to znaczy prąd, który dążył do zerwania z opieraniem się na autorytetach średniowiecza, i poznania siebie samego, jako człowieka. Ten też prąd nakazywał naśladować niewolniczo protoplastów i epigonów rzymskich czy greckich. Powoli jednak humaniści, bo tak się nazywali ci którzy hołdowali temu prądowi, zaczęli pisać wiersze w swoim języku. Po skończeniu studiów w Padwie udał się Kochanowski do Paryża, poczem wrócił do Polski. Tu dostał się na dwór królewski, który go jednak nie bawił i wkrótce poszedł na wieś, gdzie przepędził resztę życia z żoną swoją i dwoma córeczkami. Urszulą i Hanną. Tu też umarł. Tak mniej więcej przedstawiałaby się biografia jego, jako człowieka. Jako poeta, Kochanowski zaczął pisać w Italji, początkowo po łacinie. Kiedy jednak zapoznał się z dziełami włoskich humanistów, zaczął pisać po polsku.

Po łacinie napisał wiele wierszy, prz. ważne miłosnych. Kiedy jednak był w Paryżu i prz. jął się zdaniem Ronsarda, poety odrodzenia, że: „zbrodnia jest nomatać żywym językiem, a odgrzebywać Bóg wie jak stare popioły” i Reja: „wszak Polacy nie gesi, też swój język mają” — zaczął pisać po polsku. Wtedy powstał słynny wiersz liryczny: „Czego chcesz od nas Panj!” — pełen uczucia, wiary i głębokiego poddania się. Z Paryża odwołała go do Polski śmierć jego matki, gdzie dostał w spadku połowę wsi Czarnolasu. Tutaj też poszedł na dwór Firleja i Zygmunta Augusta, który „za zasługi około piśmienictwa ojczystego położone”, mianował go

sekretarzem. Na dworze powstały „Fraszki”, czyli zbiór krótkich wesołych względnie poważnych wierszy.

Wogóle twórczość Kochanowskiego można podzielić na trzy okresy: młodzieńczy, dworski i czarnolaski.

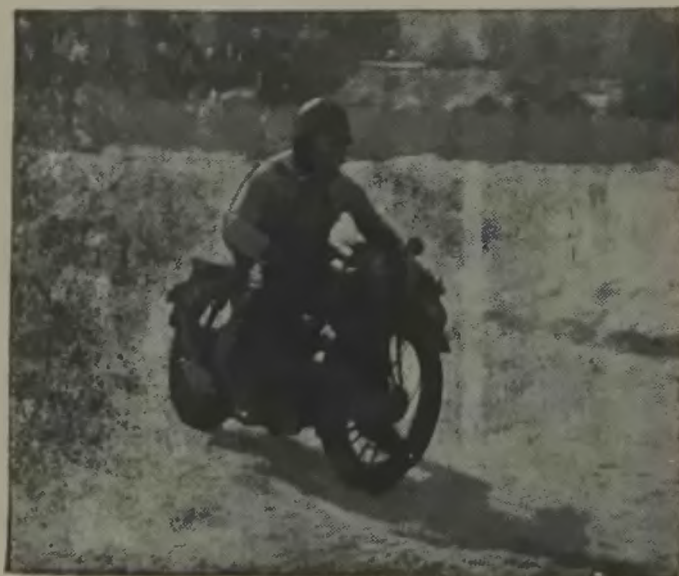
W pierwszym okresie pisze poezję miłosną, łacińskie i polskie na wzorach klasycznych. Wiersze łacińskie są świetne — co świadczy o niezmierniej umiejętności łaciny, polskie wiersze są szczere i głębokie pod względem uczuć. Język jest wolny prawie od młotliwości, a forma wierszowa czysta.

W drugim okresie powstaje wiele pieśni i fraszek. W swych Pieśniach ilustruje poeta stosunki 15. wieku, w „Fraszkach” przedstawia wesołość dworu polskiego i szlachty.

Trzeci okres jest najważniejszym. Poeta usatkwował się i pisze poważne wiersze „sobie i muzom” jak powiada, nie dla rozgłosu ani sławy. Tu powstaje „Odprawa posłów greckich”, pierwszy dramat polski — tragedia oparta na pierwowzorze greckim Eurypidesa, napisana w roku 1578 a odegrana na weselu Zamojskiego. Do najważniejszych prac należy „Psa'terz Dawidów”. Psalmi są pięknie tłumaczone, język opanowany, a chociaż nie jest to pierwsze tłumaczenie, jednak ma znaczenie wielkie. Bo któż nie zna psalmu 91, „Kto się w opiekę”? Dalej napisał drugą część „Fraszek”, „Dziwosłęb” i cały szereg drobnych wierszy. Największym jednak dziełem są „Treny”, pisane po stracie swojej najdroższej córeczki Urszulki, pełne sentymentu i głębokiego żalu. Opłakuje swą córeczkę szczerze i przez dobór wyrazów na niejednym wywiera głębokie wrażenie. Są one naprawdę arcydziełem.

Wogóle Kochanowski jest człowiekiem wielkim, poetą z bożej łaski a aż do Mickiewicza nikt go nie przewyższył. Kochanowski obdarzony talentem, rozumem i natchnieniem był poetą w całym tego słowa znaczeniu, którego zawsze będą czcili narody.

Alojzy Michałek.



Międzynarodowe wyścigi motocyklowe.



Wyścigi konne.



# Ze wspomnień....

(II nowelka konkursowa)

Pamiętam...

Trzy lata temu...

Uczęszczałem wtedy do szkoły wydziałowej...

Mieszkam u stóp mocarnych, osnutych historyczną legendą gór. Jedynym mem marzeniem, marzeniem dwunastoletniego chłopca w świetle księżycowej ballady był romantyczny zjazd na nartach ze szczytu góry aż w daleki dół...

Marzenie kielkowało w mojej duszy jak przenicze ziarno w czarnogłębie, z młodzieńczą mocą i brawurą...

Lata mijaly —

Idea sportu, która wówczas zajęła wyłącznie na własność moją duszę, życie i wogóle całe istnienie, rozkwitała w bujny kwiat, któremu było za ciasno w wąskich ramach szkoły. Całem jestestwem pragnąłem wzbic się wyżej, ponad zwykły poziom, szaleństwo unosiło mnie w zaczarowane wymarzone świąty, któremi były góry, góry w zimie, — rozłożone wspaniale, majestatycznie u mych stóp, jak archaiczne lodowce, owiane ponadziemskim urokiem.

Góry spowite w białym płaszczu śnieżystych gwiazd!

Góry, — raj mych marzeń i pragnień!

Marzenia snuły się przed menj oczyma jak jedwabna nić, potężniejsza z każdą chwilą...

Wierzyłem, że muszę się dostać w krajnę mych odwiecznych snów i tęsknot, że kiedyś zawiodą mnie losy w nieznane siedlisko cudów, że raj otworzy przedemną swe bramy, że marzenia me się zrealizują.

Nadeszła 3-cia klasa szkoły wydziałowej...

Minęły święta Bożego Narodzenia, zanikły bezpowrotnie czary wigilij i majestat narodzin Zbawiciela...

Dla mnie chłopca ubogiego było jednak najważniejszym to, że otrzymałem na swą własność prześliczne narty, o których tak długo marzyłem...

50% mych snów było więc spełnione...

Książki dla mnie stały się czemś obcym, a nawet wrogiem. Dziś uświadamiam sobie to, że czyniłem wówczas źle, lecz trudno wejść w psychologję młodego człowieka, w którym w huraganową potęgą rozpłomieni się fala namiętności do pewnej idei, w danym wypadku do idei sportowej, która zresztą jest symbolem dążeń i celów przeważnej części młodzieży.

Wiem, że idea sportu była wówczas dla mnie świętością, nie dbałem o to, że na końcu stycznia ujrzałem w świadectwie kolumnę matematycznie wyższych, wśród których jedyna nota z gimnastyki wylamywała się z pod ogólnego porządku w postaci wznosłego: cel.

Ale mniejsza z tem... Grunt, że wśród wszystkich moich kolegów i koleżanek, a nawet grona nauczycielskiego dojrzała wielka, a dla mnie prawie święta myśl urządzenia zimowej wycieczki na Kozubową... Projekt przybrał realne formy... Termin został wkrótce ustanowiony... Za chwilę szliśmy...

Twarze nasze były jakby bukietem wonnych, świeżo zerwanych kwiatów różnokolorowych, roześmianych rajskiem szczęściem...

Wycieczka zimowa!

Najpierw kroczył szpaler narciarzy, wśród których znajdowałem się i ja, za nami włościła się bezładnie gromada z saneczkami, złożona przeważnie z dziewcząt.

U naszych stóp zamajaczyła wkrótce Kozubowa, jak olbrzymio rozłożony stożek o falistych bokach. Stała przed nami w całej swej potędze, a myśmy przez chwilę patrzeli na nią w niemym podziwie.

Po chwili rażnego marszu ocknęliśmy się na szczycie góry. Rozpoczęły się szaleńcze zjazdy z pochyłych ścian górskich. Pędziliśmy na złamanie karku, jak wściekle renifery na lodowej Grenlandji...

Z uśmiechem wzgardy patrzyliśmy na 'biedne saneczki... Dla nas brakowało przestrzeni!...

Pierwsze godziny poświęciliśmy treningu. Wycieczkę chcieliśmy uświęcić popołudniowymi zawodami i akrobacją narciarską.

Wreszcie nadeszła 13-ta godzina...

Każdy z nas stał z dechem zapartym, z wrzeniem w piersiach, z myślą o zwycięstwie...

W błękitnej dali naprzeciw Kozubowej z drugiej strony Olzy stała w swej okazałości góra zaklętych rycerzy — Czantorja... Słońce rzucało obfite blaski na grubą warstwę śniegu...

Zawody się zaczęły... Nie byłem świetnym jeźdźcem... lecz wrodzona ambicja pchała mnie z całą mocą wprzód... Pędziłem jak warjat z pochyłej bieżni...

Chwil tych nie zapomnę nigdy... W obłądnym biegu w zawodach z wichrem, w których przebiegaliśmy lotem błyskawicy bezkresne przeszerzenie odczułem prawdziwe szczęście, o którym śniłem po nocach... Nie widziałem nic — — — lzy i śnieg przesłoniły mi widnokrąg... Przed oczyma tuman śniegu, mgły...

Nie wiem jak długo tak pędziłem. — Zdawało mi się, że nie jestem już mieszkańcem ziemi, lecz pozaziemską istotą, pędzącą w wieczność... Wtem w oczach mych zawirował chaotyczny zamęt, — — —

Straciłem pod nogami grunt. — — —

Runąłem. — — —

Gdy się teren trochę rozjaśnił, ujrzałem nad sobą potężną przestrzeń, stromo nachyloną do podstawy, na której leżałem w alabastrowej gęstwie śnieżnej. Na dole nie było nikogo... wszyscy zjeżdżali, lub leżeli w śniegu znacznie wyżej.

To były pierwsze moje zawody. Czulem zawrotny ból w głowie. Wstałem powoli i rozprostowałem członki. Przez ciało przebiegł dreszcz... Po chwili ruszyłem w górę.

Jak długa to była droga, jak ciężka! Lecz szedłem z wesołą myślą. Za chwilę przyłączyłem się do innych. Każdy był roześmiany, umorusany srebrzystym puchem. Zwycięzcy nie można było znaleźć... Nikt nie wiedział kto zjechał pierwszy, kto padł, kto nie... Każdy opowiadał o swym zjeździe. Wszędzie pełno krzyku i gwaru...

Następnie popisywano się techniką narciarską, którą mało kto znał. Jeden z kolegów, który opanował już w wysokim stopniu technikę narciarską, pokazał nam wspaniałą kristjanję. Ponieważ ja na podobną ewolucję nie mogłem sobie pozwolić, patrzyłem tylko z bijącym sercem na inne ozdoby zjazdowe, wykonywane przez najlepszych narciarzy naszej szkoły. Tymczasem godziny biegły...

Zrozumieliśmy, że za chwilę skończą się nasze „gody“. Wtem rzucił ktoś myśl, żeby zrobić prymitywną skocznję, dla wykonania mniejszych skoków. Po chwili już stała! Zaszliśmy skakać...



Skakałem pierwszy raz w życiu... lecz co to za rozkosz!... oderwać się od ziemi, wzbąć się w górę i sunąć w dal... Radość nasza nie trwała jednak długo. W krótkie skupiono nas w jedną masę, uczyniono kilka zdjęć fotograficznych i wydano rozkaz do oddżazdu. Musieliśmy — choć serca krajał bezsilny ból a w duszy rosła zgorzkniała gorycz.

Lecz trudno... Trzeba było opuścić zaczarowane królestwo, pełne lilijnych czarów i iść w tę szarą dal...

Po chwilowym smutku i żalu zebrało się nas kilku wisusów i postanowiliśmy odłączyć się od wycieczki, której opieszałość działała drażniąco na nasze nerwy i według swego stylu pędzić wdół. I pędziliśmy — — — ostatnia nasza rozkosz — — —

Gdy zjechaliśmy wdół i zaczęliśmy się oddalać

od Kozubowej, zaczął zapadać zmierzch. Ciemne chmury zasnuwały powoli bezkres błękitu, na którym pojawiały się pierwsze gwiazdy.

Ślady po reszcie uczestników wycieczki zamarły —

Nad zachodem zamieniała się purpura w błękitnawy fiolet. Zmierzch ciemniał — — —

W sienie dali majaczyły niewyraźnie sylwetki domów. Za nami została daleko ciemna smuga lasów...

Myśl stawała się tępą, zgasły w niej promienie szczęścia, kości przenikał dziwny ból. Zmęczenie...

Wreszcie zapadła noc — — —

Wspomnienia! Wspomnienia!.. Jak cudnie z was snuć srebrną baśń... baśń złotej młodości...

Karol Noga.



Wieża podporowa kolejki linowej na Kasprowy.



Kto raz się wzniosł na szczyty....

## KRYTYKA

Krytyka to rzecz dobra, twierdzi jeden; to nikczemność mówi drugi. Możemy rozróżnić dwa jej rodzaje. Jeden to krytyka zazdrosna, wypowiadana bez namysłu, powodowana specjalnymi przyczynami. Drugi, to krytyka rzeczowa, bezstronna, obiektywna, która chce wydać sprawiedliwy wyrok, wykazać faktyczne błędy i wady. Pierwszy rodzaj to psie głosy, które nie idą pod niebiosa. Na słowa takie nie należy zwracać uwagi, ni się też niemi przejmować. Drugi zaś, to rady, nauki. Słowa krytyki takiej należy przyjąć, przesiać przez gęste sito, zastanowić się nad niemi. Wglądać dokładnie w siebie, poddać ostrej ocenie swoje poczynania. Kiedy zaś po należytem i sumiennem rozważeniu przyjdziemy do przekonania, że zarzuty pod naszym skierowane adresem są słuszne, wtedy starajmy się na przyszłość unikać wad i niedomagań, jakichśmy się dopuścili, które nam wytknięte zostały. Lepsza sprawiedliwa i słuszna nagana, niż fałszywa pochwała.

Jak wszystko inne, tak też i krytyka ma swoją prawą i lewą stronę, swoje plus i minus. Niejednego wytknięcie mu wad, chociażby ono było słusz-

ne i podstawowe, może zniechęcić do dalszego czynu, zetrzeć radość z czoła jego, stać się przyczyną, dla której dana osoba nietylko, że porzuci wszelką myśl dalszej współpracy, lecz zaczyna płynąć przeciw prądowi.

Jakimi zasadami powinni się kierować jedni i drudzy? Ci, którzy krytykują, powinni należycie rozważyć każde słowo, zanim je wypowiedzą. Należy starać się wczuć w położenie osoby, której niedomaganie wytykać chcemy i pomyśleć sobie, czy lepiej potrafilibyśmy się wywiązać z danego zadania. Żaden też słuszny krytyk nie będzie twierdził, że jego jedynie zdanie, jego pogląd, są zawsze i wszędzie prawdziwe, święte. Ci zaś, którym przyszyto słuszne czy niesłuszne łatki niechaj nie wściekają się odrazu, lecz starają się zachować równowagę i panowanie nad sobą. Niech zastanowią się bliżej nad czynionymi im zarzutami. Kiedy zaś po należytej rozwadze, przyjdą do przekonania, że mają słuszność, wtedy niech puszcza słowa nagany mimo uszu. O ile zaś przyznają słuszność krytyce, wtedy niech starają się nie powtarzać fałszywych kroków.



## Obrona sałasza

Słowo sałasza czy szałas przechodzi już dzisiaj do historii. W odległych czasach było sałaszy sporo. Dzisiaj są w zaniku. Na sałasza wypędzali gospodarze swe owce i krowy, gdzie je zostawiali całe lato pod opiekę owczarza i baczówki. Owczarz pasł powierzone mu owce, zamykał je w koszorze, wydawał i strzegł. Wiernym towarzyszem i pomocnikiem owczarza był pies. Oprócz psa i owiec nie widział nierzadko owczarz cały pól — czy i dzień żadnej żywej duszy. Na barkach owczarza leżał trudny obowiązek. Zdarzały się wypadki, że na stado owiec napadały wilki. Odpędzić mięsa chciwe wrogi i obronić powierzone owce, wymagało dużo odwagi. Owczarz bywał też zawsze uzbrojony. Zbroja ówczesna pozostawiała jednak dużo do ży-

świat. Spływały nieraz z góry melodje pieśni nabożnej, czy piosnki ludowej w świat. Zdarzało się, że odezwało się nieraz kilku owczarzy z różnych wierzchołków górskich. Melodje odbijały się od przeciwległych gór, łączyły się razem i spływały w doliny.

Owczarz miał też umówioną melodję, która przynosiła mieszkańcom złą wieść. Kiedy usłyszano w osiedlach pieśń:

„Stowejcie gazdowie,  
Przyszli tu Miechowie\*  
Owieczki rzezają,  
Sereczek papają“

wiedziano odrazu, że baczowi i owcom grozi niebezpieczeństwo. Porywano wówczas broń, jak fuzję, kosy, widły, siekiery i gnano z odsieczą. Rabusie



Bacza z fujarą.

czenia. Znalazła się jakaś fuzja, która pamiętała nabijanie zprzodu, był nóż myśliwski, siekiera góralska, łuk i sękaty kij. Jako broń nocna dla przepędzenia czworonożnego napastnika były rozpalone ognie. Kiedy więc stary bacza zwiertzył nieproszonych gości rozpalał watę z grubych kłód. Ogień taki trzymał się całą noc i bronił w koszorze spoczywających owiec.

Gorzej było, kiedy pojawili się na sałaszu zbójcy. A i takie wypadki się zdarzały. Nie istniały wówczas połączenia telefoniczne, ni inne zdobycze dzisiejszej techniki, ale i ówczesny człowiek nie był w ciemności bity. Umiał sobie radzić. Owczarze, nie mając normalnie innego zajęcia oprócz pasienia owiec, nie wypiekali się na słońcu, lecz starali sobie jakoś skrócić dzień. Każdy z nich bywał muzykantem — samoukiem. Wygrywali na fujarach kilka metrów długich, które sobie sami sporządzali. Zapomocą fujary porozumiewali się również z gospodarzami osiedloni spory nieraz kawał od sałasza. W czasie dnia ćwiczył sobie bacza na swej fujarze. Wieczorem zaś, po skończeniu wszelkich prac, siadał przed kolebą, kładł swój instrument muzyczny na pobliskim pniu czy kłodzie i wysyłał naprawdę nieraz ładne melodje w

nie czekali wtedy długo, lecz tracili się w okolicznych gąszczach.

Na jednym z sałaszy w Beskidach naszych, który to sałasza jeszcze istnieje, miał się zdarzyć następujący wypadek. Owczarz załatwiał swoje prace, zjadł sobie wieczerzę, obszedł koszor wkoło, czy szczelnie zamknięty i wszystkie płoty dobrze się trzymają, zrobił znak krzyża nad owcami, rzucił jakieś to zaklęcie i poszedł do koleby. Tuż poprawił ogień, usiadł sobie na ławie i zapalił fajkę. Nagle usłyszał żałosny bek owcy i ujadanie psa. Spojrzał przez szparę wśród ścian i zobaczył kilku drabów, którzy zdążali ku kolebie. Owczarz zrozumiał, że nie da sam rady i postanowił niby się poddać. Rabusie weszli do koleby, rzucili zabita owcę na ziemię, ściągali z niej skórę, wyrzucili wnętrzności i włożyli do kotła. Owczarzowi łzy stanęły w oczach, kiedy na to patrzył. Żal się mu bowiem zrobiło biednej owieczki. Rabusie niewiele zwracali uwagi na owczarza, lecz poczynali sobie, jakby u siebie. Kiedy się owca sporą chwilę gotowała rzekł bacza do zbójców, by sobie ją obrócili na drugą stronę, inaczej się im mięso źle ugotuje. Z pod kotła buchnął sil-

\* Znani rozbójnicy słowaccy.





Sałasz w szacie zimowej.

ny ogień, dym gryzł w oczy, z kotła zaś unosiła się gorąca para. Żaden więc z drabów nie miał ochoty zbliżyć się do kotła. Wtedy owczarz zaka-  
sał sobie rękawy u koszuli, podszedł do kotła, wsunął ręce do kipiącego rosołu i przewrócił go-

tującą się owcę. Następnie wyszedł przed kolebę i zagrał na alarm. Rozleciała się melodia pieśni: „Stowejcie gazdowie...” Zbójcy się przelekli. Oto bowiem widzieli, że owczarz sobie nie popa-  
rzył ręk, aczkolwiek je włożył do wrzącego rosołu.



Typy górali śląskich.



Typy górali śląskich.



Sądziłi więc, że mają przed sobą człowieka, który umie więcej, aniżeli chleb tylko jadać. W osłupieniu zapomnieli gdzie są. Gazdowie tymczasem



Typy górali śląskich.

usłyszawszy znaną melodię porwali za broń i gnali na sałas. Zbójcy zorjentowali się w ostatniej chwili, wypadli z koleby i pomknęli w las, zostawiając łup na miejscu.

Adam Klus.



Członek Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego z pełnym ekwipunkiem ratowniczym.

## TEATR AMATORSKI

Walter Zagóra.

### **Czy reżyser ma odgrywać?**

Reżyser w naszych sekcjach dramatycznych jest wszystkim. Co znaczy wszystkim? Wszystkimi — znaczy tyle samo co, sekretarzem — rozpisując role, gospodarzem — zakładając i rozbierając scenę, krawcem — przywiązując guzik i sznurki do kostiumów, amatorem — grając główną rolę, dyrygentem — ćwicząc pieśni i posłem kółka — zganiając na próby amatorów i odprowadzając po próbach amatorki, jeżeli się zdarzy, że nikt w daną stronę nie idzie. Naturalnie są to tylko roboty z grubsza, opuszczając np. lepienie na stoły i płoty afiszy, gonienie za pozwoleniem na starostwo i do wójta, pięć minut przed przedstawieniem »sznelpolka« za szpilkami ku kasie. I można by tak całe Ogniwo zapisać. (Takie ciekawsze roboty, sobie kiedyś zestawimy w takim szkicu: »Z miodów reżyderskich!«.)

Powiedzieliśmy, że reżyser bywa amatorem. Dobrze to czy źle? Ani dobrze, ani źle, bo jak najgorzej! Reżyser nigdy nie powinien grać roli i to co najczęściej się zdarza, głównej roli. Praca reżyderska, nasuwa tyle różnych trudności i odpowiedzialności, że jest wprost niemożliwą rzeczą pogodzić reżyserję i granie równocześnie. Reżyser grający z powodu pracy reżyderskiej, nie umie nigdy swej roli, co się odbija fatalnie na jego skórze, bo mu się nikt nie uczy, a sam nie umie, nie może czynić wymówki, że się inni nie uczą. Tak więc sam jest przyczyną podstawowego błędu. Reżyser widzi błędy, poprawi dobrze niedomagania innych, lecz nie może poprawić samego siebie. Będąc na scenie jest pozbawiony śledzenia sztuki z sali, w następstwie tego poszczególne części sztuki wyodrębniają się i nie dają całości. Przedstawienia nie osięgają coraz to wyższego poziomu, zchodzą raczej do poziomu zapasu między suflerem a aktorami. Słabsi amatorzy stękają, plotą



a reżyser jako odważniejszy i sprytniejszy zawiązuje ciągle but przed suflerem, by mu ten mógł trąbić tekst prosto do ucha. Praca taka psuje dobrych czasem reżyserów a w końcu ludzie ci takim mordowaniem zupełnie są zniechęceni i jedynie patrząc na to, że się ma posadę w tem lub innem towarzystwie z przymusem pracują. Wybierać lepiej sztuki, w których występują cztery osoby bez reżysera, aniżeli sztuki z dziesięciu osobami, gdzie reżyser ma główną rolę. Zresztą wiemy dobrze, iż najlepsi reżyserzy są najstarszymi amatorami, chociaż niema reguły bez wyjątków.

Reżyserja a aktorstwo, to zupełnie dwa odrębne rodzaje artystyczne. Znacznie gorzej przedstawia się sprawa, gdy pan reżyser sobie ubzdurał: „bez mojego odgrywania to nie pójdzie”. Nietylko że nie pójdzie, ale popłynie gładzusięńko całe przedstawienie. Zbiera się piękniejsze róże za wyćwiczenie piękne i fachowe, niż za najlepsze oddanie roli. Swoją drogą, że u nas nikt nigdy nie otrzymuje za reżyserję róży, musiałby sobie znowu reżyser przed lustrem sam wręczyć bukiet, otrzymuje się zato same kolce z róży na porachunku po przedstawieniu. Bo tam mówią: »Tropicie się, smykocicie się na próby, a macie dwacet korón czystego zysku.« Wielka prawda! Lecz reżyser woli być szarym kopciuszkiem i siedzieć choćby na kaktusach na scenie, niż przejmować się radami ludzi praktycznie patrzących na życie wygodnusięńkie pełne uznania zasług. Pocieszmy się tem, że to było i będzie, iż praca społeczna za-

leży od tych kopciuszków, których owoce zbierają »figury z orderami«.

Wielki talent sceniczny, Hagemann, mówi, że reżyser nie może grać, bo z chwilą kiedy gra na scenie staje się aktorem, a każdy aktor i ten najgenialniejszy potrzebuje reżysera. Czy mimo wszystkiego reżyser mógłby grać? Tak! Czasem trzeba w sztuce służyć. Przychodzi tylko raz na scenę przynosi list i mówi: »Począ proszę dla panów.« Zebrało się wszystkich możliwych amatorów, brak jednego. Wtedy rola wspomnianego słuźącego jest stworzona dla reżysera. To nie wstyd, że mała rola, bo przypomnijmy sobie zdanie:

»Niema wielkich ani małych ról, są tylko wielcy i mali aktorzy!«

Jeżeli pozwoliliśmy grać reżyserowi małą rolę, to zmieknijmy, pozwólmy mu grać i większą rolę. Dobrze! Niech gra i główną rolę! Kiedy ale? Zdarza się, że kilka dni przed wieczorkiem ktoś zachoruje, zajdzie przypadek śmierci w rodzinie amatora, lub główną rolę za małą rolę zaaresztują. Tu to nawet nietylko, że pozwolimy grać reżyserowi, reżyser musi rolę taką zagrać, boć on najlepiej zna całą sztukę więc i wolną rolę. Sprytny reżyser wejdzie i do sukni, biorąc rolę amatorki, lecz z tem bardzo ostrożnie, może to zepsuć całe przedstawienie. Skreślić raczej małą rolę żeńską, a amatorka choć nie wyuczy się dobrze roli to niebezpieczeństwo będzie częściowo zażegnane.

## Sport

### Wszystko się zmienia

U większości naszych ludzi wyobrażenie sali gimnastycznej wewnątrz przedstawia następujący obraz: na pierwszym planie stoi drążek, obok poręcz, z pod stropu zwisają różne krążki na linach, trapezy, po kątach jakieś odskocznie, konie z łękami i cały szereg różnych ciężarków żelaznych. Jakże się zdziwi taki człowiek, gdy wejdzie do sali gimnastycznej nowego pokroju i zobaczy — a właściwie nic nie zobaczy, bo cała sala prawie pusta. Tylko ściany pokryte jakimś drabinkami bardzo gęstymi, trochę tam lin i drabinek wiszących a w kącie koń, koń i skrzynia. Podłoga zakreślona jakimś liniami barwnymi w prostokąty, łuki, półkola, lampy w bocznych ścianach w dodatku z drucianą siatką, okna bardzo wysoko, chociaż bardzo wielkie a w dodatku balkon.

Gdy przyjdzie w czasie ćwiczeń to zamiast dawnej sztywnej musztry, wyczynów siłackich i akrobatycznych na drążku czy poręczach, zobaczy dwie drużyny, latające w obrębie owego prostokąta znaczonego liniami na podłodze; to koszykówka. Innym razem znów zabaczy siatkówkę; w czasie lekcji gimnastyki podziwia przeważnie ćwiczenia wolne, bez przyrządów, najwyżej jakieś zwisy na drabinkach, spacer po równoważniach, ławeczkach czy łątach i skoki mieszane czy przerzuty przez konia, kozła i skrzynię a cała lekcja gimnastyki przeplatana grami i grami; a więc dzieci szkolne grają w różne „berki“, „murzyny“, „ogrodniki“, „wybijanki“, „kogucie wojny“, „dwa ognie“ i t. d. a

starsi znów w koszykówkę i siatkę. Taki człowiek czytając gazety dziwił się, gdy przeczytał, że któregoś tam lutego odbył się np. w Tallinie mecz międzypaństwowy Łotwa—Estonja — „jako, tam już wiosna?“ — pomyślał. Po obejrzeniu jednak takiej sali nie zdziwi się, bo wie, że to wszystko odbywa się w sali gimnastycznej, wie już do czego owe linie na podłodze, lampy odrutowane i wie do czego służy balkon. Wie on, że gdy przyjdzie zimową niedzielą wieczorem do sali to nie zobaczy tam ani żadnego balu, czy zgromadzenia przedwyborczego, ni też wieczorku ni herbatki lub kina, ale dusza jego rozraduje się na widok drużyn czy starszych czy dorostu grających w siatkówkę czy koszykówkę, zobaczy ruch, ten ruch, który jest tak dla młodzieży potrzebny i którego ją pozbawia szkoła swym sedynteryjnym trybem, potem praca zawodowa oraz wymogi techniki zwłaszcza w miastach i okolicach przemysłowych.

Dawny drążek i poręcze należą już do przeszłości — niewiadomo co z niemi zrobić. Czesi wymyślili nową grę dla dzieci t. zw. „bradłova“, do której używają poręczy jako bramek, skąd też i nazwa tej gry. Warto by się dalej zastanowić co zrobić z drążkiem, może użyć jako żerdzi do jakiegoś transparentu głoszącego walkę przeciw wadzie sercowej?

E f e m.

Ciekawostki sportowe. Ciekawem by było, gdyby podczas meczu piłkarskiego któraś drużyna zaczęła bronić bramki nieprzyjacielskiej i atakować swoją. „Nonsens“ — pomyśli każdy. Tymczasem w koszykówce tak jest. Założenie gry w koszykówkę jest właśnie takie, że każda z dru-



żyn grających stara się o wrzucenie piłki do kosza własnego a tem samem musi bronić kosza przeciwnika, by tenże nie wrzucił piłki do swojego kosza. Dla piłkarza wydaje się to dziwnem, nawet niektórzy koszykarze o tem nie wiedzą, bo w praktyce, przy grze, uważamy za kosz nieprzyjacielski ten, który atakujemy chociaż w założeniu jest on nasz.

**Przeciwko opodatkowaniu imprez sportowych.** Jak donosi prasa czeska posłowie Veverka i Hladky wnieśli w parlamencie i w senacie wniosek, aby postanowienia ustawy z dnia 22 kwietnia 1922 o ściąganiu przez gminy podatku od zabaw zostały zmienione. We wniosku tym posłowie ostro występują przeciwko temu, że imprezy sportowe uważane są jako zabawy. Przeciwnie, imprezy te mają za zadanie informować ludność o stanie wychowania fizycznego młodzieży. Opodatkowanie takich imprez czyni ich wartość iluzoryczną. — Niewątpliwie wszystkie organizacje sportowe zainteresowane są w tem, by wniosek został przyjęty. Jest tylko kwestja, czy obciążone długami gminy będą mogły zrezygnować z opodatkowania imprez sportowych, przynoszącego nieraz wcale ładne dochody. Ustawa ta oczywiście nie odnosiłaby się do klubów profesjonalnych.

**Podatek od nart.** Nie lękajcie się, to nie u nas, lecz w Bułgarji. Bułgarski minister skarbu, chcąc zapłacić pustą kasę, obłożył podatkiem niektóre artykuły codziennego użycia, a wśród nich znalazły się i narty, za posiadanie i używanie których trzeba sypnąć rocznie 200 lewów (60 Kcz). Ponieważ jednak oburzeni do żywego narciarze nie śpieszą się z płaceniem podatku, urzędy podatkowe głównego miasta Sofji wpadły na pomysł wysłania do pobliskich i najbardziej uczęszczanych zimowisk swoich urzędników, którzy mieli kontrolować kwity podatkowe, a w razie nieposiadania takowych przez narciarzy, bez pardonu konfiskować narty. Narciarze jednak dowiedzieli się o planowanym zamachu na swoje narty, przybyli masowo do zimowisk bez nart i urządzili wobec urzędników podatkowych hałaśliwą demonstrację, zmuszając ich do »odwrotu«. Pierwszą »walkę zimową« zatem wygrali, czy jednak minister skarbu »podda« się, to jest rzeczą bardzo wątpliwą, znane jest bowiem nieubłagalne stanowisko panów podskarbich.

**Chłopiec z Mysłowic uratował statek koło Sachalinu.** Koło 10 grudnia ub. r. ugrzązł wśród lodów podbiegunowych koło wyspy Sachalin parowiec sowiecki »Łozowski«. 22 grudnia około godz. 14 uczeń gimnazjum z Mysłowic, Erwin Szado, zajmujący się gorliwie wiedzą radiową i posiadający aparat do odbierania fal krótkich, usłyszał znaki »S. O. S.« i wołanie: »Ratujcie nas. Możemy jeszcze pół godziny utrzymać się na wodzie. Jeśli nie nadejdzie pomoc, zginieimy. Znajdujemy się niedaleko Sachalinu.« Młody amator radja zawiadomił o tem natychmiast radjo w Katowicach oraz w Gliwicach na Śląsku Opolskim, a te stacje powiadomiły stację w Moskwie, która się połączyła od razu z Sachalinem i z załogą owego statku. Niedługo potem usłyszał potem p. Szado wiadomość z owego statku: »Jesteśmy uratowani. Sygnał nasz usłyszał Polak, który katastrofę zgłosił do radja, dzięki czemu dowiedział się o niej rząd sowiecki

i uzyskał połączenie z nami, oraz zarządził pomoc z Sachalinu.« Sachalin leży w odległości mniej więcej 8000 km w linii prostej od Mysłowic.

#### P. K. S. „STONAWKA” W STONAWIE.

Ogólnem staraniem obywateli powstał na Śląsku w Stonawie najmłodszy klub polski P. K. S. „Stonawka”, założony w sierpniu 1934 r. Plac na boisko uzyskano na parceli Pol. Domu Katol. Był to kawał pola o spadzie 1½ m. Trzeba było tę nadwyżkę ziemi zwieźć na miejsca niższe, by uzyskać w ten sposób przydatny teren.

Członkowie klubu, doceniając wyniki pracy zbiorowej, zabrali się ochoczo do pracy, przyjmując na siebie dobrowolnie przepracowanie na boisku 35 godzin. Od maja, w przeciągu półtora miesiąca, z powodzeniem doprowadzili teren do należytego stanu. W pracy naszej wspomagali nas starsi obywatele, za co im składamy serdeczne „Bóg zapłać”.

Mamy jednak do wszystkich obywateli Stonawy gorącą prośbę. Kochani Rodacy! Pamiętajcie na nas dalej! Urządzenie i ogrodzenie boiska pochłonęło dużo pieniędzy; mamy znaczne zobowiązania pieniężne. Uczęszczajcie na nasze imprezy i mecze w sezonie wiosennym :

Praca nasza w klubie — pozwolimy sobie skromnie twierdzić — da Wam poczucie zadowolenia z Waszych Synów, pracujących z poświęceniem nad ugrunтовaniem racji bytu Polaków w Stonawie.

Przybyła H.



Na przełęczy Spiglasowej.



**Z CYKLU OBRAZÓW A. GRÖTTGERA**





# DZIAŁ KOBIECY

## Wesołość

### Spokojne usposobienie - Radość życia

Mamy niejednokrotnie sposobność poznać, czy to z własnego życia, czy też przez obserwację życia drugich, znaczenie i wpływ usposobienia na nasz organizm i jego zdrowie.

Wiadomą jest rzeczą, że smutek osłabia działalność serca, intensywność oddychania, pracę żołądka, sprawność pamięci i umysłu wogóle. Oczywiście przy dłuższym trwaniu cały organizm pod jego wpływem niszczeje, staje się podatny do różnych chorób.

Z drugiej strony wykazuje doświadczenie, że wesołość i radość nadzwyczaj pobudzają nasz organizm, wzmacniają jego siły i wszystkie jego czynności. Wesołe usposobienie, wesoła myśl, radosna nowina — przyspieszają obieg krwi, potęgują wymianę materji i t. p., jednym słowem, wzmacniają nasze zdrowie.

A więc: Uczmy się być wesołymi, radujmy się z życia! Życie jest bardzo trudne i musimy je brać poważnie. Lecz uznając, że praca jest błogosławieństwem, gdyż nas nie tylko żywi, ale i wychowuje, szukajmy w życiu tego, co jest piękne i radosne, co nas może, jeżeli już nie rozweselić, to przynajmniej uspokoić!

Myśmy kapłankami ogniska domowego. Jakież szlachetne, piękne a ważne powołanie przeznaczył nam Bóg!

Jeżeli potrafimy wśród wielorakich i uciążliwych obowiązków domowych zachować spokojne, a nawet wesołe usposobienie, wtedy zyskamy dużo, nie tylko dla siebie, lecz naszym pogodnym czołem będziemy promieniować na nasze otoczenie. Pogoda ducha naszego udzieli się wszystkim członkom rodziny i dlatego: nam będzie lepiej, a im też weselej.

Doskonałym środkiem do podtrzymania równowagi umysłu, spokojnej myśli, a nawet do osiągnięcia wesołego usposobienia jest pieśń, — jest śpiew. Ileżto najróżniejszych pieśni istnieje, pieśni odpowiadających każdej porze — każdej okoliczności. Nućmy — śpiewajmy je!

Słowa pieśni: „Śpiewaj ludu, polski, złoty,“ w pierwszym rzędzie do nas, do każdej kobiety, się odnoszą.

Górecka.

## O zdrowe ciało

Wysypała się cała gromada chłopców ze szkoły. Jest to pierwsza klasa, może i druga. Są malutcy, ale pełni werwy. Nim przejdą drogę, oglądają się, ostrożnie, a potem rozbiegną po wszystkich ścieżkach naszej wioski i narobią tyle hałasu, że nie jeden się dziwuje skąd się to w nich bierze. A kiedy tak biegną, widzimy, że im ogromnie przeszkadzają wielkie i niepraktyczne aktówki, które mierzwiście wloką za sobą po samej ziemi, albo wywijają niemi na wszystkie strony. Snadź dla dodania sobie większego rozpędu w swoim biegu.

A kiedy rano zobaczymy ich idących poważnie jak starzy biurokraci z tymi zadużymi aktówkami pod pachą, dziwimy się, że tego nie widzą ich matki jak taki mały student musi wyciągać swe prawe ramionko, aby wyrównać ciężarowi szkolnych książek. (Chociaż z początku tylko tabliczka i elementarz.) Trzeba tu pomyśleć, że dziecko przyzwyczai się nosić te książki w jednej ręce i że je tak będzie nosiło ośm lat a może i dłużej. I to prawda w wieku kiedy kości się rozwijają i równomiernie mają rosnać.

Czyż o wiele praktyczniejsze nie są dla dziecka plecaki i torby, które miały tę jedną ogromną wygodę: trzymały te rosnące dziecięce ciała ładnie prosto i ciągnęły ramionka właśnie do tego położenia, w którym się płucem najlepiej oddycha.

I dziecko same będzie bardzo zadowolone, gdy nie będzie miało ciągle pełnych rąk i gdy mu się wygodniej będzie biegało.

Trzeba więc przestrzegać i tej drobnostki, jeśli chcemy żeby z naszych dzieci wyrosło pokolenie zdrowe.

Szarowska.

## Słońce w butelkach

W zimie najbardziej odczuwamy brak świeżych, zielonych jarzyn i owoców. Na zakup sztucznie wyhodowanych, w naszych warunkach nie stać nas, spowodu wysokich cen. Pozostaje zatem wielu ludzi bez jarzyn i owoców — z przeświadczeniem, że w ubiegłe lato zamalo krzatali się wokół zapasów zimowych.

O bo warto nagromadzić sobie jak największą ilość zagotowanych i zasuszonych owoców „słońca w butelkach“ (jak ktoś tam gdzieś powiedział) na zimę. Owoce i jarzyny posiadają bowiem substancje, których nie mają inne pokarmy spożywane przez ludzi w zimie. Owoce i jarzyny nie są co prawda pokarmami wystarczającymi, w każdym razie jako dodatki, stanowią wysoką wartość odżywczą i dietetyczną. Błonnik znajdujący się w owocach przyczynia się do przyspieszania ruchu jelit, garbnik oczyszcza cały przewód pokarmowy z jądów bakteryjnych. Związki aromatyczne pobudzają apetyt, a cukier owocowy jest b. łatwo przyswajany przez organizm — wreszcie witaminy C, A i B działają pobudzająco. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że powyższych witamin nie mają albo bardzo mało posiadają pokarmy nasze zimowe, to zrozumiemy wysoką wartość owoców i jarzyn zakonserwowanych na zimę.

W lecznictwie dieta owocowa jest stosowana jako dieta odtłuszczająca, przy zatruciach wątrobowych i w chorobach nerek, a w ostatnich czasach zalecana jest również w nieżytach jelit, wywołanych przez zatrucie.

Mimo tylu dodatnich stron owoców — stale spożywamy ich zamalo. Według niemieckich lekarzy, człowiek zdrowy powinien rocznie konsumować ich 60 kg. Tymczasem w naszych warunkach, sfery robotnicze konsumują ich zaledwie 2 do 9 kg na osobę rocznie. Jest to stanowczo zamalo. Widzimy jak wielka jest rozbieżność między wymaganem przez organizm minimum a rzeczywistością.

Przy tak znikomiej konsumpcji, sprowadzamy jeszcze owoce z zagranicy. Corocznie dziesiątki milionów Kcz idzie za granicę niepotrzebnie, podczas gdy nasz zagrodnik coraz bardziej biednieje. Kto ponosi winę? — sami sadownicy, bowiem nie zorganizowali sadów handlowych ani nie hodują odmian handlowych.

Morawiec.



## Razem

Nie mów, że nie potrafisz i nic nie umiesz.  
Nie sądź, jak najbiedniejsi z ludzi — pesymiści...  
Najśmielszych marzeń bajka dziś może się ziścić,  
jeśli staniesz w ochoczych i wytrwałych tłumie.  
Nie jesteś sam. Spójrz — tyle koleżeńskich dłoni  
wyciąga się z pomocą! Dołącza swój wysiłek;  
i ramię przy ramieniu stań do pracy miłej!  
Radość czynu wspólnego od zwątpień obroni.  
W gromadzie siła, łatwiej poczynać i śmieiej.  
Razem! Wszyscy! Grosz z groszem, ochotny trud  
z trudem!  
O czym sam próżno marzysz — przestanie być cu-  
dem...  
Wiele pragnąć możemy i osiągnąć wiele!...

Alina Kwiecińska.

---::---

## Odpowiedzi redakcji

### CZY MOŻNA NIEOBECNYCH NA WALNEM ZGROMADZENIU WYBIERAĆ DO ZARZĄDU?

Abonentowi z Nawsia. Oczywiście można na nich ważnie głosować, o ile to w statucie czy regulaminie nie jest wyraźnie wzbronione. Inna rzecz, czy się to zaleca! Czasem mamy bardzo godnego członka, który tylko wyjątkowo na W. Z. przybyć nie mógł; — kto ręczy, że wybór przyjmie. Wtedy można go wybrać. Natomiast wybrać kogoś, nie wiedząc, że mandat przyjmie, jest rzeczą ryzykowną.

Nagrody. Autor nowelki zimowej p. t. „Zwycięski skok” p. Józef Ondrusz strzymał II. nagrodę w postaci pięknej, bogato ilustrowanej książki: „Walka o szczyty Andów”; III nagrodę w postaci niemniej pięknej książki: „Wśród wichrów i fal” otrzymał p. Karol Noga.

„Beskid śl.” Piosenk. Było już umieszczone w „Dz. P.” w dziale sportowym, nie możemy powtarzać. Prosimy o coś innego, np. krótki opis jakiegoś interesującego fragmentu z zawodów, coś ciekawego z działalności tamt. „B.Śl.”.

E. G., Sucha. Prosimy wstąpić do Redakcji i omówić sprawę ustnie. Wskutek zmian w Red. nieporozumienia i niedociągnięcia.

Autorzy nowelek konkursowych. Zapowiedziane omówienie nadesłanych prac zmuszeni byliśmy odłożyć na później. Prosimy o cierpliwość.

J. W., Rzeka. „Wesele śląskie” (szkic regionalny) nie możemy umieścić gdyż za długie, zaś ciągi dalsze w dwutygodniku zniechęcają czytelników. Prosimy dokończyć i przesłać. Może skorzystamy w inny sposób, o czym obecnie rozważamy. Pomysł pisanie rzeczy regionalnych gwarą dobry. Tak nawet powinno być. Z dalszych skorzystamy.

A. M., Trzynieć. Umieszczamy. Drugi, skierowany pod adresem starszych w naszym piśmie, jako młodzieżowem, nie odniesie skutku. Lepiej umieścić go gdzieś indziej.

W. A. wzgl. Elza 3. Kto boi się odkryć przyłbicę i ukrywa się za pseudonimem, wędruje do — kosza.

Zdz. Ż-ski. W sprawie „Kącika językowego” prosimy się z nami zkomunikować. Pomysł dobry.

A. K., Cz. Puńców. Umieszczamy, Inne narazie odkładamy.

Wiersze. Przesłano nam całą masę wierszy, z którymi narazie nie wiemy co począć. Po dokładnem przesianiu pomyślimy o ich zużytkowaniu.

---::---

## Kronika światowa

Wojna włosko-abisyńska wstąpiła w nową fazę. Wojska włoskie pobiły na głowę oddziały Rasa Kassy, Rasa Dzejuma i Rasa Mulughety. W całej Abisynji klęska wojsk abisyńskich wywołała wielkie przygnębienie, tem zrozumialsze, że przypada ona na 40-tą rocznicę zwycięstwa Abisyńczyków nad Włochami. We Włoszech zwycięstwo armii włoskiej wywołało wielki entuzjazm.

Zamach stanu w Japonji. W środę, 26 lutego oddział wojsk japońskich pod komendą kilkunastu młodych oficerów obsadził niektóre gmachy rządowe, przy czym zamordowani zostali członkowie rządu admirał Makato Saito, minister skarbu Takahaszi i generał Watanabe. Prezydent ministrów Okada cudem ocalał, zginął natomiast brat jego, którego zamachowcy wskutek wielkiego podobieństwa wzięli za premiera. Premier następnie w trumnie razem z zamordowanym bratem wyniesiony został przez służbę i tak uniknął śmierci. Po dłuższych pertraktacjach zbuntowane wojsko cofnęło się do swych koszar. Przywódcy ruchu powstańczego popełnili samobójstwo. Obecnie toczą się narady dotyczące utworzenia nowego rządu. Pucz uważany jest za próbę kół wojskowych opanowania kraju i nadania polityce japońskiej agresywnego charakteru. Dlatego też zajścia w Tokio zaniepokoiły cały świat. Właściwe powody puczu są nam Europejczykom nieznane, ponieważ duszy Azjaty nigdy nie potrafimy zgłębić i zawsze pozostanie ona dla nas zagadką.

---::---

## KOMUNIKATY

Z Sekretarjatu ZZEM. Wzywamy wszystkie ZEM., żeby nam podały do 10 marca b. r. spis wszystkich sztuk teatr., które poszczególne ZEM. mają w swych bibliotekach.

Wyrzec się bytu narodowego, to znaczy wyrzec się wpływu na kształtowanie rzeczywistości ludzkiej, to znaczy duszę własną unicestwić, bo ona żyje i działa tylko przez naród. Człowiek bez narodu jest duszą bez treści, obojętną, niebezpieczną i szkodliwą.

Stanisław Brzozowski.

---::---

Rzetelna zgoda i jedność oparta być może jedynie na współpracy.

Józef Piłsudski,

---::---

Nie ten jest uczciwym człowiekiem, co nie robi źle, ale ten, co robi dobrze.

H. Sienkiewicz.

(19 października 1919 r.)

---::---



## Dział rozrywkowy

### ZADANIE 1: PRZESTAWIANKA ZAPĄŁKOWA



Z ośmiu zapalek, ułożonych w dwóch rzędach, jak to podano na rysunku, należy przestawić cztery w ten sposób, ażeby uformował się krzyż.

### ZADANIE 2: TRUDNY PODZIAŁ

Matka kupiła 5 dużych i 5 małych jabłek i postanowiła je równo podzielić między siedmioro swoich dzieci.

Rozwiązanie z Nr. 4.

### Od Administracji

Z powodów od nas niezależnych dzisiaj numer „Ogniwa” wyszedł z opóźnieniem. Prosimy Szanownych odbiorców o cierpliwość. Następny numer wyjdzie normalnie dnia 15 marca.

Udało się jej to dzięki dowcipowi. Jak to zrobiła?

### ZADANIE 3: KWADRAT MAGICZNY

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16

Liczby w kwadratach poprzestawiać w ten sposób, aby utworzył się tak zwany „kwadrat magiczny” czyli taki, w którym suma liczb w rzędach poziomych, pionowych oraz na przekątnej wynosić będzie 34.

T	R	A	N
R	A	N	O
A	N	Y	Ż
N	O	Ż	E

### ZADANIE 4: DLA ZDOLNYCH MATEMATYKÓW

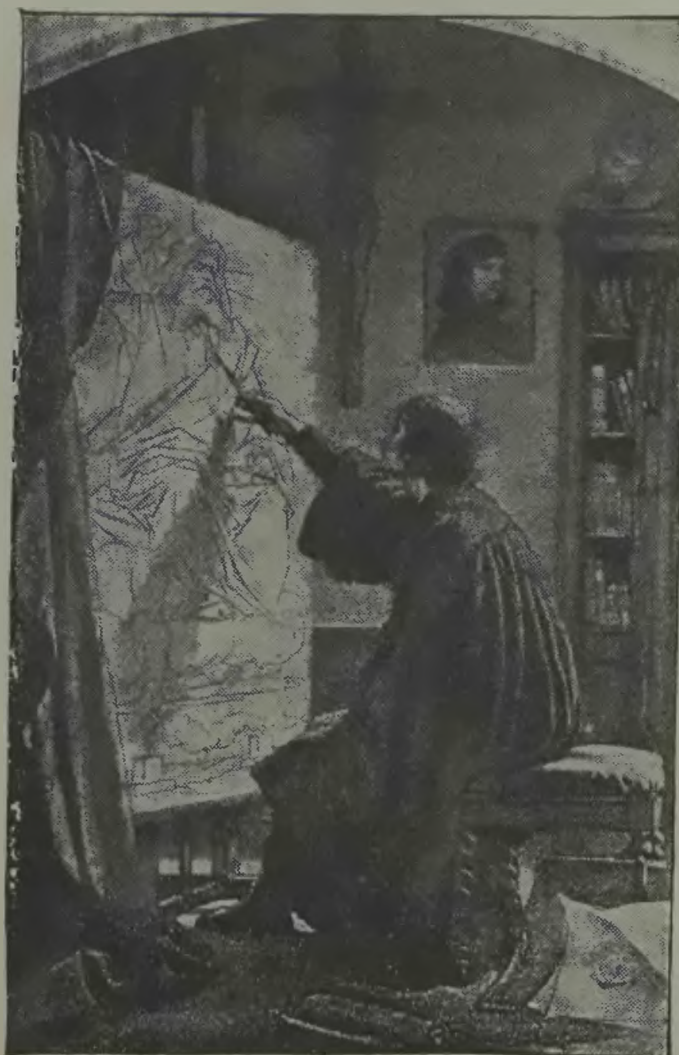
1 1 1 Z podanych 9 cyfr należy wykreślić 6 w ten sposób, aby suma pozostałych liczb wynosiła 20.

### ZADANIE 5: ZAPĄŁKOWO-MATEMATYCZNE

VII=I Zapalki poprzestawiać w ten sposób, ażeby utworzyło się równanie.

- Owiec było 82.
- Upolowano 40 zajęcy i 80 kuropatw.

### Z CYKLU OBRAZÓW GROTTGERA





## Przyjaciółki.



— Wiesz, ten Karol, to nieznosny człowiek. Wczoraj powiedział mi, że jestem zarozumiałą kokietą.  
— Tak? a ja myślałam, że on cię wcale nie zna!

## Zna ją.

Pijany, wracając do domu chwiejnym krokiem nadepnął na ulicy jakiemuś jegomościowi na nagio-tek, za co otrzymał potężny policzek, który go zwa-  
lił z nóg. Gramoli się z ziemi i medytuje:  
— Jakto? czyżbym już był w domu?

## Współczujący.

Gość: — Dlaczego pan tego pijanego już daw-  
no nie wyrzucił za drzwi?  
Gospodzki: — Na ulicy czeka jego żona.

## Zrozumiałe.



Pan: — Pani nie da wiary — ja się w jednym  
dniu nauczyłem tańczyć.  
Panna: — Jużem to zauważyła.

## Tylko tak wygląda.

Na parowcu transatlantyckim pasażerowie za-  
bawiają się. Pewien pan podchodzi do drugiego i  
mówi:

— Robimy teraz wyścigi między kawalerami  
a żonatymi. Pan chyba żonaty?

— Nie — wzdycha drugi — ja tylko tak wy-  
glądam... mam chorobę morską.

## Trzewiki.

Andzia kupuje trzewiki. Próbuje, próbuje. Wre-  
szcie znalazła. Pasują jak ulane. Andzia promienieje:

— Czuję się w nich, jak we własnej skórze!

— Ale bo też to najlepsza kozia skórka, pro-  
szę pani — chwali towar subjekt.

## Samotna.

— Ależ, kochana pani Kędziorek, dlaczego chce  
się pani rozwodzić?

— Już mi się ta wieczna samotność sprzykrzyła.

## Nowoczesne małżeństwo.



— Do widzenia Jasiu! Gdy wygram dzisiaj tur-  
niej w golfa, będziesz miał przyszłą niedzielę wolną.

## W redakcji.

Poeta: — Czy mogę spytać, co będzie z moimi  
wierszami, które przysłałem do redakcji przed dwoma  
tygodniami?

Redaktor: — Kochany poeto, pańskie wiersze są  
bardzo ładne, ale tak wiotkie i delikatne, że nie-  
stety nie wytrzymią prasy drukarskiej.

## Nieporozumienie.

W teatrze jakiś pan złości się, bo za nim mło-  
da para rozmawia ze sobą, co przeszkadza mu w  
słuchaniu sztuki. Wreszcie zniecierpliwiony odwraca  
się i mówi:

— Przepraszam bardzo — ale ja nic nie słyszę!

— A pana obchodzi, co my tu rozmawiamy? —  
otrzymuje gniewną odpowiedź.

Prenumerata pojedynczego numeru w kraju 50 h, zagranicą 15 gr. — Kwartalnie 3.- Kč. — Adres redakcji:  
Czeski Cieszyn, ul. Dworcowa 18. — Redaktor odpowiedzialny: Karol Bocek, Cz. Cieszyn, Cegielniana 7.

Wydawca: Komitet Wydawniczy. — Drukiem W. Nitkiewicza w Cz. Cieszynie



# Ogniwo

:-:

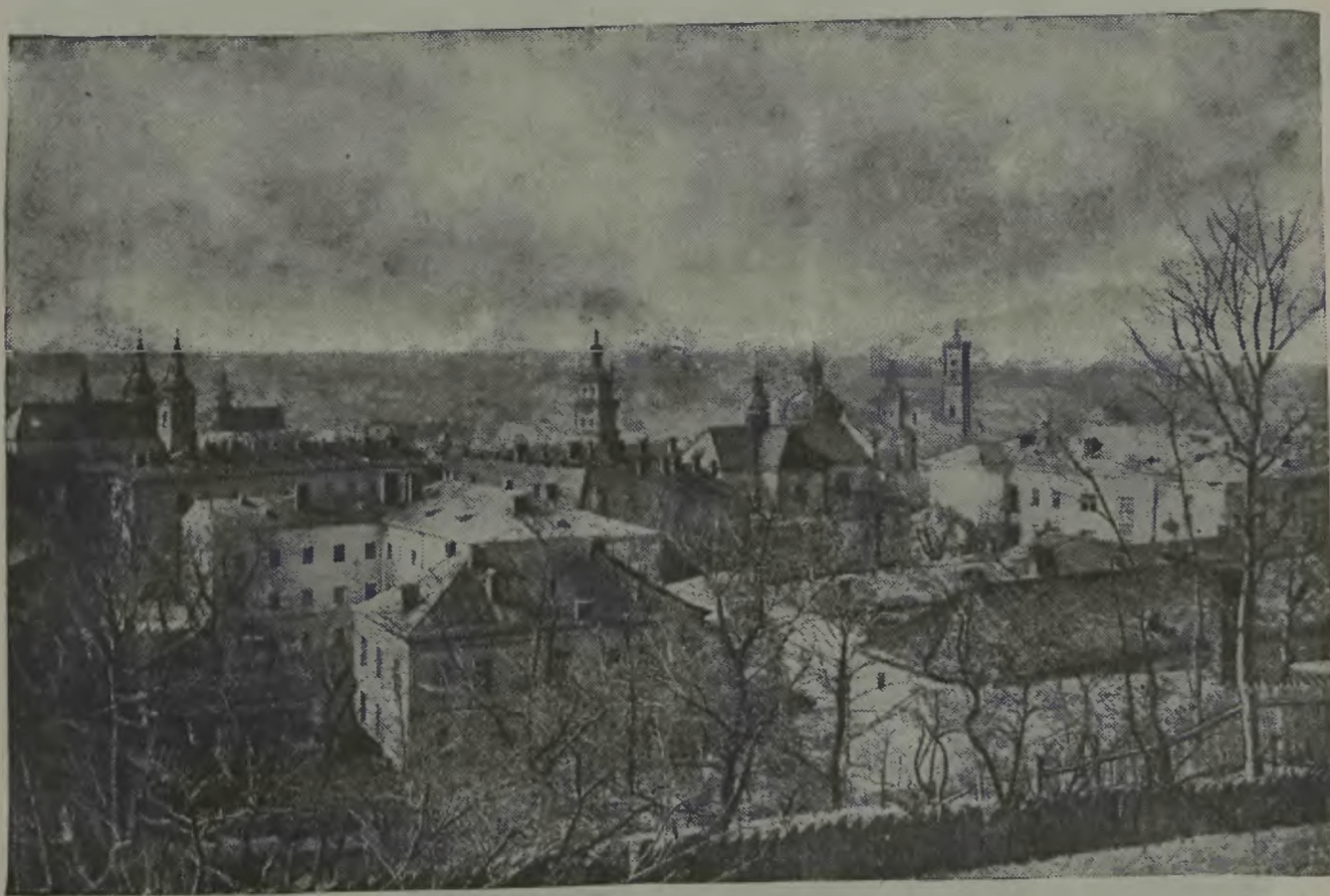
**DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ**

:-:

**PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFORMACYJNYM  
OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM - SPORTOWYM I WYCHOWAWCZYM**

**Lwów**

„Gród Orłąt„



Ogólny widok Lwowa

Charakterystyczną cechą Lwowa od zarania istnienia — jest niesłychane wprost bohaterstwo jego mieszkańców. Lwów — to prawdziwa siedziba kresowych lwów polskich. Doprawdy trudno było wybrać odpowiedniejszą nazwę dla tego grodu, który stał zawsze na straży granicy Polski. (Najazdy Chmielnickiego, Rakoczego, obrona Lwowa w r. 1918 przed bandami hajdamaków ukraińskich, w której wyszczególnili się dzieci, chłopcy i dziewczęta — „Orłęta“ lwowskie).

Lwów znany jest wszakże i z innej strony. Tam bowiem dokonał swego wynalazku Ignacy Łukasiewicz,

twórca lampy naftowej, która stała się dobrodziejstwem ludzkości.

Znany też jest zdrowy humor lwowski. Jego przedstawicielami to świetny humorysta Kornel Makuszyński, oraz autorzy i wykonawcy radiowej „wesołej fali“ lwowskiej.

W dzisiejszym numerze „Ogniwa“ znajdują Szan. czytelnicy prócz obrazków ze Lwowa także artykuły poświęcone młodocianym obrońcom Lwowa i Łukasiewiczowi; nie zapomnieliśmy także na wesołą dwójkę: Szczepcia i Tońcia.





**Kopiec Unii Lubelskiej, usypany w 300-letnią rocznicę tego wiekopomnego aktu, na wzgórzu, gdzie wznosił się Wysoki Zamek, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego, góruje nad całym miastem.**



**Widok na rynek i ratusz z lotu ptaka.**



### Urok przykładu

„Z jakim przestajesz, takim się stajesz” — powiada stare przysłowie. I dobrze mówi, bo całe życie człowieka to jedno pasmo nauki, to walka nieustanna, w której uczymy się jedni od drugich i to zarówno dobrego jak i złego. Ten wpływ wzajemny tłumaczy się przykładem, który przedziwną ma siłę: działa prawie nieprzeparcie na młodych i starych, potędze jego ulega często człowiek, którego żadne namowy, perswazje ani upomnienia nie zdołały przekonać. O ile jednak dobry przykład cuda działa i jest jedną z największych potęg w wychowaniu, o tyle zły przykład jak zaraza szkodę przynosi zarówno jednostce jak społeczeństwu. A gdzie szukać przyczyny szerzenia się złego przykładu? Przede wszystkim w popędzie do naśladowania. Popęd ten widzimy najwyraźniej u młodzieży, która rwie się do czynu, a nie wiedząc co ma robić, rozgląda się dookoła i patrzy, co inni czynią. Ujrzy coś dobrego, naśladować będzie dobre, zobaczy złe, bardzo często da się porwać i uczyni podobnie źle.

Popęd do naśladowania, choć czasem ukryty, tkwi w nas całe życie. Obcując z drugimi, mimowoli stosujemy się do tego, co inni czynią, choćby to było nawet złe. A więc odurza nas powodzenie, pociągają nas widoki własnej wygody i mówimy sobie: umięją sobie inni życie ułatwić, czemużby też nie ja? Z początku wprawdzie ostrzega nas sumienie i nawołuje zdrowy rozsądek, ale zły przykład działa jak narkotyk: powtórzysz raz, drugi, trzeci, dziesiąty i już jesteś... złodziejem, renegatem czy defraudantem.

Często niestety naśladowujemy zły przykład świadomości, a to przez wrodzone tchórzostwo. Ot poprostu nie mamy dość siły i charakteru by postępować inaczej, niż nasze otoczenie, bo się boimy wytykania i

drwiących uwag. Ile jest między nami młodzieży, która nie umie się oprzeć wpływom kolegów, nie ma odwagi przeciwstawić otoczeniu zasad, wyniesionych z rodzinnego domu.

Dużo jest zła na świecie, a ma ono to do siebie, że jest głośniejsze i jaskrawiej wpada w oczy, niż dobro, niż dobre uczynki.

Rzućmy okiem na gazetę a widzimy tyle zła, tyle brudu, fa'szu i przewrotności. Żyjemy jakby wśród gęstej mgły, pływamy w odmęcie zgnilizny i dlatego ani na chwilę nie śmiemy się zachwiać, aby nie utonąć w tym odmęcie. Nie wolno nam zamykać oczu na zło, nie śmiemy milczeć obojętnie, ale owszem musimy umieć zło napiętnować i przeciwstawić mu nasze zasady moralne.

Zły przykład szerzy się gwałtownie, bo znajduje podatny grunt w naszej naturze, w przyrodzonej skłonności do złego, która sprawia, że człowiek łąnie do tego, co mu dogadza i przechodzi tam, gdzie widzi choćby chwilową korzyść i przyjemność. Na tej glebie tak podatnej do złego niałatwo zaszczepić i wyhodować dobro, i właśnie tu jest przyczyna, dlaczego zły przykład prędzej się szerzy i prędzej owoc wydaje, aniżeli przykład dobry. I to właśnie nie śmie nas zniechęcić! Przeciwnie, znając swoją wrodzoną słabość, musimy tem lepiej czuwać nad sobą i zdala omijać wszystko, co złe.

Dlatego też mamy różne organizacje młodzieżowe, gdzie właśnie ma się wyrabiać w duszach młodych hart i odporność na wpływy złego otoczenia, gdzie się młodzież powinna nauczyć odważnie stawiać czoło wszystkiemu, co trąci złem.

A. M.

### Słów kilka o języku

#### Co to jest język?

Na to pytanie nie odpowiem bezpośrednio lecz definicjami najlepszych językoznawców polskich, czytelnika zaś zadaniem będzie wyrobić sobie sąd nad samą definicją.

Według Appla język jest instytucją społeczną, opartą na tradycyjnym zachowaniu panujących zwyczajów, wyrażenia, mówienia; prof. Porzeziński językiem nazywa zbiór naszych myśli i uczuć, przychem takich znaków, które są dostępne zmysłowemu poznaniu i które możemy wytwarzać dobrowolnie, wreszcie prof. Szober pod słowem język rozumie odmiannę myślenia, przebiegającego w całym łańcuchu czynności, mowie, piśmie, myśli.

#### Język w życiu codziennym.

Język jest środkiem porozumiewania się, lecz z chwilą, gdy staje się dla nas niezrozumiałym, prze-

staje być językiem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ten kompleks luźno powiązanych znaków akustycznych, których zmysłowo bliżej poznać nie możemy, jest jakby gradem odbijającym się od naszego mózgu, naszej świadomości i poznania. Dlatego pisząc w podtytule „język w życiu codziennym” będę miał na myśli jedynie język taki, który nie tylko słyszemy, ale i rozumiemy, a więc język ojczysty (Muttersprache).

#### Skąd powstaje język?

Język przyswaja sobie człowiek od swojego otoczenia. Można śmiało twierdzić, że człowiek oderwany od środowiska ludzkiego i wywieziony gdzieś na odległą, bezludną wyspę, przyjąłby za swój język dźwięki otaczającej go przyrody, zwierząt, ptaków. Do rozwoju więc językowego potrzebne jest współżycie ze społeczeństwem no i zdolności... umysłowe. Człowiek uczy się języka od otoczenia i jako taki przejmując go całkowicie.



# JULJUSZ SŁOWACKI

W Krzemieńcu na Wołyniu w sierpniu roku 1809. przyszedł na świat Juliusz Słowacki jako syn Euzejusza, ówczesnego profesora liceum Krzemienieckiego. Wiek szkolny — lata pierwszych marzeń i rozczarowań — wzniosłych polotów myśli, lata swej wiosny przeżył w Wilnie, kończąc tam także studia akademickie. W dziewiętnastym roku wchodzi w życie, jako młodzieniec, który dzieckiem jeszcze będąc przeczuł:

„... że marzeniom da kiedyś wyrazy,  
że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem.“

Ta myśl zrosła się z nim stała się niejako duszą jego duszy, — przeznaczeniem jego życia. Być śpiwakiem narodu, który go wydał, jasnym promieniem w czarnej niedoli Ojczyzny, budzić zamierające nadzieje. Tam gdzie w sercach płomień wygasał, wzniecać iskry siły i hartu — oto pragnienia, które nurtowały w duszy przyszłego poety, kiedy stanął na progu nowego życia — życia mającego być twardą służbą dla Ojczyzny.

Nieszczęsny los który nad ziemią polską wówczas zawisł, oderwał go od matki, skazując na długie lata tułaczki wśród obcych krajów i ludzi. Klęska powstania listopadowego wlokła się za nim jak okrutna mara, owiewając go smutkiem i melancholią a wtedy jedyną ucieczką było pisanie. Rwał Słowacki ze swego serca najpiękniejsze kwiaty uczuć i spletał je w cudowny wieniec, najeżony często glogowymi kolcami boleści, ale wiązany nicią nadziei i wiary w lepszą przyszłość.

Tak powstały te precudne perły naszej literatury, jak „Anelli“, „Kordjan“, jak „Lilla Weneda“, „Król Duch“ i wiele, wiele innych, które mówią za cały naród, skarżą się czasem na nieszczęsną dolę, — ale kryją w swym wnętrzu jednocześnie naszą dumę narodową i bohaterstwo, naszą gotowość do walki i czynu.

## Różne postacie języka.

Na tle języka każdego narodu powstają języki t. zw. klasowe i zawodowe, jak n. p. język inteligencji, robotniczy, włościański — język górniczy, studencki, sportowy etc. Te odmiany języka, wytworzone w specyficznych warunkach, są jakby odskocznią od języka ogólnonarodowego, posiadają one bowiem wiele wyrażen niezrozumiałych często dla szerszych sfer społeczeństwa.

Wiemy n. p., że sprawozdania z zawodów sportowych w Ameryce są pisane tak „sportowo“, że spokojny obywatel U. S. A., nie mający nic do czynienia z boiskami czy ringami, stanie przed zagadką, którą nie zawsze uda mu się rozwiązać.

Warunki historyczne, geograficzne, polityczne rodzą pewne wyodrębnienia językowe dzielnic i prowincji. Powstają t. zw. gwary, narzecza, dialekty. Mamy więc gwarę kaszubską, wielkopolską, śląską itd. Oprócz języków warstw niższych znajdujemy u ludów kulturalnych język literacki (hochdeutsch). Podstawą tego języka jest zawsze gwara ludowa, któ-

Umiał Słowacki pogodzić swoje dwie wielkie miłości: do matki i Ojczyzny. W pierwszej widział miłość drugiej. I to go wyróżnia z pośród innych — to, że prócz poety pozostawał człowiekiem zwyczajnym. Geniusz, połączony ze szlachetną prostotą przywiązania synowskiego, stworzył typ twórcy — artysty, rzucającego gromy — ale umiejącego także pieścić słowem i koić.

Nieszczęśliwa gwiazda przyświecała całemu życiu poety, gromem po gromie waliły się nieszczęścia na jego głowę, chłostały i gięły ku ziemi — ale nie złamały. Walczył do ostatnich chwil — umierając na wygnaniu 1849 roku w smutnym przeświadczeniu, że go nie zrozumiano, zabierając z sobą najboleśniejszą ranę serca, ranę, którą w pieśni wyśpiewał:

„Ojczyzno moja! Może wszyscy wrócą  
Na twoje pola, ale ja nie wrócę.“

„Ja tułacz umrę na wygnaniu zdala od tej, dla której życie poświęciłem, zdala od mych ojczystych zagonów, na których prochom moim spocząć nie sądzono.....“

Ja śpiewak ludu, który tak kocham, w którym potęgę Polski wdzę, wyrwany przemocą z jej łona, skonał na cudzej ziemi jako rozbitek, którego burza ponosi i wyrzuca na dalekim brzegu“. — Tak pisał we wieszczem przeczuciu poeta.

Ale nadszedł dzień, w którym wolna Polska powitała prochi tego, który był jednym z jej wskrzesicieli. W czerwcu 1927 roku w triumfie wrócił do swoich, jako ten, którego imię jest na ustach i w sercach wszystkich. Spoczął na Wawelu z Mickiewiczem, obok królów świetnych, gdyż królem był serc i dusz polskich, chociaż bez korony.

Alojzy Michalek.

ra z czasem przekształca się w język narodowy. Powstaje n. p. przypuszczenie, że podstawą języka polskiego była gwara wielkopolska, znajdującą swe potwierdzenie w tem, że Wielkopolska była przecież kolebką narodu polskiego.

## Warstwy językowe.

W każdym żywotnym języku możemy wyodrębnić trzy warstwy:

1. **warstwa pierwotna**, a więc ta, która wyraża uczucia woli, nastroje, a powstaje najpierw u dziecka,

2. **warstwa psychologiczna**, odzwierciedlająca skojarzenia myślowe człowieka; jest ona też najbardziej rozpowszechniona,

3. **warstwa socjologiczna**, stanowiąca wytwór stosunków społecznych, różnic klasowych etc.

Ostatnia warstwa występuje najjaskrawiej w mo- wie ceremonialnej. Zwyczaje ceremonialne wrosły niejako w języki poszczególnych narodów, wytworzyły się odrębne sposoby wymawiania etc. Spotykamy się z tem zjawiskiem językowym u niektórych ludów zwłaszcza wschodnich.



## Szcześci w nieszczęściu

Za starodowna była snoci jeszcze większo byda na świecie jako teraz. Jak prziszedł chudy, nieurodzajny rok w naszym kraju, to ludziska nimieli żywnie co do geby styrczyć, każdy sie tropił jak móg. Zbiyrali rozmaje zieliny, korzonki, leśne owoce i warzili jałowe, aby jyny żołądek osztydzić a nie musiec umyrać z głodu.

W tych chudych rokach żyli dwo gazdowie w jednej dziedzinie wedle siebie. Jedyn był straszny wydrziduch, skurczok a pińedzy miol jak śmiecio. Zaś tyn drugi miol strasznom bydzie, raziunko nimiol pod pokrywke co styrczyć, ku tymu miol kope dziecek a spurnóm, zajoszczanóm babe.

Roz poszel bogaty gazda do lasa, zebroł miyszek pińedzy, zakopoł go do ziymnie i przywalił hroznym bazalym. Jak sie z tym umordowoł, prawi se w duchu:

— No, teraz mi jich som lucyper nie wydrzel Jaroszk wachuj dobrze moich grejcarków, dom ci dusze zato — i poszel wiesioły do chałupy.

Tymu bydokowi sie na dobrze sprzikrzyła straszczno byda w chałupie, obmierzło sie mu babski repecyni i rajlowani z pyskym po nim. Nimóg dali wypostołchać żalosnego skrzeczynio głodnych dziecek, kiere we dnie w nocy krziczały: — Jeś! Jeś! — i umyślił se, że roz takimu życiu robi koniec, a pujdzie sie raczy obiesić. Zebroł porwóz z hymbalka i szmaruje prosto do lasa. Prziszedł ku jednej wysoki jedli, wedle kierej był hrozny kamiyń. Chłop sie tak podziwoł na tyn bazal i powiedział do siebie:

— Tyn bazal beje dobry, przikulom go kapke bliży jedle, hópnyim noń, zażdzieję porwóz o kónor jedle, potym zahoczym na karczysko i beje po mnie. — Jak pomyśloł, tak zrobił. Chycił kamiyńsko do wychudzonych dłapów i z wielką procą przewrócił go na drugóm strónie. Tu sie dziwoł! Co to? Ziym cało przeróntowano, jakby jóm kiery niedowno prze-

kopoł. Prasnał se bom na ziym i jał pazurskami grzebać, aż natrefił na cosi twardego. Łapnół to za koniec i procno wyciogo z dziury na wyrch. Był to spory miyszek pełny jakigosi twardego pieroństwa. Chłop aż zesiniol cały z niedoczkanio i zaczoł sie trząść jak losika.

— Jezusku święty! Pónbóczku nejmilejszy! jesi tam nie beje ryńszczoków — prasła mu wartko myślonka do palice. Honym rozción nożym wańluszysko. Akurał, same ryńszczoki strzybnę uwidziol przez wyciyntom dziure. Tak sie beskurcyje na niego śmioly, że namale sie mu rozum nie pomiyszol na widok telkigo bogactwio.

Wyciagnył honym porwóz z poza pazuchy, prasnył nim do dziury na miejsce piniyndzy i przywalił bazalym. Potym drapnył wańluch z piniondzami i śmiałol ku chałupie. Kupił se co żywnie chciol i od tego czasu miol sie strasznie dobrze z familijóm do śmierci.

Roz sie chciol bogocz przeświadczyć, bardzo też cieplutko mają ty jego grejcarki w ziym i wybroł sie do lasa. Cały szczęśliwy, że zaś uwidzi swoji bogactwi, odwało kamiyń, dziwo sie i naroz cały zzielyniol od strachu. Wszystko przetaraszone, a po piniondzach ani slychu dychu. Grzebie ręczyskami i wygrzeboł zamiast miyszka z piniondzami dlógi porwózisko.

Porwoł tyn porwóz i ze strasznej mankulije sie hnet na nim obiesił. J. W.

—:—

## Przysłowia śląskie

Czerpie wodym przetakym, gdo bez książek chce być (żakym).

Jak pónbóg niedo rozumu, to go kowol nie ukuje.

Nie doł pónbóg świni rogów, boby bódlą i gryzła.

Nieprosznych gości za stół nie sodzają.

Nie wiertelj mi trzeci dziurki do nosa.

Pasuje ci to jak świni zwonek.

O jednóm łasztówke bedzie dycki lato latym.

Na gorach początek wody a koniec chleba.

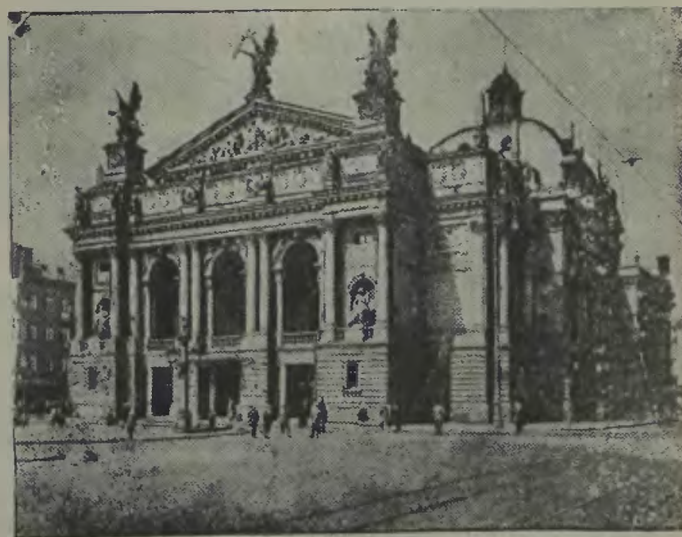
## Począ w języku.

„Począ jest starą kolebką ludzkości, a jej kolykanie widać w języku.” (J. Rozwadowski)

Język codzienny, potoczny, dużo przejął wyrażen i zwrotów poetyckich. Weźmy n. p. takie wyrażenie jak promień włosów. Chociaż wiemy, że może być n. p. promień światła, mimo to tę poetycką przenośnię często używamy w mowie codziennej. Cechy dodatnie lub wady ludzkie zastępujemy przyrodą, posługując się przenośnią, n. p. słomiany ogień, lis (na oznaczenie chytrości) i t. p. To zjawisko językowe spotykamy nawet u... Indian amerykańskich, którzy żyjąc ściśle z przyrodą przejęli ją całkowicie dla oznaczenia swych nazwisk, n. p. „Niedźwiedzia łapa”, „Wicher Pustyni” i t. d.

Język jest stary jak człowiek, mimo to zawsze młody, zawsze świeży; słowo zaś, na którym się język opiera, trzeba — jak mówi France — tak długo pieścić, dopóki się do nas nie uśmiechnie. Wtedy staje się ono najwyższym i najszlachetniejszym wysiłkiem intelektu, doktryną nieśmiertelnej duszy zakłętej w wyraz.

W. O.



Teatr miejski, zbudowany w r. 1900.



## Żeby ziemia dawała światło!...

Trochę zagniewani, ale bardziej niespokojni byli przyjaciele Ignacego Łukasiewicza. Cemu go nigdzie nie widać? Wyraźnie stroni od kolegów. Gdy tylko skończy pracę w aptece Mikolascha, gdzie jest provizorem, znika gdzieś. Na pytania odpowiada półgębkiem: „Nie mam czasu, zobaczycie jeszcze”, albo: „To jest mój sekret” itd. A oni wszyscy tak łakną uśmiechu Ignasia. Jego dobrej rady, zachęty, pomocy! Czasy są bardzo smutne. Rok 1850 niczego dobrego Polakom nie wróży. Ciemno, choć oko wykol, wieczorami na ulicach Lwowa, ciemno i w jasny dzień w duszach młodzieży. Ucisk zaborcy wzmagają się i zatruwa życie. Ignas zawsze umiał podtrzymywać kolegów na duchu. Żeby z zaciśniętymi zębami pracowali nad przybliżeniem chwili, która przyjdzie, bo przyjść musi.

Aż wreszcie wytropili kryjówkę Łukasiewicza. Odłudny domek na przedmieściu żółkiewskim. Stara rudera. Co on tam może robić? Poco się ukrywa?

Mrok zapadł już na dobre, gdy, człapiąc po błocie, dobrnęli na miejsce. Lecz już było zapóźno. Stróżka z sąsiedztwa zawodziła, płacząc głośno:

— Także dopierutko go zabrali, chociaż cały poparzony. Biedny pan Łukasiewicz! I tyle nieszczęścia, wszystkie szyby wyleciały. A potem policja przyjechała. Mało się cały dom nie spalił. Gdzie go zabrali? A bo ja wiem, do szpitala czy do więzienia.

I, pochlipując, prowadziła ich z łójką w rękę do wnętrza. Nieznośny swąd i dym wypełniały izbę. Pełno tu było wiader i kubłów z jakimś błotem czy mazią. I szkła potłuczonego i połamanych krzesel, o które potykali.

A stróżka dalej lamentowała:

— Ludzie na świecie! Tak dobry człowiek, żeby muchy nie ukrzywdził. I poco mu tego? Pitrasil, gotował na ogniu, aż wybuchło. A pewno, że już z kryminalu nie wróci. A dobry był dla ubogich i dla wszystkich pan Ignacy.

Tymczasem Ignacy Łukasiewicz z obandażowaną głową i sparzoną ręką odwieziony został do cesarsko-królewskiej policji austriackiej. I w białym, spaćkanym mazią kitlu stanął przed obliczem srogiego komisarza.

Kaganek oliwny ledwie rozświecał izbę przesłuchań. Pan komisarz zapiał swój zielony surdut urzędowy, poglądził żółte bokobrody i rozpoczął urzędowanie.

— Najlepiej przyznać się odrazu. Zamierzał pan jakiś nowy zamach. Pfuj, tajfel! Już raz był on karany za spiski, za rozgłaszanie bajek o niepodległości polskiej, co?

Łukasiewicz zamyślił się nad odpowiedzią.

— Niech pan Polak nie szuka wykrętów po próżnicy! Ja mu pomogę. Studnie chciałeś zatruwać, ptaszku, gmachy publiczne podpalać. My wiemy.

Zachnął się Łukasiewicz:

— Wprost przeciwnie, panie komisarzu. Pracowałem i nadal pracować pragnę dla dobra ludzkości. Mój wynalazek przyniesie korzyść całemu światu...

Spokój, z jakim te słowa powiedziano, wyprowadził z równowagi austriackiego komisarza. Huknął pięścią w stół i zaczął krzyczeć wszystkimi językami, jakie znał, naraz:

— Donnerwetternochmal! Mene ne zdurysz, panie dobrodzieju! Ich weiss, was ich weiss.

Potem uspokoił się i pytał ironicznie:

— Więc to nieprawda, że na dany przez pana znak miały zapłonąć słupy ognia w sześciu punktach miasta i dać hasło do buntu przeciw cesarzowi?

— Nie, to nieprawda.

— A pocóż w takim razie smażyłeś, bratku i podgrzewałeś ten cuchnący płyn ziemny? Poco kryłeś się z tą robotą? Niech się pan przyzna!

— Przyznam się i zaraz wyjaśnię na przykładzie. Proszę spojrzeć, jak tu u pana mroczno w kancelarii. A ja pragnę, żeby wszędzie, nawet i tu, było jasno wieczorami. Wydałem walkę nocy. Ziemia daje ludziom chleb, ja dążę do tego, żeby im dawała również światło. Światło, łatwo dostępne dla wszystkich, bo dziś tylko bogatych stać na świece z wosku.

Pan komisarz roześmiał się i drwiąco zapytał:

— Żeby ziemia dawała światło? Unerhört. W jaki sposób pan to osiągnie, panie Łukasiewicz.

Młody wynalazca zaczął objaśniać myśl swojego odkrycia. Opowiadał, że w głębinach ziemi polskiej na Podkarpaciu, koło Krosna i Dukli, koło Drohobycza i Truskawca, kryje się tajemniczy olej ziemny. Tam góry dziwnie pachną, gdy uderzyć mocno młotkiem w skałę piaskową. Tam w dolach na polu zbiera się brunatna, tłusta maź. A woda przy brzegach strumieni plami się oleistą cieczą i błyszczący kolorami tęczy...

Pan komisarz ziewnął z nudów, bo go to nic nie obchodziło. Ale ziewnął życzliwie. Zrozumiał, że ten młody aptekarz to warjat i manjak, to nieszkodliwy fantasta.

A manjak opowiadał dalej:

— Widziałem nieraz, jak wieśniacy gotują tę maź do zageszczenia, na smarowanie osi. Wówczas na pokrywach naczyń osiada kroplami ciecz. I ona będzie kiedyś potęgą świata pracy. I ja tę potęgę z pod ziemi wydobędę.

— Potężna ciecz jest pod ziemią, — uśmiechnął się Niemiec — a pan ma tymczasem całą twarz poparzoną i ręce.

— Trzeba wiele poświęcić z siebie, aby ludziom promień światła przynieść — rzekł z powagą Łukasiewicz.

— No, no, idź pan do domu, ale zostaw w spokoju olej skalny i te banialuki! Bo to się może jeszcze gorzej skończyć.

Łukasiewicz poszedł do domu i zdwoił swe wysiłki. Udało mu się po wielu próbach niebezpiecznych oczyścić olej skalny i oswobodzić go od niebezpiecznych i wybuchowych składników. Zaczął pierwszy w Polsce destylować ropę. Założył pierwszy rafinerię nafty.

Zródło światła już było czyste, płonęło jasnym, życzliwym człowiekowi płomieniem, który miał noc w dzień przemienić.

Potem majstrował i przemysłował przez trzy lata, aby ułatwić bliźnim korzystanie z tego dobrodziejstwa.

Wielki wynalazca żarówki elektrycznej, Tomasz Edison, miał do pomocy bogate laboratorium i zakłady przemysłowe w Ameryce. Biednemu aptekarzowi pomagał



tylko diacharz lwowski Bratkowski. Wiele blachy popsuło, wiele knotów z bawełny ukrecono. A potem należało zabezpieczyć płomień od podmuchów powietrza. Z miki powstało pierwsze szkiełko.

Aż wreszcie, aż wreszcie!

Wieczorem, dnia 31. lipca 1853 roku, niewiedzialny dotąd o zmroku Szpital Powszechny we Lwowie zajaśniał światłem we wszystkich oknach. Oświetlono go lampami Ignacego Łukasiewicza. Był to pierwszy gmach na świecie, gdzie zastosowano światło nafty.

Potem koleje austriackie poszły za przykładem lwowskiego szpitala. I (odłąd) pociąg nie biegły ślepo po nocy. I nie potrzebowali podróżni tłoczyć się przy mdłym blasku kaganka.

Ignacy Łukasiewicz stał się twórcą polskiego przemysłu naftowego. A dobywał owo światło z głębin ziemi zrazu w sposób prosty: ze studni, skąd robotnicy na linach ropę wiadrami czerpali. Po oczyszczeniu rozwożono w beczkach naftę, która stała się błogosławieństwem świata pracy i zmieniła jego oblicze.

Tylko rząd zaboreczy patrzył nadal nieufnie na gen-

jalnego odkrywcę. Zdarzyło się, że w tej Polance, gdzie stanęła pierwsza destylarnia ropy, odbywało się wesele na dworze. Serdeczny pan Ignacy, chcąc zrobić przyjemność nowożeńcom, kazał ustawić wzdłuż alei, wiodącej do kaplicy, beczki z ropą. A gdy młoda para wracała od ślubu, zapalono je. Łuna od tych niezwykłych pochodni weselnych biła na całą okolicę.

Zapomniał nieborak, że nie jest w swoim domku. W parę godzin przycwałował do Polanki oddział żołnierzy. Dowodził nimi ten sam pan komisarz w zielonym surducie, z złotymi bokobrodami. I zaaresztował Łukasiewicza jako buntownika, który słupem ognia daje hasło do powstania Polski.

Wsiadając do bryczki, która miała go zawieźć do więzienia, rzekł Łukasiewicz do przyjaciół:

— Taka bywa dola wynalazców. Ale może przecież wspomni potomność, że ja pierwszy na świecie zapaliłem lampę naftową.

A potem uśmiechnął się triumfalnie. Bo żołnierz, który go konwojował, podkreślał knota w ręcznej Latarni... naftowej.

## Z wesołej lwowskiej fali

— Szczepcio-i Tońcio na nartach. — Urywki



Szczepcio i Tońcio w „cywilu“

— ...nie bądź frajer, Tońciu! Tak si nart nie zakłada...

— Ta joj, Szczepciu... Szczepciu... Ta ty mi noge całkiem wykręcił!...

— Nu, cichu, Tońciu, cichu. Czego wrzeszczysz. Przeci widzisz, że noga zdrowa.....

— Szczepciu... pujemy do Stryjskiego parku, nu ni?...

— Pujemy, Tońku, ali na Łyczaków, du szpitala.

— Oj, Szczepciu, a my tam pocu?

— Bo jak mi jeszcze raz tak kijkiem pu głowie zamalujesz, to na miejscu kity zawalę.

— ...Nu, Szczepciu, a pocu ty ciągli głowę podstawiąsz?

— Tońku, uważaj teraz, Tońku, żeby ty z tej górkę na łeb ni zleciał. Uważasz, Tońku?

— Ta uważam, co si czepisz?

— Jak ja si czepiam, tu sam zjżdżaj!

— Nu, Szczepciu, nie bądź durny! Ni strugaj warjata... Gdzie lecis?

— Oj, czekaj Szczepciu...!!

— Zjżdżaj Tońku, zjżdżaj śmiało, zakosem...

—... U... u...

— Tońku! Tońku!

— Uhu!

— Tońku, warjat, czy ty si zabił całkiem?

— Ni, Szczepciu, ni całkiem, jeszcze troszku żyji.

— A co ty sobi złamał?

— Jeszcze nic, Szczepciu.

— Nu, to wstawaj!

— Ojoj, Szczepciu, ni moge.

— Nu, cu bądź, Tońku? Jakży my tera du domu zajdziemy? A tu ja chciał jeszcze z tobą do „Agidka“ na zraz z kaszą wstąpić.

— Ta czego mi odrazu ni mówisz, frajer? Nu, tu idziemy.

— . . . . .

— Wiesz, Szczepciu, z tej górkę fajnu si zjeżdża. Tylku narty przeszkadzają. Może by my bez nart kiedy sprubowali?...  
H. H.

## Takie to życie

Niewiem czy płakać, czy się cieszyć skrycie,

Kiedy wschodzący dzień różowia zorze...

Bo nie wiem co mi dżś się zdarzyć może!

Takie to życie!

Gdy dzień rozbłyśnie na niebós błękit,

Szczęściem się dusza ludzka rozanęla...

Gdy nagle z czystych przestworzy grom strzela!

Takie to życie!

A kiedy indziej człek wąpi już w życie...

Gdy nagle dzień się jego rozpromieni

I wszelkie smutki w zdrój radości zmieni.

Takie to życie!



Mirosław Bezduda

## Akademja Józka

Poniżej umieszczamy urywek z powieści Mirosława Bezdudy p. t. „Akademja Józka”. Powieść ta, to coś w rodzaju dziennika młodego, lwowskiego chłopaka, Józka Kulika, z czasów wojny światowej. Józko, pochodzący ze sfer najuboższych opowiada nam swe przeżycia z czasów wojny. Pod koniec czytelnik dowiaduje się, jak to młodzież szkolna lwowska, na wiadomość o planowaniu oddaniu Lwowa Ukraińcom, urządza demonstrację i jak na tej demonstracji zastrzelony zostaje młody uczeń gimnazjalny Czerkas.

W czasie, gdy Austriacy i Niemcy zawierali pokój z Rosją, przyjechała do Brześcia ukraińska delegacja, a Austria wraz z Niemcami zawarła z nimi osobny pokój dnia 9-go lutego 1918 roku. Na mocy tego układu Austria i Niemcy odcięli od Królestwa Polskiego część Ziemi Chełmskiej i oddali ją Republice Ukraińskiej.

Tak znów rozporządzili się ziemią polską, jak swoją. Zaraz, gdy tylko ta wiadomość przyszła do Lwowa, ludzie zaczęli gromadzić się na ulicach i demonstrować. Wśród demonstrujących przeważnie byli uczniowie. Gromadzili się pod budynkami rządowymi i sprawiali kocią owację... Gdy między innymi przyszedł pod budynek, na którym powiewała chorągiew niemiecka, zaczęli wykrzykiwać. Ktoś rzucił hasło, by zrzucić chorągiew. Już to robią!

Wtem z karabinu pruskiego żołnierza, stojącego na warcie, huknął strzał!

Ktoś krzyknął i padł...

Tłum zakolysał się... Powstał popłoch... Jedni uciekali inni pośpieszyli do rannego. Ja z nimi! Pcham się patrząc... leży Czerkas!

W pierwszej chwili chciałem szybko popędzić do domu, wziąć browning i palnąć temu złodziejskiemu żołnierzowi w łeb, ale za długoby to trwało!

Ach! Złodzieje! Mordercy!!

Ludzi coraz więcej... Nadjeżdża „Pogotowie”, już go biorą... Powieźli...

Pozostał tylko skrwawiony bruk!...

My nie rozchodzimy się. Zawziętość wzrasta! Prusacy, czując co się święci, pozastawiali okna, zaryglowując bramy... Silny oddział policji rozpedza nas...

Wprędce formujemy znów pochód. Przechodząc Łyczakowem, oddalam się na chwilę. Biorę z domu rewolwer. Po chwili szukania pochodu, jestem znów w szeregu. Na ulicy Mikołaja akademicy nabili jednego żołnierza pruskiego po pysku. On, wyrwaszy się — strzelił w kierunku ludzi...

Ktoś dał strzał za nim! Ja także... aż trzy śliwki mu posłałem! Ale między nami były psy policyjne... Jeden tajny chwycił mnie za bluzę, lecz jak go ktoś huknął w mordę — puścił mnie.

Dałem nogom znać i więcej...

Wrywam na Chorążczyznę... On i inni za mną, ale ludzi za nimi...

Ktoś o trzy kroki za moimi plecami rypnął głową o asfalt! Słyszę tupot nóg i dalej wrywam z duszą na ramieniu!

Wpadam do „Pasażu Mikolasza”, stamtąd na Kopernika, a potem boczną uliczką wracam tam, gdzie strzelałem, bo myślę, że tu nikt mnie szukać nie będzie...

Tak się im wymknąłem!

... Przez kilka dni w całym mieście trwały rozruchy. Austriacy zlekli się tego i wojsko, jak i policję po-

chowali dziś po koszarach. Porządku w czasie pogrzebu pilnować będzie polska młodzież szkolna.

Starsi mają swoją funkcję, a my swoją... Ja z innymi będę tworzył szpaler.

Dziś rano pełniłem już służbę przy Katedrze, obok starszych, pilnując porządku w szeregach tych, którzy szli ostatni raz popatrzeć na zabitego, leżącego na katefalku, w katedralnej kaplicy.

Cały katefalk tonie w kwiatach, a ludzie cicho parami wchodzą, uklękają... popatrzają... i wychodzą.... Cały Lwów chyba był już dziś się z nim pożegnać, a tłumy nowe wciąż przychodzą...

... Po południu, wszystko co żyło — wyszło na ulicę. Pod Katedrą zebrały się niezliczone tłumy, że ani szpilki wepchnąć nie było można...

Po skończonym nabożeństwie i ceremonjach żałobnych, ruszył przy dźwiękach żałobnego marsza pochód pogrzebowy.

W szpalerze posuwaliśmy się na Janowską, gdzie na jej początku ostatnie szeregi stanąć musiały, bo przód pochodu był już u celu... Musieliśmy więc stać daleko, daleko od trumny kolegi i tylko echa tego smutnego obrzędu do nas dochodziły...

Takiego pogrzebu, jak i wów Lwowem — nikt nie widział!...



Kaplica Bojmy, przepięknie ozdobiona delikatnymi rzezbami w kamieniu, została wzniesiona w r. 1609



# DZIAŁ KOBIECY

## Udział kobiet w ruchu narodowym od 1861 do 1864 r.

„Towarzysze żywota, niewieście braterstwo i obywatelstwo, równe we wszystkim prawo”. Symbol legionu polskiego we Włoszech, nakreślony przez Adama Mickiewicza.

W ostatnich numerach „Ogniwa” pojawiło się kilka przepięknych obrazków Artura Grottgera. Czy dobrze zastanowiliśmy się, co one oznaczają? Prawie wszędzie widzimy postać kobiety! Dlaczego? To okres powstania styczniowego. A kiedy w ruchu narodowym bierze czynny udział kobieta, która nie zatrzymuje męża w domu, lecz sama budzi go ze snu mówiąc: — Już czas, byś poszedł!

W całym okresie — że tak powiedzieć rewolucji moralnej, kobiety były potężnym czynnikiem budzenia ducha patriotycznego, uświadamiania narodowego, jednoczenia społecznego ku wspólnemu celowi zrzucenia niewolniczego jarzma. W manifestacjach gorącością swych uczuć, swym zapałem, szczególną nadawały im siłę. Wywierało to nawet wrażenie na wrogów. Dzienniki, opisując ówczesne manifestacje zaznaczały szczególną zawziętość kobiet z ludu.

W oświecaniu, nauczaniu ludu kobiety przodowały. W ciągu dwu lat zorganizowały w Królestwie Polskiem przeszło 2000 prywatnych szkół ludowych. Na Białej Rusi utworzyły związki, w których każda członkini zobowiązała się w ciągu roku nauczyć czytania przynajmniej dwoje dzieci. I w piśmienictwie głos kobiet uderzał w czułe strony serc, by wzbudzić poczucie narodowe. Zapałem swoim obejmowały i podjęwały wszystkie warstwy społeczne.

Kiedy rozpoczęła się walka zbrojna, kobiety wspierały ją gorliwie. Nie była to tylko opieka nad rannymi, co powszechnie jest znane, ale było to przygotowywanie ładunku dla oddziałów, spełnianie obowiązków kancelaryjnych, przynoszenie wiadomości i cały szereg innych. Wszystkimi chybą jest znane nazwisko Pustowojówny. Była córką Rosjanina, lecz się zespoliła z narodem polskim przez swą matkę Polkę. Odwagą swoją rozniecała męstwo żołnierzy. Pomędzy zabitymi powstańcami znajdowano i kobiety. A ileż to kobiet podzielało z mężczyznami wygnanie i ciężkie katorżne roboty!

Ł. W.

## Hodujmy kwiaty

Wiosna. Może nadejdą jeszcze zimna, a nawet mrozy, ale niemniej obecna pogoda aż prosi, by rozpocząć prace ogrodowe. Przygotowujmy więc skrzynki, grządki dla warzyw, ale nie zapomnijmy również o kwiatach. — One ożywią nasze ogródki tęcza gamą kolorów. Ile przyjemności sprawi nam nierzaz maleńki, kwitnący klombik. Z jaką radością przygotowujemy ziemię, kształtujemy grzędy, rabatki w powodzi słonecznego światła, przy podmuchach wiosennego wiatru. Przy takiej pracy niema miejsca na kwaśny cierpko zgryźliwy humor, bo wszystko śmieje się, śpiewa.

Ruch na świeżym powietrzu uelastyczni nasze ciało, praca i wyniki spowodują wiele radości i promiennego

nastroju, a barwna plama kwiatów przed oknami, to ozdoba najprzedniejszej wartości. Praca w ogródku jest nie tylko miłą, ale pod każdym względem pożyteczną. Suma sumarum — uśmiechnięta czarodziejka ogrodniczka na tle ślicznego ogródka.

Chyba, że przekonałam wiele czytelniczek do założenia ogródka kwiatowego. By jednak ten ostateczny wynik był zapewniony, trzeba nam zwrócić uwagę na kilka zasadniczych rzeczy.

Konieczne jest sporządzenie planu, a przynajmniej szkicu naszego ogródka w celu odpowiedniego rozmieszczenia w nim poszczególnych gatunków. Pomyślimy o tem, czy odpowiadają nam lepiej okrągłe, owalne, kwadratowe, prostokątne klomby czy mniej lub więcej długie i szerokie rabatki. Dalej trzeba nam dobrać takie kwiaty, by okres ich kwitnienia następował kolejno po sobie. Często bowiem można widzieć prześliczne ogródki wiosną, a latem lub jesienią szarą pustkę, podczas gdy możemy się urządzić w ten sposób, że od wczesnej wiosny do późnej jesieni, będą nam kwitnęły coraz inne kwiaty.

Zakwitnęły już śniegówki, przebiśniegi, fioletki, piwonie, konwalie, kosańce, lilje i inne. Z kwiatów letnich wspomnę: nasturcje, groszki pachnące, meki, rezedę, powoje i łubiny ogrodowe wysiewane wprost w grunt, inspektowe: astry, lewkonie, lwie paszcze, balsaminy, rośliny dwuletnie: goździki, naparstnice, malwy, kampanule i byliny: floksy, orliki, gladiole, maki stałe, gaillardje, dalie, i wiele, wiele innych.

Mamy ogromne bogactwo gatunków kwiatów; z nich możemy dobrać odpowiadające nam czasem kwitnienie, kolorem, wzrostem, stopniem rozkrzewienia. Obecnie wysiewamy kwiaty letnie jak: astry, lwie paszcze, cinie, goździki (na przyszły rok), bratki jesienne.

Ważnym czynnikiem w hodowli kwiatów jest gleba. Nie zawsze jest ona w naszym ogródku dostatecznie bogata w składniki pokarmowe rośliny. Doskonale glebę, którą zasilimy nasze klomby potrafimy sobie stworzyć z suchych liści, badyli i t.p. sposobem kompostowym.

Trzeba by powiedzieć jeszcze b. wiele, by temat wyczerpać a może zainteresowane i młodości kwiatów wypowiedzą się naszym działu kobincym o szczegółach hodowli pewnych gatunków, które hodowały, lub hodują z dobrymi rezultataми.

L—a.



Politechnika, wzniesiona w r. 1877



## Sport szybowcowy

Iść śladem ptaka — to myśl która od zarania dziejów nurtuje w umyśle ludzkim. Zdobywczy geniusz człowieka od czasów najdawniejszych podejmuje się walki z tym krnąbrnym i tak nieuchwytnym żywiołem, jakim jest powietrze. Już starożytny Grek goniąc wzrokiem za chyżym ptakiem, z tęsknoty za nieznanymi wrażeniami, w swej bujnej wyobraźni buduje sobie skrzydła i przenosi się w lazurowe przestworza. Powstaje legenda o Ikarze, który na skrzydłach przenosi się z Krety do Aten. Jednak w drodze żar słoneczny roztopia воск, którym lepił pióra swych skrzydeł, i spada wdół, a morze Egejskie pochłania jego ciało, jako pierwszą ofiarę, złożoną na ołtarzu walki o podobój przestworzy. Jest to bajka, nie pozbawiona jednak odrobiny prawdy.

Co było bajką przez tyle wieków — to XX. wiek przeradza w prawdę. Po licznych próbach, które zwyczaj kończyły się nie wesoło, chęć uskrzydlenia człowieka uwieńczona została pomyślnym rezultatem. Pruski inżynier Lilienthal buduje skrzydła, przy pomocy których rzuca się z niedużych wysokości i tzw. lotem ślizgowym zlatuje na ziemię (1891 r.) Skoki te dały początek dalszym studjom i eksperymentom nad tego rodzaju machinami i są że tak powiem narodzinami dzisiejszego lotnictwa.

W grudniu 1903 r. warkot motoru zamącił spokój amerykańskiej pustyni Katy Hawks i pierwszy samolot zbudowany przez braci Wright odbija się od ziemi w powietrze i przelatuje przestrzeń 260 m. Jeszcze dużo włożono żmudnej pracy, jeszcze dużo padło ofiar, a dziś człowiek-ptak z błyskawiczną szybkością przecina powietrzne regiony, a jego pierś przepelnia potężna pieśń zwycięstwa.... Bajka stała się prawdą,

Ślizgowiec Lilienthala, wyparty przez jego następcę — samolot z silnikiem, poszedł rychło w zapomnienie, a loty ślizgowe, jako jedna z form latania były przez czas zawieruchy światowej niepraktykowane. Dopiero Niemcy w r. 1922 zaczynają, po daleko idących przeobrażeniach, uprawiać szybownictwo jako odrębną gałąź lotnictwa. Umieeli odrazu ocenić jego wielkie znaczenie w ogólnym rozwoju lotnictwa i otoczyli go specjalną opieką. Dziś Niemcy zajmują w tej dziedzinie pierwsze miejsce.

Drugiem po Niemczech państwem, które zaczyna uprawiać szybownictwo, to Polska. Dziś, dzięki poparciu czynników oficjalnych polskie szybownictwo, oparte na dobrych podstawach, jest na najlepszej drodze rozwoju. Polska po Niemcach, staje się w szybownictwie wzorem dla Zagranicy, tak w dziedzinie konstrukcji jak organizacji i szkolenia. W dobie obecnej posiada Polska kilkanaście szkół szyb. niższych, a trzy wyższe. (W polskich ośrodkach szyb. szkolili się w ostatnich czasach Czesi, Rumuni, Finowie, Estończycy, Jugosłowianie.)

Szybownictwo w C S R jakkolwiek nie dorównuje polskiemu, to jednak poszczycić się może pięknymi wynikami, a mając świetne warunki lokalne (górzystość kraju) i dobrze rozwinięty przemysł lotn., rokuje najlepszą przyszłość. Tyle o szybownictwie w ogólności.

Mam wrażenie, że każdego ciekawie będzie sam posób szkolenia, — ten proces przeistaczania się człowieka w ptaka. Ciekawości tej czynię zadość i podaję krótki opis:

Po przygotowaniu teoretycznym, z rozkołataniem sercem siada sobie taki uczeń na siodełku szkolnego szybowca, zawieszonego na specjalnym rusztowaniu („szubienicą“ zwanem) wkłada chwiejące się od wzruszenia nogi w „orczyk“ (ster kierunkowy), przypasuje się i chwyta drążek sterowy.

Instruktor przez odpowiednie kiwanie szybowca, sztucznie stwarza sytuacje, spotykane w powietrzu, a uczeń pilotuje; reaguje sterem na wychylenia, przyswaja sobie te ruchy i automatyzuje je. Kilka kolejek po kwadransie i już „szubienica“ skończona. Absolwenci „szubienicy“ przechodzą w drugie stadium szkolenia... „szuranie“. Szybowiec zaczepia się za ogon, za dziób zahacza się dwa 440-tonetrowe ramiona, potężnej liny gumowej. Komenda: „naciągaj“ zrywa z miejsca 6 chłopów, którzy biegnąc, naciągają liny aż do momentu odczepienia się szybowca. Ten zaś zrywa się i po miękkiej trawie ślizga się, czyli „szura“, a mała szybkość nie pozwala mu oderwać się od ziemi.



Szybowiec w okolicy Jabłonkowa przed 4 laty.

Co tam teraz słychać z szybownictwem?

„Jak wysoko byłem?“ pyta się półprzytomny uczeń po dokonaniu tego wyczynu.

W miarę stopniowego zwiększania siły naciągu, zwiększa się szybkość startującego szybowca, aż dojdzie do szybkości lotu i wtedy się odrywa.

Szum w uszach, przyjemne i nadzwyczajne delikatne uczucie miękkiego unoszenia, przypomina mu poniekąd jazdę na łódce, aż... och, już ziemia i taka twarda, że cała plejada gwiazd stanęła mu przed oczyma. Mimo to wraca na start dumny, że był po raz pierwszy w powietrzu. I znów zwiększa się już nie siła naciągu, ale wysokość położenia startu. — Młoda ikra lotnicza zaczyna skakać coraz wyżej i dłużej.

Nieraz to uczeń czując w żyłach krew Piccarda, „drze maszynę“ w górę aż do utraty szybkości i nowoczesny Ikar spada „gromiąc“ przy sposobności szybowiec (rzadko siebie)... Wraca chyłkiem na start, zerkając z podełba na głmury marsowego oblicza instruktora, nie zwalając sobie nic dobrego. I wówczas na starcie rozgrywa się mała sielanka: dialog milczącego ucznia z nadzwyczaj gadatliwym instruktorem.

Po 2 — 3 tygodniach latają już na ostro; wzbijają się na wysokość wieży kościelnej, wykonując loty ponad







# Harcerstwo

## Ofenzywa

W tym roku mija 24 lat od chwili, kiedy na ziemi śląskiej położono fundamenty pod pierwszą drużynę harcerską, a tem samem, całego Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji. Od tego czasu wiele zmieniło się. Były chwile (nieraz od nas niezależne) w których nasza organizacja stała nad przepaścią, zdawało się, że zniknie z terytorjum Czechosłowacji; ale właśnie po takich chwilach przełomowych podnosiła się, by z nowym rozmachem rzucić się w wir zajęć. Młodzież razem ze swoimi kierownikami rwała się do pracy, ażeby przez siebie ukochaną organizację postawić na najwyższym poziomie.

Praca młodzieży nie poszła na marne. Oto w zeszłym roku została ukończona pierwsza ofenzywa, która w stu procentach powiodła się: blisko tysiąc nowych chłopców weszło w szeregi harcerskie.

Na jednym z pierwszych tegorocznych zebrań Głównej Komendy postanowiono, że H. P. C.\* wysiłek blisko ćwierćwiekowej pracy nie uczci kilkudniowym zlotem, jak zwykle obchodzić swoje rocznice, lecz pracą całoroczną. W tym roku rozpoczęto drugą ofenzywę, którą skierowano na inne tory, a mianowicie, nastawiono ją na pogłębienie ideologii harcerskiej w naszych chłopcach, na odbudowę pracy oraz reorganizację H. P. C.

Jak przystąpić do ofenzywy wgląb?

W pierwszym rzędzie wszyscy harcerze ze stopniami na najbliższych zbiórkach rozwiną akcję czytelnictwa podręczników harcerskich; wynikiem tego będzie pogłębienie ideologii oraz praktyczne powtórzenie wszystkich posiadanych stopni i sprawności. Każdy chłopiec w ciągu roku musi zdobyć przynajmniej jeden stopień harcerski i przygotować się do następnego, a oprócz tego postara się osiągnąć jaknajwięcej możliwych sprawności. Szczytem honoru drużynowego lub zastępowego będzie, ażeby w swoich szeregach mieć jaknajwięcej chłopców z ukończonym przynajmniej pięciodniowym obozem stałym lub wędrownym. W tym wypadku stawiamy sobie za hasło słowa Baden-Powella: „Nie jest stuprocentowym harcerzem ten, kto nie spędził kilku dni w obozie.“ Poza tem drużynowi i zastępowi, którzy dotychczas nie mają ukończonych odpowiednich kursów, uprawniających ich do dobrego prowadzenia drużyny lub zastępu, w tym roku muszą zdobyć przeszkolenie harcerskie. Główny jednak nacisk w pracy drużyny lub zastępu kłaść należy na wesołe współżycie, pogodę ducha oraz propagandę idei harcerskiej pomiędzy naszymi przyjaciółmi, co osiągniemy przez: herbatki, odczyty, wycieczki, ogniska, przedstawienia harcerskie, wigilijki itp.

A zatem rozpoczynamy drugą ofenzywę; będzie ona przygotowaniem do przyszłego roku, ażeby w obliczu dwudziestopięciolecia Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji stało się nie tylko pierwszorzędnie prowadzoną organizacją, lecz także wzorem innych, by górowało ponad innymi. My (Główna komenda), wam drużynowi, zastępowi oraz inni kierownicy harcerscy pomożemy w pracy, z wami chłopcy pójdziemy ramię przy ramieniu, aż do zwycięstwa.

Czuwaj!

Józef Żyła.



Katedra Łacińska, której fundamenty założył Kazimierz Wielki, została wykończona dopiero w r. 1640



Pawilon Zarządu „Targów Wschodnich” odbywających się corocznie jesienią



# TEATR AMATORSKI

Walter Zagóra.

## Projekt sceny

Do obowiązku reżysera należy wybór i dostosowanie dekoracji sceny. Zastanawiając się nad sztuką, trzeba dobrze zważyć, jak należy przeprowadzić dekorację sceny, by ta dała sztuce należyłą oprawę i łączyła się z nią harmonijnie.

Każda sztuka odbywa się w pewnym ośrodku. Nazywają to milieu (czyt. milie). Zadaniem reżysera jest zbadać miejsce akcji i miejsce to zobrazować. Są sztuki, gdzie akcja przez wszystkie akty odbywa się w jednym miejscu. W przeciwnieństwie znajdujemy sztuki, gdzie dekoracja zmienia się kilkanaście razy w ciągu przedstawienia. Poznać miejsce akcji, może reżyser nie z objaśnienia przed każdym aktem w sztuce, ale znając charakterystykę występujących osób. Wszystkie upodobania, manje, stosunki, określają dokładnie ośrodek przyrodę, w której osoby te żyją. Naodwrot miejsce akcji, więc pokój, jego umeblowanie charakteryzuje właściciela. Dlatego dekoracja pokoju nie może być przeprowadzona według upodobań reżysera, lub amatorów, lecz musi się stosować do gustu swego lokatora. Inaczej wygląda pokój studenta, inaczej hrabiego, inaczej pokój skąpca a inaczej samotnego uczonego. Krajobrazy charakteryzują pory roku, roślinność i ukształtowanie okolicy. Wielki zatem jest błąd, gdy n. p. „Nawróconego” wystawia się na tle szczytów tatrzańskich. Praktycznie reżyserzy nasi zważają tylko na to, czy sztuka odbywa się w lesie czy w pokoju. Reszta to już nie wchodzi w rachubę. Gra się „Karpackich górali”, to dobrze w lesie. Gra się „Na wymianie” w pokoju. Kulisy są tylko jedne do pokoju a jedne leśne. Reżyser przeto uważa, nie ma kulisów, grać trzeba wśród takich jakie są. Niekiedy upraszcza się dekorację jeszcze inaczej. Mianowicie, pierwszy akt jest w pokoju, drugi w lesie, trzeci w lesie, a czwarty w pokoju. Czwarty akt — koniec sztuki co tam dużo kramować. Ma być w pokoju, ale robi się w lesie i basta. I w lesie przychodzi do oświeśdź i bogosławieństwa narzeczonych. Znacznie pyszniej wygląda, gdy z pokoju robi się wygodnie las, przez wyjęcie tylnej ściany zostawiając boczne. Dotyczy to szczególnie scen postawionych w sali.

W dekoracji rozróżniemy dwa sposoby przedstawienia miejsca akcji. Dekorację realistyczną wiernie odtwarzającą rzeczywistość n. p. ogród i t. d. i dekorację symboliczną. Ta ostatnia polega na zaznaczeniu jakimś ważnym szczegółem, gdzie się akcja odbywa. Dekorację tę możemy nazwać też fragmentyczną to jest częściową.

Dekoracje fragmentyczne, mogą zaznaczyć przez jakiś szczegół, gdzie się akcja odbywa. Stosować tutaj trzeba system kotar, czyli firanki okalające z trzech stron scenę, któremi można operować w miarę potrzeby. System kotar, dzisiaj bardzo modny i praktyczny mogą zaprowadzić sobie tylko sceny stałe, mające dochody wielkie a nie małe. My mamy mówić o projekcie sceny w oczach reżysera. Opuszczamy dekorację szczegółową należącą do dekoratora.

Reżyser studujący sztukę, zapozna się i zabarwie-

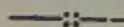
niem myśli autora. Wszystko to co jest na scenie wyraża myśl autora. Nazwijmy to tonem sztuki. Każdy autor posiada inny indywidualny ton w sztuce. Poznajemy Krumłowskiego, Bałuckiego po tonie sztuk. „Królowa przedmieścia, Śluby rybackie, Przewodnik tatrzański, Bosa królowa”, wszystkie te sztuki pomimo różności treści i miejsca mają coś wspólnego, coś z Krumłowskiego. I o tem trzeba bardzo pamiętać. Sztuka ma ogólny ton, a sceny poszczególne różne zabarwienie zasadniczego tonu. Ton sztuki właściwie dał powód do dekoracji systemu kotarowego, ponieważ materje bardzo dobrze oddają ton sztuki (kolor czarny — smutek, czerwony — radość i t. d.)

Reżyser musi znać i miejsca przyległe do sceny. Recz prosta na pierwszy rzut oka, domyśleć się okolicy miejsca akcji. Jak często ale się zdarza, że reżyser pomiędzy dwa wejścia wstawia okno z widokiem na dachy sąsiednich domów.

Najlepiej wyobrazić sobie dom gdzie się akcja odbywa i rozpatrzyć możliwość ułożenia sceny. Błędne też jest ustawianie pieców w pokojach n. p. w rogu między dwoma oknami, wchodów do kuchni, łazienki i t. d. Ustawienie biurka w pokoju jest ważne. Jeżeli nie są okna po lewej stronie siedzącego, muszą być naprzeciw siedzącego. Zwrócić uwagę na umieszczenie dobre lamp, telefonu, kontaktu elektrycznego. Są to rzeczy ważne szczególnie w naszych warunkach bo wszystkie nasze sceny są scenami realistycznymi.

Wiedząc z jakiej strony reżyser interesuje się dekoracją przystępuje się do rysowania planu sceny. Nie wystarczy sobie obmyślić projekt, ale go naszkicować. W tym celu każde koło ma mieć zeszyt rysunkowy i tam reżyser rysuje plan każdego aktu pod którym pisze którą sztukę i który akt przedstawia plan, datę i podpis wykonawcy, n. p. „Przewodnik tatrzański”. K. Krumłowskiego, akt pierwszy: „W Tatrach”. Reżyserja: Jan Hóta 15. marca 1936. W planie znakami przedstawia się umiejscowienie przedmiotów. Plan taki jest bardzo praktyczny, wyklucza możliwość zapomnienia czegoś w dekoracji. Reżyser oddaje zeszyt dekoracyjny dekoratorowi na mniejszych scenach gospodarzowi a ten bez komunikowania się z reżyserem wie, jak ma być urządzona scena. Najwygodniej jest, jeżeli się kulisy ponumeruje, bo wtedy dokładnie reżyser i dekorator rozumieją plan. Na scenie wszystko musi mieć jeden styl, a nie okno gotyckie a drzwi barokowe. Praktyczny reżyser stara się powierzchnię sceny jaknajwięcej zmniejszyć, by dekoracji było jaknajmniej. a o dekoracji przekona się każdy najlepiej, gdy reżyser z personelem technicznym urządzi próbę dekoracyjną wykończając szczególnie dekorację i oświetlenie.

Dlatego ponieważ dekoracja sceny jest bardzo ważną i obszerną, proszę P. I. czytelników a szczególnie reżyserów by napisali do redakcji Ognia czy należałoby poświęcić jeden względnie więcej artykułów dekoracji sceny, zaznaczając równocześnie na jakiej scenie pracują stałej t. zn. murowanej czy też ruchomej. Można także podać projekty tematów jakieby należało omawiać w naszych artykułach i sposób jak należy objaśniać dane tematy. Listy kierować do redakcji Ognia dopisując „Teatr amatorski”.







Pięknie rzeźbiona kaplica będąca zakończeniem portalu wewnętrznego „Szarej Kamienicy” na Rynku

## Kronika światowa

**Energiczny krok Hitlera.** Od chwili podpisania przez Francję paktu francusko-sowieckiego Niemcy kilkakrotnie zwracały uwagę, że uważają pakt ten jako skierowany przeciwko nim i na to, że nie zgadza się z umową lokarnęską, zawartą między Niemcami z jednej strony, a z Francją, Belgią, Polską i Czechosłowacją z drugiej strony. Po ratyfikowaniu przez sejm francuski paktu francusko-sowieckiego, oczekiwano ze strony Niemiec ostrzejszego protestu. Nastąpił on w dniu 7. marca b. r. w formie o wiele ostrzejszej i bardziej brzeniennej w skutku, niż oczekiwano. Oto rząd niemiecki oświadczył sygnatariuszom umowy lokarnęskiej, że wskutek zawarcia paktu francusko-sowieckiego umowa lokarnęska nie może już obowiązywać Niemców i że dlatego też obsadził wojskami zdemilitaryzowaną traktatem wersalskim strefę nadreńską. Równocześnie jednak rząd niemiecki oświadczył gotowość zawarcia ze swymi sąsiadami zachodnimi paktu nieagresji na 25 lat. To oświadczenie rządu niemieckiego, wypowiedziane ustami Hitlera na posiedzeniu Reichstagu, wywołało we Francji oburzenie. Francja wręcz oświadczyła, że sankcjami zmusi Niemcy do odwołania wojsk z Nadrenji. Zdaje się jednakże, że Fran-

cja w swoim zapale jest osamotniona. Bowiem Anglia, jako gwarantka umowy lokarnęskiej, wprowadzić nie godzi się na krok Niemiec, z drugiej jednak strony skłonna jest do rozpatrywania oferty Hitlera. Zajmowane przez Anglię stanowisko nazywane jest przez część prasy francuskiej zdradą. Liczą się z możliwością poważniejszego zatargu francusko-angielskiego. W innych państwach europejskich krok Hitlera przyjęto albo ze spokojem, albo nawet z pewnym zadowoleniem. Inne państwa, jak np. Włochy, nie wypowiedziały się jeszcze. W Niemczech samych panuje wielki intuzjam z tego powodu, że Hitler strząsnął ostatnie ogniewa kajdan, narzuconych Niemcom po ukończeniu wojny. Hitler rozwiązał Reichstag i rozpisał nowe wybory, aby ludność niemiecka mogła się wypowiedzieć, czy zgadza się z jego krokiem, albo też nie. Nie ulega wątpliwości, że w wyborach, które się odbędą 29. marca Hitler odniesie większe jeszcze zwycięstwo niż przy porządnich wyborach. Sytuacja jest, aczkolwiek ręką b. pośredniej obawy o wybuch wojny, dość poważna. Polska zajęła w tej sprawie stanowisko neutralne. W prasie czeskiej wypowiedziana jest obawa, że gdyby zastosowano wobec Niemców sankcje gospodarcze, Czechosłowacja znalazłaby się w obliczu katastrofy gospodarczej, ponieważ Niemcy są największym odbiorcą towarów czeskich, a także największym dostawcą.

— :: —

## Odpowiedzi redakcji

**P. „As.”:** Absolutnie umieścić nie możemy, bo treść destrukcyjna. Przecież nie organizacje robią ludzi złemi, ani też nie stwarzają organizacji egoiści dla własnych celów. Jaskiniowcy, albo Kain, mordujący swego brata, z pewnością nie należeli do żadnej organizacji, a czyż byli lepsi od ludzi dzisiejszych? A dzisiejsi złodziejaskowie, defraudanci, mordercy, o których pełno w dziennikach, czyż należą do potępianych przez Pana organizacji? A powinno tak być, skoro Pan pisze, że: „Myśl tworzenia organizacji wyszła od złego ducha”. A tworzący organizacje niepodległościowe Piłsudski, prof. Masaryk i inni to według Pana także egoiści? Trzeba przecież zrozumieć, że każdej organizacji, względnie jej twórcy, przyświeca jakiś wzniosły cel, jakiś ideał. A że ludzie potrafią wypaczyć najpiękniejszą ideę, to już chyba nie winą organizacji, lecz ludzi samych, którzy, jeśli są źli, są takimi bez względu na to, czy chodzą samotni, albo się zrzeszają w organizacje. Przytoczone przez Pana przykłady o nienawiści wyznaniowej są tylko dowodem tego, cośmy powyżej powiedzieli. Nie rozumiemy też Pana, gdy na jednym miejscu pisze, że „religia... to wrzód w ciele ludzkim”, a na innym miejscu nawołujemy do „kierowania się programem... w myśl zasad prawdziwego chrześcijaństwa”. A już wogóle nie pojmujemy takie twierdzenie Pańskie, że: „Gdyby moc stwarzająca człowieka była przewidziana, że ten człowiek będzie tem, czem jest, zapewnoby tego człowieka nie była stworzyła”. Drogi Panie, niech się Pan nie kusi rozwiązać odwieczną tajemnicę, bo to się jeszcze nikomu nie udało. Szkoda energii zużytej. Jest do wykonania tyle drobnej pracy, za którą ludność nasza wdzięczna Panu będzie. Skieruj Pan swą energję myślową w innym kierunku, a zasłużysz sobie na wielkie uznanie.

**Pan „Ik.”:** Owszem, przyjmujemy chętnie. Nawet zdziwieni jesteśmy, że organizacje młodzieżowe



nie przysyłają komunikatów. „Ogniwo” powinno być skorowidzem pracy w naszych organizacjach młodzieżowych. Należy także przysyłać krótkie sprawozdania z pracy i imprez, a także fotografie z takich, które w miarę możliwości będziemy umieszczali.

P. A. K.: „Muzykulę” umieścimy w nast. numerze.

P. A. Z. G. Sucha: Nadeszło zapóźno. Pozatem stanowczo za długie.



Katedra grecko-unicka św. Żura, wzniesiona w końcu XVIII w.

### Konkurs

Redakcja „Ogniwa” ogłasza konkurs a mianowicie: Wiadomo, że dysk po wyrzuceniu leci wprzód po krzywej lotu a prócz tego obraca się ruchem rotacyjnym koło swej osi.

Otóż zadaniem uczestników konkursu jest odpowiedzieć na następujące pytania:

I. W którą stronę odbywa się ruch rotacyjny.

II. Jaki wpływ ma ów ruch rotacyjny na krzywą lotu oraz dalekość rzutu.

Dla dobrej odpowiedzi jest wyznaczona nagroda. Dajemy pole do popisu uczniom gimnazjum oraz sportowcom zajmującym się fizyką.

Rozwiązania należy nadsyłać do redakcji do 23. marca b. rr.

## KOMUNIKATY

Koncert orkiestry Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszyń. Zorganizowana przy Kole Macierzy Szk. w Cz. Cieszyń. Orkiestra M. Szk. urządza w niedzielę, 22 marca w sali polskiej szkoły wydz. Koncert, na którym wystąpi również Chór Męski M. Szk. oraz rewersi TPN z przebojami. Ze względu na zadanie, ja-

kiego podejmuje się orkiestra wśród towarzystw polskich, prosimy o liczny udział. Początek o godz. 19.

Z Sekretariatu ZZEM. W związku z komunikatem w poprzednim numerze zawiadamiamy, że termin podawania spisu sztuk został przedłużony do 20. III.

+

### KONKURSY ROLNICZE.

W okresie ogólnego przyzwyczajania do wszelkiego rodzaju konkurencji nie należy się ograniczać tylko w sporcie do szlachetnego współzawodnictwa, lecz metody tej możemy użyć przy studiowaniu praktycznych potrzeb gospodarczych. Nawiązując do poprzedniego artykułu o znaczeniu zajęć praktycznych w programie pracy organizacji młodzieżowych, należy zwrócić uwagę na aktualność konkursów rolniczych.

W obecnym sezonie budzącej się wiosny należy pomyśleć o konkursach z zakresu uprawy roślin. Kilka tematów jakie mogą przychodzić pod uwagę: Oplacalność szlucznych nawozów u różnych roślin. Wydajność różnych odmian ziemniaków. Jak osiągnąć najwyższy plon ziemniaków? Uprawa buraków pastewnych. Uprawa kapusty pastewnej i jej wartość. Próby uprawy soi i t. p.

Jak organizować konkurs? Każda organizacja młodzieżowa, która znajdzie 5 do 10 ochotników poda ich nazwiska do redakcji Ognia wprost do Tow. Rolniczego. Każda taka grupka tworzy dla siebie zespół konkursowy, który wyznacza z pomiędzy siebie przodownika, t. zn. administratora zespołu.

Po zgłoszeniu zespołu i tematu konkursowego, przyjedzie do gminy instruktor, który każdemu uczestnikowi konkursu da wskazówki i będzie prowadził konkurs przez cały rok. Każdy uczestnik konkursu musi mieć do dyspozycji przynajmniej 1 ar pola, przy tematach z nawożeniem lub odmianami kilka poletek po 1 arze. Oprócz tego każdy prowadzi własny dzienniczek konkursowy w którym zapisuje przebieg konkursu i kalkulacje rachunkowe.

Metoda ta pozwala na uzyskanie praktycznych i naukowych wiadomości z zakresu uprawy poszczególnych roślin, bez specjalnych wydatków na szkołę i odrywania się od zajęć codziennych. Dlatego nie powinno być ani jednej organizacji młodzieży wiejskiej, która by nie zorganizowała w swym gronie jednego lub kilku zespołów konkursowych!

Czekamy na zgłoszenia! !

+

### Dział rozrywkowy

1. Kwadrat podzielić na 9 mniejszych kwadratów i do każdego wpisać takie liczby, by w kierunku pionowym i poziomym dały sumę 70.

2. Trzej bracia podzielili 7000 Kč w ten sposób między siebie, że najstarszy miał dwa razy więcej od średniego, a ten dwa razy więcej od najmłodszego. Ile otrzymał każdy?

3. Bez 1 2 3 4 5 6 młodzież się nie obejdzie,  
Bez 2 3 1 4 5 6 chwast rolnikowi wszędzie.

Rozwiązania z nr. 4 nadesłali: Noga Karol, Cz. Cieszyń. — Gałuszka Karol, Doubrawa, — Kondorówna Anna, Nydek, — Gałuszkówna Anna, Karwina.

—:—



## Trzeba sobie umieć radzić.



Panu Groszkowi wprasza się zawsze znajomi do przejażdżek samochodowych. Jak dotychczas to pan Groszek zawsze znalazł miejsce dla nich.

## Twoja jedyna.

Józek otrzymuje list. Podpis: Twoja jedyna ukochana. Józek podiera głowę i medytuje, od kogo ten list: — Pawełka to nie jest, ta nie jest tak naiwna, a Elza mnie zbyt dobrze zna. Pozostaje tylko Zosia. Poczem Józek siada i pisze: Moja jedyna, ukochana!

## Podsluchane na zebraniu K. S.

Referent: — „Człowiek jest istotą rozumną, dąży do znalezienia i poznania prawdy. Otóż gdzie tę prawdę można najprędzej znaleźć?

Głos kobiecy: — W snorzu!

Referent: — Temat musi być częściowo niezna-ny i interesujący. Gdybym zapowiedział, że jutro będę przemawiał na K. S. na temat, że 7 razy 7 jest 45, to napewno nikt nie przyszedł...

Głos z tyłu: — To się rozumie, żeby nikt nie przyszedł — dyć to wszyscy downo wiemy!

## Obrazy nie sycą.

Bogaty pan ogląda w pracowni malarza jego ostatni obraz: — Taki śliczny, nie można się napa-trzyć do syta!

Malarz: — Dlatego też go sprzedaję!

## Cierpliwość.

Pan Królikiewicz miał cierpliwość — no powia-dam wam, nie do uwierzenia. Każdy dzień miała jego znarowiona żona jakieś nowe życzenie. Dziś znowu wzdycha: — Ach, raz tylko zobaczyć Neapol a potem umrzeć! — Królikiewicz traci cierpliwość, rzuca

okiem do rozkładu jazdy i krzyczy: — Najbliższy po-ciąg odjeżdża o godz. ósmej trzydzieści. Tu masz na podróż!

## Zmiana.

— Serwus, Sikora! Ale człowieku, ty się zmie-niłeś do niepoznania w tych 10 latach cośmy się nie widzieli!

— Czego się pan czepia, ja się wcale nie na-zywam Sikora!

— Coooo? — nazwisko także zmieniłeś?

## W restauracji.

Gość (oburzony): — Kelner! tu jest włos w zupie. Co to ma znaczyć?

Kelner: — Zaraz zapytam kucharki, bo ja nie jestem zabobonny i nie znam się na gustach.

## W Szkoci.

Mały Szkot wpada zdyszany do pokoju:

— Tatusiu, krowa od sąsiada wlaźła do naszego ogrodu!

— Nie trajkocz tyle — idź i wydoj ją!

## Wykształcenie.

Jurek jest na przyjęciu. Podawają właśnie sery.

— Czy pani lubi gorgonzolę? — zwraca się do swej uroczej sąsiadki.

— Właściwie, to ja wolę jego brata Emila — odpowiada panna, aby wykazać się znajomością lite-ratury.

## Złośliwy.

— Stary przyjacielu, musisz koniecznie zobaczyć moją narzeczoną. Powiadam ci, wszystkie trzy gra-cje w jednej osobie!

— Taka gruba?



## Odpalony amant.



# OGNIWO

**DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI**  
**PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-**  
**MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM**

## **Kraków** *klejnot miast polskich*



Widok zamku królewskiego na Wawelu od strony Wisły.

Historyczna stolica Polski, sędziwy gród królewski, tak sercu polskiemu drogi, tętnił dawniej gwarem i życiem, rozpościerając wpływ swój nie tylko na Polskę, lecz i na ościennie kraje. Wówczas powstały te tysiączne zabytki, czyniące go dla nas Polaków skarbnicą wspomnień o dawnej potędze i chwale, oraz bezcennym zbiorem zaklętych w kamień, marmur i bronz dzieł sztuki, które co krok przejawiają się tam w każdym szczególe.

Będąc zawsze ośrodkiem polskiego życia naukowego i artystycznego, Kraków ciągnął ku sobie wszystkie wyższe duchem i talentem jednostki, tam bowiem w latach niewoli najłatwiej było przejawiać swe uczucia narodowe. To też stał się on na długie lata polskimi Atenami, gniazdem patryjstycznych zrzeszeń, a także, jakby polskim Pie-

montem, stąd bowiem wyruszyły Legiony Polskie pod wodzą J. Piłsudskiego w bój o wolność Polski.

Co bowiem najlepszego wydał duch polski na długiej przestrzeni wieków, tu się rodziło, tu znajdowało schronienie, promieniując wokoło i zapładniając serca i umysły służbą dla Polski, nauki i sztuki.

W Krakowie na plan pierwszy wybijają się dzieła sztuki i kultury duchowej, to też chcąc się z nim zapoznać, trzeba zwrócić przedewszystkiem uwagę na jego architekturę, bo śmiało można powiedzieć, że w Krakowie odzwierciadla się cała, wielowiekowa sztuka architektoniczna Europy chrześcijańskiej.

W numerze dzisiejszym zapoznamy czytelników z najciekawszymi zabytkami Krakowa.





»Collegium Novum«, główny gmach Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Pomnik Grunwaldzki, przedstawiający króla Władysława Jagiełłę, ufundowany przez Ignacego Paderewskiego w roku 1910 ku uczczeniu 500-lecia zwycięstwa pod Grunwaldem.



Fundatorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Kazimierz Wielki — Królowa Jadwiga — Władysław Jagiełło.  
Mal. J. Matejko.



Kościół na Skałce wzniesiony w VIII w. na miejscu pierwotnej katedry krakowskiej. W krypcie pod kościołem znajdują się groby zasłużonych, a mianow.: J. Długosza, W. Pola, L. Siemieńskiego, J. I. Kraszewskiego, T. Leńartowicza, A. Asnyka, H. Siemiradzkiego, S. Wyspiańskiego.





## Kultura postępowania.

Zdawałoby się, że każda uczciwa praca, wykonana ściśle i sumiennie powinna być jednakowo oceniana. A jednak tak nie jest. Często ponad pracą najsumienniejszą ludzie przechodzą do porządku dziennego, podczas gdy mniej sumiennie wypełnianie swych obowiązków wyolbrzymiają i przedstawiają jako coś wielkiego i zasługującego na szczególne wyróżnienie. Dzieje się to przeważnie tam, gdzie rezultaty tej pracy nie są zbyt uchwytne. Skąd się bierze taki podział pracy i skąd takie zapatrywanie? Odpowiedź znaleźć można w 5 numerze »Ogniwa« w art. p. t. »Kultura w życiu codziennym«, gdzie w ustępie o kulturze postępowania tak napisano: »Człowiek niekulturalny drży przed swoim zwierzchnikiem, schlebia i poniża się przed silniejszym, zaś słabszego od siebie traktuje wyniośle i dręczy, nie bacząc na to, że może stać się tak, iż jutro jego samego w ten sam sposób potraktują.« I słusznie! W naszym skromnym polskim życiu w Czechosłowacji nie może być miejsca dla ambicji osobistych! Jak bardzo inaczej w tym wypadku jest w praktyce, niech posłuży parę przykładów z naszego terenu.

W biurze wszystko idzie jak z płatka. Urzędnicy pracują ponad siły. Często nawet pracy wymaga tego, by pracownicy spełniali swe obowiązki w godzinach nadliczbowych (za co w naszych warunkach się nie płaci), ewentualnie zabiera się materiały do domu, by tylko nadażyć i nie zostawiać zaległości. W uznaniu za sumienną pracę od władz wyższych przychodzi pochwała dla... przełożonego biura, który nawiasem mówiąc i pomijając wydajność jego pracy, umiał się zakrzętać koło sprawy dla siebie miłej.

## Coś o języku i jego czystości.

Język, czyli mowa jest największym skarbem człowieka, ponieważ ten język pozwala mu porozumiewać się z innymi członkami ludzkiego społeczeństwa. Skarby ludzie szanują, ceniają, boją się, żeby ich nie stracić — nie zniszczyć. Trzeba i język — a zwłaszcza język macierzyński, ten język, w którym matka uczyła nas pacierza, w którym ojcowie nasi i nauczyciele uczyli nas miłości do naszej ziemi i przeszłości — szanować i cenić, chronić przed zniszczeniem.

Największą skazą języka są obce naleciałości — mieszanie obcych słów, nieużywanych w języku literackim, t. zn. takim, którym się pisze książki i którym mówią ludzie wykształceni.

Nie jest grzechem ani żadnym przewinieniem używanie gwary czyli dialektu, t. zn. języka, używanego w danej okolicy przez ogół mieszkańców.

W szkole (nie w każdej) poszczególna siła nauczycielska dokłada maksimum wysiłku i starań, by wszczepić jak najwięcej w młode główki dziecięce. Tymczasem uznanie, owszem, znów przychodzi, ale dla... kierownictwa.

Prelegent, wypełniający program zgromadzenia dwoma, a nawet trzema różnymi filmami obrazów świetlnych, też chyba wystawia dziwne świadectwo swej »kulturze«. Czy nie więcej oprócz pokazania paru obrazów zgromadzonym niema do powiedzenia? Czy boi się zadyskutować z ludźmi?

Czy można postępowanie naszych niektórych prezesów nazwać kulturalnym — jeżeli wybiera się ich, lub »dadzą« się wybierać w 5 różnych organizacjach, aby tylko zadowolić ambicje własne i być »tytułowanym«? Czy ci ludzie nie mają zrozumienia, że swoją osobą, swoim niekulturalnym postępowaniem często szkodzą ogromnie danym organizacjom w naszych bądźco bądź specjalnych warunkach?

Jestto tylko kilka niewiele mówiących zdarzeń, w każdym razie jeśli zlustруем nasze życie społeczne — dostrzeżemy ich o wiele więcej. Zobaczylibyśmy często niespotykane stosunki osobiste osób naczelnych do podwładnych. Dowiedzielibyśmy się, że dla niektórych osobistości nie wydatna praca społeczna, ale byle doniesiona plotka od osób trzecich jest decydująca o traktowaniu osób, jak już powiedziałem, często wybierających się w pracy społecznej. Spotkaliśmy się z tem, że daje się różne dyplomy, uznania i odznaczenia osobom — niewiedomo zaco!

Wogóle o rzeczach tych dałoby się niejedną artykuł napisać. Są to sprawy wielce przykre --

Warunkiem tu jednak jest, aby dialekt ten był wolny od obcych naleciałości, bo wtedy gwarą staje się żargonem — językiem zepsutym. Wybitni poeci i powieściopisarze używają dziś dialektów, a nikt im tego nie uważa za błąd, przeciwnie uważa się to za zaletę. Wymienię tu takie nazwiska, jak Kaz. Przerwa-Tetmajer, Wł. Reymont, nasz śląski G. Morcinek i wielu innych. Nie chce bynajmniej przez to powiedzieć, że powinniśmy unikać języka literackiego, a używać tylko dialektu — przeciwnie: można dialektu (gwary) używać, ale niewolno go nadużywać.

Nasz dialekt śląski jest jednym z najstarszych i najpiękniejszych dialektów polskich. Niestety, skutkiem długowiekowego braku kontaktu z Polską uległ on znacznemu zepsuciu. Pełno w nim naleciałości z języka niemieckiego (germanizmów) jak np. »Sztubmedla pucowała na forhaucie ibercyjer«, mantel, szrank, westa, forhangi i całe dziesiątki



jednak wskazujące, że są ludzie, którzy z kulturą postępowania nie mają nic wspólnego.

A obok tego istnieją setki, istnieje cała armia naszej młodzieży, która mimo iż bezrobotna, nie mająca żadnych aspiracji ni nadziei na przyszłość, pracuje dla społeczeństwa. Pracuje bez względu na to, czy znajduje zrozumienie — pracuje z zaparciem siebie, poświęcając czas i siły swe, bo wie, że praca nie dla siebie, ale dla ogółu jest miernikiem wartości człowieka. Wyłania się jednak kwestja — czy i w jakim stopniu poprzednio przytoczone wypadki »niekultury postępowania«

demoralizują naszą młodzież? (Urok przykładu, 6 num. »Ogniwa«.) Nie zagłębiając się w sedno rzeczy można skonstatować, że młodzież nasza mimo wszystko, lepiej zdaje się rozumieć jedność narodową naszego społeczeństwa. Wie, że wobec zagadnienia »być albo niebyć« społeczeństwa polskiego w Czechosłowacji, nie mogą absolutnie istnieć interesy, czy ambicje osobiste poszczególnych osób, czy też partji. Wyłania się zatem ponad wszystko kwestja pracy dla społeczeństwa i kwestja pracownika społecznego. Czy napisze ktoś o tem? -R-

## JAN KASPROWICZ.

Jan Kasprowicz urodził się w Szymborzu na Kujawach, jako syn wieśniaka. Pasał sobie mały Janek bydło, ale myśl jego błądziła gdzieś indziej. Myślał o tem, jak pięknie jest na świecie, jak dziwnie szumią drzewa, — a tymczasem bydełko szło zagonami sąsiadów.

Rodzice Kasprowicza wcześniej poznali, że syn ich ma wielką chęć do nauki, to też dali ostatni grosz prawie i posłali chłopca do szkoły. Chodził więc sobie Janek do szkoły, ale niedarmo był Polakiem i mówił to głośno, to też go nigdzie długo nie chciano trzymać, bo szkoła niemiecka była sroga i nawet mówić po polsku nie było wolno.

Dużo energii życiowej było trzeba zanim się Kasprowicz przecisnął przez te niemieckie szkoły, a widząc jak bardzo cierpi lud polski uciskany przez obcą przemoc, poświęcił się pracy dla niego, idąc między lud ze słowem polskim. Ale niestety Niemcy rychło to spostrzegli i przy pierwszej okazji Kasprowicza zniknęli za to, że kochał Ojczyznę i rodaków. Po wyjściu z więzienia udał się Kasprowicz do Małopolski. Był w Krakowie, później we Lwowie, uczył się dalej, aż zdał najwyższe egzaminy. Powołano go wówczas na profesora do uniwersytetu we Lwowie.

Kasprowicz zaczął wcześniej pisać. Jeszcze w szkole będąc opisywał swoje życie, zajęcia gospodarskie w domu, ojca, matkę, sąsiadów, a wszystko tak dokładnie, że aż się wszyscy dzi-

wili. Wśród wierszy początkowych jest najwięcej takich, które mówią o życiu ludu i biednym, uciskanym wówczas Narodzie polskim. Serce ścisnęło się poecie, gdy dowiedział się, co robią Prusacy, aby zgniebić polskość, ale pomimo tych strasznych wieści, nigdy nie tracił ufności, ale zawsze kazał mieć nadzieję, bo wierzył, że:

»... Jest w ludzie siła niespożyta,  
Zbawienie leży pod siermięgą...«

W tych pierwszych utworach opiewał też Kasprowicz piękność ziemi polskiej — z największą miłością mówi poeta o ziemi swojej, o jej piękności i czarze.

W dojrzałych utworach mówi Kasprowicz przede wszystkim o Bogu i o człowieku. Kasprowicz miłował ludzi sercem całym, widział jak im się źle powodzi, widział wiele nędzy koło siebie i chciał temu zaradzić. Badał więc gdzie wina, że ludzie są nieszczęśliwi.

Niewszystkie jednak wiersze Kasprowicza są łatwo pisane i nie każdy je zrozumie, — ale dwie każdy znać powinien: »Księgę ubogich« i »Mój świat«.

Umarł w sierpniu 1926 roku wyrażając życzenie, aby pochowano go nad brzegiem Dunajca przy »Harendzie« w skromnym grobie.

Odszedł, jako największy poeta swej doby, ale Naród polski o nim pamięta i kocha jego dzieła. -fek.

\* \* \*

innych wyrazów, pochodzących z języka niemieckiego.

Jeszcze niebezpieczniejsze są dla czystości języka i naszej gwary czechizmy, ze względu na pokrewieństwo obydwu języków. Pełno w naszej gwarze wyrazów czeskich (pry, cesta, wubec, kłobuk, dwacet i wiele innych) i czeskich zwrotów, zupełnie niepotrzebnych. Przytoczę tu tylko, jako przykład zwrot, użyty przez autora artykułu »Jak czytać« z 1-go num. »Ogniwa«: »zmusić myśl do tworzenia i rozluszczania zagadnień dalszych«. Tylko Czech »luští záhady«. Polak może »łuskać orzechy«, może mu się »łuszczyć skóra«, może komuś »coś wyluszczać« ale zagadnienia **rozwiązuje**. W artykule o Beskidzie w tym samym numerze napisano **pokoji**, podczas gdy po polsku piszemy **pokoju** (może to tylko chochlik drukarski?).

Powyższe błędy przytaczam, jako przykład, że nawet ludzie obcy z językiem mogą popełniać

błędy językowe, których jednak należy unikać. Sądzę, że autorzy nie obrażą się za to.

»bo nie sztuka gadać górnio.

To potrafią nawet... durnie!...

Ale mówić prawdę zawsze!

Po tym krótkim i zupełnie pobieżnym szkicu przechodzę do sprawy, która skłoniła mnie do jego napisania.

Otóż proponuję, aby w »Ogniwie« utworzyć stały »kącik językowy«, w którymby zwracano uwagę na niewłaściwe i błędne słowa i zwroty a wskazywano właściwe. Ci, którzyby zauważyli jakąś niewłaściwość wskazywaliby na to, zaś ci, którzyby mieli jakieś wątpliwości zwracaliby się do »kącika językowego« z zapytaniami. A więc:

Wszyscy, którym leży na sercu czystość naszej drogiej spuścizny ojców, do pracy! Ż-ski.

\* \* \*



## Przygody komendanta Wilczka.

Z numerem dzisiejszym rozpoczynamy przedruk niektórych ustępów z powieści Jerzego Bandrowskiego pod pow. tytułem. Autor, leżąc się w szpitalu zapoznał się z Wilczkiem, b. żandarmem austriackim a później przodownikiem polskiej policji państwowej, który w długie wieczory opowiadał mu swoje ciekawe i emocjonujące przeżycia w służbie, różniące się pod każdym względem od żandarmeryjno-policyjnej służby w mieście. Była to niebezpieczna i zacięta walka z rozpanoszoną w czasie wojny i po przewrocie bandytyzmem w Małopolsce.

### ŻANDARMSKIE SZCZĘŚCIE.

Na początek opowiem panom prawdziwą historję, która wprawdzie ponuro się zaczyna, ale wesoło się kończy.

Ktoś nazwał nas gdzieś »państwowymi włóczęgami«. Określenie trafne. My i straż skarbową jesteśmy istotnie włóczęgami, wałęsającymi się stale po gościńcach, polach i lasach, przeważnie w nocy, bez względu na pogodę. Czemu w nocy? Bo wówczas, w ciszy, najlepiej i najwyraźniej słyszeć, gdzie i co mówią złe, czarne myśli.

Rozumiecie panowie teraz, dlaczego w nocy wyszedłem właśnie na patrol. Byłem wówczas jeszcze żandarmem austriackim. Noc niezbyt nadawała się na przechadzkę. Była chmurna i parna. Zbierało się na deszcz. Zaglądnąłem tu i tam, pogadałem z jednym, drugim — deszcz zaczął padać, ot, zwykły, ciepły, lipcowy deszcz — bo było to w lipcu. Wstąpiłem na chwilę do jednej karczmy — w karczmie się zawsze czegoś dowiedzieć można — i poszedłem dalej. Ciemno zupełnie, nie widać nic. Mniej więcej koło jedenastej zerwała się burza. Pioruny, błyskawice, grzmoty, ulewa straszna, a ja w polu, najbliższa wieś oddalona o trzy kilometry, karczmy żadnej w pobliżu nie ma — co robić? Idę w tej burzy, z hełmu mi się woda za kołnierz leje, niepodobna wytrzymać.

Wtem przypominam sobie, że niedaleko jest cmentarz — a na cmentarzu musi być kostnica. Niewiele myśląc, postanowiłem schronić się w kostnicy. Żeby to było szczególnie przyjemne schronisko, tego nie powiem, ale — nie miałem wyboru. Zresztą — cóż znów strasznego? W duchy nie wierzę, a co do tego, że tam trupy leżały — moi panowie, nie wiem, czy na świecie jest choćby piędź ziemi nie skrwawiona, choćby piędź ziemi, na którejby kiedyś trup nie leżał. Tu ulewa, burza, pioruny — tam dach, cztery ściany, przez okienko wiaterek zawiewa — wcale nieźle!

Więc uciekłem do tego domku umarłych. Zdjąłem torbę, położyłem ją na pryczy niby poduszkę, wyciągnąłem się, odsapnąłem trochę i paląc papierosa, przysłuchiwałem się burzy i pluskowi deszczu. Po pewnym czasie zacząłem drzeć.

Nagle — ocknąłem się. Słyszę na cmentarzu kroki i niewyraźne, stłumione głosy. Co to? Dwunastej przecież jeszcze nie ma, zresztą — w duchy nie wierzę, pewnie ludzie jacyś łażą, ale cóżby ludzie mogli robić na cmentarzu w taki czas? Kto może się tu wałęsać nocą między grobami? I poco? Bo na takim biednym wiejskim cmentarzu nawet ukraść nie ma co, a to, co wartoby od biedy wynieść — kawałek żelaza zardzewiałego czy blachy — można wynieść w biały dzień, nie marnując sobie nocy. Więc poco ci tu przyszedł?

— Nie, ja tam nie chcę! Chodźmy lepiej pod kaplicę!

Na co drugi głos, natarczywy, z tym akcentem rozkazującym, właściwym ludziom zuchwałym i nie znośzącym oporu, odpowiedział:

— Głupiś! Co się nam może stać? Pod kaplicą zmokniemy, a w trupiarni sucho!

Zaczęli się spierać. Jeden koniecznie chciał do kostnicy, drugi się bał. Domyśliłem się, że to dwóch chłopaków wiejskich, wybierających się na jakąś wyprawę nocną. No, w tem niema jeszcze nic złego! Burza zagnała ich na cmentarz, jak i mnie.

Kiedy oni się tak spierali, a głos za kostnicą zaczął nad miękko protestującym brnąć górę, przysłała mi do głowy znakomita myśl.

— Poczekajcie! — pomyślałem. — Pokażę ja wam kostnicę i oduczę od łażenia nocą po cmentarzu!

Położyłem na pryczy karabin, kucnąłem na przeciw drzwi, zarzuciłem na głowę poły płaszcz, ukryłem wśród nich na piersi latarkę elektryczną — i czekam.

Wreszcie po długim sporze, zdecydowali się wejść do kostnicy.

Kiedy otwarli drzwi, wiatr je pchnął i huknął niemi o ścianę. To parobczaków trochę speszyło, ale, choć z pewnem wahaniem i niezbyt śmiało, przecie weszli.

A wtedy ja zacharczałem strasznie, zapaliłem latarkę elektryczną i prosto w oczy puściłem im światło. Wyobraźcie sobie panowie: Trupiarnia, a na środku, naprzeciw drzwi, czarny, niesamowity i niepojęty kształt, charczący i buchający białem, jaskrawem światłem. Było się czego przestraszyć!

To też moi chłopcy jak nie wrzasna! Skoczyli obaj naraz do drzwi, gdzie stuknęli się łbami tak, że ich aż roztrąciło, ale przecie jakoś wysypali się z kostnicy i zaczęli zmykać! A ja nic, tylko charczę za nimi coraz groźniej. Słyszałem, jak się walili przez groby, potem przez płot, a wrzeszczeli wciąż. Jak się później dowiedziałem, uciekali tak jednym tchem aż do wsi — trzy kilometry.

Naśmiałem się, przeczekałem burzę i poszedłem dalej.

Wkrótce potem byłem znów w tej wsi. Miałem tam, oczywiście, znajomego wójta, człowieka rozumnego i sprytnego. Wstąpiłem do niego, opowiedziałem mu całą historję — śmiał się tak, że ja myślałem, że trzaśnie! — ale ja mu powiedziałem:

— Wszystko to ładnie, tylko — posłuchajcie, panie wójcie: Ci chłopcy nie wytrzymają, żeby komu o tem nie opowiedzieć. Taka przygoda na cmentarzu musi się rozgłosić. Łatwo wam będzie dowiedzieć się, kto to był. Może mi się przydać.

W krótkim czasie dowiedziałem się, że tymi wypłoszonymi z kostnicy gośćmi byli dwaj synowie jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi.

Teraz patrzcie panowie, co to żandarmskie szczęście. Głupi figiel na cmentarzu — a jakie następstwa z tego wynikły.



Oto naraz rozeszła się wiadomość o wielkich kradzieżach koniczyny w tej wsi.

— Aha! Mam was ptaszki! — pomyślałem sobie. — Już ja dobrze wiem, kto tę koniczynę kradnie. Nikt inny, jak tylko synowie tego bogatego gospodarza. Nie potrząsajcie panowie głowami przecząco czy z powątpiewaniem. Wyjątki są, ale zresztą — najbogatszy nawet gospodarz sięgnie po cudze, jeśli sądzi, że mu to ujdzie bezkarnie. Ludzka rzecz.

Poszedłem do wójta i mówię:

— Panie wójcie, idziemy razem rewizję zrobić.

— A u kogo? — zdziwił się wójt.

— U tego gospodarza, którego synkowie na cmentarzu djabła widzieli.

Wójt w mig zgadł o co chodzi, poszliśmy.

Moglibyście panowie powiedzieć, że na ten właściwie opowiadanie się kończy. Złodzieci wykryłem, zrobiłem rewizję, znalazłem skradzioną koniczynę, sprawa poszła do sądu, winni zostali ukarani — koniec. Takby się niby zdawało, ale właściwa walka tu się dopiero zaczyna.

Bo zważcie panowie: Rewizja — to podejrzenie, rzucone na człowieka, który był jednym z najbogatszych we wsi. Miałem wprowadzić pewność, ale nie miałem dowodów. Powinna mi je była dać rewizja. Jednakże — jeśli chłop ukrył koniczynę tak, że jej nie znajduję?

Przyszliśmy wreszcie z wójtem do chaty owego gospodarza. Zrzedła mi trochę mina. Za chatą trzy wielkie stodoły. Nie tak to łatwo przeszukać takie trzy wielkie gmachy, pełne snopów żyta i pszenicy, bo właśnie żniwa wypadły wcześniej i zboże już do stodoł z pól zwożono. Cóż robić? Rewizja — to jak gra w karty: Albo będzie coś, albo nie będzie.

Powiedziałem gospodarzowi, z czym przyszedłem. Zaprzeczył wszystkiemu, zaczął się wykręcać, przysięgał się na wszystkie świętości, że kradzionej koniczyny u niego niema, że jemu samemu koniczynę skradziono. Wszystko w porządku, inaczej nie mogło być.

A ja mimo to przystąpiłem do rewizji.

Weszliśmy do pierwszej stodoły.

Od góry do dołu założona calusieńka snopami zboża. W środku, między snopami, małe, ciasne przejście, niby uliczka. Trochę mroczno, ciepło, pod strzechą wróble ćwierkają.

Patrzę ja na to bogactwo, w snopach tak starannie ułożone — i żal mi. Rozrzucać to wszystko? A jeśli koniczyny nie będzie tu, to rozrzucić snopy w drugiej stodołę, a może nawet w trzeciej? Więc zwracam się do gospodarza i pytam:

— Prócz tego żyta niema tu nic?

— Nic, panie wachmistrzu.

— No, to wołajcie synów i zrzucać snopy!

Chłopu oczy błysnęły.

— Ja do tego ręki nie przyłożę! — szarpnął się nagle, choć dotychczas był spokojny. — Poco mi tyle roboty, kiej kradzionego nic u mnie niema! Ja będę snopy rozrzucał — a kto je potem będzie znowu układał? Pan wachmistrz? Nie, ja do tego ręki nie przyłożę! Niech se pan wachmistrz zrzuca snopy sam z wójtem!

O, widzicie panowie! Gdyby był zawołał synów i zaczął posłusznie a chętnie zrzucać snopy — a mógłby to wówczas zrobić, jakby sam chciał

— możeby się to skończyło inaczej. Ale teraz tknęło mnie coś. Zawołałem dwóch chłopów, którzy zaczęli snopy zrzucać i wkrótce pokazała się za nimi — góra skradzionej koniczyny!

Reszta poszła już normalnym trybem. Protokół, konfiskata koniczyny, podział między poszkodowanych, sąd — ale to już do rzeczy nie należy. Girunt w tem, że dzięki dziecinnemu figlowi w kostnicy cmentarnej udało mi się później bez trudu — odgadnąć złodziei!

Kiedy synów gospodarza pytałem, co w kostnicy widzieli, w pierwszej chwili nie chcieli się przyznać. Przeczyli wszystkiemu. Przypominałem im wtedy, jak się na cmentarzu spierali, jak młodszy bał się iść do trupiarni, a starszy go namawiał, jak wreszcie weszli. Napominałem ich, żeby nie kłamali, bo żandarm wie wszystko.

Przerażeni i zdumieni tym dowodem mojej wszechwiedzy, puścili farbę:

— Widzieliśmy ogromną, czarną ropuchę, której z pyska buchał płomień, a strasznie przytem charczała.

— Jak myślicie, co to było?

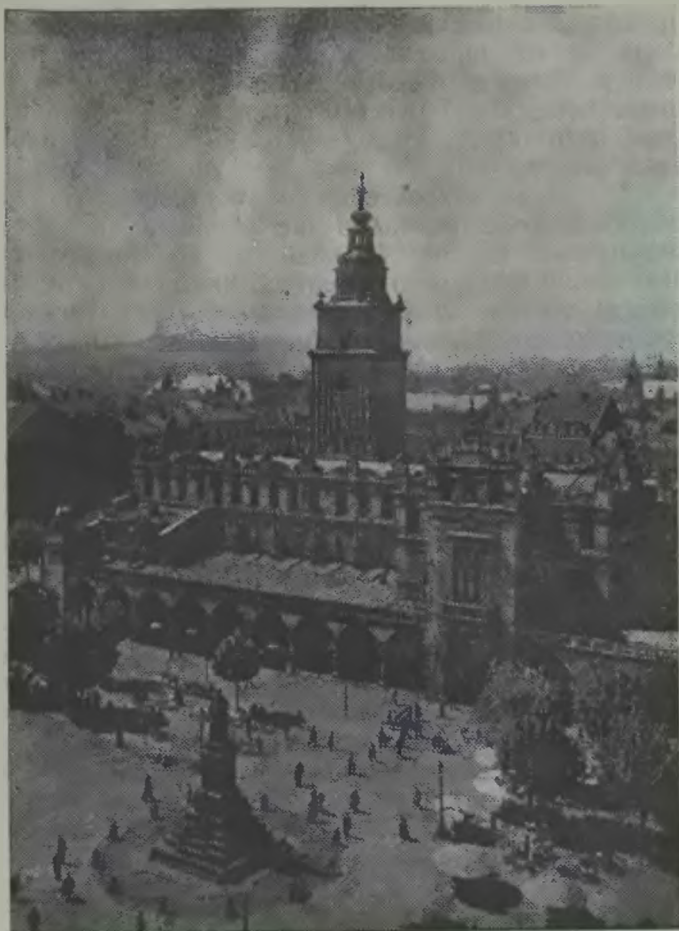
— Pewno djabeł.

Od tego czasu djabeł w postaci żaby niekiedy się w okolicy pojawiał. Cóż panowie chcecie? Jeśli dwóch coś widziało, to wkońcu dopatrz się tego samego trzeci i czwarty. Tacy są ludzie. Stworzyłem nowe wcielenie djabła.



Gotycki kościół Św. Krzyża, wzniesiony w XIV w. na miejscu drewnianego z XII w.





Widok na Rynek z wieży Marjackiej. Na pierwszym planie pomnik A. Mickiewicza, dalej gotycki gmach Sukiennic, a za nim wieża ratuszowa z XIV wieku. W oddali góra św. Bronisławy z kopcem Kościuszki na szczycie.



Widok na słynny kościół Marjański ze szczytu Sukiennic. Z ganku wyższej wieży już od 700 lat trębacz co godzina wygrywa przepiękny hejnał krakowski.

## Dział regionalny

### Muzykula.

Na północnym stoku Kozubowej jest miejsce, które okoliczny lud zowie Muzykulą. O powstaniu tej nazwy istnieje następujące podanie.

W pewnej chacie była szkubaczka. Dziewczeta i chłopcy darli pilnie pierze, by gospodyni nie powiedziała, że przyszły się tylko wygadać. Cieszyły się również na zabawę, jaka miała nastąpić. Utrzymywał się bowiem starodawny zwyczaj, że koło północy kończyło się szkubanie pierza, schodzili się młodzieńcy, znalazła się jakaś harmonja ręczna i zaczynał się taniec. Tym razem miał przyjść grać znany skrzypek miejscowy. Kiedy skończył pracę w domu, ubrał się, wziął skrzypce pod pachę i powędrował w znanym sobie kierunku. Była noc. Na niebie migotały gwiazdki, słabo jednak rozpraszały ciemności nocne. Skrzypek stał sobie wesoło, gdyż znał drogę, wszelki zaś lęk był mu nieznany. Nagle — bum! Młodzian stracił grunt pod nogami i leciał w dół. Wreszcie znalazł dno. Skrzypek nie stracił głowy. Wyciągnął zapalniczki z kieszeni i zapalił jedną z nich. O zgrozo! Włosy stanęły mu dęba. Oto zauważył, że

znajduje się w jamie. Temu dałoby się zaradzić. Niebezpieczeństwo leżało jednak w czem innym. Oto w jamie znajdował się wilk. Młodzian spadając w jamę uderzył zwierza w łeb, co sprawiło, że wilk stracił chwilowo przytomność i nie rzucił się na człowieka. Rozświecona zaś zapalniczka przed ślepiami dzikiej bestji nagnała jej chwilowego strachu. Skrzypek przekonał się, że uciekać nie może, gdyż nieprzyjaciół ściągnąłby go lekko zpowrotem, do walki zaś nie mógł się puszczać, gdyż jama była wąska i panowała tu zupełna ciemność. Usiadł więc na dnie jamy, wziął skrzypce i zaczął grać. Wilk wsłuchał się w melodię skrzypiec, ułożył się u nóg grajki i nic mu nie robił. Skrzypek, aczkolwiek mu ramię omdlewało, nie ustawał, lecz grał bezustanku. Nad ranem przechodził lasem myśliwy. Usłyszawszy głos skrzypiec poszedł w danym kierunku. Stał nad jamą. Przekonawszy się, o co chodzi, skierował lufę swej strzelby w dół i dał ognia. Wilk był martwy. Nawpół martwy młodzian wydostał się przy pomocy myśliwego z jamy i wrócił do domu. Na pamiątkę, że muzyka uratowała życie człowiekowi, nazwano owo miejsce Muzykulą.

A. K.



## ***Pramieszkańcy Śląska.***

Trudno, bardzo trudno, rzucić snop światła w zamierzłą przeszłość naszego kraju. To co wiemy — a jest tego niewiele i to nieraz sprzeczne z sobą — pochodzi od kronikarzy obcych narodów, które już miały swoją kulturę. Kronikarze ci spisywali to, co im opowiedzieli o naszych stronach kupcy i zdobywcy. Wiadomości takie nie mogły być ścisłe. Według Tacyta i Ptolomeusza najstarszymi mieszkańcami Śląska mieli być Lugińczycy. Niemcy uważają Lugińczyków za germańskich Wandalów. Jeden ze szczepów nosił miano Silingów, który w czasie wojen z Gotami całkowicie wyginął. Z końcem IV i początkiem V wieku zaczęli Wandalowie uchodzić ze Śląska, nie pozostawiając śladów po sobie.

Na opuszczonych ziemiach nadłabskich i nadodrzańskich osiedliły się w V wieku plemiona słowiańskie. Odtąd też wszystkie nazwy od rzek pochodzący na osadach skończywszy były słowiańskimi i są częściowo po dziś dzień, jednak przez przybyszów niemieckich pozmieniane i zniekształcone. Stare akta z IX wieku podają za mieszkańców Śląska: Ślęzan, Opolan oraz Dadoszan. Na podstawie nazwy Ślęzanie powstała nazwa Śląska. Od czasu zamieszkania całego Śląska przez Słowian powstały nadzwyczaj liczne osady dotąd nieistniejące. To świadczy o tem, że ziemia mu-

siała już być w bardzo wysokim stopniu pod uprawą. Niektóre zaś nazwy wsi wskazują na to, czym się ich mieszkańcy zajmowali oprócz rolnictwa. Bowiem bardzo szeroko rozwinięte było łowiectwo, rybołówstwo lub bartnictwo, niemało też osad było takich, które wyłącznie stały na usługach panów.

Do czasu bezpośredniego zwierzchnictwa nad Śląskiem króla polskiego nie ośmielali się obcy przybywać na Śląsk. Działo się to dopiero po utworzeniu wielu samodzielnych księstw. Wielu książąt weszło w związki małżeńskie z córkami rodów niemieckich, co było połączone równocześnie z napływem niemieckich dworzan a później także rzemieślników. Już Bolesław Długi wziął Niemkę za żonę, później Henryk I Brodaty, Bolesław II, Henryk III i wielu ich następców. Zanim jeszcze książęta zaczęli sprowadzać kolonistów niemieckich, było na Śląsku niewiele Wallonów rasy romańskiej, przybyłych wraz z zakonnikami z zachodu z dzisiejszej Francji. Być może, że Wallasi, to potomkowie Wallonów.

Bolesław I Długi i Henryk I Brodaty przyczynili się w bardzo wysokim stopniu do tego, że Niemcy zrobili formalny najazd na Śląsk celem osiedlenia się tu. Gdyby nie ci dwaj książęta, kto wie jakim torem potoczyłyby się sprawy śląskie. Dość na tem, że dzięki owym księcom, Śląsk został w znacznym stopniu zniemczony. -l-



Malowniczy widok targu na kwiaty na rynku pod Sukiennicami.



Kościół Dominikanów, wybudowany w stylu gotyckim w XIV wieku.



# Dział kobiecy

## Ku nowej wiosnie.

Witaj wiosno! Sławne czasy...

Wiosna wróciła już! Na każdym poznać ją można kroku. Widać ją w jaśniejszym wejrzeniu słońka, w lekkim powiewie wietrzyka swawolnego, słysząc ją w śpiewie radosnym ptasząt, co z poza mórz dalekich już przyleciały.

Idzie do nas wiosna strojna w szatę zieloną, ozdobiona w pierwiosnki i fioletki pachnące. Przyroda cała budzi się i rwie do nowego życia co z wiosną znowu wróciło. Nawet człowiek nie zostaje obojętnym na jej czarodziejskie wpływy. Ileż razy przeżywaliśmy już tę samą wiosnę, a jakże jest nam ona zawsze nowa i zawsze radosna.

Wiosna! — To symbol życia nowego. Czyż i dla nas nie jest ona tym symbolem? Poddajmy się także i my jej ożywcemu wpływowi, niech wszystkie serca przeniknie ta siła odradzająca, niech pobudzi nas do żywszej i intensywniejszej pracy. Trzeba strząsnąć z siebie resztki opieszałości i z całą energią zabrać się razem do pracy. Teraz zbliża się właśnie sezon letni, okres wycieczek, obozów, letnich sportów — szerokie pole działania.

Więc z nowym zapałem i ufnością bierzmy się do żmudnej pracy. Niech nikogo z naszej młodzieży nie zabraknie w szeregu ochotnych pracowników. Pracujemy dla naszego wspólnego dobra i dla naszej przyszłości, którą sami sobie zapewnić musimy. Od nas więc zależy, jak się nasza przyszłość ukształtuje.

Es-A.

\* \* \*

## Umiejętność ubierania się.

Często słyszymy, iż kobieta jest niewolnica mody. Czy musi jednak taką być koniecznie?

Kobieta, która posiada dobrze rozwinięty zmysł estetyczny, zmysł piękna, potrafi znaleźć w modzie to, co jej odpowiada; moda jej radzi, a nie dyktuje.

Przy właściwym ubieraniu należy zawsze zważać, aby krój, materia i ozdoba była w harmonii z naszą osobowością, a nie niewolniczym naśladowaniem tego, co jest modne a dla nas często nie do zaakceptowania. Ubranie zdradza charakter właściciela. Kobieta, której ubranie jest zbyt przepięknie różnymi ozdobami zdradza na pierwszy rzut oka powagę lekkomyślną. O wiele powabniejsze jest pojedyncze ubranie, z dobrej materji, dostosowane barwą do cery a krojem do postawy. Ładny materiał, dokładne wypracowanie powinno być głównym warunkiem przy wyborze nowego ubrania.

Elegancja nie zależy od ilości ubrań, lecz od stosownego wyboru. Kobieta posiadająca dobry gust, ubierze się zawsze dobrze, bez długiego namyślenia, pomimo posiadania małego wyboru w ubraniach.

Dziewczyna, która ma na myśli szczęśliwą przyszłość stara się ubierać skromnie i elegancko. Przy zakupie nowego ubrania, zwraca uwagę na jaki cel będzie jej potrzebne. Na ubranie często

używane wybiera materje dobrej jakości, krój pojedynczy, aby ubranie dało się łatwo przesyć, ewentualnie obrócić. Nigdy nie wybiera przesadnych form ani barw, które wkrótce przestają być modne.

Śmiesznie i ubogo wygląda nastrojona kobieta, która chce, aby ubranie czyniło ją bogatą, ale swoim zachowaniem zdradza wewnętrzne ubóstwo.

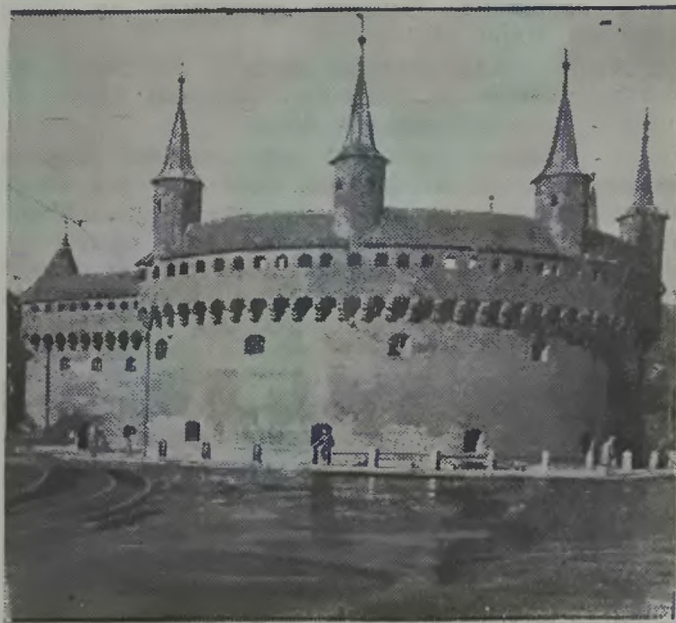
Nawet piękna twarz razem z ubraniem nie są przyczyną powodzenia, lecz naturalne, szlachetne i skromne zachowanie się dodają każdemu wyraz delikatnej ośłady. Zważajmy więc zawsze na warunki praktycznego i celowego ubierania się, a starajmy się w swoim interesie, abyśmy ubraniem wykazały dobre cechy naszej osobowości. Ł. W.

\* \* \*

**Jak przechować zimowe ubrania?** Wszelkie ubrania zimowe, jak futra, ciężkie płaszcze, których się w lecie nie używa, należy po należytem wytrzepaniu i przewietrzeniu z nastaniem pierwszych dni wiosennych, pogodnych i ciepłych odpowiednio zaopatrzyć przed mólami np. naftaliną lub antimolem (można otrzymać w aptece), pozaszywać w gęste płótno, lub pochować w szczelnie zamknięte kufry. Suknie wełniane wiszące w szafach często trzepać i przewietrzać.

\* \* \*

**Aby ręce były ładne,** to jest życzenie każdej kobiety. Będą cierpiały różnego rodzaju pracą, specjalnie teraz na wiosnę. Jeżeli pracuje się gołymi rękami w polu można za paznokcie wskrobać trochę mydła i tam zostawić. To uniemożliwia wniknięcie brudu a mydło można po pracy łatwo usunąć. Aby skóra nie pękała należy ją natrzeć na noc sokiem z cytryny. Ten można zmieszać z olejem lub gliceryną. Paznokcie można wyczyścić boraksem i sokiem cytrynowym. Ł. W.



Barbakan zwany też rondlem, niezwykle i jedyny w Europie tego rodzaju zabytek budownictwa fortyfikacyjnego z XV w.



# Harcerstwo

## Tradycja a krajoznawstwo.

Tradycja nie ginie — zginąć nie może! Dlatego stała się nieśmiertelną? Dlatego tylko, że w życiu duchowym harcerzy znalazła się na naczelnym miejscu, że w niem odgrywa wielką rolę wychowawczą.

Nieśmiertelna, niewyczerpana w pomysłach, oparta na silnej konstrukcji idzie ciągle naprzód razem z rozwojem wielkiej organizacji skautowej przez całe lata, dziesiątki lat.

Czyż corocznie urządzenie ognisk nie jest żywą pochodnią tradycji? Czyż od kilkunastu lat prowadzenie przez H. P. C. (Gł. Kom. — Hufce) na własną rękę kursów (obozów) nie jest podsyćaniem ukochania pracy harcerskiej a przez to i tradycji? A wreszcie, czyż urządzenie wycieczek krajoznawczych nie przyczynia się do spotęgowania i utrwalenia tradycji harcerskiej?

W jaki sposób „wycieczki po szerokim świecie” weszły w tradycję, i to nie byle jakiej wagi, w naszym H. P. C.?

Było to przed niespełną pięć laty. Wrześniowe słońce przedzierało się do świetlicy, bluzgając pomarańczowymi promieniami na grupkę harcerzy siedzącą dookoła stołu. Rada. Z porządku obrad wyłonił się punkt omawiający sprawę wszczepiania w młodzież poczucia miłości i przywiązania do rodzinnego kraju.

Sypały się różne projekty. Jeden radził czytać książki, opisujące piękność rozległych krain ziemi ojczystej. Następny przymawiał się za odczytami, inny roił o obrazach i filmach. „Kłócono się” bez końca. Wszyscy jednak zgodnie odczuwali, że w ich pomysłach brak czegoś uchwytnego, że w ich projektach czegoś brakuje, a brakuje w nich właściwej duszy, którą trzeba wetchnąć w pomysł i ożywić go. To, co doradzali, było „martwe” a zatem — nie nadające się do metodyki harcerskiej. Radzono, sprzeczano się, jeden drugiemu zbijał argumenty.

Nagle z kąta powstał harcerz, dotychczas nie biorący udziału w rozmowie, podszedł bliżej do stołu i w te odezwał się słowa:

Kochani druhowie! Radzimy nad kwestją wszczepiania w młodzieńcze serduszka przywiązania do ziemi macierzystej, radzimy o pogłębieniu w duszy chłopięcej miłości do kraju ojczystego. Słyszałem różne pomysły, które prawdę powiedziawszy złe nie są, lecz sami czujecie, że w nich mieści się forma lekcji szkolnej, gdzie nauczyciel opowiada o pięknie krajobrazu nieznaney ziemi, lecz tego piękna, jakie tam w rzeczywistości istnieje, nie potrafi odtworzyć nawet przez najbarwniejszy dobór słów, przez najcudniejsze obrazki.

U nas w harcerstwie, książkowe czy też obrazkowe uczenie cnoty ukochania ziemi nie wystarcza, ba, nawet nie przyniesie pożądaných wyników.

Zabierzmy i prowadźmy chłopców w pola, góry, rozległe lasy, wprowadźmy ich do miast i wsi pomiędzy dawne zabytki, pomiędzy mieszkańców. Tam uczmy ich żyć pięknem krajobrazu niw rodzinnych, uczmy ich szanować historję przodków, szanować i rozumieć warstwy społeczeństwa. Wśród

pamiętek historycznych, wśród sarkofagów najprzedniejszych królów, uczmy ich dumy narodowej, by nigdy nie wyparli się swej mowy, swego pochodzenia.

Tam wśród zacyzsy pomników lub ciemnego boru powiemy im: — Uważajcie za szczyt honoru, że przynależycie do narodu, który posiada przepyszną tradycję, a za który nie potrzebujecie się wstydić, owszem śmiało możecie wznosić czoła ponad innych. —

„Zagadka” została rozwiązana. Urządzono kilka wycieczek krajoznawczych w okolice Śląska a później zwiedzono trzy główne miasta Polski: Warszawę, Kraków i Lwów.

W ostatnich czasach zanikło zainteresowanie się krajoznawstwem, lecz nie na długo, bo w tym roku tradycja podniosła go z uśpienia na nowo i pcha na właściwe tory.

Tradycja, do ciebie kierowniku harcerski woła: Czy poznałeś ze swoim hufcem (drużyną, gromadą, zastępem) swoje najbliższe otoczenie? Czy znasz szczegółowo cały Śląsk — jego kopalnie i przepiękne góry? Zapoznałeś się ze Słowacją i jej granitowem sercem — Tatrami? Czy wiesz jak wygląda na Morawach?

Cały kraj po tej i tamtej stronie Olzy, stoi dla ciebie otworem, każdy wabi swoją szatą — krajobrazem, każdy czegoś chce cię nauczyć. Otwórz swe serce na wołanie przyrody, idź i poznawaj świat i jego piękno, a w duszę wszczepiaj najwyższą prawdę: zgoda zbudowała i rządzi światem tak pięknym i wielkim — ty wierny jej obrońca, będziesz dla niej ze wszystkich sił pracował.

J. Ż.

\*\*\*



Pomnik Tadeusza Kościuszki, dłuta lwowskiego rzeźbiarza Marconiego, wzniesiony przy wejściu na Wawel na Barbakanie Władysława IV.





Widok od południa na katedrę Wawelską. Kaplica śródkowa, nakryta złotą kopułą, wzniesiona przez Zygmunta I jest klejnotem architektury polskiej.



Fragment średniowiecznego Placu Marjackiego z gotyckim kościołem św. Barbary (koniec XIV w.). Na placu tym przebywają stale tysiące gołębi, gnieźdzących się w murach kościelnych.

## Żwizzek Bolskich Chórów

### Uwagi po konkursie.

#### IV.

Nasze »uwagi« kończymy zapowiedzianym artykułem p. L. Janickiego, umieszczonym w wychodzącym w Katowicach miesięczniku »Śpiewak«, p. t. »Zjazd śpiewactwa polskiego za Olzą«. E. G.

Śpiew Polaków żyjących poza granicami naszego państwa — ma znaczenie szczególne. Rozbrzmiewając na obczyźnie, w osobliwych niejednokrotnie warunkach, przewyższa on temsamem wszystkie wysiłki podejmowane przez propagatorów pieśni polskiej na gruncie własnym, pod dachem swojego domu, pod opiekunictwem skrzydłami własnej państwowości. Wartość żywej pieśni polskiej na obczyźnie jest przeogromna. Jest przede wszystkim dowodem naszego na tej obczyźnie istnienia, naszej hardości, naszego do Ojczyzny przywiązania i szczerego umiłowania kultury swego narodu. Wszystkie te cechy posiada śpiew polski wśród obcych.

Zorganizowany ruch śpiewaczy daje więcej! Nietylko budzi nadzieje. On ożywia i łączy to społeczeństwo, które często bywa planowo dezorganizowane, on dopiero daje hart i moc przeciw-

stawiania się zalewowi obcych kultur; zjawisko to obserwowali wszyscy działacze społeczni czynni na językowo zagrożonych terenach w latach przedwojennych i czasu wielkiej wojny. Gdy bowiem praca nad uświadomieniem narodowem, praca nad skupieniem społeczeństwa naszego w całość jednolitą i zwartą — była wręcz wykluczona w innych formach organizacyjnych — znajdowała zawsze jeszcze wyraz w organizacji śpiewaczej. Pieśń bowiem broni się najdłużej, gdy źle, i z pieśni tej bucha płomień i rozchodzi się żar, gdy ku temu nadarza się chwila szczęśliwa.

Te piękne i niespożyte wartości pieśni polskiej śpiewanej przez naszych wśród obcych trzeba przypomnieć, gdy obserwujemy działalność naszych kół śpiewaczych zagranicą.

Rozwój pieśni polskiej za Olzą idzie drogami naturalnymi. Chodzi o uszlachetnienie dusz, o pogłębienie umiłowania swojszczyzny, o wyraz istnienia, o dowód tężyzny, o życie gromadkie — a to wszystko wśród polskiego społeczeństwa, któremu pragnie zaimponować obca kultura.

Pieśń polska stała się na Śląsku czst. ostoją naszego życia kulturalnego. Wiedzą o tem polskie organizacje sportowe, robotnicze, oświatowe, ko-



ścielne, więc też nie dziwnego, że pielęgnują pieśń oddawna i że w roku 1927 stworzyły pewnego rodzaju nadbudowę organizacyjną: Związek Polskich Chórów, liczący obecnie 92 chóry, a przeszło 3000 śpiewaków. Życie polskie w Czechosłowacji, w odróżnieniu np. od Śląska Opolskiego, znamienne jest przede wszystkim tem, że dysponuje poważnymi zastępami rodzimej inteligencji, mogącej podjąć się wszelkiej pracy kulturalnej wśród własnego społeczeństwa. W tem szczęśliwym zjawisku leży niewątpliwie podstawa cyfrowego rozwoju tej sympatycznej organizacji, kierowanej przez prezesa p. Piotra Feliksa, dyr. gimn. w Orłowej przy współudziale dyr. związkowego p. Emanuela Guziura, prof. gimn. służącego licznym chóróm wskazówkami w dziedzinie artystycznej.

W dniu 15 grudnia ub. r. odbył się wielki zjazd śpiewaków polskich w Czeskim Cieszynie. Nie pierwszy! Zjazdami śpiewaków bowiem bywają coroczne dożynki, gromadzące wielkie rzesze ludu polskiego w parku nad Olzą, zjazdami śpiewaków bywają uroczystości jak te, które zespółili lud śląski w czci i hołdzie dla bohaterów przestworzy. Próbuja także zjazdów-koncertów. Takim był ostatni; a zgromadził śpiewaków z całego Śląska Zaolzańskiego, w liczbie około 500, którzy zgromadzili się w sali gimnastycznej polskiej szkoły wydziałowej. Na rozpoczęcie zjazdu przemówił prezes p. dyr. Feliks, zwracając się w gorących słowach do śpiewactwa i licznie zebranej publiczności, podkreślając przytem wielkie zainteresowanie zjazdem, wskazując na zwiększają-

cą się liczbę występujących chórów, analizując zamiatowanie ludu śląskiego do polskiej pieśni oraz jej rolę w życiu ludu polskiego za Olzą.

(Następuje wyliczenie chórów stających do konkursu.)

Pod koniec zjazdu wygłosił przemówienie okolicznościowe p. L. Janicki, dyr. S. Ś. Śl., przeprowadzając porównanie ruchu śpiewaczego na Śląsku za Olzą, omówił piękne rezultaty chórów polskich na podstawie odbytego konkursu śpiewaczego i ogłosił zestawione wyniki sądu konkursowego, w skład którego wchodzili pp. Prejzner, Stoński i Janicki z Katowic.

Bilans zjazdu jest nadzwyczaj dodatni. Minął ten dzień w nastroju niczem niezmaconym. Zgromadził śpiewactwo wszystkich ośrodków i sfer, bo przewinęły się chóry wsi i miast, robotnicze i kościelne, nauczycielskie i akademickie. Wszyscy śpiewali zjednoczeni w pieśni, pieśnią umocnieni. Poziom produkcji był bardzo wysoki, a o ambicjach artystycznych świadczą takie pozycje, jak „Grób Wikinga“ Niewiadomskiego, „Dwie dole“ Lachmana, „Matysek“ St. Surzyńskiego, „Bajka o myszce“ Walewskiego i i. Zjazd był wreszcie wyrazem tężyzny organizacyjnej i sprawnego funkcjonowania Zarządu Chórów Polskich.

Oby pieśń polska, w którą wkłada się za Olzą tyle prawdziwego wysiłku, którą darzy się tak serdecznem ukochaniem — ziściła nadzieje tych wszystkich, co jej służą ze szczerem oddaniem.

L. JANICKI.

## Sport

### Stały rozwój szybownictwa w Polsce.

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że szybownictwo (lotnictwo bezsilnikowe) jest najpiękniejszym sportem, godnym głębszego zainteresowania się naszej młodzieży. W dziedzinie tej przodują Niemcy, którzy zresztą swój prymat zawdzięczają traktatowi wersalskiemu, ten bowiem ograniczając możliwości rozwoju niemieckiego lotnictwa wojakowego w latach powojennych, zmusił ich temsamem do udzielenia pomocy lotnictwu sportowemu z szybownictwem na czele. Rzucone w masy społeczeństwa hasło: „Niemcy muszą się stać krajem lotników,“ dało wkrótce owoc w postaci utworzenia pierwszego ośrodka szybowcowego w Rhön w r. 1920. Od tego momentu szybownictwo kroczy po prostej drodze postępu, osiągając zawrotne rezultaty i pobudzając inne państwa do współzawodnictwa.

Nas oczywiście w pierwszym rzędzie interesuje to, co w tym kierunku robi się, względnie już zrobiono w Polsce. Tu musimy odrazu stwierdzić, że szybownictwo polskie jest polskiem w stu procentach. Żaden Polak nie szkolił się nigdy w pilotażu szybowcowym zagranicą. Nigdy nie pracował w Polsce żaden zagraniczny instruktor, ani też nie latano w Polsce na szybowcach obcej konstrukcji, produkcji czy pomysłu. Wszystko, co Polska posiada z zakresu szybownictwa, zawdzięcza wyłącznie twórczości i pracy swoich konstruktorów, pilotów i organizatorów.

Omawiając historję szybownictwa polskiego musimy wspomnieć, iż już w latach 1894—96 współczesny słynnemu Lilienthalowi inż. Tański latał na „ślizgowcach“ własnej konstrukcji, zaś w latach przedwojennych zajmował się żywo szybownictwem dzisiejszy minister płk. W. Jędrzej-



Autorzy nin. artykułu podczas lotów treningowych szkoły szybowcowej Aeroklubu Śląskiego w Katowicach, które się odbyły na Chelmie w Golezowie w niedzielę 22 marca bież. r. na szybowcach typu »Skaut«.

wicz; jednakże wojna światowa stłumiła w zarodku ideę Ikara na ziemiach polskich. Po wojnie zainteresowanie konstruktorów poszło raczej w



kierunku budowy samolotów motorowych, to też wyniki pierwszych konkursów szybowcowych w latach 1923 i 1925 były dość nikłe.

Dopiero w roku 1928 zorganizowali akademicy lwowscy wyprawę próbną do Złoczowa. Słynny dziś inżynier Szczepan Grzeszczyk ustanowił tam nowe rekordy Polski, uzyskując czas lotu 4 minuty, 13 sekund i 50 metrów wysokości ponad start. Był to moment przełomowy, który zapoczątkował gwałtowny rozwój szybownictwa w Pol-



sce. Dziś możemy stwierdzić, iż obrało ono dobrą drogę rozwoju, kierując się zasadą „wszerz i wzwyż”. Same cyfry mówią, że jest ono obecnie bardzo popularnym sportem i ogarnęło szerokie masy. W ciągu kilku zaledwie lat, dzielących nas od wyprawy złoczowskiej, powstało przeszło 50 ośrodków szybowcowych, które wyszkoliły zgórą 1500 pilotów. Liczba szybowców, zdolnych do użytkowania zbliża się do 500. W roku bieżącym przez powiększenie ilości szkół i obniżenie opłat, przewiduje się podwojenie liczby pilotów.

Wyczyny szybowników polskich są zakrojone na miarę światową, czego dowodem są wyniki ostatnich zawodów szybowcowych w Ustjanowej (22/X. — 6/XI. 1935), gdzie znana pilotka pol-



ska, p. Marja Younga ustanowiła światowy kobiecy rekord wysokości, osiągając 2.230 m ponad poziom startu (ok. 800 m). Inne rekordy polskie przedstawiają się następująco:

Wysokość: Włodarkiewicz 2.630 m (nieoficjalny rekord przekracza 3000 m).

Czas lotu: Oleński 20 godzin 13 minut.

Długość przelotu: Offierski 210 km.

Liczba pilotów polskich, posiadających wyczynową (najwyższą) kategorię D, wynosi 19, na ogólną liczbę przeszło 190. Jak wiemy kategorię D otrzymuje pilot szybowcowy, mogący się wykazać 1 lotem najmniej pięciogodzinnym, 1 lotem, w którym osiągnął najmniej 1000 m wysokości ponad miejsce startu, oraz 1 przelotu najmniej 50 km.

Bardzo ważną cechą szybownictwa polskiego jest fakt, iż powstało ono samodzielnie i udoskonalilo się do tego stopnia, że może już dzisiaj wspierać państwa, w których ruch szybowcowy jest słabszy (Czechosłowacja, Finlandja, Estonja, Węgry, Jugosławja i Rumunja otrzymują od Polski pomoc na polu konstrukcyjnym i dydaktycznym).

Szczupłe ramy tego artykułiku nie pozwalają nam na poruszenie zagadnień z teorii i techniki pilotażu, ani na omówienie strony organizacyjnej szybownictwa; błąd ten postaramy się jednak naprawić w następnych numerach „Ogniwa”.

Z. A. — K. L.

\*\*\*

### **Dawna i dzisiejsza olimpiada.**

Żyjemy w czasach, w których sport rozpowszechnia się coraz więcej i głębiej, ten sport, któremu prasa poświęca całe szpalty. Powstaje ogromna literatura sportowa ba, nawet zakłada się specjalne wyższe uczelnie dla teoretycznego i praktycznego studjowania tego objawu życia społecznego. Znaczenie sportu dla jednostki jak i dla społeczeństwa jest b. wielkie o ile jest on postawiony na zdrowych zasadach. Niestety, te zdrowe zasady często bywają wypaczane przez nasz sport. Do takich wypaczeń należy wprowadzenie profesjonalizmu, czyli zawodostwa do sportu.

Spółczeństwa i jednostki walczą z tym szkodliwym objawem w sporcie w różny sposób. Jednym z tych sposobów jest urządzenie olimpiad, wzorowanych na olimpiadach starożytnych Greków, dla których olimpiada była świętem wszystkich plemion Greckich, świętem zjednoczenia i świętem pokoju. Najważniwszem w dawnych olimpiadach było to, że zawodnik musiał wykazać poczucie szlachetnej rywalizacji czyli dżentelmenerii walki. I jak długo nie było w Grecji nagród dla zwycięzców, tak długo olimpiady stały na wysokim poziomie, z chwilą jednak wprowadzenia cennych nagród zaczęły one upadać coraz niżej aż zeszyły na popisy płatnych »kuglarzy« sportowych i »wyczyniarzy«.

Twórcą olimpiad nowoczesnych jest Francuz, baron Piotr Coubertin. Przyświeca mu myśl zbratania narodów oraz walki z profesjonalizmem w sporcie. Pierwsza nowożytna olimpiada odbyła się w 1896 r. w Atenach. Następne odbywały się co 4 lata na wzór dawnych olimpiad w Olimpi, a więc: w 1900 r. w Paryżu, w 1904 r. w St. Louis, 1908 r. w Londynie, 1912 r. w Sztokholmie, w 1916 r. z powodu wojny światowej nie odbyła się a miała się odbyć w Berlinie, 1920 r. w Antwerpii, 1924 r. w Paryżu, 1928 r. w Amsterdamie, 1932 r. w Los Angeles, w bieżącym roku odbędzie się w Berlinie.



Olimpiady nowożytnie mają w programie prócz działów sportowych także dział sztuki zwany olimpiadą sztuki. Znani są w tej dziedzinie Polacy, jak Wierzyński, twórca wierszy p. t. »Laur olimpijski«, oraz Skoczylas w dziele drzeworytu, obaj zwycięzcy na olimpiadzie 1928 r., jak również znane nam są zwycięstwa Walasiewiczówny i Kusocińskiego 1932 r. w Los Angeles. W Czechosłowacji profesjonalizm tak przeniknął niektóre działy sportowe a szczególnie piłkarstwo, że nie można obesłać tegorocznej olimpiady, bo, jak donosi prasa czeska, brak dobrych zawodników-amatorów w piłkarstwie. Pomimo, że Czechosłowacja jest zaliczana do pierwszych potęg piłkarskich we świecie — tak, ale w piłkarstwie zawodowym czyli w rzemiośle.

Efem.

\* \* \*

**Najświeższe wiadomości sportowe.** Jak się dowiadujemy w dniu 1 kwietnia b. r. ma się odbyć konferencja zarządów »Beskidu Śląskiego« i »Zw. Pol. Klubów Sport.« Są to podobno wstępne rokowania do zlania tych dwóch potęg sportowych w jedną całość. Jako dowód szczerych intencji obu Zarządów służyć może plan przyszłej pracy, który, jak fama głosi, przewiduje budowę schroniska i skoczni narciarskiej na jednej z hałd karwińskich i wielkiego stadionu sportowego na Kozubowej obok kaplicy.



Dawne mury miejskie z XIII XV w. wraz z Bramą Florjańska.

## Kronika światowa.

**Francja swoje — Hitler swoje.** Mijają trzy tygodnie od historycznej chwili, gdy Hitler w odpowiedzi na pakt francusko-sowiecki obsadził demilitaryzowaną na podstawie traktatu wersalskiego Nadrenję. Początkowe rozgorączkowanie i oburzenie ustąpiły miejsca rozwadze, w toku są pertraktacje, przy których rolę pośrednika odgrywa Anglia. Obecnie czeka się na odpowiedź Hitlera na francuski wniosek przekazania całego sporu Międzynarodowemu Trybunałowi w Hadze, którego orzeczeniu poddałyby się obie strony. Na czas trwania trybunału, Nadrenję miałyby obsadzić wojska angielskie i włoskie. Hitler odpowie dopiero po wyborach. Przypuszcza się, że Hitler propozycje państw lokarneńskich odrzuci i przedłoży jakiś wniosek dający możliwość dalszych pertraktacji. Włochy, jako drugi gwarant umowy lokarneńskiej, dotychczas się nie wypowiedziały.

**Wojna włosko-abisyńska,** po chwilowej przerwie, podczas której mówiono już o możliwości zakończenia wojny i pośrednich pertraktacji między cesarzem Haile Selassie a Mussolinim, prowadzona jest znowu bardzo zaciekle. Włosi głoszą o dalszych zwycięstwach. Przechodzą oni obecnie do masowego bombardowania z samolotów miast i miasteczek abisyńskich siejąc śmierć wśród cywilnych mieszkańców. Miasto Dżidżiga po 5-godzinnej ataku samolotów włoskich zostało całkowicie zniszczone.

\* \* \*

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

**Pan A. Klus:** Serdecznie dziękujemy za obszerny list. Krytyka całkiem na miejscu, chociaż trochę spóźniona i dlatego niezasłużona. Na przyszłość prosimy od razu wyróżnić list, gdy się coś nie będzie podobało a nie czekać tygodniami. Cieszą nas szczerze słowa uznania. Staraniem naszym będzie, aby oblicze »Ogniwa« odmłodziło i każdemu się podobało. Zmieniliśmy także drukarnię, aby i szata była przystojniejsza. Za nadesłany materiał ludoznawczy i inny dziękujemy, prosząc o dalszą współpracę.

**Pan W. Zagóra:** Szkicu nie umieściliśmy z następujących powodów: 1. najgłówniejszy, spóźnione nadesłanie; na kliszę trzeba czekać co najmniej trzy dni; 2. koszt kliszy jest dosyć wielki; 3. opis był tak jasny, że nie było trzeba unaocznienia; 4. szkic mógłby zecer zrobić z kresek, ale artykuł tak pięknie wypełniał stronicę, że zbrodnia byłoby przenieść go na następną. Dla pociechy dodajemy, że zecer nie zdradzał skłonności do popełnienia samobójstwa, gdy czytał rękopis. Z tem »oby!« udało się Panu jasnovidztwo, ale chyba się już nie uda, bośmy poszli do innego Guttenberga. Listów narazie niema. — Nowe nadeszło zapóźno, umieścimy w następnym numerze.

**Pan »As«:** Dziękujemy za bardzo obszerny list. Myli się Pan, jeśli sądzi, że Redakcja chciała go odpowiedzią rozgniewać i zrazić. Gdybyśmy napisali stereotypowe: »Nie nadaje się — idzie do kosza,« miałby Pan do nas pretensje. Dlatego w kilku słowach podaliśmy powody, dla których nie możemy artykułu umieszczać. Gdy się Pan głębiej zastanowi, sam przyjdzie do przekonania, że



podobnego artykułu nie moglibyśmy umieścić, choćby nawet jako »dyskusyjnego«, za który Redakcja »niby« nie odpowiada. Niby — a czy Pan wie, jaka góra listów z wyrazami oburzenia posypała się na nas? Posadza nas Pan o to, żeśmy go nie zrozumieli. Jakżeby potem mogła zrozumieć Pana młodzież nasza, która w większości swojej zalicza się do »laików«, dla których nibyto Pan nie pisał? Co do tego, kim jest odpowiadający, także się Pan myli. Być może, że w niejednym byśmy się zgodzili. Co innego jednak dyskutować we dwójkę o rzeczach drażliwych a co innego wywoływać taką dyskusję publicznie. Wiemy, że Pan nie miał zamiaru zniechęcać młodzież do zrzeszania się w organizacjach, nie jeden wszakże czytelnik po przeczytaniu Pańskiego artykułu odniósłby takie wrażenie i dlatego nasz wyraz: »destrukcyjny«. Coby zresztą za korzyści moralne miał Pan i »Ogniwo« z polemiki, w której jedna i druga strona nie szczędziłaby bardzo ostrych wycieczek osobistych? Nie chodziło zatem o osobiste poglądy redaktora, ale temu redaktorowi chodziło o to, aby nie wywoływać »wilka z lasa«, t. zn. niekończącej się polemiki między czytelnikami a autorem, nie wnoszącej do spornej sprawy jasności a chyba tylko gmatwującej całą rzecz. Niech będzie Pan przekonany, że jest bardzo dużo ludzi takich, którzy mają na pewne sprawy swoje osobiste, różniące się od ogółu poglądy, jednak rzadko kiedy zwierają się z nimi, wiedząc, że nic ludzkości z tem nie pomogą, ale w wielu wypadkach mogą zaszkodzić.

Pan E. Burjan. Skorzystamy.

### Nasze sprawozdania.

**WALNE ZWIĄZKU ABSOLWENTEK KONSZCZANEK** odbyło się 15 marca b. r. Ze sprawozdania z działalności dowiadujemy się, że Związek poszczycić się może 9 Kolanii Gospodyń, które swą żywotność wykazują w ciągłej pracy. Urządzają one kursy, izby pracy, referaty, obrazy świetlne i t. d.. W roku sprawozdawczym 1935 Związek subwencjonował Poradnię Matek, odbywającą się w Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Końskiej z pożytkiem dla potrzebujących porady matek, oraz uczenie szkoły, pełniących tam dyżury. Jak więc widać, praca wśród kobiet wiejskich postępuje naprzód. Życzymy ruchliwej placówce kobiecej jak najpomyślniejszego rozwoju na przyszłość!

**5-LECIE Z. E. M. W TRZANOWICACH.** 22 marca b. r. odbyło się w Trzanowicach uroczyste nabożeństwo, połączone ze świętem młodzieży z okazji 5-letniego istnienia tamtejszego Z. E. M. W uroczystości tej wzięły udział Związki z Cz. Cieszyńska, Ligotki Kam. i Trzecieża, przyczyniając się swymi wystąpieniami do uświetnienia teiże. Wygłoszone zostały dwa przemówienia, skierowane przeważnie pod adresem starszyny z prośbą o większe wyrozumienie i zainteresowanie się pracą młodzieży.

**5-LECIE Z. E. M. W KOŃSKIEJ.** połączone również z uroczystością odbyło się w ramach miesięcznego zebrania dnia 8 marca b. r.

**PIERWSZY KONCERT ORKIESTRY MACIERZY SZK. W CZ. CIESZYŃSKIEJ,** odbył się, jak zapowiedziano, w niedzielę, 22 marca b. r. Jak na pierwszy raz, orkiestra pod batutą p. Żyły zadowolili w zupełności słuchaczy. Pewne słabsze momenty dają się po lepszym zgraniu łatwo usunąć. To też jest nadzieja, że orkiestra stanie się chluba miejsc. Koła M. Szk. Były też bardzo udatne występy solowe i Chóru Męskiego. Ubolewać należy, że znajdują się ludzie, którzy sami będąc laikami, naiwnymi popisami gazetarskimi, zdradzającymi absolutny brak wyrobienia społecznego, zniechęcają do pracy. Na szczęście orkiestra została w zupełności zrehabilitowana przez znawcę muzyki i kompozytora, prof. J. Hadyne.

### Od wydawnictwa.

Do dzisiejszego numeru załączamy czeki i prosimy o wyrównanie prenumeraty za ubiegły i za nadchodzący kwartał. Przypominamy, iż należytość za pierwsze dwa numery roku ubiegłego wynosi Kcz 1.30, co prosimy uwzględniać przy wpłatach. Tych zaś, którzy otrzymują większą ilość gazetek do sprzedaży, także bardzo prosimy o uregulowanie należytości, albo załączonymi czekami, albo w miejscowych filjach T. O. Z., z poleceniem przekazania kwot do centrali w Czes. Cieszyń. Wszystkim innym, którzy już prenumeratę wpłacili, serdecznie dziękujemy.

\* \* \*

### Konkurs.

Z względu na to, iż z nadesłanych dotąd rozwiązań konkursu żadne nie odpowiada, przedłużamy nadsyłanie rozwiązań do 6 kwietnia b. r.

Jako nagrodę przeznaczamy jedną z następujących trzech książek wedł. wyboru:

1. »Gimnastyka« — Sikorskiego, cz. I; 2. »Zabawy i gry ruchowe« — Skierczyńskiego; 3. »Lekka atletyka« — Barana.

\* \* \*

### Komunikaty.

**TRZANOWICE.** Stow. Młodz. Kat. odegra w poniedziałek wielkanocny w sali p. Klaubaufowej dwie jednoktówki: »Miecz Damoklesa« i »Żyd w beczce«. Początek o godz. 7<sup>1/2</sup> wiecz. Po wieczorku zabawa.

**»MANEWRY JESIENNE.«** Ładną tę operetkę wystawi w niedzielę 19 kwietnia b. r. w sali gimnastycznej szkoły wydz. w Cz. Cieszyń. znany ze swych gościnnych występów Teatr Ludowy pod reżyserją p. K. Bergera. Orkiestra własna pod batutą p. Żyły. Chóry żeńskie, męskie, balet — kostiumy z wypożyczalni M. Szk. Bliższy program podamy w nast. numerze.

\* \* \*

### Kącik rozrywkowy.

#### Rozwiązania z numeru 5.

**Zadanie 1:**



**Zadanie 3:**

1	15	14	4
12	6	7	9
8	10	11	5
13	3	2	16

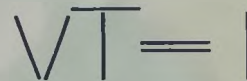
**Zadanie 2:**

Pokrajała wszystkie jabłka na 7 części i dała każdemu dziecku po 5 dużych i 5 małych części.

**Zadanie 4:**

Skreślić tak, aby pozostały pierwsze dwie 1 i 9; z dwu 1 powstaje liczba 11, dodać 9, jest 20.

**Zadanie 5:**



#### Rozwiązania z numeru 6.

1. a) Najmłodszy otrzymał 1 część      c) ma więc 1000 Kcz  
środek otrzymał 2 część      ma więc 2000 Kcz  
najstarszy otrzymał 4 część      ma więc 4000 Kcz  
to uczynił razem 7 część      razem 7000 Kcz

b) 7000 Kcz : 7 = 1000 Kcz

2

15	45	10	= 70
10	15	45	= 70
45	10	15	= 70
70	70	70	

3 Bez »Ogniwa« młodzież się nie obejdzie  
Bez gnoiwa chwast rolnikowi wejdzie.

Rozwiązania z nr. 5 nadesłała: A. Gałuszkówna, Karwina.

Rozwiązania z nr. 6 nadesłał: II zastęp Drużyny Harc. szkoły wydz., Jabłonków, Noga K., Cz. Cieszyń, Anna Gałuszkówna, Karwina



## Próżna obawa.



— Musisz moc papać, Karolku, boby z ciebie nigdy nie urósł taki wielki i silny chłop, jako je tatuś!

\*\*\*

## W Ameryce.

Autobus, wiozący wycieczkę pań, zatrzymuje się na brzegu rzeki. Przewodnik ryczy przez megafon:

— Tu, proszę pań, widzimy słynny wodospad Niagary. Gdyby panie zechciały na chwileczkę przerwać rozmowę, usłyszałyby ogłuszający huk spadających mas wody.

\*\*\*

## Westchnienie wiosenne pana Kluski:



— Cierp ciało, kiedy ci się żonki chciało!

\*\*\*

## Niestety.

— Czy pan jest tym osobnikiem, który mnie wczoraj uderzył w twarz?

— Żałuję mocno — to nie ja byłem.

## To dziwne.

Podchmielony jegomość podchodzi do policjanta i pyta go:

— Panie posterunkowy, czy pan nie widział małego pieska?

— Nie, nie widziałem.

— A jak długo jest pan przy policji?

— 15 lat.

— Co, 15 lat — a małego pieska pan jeszcze nie widział?!

\*\*\*

## Najlepsza sposobność.

Kwestarka: — Ja zbieram na przytułek dla starych kobiet. Czy mogę co otrzymać?

Gospodarz: — Ależ naturalnie — może pani natychmiast zabrać moją teściową.

\*\*\*

## Nieporozumienie.

— Ferduś, Ferduś! gibko leć po doktora — Karliczek połknął jegłę.

— Cóż tak dziwoczenie, mamo, czy już te jegły potrzebujecie? Dyć ich macie więcej. ach

\*\*\*



— Te cygara mogę panu polecić — sam je palę.

\*\*\*

## Praktyczna rada.

Jak chcesz coby ci żodyn nie powiedział, żeś łół wodę do mlyka, to nalyj nejprzódź do banioka wody a potym dziepro mlyko. Potym możesz z czistym sumieniem przisiągać, żeś wody do mlyka nie łół.

ach.

\*\*\*

## Wymagający.

Lokator: — Panie gospodarzu, mam pełną piwnicę wody.

Gospodarz: — A coby pan chciał, żeby w takie ciężkie czasy miał pełną piwnicę wina?

\*\*\*

ach.

## Bezważdny.

— Teraz, kiedy pan po śmierci wujka stał się jego spadkobiercą, to chyba nareszcie otrzymam swoje pieniądze?

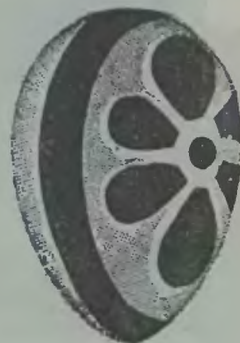
— Czy pan się nie wstydzi z tak smutnego zdarzenia robić kapitał!



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

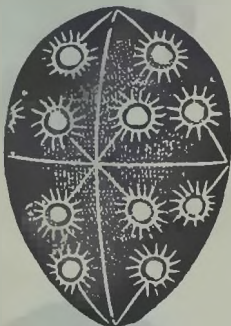
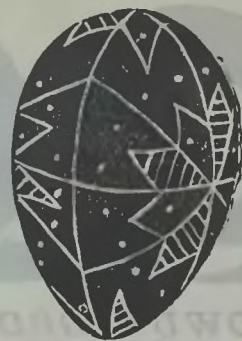
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*







»Ukrzyżowany«, obraz słynnego malarza holend. Van Dyka.



Dzielenie się jajkiem i Kurek Wielkanocny. — Rys. Masłowski.

A my z kurkiem rano wstali  
Pierwszą rosę otrząsali.  
Wasz kureczek rano pieje:  
Wstańcie panny do kądziele.





Zbigniew Krygler.

## Wielkanoc w Polsce

Święta wielkanocne, przypadające u nas na początek wiosny, zjednoczyły w sobie obrzędowość dwóch kultów religijnych: pogańskiego święta wiosny i chrześcijańskiego Zmartwychwstania Chrystusa. Naskutek tego połączenia znacznie wzrosła różnorodność zwyczajów wielkanocnych, tak, że święta te należą do najpiękniejszych a zarazem do najpogodniejszych uroczystości kościelnych. — Szczególnie jeśli chodzi o lud wiejski, to zwyczaje i obrzędy wielkanocne ugruntowały się wśród niego na stałe i jedynie wieś pozostała wierna starej tradycji.

Z ciekawym i jedynym w Polsce zwyczajem spotykamy się w miasteczku Radomyśl u Sanem, gdzie w Wielki Piątek przy grobie Chrystusa pełni straż młodzież, przebrana za Turków. Pochodzenia tego dziwnego zwyczaju nie udało się ustalić, musi on być jednak bardzo dawny, skoro w Statucie Grona Młodzieży radomyślańskiej z dn. 19 maja 1778 r. znajdujemy już postanowienia co do organizacji tej honorowej straży przy grobie Chrystusa.

W Wielką Sobotę odbywa się święcenie potraw. W różnych stronach Polski rozmaicie odbywa się ten ceremoniał. Najczęściej ksiądz odwiedza domy zamożniejszych gospodarzy, świecąc zastawiony stół, lub też mieszkańcy niosą potrawy do kościoła, a wówczas często dochodzi do zwad i bójek. Potocki w »Ogrodzie fraszek« tak opisuje tę chwilę:

»Na ementarzu kołaczę i rozlicznej mody Szoldry, zwykle święconej oczekują wody. Lecz, gdy się powadziwszy pójda do reczników: Aż kaci, aż zabójcy z owych nabożników.«

Nadchodzi wreszcie upragniony dzień Zmartwychwstania. Po skończonym nabożeństwie w Wielką Niedzielę wszyscy śpieszą do domu, aby zasiąść wspólnie do stołu zastawionego świątecznie. Następuje tradycyjne dzielenie się jajkiem i wza-

jemne składanie życzeń, przyczem szczególnie hałaśliwie objawiają swoją radość dzieci, obdarowywane pisankami, kraszankami lub malowanekami. Zwyczaj malowania jaj jest bardzo stary i nie należy do specyficznie polskich. Nabrał on jednak cech charakterystycznych, dzięki zastosowaniu



Święcenie przed kościołem. — Rys. Axentowicz.

przy zdobnictwie jaj motywów ludowych. Najczęściej spotykany motyw — to gwiazdy, półgwiazdy, swastyki, rzadziej kwiaty lub zwierzęta. Barwienie jaj stoi ciągle jeszcze na poziomie prymitywnym i odbywa się przy pomocy najprostszych środków naturalnych. Łupiny z cebuli, kora dzikiej jabłoni, kotki osiki z alunem, kora olchy — są temi barwikami.

Do mniej przyjemnych, ale za to wesołych zwyczajów należy śmigus, zwany też dyngusem.



»W poniedziałek wielkanocny — pisze Beaulan, inżynier francuski, przebywający w Polsce w okresie panowania Władysława IV — zbierają się parobczaki, łapią, które tylko mogą dziewczęta, prowadzą do studni i oblewają od głów do stóp. We wtorek dziewczki oddają im za swoje. Kilka z nich ukrywa się w jakim domu, każda mając dzban pełen wody. Małe dziewczę stoi zdaleka na czacie i umówionem hasłem znać daje, że parobek przechodzi. Wtenczas dziewczki wypadają z domu z wielkim krzykiem, porywają parobczaka, inne śpieszą na pomoc i gdy trzy lub więcej mocniejszych trzyma go, wszystkie inne leją nań dzban wody, że porządnie skapany zostanie.« Na przestrzeni 330-stu zgórą lat, niewiele się zmieniło. Może tylko tyle, że w miastach zamiast wody, używają do tego celu perfum.

Zwyczajem już dzisiaj zanikającym jest pewien rodzaj zabawy ludowej t. zw. Emaus, na pamiątkę spotkania zmartwychwstałego Chrystusa z ucznia-

mi, udającymi się do Emaus. Zabawę tę można zaobserwować jeszcze w poniedziałek wielkanocny w Krakowskim i Poznańskim.

W Krakowie istnieje pozatem zwyczaj »Rękawki«, na pamiątkę usypania kopca Krakusa, na który miano nosić ziemię w rękawach. We wtorek powielkanocny śpieszą tłumy na wzgórze Krzemionki, koło kopca Krakusa i stąd rzucają biednym chłopcom, oczekującym u podnóża, jedzenie, pozostałe ze święconego.

Niejako zakończeniem ludowych obchodów wielkanocnych jest gaik lub maik, zwyczaj obnoszenia przez młodzież zielonej gałęzi choiny, ozdobionej wstążkami. Podczas odwiedzania poszczególnych domów śpiewają wesołe pieśni, składają życzenia. Wiosenny ten obchód zamyka piękną tradycję zwyczajów i obrzędów wielkanocnych, stając się równocześnie wyrazem nowej pory roku na ziemiach polskich.



Śmigus na wsi. — Mal. H. Lipiński.

## Kłucik językowy

### Dlaczego piszemy *pokoł* a nie *pokołj*?

Ponieważ jest w polskiej pisowni zasada, że pomiędzy dwoma samogłoskami (samogłoski: a, o, ó, e, ę, u, ą, y, i), z których druga jest i nie piszemy nigdy „j“, choć to „j“ wymawiamy i słyszymy. Piszemy więc: stoisz, stoi, stojmy, stoicie (ale stoję, stoją), podobnie boisz się, boi się, pokoi (ale pokój, pokoje), nadziei itd. Ale bestji, linji itp., bo przed j nie jest samogłoska tylko spółgłoska.

A f k a.

Kobieta... zdradza... powagę lekkomyślną... Czechizm — wyraz „powaga“ ma w języku polskim zupełnie inne znaczenie; takie, że nie da się połączyć z przymiotnikiem lekkomyślna,

ponieważ ma wręcz przeciwne znaczenie. Po polsku należy poprawnie powiedzieć: Kobieta... zdradza... usposobienie (charakter) lekkomyślne(y).

A f k a.

„Pojedyncze ubranie“, „pojedynczy krój“ są niewolniczym tłumaczeniem wyrażenia czeskiego czy też niemieckiego (jednoduchý, einfach). Nie są błędne, ale zgodniejsze z duchem polskiego języka, byłoby uważam: „proste ubranie“, „prosty krój“. Chyba, że to wyrażenia fachowe, bo te z czystością języka nie bardzo się liczą. W języku polskim oznacza wyraz „pojedynczy“ rzecz złożoną z jednej tylko części. Mówimy więc: liczba pojedyncza (bo zawsze oznacza jeden przedmiot), buchalterja pojedyncza (w przeciwieństwie do podwójnej) itp.

A f k a.





### Wierzę

W młodą, gorącą duszę ludzką wierzę  
I w serc młodzińczych wierzę święty żar —  
W sny, które mocą zawarły przymierze,  
W porywów nagłych nieodparty czar.

Wierzę w marzenia, co zrodzone we śnie  
Rumieńcem życia zakwitną nie raz,  
W zwycięstwo siły, gdy zaznana wcześniej  
Życia najcięższy chce podźwignąć głaz.

I wierzę jeszcze w słoneczną pogodę,  
Jaką przynosi uśmiech — dobry gość...  
We wszystko wierzę, co jasne, co młode,  
Co swoim blaskiem ludzką zaćmi złość.

We wszystko szczerze, ufne i radosne,  
We wszystko piękne — wiarę w sercu mam,  
A nadewszystko — w tę promienną Wiosnę,  
Co swem istnieniem smutkom niesie kłam!

Helena Duninówna.

\*\*\*

### O słowie polskiem

»Oto na domiar wszystkiego daję Wam  
spiż dźwięczny a niespożyty, taki, z ja-  
kiego ludy żyjące przed Wami stawiały  
posągi swym bohaterom, daję Wam złoto  
błyszczące i giętkie, a Wy z tego tworzywa  
uczynicie mowę Waszą.« H. Sienkiewicz.

I usłuchał naród polski rozkazu Bożego. Przy-  
jął Jego dary: ze spiżu dźwięcznego, ze złota bł-  
szącego i giętkiego uczynił harfę cudną, na któ-  
rej różnych próbowano tonów. Rozbrzmiewała ta  
mowa nasza kaskadami dźwięków przeróżnych, roz-  
śpiewywała się melodjami błękitnymi, budząc coraz  
czystsze echa. Próbowala różnych odcieni: od prze-  
sadzonych, sztucznie brzmiących słów przerzucała  
się do tonów łagodnych, tęsknych i rzewnych. Łka-  
ły struny pod palcami sentymentalistów, pozwalając  
Karpińskiemu i Książninowi wylać swą tęsknotę i  
smutek. Cudnie brzmiały te tony na strunach harfy  
złotej. I trwała ona tęskna a wyczekująca na jakieś  
mistrzowskie silne palce, któreby wydobyły z niej  
łabędzie najcudniejsze tony, takie, jakich nikt nigdy  
nie słyszał i nie usłyszy. W oczekiwaniu tem poz-  
walała wszystkim mistrzom pieścić swoje złote struny  
i potęgą uczucia, genjuszu lub woli wygrywać na  
nich dawne dzieje. I brzmiała pieśń „błogosławiąca

i błogosławiona, czysta jak łza, Boża — jak mo-  
dlitwa, słodka — jak miłość“.

Ale najwznioślejszymi akordami rozśpiewała się  
harfa polska, gdy stanęli przed nią romantycy. Wów-  
czas to słowo polskie zabrzmiało naprawdę potężnie,  
spiszowo. Z pod natchnionych dłoni wieszczów pł-  
nęły dźwięki przedziwne. — I tak pieśń Mickiewicza  
kończyła się „gdzieś na niebios progu“, nadziejska  
prawie, budząca potężne echa w sercach polskich,  
które w strofach jego słyszały szum lasów, plusk  
rzek i deszczów i ludu pieśni. A on trwał — ten  
nieśmiertelny, co „jednem skrzydłem o przeszłość,  
drugiem o przyszłość uderzył“.

A przecież i tu nie był kres artyzmu. Zjawił  
się jeszcze ten, co kędyś zdala śle swoje lekkie po-  
wiewne strofy:

„Lećcie u zorzy prosić purpury,  
pereł u rosy, szafiru u chmury...“

I rzuca dziecinną, tęskną nadzieję:

„A może gdzie zawieszona  
na niebie tęczowa nić,  
to tęczę wziąć na wrzeciona  
I wić, i wić, i wić...“

I płynęły, płynęły tony jego pieśni fantastycz-  
nych, poważne czasem i dostojności pełne, plastyczne  
— zawsze — niesamowite. Przelał mistrz poezję  
swej duszy na struny harfy złotej, a przed tą harfą-  
królową kolana ludów się gięły. A mistrz śpie-  
wa o swojej strofie, którą chciał uczynić „taktem  
nie wędziłem“:

„...Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,  
potem z niej łyskać błyskawicą cichą,  
potem w promieniach ją pokazać złotą...“

Ale przebrzmiały te pieśni, tylko ich echo dźwię-  
czało hen — kędyś. W struny zaś uderzyła obca —  
dłoń pozytywisty. A jednak i teraz pod palcami  
Asnyka zadziwiła harfa świat swoją melodyjnością,  
i smętkiem tego, który mówił:

„Obłoki, co z ziemi wstają  
i płyną w słońca blask złoty,  
ach one mi się być zdają  
skrzydłami mojej tęsknoty.“

I nie tylko poezję wygrywano na strunach, pró-  
bowano w nie także prozą uderzyć. I o, dziwo!  
Przedtem słowa miękkie, powiewne i tęskne, teraz  
ryki syren, jęki nieszczęśliwych, skargi uciśnionych  
równie pięknie rozbrzmiały. Cudownie się rozśpie-  
wała gwara chłopska pod dotknięciami mistrza Rej-  
monta. Nie pękły struny pod mocnymi uderzeniami  
jego palców, wydawały wciąż tony czyste i świeże.

I zjawił się jeszcze jeden mistrz — Żeromski.  
Osypał nas kaskadą słów dźwięcznych, pachnących.  
Słów, które pieścą, całują i — mają ostrze stali  
i świst szpicruty. Subtelnością i siłą wyrazu prze-  
ścignął Słowackiego nawet, tego mistrza słowa.  
Proza jego przemawia niby ziemia polska, staje się  
organem tej ziemi, jest żywiołem, wichrem, de-  
szcem, ugięciem spekanym i poszumem lasu. Język  
jego to odwiecznej tradycji skarbiec, w którym kryją  
się radości i smutki, cierpienie i jęk, śmiech i płas.  
I on ten skarb odkopał.

O, mowo polska, — tyś dziwna i tajemnicza,  
niezmierzone skarby kryjesz w sobie. Tyś piękna  
i dźwięczna — tyś niebosiężna. Tyś tak plastyczna  
i giętka, iż na strunach harfy twojej myśl każda  
brzmi dźwięczniej, błękitniej, a potem potężniejsza  
i czystsza w niebo ulata. —

W. I.





Młodzież wiejska na Kurpiach przebrana za żołnierzy  
idzie na wartę przy grobie.



Zabawy Wielkanocne na Huculsczyźnie.  
Rys. P. Stachiewicz.

## Zygmunt Krasiński

Z trzech wielkich poetów wieku dziewiętnastego najmniej znany jest Zygmunt Krasiński. Powodem tej nieznajomości pism Krasińskiego jest przekonanie, że są one trudne do zrozumienia. To przekonanie jest mylne. Należy czytać dzieła tego poety pilnie i skrupulatnie i myśleć dobrze nad tem, co właściwie chciał poeta narodowi powiedzieć.

Urodził się Krasiński w Paryżu 19 lutego 1812 roku, jako syn generała Wincentego Krasińskiego. Kiedy ale Napoleon musiał złożyć koronę, ojciec poety przeniósł się do Warszawy, gdzie wstąpił do armii Królestwa polskiego. Mały Zygmunt wychował się tedy w Warszawie, pod macierzyńską ręką matki, kobiety bardzo religijnej, która też wszczepiła w syna zasady religii chrześcijańskiej. Po skończeniu liceum wstąpił na uniwersytet w Warszawie, gdzie studiował prawo. W r. 1829 wyjechał zagranicę, gdzie przebywał aż do śmierci, prześiadując w Genewie, Berlinie, Wiedniu, Rzymie, Paryżu. Umarł w Paryżu 1859 r.

Już jako uczeń liceum, próbował swych sił w tworzeniu, a jako student uniwersytetu napisał Krasiński wiele powieści i powiastek. Nie były to jednak rzeczy doskonałe, Krasiński należał bowiem do tych, którzy zaczynali od rzeczy czasem niedołącznych, by rozwijając się stopniowo, zdobyć wreszcie potęgę myśli i słowa.

W roku 1833 pisze poeta utwór p. t. »Irydjon«. Irydjon to uosobienie miłości ojczyzny, wyobraźcieł tych wszystkich, którzy za szczęście swej ojczyzny, oddaliby duszę własną. Społeczeństwo, które chce odzyskać wolność, nie może od tego dążyć niemoralnymi środkami — ale musi tworzyć, musi doskonalić duszę własną, i kuć swą dolę, dopóki jej nie wykuje. I musi wierzyć, że praca

wytrwała, podejmowana dla dobra i miłości ojczyzny musi doprowadzić do celu. Ciemniejący padną dlatego, bo są ciemniejącami, ale Naród polski nie odzyska wolności, jeśli jej pracą nie zdobędzie. Oto myśl, którą Krasiński wypowiedział w tym poemacie.

Dalej pisze »Nieboską Komedję«, w której poeta duma nad przyszłymi losami społeczeństw europejskich.

Po wydaniu »Irydjon« i »Nieboskiej Komedji« pisał Krasiński mniej niż dawniej, ale pracować nie przestawał. Pisze utwory: »Noc letnia« i »Pokusa«, w których poeta porusza sprawę ratowania dusz polskich. Nie wolno zatracać godności narodowej, nie wolno, aby zadowolić swoją ambicję osobistą, zadawać gwałtu uczuciom patriotycznym. To przekonanie pragnie poeta wpoić swoim ziomkom.

W roku 1842 pisze Krasiński jeden z najwspanialszych swych utworów p. t. »Przedświat«. Zastanawiając się nad dziejami ludzkości, poeta dostrzegł niejako uderzające podobieństwo między chwilą przed samem przyjściem Chrystusa a dołą, w której żyje.

Polska — powiada — odbywa tylko próbę grobową, ciało jej tylko umarło, ale duch żyje nieśmiertelny i ma zbawić narody. To przeznaczenie Polski... Dalej widzi poeta Polskę w przyszłości, Polskę zmartwychwstałą, Polskę przewodniczkę ludów. Wogóle Krasiński uważał, że Rozbiór Polski był wielką, potworną zbrodnią, dlatego odbudowanie Polski jest konieczne. Polska musi odzyskać niepodległość — oto wywody, które głosił poeta.

W r. 1844 przepędził Krasiński zimę w Warszawie, gdzie dostrzega objawy, które go zaniepokoiły. Widział, że ci, którzy myślą o przyszłości



Polski, schodzą nieraz na błędną drogę. Chciano wywołać rewolucję wewnętrzną, zapomocą której chciano usunąć szlachtę a pozyskać masy przez równy podział dóbr między wszystkich. Ogarnął poetę lęk, że taki plan może doprowadzić do walki bratobójczej, do rzezi. Postanowił temu zapobiec, rzucić gorące słowo przestrogi i groźby. Píše więc Krasiński »Psalmy przyszłości«, w których wyluszcza powody, dlaczego nie wolno pod żadnym warunkiem chwycić za nóż, przypomina cel wielki, do którego Polska powinna dążyć.

Wogóle »Psalmy« te mają znaczenie wyjątkowe; porywają siłą przekonań i potęgą wyrażań, dlatego należą do pierwszorzędných utworów poety.

Dalszym utworem Krasińskiego jest poemat p. t. »Dzień dzisiejszy«. Chodziło poecie o zgromienie tych, którzy zgodzili się z upadkiem Polski, którzy mówili, że była to konieczność... zapomnieli, że istnieją jakieś ideały narodowe. Mówi, że nie powinno się pracować dla jednej tylko klasy społeczeństwa, a drugą nienawidzić, że kastowość

jest zbrodnią wobec Narodu, że ojczyznę wskrzesimy wtedy tylko, gdy każdy będzie kochał cały naród i dla całego narodu pracował.

Jednym z ostatnich utworów Krasińskiego jest poemat: »Ostatni« — prześliczny utwór, który nas uczy, jak poświęcać własne cierpienia na ołtarzu dobra ogólnego, że wobec Ojczyzny jednostka jest prochem, niczem.

Poeta stracił wiarę, by mógł dożyć chwili, w której Polska zmartwychwstanie, ale nie wątpił, że ta chwila nadejdzie.

Znaczenie Krasińskiego i wogóle znaczenie jego utworów nie można pojąć i zrozumieć z takiego tylko opisu. Dzieła tego poety trzeba uważnie przeczytać, przetrwać i... jeszcze raz czytać. Wtedy dopiero pojmimy i poznamy czem był i jest w literaturze polskiej jeden z tej »trójcy« wieszczów naszych, poznamy, że Krasiński był jednym z wielkich duchów Polski, jeden z największych.

-lek.

JERZY BANDROWSKI

## **Przygody komendanta Wilczka**

### **ŚMIERĆ.**

Za czasów polskich stosunki gruntownie się zmieniły, a już zwłaszcza z początku panował istny chaos.

Było to naturalne.

Ludzie zdziczeli na wojnie, zaś ci, co na wojnę nie poszli, nauczyli się spekulacji, chciwości, bezwzględności i wyzysku. Świat do pewnego stopnia zbydleał.

Drugim, bardzo ważnym momentem, był powrót jeńców z bolszewickiej Rosji. Ludzie ci albo przynosili hasła bolszewickie, których sami nie rozumieli, i które przedewszystkiem do naszych stosunków całkiem nie pasowały, zaś głosili je i podawali w formie mętnej i bałamutnej, albo też służyli w nawpół bandyckich oddziałach bolszewickich i przywykli do bandytyzmu.

Trzeci moment:

Mimo, że Wojna Światowa się skończyła, u nas wojna trwała jeszcze wciąż, bez względu na to, że państwo nie było jeszcze mocno zesznurowane i że w kraju panował bezład i bezwład. Nie było dostatecznej kontroli, ludzie dopuszczali się nadużyć, oszustw i różnych bezceństw, a nikt ich nie mógł wyłapać ani ukarać, żołnierze dezertowali z frontu z bronią, granatami i setkami naboju, potem znów wracali na front i znowu dezertowali, dobrze bronią i amunicją obławowani, i w ten sposób organizujące się bandy rozbójników zakładały sobie całe arsenały, pełne karabinków — długie karabiny obcinali i robili z nich w ten sposób karabinki — pistoletów automatycznych i amunicji. Także i chłopci, nie trudniący się bynajmniej bandytyzmem, nabywali na wszelki wypadek broń i amunicję, lub przywozili ją z frontu, i proszę mi wierzyć, że do dziś dnia jest po wsiach mnóstwo dobrze ukrytych lub zakopanych karabinów...

Plagą pierwszych lat wyzwolonej Polski był rozzuchwalony do ostatnich granic bandytyzm, który jeszcze i dziś od czasu do czasu zuchwale głowę podnosi, jak panowie wiecie, nie tylko w Ma-

łopolsce wschodniej, gdzie ten bandytyzm ma częściowo jeszcze i polityczne podłoże, nie tylko w byłej Kongresówce, ale nawet, w spokojnej napor i kulturalnej Wielkopolsce.

Był to mianowicie czas, w którym nasi emigranci amerykańscy przysyłali rodzinom swym w Starym Kraju zaoszczędzone i zarobione w fabrykach amunicji dolary — w fabrykach amunicji ze względu na połączone z pracą niebezpieczeństwo płacono bardzo dobrze, więc były to sumy nieraz grube. Bandyci wydzielali je gwałtem, zapomocą tortur lub grożąc rewolwerami, ci zaś, którzy nie mieli odwagi do uprawiania tego ryzykownego procederu, starali się je zdobyć innemi sposobami, których było niesłychane, różnorakie mnóstwo.

O, te dolary! Zrobiły one dużo dobrego, ale ileż sprawiły złego! Tu przepadł wracający do rodzinnej wioski emigrant. Co się stało? Z pewnej wkleśłości gruntu, z której już przed wiekami zbóje wypadali na gościniec, wypadli bandyci, ściągnęli biedaka z wozu, poprowadzili w las, ograbili i zabili. Tam znów to samo — tylko że tam woźnica w zмовie z bandytami, sam podwiózł ofiarę na upatrzone miejsce. Gdzieindziej wyrznięto w pień całą rodzinę. To znów listonosz otwierał listy, w których wyczuł dolary, a potem listy niszczył lub lekkomyślnie wyrzucał na gnój, co go wreszcie wydało. Ostrożniej postępował poczmistrz, bo ten umiejętnie kopertę nad parą otwierał, dolary wyjmował, a list doreczał. Zielone papierki amerykańskie kusiły ludzi i robiły z nich złodziei, oszustów, morderców i bandytów.

Jednym z najbardziej rafinowanych sposobów wyłudzenia od naiwnych, prostych ludzi dolarów, było straszenie ich.

Panowie przypominacie sobie zapewne słynną swego czasu historję z pewnym wójtem, który przebierał się za diabła i straszył samotnie z dziećmi za wsią mieszkającą kobietę, chcąc w ten sposób wycisnąć z niej dolary — a była to spora suma, którą na przykupienie gruntu przysłał jej



z Ameryki mąż. Kobieta pewna, że to prawdziwy diabeł ją nawiedza, poszła do spowiedzi do księdza, który, nie w ciemie bity, poradził jej, aby się z swą czarcią historią udała na posterunek. Tam jej sprawę odpowiednio wyklarowano i obiecano uwolnić ją od diabła. Wieczorem, tak, że nikt nie wiedział, przyszło do chaty dwóch żandarmów. Powiedzieli jej, żeby diabła — jeśli przyjdzie — do izby wpuściła i żeby mu dała, czego zażąda, żeby jednak nie było żadnego światła, prócz lampki przed obrazami. W nocy zaczął diabeł pod oknami hałasować. Kobieta wpuściła go do izby. Wszedł z widłami w rękę, brzęczący łańcuchami, cały usmolony sadzą. Kiedy zażądał dolarów, kobieta dała mu je, a wtedy żandarmi wyskoczyli z ukrycia, chap! diabła za kark, odebrali mu widły i dolary, na ręce nałożyli kajdanki, sadząc z gęby mokrą szmatą starli, i pokazało się — co? Sam pan wójt! Popędzili go do wsi, a rano żandarmi pognali wójtę w tem djabelskim przebraniu do sądu. Tak.

Ale ja miałem inny, trochę poważniejszy wypadek. Było to zarazem moje ostatnie ważniejsze zdarzenie podczas pobytu w moim miasteczku.

W pewnej okolicy zaczęło ni stąd ni zowąd grasować jakieś widmo. Pojawiało się ono na leśnej drodze, łączącej gościniec, biegnący od miasteczka do miasta powiatowego, a prowadzącej w kraj gęsto zaludniony i urodzajny, gdzie ludzie byli zamożni. Jak to widmo wyglądało, nikt mi nie umiał powiedzieć. Jedni mówili, że to jakiś biały duch, drudzy, że to śmierć, bo chodzi z kosą, wszyscy jednak zgodni byli wtem, że zjawisko to jest olbrzymiego wzrostu, conajmniej o połowę wyższe od najwyższego człowieka.

Że to był człowiek, nie trudno mi się było domyślić, ponieważ obrabowywał ludzi z pieniędzy — a przyznacie, panowie, że śmierć, choć chciwa i łakoma na życie, pieniędzy jednak nie bierze. Naturalnie, chłopci byli pewni, że to zjawisko nadprzyrodzone, i mówiąc o niem, zniżali głos i oglądali się trwożnie, jak gdyby bojąc się, że »to« może ich podsłuchać.

Co mnie zastanawiało, to zgodne zawsze opowiadania o nadprzyrodzonym wzroście opryszka. Olbrzyma żadnego ani Wyrwidęba w naszych stronach nie było, więc cóżby to mogło być?

Ale — miałem na głowie ważniejszą sprawę — rozpoczęły się mianowicie walki z Bujakiem i Sroką — więc się tą »śmiercią« nie zajmowałem.

Tymczasem jednego dnia doniesiono mi, że na owej drodze leśnej znaleziono zamordowanego chłopca. Miał głowę straszliwie rozciętą jakby bardzo wyostrzoną szablą. Zwłoki były obrabowane, wóz był na miejscu, ale konie zniknęły. Było to z początkiem zimy. Na zamarzniętej ziemi nie mogłem odkryć żadnych śladów, nikt nic nie wiedział, zbrodnię pokryła tajemnica.

Dopiero po pewnym czasie doszły mnie słuchy, że gospodarz ten zginął jakoby od kosi. Zabiła go ponoś »śmierć« w lesie.

O, bardzo przepraszam! Teraz sprawa przedstawiała mi się w zupełnie innym świetle. To był nie tylko rabuś, ale morderca!

Postanowiłem rozprawić się z nim, jak tylko będę miał bodaj jedną noc wolną, bo bezustannie nieraz po kilka dni i nocy z rzędu mieliśmy ob-

ławy, które tak męczyły, że człowiek wracał na posterunek zupełnie wyczerpany.

Ba! W krótkim czasie znowu morderstwo na leśnej drodze, znowu »śmierć« kogoś straszliwie kosą pocharatała!

Byłem na miejscu. Trup pocięty strasznie, pokaleczony, ale rany nie były śmiertelne. Biedak umarł z upływu krwi, widać było, którą włókł się po śniegu — bo trochę śniegu spadło i dzięki temu trafiłem wreszcie na jakiś ślad. Ale jaki? Taki, że go w żaden sposób odgadnąć nie mogłem. Niby ślady kroków, w trochę większym oddaleniu, widać było na śniegu wgłębienia, powiedzmy — dziury, jak gdyby kto w śnieg wbił gruby kij, kół z płotu naprzykład, a gdzie niedługo od tych dziur ciągnęły się smugi, na trzy palce szerokie. W życiu takich śladów nie widziałem.

Ktokolwiekby to jednak był i jakichby używał chytrych podstępów i przebiegłych sposobów, po tych dwóch morderstwach postanowiłem z nim skończyć, tem bardziej, że ta »śmierć«, stawszy się postrachem chłopów, rabowała bezkarnie nie tylko na drodze leśnej, ale nawet na gościńcu, prowadzącym do wiosek i tuż pod samymi wioskami.

Zameldowałem o wszystkim komendantowi i pewnego pięknego, księżycowego wieczoru wyszedłem na patrol.

Lubię bardzo zimę, zwłaszcza jasne, księżycowe noce, gdy świeży śnieg spadnie. A ten wieczór był właśnie taki, z ciemno-niebieskim niebem, mnóstwem gwiazd i księżycem jasnym i czystym, jak świeżo wyczyszczony, cynowy czy blaszany talerz lub rondel. Powietrze było rześwe, trochę mroźne, śnieg skrzypiał pod nogami. Białe góry mizdrzyły się do księżyca, czarne lasy były przypudrowane.

Na skrzyżowaniu gościńca z ową drogą leśną stała, oczywiście, karczma. Ujrawszy żółto świecące okienka i widząc przez nie ruszające się wewnątrz cienie, postanowiłem do karczmy wejść. Może Żydzi coś dokładniejszego o tej »śmierci« wiedzą? Zresztą — kto wie, z kim się spotkam i jaka czeka mnie walka! Nie zaszkodziłoby napić się czegoś na kuraż.

Wszedłem.

Było dwóch-trzech chłopów i szynkarz.

Kazałem sobie zagrzać szklanke wódki i rozpocząłem z chłopami rozmowę o śmierci. Niewiele się od nich dowiedziałem. Nie chcieli mówić.

— Chodzi śmierć po świecie i kosi, taj tylko! — rzekł jeden z nich.

— Ale słyszeliście wy kiedy, żeby śmierć dolary rabowała? Czemuż ci, którzy jej oddali dolary, nie zginęli? Spróbujcie wy okupić się dolarami prawdziwej Kostusi, jak do was zapuka! Zobaczycie, co weźmie — dolary czy życie!

— Może to taka powojenna śmierć, co woli dolary od życia. Na wszystkich frontach ludzkiego życia nażarła się dość. Przejadło się jej — i teraz woli dolary.

— Śmierć nie śmierć — odezwał się drugi chłop — ale kosi, jak się patrzy. Człowiek to w żadnym razie nie jest, choć ludzką mową gada ale to straszdyło wielgie jak sosna, a białe rychtyk kiej śmierć albo jaki duch! Nie, nie duch, bo z kosą.



— Widział który z was tę »śmierć«?

Boże zachowaj! — wykrzyknął chłop, zegnając się. — Jeszcze mi życie miłe.

— I dolary! — dodał drugi.

— Skądże wiecie, jak wygląda?

— Byli tacy, co widzieli i ledwo z życiem uszli. Wypadła za nimi śmierć z lasu, biała, z błyszczącą kosą i goniła ich — a kroki to robiła takie — jak tu — od ściany do ściany. Ale że konie mieli dobre, to jej uciekli.

— A pan wachmistrz w którą stronę na patrol idzie, jeśli wolno zapytać? — odezwał się ostrożnie milczący dotychczas Żyd.

Wymieniłem jedną z wiosek, leżących za lasem.

Żyd pokiwał nieznacznie głową, ale nie rzekł nic.

Chłopi wyszli, ja dopiłem powoli swą wódkę, wypaliłem papierosa i powoli zacząłem się zbierać do wyjścia.

— A niech pan wachmistrz uważa w lesie na tę śmierć! — ostrzegał mnie Żyd, kiedy już wychodziłem. — To bardzo paskudna śmierć, a ona tam blisko po lesie chodzi.

— Nie wiesz pan, kto to jest?

Żyd wzruszył ramionami i rzekł z mdłym uśmiechem:

— Wiem tyle, co i pan wachmistrz, to znaczy, wiem, że to jest człowiek. Ale kto? On mi się, Bogu dziękować, nie przedstawił.

— Dobranoc!

— Dobranoc panu wachmistrzowi, życzę powodzenia.

Kiedy wyszedłem na mróz, w pierwszej chwili wódka trochę zaszmerzała mi w głowie, ale czułem się doskonale. Szedłem rażno błyszczącym, białym gościńcem i już się nie tylko tej »śmierci« nie lękałem, ale nawet pragnąłem spotkania się z nią.

Powiedziałem, że już się tej »śmierci« nie lękałem. Może to panów zdziwić, bo przecież ja miałem karabin, a ta »śmierć« kosę, więc przewaga była po mojej stronie. Prawda, mogły tam być jakieś nieznane mi podstępny tych jednak przy pewnej ostrożności mogłem się ustrzec. Skądże lęk?

Widzicie panowie, człowiek w przebraniu wygląda czasem tak strasznie, że zapomina się o tem, iż to jest człowiek, a widzi się tylko to okropne widmo przed sobą. I to może speszyć.

Tu pan komendant umilkł i patrząc ostro w okno, jak gdyby za niem właśnie jakieś widmo zoczył, przez dłuższą chwilę myślał.

— Niejednokrotnie się nad tem zastanawiałem — rzekł wreszcie. — Skąd ten lęk przed nadnaturalnymi rzekomo czy też potwornymi kształtami? Wreszcie przyszedłem do następującego wniosku: Gdzieś, w najtajniejszej głębi naszych dusz te potwory olbrzymie drzemią, każdej chwili gotowe wynurzyć się i opanować nas. Czasami trapią nas we śnie, kiedy jesteśmy bezsilni i bezbronni. Budzimy się wtenczas z krzykiem przerażenia. Zresztą te nędzne potworne siedzą cicho, poskromione wiarą, rozumem i kulturą siedzą tak cicho, że o nich zupełnie zapominamy. Kiedy jednak nagle taka stwora nikczemna cielesnie stanie przed nami, ogarnia nas przerażenie, bo się nam zdaje, że wyrwawszy się nam z naszej własnej duszy i przybrawszy kształt żywy, staje z nami

do walki. Tracimy wówczas panowanie nad sobą, przekonani, że straciliśmy władzę nad potwornymi urojeniami, drżącymi w naszej duszy. Stąd to — mojem zdaniem — pochodzi ten paniczny strach przed dziwnymi a niespodziewanymi zjawiskami.

— Bardzo pięknie pan to wyłożył! — odezwał się.

— Po pewnym czasie skręciłem z gościńca w las — opowiadał dalej pan komendant, puściwszy niby mimo uszu mą pochwałę, choć widziałem, że mu zrobiłem przyjemność. — Przysypany śniegiem las sosnowy w księżycową noc zimową! Czy mam opisywać tę ciszę, wśród której przeszedkiwanie psów po wioskach nieledwie dzwoni? Bo panowie może nie zauważyli, że psy wieczorem rozmawiają z sobą, a w nocy wszystkie sobie sygnalizują. Ja o tem coś wiem, miałem z tem do czynienia podczas walk z Bujakiem i jakich dwadzieścia psów musiałem struć. Czy mam opisywać ciche sosenki przydrożne, podobne do dziwnych ale miłych istotek, nabożnie wznoszących ku niebu niezliczone łapki, białe od śniegu, mieniące się iskierkami — lub smugę śniegu, który osunął się z jakiejś kiści, spadł i pozostawił w powietrzu bujające jak robaczki świętojańskie, świecące srebrne płateczki? Widzieliście to panowie sami nieraz.

Szedłem upolować człowieka-zwierzę, którego obyczajów ani sposobów walki nie znałem, więc należało być ostrożnym, ale gdy wszedłem w las, w pierwszej chwili o wszystkim zapomniałem, zwłaszcza, że mi jeszcze wódka w głowie szmerzała. Ale wkrótce opamiętałem się. Opatrzyłem broń i szedłem na tę stronę drogi, na którą padał cień.

Szedłem powoli i o ile możliwości jak najciszej. W powiatowym miasteczku był tego dnia jarmark. Wprawdzie chłopci, bojąc się owej »śmierci« od jakiegoś czasu omijali drogę leśną i wracali do domów dalszemi, okreżnemi drogami, ale mogło się zdarzyć, że ktoś śmielszy dla pośpiechu i skrócenia sobie drogi — a wieczór robił się już późny — mógł obrać drogę leśną. Na takie to fury czy sanie samotne »śmierci« wygodnie było czatować, miałem więc nadzieję, że się z nią spotkam.

I istotnie!

Droga leśna szła prosto, jak strzelił. Nagle, daleko przede mną ukazało się na niej wysokie, białe widmo, u głowy którego błyszczało coś, jak sierp. Widmo szło ku mnie.

Skoczyłem w las i stamtąd obserwowałem zjawisko. Szło trochę dziwnie, nienaturalnym sztywnym chodem, za każdym krokiem pochylając się trochę naprzód. Na sobie miała ta stwora jak gdyby biały płaszcz, długi aż do ziemi a zszyty prawdopodobnie z kilku prześcieradeł. Na wysokości głowy były otwory na oczy — zresztą nic, ani nosa, ani ust, ani brody, nic, co mogłoby przypominać twarz — i to robiło wrażenie upiorne. W rękę zjawisko to miało długą, błyszczącą kosę. Wysokości mogło mieć z trzy metry co najmniej.

W pierwszej chwili zrobiło mi się, oczywiście, nieswojo. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. To białe widmo bez twarzy, z błyszczącą kosą, na drodze leśnej w ciszy zimowej nocy wyglądało naprawdę złowrogo. Jakby na złość, w chwili, gdy się widmo pojawiło, psy w wioskach



zaczęły gwałtownie ujadać. Można było myśleć, że wiedzą o pojawieniu się białego zjawiska na wiodącej przez las drodze śmierci.

»Śmierć« zbliżyła się do mnie na kilkadziesiąt kroków, oparła się na kosie, i stała tak czas jakiś jakby nasłuchując, potem zawróciła i poszła zpowrotem.

Powoli szedłem za nią brzegiem lasu, ukrywając się za drzewami. »Śmierć« chodziła drogą, jakby patrolując ją. Czasami chowała się między drzewa, nasłuchiwała i czekała. Zauważyłem, że ile razy przystawała, zawsze opierała się na kosie.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, bacznie śledziłem ruchy śmierci, zastanawiając się, jak postąpić. Miałem przed sobą łotra, który tą właśnie kosą świecącą w celach rabunkowych zamordował dwóch uczciwych i pracowitych chłopów. Wzrost nadludzki był trudny do wytłumaczenia, ale podejrzewałem w tem podstęp, jakiś »trick«. Zbrodniarz nie widział mnie. Mogłem go zastrzelić, jak psa. Wolałem wziąć go żywcem.

Znowu zawrócił w moją stronę.

Kiedy był już niedaleko, wypadłem z lasu na środek drogi, i mając broń w pogotowiu, krzyknąłem:

— Stój!

Czy przypuszczał, że się go zlekne, lub czy w zuchwalstwie swem sądził, że mnie nagłym napadem oszołomi i zaskoczy, nie wiem. Dość na tem, że z kosą, odstawioną w bok, jak do cięcia.

ruszył ku mnie pędem, jak biały obłok, wielkimi, nadludzkimi krokami. Od tego pędu białe snopy sypały się z pod nóg, a długi biały płaszcz rozwinął się, jak skrzydła.

Zmierzyłem w środek widma i strzeliłem.

Ach, to buch! w ciszy nocnej!

Białe widmo krzyknęło i padło. Nie padło, ale poprostu grzmotnęło o ziemię z taką siłą, że aż się chmura kurzawy śnieżnej zerwała.

Psy ujadaty wściekle.

Wciąż z bronią gotową do strzału, zbliżyłem się do ranego.

Na białej szacie widać już było coraz to rozszerzającą się czarną plamę krwi.

Odrzuciłem naprzód kosę, a potem podniosłem prześcieradło.

»Śmierć« miała przymocowane do nóg wysokie szcudła! Stąd ten nadludzki wzrost i dlatego ten człowiek stojąc, musiał się na kosie opierać.

Pokazało się, że mierząc w środek figury, strzaskalem mu kolano.

A kto to był?

Myślicie panowie, że jaki zawodowy bandyta?

Nie. Był to średnio zamożny gospodarz, człowiek porządny i uczciwy, dopóki z Ameryki nie zaczęły napływać dolary.

Skończył — przy słupku.

Rozstrzelano go.

## Dział regionalny

### Wielkanoc u nas

We Wielpiątek stowają wszyscy, jak starzi, tak młodzi (ci młodzi nimajom już teraz do tego moc chęci) jeszcze za szara i lecą na przedbity do potoka. Tam myjóm sie w zimnej jak lód, prętowej wodzie aż po pas. Po umyciu nabiyrają wielopiatkowej wody do buciorów a doma łopatrują jako wielki lykarstwo. Krowiczkom też dowajóm tej wody do picio, coby były zdrowe, rziżbe i podarżone cały rok.

Starzi ludzie bojajóm, że we Wielpiątek sie woda, pram o północy, przemiynio w wino. O tym samym czasie otwierają sie też wchody do podziemi i jaskiń, pełnych bogactwo przerozmajęto. Na tych miejscach pokazują sie wtedy Jaroszki, małe chłopki w czerwionej czopeczce, kierzy tych bogactw wachują cały rok, lebo też małe światełka na znak, że wchód ku pinióndzom jest otwarty.

We Wielkom Sobote je horuchu po chałupach aż hruza. Gaździnki piekóm szoldry i murziny. Jest to wędzonka lebo kielbasa zapiykana w ciastcie. Też nikańdzi, wedle staropolskiego zwyczaju, malują wajca w rozmaite piekne malowidła. Jak wieczór sie rozbimbo zwon z wieże kościelnej, to hónym trzeja lecieć na zogróde i trzepać strómami, coby miały moc owocu w tym roku.

W Pyndziałek Wielkanocny chłopcy chodzą po chałupach, kaj sóm dzieuchy, po śmierguście. Już długo przed śmiergustem majstrują chłopcy małe ręczne sikowki z hebru i pletą karwacze z wyrbiny. Pod gorami to se zamiast karwacza biorą ze sobą jałowicc. Nejprzódz wypowiedza wiersz:

Przyszli my tu po śmierguście,

Jyny nas też nie opuście,

Kope wajec nagotujcie

A kołoczy nie żałujcie!

Potem liledają skryte dziewczacka, troche posikają, troche wyśmigajóm karwaczami lebo jałowcem po nogach, za co dostaną kieresie to wajco lebo kąsek buchty czy kołocza. Kiej sie wiela nie szpacowali, jyny polywali z plechoczów, lebo baji z putynek. Dzisiaj już czasem ani tych sikowek nimajóm, jyny flaszczyki z perfumem.

Na drugi dziyń jest babski śmiergust; dzieuchli i wydane majóm prawo polywać woda albo perfumym każdego, kiery im wlezie pod rękę.

J. W.

\* \* \*

### Przysłowia śląskie

Rzyko pod świętą figurą a mo djobła za skurą. Jak sie chłop rozgniwo, djobo! wiesioło śpiywo. Jak baba ze złości płacze, djobo! z radości skocze. Kózek a bonibon to chłopca nie dzierzy.

Niebieskie jyny Hane.

Jedyn cihi, drugi heta.

Stary jak świat, głupi jak cap.

Wszyndzi chlyb o dwóch skurkach.

Zawdy ci nejwiyncyj zjedzą, co nejbliży misy siedzą.

Z rączki do rączki, aby nie było mierziaczki.

Cóż ci po pieknym talyrzu, jak nic nimosz na nim.

Bydno mucha, też sie rucha.

Co komu szmakuje, tyn sie z tego nie otruje.

Choćbyś szel do Rusi, wszedzi robić musisz.



### Kraszanki

Ważnym symbolem świąt Wielkanocnych są barwne i wzorzyste jajka. Nazywają się rozmaicie, zależnie od okolicy i od sposobu ich wykonania. Poniżej podamy kilka uwag o przygotowaniu kraszank — farbowaniu jajek na jeden kolor. Zużyjemy do tego naturalnych farb roślinnych, na które nie potrzeba wydawać pieniędzy. Tak ufarbowane jajka można ślicznie jeszcze ozdobić, wydrapując na nich szczyrykiem różne wzory czy to kwiatki i gałązki, czy poprostu wzory geometryczne. Do farbowania jaj, przeznaczonych do jedzenia nie należy używać farb anilinowych, bo te są dla zdrowia szkodliwe.

Ażeby jajka ufarbować na żółto, trzeba nazbierać w polu kaczeńców lub mleczu, oberwać im same żółte płatki. Nalewa się na pełną kwaterkę płatków 2 szklanki wody i gotuje pół godziny, dodawszy szczyptę ałunu. Następnie trzeba płyn ten odstawić dla ostudzenia (nie cedzić), w letni wstawić jajka i gotować 15 minut od zagotowania. Jajek z tej wody nie wyjmować, aż ostygną. Powinny one być kanarkowego koloru.

Chcąc otrzymać jajka zielone, trzeba je ugotować w wywarze listków młodej pokrzywy, widłaku lub też młodych piórek żyta lub owsa. Na zielono również barwią młode kotki osiki.

Barwę pomarańczową lub też czerwoną otrzymujemy przez gotowanie jajek w wodzie, w której zostały wygotowane wierzchnie łupiny cebuli; zależnie od gatunku cebuli łupiny te dadzą kolor jaśniejszy lub ciemniejszy.

Na różowo lub czerwono, zależnie od mocy roztworu, możemy farbować jajka przy pomocy soku buraczanego. W tym celu trzeba utrzeć na tarce kilka mocno czerwonych buraków ćwikłowych, dodać do nich łyżkę mocnego octu i zalać wodą. Następnie gotuje się na mocnym ogniu 10 minut, potem cedi się i w tej wodzie gotuje się jajka.

Na fioletowo zabarwią nam jajka listki czarnej malwy, jagody bzu czarnego lub suszone borówki.

Barwy niebieskiej nie można otrzymać z żadnej rośliny sposobem domowym, dlatego użyjemy w tym wypadku farбки od bielizny. Zależnie od tego, czy chcemy mieć jasnoniebieskie, czy szafirowe jajka, dodajemy tej farбки więcej lub mniej. Dobrze jest dodać szczyptę ałunu.

Ugotowane i ufarbowane jajka wyjmuje się ostrożnie łyżką, wyciera szmatką do sucha i następnie wyskrobuje się na nich wzory lub też od razu smaruje skórą od słoniny, aby nabrały połysku.

M. S. S.

**Zwyczaj martwienia się.** Gospodyni domu a nawet często i młodzież żeńska posiada zwyczaj martwienia się z bylejakiej przyczyny. Poddawanie się nastrojom smutku, czy zniechęcenia jest niesłychanym wrogiem owocnej pracy. Nawet niewielkie martwienie się, więcej wyniszcza organizm niż ciężka praca. Nie traćmy więc czasu na biadanie nad uciążliwymi dla nas warunkami, lecz zużywajmy raczej energię na możliwe ulepszenie. Jeżeli zaś nie możemy wpłynąć na ich ulepszenie, stwierdziwszy niezadowolający stan rzeczy, nie zaprzatajmy sobie nim więcej głowy i usuźmy zupełnie z naszej pamięci. Pamiętajmy, że uśmiech zdobywa świat!

### O utworzenie koła szybowcowego

Ostatnio mieliśmy sposobność zauważyć znaczny wzrost zainteresowania dla szybownictwa, czego dowodem są liczne, poświęcone mu artykuły w naszych czasopismach. Możemy gorąco przyklasnąć temu nowemu kierunkowi, w jakim nasz sport powinien się w najbliższym czasie zwrócić, jednocześnie jednak musimy sobie powiedzieć: nareszcie! Oddawna bowiem są wśród nas ludzie, którzy całymi latami marzą o lotniczej karierze, ale nie otrzymując znikąd żadnego poparcia, zniechęcają się i rezygnują. Tym powinno przyjść z pomocą szybownictwo, jako pierwszy etap wyszkolenia lotniczego. Trudno jednak wymagać od młodych adeptów sztuki latania, aby specjalnie wyjeżdżali do odległych szybowisk czeskich, lub też starali się o paszporty do Polski i tam szukali zadośćuczynienia swym pragnieniom. Wynikłe z takiej metody trudności formalne i wydatki mogą najbardziej zapalonemu idealistcie uniemożliwić spełnienie długoletnich marzeń.

Musimy posiadać własną szkołę szybowcową, tak jak mamy boiska piłki nożnej, skocznie narciarskie i t. p. Potrzebne do tego tereny znajdują się napewno w Beskidach, zresztą cały nasz kraj obfituje w wystarczające do celów szybownictwa wzniesienia. Nie brakuje również funduszy, jak nie brakuje ich na wspomniane urządzenia sportowe. Szybownictwo, jako sport ma prawo do czerpania z subwencji na sport przeznaczonych tembardziej, że przeżywa (przynajmniej ma u nas przeżywać) najniebezpieczniejszy okres niemowlęcy i nie może sam sobie wystarczać, lecz musi korzystać z pomocy zewnętrznej.

Sumując to wszystko dochodzimy do wniosku, iż jesteśmy w stanie utworzyć własną szkołę szybowcową i musimy to jak najprędzej zrobić.

Chcąc jednak posiadać szkołę, musimy mieć organizację szybowcową, któraby się zajęła jej prowadzeniem. Organizacji takiej nie mamy, lecz musimy ją utworzyć. Tu stajemy wobec pytania, czy ma to być niezależna organizacja szybowcowa, czy też sekcja jednego z istniejących związków polskich, np. harcerstwa. Tak w jednym, jak w drugim wypadku musiałaby ona być afiliowana do Masarykowej Leteckiej Ligi, która obejmuje protektorat nad szybownictwem w C. S. R.

Osobiście jestem zwolennikiem stworzenia sekcji szybowcowej przy którymś z towarzystw polskich, nie wykluczam jednak możliwości powstania innej koncepcji. O ile wiem liczba naszych pilotów szybowcowych przekroczyła już poważnie dziesiątkę, niestety nie utrzymują oni z sobą stałego kontaktu. Do nich, jako do fundamentu naszego dorobku szybowcowego, jak też do wszystkich zainteresowanych, zwracam się z gorącym apelem, ażeby wypowiedzieli się w tej sprawie w jednym z najbliższych numerów »Ogniwa«. Pamiętajmy, że utworzenie naszego ośrodka szybowcowego jest sprawą palącą, którą trzeba jak najprędzej załatwić, aby móc przystąpić do kształcenia i doskonalenia się w tym najpiękniejszym sporcie.

-tek.

\* \* \*



# **Dział akademicki**

## **Akademik a społeczeństwo**

Przygotowany przez sek. praską »Jedności« cykl referatów na temat »akademik i społeczeństwo«, nie jest dla organizacji praskiej rzeczą nową, lecz nawiązaniem do dawnego sposobu zebrania członkowskich tej sekcji, z tą różnicą, że dawniej dyskutowano na tematy zupełnie oderwane, dziś natomiast przystąpiono do omówienia na szerszym forum tematów, traktujących o sytuacji społeczeństwa polskiego na Śląsku. Wstępny referat wygłosił kol. Wł. Palowski. Prelegent po krótkiej charakterystyce naszego społeczeństwa, zwrócił uwagę na stosunek akademika do społeczeństwa i jego pracę w terenie. »Fakt chwilowego geograficznego oddalenia nas od naszych rodaków, nie powinien i nie śmie nas oddalać duchowo. Zawsze powinniśmy stać myślą, sercem i całą swą duszą przy tych, którzy w naszej nieobecności orzą twardą glebę, przygotowując lepszą przyszłość. Jesteśmy synami naszego ludu, z nim chcemy żyć i z nim pracować. Naszym zadaniem nie jest praca nad społeczeństwem, ale ze społeczeństwem i dla społeczeństwa.« Następnie po scharakteryzowaniu pracy naszej młodzieży, o którą powinna się przede wszystkim oprzeć praca akademicka, oraz po wytyczeniu kierunku pracy, prelegent kończy swój referat apelem, by rzucone myśli głęboko utkwiły w sercach kolegów i by wszyscy przystąpili do dzieła.

Na drugim zrzędu wieczorze dyskusyjnym kol. Eug. Buryan wygłosił dalszy referat, który publikujemy w skróceniu:

»Istotną cechą całego tego ruchu, który objawił się na terenie naszej organizacji, nie są ostatnie wypadki, ani też ambicje kilku jednostek, ale troska o przyszłość kraju, oblicze pokoleń i wartość naszego społeczeństwa. Tego, że przyszłość zależy od nas, dowodzić nie trzeba, ale przekonywać i wytyczać obowiązki względem jutra trzeba i to ciągle i na każdym kroku. Dużo się robiło. Nad przeszłością przychodzi do porządku dziennego. Jesteśmy u progu nowych wydarzeń, których mamy być inicjatorami. Plan, tempo, metody pracy zależą od nas. Postęp opieramy na świadomości: olbrzymie zadanie mamy wykonać dziś i jutro, bo najlepsza poprawność programu, najlepsza wola organizatorów, pozostaną tylko ciekawym fenomenem psychologicznym, jeżeli nie spotkają się z należytą i mądrą współpracą szerokich mas akademickich do pracy tej powołanych i zobowiązanych. Jeżeli nie uświadomimy sobie jasno, że nie wolno nam określać naszego stosunku do społeczeństwa »ja i oni«, ale tylko »my« jedna niepodzielna i nierozrwalna całość, w której jeden staje za wszystkich przed trybunałem dziejów, to praca nasza w łeb weźmie. Ale jeżeli każdy z nas, pojawiając się to zadanie i odpowiedzialność z nim ciążącą, wzniesie się na szczyty możliwości duchowych i fizycznych, to praca pójdzie pomyślnie, znajdzie nowych uczestników, kierowników i wykonawców.

Rzucając myśl wielkiego i powszechnego wysiłku przeprowadźmy analizę badając, co jest do zrobienia i jak to należy zrobić?

Musimy przenieść hasła nowej pracy dzisiejszego akademika z pojęć oderwanych do rzeczywistości, organizując wymiany młodej myśli w odczytach i referatach, przez żywą i intensywną pracę na polu intelektualnym. Musimy przez żywe słowo trafić przede wszystkim do serca każdego akademika i zainteresować go. Musimy mieć wpływ na kształtowanie się młodego akademika, musimy objąć wszystkie dziedziny jego duszy i wszystkie zaufki, gdzie się znajduje. Sama struktura naszej organizacji powinna pobudzać ambicje twórcze, pomagać członkom w ich pracy nad sobą, winna drogę do celu rozbić na kilka etapów, wskazując pewnego rodzaju znaki orientacyjne, dla tych, którzy pójdą po tej drodze. Organizacja nasza musi zaprawiać członków do czynnej pracy publicznej na niewielkich z początku odcinkach, pod kierownictwem kolegów starszych i doświadczonych. Organizacja nasza powinna być szkołą wychowawczą — ma wychować dobrego Polaka i pracownika.

Jesteśmy niezależni, nie idziemy na pasku żadnej partii politycznej, ani też żadnego mecenasa. Stanowisko nasze powinno wynikać z tego głębszego — wewnętrznego przekonania, że nowy człowiek, człowiek pracy, człowiek twórczy powstaje w atmosferze całkowitej samodzielności. Bezmyślne przyjmowanie zgóry narzuconych formulek i doktryn, tworzy manekiny — a my potrzebujemy ludzi żywych i myślących. Mamy dostarczyć życiu dzielnych pracowników, którzy ogarnięci ideą pracy dla dobra społeczeństwa, będą wszędzie, na wszystkich polach pracy społecznej, politycznej i gospodarczej zarzewiem nieustannego postępu, czerpiąc wszystkie niezbędne pierwiastki z pokładów swej własnej duszy. Musimy starać się o to, aby każdy akademik był indywidualistą, nie jakimś »nadczołowiekiem« w pojęciu Nietschego, ale aby każdy akademik stał na swym miejscu w tej czy owej kwestji, żeby najmniejszą pracę wykonał w ten sposób, żeby jej nie można było ani powtarzać, lub poprawiać.

Musimy wszczepiać odpowiedzialność dla spełniania obowiązków w duszę każdego akademika, a dlatego, iż odpowiedzialność wymaga się tylko od jednostki a nie od masy, kolektywu, nie możemy tworzyć z kolegów naszych bezmyślnej masy, która ma ogromne tendencje dziś się wytworzyć. Masa, wytworzona według tego samego modelu zwycięża z pewnością nad jednostkami niezgodnemi, bo nietylko iż myśli jednakowo, jednakowo występuje, ale wszyscy mają te same poglądy i równe metody pracy — ale masa taka byłaby tylko kupą martwej i bezwartościowej energii potencjalnej. My potrzebujemy jednostki, jednostki silne i mocne, ale karne, posłuszne i uprządkowane. Pracę musimy oprzeć na jednostkach. Organizując jednostki inteligentne, dojdziemy do stosunkowo małego wyboru, ale bezwarunkowo wartościowego, do potencjału energii kinetycznej, życiowej, która masie tej nada ruch, pomysł i żywotność.

(Dok. nast.)

\* \* \*



WALTER ZAGÓRA.

## Kostjum.

Będąc przy dekoracji zwrócimy uwagę na kostjum, boć kostjum należy też do pewnego rodzaju dekoracji. Nauka o kostjumach jest zbyt obszerna, żeby ją opisać w krótkim ustępie. Chcę zwrócić uwagę szczególnie na ubrania współczesne i stroje ludowe. Zapytajmy się jakie sztuki najczęściej wystawiamy. Sztuki mieszczańskie ludowe, rzadziej wojskowe a wyjątkowo sztuki historyczne. Wśród sztuk ludowych pierwsze miejsce zajmują nasze sztuki; więc np.: »Nawrócony«, »Pani wójtowa«, »Wesele śląskie« i t. d. Sztuki te pomimo tego, iż wzięte są z życia naszego ludu dają wiele do życzenia pod względem ubiorów. Życzeń tych i niedociągnięć jest tem więcej im dalej od Cieszyna ku Ostrawie. Zwykła Hanka, od chałupnika starego Pustówki, przychodzi na scenę w roli Jewki z Nawróconego i zamiast ubrać się tak jak się ubierają nasze szwarne dzicuszki zwykle przez tydzień, dla lepszego wrażenia lub wickszego blasku aktorskiego, ubiera sobie kabotek ze strusim »kwopym«. Zamiast kyrpców widzimy na scenie najróżniejsze modele paryskich trzewików z »hadi kùże«. Nie lepiej obuć sobie zwykłe góralskie »charboły«? Znać wszyscy chyba dosadne ale prawdziwe przysłowie: »Cóż gorolowi po bótach, jak....« Wymawiają się, że nie mają kostjumów. Proszę tylko poszperać w trówie na górze, napewno tam starka mają jakiś ten »szpyncer« albo »kabotek«. Na nasze sztuki trzeba zwracać baczną uwagę. Nas, młodą generację, rzeczy te nie rażą. Ale naszych rodziców, to aż unosi, jak takie »fifidła« gonią po scenie. Dosyć mamy sposobności na ulicach oglądania różnych wypaczeń naszego ślicznego śląskiego stroju. Niech przynajmniej na scenie dochowuje się wiernie piękna naszych strojów. Gdzież mają wprowadzać na sceny ludzi w naszych strojach, jak nie na naszych scenach! W związku z tem, poleca się i to gorąco, aby możliwie jak najwięcej zbierać niepotrzebnych śląskich ubiorów względnie części ubiorów. Poszukujcie dzisiaj bardzo rzadkich szpencerów, kocabajek! Dzisiaj ich nie mamy a co dopiero za dwadzieścia lat?

Sztuki ludowe innych krajów, wymagają specjalnego studjowania ubiorów danego ludu. Jest rzeczą niedopuszczalną, by np. »Wiesława« wystawić w strojach śląskich, albo wypożyczyć (jak to można spotkać) dwie sukmany a reszta »po naszymu«. Zrezygnować lepiej z sztuki, aniżeli poubierać amatorów na swoje kopyto. Zbierać sobie najróżniejsze fotografie, widokówki strojów ludowych i na podstawie takiego materiału wyposażać sztukę w kostjumy.

Sztuki mieszczańskie nie wymagają wielkich starań o ubiory. Nie znaczy to bynajmniej, że w sztuce takiej można wejść na scenę bylejak. Nie chodzi mi o ubiory spotykane codziennie w pociągu, na ulicy. Każdy wie, że sportowe ubranie jest siwe, żółte trzewiki; że strój tenisowy jest biały, wie każdy, jak ubierają się narciarze, Żydzi etc. Jak ubierają się kobiety do towarzystwa? Pod takim tytułem pojawił się artykuł w »Favorit Mo-



»Dziady Śmiguśne« z Dobrej w Limanowskiem.

denalbum«, gdzie między innemi podaje: Pani idzie do towarzystwa w ciemnej sukni, bez wielkiego wycięcia, w kapeluszu (nie żeby siedziała w kapeluszu przy stole) w białych rękawiczkach. Trzewiki odpowiadają z pończochami kolorowi sukni. Do teatru, na koncert chodzi się w kapeluszu (jedynie w łoży można ewentualnie niezdejmować kapelusza). Na bal chodzą panie w sukniach z droższego materiału, bogaciej ozdobionych i o większych wycięciach. Do tego noszą wachlarz, wysokie rękawiczki, ozdoby z kwiatów lub piór. Powyższe uwagi dotyczą pań jedynie z punktu widzenia reżysera. Panowie chodzą na bale we fraku. Do fraku nosi się biały motylek, lakiry, białe rękawice i cylinder. Kamizelka do fraku biała. Do smokingu ubiera się czarny motylek, czarna wykrojona kamizelkę i pojedynczy łamany kołnierz. Pan w żakiecie, polskich butach, motylku białym, słomianym kapeluszu przedstawia franta a nie człowieka idącego do ołtarza. Smutek u kobiet – czarna suknia, lecz nigdy z świecących się materij. Zawsze czarne pończochy. Welon jest oznaką głębokiego smutku.

W wypadkach, gdy chodzi o kombinacje spodni i surduta, spodnie muszą być zawsze jaśniejsze (np. białe spodnie, czarny surdut). Jesteśmy świadkami codziennej zmiany mody. Reżyser musi pilnie przeglądać mody, by wiedział czy nosi się kapelusz na prawem, czy na lewem uchu; czy kapelusz z zielonem piórkiem o formie znaku zapytania nosi się w marcu, albo maju. O kostjumach decyduje reżyser. Nie trzeba się bynajmniej wstydzić za kostjum na scenie. Doświadczenia uczą nas, że im



więcej portki wylatane w swej tylnej części, tem więcej okłasków.

Proszę się zastanowić i odpowiedzieć piśmien- nie do redakcji na pytanie: Z której strony liczymy lewą i prawą stronę sceny, od widza czy od amatora?

## **Harcerstwo**

### **Przed dniem braterstwa.**

Dwudziestyczwarty kwiecień — to dzień skau- towego międzynarodowego braterstwa.

Jest nas blisko cztery miliony rozsiansych po całym świecie. W rytmie czterech miljo- nów młodych serduszek, w dniu św. Jerzego, wznieci się jedna myśl — jedno uczucie: wszyscy skauci świata tworzą jedną rodzinę — żywiny przyjaźń braterską do wszystkich z pod znaku lilji, znanych i nieznanych.

Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji jest częścią wielkiej rodziny. Rytm pracy milionów w kierunku międzynarodowego zbliżenia narzuca mu swoje tętno, które na dzień braterstwa dyktuje na- stępujący program:

**24 kwietnia, każda jednostka organizacyjna H. P. C. urządza zbiórkę.** Program będzie miał cha- rakter uroczysty — gawęda na temat idei między- narodowego braterstwa młodzieży.

Może w gawędzie będziecie poruszali sprawy, które braterstwo tamują, jak np.: nienawiść kla- sowa warstw społeczeństwa, rewolucje, wojny itp., nie bęły wam drużynowym podsuwał gotowych odpowiedzi: pozwólcie samym chłopcom w czasie gawędy wypowiedzieć się, jak należałoby usunąć powyższe sporne zagadnienia.

**W dniu braterstwa każdy harcerz zawiązuje korespondencję z obcym skautem lub harcerzem.**

Na pierwszy plan wysuwa się wymiana kore- spondencji z Polakami z Zagranicy, albo też har- cerzami Z. H. P. Kto tylko potrafi coś skłecić w języku obcym, powinien koniecznie napisać do skauta innej narodowości — boć to przecież dzień międzynarodowego braterstwa.

Cóż te listy będą zawierały? — Onisy cieka- wych zjawisk życia drużyny, napisać trochę o własnej osobie, oraz liczne zapytania iak pracują gdzieindziej; wogóle starać się zawiązać żywą wy- mianę zapatrywań, ażeby przez to pogłębić swoją wiedzę. Listy można pisać podczas zbiórki lub też przed zbiórką, w drugim wypadku muszą być uroczyste składane na ręce drużynowego w cza- sie zbiórki.

**Zbiórkę ku czci św. Jerzego kończymy pro- gramem na przyszłość:**

Rozpoczynamy naukę obcych języków.

Podczas wyboru nie wybieramy i nie uczymy się wszystkich języków naraz, lecz wybieramy tylko jeden który według waszego zdania najwię- cej wam się podoba a któryby przyniósł w przy- szłości pewne korzyści.

Rozp. czynamy stałe czytanie obcych pism i książek.

Przez literaturę poznajemy kulturę innych, uczymy się szanować obce narody, pokochamy szczerze młodzież innych narodów.

Józef Żyła

## **ODPOWIEDZI REDAKCJI.**

**Prima Aprilis.** Przypuszczamy, że poznał się na nim każdy czytelnik. Kto go albo nie znalazł, albo się nie po- łapał, temu zdradzimy, że notatka w ost. nrze »Ogniwa« p. t. »Najświeższe wiadomości sportowe«, to właśnie prima- aprilis poczynawszy z pierwszą literą a kończąc na ostat- niej kropce.

**W sprawie naszego konkursu.** Dnia 6 kwietnia upłynął termin nadsyłania rozwiązań konkursu z działu sportowego (rzut dyskiem). Z nadesłanych w terminie rozwiązań żadne nie odpowiada rzeczywistości.

Wyjaśniamy, że chcieliśmy się przekonać o jakości zainteresowania się młodzieży sportem, a więc czy nasi sportowcy interesują się tylko wynikiem w sporcie, czy też sposobem osiągnięcia tego wyniku.

Przekonaaliśmy się na podstawie nadesłanych rozwią- zań, że nasi czytelnicy interesują się wszechstronnie sportem. Że jednak żadne z rozwiązań nie odpowiada prawdzie, przy- pisać to należy trudności zadania, gdyż do dobrego roz- wiazania konieczna jest znajomość fizyki. Stwierdzamy więc, że konkurs był za trudny, nadawał się on raczej dla ucz- nów VI kl. gimnazjalnej.

Z powodu braku miejsca podamy w następnym numerze rozwiązanie konkursu.

**P. »Aika«:** Bardzo prosimy.

**P. E. »Oleś«:** Niewieleby młodzieży nasza z tego sko- rzystała, mimo iż w większości prowadzi »pieskie« życie — dlatego nie umieszczamy. Poza tem ucięcie zbyt naiwne. Nikt np. nie uwierzy, że papies poszedł sam za praczo- wiekiem i zaferował mu swoje usługi, wyczuwszy w nim swego władce. — Prosimy o coś innego.

**P. I. Zagórska:** Narazie z tej dziedziny mamy ma- terjału dosyć. Skorzystamy, gdy nam go zabraknie.

**»Druchna z Końskiej«:** Pod artykuł wystarczy oczy- wiście pseudonim — ale Redakcja musi wiedzieć, kto go napisał i przysłał.

**Pan »r«:** Nowelka słaba. Wiersze nienajgorsze. Ależ dla Boga, dlaczego od razu aż dwanaście?! Kiedy na ten »towar- i tak kiepski zbyt — to lepiej puścić na »rynnek« jeden, dwa, ale już całkiem dobre, opitowane. Nawet najlepsi poeci wiersze swoje poprawiali nieraz kilkakrotnie.

**Pan F. Z.:** Wiersze słabe — nie nadają się.

\* \* \*

### **Komunikaty.**

**»Manewry jesienne« w Cz. Cieszynie.** Teatr ludowy Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie wystawia w niedzielę 19 kwietnia w sali Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie znana, wesołą i bardzo miłą operetkę Kalmana w 3 aktach p. t. »Manewry jesienne«. W operetce grają znane z innych sztuk osoby m. i. pp. Taskówna, Czyżówna, Szupinówna, Berger, Kaleta, Trombik Paweł, Potysz, Brannny i inni. Akcję uroz- maicają balety (nasze piękne baletnice już też znane są z innych występów), Chór mieszany M. Szk., a muzyczna część wypełni orkiestra Macierzy Szkolnej w komplecie pod dyrygenturą p. Adolfa Żyły. Balety pomyślu pp. Jerzego Trombika i K. Bergera. Początek przedstawienia o godz. 17 (5 po poł.). Na przedstawienie jak najserdeczniej zapra- szamy. Po przedstawieniu zabawa tow.

**Grodziszcz.** M. oddział »Beskidu Śląskiego« odegra w poniedziałek wielkanocny w sali »Braterstwa« komedię Ba- luckiego »Grube ryby«. Po przedst. zabawa towarzyska.

**Trzanowice.** W niedzielę, dnia 26 kwietnia b. r. odegra miejscowy ZEM. w sali p. J. Klaubaufowej sztuce ludową p. t. »Zagroda Sobkowa«. Dalszy program wypełni występ chóru ZEM. Początek o godz. 1/28 wieczorem. Po wieczorku odbędzie się zabawa towarzyska.

**Nawle.** I Koło Macierzy Szk. odegra w poniedziałek wielkanocny w sali p. Mrózka arcywesołą krotkowiłę w 3 aktach p. t. »Ciotka Karola«. Początek o godz. 7. Po przedstawieniu zabawa towarzyska.

**Wędrzyna.** Miejscowy ZEM odegra w poniedziałek wiel- kanocny w sali p. Hudzieczka na »Górnionce« wesołą kro- tokowiłę K. Bergera p. t. »Panna Halka meżatka«. Początek o godz. 7 wiecz. Po przedstawieniu zabawa towarzyska.

**Trzyczęć.** Z okazji 10-lecia istnienia Koła M. Szk. ode- grana zostanie dnia 19 b. m. w sali p. Walczyskowej sztuka K. Bergera p. t. »Nawrócony«. Początek o godz. 7 1/2 wiecz. Po wieczorku zabawa towarzyska.

**Jabłonków.** Zw. Młodz. Kat. odegra w poniedziałek wielkanocny w Czyt. Kat. sztuce ludową p. t. »Zagroda Sobkowa«. Początek o godz. 7 wiecz.

\* \* \*



# Nasze sprawozdania

## Walne Zebr. Zw. Pol. Chórów 29. 3.

(na marginesie.)

Na Walne zjechało się przeszło 200 delegatów z całego Śląska, oraz wielu gości. Produkcje muzyczalno-wokalne były bardzo dobre, jednak zbyt- nio opóźniły obrady Walnego Zebr.

Urywki z przemówienia gł. dyrygenta: — nikt z nas nie jest zwolennikiem papierowej roboty, bo

... że sprawozdania członków Zarządu były do- brze przygotowane, a więc nie przedłużały się — ... że fotografowanie całego Walnego Zebr. odbyło się bez zamętu, czego z doświadczenia obawiano się — ... że nie było dyskusji dla dyskusji.

Co (mi) się nie podobało: ... że niektórzy nie nie chcą, ale nie potrafią jeszcze zastosować w ży- ciu hasła solidarności i jedności. (»Niedopatrujemy się w każdej błahostce ostrza zwróconego prze-



Delegaci i delegatki na Walnem Zw. Pol. Chórów w sali »Polonii« w Cz. Cieszynie.

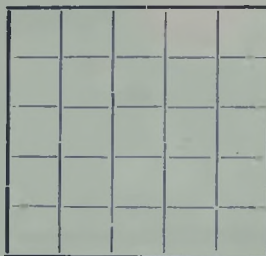
też prowadzenie administracji chórowej nie jest celem, lecz środkiem prowadzącym do celu. — Bezpośredni kontakt z chórmi nie zastąpią okólniki czy inna korespondencja, dlatego też na okrę- gowych zebraniach nie powinno żadnego chóru brakować. — Rok rocznie chóry wciągają w swoje szeregi nowe zastępy młodzieży nieaktywnej, która powoli zaprawia się do pracy społecznej.

Okręgowy występ przy udziale wszystkich chórów miał okrug suski (Szumbark). — Często daje się zauważyć sezonowa psychoza spażniania się na lekcje chóru, np. w miejscowościach rol- niczych. Zdarzały się wypadki, że członkowie chóru pracujący na roli, czekali na tych, którzy w życiu nie mieli motyki w ręku. — Niech nami kie- ruje jeden wspólny cel, jeden program, w którego ramach z łatwością pomieszczą się programy wy- znanjowe, czy klasowe. — A ci, którzy stoją na czele poszczególnych organizacyj, niech w zarodku tłumią każde objawy przesadnej gorliwości, bo każde ustępstwo na rzecz »vox populi« może po- ważnie zaszkodzić naszej sprawie. — W r. 1936 mamy wielkie zadanie do spełnienia: zorganizowa- nie wyjazdu na Złot Śpiew. Pol. w Warszawie 28 i 29 czerwca b. r. — Miejmy nadzieję, że i władze nie będą nam robiły żadnych trudności, boć jedziemy do Warszawy dla pieśni, z pieśnią w sercu. Naród czeski, jako wysoce muzyczny, łatwo zrozumie nasze intencje. — Hasłem r. 1936 jest: wciągajmy w chóry i starsze społeczeństwo.

Co (mi) się podobało: ... że przemówienia repre- zentacyjne były krótkie, a jednak wystarczające

ciwko sobie!) — ... że niektórzy delegaci zade- monstrowali właściwości małych dzieci: brak cier- pliwości, ażeby usiedzieć na jednym miejscu. (Chóry powinny wysyłać delegatów, którym się nie śpie- szy i którzy nie mają sprawunków do załatwiania w mieście!)

### Kącik rozrywkowy.



#### Kwadrat magiczny

Liczby porządkowe od 1 do 25 rozmieścić w kwadracie w ten sposób, aby w rzędach poziomych i piono- wych, oraz na obydwu przekątnych otrzymać w sumie liczbę 65

#### Łamigłówka

1. Pospolity owad
  2. Jeden z słowiańskich tańców narodowych
  3. Część szat liturgicznych
  4. Rodzaj łodzi
  5. Również rodzaj łodzi
  6. Bryła ziemi
  7. Konik (rasa)
  8. Pasożyt
- Środkowa kolumna czytana w dół poda hasło młodych.

1					
2					
3					
4					
5					
6					
7					
8					

\* \* \*



# Humor Wielkanocny

## Kombinator.

Przed miesiącem spotkałem mego kolegę ze szkolnej ławy, Frania Fistaszka. Nie widzieliśmy się już od niepamiętnych czasów.

Franio wyglądał nieszczególnie. Twarz blada i zarośnięta. Zrudziały kapelusz, kuse paletko, pocerowany krawat, pod pachą dziurawa teczka.

— Serwus, Wacusi! — zawołał. — Jak ci leci, stary gorylu?

— Dziękuję, dobrze, a co u ciebie?

— Hm... narazie nienajlepiej... Cały mój majątek wynosi w chwili obecnej 19 koron 35 halerzy... Ale a propos, mam pewną kombinację, do której przeprowadzenia potrzebuję 500 koron. Pożyczysz mi je oczywiście, prawda? Zwrócę za cztery tygodnie.

Broniłem się jak mogłem, wreszcie jednak, wzruszony zakłębieniami na naszą dozwonną przyjaźń i niezapomniane chwile wspólnie spędzone, uległem.

Trudno, trzeba coś zrobić dla starego druha! Oczywiście nie byłem tak naiwny, by łudzić się, że ujrzę jeszcze te pieniądze.

Wczoraj siedziałem przy biurku, szukając w pocie czoła tematu do humoreski świątecznej. Nagle przed dom zajechało jakieś piękne auto, z którego wysiadł (nie zgadniecicie!) ...Franio. Był wytworny, jak lord Eden.

Otworzyłem mu drzwi. Wszedł śmiejąc się wesoło.

— Masz tu 500 koron — zawołał, wciskając mi w rękę banknot.

— No, a teraz musisz mi wyjaśnić na czym polegała twoja kombinacja! — powiedziałem, ochłoniawszy nieco z wrażenia.

— Bardzo chętnie! A więc słuchaj! Za pożyczone od ciebie 500 koron kupiłem u księgarza tyśiąc starych książek kucharskich i umieściłem w pismach takie ogłoszenie:

### Wielka sensacja!

Po otrzymaniu 20 Kcz wysyłamy w dyskretnym opakowaniu książkę niezbędną obecnie dla każdej młodej panny i mężatki!

Sekretnie sposoby kobiece!

Setki rad i wskazówek!

Śpieszcie się dopóki nie jest zapóźno!

— Powiadam ci — ciągnął dalej Franio. — że nie mogłem wprost nastarczyć wszystkim zamówieniom! Musiałem dokupywać jeszcze cztery transporty! Obecnie jestem zamożnym człowiekiem!

— Tak — bąknąłem — ale...

— Mylisz się mój drogi — przerwał mi Franio — musisz przyznać, że w ogłoszeniu nie było ani śliska przesady. Nie zaprzeczysz chyba, że w okresie świąt wielkanocnych niezbędna dla każdej kobiety jest dobra książka kucharska!

## »Ale«.

Przy wielkanocnym stole zebrała się już rodzinka i goście, gdy odezwał się dzwonek.

— Jeszcze ktoś! — westchnęła pani domu.

Do pokoju wszedł Hipolit Jąkałto.

— A, powitać pana Hipolitka! — odezwano się chórcin. — Proszę z nami siadać, jeść i nie gadać!

Pan Hipolit podszedł do pani domu.

— Zaaaraz sięaaadę, tyyyylko przedtem ale...

— Nicma żadnego ale — zaprasza po staropolsku pani domu — proszę do stołu...

— Dooooobrze, ale...

— Ależ niech pan się nie krępuje... Proszę wódeczki...

— Przecedtem jeeednak chciiaaaalbym — ale...

— Ale drobiazg, niech pan siada — prosimy...

— Ale...

— Może pan chce coś powiedzieć na »ale«? — domyślił się wreszcie pan domu.

— Taaak — ale...

— Alegro?

— Nnnnnie, ale...

— Alembik?

— Nnnnnie, ale...

— Aleja? Alegat? Alegorja? Alea iacta est?

— Nnnnnie, ale...

— Alegria? Aleksander, Aleksandra? Aleksandrowsk? Aleksandrów? Aleksandryt?

— Nnnnnie, ale...

— Aleksiejew? Aleksota? Aleksy? Alembert? Alentejo? Alessio? Aleureon?

— Nnnnnie, ale...

Wszyscy stracili już resztki cierpliwości. Groźnie powstał i zewsząd zaczęły padać pytania:

— Alep? Aloes? Aletschhorn? Aleurometr? Aleuty? Alexis?

Nieszczęsny pan Hipolit, czerwony i blady na przemian, stał jak słup w krzyżujących się pytaniach — i bezradnie szeptał:

— Nnnnnie... nnnnnie... Ale...

Rozegrała się barbarzyńska scena, naskutek której pan Hipolit wybił drzwi i stoczywszy się ze schodów, potargany, pomięty i złamany moralnie znalazł się na trotuarze przed domem.

Tam dopiero, żałośnie spojrzawszy w górę, szepnął:

— Alle—luja.....

\* \* \*

## W hotelu.

W hotelu tajny policjant ogląda paszport jakiejś pary małżeńskiej.

— Paszport zdaje się być w porządku. Ale jak mi pan chce udowodnić, że to faktycznie pańska żona?

— Panie władzo, jak mi pan udowodni, że nią nie jest, otrzyma pan odemnie 1000 koron.

\* \* \*



# Ogniwo

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*



Poznań: Ratusz.





Poznań: Wejście na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Tegoroczne otwarcie nastąpiło 26 kwietnia.



Poznań: Widok na Katedrę, Ostrów Tumski i most Chrobrego.





### 3-ci Maj

Księga dziejów ludzkich, obok krwawych kart wojen, rewolucyj i wszelkich nieszczęść, mieści w sobie jedną, bodajże jedyną w swoim rodzaju, a jest nią karta roku 1791-go, na której zapisano wickopomną uchwałę ginącego narodu polskiego, Konstytucję 3-go Maja. Doniosłość jej ocenić możemy dopiero my, wyrosli i wychowani w czasach równouprawnienia, czyli t. zw. demokracji. To, co Francja zdobyła przez krwawą rewolucję, która pociągnęła za sobą dziesiątki tysięcy ofar, to, co inne narody osiągnęły dopiero po strasznej, dotąd przez nas niezapomnianej wojnie światowej, to samo naród polski osiągnął drogą pokoju i szlachetnego porozumienia.

Dziwnymi są drogi Opatrzności. Skazała Ona potężny ongi naród polski na zupełną zagładę. Ciosu tego Polska potrzebowała, poznała ona przez to bowiem, że droga do jej szczęścia leży nie w przywilejach szlachty, nie w pogardliwym traktowaniu chłopów, tej niedocenianej siły narodu, ale że szczęście i przyszłość jej zawisły właśnie od podniesienia chłopów na równy poziom z uprzywilejowanymi. Nie znaczyło to, że chłop stanie się od razu równym szlachcicowi duchem i kulturą, nie, lecz Konstytucja rzuciła przez odwieczną przepaść stanową kładkę, która z czasem przerodziła się w trwały most porozumienia i wzajemnego zaufania, stała się więzią całego już narodu. Od tego czasu słowo »naród« rozszerzyło się o te miliony uświadamiających się chłopów, tych chłopów, którzy swą miłość ojczyzny potwierdzali dobrowolną śmiercią w powstaniach. Wiedzieli oni bowiem, że bronią swojej wolności, swych praw i swej ziemi. Bez Konstytucji 3-cio majowej napewno nie mielibyśmy w historii polskiej takich postaci jak Głowacki, Kiliński i innych, nie byłoby tych zastępów kosynierskich, owianych gorącym duchem patriotyzmu, nie byłoby tych tysięcy męczenników bez skargi ginących w turmach syberyjskich z hasłem »za naszą i waszą wolność« na ustach.

To, że Polska zmartwychwstała po wojnie światowej, zawdzięcza w pierwszym rzędzie zbawiennym wpływom Konstytucji. Jej hasła odrodziły bowiem znikczemniały naród, oduczyły szlachtę myślenia o własnej tylko wygodzie i przywilejach a wskazały drogę prawdziwą, chociaż ciernistą, ale wiodącą prosto do odkupienia.

Szlachta musiała najpierw zrozumieć, że chłop jest jej równym obywatelem, że ma taki sam obowiązek bronięcia swej ojczyzny i takie same prawo korzystania z wszelkich praw i dobrodziejstw co ona. Chłop zaś podniesiony w swej godności zrozumiał, że kraj od niego, jako wolnego obywatela, więcej wymaga i cięższe kładzie nań obowiązki do wypełnienia.

Tak więc narodziło się niezbędne w walkach o wolność, uświadomienie narodowe. Wszyscy bez różnicy stanu i powołania poczuli się Polakami i zaczęli razem dążyć do jasno już teraz wytkniętego celu. To też wysiłki odrodzonego, dojrzałego duchowo narodu, ogarniętego potężną wolą zwycięstwa, przyniosły niespodziewane wysiłki. Po strasznym kataklizmie dziejowym, na gruzach w proch rozbitych wrażliwych potęg, na zgłiszczach pobożowskich, okupiony tysiącami ofiar i męką półtorawiekowej Golgoty, wyrósł i zakwitł dla nowej Polski precudny a tak gorąco upragniony kwiat Wolności. Zabłysnął rozelśniony purpurą Świt, oczekiwany przez całe pokolenia.

To odzyskanie przez Polskę politycznej niepodległości pędzej czy później nastąpić musiało. Jest ono nieuniknioną konsekwencją przebudzenia się i dojrzałości duchowej Polaków, czego wyrazem jest do dziś Konstytucja 3-cio majowa.

Cały ówczesny świat polityczny zazdrościł Polsce i dziwił się, skąd w tym narodzie rozbitym i pozbawionym wolności tyle zdrowych sił i wielkich umysłów się wzięło. Tak dziwowano się: »że ani jedna kropla krwi z tego powodu nie popłynęła, że nie było tam ani zdrady, ni obelgi, ni zmywy na czyj honor, ni łżenia religii, obyczajów, ani łupiestwa, ani konfiskaty, żaden obywatel pojmany, żaden uwięziony, żaden wygnany nie został.« (Edmund Burke, angielski mąż stanu, żył w latach 1730—1797.)

Nic przeto dziwnego, że dzisiejsza Polska z taką wdzięcznością i skupieniem obchodzi każdorocznie pamiątkę tej konstytucji. I my również jako żywa narodu polskiego część z dumą i zadowoleniem oddajemy hołd pamiątce tej konstytucji, która zbratała i złączyła w jedno wszystkich, od króla począwszy a skończywszy na najniższym biedaku.

Skromne, lecz wiele mówiące hasło: »Wiwat wszystkie stany« było pierwszym zwiastunem prądu socjalnego, zwanego demokracją. Jakże jednak ta demokracja ówczesna była idealna! Nie było w niej żadnych zasadzek i nieudomówień, żadnych zwrotów dwuznacznych a przede wszystkim różnych miar. Nie mam tutaj bynajmniej zamiaru krytykowania jakiegokolwiek ustroju, opartego na zasadach demokratycznych, ale mowa tu o dzisiejszym fałszywym i spaczonym pojęciu demokracji. Brak w niej jest ukochania idei dla niej samej a przeważa w zupełności zimne wyrachowanie. Wzburzone masy proletariatu wyrzucają na swą powierzchnię indywidua, mistrzowsko umiające wykorzystać jego uczucia, a którym hasła demokratyczne są tylko wygodną drabinką, służącą do bezpiecznego zapanowania nad tłumem.



To też z prawdziwą ulgą wracamy myślą do tych dawnych czasów, kiedy to urodziła się Konstytucja i pełną piersią czerpiemy z nich zdrową i nieczepną atmosferę prawdziwej demokracji. Tam słowa: »wolność — równość — braterstwo« nie są pustym frazesem, nie są wygodnym parawanem dla sztuczek i kruczków wątpliwej czystości, ale są pojęte w swym idealnym znaczeniu a wprowadzono je w życie z głęboką wiarą i zrozumieniem, że przyniosą dla narodu szczęście i

nowy żywot. Tylko tak pojęta idea Konstytucji 3-cio majowej przeszczepiana z pokolenia na pokolenie przynieść mogła i przyniosła narodowi polskiemu wyzwolenie.

I nam każe ona żywić nadzieję w lepsze jutro, w zwycięstwo sprawiedliwości i dobrej woli, dopomoże przetrwać ciężkie i niebezpieczne okresy upadku ducha, potęgując równocześnie wiarę w własne siły i żywotność.

A. S.

\* \* \*

## „Dzień Matki“

Mamo, matusiu, matenku — oto słowa, które powtarzamy od pierwszych chwil życia naszego. Ma-ma... to pierwsze słowa, najśłodsze ze wszystkich słów na świecie, jakie przeszły przez nasze dziecięce usta. Dzieciństwa jasne dni... Na ich wspomnienie widzimy zaraz kobietą postać, nachyloną nad kołyską, zaczerwienione od niewyspania i płaczu oczy, z których każdego spojrzenia widać blask oddania się całkowitego i poświęcenia dla dziecięcia. Ona chroni dziecko swoje przez całe życie przed chorobą lub złym wypadkiem, ona uczy stawiać pierwsze kroki, ona budzi pierwsze isierki zrozumienia i uczucia. Ona swoją czułą pieczęcią umie uśmierzyć każdy ból. Matka, to Anioł-Stróż, duch opiekuńczy, wiecznie czuwający nad swoim dziecięciem, nawet wówczas, gdy jest ono daleko od niej. Bo dla matki dziecko jest największą radością życia, ale też i największym trudem.

Nikt z nas nie zdoła ocenić tego trudu i zaparcia się samej siebie każdej z matek. Będąc dziećmi, nie doceniamy tego, że matka nasza musiała się wyrzec wszystkiego, aby nas tylko czułą opieką w dzieciństwie otaczać. Ona to musiała dbać o nasze zdrowie, o odpowiedni pokarm, odzienie, o rozrywkę, o duszę. O duszę przede wszystkim, bo chciałaby w nas widzieć tylko dobro wszelkie, złe zaś nasze skłonności wyplenić i wyrwać z korzeniem. Nieraz za wady i złe skłonności musi nas ukarać, bo jest za nasze

wychowanie odpowiedzialną przed Bogiem i Narodem.

Matkę można nazwać »rzeźbiarką życia, co wykuwa żywot cały«. Dziecko bowiem jest niejako surowym materiałem, z którego dopiero wpływ matki wykuwa szlachetną i piękną postać człowieka. Matka »wykuwa żywot cały«, a ślad jej pracy widzimy zawsze. Wystarczy dojrzałemu człowiekowi wniknąć głębiej we wszystkie dobre cechy i zalety własnego charakteru, a zobaczy, że każdy czyn jego wynika z nauki, dawanej przez matkę, że wszystko to, co jest wzniosłem i pięknem, matce swej zawdzięcza.

Za ten niezmierny trud i poświęcenie ze strony matki należy ją kochać i nade wszystko miłować. A pamiętajmy, że ze wszystkich uczuć na ziemi, miłość matki jest najświętszym uczuciem. Pozostajemy nazawsze dłużnikami wobec matki. Czemże jej mamy się odplacić, czym dług zaciągnięty spłacić — jak nie miłością i głęboką czcią?

I dlatego to we wszystkich cywilizowanych krajach istnieje piękny zwyczaj obchodzenia »Dnia Matki«. Dzień ten ma być symbolem, uzewnętrzniającym cześć i miłość do matki.

Nadchodzi maj — miesiąc, w którym obchodzi się »Dzień Matki«. Powinniśmy zwłaszcza my młodzi, pamiętać o tem i brać liczny udział w tych uroczystościach. Niech one dopomogą uczestnikom do wniknięcia w głąb własnej duszy, do wzmożenia i pogłębienia uspięnego uczucia do matki.

-lek.

## Kącik językowy

### Odmiana nazwisk.

Dzisiejszy »Kącik« pragnę poświęcić odmianie nazwisk, w której bardzo często popełnia się błędy. Już to pod wpływem języka czeskiego, już też z nieznajomości zasad gramatycznych. Do pierwszej kategorii należy: 1. fałszywa końcówka miejscownika (7 przyp.) nazwisk męskich, zakończonych na spółgłoskę, —

2. fałszywa odmiana nazwisk i rzeczowników męskich, zakończonych na -a oraz -o (np. kolega, poeta, obrońca; Taraba, Zagóra, Żyła, Tłółka, Lasota; Waleczko, Janeczko, Heczko etc.).

Ad. 1. Mówi się błędnie: przy Słowikowi, przy Niemcowi zamiast poprawnego polskiego przy Słowiku, przy Niemcu itp.

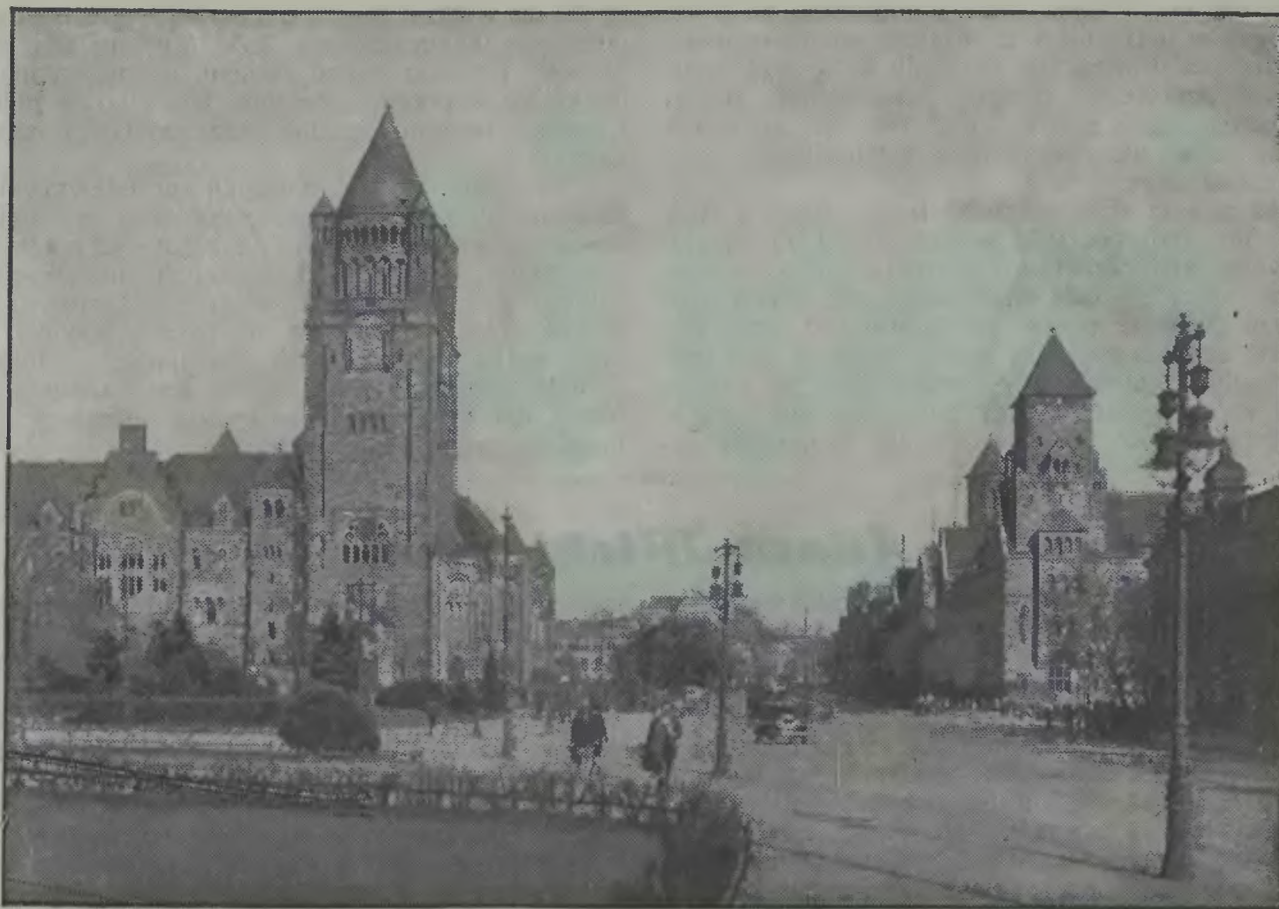
Ad. 2. Rzeczowniki męskie, zakończone na -a, -o odmieniają się w liczbie pojedynczej tak, jak rzeczowniki żeńskie wzgl. nijakie o tem samym zakończeniu. Więc »kolega« odmieniamy tak samo, jak np. noga. Odmiana przedstawia się następująco:

1. kolega
2. kolegi
3. koledze a nie kolegowi (np. pożyczyłem książkę koledze)
4. kolegę
5. kolego
6. kolegą
7. koledze.

Tak samo Lasota — Lasocie (nie Lasotowi), Michejda — Michejdzie (nie Michejdowi). Taraba — Tarabie, Tłółce, Żyle; Janeczce, Heczce, Waleczce; poeta — poecie; obrońca — obrońcy (nie obrońcowi).

Przeciwko tej zasadzie najczęściej się u nas grzeszy; miałem nawet sposobność spotkać się z tem, że ludzie się obrażali, gdy według tej zasady ich nazwisko odmieniano. A na zgromadzeniach i posiedzeniach, to się wyłącza »udziela głosu kolegowi Tarabowi« (zamiast poprawnie »koledze Tarabie«). Jest to wyraźny wpływ języka czeskiego.





Poznań: Widok na dawny zamek cesarski, gdzie dziś mieści się częściowo uniwersytet.

## Młodzież a kwestja pracy społecznej

Młodzież — to przyszłość narodu. Całkiem słusznie. Bo naród, który nie posiada młodzieży o zdrowych zasadach, młodzieży z ideałami, skazany jest na śmierć niechybną. Dlatego też młodzież dzisiejsza, po okresie bezładu wojennego i powojennego, zaczyna się stabilizować co do charakteru, zaczyna rozumieć, że tylko pozytywna i twórcza praca może skierować nasze społeczeństwo na lepsze tory, ku lepszej przyszłości. Dochodzi do przekonania, że korzyści, zwłaszcza materialne, które można zdobyć czasem bez żadnych wysiłków i trudów, nie przynoszą dobrych i stałych wyników, a tembardziej zadowolenia wewnętrznego. A zwłaszcza młodzież nasza, tutaj na terenie Czechosłowacji, której leży na sercu nie tylko dobro i wygodę własną, ale przede wszystkim dobro ogółu społeczeństwa, dochodzi do zrozumienia, że musi, właśnie dla dobra tego ogółu, unikać dróg pracy może wygodnych dla siebie, ale zgubnych dla społeczeństwa, musi iść drogami największych trudów, na przełaj czasem, by zebrać bogaty plon.

Jaką więc drogę pracy społecznej powinna młodzież nasza wybrać? Zdajemy sobie dobrze z tego sprawę, że nadeszły czasy nowe, a więc i metody tej pracy muszą być nowe. Musimy zerwać z dawnymi zasadami pracy społecznej, które przynosiły może owoce, jednak w stosunku niepomernie małym, bo zmniejszały je osobiste ambicje niektórych czołowych pracowników spo-

lecznych, różne tarcia partyjne i religijne, no i chęć przede wszystkim materialnego zysku. A wiemy dobrze, że takie metody pracy społecznej nie przyniosły nigdy dodatnich wyników, owszem sami ucierpieliśmy dużo, bo przeciwne nam żywioły wyczuły dobrze naszą słabą stronę i odpowiednio się do nas ustosunkowały. Młode pokolenie, które już z natury samej posiada dużą dawkę idealizmu, rwie się do pracy społecznej, a będąc po większej części bez oparcia materialnego (bezrobocie) czeka, iż starsi, ci właśnie czołowi pracownicy społeczni podadzą mu rękę i oparcie do zgodnej i owocnej pracy. W większości wypadków niestety tak się nie dzieje. Nie wiadomo, co jest przyczyną tego. Nie możemy chyba przypuszczać, że starszemu społeczeństwu nie zależy na tem, aby młodzież zaprawić do tej pracy społecznej. Pozostaje chyba obawa, że musieliby zrezygnować z podwójnych, potrójnych posad, aby dać możliwość egzystencji bezrobotnej młodzieży, lub też, żeby młodzi przy pomocy nowych zasad i twórczej pracy, prześcignęli ich i usunęli w cień. Bez pomocy, bez poparcia starszych, my młodzi nigdy nie potrafimy wspiąć się na wyżyny naszych zasad, nigdy nie będzie nam danem sprostać zadaniu, jakie na barki nasze włożyło zagadnienie istnienia społeczeństwa polskiego w Czechosłowacji.

Zachodzi teraz pytanie, z jakiego punktu widzenia patrzy się młodzież na kwestję pracy społecznej?



Przedewszystkiem, jak wspomniano w 7 nr. »Ogniwa« w artykule p. t. »Kultura postępowania«, że »młodzież pracuje bez względu na to, czy znajduje zrozumienie — pracuje z zaparciem siebie, poświęcając czas i siły swe, bo wie, że praca nie dla siebie, ale dla ogółu jest miernikiem wartości człowieka«.

Dla niej nie mają wartości tytuły, fotele i zysk materialny, lecz poczucie własnej siły i obowiązku względem społeczeństwa i narodu. Wobec stosunków w jakich się dziś znajdujemy, nie wolno nam młodym zwracać uwagi na kastowość partyjną, religijną czy klasową, ale każdy wybryk taki musimy tępić w zarodku. Nie wolno nam sił swoich zużywać na walkę między sobą, czy też na zaspokojenie swoich ambicji, ale siły te musimy ze-

spolić do walki o lepszą przyszłość całego naszego polskiego społeczeństwa. Tak! Musimy siły nasze zespolić i razem ponad stanem, ponad wyznaniem dążyć ku wspólnym ideałom, bo tylko w jedności i zgodzie możemy spełnić nasze wielkie i szczytne zadania.

Uważam, że nas młodych przedewszystkiem powinna interesować praca społeczna, powinniśmy dobrze sobie uświadomić, że błędy, jakich się dopuszczamy, nie są w dzisiejszych stosunkach absolutnie przebaczone. I właśnie »Ogniwo«, jako jedyne polskie pismo dla młodzieży, powinno być taką wolną trybuną myśli, nurtujących młode pokolenie. Dlatego sędzę, że ono jest najlepszą platformą dla dyskusji na powyższy temat, w której mogłaby zabrać głos młodzież.

-lek.

## Adam Mickiewicz

W Zaosiu obok Nowogródka na Litwie, dnia 24 grudnia 1798 roku przyszedł na świat Adam Mickiewicz. Do szkół zaczął uczęszczać w Nowogródku, studja wyższe odbywał w Wilnie, studjując filologię klasyczną. Brał żywy udział w życiu młodzieży, jako jeden z założycieli i organizatorów tajnego związku filomatów. Związek ten powstał w 1817 r., obejmując garstkę przyjaciół z ław uniwersyteckich, którzy pod hasłem: ojczyzna, nauka, cnota, rozpoczęli pracę nad doskonaleniem własnem, by móc w przyszłości spełnić swe zadania wobec Ojczyzny. Wierzyli oni niezłomnie, że dla Ojczyzny zawita kiedyś lepsza dola, gdy odrodzone moralnie społeczeństwo naprawi błędy przeszłości. Wierzyli również, iż odrodzenie to wyjdzie z łona młodzieży, dlatego też przedewszystkiem dusze młodzieży należało kształtować i urabiać. Bujny jednak rozkwit tej organizacji budził czujność władz zaborczych. To też obawiając się prześladowań przekształcając się filomaci w tajny związek filaretów (przyjaciół cnoty) i rozwijając w nim dalej żywą i owocną działalność.

Po skończeniu uniwersytetu, jako stypendysta rządowy, musiał udać się poeta na posadę nauczyciela do Kowna. Znalazł tam stosunki niemiłe, wskutek czego żył w odosobnieniu, a czas wolny od zajęć poświęcał na przechadzki i czytanie poetów niemieckich i angielskich. Pod wpływem właśnie tych poetów stał się Mickiewicz gorącym zwolennikiem nowego kierunku w poezji i sam też w tym duchu począł pisać.

W roku 1822 wydaje pierwszy tomik swych poezji: »Ballady i romanse«, rok po tem tomik drugi: »Grażynę« i »Dziady«.

Starzy i poważni klasycy przerazili się. Cóż to za nowy rodzaj poezji? Zato młodzież była zachwycona; widziano, że znalazł się wreszcie genialny twórca, który zerwał z przepisami francuskimi, który sięgnął do poezji ludowej i wydobył stamtąd prawdziwe perły.

Jednym z największych klejnotów naszej poezji, to »Oda do młodości«. Poeta przedstawia w niej dwa światy: jeden »bez serc, bez ducha, marny, samoluby, drugi — pełen zapału, nadziei i miłości«. Ten drugi, to świat młodych, gotowych zawsze do poświęcenia dla dobra ogółu. Do dziś jest »Oda do młodości« wyznaniem wiary młodzieży polskiej,

zagrzewa umysły, rozpala serca, budzi pragnienie czynu i lepszego, pełniejszego życia.

W roku 1823 z rozkazu Nowosilcowa aresztowano Mickiewicza w Wilnie i osadzono go wraz z innymi filaretami w więzieniu. Zesłano spiskowców na Sybir, Mickiewicza wywieziono do Petersburga, później do Odessy, gdzie miał pełnić obowiązki nauczyciela. Adama żarła tęsknota za Ojczyzną, opanowywało go zniechęcenie. Wtedy odbył wycieczkę na uroczy Krym, owocem której były »Sonety Krymskie«, w których poeta wyśpiewał cuda południowej przyrody.

Niebawem ale rzad rosyjski, opiekując się gorliwie »zesłańcem«, przeniósł go do Moskwy. Tu powstaje znakomity poemat »Konrad Wallenrod«. Poeta chciał dać w »Wallenrodzie« uosobienie miłości ojczyzny. Walter-Alf szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie. Aby ją tem szczęściem obdarzyć, poświęcił los swój i Aldony, złożył ofiarę z życia własnego i z duszy. Miłość Ojczyzny stała się silniejszą od pragnienia szczęścia za grobem.

W Petersburgu pisze poeta utwór p. t. »Farys«. Z poematu wieje poczucie dzielności wewnętrznej, tej siły, która daje wielki, genialny talent. Poeta, sam był przekonany o swej potędze twórczej, a to przekonanie odbiło się właśnie w »Farysie«.

W roku 1829 dostaje Mickiewicz pozwolenie na wyjazd zagranicę, opuszcza bezzwłocznie granice państwa rosyjskiego i przez Niemcy i Szwajcarję podąża do Włoch. I tu do Rzymu, w grudniu 1830 r., doszła wieść o wybuchu powstania. Mickiewicz chciał jechać, ale zatrzymał go brak pieniędzy. Kiedy po paru miesiącach wyjeżdża do Ojczyzny, dostaje się tylko do Księstwa Poznańskiego, bo granice były tak mocno strzeżone, że mowy nie było o przekradzeniu się.

Przenosi się więc do Dreżna i tam z zapałem oddaje się twórczości poetyckiej i pisze szereg wierszy patriotycznych jak: »Reduta Ordona«, »Pieśń żołnierza«, »Nocleg«, »Śmierć pułkownika«. Następnie zaś, czerpiąc natchnienie w nieszczęściu swego narodu, wyśpiewał wszystkie jego łyzy i bole w trzeciej części »Dziadów. Poeta postanowił dać w tym poemacie obraz cierpień i meczeństwa narodu, a na tem tle przedstawić przeobrażenie religijne, które dokonało się w duszy jego własnej



w Rzymie. Dalej daje nam obraz tego, na co parzył własnymi oczyma i w czym sam wziął udział — obraz śledztwa Nowosilcowa.

Po klęsce narodowej w 1831 r. musieli Polacy uchodzić zagranicę, głównie do Francji i tam osiedlali się przeważnie w Paryżu. Otóż do tych wychodźców przyłączył się Mickiewicz — i on osiedlił się w Paryżu. Dlaczego i poco? On nie mógł opuścić wychodźców, on nie tylko wielki poeta, ale zarazem wieszcz i kapłan narodowy. Chciał krzepić zbolące serca, wlewając w nie czyste strumienie wiary, nadziei i miłości. Tak powstają »Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego«. Rozwinął tu szerzej rzucone już poprzednio myśli. »Zaprawdę powiadam wam: nie wy macie uczyć się cywilizacji od cudzoziemców, ale macie uczyć ich prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej« — oto myśl przewodnia tego dzieła.

Lecz jednocześnie rozegrała się w duszy Mickiewicza wyobraźnia — serce rozgorzało większą jeszcze niż dawniej miłością do ziemi rodzinnej i teraz to dopiero zrozumiało tak jasno tę wielką prawdę, że Ojczyzna jest:

»... jak zdrowie,

Ile ją trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto ją stracił.«

I tak powstał poemat, w którym wyśpiewał całą swoją duszę, w którym opisał piękność swojej Ojczyzny »w całej ozdobie«. Poemat p. t. »Pan Tadeusz« — to najpiękniejsza pieśń Mickiewicza, poczęta i wykonana w miłości i tęsknocie za Ojczyzną.

Po napisaniu »Pana Tadeusza« Mickiewicz tworzył już bardzo mało. Przyjął posadę profesora w Kolegium Francuskim w Paryżu, gdzie wkładał literaturę słowiańską. Ale kiedy zanadto przejął się zasadami »słowianizmu« rząd francuski odebrał mu posadę. Musiał więc walczyć o chleb powszedni tak, że czasem nawet głodem przyмирzał. W 1855 roku umarł Mickiewicz w Konstantynopolu, ciało przewieziono do Paryża, ale w 1890 r. sprowadzono drogie zwłoki do Polski i pochowano w katedrze na Wawelu.

Mickiewicz — to poeta narodowy: z życia narodu czerpie swe natchnienie, opiewa jego dolę i niedolę, dla niego pracuje, wskazuje mu drogę przyszłości, kocha go do szaleństwa.

Mickiewicz jest pierwszym poetą genialnym, jest mistrzem słowa, twórcą epeji narodowej, jednym z wielkich poetów świata. —lek.

JERZY BANDROWSKI.

## Przygody komendanta Wilcza

### TRUMNA.

— To było także jeszcze za czasów austriackich. Byłem wówczas żandarmem względnie młodym, o kilkanaście lat młodszym niż dziś. Muszę to w tem opowiadaniu podkreślić. Przytem zawsze byłem trochę nerwowy, nieraz zanadto się przejmowałem, wybuchałem prędko, jak zwykle każdy —

— Dobry człowiek! — wtrącił ktoś.

Pan komendant spojrzał wdzięcznie i rzekł:

— Niech będzie i tak. Wyszedłem na patrol pewnego dnia —

— Pewnej nocy, chciał pan powiedzieć!

— Rozumie się, że to była noc, ale pewnego dnia. Zbierało się na deszcz. Księżyc był w mglistych powiśkach, chmurska czarna przewalała się po niebie z takim rozmachem, że można było prawie słyszeć, jak się toczą. Czasami padały na księżyc i wówczas robiło się zupełnie czarno.

Gwiazd nie było widać. Daleko wył pies, zresztą cisza aż w uszach dzwoniło. Było duszno i parno tak, że drzewa przydrożne wzdychały.

Szedłem zamyślony, bo miałem zmartwienie — no, kłopoty rodzinne! — i nie zauważyłem nawet, że się zupełnie ściemniło. Miałem przed oczami szarą smugę gościńca i to mi wystarczyło. Wtem zahuczał daleki grzmot. Podniosłem głowę. Dmuchał wiatr i rzucił mi w oczy garść kurzu. Zaszeleściło po obu stronach drogi. Po chwili zerwała się burza — z ulewą, z piorunami — burza pierwszej klasy!

W odległości kilometra był las. Przyśpieszyłem kroku, aby się do niego jak najprędzej dostać i schronić się w gąszczu. A tymczasem niebo grzmiało, ciężkie chmury tłukły się o siebie, pioruny waliły, jakby się wściekły, blask ich nagły oślepiał, deszcz zalewał mi oczy.

Nareszcie dopadłem lasu.

Wythnąwszy pod drzewami, skierowałem się w głąb lasu, w sam gąszcz. Ponieważ na dole było mokro, a ścieżka zamieniła się w strumyk, wyszukałem sobie dobrze osłonięty wzgórek, względnie suchy, przysiadłem na nim i czekałem, póki burza nie przejdzie.

Ale jej nie było to ani w głowie. Rozszalała na dobre. Pioruny sypały się jeden za drugim, jakby ktoś ze »sztajera« kroił. Deszcz lał strugami. Skręciłem jakoś papierosa, ale ledwo go zapaliłem, zgasił mi go deszcz.

Siedzę tedy na tym pagóreczku, rozmyślam — a wtem słyszę — ktoś, czy coś idzie. W pierwszej chwili pomyślałem, że mi się przysłyszało — ale nie! Słyszę wyraźnie powolne ciap! ciap! ciap! Ktoś brnie ciężko i powoli rozmokła ścieżka ku memu pagóreczkowi.

Co to może być? Ktoby w taki czas — prócz żandarma, oczywiście — chciał się włóczyć po lesie? A jednak ja najwyraźniej w świecie słyszałem to wciąż zbliżające się »ciap — ciap« po błocie.

Schowałem się za swój wzgórek i, wychyliwszy głowę, czekałem.

Dotychczas było wszystko może trochę dziwne, ale naturalne. Była noc, burza, las. ktoś przez ten las szedł — zapóźniony wędrowiec, może pijany chłop, który zasiedział się w karczmie, może złodziej leśny, opryszek, czy zbój, cygan — koniokrad — niewiadomo kto, ale »ktos«, człowiek, którego nogi chlapały po błocie. Świat wyglądał normalnie.

Ale zaraz zdarzyło się coś, co zupełnie wygląd świata zmieniło. Wszystko stało się niesamowite, upiorne, umalowane na trupi kolor, straszne. Gałęzie drzew trzeszczały jak kości szkie-



letów, wicher wył, strugi deszczu, wiatrem szarpane, wyginały się jak struny, chmury zwiesiły się nad ziemią, ciekawe, co się na niej dzieje, a we mnie dusza zatrzęsała się ze strachu.

Bo oto naraz ujrzałem w świetle błyskawicy — srebrne wieko, a na niem złoty krzyż.

Ścieżką leśną szła — trumna!

Zdrętwiałem.

Błyskawica zgasła, znowu zapadły ciemności.

Leżałem za swym wzgórkim oszołomiony, zdruzgotany, zdjęty niewymownym przerażeniem. Oślepiałem wzrokiem patrzyłem w kierunku miarowego »ciap — ciap« owego okropnego widma.

— Przywidziało ci się! — rzekłem sobie po chwili.

Wtem znowu piorun! — w jego blasku oślepiającym srebrne wieko ze złotym krzyżem — trumna idzie przez las! — i huk straszny, jak ogromna kula toczący się z jednego krańca niebios na drugi.

Widziałem różne cuda i okropności, miałem do czynienia z łotrami z pod ciemnej gwiazdy, byłem nieraz w niebezpieczeństwie, ale to wszystko były rzeczy ludzkie. Trumny wędrującej nie widziałem dotychczas nigdy.

Wicie panowie? Powiem otwarcie. Złakłem się. Słowo to jest jeszcze za słabe. Doznałem czegoś w rodzaju gwałtownego wstrząsu. W duchy nie wierzę, zdarzają się jednak czasem rzeczy nadzwyczajne. Wiele o tem słyszałem i w pierwszej chwili byłem przekonany, że mam tu z czemś takim do czynienia. Zdrętwiałem, w uszach mi zaszumiało, serce mi w piersiach z trwogi zamarło.

I znowu błyskawica — i ta trumna, wędrująca przez las.

Krew mi do głowy uderzyła. Jestem na służbie — więc choćby to był sam diabeł, muszę wiedzieć, co tu robi o tej porze. Wszelki strach ode mnie odleciał. Ścisnąłem w garści karabin i przygotowany na wszystko, poszedłem za trumną w las.

Głupiec tylko nie boi się, gdy jest się czego bać. Cała rzecz polega na tem, aby mimo ludzkiego, naturalnego uczucia trwogi, spełnić swój obowiązek.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, pomyślałem, że jednak jeśli trumna wędruje, to nie sama, lecz oczywiście ktoś musi ją nieść. Brnąłem tedy za nią cichutko błotnistą ścieżką.

Las kończył się, zaczynały się odkryte, fałiste pola. Burza oddalała się, pioruny już nie były, tylko błyskawice rozjaśniały od czasu do czasu ciemności. W ich blasku dostrzegałem też czasami wędrującą trumnę ze złotym krzyżem na lśnjącem, srebrnem wieku.

Nie czułem już strachu, przeciwnie, zdjęła mnie gniewna ciekawość. Gniewna, bo cóż za warjacki »kawał«? Czy ten drab chce kogo straszyc tą trumną, że ją po nocy włóczy, czy coś złego zamyśla, czy co?

Szedłem naprzód uparcie.

Znowu lunął ulewny deszcz. Przez jakiś czas nie było widać nic.

Zajaśniała błyskawica — patrzę — trumna leży nawprost mnie na najbliższem wzgórzu. Sama. Przy niej ani żywej duszy, nikogo.

Stałem i czekam, co będzie dalej. Od czasu do czasu błyskawice oświeślały ten okropny sa-

motny, nieruchomy kształt na wzgórzu wśród pól, niby żałośnie obnażony a równocześnie szyderczy i zagadkowy.

Nie wiedziałem, co o tem myśleć. Leży tu na wzgórzu trumna opuszczona, a przy niej nikogo. A przecie wyraźnie słyszałem »ciap — ciap« przez błoto! Przelatywały mi przez głowę najrozmaitsze przypuszczenia. Chwilami brała mnie chętka palnąć w ten kształt potworny z karabinu i w ten sposób zapytać, co to ma znaczyć. Ale powstrzymałem się i czekałem dalej cierpliwie.

Ulewa przeszła w drobny deszczyk.

Wtedy z wzgórza, na którym leżała trumna, doleciał mnie łoskot, jak gdyby ktoś gwoździe wbijał, czy też pięścią bił w skrzynię.

— A więc przecie tam przy tej trumnie ktoś jest — pomyślałem.

Widocznie ów ktoś schował się do trumny przed deszczem, a wylazszy z niej, przybijał napowrót wieko, czy naprawiał coś, co może przypadkowo zepsuł.

Usłyszałem coś niby stęknienie, po którym rozpoczęło się miarowe, »ciap — ciap«!

Trumna dźwignęła się i znowu powędrowała przez pola.

Szedłem za nią krok w krok, z wzgórza na wzgórze, wciąż polami, a potem wdół, do wioski. Tam z jednego domu dolatywał żalobny śpiew.

Teraz było już wszystko jasne. We wsi ktoś umarł, i oto któryś z krewnych, czy posłaniec niósł dla nieboszczyka trumnę.

Mogłem się być tego odrazu domyśleć, ale pierwsze wrażenie było tak silne, że zupełnie wytrąciło mnie z równowagi.

Postanowiłem jednak skorzystać ze sposobności i podnieść swój autorytet żandarmski, pokazać, że żandarm wszędzie jest, zawsze czuwa, nawet w czas burzy, i wie wszystko. Dlatego, przeczekawszy jakiś czas, wszedłem do chaty, udając, że przemokły od deszczu i zmęczony, chcę chwilę odpocząć. Zapomocą zręcznie ułożonych pytań dowiedziałem się, kto po trumnę chodził — bo to było najważniejsze, a tego właśnie nie widziałem — i z wolna przystąpiłem do indagacji. Chłop wykręcał się i kłamał. Czemu? Schronił się przed ulewą do trumny i tego się wstydził. Kiedy już nałgał dostatecznie, ku niezmiernemu jego zdziwieniu opisałem mu dokładnie, którądy szedł, a wreszcie dodałem:

— I pamiętaj, jak na drugi raz bedziesz mi kłamał, dostaniesz się do paki, gdzieś już był raz. Chłop zdziwił się.

— Ja — był — w pace? — zapytał.

— A nie wlażesz to przed deszczem do trumny? — wypuściłem ostatnią strzałę.

Biedaczysko zmieszał się i zawstydził. Nie przypuszczał, abym i o tem mógł wiedzieć.

— Deszcz lał — tłumaczył się — nie było się gdzie schować, wlażłem do trumny.

Trochę to »nie tego« leżeć za życia w trumnie, więc chłopci zaczęli się śmiać, dziwić, żartować.

Ale jeden z nich, z okiem dokumentnie swego czasu zalepionem dobrem uderzeniem pięści, spojrział na mnie świdrująco pozostałem zdrowym okiem i podrapawszy się w głowę, westchnął:

— Oj, bida nam, bida!

Mój »strzał« z »paką« zrobił swoje.

\* \* \*





Poznań: Teatr Wielki, gdzie według aktu erekcyjnego nie miało nigdy rozbrzmiewać słowo polskie.

## Dział regionalny

### Czarna księżna.

Przed tysiącem lat panowała na wysokim zamku: nad Olzą księżna-wdowa, która po śmierci swego męża nosiła tylko czarne szaty na znak żałoby. Przez całe życie swe szła niepocieszona i w sercu miała głęboki żal, że los wydarł jej wcześniej męża. Dworzanie żalili się nieraz, że była bardzo sroga, bo nigdy nie wysłuchiwała skarg swych poddanych.

Krótko przed śmiercią zrobiła testament i poleciła, by ją tam pochowano, dokąd zawiozą ją woły, przez nikogo nie prowadzone. I po śmierci włożono trumnę na wóz, zaprzężono w trzy pary najpiękniejszych wołów, które przeszły Olzę ijechały w stronę dzisiejszego Kościelca (Cierlicko). Tam zatrzymały się i tam też złożono do ziemi trumnę. Ku wielkiemu zdziwieniu zauważono, że nad grobem księżnej ziemia zapada się stale. Na drugi dzień było to samo i historia ta powtarzała się długo, aż wreszcie zbudowano tam kościół, by Boga przebłagać, który da duchowi wieczny spokój. Ale cóż, i to nie pomogło, bo koło północy duch okno w kościele wybijał i o pierwszej w nocy znikał. Nareszcie znaleźli się śmiałkowie, którzy chcieli to wszystko zbadać. Otóż jeden z nich poszedł do kościoła przed północą, zrobił koło na posadzce kościoła święconą kredą, wziął do ręki poświęcony pręt z wierzby i czekał. A tu o 12 w nocy zjawia się czarna księżna, która wyszła z pod ziemi za ołtarzem, chodzi po kościele i chce

zbliżyć się do stojącego, ale wtedy on ją prętem uderzył, księżna odeszła i znikła na zawsze. Oto jest krótka legenda, która ma jednak znaczenie głębsze. Oto między zamkiem w Cieszynie a Kościelcem był tunel podziemny popod Olzę, którą można było przywozić prowianty w czasie wojny; dla ukrycia wejścia postawiono kościółek w Kościelcu.

\* \* \*

### Przysłowia śląskie

Aniołkowi lechko białym być, ale djobła ciężko mydłym myć.  
 Baby mająm długi włosy a krótki rozum.  
 Beje pogoda jesi sie nie poleje z nieba woda.  
 Nie było mu to w nos!  
 Chłop chodzi w sukni a baba w galatach.  
 Chyto sie jak żaba muru.  
 Ciężko wilkym orać.  
 Co chałupa, to inszo nauka.  
 Jak sie dwo spiknóm, to drugigo ofiknóm.  
 Kany wróny wrzeszczą, tam dycki cośi widzóm.  
 Mów ty wilku pacierz, kiej on woli owczóm macierz.  
 W brzuchu tłósty, w głowie pusty.  
 Wyszczyrzo zęby jak pies na otręby.  
 Tak to je na świecie, każdy swojóm biyde gniecie.  
 Szel Job po Joba, zostali tam oba.  
 Nima mięsa bez kości a człowieka bez złości.  
 Nigdo bardzy ryczy niż za sobóm smyczy.  
 Kiery ręczy, tego dręczy.

J o w a.

\* \* \*



# Dział kobiecy

## Sport a młodzież żeńska

Można zauważyć, iż w teraźniejszych czasach forsuje się sport czasem do przesady. Czy tak jest również wśród młodzieży żeńskiej na Śląsku? Tu trzeba stwierdzić, iż nasze panny na Śląsku nie kwapią się zbyt do tego działu. Czem można to wytłumaczyć? Główną przyczyną to chyba psychika Ślązaczek. Inną to brak czasu, gdyż są wszystkie przepracowane albo pracą w gospodarstwie domowym, lub też poza domem.

Zastanówmy się, czy nie byłoby pożądanem, chociaż o kilka procent zwiększyć nasz udział w sporcie. Ktoś powie, że praca domowa też jest sportem, tak, ale jednostronnym, ponieważ naszym ruchom nie nadaje pewnej ściśle określonej formy i konkretnego celu. Jeżeli jednak świadomie pragniemy kształtować nasze życie, jeżeli pragniemy urabiać swoje własne »ja« nie możemy pominąć w naszych rozważaniach czynnika takiego jak rozrywka i sport. Choć bowiem sport pozostanie dla nas przyjemnością, to możemy z niego zrobić czynnik, kształtujący nasze »ja« i uzupełniający nasze osobiste życie.

Zagadnienie, jaki sport wybrać, aby przyniósł maksimum korzyści należałoby traktować indywidualnie.

Kobieta, której zawodem jest prowadzenie domu, odczuwa niewątpliwie potrzebę sportu. Zawód ten jest nużący przez pewnego rodzaju jednostajność i brak obiektywnej oceny rezultatów. Własne zadowolenie z dobrze prowadzonego domu nie jest dostateczną oceną, jakiej większość ludzi potrzebuje. Aby więc sport zrównoważył brak tego zawodu powinien dać zadowolenie przez szybkie osiąganie wyników. W pierwszym rzędzie weźmiemy zatem gry sportowe jak koszykówka, siatkówka, hazard itp., które to gry wśród naszej młodzieży są mało znane.

Jeżeli zważymy zawód nauczycielki, to w sporcie musi mieć odpoczynek od ciągłego napięcia nerwowego. Najlepiej jej będą odpowiadać sporty, które można uprawiać zdala od gromady, a więc narciarstwo, turystyka.

Sportem, pożytecznym dla wszystkich jest pływanie. Jest to bowiem sport, który można łączyć z każdą pracą zawodową, sport, który każda kobieta opanować powinna. Warunki uprawiania tego sportu są przychylne. Nie należy zapomnieć o turystyce, o wycieczkach w nasze piękne Beskidy. Na podobnych wycieczkach znajdziemy zaspokojenie i wewnętrzne zadowolenie. A więc korzystajmy z pięknych czasów, by po całotygodniowych trudach znaleźć zapomnienie wśród ciszy górskiej.

## Ubiór

Rzadko kiedy słyszy się czy czyta podobne słowa, jakie napisane zostały w »Ogniwie« nr. 7 w artykule: »Umiejętność ubierania się.« Oby znalazło się więcej takich (boję się powiedzieć — wszyscy), jaką jest autorka wspomnianego artykułu. Ubierać się odpowiednio i czysto. Lepsze skromniutkie, z najwykleszej materji ubrańko, które jest gustowne i praktyczne (da się raz dwa wciągnąć, wyprasować, wyczyścić), niż suknie

pełne — głupiutkich nieraz — ozdób, naszywek, doszywek, wstążeczek, pasków, piórek, guzików, guziczków i t. d. Nie ubiór bowiem robi człowieka, zwiększa jego znaczenie moralne, podnosi jego inteligencję. ...Boć nie czynią nas wielkimi klejnoty i szaty.

Powiedzenie: »Elegancja nie zależy od ilości ubrań, ...Dziewczyna, która ma na myśli szczyśliwą przyszłość stara się ubierać skromnie i elegancko« — uważam za bardzo odważne. Twierdzenie: »Śmiesznie i ubogo wygląda nastrojona kobieta (dodaję — mężczyzna), która chce, aby ubranie czyniło ją bogatą (materiałnie i umysłowo)...« całkiem słuszne. Daleko jednak, zdaje się, do tego, kiedy program powyższy stanie się całkiem realny.

Przy czytaniu artykułu przyszły mi na myśl słowa podobieństwa porównujące człowieka z kłosem. Ktoś próżny, nie mający żadnej wartości stoi wyprostowany, by go wszyscy mogli widzieć, podziwiać i chwalić jego wzrost, smukłość. Jest sobie świadom tego, że nie posiada podstaw, dla którychby nań patrzono, szukano go i chwalono więc się »wyciąga«. Kłos natomiast pełny zgina się, ukrywa ze swym bogactwem, bo wie, że go i tak znajdą i przyjmą radośnie. Wynoszenie się i panoszenie uważani za rzecz nieodpowiednią i uwłaczającą jego powadze.

-1-

## Sport

### Czy dojenie krów można zaliczyć do wychowania fizycznego?

Takie pytanie przyjdzie każdemu na myśl kto czytał Nr. 38 »Dziennika Polskiego« z dnia 3 b. m. i wyczytał, że referat Wychowania Fizycznego przy Gł. Kom. H. P. C. organizuje turniej szachowy — turniej nad turniejami.

Wychowanie fizyczne operuje następującymi środkami, mówiąc popularnie dzieli się na takie działy:

1. Gimnastyka.
2. Lekka atletyka.
3. Zabawy i gry ruchowe i sportowe.
4. Wszelkie sporty i turystyka.
5. Tańce narodowe.

Dojenie więc krów jako praca zawodowa nie będzie zaliczana do wych. fiz., gdy jednak ktoś będzie to robił dla ruchu, którego mu brak i dla przyjemności, gdy robi z tego zawody, będzie prowadził regularny trening, aby wyćwiczyć odpowiednie mięśnie i t. d., jednym słowem zrobi z tego sport, to wtedy możnaby o takim klubie »dojaczy krów« powiedzieć, że poświęca się wychowaniu fizycznemu.

Wartoby się zastanowić czy grę w szachy zaliczyć do wych. fiz. Niektórzy jej tu nie zaliczają, inni — jak np. Gł. Kom. H. P. C. — tak, jak wynika z ogłoszenia turnieju szachowego.

Zdaje się jednak, że harcerze umyślnie i świadomie tak napisali, by pobudzić ciekawość, wnieść polemikę i zainteresować społeczeństwo turniejem szachowym. Był to więc według nas trick dziennikarski — bo harcerze przecież ćwiczą się i celują w tych różnych sprytnych sztuczkach i trickach. Prosimy czytelników o podzielenie się z nami swymi poglądami na kwestję, czy grę w szachy można zaliczyć do wychowania fizycznego.



# Dział akademicki

## Akademik a społeczeństwo

(Dokończenie.)

Jak pracę prowadzić? Chodzi o technikę i dobór wytycznych, które zapewniłyby możliwość nieprzerwanego rozwoju. Jest kilka warunków powodzenia pracy. Praca musi mieć charakter twórczy, musi być dobrze zorganizowana i musi posiadać szybkie tempo. Dalszym środkiem to inicjatywa jednostek, ruchliwość i pomysłowość i śmiałość w projektach i przedsięwzięciach, ujętych myślą stworzenia czegoś nowego a nie przerobienia tego, co ktoś powiedział lub wymyślił. W zupełnie nowych, setnych próbach prowadzących do raz obranego celu, będzie istota działania twórczego. Z pojęciem tem łączy się pojęcie rozwoju organizacji i dobra organizacja pracy. Zagadnienie to jest nam zupełnie nieznane. Planowanie pracy, podział i badanie możliwości, sprowadzają się często do decyzji »na oko« a mówić nie trzeba, że tacy organizatorzy czy kierownicy są często wołami roboczymi, na których spada cały ciężar roboty i odpowiedzialności.

Organizując wszystkich akademików musimy ich organizować tak, aby każdy miał możliwość w granicach swego czasu i środków wziąć udział w życiu akademickim i społecznym, a udział ten ma się wyrażać pracą każdego na innem polu, w innym zakresie, w innej dziedzinie, ale w wspólnej akcji. Powiedzenie, nie mam czasu, stało się dziś nałogiem, którym kryje się nieumiejętność zorganizowania własnej pracy naukowej. Lecz pamiętać trzeba, że kapitalnym warunkiem, który zapewni zaufanie do tej pracy jest rzeczywiste jej dostarczenie i to w granicach czasu odpowiadających zadeklarowanym możliwościom.

W ogólnym wreszcie podziale wysiłków pamiętać należy na organizowanie wycinków pracy, które urzeczywistniłyby się w istniejących już sekcjach, lub w tworzeniu nowych. W ten sposób jedni objęliby pracę w dziedzinie życia politycznego, inni gospodarczego, społecznego, jedni zajęliby się młodzieżą, sportem, inni pracą oświatową, publicystyką, życiem literackim, naukowym, wreszcie etnografią, geografją, wogóle — każdy najmniejszy odcinek, najniklejszy objaw naszego życia zostałby objęty jakąś akcją.

Wreszcie przejdziemy do jej wykonania, lepiej powiedziawszy do szybkiego wykonania. Tu z pewnością trzeba będzie wykonać najwięcej i przełamać bierność i nieład i lenistwo. Aktywność szybka, realizacja i decyzja, tempo i ciągłość pracy, będą temi atutami, które pozwolą nam dokonać dziesięć razy więcej od dotychczas normalnie projektowanych zamierzeń.

Tak przedstawiam sobie pracę akademika. Zrobić przedewszystkiem z siebie człowieka. To, co chcemy dać społeczeństwu — tego musimy się nauczyć. Musimy jednak zacząć — życie dorzuci resztę.

Wierzę słowom: »Z wiary wola, z woli czyn się rodzi«, tylko nie zatrzymajmy się na wierze, bo do budowy przyszłości trzeba nam nie jednostek wierzących, nie takich co słowem tylko i tanią błagą, ale co czynem umieliby natchnąć tysiące. Wytyczną niechaj nam będą słowa Marszałka:

»Idą czasy, których znamieniem będzie wysięg pracy, jak przedtem był wysięg żelaza, jak przedtem wysięg krwi.«

## Z Walnego »Jedności«

Dnia 8 kwietnia odbyło się w sali posiedzeń Domu Reprezentacyjnego w Cz. Cieszynie Zwyczajne Walne Zebranie Związku Akademików »Jedność«. Ta jedyna nasza organizacja akademicka wkracza w roku bieżącym w dziesięcioletni okres swego istnienia.

Całokształt owocnej pracy młodzieży akademickiej zobrazowały sprawozdania członków ustępującego Zarządu. Hasło »Jedności« »frontem do społeczeństwa« zostało w tym roku ze skutkiem i wszechstronnie zastosowane. Wakacyjna kolonja chórowa, a zwłaszcza urządzona w jej rezultacie wędrownia od wsi do wsi wykazała, że młodzież swoim szlachetnym zapałem zawsze nadaje ton każdej pracy ideowej.

Obecny na Walnem Zebraniu kurator »Jedności« p. dyr. Feliks wyraził ustępującemu Zarządowi i wszystkim członkom słowa szczerego uznania za owocną działalność. Podkreślił on pierwszorzędne znaczenie chóru akademickiego i chlubnie znanej sekcji dramatycznej.

W wyniku przeprowadzonych wyborów w skład nowego Zarządu weszli następujący koledzy: prezes Jan Adamus, wiceprezes Eugenjusz Buryan, sekretarz Witold Onderek, skarbnik Rudolf Przeczek, kier. sekcji propagandy i prasy Józef Wardas, kier. sekcji chórowej Józef Kasik, kier. sekcji dramatycznej Paweł Kaleta, dyrygent naczelny Karol Dziadura. Przewodniczącym komisji rewizyjnej wybrano kol. Władysława Palowskiego, zaś sądu koleżeńskiego Andrzeja Ofioka.

## Pamięci zmarłego kolegi inż. Władysława Szulca

Z początkiem lutego opuścił nazawsze szeregi »Jedności« nieodżałowanej pamięci kol. inż. Władysław Szulc. Walne Zebranie uczciło Jego pamięć. Po krótkim przemówieniu kol. prezesa obecni koledzy przez powstanie oddali cichy hołd ś. p. zmarłemu.

Ś. p. kol. inż. Szulc odznaczał się niezwykle sumiennością nie tylko w pracy organizacyjnej, jako długoletni członek chóru »Jedności«, ale i w swoich studiach akademickich. W grudniu 1933 r. uzyskał dyplom inżyniera w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Następnie wyjechał do Jugosławii, gdzie na uniwersytecie królewskim w Zagrzebiu uzyskał praktykę naukową. Po dwuletnim pobycie w Jugosławii wrócił do rodziców w Karwinie. Utajona choroba żołądka zaatakowała ponownie wyczerpany pracą naukową organizm. Ciężko chorego przewieziono do Krakowa, do szpitala OO. Bonifratrów. Po przeprowadzonej ze skutkiem operacji nastąpiła zabójcza komplikacja — zapalenie płuc, — której wyczerpany organizm nie zniósł.

W ś. p. koledze inż. Szulcu straciliśmy sumiennego pracownika i ogólnie lubianego kolegę. Pamięć Jego zawsze pozostanie żywą wśród członków »Jedności«.

j. w-s.



# Harcerstwo

## Dzienniczek harcerski.

Czy prowadzisz dzienniczek harcerski? Jeżeli nie, to radzę ci zacząć od dzisiaj, a jeżeli już prowadzisz, ale źle, to się napraw. Poniżej podaję korzyści wypływające z prowadzenia dzienniczka, oraz sposób, w jaki należy go prowadzić.

Dzienniczek harcerski to zbiór nieocenionych wiadomości i skarbów umysłowych. Kształci umiejętność w mowie i piśmie, zaprawia do porządku, rozwija umysłowo. Poza tem dzienniczek jest ćwiczeniem w własnej administracji, ujmuje wasze zamiary, dążenia, wyniki i prace.

W dzienniczku notuj wszystko to, co zobaczyłeś, usłyszałeś, rób wyciągi z przeczytanych książek, zapisuj treści gawęd, opisuj gry, ćwiczenia harcerskie, notuj teksty różnych piosenek (o ile możliwości z melodią), opowiadania ludowe, obrzędy, przeróżne zabawy. Wszystko zaś bogato ilustruj własnymi szkicami. Szkicuj także roboty wykonane przez samego siebie lub widziane u innych. Szkice możesz zastąpić fotografją.

Wypadki w dzienniczku muszą być opisane po kolei, całość musi przedstawiać pewną ciągłość. Nie odwracaj z różnemi opisami, ponieważ po pewnym czasie zatracasz rzeczywistość i zaczynasz »błagować«, a wtedy własnym słowom nie możesz wierzyć. No, a już najgorsza sprawa z odwracaniem szkiców. Nie potrafisz sobie przedstawić takiego harcerza, któryby dzisiaj, po kilku miesiącach miał zamiar »sfabrykować« wszystkie bramy, obozy, urządzenia i t. p., jakie widział na zlocie w Spale. Jest to poprostu niemożliwością.

Dzienniczek należy prowadzić porządnie i czysto. Znam takich, co piszą najpierw na brudno, a później przepisują. Owszem, że przez taką pracę dzienniczek ładniej wygląda, lecz taka praca zabiera dużo czasu. Naucz się pisać wprost do dzienniczka. Poza tem pismo musi być staranne, ładne, tak żebyś mógł odczytać to, co napisałeś. Nie rób plam, nie przekreślaj wyrazów. Myśli wyrażaj w zdaniach krótkich, lecz treściwych; nie buduj zdań o długich okresach, bo się w nich pogubisz i nieraz zamiast porządnej myśli otrzymasz jakąś niedorzeczność.

Harcerz jest zawsze na służbie, każdy jego krok jest wędrówką harcerską. Dlatego też w dzienniczku opisuj nie tylko przebieg obozu, kursu, wycieczki i t. p., lecz wszystko to, z czem spotkałeś się podczas dnia. Zapisuj swe poglądy na życie, swoje plany na przyszłość, zapisuj ich przeprowadzenie i porównyвай, czy potrafisz przeprowadzać rzeczy raz powzięte — sprawdzaj swój charakter, swoją siłą wolę.

Pod koniec poświęcam kilka słów w jaki sposób przedstawiam sobie dzienniczek harcerski. Będzie to zeszyt o objętości 25 do 40 kartek. Nie polecam zeszytów grubych, ponieważ wiem z własnego doświadczenia, że gruby dzienniczek prędko znudzi, odrzucamy go i nie doprowadzamy go do końca. Radzę nawet, ażeby pewne okresy życia harcerskiego, np. obozy, większe wycieczki i inne, były zamykane w osobnych dzienniczkach. Papier powinien być czysty, ponieważ taki jest najlepszy i do pisania i do szkicowania czy też malowania. Format dzienniczka może być obojętny, polecam

jednak 21×48 mm (cośkolwiek większy od zwykłego szkolnego zeszytu), jako najwygodniejszy, łatwy do przenoszenia czy to w torbie czy w plecaku.

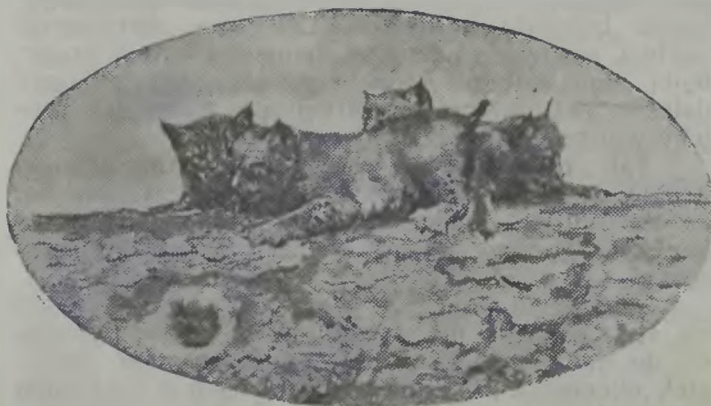
Nie twierdzą, że powyższe wskazówki odnoszą się do jednego sposobu prowadzenia oraz wyglądu dzienniczka; dzienniczek możesz prowadzić według własnego upodobania, bylebyś tylko prowadził i to czysto, przejrzyście z pewnością dla siebie korzyściami.

Józef Żyła.

## Sanujmy nad sobą.

Każdy człowiek już ze swej natury dąży do tego, aby nie być samotnym, aby znaleźć odpowiednich ludzi, między którymi czułby się swobodnym — poprostu lgnie do towarzystwa. Ale czy każdy osobnik potrafi, jak się to ogólnie mówi, znaleźć się w danym towarzystwie? Jak miłe wrażenie robi na nas człowiek, który potrafi dostosować się do towarzystwa, do każdego potrafi się w odpowiednim tonie odnieść, nikomu nie ubliżyć, nikogo nie dotknąć — wzamian za co jest miłym, lubianym. Wiele jednak znajdzie się ludzi takich, co to za każdym otwarciem ust kogoś wyśmieją, zranią, każdemu jakąś łatkę przylepią, słowem nie umieją się dostosować do otoczenia i dlatego też jest im niewygodnie w towarzystwie a naturalnie drugim obecność ich nie do smaku. Są to ludzie nieoszlifowani, którzy chcą bawić drugich kosztem współtowarzyszy. Wielu takich znajdziemy wśród nas — młodych. Bo ino młodzi, pełni temperamentu i sił młodzieńczych, nieraz nie patrząc ni w lewo ni w prawo, bezlitośnie smagamy naszym językiem tego, który najmniej sobie na to zasłużył, nie uświadamiając sobie, że sprawiamy komuś ból i to ból bardzo dotkliwy czasem. Coprawda leży to już w charakterze młodego człowieka, aby wszystko wykpić, wyśmiać — no i być wyśmianym. Ale nie śmiemy zapominać, że przedewszystkiem powinniśmy mieć pewną dozę krytycyzmu względem samego siebie, że powinniśmy się starać panować nad sobą, bo żart z drugich, to rzecz bardzo łatwa, lecz żart z drugich powinien być oględny, aby nie obrażał. Dalej powinniśmy się odnosić do starszych z pewnym szacunkiem, bo starsi nie unieją tak łatwo przebaczać i tak prędko zapominać, jak młodzi, w następstwie czego stajemy się nieznośnymi w towarzystwie, przysparzamy sobie nieprzyjaciół i stajemy się samotnikami.

-lek.



Młode rysie.



## Alkohol i nikotyna.

Przypatrzmy się bliżej wódce na zalanie robaka, jej działaniu i skutkom. Kilku znajomych spotkało się w gospodzie. Posiadało za stoły, kazali sobie podać trunki i tak popijając rozmawiają ze sobą. Rozmowa idzie dosyć wesoło. Z czasem jednak, kiedy już każdy po kilka przewrócił kieliszków ognistej wody, zmienia się usposobienie zebranych. Oczy zaczynają się świecić, jeden i drugi czerwienieje a co najważniejsze każdy, nawet ten najcichszy, staje się teraz mowcą. Wprawdzie tu czy tam język mu się »szmatle«, to jednak nie, mówi dalej, jakby mu za to płacono. Każdy dobija się do słowa, powstaje harmider, osoby stają się zacięte, obstają przy swoim, przychodzi do wymiany ostrzejszych słów a nieraz i do gorszych rzeczy. Tu czy tam zaczyna pracować pięść, lecają rozbite szklanki, kieliszki; wódka, piwo, krew miesza się razem i skrapiają podłogę, by się proch zbyt nie unosił i nie osadzał na płuca. Wkońcu się zgodzili, czy też ich zgodzono i grzecznie kazano iść do domu. Rozchodzi się każdy w swą stronę. Niestety jakoś im ten świat dziwnie wygląda. Domy, drzewa ba nawet droga toczą się dokoła. Darmo jednak — dom mój nie nadchodzi, to też muszę go iść szukać. Rusza przeto dalej. Mierzy sobie powoli szerokość drogi, zstępuje nieraz do rowu, by się dowiedzieć, jak tam głęboko, czasem pada na ziemię, by zbadać twardość kamieni. Uduje mu się wkońcu dostać do domu. Tu przy pomocy zazwyczaj domowych ściągą ubranie, pada na łożę i zasypia. Kiedy się zbudzi czuje się jakoś nieswojo; w ustach i gardle sucho, głowa ciężka. Na tem się mniej więcej kończy, o ile osoba ta ma »dobrą naturę«. W przeciwnym zaś razie pełno było zwad, kłótni, wyrzekań, narzekań, tu czy tam poddało kilka szybek, parę talerzy, garnków.

Kiedy alkohol wyszumiał z głowy i człowiek wrócił do normalnego stanu, zaczyna rozmyślać nad tem, co się to stało. Zabiera się do oglądania ubrania. Co to? Ubranie nowe a tyle na nim plam, błota, jakieś znaki krwi. Wyciąga portfel. Była przecie wczoraj wypłata. Co to? Czy mnie może kto okradł? Przecież nie mam ani jednej czwartej tej sumy, jaką otrzymałem. Czym przypadkiem nie zgubił po drodze, lub nie pomylił się przy płaceniu w gospodzie? Wraca szybko do szynku i pyta gospodzkiego, czy nie wie może czego o jego pieniądzach. Ależ owszem, odpowiada tenże. Przepiliście tyle a tyle, rozbiliście tyle szklanek, resztę przegraliście w karty. Tak więc nieraz cały dwutygodniowy trud był daremny; ciężko zarobiony grosz ulotnił się w przeciągu jednego wieczora.

Powyżej widzieliśmy, że alkohol jest bodźcem do złych czynów, niepotrzebnych wyrzucania pieniędzy, jest powodem różnych szkód, popycha człowieka do zbrodni i t. p. Ponadto wpływa ujemnie na sam organizm, tępi niektóre z naszych zmysłów. Wyciska swe piętno na umyśle, nerwach, pamięci, sercu. Człowiek, który wypił większą ilość alkoholu traci panowanie nad sobą, poczucie równowagi, staje się nerwowym, porywczym. Abyśmy sobie to lepiej uzmysłować mogli, posłużymy sobie przykładem i porównajmy mózg z węzłem kolejowym. Rozchodzą się z takiego wę-

zła linie kolejowe we wszystkich kierunkach. O ile węzeł taki zostaje zniszczony, ustaje tem samem wszelki ruch kolejowy na tem miejscu. Za taki węzeł u człowieka uważać można mózg; o ile ten zostaje zachwiany wtedy chwieje się cały człowiek.

Co powiedzielibyśmy o nikotynie? Oczywiście, że niewiele lepsze dalibyśmy jej świadectwo. O tyle może jest łagodniejszą, że nie występuje tak gwałtownie, nie wywiera tak wielkiego wpływu na człowieka, nie staje się przyczyną złych kroków, jakie wywołuje alkohol. Podczas kiedy alkohol szkodzi nie tylko temu, kto go używa, ale całej rodzinie (dzieci alkoholików), to nikotyna w przeważnej części wywiera swój wpływ na samym miłośniku tytoniu. Nikotyna działa ujemnie na powonienie, smak i wzrok, jest również dobrym pomocnikiem przy rozwijaniu się tuberkulozy. Oczywiście, że starszy organizm nie odczuwa, lub nie tak radykalnie, wpływu nikotyny. to też nieprędko uwierzy może w to, że tytoń zawiera truciznę. Aby nam to było jaśniejsze, wykażmy sobie to na przykładzie. Małe dziecko widziało nieraz, jak ojciec pali fajkę i puszcza sobie dymy. Spodobało mu się to i postanowiło spróbować, czy i ono do tego zdolne. Bierze przy sposobności fajkę, nakłada i zapala. Cóż się z nim dzieje po kilku, czy kilkunastu dymach? Dziecko takie wygląda, jakby było pijane. Twarz biała, oczy zachodzą mgłą, zjawia się ból głowy, wymioty a nieraz palenie takie pociąga za sobą i gorsze następstwa. Musiało przeto coś być w tym tytoniu, co wywołało zaburzenie w organizmie. Nie trzeba się tu zresztą powoływać na dzieci, gdyż coś podobnego może się stać nawet starszym, o ile ci nie są do tytoniu przyzwyczajeni.

Życie więc samo wskazuje nam i poucza nas, że alkohol i tytoń nie są żadnem błogosławieństwem, nie przynoszą nam korzyści, nie powiększają naszych majątków (z małemi wyjątkami), ani też nie przedłużają naszego życia. Należy się ich przeto wystrzegać jak najwięcej. As.



Z Puszczy Białowieskiej: Podwieczorek młodego zubrzątka.



# Nasze sprawozdania

Teatr ludowy w Cz. Cieszynie wystawił 19 kwietnia b. r. z wielkim powodzeniem znaną wesołą operetkę Kalmana »Manewry jesienne«. Szczegółowe recenzje napisali do »Dziennika Polskiego« prof. J. Hadyna i A. Gaidzica, tak, iż w naszym organie młodzieżowym byłoby zbytecznym rozwodzić się o zaletach i wadach samego utworu, jak również o dobrych i słabych stronach wystawienia. Wystarczy, jeśli stwierdzimy, że przedstawienie to ściągło taką masę widzów, że sala nie mogła ich pomieścić i zbyt późnieni musieli wracać, jak i to, że jeszcze dzisiaj jest ono przedmiotem ożywionych dyskusyj. Nie można się ukrywać z tem,

że były usterki i niedociągnięcia, ale te są i w teatrach zawodowych — inaczej nie byłoby krytyków i krytyk teatralnych. Że jednak zespół czesko-cieszyński bardzo, i to bardzo się podobał, o tem świadczy fakt, iż na ogólne życzenie operetkę tę trzeba powtarzać, a także — mimo znacznej reżii — wyjeżdżać do innych miejscowości. Poniżej podajemy kilka zdjęć z przedstawienia, które jednak nie dają wiernego obrazu, bo robione przy świetle dziennym przed przedstawieniem, zaś szninki dają efekt tylko przy świetle sztucznym.

\* \* \*



Teatr Ludowy w Cz. Cieszynie: Operetka »Manewry jesienne«.



Baletnice z »Manewrów jesiennych«.

ZEM w Cz. Cieszynie odegrał w niedzielę 26 kwietnia b. r. w sali szkoły wydziałowej wesołą sztukę Bałuckiego »Grube ryby«. Na deskach scenicznych widzieliśmy kilka młodych debiutantów, z których bardzo dobrze zapowiadają się p. Bałonówna i p. Fierla.

ZEM w Trzanowicach odegrał 26 kwietnia b. r. sztukę ludową »Zagroda Sobkowa« z dobrym wynikiem. Wiozłerek upiększył chór rewelersów z D. Błędowic, oraz chór mieszany i męski miejscowego ZEM-u.



Oficerowie z »ekscelencją«.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

### Rozwiązanie konkursu.

Czytelnicy wiedzą z pewnością co to jest tak zw. »bak« (inaczej cyga lub fryga zwany. I wiedzą też, że taka cyga wirująca utrzymuje się w pozycji poprostu nienaturalnej, bo gdyby ją chcieli w normalnych warunkach tak postawić, t. zn. nie dając jej owego ruchu obrotowego czyli rotacji, toby ona nigdy tak nie pozostała lecz przewróciła się. Gdybyśmy chcieli wirującego baka (cygę) przewrócić, to musielibyśmy użyć pewnej siły i to tem większej, im szybciej on wiruje. Ów ruch obrotowy, czyli rotacja, przyczynia się do tego, że cyga wirująca znajduje się w pozycji sztucznej, owa rotacja sprawia to, że oś, około której ona wiruje, stara się zachować ten sam kierunek, to samo nachylenie do podstawy np. stołu, na którym ona wiruje.

Dysk, jak wiadomo, ma kształt okrągłego płaskiego placka drewnianego. Nie będzie obojętnym przy rzucie jak



on poleci a więc, czy będzie zwrócony swą krawędzią czy też płaską stroną w kierunku rzutu, bo gdy np. zaraz po wyrzuceniu obróci się swą płaską stroną w tym kierunku, to pójdzie niedaleko, bo opór powietrza mu nie pozwoli. Tu właśnie jest zastosowanie owej rotacji; tak jak przy bąku owa rotacja utrzuła kierunek osi obrotu, tak tu owa rotacja sprawia to samo, a więc ten sam kierunek osi obrotu dysku a temsamem ciągle to samo nachylenie dysku do ziemi. Dysk więc nie obróci się swą płaską stroną w kierunku ruchu i nie »wykopytnie się« ale pruje powietrze swoją krawędzią, a jakie to ma znaczenie i wpływ na dalekość rzutu, to każdemu wiadomo.

»No, zgoda« — powiedzą czytelnicy — »ale przecież dysk, po osiągnięciu swego najwyższego punktu, zacznie opadać skośnie wdół, a ponieważ owa rotacja nie pozwala mu się wychylić, bo owa rotacja utrzuła oś obrotu, więc dysk przy opadaniu nie będzie już zwrócony swą krawędzią w kierunku lotu ale raczej swą płaską stroną«.

Na to odpowiemy im, że o to właśnie przy rzucie dyskiem chodzi, aby dysk podczas spadania wdół nie pruł powietrza i ślizgał się, jak szybowiec, łagodnie wdół. Czyli owa rotacja, utrzymująca dysk podczas całego trwania jego lotu w stałym i niezmiennym nachyleniu do ziemi sprawia, iż dysk lecąc skośnie wgóre pruje krawędzią powietrze a lecąc skośnie wdół wykorzystuje opór powietrza z dołu i z przodu do bardziej łagodnego ześlizgnięcia się na ziemi, bo nie byłby owej rotacji, dysk poleci »beładnie«, zwróci się zaraz po wyrzuceniu swą płaską stroną przeciw prądowi i koniec.

To jest odpowiedź z uzasadnieniem na drugie pytanie postawione w konkursie. Odpowiedź na pierwsze pytanie jest: Przy rzucie praworacz dysk rotuje wprawo, przy leworacz wlewo z zastrzeżeniem: w normalnych warunkach; bo gdy ktoś »spatałaszy«, to przy rzucie praworacznym może mu dysk obracać się w lewo i odwrotnie, ale to uważa się za warunki nienormalne.

»Nel«. Długi list niezmiernie nas ucieszył. Wiedzieliśmy, że wzmianka o »towarze« wierszowym wywoła poruszenie u wszystkich tych, którzy wiersze piszą. A któż z młodych a nawet starszych wierszy nie pisze? Pisanie wierszów a poezja, to wielka różnica. Gdyby tej różnicy nie było, byłibyśmy narodem poetów. Są ludzie, którzy dwu zdań nie umieją skleić dogromady, ale wiersze piszą na akord. Gdy im przyjdzie list napisać, podanie, notatkę do gazety, to pociągną jak mysz, bo nie umieją sobie dać rady z wyrazami, których im w dodatku brak, zato ale bardzo chętnie dosiadają ognistego rumaka poezji i maltretują go. Gdybyśmy, jak to Pan poleca, zachęcali do pisania wierszy, toby nam listonosz przynosił codziennie całe stosy. Kto i kiedy je ma czytać i kwalifikować i co z nimi począć? — A jaki pożytek z nich dla ogółu? Gdyby nam się powiodło dobrze, to niechby sobie młodzież a także starszyzna zaprzętała głowę robieniem wierszy. Dzisiejsze czasy kładą na nas twarde obowiązki. Nie czas żałować róż, gdy lasy płoną. Kto ma talent, ten będzie pisał wiersze i bez specjalnego wezwania, również i ci, którzy mają mniej talentu, zato ale wielką dozę uporu i tupetu. Co jest wartościowego, to i tak wśród tej masy wierszokletów nie zginie, ale wypłynie na wierzch. Na razie tyle. Do innych przez Pana poruszonych spraw powrócimy jeszcze.

»Nowator«. Dziękujemy. Umieścimy w Nrze 11.

## Komunikaty

**PRZYSZŁY NUMER »OGNIWA«**, z datą 15 maja wyjdzie z druku już 9 maja i będzie w całości poświęcony pamięci Marszałka Piłsudskiego i poległych legionistów śląskich. Większa objętość i ładne ilustracje z pewnością wszystkich czytelników zadowolą. Zamówienia na większe przesyłki należy uskuteczniać natychmiast, abyśmy mogli ustalić nakład.

»MANEWRY JESIENNE« JESZCZE RAZ W CZ. CIESZYNIE. Na ogólne życzenie Teatr Ludowy powtarza wystawienie operetki »Manewry jesienne« w piątek 1 maja b. r. w sali gimnastycznej szkoły wydz. w Cz. Cieszynie o godz. 7½ wiecz. Bilety wcześniej do nabycia w Księgarni Macierzy.

»MANEWRY JESIENNE« W TRZYŃCU wystawione będą 2 maja w sali Domu Robotniczego o godz. 7½ wiecz.

**MŁODZIEŻY W SUCHEJ G. I ŚR. NA »PODLESIU«** przypomina się, że pierwszy czwartek maja t. j. 7. odbędzie się u p. Waloszka posiedzenie Kółka Samokształcenia o godz. 7 wieczór.

»PRZEWODNIK TATRZAŃSKI« W TRZYCIEŻU. We soly ten wodewil Krumłowskiego odegra młodzież ewang. w sobotę, dnia 9 maja b. r. w sali p. Walczyskowej. Początek o godz. 8 wieczór. Po wieczorku zabawa towarzyska.

**POLSKA SZKOŁA RODZINNA W ORŁOWEJ** urządza w niedzielę 3 maja w sali Domu Robotniczego wieczorek, na którego program złożą się występy chóru żeńskiego, sola fortepianowe, deklamacje, oraz odegranie 1-aktowej sztuki Żurawskiej »Głos ziemi«. Początek o godz. 6½ wieczór. Po wieczorku zabawa towarzyska.

## Kącik rozrywkowy.

### Gdzie podziela się 1 Kcz?

Na targu dwie przekupki sprzedają jajka. Każda ma ich 30.

Pierwsza sprzedaje: 3 jajka za 1 Kcz.

Druga: 2 jajka za 1 Kcz.

Pierwsza uzyskuje ze sprzedaży 10 Kcz.

Druga 15 Kcz. — Razem 25 Kcz.

Raz pierwsza przekupka zachorowała i poprosiła drugą, aby ta sprzedawała także jej jajka. Aby rachunek był prosty miała sprzedawać 5 jaj za 2 Kcz. Druga przekupka zgodziła się i faktycznie sprzedawała wszystkie 60 jajek, lecz utarg czynił nie 25 Kcz ale tylko 24 Kcz. Gdzie się podziela 1 Kcz?

\* \* \*

## Rozwiązania z No. 8.

### Kwadrat magiczny.

14	10	1	22	18
20	11	7	3	24
21	17	13	9	5
2	23	19	15	6
8	4	25	16	12

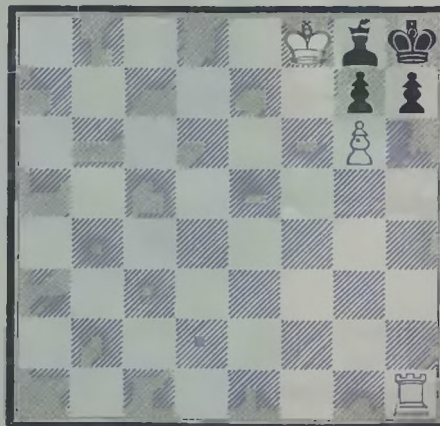
### Łamigłówka.

1. mucha, 2. kozak, 3. stula,
4. kajak, 5. łódka, 6. gruda,
7. kucyk, 8. pchła. Czuj duch!

## Kącik szachowy.

W niniejszym numerze umieszczamy po raz pierwszy dla miłośników szachów kącik szachowy, na który składa się jedno nie zbyt trudne zadanie.

**Czarne:** K<sub>h8</sub>, G<sub>g8</sub>, P<sub>g7</sub>, h<sub>7</sub> (4)



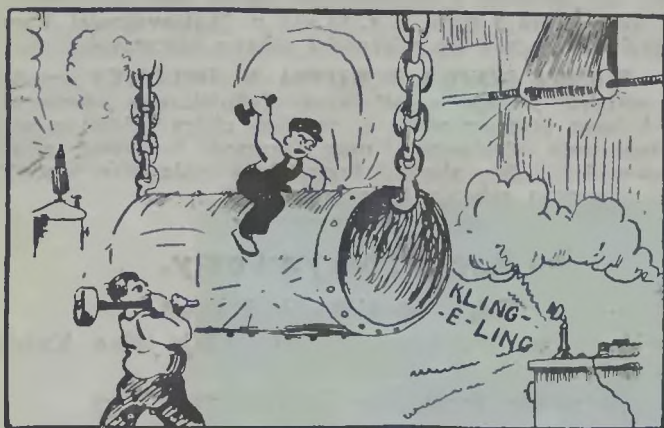
**Białe:** K<sub>f8</sub>, W<sub>h1</sub>, P<sub>g6</sub> (3)

Białe zaczynają. Mat w 2-ch posunięciach!

Rozwiązania należy nadsyłać do 5 maja b. r.



## Przeczulony!



— Francek, pierona, zastaw tam ten telefon, bo mi to wieczne zwonieni na nerwy idzie.

\*\*\*

### Bohater.

— Miałem wczoraj wieczorem niemiłą przygodę. Napadło na mnie czterech drabów. Biłem się z nimi tak dzielnie, że aż jednemu lekarz musiał udzielić pomocy.

— Komu?

— Mnie!

\*\*\*

— Bój się Boga, Kaziu, czy ty nie masz czasem dziury w głowie?

— Nie, skądże ci to przychodzi?

— A, bo masz na ramionach pełno troci!

\*\*\*

### Odznaczenie.

Student po egzaminie wraca do domu. Przy stole pyta się go ojciec, jak egzamin wypadł.

— Świetnie — odpowiedział miły synalek. — tak świetnie, że na ogólne żądanie muszę go jeszcze raz powtórzyć.

\*\*\*



— Przyniosłam ci tę skarbonkę, Jaśku. Do otworu wrzucisz zawsze twoje oszczędności.

— Dobrze mamusiu — ale gdzie tu wyskakuje czekoladka?

\*\*\*

## Cytryna.

Jędrys przychodzi na Jurzigo dość nieskoro do chałupy. Wchodzi do kuchni i furt tam cosikej postępuje i na gorkach rzepoli. Żona to słyszy i pyta się go, co tam robi.

— Wiesz, ba-hup-beczko, tak mi jaks, hup, niedobrze i robię se, hup, lemonjadę z cy-hup-tryną.

Żona przypomniało se, że przeca nimo w domu cytryny i tóż sie idzie dziwać do kuchni. I co widzi? Miły chłop w jednej ręce dzierży gornek z wodą a w drugij ścisko kanarka z klotki.

\*\*\*

## Latarnia.

Paweł był zaproszony na Jurzigo do swego kamrata Jurka Bulowskiego. Popijali warzonke, popijali, aż sie zećmiło nadobrze. Jurek, jako dobry kamrat, przygotował Pawłowi latarnię na chodnik.

Na drugi dzień rano, ledwo Paweł wyłoz z łóżka z ciężką głową, już tu był pastyrz od Jurka ze skazem:

— Gazdoszek skozali, cobyście im posłali tą klotkę z kanarkem, coście ją wczora wieczór wzięli.

\*\*\*

## Podlotki.



— Mam pomysł na nową zabawę towarzyską. Zabawimy się w chowanego parami. Ale szukać nikt nie śmie.

\*\*\*

## Nasi bezrobotni.

— Czemuście se, do sto set, kazowali do sztwiertki, jakeście wiedzieli, że nimocie czym zapłacić?

— Joch sic chciol pocieszyć.

— Nad czym?

— Nad tym, że nimom pieniędzy.

\*\*\*



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

**W bolesną rocznicę**



Portret Marszałka J. Piłsudskiego z czasów legionowych.



## Śmierć Komendanta

(Wyjątek ze „Strzępów meldunków“.)

Liczyliśmy dnie i godziny życia Komendanta od chwili wydania wyroku śmierci przez wezwanego na Jego rozkaz z Wiednia profesora Wenkenbacha.

Straszne rozpoznanie raka wątroby wykluczało wszelką pomoc lekarską, mającą na celu choćby tylko przedłużenie bytowania Komendanta.

Na Wielkiego Człowieka przyszła choroba tak potężna, że medycyna współczesna jest wobec niej bezsilna.

Nie mogliśmy więc mieć żadnych złudzeń.

Śmierć Komendanta, straszna myśl o niej, przyniotła nasze serca na długi miesiąc przed Jego zgonem — ostatni miesiąc Jego życia.

A jednak, nie mogąc pogodzić się z myślą o stracie Komendanta, codziennie przeczuliśmy się od ogromu rozpacz do znikomego wątku nadziei.

Nadzieja ta malała z dnia na dzień, aż zgasła w naszych sercach na kilkadziesiąt godzin przed ostatnim tchnieniem Marszałka Polski.

W sobotę, 11 maja, wystąpił krwotok ustami, który bardzo osłabił Komendanta.

W niedzielę, 12 maja, o godzinie szóstej po południu otrzymałem telefon od generała Rouperta z Belwederu: „Jest źle, tętno słabe, bardzo przyspieszone.“

Ulice, któremi jechałem do Belwederu były ożywione, jak zwykle w niedzielne popołudnie.

Gwałtowne zmiany życia Polski, które odbywały się w tej chwili, nie wydostały się jeszcze z sypialni Pierwszego Marszałka.

Z okien pałacu biły smugi światła, jak tego wieczora, gdy pierwszy raz był u Komendanta w Belwederze.

Teraz szedłem do Niego — raz ostatni.

W adjutanturze, prócz oficerów służbowych, zastałem generała Rouperta i Wieniawę.

Udzielają mi krótkich wyjaśnień. Tętno koło stu, słabe.

Komendant przytomny, błogosławił ręką dzieci, protestował w czasie uklucia ramienia przez doktora, przy zastrzyku do żyły środka nasercowego.

Doktor Stefanowski pojechał po księdza Kornilowicza i ma wrócić niedługo.

Po tej krótkiej rozmowie — Wieniawa z Roupertem odchodzą do Komendanta. Ja nie śmiem wejść, by Go nie rozgniewać zjawieniem się bez rozkazu.

Telefonuję do premiera Sławka, do generała Kasprzyckiego i polecam zawiadomić, będącego poza Warszawą, b. premiera Prystora.

Premier Sławek zjawia się na chwilę i, po zorientowaniu się w rozpaczliwej sytuacji, odjeżdża wkrótce do Prezydium Rady Ministrów.

Przybywa generał Kasprzycki, a wkrótce za nim doktor Stefanowski z księdzem Kornilowiczem.

Ksiądz z doktorem wchodzi do sypialni Komendanta, a za chwilę generał Roupert wzywa mnie, że można już wejść.

Wchodzę do narożnego salonu, w którym tyle razy meldowałem się Komendantowi.

Teraz, niestety, można już wejść bez meldowania się. Staję obok generałów Kasprzyckiego i Wieniawy.

Przed nami, na łożu, leży Komendant z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając.

Pani Marszałkowa z córkami klęczy przy łóżku, trzymając rękę umierającego Męża. W nogach łóżka stoi modlący się ksiądz Kornilowicz. Doktor Mozołowski, pochylony po prawej stronie łóżka, obserwuje twarz Komendanta.

Komendant ma oczy ciągle zamknięte. Twarz Jego wychudła w czasie choroby, jest piękna i spokojna.

Mijają długie chwile samotnego świszczącego odechu Komendanta i modłów księdza, udzielającego Ostatniego Namaszczenia.

Wszystko nagle zatrzymuje się w biegu naszych myśli.

Pozostaje — ta jedna straszna, że nic już Komendantowi pomoc nie możemy.

W pewnym momencie Komendant zachłystuje się i oddech Jego ustaje. Doktor Mozołowski robi ruch, jakby chciał jeszcze Komendanta ratować, ale za chwilę ręce jego opadają bezsilnie.

To już śmierć.

Klękamy wszyscy. Tylko adjutant, mający służbę, stoi na baczność. Jest godzina 8,45 wieczorem, gdy przestaje bić serce Pierwszego Marszałka Polski. Za chwilę generał Kasprzycki telefonuje do Premiera o zgonie Komendanta.

W adjutanturze redagujemy komunikat do prasy o śmierci Komendanta.

Umarł o godzinie 8,45 wieczorem, 12 maja 1935 roku, w trzecią niedzielę po Wielkiejnocy.

I nigdy już, żadna niedziela naszego życia nie będzie tak wesoła i beztroska jak za Jego pobytu z nami.

Przeżyliśmy z Nim, słuchaliśmy Go wiernie przeszło dwadzieścia lat. A teraz już, będziemy z Nim jeszcze tylko w czasie pogrzebu, który skończy się przecież za dni parę, kilka.

Wtedy zostanie nam już tylko — życie bez Niego.

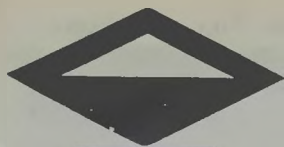
.....

**„Bramy przepastne śmierci dla niektórych ludzi nie istnieją. Świadczą o prawdzie, że prawa wielkości są inne, niż prawa miłości“**

*(Z przemówienia Józefa Piłsudskiego na Wawelu nad trumną Juliusza Słowackiego).*

**„Idą czasy, których znamię będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten potrafi utrzymać to, co zyskał, albo odrobić to, co stracił.“**  
*J. Piłsudski.*





## Józef Piłsudski

Wolność!

Jakże mocne, a zarazem niebezpieczne słowo!

Wszakże tej samej złotej wolności broniła szlachta w wieku XVIII, jak żrenicy oka, dopuszczając do zaprzędania Rzeczypospolitej, tej samej — powstańcy 30, 48 i 63 roku!

Ale jakaż przepaść w zrozumieniu znaczenia, treści tego świętego słowa przez tych, których rozwyrżenie piętnuje już Batory, a przez tych, którzy z nieludzką ofiarnością wzniecali krwawe żagwie polskich powstań narodowych!

Historja Polski — to wątek smutnych rozdwojeń zbolalej duszy Narodu Polskiego. Najwybitniejsi królowie z epoki przedrozbiorowej oraz bohaterowie

Ojczyzny, a może dlatego, żeby w jego państwie rozpocząć z nim bezpardonową walkę.

Przez Rosję Romanowych szły wówczas powiewy wolnościowe. Budziła się inteligencja rosyjska. Krzepły idee, rzucone przed kilkudziesięciu laty przez dekabrystów.

Młodzież akademicka w pierwszym rządzie żywo reagowała na te przemiany, jakie zachodziły w społeczeństwie rosyjskiem. Ona to bardzo często powodowała lub przyspieszała ten proces uświadamiania, demokratyzowania »matuszki Rosji«. Powstawały kółka, organizacje konspiracyjne. Dochodziło do rozruchów studenckich. Piłsudski, młody, impulsywny, inteligentny — nie mógł pozo-



Żułów — miejsce urodzenia Marszałka.

wie narodowi — to nie tylko ludzie o wielkich zaletach wódzów, to przede wszystkim mądry psychologowie, co potrafili owo tragiczne rozdwojenie duszy narodu wyczuć, zrozumieć i zabiżnić. Pierwszy Marszałek Polski Odrodzonej do tych wielkich właśnie należał.

Józef Piłsudski urodził się w dniu 5 grudnia 1867 roku w majątku swoich rodziców — Żułowie, w ziemi wileńskiej. Gimnazjum kończy w Wilnie. Już tutaj rozpoczyna swą działalność: zakłada konspiracyjne kółko samokształceniowe. Należy zdać sobie sprawę z tego, że była to epoka, w której srożyli się jeszcze epigoni Murawjewa-Wieszatiela, carska Rosja mściła się za bunt styczniowy. Naród polski nie miał już państwa, odbierano mu szkoły polskie. Na uniwersytet, na medycynę, Piłsudski wyjeżdża do Rosji, do Charkowa. Może dlatego, żeby poznać najgroźniejszego z wrogów swojej

stawać widzem tylko. Władze uniwersyteckie uprzedzają go. Nie dużo to pomaga.

W kilka miesięcy po zamieszkach studenckich w r. 1886, gdzie występuje jako jeden z najczynniejszych inspiratorów, zostaje Piłsudski wyrzucony przez władze uniwersyteckie z uczelni. I to bez prawa wstąpienia na jakąkolwiek inną w granicach rozległej monarchii rosyjskiej.

W rok później Piłsudski zostaje nagle aresztowany. Okazało się, że w Petersburgu zdekonspirowano tajną organizację, do której należał brat Józefa — Bronisław Piłsudski. U przyszłego Marszałka Polski znaleziono kilka listów brata. To wystarczyło, aby w drodze administracyjnej skazać niewinnego w gruncie rzeczy człowieka na 5 lat zesłania na Sybir. Obecnie termin ten, tak często używany obok kajdan i t. p. atrybutów męczeństwa narodowego, stracił na znaczeniu, spowszechni-



niał. Ale wystarczy, jeśli uprzytomnimy sobie, że drogę kilku tysięcy kilometrów, od Tiumentia do Irkucka, musieli więźniowie przebywać pieszo w warunkach, ubliżających godności ludzkiej — ażeby zrozumieć wielkość ofiary młodego studenta, złożonej w zaraniu życia na ołtarzu Ojczyzny.

Zesłanie nie osłabiło, wręcz przeciwnie — wzmocniło Piłsudskiego. Okrzepł, zmęśniał fizycznie i duchowo. Przycisnął się i patrzył. I uczył się. Poznawał Rosję.

W tajgach nad Leną, w stepach Burjatów — Mongolji, rósł i dojrzewał mąż stanu, wódz i myśliciel.

Krótki wyjazd do Anglii i zetknięcie się tam z towarzyszami, którzy wraz z dzisiejszym Prezydentem, prof. Ignacym Mościckim, po powrocie z wygnania serdecznie go przyjęli — kończy niejako pierwszy okres młodzieńczej działalności Piłsudskiego.

12 lipca 1894 r. ukazuje się pod jego redakcją pierwszy numer tajnego »Robotnika«. Rozpoczyna się drugi etap walki z najeźdźcą. Osiadłszy już pod fałszywym nazwiskiem w Łodzi, Piłsudski wydaje 35 numerów swego pisma, za pośrednictwem którego pragnie wychować nowe kadry robotników polskich do walki z caratem. Przez 6 lat, zawdzięczając nadzwyczajnym wysiłkom i ostrożności, zwołuje Piłsudski świetnie zorganizowaną policję rosyjską. Aż wreszcie zostaje aresztowany. Śmierć zajaśniała w oczu Komendanta. Ale i z tej opresji wychodzi cało. Osadzony w X pawilonie Cytadeli warszawskiej, udaje obłąkanego. Wysyłają go do szpitala w Petersburgu. Uciekł stąd przy pomocy lekarza, dr. Mazurkiewicza, późniejszego — już z czasów niepodległości — długoletniego rektora Uniwersytetu Warszawskiego.

Znowu następuje ożywiona działalność konspiracyjna i wreszcie próby ruchów zbrojnych. W tym czasie wyjeżdża do Tokio. Wojna rosyjsko-japońska. Niech Japonia umożliwi rozpoczęcie powstania na tyłach armji rosyjskiej! Niech da broń!

Niestety, plany Piłsudskiego nie mogły być zrealizowane. Zresztą Japonia kończy wojnę zwycięsko.

Powróciwszy do kraju, rzuca się Piłsudski w wir zapasów z caratem. Staje na czele Polskiej Partii Socjalistycznej, którą wtłacza w koryto walki o niepodległość. Teror rewolucyjny przybiera ostry charakter. 13 listopada 1904 r. dochodzi do zbrojnej manifestacji na Placu Grzybowskim w Warszawie, jako protestu przeciwko zarządzonej przez rząd rosyjski mobilizacji. Potem zamach na generał-gubernatora Skaffona, napady na pociągi pod Rogowem, Pruszkowem, Bezdanami i t. p.

Widząc jednak, że zanomocą akcii terrorystycznej nie da się porwać mas do walki z Rosją, Piłsudski przenosi się do Galicji.

Narastający konflikt austriacko-rosyjski umożliwił uzyskanie nowych sankcji w Wiedniu na robotę antyrosyjską w Galicji. Piłsudski wysuwa hasło rozprawienia się najpierw z wrogiem, dzierżącym większość ziem polskich — z Rosją. Do walki tej należało się odpowiednio przygotować. W r. 1909 powstał więc Związek Walki Czynnej. Wyzyskując w dalszym ciągu antagonizm rosyjsko-austriacki po aneksji przez Austrię Bośni i Hercegowiny, wyjednywa Piłsudski w r. 1910

prawo utworzenia we Lwowie Związku Strzeleckiego. Wkrótce organizacja ta rozszerzyła się na całą Galicję, licząc w przededniu wojny 10.000 członków. W początkach sierpnia 1914 r. następuje mobilizacja Strzelca i połączenie go z Drużynami Strzeleckimi.

Ale nie tylko w Galicji! Przeczuwając zbliżającą się wojnę światową, Komendant rzuca hasło przygotowania się do walki o niepodległość. Hasło to znalazło oddźwięk wszędzie, gdzie rozbrzmiewała mowa polska: na całym obszarze dzisiejszej Polski, na Ukrainie, Białorusi, w Szwajcarii, Belgji, Francji, Stanach Zjednoczonych, Brazylii i t. p. Emigracja polska, zwłaszcza zamorska, odezwała się na apel Piłsudskiego, ofiarowując siebie i swoje mienie dla dobrej sprawy.

Dnia 6 sierpnia 1914 r. wymaszerowały z Krakowa ku granicy rosyjskiej pierwsze kadry Legionów Piłsudskiego. Wojna polsko-rosyjska była rozpoczęta. Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Przez dwa niemal lata dzieli Piłsudski los swojego wojska, aż naskutek zatargów z kierownictwem armji austriackiej (o sposób traktowania Legionów), podaje się do dymisji. Wyjeżdża do Krakowa, później do Warszawy. Wchodzi do Rady Stanu, jako kierownik Departamentu Wojskowego.

W lipcu 1917 r., nie godząc się na tekst przysięgi, ustalony dla Legionów przez Radę Stanu, ustępuje z niej, a I i większość III brygady odmawiają złożenia tej przysięgi i zostają internowane w Benjaminowie i Szczypiornie.

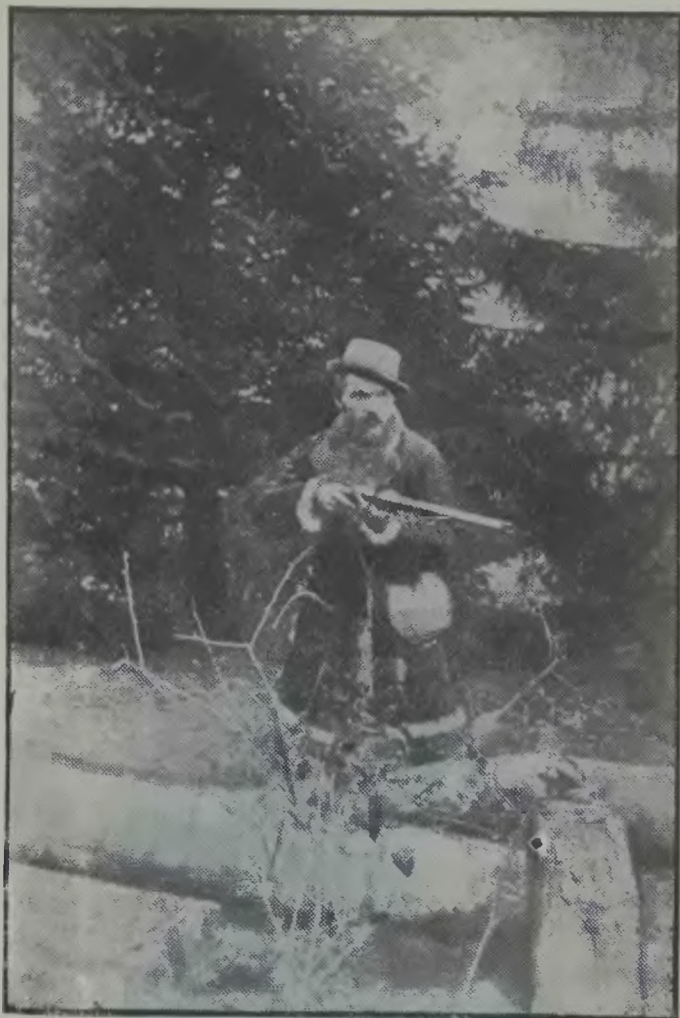
Dnia 20 lipca 1917 r. Piłsudski zostaje aresztowany przez Niemców i po dłuższej tułaczce w więzieniach niemieckich — osadzony w Magdeburgu.

Dopiero w pierwszych dniach listopada 1918 r. zostaje zwolniony. 10 listopada powraca do Warszawy. Polska wyzwalamąca się powitała go entuzjastycznie. Rada Regencyjna przekazuje mu najpierw władzę wojskową i dowództwo, a już 14 listopada — całokształt władzy państwowej.



J. Piłsudski w mundurze uczniowskim.





J. Piłsudski, jako 19-letni młodzieniec, skazany został na 5-letnie zesłanie na Syberję, które urozmaicał sobie polowaniami w tajgach syberyjskich.

Piłsudski zabiera się z całą energią i bogatym doświadczeniem do trudnej pracy nad odbudową państwa. W kraju panował bezład i zamieszanie. Tłumy uwolnionych jeńców rosyjskich, wracających z niewoli niemieckiej, oraz niezliczone oddziały zrewoltowanych i zrewolucjonizowanych wojsk niemieckich groziły buntami i pożogą.

Piłsudski silną ręką poskramia próby anarchji, ześrodkowując cały swój wysiłek na sformowanie armji.

W dniu 20 lutego 1919 r. zwołany przez Piłsudskiego sejm ustawodawczy jednomyślną uchwałą powołuje Komendanta na Naczelnika Państwa.

W sam czas.

Bo oto ze wschodu nadeszła groźna burza. Wojna z Rosją toczy się ze zmiennym szczęściem. Dnia 19 marca 1920 r. armja ofiarowuje Piłsudskiemu buławę Pierwszego Marszałka Polski. Już w maju wojska polskie zajmują Kijów i forsują Dniepr. Kontrofenzywa wojsk bolszewickich zmusza armję polską do odwrotu. W pierwszych dniach sierpnia pod murami Warszawy decydują się losy Polski. 15 sierpnia szala zwycięstwa przechyliła się ostatecznie na stronę polską. Nawała wschodnia została zlikwidowana. Zawieszenie broni. Potem pokój w Rydze.

Po ukonstytuowaniu się sejmu i senatu oraz po wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej Marszałek obejmuje funkcje Szefa Sztabu Generalnego. W r. 1923 opuszcza jednak armję i wycofuje się z życia politycznego. Mieszka w swojej willi podmiejskiej w Sulejówku pod Warszawą, utrzymując się z pisania książek historycznych i własnych wspomnień. Nie chce brać pensji, a ponieważ nie posiada żadnego majątku, musi żyć bardzo skromnie, niemal biedować.

Z osamotnienia tego wychodzi dopiero w maju 1926 r. Nad Polską zawisły bowiem chmury. Kraj znajduje się pod koszmarem źle pojętej, źle zrealizowanej w życiu demokracji. Sejm podzielony na niezliczone partje, kłócące się i zwalczające się nawzajem, nie jest w możności podjęcia jakiejś pozytywnej pracy, uniemożliwia realizację zamiarów rządowi, który ciągle znajduje się pod oskarżeniami i inwektywami.

Marszałek, aczkolwiek stojący na uboczu, bacznie przygląda się chaosowi, jaki wytwarza się dookoła.

Wreszcie następuje interwencja.

Dnia 12 maja 1926 r. Marszałek Piłsudski na czele wojska wkracza do Warszawy.

Powstaje nowy rząd, Zgromadzenie Narodowe, zwołane na dzień 31 maja, wybiera Marszałka Piłsudskiego Prezydentem Państwa. Nie przyjmuje tej godności. Prezydentem Rzeczypospolitej zostaje prof. Ignacy Mościcki. Marszałek Piłsudski zachowuje dla siebie tekę Ministra Spraw Wojskowych. Dwa razy staje na czele rządu: od 2 października 1926 r. do 27 czerwca 1928 r. i od 25 sierpnia 1930 roku do 4 grudnia 1930 r.

Pomimo sprawowanej wielkiej władzy, Marszałek Piłsudski pozostał człowiekiem prostym, nie wymagającym dla siebie niczego. Pozostał również skromny po wielu latach rządzenia Polską, jakim był podczas zesłania w mroźnych tajgach Sybiru, czy też wówczas, gdy jako gorące serce Legionów, oddawał całego siebie i grosz ostatni na sprawę narodową.



J. Piłsudski w Londynie.

Siedzą: Ignacy Mościcki — obecny Prezydent Rz. P., Bolesław Miklaszewski, Bolesław Antoni Jędrzejowski, Józef Piłsudski; stoją: Aleksander Dębski i Witold Jodko-Narkiewicz.



## Matka i Syn

Pełnią dobrego przykładu i podniety tchną niezliczone czyny Józefa Piłsudskiego. Oddziaływanie ich jest tem żywsze, że zaledwie jeden rok dzieli nas od śmierci Wielkiego Marszałka. Starając się jego życie zrozumieć jak najdokładniej, szukamy dziś tych wszystkich wpływów, które zaważyły na Jego uczuciach i czynach. Zapewne najwcześniejszem i górującem siłą ponad innemi wpływami był wpływ matki — z Billewiczów Piłsudskiej.

Postać jej, żywo staje przed nami, przybierając rozmaite kształty według obrazów, tak pięknie i z taką miłością malowanych żywym słowem i piórem Marszałka. Oto opiekuje się małym »Ziukiem« w zaraniu Jego dzieciństwa, albo towarzyszy Mu w wieku szkolnym, jako najlepsza przyjaciółka, nie opuszcza Go nigdy. Nawet po śmierci matki Józef Piłsudski przed powzięciem jakiegokolwiek decyzji, zamyśla się głęboko, chcąc wyczuć czułem sercem, jak Ona — Matka ustosunkowałaby się do takiej decyzji.

Matka Marszałka nauczyła się wcześniej patrzeć na życie poprzez najszlachetniejszą miłość Ojczyzny i Narodu, wcześniej umiała odczuwać ogrom nieszczęścia, hańbę niewoli i bohaterskie porywy polskie.

Dziadek jej, a pradziadek Marszałka nie szczędząc wrażliwości dziecka, ani później dziewczęcia, uczył ją czerpać siły z jedności narodowej tem większej, im bardziej panoszył się ucisk ciemniców. O dziejach Polski w niewoli opowiadał tak, jak się dzieciom opowiada bajki i opowiadki.

Te opowieści zasłyszane w dzieciennych latach, niezatarty pozostawiły ślad w sercu Marji Billewiczówny, nieugaszone rozpaliły uczucia, które później przelewała w dusze swoich dzieci, w nich budząc te same odruchy i ucząc je kochać Ojczyznę, cierpieć dla Niej i dla Niej żyć i działać.

Marja z Billewiczów Piłsudska posiadała głęboką świadomość macierzyńskiego powołania i była doskonale przygotowana do wszystkich tych obowiązków, jakie los nakłada Matce. Ale dopiero przy czwartem dziecku doprowadziła swoje metody wychowawcze do doskonałości. Uprzednio wszystkie jej nadzieje i najgorętsze życzenia pochłaniały bez reszty krwawe Rządu Narodowego zmagania narodowe i niepokój o męża, który był Komisarzem Rządu Narodowego na Żmudzi, podczas powstania 1863 r.

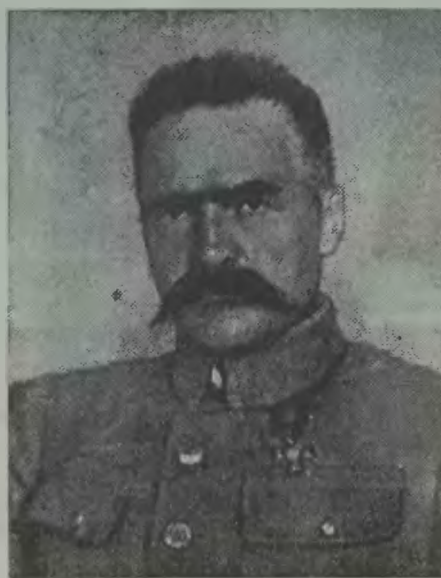
W burzliwą noc grudniową r. 1867 przyszedł na świat w dworku żułowskim syn Józef Klemens, który był dla matki najdoskonalszem spełnieniem obietnic życia. Wprawdzie kochała wszystkie dzieci jednakowo — Ziuk był jej sercu najmilszy, bo takie wyolbrzymione powtórzenie dodatnich cech matki w synu, zdarza się bardzo rzadko.

Józef Piłsudski nie tylko od dzieciństwa wykazywał niepospolite zdolności umysłowe, ale stał się wzorem syna w najprostszem i najpełniejszym tego słowa znaczeniu.

W licznych pismach i w mowach Marszałka podkreślał zawsze ogromny wpływ, jaki wywarła matka na kształtowanie się Jego indywidualności, a w szczególności podkreślał atmosferę patriotyzmu, która cechowała dwór żułowski.

»Matka — stwierdza Marszałek — nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać bólów i zawodów, spowodu upadku powstania; wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem Ojczyzny.«

W »Bibule«, napisanej w r. 1903 Piłsudski wspomina m. in. — »matka moja wyciągnęła niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała, ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów napamięć. Tajemnica, którą te chwile były otaczane, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracji, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jaki świadek trafiał przypadkowo na nasze rodzinne konspiracje — wszystko to zostawiało niezatarte wrażenie w moim umyśle«.



J. Piłsudski jako Naczelnik Państwa w r. 1921.

Synowska miłość Marszałka nie poprzestała na zwykłej serdeczności dziecięcej czy chłopięcej — i chociaż matkę stracił nazawsze już w wieku lat 17-tu — lecz w życiu dojrzałego człowieka wyznaczył matce przodujące miejsce.

Uczucie miłości nasiąkało z wiekiem niestabnącą czią dla tej, która Go obdarzyła życiem i której wzamian złożył w hołdzie u stóp skołatane i zamilkłe serce.

Dziś, gdy żywot i czyny Marszałka wspominamy, jako minione, mimowolnie, bez względu na wagę przekonań politycznych, musimy uchylić czoła przed wielkością i głębią Jego synowskiego przywiązania. Wykroczyło ono daleko poza ramy zwykłych uczuć rodzinnych.

Wykroczyło daleko poza osobę Matki, ogarniając płomieniem to wszystko, co matka ukochała. A więc Naród Polski przede wszystkim.

W dziejach naszych znamy kilka przykładów ogromnej miłości synowskiej. Król pięknej mowy polskiej Juliusz Słowacki, matkę obdarzał specjalnem przywiązaniem, które wyraziło się w nieśmiertelnym wierszu:



»Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą  
I serce moje spalą w aloesie,  
I tej, która mi dała to serce, oddadzą.«

Po wielu, wielu latach, po wielu, wielu przemianach, szczątki doczesne Juliusza Słowackiego sprowadzone zostały do Polski, aby spocząć wśród królów na Wawelu. Sprowadził je Józef Piłsudski.

A kiedy bezlitosna śmierć wydarła Narodowi Polskiemu Wielkiego Marszałka, serce Jego spoczęło w »miłem mieście«, Wilnie obok trumny matki.

Twórca Państwa Polskiego, Wódz Narodu, Genjusz, który wszystkie zaszczyty osiągnął, zwyciężył wszystkie przeszkody i nowy porządek wprowadził w życie Wielkiego Narodu, Genjusz ten — serce pochować kazał przy zwłokach Matki, spłacając dług tej, która Mu »dała to serce«.

Jakże szczęśliwą jest ta matka, której syn poprzez całe życie wywyższał ją z wdzięczności

zato, że nauczyła Go w dzieciństwie największych prawd życiowych i najpiękniejszych uczuć!

A równocześnie jak wielkie — widzimy — spada zadanie na matkę, aby swe dziecko umiała nauczyć żyć, kochać Ojczyznę i Naród, uczyć wytrwałości w pracy i siły woli. Warto jednak ofiarę bezsennych nocy, spędzonych przy łóżeczku dziecka, ponieść, warto od pierwszych kroków do młodości wpajać w nie miłość do ludzi i warto wolę kształtować, wolę tak silną, aby złamała wszystkie przeciwności! Warto wszystko poświęcić dla dziecka, aby takiej doczekać wdzięczności i takiego doznać zaszczytu, jak Matka-Polka doznała od największego w naszych dziejach Człowieka.

A stąd dla wszystkich wspólny jest wniosek: dla matek — miłość dzieci, dla dzieci — miłość matek.

Hal kar.

Adam Ostoja.

## „Dziadek“

Marszałek Piłsudski, może dlatego tak bardzo kochał dzieci, że ich radość, śmiech i pieszczota wywoływał w Nim obrazy własnego dzieciństwa.

Ale to słońce dzieciństwa rozjaśniało Mu tylko te najpierwsze, jeszcze nieświadome chwile w Żuławie, kiedy psoty i harce dziecinne opromieniały słodki i smutny uśmiech matki. Smutny, bo czasy po powstaniowie były straszne. W Wilnie szalał zły pamięci Murawjew-Wieszieli. Skrzypiały na wietrze szubienice. W więzieniach jęczały tysiące skazańców — drugie tysiące, łańcuchani skute, brnęły poprzez śniegi na Sybir — po śmierć męczeńską. Po domach polskich, miastach, wsiach i dworach panowała żałoba i smutek tem głębszy, że znikąd nie widać było żadnego ratunku, ani nadziei.

Już najmłodsze lata Marszałka okryte zostały chmurą tej żałoby. Już wtedy poczynął się bunt i żelazne postanowienie wyzwania na bój wszystkich mocy piekielnych, co Ojczyznę dławiły. Już wtedy wola urastała granitowa i moc charakteru, co przemóc miała nieprzemожone, zwalczyć — niezwalczone, zdobyć — niezdobyte. Tak wprost z małego dziecka, urastał człowiek troską o los wszystkich Polaków, całej Ojczyzny obarczony. Gdzieś na pograniczu dzieciństwa i meskości — zgubiła się młodość. Ta młodość, co jak wiosna uśmiechnięta radość niesie, serca syci beztrząsą, ufnością darzy cały świat.

Potem lata gimnazjalne spędzone w atmosferze ciągłej walki i buntu. Niemal z ławy szkolnej zesłanie na Syberję. Długie lata konspiracji — tworzenie Polski ukrytej, podziemnej — aby kiedyś nad ziemią była.

Nie — nie było w życiu Wodza dzieciństwa, ani młodości... dopiero w dzieciach polskich odnalazł Marszałek zgubione swoje lata.

Pewnie dlatego tak kochał dzieci.

I jeszcze dlatego, że w niewinnych sercach, w jasnych spojrzach, w ciemnych i złotych głów-

kach odnajdywał miłość bezinteresowną, szczerą, prawdziwą, tkliwość ufą, co wraz z kwiatami, laurkami, powinszowaniami, życzeniami — padała nie u stóp Jego, tylko na Jego serce.

Dlatego zapewne polskie dzieci, tak bardzo swojego »Dziadka« kochały.



Marszałek J. Piłsudski w otoczeniu dzieci w Belwederze podczas uroczystości imieninowych.

»Żywiołem szczęścia jest śmiech. A im bardziej nazywamy go dziecinny, tem więcej jest w nim nieba na ziemi. Umiałem, jako dobry żołnierz, śmiać się wesoło, gdy w życiu groziło niebezpieczeństwo.«



Podczas gdy gromił, uczył, kształcił, wskazywał, kształtował swoje dzieci dorosłe — cały Naród — nigdy nie czynił tego w stosunku do dzieci prawdziwych. Poprostu czuł się z nimi dobrze, radował się z nimi, śmiał — i odpoczywał.

Były to najmiłsze i najlepsze chwile Jego odpoczynienia. Zapominał wtedy o wielkim znoju rządzenia, o odpowiedzialności za losy całego Państwa, o nieustającej, wytężonej pracy, o latach czynu i walki, co szronem spadły na głowę, co pochyliły barki ku ziemi. Na nowo był młody, na nowo był dzieckiem — i śmiał się wtedy beztrąsko, radośnie.

Kiedy jeszcze był Komendantem Legionów, kiedy był Naczelnikiem Państwa, kiedy w osamotnieniu przebywał w Sulejówku i później gdy, jako Wódz Narodu w białym zamieszkał Belwederze, z całego Kraju i z poza granic ciągnęły gromady dzieci do »Dziadka«.

Marsowa postać prostowała się, rozchmurzały się brwi krzaczaste, rozjaśniało się zaszępienie oblicze i najczulszy, najserdeczniejszy wykwił uśmiesz na twarzy. Zaczynały się wtedy śmiechy i zabawy. Dzieci tańczyły, śpiewały, deklamowały i wcale nie bały się Dziadka — a Wielki Dziadek powracał do siebie uśmiechnięty, zamyślony. Pewnie o własnym myślał dzieciństwie i o tem, jak inne jest dzieciństwo w tej Polsce, która wywalczył i w którą tchnął życie.

Pewnie myślał, jak z polskich dzieci wyrosną prawi, dzielni ludzie, co hańby niewoli niezaznawszy, wolne imię potężnej i zwycięskiej Polski poniosą w cały świat.



Marsz. J. Piłsudski z ukochanymi córeczkami Jagódką i Wandzią.

## Marszałek Piłsudski a sport

Marszałek Józef Piłsudski interesował się żywo sprawami Wychowania Fizycznego w Polsce. W głębokiej trosce o odrodzenie człowieka polskiego, o uczynienie go potężnym i silnym w trudach życia oraz w pracy nad ugruntowaniem wielkości państwa. Marszałek uważał sprawę wychowania fizycznego za jedno z naczelných zagadnień. Uznał, że przez wychowanie fizyczne podniesie się poziom stanu i sprawności fizycznej człowieka, wartość użyteczna jednostki we wszystkich jej pracach i zadaniach życiowych.

Marszałek uważał, że sprawę wychowania fizycznego młodego pokolenia powinna rozwiązać i zrealizować przede wszystkim szkoła. Sam uważał się za przedstawiciela dzieci, zwłaszcza dzieci młodszych i w ich imieniu dopominał się, by przedmiot ten był w zgodzie z psychiką i rozwojem dziecka. Znamiennie są Jego słowa: »Musimy się starać, aby w seminarjach nauczycielskich wpoił to przekonanie, iż trzeba stać się dzieckiem, aby z dzieckiem móc się dobrze bawić, nie narzucając zabawie stałego jakiegoś szablonu.«

I w wychowaniu fizycznym młodzieży pozaszkolnej dał On dużo zdrowej inicjatywy i oświeślenia niektórych spraw, które i dla nas na Śląsku są aktualne. Teren pracy pozaszkolnej dzieli na ośrodki miejskie, wiejskie, wojskowe i t. d. i dla każdego z tych ośrodków wskazał drogi i metody. Jak we wszystkich dziedzinach życia, tak i w wy-

chowaniu fizycznym młodzieży pozaszkolnej dusza działania musi być odpowiednio wyszukany i dobrany człowiek. »Jeżeli jest taki człowiek — wszystko pójdzie dobrze, jeżeli niema — nic nie pójdzie.«

Przestrzegał Marszałek przed zwyrodnieniem w sporcie, przed specjalizacją. O pewnej uczennicy gimnazjum, w której jakiś trener wykrył materiał na znakomitą płotkarkę (bieg przez płotki — przyp. red.) tak mówi: »Jej celem jest tylko, żeby jeden płotek za drugim przeskoczyć. I ona ciągle to robi. Przecież to może życie zbrzydzić. Można unieść się w stratosferę sportu i uważać, że zadaniem życia jest wyciągnąć jeszcze minutę, jeszcze milimetr. Ale ja nie mogę się nie obawiać o te dziewczynę w tak młodym wieku, gdy ją zrobiono znakomitą płotkarką i specem w płotkowaniu. Toż to koniec świata!«

Ciekawem dla nas jest zapatrywanie się Marszałka na piłkę nożną. Marszałek chętnie przyglądał się zawodom w piłkę nożną, jako przykład zgrania i solidnej walki, ale często szydził z moralnego poziomu gry. Gani zbyt długi czas trwania meczu i sądził, że »to wyduszanie potu przez półtorej godziny, musi doprowadzić do zepsucia serca po pewnym czasie«.

Krytykuje Marszałek jednostronność i specjalizację innych gałęzi sportu, jak w »tym najwstrętniejszym wysiłku — boksie«, w rzucie dyskiem itd.



O tym sporcie rekordowym (widowiskowym, wy-  
czynowym) wraz z jego jednostronnością, specja-  
lizacją i ukrytym profesjonalizmem, wyraża się  
Marszałek nie bardzo pochlebnie i przeciwstawia  
mu sport o charakterze rozrywkowym, który sam  
nazywa »sportowaniem« i oświecła go na przy-  
kładzie swoich córek: »Moje panny ciągle sportują,  
bez końca, całymi dniami, ale tak samo poprzednio  
bawiły się w chowanego i bieranego. Sportowanie,  
to przecież ciągle zabawa. Więc teraz zabawa jest



Marsz. J. Piłsudski przewodniczy posiedzeniu Rady Nauko-  
wej Wychowania Fizycznego, której był twórcą.

»Dla prowadzenia dzieci młodszych, nawet  
dla chłopców, wydaje mi się, że w pracy wy-  
chowania fizycznego najlepszą jest kobieta,  
która z natury rzeczy ma dar właściwego po-  
dejścia do dzieci i łatwość zajęcia się nimi.«

w siatkówkę, bez siatki, przez gałąź drzewa itd.«  
Innym razem mówi: »Rozumiem sportowanie, nie  
rozumiem sportu.«

Jak doniosłe znaczenie wychowawcze przypie-  
sywał Marszałek wychowaniu fizycznemu, świad-  
czy powołanie przez niego do życia Państwowego  
Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia  
Wojskowego i włączenie troski o wychowanie fi-  
zyczne młodzieży do obowiązków Państwa. Z Jego  
inicjatywy i przy Jego niegasnącem zaintereso-  
waniu powstał Centralny Instytut Wychowania Fi-  
zycznego w Warszawie, obecnie nazwany jego  
imieniem, uczelnia, której zadanie polega na kształ-  
ceniu rozumnych wychowawców fizycznych mło-  
dych pokoleń. On wreszcie utworzył Radę Nauko-  
wą Wychowania Fizycznego, najwyższy organ o-  
pinii społecznej w sprawach wychowania fizycz-  
nego a zarazem organ doradczy Rządu. Sam stanął  
na jej czele, przewodnicząc osobiście na plenarnych  
posiedzeniach Rady i na tych posiedzeniach sformu-  
łował swoje w sprawach sportu stanowisko.

Wielostronność geniusza Marszałka Józefa  
Piłsudskiego objawiła się w poszukiwaniu źródeł  
siły i potęgi narodu. W tem poszukiwaniu zwrócił  
on uwagę na konieczność wychowania fizycznego  
młodego pokolenia, określił cel, wskazał drogi i  
metody, jakimi pójść ono w Polsce powinno. Bo-  
lejąc nad niedorozwojem fizycznym starszego po-  
kolenia, jego nieumiejętnością dostosowania się  
do Państwa i do jego obrony, pragnął uchronić mło-  
dzież przed tym niedorozwojem i uczynić ją sil-  
niejszą i lepiej przysposobioną do życia i zwycię-  
skiej walki o przyszłość. »Polska czeka na innych  
ludzi.«

Trudy Jego nie poszły na marne, wyrosły bo-  
wiem zastępy młodych, twardych charakterów,  
łegkich i zahartowanych Polaków. -efem-

J. Piłsudski.

## Moje pierwsze boje

(Z rozdz. »Limanowa-Marcinkowice«.)

Cała kawalerja jest już na nogach, konie po-  
siodłane, ułani przy koniach pośpiesznie kończą  
przygotowania do wymarszu. Nic schodząc z ko-  
nia, wołam do Beliny:

„Belina! przyszedł wasz wielki dzień! Na koni  
i jazda za Dunajec! Tam, drogą od Sącza na  
północ, ciągną jakieś wielkie i długie tabory.  
Użyć możecie, ile dusza zapagnie! Wymarsz na-  
tychmiast. Jeden pluton dla bezpieczeństwa na  
Rdziostów. Zluzuję go piechotą, gdy nadejdzie.  
Za wami pójdzie I bataljon. Meldunki jak naj-  
szybciej do mnie, tutaj do Marcinkowic.“

— „Tabory, Komendancie!“ jęknął prawie  
Belina, siadając na konia.

Za chwilę sto kilkadziesiąt jeźdźców tegim  
kłusem ruszyło ku Dunajcowi na mostek, rzuczo-  
ny przez saperów. Artylerja już szła mimo Mar-  
cinkowic, widziałem, że z góry Rdziostowskiej spu-  
szcza się ku mnie piechota, a na jej spotkanie po-  
suwa się ku górze garstka ułanów, odkomende-  
rowana na Rdziostów. Posłałem po I bataljon, a  
sam ze sztabem udałem się na posiłek, na który

gościnni gospodarze zapraszali. Poprosiłem o  
szklankę mleka i kawałek chleba jeszcze przed  
śniadaniem, byłem bowiem bardzo głodny.

Pamiętam tę rozkoszną chwilę, gdy zmęczony  
i niewyspany wyciągnąłem na całą długość zmu-  
żone nogi i z rozczeniem głodnego oglądałem  
szklankę zimnego mleka z cudownym, smacznym  
chlebem, myśląc napół o gorącym śniadaniu, które  
zaraz podadzą, napół o tem, co też zawierają te  
wozy, które za chwilę może, wraz ze śniadaniem,  
będę oglądać. Wypiłem już pół szklanki mleka i  
sięgnąłem po papierosa. Ba! nie sądzono mi  
już było ani zjeść śniadania, ani nawet skończyć  
tej szklanki mleka, która stała przede mną. Roz-  
poczęła się tragedia marcinkowicka!

Do pokoju wpadł jak bomba Brzoza. — „Ko-  
mendancie! — wołał — Moskale okopują się tam  
na górze za Dunajcem!“

— „Co za głupstwo!“ — odpowiadam — „to  
być nie może.“

— „A jednak tak jest! Ze strychu doskonale  
widać!“



Zrywam się, chwytam za czapkę i futerko. Biegniemy po jakichś stromych schodach i przez okienko na strychu oglądamy ową górę, która wznosiła się tuż nad zbudowanym przez saperów inostem. Szare ołowiane niebo nie pozwala dokładnie przekonać się nawet przez silną lornetkę, kto właściwie tam na górze stoi. Widać jednak wyraźnie, że ludzie w liczbie może trzydziestu kopią tam, a jeden z nich stoi i przez lornetkę bada okolicę.

— Dlaczego sądzą, że to Moskale? — pytam Brzozę — to muszą być nasi saperzy. Mają rozkaz, zabezpieczyć most i przecież nie uczynili tego, jak policjanci, stojąc przy moście, ale postawili, bo postawić musieli, posterunek na górze. Tylko przecież w ten sposób mogli most zabezpieczyć. A teraz na rozgrzewkę i dla sprawy saperskiej kopią okop.

„Może być — odpowiada Brzoza, trochę przekonany, — tylko mnie się wydaje, że oni wysypują ziemię w naszym kierunku, saperzy zaś wyrzucaliby ziemię z rowu w tamtą stronę.“

Przypatrywałem się długo i nie mogłem dojrzeć, czy istotnie tak jest, jak Brzoza mówi. „Et! — pomyślałem — dla uspokojenia posłę kogokolwiek do saperów. Nie może przecież być, by byli oni tak nierozsądni i nie obsadzili choć posterunkiem obserwacyjnym tej góry nad swoim mostem. A zresztą, gdyby to byli Moskale, musieliby już dostrzec jazdę Beliny i teraz jużbym słyszał strzały.“ Uspokojony schodzę, by wrócić do swej szklanki mleka.<sup>1)</sup> Gdy jestem na podwórzu, słyszę zbliżający się silny tętent koni w galopie. Na podwórzu wpadają ulani, a oficer, spostrzegłszy mnie zdaleka, woła:

„Komendancie! Moskale są w Rdziostowie. Piechota, silny oddział, rozwiniętą tyraljerą idzie ku nam. W tyraljerze najmniej dwie kompanje.“

I w tej chwili przez podwórze zaczynają bzykać pierwsze kule. Idą istotnie od strony Rdziostowa. Stoję chwilę zupełnie bezradny — całe dotychczasowe moje pojęcie o sytuacji runęło w jednej chwili. Teraz zaczyna grać za Dunajcem muzyka. Naprzód beładne strzały karabinowe, parę salw — i w ten grzechot karabinowy wpada suchy, bezmyślny, równomierny trzask karabinów maszynowych. Włosy mi stają na głowie! Coś chwyciło mnie za serce.

Zgubiłem swoją kawalerję!

Na podwórze wypadli oficerowie i ordynansi. Szef chwycił mnie pod rękę i gwałtem wyciągnął za stodołę z podwórza, przez które gęsto już szły kule. Ordynansi śpiesznie siodłali konie, wyprowadzając je potem za stodołę. Wkrótce zaczęły grzmieć nasze karabiny. Wieczorkiewicz rozwinął swoją kompanję przeciw Rdziostowi. Od mostu, również ku Marcinkowicom grupkami ścigali się saperzy, a za Dunajcem coraz silniej trąkotały karabiny maszynowe. Każdy strzał odbijał mi się na sercu. W głowie była tylko jedna myśl: „Jezus, Marja, zgubiłem Beliniaków!“ Raz po raz wysuwałem się z poza stodoły, patrząc, jak na górze Rdziostowskiej rozwija się nieprzyjaciel. Szu-

kałem poprostu, by jakakolwiek kula mnie zaczęła. Byle nie mieć tej ciężkiej myśli w głowie, byle nie czuć tego ołowianego ciężaru w sercu! — „Na łatwe zwycięstwo nad taborami — myślałem — posłałeś ich! Na śmierć ich posłałeś, ot co jest, i to na śmierć bez potrzeby i pożytku, dlatego jedynie, żeś się omylił w ocenie sytuacji!“ Lecz i kula mnie nie trafiała i Szef za każdym razem wciągał mnie zpowrotem za stodołę. Wreszcie ujął mnie silnie pod ramię i stanowczym głosem powiedział:

„Komendancie! Nic tu nie wystoimy, musimy odchodzić do piechoty!“

Narazie z wściekłością ruszyłem ramionami. Przyszło mi na myśl, by odesłać cały sztab a zostać samemu. Była to jakby potrzeba serca. Może jakaś resztką tej jazdy wróci. Potem znowu przyszła myśl o ratunku: mam przecie jeszcze piechotę; pójść z nią na pomoc? Ale nie! Ta wąziutka dolina, w której staliśmy, była pod strzałami i z prawa i z frontu. Gdzież tu rozwinąć się i jak w dodatku forsować pod takim ogniem Dunajec i drapać się tam na górę, gdy z prawa w każdej chwili możemy być odcięci od drogi odwrotnej.

A Szef, jakby odgadując moją mękę, dodał:

„Komendancie! Nic tu nie zrobimy. Pomagając kawalerji, zgubimy i piechotę. Trzeba się cofać!“

Istotnie nie było innej rady. Machnąłem ręką, by prowadzono naprzód konie i odjeżdżali konni. Sam z Szefem szedłem pieszo. Narazie posunęliśmy się drogą wgłębiając, potem drzewa osłaniały nas od Rdziostowa. Byliśmy jednak zupełnie odkryci dla nieprzyjaciela z za Dunajca. Jakoż, gdyśmy uszli paręset kroków, gwizdnęły za nami stamtąd dalekie kule, a po chwili rozległ się nad głowami suchy trzask, wkoło na drzewa i na szosę posypały się liczne kule, a po szosie tuż koło naszych nóg, brzęcząc, podskakiwała szklanka szrapnelowa. Jest i artylerja! Więc to dudnienie na szosie, to nie były tabory, lecz armaty i jaszczki! Po chwili znowu posłano ku nam parę szrapneli. Wzięli naszą grupę na oko! Konni i ordynansi z wystraszonemi luzakami ruszyli pędem ku najbliższemu zagłębieniu. Ja z Szefem stanęliśmy na chwilę za drzewami. Artylerja przeniosła ogień w inną stronę, ku kompanji Wieczorkiewicza. Ruszyliśmy z Szefem dalej i wkrótce w osłoniętej kotlinie spotkaliśmy bataljon Bojarskiego. Kazałem mu rozwinąć jedną kompanję — gdyż dla większego oddziału w tej dolince, po której szła droga, nie było miejsca — tak, by mógł zapewnić odwrót Wieczorkiewicza. Na prawo i lewo ma wysłać na pagórki silne patrole i czekać rozkazu o prawdopodobnym odwrócie.

Nad nami od czasu do czasu pękały szrapnele, nie czyniąc zresztą szkody nikomu wobec doskonalego ukrycia, jakie ta kotlinka z dosyć stromemi brzegami dawała od ognia polowych armat.

Wreszcie doszedłem do tego miejsca, skąd poprzedniego dnia wieczorem wyruszyłem do Marcinkowic i na Rdziostów. Sztab był już zupełnie spakowany i cofnął się dalej wobec tego, że i tu już zawitały szrapnele rosyjskie. Niedaleko w ukryciu stał III bataljon, artylerja i karabiny maszynowe. Przyszedłem tam rozbity na ciele i

<sup>1)</sup> Już jako Naczelnik Państwa pojechałem rozmyślnie do Rdziostowa i Marcinkowic. W Marcinkowicach kazałem przygotować sobie na spotkanie szklankę mleka. Nie mogłem znieść na sobie tego, że taki głodny, jak wtedy byłem, nie dopił mleka.



duszy. Duszę rozdzierał ból z powodu ułanów, ciało było strasznie zmęczone. I nagle błysk nadziei. Od dywizji, która została w tyle w Kaninie, przyszło krótkie zawiadomienie, że „alles soll vorgehen.“ „Może otrzymali — pomyślałem sobie — posiłki, że są tak odważni! Ja mam tu przed sobą znaczną przewagę nieprzyjacielską, ale jeśli już wszystko ma iść naprzód, trzeba zrobić też wszystko, aby dopomóc do zwycięstwa, chociażby to nas miało dużo kosztować. A może tu dopomożemy trochę kawalerji. Więc naprzód!“ Szef wyrażał swe wątpliwości i twierdził, że będziemy postawieni w sztychu. Nie chciałem słuchać tych zgryźliwych uwag. Zatrzymamy na sobie tę przemoc nieprzyjacielską i ułatwimy w ten sposób rozwijanie się i postęp tych, co tam szosą Limanowa-Nowy-Sącz będą parli naprzód.

Więc tak! Front mamy wąziutki i dla osłony drogi samej wystarczy kompanja. Reszta pierwszego bataljonu i Wieczorkiewicz rozwiną się ku Rdziostowowi. Artylerja Meisnera, karabiny ma-

nych przez nas Marcinkowic. Posłałem natychmiast do dywizji zawiadomienie, że mam przed sobą nieprzyjaciela w znacznej przewadze: wróg pokazał co najmniej dwie baterje, a piechotę można obliczać na 3—4 bataljony z względnie wielką ilością karabinów maszynowych, które trąkotały, jak wściekłe, w różnych stronach. (Prosiłem o możliwie szybkie posunięcie się naprzód oddziałów austriackich, gdyż długo tego boju nie będę mógł wytrzymać.

Nierówny bój ogniowy trwał, z widoczną jednak przewagą ognia nieprzyjacielskiego. Artylerja rosyjska, która ostrzeliwała wzdłuż całe moje prawe skrzydło, sypała szrapnelami jak z rękawa. Chłopcy moi jednak trwali i odparli parę prób rosyjskich zbliżenia się do nich od Rdziostowa. O próbach tych mówiły mi fale nagle wzmagającego się ognia naszych karabinów. Każda taka krótsza nawałnica ogniowa napinała mi nerwy w trwożnem oczekiwaniu. Nie miałem przecie nic już prawie w ręku, aby na dłużej zatrzymać nie-



J. Piłsudski ze sztabem Legionów w Kielcach w r. 1914.

szynowe i dwie kompanje pójdą na lewe skrzydło. Muszą się wdrapać na górę, przejdą lasem prawie niepostrzeżenie i staną do boju tak, by zatrzymać przeprawę Rosjan przez Dunajec. Jedna kompanja w rezerwie przy mnie. Nasza artylerja jest narazie zupełnie nieużyteczna. Wobec niewielkiej portée musiałyby stanąć bardzo blisko za swoją piechotą, by przy strzelaniu nie razić swoich zamiast nieprzyjaciela. Tutaj, nimby wyjechała na pozycję, jużby była w ogniu karabinowym Rosjan. Trzeba tę zabawę z „werndlami na kółkach“ odłożyć. Rozkazy poszły, wszystko ruszyło na wskazane miejsca i wkrótce już słychać było wzmożony ogień naszych karabinów na naszym prawem skrzydle. Widzę, jak nad naszą piechotą, gdy się rozwijała, nisko pękają szrapnele. Zaczynają napływać ranni — jest ich narazie niewielu. Artylerja i karabiny maszynowe kazały na siebie czekać dłużej — miały dłuższą i przykrą drogę raczej po zboczach góry. Przyszły jednak jeszcze na czas, by rozpocząć ogień akurat na przeprawiających się przez Dunajec Rosjan. Bój rozpoczął się na całej linii. Moskale wobec wzmożonego ognia nawet nie próbowali zająć opuszczo-

przyjaciela, a przy przełamaniu mego prawego skrzydła Rosjanie odrazu odcinali drogę odwrotu dla artylerji na lewem skrzydle. Ale nie! Po kilku chwilach słychać było znowu wolny ogień naszych chłopców, jakby mszczący się za niepowodzenie swoich i ogień armatni z za Dunajca. Armaty musiały stać gdzieś bardzo blisko, gdyż huk strzału i wybuch pocisku słychać było prawie jednocześnie.

Lewe skrzydło też pracowało — kilka prób rosyjskich przeprawy przez Dunajec utknęło pod silnym ogniem Meisnera, Bessermeny'ego i mojej piechoty. Trzymaliśmy się pomimo, iż oba skrzydła właściwie wisiały w powietrzu i że mieliśmy przed sobą widoczną przewagę nieprzyjaciela. Lecz czuło się, że tak długo trwać nie może. I ja i Szef — obaj z różnemi myślami — oglądaliśmy się wciąż na prawo, na góry, pomiędzy którymi przechodzi szosa Limanowa-Sącz. Ja oczekiwałem, że usłyszę tam nareszcie karabiny i armaty austriackie. Szef patrzył z obawą, czy stamtąd nieprzyjaciel nie obejdzie naszego prawego skrzydła. Pesymista — niestety — miał rację.



Nasz bój trwał już może ze trzy kwadranse, gdy nagle od prawego skrzydła doniesiono mi, że nieprzyjaciel wychodzi z lasów już na tyły. I istotnie po chwili usłyszeliśmy już prawie za sobą trzask karabinów maszynowych, a triumfująca artylerja rosyjska wzmocniła swój ogień na prawe skrzydło, zaginające się mocno ku szosie, na której stałem. Nastąpiła najkrytyczniejsza chwila dnia. Dalej trwać w tem położeniu było niepodobieństwem.

Wąska, czwartorzędna, szosa Limanowa—Marcinkowice była naszą jedyną drogą, która nas



J. Piłsudski jako Komendant Legionów nad Nidą  
w marcu 1915 r.

łączyła z naszym światem. Biegła ona w wąskiej dolince, wśród prawie nieprzerwanych zabudowań wiejskich. Z prawa, o jakie paręset kroków, wznosił się niewysoki wał, który opadał łagodnie ku południowi, formując znowu wąską dolinkę. Za nią były już wyższe wzniesienia, zalesione góry, wśród których szła szosa Limanowa—Nowy-Sącz. Pierwszy wał chronił od strzałów karabinowych z prawa, od skraju lasów, tylko szosę, sam wał był pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych. Szosę samą zaś już nie chroniło od widoku z gór zalesionych. Stamtąd można było przez dobrą lornetkę policzyć każdy wóz, każde-

go konia i człowieka na szosie i naturalnie wystarczało postawić tam baterję, aby ruch na szosie uniemożliwić.

Na lewo od szosy teren spadał wdół, formując coś w rodzaju parowu, a potem podnosił się silnie, formując górę dosyć grubo zalesioną, lecz, jak mnie się zdawało, zupełnie zdatną dla manewrów nawet kawalerji.

Gdyśmy więc zprawa, zamiast spodziewanej pomocy, otrzymali przywitanie w postaci ognia karabinowego, oczekiwałem stamtąd jako dalszego ciągu, ognia artylerji, a zarazem zajęcia pierwszego wału w tyle poza końcem mego prawego skrzydła, które już i tak walczyło na tym samym wale z frontem na południe, ku lasom na wysokich górach. Przedewszystkiem więc trzeba było przedłużyć skrzydło. Posłała na to rezerwową kompanję, poszli saperzy. Jak tylko ukazali się na wale, spotkał ich gęsty ogień karabinowy.

Teraz nie było już innego wyboru. Trzeba się cofać. Przedewszystkiem wyprowadzić artylerję z lewego skrzydła na tyły tak, by ją postawić przeciwko najgroźniejszemu niebezpieczeństwu zprawa. Nie mogą tracić obcych armat. Trzeba wytrzymać, dopóki lewe skrzydło nie cofnie się z daleko wyrzuconego naprzód stanowiska. Posłałem rozkazy odpowiednie, na front zaś i prawe skrzydło polecenie, że muszą wytrwać, aż lewe skrzydło i artylerja się nie wycofa. Wtedy, lecz dopiero wtedy, stopniowo ściągać mają prawe skrzydło z wału, przerzucając je po szosie na przedłużenie skrzydła ku Limanowce.

Szło teraz o to, kto prędzej dokona swego manewru. Czy my zdążymy wycofać swoje lewe skrzydło i wzmocnić się na swoim skrajnem prawem skrzydle, czy Moskale zdążą nas obejść zupełnie i zająć wał koło szosy, na naszych tyłach. Jeżeli wyprzedzą nas Moskale, mamy drogę odwrotu odciętą. Zepchnięci jesteśmy z szosy do parowu i pod strzałami drapać się musimy na bezdrożną górę, na lewo od nas. Przy rozciągnięciem do niemożliwości frontu nie może się to odbyć w porządku, więc muszą być wielkie straty, albo poprostu zniszczenie całego oddziału.

I w tej właśnie krytycznej chwili otrzymałem odpowiedź od dywizji na mój raport. Odpowiedź była oryginalna. Brzmiała ona, że oddział austriacki, tam na górze się znajdujący, może tylko wówczas ruszyć naprzód, jeśli ja wpadnę na skrzydło i tyły nieprzyjaciela! Masz babo placek! Nieprzyjaciel mi się pakuje właśnie na skrzydło i tyły, a ja mam szukać jego skrzydeł i tyłów. Akurat w porę rada! Komunikat dodawał, że z powodu przejścia mego oddziału pod inną komendę, mam natychmiast odesłać karabiny maszynowe.

Byłem przygotowany teraz na najgorsze. Dotąd jeszcze nie przebolełem straty kawalerji, gdzieś w głębi duszy czułem wyrzuty przeciwko sobie za tę niepotrzebną hekatombę. Narazie dusiłem je w sobie, by nie zawadzały w spokojnem dowodzeniu, lecz czułem, że tylko usuwam na czas pewien surowy sąd, który będę musiał wydać na siebie. A teraz zdawało mi się, że po ułanach przyszła kolej na innych. Czułem dokoła siebie, nerwowy nastrój, czułem i w sobie wzrastające „nerwy“. Jak zwykle podsuwały one mi coraz



czarniejsze przypuszczenia. Więc lewe skrzydło się cofnie. Moskałe, oswobodzeni z pod jego ognia, przejdą łatwo Dunajec, a raz przeprawivszy się, wpadną mi już nietylko na prawe, ale i na lewe skrzydło. Parę sotni kozaków górą łatwo obejdzie cofającą się artylerję i piechotę, no i wówczas koło się zamknie. Nikt z nas stąd nie wyjdzie. Nie wiem, coby było, gdybym był sam. Przypuszczam, że poddałbym się rozpacz i, nie czekając końca, w łeb bym sobie strzelił. Lecz byłem w otoczeniu, gdzie wyczuwałem „nerwy“. Budził się we mnie duch przekory i wstyd. Wiedziałem, że wszyscy patrzą na mnie, oczekując ode mnie wyjścia z opresji. Gniotłem więc w sobie całą rozpacz, by być spokojnym. Paliłem papierosa za papierosem i to może było jedynym dowodem moich nerwów. Mogę jednak zapewnić, że je miałem i że skóra mi cierpła na myśl, co za chwilę stać się musi.

A tu trzeba było czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Okropnem jest czekanie! Niecierpliwość jakaś dusi, wszystko się wewnątrz burzy, by szukać jakiegoś ratunku, wymyśleć jakieś sposoby, by zapobiec złemu. Zwykle, gdy się temu nastrojowi poddaje, wprowadza się tylko chaos i nieporządek. A jednak to takie ludzkie! Czułem to w sobie i gwałtownym wysiłkiem woli zmuszałem siebie do spokoju. Zrobione już jest wszystko, jedyną rezerwą jest nasza garstka przy mnie — kilku oficerów i ordynansów. Reszta wszystko w ogniu. A ogień wzrasta. Słyszę, jak coraz częściej grzmia nawałnicowo nasze karabiny, zatem nieprzyjaciół, ośmielony powodzeniem, coraz częściej szuka zbliżenia z nami.

Wreszcie ogień naszych armat ustał — a więc rozkaz cofania się doszedł, lewe skrzydło zaczyna się związać. Z tego miejsca, gdzie stoję, nie będę widział drogi, po której będą schodzić z góry. Obejrzałem się. O kilkaset metrów za mną obok drogi, na wzniesieniu, stał kościół murowany. Odejdę tam i będę czekał na przejście artylerji. Kościół dokoła otoczony murem, nawet nasza mała garstka może się jeszcze przez czas pewien bronić, jeżeli już sądzono nam dzisiaj zginąć. Wolnym krokiem ze spuszczoną głową otwieram nasz odwrót. Uszedłem paręset kroków, gdy ktoś mnie szarpnął za rękaw.

— „Komendancie! Grzmot z jakimś meldunkiem do Komendanta!“ Obejrzałem się. Przy szosie, wyprostowany, jak struna, stał ułan — istotnie Skotnicki. Spojrzałem na jego twarz i odechciało mi się pytać: twarz mówiła swój liubowy raport. Ładny, jak malowanie, chłopak, wyprostowany, salutował. Oczy miał podkrążone i wpadnięte głęboko, usta czarne, spalone gorączką. Widać było na twarzy wielką wewnętrzną walkę, by nie rozpłakać się.

„Obywatelu Komendancie! — mówił — Belina przysłała mnie po rozkazy. Dwóch oficerów i dwudziestu czterech ułanów stoi do dyspozycji Komendanta.“

„Jezu! — jęknęło coś we mnie — a posłałem ich stukilkudziesięciu.“ Nie miałem chęci pytać o szczegóły, było to ponad moje siły. Może nawet uraziłem tym Skotnickiego, lecz przybrałem chłodną minę tak, jakbym jego raport uważał za rzecz zupełnie naturalną.

„Obchodzą nas z prawa — powiedziałem — nie mam już ani jednego człowieka w rezerwie. Sprowadzicie tu na szosę Belinę i macie przedłużyć skrzydło. Odpoczniecie potem! Chwila jest bardzo krytyczna. Dołączyć lewem ramieniem do saperów!“

Nie patrzyłem na młodego oficera. Bałem się wewnętrznie wyczytać w twarzy jego ślady



Marsz. J. Piłsudski w drodze z Belwederu do G. I. S. Z. w Alejach Ujazdowskich.

wyrzutu. Chłopak zasalutował, brzęknął ostrogami i odszedł. Zbliżałem się do kościoła. Istotnie stąd można było widzieć nieco więcej.

Walczyliśmy już teraz prawie wyłącznie z frontem na południe. Chłopcy leżeli długą rzadką linią na wale, równoległe do drogi, którą cofaliśmy się. Wzdłuż nad nimi raz po raz pękały szrapnele. Z lasu naprzeciw nich wypadały od czasu do czasu łańcuchy tyraljerskie, ogień nasz się wzmacniał i zatrzymywał atakujących. Najbliższej





Marsz. J. Piłsudski z odznaczeniami wszystkich prawie państw na świecie.

niętej części frontu, niedaleko od Marcinkowic. Moskale podeszli w najbardziej na wschód wysun. Bliżej do mnie, ku zachodowi, było jeszcze pomiędzy liniami sporo przestrzeni. Odetchnąłem, niebezpieczeństwo nie takie jeszcze groźne, jak myślałem. Może nadążymy! Tylko teraz zacząć napierać i od wschodu, wprost na szosę. Moje lewe skrzydło, które broniło przeprawy przez Dunajec, już sporo czasu jak milczy. Obejrzałem się na lewo i spostrzegłem jeszcze dosyć daleko na zboczu pomiędzy drzewami juczne konie baterji, schodzące nadół do parowu. Jeszcze jaki kwadrans i już można zacząć związać front od Rdziostowa.

Z naprzeciwka z plebanji wyszedł staruszek ksiądz, pytając, czy nie może czem służyć. Przypomniałem sobie, że właściwie od kolacji poprzedniego dnia nic nie jadł. Przed plebanją wypilem łączywie parę szklanek mleka. Zaczęły raz po raz wybiegać z mlekiem, gdy widział, że przenoszono czy przeprowadzano rannych. Było ich zresztą wciąż na szczęście niewiele.

Jeśli jednak nieprzyjaciół nie obchodził nas zbliżająca się szybko, zato na górach koło szosy obejście było znacznie głębszem. Tam widać było

na łysinach lasów grupy i grupki znacznie dalej posunięte, niż to było na dole u skraju lasów, na zboczach gór. W paru miejscach widać było pracę koło okopów.

Wreszcie gdzieś zdaleka rozległ się znany mi z boju pod Laskami cichy lecz głośny odgłos — ciężka artylerja. Istotnie! zaraz potem rozległ się powolny wstrząsujący się w powietrzu lot pocisku. Ten odgłos gdzieś z góry zbliża się tak powoli, że oko bezwiednie szuka go w powietrzu, a zarazem tak złowrogo i nieubłaganie świszczy i szepleni tam coś w powietrzu, jakby mówiło ono: „Nie ujdiesz. Ja, śmierć pewna, idę ku tobie, a idę powoli, nie spiesząc się, bo chcę widzieć, jak twarz ci blednie przedtem, nim umrzesz!“ W tym złowrogim świszczeniu pocisków ciężkiej artylerji jest odcień chichotu, chichotu siły, złośliwej, pewnej siebie, leniwie poruszającej się i urągającej bezsilnemu człowiekowi. Niema w nim tego pośpiechu, gorączki i krzykliwości polowych armat i ich pocisków.

Pocisk przeleciał powoli nad nami, za chwilę rozległ się wybuch, połączony z jakimś jękiem, jakby ziemia ciężko westchnęła, przyjmując w swe łono tego potwora. Z ulgą oglądamy się wszyscy, kontrolując, gdzie padł pocisk. Z parowu za szosą podnosi się w górę fontanna ziemi, wykwitając stamtąd potwornym kaktusem.

„Kuferek!“ — słyszę szepty z odcieniem szacunku dokoła.

Rozstrzygam w myśli zagadkę, do czego właściwie wstrzeliwuje się artylerja: do nas, stojących przy kościele, czy do zbliżającej się do parowu mojej baterji. Po kilku strzałach jasne już jest, że celem „kuferek“ jest moja artylerja. Ściągnęła ona na siebie baczność obserwatora i teraz widać, jak raz po razie niedaleko od niej wybuchają „kufarki“. Myślę z pociechą, że gorzej by było, gdyby pociski padały koło nas. Nie o nas osobiście mi szło, lecz o cały oddział, który musiałby się cofać wśród palących się chałup i zabudowań. „Kufarki“ tym razem nie zrobiły żadnej szkody, przeszkodziły tylko Meisnerowi stanąć raz jeszcze na pozycji dla przykrycia cofania się piechoty. Odważny oficer spróbował znaleźć ukrycie w załomie gruntu i już zaczął rozjuczać konie, lecz nieprzyjaciół ze swych gór doskonale mógł obserwować. Kilkanaście „kuferek“ wystarczyło, by przepłoszyć konie i uniemożliwić tę pozycję. Biedny Meisner musiał cofać się dalej, ścigany od czasu do czasu „kuferkami“.

Ogień na froncie, osobliwie bliżej do Marcinkowic wzmacnia się, specjalnie coraz silniejszym jest ogień artylerji rosyjskiej. Teraz, gdy Meisner zamilknął, jedna z rosyjskich baterji wyjechała wprost na otwartą pozycję, by wygodniej strzelać. Lecz zarazem przychodzi wiadomość, że już i moi zaczynają się cofać. Wkrótce odbieram osobisty meldunek Bojarskiego. Z jego bataljonu została jako ostatnia kompanja Milki. Gdy odchodził z resztą, ogień był bardzo silny. Moskale już się przeprowadzili przez Dunajec. Każę przenosić punkt opatrunkowy dalej w tył. Jestem już znacznie spokojniejszy. Jeśli dotąd Moskale nie zdążyli nas pokonać, to może wytrzymamy do wieczora. Dzień krótki i powoli, cofając się krok za krokiem, odejdziemy. O prawe skrzydło już się nie





Marsz. J. Piłsudski na Kasztance przyjmuje defiladę na Placu Saskim w Warszawie w r. 1927.

boję, mam znowu trochę rezerwy w garści i jakoś Moskale z tej strony nie zaudają silnie atakują, pomimo swej przewagi. Bardziej zaczynam się bać teraz o lewe skrzydło, gdzie Moskale po przejściu Dunajca łatwo mogą się posuwać nieopatrzenie dla mnie zalesioną górą. Dotąd jednak i stamtąd żadnego groźnego meldunku nie ma. Tylko tam na wschodzie szum boju stale się zwiększa. W ślad za punktem opatrunkowym odchodzę i ja ze sztabem dalej w tył ku Pisarzowej. Staję na plebanji. Tu otrzymałem przykrą wiadomość, że Milko zabity: szklanka szrapnelowa rozplątała mu głowę. W kompanji jego ciężkie straty, niektórych rannych nie zdążono przy cofaniu się zabrać z sobą. Lecz zarazem przychodzi pociecha. Wpada jak bomba Belina i widzę już z wyrazu twarzy że poprostu wstrzymuje się gwałtem od wybuchu radości.

„Komendancie! Ułani prawie wszyscy są, straciłem zaledwie piętnastu, z nich pięciu już odesłałem do szpitala, z dziesięciu nie wiem, co się dzieje.“

— Więc wyszli! — podskoczyłem.

„Wyszli! Ale mieliśmy piekło! Br... Skapaliśmy się wszyscy teraz w grudniu w Dunajcu i to pod karabinami maszynowymi.“

Teraz dowiaduję się szczegółowo. Poszli na owe tabory i zamiast nich spostrzegli artylerję.

Wystrzelali cprawda część obsługi baterji, która odprzodkowała działa do strzału, ale wyszła na nich piechota z karabinami maszynowymi. Trzeba było się cofać, a droga koło mostu była pod strzałami z góry. Musieli trzymać się bardzo blisko góry, aby być choć trochę ukrytymi. Drobne grupy ułani rzucali się do Dunajca i szli wpław pod gradem kul na brzeg przeciwny. Było bardzo ciepło!

„Ale — dodał Belina — straciłem dwadzieścia dwa konie. Takem się cieszył z owych trzydziestu kozaków, które Grzmot zdobył poprzedniego wieczora, a tu masz znowu szwadrony zmarnowane!“

— Niepoprawny koniarzu! krzyknąłem — co mi tam wasze konie. Ułani wrócili, to grunt. Kamień mi z serca spadł, rozumiecie Belina!

„Dobrze Komendantowi mówić „ułani“ — kłopotał się Belina — co wart ułan bez konia?“

Rzeczywiście kamień spadł mi z serca. Innymi już oczami patrzyłem na świat, przynębienie minęło i odrazu wraz z moralnem życiem przyszedł wściekły apetyt. Nie było jednak nic, czem bym mógł głód zaspokoić. Bagaże moje i sztabu z jakimi takimi zapasami cofnęły się za daleko, a gospodarz-ksiądz oświadczył, że niema nic, „Moskale wszystko zabrali“. Ledwie, ledwie, po długich targach otrzymałem niewielki kawałek chleba. Czułem, że ksiądz nie mówi prawdy, ale nie chciałem robić awantury, tem bardziej, że szum boju zbliżał się ku nam i ksiądz wraz z całym swoim otoczeniem gdzieś znikł i skrył się. Wyszedłem na drogę. Koło mnie posuwali się lżej ranni; ciężiej rannych na wozach, wyłożonych słomą, odwożono na tyły. Biedne drogie chłopaki! Rzadko który z nich jęczał, a nawet, gdy jęczał, zobaczywszy mnie, przestawał i starał się w jakikolwiek sposób oddać mi wojskowe honory. Zabawnym był jeden z nich.

Spostrzegłem go z daleka, gdy wychodził z izby, gdzie był punkt opatrunkowy. Młody zupełnie chłopiec szedł, opierając się o karabin, z miną niezwykle rozpromienioną. Spostrzegłem na bluzce ślady krwi, zrozumiałem, że jest ranny w piersi. Szedł spokojnym, równym krokiem i,



Pałac Belwederski — siedziba Marszałka — obecnie Muzeum Jego Imienia.





Marsz. J. Piłsudski rozmawia z marsz. Fochem podczas pobytu w Paryżu w r. 1921.

zblżywszy się do mnie, zrzucił karabin na ramię, by mi zasalutować.

— Z którego bataljonu, chłopcze? — rzuciłem zapytanie.

„Z trzeciego, Obywatelu Komendancie!”

— Gdzieście oberwali?

„W serce!” odpowiedział, a w głosie czuć było dumę z tak niezwykłej rany.

— Głupstwa gadacie! Gdzieżbyście spacerowali z taką raną?

.....  
»Dzieje wojska — to dzieje nakazu. Rozkaz jest życiem wojska, rozkaz, idący od człowieka do człowieka, zmuszający do tej, a nie innej czynności i pracy. Jest to odwieczne życie wojska — rozkaz i mus, związany z rozkazem. A rozkaz najgłębiej sięga tam, gdzie idzie nie tylko po przejawy życia, lecz gdzie zaprzecza jestestwu — i idzie po życie samo. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera, w której obraca się wojsko. Rozkaz wychodzi od człowieka, nie ubiera się on w żadne abstrakcje. Uosobienie rozkazu można znaleźć praktycznie w równym sobie człowieku, — nawet w pogardzanym przez innych; a jednak rozkaz działa«.

Józef Piłsudski.

Istotnie jednak ślady krwi na bluzce były w okolicy serca.

„Ależ Komendancie! Nie kłamię, proszę spytać doktora!” mówił urażony. Zaśmiałem się i puściłem go dalej, a szedłem zapytać doktora. Okazało się, że chłopak miał szalone szczęście. Kula przebiła mu pierś w czasie największego skurczu serca i właściwie przeszła przez miejsce, w którym sekundę wcześniej czy później musiałaby zawadzić o serce. Gdy lekarze go opatrywali, przez żart powiedzieli mu, że jest ranny w serce, ale będzie zdrow. Chłopak więc miał rację, gdy się uraził z powodu mego niedowiarstwa.

Inny ranny, który mnie rozśmieszył, był Wieczorkiewicz. Spostrzegłem go, gdy opierając się o żołnierza, kuszykał na tyły. Zawolałem go do siebie.

— Co z Wami, Wieczorkiewicz?

„Noga, Komendancie! syknął z bólu: „szklanka szrapnelowa uderzyła po kostce. Wściekle boli!”

Spostrzegłem, że na obu nogach ma buty, więc chyba rana nie jest ciężka.

— Zrzućcie do licha but, lżej Wam będzie.

„Istotnie! może lepiej.”

Zaczęto ściągać mu but z nogi. Biedak przy każdym poruszeniu buta syczał z bólu i spostrzegłem, że mu pot występuje na czoło.

— Dajcie spokój takiemu ściąganiu — zawolałem — rozciąć cholewę i but sam spadnie z nogi. Po co się męczyć!

„Nie! nie! — obruszył się ranny: nie, Komendancie! Nie psuć buta, takich dobrych butów już nigdzie nie dostanę!”

Z biedą i bólem po kwadransie ściągnięto mu obuwie. Najparadniejszym było to, że istotnie ranę dostał w rękę, noga zaś była kontuzjowana przez uderzenie, lecz biedak czuł ból tak silny w nodze, że o ranie w rękę zapomniał zupełnie.

Bój powoli zacięła.



Marsz. J. Piłsudski na czele generałów udaje się w dniu 6 października r. 1933 do katedry Wawelskiej dla złożenia hołdu prochom króla Jana Sobieskiego. W tejże krypcie, gdzie znajduje się sarkofag zwycięzcy z pod Wiednia, spoczęła tymczasowo trumna Pierwszego Marszałka Polski.



## Wilja w Nawsiu

(Wyjątek z dzieła „Nieznany Kraj“.)

Drobna i zwinna jak wiewiórka, Elza Karasowa, z domu Michejdówna wraz z nauczycielką miejscowej szkółki Malinowską, krzątały się żywo wokół długich, wąskich stołów, ustawionych w podkowie w wielkiej sali domu gminnego. Sala ta niska, lecz obszerna, przeznaczona była pierwotnie na kino; wybuch wojny powstrzymał realizację projektu, — na razie stała pusta, dziś odświętnie przybrana jedliną, jemiolą, białoczerwonym kwieciami chorągiewek, miała stanowić salę jadalną do wspólnej uroczystej wilji legionowej. Czerwone od mrozu gaździnki znosiły już świece, gorące jeszcze kołaczki w wielkich koszach, które dźwigały po dwie. W sieni stała beczulka ze śledziami. Ryby, piękne karpie, ofiarowane przez wójta Adama Sikorę z jego własnego stawu, za darmo, z dobrej chęci polskiego serca, gotowano już i smażono na farze, również jak kluski ze słodkim wierzonym makiem. W pośrodku między stolami stało ubrane już drzewko, ubogie, wojenne drzewko, lecz wdzięczne przemyślną pieczołowitością przybrania.

— Skończyłyście już? — brzmiał głos od progu. Strzepując ze siebie starannie śnieg za drzwiami, wchodził ksiądz Franciszek Michejda, pastor zboru nawiejskiego. Miał wysokie charakterystyczne czoło myśliciela o wydatnych skroniach i spokojną słodką twarz.

— Już, już kończymy tatusiu, — zapewniła córka.

— A o tamtych pamiętacie? — ukazał wzrokiem okno, a za nią białą przestrzeń, przeciętą linją drogi.

— Mamy już wszystko gotowe... Jabłka, i kompot, i ciasto...

— A mleko migdałowe dla tego biedaka?

— Dla Wagnera? Już się robi... Za chwilę będzie... Ale, wie tatus, Julja mówiła, że on najwyższej dzień, dwa, pożyje... Taki już słaby... Biedaczek!

Ruchliwa twarz młodej kobiety omroczyła się szczerym żalem, dojmującą litością nad umierającym żołnierzem. Złożyła bezwiednie ręce, zapominając na chwilę o robocie.

Pastor westchnął również, patrząc w okno. Tam, za przecinającą pole linją drogi, stał domek, mieszczący przygodnie szpital epidemiczny. Leżało w nim ośmiu legionistów, chorych na czarną ospę i tyfus. Ośmiu chłopców-niedorostków, co z najgłębszego ideowego nakazu, najpiękniejszego porwywu duszy, poszło w pole, marząc o pięknej śmierci za ojczyznę, zmagając się ze śmiercią zdradziecką i owrzodzoną, wstrętną im samym, napełniającą odrzą otoczenie. Z prawdziwym bohaterstwem i poświęceniem pielegnowały ich sanitariuszki ochotniczki: dr. Julja Świtalska i Anna Minkowska. Policja pilnowała surowo, by nie było żadnej łączności między tem siedziskiem moribundów, a światem zewnętrznym, — nie dbając jednak o to, ksiądz Michejda przekradał się codziennie z ukrytymi w koszu garnuszkami, które wręczał siostrze Julji. Uśmiechali się do siebie wtedy, jak spiskowcy.

Nie mniejszą opieką pastora i jego rodziny cieszył się szpital dla rannych, umieszczony »na farze« w ich własnym domu. Pracowały w nim niemniej ofiarnie, jak poprzednie, sanitariuszki harcerki: Basia Kossuthówna, piętnastoletnia Zosia Sikorska, Ela Guzikówna i inne. Szpital ten nie opróżniał się ani na chwilę, — niestety, owszem powiększał liczebnie, zajmując coraz więcej miejsca w domu, wiążąc się coraz ściślej z sercami mieszkańców.

Trzy miesiące już minęły, jak losy wojny rzuciły w te strony Pierwszą Legionową Brygadę. Jakoś koło św. Michała zeszły na Śląsk te chłopaki, niepodobne do widywanych przedtem wojsk. Drobne, chude, niepozorne, o wątych napoły dzieciennych szyjach i barkach. Zrazu nie wiedzieli, gdzie się podzieją. Starosta cieszyński, Bobowski, polski Austrjak, nie troszczył się o nich bynajmniej. Rozkwaterowano ich nakoniec w Jabłonkowie, Nawsiu, Bystrzycy, Trzyńcu, Łyżbicach i innych wsiach okolicznych. Zaraz pierwszej niedzieli, jednomyślnie, choć bez uprzedniego porozumienia, ewangelicki ksiądz Michejda w Nawsiu i katolicki ksiądz Ścisłała, wikariusz w Jabłonkowie, — objaśnili z kazalnicy swych parafian, co zaczął to wojsko, po co poszły w bój one niedorostki, z trudem dźwigające karabin, i co mają nadzieję wywalczyć.

— Żebyśmy byli jednym z Polską, z całą Polską! Z Polską wolną i niepodległą, rozumiecie?...

— Słyszałem też — mówił pastor, — że wyśmiewacie się z legionistek, sanitariuszek... Powiadacie: »niech się żeńsko nie styro w nie swoje wiecy« a wołacie za nimi grube słowa... A ja wam powiadam, że taka służba, jak ich, to największa cześć i zacność, a dla nas zaszczyt i uciecha, że możemy ich gościć u siebie... Bo te chłopcy i dziewczęta walczą za nas wszystkich, za nasz powrót do Ojczyzny... o tem pamiętajcie!...

\* \*

— Był tu, tatusiu, przed chwila Wantula — opowiadała Elza, kręcąc się dalej zabiegliwie koło stołu.

— Janek? Z Trzyńca przyszedł?

— Nie, aż od siebie z Ustronia... Przechodził z całym plecakiem książek dla tego rannego legionisty Struga... Aż dziwno, że tyle uniósł...

— Strug będzie rad, bo już mi się żalił, że wszystko przeczytał. Dziesięć książek na tydzień mu mało... Nie długo i cała biblioteka Wantuły nie starczy...

— Mówiła Basia, że Strug i inni legioniści strasznie się dziwią, że zwykły hutnik, jak Wantula, tyle ma książek i tak się w nich kocha... Powiadali też, że w innych stronach Polski tego nie zobaczą...

— To jest prawda, że u nas na Śląsku, ludzie bardziej kochają polskie książki, niż gdzieindziej, — twierdził ksiądz z zadowoleniem, — żałuję, że Wantuły nie widziałem...





Dom p. Lorenczuka w Jabłonkowie, w którym w r. 1914 mieszkał Józef Piłsudski. Do domu tego wmurowana jest tablica pamiątkowa (na zdjęciu niestety niewidoczna) z następującym tekstem: »W domu tym mieszkał w r. 1914 Józef Piłsudski, Pierwszy Marszałek Polski, w czasie pobytu w Jabłonkowie I. Brygady Legionów Polskich. Wmurowano 15. lipca 1934 r. dla uczczenia 20-lecia Polskiego Czynu Zbrojnego.«

— On tu zajdzie, przyniesie pieniądze, co jeszcze w tym tygodniu zebrał na legiony... Podobno robotnicy bardzo kupują »cegiełki«.

— Chwała Bogu!... Porządny chłopak ten Janek!

Elza wróciła do porzuconej roboty i przez chwilę zaległo pracowite milczenie.

— Tak się krzątacie, — podjął pastor z uśmiechem — a ja siedzę i nic nie pomagam... ale darujcie staremu, bom się dziś setnie nachodził...

— Nie poszedłby lepiej tatuś odpocząć do domu?

— Do domu?... Kiedy widzisz.... przywieźli tam z rana jeszcze trzech rannych i...

— I nie ma już ani jednego spokojnego kąta dla tatusia!? — roześmiała się Elza.

— Ano nie ma... Nie szkodzi.

Usiadł w głębi, z głową opartą o ścianę przybraną jedliną. Siedział cicho, rad, by o nim zapomniano. Mimo ciągłego ruchu i nieustudzonej pracowitości był człowiekiem całym nawewnątrz. Najwłaściwszą jego dziedziną była dziedzina myśli. Gdy często chodził pieszo po bezdrożach górskich, spełniając funkcje kościelne, żałowano go, on zaś lubił te samotne wędrówki przez zasute śniegiem góry. Mógł się przynajmniej nadumać do woli. Horyzont tych dumań był szeroki, szeroki jak widok rozścielający się ze szczytu Girowej, — przerastający Śląsk, wybiegający na całą Polskę i poza nią. Nie brała go jednak nigdy ochota w ślad za myślami wybiec z górskiego zacisza na szerszą arenę świata. Śmiałość i głębokość myśli łączyła się u niego bowiem z przedziwną wrażliwością i skromnością. Był urodzonym kierownikiem, wodzem, przywódcą ludu, świetnym, porywającym mówcą, inicjatorem i twórcą, — a zarazem najcichszym człowiekiem, szczęśliwym tylko w domowym zaciszu, w ukochanym swoim Nawsiu. Nie sądził, by gdziekolwiek na świecie mogło być równie pięknie. Gdy odprowadzał kogoś ze swych współwyznawców na wieczny spoczynek,

to, z położonego na wzgórzu cmentarza, obejmował wzrokiem panoramę pełną niewypowiedzianego uroku. Z lewej strony piętrzyły się Czantorja i Stokąć, spodki i haleny, zwierzały sobie wzajemnie żek, z prawej Jaworowy, Ostry, Girowa i Kozubowa. Spływały ku sobie faliście zastygła w prądkach struga. Wielka stara jarzębina rozkładała pośrodku cmentarza baldachin osuwających się kupałasto gałęzi. Na niezliczonych mogiłach, obłych kopczykach zielonych, chyliły się krzyże drewniane. Częstokroć nie chyliły się już, rozsypane w miazgę próchno. Tylko ulubione szklane kulki kolorowe sterczały zatknięte na prosty pręt, żelazny, więc trwalszy od krzyża. Gdy słońce zaświeciło, gdy cmentarz płonął odbiciem setki tych małych gorejących słońc niby oblaskiem dusz zbawionych. Cisza i spokój leżały na tym górskim cmentarzu otoczonym wieńcem szczytów, z polskimi napisami na stojących jeszcze krzyżach. Na jednej kamiennej płycie, leżącej w cieniu starej jarzębiny widniał napis: »Anna Winkler, księżna Nawiejskiego kościoła umarła w lat żywota 32, małżeństwa 13«. Nad drzwiami stojącej w rogu cmentarza »marowni«, starannie wykute w kamieniu litery składały werset wyjęty z Biblii gdańskiej w najczystszej, pięknej polszczyźnie. Poniżej, znacznie poniżej cmentarza, pośrodku wsi, stał kościół erygowany w 1820 r. na miejsce poprzedniego dewnianego. »Albert książę sasko-cieszyński osobliwą łaską forytował, a zbór Nawiejski sobie i swoim potomkom z ochotą wybudował«... głosiła tablica u wejścia. Wielkie kasztany ocieniały dziedziniec kościelny i farę, czyli plebanję, otoczoną pieczołowicie utrzymanym ogrodem pełnym drzew szpalerowych. (Obecnie drzewa te opakowane w chochoły ze słomy, wydawały się niejednemu ramieniu rzędem niemych ciekawych postaci zaglądających w okna, w bezsenne gorączkowe noce.) Pod kasztanami stały trzy niskie i długie ławy, ciosane z litego kamienia, ozdobione pięknym ornamentem i napisem: »Na cześć a pamiątkę zasłużałowemu panu Farażowi, Jan Winklerowi w Nawsiu, ofiarował Jan Pilch z Grudku«. Latem na tych ławach siadały rzędem czekające na rozpoczęcie nabożeństwa rozświegotane dziewczyny, szeleszczące piękniemi, krochmalonemi fartuchami. Stare gaździnki



Dom p. Wrabla w Jabłonkowie, gdzie Józef Piłsudski przeżył święta Godowe w r. 1914 wraz z małżonką. Kancelaria znajdowała się po lewej stronie (środkowe dwa okna), mieszkanie po prawej (trzy okna).



odziane w starodawny góralski strój: kypce, nod-troski i plotki sąsiedzkie. Świątki dziewcząt i roz-howory babskie toczyły się wartko w iedrej i prastarej polszczyźnie, pięknej, bogatej wyrażeniami, które w Polsce zatracił język literacki. Polskość rzeczywista, żywa, dawniejsza i terażniejsza. trwała wszędy, spływała z gór, z ziemi, ze starych napisów, z ust ludu. Polskość stara, »tak stara, że o niej zapomniano, jak się zwykle zapomina o starych...« — mawiał ks. pastor Michejda, z pogodnym uśmiechem.

Tę polskość rodzimą, równie właściwą podbeskidzkiej ziemi jak stanowiąca jej najistotniejszą cechę przyroda, — on, pastor Nawiejskiego zboru, zagarnął w swe ręce i w swój dom. Uczynił z niego »Soplicowo śląskie«, gdzie mógł się każdy do syta napić, nalykać Ojczyzny. We krwi miał niezłomne przywiązanie do Polski. Wszakże to matka jego, kobieta z ludu, odważyła się ongiś na zebraniu kościelnem, w przepełnionym ludźmi, olbrzymim kościele Jezusowym w Cieszynie, zażądać głośno od dygnitarzy kościelnych, by wprowadzono rozprawy w języku polskim, tym samym, w którym jako jedynym ludowi zrozumiiałym, głosi się słowo Boże w kazaniach.

Ówczesny Kościół ewangelicki śląski, obejmujący cały dawny Śląsk austriacki, czyli tak zwane Księstwo cieszyńskie, liczył około 80.000 Polaków i 15.000 Niemców.

Jedność zborów była formalna, zewnętrzna. głęboki bowiem rozłam psychiczny i polityczny dzielił obie narodowości. Acz w mniejszości, Niemcy jako nacja rządząca narzucali Kościołowi swoje rządy, grawitując ku ewangelikom z Niemiec. Usiłowania te, choć popierane usilnie przez rząd austriacki, rozbiły się skutecznie o niewzruszoną stałość ewangelików polskich. Siedzieli oni od wieków u stóp Beskidów, na tym narożniku Polski, odrębni i dalecy od racjonalizującego, oschłego protestantyzmu niemieckiego, — w prostej linii dziedzice dawnych »niespokojniczków« duchowych, dziedzice Arjan brzydzących się przelewem krwi, dziedzice Braci Polskich, chrystjanów, głoszących braterstwo i równość karmazyna z chłopem. Stojąc wytrwale, w wielkiej samotności i odosobnieniu, przechowywali tradycje swego nieukoju wiary, poszukiwania Prawdy Prawd i życia według ewangelji. Pozbawieni poparcia znikąd, odpierali wytrwale zakusy niemieckie, dzierżąc oburącz swą polskość zaklętą w starych postylach.

Przez długie bowiem wieki nietolerancji, Austria broniła wydawania i drukowania książek ewangelickich, dzięki czemu jeszcze w połowie XIX wieku, dzieci uczyły się, a starsi modlili, na tych samych co w XVII w. książkach: Postyli ks. Gdaciusza, czyli Dacjusze, Kancjonale Trzanowskiego, i Biblii Dambrowskiego zwanej Dombrowką, pisanej polszczyzną Skargi. Te stare księgi, chronione jak relikwie, gdyż nie mogły być zastąpione, — księgi ciągle żywe, ustawicznie czytane, dotrzymały w śląskich gminach ewangelickich niepoknętą polskość, aż do chwili »Wiosny ludów« i następującego po niej nagłego rozkwitu świadomości narodowej.

Ścisłe przestrzegany w Zborach obowiązek czytania osobiście Biblii, wykluczający analfabe-

tyzm, — w połączeniu z brakiem innych książek jak polskie, stał się potężną dźwignią narodową.

Ksiądz Franciszek Michejda, w bliskiej przyszłości Senior, głowa Kościoła Ewangelickiego na Śląsku, — oddał wszystkie swe siły tej sprawie. Usiłowania jego szły w podwójnym kierunku: zwalczania zakusów niemieckich, — zwalczania uprzedzenia panującego w opinii polskiej w stosunku do ewangelików śląskich. Nie jesteśmy wiarą niemiecką, lecz wiarą Modrzewskich i Rejów, — powtarzał. — Nie pragniemy nawracać ani zyskiwać prozelitów wśród Braci Polaków-katolików, — my pragniemy tylko być częścią naszego narodu i czynnikiem duchowym w jego życiu. Pragniemy wnieść w polską kulturę ducha Ewangelji w oświeceniu ewangelickim jak to było w »Zło-



P. Fr. Wrablówna, przebywająca obecnie w Wiedniu, która przez 10 dni opiekowała się Komendantem Legionów.

tym Wieku«. Pragniemy zdjąć z naszego Kościoła przesad, jakoby był On zwiastunem »niemieckiego Boga i pruskiej pikielhauby«. Zarazem pragniemy odświeżyć nasze dusze prądem ożywczym, jaki wieje z polskiej poezji, i polskiej filozofji.

Dla szerzenia tych haseł i pozyskania dla nich ludności polsko-ewangelickiej, ks. Franciszek Michejda wydawał sam i redagował przez ćwierć wieku dwutygodnik »Przyjaciół Ludu« (wychodzący do dzisiaj jako »Posół ewangelicki« pod redakcją ks. Jana Stonawskiego) — oraz stworzył »Towarzystwo ewangelickie oświaty ludowej«, które wzbogaciło literaturę polską na Śląsku szeregiem cennych dzieł.

W tej dziedzinie najwierniejszymi z niezliczonych jego współpracowników byli: ks. Jerzy Boruta, pastor w Starych Hamrach, brat ks. Karol Michejda, pastor w Bystrzycy, oraz Jan Kubisz, autor »Pieśni Starego Jakóba«.

Praca ta jednak, acz wyczerpana, nie wyczerpywała całej jego energii. Brał również wybitny



udział w politycznej robocie organizacyjnej. Sam nie sięgał po godności, unikał ich, lecz przez kilka dziesiątków lat nie było znacniejszego posunięcia w życiu publicznym Śląska, do któregoby współtwórczo nie przyłożył ręki. Zainicjowany przez ks. Ignacego Świeżego bujny okres ścisłej współpracy obu Wyznań w kraju i na terenie parlamentarnym, której to współpracy ludność Śląska zawdzięczała swe pierwsze cenne zdobycze językowe i narodowe, — był zarazem okresem żywej inicjatywy i czynnego wpływu ks. Michejdy w życiu publicznym. Z ówczesną trójką poselską złożoną z ks. Ignacego Świeżego, dr. Jana Michejdy i Jerzego Cienciaily z Mistrzowic, łączyły go rzadka przyjaźń i solidarność w działaniu.

Rozumiejąc, iż ruch polski na Śląsku cieszyńskim oprzeć się musi w pierwszej linii na zorganizowanym i narodowo uświadomionym stanie rolniczym, — utrwał i rozbudowywał Towarzystwo Rolnicze dla Księstwa Cieszyńskiego, które stało się podstawą organizacji ludowych śląskich. Założył i przez lat dziesięć redagował dwutygodnik »Rolnik Śląski«. Pomagali mu w tem z całym oddaniem dr. Józef Zaleski z Puńcowa, znakomity popularyzator wiedzy rolniczej, i Władysław Szybiński, dyrektor pierwszej polskiej szkoły zimowej rolniczej w Cieszynie.

Uwolnieniu ludu od lichwy i niewoli kapitału niemieckiego miało służyć »Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek«, które wraz z serdecznym przyjaciелеm Hilarym Filasiewiczem i Adamem Sikorą założył i któremu do końca życia przewodził. »Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek« jest po dziś dzień najpotężniejszą polską placówką gospodarczą po obu stronach Olzy.

Nakoniec był przez długie lata wiceprezesem Macierzy Szkolnej, gdzie w r. 1885 postawił wniosek o otwarciu prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie, — prezesem Towarzystwa »Domu Narodowego« w Cieszynie i czynnym działaczem w całym szeregu organizacji kulturalnych i narodowych.

Pragnąc górnikom Zagłębia dać do ręki polską książkę, wydawał przez szereg lat »Kalendarz Górniczy«, do współpracy, w którym pozyskał grono pierwszych polskich inżynierów w Karwińskiem i Ostrawskiem z Franciszkiem Brzozowskim na czele.

Z pośród tych różnorodnych prac, żadna nie była traktowana pobieżnie, lub po dyktandku. Ksiądz Franciszek Michejda na wszystko miał czas, wszystko umiał. Za głębokie poczucie sprawiedliwości i miary cenili go i szanowali nawet Niemcy. On zaś pracował niestrudzenie dalej, nie dbając o zdanie niczyje. — »Idziemy z niewoli, ciągniemy puszcza« mawiał, cytując chętnie przy każdej okazji Pismo św. tak drogie ewangelikom, — pijemy z gorzkich wód, cierpimy niedostatek chleba, szemrzemy przeciwko sobie, swarzymy się, ale przyszłe pokolenia wejdą do ziemi obiecanej.

\* \*

Ubrana jedliną sala była już pełna ludzi, lecz wilja jeszcze się nie zaczęła. Przeszło dwieście szarych mundurów kupiło się wokół stołów. Panował przyciszony gwar. W kącie jakiś cienki, napół dziecienny głos nucił bezwiednie:

...byliśmy już byli w piekle, — ale tam gorąco wściekle...

(byli już wszyscy w piekle, rzeczywiście i niejednokrotnie, w strasliwym piekle okopów).

...leguny chcą raju, leguny...

Rajem im się wydawała ta niska obszerna izba, ciepła i jasna, przekreślona białą podwójną drogą stołów, białą drogą wiodącą w niedawny choć tak odległy kraj beztroskiego dzieciństwa. Z mimowolnym niedowierzaniem patrzyli na ustrojone dla nich drzewko. Dla nich? Więc byli jednak jeszcze ludzie życzliwi? Co nie patrzyli na legjony jak na szkodliwe warjactwo? Czyż możliwe?... Jak to dobrze... Byli zziębnięci moralnie i skołotani. Przyszłość była tak niewiadoma, rzeczywistość i twarde konieczności wojny tak rażące! Wyniesione z domów szlachetna wrażliwość, idealny pogląd na świat, tak trudno się do nich dostosowywały! — Po wielu latach, ciż sami legioniści mieli się stać przedmiotem ogólnej zazdrości, mieli osiągnąć najwyższe odznaczenia i stanowiska w kraju, — na razie jednak byli oni poprostu gromadą biednych chłopców, którzy oddali idei Niepodległości wszystko co człowiek może oddać, nie mając wzamian żadnej pewności, że ta ofiara przyniesie korzyść Ojczyźnie.

Gdybyż przynajmniej »On« był tutaj z nami! Sama jego obecność sprężyła ducha, przekreślała widma obawy i zniechęcenia. On wiedział. On ich wywiódł z domów, by wywieść naród z niewoli. Nawet gdy na surową swoją twarz nakładał maskę dobroduszości, gdy żartował z nimi, dowcipkował jak dobry »Dziadek«, jak stary kolega, — czuli za tą wesołością nieustanny, zgeszczony war myśli, wysiłek umysłu i woli troszczących się o nich wszystkich. On myślał za nich i ta świadomość krzepiła. Sądzi, że będzie dziś z nimi. Lecz nie. Wpadł przed godziną tak nagle, że warta nie zdążyła przerzucić w zmarzniętych dłoniach karabinów, pozdrowił ich krótko, serdecznie i wypadł z powrotem. Tegoż właśnie wigilijnego wieczoru wysłał na front stojący w Jabłonkowie batalion, wieczór spędzi z nim w wagonach... Słusznie. Oni pójdą również na front, ale dopiero jutro lub pojutrze. Odwiedzi ich przedtem, pożegna... Dobrze i to.



Dom p. Włacha w Bystrzycy, gdzie J. Piłsudski przeleżał 3 dni, kontuzjonowany w wypadku samochodowym (eksplozja motoru) w grudniu r. 1914. Fakt ten trzymany był wówczas w ścisłej tajemnicy.



Dziewczęta zapalały świece na drzewku; wszyscy siadali za stołami. Ksiądz Franciszek Michejda podniósł się trzymając w ręku opłatek. Przełotnie z nagłym ostrym bólem pomyślał o swoich własnych ośmiorgu dzieciach, rozsypanych wojną po świecie. Tylko ta jedna córka była przy nim. Reszta... Bóg jeden wie gdzie... Najstarszy ukończony Władysław aż w Moskwie, najmłodszy Janek w legjonach... Czy im jakie polskie serca podadzą również wigilijny opłatek? Odsunął od siebie te rozważania jako błahe, karygodnie osobiste, całą uwagę skupiając na wieńcu jasnych i ciemnych krótko ostrzyżonych głów. Troska z jaką zwykle na nich patrzył ustąpiła, gdy uprzytomnił sobie nagle, że od czasów, gdy Jan Kazimierz chronił się przed »potopem« w Cieszynie, w domu zwanym po dziś dzień »pod polskim królem«, od czasów odsieczy wiedeńskiej, — od czasu postępu księcia Józefa z niedobitkami armii Księstwa Warszawskiego, — pierwszy raz Wojsko Polskie stoi kwaterą na Śląsku. A wobec tego stwierdzenia znikły wszelkie poboczne utyski i głosem spokojnym, lecz drgającym od wewnętrznego napięcia jął mówić:

— Wybaczcie teologowi, że zacznę słowami psalmisty: Panie jesteście jako ludzie, którym się śni... Nadspodziewanie wielką i chwalebną jest Twoja dobroć... Od Pana się to stało, a dziwno jest w oczach naszych... Przyszliście do nas na Gody... Czekaliśmy was, czekaliśmy tych Godów od wieku... Od wieku wdychamy do tego, by być wolnymi Polakami, by być osobą! Miłujemy was i rozumiemy...

Wprawdzie wy młodzi, — my starzy, lecz biedny to naród, biedne społeczeństwo, w którym tylko młodzież byłaby młoda... Nie postarzały nasze serca, chociaż siwe skronie. Doczekaliśmy się was... Czasy dzisiejsze, święte i błogosławione, przyniosły spełnienie naszych marzeń. Bóg ściągnął rękę nad światem... Odwieczna sprawiedliwość sprawuje sądy dziejowe: ostoi się w jej obliczu co wieczne, co odpowiada prawom przyrody, — zginie, — jednostki czy narody, — co się tym prawom sprzeciwia i depta je nogami. Kto w dzisiejszej katastrofie europejskiej nie widzi tych sądów Bożych jawnych, namacalnych, jest z owych, o których powiedziano: mają uszy, a nie słyszą, mają oczy, a nie widzą... Nasza sprawa jest w tym Sądzie wygrana i pewna, gdyż dążenie do swobody ducha, miłość do własnej narodowości Bóg sam dał i zachowywać nakazał. Boskiem jest wszystko, co wyzwala ducha z samolubstwa, a gdzież większe wyzwolenie, jak nie w poświęceniu samego siebie dla sprawy? Na najniższym szczeblu drabiny uczuć poza egoistycznych leży dom, rodzina, na najwyższym Bóg, w pośrodku miłość narodu, ojczyzny, ludzkości... Ktoby wyłamał lub opuścił jeden szczebel, nie pójdzie wyżej... Miłość narodowa może się wyrodzić w fanatyzm, w szowinizm, jak wszystko może się wyrodzić, jak rodu się dziwolagi i karły, — lecz rzecz sama jest jedną z najwyższych Świętości człowieka. Niech wam Bóg błogosławi za to, żeście tę miłość górną pojęli i na najwyższym miejscu w sercach swoich postawili... Niech was strzeże i ochrania... Dzielimy się opłatkiem, tym symbolem zwycięstwa i ofiary, a zarazem żegnamy się pono? Wracajcie rychło.



Dom p. Goryla w Bystrzyce, gdzie umieszczona była kancelaria Komendy I. Brygady. Do Komendy przybywał Piłsudski z Jabłonkowskim samochodem. Podczas jednej z takich jazd silnik eksplodował a samochód rzucony został do rowu. W wypadku tym Komendant odniósł cięższe obrażenia.

szczęśliwie. Zamieńcie chwilową okupację Śląska w wieczystą upragnioną aneksję. Pamiętajcie o nas, o naszej serdecznej myśli towarzyszącej wam nieustannie... Bądźcie radośni i ufni. Słyszałem, że niektórzy z was trapią się i dręczą tem, że połowa społeczeństwa uważa wasz krok za błędny... Czem tu się frasować? Co wam o to? Prawda nie stanie się mniejszą prawdą choćby i tylko jeden uznał, prawda i słuszość wydadzą owoce, choćby je tylko jeden wykonywał... Nawet zaś, gdyby oni mieli rację, pamiętajcie, że kto nie błądzi i nie myli się, nie nigdy nie stworzy... Każde ludzkie poczynanie jest błądzeniem w ciemności. Bóg nie kieruje według Swojej Woli, a ocenia intencjami... Doniosłość czynów nie zależy od ich rozsądnej trafności, która jest dziełem przypadku, lecz wyłącznie od dobrej woli, wiernej i bezinteresownej ofiary. Wybraliście służbę najcięższą, przeto naj-słuszniejszą, najbardziej owocną... Znów słowa psalmu przychodzą pamięci i odejść nie chcą: — »On musi urość, nas musi ubywać«... Niech nas ubywa, byle Polska rosła!

Ks. Ścisła, wikariusz Jabłonkowski mówił: Bóg się rodzi, — a niejednemu z was śmierć pisana... Śmierć ciężka rzecz dla młodego, lecz kosztowna jej Polska się rodzi... i urwał, nie mogąc dalej mówić ze wzruszenia... Kapitan Władysław Sikorski mówi: Twarde są żołnierskie słowa i twarda ma być żołnierska wilja... Wśród tylu zanych serc gotowiśmy uwierzyć żeśmy bohaterami... Nie zapominajmy, że to co robimy, to jest tylko najprostszym naszym obowiązkiem...

Obowiązek...

Wilja dobiegała do końca. Wojenne świece dopalały się, tworząc niby sope, odwrócone stożki stygnącej parafiny. Zjedzono już do ostatniego okruszka kołaczki, kluski i ryby. Wstawali wszyscy od stołów, by grzmiącym młodzieńczym chórem śpiewać kolendy. Starszyzna skupiła się wokół pastora.

— Nie spodziewaliśmy się... tak, wyznam, że nie spodziewaliśmy się... że wy tu tacy... Polacy...



— mówił gorąco półgłosem kapitan Marian Kukiel. Miał młodzieńczą powierzchowność, wrodzoną wytworność w ruchach, charakterystyczny falsetowy głos i niewielkie przenikliwe oczy.

— Pewnie, tak mało przecież o nas wiecie, — uśmiechnął się pastor.

— I to wszędzie jest tak, czy tylko w tej okolicy?

— Ależ bynajmniej. Wszędzie na całym obszarze Śląska. Nie zastaliście tu panowie inteligencji, która dawno przepadła, wsiąkła w niemieckość... lecz został lud, twardy nieugięty, wytrzymały chłop. Ten chłop czuje się Polakiem żywiej, niż chłop w Kongresówce, lub Małopolsce... Zresztą, czyż trzeba słów wobec tego, że trzystu z górą naszych chłopców poszło do Was?

— To prawda, są z całego Śląska, nawet z Ostrawy... cały pluton Ostrawski... i jeszcze napływają zgłoszenia...

— Chwała Bogu, — wtrącił porucznik Minowski o zapalanej, entuzjastycznej twarzy, — ciągle nas mało, mało... O, gdyby cały naród, zrozumiał ideę legjonową, inaczejby wszystko wyglądało... Pobić najpierw Moskali... zawrócić, sprać Niemców... Stanąć mocno na gruncie Polski od morza do morza...

Młodziutki, urodziwy legionista przerwał rozmowę, podchodząc żywo do pastora.

— Jestem Stanisław Kot z Krakowa, specjalnie interesuje mnie zagadnienie reformacji w Polsce... Takim szczęśliwy, spotykając w tym zakątku górskim żywioł ewangelicki, niezmieniony od czasów Reja, Glicnera, Żarnowczyka... Zawsze jednakowo polski!

— Bóg zapłać za dobre słowo... Jakoś dotrwalimy i trwać będziemy...

— A wasz Trzanowski, Łaski śląski! »Transcius Teschiniensis Silesius«, — tak mało znany, a niepospolity umysłem i zdolnościami!

— O, tak, świeżo właśnie wydaliśmy jego »Modlitwy« na nowo...

Nie mogłem się pozbyć uporeczywej chęci zwalczania tradycji myślowej naszego polskiego społeczeństwa w stosunku do 63-go roku. Znałem doskonale tę tradycję! Pobłażliwa pogarda bardzo a bardzo rozumnych i praktycznych ludzi wobec śmiesznie głupiutkich stworzeń, rozmażanych marzeniem o samodzielnej pracy polskiej — to najwzględniejszy sąd, który spotkać mogliśmy dla siebie w tej tradycji. Obok zaś taki rozumny, taki praktyczny geszefcik, taki, co niecałe trzy grosze dziennie zarabia, a osłonięty ogromnem, olbrzymiem hasłem patriotycznej pracy organicznej, której przeszkadzają takie właśnie warjaty! Piękna polska tradycja po klęsce 63-go roku! Znałem to dobrze i wiedziałem zgóry, do czego ta tradycja prowadzi — do najczarniejszych, do najsmrodliwszych sprzedaży i siebie, i polskich interesów, i polskiej samodzielności — każdemu, kto płaci. Znowu więc, dla pociechy tych tradycyjnych Polaków, mam być „uciekiniem“ z czasów 63 roku! Poto mnie może uzbrojono licho, poto zrobiono wszystko, bym nie mógł dobrze i przyzwoicie walczyć. Poto, by tem pewniejszy był triumf „praktycznej, geszefciarskiej“ myśli nad upartą głupotą „romantyków“ o „samodzielnych“ głowach!

J. Piłsudski (»Moje pierwsze boje«).

Elza Michejdówna weszła, niosąc oburącz wielką księgę. Była to księga gości Nawisia. Onieśmielonym głosem prosiła aby wszyscy, wszyscy, zechcieli podpisać się... na pamiątkę... Kałamarz i pióro już są...

Zgromadzili się koło niej, ochotnie ujmując pióro. Ochotnie, bo w każdym człowieku chęć utrwalenia swego przelotnego pobytu, nikłej egzystencji, tkwi zawsze, a cóż dopiero w czasie wojny, tempore belli! Komendant zapowiedział, że jutro, pojutrze, odchodzą na front... Któż wie, czy nie jeden z nich nie kładzie po raz ostatni swego podpisu, tej nieodłącznej części własnego ja? Któż wie? Któż zgadnie, o ile wiotki papier kartek okaże się trwalszym od ich młodych mięśni, twardych kości, giętkiej skóry? »Księga gości« leżeć będzie spokojnie na stole pastora i wtedy, gdy nie jeden z nich dawno rozłoży się w gnój we wspólnej mogile nieznanych żołnierzy. Ostatnim jego śladem będzie może ten podpis właśnie? Więc podchodzili kolejką, szarżę z szeregowcami, jak popadło, kryjąc duże białe strony arabeskami podpisów, wprost, z boku, na ukos. Litery śmiałe, pełne rozmachu, zuchwałe, lub drobne, ścieśnione, wprawne. — Podpisywali się rzędem:

...Kulesza Zenon, Warszawa, — Osiński, — Kazimierz Świtalski, komendant placu, — Marjan Klimaszewski, — Wacław Denhof Czarnocki p. por., — Jan Ciapara por., — Zygmunt Dobrzański kpt., — Mandrak, kapral 14-letni, tuż obok przyjaciel jego: Trzyna Kazio, lat 15... — Tadeusz Zwołński, Zakopane, — a pod nim Andrzej Kulwiec, aż z dalekiej Litwy... — Stanisław Zaruski por., — Dionizy Nowosielski, — Władysław Stodnicki i szeregowiec Michał Wrublewski, — Niezgoda Jan, — Rokosz Filip, szeregowiec, — Roman Albinowski, komendant Szkoły Podchorążych Legionów Polskich, — Jaworski Karol i Stach Sek...

W powietrzu był swąd pogasłych świeczek, dym kołował pod sufitem. Trzeszczała cicho żarząca się gdzieś gałązka. Chór młodych głosów śpiewał przed rozejściem się:

...Przybieżali do Betleem leguny!...

\* \* \*



Marszałek J. Piłsudski na wywczasach nad ukochanym Niemnem w Druskiemikach.



## Kamienny grobowiec przemawia

Powietrze pełne melodyj i dźwięków. To dzwony grodu wawelskiego grają swą pieśń. Z pomiędzy nich wyodrębnia się, jak grom wśród burzy, potężny, majestatyczny ton Zygmunta. Głos jego pomury, żałobny, pełen skargi i smutku, jest jakby uosobieniem rozpacz całego narodu.

Rocznica śmierci Wielkiego Polaka. Wszystkie polskie serca biją w takt tego patriarchy dzwonów krakowskich i napełniają się żalem i bólem. Wszystkie myśli skierowują się na Wawel, a dusze lecą na skrzydłach tonów żałobnych do wawelskich podziemi, kłękają u grobu Marszałka, składając Jego prochom cichy hołd. Cała Polska jest tam obecna. Niema bowiem serca polskiego, któreby nie wspominało na tragiczny dzień, który kirem żałoby okrył cały naród, niema duszy, która by nie odczuła straty, jaką poniosła Ojczyzna przez śmierć najlepszego z synów.

Głęboka cisza panuje w krypcie św. Leonarda, gdzie śpi snem wiecznym Wódz-Bohater. Życie Jego to najwznioślejszy przykład miłości ojczyzny. Poświęcił On jej wszystkie myśli, uczucia i pracę. Giorzał On tą miłością, jak żywa pochodnia i w żarze tej miłości spalał się jak ofiara całopalenia na ołtarzu obowiązku.

Dać odrodzonej Polsce szczęście, stało się dla Niego snem, nad którego urzeczywistnieniem pracował bez wytchnienia, nawet wtedy, kiedy powinien był po wywalczeniu jej niepodległości odpoczywać i leczyć sterane trudem wojennym siły i nerwy. Dla przyjaciół, namawiających Go, aby więcej czasu poświęcał sobie miał zawsze jedną odpowiedź: »obowiązek«. Śmierć Jego nazwać można śmiercią na posterunku.

Dziś, kiedy wspominamy chwilę, w której nas opuścił, jaśniej niż kiedykolwiek stają nam w myśli wszystkie słowa i nauki, jakie zostawił nam w spuściźnie.

Kamienny grobowiec przemawia do nas.

Zrozumieć go może tylko Polak, miłujący swą Ojczyznę, tak, jak kochał Ją ś. p. Marszałek Józef Piłsudski!

Na dźwiękach dzwonów lecą w świat wspomnienie i przestroga dla nas, byśmy testament Króla-Ducha mieli zawsze w pamięci, byśmy tego skarbu miłości ojczyzny, jaki nam zostawił, nie zmarnowali!

Dotyczy to przede wszystkim nas młodych, »Młodej Polski«, jak nazywał młodzież za życia Józef Piłsudski.

Z Jego dzieła bije dla nas niewyczerpane źródło siły i duchowej tężyzny. Stać się Jemu podobnymi, nie dziełem, bo to przekracza możność przeciętnych ludzi, ale charakterem. Stać twardo na posterunku i nie ugiać się, choćby wszystko wokoło nas waliło się w gruzy. »Obowiązek« — to słowo stać się powinno dla nas tem, czem było dla Niego. Najwyższym celem życia.

I wytrwać. Jak wytrwał On. Wytrwałość była Jego siłą. Z jej pomocą zdobywał wszystko. Tę wytrwałość musimy sobie przyswoić. Mało. Musi się ona stać najważniejszą zaletą naszego charakteru. Częścią duszy.

W pracach naszych musimy odruch uczucia i serca łączyć z zimną logiką rozumu. Patrzeć na

życie nie przez złudny pryzmat uczuciowości i uprzedzeń, ale trzeźwo i jasno z dostatecznym krytycyzmem.

Napotkane przeszkody nauczmy się pokonywać — nigdy obchodzić. Gdy i spiętrzą się one na naszej drodze i braknie nam sił na ich usunięcie.

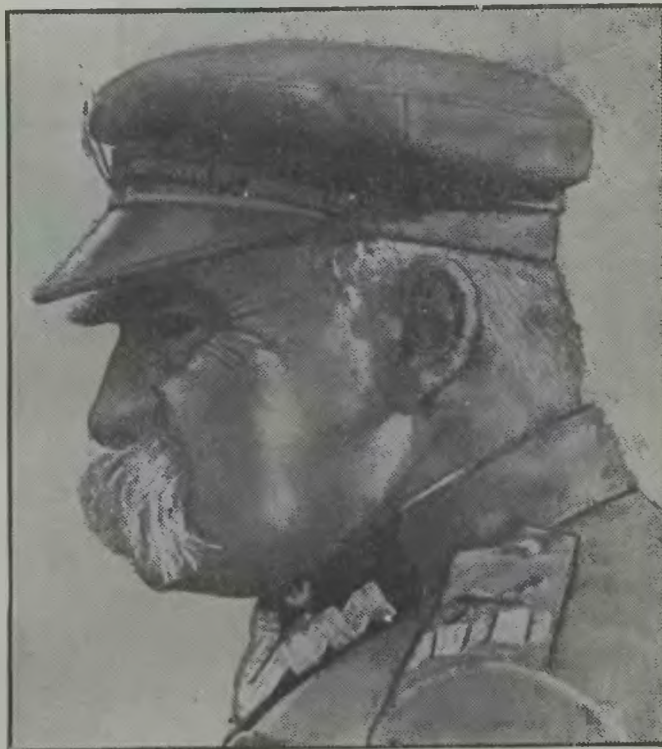
Nie dajmy do siebie przystąpić zwątpieniu.

Cel, choćby najdalej od nas był — przy uporze i wytrwałości zbliżyć się musi. I da się osiągnąć.

Przed upadkami uchroni nas umiłowanie idei. Ona doda nam siły i nauczy patrzeć w przyszłość.

Nauczy nas również cierpieć bez skargi.

Umilowanie idei dopomogło Józefowi Piłsudskiemu do przetrwania katorgi sybirskiej i magdeburskiego więzienia. Za to, że cierpiał, tem radośniejszą i miłszą była dla Niego godzina Wolności.



Jedno z ostatnich zdjęć ś. p. Marsz. J. Piłsudskiego

I dla nas cierpienie dla idei będzie ogniem, oczyszczającym nasze dusze, hartującym charakter i przygotowującym nas na niepowodzenia. Ciosy, jakie na nas spadną, niech staną się bodźcem do tem intensywniejszej pracy.

Młodość to wielki skarb i cenny depozyt dany nam w przechowanie. Ona daje nam energję, potrzebną do ciężkich początków.

Nie wolno nam jej marnować.

Jesteśmy za nią odpowiedzialni przed całym narodem i własnem sumieniem.

Przed ostrym sądem przyszłych pokoleń.

Wyrabiajmy w sobie poczucie odpowiedzialności za pracę. Pamiętajmy o tem, że miarą odpowiedzialności mierzy się wartość człowieka.

Józef Piłsudski, choć nieraz ugiął się pod ciężarem odpowiedzialności, to jednak nigdy się od niej nie usuwał i brzemień jej z zaparciem się siebie dźwigał do końca życia.



Stańmy się Jemu podobnymi.

Niech Jego świetlana postać stoi zawsze przed oczyma naszych dusz jako wzór Całego Człowieka.

Człowieka-Genjusza, Wodza i prawdziwego Polaka.

Dziś w rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego postanówmy sobie, że kroczyć będziemy Jego śladem, że Jego idei nie damy zginać i co najważniejsza, że w tem postanowieniu wytrwamy!

-stal-



Marsz. J. Piłsudski przyjmuje defiladę kawalerii w Krakowie w r. 1933.

## ***Soczątek i koniec wojny***

HISTORYCZNY ROZKAZ JOZ. PIŁSUDSKIEGO.

Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójście do Królestwa i przestąpienie granic rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanję.

## ***X rozkazu na zakończenie wojny***

(18 października.)

Zadanie nasze dobiega końca. Nie było ono łatwem. Polska zniszczona przez wojnę, nie z jej woli na ziemiach polskich prowadzoną, była biedna. Nieraz żołnierze, łzy cisnęły mi się do oczu, gdy widział wśród szeregów wojsk, prowadzonych przeze mnie, wasze bose, pokaleczone stopy, które już przemierzyły niezmierne przestrzenie, gdy widział brudne łachmany, pokrywające wasze ciała, gdy musiał obrywać wasze skromne racje żołnierskie i żądać często, byście o głodzie i chłodzie szli do krwawego boju. Praca była ciężka, a że była rzetelna, zaświadczą o tem tysiące mogił i krzyżów żołnierskich, rozsianych po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej od dalekiego Dniepru do rodzinnej Wisły.

Żołnierze! Zrobiliście Polską mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni i zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku. Kraj, co w dwa lata potrafił wytworzyć takiego żołnierza, jakim wy jesteście, może spokojnie patrzeć w przyszłość.

\* \* \*

## ***Harcerze!***

Już w latach niewoli przygotowywaliście się do służby Ojczyźnie, uwierzywszy w tę prawdę, że tylko silny i zdrowy, przygotowany odpowiednio naród, zdolny jest podjąć walkę o niepodległość. Poczuliście z całym entuzjazmem młodości zaprawiać swoje ciała do trudów życia obozowego, ćwiczyć się w rzemiośle wojennem, a dusze swoje młode nastrajać na wysoki ton moralny ofiarnej gotowości do czynu. To też, gdy huragan wojny światowej deptać począł niwy polskie i przyjść miało do dziejowego porachunku za lata krzywdy i niewoli, wyście w pierwszym stanęli szeregu tych, którzy odważyli się osiągnąć po zaszczytne miano żołnierzy niepodległości. Łzami matek i ojców żegnani, lub częściej bez ich wiedzy i zezwolenia rzucając dom rodzicielski, szliście w szeregi polskich oddziałów na trudy wojenne, przerastające wielokroć wasze siły, szliście na rany i śmierć, na górną radość zmierzenia się z wrogiem w otwartym polu. Nie sprzeniewierzyliście się potem nakazom harcerskiego prawa, gdy zmartwychwstała Ojczyzna do broni swych obywateli do obrony granic wołała. W walkach o kresy Małopolski i Ziemię Litewską, w walkach zeszłorocznych z przemożnym wrogiem braliście czynny i chwalebny udział. Rozrzuceni po oddziałach regularnej armji lub zgrupowani w obrębie jednostki w służbie wywiadowczej, kurjerskiej i frontowej, zdaliście jeszcze raz egzamin ze swej dojrzałości obywatelskiej i gotowości na ofiary, zawsze świecąc swym starszym ochotnikom broni przykładem wysokiego pojmowania swoich ochotniczo na siebie wziętych obowiązków. Oddając cześć poległym za Ojczyznę Kolegom Waszym, wyrażam Wam harcerze podziękę i uznanie za dotychczasową służbę.

Naczelnny Wódz Józef Piłsudski  
Pierwszy Marszałek Polski  
(Rozkazy — 1921 r.)

\* \* \*



## Ślązacy z Cieszyńskiego w Legjonach

Oddziały »Strzelca« na Śląsku Cieszyńskim zmobilizowane wcześniej rozkazem Komendanta Piłsudskiego wyjechały w liczbie blisko 100 ochotników już w pierwszych dniach sierpnia do Krakowa i wcielone zostały do I. Brygady Piłsudskiego. Natomiast mobilizacja w »Drużynach« trwała kilka dni dłużej i ukończoną została dopiero koło 8-go sierpnia. W tymteż dniu zaczęły oddziały »Drużyn« ściągać do punktu zbornego, którym był park »Sikory« w Cieszynie.

Najpierw jako zresztą najbliższy stawiał się powiat cieszyński, w nim rej wodzili skauci pełni życia, zapału i humoru. Rekrutowali się oni przeważnie ze studentów kół cieszyńskich. Byli to chłopcy wyrastający już w młodzieńców, wszystkim prawie o twarzach panieńskich. Skupiali się oni

rozumie dojrzałego męża. Widząc, jak kieruje przywiedzionym przez siebie oddziałem, już wtedy mogłeś wyczuć w nim przyszłego oficera w Legjonach — oficera słynnego z lwiej odwagi i niepospolitych zdolności wojskowych. Odbysz wszystkie kampanie w Legjonach, a potem w armii polskiej, osiadł on jako major rezerwy na roli, zamieniwszy ojców zwyczajem »miecz na lemiesz«.

Wreszcie z Ostrawy przywiódł liczny oddział naucz. Zajchowski. Oddział ten imponował nam wszystkim najlepszym wyćwiczeniem i umundurowaniem. Lud zaś służył w nim rozmaity. Od barczystych prawie atletycznych młodzieńców do małych prawie chłopców. Wszystkich jednak w twardych trzymał ryzach Zajchowski, szczupły, o twarzy bladej, okolonej ciemną brodą. Odrazu



Legioniści Ślązacy w r 1914.

koło prof. Hajduka, założyciela »Skautingu« w Cieszyńskim, który sam był wzorem skauta i duszą swoich uczniów — wychowanków.

Następnie przybyły oddziały z Jabłonkowskiego. Tam przeważali górale — wszyscy o smukłych i gibkich postaciach i śmiałym junackim spojrzeniu. Wiódł ich nauczyciel Łysek, poeta ludowy Śląska, a późniejszy d-ca kompanii śląskiej w Legjonach.

Po nich przyszły oddziały z Zagłębia Karwińskiego. Składał się na nich przeważnie lud górniczy. Nie brakło jednak między nimi i młodzieży szkolnej, zwłaszcza z gimnazjum w Orłowej.

Ten to lud przyprowadził student Kotas Ferdynand, który w niecałe cztery lata później poległ w nierównej walce na polach Skoczowa.

Potem przybyli Michałkowianie, też lud w większości górniczy. Tych znowu wiódł nauczyciel Płonka, o wyglądzie młodzieniaszka, a sile i

wyczuć w nim mogłeś zapaleńca ważącego się na wszystko.

Liczny Oddział przybył z Dziedzic pod wodzą statecznego A. Janika.

Po ściągnięciu wszystkich oddziałów do Cieszyna, zaczęła się wytężona praca nad wpojeniem w nasze cywilne umysły najelementarniejszych zasad zachowania się w walce. — Pracą tą kierował ś. p. por. rez. armii austr. Lebiecznik. Był to oficer bardzo surowy dla siebie i dla nas. Sam świecił nam przykładem w punktualności i trudzie żołnierskim. To też podkreślić tu muszę, że oddział śląski, który miał sławę bezsprzecznie najlepszego w II. Brygadzie Legjonów, zawdzięczał swą spoistość, hart i wyćwiczenie ś. p. por. Lebiecznikowi.

To też z piersi naszych, przepełnionych najśmielszymi nadziejami wyrывały się same prawie





Ś. p. por. Jan Łysek z Koniakowa na koniu.

pieśni. Pieśnią rozbrzmiewał każdy nasz marsz, każdy nasz postój. Śpiewano pieśni znane lub stworzone ad hoc. W improwizowaniu ich celował zwłaszcza student Tad. Michejda.

Rej wśród tych śpiewaków wodzili naucz. Nardelli, młody a wielce zasłużony działacz na niwie społecznej Śląska. Legł on później w jednej z krwawych walk w Karpatach, trafiony kulą moskiewską w szlachetne serce.

Dalej student Farny — jeden z najdzielniejszych żołnierzy. I ten padł w walkach na polach Bukowiny, trafiony wraz kulą w głowę w chwili, gdy przykładał do oka niezawodny karabin, aby w szeregi nacierających Moskali wysłać z niego śmiertelny pocisk. Wreszcie student gimnazjum orłowskiego Ślęczka, który był podporą chóru, jako świetny tenor. Ten znowu wszystkie boje w Legjonach szczęśliwie odprawił, wyniósłszy z nich wiele ran, ale i wiele odznaczeń wraz ze stopniem kapitana.

Szybko mijały dni na gorących przygotowaniach. Jeszcze jedno wielkie dwustronne ćwiczenie na terenie od Cieszyńska po rzekę Ostrawicę i w dniu 21 września nastąpił wjazd do Mszany Dolnej, skąd po połączeniu się ze Wschodnim Legjonem, mieliśmy wyjechać na front.

W Mszanie Dolnej wciągnięto nas w ogień walk partyjnych. — Wyszliśmy z nich rozbici i rozdwojeni. Część została i wcielona do 3 p. p. Legjonów utworzyła kompanię 2-gą (śląską). Reszta wróciła do domu.

Dalsze dzieje śląskiego oddziału, to dzieje wszystkich walk II. Brygady Legjonów, w których to walkach Ślązacy brali wybitny udział. W dwuletnich bojach wykruszył się oddział śląski mocno. Zginął por. Łysek, chluba Ślązaków, żołnierz nieustraszony; żołnierz, który w największym ogniu nie tracił humoru, ale stawał się weselszy, rozmowniejszy, a na twarz wtedy występowały mu kraśne rumieńce i czapa bardziej chyliła na ucho.



Ś. p. Karol Kobiela z Karwiny, poległ 24. X. 1914. r.

— Padł pod Polską Górą w ataku na okopy moskiewskie, trafiony w serce w odległości 50 kroków. Bohaterską śmiercią swoją wślawił por. Łysek Śląsk Cieszyński. To też ziemia ta pamięć o nim uwieczniła pomnikiem na stokach góry zamkowej w Cieszynie ku świadectwu i nauce pokoleń, że w pierwszych walkach o Polskę pod przewodem Komendanta nie brakło i krwi Ślązaków. Zginął dalej naucz. Olej, niedoczekawszy świtu Wolnej Polski. Zginął student Martinek, co z niemieckich wyszedł szkół, a duszę i serce miał polskie. Padł Greń, chluba gimnazjum Orłowskiego — zginął patrolowiec świetny Cwiekała, zginął Cieśla, Śniegón, Wierzbicki i tylu, tylu innych, wszystko żołnierze zawołani. Reszta wróciła z bliznami.

Dziś jest nas już mała garstka. Z pełnego bataljonu, jaki wymaszerował w pamiętnym dniu 25 sierpnia 1914 r. z Cieszyńska w liczbie 500 przeszło ludzi, pozostało nas niewiele ponad setkę. I ta liczba zmniejsza się coraz bardziej. Nielitościwa śmierć wybiera z naszego grona znajomych i zasłużonych. I tak ulegając trudom i chorobie płucnej, jakiej nabawił się w Legjonach, umarł ś. p. por. Hajduk Feliks, przez dłuższy czas dowódca kompanii śląskiej. — Zginął w wypadku samochodowym płk. Przepiliński — ojciec Ślązaków-Legjonistów, który bodaj czy największych nie posiada zasług nad stworzeniem baonu śląskiego. Zginął por. Lebieczik i wielu innych. My pozostaliśmy, by sławę poległych naszych braci głosić ziemi śląskiej i przekazać ją potomnym. Z. L.



Ś. p. Rudolf Nardelli z Karwiny, poległ 3. II. 1915 w Karpatach.



## „Chociaż w butach dziury a na portkach łaty...”

Tak brzmi jedna zwrotka pieśni t. zw. kompanji kadrowej I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego. Oddaje ona wiernie obraz rzeczywistości. Lecz nie tylko ci pierwsi tak mogli o sobie śpiewać, ale i ci, którzy walczyli już w szeregach armji polskiej, w latach walk o utrwalenie raz zdobytej wolności, po którą znowu sięgali najeźdźcy, chcąc naród polski zakuć w nowe kajdany niewoli.

Wspaniała jest historia oręża polskiego od roku 1914 do 1920. Ekwipunek nie raz marny, mundur pozostawiający nieraz wiele do życzenia, wyżywienie czasami bardzo kiepskie, ale duch nadzwyczajny, zapał niepowszedni, który zastępował wszystkie niedomagania w wyekwipowaniu.

Z wiosną roku 1919 wyruszyliśmy na wschód, na Litwę, a potem na Białoruś. Był to dla widza,

I przyszedłszy na Litwę, przemaszerowali ją, wstąpili na ziemie białoruskie, doszli prawie do Berezyny. I pokonaliśmy wszystkie trudy wojenne, walczyli z liczniejszym nieprzyjacielem, przezwy- ciężali chłody i deszcze, głód i niewygody i wszyst- ko, co ze sobą wojna niesie.

A chociaż w ciągłych marszach zdarły się buty i chociaż mundury szły w strzępy, przecie duch rósł a zapał nie gasł. Szliśmy dumni, że danem jest nam walczyć za wolność, że danem jest nam »wszystko co mamy oddać Polsce«, że danem nam jest iść za Wodzem, o którym stale szły przez szeregi opowiadania i legendy, ku lepszej przyszłości.

A wielu ich nie powróciło z tych bojów i z tych dalekich dróg.



Cmentarz w Wolczesku, gdzie pochowany został ś. p. por.  
Jan Łysek.



Ś. p. Tadeusz Farny z Nawsia,  
poległ 17. VI. 1915.

obserwującego wymarsz naszego bataljonu z pewnością widok wielce wzruszający. Bataljon złożony z samych ochotników w wieku od lat 16 do 20. Najstarszy z żołnierzy miał lat 21. Małe to i chude wszystko było, nie wyglądało na wiarusów. Dzieci bawiące się w wojsko. Mundury pozornie piękne i dobre, lecz z ledwego materiału, zwłaszcza portki. Obuwie wiele pozostawiające do życzenia. Ładownice miała tylko szarża, szeregowcy mieli naboje w kieszeniach. Plecaki albo tornistry należały do rzadkości. Przeważnie można było podziwiać na plecach worki, paskami płóciennymi przymocowane do grzbietu.

A jak wspaniale bractwo to maszerowało, bilo buciskami o kocie łby na drodze w takt marszu, granego na pożegnanie przez pułkową orkiestrę. Śpiewom nie było końca, zapał zdawał się wszystką tę dzieciarnię unosić, szli dumni, że idą pod znakami Legionów, że idą w bój, by dzieło rozpoczęte w 1914 roku kontynuować dalej.

Mogiły ich rozsiane są po szerokiej Litwie i Białej Rusi i na innych polach kresowych. Swe młode, ledwo nie dziecinne życie złożyli umiłowanej Ojczyźnie w ofierze. Szli z czystymi myślami, śniąc o tych bohaterach z dalszej i bliższej przeszłości, którzy umieli szczerze i bezinteresownie ofiarować swoje służby sprawie wielkiej. Chcieli ich naśladować i co mieli najdroższego złożyć na ołtarzu.

Wielu ich było z naszego kraju, wielu synów naszej ziemi, przejęło się podaniami o śpiących rycerzach i gdy zabrzmiał złoty róg, gdy rozległo się wołanie pod broń, usłuchało go i poszło za Wodzem, aby krwią swoją przypieczętować dawno głoszone prawdy.

Dziś, gdy cały naród polski wspomina czyny sławne i znakomite Wodza Narodu, przypominamy te rzeczy, aby terazniejsza młodzież poznała przeszłość, zainteresowała się tem, co było, a w czem starsze pokolenie udział brało duszą i ciałem



## Jak przeszli...



Legioniści ze Śląska w Karpatach. Po prawej ś. p. Karol Kobiela.

Rok 1918. Wieść o zawarciu pokoju w Brześciu doszła nas na Bukowinie w Mamajeszti. Spoczątku nie chciano wierzyć, lecz gdy upewniono się, że na nic nasze usiłowania dotychczasowe, zawrzało pomiędzy nami jak w ulu. Ogarnęła nas wściekłość. Prać — ale kogo, gdzie i jak? Wytworzyła się jakaś dziwna atmosfera. Atmosfera niepewności z jednej strony, gdy znowu z drugiej, byliśmy pewni, że coś się musi stać. Rękawicę rzuconą przez Niemców musi ktoś podnieść. Wiedzieliśmy, że społeczeństwo polskie nie może w tej mierze, jakby chciało. We wszystkich trzech zaborach była okupacja niemiecka lub austriacka. Rękawicę więc podniósł żołnierz drugiej Brygady Legionów. Łamiąc przysięgę, plunął politycznym szubrawcom w twarz. Zespolił się ideowo z Brygadą Pierwszą. Myśl Dziadka odniosła pełny triumf.

»Legioniści. Dotychczasowi nasi sprzynierzeńcy pokazali, że nie cenią krwi naszych braci. Honor Polaka nie pozwala, abyśmy dalej szli z nimi ramie przy ramieniu. Niezmiennie trudno jest żołnierzowi łamać przysięgę, lecz w tym wypadku historia nas rozgrzeszy. Z karabinem w reku protestujemy przed całym światem. Udajemy się na tułaczkę, mając pewność, że wrócimy do Ojczyzny, jako zwycięzcy. Niech żyje Polska!...«

Krótki był rozkaz. Nam nie było trzeba słów.

Pod pozorem nocnych ćwiczeń wyrusza brygada w stronę Rarańczy. Miejscowość ta jest najbliższej granicy a do tego znana. Tutaj bowiem walczyła już druga brygada.

Przed samą miejscowością zastąpił nam drogę batalion »Landszturmreserwy«. Nawet strzelali, prawdopodobnie dla dodania sobie odwagi. Myśmy uważali, że szkoda na starych fotrów amunicji. Bagnet na broń i dalej. Wystarczyło. Obrońcy faterlandu pokryli się po kwaterach. Teraz czem prędzej ku granicy.

Dowództwo oddziałów wojskowych niemieckich i austr. domyśliło się prawdopodobnie celu

naszych ćwiczeń nocnych. Słychać turkot pociągu pancernego i złowroźny dźwięk nadjeżdżającej artylerji.

Psiakrew, prędzej, inaczej odetna nam drogę.

Udało się wyniknąć. Jesteśmy już w pobliżu okopów. Stać. Policzyć kompanje. Są wszyscy. Wiara zmęczona forsownym marszem kładzie się na ziemię.

Wtem: — Śląska kompanja wysła patrol celem zbadania okopów — słychać głos brygadiera Hallera. — Plutonowy ten a ten weźmie 5 żołnierzy — nakazuje kapitan Pytel, komendant naszej kompanji. — Pierona, aby jo ni, tak się fajnie leżało — myślę sobie. A tu prawie pierwszy byłem wołany. Byłbym chętnie ten zaszczyt odstąpił innemu, ale cóż — rozkaz — rozkazem.

Ruszamy. Do pierwszej linii okopów było około dwóch km. Według przypuszczenia, okopy te miały być obsadzone wojskiem austr. Teren pocięty wszere i wzdłuż okopami i rowami łącznikowymi. Ciemno, choć w pysk bij. Idziemy pomacku. Raz po raz staczamy się do okopu. Pół biedy, gdy okop był płytki. Gorzej było, gdy jeden lub drugi wsypał się do dwa metry głębokiego — wtenczas było trzeba zanucić, pocichu naturalnie: Pomoc dajcie mi rodacy... Na dobitke reflektory austriackie zaczęły swemi ślepiami obmacywać teren. Niedosyć padania do rowów, trzeba padać, gdy się smuga światła zbliżała. Ledwo macka światła przesunęła się, zrywaj się na gwałt i pędz kilkadziesiąt kroków, by albo stoczyć się na łeb, na szyję w rów, albo wyrznąć sobą o ziemię, by uniknąć światła. Wyczerpaliśmy też cały nasz słownik przekleństw, a trzeba przyznać, że dosyć obszerny.

Wydostaliśmy się nareszcie z obrebu działania przeklętych reflektorów. Instynktownie wyczuiliśmy, że zbliżamy się do pierwszej linii okopów. Skradamy się krok za krokiem, by nie wpaść niespodziewanie na jakąś placówkę. Naraz — pst —





Okopy w Wołczesku. Drugi z lewej plk. ś. p. Przepiliński. Obok ś. p. por. Łysek.

słysząc jakieś hałasy. Zamieniamy się w słuch. Pierona, co to, jakby jakieś dzwonienie? Któżby w nocy w okopach dzwonił? — Kamraci, musimy to zbadać — szepta plutonowy. Jak koty skradamy się do dzwoniącego miejsca. Słysząc nawet kroki. No to muszą być i ludzie. Leżymy na okopie. Podzwaniające »coś« już jest pod nami w okopie. Wskakujemy na oślep do rowu i straszliwym szeptem wołamy — stój. — Przy świetle latarki widać dwóch trupobladych austr. Ersatzrezerwistów, którzy niosą kociołek polowy. Pokrywa kociołka nie była przyśrubowana i uderzając o metal, wytwarzała te niesamowite głosy. A bodaj cię pokreśliło!

Rezerwowe austriacy mówili na przedbieżki — ile jest żołnierzy w okopach, że dalej jest ziemianka, w której znajduje się telefon, a że obok zaraz jest ziemianka, gdzie śpią telefoniści, że telefon jest połączony z drugim okopem, w którym są żołnierze, a tych jest jeden batalion, że oni byli na placówce i, że idą po kawę do kuchni — słowem śpiewały biedaki jak z nut.

Kamrat Julek został na warcie przy nich, a my idziemy dalej. Po drodze natrafiamy ziemiankę. Są w niej granaty ręczne. Dobrze — przyda się. Jest nareszcie ziemianka jedna i druga, opisana przez austr. żołnierza. Z jednej prześwieca światło przez szczeliny w drzwiach. Aha — to będzie telefon. Ty pójdziesz tam — mówi plutonowy — a my reszta do tej drugiej. No fajno. Najpierw obmacałem dokładnie drzwi. Aha, jest drut. Dobrze, tak, już przecięty. Pocihuteńku próbuję, czy drzwi niezamknięte. Na szczęście nie. Pomalutku otwieram i... ręce do góry, bo strzelam...

Telefonista, drzemiący obok telefonu, zrywa się, wybałuszyl oczy i z nader głupią miną odzywa się: Szo ty pane legionist, czy ty durny? Poznał po orzelku na czapce, myślał więc, że żartuję. Powtarzam rozkaz. On, myśląc widocznie, że ma faktycznegowarzata przed sobą, sięgnął po słuchawkę telefoniczną. Przewracam w tej



Pluton Legionów z zagłębia karwińskiego w okopach pod Rarańczą. Po prawej por. Łysek.

chwili nogą stół razem z aparatem. Teraz dopiero telefonista podniósł ramiona. Zbudzony hałasem podnosi się z kąta ziemianki druga postać. Ta, rozszpana, widząc kamrata swego z ramionami w górce, nie czeka, tylko podnosi sama ręce do góry.

Mam więc dwóch jeńców. Ale co dalej. Sam stoję w progu, a moje dwa Rusiny w ziemiance. Trzeba ich jakoś wyprowadzić na powietrze. — Za mną, bo inaczej strzelam. — Zaczynam się pomalutku cofać a potulnie jeńce krok w krok za mną. Po jakimś czasie takiego »ciągnięcia w niewolę« jest wyjście z rowu. Dzięki Bogu.

Tymczasem zaczęło dnieć. Można już rozróżnić szarą kopułę niebios. Prowadzę telefonistów przed sobą. Ale do licha, gdzie może być plutonowy. Co teraz? Czy przynajmniej idę w dobrym kierunku. Naraz z lewej strony widać trzech ludzi. Był to kamrat Julek ze swoimi kucharzami.

Idziemy razem dalej. Czujemy się coraz bardziej nieswojo. Trapi nas myśl, że prawdopodobnie zbłądziliśmy i gdzie u djaska może być nasz plutonowy (do dziś dnia nie wiem, nie spotkałem go już więcej).

Tymczasem robi się widniej. A my, takie dwa boroki, nie wiemy, co ze sobą zrobić. Nasze jeńce



Ś. p. Emil Cholewa, górnik z Karwinv. poległ w marcu 1915 r. w Karpatach.





Cmentarz w Wolczesku, oświetlony reflektorami.  
W środku krzyż na grobie ś. p. Łyska.

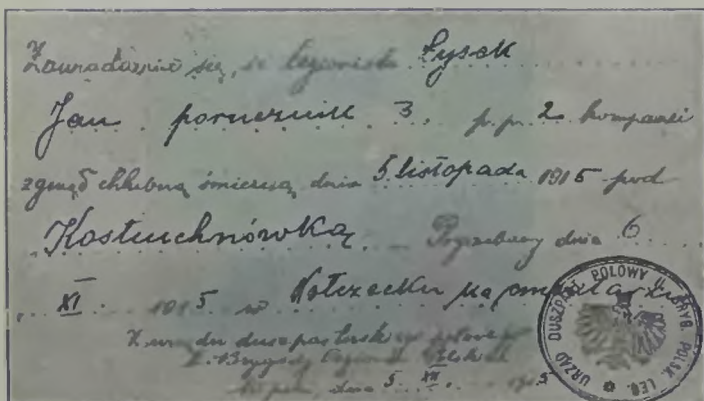
chyba to wyczuły, bo jakoś swobodnie się zachowują.

Wtem na jakieś 50 kroków pojawia się na okopie jakaś postać. Kamrat Julek mierzy w niego i chce strzelić. — Lepiej nie, trzeba unikać hałasu — mówię. Żołnierz jednakże zauważył ruch, bo piorunem zniknął w rowie. Będzie nam ciepło, myślę sobie. Naturalnie — nie upłynęło parę chwil — a cały okop zaroił się ludźmi. Co teraz? Puszczamy naturalnie naszych jeńców a sami wtył zwrot i w nogi. Daremnie — po kilku minutach, żołnierze nas otoczyli i następuje zmiana ról, jesteśmy bowiem jeńcami walecznych rezerwistów austriackich.

Z wielkim hałasem, nie szczędząc takich epitetów, jak: zdrajcy — ktoby to wszystko wyliczał, — prowadzą nas do ziemianki. Była to ziemianka komendanta bataljonu.

Po chwili wychodzi zaspany oficer. Musiał co dopiero wyleść spod deki. Papucie, płaszcz na ramionach.

— Co tady dziełate? — Był to oficer czeskiej narodowości. Było to naszym szczęściem, bo prawdopodobnie Niemiec nie byłby dla nas miał takich względów. Oficer bowiem, dowiedziawszy się od nas, w jakim celu pętamy się po okopach, kazał nas odprowadzić do kuchni i polecił, by nam dano kawy.



Oryginał zawiadomienia o śmierci ś. p. por. Jana Łyska.

W kuchni nie tak gościnnie nas przyjęto. Wieść o złapaniu dwóch verreterów dotarła już i tutaj. Przynieśli ją tutaj dwaj nasi bywali jeńcy. Naturalnie w takich warunkach o kawie nie mogło być mowy. Prędzejby człowiek otrzymał warzechę. Powzholono nam usiąść na pryczy. Obok nas trzymał straż stary freiter. Był to Niemiec. Na nasze żądanie, by nam dał kawy, odpowiedział krótko i zwięźle jednym wyrazem: — kusz dich! — Tak się bracie nie dogadamy. Chwyciłem się podstępnie, udałem, że robi mi się słabo. Skruszyło to walecznego obrońcy ojczyzny do tego stopnia, że nie tylko dał nam kawy, ale napełnił nawet i nasze manierki, ba dał nam i Rumu. Rumu przez wielkie R, był to bowiem rum prawdziwy, oficerski, nie żaden ersatz z kory dębowej.

Rozmawialiśmy co dalej. Julek trochę minorowo ględził na temat sądu wojennego, Czerniowiec.



Ś. p. Jan Greń z Poreby.  
poległ 3. II. 1915.

kuli w łeb i t. d. Co do mnie nie chciało mi się wierzyć w jego przepowiednię. Kombinowałem bowiem, że gdy bataljon będzie stawiał opór naszej Brygadzie, to go zmiotą i nas uwolnią. Nie będzie bitwy, no — to nas też chyba nie będą trzymać. Ale lichy ich wie. W każdym razie trzeba wy dostać się spod opieki naszego anioła stróża i dać dęba do pola. Mówię Julkowi — Uważaj, gdy tylko się drzwi otworzą, pichnie do fotra i wio do pola. — Nie upłynęło może dwie minuty, jak drzwi się otwierają. Odtrącić frajtra, skoczyć do pola, było raz, dwa fertig. Na okopie widzę mojego znajomego oficera Czecha, który w otoczeniu żołnierzy i podoficerów obserwował, jak nasza Brygada przechodziła na stronę rosyjską. Oficer rozkazał nam wydać odebrane karabiny i życzył nam szczęśliwej drogi.

Tymczasem artylerja austr., która poprzednio rozbiła nam treny, przeniosła ogień na piechotę naszą. Między okopami była równina. Gdy tylko na niej pokazała się grupka osób, natychmiast artylerja zaczęła rzetelnie walić w nią. . Pozatem prali gdzie się dało, by tylko robić ruch w interesie. Iść w tej chwili naprzód, było rzeczywiście niezdrowo. — Julek, zdekujmy się do jakiego leja od granatu, zjemy po konserwie, a kiedy skurczybyki przestaną strzelać, walimy co tchu przez równinę.



Tak się też stało. Leżeliśmy w leju jakie dwie godziny. Austriakom znudziło się widocznie strzelanie. My nogi za pas i po upływie może 10 minut byliśmy — wolni — na ziemi rosyjskiej.

A. S z e k.



Grób ś. p. Tad. Farnego z Nawsia w Rarańczy (krzyż z lewej).

#### WYCIĄG Z LISTU Ś. P. POR. JANA ŁYSKA do rodziców. 20 VI 1915

»W tych ostatnich tygodniach toczyły legiony bitwy tak straszliwe, jakich od początku nie toczyły. Otoczyły się przy tem chwałą wielką, bo zwycięstwo szło przed nami i za nami. — Straszliwe te boje w ostatnim pocie czoła toczone w skwarze słonecznym, były dla nieprzyjaciela okropnym pogromem. Pędziliśmy wroga milami, brali w niewolę setkami. We dnie i w nocy grały armaty i warczał grzechot karabinów maszynowych. Aż kiedyśmy stanęli na granicach państwa (Bukowiny i Bessarabji) przestaliśmy pościgu. Wówczas nieprzyjaciel postanowił z potęgą na nas uderzyć. Jakoż uderzył na brygadę pewnej nocy. Cały dzień potem wrzała piekielna walka. Pięć wściekłych ataków, przeważających sił rosyjskich odparła Brygada Legionowa, dnia tego wzięliśmy do niewoli 1500 jeńców. Potem otrzymywaliśmy od najwyższych komend armji podziękowania i gratulacje.

A była pewna okropna chwila kiedy wielki oddział nieprzyjacielski oświadczył, że chce się poddać. Puściliśmy ich blisko siebie na jakich 20 kroków. Szli radośni, machając czapkami i nieśli karabiny, powiadając, że u naszych broń złożą. Przepuściliśmy ich grzecznie aż tu z bagnietami rzucili się na nas. — »Jezus Marja«, zabrzmiało w okopach legionistów. — Ale kosa kosiarza nie tak zmiata dojrzałe zboże, jakieśmy zmiotli w mgnieniu oka zdradzieckiego nieprzyjaciela. Stosy trupów leżały przed nami.

Nieprzyjaciel został złamany, zmiażdżony. Ale każdy z nas okryty był potem i prochem, tak że jeden drugiego nie mógł poznać.

W tej walce śmiercią bohaterską poległ sierżant Tadeusz Farny, syn kierownika szkoły z Nawsia. — Nieszczęśliwy ojciec traci już drugiego syna. — Straszny zbiegiem okoliczności właśnie w ten dzień przyszło z Komendy Głównej Armji



Grób ś. p. Farnego po wycięciu drzew przez bolszewików.

pismo, że daje się sierżantowi Farnemu 6 tygodni urlopu. I w ten właśnie dzień chłopak poległ trafiony kulą w samo czoło. Prócz niego dużo innych poległo i mnóstwo jest rannych.»

\* \*

A w parę dni później otrzymuje por. Łysek list od ojca Tadeusza Farnego, datowany 17 czerwca 1915, a więc w dzień kiedy sierżant Tadeusz Farny poległ. W tym liście donosi p. Farny, iż synowie Alfred i Józef polegli w dniu 2 i 4 czerwca. Nieszczęśliwy ojciec w ciągu 14 dni utracił trzech synów.

Cześć ich pamięci!



Legioniści Ślązacy na froncie.





### **Serce Marszałka**

Zanim Wielki Marszałek spoczął  
w szklannym swym grobie,

Przyszła chwila, że wreszcie mógł  
pomyśleć o sobie,

Więc przywołał przyjaciół smutnem ręki  
skinieniem,

Smutnem oczu spojrzeniem, i powiedział  
z westchnieniem

»Moje serce strudzone już wydało swój  
posiew,

»Niech po śmierci odpocznie na cmentarzu,  
na Rossie,

»Niech odpocznie to serce, miłujące tak  
silnie,

»W nogach Matki najmiłszej, w ukocha-  
nem mem Wilnie»,

Umarł wielki Marszałek w Belwederze  
na wiosnę,

Biły dzwony żałobne, lzy płynęły żalosne,

I to serce, co Polskę miłowało tak górną,  
Zwłokom Wodza odjęte, ukoilo się w urnie,

I spoczywa na Rossie, w nogach Matki  
najmiłszej,

Tylko wiatr nad niem szumi, tylko Bóg  
nad niem milczy.

JAN BRZECHWA



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## Wołyń



Rzeka Horyń w biegu swym poprzez Dolinę Janową. Jest to najbardziej typowa rzeka wołyńska, równocześnie najpiękniejsza i najdłuższa, ma około 800 km. długości. Horyń we wszystkich najazdach Wschodu na Polskę odgrywał wielką rolę strategiczną, to też nad jego brzegami wznosiły się liczne starożytne okopy, kurhany i stare zamczyska, o które w pierwszym rzędzie musiały się rozbijać wszelkie najazdy.

Wołyń!... Ten kraj mlekiem i miodem płynący, ten dawny śpichlerz Polski, poza sentymentem historycznym przedstawia też niezwykle ciekawy teren, bogaty w zabytki dziejowe, w cuda przyrody, w piękno krajobrazów, w swoisty, egzotyczny folklor mieszkańców, o wybitnie, etnicznie

odmiennych cechach charakteru i właściwościach zewnętrznych.

Majestatyczne zwaliska i ruiny wielu starych grodzisk i zamczysk, tworzących niegdyś linie obronne i zapórę przeciw nawałnicom ze Wschodu, stanowią dziś tak charakterystyczną dekorację a





Kamieniołomy bazaltowe w Janowej Dolinie, leżącej w tak zw. Wołyńskim Zagłębiu Przemysłowym.

starodawne i późniejsze świątynie różnych wyznań, lepiej lub gorzej zachowane, wspaniałe rezydencje magnackich rodów, czarujące o urwistych stokach Krzemienieckie Góry lub pełne pierwotnego wdzięku tajemnicze jary, to znów szerokie, równinne, mgłą dali zasnuwane, lub niedostępne, szuwarem zarosłe pobrzeża rzek, to wszystko razem łącznie z jedynymi w Europie gajami dzikich azalii, z kopalniami i legendami, składają się na niesamowity urok tych stron.

Nazwa Wołynia prawdopodobnie pochodzi od wołów, chowanych olbrzymimi stadami na jego obszernych rozłogach.

Teren Wołynia jest bardzo ciekawy pod względem etnograficznym, gdyż obok rdzennej ludności t. j. Polaków i Rusinów, w południowej części województwa zamieszkuje też dużo Czechów, którzy po r. 1868, gdy Polakom nie było wolno kupować tam ziemi, licznie tu osiedli. To samo tyczy się i Niemców, z tych samych też powodów osiadłych. Rosjan pozostała tam tylko garstka, z pomiędzy dawnych wolnych zawodów, obywateli ziemskich i urzędników.

Żywiół polski niegdyś kulturalnie i gospodarczo najsilniejszy, po strasznych represjach powstaniowych osłabł, obecnie jednak wzmacnia się z dniem każdym nanowo, dzięki osadnictwu wojskowemu i wróconej wolności.

\* \* \*



Ruiny kościoła w Czartorysku. Kościół ten zbudowany został w r. 1639, w czasie wojny światowej został bardzo zniszczony. Obecnie jest on gruntownie odnawiany.





## Kultura postępowania

(Artykuł dyskusyjny.)

Myśli, jakie pod powyższym tytułem rozwinął autor w 7 nr. »Ogniwa« są nie tylko aktualne, ale śmiało godzą w najgorszy i najboleśniejszy wrzód, który od dawna rozkłada nasze społeczeństwo. Przytoczone przykłady nie są wcale rzadkością. Spotyka się je na każdym kroku z tą różnicą, że czasem są one mniej jaskrawe od innych, graniczących wprost z brutalnością. Jednostek, niedorozwiniętych umysłowo, ignorantów w pracy społecznej, ale zato dostatecznie zarożumiałych i doskonale wytrenowanych do torowania sobie drogi łóckami i czem się tylko da, mamy wśród nas sporo. Jest ich dostatecznie dużo aby mogli z powodzeniem paraliżować i tłumić wszelkie objawy nie tylko działalności ale i myśli nie zgadzającej się z ich poglądami.

Wypadki »dożywotnich« prezesur, krepujących młodą, uświadomioną i orjentującą się w zadaniach chwili generację są bolesnym cierniem, który bezwarunkowo należy usunąć. Często zachodzą takie wypadki, że nawet bezstronny obserwator nie może się połapać w tem, czy wchodzi tu w rachubę proste niezrozumienie zadania, czy też liczyć się trzeba z świadomą złą wola i chęcią szkodenia. Zwłaszcza stare pokolenie wychowane w szkołach niemieckich, posiada wśród siebie dużo takich (nazwijmy ich jak na to zasługują) »napuszonych działaczy« stojących na czele polskich towarzystw kulturalno-oświatowych a nie posiadających, nie mówiąc już o wyrobieniu społecznym, własnego przekonania o swej przynależności narodowej. Nie dziwnego potem, że młodzież dzisiejsza, o poglądach nawskroś narodowych, widząc ster organizacji w takich rękach, nie może znieść dyktatu i burzy się. Powstają w ten sposób rozterki i nieporozumienia, które jak rak niszczą całe związki i doprowadzają je do ruiny.

Młodzież nasza dąży do absolutnej jedności, opartej na tradycjach narodowych. Jedności trwałej, którą czekają ciężkie zadania i próby przyszości. W pracy nad scaleniem w jedno tego mnóstwa gorących serc, mamy prawo spodziewać się zrozumienia i pomocy. I każdy starszy, narodowo uświadomiony pracownik społeczny, pomocy tej nie odmówi i ze zrozumiałych względów odmówić nie może. Przeto wszyscy ci, którym ta jedność nie może jakoś wejść w serca, ci, co się pogardliwie na nas patrzą a co gorsza, starają się między gorętsze umysły rzucić zarzewie waśni i niezgody, wszyscy ci są naszymi wrogami bez względu na to, czy zasłaniają się udawaną pracą dla społeczeństwa polskiego lub nie. Użyłem może zbyt dosadnych słów, mówiąc o tym rodzaju »kulturtraegerów« ale nic na to poradzić nie mogę. Przetoż tu zresztą pewien wypadek, jaki miał miejsce

w jednej z naszych wiosek, a z którego Czytelnicy osądzą sami, że nie czas tutaj zastanawiać się czy kogoś urażymy czy nie, ale że trzeba szukać dróg wyjścia nim będzie zapóźno. Niech wszystkie polskie serca i sumienia rzecz tę ocenia i osądzą.

Otóż pewnego marcowego wieczoru zebrała się elita trzech organizacji młodzieżowych na wspólne narady. Wynikiem tych obrad było urządzenie przedstawienia na dzień 3-go maja. Sztukę podjęto się wyćwiczyć miejscowe S. M. K. Pod jakimi wpływami to stowarzyszenie się znajduje nie wiadomo, dość, że pono »ojcowie« zorganizowani w pokrewnej ale politycznej organizacji, zabronili czy tylko nie radzili urządzenia tego przedstawienia. Krok ten pociągnął za sobą rzecz nieuniknioną, bo podzielił to stowarzyszenie na dwa wrogie obozy. Zainteresowani w tej sprawie przedstawiciele starszych, uzasadnili swą decyzję »naprężeniem stosunków«(!). Rzadki naprawdę przykład odwagi cywilnej. Curiosum!

Sprawą tą zajęli się później młodzi pracownicy Kola Macierzy chcąc pod jej protektorem doprowadzić projekt do skutku tembardziej, że przewodnictwo nieoficjalnie dawało znać, że chęci młodych, chcących Kołu pomóc należą się ocenia a ich wysiłki poprze. Rozpoczęto więc werbunek amatorów, rozdano role i nagle jak grom z jasnego nieba spada wiadomość, że Zarząd Kola projekt odrzucił. Pono wszyscy z jednym wyjątkiem, a był nim przedstawiciel młodzieży, zwolennik nowego prądu, warjat, jak go później określono, głosowali przeciw urządzeniu przedstawienia. Zysk moralny tego kroku? Przeniesienie rozdwajenia na Z. E. M. i zniechęcenie do Macierzy lwiej części młodzieży. Na dokładkę dano jeszcze do zrozumienia, że młodzież jest niedoświadczona i »nieostrożna« a powinna dlatego podporządkować się woli doświadczeńszych od niej. Nie omieszkało również podkreślić, że bez nich wysiłki młodzieży skazane są zgóry na niepowodzenie(!).

W ten oto sposób odnoszą się w stosunku do młodzieży przedstawiciele towarzystwa utrzymującego dziesiątki szkół i ochronek z grosza zapracowanego poważnie za pomocą imprez urządzanych przez młodzież. Nie ma ani jednej wioski gdzieby nie korzystano z usług młodzieży chętnie poświęcającej swój czas i siły i zdolności na ten cel. Ciekawym coby powiedział na to Główny Zarząd? Może dałby tym wszystkim gorliwym i gorącym Polakom »odznaczenia« za gorliwość.

Powyższe zajście zdaje na sąd Czytelników. Czy to są metody wychowawcze, jakie powinno się w stosunku do młodzieży stosować? Czy w ten sposób powinno się oceniać i rozwijać dobre chęci



młodych? Ciekawem może byłoby wyjaśnienie określenia, że młodzież jest »nieostrożna«.

Nie jest przecie żadną nieostrożnością urządzanie przedstawiń w wolnym terminie, który z biegiem okoliczności przypadł na 3-ci maja. Nie może być również nieostrożnością odegranie sztuki o treści historycznej, na którą udzielił Urząd powiatowy swego zezwolenia. Nie może nią być wygłoszenie tych kilku słów na wstępie do imprezy już z tego jedynie względu, że przechodzą one przez cenzurę tegoż urzędu. O jakiej tu zatem nieostrożności mogła być mowa? Tego nie rozumiemy! Traktować ją trzeba chyba jako pustą grę słów, za którą kryją się osobiste ambicje »doświadczonych bohaterów«.

Tendencyjne upokorzenie i zniechęcanie młodych, niekulturalne drwiny z ich gorliwości, dalekiej od osobistych korzyści a mającej na celu tylko dobro społeczne, ta jakaś łatwo dająca się odczuć niechęć do wybijających się młodych pracowników społecznych, nie mogą wyjść z serc i ust stuprocentowo uświadomionych narodowców. Zaznaczyć

trzeba, że dziś dużo pracy społecznej zwała się na barki młodzieży, posiadającej pełne poczucie odpowiedzialności, pracy takiej, jakiejby ta młodzież wykonywać nie miała gdyż wchodzi to w zakres działania starszych, którzy bardzo często od wszelkiej odpowiedzialności się wykręcają.

Kończąc tych kilka uwag, zaznaczam, że używając określenia »starsi« nie mam wcale na myśli całego społeczeństwa siwych głów. Ubliżyłbym bowiem tym zastępom dojrzałych, światłych pracowników społecznych, z poświęceniem pracujących dla tych samych idei co młodzi. Uderzam w tych, co zaślanając się kupą przeżytych lat nadużywają swego autorytetu w stosunku do młodzieży, której szeroki rozмах i do dalekich lotów rozwinięte skrzydła są skrępowane, tej młodzieży, co zmuszana jest do marnotrawienia swych zdolności w ciasnych ramach podwórkowej egoistycznej polityki jakoteż zmuszana do zmywania i naprawiania przez kogo innego popełnionych win i błędów.

Nowator.

Witold Zechenter.

## ***Solonia Zagraniczna w hołdzie Wodzowi***

Symboliczna wystawa.

W krakowskiej Wieży Ratuszowej otwarto wystawę urn. Cóż kryją te pogrzebowe naczynia, sporządzone z najrozmaitszych metali, drzewa, coż kryją w sobie te kształty, które zazwyczaj mieszczą prochy minionych istnień?

Jest ich przeszło sto. Pochodzą z całego świata. Z Polski i z różnych zakątków globu. A wszystkie kryją ziemię.

Przynieśli i przysłali te urny z ziemią Polacy z całego świata na kopiec na Sowińcu, kopiec Marszałka Józefa Piłsudskiego.



Prezydent Rz. P., Ignacy Mościcki sypie ziemię na kopiec Marszałka Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie.

I te urny mówią. Mówią, że wszędzie, gdziekolwiek żyje Polak, gdziekolwiek bije polskie serce, chociażby najdalsze dzieliły go granice od Ojczyzny, gdziekolwiek rozlega się dźwięk polskiego słowa — tam wszędzie maj zeszłego roku okrył się żałobą i wszędzie powstała szlachetna chęć przyczynienia się czem można było do powstania pomnika hołdu dla Wodza Narodu.

Przybyły więc do Krakowa urny z Europy, Afryki, Ameryki, z Azji i z Australji. Przywoziły w swych wnętrzach ziemię, pobraną z miejsc historycznych, związanych z historją Polski — a czy jest taki zakątek gdzieś w świecie, gdzieby nie polała się krew, nie minęła polska dola i niedola żołnierska, emigracyjna, tułacza czy zwycięska? Albo ziemię pobraną spod polskich gdzieś osad, spod polskich szkół, domów, związków polskich na obczyźnie.

Urnę te w akcie uroczystym pozbędą się swej zawartości z całego świata na kopcu na Sowińcu, a same zostaną przechowane na wieczną rzecz pamiątkę w specjalnem muzeum, kreowanym u stóp powstającego kopca-pomnika.

Trudno byłoby wymienić te dziesiątki urn. Ale zaznamy przynajmniej kilkanaście z nich — skąd przybyły, jakie ręce je wykonały i czyj hołd i czyj smutek i żaloba zawarły one wraz z zsypaną ziemią.

Widzimy więc na owej dziwnej wystawie urnę toczoną z korzenia akacji australijskiej — zawiera ona ziemię pobraną z góry Kościuszki w Australji, a przysłali ją Polacy zrze-





Legionowo w r. 1916.

szeni w Związku Narodowym w Brisbane pod prezesurą p. Romaszkiwicza.

W mosiężnej, rzeźbionej kasecie przysłali ziemię z góry Kahlenberg, przypominającej wictorię Sobieskiego, Polacy z Austrii.

W półmroku sali wewnętrznej wieży ratuszowej srebrzy się puchar historyczny z roku 1791 — mieści on w sobie ziemię z osiedli polskich w Kanadzie, oraz bryłki tamtejszego kwarcu złotodajnego, a przysłali go osadnicy polscy w Kanadzie.

Kolonja Polska w Charbinie przysłała w antycznej wazie chińskiej ziemię z mogił powstańców z 1863 roku, oraz legionistów syberyjskich i popiół z wieńców złożonych u stóp popiersia Marszałka podczas akademii żałobnej w maju ub. roku.

Ludność polska z Prus Wschodnich przesała ziemię z 28 polskich miejscowości w Prusiech Wschodnich w urnie z czarnego granitu.

Kolonja polska w Kairze ziemię egipską, po której stapał Marszałek, przesała w urnie mosiężnej, srebrem inkrustowanej, o motywach arabskich.

Jest i ziemia holenderska przesała w mosiężnej kasecie, ozdobionej lampką górniczą, przez kolonję polską w Limburgji.

Jest szwedzka ziemia zamknięta w miedzianej mieniącej żołnierza piechoty szwedzkiej z 1867 roku, przesała przez Polaków z Szwecji.

I belgijska ziemia pobrana z osad górniczych i spod

hut, gdzie ciężko trzodzi się emigrant polski, i z grobów wychodźców polskich, przesała przez emigrantów polskich w Belgji w metal. skrzynce.

Urną z brązu kryje ziemię z poboju francuskich, gdzie polska krew obficie się polala podczas Wielkiej Wojny — urnę tę przysłali Polacy z Francji.

Model żaglowca kryje ziemię z dziedzina domu akademickiego w Gdańsku, przesała przez polskich studentów z Wolnego Miasta.

W skrzyni o krakowskich motywach znajduje się ziemia pobrana z osad polskich w Ameryce Północnej przez 1700 polskich dzieci szkolnych.

Z Kapsztadu nadesłał ziemię pułk. Roński, z Trinidadu spolszczony Anglik Elgin Scott, który bronił Lwowa, i żona jego, Polka, z domu Łukasiewicz —

a ziemia ta zawarta jest w starohinduskiej urnie...

Oto drobna część tego wielkiego spisu, który zawiera jeszcze i ziemię z Palestyny i Nordkapu, spod Cecory i z wyspy św. Heleny, ze wszystkich części świata...

Te urny mówią. Mówią wyrazami hołdu i żałoby, czci i łez. Ziemia przesała przez Polaków z całego świata zmiesza się z ziemią z całej Polski i ziemią krakowską i wrośnie w kopiec, który po wszystkie wieki mówić będzie świecącym jak błyskawica i jak piorun w historii Polski — nazwiskiem Józef Piłsudski.

\*\*\*



Grupa Legionistów w święta Wielkanocne w r. 1916 w obozie Legionowo.



## Wincenty Pol

Urodził się w Lublinie 1807 r., jako potomek rodziny niemieckiej, ale z duszą i sercem nawskroś polskiem. Do gimnazjum uczęszczał w Tarnopolu. W roku 1830 wyjechał na Podole, później do Wilna, gdzie miał otrzymać posadę lektora języka niemieckiego przy tamtejszym uniwersytecie. Jednak z chwilą wybuchu powstania listopadowego wstąpił w szeregi wojska narodowego, gdzie został ranny i otrzymał za męstwo krzyż wojсковy.

Z upadkiem powstania listopadowego, poszedł z wojskiem do Prus a stamtąd do Drezna, gdzie zostali wszyscy ci, którzy do kraju albo wrócić nie mogli albo nie chcieli. Tam też spotkał się Pol z Mickiewiczem, Odyńcem i innymi, do których się zbliżył i pokazał im piosenki, które przywiózł z sobą. Piosenki te podobały się bardzo, bo w nich było to, co drzemało w duszach wszystkich, a co wypowiedzieć mógł tylko poeta. To też kiedy wydał »Pieśni Janusza« powitano je z uniesieniem i odtąd też popularność Pola, jako poety, zatacza coraz to szersze kręgi.

Powróciwszy z zagranicy, osiadł w Galicji, w cichym zakątku gór malowniczych i niektórzy przypuszczali, że zaczął i skończył na »Pieśniach Janusza«.

Niebawem ale wyszła w Poznaniu »Pieśń o ziemi naszej« bezimiennie, wszyscy jednak poznali w niej pióro Pola. Przeleciał w niej całą polską ziemię, od morza do morza, obrazy migają, a każdy

obraz budzi inne wrażenia i myśli. Pol tak odczuwa i rozumie życie przyrody, że czytelnik podda się całkowicie uniesieniom poety i zacznie patrzeć na świat jego oczyma. Obok natury występują i ludzie, szlachta i chłopci, i Żmudzin i Mazur i Litwin. Poeta potrafi scharakteryzować każde plemię kilku dosadnymi wyrażeniami, czasem jednym zamaszystym zwrotem.

Wielką sławę przyniosły Polowi »Gawędy« w których przedstawia obyczaje starszszlacheckie bardzo wyraziście.

Osobne miejsce wśród poematów Pola zajmuje »Mohort«. Poeta chciał właściwie napisać poemat bohaterski, ale w rzeczywistości jest to również gawęda. Tem się jednak różni »Mohort« od innych poematów, że więcej w nim podniosłości i ducha rycerskiego.

Wogóle Pol był poetą wielkim, brakło mu potężnej wyobraźni, wielkich pomysłów i wielkich myśli, a jednak znaczenie jego w literaturze jest niemałe. Pol odzwierciadla doskonale ducha czasu, potrafi doskonale oddać typ szlacheccy, który hołduje rozwiczożnionemu wówczas prądowi starszszlacheckiemu.

Styl Pola jest oryginalny, pełen zwrotów przejętych z gawęd szlacheckich i z gwary ludowej.

Pol to szlachcic-gawędziarz, opowiadający w miły sposób o dawnych lepszych czasach. -lek-

\*\*\*

### Dziś a Mł

»Idą czasy, których znamię będzie  
wyścig pracy, jak przedtem był wyścig że-  
laza, jak przedtem był wyścig krwi.«

Józef Piłsudski.

To »dziś« szare takie smutne,  
Jak trup cichy w czarnej trumnie:  
Kto tej hydrze łby zła utnie,  
Kto zwycięzcą spojrzy dumnie?

Beznadziejnie błądzą wokół  
Wyszarzałe klisze żrenic:  
W nich się zatarł pędu sokół,  
W nich konają spleenu cienie...

Wypatruje jeden z drugim  
Biblijnego cudu z nieba, —  
Lecz pamiętać im potrzeba,  
Że nie dla nich niebios sługi!

Kto beczynn timer patrzy w niebo,  
Tego prędzej w grób zagrzebia,  
Zanim przyjdzie doń cud łaski  
I — zawiezie jego taczki...

Kto swą chorą myślą wyssie  
Siłę mięśni w swem ramieniu,  
Temu lepiej zamienić się  
W martwą mumję lub kamień!

Przecież dosyć krzepkich dłoni!  
A więc precz z tym, który trwoni  
Drogocenne skarby przodków —:  
Niech mu wieczność będzie słodka!...

A kto siłę czuje w sobie —  
Niech się cnotą przyozdobi,  
Której imię: żmudna praca —:  
Ona haracz grzechów spłaca!

Gustaw Przeczek.



Młodzi Rusini z okolic Krzemieńca. Ludność wiejska Wołynia w znacznej części prawosławna i ruska, zachowała do dziś piękne stroje ludowe, odznaczające się barwnością oraz pięknymi wyszywaniami. Lud tutaj jest naogół postawny i dorosły, gdyż wchłonił w siebie dużo bujnej krwi szlacheckiej i kozackiej.



## Ėskadra

Poniżej oddrukujemy emocjonujący opis nocnego napadu lotników polskich na lotnisko bolszewickie. Opis ten, to urywek z powieści Janusza Meissnera, p. t. »Ėskadra«, osnutej na tle walk z bolszewikami pod Warszawą. Autor, który sam jest lotnikiem, oddaje wierny obraz życia lotników w służbie i poza służbą, a to w sposób tak zajmujący, że książkę czyta się jednym tchem. Szkoda tylko, że większość jego powieści i nowelek lotniczych jest już wyczerpana, m. in. »Ėskadra« oraz zbiór nowel p. t. »Latający djabeł«; niektóre z nich oddrukujemy w nast. numerach.

Płoną ułożone w trójkąt ognie. Wysoki płomień bucha pod niebo z szmat nasyconych benzyną i oliwą.

Gierlicz startuje ze Świącickim. Kiedy maszyna pełnym pędem przechodzi tuż koło wierzchołka ognistego trójkąta, białe spody płaszczyzn nośnych zdają się nabiegać krwią. Błyskają stójki i przez moment drga odbicie promienia w gładkim kręgu szumiącego śmigła. Potem maszyna wbija się w mrok, który opuszcza za nią swoje granatowe portjery.

Znów tęgi, pełny warkot silników. Z pod hangarów wybiegają dwa płatowce na migotliwie oświetloną przestrzeń i giną poza nią w ciemności. To Żegota z Jabłonowskim i sierżant Kasprzak z Brzezińskim.

Długa chwila ciszy, tej ciszy pełnej odgłosów, szeptów, dziurawionej tu i ówdzie głośniejszym sło-

wem, okrzykiem, ciszy oczekiwania. I ryk zduszonej ku ziemi maszyny. Szylling startuje z Sikorą, który wyprosił sobie ten lot. Płatowiec wyje wszystkimi spojeniami linek, zanosi się z spazmatycznym gwizdem i szumem, rwie się w górę. Jak piorun przelatują między dwoma ogniskami i wpadają nad trzecie, rozdmuchając je w tysiące iskier. Nagle samolot kładzie się na skrzydło, zadziera w górę warczący łeb i śmiga ku gwiazdzistemu niebu bravurowym »amerykanem«. Skręca się, zwija się w sobie, prowadzony płaszczyznami sterów po ostrym łuku wyciągniętego wgórę wirażu. Silnik aż jęczy z napięcia. Wtem, zwolna, prostuje się i płynie już w przeciwną stronę wysoko nad ogniskami lotniska.

Świącicki prowadził czwórkę. Całą jego uwagę pochłaniała mapa i busola. Dopóki lecieli nisko, od czasu do czasu widział jeszcze ziemię, kiedy księżyc leniwie wyłaził z za chmur. Mimo trudności drogi, orjentował się. Ale po upływie pół godziny, trzeba było wznieść się wyżej. Po raz ostatni porównał kurs na mapie z położeniem pływaka busoli i spojrzał wdół. — Zgadza się.

— Wyżej — powiedział do Gierlicza.

1.000 metrów... 1.500 metrów... 2.000...

— Wyżej, wyżej, jeszcze wyżej!

Weszli między obłoki. Byli na granicy dwóch różnych światów: na dole czarna, jednolita masa mroku, pod którym leży niewidoczna ziemia; nad nimi srebrny talerz księżyca, pływającego pośrodku granatowego nieba, zachłapanego rozpryskami gwiazd.

2.500... 3.000... 3.500 metrów.

4.000!!

— Tak, jak teraz.

Płynie pod nimi równina z perłowej masy. Czasem wyklębia się z niej srebrno-popielaty kopic, rzucający krótki, mgławicy cień na martwy blask powierzchni chmur. Czasem otwiera się w niej otchłań, przez którą nierozważne promienie księżyca uciekają w mrok, aby zgubić się gdzieś w przestrzeni. Gwiazdy spoglądają ostrożnie w te przepaście i mrugają z trwogą, nie widząc dna. Czasem równina z perłowej masy urywa się nagle i księżycowe srebro spływa bezgłośnie wodospadem wdół, rzuca się z jej krawędzi aż w najczarniejszą głąb, rozbijając po drodze mroki. Razem z tą ulewą światła zapadają się cienie samolotów, sunące dotychczas po zdradliwej równinie. Spadają w przepaść, aby po chwili znów położyć się na pełnej załamów, wzgórz i kłębiących się fal powierzchni i płynąć dalej.

Chwilami zdaje się, że tam, pod tą warstwą chmur, niema już nic. Że ziemia usunęła się gdzieś w bok, aby zmieniwszy drogę, krążyć dokoła jakiegoś innego słońca. Że jest tak samo daleka, jak inne gwiazdy, jak srebrny talerz księżyca. I zdaje się, cztery płatowce już na wieki zostaną w granatowej przestrzeni wszechświata...

Świącicki nie myśli o tem. Dla niego nie istnieją równiny z masy perłowej, ani wodospady płynnego srebra, ani przepaście mroku. Jest po prostu pułap<sup>1)</sup> i średnio gruba warstwa chmur, sa



Typ starszych chłopów wołyńskich. Ludzie starsi noszą ubrania bardziej jednolite i ciemniejsze, prawie całkowicie wykonane z własnych samodziółów, używając na wyrób ich tamt. surowców: lnu, konopi i wełny.

<sup>1)</sup> Pułap — odległość dolnej powierzchni chmur do ziemi.



dziury, przez które i tak nic nie widać, bo na ziemi ciemno, jak djabli. A najważniejsza ze wsystkiego jest busola, kurs i chronometr.

Za pół godziny trzeba obniżyć się i rozpocząć akcję; za pół godziny powinni być nad Bobrujskiem. Dawno już minęli linię frontu i lecą nad nieprzyjacielskim terytorjum.

— Gdyby teraz komuś popsuł się silnik...

Święcicki ogląda się za siebie: na lewo na prawo i wtyłe balansują w powietrzu, zniżają się i podnoszą, oddalają się i przybliżają po trzy sygnałowe światełka.

Czwórka trzyma się w szyku. Leca w czarną noc, wyzwać nieznany los. Leca bez wahań, gnani ambicją czynu, leca, nie myśląc o tem, że przedsięwzięcie to może się skończyć śmiercią, leca — jak tylko lotnicy, szaleńcy powietrza lecieć mogą: obliczają na zimno, »pracują« w powietrzu przeciw bolszewickiej eskadrze...

Gierlicz, siedząc za sterem, myśli o sercu swojego zespołu, o sercach tych siedmiu ludzi, których porwał do czynu.

Nie mówił im, że to dla Ojczyzny. Broń Boże! Wyobrażał sobie, co by było, gdyby im to powiedział: Święcicki parskałby śmiechem. Szylling wzruszyłby ramionami, inni — nawet Żegota, nawet Brzeziński — spojrzeliby nań z politowaniem. Nie, tym ludziom nie można było mówić o Ojczyźnie głośno i na trzeźwo. Bo każdy z nich, kochając Polskę całą duszą, krył to uczucie na samem dnie serca i nie przyznałby się do niego za nic wobec innych. Była to wogóle kwestja, której nigdy nie poruszano w eskadrze.

Polska i Ojczyzna — te dwa słowa wyświechtane w partyjnych walkach, w agitatorskich mowach ulicznych demagogów, w kłamanych manifestacjach ludzi interesu i kariery, te dwa bezbronne słowa służące kłamstwu i prywacie do osiągnięcia



Dziad — lirnik.

Typ ten coraz bardziej zanika, choć jeszcze często spotyka się ich grających na tamt. specjalnym, starożytnym instrumencie muzycznym teorbanie, a przyśpiewujących pieśni ludowe. Widząc tych lirników przychodzi nam na pamięć przygody sienkiewiczowskiego Zagłoby, który w przebraniu za takiego lirnika ratował Helenę przed

Bohunem.

brudnych zamierzeń — najrzadziej używane były przez tych, dla których stanowiły wraz z honorem godło sztandaru, dla tych, którzy tworzyli z powodzi własnej krwi tę Uniłowaną, co nie zginęła...

Kapitan wiedział o tem dobrze. Nie potrzebował zresztą wcale zachęcać ich do wykonania ryzykownego projektu. Wystarczyło to, że wykonanie przedstawiało rzeczywiście duże ryzyko i że powodzenie byłoby wielkim »fasonem« — jak się mówiło w eskadrze.

Dla tych ludzi zrobienie takiego »kawału« bolszewikom miało zupełnie dostateczny urok, aby zbytecznemi uczynić wszystkie inne względy. Gierlicz nie wątpił w to ani na chwilę i nie zawiódł się.

— Z takim zespołem można polecieć choćby na bombardowanie Moskwy — pomyślał z uśmiechem. I z pewnością, gdyby chodziło o wylądowanie przed Kremlm — eskadra poleciałaby tam, aby zobaczyć się z Trockim i Leninem z taką samą pewnością siebie, z jaką leciała teraz do Bobrujska.

Mrok szarzał; zbladły nieznacznie gwiazdy, a daleko na wschodzie niebo zaczynało rozjaśniać się zlekka.

Święcicki sprawdził szybko obliczenia.

— Nadół!

Silniki ścieliły. Szli przez chmury, nie widząc się wzajem w poszarpanych skrzydłami kłębach wilgotnej pary. Mimo to, poniżej brudno-szarej piezyny chmur znaleźli się w niezmienionym szyku.

Pod nimi leżała ziemia osnuta tu i ówdzie strzępami mgły. Święcicki rozglądał się uważnie. Na lewo dostrzegł rozlane w szeroki moczar koryta Berezyny. Zorientował się: rzeka zataczała tu łuk wygięty ku wschodowi. Trochę poniżej tego łuku leżał Bobrujsk.

Dojrzał go prawie zaraz, choć miasto było ledwie widoczne w mroku gęstym jeszcze przy ziemi.

— Bombardowanie w tych warunkach z powietrza byłoby daremną stratą czasu — pomyślał, szukając lotniska.

Wskazał je Gierliczowi i podczas, gdy szli do lądowania, niemal skrzydło w skrzydło z płatowcem Żegoty, po raz ostatni sprawdzał karabiny.

Serca waliły mocno. Dreszcz emocji przebiegał ciała. Za chwilę... Co będzie za chwilę? Czy warokot silników nie obudzi obsługi lotniska? Czy za hangarami nie czekają ich plutony piechoty z przygotowaną do strzału bronią? Czy nie czają się gdzieś ukryte i kaśliwe maszynki, które lada moment zaplują ołowiem?

Lotnisko bobrujskie spało. Czuwały tylko posterunki wart, z bronią na ramieniu, wolno przechadzające się w mroku obok szarych płócien hangarów.

Kiedy oba samoloty zatrzymały się nawprost nich, jeden z wartowników podszedł bliżej, nie zdejmując karabinu z pasa.

— Wy otkuda<sup>2)</sup>? — zagadnął.

W tej samej chwili Żegota, który już zdążył wyskoczyć z gondoli, wyrzucił go w szczękę potężną apieścią. Żołnierz zwałił się na ziemię. Żegota chwycił jego karabin.

— Sdawajsia<sup>3)</sup>! — krzyknął do dwóch pozostałych, repetując.

<sup>2)</sup> Wy skąd?

<sup>3)</sup> Poddaj się!





Przepiękny fronton Ławry Pocajowskiej. Pocajów jest centrum życia prawosławnego w Polsce.

Gierlicz już był przy nim. Obaj obserwatorzy, pochyleni nad karabinami maszynowymi, czekali. Nad lotniskiem krążyły jeden za drugim płatowce Szyllinga i Kaprzaka, warcząc głośno w ciszy pierwszego brzasku dnia. Wartownicy rzucili się do ucieczki. Nie strzelano do nich: szkoda było ładunków.

Teraz Gierlicz z Żegotą pędem skoczyli ku hangarom. Było ich pięć. Zaczeli od zewnętrznych. Żegota swoim fińskim nożem, z którym się nie rozstawał, rozpruł płótno, wyszarpnął zapalnik z granatu i rzucił do wnętrza.

Gierlicz, który nie przewidział tego, że płachty hangarów będą spuszczone i zasznurowane, nie mając noża, myślał przez chwilę nad sposobem działania. Nagle w ciszę uderzył ostry dźwięk dzwonu alarmowego, a zaraz potem huk wybuchającego granatu.

Teraz wypadki zaczęły następować po sobie z błyskawiczną szybkością: stalowy dzwon jęczał prędko, nerwowo. Huknęły gdzieś dwa, trzy strzały. Wten błysnął ogień. Palilo się rozdarłe wybuchem płótno hangaru, a ciemny płomień benzyny, która już rozpływała się z wnętrza ognistą strugą, obejmował je od dołu.

Gdzieś z tyłu zatupotały szybkie kroki. Jednocześnie karabin Jabłonowskiego odezwał się i szczeakał dalej krótkimi seriami.

Żegota ciał drugi hangar. Gierlicz, uporawszy się z płachtami, które wreszcie zdołał rozsunać, rzucił swój granat i ukrył się za następnym namiotem, aby uniknąć skutków wybuchu.

Z drugiego końca lotniska zarzęgotła maszynka. Kule klasnęły w płótno. Nastąpiły po sobie dwa

nowe wybuchy: znów jeden hangar stanął w płomieniach.

Gierlicz podbiegł do następnego i oblał go benzyną z bańki, którą miał przy sobie. Zapalał zapalki drżącymi rękoma; gasły jedna po drugiej. Obejrzał się na Żegotę. Litwin stał opodal. Niewiele myśląc, odbezpieczył granat, odbiegł kilkanaście kroków w tył, wyrwał zapalnik i rzucił, padając plackiem na ziemię.

Eksplzja nastąpiła niemal natychmiast. Płótno stanęło w płomieniach.

Pozostały jeszcze dwa namioty, nicobięte pożoga, z których jeden zniszczony wybuchem granatu Żegoty. Ale od strony koszar za lotniskiem rozpoczął się już regularny ogień ręcznych karabinów. Jazgot maszynek na skrzydłach rósł. Dokoła świstały kule.

Kasprzak i Szylling prali z powietrza po rozrzuconej za płonącymi hangarami tyraljerze. Ogień ich był mało skuteczny, z powodu ciągle jeszcze panujących ciemności szarego świtu.

Alarm na ziemi wzmagął się: grały trąbki sygnałowe i stalowy dźwięk dzwonu nie ustawał, łącząc się w piekielny hałas ze strzelaniną ręcznej broni i ujadaniem maszynek. Zaczynało być gorąco. Tyraljera podchodziła szybko coraz bliżej.

— Wal pan resztę granatów — i do maszyn! — huknął Gierlicz w stronę Żegoty.

Powolny Litwin nie śpieszył się. Rzucił jeden granat na wklęsły dach namiotu, zaczął aż wy-



Ołtarz główny w Ławrze Pocajowskiej.



buchnie, i dopiero przez wyrwaną tym sposobem dziurę rzucał następne.

Widać było sylwetki strzelców zrywające się z ziemi i przebiegające po kilka kroków, aby znów paść i strzelać.

Święcicki i Jabłonowski musieli zaprzestać ognia, aby nie zranić pilotów.

Był najwyższy czas: niebezpieczeństwo groziło już samolotom, bo rosnący z każdą chwilą pożar mógł lada chwila oświetlić je, a wtedy stałyby się celem dla wszystkich pocisków nieprzyjaciela.

— Gotowe — powiedział Żegota.

Pędem dopadli maszyn. Gierlicz był pierwszy w gondoli. Obejrzał się na porucznika: Żegota stał nieruchomo obok kadłuba, trzymając dłoń na burcie. Nagle nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię.

— A, do stu diabłów! — zaklął kapitan, wyskakując ponownie.

— Co tam, Jabłonowski? Żyje?

— Nie wiem, panie kapitanie: nieprzytomny.

— Weź go pan razem ze mną do mojej maszyny. Musimy lecieć we czterech.

— Żeby tylko można było wystartować — powiedział Jabłonowski.

Pierwsze kule smagnęły naciągnięte płótno kadłuba i sterów płatowca.

Gierlicz siadał do płatowca. Święcicki ujął jeden z pozostałych granatów i odbezpieczył.

Z za hangarów wypadło z pół kompanii strzelców. Jabłonowski puścił Żegotę, którego podtrzymywał klęcząc na dnie kabiny, i pochylił się nad karabinem. Stalowa lufa zaczęła ujadać. Prowadził ją szerokim miotem po biegnących ku nim ludziach. Plutony zmieszały się, przypadły do ziemi. Strzelał dalej.

— Gazu! — huknął Święcicki i zamachnął się.



Widok na górę Bony w Krzemieńcu, rodzinnym mieście poety Juliusza Słowackiego.

— Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy — liczył. Rzucił; granat opisał łuk i upadł pod koła płatowca Żegoty.

Ruszyli. Mały obserwator stał i patrzył za siebie. Jabłonowski siał po splaszczonych na ziemi plutonach.

Maszyna z trudem uniósła ogon i ciężko toczyła się w długim nierównym starciu. Dwukrotnie wyrwał ją pilot i dwakroć opadała na koła, skacząc niezgrabnie, jak zrywająca się do lotu wrona. Bezwładna głowa Żegoty tłukła o pokład kabiny. Jabłonowski przestał strzelać i z niepokojem śledził start. Święcicki ścisnął go za ramie.

— Nie eksploduje — powiedział.

— Co?

— Granat, którym zostawił waszej maszynie, aby jej nie dostali bolszewicy. Psia krew, trzeba było podpalić!

W tej chwili zobaczyli na środku lotniska błysk, a potem usłyszeli huk. Buchnął ogień.

— Pali się! — odetchnął mały obserwator.

Prawie jednocześnie płatowiec, w którym siedzieli, oderwał się ostatecznie od ziemi i z wysiłkiem zaczął się wznosić, przelatując tuż nad dachami budynków.

Szylling i Kasprzak bili teraz na zmianę z Sikorą i Brzezińskim w środkowy hangar, który oparł się dotychczas płomieniom. Mimo zapalających się ładunków, nie mogli mu dać rady. Wreszcie dyń wywinął się czarnym wałem z płacht. I zaraz potem olbrzymi słup ognia, jak gejzer wystrzelił pod niebo; eksplodowała beczka z benzyną. Za pierwszą, strzeliła z hukiem druga, trzecia, dziesiąta. Jak olbrzymie rakiety leciały w górę, spadając deszczem ognia, który rozlewał się szeroko, pełził coraz dalej, aż zaczął lizać najbliższe budynki koszar.

Strzelanina ustała. Słychać było tylko huk rozszalałego żywiołu.

## Wyzwanie

Błogosławione serca, które w dniach okrutnych  
Ogół swą własną potrafią rozpalić nadzieją —  
I błogosławione, co w godzinach smutnych  
Czują i wierzą, kiedy inni tego nie umieją...

Spoglądam w niebo, a tam obłok dnieje.

Bieży w przestworza i słońca dosięga

I pędzi wyżej — aż do widnokręga...

Może tam ujrzę czyny, lepszych chwil nadzieje. —

Zniż się latawcze, niech dosięgnę ciebie,

By razem gonić i pędzić po niebie!

Czego nie widzą szkła ni teleskopy —

To ja oczyma uwidzę...

Pędź, pędź latawcze ponad świata stropy —

Już z świata sztydę —

Usłuchał — zniża lotu — ze sobą zabiera —

Leci — swą piersią rozcina błękitny —

Pod nami przepaść straszna się otwiera —

Leci, najwynioślejsze chce zdobywać szczyty...

Ha, moje ciało

W dole pozostało —

Ha, tam wśród ludzi, pośród brudu kup:

Mój trup, mój trup, mój trup —

Pędź, pędź latawcze —

Razów nie szczędzę,

Na oślep pędzę —



Pędź, pędź latawcze,  
Ku gwiazdom, wyżej, wyżej,  
Ku słońcu bliżej!

Patrz, tam w otchłani, w głębinie  
Ziemia się roztacza —  
Już nam z oczu ginie,  
We mgłach się rozplynie —  
Nowy nas świat otacza:  
To świat nowy, inny,  
Na podłość ziemską głuchy —  
Tu serca tylko żyją,  
Tu żyją tylko duchy —  
Tam ludzie w błocie gniją,  
A tu — świat niewinny. —

Ha, moje ciało  
W dole pozostało —  
Ha, tam wśród ludzi, pośród brudu kup:  
Mój trup, mój trup, mój trup. —  
Cyt —  
Coś się wokoło nas dzieje,  
Czyżby światów koleje? —  
Jakiś słyhać zgrzyt —  
To Bóg Wieczny, Pan tych światów  
Ręką sięgnął do ogniska —  
I na wrogów, na psuśratów  
Gromy ciska. —

Pędź, pędź latawcze —  
Razów nie szczędzę,  
Na oślep pędzę —  
Pędź, pędź latawcze  
Ku niebu, wyżej, wyżej,  
Ku Bogu bliżej. —

Cyt —  
Serce mi bije, jak dzwon uderza,  
Jako na wietrze lekki puch,  
Jako błagalna zwrotka pacierza —  
Serce — to ja — to duch. —

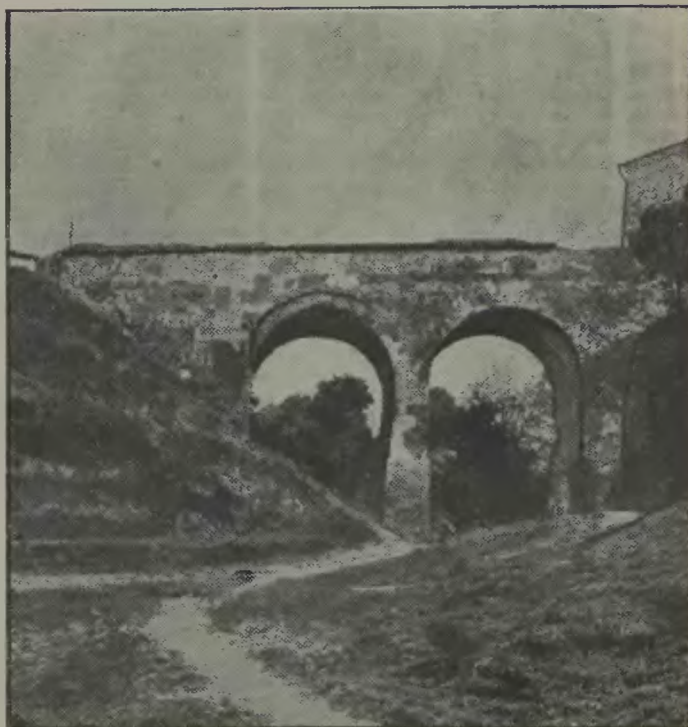
Cyt —  
Wszak jest coś w sercu, co pieści, co kocha,  
Co się rozśmiej z radości  
I co się także w smutku rozszlocha,  
A to jest iskra — miłości —  
Są jednak tacy, którzy nie kochają,  
Którzy nie dążą do żadnego celu;  
A jest ich dużo i może zawiele —  
To nie są ludzie — bo serca nie mają. —  
Młodości! W sercach twoich zakłeta potęga,  
Która złości kruszy,  
Która się w nowej uświęci katuszy —  
Ona do niebios sięga —  
Jak chwały wstęga.  
Razem Młodości!  
Tu Bóg przed nami nowe drogi ściele —  
Tam toń gnuśności,  
Tam wrogi nasze, tam ciemniźciele,  
Nieprzyjaciele —  
Razem Młodości!

A tam, pod nami, w głębinie,  
W pośrodku chmur czarnych toni —  
Tysiąc dzwonów się kolebie,  
Tysiąc dzwonów hejnal dzwoni —  
Kroci dzwonów hejnal płynie  
I po ziemi i po niebie —  
Dzwonią nieba i otchłanie,  
Bo nadchodzi zmartwychwstanie —  
Bo przyszłość woła nas:  
Już czas, już czas, już czas!

Czuwaj Młodości, gruntuj serca w wierze —  
Masz w piersiach serce, więc składaj ofiary,  
Bo Bóg i tobie odbierze to serce —  
A będziesz wtedy, jak ten motłoch stary —  
A będziesz wtedy, jak ten motłoch szary —  
Bez serc, bez wiary. —  
Ból jakiś straszny w głębi duszy wierce,  
Nie wiem, czy starzy Młodych zrozumieją —  
Będziem się jednak ciągle tą cieszyć nadzieją,  
Że wiara nasza — naszej dorówna ofierze.

A może kiedyś i oni poznają,  
Że na drodze do prawdy gromadnie bładzili  
I nas dopiero wtedy będą chwalili i czcili —  
Młodości, czuwaj! — Nowe czasy się zbliżają,  
Już przyszłość woła nas:  
Już czas, już czas, już czas!

-r-



Starożytny zamkowy most w Korcu.



Legendarna czarownica na miotle, śpiesząca na sabat, odbywający się w sobotnie noce na górze królowej Bony w Krzemieńcu.



# Nova pisownia polska

(Na marginesie radiowego odczytu p. K. Irzykowskiego.)

Język, jako twór żywy, stale rośnie, rozwija się i zmienia. Jednym z przejawów życia języka jest jego pisownia (ortografia) i zmiany tej pisowni. W miarę jak pewne zasady ortograficzne okazują się niestosownymi, zastępuje się je nowymi. To wprowadzenie nowych zasad napotyka zawsze na mniej lub bardziej energiczne głosy sprzeciwu i protestu, często oburzenia.

Podobnie przedstawia się sprawa obecnie. Gdy rozeszła się pogłoska o tem, że Akademia krakowska przystępuje do zmiany zasad ortografii polskiej, zaczęły podnosić się głosy sprzeciwu, zwłaszcza z szeregów tych, którzy po r. 1919 już raz musieli się na nowo uczyć pisowni. Kiedy zaczęły przenikać mętne pogłoski i wiadomości o pracach i zmianach, jakie komitet językowy ma zamiar poczynić, głosy oburzenia nie znały granic a nie mało było takich, którzy twierdzili, że nowej ortografii za nic w świecie nie będą się uczyli.

Mimo to wszystko nowa pisownia stała się faktem dokonany, z którym trzeba się z konieczności pogodzić. Trzeba się pogodzić tem bardziej, że zmiany są wcale dobre a jak należy przypuszczać bardzo wskazane i uzasadnione, skoro zostały przeprowadzone po 15 miesiącach skrupulatnej pracy nie tylko językoznawców, ale i przedstawicieli sfer nauczycielskich, dziennikarzy oraz drukarzy. Każdy wniosek rozpatrywano wszechstronnie; skoro więc już został przyjęty, to z całą pewnością musiał być uzasadniony. Wiele wniosków nie przeszło tej ogniowej próby i zostały odrzucone; wymienię tu tylko takie, jak żądanie wprowadzenia w miejsce cz, sz, rz — ć, ś, ń, wyrugowanie nieistniejących w wymowie głosek ó, rz, ch itp.

Obecnie postaram się omówić »najradikalniejsze« zmiany pisowni, jak je przedstawił p. K. Irzykowski w środę dnia 13 maja w odczycie radiowym p. t. »Plon Sejniku Ortograficznego«.

Pierwsza z tych zmian będzie może najmniej popularna ze względu na to, że zmienia stan zaprowadzony dopiero w r. 1919. Jest to mianowicie zastąpienie końcówki **-ja** przez końcówkę **-ia**. Będziemy więc pisali Anglia, Warmia, Arabia, historia, linia itd. (zamiast dotychczasowych form: Anglja, Warmja, Arabja, historia, linja etc.). Wyjątek stanowią będą rzeczowniki, w których przed końcówką **-ja** są spółgłoski **z, s, c**; gdybyśmy po tych spółgłoskach napisali **-ia**, to można by to czytać miękko: zia (ża), śa, ća. Będziemy więc jak dotąd pisali Rosja, Szwecja, Azja etc.

W odmianie rzeczowników na **-ia** pozostanie **-i**. Dopełniacz (2 przyp.) będzie więc: historii, Arabii, linii etc. Dopełniacz liczby mnogiej będzie albo równy dopełn. l. poj. albo też będzie miał (dla odróżnienia od dop. l. p.) dawne zakończenie **-ij, -yj**; w tym wypadku pozostawia się piszącemu swobodę. Można więc będzie pisać i »tych religij« i »tych religii«, »tych historyj« i »tych historii« itp.

Sam, słuchając o tej zmianie, nie mogłem się powstrzymać od uwag, ale zastanowiwszy się nad uzasadnieniem tej uchwały, przyszedłem do przekonania, że jest zupełnie słuszną. Piszemy przecież: ziemia, glebia a wymawiamy żemja, głębja, zupełnie podobnie jak armja czy Arabja. Skoro więc raz piszemy **-ia**, dlaczego w innych wyrazach pisać **-ja** — ujednolajniono pisownię. Zmianę nie trudno będzie sobie zapamiętać, bo 3 wyjątki (po **s, z, c**) spowodowane są względami wymawianiomowi.

Jeżeli codopiero omówiona zmiana spotka się z licznymi zastrzeżeniami, to druga z kolei zostanie powitana z radością. Jest to bowiem uproszczenie i ujednolajnienie końcówki **przymiotników** w narzędniku i miejscowniku (6 i 7 przyp.) liczby pojedynczej i mnogiej. Końcówka ta zależała od mianownika (1 przyp.): jeżeli było w mianowniku **-i, -y, to miejsc. i narzędnik kończył się na -im, -ym, -imi, -ymi**; mianownikowi zakończonemu na **-e** odpowiada końcówka **-em, -em** w miejsc. i narz. Obecnie wyrugowano zupełnie końcówki **-em, -em**, pozostawiając dla 6 i 7 przypadku końcówkę jednolitą **-ym, ymi**, wzgl. **-im, -imi**. Będziemy więc pisali: »dobrym chłopcem« (jak dotąd) i »dobrym dzieckiem« (zamiast dobrem), wielkim koniu« (j. d.) i »wielkim żrebięciu« (zam. wielkiem) »wielkimi ludźmi«, »wielkimi kobietami« (dotąd wielkimi), »wielkimi dziećmi« etc. etc.

Ponieważ jednak każdy szanujący się język i każda szanująca się ortografia musi mieć wyjątki i wyjąteczki,

więc i tu zrobiono taki wyjątek. Od innych wyjątków różni się jednak tem, że jest łatwy do zapamiętania. Oto: **nazwy miejscowości** rodzaju nijakiego (pochodzenia przymiotnikowego) i **nazwiska** męskie na **-e** zakończone zachowują dotychczasową końcówkę **-em, -em**. Będziemy więc nadal spędzali lato »w Zakopanem«, a w zimie narciarze nadal będą się »Zakopanem« zachwycali. Będziemy nadal z czcią mówili »o Lindem«, jako o wybitnym znawcy języka polskiego.

Trzecia wreszcie »radikalna« uchwała dotyczy łącznego i rozdzielnego pisania różnych form i wyrażen. Zmiany tu wprowadzone dotyczą przede wszystkim dwu dziedzin gramatyki i pisowni: t. zw. **aorystu** (dziś zakończenie trybu warunkowego czasownika) i przysłówków. Przyrostki trybu warunkowego: **bym, byś, by, byśmy, byście, by**, będziemy odtąd pisali łącznie tylko z czasownikami i spójnikami, z innymi częściami mowy oddzielnie. Będziemy pisali: »Pierwszy **bym** pałkę strzaskał na twej głowie, gdyby nie działek pacierze« (dotąd: »Pierwszy**by**...«). »Ja **bym** to zrobił chętnie« ale »Ja zrobił**by** to chętnie« (osobno z zamknięciem »zrobił«). W pisowni przysłówków Komitet językowy zajął stanowisko przychylne dla pisowni rozdzielnej. Wbrew więc »reformatorom«, którzy już pisali »spoczątku« i »spowod« będziemy pisali »z początku« i »z powodu«, a nawet »z góry«, »z dala«, »nie tylko« itd. Wogóle gdzie tylko odczuwa się odrębność części przysłówków, będzie się je pisało osobno. Tylko tam, gdzie tej odrębności nie odczuwa się tak wyraźnie, będziemy pisali razem.

Inne uchwały regulują pisownię wielkich liter (Polak, Czech, Niemiec, Francuz będziemy nadal pisali wielkimi literami), zajmują się sprawą interpunkcji itd., itd. Wszystkie te uchwały znajdują się w nowym słowniku ortograficznym, który niebawem ukaże się na półkach księgarskich. Radzę już z góry sobie go zamówić w którejś księgarni, aby nie brakło, jak się zdarzyło z ostatnim wydaniem, które zostało rozchwycone w krótkim czasie, chociaż nowości tam wprowadzone nie zyskały prawa obywatelstwa. Obecne zmiany są jednak definitywne i zostaną przeprowadzone w ciągu najbliższych lat.

Życzyć sobie tylko należy, aby ogół piszących przychylnie ustosunkował się do nowej pisowni i starał się jak najprędzej ją sobie przyswoić i wprowadzić w życie. Trzeba, aby wszyscy zrozumieli, że »formy, do których się od młodości przyzwyczailiśmy, nie są nieodwołalnie dobre i niezmiennie.«

Kończę twierdzeniem, którem zacząłem ten szkic: »Język jest tworem żywym i jako taki stale rośnie, rozwija się i zmienia.« Z tem musi się każdy — nawet naiwicki konserwatysta — pogodzić.

Afka.



Dworek Januszewskich, dziadków Juliusza Słowackiego, w Krzemieńcu.

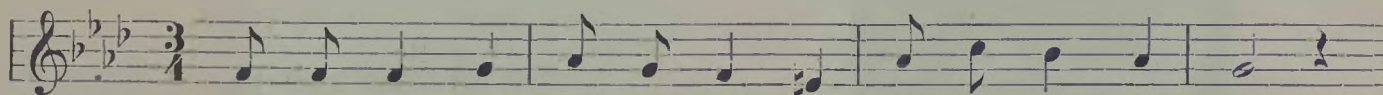


Począwszy z dniem dzisiejszym umieszczać będziemy w każdym numerze w dziale regionalnym nieznane, wzgl. mało znane pieśni ludowe ze Śląska, zebrane przez Komisję artystyczną przy Zw. Polskich Chłorów. Spełniając w ten sposób życzenie szerokich kół czytelników, prosimy wszystkich o współpracę w notowaniu starych pieśni ludowych.

Redakcja.

## Za Cieszynem

Melodia ludowa z Mostów przy Jabłonkowie zanotował:  
A. Brzuska, nauczyciel w Mostach przy Jabłonkowie



1. Za Cie - szy - nem na ko - piecz - ku w tej ka - mie - ni - cy,



tań - cu - ją tam szty - ry pan - ny, szty - rzo mło - dzień - cy.

2. Jyny jedna panjyneczka nie tańcowała.  
Bo swoigo milunkigo z wojny czekała.
3. A ón jedzie, jedzie, jedzie na brannym koni,  
A od strzybła i od złota cały sie miyni.

4. Otwórzcie mu wy mamulko szyroko wrota,  
Aby sobie nie otrząsał strzybła i złota.
5. O deście mu wy mamulko pod próg złotych,  
Aby sobie nie otrząsał złotych podków.

## Harcerstwo

### Jak zdobyłem swoje nazwisko i imię harcerskie

Niektórzy ludzie twierdzą, że 13-tka nie jest nieszczęśliwą liczbą. Mówcie sobie co chcecie, ja w to nie wierzę.

Dziś właśnie mamy trzynastego, piątek i upływa trzynasty dzień od rozbicia obozu. Z powodu tego zbiegu trzynastek i do tego w piątek, pech prześladował mnie od samego rana: zasnęłam na pobudkę, podczas gimnastyki pękł mi sznurek przy spodenkach: przy śniadaniu sparzyłam język mlekiem, zaś w czasie ćwiczeń polowych nasza partja przeze mnie przegrała. Przeklęty pech nawet obiadu nie pozwolił mi zjeść spokojnie: za jakiś tam nieporządek w namiocie, miałem otrzymać obiad ostatni. Podchodzę do kuchni, a tu, na złość, na dnie kotła ledwo parę klusek pozostało, a do tego takie były słone, że nie mogłem ich zjeść.

Lecz nie na tem skończył się szereg dzisiejszych moich nieszczęść. W ten paskudny dzień nasz zastęp miał służbę. Po obiedzie przypadło mi w udziale mycie menażek komendy. Poszedłem do pobliskiej rzeki i szczerze zabrałem się do pracy. Właśnie szorowałem ostatnią sztukę, gdy wtem wartki prąd porwał mi nowiuteńką menażkę druha oboźnego. Gdyby to była menażka druha komendanta, byłoby pół biedy, ale z druham oboźnym nie było żartów. Przestraszony chciałem złapać menażkę, pobiegłem więc brzegiem rzeki, lecz daremnie moje trudy, ponieważ prąd poniósł menażkę samym srodkiem i to tak prędko, że nie miałem nawet czasu na zorganizowanie »pomocy w łapaniu«. Pewnie dziś flądry lub śledzie jedzą z niej obiady w Bałtyku.

Wieczorem dla uzupełnienia mej niedoli, spóźniłem się na raport, no i za wszystkieienne przewinienia otrzymałem karę trzymania warty od godziny 11-tej do 1-szej w nocy. Co za straszna rzecz stać na warcie wtedy, kiedy duchy po świecie łażą.

O godzinie 11-tej wychodzę na wartę. Mżył drobny deszcz. Otulony w pelerynę usiadłem na

ławeczce i rozmyślam nad swoją niedolą. W tych rozmyśleniach zasnąłem. Śniło mi się, że ktoś obcy podkrada się do obozu. Przestraszony zrywam się ze snu.

Deszcz przestał padać. Z poza chmur wyszedł księżyc i bladem światłem oświecał całą okolicę. W jego świetle wszystko wyglądało jakoś dziwnie, niesamowicie. Otuliłem się szczelniej w pelerynę, mocniej ścisnąłem łaskę, a będąc ciągle pod wrażeniem snu, nie bez strachu rozglądałem się po całym obozie.

Wtem — o rety — włosy debem stanęły mi na głowie. Tam za łanem żyta ktoś stoi. W srebrnem świetle księżyca wyraźnie widać jego kształty. W tej chwili przychodzi mi na myśl sąsiednia drużyna obozująca o dwa kilometry od nas. Bez wątpienia podchodzą nasz obóz, chcą nam splatać figla i ściągnąć nasz sztandar z masztu, by później wyśmiewać się z czujności naszych wart.

— Niedoczekanie wasze, nie na darmo ja stoję na warcie! — pomyślałem sobie i bez namysłu wyjałem gwizdek i co sił w piersiach gwizdnąłem. Skutek był nieoczekiwany. W przeciągu kilkadziesiąt sekund cała drużyna stanęła na alarm.

Druh komendant przestraszony przybiega do mnie i pyta o powód alarmu. W odpowiedzi, niemy, wskazuję tylko na ową postać czająca się za łanem żyta.

— Lecz dlaczego postać nie rusza się? Dlaczego nie zmienia swej pozycji?

Druh komendant z całą drużyną podchodzi do mnie i naraz... huragany śmiechu unoszą się nad obozowiskiem.

Boże mój! wszak to był tylko krzak głogu, posiadający w oświetleniu księżyca kształty ludzko podobne do ludzkich. A ja się tak przestraszyłem.

Wszyscy wściekali się na mnie za fałszywy alarm, za przerwany sen, lecz wkońcu, przed rozejściem się, nie mogli wytrzymać i za moje cwane zachowanie się wznieśli okrzyk: »hip hip hura!«

Od tej chwili wszyscy nazywają mnie »Sokole Oko«.

J. Żyła.





Pomnik J. Słowackiego w kościele parafialnym w Krzemieńcu z napisem: »Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei.«

### ***Każdy człowiek powinien spać na osobnym łóżku —***

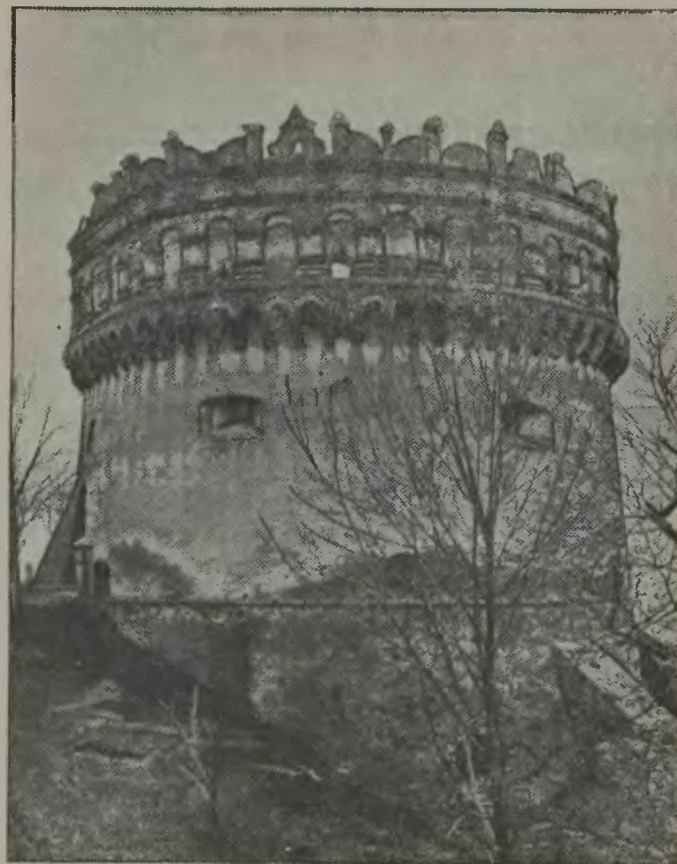
tak mówią lekarze, tak mówi zdrowy rozsądek, a jednak w wielu izbach niema ani dostatecznej liczby łóżek, ani nawet miejsca na nie. Tak, ale są i takie rodziny, w których nie tylko izby stoją pustkami, ale w których czworo niecioro podrastających i małych dzieci śpi w jednym łóżku, a drugie przykryte ładną kapą i założone aż pod sufit białymi poduszkami, stoi wolne. I to jest pierwsza rzecz do usunięcia. Wykorzystajmy najpierw to, co mamy. A cóż robić w mieszkaniach mniejszych, ciasnych? Postawić tyle łóżek ile można, a gdzie już zupełnie brak miejsca na zwykłe łóżka, używać składanych, — porobić kanapy drewniane, siennik z płótna, rozkładane na noc i stopniowo dążyć do tego, żeby zapomnieć nawet o tem, jak to się kiedyś sypiało »w nogach i w głowach«.

Łóżko służy tylko do spania. Na łóżku nie trzeba siadać ani w brudnym, ani w czystym ubraniu. W rzeczywistości ubranie zawsze jest brudniejsze niż pościel, bo w niem chodzimy wszędzie, gdzie czysto i gdzie brudno, ocieramy się o innych ludzi, niekiedy chorych, dotykamy wielu różnych rzeczy, często zakażonych, później siadając na łóżko, przenosimy to wszystko na pościel. Pod tę samą pościel człowiek kładzie się spać prawie nago, i jak łatwo może nabawić się choroby. Łóżko też nie jest ani komodą, ani szafą, nie jest składem na wszystkie rzeczy, które nie mają miejsca. (W porządnym utrzymanym domu każda rzecz ma swoje miejsce.) Dlatego też nie trzeba na łóżko rzucać wszystkiego, co się z siebie zdejmuję, nie można kłaść pod poduszkę w dzień resztek chleba,

a na noc ubrania. Ubranie winno leżeć na stolku, a chleb w śpiżarce, żeby się nie kruszył i żeby go muchy nie brudziły, nie znęcały się nad nim. Nie trzeba też robić pod łóżkiem składu ze wszystkich rupieci, które się wyciąga z tej kryjówki dopiero, kiedy się czegoś szuka i parę razy do roku w czasie świątecznych porządków. Wyciąga się zresztą za każdym razem tylko po to, aby po wybieleniu, umyciu i uprzątnięciu całego mieszkania, wsunąć to znowu wszystko pod łóżko zpowrotem. Przecież dopóki pod łóżkiem jest pełno starych butów, strzępów brudnego ubrania itp. nigdy nie może być czysto, bo wtedy całą przestrzeń pod łóżkiem omiata się tylko, a nie wymiata. Rzeczy te zwykle bez wartości butwieją tylko pod łóżkiem i wokoło nich zbierają się stosy śmieci i brudu, łęgnie się robactwo.

\* \* \*

-mu-



Okragła baszta zamku ostrońskiego, zbudowanego w połowie XIV w. Do tamt. zamku jest przywiązana ogólnie znana legenda o Halszcze z Ostroga.

### ***Odpowiedzi Redakcji***

»As«. Nie możemy skorzystać. Artykuł p. t. »Wspólność« nadawałby się do któregoś z naszych pism wyznaniowych, drugi p. t. »Krwiożercy« do żadnego pisma się nie nadaje, chyba do jakiegoś skrajnie demagogicznego. Nie można całej winy zwać na Włochów. Jeśli ich metody gwałtu zasługują na potępienie, to na stokroć większe potępienie zasługują wszyscy ci, co mieli pełne usta pięknych słów i hasel, co roztkliwiali się nad biednymi Abisyńczykami, a palcem nie ruszyli, aby zapobiedz przelewowi krwi, choć mieli środki po temu. Obłuda wstrętniejszą jest i bardziej nieetyczną niż brutalność.

»Z. H.« Umieścimy w nast. numerze, który poświęcony będzie Morzu Polskiemu.



»Afka«. Zrobione. — Za nadesłany przyczynek serdecznie dziękujemy.

K. Zuzanna. Nadesłane zagadki są znane wszystkim już z lat szkolnych. Prosimy o inne, możliwie oryginalne. Niech panienka spróbuje sama tworzyć, może się uda.

»Stal«. Bardzo nas ucieszyły szczerze słowa uznania i zachęty. Za wskazówkę dziękujemy. Będziemy się starali zaprowadzić. Postaramy się o odpowiednio ujęty materiał potrwa może dłuższy czas i dlatego też narazie nie możemy oznaczyć terminu. Nad wyraz pocieszającym jest fakt, że

## Nasze sprawozdania



»NAWRÓCONY« W SUCHEJ GÓRNEJ. Kółko śpiew.-teatralne Macierzy Szkolnej w Suchej Górnej odegrało w dniu 19 kwietnia b. r. sztukę p. t. »Nawrócony«. Śpiewy i tańce wyćwiczył naucz. R. Pastuszek. Orkiestre kier. P. Myrdacz. Reżyserował J. Kończyna. Amatorzy grający w tej sztuce wywiązali się ze swych ról bardzo dobrze. Tańce i śpiewy jakoteż i sceny zbiorowe poszły jak najlepiej, to też publiczność po każdym akcie wynagradzała amatorów długimi hucznymi oklaskami. — Gminom sąsiadnym zwracamy uwagę, że jesteśmy ochotni na życzenie sztukę tą na ich scenie powtórzyć.

J. K.

młodzież robotnicza, do której się i pan zalicza, tak bardzo interesuje się pracą młodzieży i jej organem »Ogniwem«. Jesteśmy mile zaskoczeni także i tem, że nasza młodzież robotnicza tak pięknie się umie wyrażać w języku polskim. Objaw ten otuchą napędza nasze serca. Prosimy o dalszą współpracę.

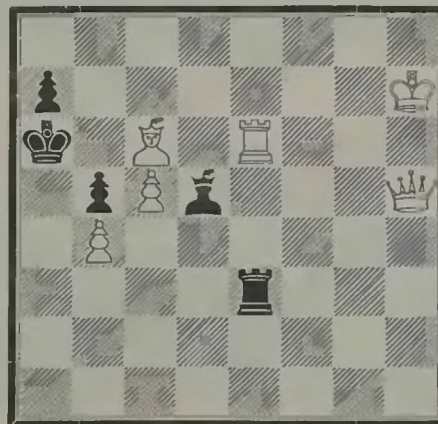
J. G. Olbrachcice. Reszta do końca b. r. wynosi Kcz 1,30.

J. J. Witamy zaproponowaną inowację. Będziemy umieszczali. Ze względu na trudności techniczne prosimy o wcześnie nadsyłanie.

PO WALNEM ZZEM. W niedzielę, 10-go maja b. r. odbyło się w Cz. Cieszynie w salce zborowej Walne zgromadzenie ZZEM przy udziale 80 delegatów i gości. Zebrani wysłuchali sprawozdań z działalności Zrzeszenia za rok miniony. Obrady potoczyły się gładko ku zadowoleniu uczestników, którzy wzięli następnie gremjalny udział w akademii żałobnej w rocznicę zgonu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zarząd uległ zmianie o tyle, że prezesem ZZEM został wybrany ks. Szurman z Nawsia a sekretarzem ks. Ożana z Trzyńca. Ustępującemu prezesowi ks. pastrowi Bergerowi z Cz. Cieszyna podziękowano w serdecznych słowach za usługi położone dla rozwoju ZZEM.

### Kacik szachowy.

Czarne: Ka<sub>6</sub>, We<sub>3</sub>, Gd<sub>5</sub>, Pb<sub>5</sub>, a<sub>7</sub>, (5).



Białe: Kh<sub>7</sub>, Hh<sub>5</sub>, We<sub>6</sub>, Gc<sub>6</sub>, Pb<sub>4</sub>, c<sub>5</sub>, (6).

Mat w 2-ch posunięciach!

### Rozwiązanie z Nr. 9.:

I. 1.) Wh<sub>1</sub>-h<sub>6</sub> Gg<sub>8</sub>-dowolnie 2.) Wh<sub>6</sub>-h<sub>7</sub> + i mat.

II. 1.) . . . . g<sub>7</sub> × h<sub>6</sub> 2.) g<sub>6</sub>-g<sub>7</sub> + i mat.

Dobre rozwiązanie nadesłał: J. Kaleta, Stanisławice.



Młode wilczki z Puszczy Białowieskiej.



## Mól książkowy.



— Jak widzę, to z pani prawdziwy mól książkowy.

\*\*\*

## W Szkocji.

— To je przewieczno szkoda, że ten twój narzeczony zerwał z tobą. Czyście się nimógli pogodzić?

— Zgodzać, to my się tam zgodzali — ale naszel dziewczuchę, co mo urodziny i imieniny we wiliję.

\*\*\*

## Przy egzaminie.

Profesor zadaje pytanie. Kandydat milczy.

— Mam wrażenie że pytanie moje sprawia panu nie-małą trudność, co?

— O, nie, panie profesorze, pytanie wcale nie, tylko od-powiedź na nie.

\*\*\*

— Dlaczego pan pluje na ścianę?

— Bo przecież wyraźnie piszą: Nie pluć na podłogę!

\*\*\*

## Madra odpowiedź.

Sierżant do rekruta: — Wyobraźcie sobie, rekrut Wali-góra, że jesteście kapralem. Macie pod sobą oddział żoł-nierzy na froncie. Nagle widzicie, że z przodu atakuje was piechota, z tyłu kawalerja, z boku czołgi, a z góry samo-lety... Jaki wtedy rozkaz dacie?

— Gotować się na drugi świat!

\*\*\*

## Rekordziści.



— Takim sposobem, to my dzisiaj zrobimy jakich 40 kilometrów.

\*\*\*

## Źle zrozumiana sytuacja.



— Francek, Francek!... Niedźwiedź!!!

— A, to se roz porządnie pofrygomy!

\*\*\*

## Jabłonkowskie ogłoszenia.

(Autentyczne.)

Tanio na sprzedaż.

starsi 2 dwa kaloty i aneg Córny Zalonrok i siaket, dobre na pogrzeb Mantel letni i winterok 2 i Vesta starsi damski mantel Smoking Anzug, dalej: piec usporny na lato, gramofon bez plotni, orengle i ze-garek, starsi 6 stołov do gospody, delsi jak nowe, książka lekarsko.

\*\*\*

Wózek dla dzieci. Masina krawiecko ciężko, Cyrkularka dobro, powysie rzeczy też wymienim za:

koło,

Ziemnioki na sprzedaż

\*\*\*

Przyjmie się posługowačka (Bedinerka) zgło-szenie tutaj.

\*\*\*

## Kłopoty właściciela ogródka działkowego.



— Sąsiedzie, cóż też to macie za szumne kwiotko?

— Piekne co? Cóż, kiej z całego nasienio na kwiotka jyny to jedno zeszło.

\*\*\*



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*  
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-*  
*MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## Gdynia — chluba Bałtyku



Dworzec morski w Gdyni.

Gdynia — Port Rzeczypospolitej — chluba całego narodu — najmłodsze miasto polskie — swymi początkami sięga w czasy starożytne. W Ok-sywiu, dawniej wiosce rybackiej, a dziś części mia-sta Gdyni, znaleziono groby i urny przedhisto-ryczne oraz monety fenickie i rzymskie. Tu bo-wiem przybywali kupcy fenicyjcy i rzymscy z nad Morza Śródziemnego po cenny i poszukiwany bar-dzo w starożytności bursztyn, przywożąc w za-mian karawanami swoje wyroby, a nade wszystko, tak pożądaną w owych czasach oręż.

O samej Gdyni pierwsze wiadomości histo-ryczne mamy z XIII wieku, gdy książę pomorski Światopełk darował ją w r. 1224 opactwu Cyster-sów w Oliwie. Następny jej właściciel, palatyn gdański, Piotr z Rusocina, obdarzył Gdynię praw-em magdeburskiem i nadał jej przywilej połowu

ryb w morzu. W r. 1380 zmienia znów Gdynia wła-ściciela, przechodząc jako dar na klasztor Kartu-zów. Często wówczas przybywały tu statki gdań-skie z towarami cudzoziemskimi, które szły stąd następnie do Kartuz, lub dalej do Polski już drogą lądową. Wioska Kolibki, która weszła w skład dzisiejszej Wielkiej Gdyni, jak również Chylonia, należały niegdyś do Sobieskich. Żona Jana III, Maria Kazimiera, nieraz tu przybywała do mor-skich kąpiel, a pamiątką po niej jest »Grota Ma-rysieńki« w parku Kolibowskim, gdzie niegdyś stał dwór Sobieskich.

Ludność kaszubska brała czynny udział w ży-ciu ówczesnej Polski, a rycerze jej przyczynili się też do wiktoryi wiedeńskiej, co opisuje w swym poemacie »Kaszube pod Widnem« poeta kaszubski H. Derdowski. O polskim pochodzeniu ludności





Dźwigary w porcie gdynskim.

miejscowej świadczy cmentarz w Oksywiu, przy kościółku fundowanym przez księcia Światopełka pomorskiego, posiadający prastare i późniejsze nagrobki, na których napisy i nazwiska polskie doskonale się zachowały.

To też, gdy po drugim rozbiore Polski, Pomorze dostało się pod panowanie pruskie, wierny lud kaszubski za swą miłość do Macierzy był cieżony, prześladowany i wywłaszczany, lecz mimo to wytrwał w wierze i ojczystym języku i zachował brzeg morski dla odrodzonej Ojczyzny.

Gdy zaś ważyły się losy Gdyni — stary Kaszub, a wierny syn Polski — Alfons Abraham — udał się do Wilsona, i deklarując polskość Kaszub, przyczynił się do przyznania Polsce wybrzeża.

Takie oto są w krótkości dawne dzieje dzisiejszej Gdyni.

\* \* \*

Okres tworzenia się nowych miast przeminął w Europie zachodniej już dawno, to też jedynym prawie wyjątkiem, sławnym na cały świat, jest budowa Gdyni. Kto znał Gdynię przedwojenną, lub za początków obecnego panowania polskiego, a zobaczył ją poraz wtóry dopiero w latach ostatnich, ten nadziwić się nie może zmianie jej postaci i olśniony nią, ręce składa w dziękczynnym zachwycie, jak przed cudem. Oto mała wioseczka rybacka, przy której nad brzegiem morskim drzemało kilka nędżnych łodzi, zmienia się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, w nowoczesne, wielkie miasto portowe, którego betonowe brzegi jeżą się lasem kominów i masztów okrętowych, gigantycznych dźwigów żelaznych, latarni morskich i wspaniałych budowli, otoczonych liniami kolejowymi, umajonych trawnikami i kwiatami.

Po zbadaniu dna i brzegu gdy uznano, że najlepszym miejscem ze względu na teren i położenie, na wioska rybacka, Gdynia, sporządzono pod kierownictwem inż. Wendy dokładne plany i prace

nad budową zapoczątkowano w roku 1924. Szybsze tempo robót rozpoczęło się jednak w roku 1926, gdy ministrem Przemysłu i Handlu został inż. Kwiatkowski, które potem doszło do tego stopnia, że w 15 lat po objęciu wybrzeża morskiego przez Polskę, Gdynia stała się największym portem na Bałtyku.

Praca była olbrzymia, gdyż trzeba było wykopać miliony ton ziemi, piasku i torfów w jednym miejscu i przewieźć je w inne, by stworzyć baseny, wybudować nadbrzeża i mola betonowe, wykonać przeszło 160 km linii kolejowych

w samym porcie, postawić setki najróżnorodniejszych budynków i urządzeń portowych, a równocześnie stworzyć całą, niesłychanie złożoną i trudną organizację samego portu.

Tu okazało się, że robotnik polski jest doskonały, że inżynier. polscy dokonali całego szeregu ulepszeń, których nie znają inne porty zagraniczne, że stworzono wzorowy, nowoczesny port handlowy a obok niego rybacki i wojenny dla polskiej marynarki, która powoli też zaczęła się rozwijać.

Równocześnie z budową portu szedł i rozwój miasta, które w ciągu kilkunastu lat wzrosło do liczby około 80.000 mieszkańców. Obok kilkunastu małych, starych domków, jeszcze z czasów niemieckich, które pokazują nam, jak wyglądała dawna Gdynia — wznoszą się piękne kamienice prywatne, oraz wspaniałe nowoczesne budowle użyteczności publicznej z pierwszorzędnymi urządzeniami miejskimi.

Oglądając się za siebie w lata minione, Polska może być dumna, że gospodarzyła dobrze na tym skromnym pasku, przyznanego jej przez Traktat Wersalski.



Port gdynski w pierwszych latach swego powstawania.





## Święto Morza

W dniach 27—29 czerwca cała Polska obchodzić będzie uroczyste Święto Morza. O, morze! Jak ty nam uprzyjemniasz życie swym widokiem, jak ty nas zachwycasz swą pięknoscią! Ileż da się powiedzieć o tobie i niekończonem bogactwie twych zjawisk! Raz jesteś sennem, pustem, osio-  
wiałem, to znowu ożywasz się, błękitniesz, jak marzenie, i budzisz w nas kolejno wszystkie uczu-  
cia. Któż z nas może odmalować słowem twój blask, twoją pięknosć, twą wzniosłość? My potra-  
fimy cię tylko uwielbiać i czcić. Toteż z niecier-  
pliwością oczekujemy dnia twego święta. Przysze-

wem świetle uroczystą przysięgę, że nie zezwolą nigdy, aby choć jedna pięść wybrzeża morskiego wpadła w ręce wroga. W dniu tym las sztandarów wszystkich organizacji młodzieży z całej Polski powiewać będzie nad tysiącami młodych, ślubujących wierną służbę polskiemu morzu. Nie-  
przeliczone tłumy manifestować będą swoje nie-  
zlomne przywiązanie do morza ojczystego, do Gdyni — tej chwały twórczego ducha polskiego i wier-  
nego ludu pomorskiego, który ani w złą, ani w  
dobrej doli nie przestał nigdy dokumentować swo-  
jego przywiązania do języka i tradycji narodo-



Molo spacerowe w Gdyni.

kamy ci, że obchodzić je będziemy uroczystie. Ale niejeden zapytałby się: Dlaczego z taką niecier-  
pliwością oczekujemy tego dnia, dlaczego tak  
czcimy to morze? Czy dlatego, że ono jest tak  
pięknem? O nie dlatego że jest pięknem, lecz  
dlatego, że jest pożytecznem, że nas wzbogaca,  
dlatego, że Polska na morzu, to symbol nawiąza-  
nia teraźniejszości do najświetniejszych kart na-  
szych dziejów, to podstawa teraźniejszej potęgi  
państwa polskiego i podstawa potęgi na przy-  
szłość. Toteż w dniu jego święta we wszystkich  
zakątkach Polski zapłoną o północnej godzinie po-  
tężne stopy. Niezmierne masy złożą przy ich krwa-

wych. W dniu Święta Morza Polska zademon-  
struje w sposób pełen powagi i niezłomnej sta-  
nowczości, że niema takiej siły, któraby ją mo-  
gła odepchnąć od morza, któraby wyrwała z jej  
żywego ciała Pomorze — ten cudowny szlak swo-  
body i wolności gospodarczej i politycznej, tę  
tchawicę całego organizmu państwa polskiego, z  
której idzie oddech na szeroki świat, tę krtani,  
z której rozchodzi się donośny głos Polski, by  
zauważyć w zespole narodów świata. Dzień ten  
nie będzie tylko dniem miłości do morza i pro-  
testu przeciw wrażym zakusom. Będzie on przede-  
wszystkiem dniem radości. Naród polski pobiegnie



myślą na piaszczyste wybrzeża bałtyckie i zobaczy z zadowoleniem, jak wielką drogę uszedł od chwili, kiedy wziął w swoje władanie ten skrawek brzegu morskiego. Ujrzy ile wysiłku, energii i przemysłowości polskiej zużytej zostało dla gospodarczego związania Polski z morzem, a za jego pośrednictwem i z najdalszemi krańcami świata. Ujrzy wspaniałe rezultaty tej mądrej i płodnej pracy, oceni znaczenie tego morza polskiego.

Polska musiała staczać krwawe boje nim zdołała zatrzymać ten skrawek tak drogiej jej ziemi. Kiedy zaś ją otrzymała, mogła nareszcie odetchnąć pełną piersią, bowiem z Pomorzem odzyskała też prawdziwą wolność i życie. Bez wolnego dostępu do morza, Polska udusiłaby się może politycznie i gospodarczo. Własne wybrzeże to bowiem jeden z filarów, na których opiera się gmach wolności i niepodległości państwa. Dzięki morzu Polska stała się sąsiadem wszystkich krajów zamorskich i może z nimi prowadzić bezpośrednią wymianę towarów. Tak więc na polskim wybrzeżu rozpoczął się niesłychanie ożywiony, wprost żywiołowy ruch towarowy. Urządzenia transportowe w porcie gdańskim zaczęły nie wystarczać i Polska przystąpiła w r. 1924 do budowy nowego portu — Gdyni. Wiedziała bowiem, że morze jest otwarte tylko dla tych narodów, które rozumieją jego pożytek, które chcą korzystać z jego dróg i które chcą na niem pracować. Tak więc Gdynia do niedawna kaszubska wioska rybacka, w ciągu dziesięciolecia zamieniła się w ważny port bałtycki. A rozwój przemysłu i handlu to ożywienie tętna życia gospodarczego, to podniesienie dobrobytu najszerzych mas ludowych, to siła, to ciężka i moc wewnętrzna Narodu i Państwa. Lecz prócz tego wszystkiego, ma polskie morze jeszcze inne, bardzo ważne znaczenie. Bo oto, pomyślny tylko ile to Polaków znajduje się poza granicami państwa polskiego, a to nie tylko tu w Europie, ale i tam daleko za oceanem. Polska nie może pozwolić, aby oni czuli się tam zupełnie opuszczeni, pozbawieni na zawsze swej ojczyzny, musi z nimi utrzymywać bezpośredni kontakt. I znów jedyną taką drogą, bezpośrednią drogą do zawierania tego kontaktu jest tylko morze. Dzięki morzu Polska może sprawić to, że pojęcie ojczyzny zostanie rozszerzone, że przekroczy ono barjery celne i granice państwa i obejmie wszystkich Polaków bez wzglę-

du na ich miejsce zamieszkania. Toteż lud ten poza oceanem jest wdzięczny temu morzu, które go łączy z jego ojczyzną i dzień Święta Morza nie jest tylko dniem radości dla Polaków w kraju, ale i dla tych, którzy hen daleko u tamtego brzegu wód osiadli, pracują z wiarą w świętą przyszłość ojczyzny. W dniu tym będą oni z przyjemnością słuchali szumu fal tego morza i będą odczuwali to szczęście, że ono nie dzieli ich, ale naprawdę łączy.



Zachód słońca nad Bałtykiem.

Morze to dar boski dla narodu, to szkoła życia, z której wychodzą całe zastępy ludzi twardych, czujnych, energicznych, cierpliwych, niezłomnych, zahartowanych. Morze polskie to olbrzymi obóz i lotnisko, do którego rok rocznie zdążają dziesiątki tysięcy ludzi z głębi Polski. Przyjeżdżają tu, by zapoznać się z tym groźnym żywiołem, z tą potęgą, która dumną budowlą człowieka, okrętem — rzuca jak skorupą orzecha po grzbiecie spienionej fali, a która poskromiona, daje nam tyle nieocenionych korzyści. Kiedy więc nadejdzie ten dzień Święta Morza, oceńmy należycie znaczenie tego dnia i obchodźmy Święto Morza uroczystie.

Z. H.

## Kącik językowy

### Używanie obcych słów

powinno być ograniczone do minimum, a nie powinno się ich wcale używać, gdy się nie rozumie znaczenia. Fałszywie użyte obce słowo zdradza słuchaczom, że mówiący czy piszący jest zarozumiałcem, pragnącym okazać swoją wyższość (inaczej: pragnącym zaimponować), a w gruncie rzeczy, nie mającym się z czem chwalić. Spotkałem w »Dzien. Pol.« takie zdanie: »Drużyna »Darcovii« okazała swą **agilność**, pokonując przeciwnika i t. d. Zajrzałem do dużo słowników polskich — słowa **agilny**, **agilność** nie znalazłem. Natomiast w czeskim słowniku znalazłem pod hasłem **agilnost** — čilost, hbitost, co by znaczyło po polsku **zwinność**, **zwawość**, **dziarskość**, **chytrość**, **predkość** — proszę sobie wybrać. A więc podwójny błąd: 1. nie stosowne użycie obcego wyrazu 2. użycie takiego

wyrazu, którego się w polskiej sportowej mowie nie używa a w języku polskim wogóle nie spotyka. Poco to, jeżeli można powiedzieć i bardzo ładnie i zrozumiale: ...okazała (a jeszcze lepiej wykazała) swą **wyższość** lub **przewagę**. Często spotyka się powtarzanie obcego wyrazu w rozmowie, nie bacząc na to, czy jest stosowny czy nie. W każdym zdaniu (często i po kilka razy) powtarza się: »ewentualnie«, »faktycznie« i t. p.

Przykłady takie możnaby mnożyć do dziesiątek; zapamiętajmy sobie: używajmy jak najmniej obcych wyrazów, a i to tylko takich, których znaczenie dobrze rozumiemy. Szafowanie obcemi wyrazami pozostawmy uczonym, którzy piszą i mówią dla innych uczonych i nie pragną być zrozumianymi przez wszystkich.

\* \* \*

Nie mówi się po polsku »Zakochać (lub, broń Boże! zamilować się) **do kogoś** tylko« ... w **kimś**«.



## Józef Ignacy Kraszewski

Urodził się w Warszawie w r. 1812. Po ukończeniu szkół w Lublinie i w Wilnie osiadł początkowo na roli, później jednak poświęcił się wyłącznie literaturze.

Pracował Kraszewski piórem od lat młodości, pisząc rozprawy naukowe, poezje i powieści. On to ówczesnemu pokoleniu wytrącił z rąk książkę francuską, ucząc je czytać książki swoje, polskie, nauczył je mówić, myśleć i czuć po polsku. Niezwykły (bo to naprawdę człowiek, o woli tak żelaznej i pilności niezmordowanej, że poprostu nie ma równego w podobnej zdolności zaparcia siebie. Szczególnie podziwiać musimy fakt, że umiał zachować energię i spokój umysłu nawet w nieszczęściu i chorobie, umiał pracować nawet i w najniekorzystniejszych warunkach.

W pierwszych utworach odtwarza sceny z życia codziennego, robi to w ten sposób, że wyśmiewa pewne wady ówczesnego społeczeństwa. Niebawem ale porwał go prąd romantyzmu i stwarza dzieła już nie mrozącą czytelnika szyderskim uśmiechem, ale autor współczuje z bohaterami swych powieści.

Kiedy ale przebiegła po kraju iskra hasła demokratycznych, Kraszewski zawołał za Wallenrodem: „dosyć już płaczu i cóż wypłaczemy“ i uderzył w wielki dzwon kwestji społecznej. Nie mogąc z powodu cenzury jawnie przemawiać, czynił to w swych powieściach, wykazywał smutną dolę ludu, zgubne skutki poddaństwa i pańszczyzny. Powieści te rozchwytały, bo docierały tam, gdzie je najbardziej było potrzeba, rozpraszały zakorzenione przesady i wady.

Umysł Kraszewskiego był jakoby zwierciadłem, odbijającym w sobie wszystko, co chwila dziejowa przyniosła, a ideę miał jedną tylko — dobro ojczyzny. Tej jednak służył wiernie, jak tylko mógł i umiał najlepiej. Z szaloną radością i odwagą podejmował się prac i zawsze wychodził z zapasów zwycięsko. Bo jeśli zważymy, że napisał około sześciuset tomów, to musimy z całą pewnością przy-

znać, że nie ma on u nas równego sobie pisarza, musimy przyznać, że Kraszewski to talent nad talenty.

Pisał powieści nie tylko współczesne ale i historyczne. Odtworzył w nich całą przeszłość, całą niemal historję Polski, od czasów najdawniejszych. Pierwszą w tym szeregu i najpiękniejszą może jest: „Stara baśń“ powieść, przenosząca nas w bajeczne czasy Popiela i Piasta.

Dalej pisał Kraszewski dramaty, komedje i poezje liryczne. Nadto nie można zapomnieć o jego pracach naukowych, historycznych, filozoficznych, literackich i różnych artykułach politycznych. Doprawdy nie można zrozumieć, jak starczyło mu czasu na to wszystko, jak sił nie brakło.

Kiedy zwracano mu uwagę, że pisze za wiele, on odpowiedział z niezwykłą skromnością: „Mnie nie chodzi wcale o siebie, o moje pisma. Inny mam cel. Mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem i t. d. poruszyć rozruszać, zachęcić, aby otworzyć drogi drugim... Oto mój cel, moja sława, której pragnę, sława pobudziciela. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko powiedziano, że się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów.“ Zaiste, skromność przemawia przez usta tego wielkiego pisarza. Tej zasługi z pewnością nikt mu nie odmówi, bowiem Kraszewski był talentem twórczym, niepospolitym, a utwory jego cechuje wartość niepoślednia.

Mówiąc o wyobraźni u Kraszewskiego musimy zaznaczyć, że wyobraźnia jego była nieczównana. Stworzyć tysiące postaci, setki tysięcy sytuacji — to nie byle kto potrafi. Kreśli natury proste, duszę takich ludzi poznajemy ze słów, z gestów, z poruszeń, a Kraszewski umie właśnie doskonale podpatrzeć takie zewnętrzne objawy życia i doskonale je oddać.

Kraszewski to pisarz wielki, to pisarz, który przez blisko sześćdziesiąt lat dostarczał nam strawy zdrowej i obfitej, on nas „po polsku czytać nauczył.“ — lek.

## Sono tam kędyś...!

Pono tam kędyś za dziesiątą rzeką,  
Za siódmą górą, za borów podłożem  
Lśni obraz wody przestrzenią daleką,  
Co to Bałtykiem się nazywa morzem.

Woda-ć tam inna, niż w naszych strumykach,  
Szarozielonym mieni się polyskiem,  
W głębinach swoich moc skarbów zamyka  
Przed pożądlivem czleka oczu błyskiem.

...A stale głośnie!.. przepotężną mocą  
Kłębi się szumnie, miękka pianą pryska,  
Potężne fale o fale łomocą,  
Wiją się wściekle w węzowych uściskach

To też z śród wielu pragnień mojej duszy  
Chociaż to jedno niech się spełni Boże!:  
— Nim skroń mą młodą śmierci popiół sprószy,  
Niech choć raz ujrzę ono polskie morze!... H. R.

A tam co?.. Patrzcie... wśród promieni słońca,  
Po śliskich falach ruchem szybkim, śmiałym  
Suną dwa statki — piana tryska skrzęca,  
A ponad niemi Orzeł wzlata Biała!..

Suną poważnie.. Spojrzeniem marsowem  
Wnikają w głębie morskiego naczynia,  
..Przecież to nasi: »Pilsudski« z »Batorym«!..  
Bieg swój kierują, gdzie polski port — Gdynia!

Ach! jak przyjemnie, owemi cudami  
Poić swe oczy, żądne nowych wrażeń!  
Igrać swobodnie z szumnemi falami,  
Chować blask piękna za serca ołtarze!



## Szkwał

- Halo! Czy klar<sup>1)</sup> na »Pomarynce«?  
 — Jest druhu kapitanie!  
 — Zatem Lusiek obejmuje wachtę<sup>2)</sup> i pilnuje cumy,<sup>3)</sup> Czesiek do foka,<sup>4)</sup> Józiek do grotu.<sup>5)</sup>  
 — Gotowe?  
 — Jest — gotowe!  
 — Grotu staw!

Takie rozkazy padały w przystani Helu na pokładzie jachtu »Pomarynka«. Nie był to jacht,<sup>6)</sup> był to raczej ożaglowany kuter,<sup>7)</sup> przerobiony do harcerskich ćwiczeń przybrzeżnych. Myśmy jednak z wielkim szacunkiem wyrażali się o naszej »Pomarynce« i nikt nie odważył się udawadniać, że jest kutrem a nie jachtem, bo za to mógł otrzymać od młodych marynarzy potężna »żabę«.

Nie było jednak czasu na rozmyślanie co do nazwy i właściwości naszego jachtu. Oto grot, podciągnięty przez Józia, śmignął w górę, uniósł bom,<sup>8)</sup> lekko wyprężył cumę luzowaną<sup>17)</sup> w rękę sternika i za-trzepotał na wietrze.

— Przygotować się do oddania!

Czesiek ujął krzepko w dłoń cumy podtrzymujące foka i wyczekiwał dalszego rozkazu. Reszta załogi rozeszła się po całym pokładzie, każdy na swoje stanowisko. Tylko na dziobie jachtu pozostał chłopiec — marynarz, trzymający wachtę. Stał tam jako »oko«, ażeby w czasie podróży zawiadamiał przed czasem sternika o każdej spotykanej przeszkodzie.

— Przygotować cumę do oddania!<sup>10)</sup> — Grzmiał dalszy rozkaz kapitana.

— Jest, przygotować cumę do oddania! — Powtórzyła rozkaz wachta — »oko«.

— Cumę oddaj!

— Jest, cumę oddaj!

»Pomarynka« szarpnięta, posunęła się wprzód, lekko zadrżała, pochwyciła w grot powiew wiatru, wydeła żagle, przechyliła się w bok i zatoczywszy półkole, popłynęła wśród jachtów przystani helskiej do wyjścia z portu na wody zatoki gdańskiej.

Poranek. Na stojących dookoła jachtach panuje cisza, żadnego życia nie widać na pokładach, wiatr tylko świszczący, płatając się pomiędzy masztami. Mijamy molo<sup>11)</sup> i wypływamy na wody zatoki. Przed nami rozciąga się szeroka powierzchnia zielonkawych wód. Hen w dali, na krańcu widnokręgu, majaczą się kontury Gdyni, a nad nią wysokie rzędy latarni morskich.

Od wschodu, przez mgły, przedzierało się słońce, krwawo zabarwiając zmarszczoną powierzchnię. — Będzie wiatr — myślał każdy z nas, i chociaż pogoda nie zapowiadała się najlepiej, wypływamy na morze z nadzieją, że jakoś szczęśliwie dopłyniemy do Jastarni.

Około godziny ósmej rano, od strony Pucka, mgła gnana przez wzmagający się wiatr, zaczęła opadać na całą zatokę. Czarne chmury pojawiły się na horyzoncie i szybko zasłoniły całe sklepienie niebieskie, ba nie przebaczyły nawet mętnym promieniom słońca, zasłaniając je całkowicie.

— Szkwał<sup>12)</sup> idzie!

Piorun nie zrobiłby na nas większego wrażenia, jak te dwa słowa wydobyte z ust kapitana. Każdy zastygł w oczekiwaniu i śmiertelnym strachu. Za kilka chwil po raz pierwszy w życiu, spotkamy się ze straszną nawałnicą i to na samym środku zatoki. Dawniej, w domu czytaliśmy o szkwałach, które rwały żagle, łamały maszty, a nieraz niszczyły zupełnie jacht a załoga była zdana na łaskę losu. Stojmy przed niebezpieczeństwem i Bóg tylko wie jaki będzie miało koniec.



Brzeg morza pod przyłaskiem Rozewski. Widok na wzburzone w tym miejscu wody otwartego Bałtyku.

Z tego odrętwienia wyrwał nas głos kapitana, który podawał spokojnym głosem wskazówki, jak zachować się podczas burzy, jego uśmiechnięta twarz i krzepka postawa wypędziła lęk przed niebezpieczeństwem, przywróciła nam humor marynarski. Ktoś nawet zanucił pieśń marynarza, a za nim cała załoga pochwyciła melodię i ponad falami popłynęły słowa:

Po morzach płyniemy wśród fal.  
 Żywot beztrosko nam mknie...  
 W poszumie wichrów i fal  
 Swobodą każdy z nas tchnie.

<sup>1)</sup> Klar — porządek, czystość. <sup>2)</sup> Wachta — warta.  
<sup>3)</sup> Cuma — lina. <sup>4)</sup> Fok — mały żagiel na przodzie jachtu.  
<sup>5)</sup> Grot — żagiel główny, środkowy. <sup>6)</sup> Jacht — sportowa »łódź« żaglowa. <sup>7)</sup> Kuter — łódź rybacka. <sup>8)</sup> Bom — dolny drag, obciążający grot. <sup>10)</sup> Cuma do oddania — odczepić linę.  
<sup>11)</sup> Molo — sztuczna zasłona przed falami w porcie. <sup>12)</sup> Szkwał — nawałnica, burza. <sup>13)</sup> Refować — związać żagle, zawijać.



Lecz każdy wśród nas,  
 Kiedy sercem poczuje się sam  
 W nocnej wachcie wśród mgły,  
 Śle tęsknie swą myśl  
 Hen do sercu najdroższych nam stron...  
 Gdzie rodzinny nasz dom.  
 Wesoło wśród nas płyną nam dni,  
 Lecz nieraz los niesie nam łzy...  
 A dusza się rwie, hen do sercu najdroższych  
 nam stron,  
 Gdzie rodzinny nasz dom...

Pieśń płynęła, błakając się wśród fal. Tym-  
 czasem szkwał nadchodził.

— Do refowania<sup>14)</sup> grota.

Na ten rozkaz dwóch z załogi jęło się pracy,  
 i za chwilę żagiel główny został zwinięty tak, że  
 niewiele różnił się od małego foka.

Zielono-niebieska tafla wody pod podmuchem  
 wiatru coraz bardziej marszczyła się, wytwarzając  
 corazto większe fale. Nagle silny prąd wiatru  
 uderzył w powierzchnię, podniósł wysoko słup  
 wody, utworzył z niej pagórek i z całą siłą pchnął  
 go naprzód. Za nim pojawił się drugi, trzeci...  
 setny... Zatoka rozszalała. Na grzbietach fal mil-  
 jardy kropelek wody rozpryskiwanej na wszystkie  
 strony, wytworzyły śnieżno-białe grzywy. Mgła  
 coraz gęstsza zstępowała nad zatoką. Ozwały się  
 syreny. Tam — het daleko porty zatoki sygna-  
 lizują.

Rozhukane fale z zaciętkością uderzały w bok  
 »Pomarynki«, przewalały się przez jej burtę za-  
 lewając cały pokład, a przy tem obryzgiwały  
 wściekle załogę. Nasza pierwsza ranna kąpiel.  
 Cały jacht drżał w swoich spojeniach, główny  
 maszt skrzypiał u nasady. »Pomarynka« pędzona  
 wichrem z szaloną szybkością gnała naprzód. Za-  
 łoga z natcheniem śledziła każdy jej ruch, każdy  
 przeskok z fali na fale.

Przy jednym z takich przeskoków, balast uło-  
 żony na dnie przesunął się, nadwyreżając kilka  
 spojeń. Woda zaczęła wdzierać się do wnętrza.

— Do wylewania wody! — Ryknął kapitan.

Chłopcy rzucili się do czerpania. Lecz po chwili  
 pierwszy ochotnik wylazł z pod pokładu. Choroba  
 morska wzięła go w swoje obroty. Z trudem przy-  
 wiązaliśmy go cumą do chwającego się pokładu,  
 ażeby w osłabieniu nie wypadł za burtę,<sup>14)</sup> bo tam  
 dzisiaj na każdego śmierć czyha. Minuty ciągną  
 się w nieskończoność. Podczas czerpania wody  
 choroba morska złożyła już przeważną część za-  
 łogi. Przymocowani do pokładu, leżąc, błędnie  
 wpatrują się w fale, które ciągle gdzieś lecą...  
 i lecą...

Kapitan, sternik i kilku najtęższych z mary-  
 narzy, kierują ruchami »Pomarynki«.

Po paru godzinach borykania się z falami.  
 wachta oznajmia, że znajdujemy się przed ka-  
 szycą,<sup>15)</sup> która wskazuje wejście do portu w Ja-  
 starni.

— Hura! Jesteśmy uratowani. Za chwilę bę-  
 dziemy w domu — w obozie.

Zaraz za kaszycą ciągnie się aż do portu ka-  
 nał, długi na milę, otoczony z obu stron mielizną,  
 której brzegi oznaczone są czerwonymi bojami.<sup>16)</sup>  
 Wjeżdżamy do kanału. Po obu stronach słychać  
 charakterystyczny złowrogi szum, podobny do  
 szumu boru. To mielizna ostrzega, że każdego  
 śmiałka, który odważy się wpłynąć do jej króle-  
 stwa, czeka rozbicie.

Ale nie tak łatwo dostać się do portu. Zaraz  
 od kaszycy, przez całą długość kanału, trzeba było  
 lawirować i ciągle wykonywać zwroty. Kapitan,  
 stojąc obok sternika, wesoło huczał raz po raz na  
 cały głos.

— Do zwrotu przez sztag! — Jest — zwrot  
 przez sztag. — Zwrot!

Nareszcie po ciężkich zmaganiach się z wiat-  
 rem i falami »Pomarynka« wpłynęła do portu; mur  
 kamienny ocalił ją przed zniszczeniem, wyrwał ją  
 ze szponów szkwału.

14) Burtą — ogrodzenie naokoło pokładu. 15) Kaszyca  
 — latarnia morska, wskazująca wejście do portu. 16) Boja —  
 pusta beczka. 17) Luzować — popuszczać, zwalniać.



Gdynia: w porcie i na promenadzie.



## Kamrat

Jeszcze wczoraj widać było zarys słońca w postaci wąskiego kręgu, zawieszonego w niewiadomym. Żółta tarcza zasuwana wciąż welonami szarych płacht, coraz gęstszych, ale napieranych jeszcze z północy wiatrem, który mężnie walczył o kształt ziemi i płaszczyznę morza, ginęła raz po raz, lecz pojawiała się znowu. W nocy Norda ustała zupełnie; wycofała się z nierównej walki. Pułap mgły pochylił się nisko, położył się miękką, duszącą piersią na wodach, wypełnił przestrzeń między niebem, a morzem, stał się jedynobytem ogarniającym świat realny. I świat przestał istnieć, zamienił się w bezkształtną mgławicę. Można jeszcze było tylko zauważyć poszczególne olbrzymy mgielne, posuwające się bezustannie z północnego zachodu na południe, wysokie proste ściany białości, która ścinana od dołu rozpływała się w długie, szare pasma. Wreszcie i ten pochód fantomów ustał. Wszystko zamieniło się w bezkształt i bezruch wypełniony mokrą gęstością bieli nieprzeniknionej. A z chwilą, gdy nie było już żadnych wrażeń wzrokowych, pozostała, jako jedyna impresja dźwięków, głuchy i przeciągły syreny portowej. Tak, jak nieustępliwa zdawała się i wieczną ta szara nicość mgielna, podobnie nieustępliwym stał się głos syreny. Raz po raz tylko pogłos wielkiej tuby rozbijał się na dalsze, towarzyszące mu dźwięki. To krzykiem mniejszych syren okrętowych obwieszczały się zagubione w morzu istności ludzkie.

Rybacy siedzieli wszyscy zamknięci po domach, kurząc fajki, narządzając sieci. Nie było pogo wychodząc do przystani, każdy wczas pozbiierał nety i żaki i pochował w chlewikach. Do cichych izb docierał jednak zdala jęk syreny i budził w sercach trwogę. Może tam jakiś sztimer błąka się i nie może trafić do portu, może gdzieś żagle nawisły mokością i ciężko leżą na maszcie a człowiek, skulony przy kole sterowem czeka, czy nie rozlegnie się nagle zgrzyt okrutny rozłupującego kruchy boet okrętu. Złe zostać w taki czas na morzu, źle w pobliżu przystani, śmierć zatulona w mgłę wyciąga mokre łapy po życie ludzkie. Rybacy nie mówili nic do siebie, bo i co tu gadać? Każdy wspominał sam w sobie podobne, z dni własnych, wypadki.

Do checzy Józefa Konkola ktoś lekko zapukał. Chłop obejrzał się zdziwiony, a potem, sądząc, że to któryś z sąsiadów, mruknął przyjazne pozdrowienie.

- Pochwalony Jezus Krist!
- Na wiek wieków. A? Budziszka?
- Mojego niema u was?
- Niema!

Młoda kobieta przystanęła w progu. Widać było trwogę na jej twarzy. Józef Konkol spojrział, zrozumiał. Widać Martin Budzisz nie wrócił do checzy, czyżby wybrał się podglądać takie w taką mgłę? Niepodobna. Ale kobieta stała skulona pod ścianą i fartuchem ocierała oczy. Wyszeptała:

— Martink miał idzone jeszcze w polnie, jak słońce było na niebie. Na obiad nie wrócił.

Józef Konkol wskazał kobiecie ławę pod ciemnym piecem, a sam podszedł do okna i chciał wzrokiem przebić szarość za szybami. Nic jednak

nie dojrzał, prócz kilku gałązek bzu, który rósł w ogródku. Wrócił więc na środek izby i w zamysleniu pocierał ręką tył głowy. Każdy jego ruch śledziły trwożne oczy kobiece z jakąś niemą, błagalną prośbą. Józef Konkol strzepnął niecierpliwie rękaw z jaki i pomyślał, że białki zawsze czemś straszą.

Potrzebnie to przychodziła do niego z tą nowiną? (Kiedy Martin taki głupi, aby wychodzić w morze, w ten czas, to co jemu do tego?)

Ale z pod pieca rozległo się teraz ciężkie westchnienie. Konkol zrozumiał jego treść. Znani byli we wsi, jako najlepsze dwa kamraty. Józef nie miał familji, przywiązał się do Martina, jak do brata.

— Miał idzone jeszcze w polnie, prawicie? Nie wrócił na obiad?

Kobieta skinęła głową.

I nagle Józef Konkol ruszył gwałtownie z miejsca. Skoczył do komory, wciągnął grube buksy, zdjął z półki, w kącie, suszące się skórznice, stękając wciągnął je na nogi. Potem podbiegł do sionki i zabrał stamtąd długą bekę. Na ten widok kobieta jęknęła i zachlipała.

— Głębstwo! — rzucił jej na pocieszenie. I dodał jeszcze:

— Ustrugajcie mi bulwów, czas wama minie skoro!

Kobieta zakrzętnęła się po domu, rybak wypadł przez próg, zatraskując drzwi z hałasem.

Ale gdy postąpił kilka kroków, zatrzymał się niepewnie. Trudno było, nawet drogę odnaleźć, do strądu. Czy nie lepiej zawrócić? Ale zaraz znów przypomniły mu się wspólnie z Martinem przepędzone dni i noce na dalekich połowach, wspólną wybierkę do wojska, wspólnie przechulane wieczory w karczmie. Może woła tam gdzieś ratunku? Może ginie w morzu kamrat serdeczny? Józef Konkol miarkując po chłodniejszym powiewie, kierował się, już nie wzrokiem, ale instynktem raczej, i tłukąc się niepewnie między opłotkami dotarł wreszcie nad morze. Mgła rzędła tu nieco od dołu, można było rozróżnić piasek przybieżny i wąski pas wody. Dalej wszystko znów ginęło w szarym omroku mgły.



Wyjazd rybaków na połów, w świetle zachodzącego słońca pod Karwią.



Józef Konkol raz jeszcze wzruszył ramionami nad głupotą własnego przedsięwzięcia. Teraz iść w morze z boetem?

Ale głos uporczywy syreny portowej zdawał się nawoływać go kędyś, może na śmierć własną, a może na ratunek towarzysza.

Wyciągnął łódź na brzeg i wiosła wparł w wodę. Nie widział jej nawet, czuł tylko pod oparciem drewna. Ale zaledwie ujechał kilka metrów, przejęło go nagle zaleknienie. Obrócił się za siebie. Za chwilę i tego nie zobaczy. Zagubi się sam w mgle i nigdy nie trafi spowrotem. Nadciągnie noc, a potem może i dzień wstanie, taki sam bezbarwny i niewiadomy, zamknięty kłębowiskiem nieprzeniknionem. Poruszył jeszcze niechętnie wiosłami i nagle zdecydował się zawrócić. Nie! To było szaleństwo, nie chciał życia tracić na darmo.

Ale, w chwili, gdy rzucił się już całym ciałem w tył i chciał przybić spowrotem do brzegu, znagła zamart bez ruchu. Zdawało mu się, że gdzieś, w niezmiernej dali doleciał go krzyk człowieka. Nasłuchiwał. Cisza. Ale potem znów jakiś nikły, ledwie dosłyszalny dźwięk. Starał się oczami przebić ciemniejącą gęstwą mgły, nocą nasiąkającą, ale nic nie dojrzał. Czuł tylko, jak serce podchodziło mu aż do gardła. Kamrat ginie!

Teraz Józef Konkol nie namyślał się już dłużej. Przeżegnał się szerokim ruchem ręki i starając się boet utrzymać w prostym kierunku, parł naprzód wiosłując co sił. Na chwilę przystanął. Nasłuchiwał. Teraz doleciał go znów krzyk, nieco wyraźniejszy. To napewno człowiek, ginący w morzu, wzywa ratunku. Józef Konkol odkrzyknął, jak mógł najgłośniej, ale zdawało mu się, że własnego nie słyszy głosu. Mgła wciskała mu się do gardła, jakgdyby je kto pierzyną dusił. Znów wstrzymał podniesione w górę wiosła. Ale nikt na wołanie nie odpowiedział. Czyż tamten krzyk był ostatni? Józefowi zjawiła się teraz w wspomnieniu, twarz przyjaciela. Duże, piwne oczy, roziskrzone wewnętrzny blaskiem i usta w uśmiechu.

— Martink!



Złowione morświnie, rodzaj delfinów, które są wielkimi szkodnikami, wyrządzając głównie spustoszenie wśród łososi i sieci. Mięso z morświni jest niejadalne, tłuszcz jednak używany jest przez rybaków do smarowania obuwia i do celów gospodarczych, a nawet mimo odrażającego zapachu, jako środek leczniczy, zastępujący ricynus.



Naprawa potężnych niewodów łososiowych oraz sieci szprotowych w Helu. Sieci wiszą na specjalnych dragach, na których zawsze przesuszają się po połowie.

Jęknął teraz, zgiął się wpół i wiosłował jeszcze. Aby tylko nie było zapóźno, aby nie było zapóźno. Aż oto znagła zdało mu się, że znów coś słyszy.

— Jo, jo! — mruknął do siebie.

Głos dobiegał z prawej strony. Skierował boet na prawo obrotom wiosł. Ale, zaledwie ujechał trochę, znów dobiegł go głos oddalony. Nie, to nie było z prawej strony, a z lewej. Obrócił więc łódź na lewo. I znów natężając głos krzyknął:

— Martink!

Nie dojrzał jednak niczego. I znów strach zaczął go ścisnąć za gardło podstępny naporem. Dwa razy zmienił kierunek boeta, czy trafi spowrotem do strądu? Przystanął na chwilę, starał się wzrokiem przebić mgłę. Ale zgęściła się wokół niego i pociemniała. Ledwie mógł rozpoznać kształt własnych rąk. Postanowił po raz drugi zawrócić. Ostatecznie zrobił wszystko, co mógł, dla towarzysza.

Teraz już strach przemożny zjeżył mu włosy na głowie. Zapadła noc, a on nie wiedział, gdzie się znajduje. Może płynie na pełne morze, może oddala się na zawsze od kraju? Przegał się jeszcze mocniej, wiosłował jeszcze zacieklej. Przecież tam, za nim, gdzieś musi znajdować się ziemia, tylko dlaczego fala staje się wciąż jakaś twardsza, czemu pod łodzią odczuwa niezmierzoną głębiność? Józef Konkol oszalał ze strachu wydobywał ze siebie ostatek sił. I nic już teraz nie widział, nic, nawet rąk własnych.

Aż znagła dziób łodzi otarł się o coś twardego. Józef Konkol drgnął, zatrzymał się, czyżby to był stary sadz na piasku? I nagle w ciemności usłyszał szep:

— Jezu! Ludzie! Ratujcie!

To był głos człowieka, od lewej burty.

— Martink?

Odpowiedział mu jęk w ciemności. A potem coś obciążyło mu remę wyciągniętą. Oby nie pękła! Wciągnął prawe wiosło i wychylił się za lewą burty. Pod nerwowym chwytem palców poczuł czyjeś lepkie mokre włosy. Potem przechylił się już cały na lewo i obydwojema rękami, nie widząc nic, a czując tylko, jał wciągać czyjeś ciężkie, obwisłe ciało do łodzi. I już nie myślał o tem, że oto obaj mogą przychylić się z nadto i boet pogrążyć w odmętach. Nie



myślał, że noc jest ciemna, a strąd daleko. Nie myślał, że śmierć w tej chwili czyha na nich zdradziecko. Ratował ulubionego kamrata, i oto obaj opadli ciężko na planki.

— Żyjesz Martink?

Czyjeś palce bezwzględnie otoczyły jego dłonie. Łódź kołysała się zdradziecko, nabrana wodą.

Z chwilą jednak, gdy Józef Konkół odnalazł kamrata, nowe siły i nowa ochota wstąpiła mu do duszy. Teraz muszą uratować się obaj, muszą!



Handlarze ryb nabywają na miejscu połowu ryby od rybaków kaszubskich.

I oto usłyszał wyraźnie głos syreny portowej. Wytężył słuch, odnalazł właściwy kierunek. Tak, trzeba było skierować się jeszcze bardziej na lewo.

Po nieskończonym, mozolnym, wiosłowaniu w zupełnej ciemności, boćtem, obciążonym, z pluskającą na dnie, wodą, Józef Konkół spostrzegł nagle że gęsta ściana mgły rzadnie gdzieś w dali. Jęło się przez nią przebijać nikłe światło. A dźwięk syreny był coraz bliższy. Teraz dosłyszał także dzwon wioskowy, który grał miarowo, bezustannie. Teraz

dojrzał już bliżej blask latarni zawieszanej w przystani, na poelu. I potem krzyk kobiety:

— Martink! Martink! Martink!

Napół przytomny, mdlejącymi z umęczenia ramionami przybił do brzegu. Ale nie wiedział już, co się z nim dzieje.

I jeszcze później, po jakimś nieskończonym długim czasie zbudził się ze snu. Leżał we własnej checzy, poznał ją, po nadwęglonych belkach pułapu. Tuż nad sobą ujrzał dwoje piwnych oczu, roz-



Przystań w Helu z lotu ptaka.

jaśnionych wewnętrznym blaskiem i uśmiech znajomy.

— Na, Józku, żyjesz?

— Jo, jo.

Odpowiedział sennie.

Potem zrozumiał jeszcze, że Martin Budisz i białka jego, niosą go ostrożnie do komory, do łóżka. Ściągnęli mu z nóg mokre skórznice, włali w usta gorzałkę.

— Kamrat! — mruknął niewyraźnie.

I tylko wzdrygnął się z lękiem, gdy dobiegł go przez ścianę jęk syreny portowej. Potem zasnął.

## Dział regionalny

### Bajka kaszubska

Podobnie jak góry miały swoją gwara niezrozumiałą dla ludzi z nizin, dopóty im Tetmajer jej nie uprzętnił, tak samo i morze posiada swoistą gwara. Gwara morską i kaszubską jest dziś jeszcze dla ogółu niezrozumiałą, bo nie zjawiał się jeszcze Tetmajer dla morza. Kto np. zrozumie, że »karzym« to koszyk, »wiodro« — powietrze, »pryszcz« — szum, »glada« — cisza morską, »sętopórka« — piosnka, »białka« — kobieta, »remy« — wiosła, »cieszyn« — kieszeń? Nikt, albo przynajmniej bardzo mało. Dla częściowego choćby zaznajomienia naszych czytelników z gwara kaszubską umieszczamy poniższą bajkę z objaśnieniami słów trudnych do zrozumienia.

W Rogu żęła ubłego wdowa ze swoim senem, był to jedynok, na imię mu Moch,<sup>1)</sup> miał kłete 30 lat, ale nie był doświadczony.<sup>2)</sup> Chłec ta matka to wiedziała, chciała głę jednak rada leżenia, to też mu młewieła roz, żebe szed na wrej<sup>3)</sup> i sobie jaką marynę weszukoł i sie łepartoleł.<sup>4)</sup> Moch mamce plesłuszny, zaroz szed do Bosze, co na drudzim kuncu wse mieszkala. Cze do ni przeszed, był bardzo nieśmiały, a Bosza z nim godała już ten sie rozgodoł, te lena widzała, że mu piata

klepka felowała i zaczęła z nim łączyć,<sup>5)</sup> ale ten tegle nie zmierkwiał, że lena z niego drwyła, bte młostł, że to tak musi. Cze ten sie zabierol do dom, dała mu pierseyn, ten wetch głę w cieszyn<sup>6)</sup> i led wioldzi radosec wcale nie pldękwlewoł, leno chyże biego z nim do mameczy, łepłewiedziol ju nopierwy jak mu szło na tych wrejach. Młuwieł, że dostał tam chleba z masłem i cizką,<sup>7)</sup> do tegle kawę. Nareszcie plewiedziol, że mu Bosza pierseyn dała. Mamka cekawo pyto sie, gdzie te głę mosz? A w cieszyni. Łej te głupi, ni młęg te głę na palec wsadzec, tebe ludze tele widzeli, jaci ty mosz fajny pierseyn. Ja, jo tegle nie wiedziol, no, ale na drudzi roz jo to bede wiedziol. Ciey Moch szed drudzi roz do Bosze, był bardzo rod. Bosza była łechłetna,<sup>8)</sup> śmała sie i żartowała, płeczestowała głę kawą, a na pamiatke dała mu sznepeldoch.<sup>9)</sup> Ten Moch sobie łewynol wkłeto palca i tak z nim wewyjając, szed do dom. Cze ten przeszed do dom, mamka zaru ten sznepeldoch widzała i młewieła: cōż te stroszku mosz na

1) Marcin. 2) nienormalny. 3) w swaty. 4) ożeni.

5) żartować. 6) kieszeń. 7) kielbasa. 8) wesola. 9) chustka do nosa.





Fragment kaszubskiego tańca weselnego.

palcu? A to mie Bosza pledarowała. A nie młęg te sobie tegłe w cieszyń włożec, tak, cobe ten jeden kuńc beł kasek widzec, tebe ludze bele widzela, jacyz te mosz bioły sznepeldoch? Ja, manikłe, tegłe jo nie wiedzoł, no, ale na drudzi roz jo to bede wiedzoł. Cze łen szed trzeci roz do Bosze, te łena jemu dała tacygłe małygłe pieska, co ji beł w drodze, a łen głe sztopłewo<sup>10)</sup> w cieszyń. Ten pies se łepieroł i kwiczoł, aż głe Moch wsztopłewoł łbem nadoł, leno mu te szpere i łegon beło widzec i tak z nim szed bez wies. Cze łen z nim przeszed do dom, zaru młewy: Mamkłe! dzisie Bosza mie dała psa. A gdzie te głe mosz? Moch temczasem wejmuje psa z cieszyńi i młewy: wele!<sup>11)</sup> A mamka zaczynie tero szkalować, że tacygłe łesła sobie wychłewała. Cze łena sie udobruchała, te młewy: Słuchele Moszku, na drudzi roz wezniesz sobie pławrósk<sup>12)</sup> i cze cie sie tak znowu zdarzy, te sobie uwiążesz pieska za kark i pęprowadzisz głe, te ludze łeboczą jacygłe te mosz ładnigło psa. No dobrze mamkłe, te na drudzi roz jo to bede wiedzoł. Cze łen za tydzin szed znowu do Bosze, ta sobie miała świnie za-bytą, dała mu sie najese ciszków i mięsa, a dodom dała mu też jedne szynke dla mamci. Moch sobie te szynke uwiązoł na pławrósk i cygnoł jó płe ziemi, co chwilę sie łebzewoł i włoło: tus, tus, tus, a pse ze wse idą i szarpia za nę<sup>13)</sup> szynkę. Cze łen przeszed do dom, mioł leno prawie taczy mały gnot łed ni. Z tym gnotem zaru szed do mamci i młewy: wiece, we mie młewiele, że jo mioł uwiązać na pławrósk, coby łena mie dała. Na nie-szczęście dała mie dzisu szynkę i łebdroge mie ją pse żeżarł, leno ten gnot łestoł. Łej te głupcze. młewy mamka, nie młęg żeś te ji przeniesc cały do dom, me bę ją bele sobie w kłemin pławiesele, tebeme bele cały lato jedle mięso. No mamkłe, dec te to nie je tak złe, na drudzi roz jo tak napewno zrobie. Za dwie niedzele znowu szed do Bosze, to ji beła krowa chłeroł, a że łena niechłała, żebe ta ju w chlewie zdechła, młewiała do Moszka: Weźże sobie tę krowę, bedzesz mioł na pamiątkę łedemje. Moch nie wiedzoł, że ta krowa

chłera beła, ani tegłe nie me-słoł, żebe mu Bosza chłerał krowę dała, to też z wielgo rado-scą, że ji ni młęg uniesc pład pochlą, prowadzeł z nią do dom. Ale zamiast w chlew, zaprowa-dzeł ją we wędzarnią, pławie-seł ją na drag i zrobiel pład nią łedzin, żebe sie wędzela. Moch biego do mamczy i zdaleka włoło: Nó, ale tero me sie naje-me mięsa, błe jo cało krowę pławiesel we wędzarnio. A skąd te głupcze dostoł krowę? A Bosza mie ją dała. Zewą? No, zdechły rownak<sup>14)</sup> nie. Mamka biego do wędzarni, żebe tę krowę jeszcze uratowac, ale już je ple ni. Teru dopiero zaczęła na Moszka, co łen za głupstwo zrobił. Ja, cuż jo z nią mioł zro-być? A ni młęg te ji w chlew zaprowadzec, ją uwiązac, sana ji dac, tebe me miele młekłe i

masło. Ja mamkłe, tegło jo nie wiedzoł. No, ale na drudzi roz jo to bede wiedzoł. Za tydzin szed znowu do swłej Bosze. Ale te ludze ju ji miele doniosły, jak łen sie łepszed z tym zwierzynczym, co łena mu dała, a łesobliwie łe ty krowie. No-pierwy chłała głe wekusec,<sup>15)</sup> jeźlebo łen ji beł prowde pławiedzoł, pyto sie: No, jakże krowa, żeje? Dotychczas ją. No jo be ją rada chłała wi-dzec. Pładzesz Boszkłe ze mną, te łeboczysz. No dobrze, zaru sie westroję i te pudzeme. Cze te już beł mrok, szed Moch z Boszką do swęjigłe dodomu. Ale zamiast zaprowadzec ją do izbe, zaprowadzeł ją w chlew, uwiązoł ją ba lancuch do kuma,<sup>16)</sup> doł ji sana, zanik chlew i szed do mamczy. Zaru łed progu młewy: Dzisu łena prze-szła sama. A gdzie łena je? A w chlewie. Co te bredzisz? We mie jednak młewiele, że jo ją mioł uwiązać i sana ji dac. Teru ta matka rozumiała co sie święcy i chyże biegała do chlewa, a Moch za nią. Ale jakże Moch sie zdewieł, cze lancuch i sano beło na miescu, a Boszka ju za sedem głeramy. Teru beło ju płe ženbie, wrejach i Boszee Mocha.

W. R.

<sup>10)</sup> wsunął. <sup>11)</sup> patrzcie. <sup>12)</sup> sznureczek. <sup>13)</sup> te. <sup>14)</sup> jednak. <sup>15)</sup> wyptać. <sup>16)</sup> koryto.



Wycieczka ze Śląska czsl., zorganizowana przez ZZEM w r. 1933 w porcie gdyńskim.



-stal-

## Nasze bolączki

I.

Szereg artykułów z cyklu „Teatr amatorski“, publikowanych przez „Ogniwo“, jest prawdziwą skarbnicą dla wszystkich, interesujących się tą metodą wychowania, tak popularną w naszych stowarzyszeniach. Dla niejednego z nas, są one jedyną lekturą kształcącą teoretycznie w dziedzinie teatru ludowego, tak po macoszemu dotąd przez nasze pisma młodzieżowe traktowanego. Opracowane wzorowo, wyczerpująco, zwróciły naszą uwagę na personel konieczny przy każdym przedstawieniu, zapoznały nas z podziałem pracy, zwalanej często na jednego i zaznajomiły z trudnościami jakoteż i ułatwieniami pod względem urządzenia sceny, jej dekoracji, i t. p. Są one, rzecz można śmiało, najpoczytniejszymi artykułami tego czasopisma.

Dział ten był początkowo z nieufnością przez czytelników traktowany. Zdawało się bowiem, że ma się tutaj do czynienia z przysłowiowym słomianym zapalem, że praca ta zapoczątkowana z taką werwą, po czasie stopniowo osłabnie, by w rezultacie, niewiadomo nawet kiedy zniknąć zupełnie. Ale były to jak widziimy płonne obawy. Systematyczność, wszechstronność a przede wszystkim wysoka wartość fachowa artykułów, zjednała im cały zastęp zwolenników, niecierpliwie wyczekujących następnego numeru, by dowiedzieć się czegoś nowego i tę nowość sobie przyswoić.

My szara brać czytelnicza, mamy bardzo ważny obowiązek do wypełnienia. Jest nim wypełnienie życzenia autorów. Pawiniśmy z ich doświadczenia korzystać, uczyć się wytrwale i z ich pomocą się specjalizować. Niech ich wysiłek nie idzie na próżno, szkoląc nas i wyrabiając z szeregow dyletantyzmu wartościowych pracowników. Mamy zrozumieć, że pisze się nie poto, ażeby stopy papieru zamazać farbą drukarską, ale, żeby myśli na ten papier rzucone, trafiły aż do nas. Obowiązek nasz lekki jest i wdzięczny. Czerpać tylko pełnymi garściami te nauki i rady, nie darować najkrótszej wzmiance, wszystko gruntownie przemyśleć i praktykować. Praktykować koniecznie bo bez tego materiału ten nie ma dla nas najmniejszej wartości. Cóż nam jest z głowy napęczniałej od nadmiaru przeróżnych mądrych teorii, jeśli teorii tych nie potrafimy zastosować praktycznie w życiu. Praktyką kształcimy siebie i innych. W ten sposób ziarno zdrowej myśli przełamuje się za naszym pośrednictwem na innych i przyniesie stokrotne korzyści.

Że z tem wszystkim nasze kółka amatorskie stoją w ścisłym związku, nie trzeba osobno stwierdzać. Nie trzeba również podkreślać tego, o czym już tylekrotnie była mowa a mianowicie ich znaczenia wychowawczego. Jest to rzecz, która nie jest już dzisiaj tajemnicą dla nikogo, jak i to, że dobre wychowanie jest tu uzależnione od wielu względów. Najważniejszą rolę gra tu wartość moralna wystawionej sztuki. Przyzna chyba każdy, że „Żydem w becze“, „Chrapaniem z rozkazu“, czy innym tego rodzaju delikatesem, nie bardzo budujemy moralnie tak amatora jak i widza. Chociaż z drugiej strony, lepsze wrażenie wywiera dobrze oddane głupstwo niż opartanowa sztuka o wielkich walorach wychowawczych. Niestety daleko nam jeszcze do tego, abyśmy w naszych warunkach i z naszymi środkami postawili nasze kółka na odpowiedniej wyżynie, chociaż i tutaj dałoby się dużo zrobić, ale napotyka się na nieprzewy-



Stylowe meble ludowe kaszubskie, z ozdobami o motywach i wzorach kaszubskich. Na stoliku zastawa, stanowiąca eksponat ceramiki kaszubskiej. — Zdjęcie z Wejherowa.

ciężoną trudność, a jest nią brak odpowiednich sił kierowniczych.

Dobry reżyser, to u nas jeszcze unikat. Wśród naszej młodzieży znajdują się cenne materiały na autorów, są to jednak niestety drzemające talenty, bo niema człowieka, któryby je rozbudził i oszlifował. Działalność reżyserów w kołach ogranicza się dotąd jeszcze do sufłowania na próbach, wyłowiania amatorów z za kulis kiedy mają występować, no i proszenia ciekawskich, jeżeli są na sali, ażeby raczyli ciszej się bawić, bo jest przecież próba. To też z zadowoleniem powitać należy fakt, że nasi czołowi pracownicy zauważyli ten dotkliwy brak i poczęli organizować kursy dla reżyserów. Może to w części przynajmniej przyczyni się do zlikwidowania tej słabej strony naszych kółek amatorskich. Że nasza młodzież zdaje





Wnętrze izby szkolnej w Wielkiej Wsi Hallerowie nad otwartym Bałtykiem. Izba duża, przestronna, nowoczesna, na oknach firanki, ozdobione haftem kaszubskim. Na ścianie sentencja Wincentego Pola.

sobie sprawę z tego, czego jej potrzeba na tem polu, świadczy o tem liczba uczestników niedawnego kursu, jak również głębokie zainteresowanie, jakim obecni cały przebieg kursu darzyli. Należy tylko wyrazić życzenie, ażeby kursy te częściej się powtarzały. Nie zaszkodzi, jeżeli w przyszłym okresie zimowym zorganizuje się kurs na szerszą skalę. Choćby to było nawet coś w rodzaju szkoły. Może się ktoś tem zająć?

Wydatniejszej pracy naszych kółek amatorskich stoi na przeszkodzie materializm stowarzyszeń kulturalno-oświatowych. Przyjęła i zakorzeniła się w nich bardzo błędna, wręcz fałszywa maksyma: »nie za darmo!« Przed groźbą deficytu, jaki mogłaby przynieść w rezultacie projektowana impreza, tehrzy dzisiaj każda organizacja. — Przypuszczam, że nie na tem polega praca oświatowa, aby zbijać pieniądze, które bardzo często leżą potem martwe w kasach, z których społeczeństwo niema najmniejszego zysku moralnego, nie mówiąc już o samych członkach oświatowego stowarzyszenia, ale polega chyba na tem, aby ci członkowie nauczyli jak najwięcej przede wszystkim siebie a potem innych. Pieniądz jest tu potęgą względną. Można przecież bardzo dobrze urządzać jakieś imprezy nawet na szeroką skalę i one się napewno udają, jeżeli tylko nie będzie się liczyć na wysoki zysk materialny. Czasy, w

których przedstawienia przynosiły setki i tysiące zysku, bezpowrotnie minęły. Dziś trzeba się zadowolić tem, jeżeli się tylko nie dopłaci. Trzeba się powoli przyzwyczajać nawet na deficyty, bo nie nie wskazuje na to, że obecne warunki gospodarcze ulegną u nas zmianie na lepsze. Gdyby więc dotychczasowa orientacja naszych stowarzyszeń pozostała bez zmiany, należałoby liczyć się z stopniowym zanikiem pracy kulturalno-oświatowej. — Że to byłoby początkiem końca, ciężko zaprzeczyć. Musimy nasze społeczeństwo wychowywać w dalszym ciągu, gdyż daleko mu jeszcze do zupełnej dojrzałości socjalnej. Jeżeli w tej pracy pieniądz ma być najważniejszą przeszkodą, nauczymy się obchodzić bez niego a naszą pracę oświatową oprzyjmy raczej na niedocenianym przez nas zysku moralnym. Radość z dobrze wykonanego zadania, przeświadczenie, że podjęty obowiązek wypełniliśmy jak mogliśmy najlepiej, niech będą w przyszłości dla nas najwyższą nagrodą.

\* \* \*

#### NA GUMOWYM KAJAKU... DO INDYJ.

W tych dniach nadeszła wiadomość z oddalonego Buchiru w Persji, że dotarli tam dwaj śmiali podróżnicy, Holendrzy, którzy postanowili odbyć podróż naokoło świata w gumowym kajaku. Tymczasem odbyli urozmaiconą przygodami podróż przez Rosję i Azję mniejszą.

\* \* \*



Port rybacki w Helu. Na pierwszym planie las rusztowań, z szusacemi się w słońcu sieciami.



# Bravne podstawy Kółek Samokształcenia

(Referat kol. Karola Polaka dla K. S.)

Kółka Samokształcenia są Sekcją Macierzy Szkolnej.

Młodzież tworzyła w ramach Kół Macierzy Szkolnej chóry, koła amatorskie. Te wychowywały jednostronnie. Uczyły śpiewu lub kształciły zdolności teatralne. Te dwie sekcje nie mogły natomiast zaspokoić szerokich pól zainteresowań młodzieży. W Karwinie zebrało się grono »Uzali«. Za zebraniem przeczytano ustęp z książki, artykuł o nowym wynalazku z gazety, ktoś opowiedział wycieczkę odbytą, omówiono sprawy sportowe, wypadki z życia kulturalnego. Szukano tematów. Zgłaszali się referenci doświadczeni, później miejscowi próbowali swych zdolności krasomówczych. Piękne wyniki, osiągnięte w Karwinie, pobudziły młodzież sąsiednich Kół do organizowania podobnych zebrań. Zarząd Główny Macierzy Szkolnej śledził z zadowoleniem ruch, w którym na pierwszym miejscu postawiono wychowanie, na drugim kształcenie. W dotychczasowych sekcjach było odwrotnie. Okólnik Z. Gł. z dnia 28 marca 1935 doniósł Kołom Macierzy Szkolnej o utworzeniu 4 okręgów i wezwał do tworzenia Kółek Samokształcenia przy każdym Kole Macierzy Szkolnej zgodnie ze statutem Towarzystwa.

Młodzież inteligentniejsza porwała się do pracy samorządnie, nie wiedząc może nawet, że także państwo żąda tej pracy oświatowej ustawą z dnia 7 lutego 1919 L. 67 Zb. u. i r. Ustawa o wychowaniu ludowym obejmuje 6 paragrafów. Pierwszy powiada: »W obrębie całego państwa czechosłowackiego należy organizować bezpłatne kursy wychowania obywatelskiego, któreby wszystkim obywatelom udostępniły fachowe i popularne wykłady o ustroju państwa, o jego ingerencji w różnych dziedzinach, jego działalności i o prawach i obowiązkach obywateli państwowych.« Drugi paragraf powołuje do życia miejscowe, miejskie i powiatowe Komisje Oświatowe. Obowiązek ponoszenia nakładu rzeczowego nakłada § 3 na ciała samorządowe. Obszerniej traktują o komisjach oświatowych »Instrukcje Min. Szkol. i Ośw. Nar. do cyt. ustawy z dnia 7 lutego 1919 L. 13.878.« Na wstępie Instrukcje wskazują jakimi środkami należy osiągnąć cele i zadania Komisji oświatowych:

a) wykładami z nauki obywatelskiej o ustroju państwa, o urzędach publicznych, o prawach i obowiązkach obywatelskich, zawsze ze wskazaniem na różnicę między monarchią a republiką;

b) wykładami gospodarczymi: o gospodarstwie państwa, gmin i innych instytucji publicznych, o bieżących zagadnieniach gospodarczych, które każdego obywatela dotyczą;

c) wykładami historycznymi: o wytworzeniu samodzielności czechosłowackiej i o ważnych wypadkach i przejawach z dziejów państwa, głównie z ostatniego stulecia, o przełomowych okresach dziejów powszechnych;

d) wykładami o znaczeniu i zagadnieniach demokracji;

e) wykładami o socjalnych podstawach i warunkach życia państwowego;

i) wykładami o moralnych założeniach państwa a zwłaszcza demokratycznej republiki, o socjalnej wzajemności, poświęceniu się dla całości, o cnotach i powinnościach oby-

watelskich, niestronniczymi wykładami o programach poszczególnych stronnictw politycznych;

g) wykładami o socjalnej zdrowotności i o wychowaniu fizycznym;

h) przez wykłady i czytanie innego rodzaju, o ile niemi podnosi się kulturalny poziom obywatelski.

O mniejszościowych komisjach oświatowych traktuje rozp. Min. Szk. i Ośw. Nar. z dnia 11 sierpnia 1919 L. 33.706. Jest ono uzupełnieniem Instrukcji wyżej omówionych. W powiatach, w których zamieszkują mniejszości narodowe powołała się dla tych mniejszości samodzielne Powiatowe Komitety Oświatowe. Wykazuje mniejszość w sądowym powiecie według ostatniego spisu ludności mniej niż 2000 osób, przylączy się do sąsiedniego powiatowego komitetu oświatowego.

Miasto powiatowe nie musi być siedzibą pow. komisji oświatowej.

Miejscowe komisje zakłada się w gminach, w których żyje przynajmniej 200 obywateli danej mniejszości. Gdzie niema możliwości spełnienia tego warunku, ale gdzie mniejszość liczy chociaż 10% ogółu obywateli, połączy się kilka takich gmin w okręgowej komisji oświatowej, a ta podlega powiatowemu komitetowi oświatowemu.

Członkiem mniejszościowego powiatowego komitetu, miejscowej lub okręgowej komisji może się stać jedynie członek danej miejscowości (punkt 4 rozp. z dnia 11 sierpnia 1919 L. 33.706).

Nakład na mniejszościowe kursy, odczyty lub wieczorki dyskusyjne pokrywa się tak, jak nakład na inne kursy. Nakład rzeczowy, zwłaszcza lokal zaopatrzony gmina polityczna. Okręgowej komisji oświatowej postara się o lokal mniejszościowy Powiatowy Komitet Oświatowy, a rachunek rozłoży na zainteresowane gminy.

Jeśli otrzymały w miejscowościach, w których istnieją i mniejszościowe komisje oświatowe, subwencję miejscowe lub powiatowe kom. oświatowe od którejkolwiek publicznej korporacji samorządowej obok obowiązkowego nakładu rzeczowego jeszcze subwencję jakiegokolwiek gatunku i za jakimkolwiek pośrednictwem, może im być udzielona dalsza subwencja państwowa tylko pod warunkiem, że z dotacji tejsze samorządowej korporacji udzielono odpowiednią kwotę także komisji mniejszościowej.

Skład komisji oświatowej omawia na początku cyt. ustawa L. 67/19 Zb. u. i r. i najnowsze rozp. Min. Szkol. i Ośw. Nar. z dnia 26 czerwca 1926 L. 22.287.

Liczba członków komisji wynosi w gminach do 500 obywateli 3 czł., do 2000 mieszk. 5 czł., do 10.000 mieszk. 7 członków. W pierwszym wypadku powiatowy komitet mianuje 1 członka, w drugim wypadku 2 członków, w trzecim wypadku 3 członków, przyczem należy dbać, aby nauczycielstwo było zastąpione w komisji. Resztę członków mianuje zastępstwo gminne. Członkiem nieparzystym jest każdorazowy bibliotekarz publicznej biblioteki gminnej według ustawy L. 430/19 Zb. u. i r.

Okres funkcyjny komisji oświatowej jest zgodny z kadencją zastępstwa gminnego.

Do Komisji Ośw. dobiera się ludzi, obeznanych z pracą oświatową, przyczem uwzględnia się zastępstwo organizacji politycznych i towarzystw oświatowych.

Komisja oświatowa nie jest więc organizacją sama w sobie, lecz jest państwowym organem nadrzędnym dla kierowania pracą oświatową wśród szerokich rzesz ludowych. W pracy oświatowej mogą korzystać z udogodnień Komisji Oświatowej towarzystwa kulturalno-oświatowe, lecz także polityczne. Te ostatnie bowiem oprócz programów politycznych, mają cele kulturalne.

Komisja oświatowa na prośbę np. straży pożarnej organizuje odczyt lub wieczorek dyskusyjny o »pierwszej pomocy«, albo na aktualny temat »O obrobie przeciwlotniczej«. Stronnictwo polityczne może żądać wykładów o programach stronnictw politycznych (rozp. z dnia 7 kwietnia 1920 L. 27.618).



Fragment tańca zwanego po kaszubsku »szocem«, wykonany na piasku przez młodzież kaszubską.



o konstytucji państwowej i t. p. Rada Rodzicielska może żądać tematów pedagogicznych.

**Rozporządzenie Min. Szk. i Ośw. Nar. z 22 kwietnia 1919 L. 13.878 odst. 23 poleca dyskusję po każdym wykładzie.**

Do pracy w komisjach oświatowych jest powołane nauczycielstwo rozp. Min. Szk. i Ośw. Nar. z 3 marca 1919 L. 9581 i ustawą z dnia 13 lipca 1922 L. 251 Zb. u. i r. a to aż do 4 godzin tygodniowo ponad normalny wymiar godzin nauki. Podobnie zobowiązani są do pracy oświatowej urzędnicy państwowi wszelkich kategorii.

Każda impreza komisji oświatowej musi być zgłaszana komisarzowi policyjnemu lub Urzędowi powiatowemu.

Zgłoszenie nie podlega ostemplowaniu i jest wolne od opłaty za czynność urzędową według rozporządzenia Min. fin. z 24 sierpnia 1925, L. 102.834/25-V.

Działalność Kółek Samokształcenia legalizuje statut Macierzy Szkolnej i liczne rozporządzenia i ustawy państwowe. Pozaszkolne kształcenie młodzieży jest postulatem państwa. Dla młodzieży polskiej jest nakazem narodowym. Poznać założenia prawne państwa i wytrwać w kulturze własnego narodu, to dwa zagadnienia, w których ustawodawstwo nie dopatruje się kolizji.

Ci, którzy rzekomo dla poprawienia swej egzystencji »zmienili orientację narodową« niech wiedzą, że przenicowane ubranie jest już tylko tandetą i łachmanem. Dla narodu przepadli, a dla państwa, jako pozbawieni pryncypu moralnego, będą wkrótce ciężarem.

Pomnij, że naród tego po nas żąda, świadomi, że państwo nakazuje, weźmy się z zapałem do pracy w Kółkach Samokształcenia.

#### **Przyp. Redakcji.**

Dla chcących się zapoznać szczegółowo z ustawą i rozporządzeniami powyżej cytowanymi możemy polecić książkę L. Calábka p. t. »Administrativní příručka pro lidovýchovné pracovníky«, wydaną przez Masarykův Lidový



W drugi dzień Świąt Wielkanocnych istnieje na Kaszubach zwyczaj kąpania dziewcząt w wodzie, praktykowany na różny sposób: w rzekach, stawach, jeziorach i morzu. Zdjęcie przedstawia chwilę »kąpania« na brzegu morskim.



Wycieczka ZZEM-u w Helu w r. 1934.

chovný Ústav v Pradze. Bez książki tej nie może się obyć żaden pracownik oświatowo-społeczny, to też jako konieczna zalecana ją gorąco. Sprowadzić przez Księgarnię Macierzy.

\* \* \*

### **Dyskusja.**

Odpowiedź, co znaczy powyższe słowo znaleźć można w 4-ym nrze. »Ogniwa« rok II.

Jakie ma znaczenie dyskusja? Zabierając głos w dyskusji prosimy o objaśnienie słowa czy zwrotu, o uzupełnienie przykładu czy pewnych miejsc z wykładu. Przez dyskusję więc uczymy się, rozszerzamy krąg naszych wiadomości. Dyskusja to ćwiczenie, hartowanie się do walki życiowej. Ten bowiem, kto zabiera głos musi mówić do rzeczy a więc na podstawie tego, co przed chwilą wypowiedziane zostało. Chcąc prosić o objaśnienie czy uzupełnienie muszę oczywiście zwracać uwagę na to, co prelegent mówi, muszę zapamiętać sobie kwestję, którą chcę poruszyć. Muszę umieć zadać pytanie, bez specjalnego przygotowania się znaleźć odpowiednią ilość słów i te złączyć razem. Muszę wreszcie zdobyć się na tę odwagę, by poprosić o słowo, przemówić przed słuchaczami. Ten zaś kto odpowiada musi mieć głowę na karku, posiadać przytomność umysłu, by na zadane mu pytanie potrafił dać zadowalającą odpowiedź. Tego zaś nie da się osiągnąć na podstawie, lub jedynie na podstawie, teorii, czytania, rozmawiania ze samym sobą, gdyż nie możemy napróżd wiedzieć, jakie nam kto zada pytanie, lecz głównie na podstawie praktyki. Trzeba więc przysłuchiwać się dyskusji i brać w niej czynny udział. Poprosić o wyjaśnienie, dorzucić własną uwagę, spostrzeżenie, uzupełnienie, udzielić pochwały czy wreszcie skrytykować słowa i poczynania mówcy. Co się jednak krytyki tyczy, to tutaj postępować bardzo ostrożnie.

Dyskusja to broń, która nam zwłaszcza w dzisiejszych czasach jest potrzebna. Niejeden człowiek jest obity, ma znajomości teoretyczne i praktyczne, w chwili jednak, kiedy mu trzeba wystąpić publicznie, przyjdzie bronić swych tez, słusznych poczynąć traci odwagę do odczytania się, zbijania przytoczonych przykładów, nie może znaleźć odpowiednich słów, nie umie się wyrazić. Zdarza się, że zostaje zakryczany i dobra jego sprawa upada.

Istnieją związki młodzieżowe. W tych ma członek znaleźć dalszą szkołę. Tutaj więc nadarza się dobra sposobność do zaprawiania się, hartowania i wyrabiania w tym kierunku. Otwierać przeto na zebraniach częste dyskusje, debaty i brać w nich czynny udział.

As.

\* \* \*

### **Od Redakcji.**

Przepraszamy najmocniej P. T. odbiorców za kilkudniowe opóźnienie niniejszego »Ogniwa«. Spowodowane zostało różnymi trudnościami technicznymi, jak zebranie potrzebnego materiału obrazkowego, jego kliszowanie i t. p.

Następny numer »Ogniwa«, poświęcony »Wiśle«, wyjdzie znowu normalnie, tak, że w dniu 30. czerwca będzie już w rękach odbiorców.

W nast. nrze umieszczony też będzie materiał, którego nie zdążyliśmy zużytkować w nin. numerze, jak: nieznane melodje śląskie, dział harcowski, kącik szachowy, dział sportowy, kobiecy, odpowiadzi Redakcji i t. p.



## Na plaży.



— Mamusiu, poco wujkowi ten parasol, kiedy wcale deszcz nie pada?!

## Wrażenia z podróży.

Jimmy i Jack, dwa wilki morskie, opowiadają sobie wrażenia z podróży.

— Londyn — powiada Jimmy — to najbardziej mgliste miasto na świecie.

— Gdzie tam — odpowiada Jack. — Byłem raz w pewnej miejscowości, która jest o wiele bardziej mglista od Londynu.

— Cóż to jest za miejscowość? — pyta Jimmy.

— Była taka gęsta mgła, że jej nawet nie widziałem!

## Odwaga.

— Pański pies pokąsał wczoraj moją teściową.

— O tak, to szalenie odważny pies.

## On się przyglądał.

— Cóż to za beczelny i źle wychowany człowiek, ten Migusiński. Na koncercie w Filharmonii cały czas mi się przyglądał.

— Nie zauważyłem go. Gdzież on siedział?

— Dwa rzędy za nami.

## Stróż moralności.



— Panie policjant! proszę interwenjować — tam rozbiera się jakiś mężczyzna!

## Sen koszmarne stróża plażowego na Helu.



## Nie słyszała.

— Dlaczego Marysia nie przychodzi jak ja dzwonię?

— Nie słyszałam, psze pani!

— Dzwoniłam trzy razy!

— Nieprawda, bo tylko dwa!

## To my, kury!

Słyszac ujadanie psa, wieśniak wstaje w nocy i sprawdza zagrodę, czy nie zakradli się złodzieje. Widząc otwarty kurnik, wchodzi do środka. Słyszyc jakiś rumor, pyta więc groźnie:

— Kto tu?

Piskliwy głos odpowiada mu:

— To my, kury — śpimy...

## Ostatnie życzenie.

Zbliża się krytyczna chwila. Właśnie obcięto skazanemu włosy. Duchowny, adwokat, dyrektor więzienia stoją dookoła niego. Pada pytanie:

— Czy macie jakieś życzenie? Może wypili- byście szklankę rumu?

— Nie, dziękuję.

— Może papierosa?

— Nie, dziękuję.

— Jest taki zwyczaj, że spełnia się ostatnie życzenie skazanego. Czegobyście chcieli?

— Chciałbym nauczyć się po angielsku.



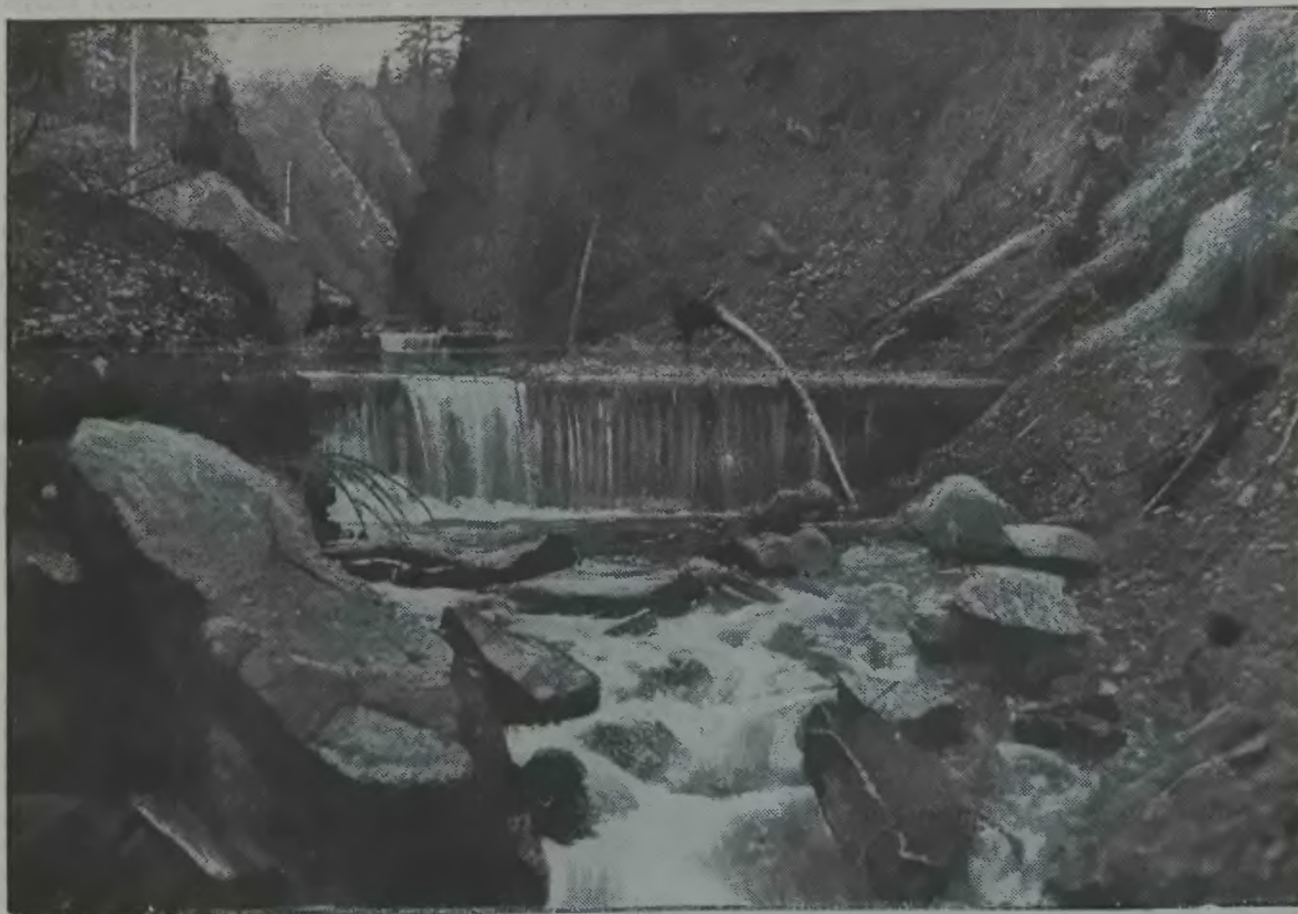
# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONÉ SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## U źródeł Wisły

*matki rzek polskich*



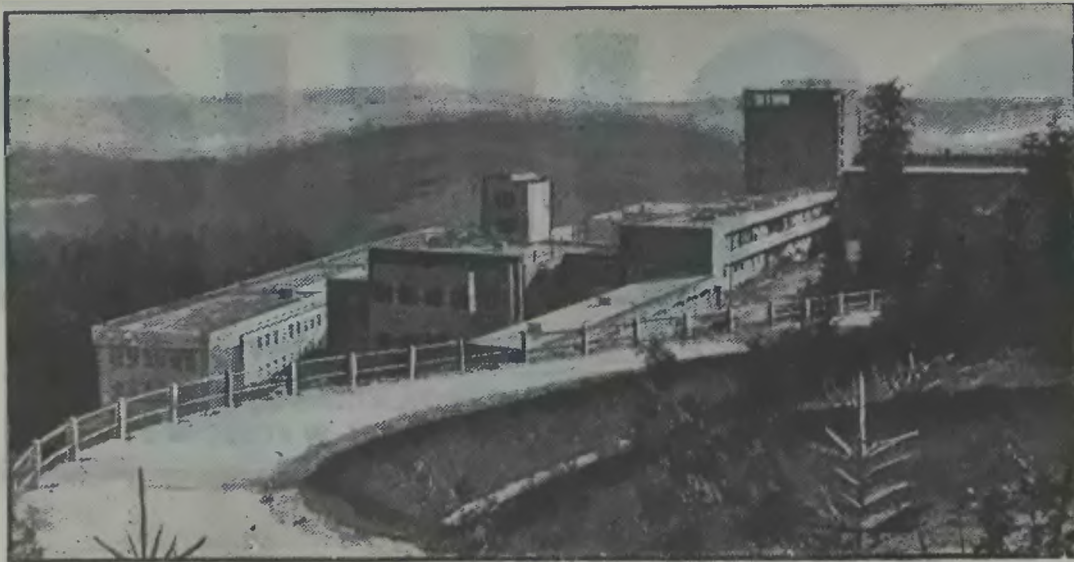
Wodospad w dolinie Białej Wisłki.

Nazwa »Wisła« pojawia się w dziejach w pierwszym wieku przed narodzeniem Chrystusa w dokumentach rzymskich. Wyprawy rzymskie z owych czasów nie dotarły wprawdzie do samego dorzecza Wisły, a tylko wywiady, wysunięte w głąb nieznanych jeszcze lądów, natknęły się na ową rzekę i zanotowały ją na mapie. Nazwa ta nie pojawia się w dzisiejszej postaci (jako »Visla«, wylania się ona dopiero w dokumentach średnio-

wiecznych), lecz występuje jako Vistula, Vistla, Visculus, Viscla i wreszcie Visula.

Rodzicielką Wisły jest Barania Góra, której szczyt pokrywa wielkie polesisko, zjeżone wykrotami i porośnię paprocią i trawami, zpośród których zaczyna się wylaniać młody las. Ztąd to sączą się dziesiątki małych strug, które łącząc się z sobą, tworzą tak zwane tutaj »wykopy«, czyli drobne zbiorniki wody, z których znów powstają





**Sanatorium dla dzieci szkolnych w Istebnej.**

Wybudowane przez Województwo Śląskie dla walki z gruźlicą wśród młodzieży szkolnej, która tu będzie na zmianę przebywać przez 3 miesiące, ucząc się a równocześnie wzmacniając swe zdrowie.

dwa większe, biegnące każdy osobno, potoki. Jeden z nich zwany Czarną Wiselką, albo poprostu Czarnochą, sący się w cienistym jarze i wody ma ciemne, niby piwo, co powstało wskutek właściwości koryta, utworzonego z łupków i grubych ławic piaskowca, a pokrytego cienką powłoką glonu w kolorze czerwono-żółtym. Drugi strumień pod mianem Białej Wiselki wytryska »z pod Skałki« na północnozachodzie pochyłości Baraniej i skacząc wesoło po jasnym piaskowcu w dolinie

skida, Tatra, Pienina i Suda. Po jego śmierci podzielili synowie jego państwo między sobą, przy czym Beskidowi dostała się kraina ku zachodowi. Miał on za żonę Boranę, która szczególnie opiekowała się borami i zwierzętami w nim mieszkającymi. Po śmierci męża Borana osiadła na najwyższej górze i wychowywała tam dwie cudownej urody córki: Czarnochę i Białkę, oraz syna Lana. Córkom dała w opiekę wody i ryby, zaś synowi łąki i pola, a gdy umarła dzieci pochowały ją na

górze, gdzie z matką przeżyły swą młodość i w myśl przedśmiertnego jej polecenia wzięły się do pracy. Lan wszystkie miejsca, które matka próżnemi zostawiła, użyźnił i obsiał trawami i zbożami. Córki pożegnawszy się i popłakawszy, rozeszły się, aby rozprowadzać wodę. Czarnocha wyruszyła w drogę do doliny. Białka zaś żwawo podążyła ku północy, skacząc swawolnie na skały, przepaści i przyspieszając sobie wesoło. Lecz wkrótce zeszyli się znów niespodzianie, więc postanowiły już odtąd więcej nie rozłączać się, a wędrować wspólnie.



**Widok ogólny na uzdrowisko w Wiśle.**

Na pierwszym planie gromadka dzieci polskich z obczyzny, przybyła na kolonie wakacyjne, by poznać swą ojczyznę, a nadto nabrać sił i zdrowia w przepięknej okolicy Beskidów.

**Dokończenie  
na str. 4-tej.**



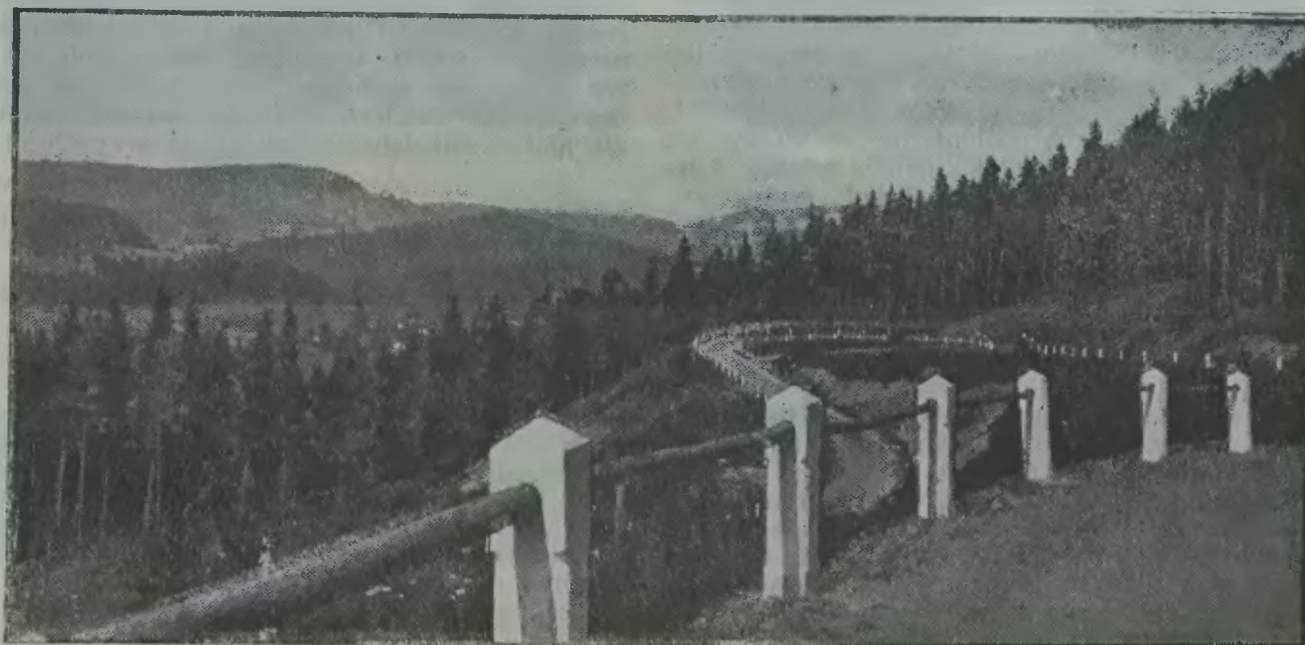


## Komu „Ogniwo” nie wystarcza?

Powołując do życia Zrzeszenie Związków Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji, wytyczono z grubsza zarysy pracy i kierunek działalności ogólnomłodzieżowej. Siłą rzeczy powołano równocześnie do życia czasopismo tego Zrzeszenia, którego zadaniem jest informować i kształcić młodzież pod względem narodowym. Ze względu na to, że istnienie większej ilości pism młodzieżowych było niemożliwym i nieuzasadnionym, zlikwidowano więc dotychczasowe czasopisma wyznaniowe. Były nimi jak wiadomo: »Na Przełomie« organ ZZEM

stępom młodzieży, i starają się namówić mniej uświadomionych do domagania się ponownego wydania czasopism wyznaniowych.

Jestem człowiekiem prostym i sądząc dążenia te z chłopskiego punktu widzenia, oświadczam śmiało i otwarcie, że kwalifikują się one do roli zdradzieckiej Targowicy w historii polskiej. Bówiem utworzenie centralnej organizacji młodzieżowej poprzedziły całe szeregi wspólnych narad i konferencyj i jeżeli zgodzono się z obu stron na pewne konieczne ustępstwa, to jedynie dla wspól-



Wspaniała serpentina na Kubalonkę.

Jeden z wyższych szczytów w Beskidzie Zachodnim, ze wspaniałym widokiem na doliny i pokryte lasami zbocza górskie.

i »Świt« organ ZSMK. Oba te czasopisma miało zastąpić »Ogniwo«, pozbawione zabarwienia wyznaniowego a redagowane w duchu narodowym.

Młodzież przyjęła tę zmianę z zadowoleniem. Dostała bowiem do rąk pismo wartościowe, tak pod względem treści jak i wyglądu zewnętrznego. Odrazu rzucił się w oczy fakt, że współlenni siłami i na tem polu więcej się dokaże, niż gdyby się to czyniło w pojedynkę, t. zn. każdy wyznaniowy odłam z osobna. Że jednak nie było jeszcze dotąd na świecie rzeczy, któraby nie miała przeciwników, więc też i »Ogniwo« nie stanowi w tym wypadku wyjątku. Ma i ono swych malkontentów, którzy swe zacofane poglądy stawiają jako główny argument, na podstawie którego starają się udowodnić, że »Ogniwo« nie wystarcza szerokim za-

nego dobra a przede wszystkim dla zdobycia jednego wspólnego punktu oparcia w trudnej pracy społecznej.

»Ogniwo«, jako pismo bezstronne, wywiązuje się z swego zadania jak może najlepiej. Uczy, radzi, wskazuje, naprowadza swych czytelników na właściwe tory wytyczone programem swej centrali. Program zaś opracowali też i przedstawiciele poszczególnych skupień wyznaniowych, którzy też w inieniu tych skupień działali. Jest rzeczą zrozumiałą, że zasadnicze kierunki pielęgnowane w pismach wyznaniowych, musiały uleść przeobrażeniu, jeżeli chodziło o wydawanie jednego organu dla wszystkich czytelników bez różnicy wyznań.

Z tą zmianą nie mogą się pogodzić pewne jednostki, których jednostronne zdolności nie mają po-



likwidacji pism wyznaniowych żadnego zastosowania, albo też zostały zdolności te mocno ograniczone. Zamiast wziąć się do pracy nad sobą aby nadażyć za hasłem i potrzebą chwili, jednostki te usiłują nagiąć opinię pewnych kół do uznania urojonego twierdzenia, że działalność religijna młodzieży nie znajduje w »Ogniwie« poparcia i dostatecznego wyrazu. To jest powodem, że tu i ówdzie zastyszyć można mniej lub więcej nieśmiałe głosy (boć trudno tak odrazu otwarcie stanąć przeciw całej gromadzie), że »Ogniwo« nie wystarcza, że trzeba wznowić pisma zlikwidowane, których brak daje się pono dotkliwie odczuwać.

Wszyscy ci, co tak sądzą, są na błędnej drodze. Racja, że »Ogniwo« nie może umieszczać artykułów o skrajnym zabarwieniu wyznaniowym jak również arkuszowych sprawozdań z imprez lokalnych, gdyż brakłoby w nim miejsca na inne ważniejsze i aktualniejsze rzeczy. Owszem, na komunikaty rzeczowe, potrzebne dla rozwoju danej organizacji, miejsce zawsze się znajdzie. Trzeba tylko, żeby się znaleźli tacy, co by zechcieli z tego czasopisma korzystać. Na brak miejsca dam niezadowolonym radę. **Zaprowadzić obowiązkowy abonament »Ogniwa«.** Wiem, że są związki i stowarzyszenia, które na 50-ciu członków abonują tylko 10 numerów »Ogniwa«, podczas gdy pism wyznaniowych abonowały dla każdego członka numer. Kiedy wzrośnie liczba odbiorców rozszerzy się również objętość »Ogniwa« i będzie miejsce i na arkuszowe sprawozdania i na artykuły tych wszystkich, co cierpią na inanję pisania.

Widząc wielką gromadę ludzi, mamy prawo przypuszczać, że tworzy ona siłę z tem jednak zastrzeżeniem, jeżeli gromadę tę cechuje karność i jednomyślność. Jako członkowie poszczególnych organizacji musimy być karnymi, bo w przeciwnym wypadku organizacje te będą zlepkami, które rozwieją się za lada podmuchem. Trzeba nam jednak osiągnąć zupełną jednomyślność, abyśmy przez rozgłaszanie swych indywidualnych poglądów nie kompromitowali swych przywódców. To ostatnie odnosi się właśnie do tych, co swym nierozsądkiem i zaćmionemi stronniczością i fanatyzmem poglądami, starają się zdyskredytować w oczach ogółu tak pięknie zapoczątkowaną współpracę młodzieży na polu uświadczenia narodowo-społecznego.

Skończmy już raz z bezsensownym warcholstwem, które upodobnia nas do stada niesfornych i głupich baranów, co to ich ciągle jakiś pies owczarski zębami musi uczyć more su a rozpoczniemy współzawodnictwo w **pracy twórczej dla społeczeństwa.** Nasza przyszłość w naszych znajduje się rękach. Kiedy ogarnie nas gorączka czynu dla polskości, kiedy przeliczować się będziemy wzajemnie, kto więcej dokaże w tym wyścigu pracy narodowej, wtedy sprawimy niezawodnie, że nasza mniejszość narodowa znajdzie się **»na przelomie«** swych dziejów a wtedy dopiero zabłyśnie dla niej **»świt«** lepszej, jaśniejszej przyszłości.

Czyż dla takiego celu nie warto poświęcić wszystkiego?

Nowator.

## W źródle Wisły, matki rzek polskich

(Dokończenie.)

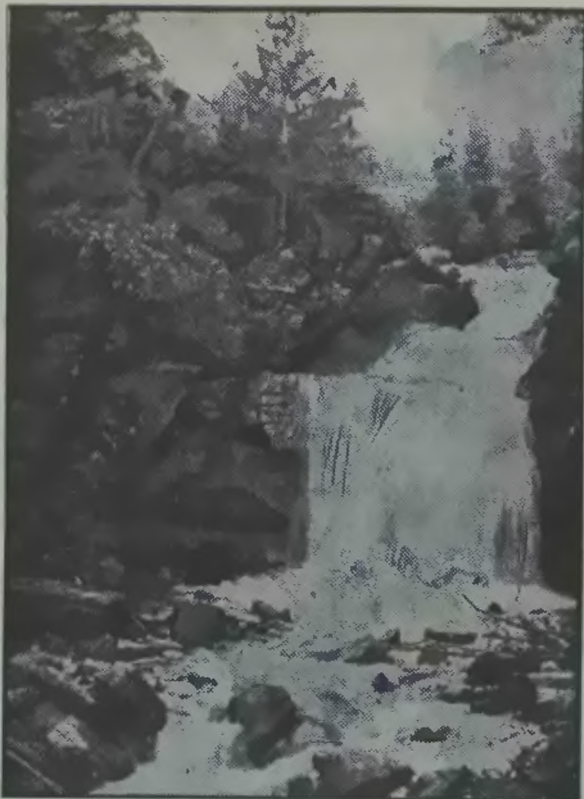
Spostrzegł je jednak zuchwały Czantor i zastąpił drogę, nie puszczając dalej, namówiłszy braci, aby też uczynili to samo. Pozostały więc siostry na miejscu, lecz jako władczynice wód zatrzymały je z sobą, zalewając niemi całą dolinę. Nie był Czantor okrutny dla uwięzionych sióstr, przeciwnie strzegł je, zasłaniając od gorących promieni słonecznych i zimnych wiatrów, za co odwzajemniały się one używając jego stoki, tak, że pokryły się wkrótce najpiękniejszymi lasami, krzewami i kwiatami. Dobrze im było razem, cóż kiedy matka Ziemia nakazał bezwzględnie Czantorowi wypuścić wody z niewoli. Ciężko mu było zadość uczynić rozkazowi, to też wypuścił tylko jedną falę. Wyszła ona z gór z żalem i niechęcią, tocząc się leniwie i z ociąganiem przez dolinę, którą musiała przepłynąć. Ale gdy w oddali jednak ujrzała góry, choć mniejsze nieco, niż jej rodzinne, nabrała ochoty i podążyła ku nim z radością. Były to góry Krakowa, które powitały serdecznie gościa, gdyż za falą wysłaną, czyli Wisłą, postępował żyzny Lan, zasiewając wszędzie zboża i trawy. Stąd Polanami czyli potomkami Lana nazywali się niegdyś Polacy. Za tą pierwszą falą siostry wysyłają ciągle od wieków dalsze, które idą wciąż tą samą drogą, co i pierwsza.

Jeśli o samej nazwie Wisła powiedzieć można, że liczy ona co najmniej 2000 lat, to o Wiśle, jako wsi, powiedzieć trzeba, że należy ona — wbrew temu, co dotąd o Wiśle pisano — do najmłodszych

osiedli Śląska. Początków jej bowiem szukać należy w XVI wieku, a jako osiedla, liczącego kilkanaście chałup, dopiero w drugiej połowie tego wieku. Wieś Wisła, choć już dawno »odkryta« przez uczzonego dr. J. Ochrowicza, była jednak jeszcze przed 20 laty tylko pierwotnem mało znanem szerszemu ogółowi osiedlem górskiem, które za jedyny łącznik ze światem miało wyboisty, ciągnący się u stóp Czantorji trakt. Obecnie pod rządami Polski zamieniło się ono w przemiełe i uczęszczane latem i zimą uzdrowisko. Wybudowano do Wisły kolej, szose wybrukowano kostkami i pociągnięto asfaltem, zregulowano rzekę Wisłę, zaprowadzono wodociągi, elektryczność, pobudowano pierwszorzędné hotele i pensjonaty. Mimo tych zewnętrznych zmian nie straciła Wisła nic ze swego regionalnego uroku, bo ludność z godnym czci pietyzmem, zachowała swe cechy odrębne, wdzięczną gwarę i stare obyczaje. Dlatego też Pan Prezydent prof. I. Mościcki tak chętnie wyjeżdża do swej rezydencji w Wiśle, wybudowanej na miejscu dawnego pałacyku leśnego arcyksiążąt austriackich.

Drugą nieminiej uczęszczaną wioską górską u źródła Wisły, to Istebna, której cudne położenie sprawiło, że stała się ośrodkiem swoistego ruchu artystycznego, którego przedstawicielami są dwaj znani artyści: Jeden z nich to Jan Wałach, miejscowy góral i malarz beskidzki, człowiek cichy, skromny, zamknięty w sobie, chociaż studjował w paryskiej akademii malarskiej i zwiedził w swych





Wodospad Czarnej Wisłki.



Wodospad Białej Wisłki.

wędrowników zachód Europy, skąd jednak stęskniony rychło wrócił do swych ukochanych rodzinnych gór. Wałach jest nie tylko malarzem, lecz i rzeźbiarzem. O stałą drogę od niego mieszka drugi miejscowy artysta i działacz — prof. Ludwik Konarzewski, o którym mówiono, że tak odkrył Istebną — jak Chałubiński Zakopane. Przyszedł tu z Wilanowa pod Warszawą w r. 1908 z wycieczką i tak się zachwycił niewysłowionym urokiem tej okolicy i jej mieszkańców, że ożenił się z góralką — siostrą J. Wałacha, a po wojnie wrócił tu na stałe.

»Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,  
Nie damy pogrześć mowy.  
Polski my naród, polski lud,  
Królewski szczep piastowy.«

Te piękne słowa »Roty« wyśpiewała wielka polska pieśniarka, Marja Konopnicka, gdy podczas pobytu w Istebnej doszły ją wieści o katowaniu przez Niemców dzieci polskich we Wrześni. I nie był to tylko zbieg okoliczności, że tu właśnie, a nie gdzie indziej, zrodził się ten wspaniały hymn bojowy przeciw brutalstwu pruskiemu. Na powstanie tej pieśni, gdzie każde słowo ważne w treści i oporne, jak skała, jest jakby kute w granicie, wpłynął nie tylko wielki wstrząs moralny, lecz także czar piękna natury i ludzi tej prastarej dzielnicy piastowskiej i ta jakaś krzepota tutejszego powietrza, które wzmacnia i orzeźwia duszę i ciało nawet przechodnia, natchnienia jego skrzydłom przypina, a pióru nadaje zamaszystość miecza.

\* \* \*

Marja Konopnicka.

### **Pod Beskidami.**

*Stoi Beskid na granicy,  
Patrzy wzdłuż a wprzecz,  
W granitowej swej prawicy  
Rdzawy trzyma miecz.*

*Stoi nocą w srebrnej zbroi,  
Borów zjeżył czub,  
Nawet czarta się nie boi,  
Taki jego ślub.*

*Patrzy w Tatry i Karpaty,  
Gdzie ma obóz swój,  
A gdy burza brzmi w harmaty,  
Pierwszy idzie w bój.*

*Nocą ciemną, nocą głuchą,  
Gdy świat cały śpi,  
On ku ziemi chyli ucho,  
Czy gdzie tentent grzmi.*

*Czasem we mgłach się ukrywa  
Jak w kapturze mnich,  
Aż rozbłyśnie jasność żywa  
W piorunowy sztych.*

*A gdy Wawel bije w dzwony,  
Huczy grom od Tatr,  
Wnet i jego szczyt omglony  
Z chmur omiata wiatr.\*)*

\*) Pod powyższym tytułem pojawił się we wrześniu r. 1896 w numerze 38 i 39 »Gwiazdki Cieszyńskiej« większych rozmiarów utwór Marji Konopnickiej, przesłany przez słynną poetkę Redakcji z Mikuszowic, gdzie podówczas bawiła na wywczasach. Część tego utworu umieszczamy w przekonaniu, że jako mało znany obudzi szersze zainteresowanie.



## Latający Djabł

(Wyjątek z noweli)

Łącznik z dowództwa eskadry obudził Zygmunta o piątej rano, kiedy jeszcze było ciemno.

— Pan kapitan zzywa pana podchorążego.

— Stało się co?

— Ja ta nie wiem. Tylko, że pan kapitan dopiero tera przyjechał autem i wszystkich kazał pobudzić. Musi gdzieś nas przesunąć: ofenzywa, czy jak?

Powierski ubrał się szybko i poszedł. Serce biło mu jakoś prędzej i mocniej. Coś się zaczynało; coś musiało zająć w głębi nieprzyjacielskich pozycji; na planach i mapach wyższych dowódców pojawiły się jakieś nowe znaki i kreski, decydujące o akcji eskadry i oto teraz, za chwilę, ostateczny rozkaz puści w ruch skomplikowany mechanizm operacji wojennych, których początkiem z pewnością będzie działalność lotnicza.

— Dowódca prosi panów.

Powierski spojrzał nań uważnie i stwierdził, że noc spędzona przy kieliszku nie wpłynęła na wygląd Latającego Djabła. Twarz jego była rumiana i świeża, jak zwykle i tylko na ustach błakał się jakiś grymas, którego wyrazu trudno było dociec.

Przeszli do sąsiedniego pokoju, gdzie przy stole siedział kapitan Korrodziejewski i notował coś na ćwiartce papieru. Zaległo krótkie, pełne oczekiwania milczenie. Krzepich stanął przy oknie i patrzył w szary świt, skradający się z za przybrudzonych firanek. Powierskiemu wydało się, że usta jego drgają, jakby od powstrzymywania szloch. Ale byłoby to coś tak niedopasowanego do postaci Latającego Djabła, że osądził, iż się myli.

Wtem kapitan odłożył papier i zaczął mówić.

Eskadra otrzymała trudne i ważne zadanie.



Wielkie inwestycje za czasów polskich.

Nad uregulowaną rzeką Wisłą przebiega w Obłazów nowa linja kolejowa i szosa asfaltowa. Na ilustracji widać dwa nowe mosty: kolejowy i drogowy.

— Jaka? Gdzie? Przeciw komu?

Ciekawość przyspieszała kroku.

Ciemne wnętrza bramy i kręte stopnie zniszczonych schodów zadudniały, kiedy dobiegał na górę.

— Na lewo, panie podchorąży.

W pokoju, oświetlonym żółtawym światłem naftowej lampy, siedzieli i stali pod ścianami piloci, rozmawiając szeptem. Brakowało tylko dowódcy i Krzepicha, ale słysząc było ich stłumione głosy z za przymkniętych drzwi obok.

Powierski skłonił się w progu i podszedł do Wormanana. Chciał jak najprędzej dowiedzieć się, pociąg ich wezwano. Ale Worman nie mógł mu udzielić żadnych innych informacji, prócz tej, że dowódca przyjechał razem z Krzepichem, którego zabrał prosto z restauracji.

— Krzepich popijał z rotmistrzem Zdarskim i kapitan szukał go na wszystkie strony, a teraz już od pół godziny żyje go u siebie — powiedział szeptem.

W tej samej chwili boczne drzwi otworzyły się i w progu stanął szef pilotów.

Nasz wywiad nadesłał zupełnie pewną wiadomość, że nieprzyjaciół posiada kilka samolotów niszcycielskich i myśliwskich, przy pomocy których zamierza zbombardować pociągi amunicyjne w Uchnowie. Wydano, naturalnie, odpowiednie rozkazy, aby jak najprędzej przesunąć całą kolumnę na inną stację, ale wątpliwe jest, czy uda się to na czas wykonać. Aby udaremnąć akcję nieprzyjacielską i zaskoczyć przeciwnika, eskadra ma natychmiast wysłać dwa patrole na przypuszczalne trasy jego lotu i jeden na poszukiwanie lotniska, znajdującego się gdzieś w okolicach miasteczka Nowosiółki. Zadaniem patrolu, udającego się do Nowosiółek. Zanim dopuszczenie eskadry bolszewickiej do startu. Zadaniem zaś każdego z patroli — o ile spotka nieprzyjaciela w powietrzu — związanie go ogniem karabinów maszynowych dwu samolotów, podczas gdy trzeci pilot odnaleźć ma pozostałe trójki w ich rejonach działania i doprowadzić je do miejsca walki.

Przedstawiwszy ten ogólny plan, kapitan przeszedł do szczegółów. Wyznaczył dowódców i załogi każdego z trzech kluczy, miejsca zbiórek, go-



dzinę startu i rejony patrołowania. Podyktował szemat łączności z okolicznymi oddziałami wojsk, spis umówionych sygnałów rakietowych i t. d.

Powierskiego uderzyło, że w zarządzeniach nazwisko Krzepicha nie zostało ani razu wymienione.

— Widocznie poleci sam — pomyślał.

— Porucznik Krzepich zostanie na miejscu, jako pilot rezerwowy — powiedział kapitan.

— Rozkaz, panie kapitanie — mruknął Latający Djabek, nie odwracając głowy.

\* \* \*

Dziewięć maszyn jednocześnie ruszyło do startu pozostawiając ciemne ślady na trawie, opylonej poranną rosą. Krzepich stał zdaleka i patrzył, jak równo wbijają się w górę, a potem — jak każdy z trzech kluczy bierze inny kierunek, by wkrótce zniknąć w popielato-różowej zawieszinie mgiełki.

— Maszyna dla pana porucznika gotowa — zameldował mechanik.

Była chwila, że w brew rozkazowi chciał wystartować. Pohamował się przecież. Myśl ta jednak wracała uparcie w ciągu długich kwadransów beczynnego oczekiwania.

Przemógł się wreszcie i tylko coraz niecierpliwiej wyglądał powrotu eskadry. Obliczał, kiedy to powinno nastąpić. Wyobrażał sobie, co się tam dzieje. Zgadywał, gdzie nastąpiło spotkanie. I — który patrol zetknął się pierwszy z nieprzyjacielem. I — kto zestrzelił pierwszą maszynę. I — ilu ich wróci...

Męczył się, miotany żalem i gniewem. Wypatrywał ich po niebie i czekał, czekał, czekał...

Tak minęła nieskończenie długa godzina.

Nie wracali.

— Powinni nadlecieć zaraz — powiedział prawie głośno, postanawiając pójść do domu, aby skrócić sobie czas choć o parę minut.

Raz jeszcze z żalem popatrzył na swoją maszynę, wytoczoną na skraj lotniska. Potem zapalił



Dziewczyna z Wistły.  
Stare drzwi drewniane.



Młody góral z Istebnej.



Rys. J. Wałach.  
Stary baca z Istebnej.

— Dobrze, niech stoi pod hangarem.

— Pan porucznik nie poleci?!

— Później, możesz pójść na śniadanie.

Przechadzał się wzdłuż hangarów, ponuro patrząc w ziemię. Rozpierał go bezsilny gniew. Spojrzał w pewnej chwili dokoła, czy go nikt nie widzi i, chwyciwszy dłońmi za uszy, zatargał głową, aż mu łzy stanęły w oczach.

— Idjota, bałwan, psiakrew! — żuł między zaciśniętymi zębami wymysły. — Taka okazja, taka okazja...

Ułżyło mu trochę. Zaczął spokojnie zastanawiać się nad sytuacją.

Nie, nie mógł nic zarzucić kapitanowi Korrodziejewskiemu. Sam był sobie winien i sam równie dobrze, jak łowódeca, wiedział, że w tej chwili nie jest w stanie podjąć walki z najstabszym nawet przeciwnikiem w powietrzu: jego karabiny biłyby w próżnię; cel uciekałby przed drgającymi żrenicami, a samą tylko sztuką latania nie można przecież pokonać dobrze uzbrojonego nieprzyjaciela.

papierosa i zrezygnowany zawrócił w stronę kwatery.

Wtem, gdy przechodził obok hangaru, dobiegł go donośny, alarmujący dzwonek polowego telefonu.

Skręcił na miejscu i zdjął słuchawkę.

— Dziewiętnasta eskadra, porucznik Krzepich. Kto mówi?

— Będzie mówił szef lotnictwa armji. Proszę zaczekać.

Krzepicha tknęło jakieś niejasne przeczucie. W słuchawce strzyknęło i zachrobotało. Potem zaległa tępa cisza.

Znów powtórzyły się nieartykułowane szynery i gdzieś z niewiadomych połączeń zabeczał sygnał brzęczyka. I znów wszystko się urwało. Telefon, jak każdy polowy telefon, działał fatalnie.

Dopiero po kilku minutach dało się słyszeć dalekie niecierpliwe: — Hallo, dziewiętnasta eskadra, hallo!

Głos zbliżał się i stężał. Krzepich ponownie



się zameldował. Wśród przerw i chrobotów zdołał rozróżnić pojedyncze słowa: z szefostwa żądano wstrzymania akcji eskadry.

— Już odlecieli — powiedział w nagle zamilkłą tubę. — Hallo, hallo.

Z irytacją pokręcił korbką.

— ...lotnisko w Borowinie. Nieprzyjacieli leci wprost przez Dzieduszyce... zamierza... Uchnowie...

Ten urywek zdania zelektryzował Krzepich: nieprzyjacielskie lotnisko nie znajdowało się w Nowosiólkach. Bolszewicka eskadra leciała inną trasą, przez Dzieduszyce... Mogli jej wogóle nie spotkać, a tymczasem — —

Nagle Krzepich rzucił charczącą słuchawkę, aż jęknął boleśnie dzwonek i trzasła oprawa z ebonitu.

Zobaczył na samej linii horyzontu grupę ciemnych kresek. Było ich pięć. Zbliżały się z północno-zachodu, rosnąc w oczach.

W dwóch skokach znalazł się obok swego Spada. Nie mogło być wątpliwości: od strony fron-

mując co się dzieje, obracał śmigło, prześlizgujące się przez sprężyste odrzuty kompresyj.

— Kontakt!

— Kontakt — powiedział Krzepich.

Zamach gładkiego ramienia spędził kłębek dymu z rury wydechowej. Śmigło nie zdecydowane cofnęło się nagle i szarpnęło wprzód z głębokim basowym rykiem silnika. W tej samej chwili Krzepich dodał gazu, zamiótł ogonem przed zdumionym mechanikiem, zasypując mu oczy piaskiem i runął prosto przed siebie do startu.

Pęd uderzył go w twarz i targał za włosy. Ale on nie zważał na nic i nie myślał o niczym w tej chwili. Całą swą istotę skoncentrował w jednym tylko celu: jak najprędzej osiągnąć wysokość nieprzyjacielskiej eskadry.

Jeszcze go nie zauważono z góry. Pięć samolotów, z widocznymi już teraz znakami bolszewickimi, szło w zwartym szyku przeciw wiatrowi, mijając puste lotnisko. Do nierównej walki z nimi dał się wzwyż jeden mały Spad, zuchwale wycinając krzywizny skrętów w piersi górnego wiatru.



Wodospad Włsty w Łabajowie.

tu nadciągał obcy klucz samolotów; dwa wielkie po środku, a trzy mniejsze dokoła nich.

Nie było czasu do namysłu. Drzemiący przy wejściu do hangaru mechanik obudził się, postawiony na nogi przez pilota, któremu przybyło nagle sił za czterech.

— Prędko maszynę! — wrzasnął Latający Djabek.

Niszczycielskie Farmany w otoczeniu brzęczących Nieuportów szły na ośmiuset metrach, błyskając pierwszymi promieniami słońca ze spodów białych skrzydeł. Nadciągały wolno i widać było, że towarzyszące im maszyny myśliwskie tylko z trudem mogły zredukować swą szybkość do koniecznej normy. Całość przesuwała się conajmniej 100 km na godzinę. Mimo to, po trzech minutach od chwili kiedy ich Krzepich dostrzegł, powinni byli znaleźć się nad lotniskiem.

Latający Djabek już siedział za sterem. Nagle oprzytomniały mechanik, jeszcze nie zupełnie poj-

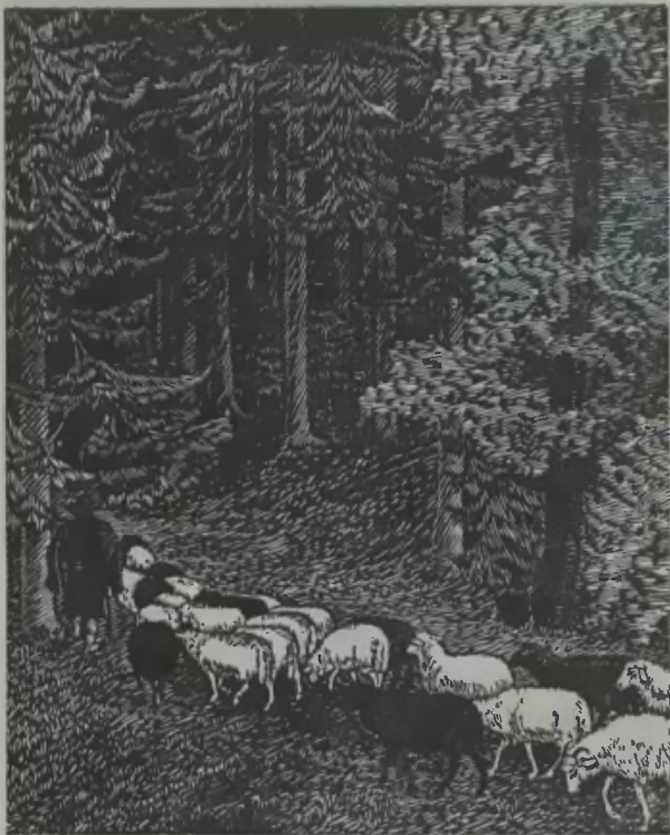
Leciał na śmierć. Pilot wiedział o tem, choć nie miał czasu pomyśleć. I kiedy wreszcie dostrzeżono go w pół drogi z nieprzyjacielskich maszyn, przeciwników ogarnęło zdumienie, że leci sam. Napróżno jednak szukali wzrokiem innych. Nie znalazłszy, pomyśleli to samo, o czem on wiedział od początku. Wszystkie trzy myśliwskie Nieuporty jak na komendę zwróciły się przeciw niemu.

Nie sztuka jest zginąć. Sztuką jest raczej nie dać się zabić od razu w tak nierównej walce. I o tem także wiedział Latający Djabek, ruszając do startu. Teraz, nie spuszczaając z oka wielkich niezwrotnych Farmanów, czekał na chwilę stosowną do wyknnięcia się pierwszemu natarciu myśliwców.

Zachodzili go od tyłu i gnali skośnie z góry, zdaleka jeszcze otwierając ogień.

Nie zmieniał kierunku lotu, póki się nie zbliżyli. Dopiero kiedy znaleźli się na jednej linii z nim i z własnymi samolotami niszczycielskimi, gwałtownie ściągnął stery, rzucając się na plecy w pra-





Drzeworyt J. Wałacha.  
Owce na wypasie.

wym skreć. Wpadł między pierwszego i drugiego Nieuporta z lewej strony i wyszedł za trzeci, kończąc beczką na 150 metrów pod ogonem bliższego z Farmanów.

Miał teraz okazję sam zaatakować i nie omieszkął jej wykorzystać. Dodając gazu, zbliżył się do ciężkiej maszyny i zmierzył przez kolimator. Ale cel drgał mu przed okiem i cała seria strzałów chybiła.

Nie miał czasu jej powtórzyć: już wszyscy trzej przeciwnicy, którym wyślizgnął się przed kilku sekundami, znowu siedzieli mu na karku.

Teraz najgroźniejszy był lewy: drgający sноп pocisków z jego karabinów zabębnił po skrzydle Spada, rwąc w strzepy płótno przy kadłubie.

Krzepich zawrócił w miejscu, wychodząc z pod strzału i, z flanki, nie mierząc nawet, nacisnął spust. Tym razem musiał widocznie trafić, bo przeciwnik zmurkował, ustępując miejsca dwu pozostałym.

Ale Latający Djabeł nie czekał, aż tamci go zaatakują i szybkim zwrotem dźwignął się tuż pod ogon drugiego Farmana. Sam wprawdzie nie mógł stąd strzelać, lecz był chwilowo bezpieczny: pierwsza z niszczyielskich maszyn wysunęła się o tyle naprzód, że jej obserwator nie mógł wziąć na cel Spada; myśliwcy zaś nie odważali się otworzyć ognia do samolotu, pozostającego w tak bliskim sąsiedztwie ich własnej niszczyielskiej załogi.

To względne bezpieczeństwo Krzepicha nie trwało zresztą długo. Już po kilkunastu sekundach ukazały się najpierw stery, a potem gondola i karabiny obserwatora na zmniejszającym szybkość

Farmanie. Z tyłu stróżowały Nieuporty, pewne, że nadeszła ostatnia chwila zuchwalca, rzucającego się w beznadziejną walkę przeciw całej eskadrze.

Krzepich zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Lada moment celniej bijące karabiny obserwatorskie zasypią go kulami; jeśli zaś spróbuje uciec w tył lub w bok, przyczajone za nim o 50 metrów niżej i wyżej Nieuporty skończą spotkanie z wynikiem, co do którego nie mogło być żadnych wątpliwości.

Pozostał tylko jeden manewr, nieomal równie niebezpieczny, jak oczekiwanie na obstrzał Farmana: wyjście wprzód.

Mało ruchliwe, powolne samoloty niszczyielskie nie mogły równać się co do szybkości ze zwinnym Spadem. Mogły natomiast podziurawić go jak sito, kiedy zechce je wyprzedzić.

Latający Djabeł liczył na swoją zręczność i szybkość, oraz na zaskoczenie nieprzyjaciela. Zresztą — nie miał innego wyboru.

W tej samej chwili, kiedy padły pierwsze strzały z boku, Spad wyrwał się nagłym skokiem wprzód, wysunął się z cienia Farmana, służącego mu dotąd jako tarcza, i nabrawszy pędu, na pełnych obrotach silnika, zawinął w górę, jak sztywny kołnierzyk pod żalazkiem wprawnej prasowaczki.

Jego niespodziane pojawienie się przed niszczyielską maszyną wywołało spodziewany efekt: nie padł ani jeden strzał.

Krzepich zadartł wtył głowę i, zobaczywszy wyłaniające się wielkie skrzydło Farmana, przerzucił drążek sterowy wprzód i wlewo, jednocześnie reagując orczykiem. Spad płynnie odwrócił się nadół podwoziem w skreć imielnana i w tejże



Drzeworyt J. Wałacha.  
Grajek.



chwili jego karabiny maszynowe plunęły ogniem po rozpuścionych myśliwcach.

Trwało to ułamek sekundy: minęli się o kilka metrów, i piloci bolszewicy, nie zdążywszy jeszcze oprzytomnieć po nagłym natarciu, stracili z oczu nieuchwytny polski samolot.

Zawrócili natychmiast, ale zanim zdążyli wykonać 180-stopniowy łuk wirażu, już mieli go znów przeciw sobie, szczerzącego zębami szybkostrzelnej broni. Wiedział, że atakując od przodu, zmniejsza swoje szanse trafienia, lecz oni też chybiali w pedzie sumujących się szybkości.

Powtórzył jeszcze kilkakrotnie ten sam manewr. Samolot w jego dłoniach był zwinny, jak jaskółka. Uprzedzał za każdym razem inicjatywę Nieuportów, paraliżował ją i dezorientował pilotów, przerażając ich bliskością walki. Był tuż. Niemal ocierał się o nich. Groził zderzeniem, sypał kulami i znikał, by natychmiast zaatakować, wówczas właśnie, kiedy myśleli, że ucieka.

Dopiero po kilku nawrotach pojęli, że trzeba zmienić taktykę, aby go pokonać. Rozpierzchli się każdy w inną stronę i kolejno zaczęli nacierać, strzelając coraz celniej.

Przewijał się między nimi a Farmanami jak piskorz, ale czuł, że raz po raz dreszcz celniej serii wstrząsa kadłubem i skrzydłami maszyny, krzyżowanej przez pięć par karabinów.

W jakimś ryzykownym przerzucie obok wierzyczki obserwatora, którą bezskutecznie ostrzelał, posypały się drzazgi z tablicy zegarów nawprost jego twarzy i przysła szybka odwietrznika, raniąc go odłamkami szkła. Na szczęście miał okulary.

Zdecydował, że to koniec. Drganie żrenic, któremu podlegał, ilekroć więcej wypił, uniemożliwiał mu trafienie przeciwnika nawet na bliskie odległości. Tylko swej nieomyłnej ręce i zwrotności samolotu zawdzięczał, że nie zginął w pierwszym zaraz natarciu i że żył dotąd, cudem niemal unikając śmierci. Zdołał także zatrzymać wszystkie pięć maszyn w rejonie lotniska. Nie mogło to jednak trwać długo: lada moment jeden z przeciwni-



Rys. J. Wałach.

Młoda gaździnka z Wisły.



Rys. J. Wałach.

Typy góralskie z Istebnej.

ków mógł go zabić, lub poszarpany kulami Spad mógł rozlecieć się w kawałki.

Krzepich miał do wyboru natychmiastowe wycofanie się z walki albo — śmierć. Śmierć przy zderzeniu się z jednym z Farmanów naturalnie, ponieważ nie przysłoby mu do głowy zginać na próżno.

Nie wahał się wcale. Był prawdziwym mężczyzną i umiał ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.

— Eh, gdybym nie pił wczoraj — mielibyście bał — mruknął, kiedy nowa seria strzałów chybiła dwa mijające go w ostrym skrócie Nieuporty.

Gniew rozpałił mu okrwawione policzki: żeby chociaż wiedzieli, jak strzelał normalnie...

Chwyciła go pasja, zaćmiewająca wszystkie inne uczucia. Już nie myślał o niczym. Wiedział tylko, że ginie przez tę piątkę samolotów, która zaplatała się akurat dzisiaj nad lotnisko i którą musiał zaczepić, choć nie mógł mieć nadziei, że ją zwalczy. Miał dość tej jałowej gonitwy.

Wykreślił za Farmanem, który przecinał mu drogę o 50 metrów wyżej. Szybka, jak błyskawica decyzja sprężyła mięśnie i nerwy: podciągnąć maszynę nieco w prawo do loopingu i z góry wbić się w sam środek gondoli bolszewika.

— Już! \* \* \*

Powierski odleciał w patrolu Wormana. Rejon ich znajdował się między Potyczą a Sarnowem, najbliżej Dzieduszyca. Przybyli tam po dwudziestu minutach i zaczęli krążyć dokoła obu granicznych wsi. Dywizja wyłożyła płachty rozpoznawcze i zwinęła je natychmiast po sygnale dowódcy patrolu »zrozumiano«, w postaci zielonej rakiety.

Zygmunt denerwował się. Od początku trapiła go obawa, że niszczycielski wypad powietrzny bolszewików pójdzie inną drogą. Wytężył wzrok, chcąc jak najdalej ogarnąć horyzont, by nazwczasniej dostrzec nieprzyjaciela. Obiecywał sobie, że nie będzie się oszczędzał i że pierwszy rozpocznie walkę. Od nadziei przetrząsał się do zwątpienia i kiedy stwierdził, że minęło zaledwie 15 minut od przybycia na miejsce, poczuł klucie w palcach z niecierpliwości: minuty płynęły niesłyszalnie wolno.

Nieco później, podniecenie jego zaczęło przysgasać. Wraz z nieustannym równym warczeniem silników przesączała się zwykła monotonia, obejmująca duszę w sieć codzienności lotu, na nudne, mało ważne zadanie. Łagodnie, leniwie balansowały w srebrnym powietrzu jesiennego ranka trzy wysoko pod obłokami zawieszone samoloty, jak na





Kobiety z Istebnej.

niewidzialnych elastycznych niciach. Niezmiennie przewijały się pod nimi dwie podobne do siebie wioski i krzyżowały się ciągle te same błotniste drogi. Raz po raz ukazywała się wieża kościelna z Olechowa, i tylko na niebie pęły coraz inne obłoki, różowiejąc od wschodzącego słońca.

Wreszcie Powierski ziewnął: zachciało mu się poprostu spać na tym pierwszym bojowym locie.

Wtem, kiedy znów przeniósł zwrok na najdalej krańce nieboskłonu, serce uderzyło mu szybszym tętnem: z północy zbliżały się trzy punkty dalekiego klucza samolotów, dążących wprost na Potycz, nieco wlewo od patrolu Wormana. Ten ostatni też musiał już dostrzec nadciągającego nieprzyjaciela, bo nagle jego maszyna zawachlowała lotkami, pochylając się na boki. Był to umówiony znak zbiórki.

— Zaczyna się — pomyślał Powierski, dociągając na pełnym gazie do swego miejsca w szyku, po prawej stronie przodownika.

Oba klucze szły teraz na równej wysokości naprzeciw siebie, zbliżając się szybko. Lecz gdy odległość między nimi zmalała tak, że widać było wyraźnie sylwetki maszyn, obaj przodownicy wykręcili równolegle: trzy przybywające samoloty były to Spady ze znakami dziewiętnastej eskadry...

W tej samej chwili na placu alarmowym dowództwa dywizji rozwinęły się dwa równoległe pasy białego płótna: »Wracajcie na lotnisko.«

\* \* \*

Powierski pierwszy zdaleka ujrzał walkę: całe kłębowisko maszyn, śmigających w górę, to znów spadających w dół dokoła dwóch wielkich samolotów o nieznanym mu wyglądzie. Nieoczekiwane wzruszenie ścisnęło go za gardło:

— Biją się!

Instyktownie pociągnął za rączkę od gazu i wyrwał się naprzód ze swego miejsca, a potem, nie oglądając się na nikogo i zapominając o elementarnych zasadach dyscypliny w powietrzu, pognął ile sił w motorze.

Chciał być tam jak najprędzej. Strzelać. Bić się. Nareszcie się bić!

Zresztą oba klucze już pędziły za nim. Wszyscy pojęli nagle, co się stało. Od strony stacji kolejowej

ukazał się także trzeci patrol i również na pełnych obrotach silników dążył w kierunku walczących.

Powierski nie wybierał przeciwnika. Nie pomyślał nawet ani przez sekundę, jak ma zaatakować. Poprostu wpadł między nich i wyrzucił długą serię w kadłub jednej z dwu wielkich maszyn.

Efekt był piorunujący. Niszczycielski samolot pochylił się łbem nadół i jak kamień runął ku ziemi.

Ale nie to zdumiało i przeraziło Zygmunta do takiego stopnia, że jeszcze w tydzień później doświadczał wypieków na samo wspomnienie owej chwili.

Tuż za spadającym przeciwnikiem, na metr przed skrzydłami własnej maszyny ujrzał przewalającą się z piekielnym świstem masę. Pozostały za nią wściekły wir powietrzny wykreślił Spada podchorążego o 90 stopni w lewo i targnął nim nadół, wyrывая stery z ręki pilota. Zanim jeszcze zdumiony i przerażony chłopak zdołał doprowadzić do równowagi maszynę, już z głębi pod nim wygiętym łukiem wracał w górę Spad Krzepicha.

Dziwnym zbiegiem okoliczności uniknęli obaj zderzenia, które Latający Djabeł obliczył dla Farmana, w temże okamgnieniu zestrzelonego przez Zygmunta.

Potem — — Potem skończyło się wszystko prędzej, niż to można opowiedzieć. Druga maszyna niszczycielska zapaliła się od strzałów Wormana i spadła na tor kolejowy. Jednego z Nicuportów wykończył Czerny, a dwa pozostałe skapitulowały, lądując na lotnisku.

W niespełna dwie minuty po nich wylądowało przed hangarami eskadry 10 zwycięskich Spadów.

\* \* \*

Kapitan Korrodziejewski podszedł wraz z innymi do Krzepicha i Powierskiego, którzy wspólnie obliczali dziury od kul w samolocie Latającego Djabła.

— No cóż — powiedział z uśmiechem. — Jesteście bohaterami dnia. Chodźmy oblać wasze zwycięstwo jednym kieliszkiem wódki.

— Ja nie piję — burknął Krzepich, nie przedstawiając liczyć.

— O, od kiedyż to? — zdziwił się dowódca.

— Od dawna — oświadczył z powagą Latający Djabeł. — Pojutrze już będzie dwa dni.

\* \* \*



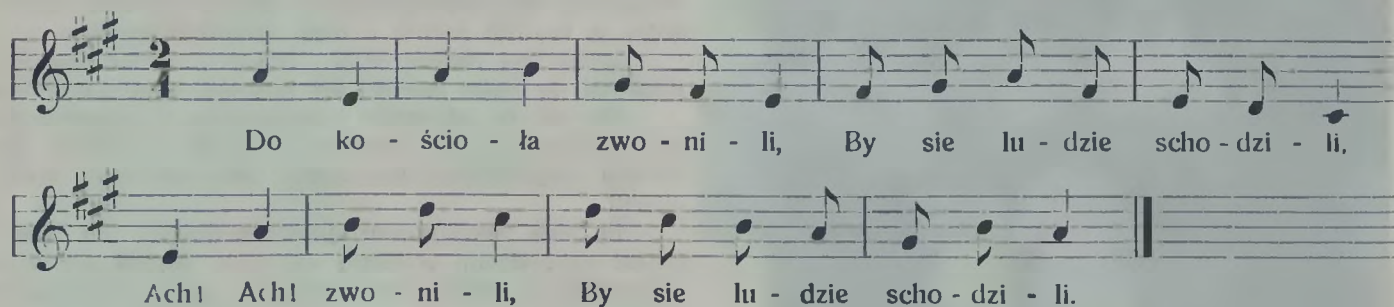
Żniwa na Kozłicach.



## Dział regionalny

### Do kościoła zwołili...

Spiewała Kempna z Orłowej w marcu 1936.  
Zanotował: tekst Piegza Karol, melodję Fierla Eugenjusz.



2. Matka szła do kościoła,  
Swym ceróm przykozała,  
Ach! Ach! do kościoła,  
Swym ceróm przykozała.
3. Jedna była wszeteczno,  
Wszeteczniejszo niż inszo,  
Ach! Ach! wszeteczno,  
Wszeteczniejszo niż inszo.
4. Do ogroda skoczyła,  
Trzy różyczki urwała,  
Ach! Ach! urwała,  
I wiónczek uwiła.
5. Gdyby przyszedł miły mój,  
Dała bych mu wiónek swój,  
Ach! Ach! miły mój,  
Dała bych mu wiónek swój
6. Hnet przyjechał rycerz pón,  
Na kónieczku pieknym sóm,  
Ach! Ach! rycerz pón,  
Podej rączki na mój kón.
7. Jo ci rączki nie śmię dać,  
Łoli by mi ojciec, mać,

- Ach! Ach! nie śmię dać,  
Łoli by mi ojciec mać.
8. Ty sie ojców nie nie bój,  
Podej rączki na mój kón,  
Ach! Ach! nie nie bój,  
Podej rączki na mój kón.
9. Ona rączki podała,  
Z panem rycerz jechała,  
Ach! Ach! podała,  
Z panem rycerz jechała.
10. Droga też nie jechali,  
Jyny dycki dołami,  
Ach! Ach! dołami,  
Ciyrniami i lasami.
11. Kiej przybyli przed piekło,  
Zaburzył on na okno,  
Ach! Ach! przed piekło,  
Zaburzył on na okno.
12. Gotujcie mi stolice,  
Siarke, smołe, żywice,  
Ach! Ach! stolice,  
Siarke, smołe, żywice.

13. Pij dzieucho pij wino!  
Nie bydzie ci to miło.  
Ach! Ach! pij wino,  
Nie bydzie ci to miło,
14. Jak popiła po piyrsze,  
Zbladło liczko tej myrsze,  
Ach! Ach! po piyrsze,  
Zbladło liczko tej myrsze.
15. Jak popiła po drugi,  
Zbladło liczko ji drugi,  
Ach! Ach! po drugi,  
Zbladło liczko ji drugi.
16. Jak popiła po trzeci,  
Ogiyń z gęby ji leci,  
Ach! Ach! po trzeci,  
Ogiyń z gęby ji leci.
17. Mają jeszcze dwie cery,  
By jich lepszy chowali,  
Ach! Ach! dwie cery,  
By jich lepszy chowali.
18. Jo posłuchać nie chciała,  
Do piekłach sie dostała.  
Ach! Ach! nie chciała,  
Do piekłach sie dostała,

K. P.

### Truchły śląskie

Bogata i głęboko artystyczna była dusza Ślązaka już od najdawniejszych czasów. Do niedawna wielkie o to były walki i ostre dyskusje, w których Ślązak, cichy i skromny, prawie że nie zabierał głosu, wierząc święcie w to, że co naprawdę ma wartość artystyczną, samo wypłynie na wierzch i samo przemówi za siebie.

I rzeczywiście od kilku lat zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na Śląsk, ponieważ przekonano się, że lud, który tutaj żyje, ma ładne pieśni ludowe, że do dziś dnia kobiety noszą ładne stroje ludowe, że na strychach można jeszcze znaleźć stare dzbanki, kołowrotki, truchły, kancjonały i t. p. rzeczy. Zaczęto te rzeczy zbierać, badać, porównywać i przekonano się, że nie ustępują one pod względem artystycznym podobnym rzeczom z innych krajów, o których napisano już całe tomy rozpraw naukowych i których wartość artystyczną wychwalano pod niebiosa. Nic też dziwnego, że to zaniedbane pole wymaga naukowego opracowania. Chodzi więc o to, by zabrać się energicznie do kolekcjonowania i gromadzenia tych zabytków i to w przyspieszonym tempie, ponieważ jest to »ostatnia godzina«. W krótkim czasie rzeczy te zupełnie znikną z naszych domów jako niepotrzebne, stare »żdziorby«, które należy jak najwcześniej spalić lub też wyrzucić na śmietnik.

Jedną z takich rzeczy wysoce artystycznych, to truchły śląskie, których ilość z dnia na dzień maleje i których śliczne ozdoby i rysunki zostają często przemalowywane na jeden

kolor. Truchły te zastępowały w dawnych czasach szafy. Przechowywano w nich ubrania, bieliznę, książki do modlitwy, pieniądze, listy i inne pamiątkowe rzeczy. W nich nasze matki lub »starki« przywoziły swe wiana. Podobne skrzynie, tylko o innym charakterze malowań, spotykamy na Morawach, w Czechach, na Słowacji i w całej prawie Polsce. Rzadziej u nas są spotykane truchły pochodzenia rumuńskiego, które zamiast malowań mają ozdoby wycinane nożem lub dłutem, czyli że są karbowane. Dzisiaj truchły te robi się jeszcze tylko w niektórych okolicach górskich (np. w Istebnej), ale rysunki na nich są już proste, często niegustowne i bezwartościowe, bo robione szablonowo. Nam chodzi jednak o truchły stare, ręcznie robione i przez tego samego stolarza i malowane. Na nich jest często zaznaczony i rok, w którym skrzynia została wykonana. Jako najstarsze daty spotykamy rok 1790 a najnowsze 1890. Najoryginalniejsze i najładniejsze są truchły z połowy 19 wieku, t. zn. z tych czasów, kiedy najwięcej kwitło zdobnictwo ludowe. Wymienić tutaj można takie gminy jak Stonawa, Karwina i Ligotka Kameralna. Truchły mają zazwyczaj 3 malowania czyli 3 motywy z przodu, z boku i z góry. Najważniejszy i zazwyczaj najładniejszy jest motyw przedni. Składa on się zazwyczaj z dwóch kwadratów o tem samym wypełnieniu. Rzadziej spotykany jest motyw pojedynczy, symetrycznie umieszczony w środku skrzyni. Boczne i górne motywy przedstawiają zazwyczaj wieńce z kwiatami lub



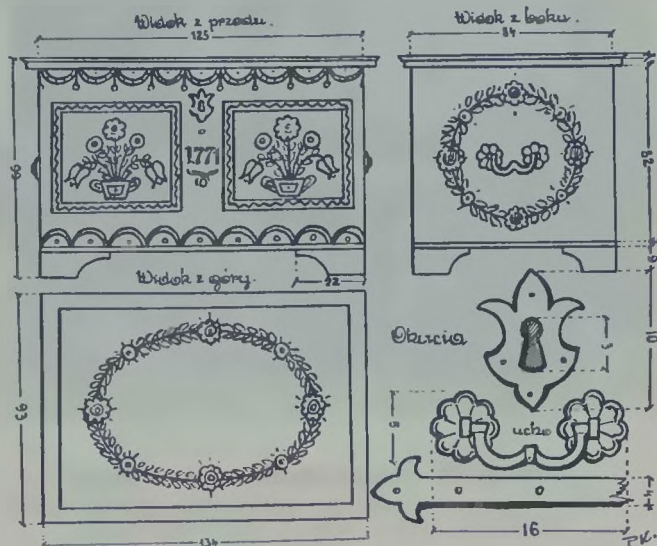
kolisty ornament geometryczny. Motyw górny widzi się bardzo rzadko, ponieważ na truchłę siadano lub wykonywano na niej różne prace, tak że go najprędzej dotknął zab czasu i malowanie szybciej się starło. Motywy są rozmaite o różnym bogactwie rysunku i koloru. Trzeba sobie uprzytomnić, że truchły malował w dawnych czasach stolarz wiejski — często analfabeta, który czerpał natchnienie z otaczającej go przyrody — malował więc to, co widział, a więc kwiaty, liście, owoce a często i ptaszki. Najstarsze skrzynie mają motywy geometryczne bardzo proste, bo składają się tylko z linii i kropek. Dopiero później pojawiają się liście, kwiaty a najpóźniej ptaszki. Stolarzy, którzy robili i malowali takie truchły było na Śląsku kilku. Często koło Orlowej można znaleźć truchłę, którą malował jakiś stolarz w Wiśle lub Ligotce Kameralnej. Powód prosty — ktoś z Wisły poszedł za pracą do zagłębia albo też góralka wyszła zamaż za »doliniarza«. Najładniejsze są skrzynie z okolic podgórskich.

Na truchłach podziwiamy nie tylko malowidła, ale i żelazne okucia. Bardzo ładne są boczne, żelazne »ucha«, za które podnoszono truchłę. Oprócz tego jest również robiony zamek — z dużym, często bardzo oryginalnym kluczem. Ciekawe są również zawiasy. Ważne są dla nas wymiary truchel.

A teraz zastanówmy się, w jaki sposób należy ratować resztki truchel, które jeszcze przechowały się na Śląsku. Otóż w pierwszym rzędzie należy w jak najkrótszym czasie przegladnąć wszystkie gminy na Śląsku i wyszukać najładniejsze i najoryginalniejsze truchły, następnie właścicielom zwrócić uwagę, aby truchel tych nie palili i nie przemalowywali. Postarać się, aby najładniejsze truchły znalazły się w jak najkrótszym czasie w Muzeum Macierzy Szkolnej, które znajduje się obok gimnazjum w Orlowej. Unikatami dla nas byłaby truchła karbowana, czyli pochodzenia rumuńskiego. W razie wątpliwości, czy dana truchła jest wartościowa pod względem artystycznym czy też czy też nie, należy zasięgnąć informacji u miejscowego nauczyciela-rysownika albo też zwrócić się wprost do kustosa muzeum, p. prof. Fierli w Orlowej. W akcji tej powinno wziąć udział przede wszystkim nauczycielstwo i inteligencja, ponieważ jest to sprawa ważna i wymaga pewnego wykształcenia.

Zajdzie jednak często i taki wypadek, że truchły tej nie da się zyskać dla muzeum, a wtenczas zostaje dla nas drugi środek ratowania tego dzieła sztuki ludowej dla potomnych, że skopiuujemy przynajmniej motywy. Kopjowanie odbywa się w prosty sposób. Przez przeźroczystą kalkę odrysujemy ołówkiem kontury motywu, które przeniesieny na kartkę rysunkową a następnie malujemy, przyczem uważamy,

aby kopia była wierna, tak co do rysunku jak i co do koloru. Nie wolno nic dodawać ani też ujmować. Na rysunku należy też zaznaczyć kolor tła, rok sporządzenia i wymiary truchły (długość, szerokość i wysokość), naszkicować kształt nóg i różnych okuć żelaznych, na drugiej stronie napisać: u kogo się skrzynia znajduje (imię, nazwisko, zatrudnienie, miejsce zamieszkania, l. domu). W niektórych wypadkach da się jeszcze zbadać, kto truchłę robił i malował — co jest dla nas bardzo ważne i należy za tem pilnie śledzić i notować. Gotowe kopie należy przesyłać wprost do muzeum Macierzy Szkolnej na ręce p. prof. Fierli.



Wierzmy w to, że jeżeli znajdzie się na Śląsku przynajmniej dziesięciu ochotnych i pracowitych ludzi, którzy zajmą się tą pracą, to w krótkim czasie wszystkie motywy wypłyną na światło dzienne i będzie można pomyśleć o większym wydawnictwie z tego »działu« sztuki ludowej.

Nadmieniam z zadowoleniem, że wiele już na tem polu wykonano, bo pracuje się już w tym kierunku od kilku lat, i że chodzi tylko o ostateczne ściągnięcie materiału i gruntowne opracowanie tak ważnej dla nas gałęzi sztuki ludowej.

A więc do dzieła!

## Harcerstwo

### Wigilia Święta Morza w obozie

Było to 28 czerwca — w wigilię »Święta Morza«. Po południu rozkład zajęć jak codziennie. Po obiedzie podczas wolnych zajęć, tu i tam widać było wyprane już szare mundurki, suszące się na gałęziach krzaków. Przy kuchni natomiast słysząc klótnie i dobijanie się o jedyne żelazko, gdyż każda druha chce pierwszą prasować mundur. Wszystkie naturalnie chcą się ładnie zaprezentować na jutrzejszej uroczystości »Święta Morza«.

Po podwieczorku robimy przygotowania do wieczornych »wianków«. A więc część druhen znosi chrust i drzewo, a inne znowu układają je w dwa wielkie stosy na małym wzniesieniu, tuż nad jeziorem. Ja zaś plotłam dla naszej drużyny duży wieniec z gałązek sosny i kwiatów polnych. Wianek ten miał być wieczorem puszczone na wodę jeziora. Wszędzie ruch, pełno gwaru i pośpiechu, gdyż za chwilę trzeba stanąć w pełnym umundurowaniu do raportu, a nasza komendantka nie uznaje spóźnień.

Po kolacji gdy już się nieco ściemniło, zapalamy nasze dwa stosy i wkrótce dwa wielkie ognie strzelają już w górę. Prawie jednocześnie takie same ukazują się po drugiej stronie jeziora, gdzie zebrana jest publiczność miasteczka i wojsko.

Śliczny był ten czerwcowy wieczór. Niebo pogodne aż granatowe, usiane rojem migotliwych gwiazd odbijało się cudnie w spokojnej toni jeziora tak, że miałeś »gwiazdy nad sobą i gwiazdy pod



Stacja Harcerska na Buczu.

sobą». A poza namiotami same lasy sosnowe zasłuchane w tę słodką ciszę wieczorną. Patrzymy, aż tu z drugiego końca jeziora suną jakieś kule



światliste w równych od siebie odstępach. To kurs wioślarski z sąsiedniego obozu na kajakach, na których po obu końcach palą się lampjony, co ślicznie odbija się w wodzie. Wkrótce jezioro zaroilo się od kulistych ogni lampjonów i rozgwarzyło się pluskiem wiosel. Patrzymy zachwycone, aż na-



Świetlca w Stanicy Harcerskiej na Buczu.  
Umeblowanie wykonane w modrzewiu według miejsc.  
motywów przez prof. I. Konarzewskiego.

gle odzywa się silny rytmiczny głos hymnu morza, granego przez orkiestrę. »Drużyna baczność« — rozkaz komendantki. Stoimy wyprężone jak struny. Po odegraniu hymnów i po »spocznij« siadamy w półkolach przy ogniskach i śpiewamy. Teraz za-

czyną się spuszczenie wianków. Już sporo pływa ich i skacze lekko po falach wody, więc my także na naszym wianku zapalamy świece. Jakoż jedna z łodzi przybija do brzegu i komendantka oddaje wianek, który załoga spuszcza na środku jeziora. Teraz obserwujemy z uwagą jak jasne punkciki świece oddalają się ku przeciwnemu brzegu i tam mieszą się z innymi.

Tymczasem nastąpiła jeszcze jedna niespodzianka »marynarzy«, jak nazwałyśmy druhow kursu wioślarskiego. Niespodziewanie rozległ się huk, ku niemałemu przerażeniu niektórych druhen. To rakietą wystrzeliła wysoko w górę i tam z hukiem się zapaliła. Wkońcu spadła wdół, ciągnąc za sobą światliste snopy iskier, aż z sykiem gasła w czarnej wodzie jeziora. Za chwilę druga, trzecia... dziesiąta — wszystkie spadały z ognistymi ogonami, a w wodzie taki sam ogon leciał skądś z głębi w górę. — Cudowne wprost i imponujące zjawisko. A my śpiewamy i wznosimy okrzyki na cześć polskiego morza.

Ogniska już dogasają. »Marynarze« przejeżdżają koło naszego brzegu — rzucając krótkie »dobranoc« i ze śpiewem oddalają się w stronę swojego obozu. Cichnie plusk wiosel, a widać tylko ogniste kule i po falach dochodzi do nas echo pieśni: »... w słońcu czy w blasku gwiazd, płyniemy ciągle wraz...«

Brzegi jeziora opustoszały — ogniska dogasły. Tylko niebo jeszcze bardziej ściemniało, gwiazdy stały się jaśniejsze, a gdzieś na falach jeziora jakoby na drugim niebie, błyskały się słabe ogniki wianków rzuconych. Es-A.

## Teatr amatorski

-stal-

### Nasze bolączki

#### II.

Jeszcze gorszą przeszkodą w tej pracy jest niewytłumaczalna obojętność społeczeństwa względem młodzieży. Z karygodnym zaślepieniem puszcza się głosy sprzeciwu i krytyki mimo uszu, na organizację młodzieżową patrzy się z góry z pewną dozą pogardliwości i niedowierzania, jakoby ta młodzież nie była zdolną do pozytywnej pracy społecznej. Traktuje się nas, jako ciekawy okaz nieznanego zwierzęcia, którego zalety trzeba najpierw zbadać a potem dopiero rozstrzygnąć o jego dalszym losie. Czyśmy to nie złożyli jeszcze egzaminu dojrzałości? Czy praca społeczna młodzieży jest tak nikła, że stawia nas poza starszymi? Czy nie zasługujemy na nic innego jak na obojętność i lekceważenie? Rozumie się, że nam zachęty nie trzeba, potrafimy ją czerpać z samych siebie i dodać nam jej cel do jakiego zdążamy, ale z drugiej strony o wiele milejby nam było spotkać się z zrozumieniem i poparciem niż z obojętnością i nieufnością. Nasze kółka amatorskie skarżą się, że ogół społeczeństwa nie poczuwa się do obowiązku uczęszczania na przedstawienia i imprezy urządzane przez nie. Jest dużo takich, co swą obecność na imprezach uważają za wielkie poświęcenie i ofiarność. Zdanie, że kółka amatorskie są zby-

tecznym balastem obciążającym społeczeństwo, mówi wiele. Nie trzeba nic już dodawać, aby zrozumieć społeczne nastawienie wielu ludzi. Dziwna rzeczą jest, że utyskiwania te nie wychodzą wcale od biedoty, ale słyszeć je można z ust ludzi materialnie niezależnych. I tu trzeba poprawy i to natychmiastowej. Kółko amatorskie i publika muszą tworzyć całość. Całość tę powinny cechować nie uprzedzenia i niechęć ale wzajemne zrozumie-



Zamek Pana Prezydenta w Wiśle.





**Wypęd owiec na Czantorji.**

Tuż przed schroniskiem, stojącym już na terytorjum Czl., biegnie granica państwa.

nie i braterska współpraca. Społeczeństwo musi zrozumieć, że wszelka inicjatywa pracy społecznej powinna wyjść od niego i że jest jego moralnym obowiązkiem prace te kontynuować lub przynajmniej popierać. Nam jako mniejszości narodowej dzielić się na odrębne skupienia nie wolno. Otręga nas przed tem dobrze zrozumiany interes własny. Dotychczasowa nasza praca społeczna była podobną do pracy budowniczego, który rozpoczął budowę gmachu od... komina. My w ten sposób postępować nie chcemy, bo mamy dość błędzenia po krętych ścieżkach, bez realnych korzyści. Rozpocznijmy budować od podstaw, według z góry obmyślonego planu. Pierwszym etapem tej pracy to osiągnięcie porozumienia i wzajemnego zaufania. Nasze kółka amatorskie staną się tu gorliwymi pionierami, pod warunkiem jednak, że będzie się ich pracę popierało słowem i czynem. Samolubstwo nigdy nie popłacało a w naszych warunkach tembardziej nie może być dobrodziejstwem. Podajmy sobie wzajemnie dłonie i odtąd zaczniemy pracować wspólnie jak bracia, których łączy jeden język i wspólna historia przeszłości.

Nagłącą sprawą jest też **utworzenie jakiejś centralnej organizacji, któraby skupiła w sobie wszystkie kółka amatorskie.** Coś naksztalt Związku Polskich Chórów. Jest ona potrzebną celem połączenia i skonsolidowania tych tak ważnych placówek w jedną całość, nadania im charakteru samodzielności, aby praca ich nie była zależna od kaprysu tego lub owego towarzystwa »oświatowego« niezawsze rozumiejącego ich zadania. Może praca wychowawcza kółek, ujęta w ramy specjalnych statutów, poparta przez całe społeczeństwo, wyda wspanialsze sukcesy. Mam niezłomną nadzieję, że wtedy kółka amatorskie przestaną być pogardzanymi i usuwanymi w kat kopciuszkami, których używa się wtedy, gdy się ich potrzebuje, wykorzysta, nic im w zamian nie dając, ale że zajmą w pracy dla dobra ogólnego należące im się pierwsze miejsce.

Prosiłbym jeszcze aby i inni wypowiedzieli się w tej sprawie. Niech każdy reżyser lub ruchliwszy amator napisze o trudnościach i przeszkodach jakie napotyka w swym terenie. Niech »Ogniwo« stanie się dla wszystkich wolną trybuną. Przez dyskusję



**Towarzystwo Młodzieży w Koszarzyskach.**

na jego łamach poznać możemy wszystkie nasze słabostki i niedomagania i da Bóg, że przy wspólnym wysiłku znajdziemy środki i warunki do usunięcia tak z kółek jak i z ich otoczenia wszystkiego, co nam w pracy przeszkadza lub ją uniemożliwia. Dziś już nie wystarczy zakasać rękawów i chwycić się pracy, nie oglądając się na nic i nikogo, ale trzeba zlawszy głowy zimną wodą, sięść razem, pomyśleć nad zadaniem, opracować wspólny plan postępowania, a dopiero rozpoczynać działalność z pedanteryjną dokładnością i starannością. Ustrzeż nas to od popełniania uchybień, które mściłyby się przede wszystkim na nas samych i na naszym dziele.

\* \* \*



**Nowoczesny Ikarus.**

Już od tysiącleci człowiek próbuje wzbić się w powietrze jak ptak, w niepohamowanej chęci opanowania przestrzeni. Udało mu się to wreszcie. Latanie przy pomocy silnika dostępne jest tylko dla nielicznych — bo za drogie. Dlatego też w ostatnim czasie tak się rozpowszechniło szybownictwo, które daje o wiele więcej emocji i staje się (jak np. w Polsce) prawdziwym sportem szerokiego mas. Mówił o tem w czwartek kap. Bajan w radju. Ale i ten sposób latania niezadawala. Ludziska chcieliby poprostu stać się ptakami. Dlatego to na całym świecie znajdujemy zapaleńców, którzy z mniejszym lub większym skutkiem unoszą się w powietrze przy pomocy skrzydeł i siły mięśni. Takiego nowoczesnego Ikara mamy także w naszym kraju w osobie p. Franciszka Siedloczka, lat 22, z Trzyńca, którego ze swoim aparatem widzimy na powyższym zdjęciu. Życzymy mu z serca, aby próby jego uwieńczone były skutkiem.



## Polacy Zagranicą

Nareszcie pojawił się z niecierpliwością oczekiwany numer »Polacy Zagranicą« poświęcony śpiewactwu polskiemu w całym świecie. Czasopismo to wielkości 20×30 cm o objętości 90 stron zachwycało każdego, komu przyszło do rąk. Bogata treść słowna, urozmaicona licznymi rycinami, składają się na przepiękną broszurę, która będzie ozdobą każdego lokalu. Układ treści, dobór artykułów, a nawet dział statystyczny są zestawione i dobrane z takim umiarem, że nawet największy zmakosz-specjalista w tym kierunku ma czem się rozkoszować. Zważywszy, że to wszystko dzieje się ażeby nasza młodzież miała źródło »zaczerpnięcia wiary w narodowe ideały«, by młodzież nasza miała »dowód braci z Macierzy o nieustającej ich myśli o nas i prawdziwej ich miłości« zgodzić się trzeba, że pismo to każdym słowem z każdej strony technicznie poważną troską i miłością do Polaków zagranicą — spełnia w zupełności tak ważną misję łączenia wszystkich Polaków na całym świecie.

-R-

\*\*\*

## Odpowiedzi Redakcji.

P. »As«. Dziękujemy za obszerny list. W niejednym ma Pan słuszność, ale spraw tych dyskutować nie można. Powinniśmy podkreślać to, co nas łączy, a nie to, co nas dzieli. Dyskusja, jaką Pan chciałby wprowadzić na łamy »Ogniwa« mimo szczerých intencji minęła by się z celem. Co zaś do drugiej sprawy, to i tu trzeba nam zrozumieć, że nie wolno nam rozpraszać energii na rozważania polityczne, bo nam jej potrzeba jak soli do skupiania się. Naszem widzimisię polityki światowej nie uzdrowimy, a na odwrót polityka światowa nie nam w naszych żywotnych sprawach młodzieżowych nie pomoże. — Nadesłany ostatnio materiał wykorzystamy w nast. numerach.

P. »stał«. »Różowe okulary« umieścimy w nast. numerze.

P. »Nowator«. Umieszczamy i bardzo serdecznie dziękujemy. Wyreczył nas Pan. Obiło nam się coś o uszy i mieliśmy zamiar napisać coś na ten temat. Pan zrobił to lepiej i gruntowniej, chociaż może dosadniej. Mamy nadzieję, że Pański artykuł odniesie lepszy skutek, niż artykuł, który byłby napisany przez Redakcję.

P. Cz. E., Łazy. Prenumerata do końca b. r. wynosi Kcz 6.30.

P. G. K., Dąbrowa. Prenumerata do końca b. r. wynosi Kcz 7.30.

\*\*\*

## Od Wydawnictwa.

Do numeru dzisiejszego załączamy czeka z prośbą o łaskawe wyrównanie prenumeraty na następny kwartał, a jeszcze lepiej na drugie półrocze.

Tym, którzy pobierają więcej egzemplarzy wysyłamy pocztą czek z wyznaczoną sumą zaległości do 30 czerwca 1936. Niesprzedane egzemplarze prosimy zwrócić nieuszkodzone i odpowiednio potrącić z wyznaczonej kwoty.

Ze względu na to, że półrocze dobiega do końca, bardzo prosimy o wyrównanie wszelkich zaległości. Tym, którzy już prenumeratę zapłacili jak najserdeczniej dziękujemy.

\*\*\*

## Walne Zgromadzenie Związku Organizacji Młodej w Czechosłowacji.

odbędzie się w sobotę, dnia 5 września b. r. o godz. 15-tej w małej salce »Polonii«. Porządek dzienny podamy w nast. numerze.

W myśl zatwierdzonych już statutów, każda naczelna organizacja młodzieżowa, wchodząca w skład ZOMP, a więc: Zw. Pol. Chórów, ZSMK, ZZEM, Harcerstwo, Zw. Kl. Sportowych, Jedność, Zw. Abs. Końszczanek, Sokół (sekcja młodzieżowa), Tow. Roln. (sekcja ml.), Beskid Śląski (sekcja ml.), Macierz Szk. (sekcja kółek Samokształcenia), wysyła na Walne Zgr. po 5-ciu delegatów.

Uprasza się, aby wymienione powyżej naczelne organizacje młodzieżowe wyznaczyły swoich delegatów i 3 zastępców i zawiadomiły o tem ZOMP. w możliwie krótkim czasie. Zawiadomienia te przesyłać na ręce sekretarza p. l. Potysza.

KOMITET PRZYGOTOWAWCZY ZOMP.

## Humor



— Co wy tu za głupstwa wyprawiacie?

— On chce być kelnerem w wagonie restauracyjnym.

\*\*\*

### Nieodparty dowód.

— No, a jakim sposobem pan zauważył, panie posterunkowy, że oskarżony był pijany?

— Zastałem go, panie sędzio, w parku miejskim na trawniku, gdzie nachylał się nad świecącym

robaczkim świętojańskim i prosił go o ogień do papierosa.

\*\*\*

### Kanibal.

Mąż stale karmiony siekaniną, odzywa się z irytacją do żony:

— Na miłość boską! Kiedy ty mi dasz nareszcie kawałek ludzkiego mięsa.

\*\*\*

### W restauracji.

— Kelner, proszę spojrzeć! Mucha pływa w mojej zupie! Coś niesłychanego!

— Niech się pan tem nie przejmuję, co taka mała muszka może zjeść zupy?

\*\*\*

### Dobry chłopiec.

— Znowu zostałeś na drugi rok w klasie? Jak ci nie wstyd! Taki duży chłopiec siedzi w jednej klasie z małymi dziećmi!

— Ja się tem nie martwię, bo przyjemnie mi pomyśleć, jak dumni są moi młodszy koledzy, że są w jednej klasie z takim dużym chłopcem jak ja!

\*\*\*

Prenumerata pojedynczego numeru w kraju 50 h, zagranicą 15 gr. — Kwartalnie 3.— KŁ. — Adres redakcji: Cz. Cieszyń, ul. Dworcowa 18. — Redaktor odpowiedzialny: Karol Bocek, Cz. Cieszyń, Cegielniana 7. — Wydawca: Komitet Wydawniczy.

Drukiem Kutsera i Skł w Cz. Cieszyń.



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## Grunwald

*dzień zwycięstwa i chwały.*



Oblężenie Malborka w roku 1460 przez Kazimierza Jagiellończyka.

Według współczesnego sztuchu.

Dopiero po wojnach pruskich króla Kazimierza Jagiellończyka, choć niecałkowicie, jak to być powinno, wykorzystano zwycięstwo pod Grunwaldem. Polska otrzymuje z powrotem Prusy Królewskie. Jednym z najważniejszych momentów w tej wojnie było oblężenie Malborka — stolicy Zakonu krzyżackiego.

Corocznie dnia 15. lipca cały Naród polski wspomina tę chwilę, gdy w r. 1410 na polach Grunwaldu i Tannenbergu załamała się potęga krzyżacka, zaś Polska uratowała swe istnienie od zagłady, bezpośrednim zaś owocem tego zwycię-

stwa była Unja z Litwą oraz rozkwit Państwa Polskiego za Jagiellonów.

W roku tym Polacy udowodnili, że „jednością silni“ mogą stawić skuteczny opór przeciw gwałtom najsilniejszego nawet wroga.





Królowa Jadwiga. — Rys. J. Matejko.

Wówczas padł bowiem, jak się zdawało, że niezwyciężony, Zakon Krzyżacki. Dzieła tego dokonało nie tylko męstwo rycerstwa polskiego i takiego woja nad woje jakim był książę Witold, nie tylko rozum i wiara tak wielkiego męża stanu, jak król Władysław Jagiełło, ale też przedewszystkiem zgoda, zespolona myśl w jednym, świętym celu wszystkich ludów Polski, Litwy i Rusi.

Początek walk o ziemie polskie sięga odwiecznych czasów, gdy tak zwaną nizinę sarmacką (Sarmatami nazywano dawniej Polaków) od Bałtyku do morza Czarnego, od Łaby, Odry i Wisły pod Dniepr i Don, zamieszkiwały najrozmaitsze plemiona słowiańskie. Były one rozbite i podzielone między sobą, jednak pod ciągłym naporem Niemców zjednoczyły się, broniąc swych siedzib i własnych istnień od zagłady. Wówczas zaczyna tworzyć się Państwo Polskie. Przedstawicielką tych czasów jest królowa Wanda, która wolała śmierć w nurtach Wisły, niż Niemca za męża.

Z chwilą powstania Państwa Polskiego i przyjęcia przez Mieszka I. wraz z całym narodem chrześcijaństwa, odpada Niemcom pozór, że walczą z Polakami, by nieść do nich światło wiary chrześcijańskiej. Wtedy zupełnie już ukryć nie mogą, że chodzi im o zdobycie ziem polskich i słowiańskich, co im się częściowo udaje, bo znaczna część Niemiec, to prastare słowiańskie kraje, a Berlin to słowiańska osada, pod której prawie murami

zachowały się jeszcze do dziś resztki słowiańskiego ludu łużyckiego, o prastarej, bardzo dużej, lecz dziś już zaginionej kulturze. Niemieckim mieczem trzebione znikły z powierzchni ziemi liczne plemiona słowian nadłabskich i nadbałtyckich. Pierwotni Prusowie zostali tak wchłonięci, zniaczeni i zniemczeni przez Krzyżaków, że jedynym śladem, jaki po nich pozostał, to jest, przywłaszczona sobie przez następców zdradliwego zakonu, ich nazwa.

Bolesław Chrobry przez dzielność i mądrość umiał uniezależnić się od cesarzy niemieckich, zaś za jego następców walki dały Polsce bohaterską obronę Głogowa, a Niemcom klęskę na Psim Polu. Przez pewien okres czasu miała Polska spokój od cesarstwa niemieckiego, lecz następnie rozpoczyna się walka z gorszym, bo podstępniejszym jeszcze wrogiem.

Duch germański znalazł bowiem swe pełne odbicie w Zakonie Krzyżackim, ręką osławionego Konrada, księcia Mazowieckiego, wtłoczonym w żywe ciało Polski.

Nieszczęsne skutki tego błędu niedługo kazały czekać na siebie. Mordy Prusaków i Litwy, rzeź ludności polskiej Gdańska, łupieżcze wyprawy tych rycerzy krzyża, chciwość i ucisk dały się we znaki wszystkim. Walka z Polską idzie nie tylko o oręż, lecz i intrygę i oszczerstwo. Pod wpływem ich tworzą się nowe wyprawy krzyżowe, zbiega się ówczesne rycerstwo z całej Europy na pogańskich Prusaków i Litwinów, oraz na chrześcijańską Polskę. Ciosem dla obłudnego zakonu było małżeństwo królowej Jadwigi z Jagiełłą i chrzest Litwy. Nie ustają oni jednak w wichrzeniach, pod-

(Dokończenie na str. 4)



Król Władysław Jagiełło. — Rys. J. Matejko.





## **Swój do swego.**

Fanatyzm szkodzi. Wykazuje ujemne cechy danej jednostki. Nie powinno się chwalić tylko swoich rzeczy i te uważać za jedyne dobro, na wszystko zaś, co obce rzucać błotem. Zalety należy widzieć i podawać je za wzór, ale nie tylko widzieć je u siebie, lecz też i u drugiego, chociażby to był i mój wróg. Podobnie widzieć i logicznie krytykować ma każdy wady; lecz i tutaj nie tylko obce ale też i swoje. Nie powinno się twierdzić, że rzecz obca jest zła, dlatego tylko, że jest obca; nie

dobne są im całkiem obojętne, ba nawet obco-nieprzyjazne.

O ile dopuści się głupstwa czy czynu godnego napiętnowania z punktu widzenia narodowo-społeczno-moralnego jednostka z za ostatniego buka, nie uświadamiana (szkołą, prasą, organizacją, otoczeniem), zależna materialnie, wtedy jej to jeszcze można wybaczyć. Kiedy tak jednak postępują jednostki, które sądzą, że „pożarzy“ sporo wychowania i wykształcenia, są organizowane w związ-



Hołd pruski w r. 1525 na Rynku krakowskim.

Obraz ten, choć mniejszy niż »Grunwald«, ale ze względu na całość i wykończenie jest jeszcze większym arcydziełem Matejki. Przedstawia on Albrechta Brandenburskiego, który po nieszczęśliwej wojnie z Zygmuntem I. rozwiązał Zakon Krzyżacki, zabrał jego posiadłości, przyjął protestantyzm, a sam ogłosił się księciem pruskim i jako taki składa hołd królowi polskiemu, swemu zwierzchnikowi i panu. Koło tronu umieścił Matejko słynnego błazna królewskiego — Stańczyka, który z bolesnym uśmiechem, przypatruje się tej scenie, jakoby miał wizję przyszłości.

wolno jednak gardzić rzeczą swoją, kiedy ta w niczem nie ustępuje rzecz obcej.

Operuje się hasłami: Swój do swego; bliższa koszula ciału, niż surdut i t. p. Niektóre jednostki, pracownicy społeczni hasła te ciągle powtarzają i żyją podług nich. Niejeden gotów wyrzec się własnego szczęścia dla dobra drugich. Przemawia, pracuje, pomaga, dodaje otuchy, buduje. Są niestety i tacy, którzy znają powyższe hasła, lecz tylko wtedy, kiedy one im właśnie są potrzebne, kiedy im korzyść przynoszą; inaczej sprawy po-

kach i nawet tam „pracują“, chcą uchodzić za coś lepszego (podług ubioru), to to trochę za dużo. Brakuje faktycznie w takim wypadku określenia, któremby poczynanie takie nazwać można. O ile jestem człowiekiem, wtedy jako człowiek postępuję, mam jedną twarz; albo też jestem chorągiewką na dachu, która słucha byle podmuchu i rozkazu wietrzyka, a wtedy nie powinien się nadymać, chlubić pracą społeczną, nosić legitymację związkową i na takową się powoływać, czynami zaś swymi robić wstyd organizacji. Hańbą jest, kiedy, zwłaszcza w



obecnej chwili podniecenia i walki o prawo do życia, idzie ktoś na obcą imprezę i nawet gotów jest twierdzić, że tam lepiej mu się podoba, niż na imprezie własnej. Nikt nikogo nie trzyma gwałtem przy takich czy innych przekonaniach. O ile mi się lepiej tam podoba niż tu, wtedy odchodzę z danego obozu i idę do tego lepszego, lecz nie „zerkać” na wsze strony i w tym kierunku łapę swą wyciągać, w którym się widzi czy spodziewa korzyści. Czynami takimi wykazuję swą słabość, przewrotność; szkodzę nie tylko sobie, lecz i drugim. W wypadku takim występuje na miejscu ze stowarzyszenia, by mu nie robić wstydu i nie rzucać na drugich członków złego światła. O ile zaś jestem zbyt „towarzyskim” (może w celach ma-

trymonjalnych) i bez organizacji żyć nie mogę, wtedy wstępuję do innej, która jest mi miłą, lepiej się tam czuję i łatwiej znaleźć mogę własne szczęście. Lepszy otwarty wróg, niż fałszywy przyjaciel. Organizacja, której szeregi opuszczę, płakać za mną nie będzie, chyba może wtedy, kiedy jej nie zależy na jakości, lecz jedynie tylko na ilości członków. Lepiej mało ziarna, lecz zdrowego, niż kupa pełna plew, zeschłych liści i ziarenek nagniętych, spleśniałych, powodujących rozkład owocu zdrowego. Związek zaś powinien dbać o swój honor, trzymać się litery regulaminu, pielęgnować, uszlachetniać, wycinać dzikie pędy, niszczyć pasorzyty i palić zeschłe liście.

As.

## Grunwald, dzień zwycięstwa i chwały.

(Dokończenie.)

burzając braci królewskich: Świdrygiełłę i stryjecznego Witolda. Napróżno anielska królowa Jadwiga przemawia do chrześcijańskiego sumienia, łagodzi i uśmierza straszny gniew króla i narodu:

„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszczę,  
Nikt ni modlitwą, ni prośby, ni dary.  
Małóż Prusaki i Mazowsza cary  
Ziem, ludzi, skarbów włożyli mu w paszczę?  
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,  
Na resztę naszą wyciąga gardziele.”

Powstrzymująca rozlew krwi chrześcijańskiej zmarła święta królowa.



W. Ks. Litewski Witold. — Rys. J. Matelko.  
Odtworzony według starej pieczęci.

Wkrótce po jej śmierci, gdy mimo nawrócenia Litwy hufce krzyżackie zajęły Ziemię Czerwieńską, spłądowały i złupiły Kujawy, Wielkopolskę i Mazowsze, okazało się, że tak zwana przez współczesnych „wielka wojna” z Krzyżakami jest nieunikniona. Obie strony zaczęły więc czynić do niej przygotowania.

Krzyżacy, posiadający „wieżę złota”, przekupywali i przeciągali na swoją stronę wszystkich sąsiadów Polski, lecz i Polacy werbowali sobie ochotników i sojuszników wśród Czechów i Tatarów, nie licząc Litwy i Rusi.

W grudniu 1409 r. odbył Jagiełło wraz z Witoldem w najgłębszej tajemnicy w Brześciu n. B. naradę wojenną, do której dopuszczony był tylko jeden dostojnik, podkanclerzy koronny, Mikołaj Trąba. Na tej naradzie też został opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan przyszłej kampanji. Nawet dzień i miejsce spotkania się wojsk polskich i litewskich były oznaczone. Postanowiono też wznieść na Wiśle koło Płocka, most do przeprawy wojsk, „jakiego dotąd nikt nie widział”. Bazą operacyjną miało być związane węzłem lenniczym z Polską, Mazowsze, a celem wytycznym Malbork, stolica Zakonu.

Mimo zakonspirowania dowiedzieli się o tych postanowieniach Krzyżacy, jednak pewny siebie, a nieprzenikliwy ich mistrz zlekceważył sobie tę wiadomość.

\* \* \*

Wybiła godzina dziejowa!

Dzielny i rozumny, lecz religijny, miłujący pokój, król Władysław Jagiełło, mimo wszystko, wyglądał pokojowego załatwienia zatargu z Krzyżakami, lecz bardziej nieprzyjaźnie usposobiony ks. Witold, mając z nimi świeże osobiste porachunki, gdyż otruli mu Krzyżacy dwu synów, danych w zakład i zelżyli mu matkę, rwał się do wojny.

Pod Czerwińskiem złączyły się wojska królewskie z oddziałami witoldowymi i ruszyły naprzód ku równinom pruskim, kierując się na Malbork. Przyłączyły się do nich chorągwie mazowieckie i smoleńskie, sprzymierzone Tatarstwo i najemne oddziały czeskie, pod wodzą Jana Žyžki z Trocnowa. Naciągali też, by zabić im drogę, Krzyżacy w przeważającej liczbie, butni i pyszni, a tak pewni zwycięstwa, że wieźli z sobą nała-



dowane dybami i okowami wozy, na mające pójść w niewolę rycerstwo polskie. Wiedli też armaty, nieznane dotąd, które miały przejąć strachem mężne serca polskie. Niebawem obie armje stanęły na-przeciwko sobie. Krzyżacy, nie mogąc się docze-kać rozpoczęcia walki, na urągowisko i jako wy-zwanie do natychmiastowego wyjścia w szranki wy-słali do Jagiełły herolda, który:

„Trzymał dwa miecze z postacią zuchwałą,  
— Mistrz mój — wołał — teć orężę daje,  
Dla lepszej w walce dzisiejszej usługi,  
Ten miecz dla ciebie, dla Witolda drugi,  
a jeśli szczupłe macie pole pod bitwę, ustąpi wam  
wielki mistrz swojego, abyście nie gnuśnieli.“

Król Władysław z dziwną łagodnością odpo-wiedział na to: „Chociaż w wojsku mojem mam dostatek oręża i od nieprzyjaciela go nie potrze-buję, przyjmę w Imię Boże i te dwa miecze. Wyboru miejsca na pole bitwy nie żądam. Ufam i mam nadzieję, że w bitwie obecnej Bóg mnie i narodowi memu użyć pomoże.“

Następnie kazał król odtrąbić hasło bojowe. Zagrzniały trąby, huknęły armaty, jęknęła ziemia od tententu koni, a na całej linii wojsk polskich zagrzniała pieśń: „Bogu Rodzica.“ Z niepowstrzy-manym impetem Krzyżacy z pieśnią: „Cieszymy się bracia w Bogu, bo przytarł poganom rogu“ — uderzyli na oddziały polskie. Oba wojska zwały się z sobą, a gdy się kopje pokruszyły, zamilkły działa aby nie razić swoich. Wszczęły się teraz za-pasy ręczne: pierś o pierś, ramię o ramię, szczę-kał miecz o miecz, oszczep o oszczep! W coraz bliższej cieśni walczących, mocowali się z sobą: mieczem, pałą okutą, toporem, berdyszem.

JANUSZ MEISSNER.

## Łekkość.

»...Z wyżej przytoczonych powodów zostaje Pan zwolniony z zajmowanego stanowiska.

Dyrekcja.«

Dwa nieczytelne podpisy. Trzymiesięczna gaża w kie-szeni. Punkt.

— A co dalej?

Tem Jasnoch najmniej się przejmował. Wogóle nie przejmował się niczem.

— Wyleli go? — Mógł się tylko dziwić, że dopiero teraz.

Bo, tak bezstronnie rzecz biorąc, cóż to były te »wy-żej przytoczone powody«?

Od początku wiedział, że nie wytrzyma tu długo. Wo-żenie poczty i pasażerów na ciężkich, jak krowy, samolotach — to było dobre dla spokojnych, zrównoważonych pilotów, którzy szczylicili się swemi setkami tysięcy kilometrów, stu-procentową regularnością komunikacji powietrznej i całko-witem bezpieczeństwem podróży, pomimo złych warun-ków atmosferycznych.

Bez wątpienia — dzielni ludzie. Ale on?

Był reklamowym pilotem Oriona w Ameryce, należał do słynnego zespołu latającego cyrku Bustera Lee i zawsze robił to, na cę miał ochotę.

Dlatego też zapewne, któregoś pięknego dnia podczas tournée po Europie pokłócił się z Emersonem i w Warszawie oświadczył, że nie leci dalej.

Rzeczywiście został. Podobało mu się w ojczyźnie: Odynia — zupełnie amerykański rozmach, jak na takie środki finansowe (przecież ta Polska dopiero po wojnie od początku zaczęła się sama budować!) Kraków — za to możnaby za oceanem dostać szalone pieniądze; Warszawa — no, cóż? stolica, jak stolica: Polska ma zaledwie trzydzieści milionów mieszkańców; Poznań — tam znać było dobrą organizację; a Kresy? Pińszczyzna i Polesie — zupełnie egzotyczne.

Cztery godziny trwała ta straszna walka w upalny lipcowy dzień, z początku ze zmiennem szczęściem. Gdy jednak słońce zniżyło się ku za-chodowi i czerwonymi blaskami oświeciło pole Sądu Bożego, pancerne szyki krzyżackie leżały jak żłte na niwie pokłosie. Poległ wielki mistrz Konrad von Jungingen, wielki marszałek Zakonu — Wal-lenrod, a wraz z nimi prawie wszyscy zakonnicy. Z 700 „białych płaszców“ ocalało tylko 15. Sie-dzącemu na kamieniu pagórka królowi rzucano pod nogi zdobyte chorągwie. Było ich 51, to jest tyle, ile ich Krzyżacy na polu walki posiadali. Żelazna potęga krzyżactwa była złamana.

\* \* \*

Niewyzyskane zwycięstwo pod Grunwaldem, z powodu odstąpienia od oblężenia Malborka, wy-korzystał dopiero częściowo Kazimierz Jagiellończyk.

Jeszcze większy błąd popełnił Zygmunt I., gdy zająwszy całkowicie Prusy, zamiast wcielić je do Polski, zgodził się, że wielki mistrz krzyżacki, Albrecht ks. Brandenburski, przyjąwszy protestan-tyzm i zagarnąwszy dobra zakonne, ogłosił się księciem pruskim pod zwierzchnictwem Polski. Na-stępcy Albrechta ciągle wyłamują się z pod władzy królewskiej, knując nieustanne spiski przeciwko Pol-sce, aż wreszcie, korzystając z zawieruchy szwedz-kiej za Jana Kazimierza uwalniają się od łożdów i zależności, zaś za panowania Augusta II. Sasa, Fryderyk Wielki, koronując się na króla pruskiego, aby zagarnąć ujście Wisły i Gdańsk, rzuca myśl rozbioru Polski, którą też wciela w życie. Po dłu-gich latach niewoli „zagrzniał złoty róg“ — Niem-cy przegrali, a po ich upadku wróciły do Polski odwieczne polskie ziemie: Śląsk, Wielkopolska, Pomorze!

Owszem, widać było, że się tu coś robi. I tyle było do zrobienia! Zajmujący kraj.

Bez trudności dostał miejsce pilota komunikacyjnego. Chciał, co prawda, latać w fabryce. Proponował, że dokona czegoś nadzwyczajnego na polskim samolocie; ale miejsca były zajęte i — brak pieniędzy.

Trochę go to dotknęło: z taką sławą, jaką posiadał... Musiał jednak z czegoś żyć, a dolary kończyły się właśnie.

Przyleciał po raz pierwszy z pocztą do Krakowa — sam. Miał odtąd pilotować maszyny między tem lotniskiem a Budapesztem. Najpierw — pocztowe, potem dopiero pasa-żerskie dziennie, a wreszcie — nocne.

— Też ceregiele! W Ameryce dobremu pilotowi od-razu daliby nocne przeloty.

— Ale tam co parę tygodni ktoś się zabija — powie-dziano mu w dyrekcji. — My pracujemy ze stuprocentowym bezpieczeństwem.

Uśmiechnął się trochę ironicznie.

Zobaczywszy Kraków, rozłożony szeroko u stóp wzgórz i szarozielone w jesiennym słońcu lotnisko, pokazał tym stu-procentowym pilotom, jak się lata.

Nisko na równej wysokości z wieżami Marjackiego kościoła, przełożył maszynę na plecy, opisując powolny łuk srebrnymi skrzydłami.

Leciał w stronę Rakowic, odrzuciwszy wtył głowę, aby lepiej widzieć sunące w dole ciasne korytarze ulic.

Wymykały się z pod krawędzi górnego płata, błyskając pochyłościami dachów na zrębach. Zbiegały się z kilku stron naraz na placach i rynkach, wsiąkały w zielony wie-niec plantów i grzęzły w ciasnocie rachitycznych zaułków.

Wreszcie pierzchły wszystkie. Została tylko krzywa szyja szosy między polami i równy pas nieba, odcięty tuż nad horyzontem przez falisty grzbiet skrzydła.



Potem z za drzew wypięły się nagle popielate, zgarbione hangary z koronkami żelaznych kryz na krępych tułowiach. Ustawiły się w szereg i rozbiegły się pod kątem na dwie strony, aby podesłać pod grzmiący samolot ogromną płachtę lotniska z białym kołem i nazwą portu po środku.

Skreć, jak wywichnięcie ramienia! Lekki dreszcz lotek, zachylających się w wirach, krótkie zapadnięcie w próżnię, powstała nagle pod zahamowaną maszyną i — wzmożony ryk silnika: wyszła.

Ziemia była znów w dole; ztyłu, nieco na prawo, partryły rozdzielone bezmyślnie gęby hangarów, obramionych śliniakami cementowych podjazdów, na które kapie smar z maszyn i smoła z dachów. Rękaw, wskazujący kierunek wiatru, powiewał nad szklaną klatką dyrekcji portu, gdzie stuknęły na Remingtonach ładne maszynistki i przy biurkach szeleścili papierami urzędnicy.

— Trzeba ich wypłoszyć.

Prosto w szyby, jak pocisk, jak meteor!

Wyje pęd... Cień maszyny rośnie, potężnieje, tuż, blisko!

I — jak raca — w górę przed olśniewajacem odbiciem słońca: skok w niebo.

Zadrżały szyby.

Od stołów, od biurek, od telefonów porwali się ludzie.

— Co za warjat?!

Srebrzysta pocztowa maszyna linii komunikacyjnych.

— Jasnoch przyleciał i robi swoje »immerglück'i« — ktoś wzruszył ramionami.

Naturalnie wiedzieli, że ma przylecieć. Był dość sławny, aby go znać z nazwiska, i dość obcy, aby cierpko odnosić się do jego wspaniałej akrobacji, która nie ma znaczenia w służbie komunikacji lotniczej.

Przeczuwał, zdawał sobie sprawę z tego, co o nim mogą myśleć.

Położył się w ślizg i sunął w dół, aby na kilka metrów od ziemi przejść w skreć na pełnym gazie, pokazując podwozie w oknach biura.



Pochód kultury krzyżackiej w Polsce.

Mal. Gerson.

Obraz ten doskonale maluje krzyżactwo, które z krzyżem na piersiach i płaszczach mordowało bezbronných, gwałciło kobiety, łupiło i paliło — zostawiając za sobą, gorzej niż Tatarzy, tylko pustynię i zgliszcza.

W takim wirażu życie składa się z chwil krótszych, niż dziesiąta część sekundy. Zależne jest od drgnienia ręki na sterze i od mrugnienia powieki. A śmierć jest tak bliska, jak ziemia od końca skrzydła, przelatuje o metr od pilota. I to jest właśnie ciekawe. Wtedy właśnie wiadomo, że się żyje.

Samolot zdaje się muskać trawę lotniska. Teraz patrz. Już nikt nie wzrusza ramionami, bo można krytycznie ocenić wartość akrobacji, lecz nie sposób nie uznać szaleńczej odwagi pilota.

Srebrzysta maszyna przejeżdża w wariackim pędzie kołami po dachu hangaru, potem skreca się w konwulsyjnym węźle hęczki tuż nad głowami patrzących i gna wprost na niewykończony, otwarty naprzestrzał hangar po drugiej stronie. Wichler z pod warczącego śmigła szesuje wtył trawę, łaskocząc pękate brzuchy pneumatyków kół. Nawprost stoi obojętny, nieustępliwy blok betonu, rozparty na kratownicach żelaznej konstrukcji.

— Aaaaah!... — samolot, jak szew igły, przeniknął ciemną czeluść.

Czterdzieści metrów wnętrza, po pół metra między końcami skrzydeł, a słupami wlotu.

Wyprysnął stamtąd i odrazu stanął dęba w loopingu. Pilot przytrzymał go na plecach, by ze strzelającym silnikiem przelecieć głową w dół nad lotniskiem.

Jak ptak trafiony celnym strzałem, runął wdół z wysokości 50-metrów i wypłynął tak nisko, że ludzie musieli paść na ziemię, aby nie dostać po karku podwoziem.

Poczem zaczął zabawiać się lądowaniem na dachu jedynego hangaru, który nie miał żelaznych kryz, podtrzymujących od zewnątrz sklepienie: przejeżdżał po nim, ledwie dotykając kołami powierzchni, ale widać było, że gdyby zechciał, usiadłby tam naprawdę.

Wreszcie wylądował — tym razem na ziemi, przed grupką oszołomionych urzędników i pilotów, zdobywszy za jednym zamachem serca wszystkich maszynistek.

Śmiał się. Napędził im strachu.

Komendant portu, Szubarga, był zły.

Nie potrzebował, do licha, akrobatów. Nie miał tu cyrku, ani cyrkowej publiczności, żadnej wrażeń. Pasażerowie muszą wiedzieć, że pilot komunikacyjny nie będzie z nimi wyprawiał hec, grożących życiu. Musi być doświadczonym, poważnym, pewnym człowiekiem, któremu można zaufać, nie zaś ryzykantem z wariacką fantazją.

— Raz na zawsze zabraniam panu tych głupstw. Komu pan chce zaimponować? Nam?! Jak będzie trzeba lecieć w górach nocą przez mgłę, to nam pan zaimponuje.

— Polecę. Nie raz latałem i nie w takich górach, — odpowiedział hardo, ze swoim ironicznym, samochwalczym uśmiechem.

Rzeczywiście latał później nie raz, wtedy, gdy innym nerwy odmawiały posłuszeństwa.

Szubarga, twardy, obowiązkowy człowiek, chętnie przyznawał, że ten Amerykanin ma ptasi talent i odwagę lwa.

Wiedział, że Jasnoch nie lubi go. Czuł, że każde zarządzenie przyjmuje z niechęcią i że jest stale negatywnie usposobiony do wszelkich prób złagodzenia tego stosunku.

Nieświadomie zaczął się z tem liczyć i, nie chcąc być posądzonym o kierowanie się wzajemną antypatią do pilota, patrzył przez palce na jego wybryki, póki to było możliwe. W gruncie rzeczy lubił tego zarozumiałego sowizdrzała.

Po trzech miesiącach jednak przebrała się miara. Jasnoch za wiele zaczął sobie pozwalać. Znudzony normalnym lotem, ku przerażeniu pasażerów wykreślił dwa loopingi nad lotniskiem w Budapeszcie, zrobił ryzykowny ślizg na ogon niemal do dna jakiegoś wąwozu w górach, a nazajutrz przeleciał pod mostem na Wiśle.

Szubarga miał z nim niemiłą rozmowę i w rezultacie musiał posłać raport do dyrekcji.

Skutek był taki, że po następnym podobnym »numery« Jasnoch został zwolniony.

I — akurat tego samego dnia — zdarzył się ten wypadek w górach.

Naturalnie musiało to spotkać Szubargę: taki właśnie jest mechanizm życia, składający się z łańcucha drobnych i wielkich wypadków, które wypływają jedne — z drugich. Nużąco prosta logika tych zdarzeń przedzierzga się w dramaty, komedje, lub farsę, zależnie od skrzyżowania, od zaczepienia — powiedziałbym — jednego łańcucha o drugi.

Tak się stało z życiem Szubargi i Jasnocha: napozór przypadkowe, w rzeczywistości zaś po długim szeregu przyczyn i skutków, ich istnienia zetknęły się ze sobą, by po kilku miesiącach rozdzielić się na chwilę i zewrzeć znowu w splocie niezwyklej okoliczności.



Bo właśnie wówczas, kiedy Jasnoch z pełnym portelem odchodził od kasy bez żadnych zamiarów na przyszłość, Szubarga samolotem pocztowym przelatywał między Bystrą a Krywaniem, w drodze do Budapesztu.

Cóż ma uczynić pilot, któremu psuje się silnik na wysokości 2500 metrów wśród gór, gdzie nie może być mowy o znalezieniu kawałka równego pola do lądowania? Skakać ze spadochronem? — Ba, w pobliżu Krywania szczyty sięgają niemal podwozia maszyny.

Wyżej były chmury. A przytem — poczta...

Poczta jest czemś, co nie może przepaść. Czemś, czego opuścić nie wolno. To myśli tysiąca ludzi, ich czas, ich pieniądze, ich uczucia i rzeczy ważne, pilne, rzeczy cenne, które powierzyli samolotom linii lotniczej z całym zaufaniem. Ci ludzie wierzą i wiedzą, że gdy staną koleje, gdy w śniegach uwięzioną autobusy, gdy przerwane zostaną połączenia telefoniczne i telegraficzne — poczta lotnicza dojdzie na miejsce przeznaczenia mimo najcięższych warunków pracy w powietrzu. Więc poczta jest przede wszystkim. Także — przed życiem pilota.

Szubarga nie opuścił poczty. Ratował ją, jak mógł, i rozbił się wraz z samolotem w malej lecz głębokiej dolince, na zasypianym śniegiem zboczu, u stóp którego rwał niespokojny, trzepoczący się po kamieniach strumień.

Ocknąwszy się z omdlenia, poczuł dotkliwy ból w nodze i stwierdził, że jest złamana. Zresztą wyszedł z katastrofy cało, nie bardzo nawet potłuczony. Poczta leżała nietknięta w płóciennych workach wewnątrz rozlupanej gondoli.

— Będą mnie szukać — pomyślał. — Nie zgine.

Istotnie, już w godzinę po wypadku, kiedy przyszła z Budapesztu depesza radiowa, że SP-KEH nie przyleciał, zaczęto go szukać, a nim zaszło słońce, odnaleziono rozbity maszynę między uskokami ośnieżonych żlebów.

Krażyli nad nim i dawali mu znaki. Odpowiadał, jak mógł, powiewając szaleem. Wiedział, że nikt tu nie wylądował, i cierpliwie oczekiwał pieszej ekspedycji, która — jak przypuszczał — powinna była nadejść nazajutrz.

Na szczęście — zdawało mu się, że na szczęście — ociepliło się i miał nadzieję, że przeżyje jakoś tę trudną, hołesną, okropnie długą noc, która już szła od ziemi ku niebu, coraz niższemu teraz pod ciężarem grubych, narzniętych południowym wiatrem chmur.

Ale kiedy po szarym, nieporadnie mocującym się z ciemnością świcie wstał siny, zmęczony dzień, chmury zalepiły dolinę i zaczęły sypać śniegiem, rozdzierając się na wierzach.

Nie nadleciał żaden samolot i nikt nie przybył z pomocą.

Następna noc była stokroć gorsza od pierwszej: chwycił mróz. Z pomiędzy coraz rzadszych obłoków wyjrzały gwiazdy i obojętnie patrzyły nieruchomymi oczyma na mękę rannego. Cierpiał teraz dotkliwie, straciwszy resztki nadziei na szybki ratunek.

Istotnie z rana ekspedycja nie przybyła. Natomiast razem z pierwszymi promieniami słońca, które wspięło się na grzbiety skalny od południo-wschodu, w dolinę spłynął bliski, znajomy warkot silnika. Biała maszyna przemknęła nad zębata, kłajająca przestwór krąweżnią przełeczy i z szumem zamierającego pędu opadła niżej.

Kiedy jej cień, skaczący po wykrotach i prześlizgujący się po upłazach błękitno-białych śnieżnych zasp, rozlał zielone plamy w oczach rannego, od gondoli oderwał się czarny przedmiot z kopuła niewielkiego spadochronu u góry i zaczął wolno opadać w głąb.

Rzut był celny. Owinięta w płótno paczka dotknęła ziemi o metr od głowy Szubargi. Ale zanim zdolał podpełznąć bliżej, potoczyła się po pochyłości, ominęła większy głaz, który mógł ją zatrzymać i wpadła do strumienia. Przez chwilę jeszcze widać było, jak tańczy na falach, potem mignął tylko wśród połyskliwej czerni wody jedwabny strzep spadochrona i — znikł.

\* \* \*

Wiadomość o wypadku doszła Jasnocha w chwili, kiedy pakował rzeczy z zamiarem wyjazdu do Warszawy.

W przerwie między porannym koncertem a odczytem nadawanym przez radio, odezwał się głos speakera:

— Komunikują nam z lotniska, że komendant portu lotniczego w Krakowie, inżynier-pilot Szubarga, który — jak już wczoraj doświadczyliśmy — uległ katastrofie na granicy, między Bystrą a Krywaniem, w dalszym ciągu daje słabe znaki życia. Wobec niemożności lądowania w pobliżu rannego, istnieje bardzo słaba nadzieja uratowania go. Ekspedycja piesza, zatrzymana przez wielkie opady śnieżne, może dotrzeć na miejsce wypadku najwcześniej pojutrze. Nie wiadomo, czy inżynier Szubarga przeżyje noc dzisiejszą. W

tej chwili czynione są ponowne próby wylądowania wśród gór. O ich wyniku podamy wiadomość za godzinę, przez specjalnie na lotnisku zainstalowany mikrofon. —

Jasnoch po pierwszych słowach komunikatu zamknął walizkę, wcisnąwszy pastę do zębów między nocne pantofle i umieściwszy mydło wraz z tabliczką czekolady w pudełku z tytoniem.

Myślał właśnie o tem, że właściwie należałoby jakoś powiedzieć inżynierowi, że nie ma do niego żadnej głupiej pretensji ani żalu za tę nagłą dymisję. Że wie, jak się to stało i że — no, powinni rozstać się w zgodzie. Nie wiedział, jak to uczynić, ale czuł, że trzeba tak zrobić: Szubarga bardziej był przejęty od niego tą sprawą.

Domyślał się, że komendant portu polecał zamiast niego z pocztą, bo nie było wolnego pilota. Zrobiło mu się przykro, ale wnet przeważało uczucie obrażonej próżności i dumy:

— Wylej mnie — niech sobie radzą, jak umieją.

Jednocześnie doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji:

— Dolina ze strumykiem, na wysokości około 2000 metrów? Krywań i Bystra. Nie, raczej bliżej Krywania. Tak — wiedział, gdzie to jest.

Noc, mróz, ból złamanej nogi, który nie daje chwili wytchnienia i snu... Hm, naturalnie przykra rzecz.

— Pociąg do Warszawy odchodzi przed wieczorem. Aha, trzeba jeszcze odebrać bieliznę w pralni.

— Ciekawe, czy tam można wylądować? Ba, trzeba umieć. No, i trzeba być czemś więcej, niż ci piloci od wożenia pasażerów.

— Dobrze, że mnie już to nie dotyczy.

— Umierać tak na mrozie... brrr! A tu, nad głową latają i żaden nie potrafi pomóc.

— W Warszawie będę z rana. Kiepska komunikacja ta kolej.

— Tak, trzeba lądować pod górę, na krzaki, ze skretu, tuż przy zboczach albo jeszcze lepiej ze ślizgu.

— A start? Jak ja tam, u diabła wystartuję?

Pierwszy raz pomyślał: ja, i spostrzegłszy to, zachnął się z irytacji.

— A co mnie do tego? — powiedział głośno, wkładając włochatą czapkę i zapalając fajkę.



#### Powrót zwycięskiej Litwy.

Wiedzie ona w tryumfie jeńców i hogate lupy. Jednak mimo to, że byli półdzikimi poganami, stosunek ich do jeńców i zwyciężonych był stokroć bardziej ludzki, niż okrutnych Krzyżaków.



Poszedł na lotnisko. Bez żadnych określonych zamiarów, naturalnie.

Jeszcze czego?... Wyleli go z tej linii, więc nie miał żadnych jakichś tam moralnych zobowiązań. Tem bardziej, że chodziło o Szubargę, którego nie darzył specjalną sympatią.

Poszedł, bo miał czas. I — nie chciało mu się czekać w domu na pociąg.

Na lotnisku było kilku dziennikarzy i speaker z moniterem z Radja. Wszyscy chodzili zdenerwowani i podnieceni. Oczekiwali powrotu pilota, który wyleciał z zamiarem ponowienia próby lądowania powyżej dolinki, gdzie leżał ranny.

Podeszli do mikrofonu. Speaker powtarzał wiadomości modulowanym głosem o popisowej dykcji.

— Ladowanie w pobliżu rannego ostatecznie okazało się niemożliwe — kończył.

Jasnoch stał tuż za nim i uśmiechał się ironicznie. Kiedy sprawozdawca chciał wyłączyć mikrofon, przytrzymał go za rękę.

— Co pan? — szarpnął się tamten.

— Niema takiego miejsca, na którym nie można wylądować, jeżeli zmieści się tam samolot — powiedział Jasnoch. — Good bye!

kotłowało w porcie i jaka sensacja wybuchła w całym mieście wskutek nieoczekiwanej plastycznej zakończenia radiowego komunikatu.

— Wszyscy musieli słyszeć start — stwierdził, przypominając sobie, że mikrofon nie został jeszcze wyłączony. Gnał przed siebie, znajomą trasą. Obejrzał się kilkakrotnie, jakby w obawie, czy go kto nie goni. Ale horyzont od północy był oczywiście pusty.

Natomiast na południu, tam, dokąd leciał, rysowały się coraz wyższe, liljowe w oddali góry.

Wkrótce znalazł się nad nimi i, sunąc nisko, przesadzał kolejno grzbiety. Mijał sylwetki narciarzy z długimi

Mimo to, Jasnoch uśmiechał się drwiąco: był już blisko. Mijał Bystrą, zostawiając ją daleko na prawo. Po prawej stronie dostrzegł Rysy, a nawprost miał szczyt Wielkiego Krywania, ze łbem w białych obłokach. To było tu.

Wpadł na ciasną arenę kotliny, nurkując z nad siodła przełęczy i odrazu zobaczył rozbity samolot pocztowy.

Tak, było właśnie tak, jak sobie wyobrażał. Może nieco trudniej, ale nie do tego stopnia, aby go to miało odstraszyć.

— Ciasno, psia krew! — zaklął, zobaczywszy wyraźną przed samolotem ścianę stromego zbocza.



Bitwa pod Grunwaldem.

Na obrazie widzimy sportretowane wszystkie najwybitniejsze postacie, z ks. Witoldem na czele, który odziany w szkarłatny kaftan z mitrą wielkoksiażącą na głowie, a z mieczem w rękę prowadzi swe szyki w bój. Obok niego mamy słynnego Zawiszę, Czarnego Mikołaja Trąbę, Żyżkę z Trocnowa i wielkich najznakomitszych rycerzy. U góry pod lasem znajduje się król Władysław Jagiełło.

Mal. J. Matejko.

Kiedy wreszcie maszyna ukazała się na horyzoncie, wyteżyli wzrok, aby zobaczyć, czy pilot wraca sam, czy też może...

Monter włączył mikrofon.

Pilot wrócił bez Szubargi. Wysiadł z gondoli zmęczony i zrezygnowany. Zostawił silnik na wolnych obrotach, nie zatrzymując śmigła.

— Nie, nie wylądował tam żadna maszyna: średnica kotliny ma może ze 300 metrów. Cały teren usiany głazami, a strome zbocza porośnięte kosodrzewiną. Przytem dno przecięte jest strumieniem, a wszystko to leży paręset metrów niżej niż krawędź otaczających grzbietów. Wykluczone.

Już go nie było: w trzech susach znalazł się przy maszynie.

Zaskoczony pilot zapóźno rzucił się, by mu przeszkodzić: tunan śniegu z pod wykręcającego na miejscu ogona zasypał mu otwarte do krzyku usta.

Jasnoch startował, rozpędzając zebranych opodal mechaników i kładł się w ostry skręt nad ziemią. Przelatując tuż nad mikrofonem, roześmiał się i machnął ręką na pożegnanie.

— Nadawajcie sobie teraz, co chcecie — pomyślał i wziął kurs na Budapeszt.

Bawiła go ta heca. Wyobrażał sobie, jak tam się za-

kreseczkami płóz na początku podwójnych śladów, i rzadko po drogach rozpełzłe chłopskie sanie. Przesyłał im wesoło pozdrowienia, przelatując o parę metrów nad kołami.

Potem, wydostawszy się na wierchy, mniótł je pod sobą, zapadając w doliny i spinając się nad przełęcze, jak na falach skalnego morza. Mróz, potęgowany pędem rznął go w nieosłonięte szklami oczy i wbijał się bolesnymi szpileczkami w czoło. Po plecach w krótkich dreszczach spływał chłód i skuwał stopy znieczulającym uściskiem. Blask śniegu świdrował w mózgu, przestaniając czerwonymi bryzgami widok. U skrzydeł maszyny uwiesił się wschodni wiatr i targał raz po raz sterami.

Podciągnął maszynę, nie dodając gazu i na resztkach szybkości dokonał skrętu. Spekana kora skalna przemknęła o parę metrów od skrzydła. Samolot w bezwładnym poślizgu zawalił się w rzadki, pełen wirów, nie dość szczelny opływ zamierającego pędu. Nierówna biała powierzchnia, powycinana w błękitne cienie zagłębień szła ku niemu, wzdymając się pod skrzydłami, niby kipiące mleko. Przeciwniegle zbocze urastało, parło nań z góry, groziło zderzeniem.

Trzeba było ostatecznie odjąć maszynę resztki szybkości, aby wystarczyło miejsca. Trzymana ściągniętym sterem, lada moment mogła wymknąć się teraz z pod jego władzy, by rąbnąć łbem między kamienie.



Ale Jasnoch czuł. W ostatniej chwili, kiedy już widać było wyraźnie rosnące w oczach wyrwy i szczeliny, szarpnął gazem. Płaty nośne, nagle podparte zgęstniałym miotem śniegła, jęknęły z wysiłku. Samolot podał się w przód i ciężko osiadł w śniegu.

Natychmiast ściął silnik. Koła zapadły w wykrot, odskoczyły na wzgórku, zatrajlowały po rumowisku kamieni, aż chrupnęło w zastrzałach i potoczyły się między krępe krzaki kosodrzewiny, więznącej w zszarpanem płótnie skrzydeł, które prulo się z wraskiem na strzępy.

Maszyna stanęła w miejscu.

\* \* \*

O tem, żeby wziąć pocztę, Jasnoch nawet nie chciał słuchać.

— Przyleciałem po pana, bo mnie zirytowało gadanie tego niedolegi, który tu był przedtem — odpowiedział na wywoływanie Szubarga. — Nic mnie wasza poczta nie obchodzi. Zaczeka na tych, co się tu wybierają piechotą. Nie nudź pan, bo zimno.

Wziął go na barki, wraz ze spadochronem i ostrożnie ułożył w gondoli.

Potem obejrzał tor startu. Było tego około osiemnastu metrów jako tako równej płaszczyzny, zakończonej wystającą szkarpa.

— Tam rozwalimy się nadobre — powiedział Szubarga, zupełnie zrezygnowany. — Nie rozumiem, jak pan odważył się tu wylądować. I po jakiego diabła ryzykuje pan dla mnie? Przecież nie wystartujemy we dwóch...

Jasnoch sceptycznie przyglądał się maszynie. Jeden z zastrzałów był pęknięty, oś zgięta, obie podłużnice w końcu prawego skrzydła złamane, a płótno podziurawione. Taśmy nośne luźno zwisały między stójkami.

— Wytrzyma — oświadczył pewnym głosem.

Ruszyli.

Przed szkarpa Szubarga zamknął oczy. Rozległ się trzask, samolot skoczył w górę i — u samej granicy kotliny, gdy miał wpaść na skały, uciekł w rozpaczliwym wiru w bok. Byli w powietrzu.

Wijąc się w skrętach dokoła amfiteatralnych ścian, zgubili podwozie, trzymające się jeszcze dotąd na poszarpanych ścięgach. Maszyna z trudem szła w górę, nie znajdując dostatecznego wyporu pod dziurawymi, obluzowanymi skrzydłami, które nabrały zgola fantastycznych kątów natarcia.

Po dłuższych zmaganiach się ze sterem wreszcie nabrali dostatecznej wysokości, by wymknąć się przez przełęcz.

Lecieli długimi bruzdami dolin, mając po bokach umoczone śniegiem lasy na grzbietach śpiących gór. Wicher pędu rechotał zdradliwie w strzępach skrzydeł i dźwięcznie trelał w drgających linkach nośnych. Raz po raz wyło coś, kwiczało od spodu, gdzie sterczały polamane kikuty podwozia.

Szubarga z nateżeniem patrzył na rozłazące się okucia. Jasnoch śmiał się.

— Najgorsze już za nami — krzyknął do towarzysza. — Za dwadzieścia minut będziemy w Krakowie.

Ale najgorsze było jeszcze przed nimi.

Poczynając od Myślenic, zaczęło rzuć i maszyna, trzymająca się nieźle w spokojnym powietrzu, teraz co chwila groziła rozpadnięciem się na części.

Okucia wyrwane z drzewa gwałtownymi chybotami samolotu, puszczały coraz bardziej, ukazując nieosłonięte gwinty śrub; trzęszczały podłużnice i żebra, skręcane wirami; stójki pochylały się w tę i ową stronę, chlascząc

ścięgniemi. Kadłub drżał i wibrował, jak w ataku epileptycznym.

Wtem z cienkim, ostrzegawczym przygwizdem przysła jedna taśma, przytrzymująca dolny płat.

Jasnoch spoważniał. Pierwsza silniejsza fala wiatru mogła teraz zerwać resztę i wywichnąć skrzydła.

— Skacz pan — powiedział do Szubarga. — Będzie źle.

Inżynier wzruszył ramionami: stara historia. Pamiętał te wypadki, kiedy jeden tylko z członków załogi miał spadochron. Nikt przecież nie skakał; ginęli razem.

Pokręcił przecząco głową: trudno, sam nie mógł.

Jasnoch zrozumiał i znowu zaśmiał się po swojemu.

Nie, nie poto lądował w tej piekielnej kotlinie, aby teraz kompromitować się przed wszystkimi śmiercią tego niemal już uratowanego człowieka. Ładne zakończenie całej historii, zwłaszcza po radiowej reklamie, którą sobie przypadkowo był zrobił, przelatując nad mikrofonem. Musiał postawić na swoim.

— Skoczy pan i tak! — zawołał.

Ostrożnie pchnął w przód sterowy dźwizek. Maszyna z gwizdem nabierała szybkości. Wtedy dźwignął ją do zwrotu bocznym sterem i lotką, ściągając jednocześnie w górę. Przewalila się przez skrzydło na plecy, jeszcze cała. (Niedarmo był mistrzem w tej figurze.)

Skontrolował stery i obejrzał się.

Szubarga ciężko wypadł z gondoli i jak kamień poleciał ku ziemi. Po chwili rozwinął się za nim długi, biały wąż jedwabiu i nagie speczniał w kulisty kształt spadochronu. Wiatr poniosł go w stronę miasta.

\* \* \*

Jasnoch nie zdążył już odwrócić samolotu. Poczut nagle, że z potworną siłą porywa go wir korkociagu i zobaczył jak składa się skrzydło, podczas gdy stójki przyskają z pomiędzy płatów.

U krawędzi steru zbudziło się spazmatyczne, oszalałe pędem wycie i rosło do niemożliwie wysokich tonów, niby gwizd syreny rozsadanego parą kotła. Wrzask wwiercał się do mózgu, przecinał myśl o ratunku, paraliżował instynkt.

Pilot, ogłuszony i bezsilny, machinalnie zamknął gaz i czekał. Ogarnęło go zdumienie, że oto ginie. Że to naprawdę koniec.

Nie miał czasu na to uwierzyć, gdy przed same oczy wpadła mu ciemna zieleń sosnowego lasu, urosła w wyraźny obraz konarów, gałęzi, igliwia...

Coś powstrzymało karuzele zwojów. Piekielny gwizd zgasł z sykiem, szelestem i traskiem łamanego drzewa i nagle rozparła się dokoła cisza, w którą uderzyły ludzkie głosy.

Jasnoch nie mógł pojąć, co się z nim dzieje. Wśród bielejących drzazg, między siatką chłoiny przegłądała ziemia, bliska i nieruchoma. Biegli ludzie. Dalej szarzały zręby kamienia.

Rozejrzał się i poznał: Park Jordana.

— Uff! — odetchnął z ulgą.

Chciało mu się śmiać. Zrozumiał, że wyrwał się śmierci i organizm jego zareagował od razu tym najprostszym objawem radości.

A potem śmiał się jeszcze: zabawnie było tak wisieć na sośnie.

Wtem przypomniał sobie, że jest już późno: pociąg... No, i musiał jeszcze powiedzieć to wszystko Szubardzie.

— Przestań się pan gapić! — huknął na policjanta, który przyglądał się podejrzliwie strzaskanej maszynie. — Dajcie jakąś drabinę: nie mami czasu tu siedzieć.

\* \* \*

## Kłóć się językowy

### Nazwiska panien na -ówna.

Z nieznajomości zasad gramatyki wypływa błędna odmiana nazwisk panieńskich, zakończonych na -ówna. Błędna ta odmiana u nas się wzięła powszechnie a odmiana poprawna jest rzadko spotykana. Otóż nazwiska te mają odmianę **rzeczownikową** (te same końcówki, co np. żona, ryba itp.), a nie wzięta u nas **przymiotnikową** (t. zn. końcówki takie jak u wyrazów »piękna«, »młoda«, »rozumna« (powiadają, że rzadko występuje połączenie tych trzech cech, nieprawdaż?!). Odmieniani więc:

Liczba pojedyncza:                      Liczba mnoga:

1. Helena Duninówna      Heleny Duninówny

- |                        |                       |
|------------------------|-----------------------|
| 2. Heleny Duninówny    | Helen Duninównien     |
| 3. Helenie Duninównie  | Helenom Duninównom    |
| 4. Helenę Duninównę    | Heleny Duninówny      |
| 5. Heleno Duninówno!   | Heleny Duninówny!     |
| 6. Heleną Duninówną    | Helenami Duninównami  |
| 7. Helenie Duninównie. | Helenach Duninównach. |

W liczbie mnogiej odmienia się te nazwiska rzadko. Niektóre nazwiska panieńskie (zwłaszcza od męskich zakończonych na -a), tworzymy przez przyrostek -anka i te z natury rzeczzy mają końcówki rzeczownikowe: np. Michejda — Michejdzianka, Pustówczanka, Kalecianka, Żyłanka.

\* \* \*

Nie mówimy: »rozumieć lub nie rozumieć czemuś« lecz »rozumieć coś«, »nie rozumieć czegoś«.

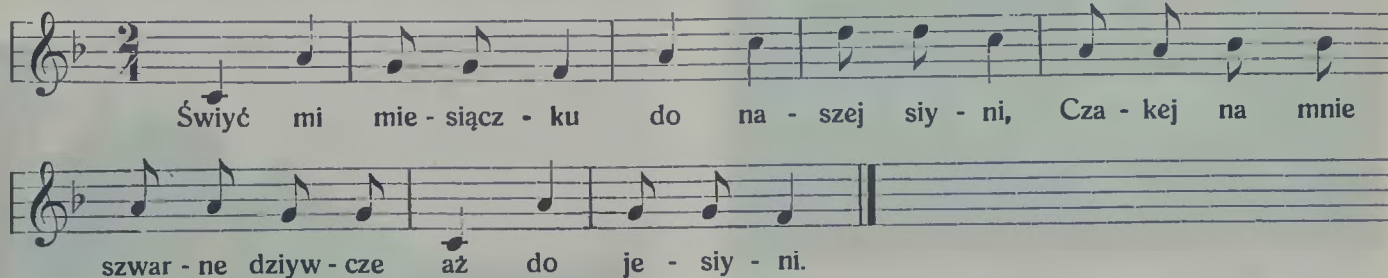


## Dział regionalny

### Świyć mi miesiączku do naszej siy ni.

Śpiewała: M. Moldrzykowa z Łazów.

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugenjusz Fierla.



Jakiś mi ty pón, na cie czekać móm,  
Móm jo jeszcze szwarniejszego, co se doczkom nón.

Szyroko staposz, wysoko staposz,  
A pod każdym okiyneczkym bogactwo szukosz.

Bogactwo szukosz, a sóm nic nimosz,  
Jyny stare galaciska, co na sobie mosz.

P. K.

### Architektura Śląska.

Pokaż mi gdzie i jak mieszkasz,  
A powiem ci jakim jesteś człowiekiem.

I jest świętą prawdą, że według sposobu mieszkania  
można ocenić wartość człowieka.

Często ludzie ubodzy, żyjący w bardzo biednych warunkach, potrafią sobie ładniej i gustowniej urządzić to gniazdko, aniżeli ludzie bogaci, którzy często z własnych wil i pałaców robią nowoczesne więzienia i domy dla nerwowo chorych z kratami w oknach i kołczastymi płotami dookoła. Czyż nie ładniej i spokojniej wygląda mała chatka drewniana drzemiąca pod kwitnącymi drzewami, aniżeli piętrowe domy czynszowe w miastach i kolonjach, gdzie strasznie daje się odczuwać brak światła, powietrza a najwięcej spokoju; gdzie cały dzień przybija mieszkających denerwująca atmosfera pełna oczekiwania jakichś nieprzyjemnych wypadków, zająć, chorób, kradzieży, kłótni i t. p. Dziwić się więc nie trzeba, że ludzie mieszkający w takich warunkach prędko tracą zdrowie, energię i chęć do życia i że prędko na duchu upadają. Tymczasem ludzie mieszkający po wsiach są spokojniejsi, więcej konsekwentni w postępowaniu i więcej zrównoważeni. Działa na nich otoczenie i spokojniejszy tryb życia, nie wymagający tyle nerwów i umysłowych wysiłków.

Idąc przez wieś, zachwycamy się często jakimś starym dworem, starą chatką, starym drewnianym kościółkiem, starą kaplicą a często i starym krzyżem przydrożnym. Rzeczy te niekiedy są naprawdę ładne i uderzają nas oryginalnym kształtem i innym rodzajem budownictwa dzisiaj nieprakty-

kowanym. Są to resztki naszej architektury śląskiej, która dawniej dosyć bogata, dzisiaj powoli znika. Znikła ona najpierw z zagłębia, gdzie została wyparta przez szyby, koksoownie i fabryki, które dla swych robotników potrzebowały koszarowych mieszkań, w którychby przy najmniejszych wydatkach a największych zyskach dało się pomieścić jak najwięcej ludzi bez względu na ich warunki zdrowotne i moralne. Oryginalna chata śląska prawie że zniknęła z zagłębia a zachowała się tylko za Cieszyńem w okolicach podgórskich. Najstarsze chaty śląskie były przede wszystkim drewniane i nie miały często kominów. Dym wychodził otworem w szczycie dachu, gdzie był przymocowany »dymnik«. Dymniki można jeszcze oglądać na starych domach w Jabłonkowie i w wioskach podgórskich. Bardzo ładnie są niekiedy rozwiązane szczyty na starych domach murowanych. Nad małym daszkiem środkowym — koło okien ze strychu — znajdują się wieńce z datami budowy domu i otworami w kształcie półkoli i krzyży.

Ładny szczyt można oglądać w Pietwałdzie po prawej stronie toru tramwajowego jadąc w stronę Ostrawy. Charakterystyczne są niekiedy w starych domach i drzwi z półkulisto wyciętym drzewem u góry, na którym zwykle jest zawieszony wieniec dożynkowy albo też wypisany rok i litery K. B. M.

W domach murowanych spotykamy często koło drzwi frontowych niszę (zagłębienie) z ławeczkami po bokach. Bogatsze rodziny na Śląsku budowały sobie domy wyższe — piętrowe — często z charakterystycznym dachem łamanym, który jeszcze dzisiaj można oglądać na budynkach dworskich w Suchej Górnej, na starej szkole w Błędowicach Dolnych i na starym dworku w Suchej Średniej, którego portal podczas przeróbek na mieszkania dla robotników zo-



Chata w jablonkowskim.



Typowa chata śląska murowana.





Stary dom śląski z oryginalnym, łamanym dachem w Dolnych Błędowicach.

stał usunięty. W ten sam sposób podczas naprawy został usunięty portal wraz z dużym herbem Mattencloitów na budynku dworskim w Dąbrowej. Dziwić się faktycznie trzeba, że rzeczy takie dzieją się bezkarnie i że nikt w tej sprawie nie zabiera głosu. Gdyby na Śląsku było więcej rzeczy



Stare domy w Jabłonkowie z »dymnikami« (dymnik oznaczony x).

pamiątkowych, można by takie straty prędzej przeboleć, ale kto zna dobrze Śląsk, ten wie, że okazów starej architektury jest u nas bardzo mało i że można je policzyć na palcach. W ten sam sposób zniknęły przed kilku laty »podsienia jabłonkowskie« najlepszy i najcharakterystyczniejszy okaz architektury śląskiej. Była to prawdziwa perła architektury ludowej a zniknęła tak nagle, że nie zostało po niej ani porządnej fotografii. A jednak miał się ktoś znaleźć, co by powiedział głośno i stanowczo »nie«!!! i bronił tej sprawy w prasie i zwrócił się ze skargą do urzędu ochrony pamiątek historycznych. Ze wstydem jednak musimy się uderzyć w piersi i powiedzieć, że nie ruszyliśmy w tej sprawie ani palcem.



Nieistniejące już stare domy w Jabłonkowie.

Bardzo cennymi okazami architektury śląskiej są drewniane kościółki. Było ich kiedyś 58, dzisiaj pozostało tylko kilka. Dziełko traktujące o tych kościółkach napisał ś. p. ks. Londzin. Do najładniejszych należą dzisiaj stare kościółki w Gutach i Markłowicach, oraz z nowszych — kościółek w Bystrzycy n. O. Jest to prawie reszta tych niskich,



Stara jednopiętrowa stodoła w Bystrzycy.

drewnianych kościółków śląskich, w których człowiek jakoś prędzej potrafił się skupić i zbliżyć do Boga. Kościółki te są stare i mogą lada dzień zniknąć, dlatego byłoby wskazaniem, aby ktoś zajął się ich dokładnym odrysowaniem i sfotografowaniem, tak po stronie zewnętrznej jakoteż i wewnętrznej, oraz żeby ktoś zrobił z nich miniaturowe modelki. Wiemy o tem, że niektórzy ludzie, mając przy



Typ budynku szkolnego starej daty. Stara b. szkoła ewang. w Gutach (z przed r. 1866).

dzisiejszym kryzysie dużo wolnego czasu, często niepotrzebnymi zabawkami zabijają czas. Widziałem gdzieś takie arcydzieło cierpliwości ludzkiej, że przez szyjkę od flaszki jakiś nieszczęśliwiec przez pół roku układał w środku małe mebelki. O wiele korzystniej byłby ten czas wykorzystany,



Typ wiejskiej szkoły drewnianej z wieżyczką.



gdyby ktoś zrobił według fotografii i dokładnych pomiarów małe ale wierne modelki kościółków i chat śląskich.

Oprócz kościołów drewnianych mamy kilka ładnych kościołów murowanych — o różnych stylach — ale budowanych przez obcych. I tak:

Ze stylu gotyckiego można wymienić kościół we Fryszacie (strona zewnętrzna) składający się z dwu kościołów, oraz kościół w Rychwałdzie. W stylu barokowym jest kościół w Szonowie, zbudowany w XVIII wieku.

Oprócz tego jest kilka mniej wartościowych.

Oryginalne są również i stare stodółki śląskie (piętrowe), które można widzieć w Bystrzycy n. O., w Pietwałdzie i Niem. Lutyni.

Dalszym działem architektury śląskiej to dwory, których jeszcze na Śląsku mamy dosyć dużo. Jest prawda, że przez parcelację dwory te straciły na znaczeniu, ale pozostały przecież budynki, a o te nam najwięcej chodzi. Niektóre budynki dworskie uległy gruntownym przeróbkom, ale zawsze można dojść do tego, jak dawniej ten budynek wyglądał. I ten dział możnaby ładnie opracować przez zebranie fotografii, rysunków i planów, oraz przez zebranie dokładnych danych, dotyczących historii danego dworu.

To samo odnosi się do kilku starych dworców »zameczków«, jak je lud nazywa, które jeszcze do dziś dnia znajdują się na Śląsku i których historie są niekiedy bardzo ciekawe. Są to »zameczki« w Śląskiej Ostrawie, Błędowicach Dol., Szymbarku, Suchej Śred., Orłowej, Szonowie, Rychwałdzie, Fryszacie, Raju, Gnojniku, Końskiej, Ropicy itd.

Na wzmiankę i sfotografowanie zasługują także stare szkoły drewniane z wieżyczkami: Koszarzyska, Głuchowa i inne.

Dosyć poważne miejsce w architekturze śląskiej zajmują stare kaplice, które można podzielić na dwie grupy: kaplice cmentarne i kaplice przydrożne, fundowane zwykle przez bogatsze rodziny na swoich »gruntach«. Z temi kaplicami są niekiedy związane ładne legendy i podania. To samo odnosi się i do starych krzyży przydrożnych i »kapliczek« na drzewach. Osobny i bardzo interesujący dział tworzą stare krzyże i pomniki cmentarne, które zadziwiają swą oryginalnością a często i napisami.

W tych kilku słowach zostały ujęte najcharakterystyczniejsze działy naszej architektury śląskiej. Jak wyżej wspom-



Stary krzyż przydrożny w Stonawie.



Kościółek drewniany w Bystrzycy.

miano, okazów prawdziwej architektury śląskiej jest bardzo mało i dlatego należy im poświęcić jak największą uwagę i przede wszystkim opieki. Byłoby wskazaniem, aby w jak najkrótszym czasie kilku naszych ludzi, którzy interesują się tym działem i posiadają w tym kierunku pewne wiadomości, zabrali się do dokładnego opracowania tego tak ważnego dla nas dorobku kulturalnego. Wystarczy jeżeli w każdej gminie przynajmniej jeden człowiek zajmie się tą sprawą i zbierze w danej miejscowości a ewentualnie i okolicy potrzebny materiał. Postępować można w ten sposób, że chcąc opracować np. jakąś kaplicę, postaramy się najpierw o jej fotografię (widok wewnątrz i zewnątrz), dalej o jej dokładny plan i wymiary, a następnie zbierzemy dokładne dane odnoszące się do powstania kaplicy, właściwości, roku powstania i celu oraz intencji wybudowania tejże. W ten sam sposób można opracować i inne okazy architektury śląskiej, jedne skromnie, drugie obszerniej. Co do starych krzyży cmentarnych, to można je sfotografować, albo też narysować, a jeżeli napisy są już mało widoczne, to można je osobno zanotować.

Zebrawszy w ten sposób materiał ze wszystkich gmin Śląska Cieszyńskiego, można nareszcie przystąpić do wydania większego dzieła traktującego o architekturze śląskiej, które chociaż spóźnione, wielką dla nas, Ślązaków będzie miało wartość kulturalną w przyszłości.

\*\*\*

### **Przysłowia śląskie**

Nie chytej psa za chwost, bo cie użere.

Moc pranio, mało wieszania.

Jako tako zbroja, dy je jyny swoja.

Koń mo szyćry nogi a też sie potknie.

\*\*\*



## Różowe okulary.

Ze względu na płacziwe usposobienie niebios, ruch turystyczny w obecnym sezonie mocno szwankuje. Na sezon ogórkowy skarżyli się dotychczas tylko przedstawiciele prasy i to podczas wakacji, kiedy rzadko trafia się jakaś gratka sensacji, którą możnaby uraczyć do przesyty czytelników. Teraz czasy się zmieniają, bo na chorobę tę cierpią i schroniska w górach. Mało ludzi ma odwagę iść w góry kiedy barometr uparcie trzyma się »dołu« zaś słońce ucieka tak hardzo do »góry«, że go cały miesiąc wcale nie widać, zaś zimny prysznic można sobie wygodnie zrobić w domu, nie trzeba wcale drapać się na jakiś »wierch« by wrócić zeń zakatarzony do niemożliwych granic i odświeżony jak zmočila kura. Wszędzie słychać mniej lub więcej szczerze westchnienia i skargi, że coś się tam w »Piotrowicach« popsuło. (Piotrowice, rezydencja świętego Piotra.) Mnie się zaś widzi, że tam przy aparacie służącym do nawadniania ziemi i okolicy, postawiono jakiegoś nowicjusza, gdyż dotychczasowy kwalifikowany robotnik został posłany na nieograniczony urlop, gdyż jak fama głosi, posiada on większe posiadłości »ziemskie« na Marsie i nowej, nieodkrytej jeszcze planecie, oraz że chcąc uniknąć rewizji książeczek wkładowych, zdeponował u pana Twardowskiego, odsiadującego karę na księżycu, większą ilość »brzęczącej waluty«. Do czasu więc, niż »nowy« pozna wszystkie arkana swej pracy pogoda stała, stała się niestała. Że jednak dużo jest takich zapaleńców, co to ich nie powstrzyma nic (a coś dopiero trocha rozdrobnionej na kropelki wody) od powziętego zamiaru, tak też i między miłośnikami przyrody znajdują się ryzykanci co odważają się na wycieczki mimo deszczu i śloty. Dla tych polecam gorąco zabranie ze sobą niezbędnej rzeczy, bez której włóczęga byłaby szarą i bezbarwną, pozbawioną wszelkiego powabu i słońca. Są to »różowe okulary«. Mają one tę własność, że zmieniają do gruntu cały świat. Za temi szkiełkami może sobie być »psia pogoda« ty jednak odczuwasz ciągle złudzenie, że »słońce« świeci i przy odrobinie wyrobionej »autosugestji« możesz się nawet opalić i wrócić do domu »czarny« jak cygan.



Kaplica cmentarna w Trzanowicach.



Stara drewniana brama na cmentarz katol. w Bystrzycy wiodąca, obecnie zastąpiona żelazna.

Ja też wybierając się w góry z kolegami, stosując się do rady »dobrej wróżki« zabrałem z sobą tę cenną rzecz i dzięki niej, wszystkie przykrości, jakie mnie spotkały, odczułem zupełnie inaczej niż inni. Do serca dostała się część tego radosnego światła i ubrała wszystko w przejrzystą tkaninę radości i zachwytu. Na nasze przywitanie wystawiła przyroda to, co ma najwspanialszego i najgroźniejszego razem: burzę. I to taką prawdziwą, z piorunami, gradem, grzmotem, deszczem, wichrem i pożarem. Dzięki owym różowym okularom jakie miałem z sobą, widziałem w niej tylko dzikie piękno walki i wcale nie odczułem jej przykrych stron. Posłuchajcie!

Sine masy mgły z szaloną szybkością wypełniają doliny i kotłiny beskidzkie. Patrząc na nie z góry, ma się wrażenie, że to morze jakieś stale i nieubłagalnie wzdyma swe potwornie wysokie fale, grożąc wszystkim szczytom górskim zatopieniem. Już tylko najwyższe wierzchołki sterczą nad tem rozbałwanionem morzem i wyglądają jak drobne, nikle wysepki.

Gdzieś od strony węgierskiej, z szybkością godną pozazdroszczenia, sunie na skrzydłach wichru, groźnie mrucząc i błyskając grotami piorunów, postrach turystów i wszelkich lazików górskich, zniechędźona ulewa.

Już czujemy pierwsze jej dotknięcie. Wiatr z taką siłą uderza w nasz namiot, że przez chwilę wątpliwy, czy sznury, którymi jest »uziemiony« wytrzymają ten wściekły atak. W następnej sekundzie oślepią nas przeraźliwie modra smuga ognia i słyszymy huk pioruna spotęgowanego tysiącokrotnem echem. Burza rozpetęła się na dobre. Biczowała jak szalona nieszczęsną ziemię, szczerdnie szafując piorunami, których zdawała się mieć niewyczerpany zapas. Ziemia zaś drżąc cała rychło pokryła się niezliczoną ilością potoków i strug wartko ściekających wdół, jak pot z śmiertelnie przerażonej cieżnś twarzy ludzkiej. Pobliski las, przyginywany druzgocącą siłą wichury prawie że do linii poziomej od czasu do czasu podnosił się, jak włosy na głowie wyrodnego syna, kiedy nagle ujrzy przed sobą ducha dawno zmarłego ojca. Słowem piękno, ale jakie straszne i dzikie. Smętny ton smaganego wichrem lasu brzmi jak nieśmiała prośba o litość. Ale burza nie zna litości. Siecze ogniem na prawo i lewo jakby rozkoszowała się swą niszczycielską mocą.

Gwałtowny szum ulewy, hębniającej po płótnie »budy«, nastraja nasze humory na ton skrajnie minorowy. Siedzimy cichuśko i patrzymy przez szczelinę w namiocie na szalejący z zewnątrz żywioł. Muszę przyznać żeśmy »na oko« nadrabiali miną co wlezie, ale w głębi duszy drżał każdy z obawy, aby w drzewo pod którym obozowaliśmy nie »lizło«. Ażeby nie dać porwać się przynębiającej atmosferze, próbujemy śpiewać, ale nasza ulubiona pieśń: »Choć burza luczy w koło nas«, wohec majestatu burzy, wychodziła dziwnie jakoś blade. Przy każdym potężniejszym grzmocie, głos nasz wbrew naszej woli, załamywał się i dopiero po odczekaniu krytycznego momentu, przybierał stopniowo na sile i wracał do właściwego tonu.

Naraz zrywamy się z ziemi jak oparzeni. Nasz piąty zmysł informuje nas za pośrednictwem najbardziej do ziemi zbliżonych siedzeń, że w namiocie jest woda. Spoglądamy na siebie w komicznem przerażeniu, wstydząc się jeden przed drugim za »przegapienie« tak ważnej czynności, jaka jest okopanie namiotu. Brodząc po kostki w wodzie, uznajemy słusność pewnego śląskiego przysłowia, które mówi: »że życie jest szkołą a nie rehtór«. Frycowe, jakie płacimy, jest



mocno nieprzyjemne tembardziej, że jakakolwiek akcja ratunkowa ze względu na »mokrozenie« z góry jest niemożliwa. Napozór godzimy się z stanem rzeczy ale tylko napozór, gdyż w sercach naszych wzrasta bunt przeciw takiemu przykładowaniu. Przyznajemy rację piosence harcerskiej, która brzmi: »Trudno skautom żyć o Boże, prześladowa ich kto może, oj, oj, to bida, to bida, niedola.« Dziwnym nam tylko, że nawet przyroda, którą tak bałwochwalczo harcerz uwielbia, nie stanowi pod tym względem wyjątku. Taki już jednak los wszystkich niewolników idei, że ta czasem ich tyranizuje tembardziej przywiązując do siebie.

Wrażenia, jakie przez tę godzinę przeżyliśmy nie zapomnimy przez całe życie. Burza, przeżyta w górach, dziwnym sposobem uczy pokory i rezygnacji. Czujesz się tak małym i bezbronnym, tak niezaradnym, godnym pożałowania, jak nigdy w życiu. Bardziej niż kiedykolwiek odczuwasz obecność Potęgi groźnej i karzącej a myśli twe na wznioślejsze biegają tory. Zaś radosny, roześmiany wiosną pierwszy promień słońca, przedzierający się przez rzednace chmury, stanowi zadośćuczynienie godne bogów. Dla niej warto zażyć trochę strachu i »wilgotności« z zastrzeżeniem jednak, że ta cała orgia nie powtórzy się »da capo«.

Życie na łonie dzięki przyrody, zmieniającej swe humory jak rozkapryszona dziewczyna ma swoisty urok i czar. Nigdy nie jest się pewnym co następna sekunda przyniesie za niespodziankę.

Nieraz, kiedy zmęczony długim marszem wyciągniesz się na inchu w lesie, chrapniesz sobie zdrowo, nagle budzi cię siarczyste uderzenie w nos. Szukasz złośliwa wściekły, naładowany chęcią zemsty, jak akumulator elektryczności, podnosisz oczy w górę i co widzisz. Oto mała wiewiórka siedzi sobie na drzewie, patrzy na ciebie czarnymi jak noc oczkami, poczem z żalem patrzy na szyszkę, która wypadłszy jej z łepka, wyrzuciła cię w sam koniec nosa. I wnet czujesz, że gniew cię opuszcza i nie wiedząc nawet kiedy rośmiejesz się tak serdecznie, że aż wiewiórka, mimowolna sprawczyni tej przygody, ucieka przerażona na sam szczyt drzewa i stamtąd niewidoczna obserwuje to dziwne dwunożne stworzenie, co miota się tam na dole tak osobiwe wydając dźwięki.

Kiedyindziej znowu, sadowiac się na odpoczynek, szukasz jakiegoś wzgórka okrytego trawą, znalazłszy, sadowisz się wygodnie w dobrej wierze na nim, by po chwili, zło-rzeczając złośliwym duchom leśnym, zerwać się jak oparzony i przy akompaniamencie rozpaczliwych ruchów rąk i homerycznego śmiechu kolegów wymknąć w krzaki, gdzie z zapalem godnym lepszej sprawy wyławiasz z czeluści swej garderoby ubóstwiane przez poezję ale teraz pozbawione wszystkich cech idealnych... mrówki.

To znowu jaszczurka, zwinna i ruchliwa, znęcona przytulnie wyglądającym otworem rękawa twojej marynarki, leżącej na ziemi, wsunie się wewnątrz, maszeruje dalej i ulokuje się zadowolona z swego losu w bocznej kieszeni. Jej żal i rozgoryczenie napewno przewyższają twój wstręt i obrzydzenie, kiedy wykrywszy ją w tem schronieniu zmuszasz ją do opuszczenia tak wymarzonego pomieszkania.

Czasem na grubo nasmarowaną masłem pajkę chleba, na widok której smakowita ślinka napływa do ust, spadnie ci skądś z góry »ptasi order« zgubiony przez jakiegoś nucącego cudne trele śpiewaka leśnego. Kiedy minie twe pierwsze oburzenie i zastanowisz się chwilę nad tym wypadkiem, napewno schylisz głowę w pokorze przed mądrością i celowością w przyrodzie, gdyż przyjdzie ci na myśl, co by to było za niebezpieczeństwo, gdyby tam w górze zamiast drobnych ptaszek latały np. krowy.

Takie to i inne jeszcze psie figle spotykają na każdym kroku miłośnika przyrody. Ten, kto nosi ze sobą »różowe okulary« uwidzi i odczuje tak, jak odczułem je ja. Żeby was znanadto ciekawość nie paliła, zdradzę wam co to za okulary cudowne. Powinieneś je mieć w sercu i wszystko co widzisz odczuć sercem. Sercem pełnem radości życia i promieni słonecznych. W tem oświeceniu wszystko straci cechy pospolitości i szarzyzny a każdy najmniejszy nawet kwiatek i kamyk stanie się cudem, głoszącym wolność budzącej się wiosny.

Kto więc chce się osobiście przekonać, że to, co przeczytał nie jest wcale bujaniem, niech w pierwszej wolnej chwili spakuje plecak i łajda w góry. Że przeżyje moc przygód, jeżeli umie tylko patrzeć i co widzi należycie odczuć i ustroić radosną i niefrasobliwą myślą za to ręczy mu doświadczony łazik.

Tylko niech nikt nie zapomni ze sobą wziąć »różowych okularów«.

\* \* \*

## Sport

### O utworzenie koła szybowcowego.

Nasze artykuły, propagujące sport szybowcowy i utworzenie własnego koła szybowcowego znalazło silny oddźwięk w szeregach młodych adeptów latania i tych, którzyby się chcieli nauczyć latać, czego dowodem liczne artykuły z odezwaniami i radami, jak się najlepiej zabrać do rzeczy, a obecnie liczniejsze jeszcze listy z zapytaniami, dlaczego tych artykułów nie zamieszczamy i dlaczego wogóle milczymy jak zakłeci. Otóż w tej sprawie damy następujące wyjaśnienie:

Od samego początku, nim jeszcze puściliśmy pierwszy artykuł, zdaliśmy sobie sprawę z wielkich trudności, na jakie utworzenie koła szybowcowego u nas napotka. Abstrahując od znacznych kosztów na utworzenie i utrzymanie, brak jest u nas odpowiedniego terenu, któryby dla nas wchodził w rachubę. To co jest, albo się nie bardzo nadaje, albo też jest dla nas nie do osiągnięcia ze względu na właściciela, czy też właścicieli. Wszystkie te trudności dałyby się jednak z czasem pokonać. Niewypowiadana w naszych artykułach, lecz przez wszystkich dobrze odczuwana i rozumiana obawa przybrała w ostatnich dniach bardziej namacalne formy w postaci ustawy o obrocie państwa, które w pasmie granicznym wiele rzeczy uzależnia od pozwolenia władz wojskowych — jak już o tem prasa donosiła, — a jedną z głównych, to urządzenie lotnisk. W obecnej atmosferze wszelkie w tym kierunku zabiegi byłyby przedwczesne. Trzeba odczekać, jak się ustawę tą będzie stosowało w życiu codziennym.

Nie znaczy to jednak, że mamy się wyrzekać możliwości kształcenia w sporcie szybowcowym. Możliwości takie istniały i istnieją nadal, w skromnych oczywiście rozmiarach. Kto czuje w sobie żylkę do latania, ten je będzie umiał wykorzystać, bo „dla chcącego nic trudnego“.

\* \* \*

### Od Wydawnictwa.

Ze względu na wakacje następny numer »Ogniwa« wyjdzie dopiero dnia 1 września. Przerwa w wydawaniu została zgóry ustalona przez Komitet wydawniczy i wykończystana będzie do zebrania bogatego materiału do zaprowadzonych już, jak również do nowych działów, aby z dniem 1 września »Ogniwo« stało się jeszcze poczytniejszem i prawdziwym przyjacielem młodzieży naszej. Naszych Szan. współpracowników upraszamy, aby i oni w tym czasie zebrali i opracowali jak najwięcej aktualnego, ciekawego, jak również belestrystycznego materiału.

Życzymy wszystkim naszym P. T. czytelnikom i współpracownikom miłego spędzenia wakacji, czy urlopów, aby nabrali nowych sił do twórczej pracy.

\* \* \*

### Odpowiedzi Redakcji.

P. »Alka«. Bynajmniej się Pan nie naprzykrza. Przeciwnie, wdzięczni jesteśmy za łaskawą współpracę. Niezawsze jednak przy łamaniu gazety materiał da się tak podzielić, aby można uwzględnić każdy dział. Czasem idzie jak z płatką, czasem jak z kamieniem, zależnie od humoru chochlika, który siedzi w każdej drukarni i lubi figle płatać. — Zmiany nie przeprowadzaliśmy, ponieważ było już wyskładane. Świeżo przysłane umieścimy w nast. numerze.

P. »Nowator«. Pański artykuł odbił się głośnie echem. Do redakcji zwrócono się z prośbą, abyśmy nie generalizowali, gdyż przez to cierpią i niewinni, a raczej podali konkretne wypadki. Prosimy zatem Pana, aby nam takowe podał. Zostaną one rozpatrzone na najbliższem posiedzeniu. Gdy okaże się tego potrzeba, opublikujemy je.



Do wszystkich, którzy się słusznie, czy niesłusznie czują dotknięci ostatnim artykułem p. t. »Koniu Ogniu nie wystarcza?« mamy jedną prośbę, a mianowicie tę, aby dołożyli wszelkich starań, by w przyszłości takie artykuły nie musiały się już pojawiać. Tych, którzy w uogólnianiu dopatrywali się ostrza, skierowanego przeciwko nim, a mają czyste sumienie, serdecznie przepraszamy. Dla ich informacji podajemy, że wbrew przysłowiu: uderz w stół, a nożyce się odezwią — jak dotychczas właściwe »nożyce« się nie odezwały, co świadczy o ich tchórzostwie. Co innego bowiem uprawiać krecią robotę, za którą nikogo nie można pociągnąć do odpowiedzialności, a co innego otwarcie wystąpić ze swoim zdaniem, czy choćby widzimisie.

P. Karol Piegza. Nut nie da się niestety przeokłować, gdyż nie są kłiszowane, lecz składane. Można by je jednak zmatrycować. Szkoda, że Pan nie wstąpił, obgadałoby się sprawę. Może Pan wpadnie do niedzieli? Później nie radzimy ze względu na urlopy. Na wszelki wypadek każemy zrobić z dzisiejszej pieśni matrycę. — Z podanych kłiszy nie wszystkie otrzymaliśmy — chodzą gdzieś »po pojezkach«.

P. E. B., N. Lutynia 333. Prenumerata do 31 XII b. r. wynosi Kcz 8.30.

P. A. Ch., Dzieńmorowice 288. Prenumerata do 31 XII br. wynosi Kcz 8.30.

\* \* \*

### Walne Zgromadzenie Zrzeszenia Organizacji Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji

odhędzie się dnia 5 września b. r. o godz. 15-tej w sali posiedzeń »Polonii«.

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Odczytanie ostatniego protokołu Komitetu Z. O. M. P.
3. Sprawozdanie z działalności Komitetu Z. O. M. P.
4. Wybór Władz.
5. Program pracy (referat).
6. Wnioski i życzenia.

W myśl zatwierdzonych już statutów, każda naczelnia organizacja młodzieżowa, wchodząca w skład Z. O. M. P., a więc: Zw. Pol. Chórów, Z. S. M. K., Z. Z. E. M., Harcerstwo, Zw. Klubów Sport., Jedność, Zw. Absolutentek Końszczanek, Macierz Szk. (sekcje Kółek Samokształcenia),

Sokół (sekcja młodzieżowa), Beskid Śl. (sekcja mł.), Tow. Rolnicze (sekcja mł.), wysyłają na Walne Zgromadzenie po 5 delegatów.

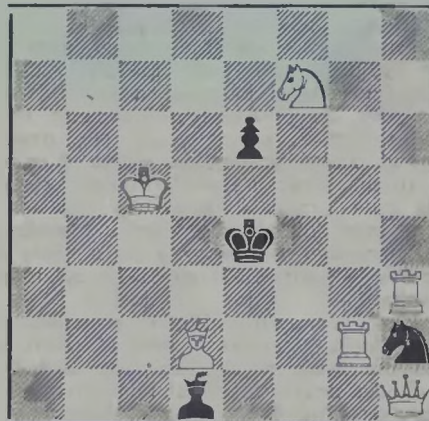
Uprasza się, aby wymienione powyżej naczelne organizacje młodzieżowe wyznaczyły swoich delegatów i 3 zastępców, oraz zawiadomiły o tem Z. O. M. P. w możliwie krótkim czasie. Zawiadomienia te przesłać na ręce sekretarza p. P. Potysza.

KOMITET PRZYGOTOWAWCZY Z. O. M. P.

\* \* \*

### Kacik szachowy.

Exarne: Ke<sub>1</sub>, Gd<sub>1</sub>, Sh<sub>2</sub>, Pe<sub>6</sub>(4).



Białe: Kc<sub>6</sub>, Hh<sub>1</sub>, Wg<sub>2</sub> i h<sub>3</sub>, Gd<sub>2</sub>, Sf<sub>7</sub>, (6).

Mat w 2-ch posunięciach!

### Rozwiązanie z No. 11.

1. Hh<sub>3</sub>-f<sub>3</sub>.
1. Gc<sub>6</sub>-e<sub>4</sub> + i mat.
1. ...
1. Gc<sub>6</sub> b<sub>7</sub> mat.

Dobre rozwiązanie nadesłał: Karol Włosek, Stanisławice.

## Humor



— Karolu! popatrz na twego aniołka, z jakim wdziękiem spływa do wody!

### Szkoda!

— Czy pamiętasz, jak skradłeś mi pierwszego całusa, a ja cię za to uderzyłam?

— Pamiętam... Szkoda, żeśmy wtedy nie wniesli skarg do sądu, zamiast się pobierać!

\* \* \*

### Dowód.

— Co? Mnie nazywasz tchórzem? Mnie, który odważył się na to, na co żaden mężczyzna by się nie odważył?

— A coś ty zrobił?

— Ożeniłem się z tobą!

\* \* \*

### Niewdzięczny.

— Ten Iksiński, to bardzo niewdzięczny człowiek...

— Bo co?

— Szantażysta, kombinator, oszust, złodziej, a przytem niewdzięczny, bo nie pamięta, że to, czem jest, zawdzięcza tylko mnie!

\* \* \*

### Rada praktyczna.

— Czy wiesz, jak się cielęcine zachowuje w świeżym stanie przez całe miesiące czasu?

— Nie wiem. Może na lodzie?

— Nic podobnego! Trzeba poprostu nie zabijać cielęcia!

\* \* \*



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*  
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-*  
*MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## Cud nad Wisłą.



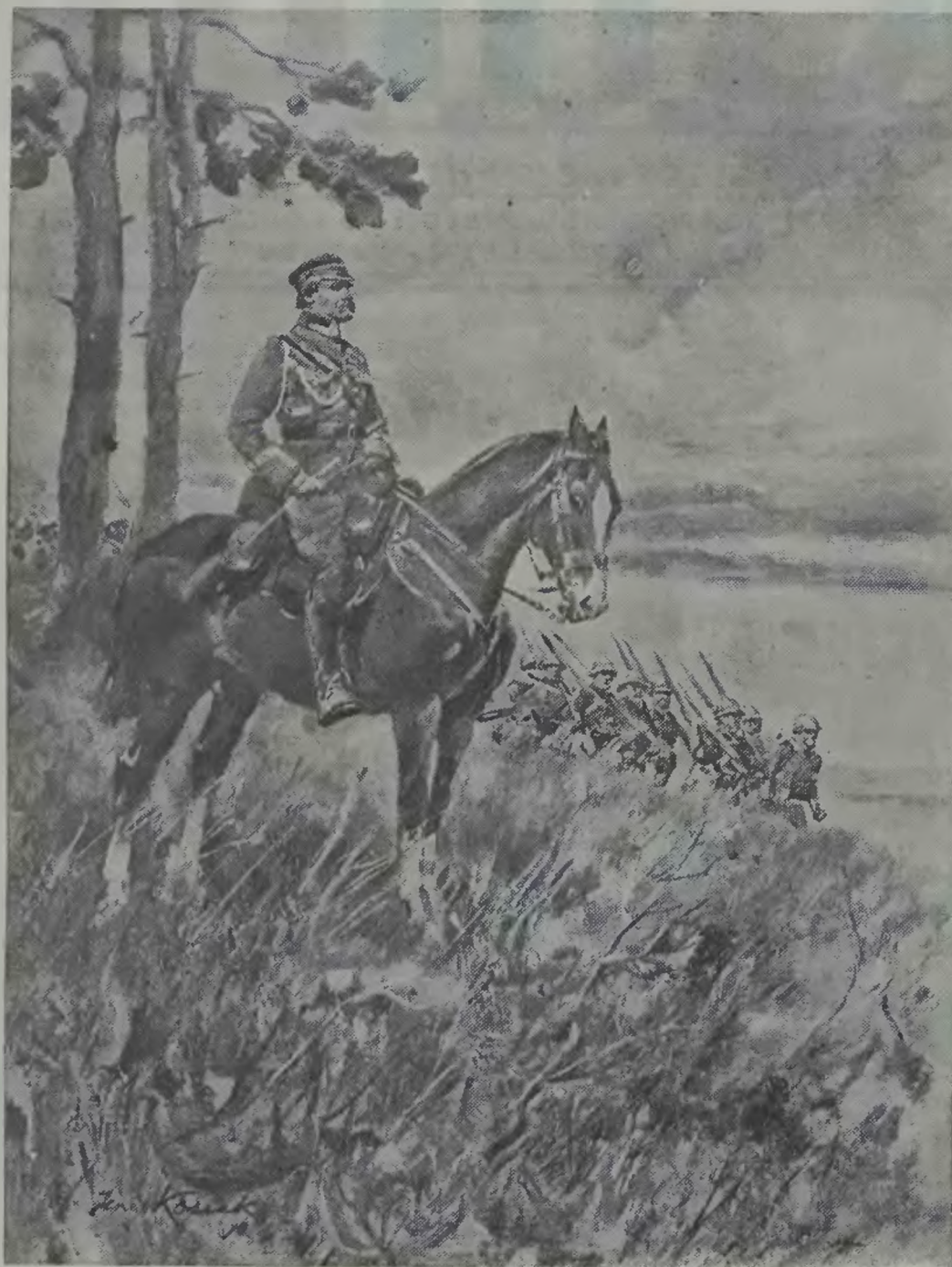
Obraz symboliczny J. Kossaka.

### Cud nad Wisłą.

Dnia 15 sierpnia 1920 roku, w dzień Matki Boskiej Zwycięskiej, rozpoczęła się bitwa pod Warszawą polskiego żołnierza z bolszewicką nawałą. Bitwa przeprowadzona według genialnego planu Józefa Piłsudskiego, ówczesnego Naczelnego

Wodza Wojsk Polskich, przyniosła zwycięstwo Narodowi Polskiemu. Zagłada bolszewicka, która szła na całą Europę, zatrzymać się musiała u granic Państwa Polskiego. Polska stała się jak przed wiekami przedmurzem chrześcijańskiej cywilizacji.





Mal. Jerzy Kossak.

**Wódz Naczelny Józef Piłsudski.**





## O polski klimat w naszym społeczeństwie.

W 7-mym numerze »Polaków Zagranicą« organie Światowego Związku Polaków z Zagranicy, pojawił się bardzo interesujący artykuł pióra Wiktora Ambroziewicza, prezesa Komitetu Wychowawczego Młodzieży Polskiej Zagranicą, pod wiele mówiącym tytułem: **Polski klimat**. Grzechem byłoby przejść nad tym artykułem, nie poświęciwszy mu krótkiej chociażby chwili uwagi. Ze względu

terenem realnej pracy dla środowiska, z którego wywodzi swój byt, i w którym znajdzie swoją przyszłość. Tylko w organizacji mogą się spotkać pokrewne dążenia młodzieży: kształcenia myśli i hartowanie woli. Tylko w organizacji możemy rozbudzać i rozwijać zainteresowania życiem



Rys. W. Skoczylas.

Obrońca Warszawy.

na to, że nie wszyscy z nas dostawają to czasopismo do rąk, będzie przeto na miejscu, że skorzystamy ze szpalt naszego pisma młodzieżowego i że zgrubsza przynajmniej zapoznamy naszych Czytelników z treścią owego artykułu.

Stosunek nasz, jako Polaków do polskich organizacji społecznych, powinien być przede wszystkim jasno określony. Dla Polaka na obczyźnie są organizacje nie tylko naturalną więzią z krajem ojczystym, ale w pierwszym rzędzie



Rys. Z. Kamiński.

»Ten, co nie zdobył Warszawy.«  
Typ bolszewickiego jeńca.

współczesnem narodu polskiego, wpajając w współziomków przekonania o konieczności współpracy z krajem, budzić aktywność społeczną, zdolność organizowania swego życia i wznoszenia go na wyższy poziom.

Uznając słuszność twierdzenia, że każdy Polak zagranicą jest przedstawicielem narodu polskiego, to jedynie w organizacjach polskich znajdziemy odpowiednią formę, gdzie będziemy kształtować i budzić **solidarność narodową**. Organizacje



są nie tylko przygotowaniem do późniejszego życia społecznego, ale są raczej pewną, samodzielną formą tego życia. Bowiem tutaj młodzież spotyka się bezpośrednio z ludźmi, którzy wywierają wpływ wychowawczy na środowisko i przyjęte idee tu nurtujące ma możliwość realizować. Zwłaszcza ta ostatnia możliwość ma w pracy samowychowawczej bardzo wielkie znaczenie.

Różne są cele organizacji polskiej młodzieży na obczyźnie i różnorodna jest hierarchia tych celów, jednak klimat duchowy, w jakim te organizacje będą się rozwijały, musi być wspólny, nazwijmy go prosto — **klimatem polskim**.

Ten klimat polski w organizacjach polskiej młodzieży zagranicą wyniesie na najwyższy szczyt sprawy utrzymania narodowości polskiej, — czystość mowy ojczystej, jako środka wzajemnego porozumiewania się i źródła tajemnych wzruszeń, płynących z treści słowa polskiego. Czystość mowy ojczystej będzie krzewiona w organizacjach polskich za pośrednictwem pieśni polskiej i polskiego widowiska teatralnego, zaś piękno języka ujawnione zostanie w książce polskiej i w słowie żywym.

Klimatem polskim obejmą organizacje **całą młodzież polską**, niezależnie od przygotowania i gotowości narodowej, bo jedynie, pracując z jak najszerszą masą polską, wywołać możemy większą aktywność, unikamy błędu kreślenia linii, która podzieli na dwie lub więcej części jedno niepodzielne ciało polskie, jedno polskie serce młodzieży. Ten wzgląd nakłada na młodzież akademicką obowiązek pracy instruktorskiej, która jest obca tendencjom przewodzenia w pracy społecznej. Jedynie w oparciu o podstawy ideowe praca społeczna młodzieży akademickiej zapewni dobre wyniki w selekcjonowaniu grup i zapewni miejsce i czas na kształcenie przodowników.

Jak z pojęciem majątku, czyli bogactwa materialnego, łączy się pojęcie obowiązku, który ciąży na majątku, tak i wykształcenie powinno się uważać jako pewien skarb, pewien majątek, z którego posiadacz powinien także udzielić pewnej części dla społeczeństwa. Tak samo jak człowiek majątny ma obowiązek służyć sprawie publicznej swoim majątkiem, jak kompromituje samą zasadę własności, gdy tego nie robi, tak samo każdy człowiek wykształcony ma obowiązek służyć wy-

kształceniem nie tylko w swej pracy zawodowej, którą zarabia na utrzymanie, ale powinien pracować dla dobra społeczeństwa, aby je popchnąć naprzód na drodze postępu. (Stanisław Szczepanowski.)

Polski klimat powinien powszechnie i niepodzielnie zapanować w organizacjach polskiej młodzieży na obczyźnie; ustawiając młodzież według hierarchii obowiązków i odpowiedzialności społecznej, wyzwalając z duszy czyn, winien wpływać dobroczynnie na najbardziej wszechstronny rozwój uczucia, myśli i woli. **Młodzież polska na obczyźnie ukształtuje swój charakter, jeśli ustali właściwą proporcję między uczuciem, myślą a wolą.** Tę proporcję zdobędzie jedynie w pracy nad sobą, w pracy długiej, niekiedy nawet mozolnej.

**Charakterów silnych i wyraźnych domaga się Polonia Zagraniczna, charakterów domaga się naród polski, bowiem: »Ludzie charakteru są sumieniem społeczeństwa, do którego należą« (Emerson).**

Tyle artykuł. Na jego marginesie należy dodać, że tego właśnie klimatu polskiego u nas nie widać i nie niestety nie wskazuje na to, żeby kiedy zajął należne mu miejsce w naszej pracy społecznej. Zamiast hegemonii celów panuje tu dyktatura nawet już nie grup, ale jednostek. Nasze społeczeństwo pędzi naoslep w przepaść, błądzi w ślepej uliczce spraw małych, nie nie znaczących w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie nam zagraża. Gdybyśmy przynajmniej w imię tej właśnie solidarności narodowej dojrżeli do jakiejś takiej demokratyzacji i tolerancji swych uczuć, to byłby wtedy pierwszy krok do realnej współpracy. Wielka część naszej młodzieży ze zgrozą przypatrzy się tokowi wypadków i w duszy jej rodzi się straszne pytanie: dokąd nas to zaprowadzi?

Jeżeli nie dojrzeliliśmy duchowo do kontynuowania pracy dla polskości, zostawionej nam w spuściznie przez Miarke, Stalmacha, Świeżego i Londzina, wtedy usuńmy się, a zostawmy tę pracę przyszłym, może doskonalszym pokoleniom, a tego co nasi przodkowie z takim trudem wybudowali przynajmniej nie burzmy. Lepiej nam poczekać, aż ów polski klimat opanuje i uduchowi nasze środowiska i natchnie je do realnej pracy dla sprawy narodowej, polskiej.

N o w a t o r.

## Kłacz językowy

**Nowa pisownia polska weszła w życie.**

Na półkach księgarskich pojawiły się już podręczniki nowej pisowni polskiej, która została zaaprobowana przez Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. dnia 24 czerwca 1936. Tym samym na barki polskiego społeczeństwa a zwłaszcza na barki polskiego nauczycielstwa spada obowiązek przyswojenia sobie nowej pisowni i praktycznego jej stosowania. Nasze nauczycielstwo musi się samo z nową pisownią zapoznać i jej zasad powinno uczyć już w bieżącym roku szkolnym. Konserwatyzm — jak już o tym »Ogniwo« swego czasu pisało — jest tu zupełnie nie na miejscu i dokonanego już faktu nie zmieni. Nasza organizacja nauczycielska powinna by się w jak najkrótszym czasie wystarać u władz szkolnych o aprobatę któregoś z podręczników nowej ortografii, aby podręcznik można dać każdemu uczniowi do ręki, co jest tym łatwiejsze do przeprowadzenia, że cena podręczników jest bardzo niska (4 do 4.50 Kcz).

Zmiany przeprowadzone przez nową pisownię nie są tak wielkie, aby przy troszce dobrej woli nie było można

ich sobie bez trudu przyswoić. Największe trudności będzie sprawiało przyswojenie sobie pisowni łącznej i rozdzielnej, ale w tym dziale i tak dotąd mało kto był pewien siebie i często musiał zaglądać do słownika ortograficznego. Obecnie porobiono tu pewne dość daleko idące zmiany, w zasadzie jednak sprawę uproszczono. Zasadniczo obowiązuje pisownia rozdzielna, niezbyt liczne wyjątki, w których obowiązuje pisownia łączna, po pewnym czasie sobie każdy piszący przyswoi. Jak już zaznaczyłem: trochę dobrej woli, a każdy piszący bez trudu opanuje zasady nowej pisowni!

\* \* \*

Piszemy zawsze **nie ma** (nigdy **niema**).

Pisownia zwrotu **nie ma** jest jednym z przykładów (uproszczeń), wprowadzonych przez nową pisownię. Dotąd ten zwrot — zależnie od znaczenia — pisało się łącznie lub rozdzielnie. Odtąd obowiązuje pisownia jednolita, a mianowicie, zgodnie z zasadniczą tendencją nowej pisowni, pisownia **rozdzielna**. Będziemy więc pisać: Cioci **nie ma** w domu, **nie ma** pieniędzy, niezależnie od tego czy zwrot **nie ma** oznacza **nie jest** czy też **nie posiada**.

A f k a.



## Eliza Orzeszkowa.

Po powstaniu w r. 1863 nastąpił zwrót nie tylko w ogólnym kierunku myślenia, ale i w literaturze. Zamiast Polski zmartwychwstałej ujrzał naród Polskę-niewolnicę, gwałtem chciano przerobić Polaków na Niemców, a gdy się to nie udało, postanowiono za wszelką cenę »niebezpieczny« żywioł wytępić. Wtedy to nastąpił zasadniczy zwrót w zapatrywaniach na politykę narodową, zrozumiano, że należy się pogodzić z istniejącymi warunkami, i zacząć pracę od podstaw, oświecać lud i siebie, zabrać się do przemysłu i handlu, słowem zakasać rękawy do pracy społeczno-narodowej.

Ta myśl odbiła się też wiernie w literaturze. Poeci i pisarze kreślą życie wiernie, realnie, przedstawiają tylko to, co dokładnie poznali. Jako jedną z pierwszych takich powieściopisarzy należy wymienić Elizę Orzeszkową. Hasłem w jej powieściach jest przede wszystkim to, że ideał narodowy musi przyświecać każdej pracy. Wychodziła ze założenia, że główną sprężyną wszelkiego działania powinien być rozum. Społeczeństwo chciałaby popchnąć na drogę nową, ale jako myślicielka wie dobrze, że przedtem trzeba poznać przyczynę dotychczasowego zastoju i przyczyny tej szuka. Znajduje ją przedewszystkiem w wadliwym, złym wychowaniu młodych pokoleń, w wychowaniu,

które prowadzi mężczyznę do egoizmu i materializmu, a kobiecie każe myśleć tylko o zabawach i strojach. Dalej widzi Orzeszkowa brak oświaty wśród ludu. Światła — światła jak najwięcej — woła. Niech to światło rozprószy mroki, przesady i zabobony, niech oświeci ciemne masy chłopów, niech rozjaśni także smutną dolę kobiety, nauczy ją pracować, przygotuje do życia.

W jednej z najpiękniejszych swoich powieści »Nad Niemnem«, przeprowadza i rozwija myśl, że nie wystarczy praca materialna około zdobycia chleba, jeśli jej nie będzie przewodniczyła idea narodowa.

Pod względem artystycznym nie wszystkie utwory Orzeszkowej są równe. Zrazu nie uniała ona zdobyć się na przedmiotowość. Z czasem jednak pozbyła się ona tych wad, a pogłębiwszy obserwację poczęła pisać utwory niepoślednie. Do takich należy »Cham«, powieść nie tylko najpiękniejsza z wszystkiego co napisała Orzeszkowa, ale także jedna z najznakomitszych powieści wogóle polskich.

Znaczenie Orzeszkowej polega jednak głównie na podnoszeniu przez nią zagadnień społecznych. Nie ma niemal utworu, w którymby autorka nie walczyła w obronie doniosłej jakiejś myśli. —lek.

## Michałko.

Nowela — napisał Bolesław Prus.

Stał Michałko, ubogi wieśniak, który przybył do Warszawy za zarobkiem, przed bramą jednej z kamienic, namyślając się, dokąd ma się udać, żeby znaleźć pracę. Wtem spostrzegł, że na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcą się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruz. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Michałko przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisały futryny, a dwie belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry. W oknach sąsiednich domów ukazały się zaleźnione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie wszyscy byli na śniadaniu. Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?

— Jesteśmy.

— A pomocnicy?

— Jesteśwa.

— Jędrzeja niema! — odezwał się jeden głos. Obecni na chwilę zaniemili.

— Tak, on był we środku.

— Trzeba go szukać! — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilka śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!... — wołał majster.

— Usuń się pan — ostrzegli go — ta ściana ledwie wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i chwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwila mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy.

Patrzali na ludzi, stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać na ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść — rzekł głucho cieśla. Gromada cofnęła się wtył.

Miedzy nimi stał Michałko, przerażony może więcej niż inni.

Strach co się z nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie



czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zda-  
wało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma  
obowiązek i musi ratować człowieka, który przy-  
szedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy  
inni mówili sobie: pójdę, on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed  
gromadą, bliżej muru niż inni.

— Nie pójdę!... — szepnął i podniósł drąg,  
który leżał mu prawie przy nogach.

Miedzy ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie! Co on robi?

Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się — wołał ran-  
ny, szlochając z bólu.

— Idę! Idę!... — rzekł Michałko i wszedł  
miedzy gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zoba-  
czył jego zdruzgotane nogi i kałużę krwi — i po-  
ciemniało mu w oczach.

— O Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny  
i objął za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczli-  
wym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszcze-  
nie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka  
kawałków cegły.

— Wali się! — krzyknęli robotnicy, rozbiegając  
się. Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł  
nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już  
całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego  
człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył za-  
kłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku.  
Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ran-  
ny jęknął głośno i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michał-  
ko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli  
przeszedł niebezpieczną granicę i, stanawszy przed  
tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!... Jenemu tam jeden  
but ostał.

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał  
i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!

Michałko powiodł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie. — Zo-  
baczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je  
w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał  
ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor?  
Czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać.  
Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka  
słychać było dzwonki straży ogniowej, którą tak-  
że ktoś zaalarmował. Nowy tłum, już takich, któ-  
rzy chcieli byli wrażeń, skupił się przed bramą,  
a gorętsi piersiami torowali sobie drogę do zoba-  
czenia krwawego widowiska.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko  
zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość,  
widząc, że bosy chłop niebardzo ustępuje pod na-  
ciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zadziwiony  
tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrza-  
snął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby ta-  
kich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idzie — pomyślał chłop i zląkł  
się, żeby go za taki postępek nie wsadzono do  
kozy. I nie chcąc budzić licha, wcisnął się miedzy  
gromadę.

W kilka minut później poczęto z bramy wołać  
tego, który biedaka wyniósł spod gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał on białą sukmanę, okrągłą  
czapkę i był bosy...

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy  
i nie znaleźli Michałka.

\* \* \*



Gen. Rydz-Śmigły w 1920 r.



Wódz Naczelny J. Piłsudski dekoruje  
bohaterskich oficerów i żołnierzy Krzyżem »Virtuti Militari«.

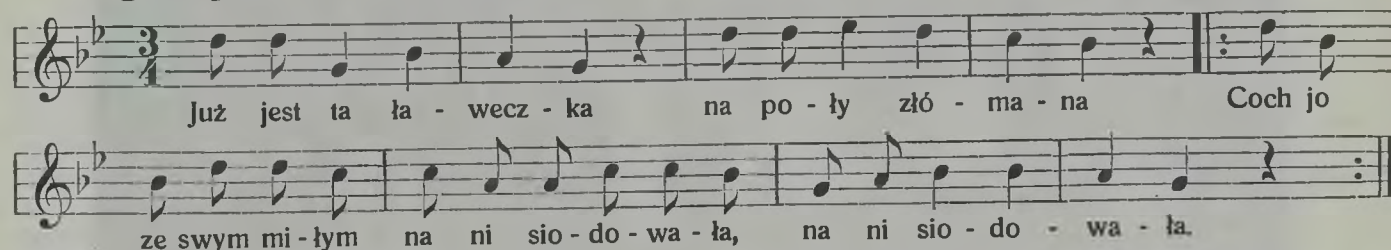


## Dział regionalny

### Już jest ta ławeczka.

Spiewała: Zofia Mysiakowa z Łazów.

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.



2. Och, moja ławeczko zrośnij się mi jeszcze,  
[:Ach, mój najmilejszy [:nawróć się mi jeszcze:]]

3. Już jo się nie wrócę, choćbyś jak płakała,  
[:W czerwonej szateczce [:oczek uciyrała:]]

P. K.

### Pierwsza lampa naftowa w Bukowcu.

Było to dawno — dawno, kiedy jeszcze ludzie »świycowali« szczypami a tylko w miastach zaczęto powoli używać lamp naftowych, które wtenczas uważano za większy wynalazek aniżeli dzisiaj lampy elektryczne albo też kwarcowe. Ma się też rozumieć, że jeżeli taka lampa pojawiła się w jakiejś zapadłej wiosce podgórskiej, była prawdziwą sensacją.

Taką sensację miał około roku 1860 i nasz Bukowiec, kiedy pierwszą lampę naftową przywiózł gdzieś z miasta niejaki Bieleś i zrobił z niej dobre źródło dochodu. Chodził z lampą na wesela, szkubaczki, chrzciny, pogrzeby i t. p. a płacono mu za jeden wieczór »świycynio« 4 szóstki, kwartę gorzałki i dobrą »wieczerzę«. Stał się przez to sławnym nie tylko w Bukowcu ale i w całej okolicy a zamówień na »świycyni« miał tyle, że musiał i często odmówić. Znał się dobrze na swym przedsiębiorstwie i umiał mu nadać pewien urok i znaczenie. Zawsze w dzień swojego »prometeuszowskiego wystąpienia« czyścił już od rana swoją cudowną lampę, co nie obeszło się bez licznej publiki, składającej się przeważnie z młodych chłopców, którzy mu na rozłożone »kłobuczki, celyndry i maszynki« gabali. Chcac ich postraszyć wołał: »Uczekej, bo to strzeli, jak bydziesz na to gabo!«

Nie tylko czyszczenie odbywało się z parady ale i przenoszenie lampy do oznaczonego domu. Poważnie — tak jak ksiądz z monstrancją — kroczył stary Bieleś przez wieś i niósł przed sobą lampę. Uważał przy tem na drogę, aby się nie potknął o kamień i lampy nie stłukł. Przyszedłszy do pokoju, gdzie odbywała się zabawa, wyszukiwał najpierw odpowiednie miejsce, ustawiał ostrożnie lampę, zdejmował powoli »cylinder«, pokręcił kilka razy fachowo »maszynką«, a następnie z wielkiem namaszczeniem zapalał szczypą lampę. A kiedy jasne światło rozlało się po pokoju a wszyscy obecni z uznaniem powiedzieli — »Jej, to pięknie szwycze!«, to wtenczas stary Bieleś uśmiechnął się pod wąsem, odetchnął głęboko, zapalił fajkę i usiadł za stołem. Cekał na pierwszą część swojego »deputatu«, to znaczy na dobrą »wieczerzę« i kwartę gorzałki.

Ale kiedy podczas wesołej zabawy zapomniano na głodny żołądek i suche gardło nowocześnie Prometeusza, to wtenczas on radził sobie w ten sposób, że podchodził do lampy, trochę

pokręcił i robił ciemność. W pokoju nastawał zwykle krzyk i zamieszanie, tańce i śpiewy ustały a wszyscy zbierali się koło Bieleśa i prosili: »Bieleśiuku dobry — zaszwycze, dycz wóm to zapłaczymy.«

A wtenczas on z poważną miną coś zaczął manipulować, kręcić, dmuchać, ale napróżno: lampa jak na złość nie chciała »szwycze«. Dopiero gdy któryś z obecnych postawił przed nim pełną kwartę i powiedział: — »Bieleśiuku pomażcie, możne zie to zaszwycze!« — to wtenczas jakimś dziwnym trafem naraz lampa »zaszwyczyła« i »szwyczyła« tak długo, aż znowu w szklance przed Bieleśem stojącej zabrakło »petrule« na pomazanie.

\* \* \*



Na front.

Rys. Z. Kamiński.





Nasi na Zlocie Śpiewaczym w Warszawie.

Jak wiadomo, na Zlocie Śpiewaczym w Warszawie w czerwcu b. r. odbyły się popisy chórów, zgłoszonych do konkursu. Jak również wiadomo, na pierwszy plan wśród chórów zagranicznych wybiły się polskie chóry z Czechosłowacji. Na zdjęciu widzimy »Chór Mieszany Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji«, który w tej kategorii zdobył pierwszą nagrodę zagraniczną.

## Dział Kobiety

### Robótka: Rękawiczki szydełkowe.

Materiał: Kordonek cieniutki, biały lub kolorowy. Szydełko stalowe. Sposób wykonania:

Łańcuszek długości 16 cm zamykamy półsłupkiem i robimy dłoń od przegubu ścięciem następującym: 1 słupek, 1 oczko w powietrzu, 1 słupek i t. d. Co dwa rzędy od strony dużego palca dodajemy 1 oczko łańcuszka, aby poszerzyć dłoń.

Robotę wielkiego palca rozpoczynamy na wysokość 6 cm dłoni. W tym celu dorabiamy 12 oczek łańcuszka, wstawiamy szydełko w 10 oczko roboty i robimy naokoło nic nie dodając, aż długość palca okaże się dostateczna. Wtedy w następnych rzędach zmniejszamy stopniowo otwór i zakończamy palec igłą.

Duży palec gotowy. Składamy rękawiczkę w ten sposób, aby tylko połowa gotowego palca wystawała na zewnątrz, a druga połowa znajdowała się pod dłonią, i robimy w dalszym ciągu 6 cm dłoni. Teraz przystępujemy do roboty małego palca: Zamykamy półsłupkiem w kółeczko tyle oczek roboty od wierzchu i od spodu, jaka jest objętość małego palca u nasady, robimy równo dookoła w ten sposób, co i palec duży. Gdy zakończymy robotę małego palca, przerabiamy 1 rząd naokoło pozostałego otworu i zabieramy się do roboty trzech pozostałych palców. W tym celu rozdzielamy pozostały obwód dłoni na 3 równe części i robimy najpierw palec wskazujący, następnie nieco dłuższy środkowy, a na koniec serdeczny. Robota dłoni i palców skończona, pozostaje do wykonania mankiety.

Dłoń u nasady ohrabiamy dookoła szachownicą (3 słupki, 3 oczka w powietrzu, 3 słupki... W następnym rzędzie, tam gdzie były słupki, robimy 3 oczka wolne, a tam, gdzie były oczka wolne, robimy trzy słupki).

Właściwy mankiety wykonany jest ścięciem następującym: 3 słupki w 3-cie oczko łańcuszka, 2 oczka w powietrzu, 3 słupki w to samo oczko co poprzednie, jedno oczko w powietrzu, trzy słupki w trzecie oczko łańcuszka, dwa oczka w powietrzu, trzy słupki w to samo oczko. Drugi rząd i następne różnią się tem tylko, że słupki wykluwamy w środek wachlarzyki poprzedniego rzędu, tam gdzie robiliśmy dwa oczka w powietrzu. Aby mankiety rozszerzył się ku dołowi, rozdzielamy wachlarzyki większą ilością oczek w następnych rzędach. W pierwszym rzędzie wachlarzyki rozdzielone były 1 oczkiem. W 2, 3, 4 rzędzie rozdzielamy je

2 oczkami, w 5, 6, 7 rzędzie trzema oczkami. Wysokość mankiety wynosi 12 cm. Na zakończenie obrabiamy mankiety 2 rzędami ścisłych półsłupków,



Po upraniu mankiety rękawiczek białych usztywniamy krochmalem, a kolorowych, żelatyną.



## Teatr ludowy

### „Zysk materialny i moralny...”

„Wydatniejszej pracy naszych kółek amatorskich stoi na przeszkodzie materializm stowarzyszeń kulturalno-oświatowych.“ (Ogniwo nr. 12, r. II). Jest to omal że stuprocentowa prawda. O ile jakiś związek — stały czy dorywczy — zamierza urządzić występ dla słuchaczy zawsze liczy z i na pieniądze. Agituje się, aby przyszło jak najwięcej ludzi. Masy tej nie potrzebuje się normalnie dla pokazania, że jesteśmy, w celu wychowawczym, lecz poto, by masa złożyła masę grosza. Po odbytej imprezie czy zebraniu czyta się czy słyszy słowa: „Wynik materialny i moralny wielki.“ Zdanie to stało się nieodzownym przy każdym sprawozdaniu a słowa — materialny i moralny — muszą być wypowiedzane zawsze i wszędzie razem. We wielu, wielu wypadkach słowo — moralny — nie ma podstawy i jest wypowiedzane dlatego, że to już tak zawsze się mówi; dalej, żeby poprostu bałamucić (drugich i siebie). Wystarczy nieraz podejść do tego czy owego kto był na wieczorku czy wykładzie i zapytać, jak i dlaczego mu się dzisiejsza impreza podobała, wtedy nie wie, co na to odpowiedzieć. Zaczyna się jąkać, daje niejasne odpowiedzi, czasem zdobywa się na odwagę i przyznaje, że z tego nic nie wie. Wykładu nie słuchał, bo mu się nie podobał, był zbyt filozoficzny, sensu sztuki nie rozumiał i t. d.

Byłem raz na wieczorku, gdzie grano „Nawróconego.“ Po wieczorku pytam obecnych, co nam chciał autor w sztuce swej powiedzieć, dlaczego dał jej taki tytuł. „No, bo on wrócił z tej wojny“ — pada odpowiedź. Ktoś tu więc nie rozumiał autora. Bądź ja, albo odpowiadający.

Jest rzeczą jasną, że każdy wszystkiego pojąć i zrozumieć nie może i nie można się złościć czy wywalać oczu, że taka nieraz a nie inna pada odpowiedź. Nie wszyscy kończą najwyższe szkoły (a i ci nie wiedzą wszystkiego), żyją w wirze wielkomiejskim, mają sposobność obracać się i ocierać o różnych ludzi, podpatrywać życie, kształcić się, czytać, być kierowanym. Wielką winę ponosi w podobnym wypadku komitet wieczorku. Ten bowiem powinien przed czy po odegraniu sztuki rzucić kilka zdań, w których należy wykażać myśl przewodnią danej sztuki.

Tamą, jaka stoi w drodze, by szerszą publiczność wciągnąć na wykłady, koncerty, wieczornice, których zadaniem ma być zysk moralny, wychowawczy, kształcenie, uświadamianie, bawienie, roześmianie, rozpędzenie wrogich, czarnych chmur, ugruntowywanie, powiedzenie: nie lękaj się ani schodź z obranej drogi, boć tu jesteśmy, czuwamy, stoimy masą, pomożemy, wesprzemy — jest właśnie fałszywa maksyma: „nic za darmo!“ Każde zaproszenie na wieczorek, festyn, wianki, wigilię... ma nieodstępne zdanie: „Wstępne — Kcz..., wstęp — dobrowolne dary.“ Czasem robi się to więcej po mistrzowsku; dobrowolne dary ogłasza się po skończeniu zebrania. Tak czy owak jakaś „ofiara“ tutaj być musi, bo... bez pieniędzy człowiek żyje w nędzy. O ile zaś żyje w nędzy dlatego właśnie, że jest bez pieniędzy, wtedy nie może, chociażby i chciał, iść tam, gdzie tych pieniędzy żądają. Przy tem niekoniecznie zawsze rozchodzi się tylko o jakieś to wstępne czy dobrowolny dar, lecz jest

cały szereg innych pułapek, które wężą za groszem. To nie jest praca kulturalno-oświatowa, to nie są stowarzyszenia oświatowo-wychowawcze, lecz dorobkiewiczowskie, których celem jest nie kształcenie, rzeźbienie charakterów, lecz księga kasowa. Wielu, zdaje się, wydziałom nie zależy na tem, ile korzyści wynieśli sobie członkowie danego związku w roku sprawozdawczym, lecz o to, ilu zwierzbowano nowych członków, wydano legitymacy i od członków tych utarżono. Jest rzeczą jasną, że pieniądź jest jedną z głównych podwalin życia, ale chyba nie jedyną. Przy dzisiejszych ustawach można śmiało urządzić imprezę, która nie pociągnie za sobą żadnych lub minimalne wydatki. Czyż więc musi się żądać wstępnego na każdy występ? Czy za wszystko, co temu słuchaczowi chcemy dać musimy odeń żądać zapłaty materialnej? Czyż nie lepsze nam społeczeństwo uboższe, ale pewne siebie, rozumne, zdolne do czynu niż bogacze — obłąkańcy?

„Musimy nasze społeczeństwo wychowywać w dalszym ciągu, gdyż daleko mu jeszcze do zupełnej dojrzałości socjalnej.“ Tak. Bardzo, bardzo daleko. Nietylko jednak społeczeństwu naszemu (w znaczeniu lokalnem czy narodowem), lecz wogóle całej ludzkości.

As.

\* \* \*



Lirnik włoskowy.

Rysunek Andriollego do poematu Syrokomli.





Polacy na Olimpiadzie.

W Olimpiadzie sportowej w Berlinie wzięła udział, jak wiadomo, także polska drużyna olimpijska, która uzyskała szereg zaszczytnych wyników, zdobywając 3 srebrne medale i 3 brązowe. Najlepiej spisali się jeźdźcy polscy, oraz zawodniczki Wajsówna, Kwaśniewska i Walasiewiczówna. Na zdjęciu defilada polskiej drużyny olimpijskiej na stadionie w Berlinie.

## Wspomnienia z kursu.

Mury bursy orłowskiej niedługo świeciły pustką, gdyż zaledwie tydzień upłynął, jak rozleciała się gromada „disce latine puerów”, a tu znowu jakieś dziarskie młokosy z walizami w ręku zmierzają prosto do jej gościnnych podwoi. Ponad dwudziestu chłopów na schwał z różnych okolic Śląska zjechało się na kurs wychowania fizycznego dla pracowników sportowych, by tu w znojmym czoła pocie kształcić się na kierowników pracy sportowej.

Zjawiają się więc beskidziorze, sokoli, siłacze, futboliści, mali, wielcy, młodszy, starsi, szczupli, korpulentni, gołowasy i kosmaci, przyglądając się sobie wzajemnie mniej lub więcej ciekawie i podejrzliwie. Zapowiadało się to zbiorowisko wcale dobrze i za nie długo wytworzyła się też w nim sympatyczna i zegrana atmosfera.

Te różne indywidua wnet się oswoiły, a że trudności opanowania odrazu większej ilości nazwisk już tradycyjnie ułatwia się przez używanie przydomków, ot tak przygodnie i z humorem dobieranych, więc i my, korzystając z tej tradycji, mówiliśmy np. zamiast dziwacznych nazwiska włoskiego, krótko Musolini. Innych ochrzcziliśmy przydomkami takimi, jak: czerwony sweter, kowal, ojciec, charczek, Czapaje, itp. Oczywiście używali-

śmy też na określenie zacnego kierownika kursu jego nieśmiertelnego tytułu „majster.”

Wnet od pierwszego dnia zaczęła się solidna praca. Kierownik kursu wraz z trzema instruktorami biorą nas w obroty. Teoria z praktyką idą w parze. Wylewamy strumienie potu. Biegamy, skaczemy, rzucamy kulą, dyskiem, oszczepem, gramy palanta, siatkówkę, koszykówkę, szczypiorniaka, pływamy, no i nawet boksujemy. Wieczorem często jesteśmy prawie zupełnie wyczerpani, a rano gwizdek oboźnego, względnie „ministra z teką” (tak nazwano dyżurowych dla zaszczytu, jaki ich spotkał, że wolno im było nosić w teczce notatki wszystkich kursistów na wykłady), oznaczający pobudkę, był dla niektórych niecznośnym narzędziem gwałtu i tortury.

Jednak ranna gimnastyka, prowadząca wytrawną ręką kierownika kursu przed śniadaniem, dokonywała cudu, orzeźwiając znużone członki ciała, wlewając w nas humor z nowym zapałem sportowym i czyniąc nawet sygnały gwizdka wcale znośnymi.

Szybko upływały dni za dniami. Urozmaicaliśmy je sobie śpiewem, lub opowiadaniem różnych żartów. Tu i ówdzie ktoś z uczestników popisywał się takimi wyczynami, że bawiliśmy się doskonale ich kosztem. Niech tylko przypomnę drobne zdarzenie na „łazińskim pańszczoku”



(pływalni), gdzie to nasz nadworny fotograf (który, oby się był raczej nie narodził!) snąc z wielkiego miłowania, pomylił sobie bajkę z rzeczywistością i usiłował wypić cały pańszczok. No, kto wie, jakby mu się to było skończyło, gdyby nie nasza czynna interwencja. On potem z miną bohatera twierdził, że tylko chciał nam dać sposobność do pokazania naszej przytomności ducha, ale mości „karol-ino“ nas w pole nie wyprowadzisz!

Wielki adept sztuki pływania z Orłowej, który odrazu przyznał się, że woda to żywioł dla niego obcy, lepiej na tem wyszedł, bo nie tylko instruktorowie dodawali mu otuchy do zbierania się z wodą, ale nawet współkoledzy pomagali mu, eksperymentując z nim niemiłosiernie w wodzie.

Często, gęsto śpiewaliśmy, uprzyjemniając sobie drogę z bursy do gimnazjum, lub na boisko Slavii. Czasem nawet samozwańczy dyrygenci wydobywali z tej gromady całkiem piękne akordy

naszych miłych śląskich pieśni, a wdzięczne echo poniosło je ponad Obrokami do różnych uszu, jedne mile pieszcząc, inne drażniąc.

Ale wszystkiemu koniec. Z żalem wielkim musieliśmy się rozejść, gdy nam było najcieplej. Pozostały nam już tylko miłe wspomnienia. Pozostała też szczerza wdzięczność wobec p. kierownika kursu i wobec pp. instruktorów, za ich wielkie starania i za ich serdeczny stosunek do nas.

Wdzięczni też jesteśmy Komitetowi za zorganizowanie tego kursu, a naszym towarzystwom za wysłanie nas na kurs.

My zaś z naszej strony będziemy z najlepszymi chęciami rozbudzać w naszej młodzieży coraz to większe zamiłowanie do sportu i torować drogę idei sportowej wśród naszego starszego społeczeństwa, które jeszcze w wielu wypadkach nie docenia należycie kulturalnych wartości sportu.

Uczestnik.

## Harcerstwo

### Stopnie i sprawności.

Stopień i sprawność w harcerstwie, to sprawdzanie umiejętności czyli samodzielności chłopca, do doskonalenia charakteru, uprawniające harcerza do noszenia zaszczytnego nazwiska »Starszego Wilka«.

W programach prób na stopnie harcerskie mamy zawarte wiadomości przydatne każdemu człowiekowi w użyciu codziennym. Są ujęte w sposób interesujący, w formie zabaw, tak, że chłopiec, podczas zabawy, z łatwością sobie je przyswaja i w wysokim stopniu rozwijają jego inteligencję.

W próbach sprawności nie rozchodzi się nam o wyrobienie z chłopców doskonałych kowali, lekarzy, redaktorów i t. p., ale rozchodzi się o wyrobienie u chłopca pojęcia, jaki zakres pracy dane rzemiosło obejmuje. Przez poznanie podstaw rzemiosła i zajęć wyrabia się do pewnego stopnia samodzielność. Owszem, że przez sprawności pobudzamy chłopca do zainteresowania się pracą wszystkich warstw społeczeństwa, uczymy szanować i rozumieć pracę innych; sprawności pomagają młodemu harcerzowi w wyborze przyszłego zawodu.

Jak wielki wpływ wychowawczy mają stopnie i sprawności może ocenić tylko ten, kto bezpośrednio styka się z młodzieżą harcerską. Tak samo drużynowy widzi w zamiłowaniu do pewnych sprawności u chłopca jaki zawód w życiu sobie obierze.

Ażeby jednak stopnie i sprawności przyniosły pożądane rezultaty, próby muszą być dobrze przeprowadzane. Chłopiec chcący poddać się próbie musi doskonale opanować potrzebny materiał. Samą próbę przeprowadzamy z wielką dokładnością. Próby sprawności muszą być przeprowadzane przez osoby fachowe (np.: sprawność samarytania przeprowadza lekarz lub też osoba do tego uprawniona, nigdy zaś ten, kto nie ma pojęcia w tym zakresie wiedzy, lub też posiada częściową orientację) ponieważ tylko tak przeprowadzane próby mogą się przyczynić do wyszkolenia mło-

dzieży w samodzielności, a wyszkolenie to będzie prawidłowe i przyniesie nam pożądane rezultaty.

Chłopiec powinien na każdą oznakę noszoną na rękawie lub piersiach, patrzeć z dumą, że do niej włożył pewien wysiłek pracy, że jego trudy nie poszły na marne, owszem, rozszerzyły mu widnokrąg wiedzy. Przez stopnie i sprawności powinniśmy nie tylko wpoić w chłopca nasze wartości ideologiczne, lecz powinniśmy wpoić do duszy zasadę, że zabawa to praca, a praca to zabawa. Niechaj on zatem uważa pracę za jakąś zabawę harcową, niechaj bierze się do pracy z takim zapałem jak do gry, i niechaj nauczy wykonywać się pracę tak szczegółowo jak zabawę, chcąc, ażeby ta powiodła się.

J. Ż

\* \* \*

### Program Pracy Harcerek.

Program harcerski jest obszerny, wszechstronny i urozmaicony. Celem jego jest dopomożenie rodzinie i szkole w wychowaniu pełnego typu człowieka, który

»z jasnym czołem apostołem  
cnót i pracy jest«.

Życie harcerskie dostarcza młodzieży szeregu zdrowych, przyjemnych i korzystnych czynności, urabiających ją w 5 następujących kierunkach:

1. Charakter i wola,
2. Zdrowie,
3. Umysł,
4. Zaradność,
5. Umiejętność służenia bliźnim.

Druhnicy i druhowie rozwijają charakter i wolę, gdy pracują nad realizacją prawa harcerskiego w życiu i wdrażają się do służby obywatelskiej. Zresztą, wszystkie działy pracy harcerskiej są szkołą charakteru. Dalej młódz harcerska osiąga pewną umiejętność służenia bliźnim, zdobywając sprawności z dziedziny samarytania, ochroniarstwa, pożarnictwa i wskazidrogi, nabywa zdrowia i sił przez wycieczki, gimnastykę, sporty i gry na wolnym powietrzu i dbałość o własną higienę. Harcerki i harcerze poznają otaczający świat — rośliny, zwierzęta i teren — z żywej otwartej księgi przyrody, ziemię ojczystą — odbywając wycieczki krajoznawcze, stosując wzory zdobnicze, ucząc się pieśni ludowych i tańców narodowych, a z życiem i pracą współobywateli zapoznają się przez osobiste zetknięcie się z różnymi warstwami społeczeństwa w rozmaitych okolicach kraju, przez zwiedzanie fabryk i warsztatów i własną pracę ręczną. Pracy umysłowej, w ścisłym znaczeniu tego słowa, wymagają rozważania etyczne i społeczne, zapoznanie się z aktualnymi sprawami narodowymi, znajomość historii i organizacji harcerstwa, ratownictwa, terenoznawstwa i łączności. Dzielność i zaradność wyrabia się przy stosowaniu tych umiejętności w praktyce, a mianowicie



przy grach i ćwiczeniach z ratownictwa, terenoznawstwa, tropienia, podchodzenia, sygnalizacji i pionierki, przy nauce rzemiosła i gospodarstwa domowego, a szczególnie w życiu obozowym. Ten właśnie dział, zwany krótko techniką harcerską, jest często niedoceniany przez starsze społeczeństwo, które nie zna jego wartości wychowawczych i kształcących, nie wie ile zdrowia i radości życia przybędzie dziewczynie po całodziennym wycieczce lub miesięcznym obozie, nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka duma rozpieszczonego dziewczęcia, gdy na kuchni polowej zgotuje smaczny obiad, zbuduje nieprzeciekający na deszczu szałas, wystawi maszt do sztandaru; które nie zaznało uroku czuwania nocą nad uśpionym w lesie obozem, obserwacji budzenia się ptaków o świcie, wytropienia zwierza w jego legowisku, marszu z mapą w nieznanym terenie, wywiadu krajoznawczego i t. p.

»Lśni srebrem rzeka, las chłodny czeka,  
Zapach skoszonych idzie ku nam łak,  
Idziem bez troski przez nasze wioski,  
Wszędzie nas wita uścisk bratnich rąk.«

Streszczając wyżej powiedziane, stwierdzić można, że program ten trafia do instynktów dziewczyny i zastosowany jest do jej natury, że jest wszechstronny. Ale inaczej być nie może, skoro harcerstwo stawia sobie taki a nie inny cel. Prawy i mocny charakter jest nieodzowną cechą dobrego obywatela, samarytaństwo rozwija i kształci uczucia, wyrabia czynną miłość bliźniego; ten sposób kształcenia umysłu, jaki stosuje harcerstwo, otwiera szeroko oczy dziewczyny na realny świat, który ją otacza, a wyrobienie zaradności w domu i poza domem przygotowuje ją do życia i uzbraja do walki; zaś wychowanie fizyczne jest nieodzownym składnikiem pracy harcerskiej, bo zdrowie to czynnik, od którego w dużej mierze zależy poczucie szczęścia, a poza to — wiadomo, że »w zdrowym ciele — zdro-

wy duch«. Zresztą, co charakterystyczne z punktu widzenia metody, działa tak się zazębiają w harcerstwie, że nie wiadomo, gdzie się kończy wychowanie moralne, a zaczyna wyrobienie fizyczne. Przy analizie środków ruchu skautowego trudno bardzo odseparować od siebie działy, bo założenia harcerskie zawsze wywierają wszechstronny wpływ na różne cechy człowieka. Naprzykład tropienie po znakach sztucznych, a bardziej jeszcze po śladach zwierząt, rozwija spostrzegawczość i wytrwałość, pomysłowość i zaradność, daje głębszą znajomość przyrody, uczy patrzeć na nią okiem przyjaciela, pragnącego poznać dziwy i tajniki natury, polującego z aparatem fotograficznym i szkicownikiem. Tropienie odbywa się z natury rzeczy w zdrowych warunkach, leśnej atmosfery przesyczonej ozonem, jest związane z umiarkowanym ruchem — czyli współdziała także z wychowaniem fizycznym. Lub inny przykład: dział samarytański wyrabia nie tylko chęć i umiejętność niesienia pomocy bliźnim, ale także przytomność umysłu, opanowanie, spostrzegawczość, zaradność (robienie noszy, lupków), szybką decyzję i konsekwencję ruchów (przy bandażowaniu), — zachęca do dbałości o własną higienę. Sprawność wskazydrogi wymaga dokładnej znajomości okolicy łącznie z instytucjami użyteczności publicznej, bo celem jej jest służenie dokładnymi informacjami osobom, ich potrzebującym. Sprawność ta jest związana z wycieczkami terenowymi i krajoznawczymi i ze zwiedzeniem przeróżnych zakładów. To daje realny pogląd na świat, rozwija bystrą orientację. Obozownictwo znów (budowanie kładek, stawianie szałasów i t. p.) prócz tego, iż daje pole do rozwoju dzielności, zaradności, inicjatywy, wytrwałości i samowystarczalności, jest świetną szkołą społecznego współdziałania, przenosi harcerkę z duńskiego miasta w zdrowe warunki życia leśnego, zachęca i daje sposobność do poznania przyrody i t. d.

(Dok. nast.)

## Wiadomości o Polsce.

### Służba pracy w Polsce.

Bezrobocie — straszliwe zjawisko, klęska społeczeństw całego świata, nie jest niestety Polsce obca. Może jest ono tam mniejsze, niż gdzieś indziej, może charakter rolniczy Polski sprawił, iż choroba bezrobocia w słabszym stopniu ją dotknęła, niż inne organizmy państwowe. Niemniej jednak bezrobocie w Polsce istnieje, zmuszając Państwo do prowadzenia z nim jak najenergiczniejszej walki.

Zagadnienie bezrobocia wygląda specjalnie groźnie w odniesieniu do młodzieży. Człowiek starszy nauczył się już życia. Wie, iż wielorakie ono niespodzianki gotuje. Młody wchodzi w świat pełen entuzjazmu i wiary. Znajduje brak pracy. Czuje się niepotrzebny. Gaśnie wiara w życie, zjawia się rozgoryczenie, pesymizm. Zjawia się też demoralizacja.

Walka z bezrobociem na odcinku młodzieżowym — to nie tylko zagadnienie gospodarcze i społeczne. Walka ta — to walka o duszę Narodu.

Polska zrozumiała dobrze, o co gra się toczy, i przystąpiła energicznie do ratowania duszy młodego Polaka. Przypatrzmy się, jak to wygląda.

Jest w Polsce instytucja, specjalnie do walki z bezrobociem i jego skutkami powołana. Nazywa się Fundusz Pracy. W zakres jej działania wchodzi całokształt zagadnień, z bezrobociem związanych.

Fundusz Pracy opiekuje się bezrobotnym już od 15-go roku życia, to jest od wieku, od którego ustawodawstwo polskie pozwala pracować. Bezrobotnym w wieku od lat 15-tu do 17-tu zajmuje się Fundusz Pracy przez biura pośrednictwa pracy dla młodocianych, które sprawują publiczne po-

średnictwo pracy i kierują swych klientów do prac dla tego wieku odpowiednich, zwracając przytem uwagę, żeby praca ta młodocianego robotnika kształciła. Dla bezrobotnej młodzieży w wieku od lat 17-tu do 21 zorganizowana jest ochotnicza służba pracy w formie obozów pracy. O tem chcemy pomówić nieco szerzej.

Obozy pracy prowadzone są przez specjalny dział Funduszu Pracy — Akcję Zatrudnienia Młodzieży. Rekrutacja do Ośrodków Pracy A. Z. M-u, rzecz prosta, dobrowolna, prowadzona jest na terenie całej Polski. Z dotarciem więc do A. Z. M-u kandydat nie ma absolutnie żadnej trudności.

Rekrutacji podlegają kandydaci w wieku od lat 17-tu do 19-tu. Uczestnik ośrodka pracy obowiązany jest do dwuletniej służby, stąd górna granica wieku rekrutacji wynosi 19 lat, gdyż wiek 21 lat jest w Polsce wiekiem poborowym.

Uczestnicy skoszarowani są w Osiedlach Roboczych (O. R.). Jednostką organizacyjną jest Ochotnicza Drużyna Robocza (O. D. R.), licząca 100 uczestników. O. D. R. jest swego rodzaju pułkiem. Uczestnicy O. D. R. są podzieleni na 4 stopnie, nadawane im zależnie od przebytego w O. R. czasu i wykazania się znajomością pewnych sprawności, dla każdego stopnia przewidzianych. Są więc kandydaci, młodszy junacy, junacy i starsi junacy.

Wszyscy uczestnicy otrzymują mieszkanie, wyżywienie, umundurowanie i gażę, zależną od stopnia. Kandydat otrzymuje 30 groszy dziennie, młodszy junak — 40 groszy, junak — 50 groszy i starszy junak — 60 groszy. Prócz tego wszyscy uczestnicy, bez względu na stopień, otrzymują 25 groszy dziennie, która to suma nie jest im wypłacana do ręki, lecz lokowana na imiennych kontach oszczęd-



ności. (Pieniądze te dostają się dopiero do rąk uczestnika, gdy opuszcza O. D. R.

Zaznaczyć trzeba, że są zarówno O. D. R. męskie, jak i żeńskie, na jednakowych zasadach organizacyjnych oparte. O. D. R. żeńskie wykonują, rzecz prosta, inne prace, niż O. D. R. męskie, dla dziewcząt stosowne.

O. D. R. męskie prowadzą przede wszystkim roboty wodne. Rękami junaków są regulowane rzeki, na brzegach ich wznoszone wały przeciwpowodziowe, budowane są wielkie tamy, zapory wodne, jedne z większych w świecie: w Porąbce i w Rożnowie. Układa się nowe szosy, dobywane i obłukane kamienie w kamieniołach, nowe linie kolejowe i mosty. Praca junacka wielce przyczynia się do zwiększenia bogactwa Polski.

Alc to jeszcze nie wszystko. Są O. D. R.-y, które nie prowadzą robót w terenie. Takie zajmują się rzemiosłem. Warsztaty szewskie robią obuwie dla junaków, mechaniczne — produkują łopaty, młoty i kilofy, które junackie ręce budują nową Polskę. O. D. R. rolne prowadzą gospodarstwa rolne, a zebrane płody służą do wyżywienia junackiej braci.

O. D. R. zajmują się przede wszystkim krawiectwem. Junaczki szyją w warsztatach drelichy,

mundury, płaszcze i bieliznę junacką; szyją też sukienki na własny, junaczek użytek. O. D. R. żeńskie prowadzą również warsztaty tkackie, introligatorskie, no i gospodarstwa rolne — szczególnie ogrody i sady.

A choć liczba junaków nie jest stosunkowo wysoka — skoszarowanych jest w O. D. R. 10 tysięcy junaków i tysięcy junaczek — odciążenie najbardziej uboższego elementu wśród młodzieży jest widoczne.

O. D. R. przygotowuje Państwu karnych i uświadomionych obywateli. Bo nie należy pomijać milczeniem wielkiej pracy wychowawczej, jaką A. Z. M. prowadzi. Każda O. D. R. ma instruktora wyszkoleniowego, który ma za zadanie przepracować z junakami pewien kurs wychowawczy, specjalnym programem nakreślony. Wydawane są dwa czasopisma: dla junaków i dla kadry kierowniczej i wyszkoleniowej. Mają O. D. R.-y swoje spółdzielnie spożywców i pracy, mają sądy koleżeńskie, Kółka naukowe i sportowe. Czekają na junaków po pracy godziwa rozrywka w świetlicy, usłyszą tam ciekawy wykład. Poznają piękno kraju na licznych wycieczkach.

Rośnie w O. D. R. nowe pokolenie polskie. Młode, zdrowe, mocne. J. M. Zagórski.

## Nasze sprawozdania

### Za wiarę i ojczyznę.

Młodzież katolicka, zrzeszona w Z. S. M. K., obchodziła w dniach 8 i 9 sierpnia swe pierwsze święto organizacyjne. Hasło „Bóg i Ojczyzna“, pod którego egidą wychowują S. M. K. na terenie całego Śląska swych członków, znalazło uzmysłowienie w I-szym zlocie młodzieży katolickiej, jaki odbył się w wymienionych dniach w Trzynie.

Cała młodzież katolicka zebrała się razem, by nabrać nowych sił i otuchy do dalszej pracy na polu religijno-narodowym. Szczęśliwa myśl organizatorów przerodziła się w potężną manifestację, która długo pozostanie w pamięci uczestników i która pozostawi w ich duszach jasny promień nadziei w lepszą przyszłość.

Już w wieczór poprzedzający właściwą uroczystość, jasne płomienie ogniska, rozpalonego w ogrodzie Czytelni ręką generalnego sekretarza Z. S. M. K. Ks. Karola Maultza, obwieściły okolicy radosną wieść o święcie młodzieży. Samo ognisko pozostawi w sercach uczestników niezatarte wrażenie. Ks. Maultz w porywającym przemówieniu do szeregów młodzieży, stawia ją przed nowym wysiłkiem, nową pracą nad scaleniem i zjednoczeniem całej młodzieży katolickiej pod jednym sztandarem. Wiara, jako jeden z głównych celów naszej pracy organizacyjnej, dopełni nam do utrwalenia naszego życia duchowego i podniesienia go na należyty poziom. Zaś miłość języka ojczystego będzie dla nas więzią, która zesili naszą łączność i pobudzi do ofiarnej pracy dla sprawy narodowej. Z ogniska syjącego snopami iskier w niebo, weźmiemy w serca nasze po iskierce, aby na terenie własnych S. M. K. rozpalili je w żywe ognie miłości wiary i narodu, ofiary i poświęcenia dla wspólnej sprawy.

W niedzielę 9 sierpnia rano zadrżał Trzynieć od dziarskich kroków esempiaków, którzy w imponującym pochodzie, w cieniu sztandarów, przy dźwiękach orkiestry, śpieszyli do kościoła złożyć powinnemu hołd Bogu. Przed oczyma widza przesuwała się barwna mozaika szeregów młodzieży obojga płci w efektownych czapkach organizacyjnych, która to młodzież z podniesioną głową manifestowała swe uczucia katolicko-polskie. Na widok tego karnego hufca, rosło w piersiach serce i napępniało się otuchą w zwycięstwo jego idei przewodniej i rosło przeświadczenie, że oto idzie nasza przyszłość. Przyszłość jasna, jak te młode oblicza, szczęśliwa jak ich młodość i czysta jak serca bijące żarem uczucia w młodych piersiach.

W kościele Ks. Maciejczek wygłosił do młodzieży podniosłe kazanie, wskazując jej właściwy cel działalności organizacyjnej. W osiągnięciu tego celu niech będą dla nas bodźcem słowa patrona młodzieży katolickiej Św. Stanisława: Do wyższych celów jestem stworzony. A więc sięgajmy tam, gdzie wzrok nie sięga i żyjmy, jak prawdziwe dzieci Chrystusa, dzieci swego narodu. Po skończonym nabożeństwie, kiedy zlocista monstrancja z Utajonym błysnęła nad głowami skupionej młodzieży, wtedy mimowoli przychodziły na myśl słowa poetki Mączyńskiej:

Pochyliły się z chrzestem sztandary

I łan młodych pochylił się głów

a z dusz wyrывało się ślubowanie:

Myśmy Chryste Twej wiary rycerze

Myśmy Chryste Twój młodzieńczy huf.

Po nabożeństwie odbyło się zebranie zlotowe w sali Czytelni katolickiej. Tu p. kier. Lipka w treściwym i obiektywnym referacie religijno-organizacyjnym pobudził zebraną młodzież do intensywnej pracy dla dobra kościoła i narodu. My



młodzież katolicka i polska, stoimy twardo i nie-  
ustępliwie przy naszych zasadach i tym zasadom  
zostaniemy wierni za wszelką cenę. W czasach  
dzisiejszego chaosu, którego początków trzeba  
szukać w rozluźnieniu się zasad moralności, my  
młodzi zdecydowanie bronąć będziemy ideologii  
chrześcijańskiej i narodowej. Naszych przekonań  
narodowych nie zdradzimy i walczyć będziemy  
i chcemy razem z innymi, jako równi z równymi  
o nasze prawa mniejszościowe i chleb dla naszych  
bezrobotnych, usuwanych celowo na drugi plan  
przy podziale pracy. Żadamy od współpracowników  
w sprawie narodowej zrozumienia i szacunku dla  
naszych haseł, gdyż tylko drogą wzajemnej tole-  
rancji i zgody zdobyć możemy dla naszej sprawy  
pomyślne rozwiązanie.

Złot cały odbył się w duchu nadzwyczaj pod-  
niosłym i uroczystym. Uczestnicy odnieśli do  
swych środowisk poczucie siły, jedności i karności  
organizacyjnej.

Niech ten pierwszy w dziejach naszej młodzie-  
ży katolickiej złot rozpali w naszych szeregach  
gorącą miłość Boga i narodu. Niech stanie się  
dla nas syntezą odrodzenia duchowego. W każdej  
pracy dla społeczeństwa polskiego i katolickiego  
przyświecać nam będą przykłady działalności na-  
szych bohaterów narodowych oraz słowa jednego  
z wodzów naszej młodzieży katolickiej:

Ty młodzieży, wznos szczyty  
Strzeż języka, strzeż swej wiary.  
Bo kto ojców skarb ten spodli,  
Darmo się do Boga modli!



Foto Elsner, Cz. Cieszyn.

Przodownik i przodownica (p. Kluzówna i p. Niedoba)  
na Dożynkach Tow. Rolniczego w niedzielę, 23 VIII 1936.



Foto Elsner, Cz. Cieszyn.

Nauczycielki i uczennice Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego  
w Końskiej na Dożynkach Tow. Rolniczego.



Foto Elsner, Cz. Cieszyn.

Żniwiarki w pięknych śląskich strojach ludowych w po-  
chodzie dożynkowym. Są to uczennice szkół okręgu trzy-  
nieckiego, które w Parku Sikory wykonały prześliczne  
ćwiczenia rytmiczne z sierpami. Pokaz ten został utrwa-  
lony na filmie, który wyświetlany będzie w najbliższym  
czasie.

## Książki mówią.

### Nagrodzone powieści.

Dla uczczenia 25-lecia swego istnienia »I. K. C.« (Il-  
ustrowany Kurjer Codzienny) ogłosił wielki konkurs na po-  
wieść polską, przeznaczając na ten cel pokątną sumę 28.000  
złotych, z czego 20.000 przeznaczono na nagrody, a pozo-  
stałe 8.000 na honoraria za prawo druku nagrodzonych utwo-  
rów. Organizatorom konkursu chodziło o ujawnienie i wpro-  
wadzenie na łamy pisma nowych talentów.

I w rzeczy samej wśród nagrodzonych spotykamy  
prawie same debiuty, a nagród jest jedenaście. Jednocześnie  
zaś wśród powieści odznaczonych spotykamy wiele już  
znanych nazwisk.

Jury konkursu podjęło nielatwe zadanie, na konkurs  
bowiem nadesłano aż 532 prace.

Przyjrzyjmy się chociaż pobieżnie planowi konkursu,  
zanim zdolały się zapoznać z samymi utworami po ich  
wydrukowaniu.

1-sza nagroda w kwocie 5.000 złotych przypadła po-  
wieści »Marcyna«. Autorem jest włościanin-malarz **Juliusz**  
**Kędziora**, zamieszkały w Bronowicach pod Krakowem (miej-  
scoowości słynnej już z »Wesela« Wyspiańskiego). Temat  
powieści wzięty jest z wsi, powieść pisana jest gwara  
krakowską.

2-gą nagrodę (4.000 zł.) otrzymał **Gustaw Morcinek**,  
znany pisarz śląski, za powieść p. t. »Inżynier Szeruda«.  
Tematem powieści jest życie górników.

3-cią nagrodę (3.000 zł.) dostała **Helena Krumpel-Za-  
krzewska** za powieść p. t. »Dziecko czerwone«, osnutą na  
tle rewolucji bolszewickiej i przeżyć dziecka z polskiego  
domu, przystosowującego się do nowych warunków.

4-tą nagrodę (2.000 zł.) przypadła **Edwinowi Jędrkle-  
wiczowi** za »Droga z Mortynowic« — powieść współczesno-  
obyczajowa z życia prowincji.

5-tą nagrodę zdobyła **Anna Borowikowa** za »Matkę  
z Kaługi«, tematem której jest kwestja zakłamania życiowego.

6-tą nagrodę (1.000 zł.) przypadła **Stefanowi Balickiemu**  
(znanemu u nas ze świetnych, zwiezłych nowel) za powieść  
»Czerw«, obrazującą dzieje dojrzewania młodego chłopca,  
kończące się złamaniem moraliem.

7-mą nagrodę (900 zł.) przyznana została **Władysławowi**  
**Pawlakowi** za »Kamienicę wielkiego młasta«, malującą świat  
robotniczy.

8-mą nagrodę (800 zł.) otrzymał **Antoni Dąbczyński** za  
»Haszysz czarnego ładu« — powieść egzotyczną z wybrzeża  
i Afryki Centralnej.

Nagroda 9-ta przypadła **Tadeuszowi Kudlińskiemu** za  
powieść p. t. »Rumienice wolności« — będącą kroniką histo-  
ryczną porozbiorowych ruchów wolnościowych.

Nagrodę 10-tą (600 zł.) przyznano **Eugeniuszowi Gołę-  
bowskiemu** za powieść p. t. »Izlo«, osnutą na tle obyczajowo-  
rodzinnem.

Nagroda 11-ta przypadła **Julii Ryłskiej** za powieść »Gdzie  
ty jesteś Jaslu«, wbrew oczekiwaniu na podstawie tytułu,  
nie ludowa, ale rozgrywająca się na tle przedwojennego  
Paryża.

Wśród 31 odznaczeń spotykamy nazwiska znanych au-  
torów: Ossendowskiego, Szpyrkówny, Górskiej (Pii) Kiew-



narskiej, Marlicza, Swiderskiej, Zaniewickiego i t. p. Rzecz ciekawa, że odznaczoną została również powieść **Marli Kędziorzyny** »Miłość bliźniego«, żony autora »Marcyny«, nagrodzonego pierwszą nagrodą.

W każdym bądź razie plon konkursu jest urozmaicony i ciekawy, podobne zaś imprezy są niewątpliwie pobudką twórczą dla autorów.

Byłoby pożądaną, aby i Polonia Zagraniczna brała udział w podobnych konkursach, gdzie temat emigracyjny byłby nietylko bardzo na czasie, ale mógłby dać początek polskiej literatury emigracyjnej, poruszającej cały szereg zagadnień zarówno bardzo ważnych, jak i ciekawych pod względem psychiki zbiorowej mała — jak dotąd — znanego ogółowi Polaków środowiska Polaków zagranicznych.

\* \* \*

### Od wydawnictwa.

Zwracamy się z prośbą do tych abonentów i sprzedawców, którzy jeszcze mają zaległości, by je raczyli wpłacić w jak najkrótszym czasie.

\* \* \*

### Odpowiedzi Redakcji.

**Greg. Lud.** Slabe, jak temat, tak i ujęcie, pozatem dużo sprzeczności. Trzebaby całkowicie przerobić. Nie umieścimy.

**N. K. Stonawa.** Prenumerata wyrównana do 30 VI b. r. »Afka«. Należytość za pobrane »Ogniwa« do 31 VII b. r. wynosi Kcz 36.50.

\* \* \*

### Walne Zgromadzenie Zrzeszenia Organizacji Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji.

Przypominamy, że Konstytuujące Walne Zgrom. Zrzeszenia Organ. Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji odbędzie się dnia 5 września b. r. o godz. 15-tej w sali posiedzeń „Polonii.“

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Odczytanie ostatn. protokołu Komitetu Z.O.M.P.
3. Sprawozdanie z działalności Komitetu Z.O.M.P.
4. Wybór Władz.
5. Program pracy (referat).
6. Wnioski i życzenia.

W myśl zatwierdzonych już statutow, każda naczelną organizacją młodzieżową, wchodząca w skład Z.O.M.P., a więc Zw. Pol. Chórów, Z.S. M.K., Z.Z.E.M., Harcerstwo, Zw. Klubów Sport., Jedność, Zw. Absolwentek Końszczanek, Macierz Szk. (sekcje Kółek Samokształcenia), Sokół (sekcja młodzieżowa), Beskid Śl. (sekcja mł.), Tow. Rolnicze (sekcja mł.), wysyłają na Walne Zgromadzenie po 5 delegatów.

KOMITET PRZYGOTOWAWCZY Z.O.M.P.

\* \* \*

**DZIEŃ SPORTOWY.** Połączone Towarzystwa wychowania fizycznego »Beskid Śląski«, »Harcerstwo«, »Sila«, »Sokół« i »Związek P. K. S.« urządzają dnia 6 września w Karwinie na boisku P. K. S. Polonia wielki **Dzień sportowy**. Program obejmuje lekką atletykę, turniej siatkówki i mecz piłkarski dorosłych P. K. S. Polonia — S. K. Karwina. Zawody zaczną się o godz. 8.15 biegiem okrężnym (4 km), potem nastąpią inne konkurencje lekkoatletyczne jak 1500 m, 100 m, pchnięcie kulą, rzut oszczepem i dyskiem, skok wdal, wżwyz i tyczka. Dzień sportowy będzie walką o prymat w lekkiej atletyce zawodników pięciu organizacji polskich na Śląsku. Będzie to nasza Olimpiada lekkoatletyczna. Dla tego kto choć trochę czuje w sobie nerw sportowy ten 6 września przychodzi do Karwiny na boisko Polonii. F.

**Cz. Cieszyn.** Chór Męski Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie zawiadamia niniejszem, że poczynając od dnia 2 września b. r. próby odbywają się normalnie co tydzień w środy o godzinie 20 wieczorem w szkole wydziałowej. Przygotowuje się program na uroczystość 5-letniego trwania Chóru — wobec czego obecność wszystkich członków od pierwszej próby jest konieczna.

»**Polacy Zagranicą**«. Dochodzą nas z różnych stron wiadomości, że ostatni numer »Polacy Zagranicą« w wielu wypadkach nie doszedł do rąk adresatów. Ażeby przeprowadzić wspólny urgens prosimy wszystkich tych, którzy powinni dostać, a nieotrzymali ostatni numerów, o zgłoszenie tego do dnia 15 września b. r. w sekretariacie do rąk E. Potysza, Cz. Cieszyn, Polonia.

**Mistrzowice.** Miejscowe połączone towarzystwa polskie urządzają w niedzielę 6 września 1936 w »Dębinie« p. P. Pelara festyn. Początek o godz. 2 po południu od szkoły polskiej. W razie niepogody festyn odbędzie się na »Fibakówce«. Szan. Rodaków z dalsza i bliska jak najserdeczniej zaprasza

Komitet festynowy.

**Żywocice.** W niedzielę 6 września b. r. urządzają miejscowe polskie towarzystwa festyn o godz. 2 po południu obok Domu Robotniczego. Przyjaciół i sympatyków jak najuprzejmiej zaprasza

Komitet festynowy.

**Rejestracja wojskowa obywateli polskich, zamieszkałych na terenie morawsko-śląskim, urodzonych w r. 1918** odbywa się w czasie od 1 do 30 września b. r. w Konsulacie Rzplitej Polskiej w Mor. Ostrawie. W tym samym czasie odbywa się rejestracja wojskowa wszystkich obywateli polskich, urodzonych w latach 1886 do 1918, którzy dotychczas do rejestracji się nie zgłosili. Rejestracja ta jest obowiązkowa. Osobom, które nie uczynią zadość wezwaniu, grozi po powrocie do kraju kara (areszt lub grzywna).

\* \* \*

### Kącik szachowy.

**Czarni:** Kd<sub>6</sub>, Wd<sub>1</sub>, Gb<sub>4</sub>, Se<sub>8</sub>, Sg<sub>7</sub>, Pc<sub>5</sub>, f<sub>6</sub> (7).



**Biali:** Kd<sub>7</sub>, Hb<sub>1</sub>, We<sub>1</sub>, Gc<sub>3</sub>, Gf<sub>1</sub>, Se<sub>6</sub>, Pa<sub>5</sub>, f<sub>5</sub>, (8).

Mat w 2 pociągnięciu.

### Rozwiązanie z Nr. 14.

**Biali:**

1. Wh<sub>3</sub>-f<sub>3</sub>
2. Sf<sub>7</sub>-g<sub>5</sub> i mat.
1. . . . .
2. Hh<sub>1</sub>-b<sub>1</sub> i mat.
1. . . . .
2. Wg<sub>2</sub>-e<sub>2</sub> i mat.
1. . . . .
2. Hh<sub>1</sub>-h<sub>7</sub> i mat.
1. . . . .
2. Wg<sub>2</sub>-g<sub>4</sub> mat.

**Czarni:**

1. Ke<sub>4</sub>×f<sub>3</sub> lub Pe<sub>6</sub>-e<sub>5</sub>
1. Gd<sub>1</sub>×f<sub>3</sub>
1. Giermek dowolnie, lecz inaczej aniżeli w poprzednim pociągnięciu.
1. Sh<sub>2</sub>×f<sub>3</sub>
1. Skoczek ciągnie inaczej.

\* \* \*





Płotkarz olimpijski kładzie się do łóżka.

\* \* \*

## Chuda czy gruba?

Jaka żoneczka bywa bardziej luba,  
Jeżeli chodzi o kobiety tuszę?  
Najwięcej zalet wykazuje gruba,  
Grubej pierwszeństwo zawsze przyznać muszę.

Chuda ci nieda zasnąć przed północą  
A już od świtu trajkotanie rada.  
Gruba lenistwa zmożona niemocą  
Śpi bardzo długo więc przez to mniej gada.

Chuda koścista gdy cię dotknie ręką  
To często w oczach stają ci gwiazd krocie.  
Gruba ma rękę jak poduszka miękka,  
Więc uderzenie jej równe pieszczocie.

Chuda ci węgla zużyje dwa wozy,  
Bo się rozgrzewa ciężko i pomału.  
Gruba, zimowe gdy nadejdą mrozy,  
To znaczy zawsze: oszczędność opału.

Więc przeciw prawdzie bynajmniej nie grzeszę,  
Jeśli moralu taką znajdę próbę:  
W czasach, gdy wszyscy mamy chudą kieszeń,  
Niech nasze żony będą chociaż grube.

Henryk Zbierzchowski.

\* \* \*

## Drugi raz nie.

— Powiedz, kochany, czy gdybyśmy byli młodzi jak wówczas, ożeniłbyś się znowu ze mną?  
— Nie zakłócaj lepiej spokoju, jaki panuje między nami.

\* \* \*

## Inny pogląd.

— Jeżeli będę miał syna pozbawionego inteligencji oddam go do szewca.  
— Widzę, że pan ma na tę sprawę inny pogląd niż pański ojciec.

\* \* \*

## Bismarck i Wilhelm I.

Bismarck zażądał kiedyś od cesarza Wilhelma I dymisji pewnego ministra.

— Co pan ma mu do zarzucenia? — zapytał cesarz.

— Nic, tylko to, że jest głupi! — odparł żelazny kanclerz.

— Dla pana każdy jest głupi — powiedział wówczas Wilhelm I — wiem, że i mnie pan uważa za głupiego, ale mimo to pozostanę na swoim stanowisku.

\* \* \*



Tragedja regat wioślarskich  
czyli

Głos swego pana.

\* \* \*

## Przyjaciółki.

Emilia spotyka się z Anielcią na ulicy.

— Oho — mówi Emilia — co za szyk! —  
Idziesz pewno do teatru?

— Nie.

— Albo na koncert?

— Nie.

— Zaproszono cię?

— Nie.

— Ph... sądzisz może, że mnie interesuje, dokąd ty idziesz?

\* \* \*

## Pretensja.

Do komisariatu wpada jakiś osobnik i woła zirytowanym głosem:

— Co to ma znaczyć, do diabła! Czy jestem pod dozorem policji, czy nie? Przed chwilą wpadłem pod samochód, który o mało mnie nie przejechał. Więc to tak policja mnie pilnuje. Ładne porządki! Niema co!...

\* \* \*



Logika kobleca.

— Wybacz Pani! To katar sienny! Zaraz kichani, gdy poczuje woń siana, albo gdy w pokoju znajdują się kwiaty.  
— Ależ to kwiaty sztuczne, proszę pani.  
— Ale zanedo podobne do prawdziwych.



# Ogniwo

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*  
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-*  
*MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## 10-lecie „Jedności“



Chór »Jedności« podczas swej tegorocznej bytności w Warszawie podejmowany przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy.

W dniu 12 września b. r. obchodzi 10-lecie swego istnienia Związek Akademików Mniejszości Polskiej w Czechosłowacji „Jedność“. Z tej okazji Związek miał zamiar wydać jednodniówkę. Ze względu jednak na to, że taka jednodniówka ma bardzo krótki żywot, a materiał w niej umieszczony ginie po kilku latach prawie, że bezpowrotnie, w porozumieniu

z Wydawnictwem „Ogniwa“ postanowiono odstąpić od myśli wydania jednodniówki, a materiał umieścić w „Ogniwie“. Obecny numer o objętości 20 stron jest więc w głównej swej części poświęcony „Jedności“. Następny numer „Ogniwa“ wyjdzie znowu normalnie w dniu 1 października.

Redakcja.



## Życzenia Świat. Zw. Pol. z Zagr. dla „Jedności“



Dr. Bronisław Helczyński  
Wiceprezes Światowego Związku Polaków z Zagranicy.



Stefan Lenartowicz  
Dyrektor Światowego Zw. Polaków z Zagranicy.

*Stowarzyszeniu „Jedność“ w Czechosłowacji i Przemysłowcom  
jego przetrwania i egzystencji, by trudne warunki pracy nie osłabły,  
lecz samogłębokość ducha i sprężystość pracy społeczno - narodowej -*

*Przewodniczącemu  
Kierownikowi Światowego Związku Polaków  
z Zagranicy.*

Z okazji Jubileuszu „Jedności“ przesyłam Polskiej Młodzieży Akademickiej w Czechosłowacji najserdeczniejsze życzenia.

Niechaj „Jedność“, wierna pięknym tradycjom pracy społecznej dawnych generacji młodzieży polskiej na Śląsku Cieszyńskim - nadal krzewi umiłowanie ojczystej kultury.

„Jedność“

Vivat - floreat - crescat!

*Lenartowicz*  
/Stefan Lenartowicz/





ADOLF FIERLA.

## Jedność.

**W** jedno spleatamy dłonie  
i myśli w jeden kościół, —  
sami my w sobie jedno  
i sami my jednością.

W jednym ognisku myśli,  
i ramion młodych wzloty, —  
idziemy przed Narodem  
dzień Mu nieść, słońcem złoty.

Zawsze i wszędzie jedno,  
przez szczęście i przez nędzę, —  
idziemy gromkim głosem  
Sny budzić o Potęgę.

Idziemy młodą duszą  
słabość daleko wynieść,  
i wszelką dolę Jutra  
widzieć i tworzyć w Czynie.

Idziemy ten Czyn krzesać  
sercem, — mocarnym młotem,  
i nim rozkruszać boleść  
i śmieszna dusz tęsknotę.

Niech Czyn nad ziemią zagra  
burzą, co zbudzi śpiące,  
i niechaj się rozśpiewa  
jak wichur w młode słońce.

Aby w Nim każdy poznał  
swą duszę i swe miano,  
i niem szedł w podbój świata,  
jak szablą, w krwi skąpaną.

Więc naprzód, wszyscy z wiarą  
pod tęczę nieść granity!  
Jednością zgodną silni,  
z chmur rąbiem złote świty.

Rozleją się, rozżarzą,  
jak ogień się rozżłocą,  
i gorzeć będą Ziemi  
wieczystą swoją mocą.

W.

## Polacy na całym świecie złączeni wspólną ideą.

Polska jest wszędzie. Na całym świecie, w najdalszym zakątku, gdzie choć jedno serce polskie bije, jest Polska. Bo wszyscy Polacy złączeni są wspólnym, potężnym ogniwem miłości Ojczyzny. Dobrze imię polskiego narodu, jego dostojna wielkość i siła twórcza kultury polskiej są wspólnym dobrem wszystkich Polaków, mieszkających zdaleka od Ojczyzny.

„Jedność“ poczuwa się do przynależności do tej wielkiej rodziny, złączonej tak piękną ideą. Dała temu wyraz w zjeździe Polskiej Młodzieży Akademickiej w r. 1931 w Berlinie, zadokumentowała to w I-szym zlocie Młodzieży Polskiej z Zagranicy w Warszawie.

Cała praca Polonii zagranicznej ogniskuje się w Światowym Związku Polaków z Zagranicy, proklamowanym na zjeździe w 1934 r. I „Jedność“ będzie się starała, do budowy potężnego gmachu Polski Światowej dołożyć swoją cegiełkę.

To też z wielką radością zamieszczamy gratulacje kierownikom tej Światowej Organizacji, pp. prezesa Dra Hełczyńskiego i dyr. Stefana Lenartowicza w „Ogniwie“, wydanym z okazji 10-lecia „Jedności“.

W dniu naszego 10-letniego jubileuszu wyrażamy życzenie, aby wielka idea jedności Polonii zagranicznej znalazła swe przychylne echo na całym świecie.



## Szkic historyczny „Jedności”.

Trudno pisać historię organizacji, której działalność jest objęta okresem zaledwie 10 lat, a więc kiedy się jej dzieje w ścisłym tego słowa znaczeniu nie zaczęły, bo żyją jej założyciele i członkowie. Toteż w szkicu niniejszym będziemy zmuszeni do podania zarysu ogólnego, ograniczając się do pewnych charakterystycznych i ważniejszych momentów z życia „Jedności”.

Zanim przystąpię do właściwego tematu, muszę się usprawiedliwić. Materiał, który mógł by służyć do odtworzenia dziejów „Jedności” nie zachował się w całości. Stąd też z braku materiału źródłowego, którego nie można stworzyć, wiele ważnych momentów mogło zostać niezupełnie naświetlonych, lub wręcz pominiętych. Przedewszystkiem zupełny brak źródeł z pierwszych dwu lat istnienia organizacji nie pozwala nam na ustalenie ścisłej daty jej założenia. Na podstawie informacji, uzyskanych od członków założycieli, kol. Dr. Józefa Tkacza i inż. Jana Heczki i na podstawie notatek zawartych w późniejszych sprawozdaniach, możemy ustalić, że „Jedność” zawiązała się we wrześniu 1926 r. Po zatwierdzeniu statutu przez władze, Konstytuujące Walne Zebranie odbyło się w styczniu 1927 r.

Powołanie do życia „Jedności” nie było wyłącznym aktem woli jednostki, lub jakiejś grupy ludzi, ale genca jej sięga czasów dawniejszych, życia organizacji narodowych młodzieży szkół średnich na Śląsku Cieszyńskim. Mamy na myśli Towarzystwo Narodowe i Wzajemność (1861 do 1880) oraz Jedność, wyrosła na ich miejscu (1886—1914). Organizacje te chlubnie zapisały się w historii odrodzenia Śląska Cieszyńskiego. Naturalnym następstwem tego stanu rzeczy było powstanie „Znicza”, organizacji skupiającej polską młodzież akademicką, rozproszoną po różnych uczelniach. O powstaniu „Znicza” zadecydowała potrzeba trwalszego łącznika, zespalającego młodzież akademicką.

Po przewrocie, młodzież akademicka, pochodząca z części Śląska, przydzielonego Czechosłowacji, studiując prawie wyłącznie na wyższych uczelniach w Polsce. Z natury rzeczy wstępuje w szeregi „Znicza”, posiadającego piękną kartę w dziejach odrodzenia Śląska. Społeczeństwo nasze zaczyna jednak stopniowo rozumieć, jakie znaczenie dla życia narodowego posiada rodzima inteligencja, mogąca po ukończeniu studiów pracować wśród swojego ludu. Na uczelnie czeskie udaje się rokrocznie coraz większa ilość absolwentów gimnazjum. Młodzież ta zaczyna coraz mocniej odczuwać brak spójni, która by ją łączyła w nowowytworzonych warunkach.

Brakowi temu postanawia zaradzić pewne grono kolegów z Dr. Józefem Tkaczem i inż. Janem Heczką na czele. Dzięki ich staraniom powstała polska organizacja akademicka na naszym terenie, która przyjęła nazwę „Jedność” Związek Akademików Śląska Cieszyńskiego. Pierwszym zarządem nowej organizacji kierował kolega Józef Tkacz.

Zarząd ten miał początkowo wielkie trudności do zwalczania. Nie dość, że musiał pokonywać trudności organizacyjne, ale walczyć musiał z nieufnością społeczeństwa i biernością członków.

Siedzibą związku była początkowo Orłowa, zmieniona jeszcze w tym samym roku na Cieszyn. Podstawą „Jedności” od chwili założenia był zespół chórówy. Już w czasie wakacyj letnich 1926 r., koledzy studjujący w Krakowie, zrzeszeni w kółku śpiewaczym „Hasło”, występują z kilkoma koncertami na terenie Śląska pod firmą „Jedność”.

W myśl § 6a statutu celem związku jest szerzenie oświaty i kultury wśród ludności polskiej w Czechosłowacji. Realizację tego widzimy przez cały okres dziesięciolecia w działalności organizacji. „Jedność” utrzymuje od początku żywy kontakt z Macierzą Szkolną, naczelną organizacją kulturalno-oświatową. Również bliskie stosunki utrzymuje z innymi organizacjami na terenie Śląska. Specjalną serdecznością nacechowany jest stosunek „Jedności” do jej starszego brata „Znicza”.

W drugim roku administracyjnym, za prezesury kol. Inż. Jana Heczki „Jedność” nie zaniedbuje żadnej sposobności, w której by mogła podkreślić swoją aktywność. O żywotności związku świadczy tournée artystyczne chóru po Słowacyznie, podczas którego nasza młodzież akademicka była przyjmowana z entuzjazmem przez bratnią ludność słowacką.

W następnym roku rozpiętość działalności związku stopniowo wzrasta. Obok sekcji chórowej, na widownię przychodzi sekcja dramatyczna. Sekcja ta rozwija energiczną działalność, zaznaczając się urządzaniem przedstawień teatralnych na terenie całego Śląska, począwszy od Jabłonkowa aż po Bogumin.

Członkowie Związku rekrutują się przeważnie z warstw średniozamożnych, lub niezamożnych. Koszta studiów są dla niejednego ciężarem ponad siły, dlatego „Jedność” i na tym polu przychodzi z pomocą swym członkom. Zarząd z r. 1929 za prezesury kol. dr. Bajorka utworzył sekcję samopomocową, w skład której obok członków związku weszli: jako prezes dyr. Piotr Feliks, kurator „Jedności”, a jako skarbnik dr. Jan Buzek, wypróbowany przyjaciel młodzieży akademickiej. Sekcja samopomocowa, przemianowana później na Komitet Pomocy Akademika niejednemu członkowi związku swoją wydatną pomocą umożliwiła studia. Zarząd kol. dr. Bajorka, obok pracy nazewnątrz i akcji samopomocowej musiał się zająć uporządkowaniem administracji związku, która przez całe poprzednie dwa lata szwankowała. Za jego kadencji zaczyna do naszego związku docierać wniosła idea łączności z Macierzą ludności polskiej, mieszkającej poza granicami Rzeczypospolitej. „Jedność” podpisuje deklarację przystąpienia do Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy w Warszawie, naczelnej organizacji, skupiającej 8-milionową rzeszę Polaków, rozsianych po wszystkich zakątkach świata, obecnie działającej pod nazwą Świat. Związek Polaków z Zagr. „Jedność” nawiązała kontakt z Związkiem Polskiej Młodzieży Akademickiej Litwy, wymieniając z nim sprawozdania i program pracy. Od 7 do 15 sierpnia urządził Związek wycieczkę na P. W. K. do Poznania, poczem zwiedził Gdynię, Hel i Gdańsk. W czerwcu 1930 r. związek wysłał 2 delegatów na konferencję akademickich organizacji polskich z za-



granicy, która odbyła się w Warszawie, dnia 2 i 3 czerwca. Na konferencji postanowiono założyć Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej z Zagranicy, w skład którego weszły organizacje akademickie 5 ościennych państw: Litwy, Łotwy, Rumunii, Niemiec i Czechosłowacji. Sekretarzem konferencji był ówczesny prezes „Jedności” kol. Jan Zielina.

Z działalności związku za prezesury kol. Jana Zieliny na specjalną uwagę zasługuje kolonia chórowa, urządzona w Keżmarku na Spiszu. Podczas kolonii urządzono 3 koncerty w poszczególnych miejscowościach spiskich, przy czym nie omieszkało nawiązać bliższej znajomości z ludnością miejscową, która na każdym kroku z entuzjazmem przyjmowała naszą młodzież akademicką, podkreślając w ten sposób swoje zainteresowanie bratnią ludnością polską ze Śląska.

W r. 1931 zarząd pod kierownictwem kol. Pawła Rusza wykazuje wzmoczoną działalność dla dobra organizacji i sprawy polskiej na Śląsku. Poza tournée koncertowym na G. Śląsku, trwającym od 11/IV do 13/IV 1931 r. chór bierze udział w uroczystości poświęcenia polskiej szkoły ludowej w Bystrzycy-Pasiekach, podkreślając ponownie jednolitość i zgodność z poczynaniami całego społeczeństwa. W czasie Zielonych Świąt, 24 marca odbył się zjazd Związku Pol. Młodzieży Akademickiej z Zagranicy w Berlinie, na którym Związek się ukonstytuował. Do rady naczelnej Związku wszedł kol. Paweł Rusz, jako zastępca. Na zjeździe berlińskim, delegaci poszczególnych państw uchwalili następującą rezolucję:

1. Każdy akademik Polak studiuje i pracuje na terenie swego kraju urodzenia.

2. Praca musi być oparta na zasadach aparytynych.

3. Źródłem ideologii jest dawna mickiewiczowska idea filarecka.

4. Studia swe traktuje młodzież z odpowiedzialnością, aby mogła służyć ludowi polskiemu.

5. Młodzież akademicka nie zrywa węzłów z ludem.

6. W każdym kraju tworzy młodzież akademicka swą naczelną organizację.

Zarząd „Jedności” z r. 1931/32 za prezesury kol. Jana Kuboka wykazuje w dalszym ciągu dbałość i dobre imię akademika, jako pracownika dla ludu polskiego na Śląsku.

W następnym roku prezesem związku zostaje ponownie wybrany kol. Jan Kubok. Najważniejszym momentem w tym roku jest powstanie sekcji praskiej „Jedności”, zatwierdzonej przez Walne Zebranie 30 lipca 1932 r.

Z powodu ogólnego kryzysu gospodarczego i co za tem idzie braku gotówki w kasie związku, sekcja dramatyczna i chórowa nie wykazywały żywszej działalności. Ten stan obniżenia lotu „Jedności”, spowodowany mniejszą aktywnością związku na zewnątrz trwał również za prezesury kol. Andrzeja Ofioka w r. 1933/34. Godny zanotowania jest pobyt 10 kolegów na jednomiesięcznym obozie żeglarskim w Jastarni. W pracy wewnętrznej na uwagę zasługują dwie akademie z okazji 250-lecia zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem, urządzone przez sekcję praską w Suchej Górnej i Trzyńcu. Za zasługi dla związku mianowano pp. dyrektora Piotra Feliksa, kuratora „Jedności” i konsula R. P. Karola Ripę członkami honorowymi.

Zasadniczy i właściwy zwrot na lepsze w pracy terenowej związku następuje w roku następnym za prezesury kol. Gustawa Taraby. Pracę chóru i sekcji dramatycznej ruszyła z zastój 10-dniowa kolonia w Jabłonkowie. Sekcja dramatyczna pod sprężystym kierownictwem kol. A. Gajdicy przygotowuje wartościowe sztuki teatralne. Podczas Świąt Bożego Narodzenia 1934 r. „Jedność” urządziła 5 imprez, z których na wyszczególnienie zasługują przedstawienia komedii Fredry „Śluby Panieńskie”, stojące na wysokim poziomie artystycznym. Sekcja chórowa pod kierownictwem niezmordowanego naczelnego dyrygenta „Jedności” kol. K. Dziadury wzięła udział w kilku imprezach, urządzonych na terenie.

W r. 1935/36 „Jedność” wkroczyła do pracy pod hasłem „frontem do społeczeństwa”. Cały wyśiłek zarządu z prezesem kol. Władysławem Palowskim na czele był skierowany pod kątem pracy, mającej na celu polepszenie doli i utrzymanie świadomości narodowej naszego ludu. Do wzmoczenia aktywności związku przyczyniła się 12-dniowa kolonia w Jabłonkowie, w wyniku której grupa akademicka, złożona z 30 osób wyruszyła na 9-dniową wędrowkę od wsi do wsi. Kolonia trwała od 1—12 lipca 1935 r., wędrowka od 13—21 lipca. Podczas wędrowki urządzono 8 wieczornic, na program których złożyły się występy chórów, referaty, deklamacje i występy sekcji dramatycznej, poczem następowała zabawa towarzyska, podczas której koledzy mieli możliwość zetknięcia się z najszerszymi warstwami naszej ludności, poznać jej bolączki i postulaty. Wędrowka była podkładem i wskaźnikiem naszej pracy na przyszłość. Wydział rozszerzył owocną działalność we wszystkich kierunkach. „Jedność” występowała na imprezach, urządzanych przez polskie towarzystwa w poszczególnych miejscowościach, członkowie wygłaszali referaty na kółkach samokształcenia, zacięsniono węzeł przyjaźni z bratnimi organizacjami akademickimi z Niemiec, przyjmując na Śląsku 3 przedstawicieli młodzieży polskiej z Rzeszy. Sekcja teatralna wyćwiczyła doskonałą komedię „Papierowy kochanek”, którą wystawiła w kilku miejscowościach, sekcja chórowa wzięła udział w konkursie chórów w Cz. Cieszyńskie, zorganizowanym przez Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji. Dnia 7 września 1935 Walne Zebranie mianowało członkiem honorowym „Jedności” wicewojewodę śląskiego p. Leona Malhomine’a. Zarząd w tym roku był wyjątkowo dobrany. Składał się bowiem z członków energicznych, którzy z poświęceniem pracowali dla dobra sprawy narodowej.

W roku ostatnim, jubileuszowym praca zarządu, którego kierownictwo powierzono kol. Janowi Adamusowi idzie po linii, wytkniętej przez zarząd poprzedni. „Jedność” wyjechała z początkiem lipca na kolonię nadmorską do Legionowa Morskiego na Helu. Kolonia ta dała piękne wyniki, których sprawdzianem jest bogaty program, przygotowany przez sekcję chórową i sekcję dramatyczną. Chór wystąpił z koncertami w kilku miejscowościach nadmorskich. Jego niezaprzeczonym sukcesem jest występ w rozgłośni toruńskiej i warszawskiej. Sekcja dramatyczna wyćwiczyła „Spisek koronacyjny” z III aktu Kordiana J. Słowackiego i doskonałą komedię Roxy, którą wystawiła w Górnej Suchej, dnia 5 września 1936 r. Zarząd przygoto-



wuje uroczystości jubileuszowe, które odbędą się 12 września 1936.

Na zakończenie, w uzupełnieniu działalności związku, należy wyszczególnić tradycyjne imprezy, urządzane bez przerwy każdego roku. Na czołowych imprez wysuwa się tradycyjny bal „Jedności“, urządzany w okresie karnawałowym. Dalej Wigilijka, której najciekawszym punktem są sprawozdania, wygłaszane przez członków, studiujących w poszczególnych ośrodkach akademickich. W okresie wielkanocnym i pod koniec wakacji letnich „Jedność“ urządza tradycyjne dancingi.

Jednościowcy są czynni również na terenie innych organizacji akademickich. Zwłaszcza w Ogniu

sku Polskim w Pradze i w Związku Studentów Polaków w Brnie.

Reasumując powyższe uwagi, musimy stwierdzić, że znaczenie „Jedności“ zarówno w ośrodkach uniwersyteckich, jak i wśród naszego społeczeństwa jest pierwszorzędnej wagi.

W ubiegłym dziesięcioleciu „Jedność“ wywiązała się dobrze ze swych zadań. Przyszłym zarządom należy życzyć, aby nadal dążyły po wytkniętej drodze pracy i obowiązku narodowego, mając zawsze na oku odpowiedzialność, jaka ciąży na każdym synu ziemi śląskiej. Wszyscy, bez wyjątku, musimy stać na straży naszej sprawy.



Zarząd »Jedności« w jubileuszowym roku 1936.

Stoją od lewej: Wład. Palowski, prezes sekcji praskiej; K. Dziadura, dyr. chóru; A. Gajdzica, reżyser; J. Wardas, kier. sekcji prop. i prasy; J. Kazik, kier. sekcji chórowej; siedzą od lewej: R. Przeczek, skarbnik; E. Buryan, wiceprezes; J. Adamus, prezes; W. Onderek, sekretarz; P. Kaleta, kierownik sekcji dramatycznej.

Tadeusz Wojnar.

## „Znicz“ — „Jedności“.

Fakt, że u kolebki „Znicza“ stała również „Jedność“, jest tylko małym przyczynkiem do prawdy, którą uzmysławiamy sobie wszyscy dobrze. Mianowicie, że łączy nas najbliższe pokrewieństwo organizacyjne. Wasza młoda, dziesięcioletnia „Jedność“ i czterdziestodwuletni jej brat „Znicz“ powstali jako dzieci identycznych warunków społeczno-politycznych. Założenia programowe, hasła i przykazania, w myśl których „Znicz“ rozpoczynał przed laty pracę, odnajdujemy dziś u Was. Tak, jak gdybyśmy, stając w obliczu nowej rzeczywistości politycznej, przekazali Wam je w spadku, sami rozpoczynając nowy okres życia. Nie ulega wątpliwości, że stało się to samorzutnie i bezwiednie, wyrosło siłą konieczności, jaką stwarzał nowy stan rzeczy. Zmieniona, a przecież nawiązująca do najściślej naszej wspólnej tradycji nazwa Waszego związku, pozostanie jako symbol całości kształtu tych wszystkich warunków, które powo-

łały ją do życia. Jako symbol wymowny dla tych, którzy umieją czytać w odwróconych już kartach dziejowej przeszłości.

Otóż „Znicz“ zapłonął życiem w r. 1894-tym, w czasie, kiedy potrzeba zorganizowanej pracy ideowej, pełnej poświęcenia i samozaparcia, dawała się odczuć wszystkim, którzy na przekór oczywistości ośmielali się żywić jeszcze nadzieję lepszego jutra. Przez dwadzieścia pięć lat trwała praca dopóki nie wybiła godzina sprawiedliwości dziejowej. Jacy ludzie wyszli z jego szeregów, wiemy wszyscy. Nie potrzebujemy zaglądać do zniczowskiej „Księgi o Śląsku“, tych ludzi znamy, ich nazwiska zapisały się niejednokrotnie najchlubniej w dziejach ziemi cieszyńskiej. Słowo „Zniczowiec“ nabrało dzięki nim wymownej i niezatartej treści.

Z całkowitą jednak zmianą stosunków politycznych, gdy na mapach Europy zaistniała wskrzeszona Polska, a w zjednoczonych jej ziemiach rozpo-



czął się okres gorączkowej, twórczej pracy, „Znicz” stanął u progu nowego życia. Początkowo nie zdawano sobie całkiem jasno sprawy z konsekwencji jakie ten nowy stan rzeczy za sobą pociągnąć musiał. Na krótką metę dość było pracy samopomocowej, nie brakowało sposobności do pracy oświatowej, tradycja domagała się kontynuowania życia towarzyskiego. Po pewnym jednak czasie kryzys wewnętrzny stał się wyczuwalny. Okazało się, że powołany do wyższych celów i ideowej pracy „Znicz” nie potrafi egzystować połowicznie. Potrzeba dokonania zasadniczych zmian w strukturze organizacyjnej i celach programowych, stała się zagadnieniem decydującym. Przesilenie wewnętrzne trwało jednak szereg lat, zanim koniecznie przeobrażenia doszły do skutku. Zanim skryształizowały się nowe warunki i odmienne wymagania, jakie stawia nam doba obecna. Według nich więc wytyczono nowe drogi i dzisiaj stawiamy po nich pierwsze kroki.

Oto pokrótce nasze dzieje. Dlaczego mówimy o nich w tej chwili?

Powód jest prosty. Nowy rozdział naszego życia organizacyjnego stoi ledwie rozpoczęty. Nowe zadania, nowe cele, niewiadoma przyszłość i pytanie, jak wywiążemy się z przyjętych na siebie obowiązków, — oto co mamy przed sobą. „Znicz” nie otrząsnął się jeszcze całkiem z myśli o tem co minęło, z atmosfery innej pracy. Przeżywa sławę minionych dni. W kuźni przeszłych

jego czynów dzwonią jeszcze echa czasów, których rozdział już zamknięty.

I w takiej chwili mamy Was teraz przed oczyma. Zdaje nam się nieraz, że dla Was powróciły czasy naszych poprzedników, że przeżywacie to samo, że stajecie się drugim „Zniczem”, owianym żywym duchem tego, co dla nas przechodzi w tradycję. Że przez Was danem nam jest spojrzeć na naszą przeszłość, z której jesteśmy dumni. Cisną się nam na usta słowa najżywszego podziwu i szczerego współczucia, wyrazy otuchy, zrozumienia, zachęty, nadziei...

Wszak patrzymy w Waszą stronę oczyma Waszych braci, — bo przecież synami jednej ziemi jesteśmy. Jednoczymy się z Wami myślą, — bo czyż nie jedna miłość zespała nasze uczucia w płomień ofiarny dla tej, która „Nie zginęła”? — Wołamy do Was słowami wspólnej i najdroższej nam mowy, tej najpiękniejszej w świecie, jaką zawsze jest mowa ojczyzna.

Dziesięciolecie Waszej pracy organizacyjnej, Koledzy z za kordonu, jest nie tylko dla Was chwilą uroczystą i ważną, jej echo rozlega się szeroko i wielokrotnie w naszych sercach. Obyście pozostali zwycięzcami w twardej walce życiowej, w której jedyną Waszą bronią jest praca, a jedynym szansem siła Waszych charakterów.

„Jedności” siostrzenicy swojej na bohaterskim przyczółku śle bratnie pozdrowienie „Znicz”.

Mgr. Władysław Cichy.

## Na 10-lecie „Jedności”.

Jedyna na naszym terenie organizacja akademicka obchodzi 10-lecie swego istnienia. W porównaniu z przeszło 50-letnią Macierzą Szkolną i 42-letnim „Zniczem” nie jest to dużo. Niemniej jednak dowodzi racji bytu tego rodzaju związku i jego żywotności. Bo nie tak dawne są czasy, kiedy po podziale Śląska nie tylko że nie było żadnej organizacji akademickiej, lecz nawet powątpiewania w konieczność założenia takowej.

Trudne były początki „Jedności”, lecz piękne. Kilkunastu kolegów zawiązało się w zespół śpiewaczy. Owiani zapałem pracy społecznej postanowili nieść kulturę pieśni polskiej. Zjeżdżali się na całodzienne próby na własny koszt, posiłek przynosili w kieszeni. Trzy pierwsze lata uwieńczone sukcesem chóru, wypełniane wahaniem organizacyjnymi i „Jedność” zdała egzamin życiowy. Ale nie tylko jako zespół śpiewaczy. Związek ogarnął całość spraw samopomocowych i podjął odważnie obowiązek pracy społecznej. W ten sposób „Jedność” znalazła swoją formę organizacyjną i zrozumiała swój cel.

10-lecie nie jest rzeczą wewnętrzną „Jedności”. Obchodzi ono całe nasze społeczeństwo, zarówno rodziców młodzieży akademickiej, jak i tych co datkami zasilali fundusz stypendialny, jak i tych, których interesów akademicy będą bronili, bo wogóle „Jedność” dotyczy całej ludności polskiej. Dzisiejsi studenci szkół wyższych są z natury rzeczy przeznaczeni na to, aby w przyszłości zajęli kierownicze stanowiska. A w czasie studiów młodzież akademicka winna grać decydującą rolę w or-

ganizacjach młodzieżowych. Rekrutująca się ze wszystkich sfer ludności, rolników czy górników, urzędników czy zawodów wolnych, katolików i ewangelików, zamożnych i niezamożnych, złączona na podstawie tego, co polskie, „Jedność” może oddać nieocenione usługi w naszym życiu społecznym, rozbijaniem i zwaśnieniem na tle poglądów politycznych i religijnych. Nie znaczy to, by akademicy chcieli zmieszać poszczególne elementy, i stworzyć jednobarwną masę, by dążyli do zlikwidowania wszelkich organizacji i zlania ich w jednym związku. Nie. Bo zdają sobie sprawę, że te odmienne elementy przekonani i religii, że te liczne i różnorodne związki stanowią podstawę naszego bytu, zawierają nieoceniane bogactwo naszych możliwości, decydują o różnaitości i barwności naszego życia, zapobiegając jałowemu „zgleichszaltowaniu.” Ale młodzież akademicka domaga się, aby te różne interesy podporządkowano jednemu łącznikowi, aby je skupiono na wspólnej płaszczyźnie polskości, a przeciwstawia się wszelkim partykularyzmem, które są marnotrawstwem sił. Bo jedności trzeba nam dziś bardziej niż kiedy indziej.

Dlatego sprawa „Jedności” jest sprawą ogółu. Szczególnie w chwili 10-ciolecia należy to sobie uprzytomnić. Koniecznym jest, by całe społeczeństwo zainteresowało się młodzieżą akademicką, jej warunkami i pracą. Od kontaktu wzajemnego zależy, w jakim kierunku młodzież pójdzie, co będzie robiła po ukończeniu studiów — a to jest niezwykle ważne zagadnienie, od którego rozwiązania zależeć będą w poważnej mierze losy polskości na



Śląsku. Nie można myśleć, by racja bytu „Jedności“ straciła na znaczeniu wskutek np. założenia Zw. byłych wychowanków gimnazjum orłowskiego, wprost przeciwnie, tym bardziej uwydatniły się zadania właściwe „Jedności.“

Dr. Jan Buzek.



Dr. Jan Buzek  
wielki przyjaciel młodzieży akademickiej.

Gotując się do przyszłości, potrzeba zwracać się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek, gotujący się do przeskoczenia rowu, wraca się w tył, aby się tem lepiej rozpędzić.

#### Z »Księgi pielgrzymstwa polskiego«.

Obchodzimy uroczystości jubileuszowe nie tylko dlatego, by wspominać o przeszłości danej organizacji czy instytucji, rozpatrywać jej rozwój i jej działalność, lecz przede wszystkim dlatego, by w przyszłości szukać natchnienia i czerpać nowe siły do dalszej pracy. Mają one być niejako zwróceniem naszego oblicza wstecz i zrobieniem kroku w tył, aby się tym lepiej rozpędzić i pośpieszyć do wytyczonej mety.

»Jedność«, stowarzyszenie polskich akademików w Czechosłowacji, obchodzi w roku bieżącym jubileusz swego dziesięcioletniego istnienia. Nie będzie od rzeczy zastanowić się przy tej okazji nad genezą jubilata. Nie zrodził się on samorzutnie dopiero przed 10 laty, lecz miał już swoich poprzedników. Założki jego ideowe sięgają 94 lata wstecz t. j. do roku 1842. W tym roku zakłada mianowicie Paweł Stalmach razem z 20 kolegami ówczesnego niemieckiego gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie kółko młodzieży polskiej pod nazwą »Złączenia polskiego«, którego celem było praktyczne ćwiczenie się w języku polskim, budzenie wśród członków świadomości narodowej i ratowanie młodzieży polskiej zakładu niemieckiego od niechybnej germanizacji. Jest to na ziemi śląskiej, oderwanej przeszło 500 lat od macierzy, pierwszy pęd ducha polskiego, przywalonego wieki całe — zdawałoby się na zawsze — kamieniem grobowym, wyzwalający się z pod duszącego głazu i prężący się do słońca i nowego życia. Odtąd nikła ta początkowo roślinka rozwija się już stale — zależnie od okoliczności i warunków zewnętrznych — raz bujniej raz wolniej, czasem przynierając, lecz życie jej, choćby nawet nieraz pozornie złamane, nieprzerwanie trwa, boć zdrowy ma korzeń i głęboko tkwi w swoistej glebie.

Gdy Stalmach opuścił gimnazjum, »Złączenie polskie« się rozpada. Pod koniec roku 1847 powołał je pod nazwą

Rocznice są sprawdzianem sił i przeglądem dorobku. Następne 10-ciolecie „Jedności“ przyniesie niewątpliwie dalsze wzmożenie pracy i tym samym podkreśli rację bytu „Jedności.“

### O genezie „Jedności“.

»Towarzystwa uczących się języka polskiego« do nowego życia Andrzej Cinciała, późniejszy notariusz w Cieszynie. Był to ten młodzieniec, pełen zapału i poświęcenia dla sprawy narodowej, który dnia 14 sierpnia 1847 wybrał się z Pawłem Stalmachem piechotą do Krakowa celem zebrania ksiązek polskich dla nowego Towarzystwa. »Był tu zdzierzgnięty pierwszy węzeł po tak długim czasie między Krakowem a Śląskiem na polu oświaty ludowej.« Lecz i to Towarzystwo nie długo utrzymało się przy życiu. W r. 1848 zaprowadzono bowiem tak w ewangelickim jako też w katolickim gimnazjum nadobowiązkową naukę języka polskiego. Uważano więc, że prywatna nauka języka polskiego poza obrębem szkoły jest wobec tego zbyteczną. Lecz wkrótce przekonała się młodzież polska, że jej ta nauka szkolna, nieodolnie zresztą przez profesorów, nie władających dostatecznie językiem polskim prowadzona, nie wystarcza. Widocznie pod wpływem coraz bardziej budzącego się życia narodowego na Śląsku, którego wyrazem był »Tygodnik Cieszyński«, wychodzący pod redakcją Stalmacha od r. 1848 jako pierwsze czasopismo polskie na Śląsku, powstaje w r. 1861 w ówczesnym gimnazjum katolickim tajny związek pod nazwą »Towarzystwa Narodowego«. Towarzystwo to pracowało gorliwie i owocnie przez 10 lat, po czym nastąpiło w r. 1871 jego zlanie się z »Wzajemnością«, związkiem powstałym w r. 1863 wśród młodzieży gimnazjum ewangelickiego. Wspólny ten związek przetrwał z mniejszymi przerwami aż do roku 1880, rozwijając raz mniej to znowu bardziej intensywną działalność. W następnych latach zapanało rozprężenie wśród polskiej młodzieży gimnazjalnej. Nie skupiała się odtąd w żadnym związku. Idąc luzem i samopas ulegała ona zgubnym wpływom niemieckich wychowawców, przesiąkniętych nawskroś duchem germańskim. Tak zgermanizowana młodzież wyparła się swej mowy macierzyńskiej i odsuwając się coraz bardziej od ludu, z którego wyszła, stała się dla niego obcą i przechodziła do wrogiego mu obozu. Szlachetne jednostki tej młodzieży patrząc ze zgrozą na szerzące się wśród niej spustoszenie i renegetwo, przystępując w roku 1886 do założenia nowego związku młodzieżowego. Stowarzyszenie to »Jednością« nazwane, istniało całych 38 lat t. j. aż do wybuchu wojny światowej, osiągając w pierwszych czterech latach punkt kulminacyjny swego rozwoju. Pracuje gorliwie i z wielkim zapałem nie tylko w łonie swoich członków, lecz rozwija także żywą działalność na zewnątrz. Pragnąc ratować młodzież i innych zakładów średnich Śląska Cieszyńskiego od zaprzastwa i chcąc ją pozyskać dla sprawy polskiej opiekuje się nią. Za jej walnem przyczynieniem tworzą się tak w seminarium nauczycielskiem jako też w szkole realnej w Cieszynie samodzielne związki, przybierające tę samą nazwę »Jedność«. Jej wpływy sięgają aż do wschodnich granic Śląska. W Bielsku, owej butnej twierdzy pruskiego ducha, wyrasta w niemieckim gimnazjum tuż pod hakiem hakaty, polski związek studentów »Jedność« o tych samych celach i dążnościach, co jej cieszyńskie związki siostrzane, owiane jednym duchem, złączone wspólną ideą służenia sprawie polskiej.

Na tych zdobyczach organizacyjnych nie zatrzymała się »Jedność«, pełna bujnych sił żywotnych. Pragnąc zabezpieczyć owoce swej długoletniej i wytrzonej pracy przystępuje w roku 1894 jej byli członkowie do założenia Stowarzyszenia akademików polskich na Śląsku »Znicz«, by nie puszczać samopas młodzieży akademickiej, rekrutującej się przeważnie z byłych członków »Jedności«, lecz skupiać ją — rozproszoną po wszystkich uczelniach uniwersyteckich czy akademickich ówczesnej Austrii — pod wspólnym sztandarem dalszej pracy wśród ludności polskiej na Śląsku. Stowarzyszenie to jest dotąd czynne. Po rozdzieleniu Śląska należała do niego i nasza młodzież akademicka z tej strony Olzy. Mimo swej przynależności czechosłowackiej garnęła się ona, zdezorientowana wypadkami, nie widząc dla siebie przyszłości w kraju, do wyższych zakładów w Polsce. Młodzież ta pozostaje po ukończeniu studiów z natury rzeczy już na stałe w Polsce i jest w ten sposób stracona dla Śląska. Z biegiem najbliższych lat nastąpił w tym kierunku pożądany zwrot. Nasze polskie gimnazjum realne w Orłowej nie miało wychowywać nadal młodzieży przeważnie tylko na



eksport do Polski, lecz młodzież ta ma pozostać w kraju i kończyć studia w republice zdobywając sobie — choćby przebojem — warsztaty pracy wśród swoich, by gleba śląska, żywiąca obficie tylu obcych, nie była wyjaławiana i pozbawiana swej rodzimej inteligencji.

Młodzież więc nasza, mająca zgoła inne zadania niżeli młodzież, grupująca się w »Zniczu« po tamtej stronie Olzy, odłączyła się od niej i zakłada w roku 1926 własny związek akademików polskich pod nazwą »Jedność«, nawiązując ideo-wo do świetnych tradycji byłej »Jedności« szkół średnich Księstwa Cieszyńskiego.

Wspomnieć jeszcze wypada, że byli członkowie »Znicza« założyli w roku 1909 »Związek Starych Strzech Znicza«, mający za cel dalsze skupianie byłych Zniczowców i utrzymywanie bliskich stosunków ze »Zniczem«. Pragnęliśmy upewnić nadal więzy koleżeństwa, zadzierzgnięte na ławach szkolnych i łącząc młode generacje ze starszemi, opasać się nierozzerwalnym łańcuchem wspólnych nam dążeń i ideałów, przyświecających nam już od wczesnej młodości. Wojna światowa przekreśliła jednak te szlachetne poczynania. Nigdy jednak nie jest za późno, dlatego przynajmniej po naszej stronie należałoby tę myśl podjąć i w jak najkrótszym czasie zrealizować, co by się bezwątpienia znakomicie przyczyniło do zestrojenia i skonsolidowania naszego nieraz skłóconego społeczeństwa.

Zapytajmy się, jaka to idea leżała u podstaw wyżej wymienionych młodzieżowych poczyniń organizacyjnych, które to powstawały, to upadały, a przede wszystkim jaki duch je wskrzeszał i ożywiał? Jest nim bezsprzecznie idea narodowa, przywalona żużlem wieków i drzemiąca gdzieś głęboko pod progiem świadomości Ślązaka. Pod wpływem ożywczyczych prądów wolnościowych, wstrząsających ówczesną Europą, budzi się Ślązak ze swej nieświadomości narodowej, nawiązując nici zerwane z przeszłością, z kulturą i tradycją polską. I oto z tej mgławicy wyłania się — niby Feniks z popiołów — »Złączenie polskie« i te wszystkie związki młodzieżowe, o których wyżej wspominałem. Mają one wszystkie cel jasny i wyraźny: budzenie i umacnianie świadomości narodowej, pielęgnowanie ideałów narodowych, hartowanie i uszlachetnianie charakterów dzielnych i czynnych i zaprawianie się do karnej pracy i wiernej służby dla swego narodu.

Stowarzyszenia te miały zwykłe statuty, którego się ściśle trzymały. Przyjmowano uczniów zaufania godnych. Nowopryjści ślubowali przez podanie ręki prezesowi, że będą spełniać sumiennie obowiązki i zachowają milczenie wobec nieczłonków. Uczono się literatury, historii, później i geografii polskiej. Członkowie wygłaszali deklamacje i wygotowywali różne prace piśmienne, które zwykłe prezes, względnie sekretarz poprawiał i krytykował. Później pielęgnowano także z wielkim zamiłowaniem śpiew. Pracowano gorliwie, pomiędzy członkami panowała szczerza i serdeczna przyjaźń. Wszelkie zebrania cechował nastrój poważny i podniosły. Szczególnie uroczystości obchodzono pamiątki narodowe np. rocznice Konstytucji 3 Maja, rocznice powstań

polskich i t. d. Śpiewano z wielkim zapalem pieśni patriotyczne, deklamowano stosowne poematy. Na czoło deklamacji wysuwała się »Oda do młodości«, która całe pokolenia natchnęła wiarą w ostateczne zwycięstwo poświęcenia nad egoizmem, ducha nad materią. »Łam, czego rozum nie łamie.« »Młodości, orla twych lotów potęgaj! Ogniste te słowa, porywające i zapalające serca, były jakby hasłem wypisanem na sztandarach naszych Związków młodzieżowych.

Z zasobem tych sił i uczuć szła młodzież pełna ognia i zapалу między lud, by i tam szerzyć światło, budzić i wzmacniać świadomość narodową. Urządzano w tym celu wycieczki w różne strony Śląska, zapraszając na nie przychylnych obywateli. Śpiewano i wygłaszano przemówienia okolicznościowe, potem bawiono się wesoło i gwarno. Od r. 1892 urzędowała »Jedność« za pozwoleniem dyrekcji piękne akademie Mickiewiczowskie w gimnazjum niemieckim. Był to ogromny sukces moralny polskiej młodzieży, która podobne uroczystości dotąd tylko potajemnie urządzać mogła.

Działalność związków, skupiających polską młodzież zakładów średnich, była tajną. Młodzież była zmuszoną kryć się przed czujnym okiem swych przełożonych, będąc nieraz szpiegowana, tropiona i prześladowana. Z głęboką czcią i wdzięcznością wspominamy te domy gościnne, które nam udzielały ochotnie przytułku i schronienia. Wyszczególnić tutaj wypada dom ś. p. Franciszka Górniaka, gorącego patrioty i wielkiego przyjaciela młodzieży.

Istnienie tych związków miało dla odrodzenia i życia narodowego na Śląsku ogromne znaczenie. W nich wychowały się karne szeregi dzielnych jednostek, które później, będąc na różnych stanowiskach, przodowały wszelkiej pracy na niwie narodowej, pragnąc przekuć w czyn te szczytne idee, które im »Jedność« zaszczerpiła w młodości serca.

Z byłych członków »Jedności« rekrutowali się związkowcy »Znicza«. Nic więc dziwnego, że uzyskali dzięki swemu wyrobieniu prawie we wszystkich organizacjach akademickim, czy to wiedeńskim »Ognisku«, czy w Towarzystwie wzajemnej pomocy w Krakowie, czy w polskiej Czytelni leobeńskiej, czołowe stanowiska. Oprócz tego tworzyli oni w poszczególnych środowiskach uniwersyteckich sekcje »Znicza«, mające na celu skupianie studiujących tam Ślązaków i niesienie im nieraz niezbędnej pomocy materialnej. Takie sekcje tworzą się w Krakowie, Warszawie, we Lwowie, Poznaniu i Gdańsku; w Pradze i Bernie powstawały później także sekcje »Jedności«. Zaznaczają się one dodatnio w ogólnym życiu akademickim. Przez urządzenie różnych imprez np. »Wieczorków Śląskich« wchodzi Ślązacy w styczność z szerszą publicznością danego środowiska, zyskując sobie wśród niej nieraz szczerych doradców i dobrych opiekunów.

Powyższy szkic życia polskiej młodzieży szkół średnich na Śląsku i szkół uniwersyteckich względnie akademickich na przestrzeni zgoła jednego wieku, przedstawiający nam budzenie się ducha polskiego, jego zmaganie się z przeróżnymi przeciwnościami, jego wzloty i upadki, jego niecierpiący powstrzymania pęd do słońca i do swego życia



Pierwszy chór »Jedności« w r. 1927.



— to owe zwrócenie oblicza wstecz, by zaczerpnąć z czy-  
stych źródeł przeszłości nowej wiary, nowych sił i nowego  
rozmachu do dalszej intensywniej, twardej pracy nad sobą i  
dla drugich, dla ludu, by nabrać hartu i stałości, której by  
nie złamały żadne pokusy, żadne burze.

W dniu jubileuszu życzy starsze pokolenie drogiej nam  
»Jedności« z całego serca, by te górne ideały, które ongi

naszym organizacjom młodzieżowym jasnym blaskiem przy-  
świecały, nadal pozostały jej gwiazdą przewodnią we wszyst-  
kich jej poczynaniach, zagrzewając ją do wytrwałej i ofiarnej  
służby dla swego biednego ludu, wnosząc weni świeży i  
krzepiący powiew zdrowego optymizmu, młodzieńczej tę-  
żyzny i niezłomnej odporności.

Piotr Feliks, dyr. pol. gimn. real. w Orlowej.

## W dziesiątą rocznicę »Jedności«.



Dyr. Piotr Feliks  
członek honorowy i kurator »Jedności«.

Było to we wrześniu 1925 r., kiedy kilku przedstawicieli  
młodzieży akademickiej, odbywającej studia w Bernie i  
Pradze, zjawilo się u mnie w Orlowej i przedstawiło mi  
plan utworzenia polskiej organizacji akademickiej na terenie  
Czechosłowacji. Organizacja ta miałaby za zadanie skupianie  
wszystkiej młodzieży mniejszości polskiej w Czechosłowacji  
studiującej na różnych fakultetach uniwersytetów w kraju  
i w Polsce. Podobne organizacje mieli już w tym czasie na  
terenie Pragi i Berna akademicy czescy, niemieccy, węgier-  
scy i inni. Projektem tym ucieszyłem się bardzo, nie tylko  
z tego powodu, że stworzenie takiej organizacji dla naszej  
młodzieży akademickiej uważałem za rzecz potrzebną i ko-  
nieczną, ale przede wszystkim dlatego, że potrzebę tę wy-  
czuła i wysuwała sama młodzież. Organizacja taka nie tylko  
miała łączyć i skupiać młodzież, lecz miała ona stać się dla  
niej szkołą życia, miała przygotować przyszłych pracowników  
na niwie narodowej i społecznej zaprawiając ich już na ławie  
szkolnej do życia organizacyjnego. Witając więc z radością  
tę myśl, zachęciłem ich gorąco do zrealizowania projektu,  
udzielając im ze swej strony odpowiednich informacji. W  
ciągu roku opracował specjalny Komitet z p. J. Tkaczem,  
słuchaczem prawa na czele, statut i postarał się u władz  
o jego zatwierdzenie. We wrześniu 1926 r. mogło się już  
odbyć Konstytuujące Walne Zebranie nowej organizacji, którą  
dla zaznaczenia, że ma skupiać i jednoczyć całą polską  
młodzież akademicką na Śląsku czeskim, rozproszoną po  
różnych wyższych uczelniach w Czechosłowacji i Polsce,  
nazwano »Jednością«. Prezesem wybrano p. J. Tkacza. Od  
tej więc chwili rozwija »Jedność« po dzień dzisiejszy swoją  
owocną działalność. Jako pełniący zaszczytny urząd kura-  
tora »Jedności« brałem osobiście udział prawie we wszyst-  
kich zwyczajnych i nadzwyczajnych Walnych Zgromadze-  
niach Twa, a bardzo często także w posiedzeniach Zarządu.  
Z przyjemnością stwierdzić mogę, że mimo początkowych  
trudności, zwłaszcza organizacyjnych, wydziały wywiązy-

wały się przeważnie zawsze dobrze ze swego zadania, a  
to dzięki temu, że godność prezesa sprawowali zawsze lu-  
dzie stojący na wysokości swego zadania. Zawsze mię bar-  
dzo interesowały Walne Zgromadzenia. Żywa, lecz rzeczowa  
dyskusja na różne tematy, prowadzona na Walnych Zebra-  
niach świadczyła o tem, że młodzież coraz bardziej się  
organizacyjnie wyrabiała i przyzwyczajała do parlamen-  
tarnego prowadzenia obrad.

Z biegiem czasu »Jedność« potworzyła w swem łonie  
różne sekcje. Najważniejszą z nich to sekcja chórowa i przed-  
stawieniowa.

Pierwsza z nich stworzyła jeden z najlepszych polskich  
chórów na terenie Śląska czeskiego, chór, który koncertował  
nie tylko w całym szeregu gmin Śląska, ale także w Pradze,  
na Słowacznynie, a nawet urządzał objazdy po Polsce, a  
wszędzie z wielkim powodzeniem i uznaniem. Druga sekcja  
wyćwiczyła kilkanaście przedstawień teatralnych, stojących  
na wysokim poziomie artystycznym i objechała z niemi  
najważniejsze gminy na Śląsku, wszędzie zdobywając dla  
siebie słowa szczerzego uznania i podziękowania.

Składnie urządzała »Jedność« zabawy towarzyskie i  
bale dla szerszej publiczności, cieszące się zawsze wielkim  
powodzeniem. Na szczególne podkreślenie zasługują »Wi-  
gilijki«, t. j. zebranie towarzyskie z okazji Bożego Naro-  
dzenia, połączone ze sprawozdaniem kolegów, reprezentują-  
cych różne ośrodki naukowe, z działalności członków w da-  
nych ośrodkach. Składanie życzeń, łamanie się opłatkiem i  
śpiewanie kolend nadaje tym zebraniom, w których bierze  
udział młodzież i przedstawiciele starszego społeczeństwa  
charakter uroczystości rodzinnej. Jak z powyższych słów  
wynika, Jedność spełniła w pierwszym 10-leciu swego ist-  
nienia swoje zadanie tak w stosunku do swych członków,  
jakoteż w stosunku do starszego społeczeństwa. W miarę  
swych sił i wolnego czasu członkowie »Jedności«, niestety  
nie wszyscy, wchodzili między lud i pracowali wśród niego  
na polu kulturalno-oświatowym jużto w sposób jak wyżej  
wspomniano, jużto wygłaszając odczyty i referaty na tematy  
z dziedziny swego studium. Ale i odwrotnie społeczeństwo  
starsze, przynajmniej większa jego część, darzyła »Jedność«  
i wogóle młodzież akademicką życzliwością. Dowodem tej  
życzliwości są choćby te datki, składane corocznie na ręce  
Komitetu Pomocy dla Akademika (sekcje »Jedności«), na  
rzecz potrzebującej pomocy młodzieży akademickiej. Za-  
znaczyć jednak mi wypada na tem miejscu, że może jest  
jeszcze zamałe zrozumienie wśród naszego społeczeństwa  
dla ciężkiej doli tej młodzieży, która zdobywając wiedzę na  
uniwersytecie, często horykać się musi ze skrajną nędzą.

Ogólnie biorąc, przedstawia się bilans pracy »Jedności«  
pomimo pewnych niedomagań, w pierwszym 10-leciu jej  
istnienia dodatnio. Może się ona poszczycić niejednym na-  
prawdę pięknym sukcesem. Z tego powodu składam Jubi-  
latce serdeczne gratulacje a jej wszystkim Pracownikom,  
przedewszystkiem Panom Prezesom i Członkom dotychcza-  
sowych Zarządów »Jedności« słowa szczerzego uznania i  
serdecznego podziękowania.

Równocześnie dołączam nie mniej serdeczne życzenia:  
by w następem 10-leciu »Jedność« doskonalać swe metody  
pracy, mogła osiągnąć jeszcze lepsze wyniki swej działalności;  
by z łona »Jedności« wychodzili ludzie pod każdym wzglę-  
dem dobrze przygotowani do życia, a więc pewni pod  
względem narodowym, wykształceni pod względem  
fachowym, wyrobieni pod względem społecznym; by udało  
się »Jedności« zachęcić niektórych swych członków do  
specjalnego zajmowania się historią i literaturą Śląska; by  
udało się »Jedności« przekonać każdego polskiego akademika  
na Śląsku Czesl., że jego obowiązkiem jest należeć do  
»Jedności« i brać czynny udział w pracach Twa; by udało  
się jej powołać do życia sekcję »Seniorów«, składającą się  
z byłych członków »Jedności«, którzyby postawili sobie za  
główny cel otoczyć szczególniejszą opieką ubogą młodzież  
akademicką; wreszcie by udało się »Jedności« pozyskać całe  
starsze społeczeństwo, by więcej niż dotąd interesowało się  
losem polskiego akademika.



## Siernwsze kroki.

Trudno dziś konstatować, czy pierwsza myśl utworzenia samodzielnego związku akademików w Czechosłowacji powstała celowo, czy też należy ją przypisać przypadkowej intuicji. Jest faktem niezaprzeczalnym, że myśl taka powstała i została zrealizowana. Podobnie jak same studia na uniwersytetach w Czechosłowacji były pewnego rodzaju niezrozumiałą nowością, nie wielu początkowo uznawało konieczność istnienia organizacji akademickiej na naszym terenie, gdyż według ogólnej opinii istniejący »Znicz« był w zupełności wystarczającą centralą życia akademickiego.

Stąd pierwsze lata istnienia nacechowane były niezdecydowaniem wśród akademików z Czechosłowacji i równomiernym traktowaniem »Jedności« i »Znicza« — tak, że nawet ci sami ludzie przyjmowali funkcje w zarządach obu organizacji równocześnie. Niezdecydowanie i pewna dezorientacja w życiu organizacyjnym młodzieży akademickiej



Dr. Józef Tkacz  
I prezes »Jedności« w r. 1926/27



Inż. Jan Heczko  
prezes w r. 1927/28

z przed dziesięciu lat nie wzbudza ani zdziwienia ani zarzutów, gdyż było to tylko skromne odzwierciedlenie nastrojów starszego społeczeństwa, popadającego w melancholię i apatię duchową.

»Jedność« powstała, biorąc swą nazwę nie tylko z głębokiego sensu słowa, nie tylko z faktycznych potrzeb, lecz z pięknego przykładu istniejącej poprzednio na terenie Śląska organizacji studenckiej, która w analogicznych warunkach i atmosferze otoczenia wydała prawie wszystkich pracowników, stojących do dziś dnia na posterunkach pracy społecznej.

Wszystkie, choćby najwznioślejsze cele pracy organizacyjnej, zwłaszcza w pełnej pomysłowości organizacji akademickiej, wymagają pewnych praktycznych podstaw. Może

nigdzie ujednolnienie poglądów nie sprawia tyle trudności co w skupieniu akademickim, jako zespole indywidualnych lub przynajmniej mających pretensje do indywidualności jednostek. A zatem zebrania dyskusyjne i nieuchwytna praca ideologiczna nie dalyby gwarancji istnienia i wystarczającej siły spajającej, bez konkretnego, prostego, lecz praktycznego programu, gdyż poza wspomnianymi trudnościami trzeba podkreślić łatwe uleganie nieskrystalizowanych młodych umysłów różnym wpływom starszych.

W tych właśnie warunkach zaraz w pierwszym roku istnienia położono główny nacisk na chór. Dotychczasowe wyniki potwierdziły znaczenie chóru dla życia organizacyjnego gdyż ta niewinna forma okazała się zawsze najlepszą szkołą pożycia koleżeńkiego i współpracy organizacyjnej. Podobnie było i z pierwszym chórem, który nie tylko skupił i zaprzyjaźnił rozproszoną młodzież akademicką lecz stał się kolebką programu pracy na przyszłość. Tu bowiem rozpoczęły się pierwsze gawędy na temat opieki społecznej nad akademikami oraz roztrząsano zagadnienia kierunku studiów, w rezultacie czego powstały silne sekcje »Jedności« w Bernie i Pradze.

Prawdopodobnie wszyscy członkowie pierwszego zespołu chórowego przypominają sobie okres wakacyjny z roku 1927, jako bardzo miłe chwile, zwłaszcza szereg koncertów na Słowaczym. Zespół ten wybił się odrazu dzięki animuszowi członków i ich przedsiębiorczości, o czym świadczy fakt, że świeżo założony chór w ciągu dwu miesięcy wyćwiczył program tournée artystycznego po Słowaczym. Przeżycia poszczególnych członków w czasie tej wycieczki stanowią samodzielny rozdział dla siebie, więc trudno byłoby je wyszczególniać, w każdym razie każdemu wspomnieniu towarzyszy uśmiech urwisa i tęsknota po miłe spędzonych chwilach.

Wartość artystyczną zawdzięcza jednak pierwszy chór »Jedności« akademickiemu chórowi w Krakowie. Kraków stanowił bowiem do założenia »Jedności« główny punkt zborny akademików ze Śląska, którzy pod względem śpiewnym stanowili poważny procent członków sławnego chóru akademickiego, zyskując tam pierwszorzędne wykształcenie. Ponieważ pierwszy zespół »Jedności« rekrutował się przeważnie z młodzieży studiującej w Krakowie, rozporządzał wyszkolonym już materiałem głosowym, zwłaszcza grupa, która już w Krakowie usamodzielniała się pod nazwą »Hłasła«. Byli to koledzy Berger, Szczepański, Szwarz, Trombik, ś. p. Marek, Turoń, ś. p. Bura, Ramsza i paru innych.

Dzieje dalsze wykazują już sprawozdania. Nam jednak pozostaje do stwierdzenia fakt, że pierwszy Chór »Jedności« był punktem wyjścia i podstawą istnienia tej organizacji. Z pewnością każdego ogarniało wzruszenie, gdy w bieżącym roku mógł słuchać przy okazji dziesięciolecia wyczyny tego chóru na falach eteru z Warszawy, a poprzednio koncerty poszczególnych sekcji z Berna i Pragi. Pod tym względem sukcesy z roku na rok się stopniują, niestety tłumi je troska o liczne szeregi młodzieży akademickiej, pozostającej bez widoków na jutro.

Gustaw Taraba.

## Akademik jako czynnik pracy społecznej.

Społeczeństwo ludzkie stanowi w swym rozwoju pewnego rodzaju mozaikę kulturalną, stanową, polityczną, wyznaniową i t. p. Podział pracy i wrodzone oraz udoskonalone zdolności ludzkie decydują o jego podziale na różne grupy ludzi. Jeśli chodzi o dziedzinę kulturalną, wpływ na podział ludzi na warstwy mniej lub więcej wykształcone wykonują szkoły. Szkoła spełnia olbrzymią rolę w życiu ludzkim, mimo że często szkole wytyka się pewne wady. Jednostek, dochodzących do wyższego stopnia wiedzy bez szkoły, jest stosunkowo bardzo mało. Często przeciwnie, przy ich wrodzonych zdolnościach i dużej wiedzy, mówi się, że brak im szkoły.

Nie wszystkie stopnie szkoły dostępne są całemu społeczeństwu. Ogół kończy stopień pierwszy t. j. szkołę powszechną, szkołę średnią mała jego część a już szkołę wyższą t. j. uniwersytet odwiedzają nieliczne jednostki. Już tak urządzone jest życie ludzkie, że te nierówne warstwy kultury oddziałują na siebie wzajemnie. Miłość i przywiązanie jednostki do najbliższego otoczenia, chęć udoskonalania go i podźwignięcia na poziom wyższy jest pobudką

do ofiarnej pracy dla społeczeństwa u tych, którym danem było czerpać ze źródła wiedzy najwyższej. W niektórych zawodach stało się to już nawet pewnego rodzaju tradycją moralną, która jednak jest poniekąd niesprawiedliwa, ponieważ żaden zawód wyższy nie jest od pracy dla społeczeństwa zwolniony.

Ludność polska w Czechosłowacji stanowi pod względem kulturalnym pewną specyficzną zamkniętą całość. I ona posiada swoje uwarstwienie w różnych dziedzinach życia. Troszcząc się o zachowanie swego bytu narodowego, musi wykonać pracę większą, więcej wysiłku wymagającą, niż społeczeństwo inne. Musi uodpornić się i udoskonalic, aby wytrzymać w ciężkiej konkurencji. W takich warunkach potrzebuje światłych wodzów i mocnych charakterów, tym bardziej, że życie obecne jest niezmiernie skomplikowane i przepojone mnóstwem przeróżnych zasad i hasel, z których nie wiadomo jakie doprowadzi do celu.

Sytuację własnego otoczenia zrozumiał dosyć wcześnie i akademik polski. Organizując się w stowarzyszeniu, wytknął sobie jako jedno z głównych jego hasel pracę dla





Inż. Władysław Buzek  
prezes w r. 1928/29  
do grudnia 1928



Dr. Franciszek Bajorek  
prezes w r. 1928/29  
od grudnia 1928 do końca roku  
administracyjnego



Jan Zielina  
prezes w r. 1929/30



Paweł Rusz  
prezes w r. 1930/31

społeczeństwa. Każda młodzież nosi w sobie dużą dążność idealizmu i chęci do udoskonalania. Jest to już zjawisko biologiczne. Młodzież jest nie tylko dziedziczką starych idei i doświadczeń przeszłości, ale i pionierką nowych dążeń, samodzielnym nieraz twórcą nowego życia. I jakkolwiek z różnych stron zaleca się młodzieży więcej się uczyć niż o istniejącej rzeczywistości decydować, to jednak nie trzeba zapominać, iż w walce o najświętsze idee stała na barykadach w lwiej części zawsze młodzież, a w nieostatnim rządzie młodzież akademicka. Historia narodów, które ciężko walczyły o swoją wolność, często nas uczy, jak student zamieniał nieraz książkę na oręż. Mężowie stanu powojenni wiedzieli dobrze, że rozwój nowych haseł i idei oprócz trzeba głównie o młodzież.

Polskiej młodzieży akademickiej w Czechosłowacji nie przypada w udziale jako zadanie dziejowe walka o nowe hasła ogólnoludzkie w pierwszym rządzie. Jakkolwiek żywo interesuje się ona również tem, co się w świecie dzieje, niemniej jednak uważa za swój pierwszy obowiązek służyć swoim najbliższym. Myślę, że wielką rolę odgrywa tu także poczucie naszej regionalnej wspólnoty śląskiej. Wniesienie zaś trochę światowości w nasze ciasne nieraz chałupy śląskie może wydać także dobre owoce.

Co jest zadaniem akademika-Polaka wobec swego społeczeństwa? Ogólnie, powiedziałbym wytworzyć synowski stosunek do niego. Nie handlowo-kupiecki, tchnący zimną obojętnością i egoizmem, ale stosunek, pelen żywego przywiązania, reagującego na każdy ból i radość. Taki stosunek, aby społeczeństwo u swej inteligencji wszystkiego drogo kupować nie musiało.

Ze wszystkiego zaś najważniejszym celem winno być podniesienie polskiego ludu śląskiego do stanu jak najwyższej i jak najwszechstronnejszej oświaty. Oświata jest mimo wszystko podstawą bytu każdego społeczeństwa, każdego narodu. Ile razy przypominały to już wieki i ile razy o tem też zapominały. Podniesienie tych szerokich mas z niewiedzy a nieraz i ciemnoty, ponieważ jest ona nieprzebytą tamą dla dalszych poczyną. Nie sprytnie wyzyskiwanie instynktów i słabości ludzkich, choćby dla wzniosłych celów. Społeczeństwo naprawdę szeroko oświecone jest granitem, o który rozbijają się wszystkie szkodliwe dlań zakusy. »Nauka klei not, nauka skarb drogi, tego nie wydrze nieprzyjaciel srogi, nie spali ogień, nie zabierze woda, nad wszystkim innym panuje przygoda« — tak śpiewał już w XVI wieku poeta z Czarnolasu. Systematyczne oświecanie społeczeństwa jest pracą może żmudniejszą, powolniejszą, może na wyniki trzeba czekać nieco dłużej, są one zato, rzecz można, wiecznotrwałe.

Pracę oświatową, pionierską, postawiłbym jako główne zadanie każdego inteligenta, a akademika w szczególności, wobec swego społeczeństwa. I to nie tylko w ciągu studiów, ale przez całe życie.

Jest rzeczą oczywistą, że zadania te kładą pewne wymagania na akademika samego. Nie to, że się jest akademikiem, stanowi już legitymację do prowadzstwa. Praca nad samym sobą, nad własnym charakterem, nad wyrobieniem pewnych zdolności, winna poprzedzić udział w życiu społecznym. Sam dyplom uniwersytecki nie stanowi jeszcze o wszystkim. Życie praktyczne wymaga od człowieka jeszcze mnóstwo innych wiadomości prócz fachowych. Trzeba się troszczyć, aby choć w jednej rzeczy przodować, gdyż inaczej nawet z dyplomem szkolnym można się stać życiową miernotą.

Waleria Łukoszówna.

## Członkinie „Jedności”.

Każda organizacja w tempie pracy twórczej zatrzymuje się w pewnym momencie, ażeby spojrzeć wstecz i sprawdzić pozytywne wyniki, jakich dorobiła się w ciągu swego istnienia. Takim ważniejszym momentem jest właśnie okres 10-letniego istnienia, jaki zamyka w roku bieżącym akademicki związek mniejszości polskiej w Czechosłowacji »Jedność«.

Zastanawiając się nad istnieniem związku »Jedność« trzeba zaznaczyć, że w życiu jego biorą udział, chociaż w mniejszym stopniu, również członkinie. Właśnie w chwili 10-letniego istnienia warto zauważyć w jakiej mierze kształci się dziewczyna śląska i w jakim kierunku przejawia się jej zainteresowanie.

Kiedy coraz więcej zaczęło się mówić o wykształceniu młodzieży żeńskiej, to również dziewczyna śląska nie została w tyle, lecz śmiało skierowała swe kroki do gimnazjum polskiego w Orłowej. Początkowo była to tylko znikoma ilość, lecz ilość ta w ostatnich latach znacznie wzrosła. Nie należy już obecnie do rzadkości, że gimnazjum kończy rocznik 5 koleżanek a nie 1, jak było dawniej. Wstępując na dalsze studia koleżanki wpisują się za członkinie »Jedności«,

by razem z kolegami z lat gimnazjalnych zaprawiać się do pracy społecznej.

Zastanawiając się w jakim stopniu członkinie biorą udział w pracy »Jedności«, trzeba stwierdzić, że się nigdy od niej nie usuwają. Gdy im zostanie powierzone wykonanie jakiegoś zadania, to spełniają je zawsze sumiennie. Najczynniejszy udział można zanotować w sekcji berneńskiej, gdzie, jak słusznie jeden z kolegów zauważył, koleżanki wniosły dużo waleńców dodatnich do życia studenckiego. Jeśli chodzi o pracę w centrali to i tu nie brak koleżanek. Ich najwydatniejszą działalność należy zanotować w sekcji dramatycznej.

Może będzie się wydawało, że praca ta jest nieznaczna w porównaniu z pracą kolegów. Zjawisko to można tłumaczyć małą ilością członkiń. Na dłuższe bowiem studia wybrało się zaledwie kilka absolwentek gimnazjum.

Jeżeli chodzi o wybór studiów, to trzeba stwierdzić, że większość koleżanek, a nie będzie nawet przesadą, gdy się określi, że 90 proc. wybiera zawód wychowawczyń, czy to w roli nauczycielek, czy też profesorek. Tylko mała ilość koleżanek wybrała medycynę, studium handlowe i wycho-





Dr. Jan Kubok  
prezes w r. 1931/32 i 1932/33



Andrzej Ofiok  
prezes w r. 1933/34



Gustaw Taraba  
prezes w r. 1934/35



Władysław Palowski  
prezes w r. 1935/36

wanie fizyczne. Fakt ten jest ciekawy i uderzający. Każdy może go sobie indywidualnie tłumaczyć. Zasadniczo tu w grę wchodzi chyba dwie przyczyny. Pierwsza to brak funduszków na dłuższe i kosztowniejsze studia, ponieważ w rodzinie daje się zazwyczaj pierwszeństwo bratu. Druga przyczyna, to zamiłowanie koleżanek w kierunku pedagogicznym. Trzeba przyznać, że Ślązaczka jest przywiązana do ojczystego zagona, jest wzorową gospodynią i dobrą żoną. Jej córka po skończeniu gimnazjum wybiera więc ten zawód,

w którym może realizować wskazówki udzielane jej również przez matkę. A na tym odcinku pracy ma każda członk. szczerne zadanie do spełnienia. Boć przecież od wychowawczyni zależy ukształtowanie psychiki dziecka. Jeżeli ona potrafi wpoić w duszę dziecka iskrę tężyzny narodowej, to ta iskra nigdy nie zgaśnie, ale przez całe życie tlić się będzie.

W 10-letnią rocznicę życzeniem nas członkiń jest, by związek nadal spełniał swe zadanie, umiał twardo przetrwać wszelkie burze i i godnie reprezentował polski lud na Śląsku.

## **Ż działalności chóru „Jedności”.**

Śląska Cieszyńskiego przydzielonej Czechosłowacji, skupiali się w Kółku Akademików Ślązaków »Hasło«, które jest związkiem życia organizacyjnego akademików polskich po czeskiej stronie Śląska. Powyższa organizacja była właściwie chórem męskim, który w r. 1926 urządził cztery samodzielne koncerty w Oldrzychowicach, Grodziszczu, Końskiej i Bystrzycy. Członkami Hasła byli przeważnie słuchacze Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie. Z Hasła powstał na początku r. 1927 Związek Akad. Pol. na Śląsku w Czechosłowacji »Jedność«, który później przybrał dzisiejszą nazwę Związek Akad. Mniejszości Polskiej w Czechosłowacji »Jedność. Dnia 14 kwietnia 1927 powstaje sekcja chórowa »Jedności«, przygotowana już w poprzednim roku do pracy. Dyrygentem chóru został wybrany kol. Ernest Berger. Już dnia 7 sierpnia na festynie Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie wystąpił chór akademicki razem z chórem nauczycielskim. W czasie wakacji letnich tego roku dnia 27 sierpnia samodzielny koncert w Czeskim Cieszynie w sali Strzelnicy udowodnił, że nowopowstały chór akademicki potrafi godnie reprezentować i propagować pieśń polską w Czechosłowacji. We wrześniu urządził chór tournée artystyczne po Słowaczynie. Występował w Żylinie, Rużomberoku i we Wrutkach. Po powrocie ze Słowaczyny odbyły się jeszcze cztery koncerty chóru na Śląsku Cieszyńskim, a mianowicie dnia 9 września brał chór udział w akademii, urządzanej w Karwinie ku uczczeniu Juliusza Słowackiego, którego zwłoki przewieziono w tym miesiącu do Polski. Dalsze koncerty odbyły się w Średniej Suchej, Orlowej i w Trzynie.

W roku 1928 na uwagę zasługują 4 samodzielne koncerty, z tego jeden w Karwinie, jeden w Ligotce Kameralnej, dwa zaś po polskiej części Śląska Cieszyńskiego, w Jaworzu i Bystrej.

Chlubną kartę w historii chóru akademickiego Jedności stanowi rok 1929. Na miejsce dyrygenta kol. Bergera przyszedł kol. Emanuel Guziur. Pod jego batutą wystąpił chór z samodzielnymi koncertami w Ustroniu, Fryszacie, Karwinie, Dąbrowie, Cieszynie i Mor. Ostrawie. Najważniejszym jednak wydarzeniem w tym roku było urządzenie kolonii chórowej na Szpisu w lipcu i sierpniu, w czasie której chór nie tylko wywodził nowy program, lecz także zapoznał miejscową ludność z pieśnią i kulturą polską. W czasie kolonii chórowej urządził chór trzy koncerty, a mianowicie w Smerdżonce (27 lipca), w Tatranskiej Kotlinie (30 lipca) i Kežmaroku (2 sierpnia). Oprócz tego śpiewał w kościele w Starej Wsi i w Ždiarze.

W związku z uroczystościami jubileuszowymi »Znica«, bratniej organizacji po polskiej stronie Śląska, wystąpił chór

Jedności na jego akademii w Ustroniu. Pod koniec roku urządził jeszcze 3 koncerty — w Goleśzowie, Skoczowie i Dziedzicach, oraz śpiewał na wigilii Jedności w Czeskim Cieszynie.

Również rok 1930 zaznaczył się dodatnio w pracy chóru Jedności. W roku tym wyjechał chór na Górny Śląsk, gdzie urządził 2 koncerty. Pierwszy odbył się dnia 11 kwietnia w teatrze w Katowicach pod protektorem Wojewody Śląskiego dr. Grażyńskiego, Marszałka Sejmu Śląskiego Wolnego i konsula Rep. Czechosłowackiej Polliera. Koncert był transmitowany przez rozgłośnię katowicką i spotkał się z wielkim uznaniem ze strony krytyki w prasie polskiej. Dnia 13 kwietnia odbył się koncert w Tarnowskich Górach.

Po powrocie z Górnego Śląska urządził chór jeszcze 3 koncerty na Śląsku Cieszyńskim, a mianowicie w Mistrzowicach, Średniej Suchej i Cierlicku Górnym. Prócz tego śpiewał jeszcze przy poświęceniu szkoły polskiej w Bystrzycy-Pasiekach.

W roku 1931 nastąpił pewien zastój w pracy chóru, spowodowany kryzysem gospodarczym, który odbił się niezwykle ujemnie na pracy kulturalnej Śląska wogóle. Nie było można urządzić samodzielnych koncertów ani przeprowadzać prób, ponieważ nie było funduszy na pokrycie kosztów przejazdu dla chórzystów.

Dopiero rok 1932 przyniósł dodatni zwrot w pracy chóru i »Jedności« wogóle. W tym roku mianowicie założono w Pradze, dokąd udała się na studia znaczna ilość kolegów, sekcję »Jedności«. Sekcja ta w ciągu roku zorganizowała doskonały chór męski, liczący obecnie 25—30 członków pod kierownictwem kol. Karola Dziadury. Chór sekcji praskiej należy uważać za część całego chóru »Jedności« na Śląsku Cieszyńskim. Chór sekcji w Pradze jest bodaj że najważniejszym czynnikiem w pracy chórowej »Jedności«, ponieważ w ciągu całego roku akademickiego może prowadzić próby i urządzić występy, podczas gdy dotychczas cała praca chóru »Jedności« ograniczała się na czas wakacji świątecznych i letnich. Występy chóru sekcji na terenie Pragi i Czech rozszerzyły zasięg działalności »Jedności« i przyczyniły się do rozwinięcia propagandy pieśni polskiej między obcymi. W pierwszym roku swego istnienia t. j. od października 1932 do czerwca 1933 odbył chór sekcji »Jedności« w Pradze 44 próby. Wystąpił w kościele Tyńskim w Pradze podczas mszy z okazji świąt narodowych polskich, dnia 11 listopada, 19 marca i 3 maja 1933. W tym roku też brał udział w całym szeregu wieczorów reprezentacyjnych czesko-polskich i jugosłowiańsko-polskich, zapoznając publiczność czeską i jugosłowiańską w Pradze z pieśnią polską.





Kolonia »Jedności« na Słowacji w r. 1930.



Jan Adamus  
prezes »Jedności« w roku  
jubileuszowym

Ważnym występem było odśpiewanie śląskich pieśni na Wieczorze Śląskim, urządzonym pod protektorem Ministra Pełnomocnego R. P. dra Grzybowskiego i wiceministra spraw zagr. Czechosłowacji dra Krofty w Pradze, dnia 12 marca 1933 r. Również poważny sukces odniósł chór na wieczorze czesko-polskim urządzonym przez Sokół w Pradze-Żyżkowie, w kwietniu r. 1933. Najświetniejszym jednak występem chóru w r. 1933 był koncert pieśni polskiej i czeskiej, urządzony staraniem sekcji »Jedności« w Pradze i chórem praskich typografów w sali Filharmonii praskiej pod protektorem Ministra Pełnomocnego R. P. dra Grzybowskiego i b. ministra spraw zagr. Czechosłowacji prezydenta dra Beneša, dnia 9 grudnia 1933. Koncert był częściowo transmitowany przez wszystkie rozgłośnie polskie i czechosłowackie. Chór Jedności odniósł wielki sukces moralny i zdobył sobie rozgłos na terenie Czech, czego dowodem były liczne zaproszenia z propozycją urządzenia koncertów. Również prasa czeska nader dodatnio wyrażała się o wartości artystycznej chóru Jedności. Chór skorzystał z dwu zaproszeń.

W styczniu 1934 urządził koncert w Radotinie, niedaleko Pragi, zaś dnia 13 marca z okazji urodzin prezydenta Masaryka i imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego w Przybramiu, historycznym mieście górniczym czeskim. Koncert odniósł wielki sukces. Również w roku 1934 śpiewał chór na uroczystościach urządzanych przez Polonię praską z okazji polskich świąt narodowych.

Na Śląsku Cieszyńskim chór Jedności wystąpił dnia 31 grudnia 1933 w Dolnych Błędowicach, dnia 5 stycznia 1934 we Frysztać i 6 stycznia 1934 w Jabłonkowie. W czasie wakacyj letnich urządził chór kolonię w Jabłonkowie, która trwała od 22 lipca do 4 sierpnia 1934. Kolonia miała na celu wyćwiczenie nowego programu chóru i rozwinięcie pracy narodowej w okręgu Jabłonkowskim. W czasie Zlotu Młodzieży Polskiej z Zagranicy wystąpił chór w Warszawie w auli Politechniki. Po powrocie z Warszawy urządził samodzielny koncert we wrześniu w sali hotelu Polonia w Cz. Cieszyń.

W roku 1935 wystąpił chór sekcji Jedności w Pradze już dwa razy, a mianowicie na Wieczorze Śląskim, dnia 2 marca w Pradze i dnia 18 marca w sali Gregra w Reprezentacyjnym Domu miasta Pragi z samodzielnym koncertem.

W lipcu urządziła »Jedność« kolonię chórową w Jabłonkowie, która trwała przez 12 dni. Po kolonii odbyła się ośmiodniowa wędrowka po Śląsku. Jedność urządziła wieczorki z bogatym programem w następujących miejscowościach: Boconowicach, Oldrzychowicach, Smitowicach, Trzanowicach, Mistrzowicach, Błędowicach, Porębie, Skrzeczoniu i w Suchej Górnej. Po odbytej wędrowce urządzono jeszcze 4 wieczorki z występami Chóru w następujących gminach: Frysztać, Olbrachcicach, Karwinie i w Dąbrowie. Dnia 15 września wziął chór udział w uroczystości »Święta Gór« w Nydku. Razem więc przez wakacje 1935 r. chór wystąpił 14 razy w 14 miejscowościach, nie licząc występu podczas tradycyjnego dancingu pożegnającego w Cz. Cieszyń.

Dnia 15 grudnia wziął chór »Jedności« udział w konkursie śpiewaczym w Cz. Cieszyń, urządzonym przez Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji. Za utwór St. Niewiadomskiego »Grób Wikinga« uzyskał 23 $\frac{2}{3}$  punktów na 35 możliwych.

W r. 1936 podczas Świąt wielkanocnych urządził chór kilka koncertów na terenie Śląska. W lipcu wyjechał na jednomiesięczną kolonię »Jedności« do Legionowa Morskiego na Helu. Chór przygotował tam bogaty program, z którym wystąpił w 3 miejscowościach nadmorskich: Jastarni, Jastrzębiej Górze i w Gdyni. Nad koncertem w Gdyni objął protektorat komisarz rządu miasta Gdyni, mgr. Sokół. Największym sukcesem chóru były koncerty w rozgłośni toruńskiej, dnia 3 sierpnia i w radio warszawskim 4 sierpnia. W radio warszawskim pieśni chóru zostały nagrane na taśmie »Stille« i były transmitowane na wszystkie rozgłośnie polskie w ramach audycji dla Polaków z Zagranicy, dnia 8 sierpnia 1936.

Trzeba zaznaczyć, że członkowie »Jedności«, studiujący w Brnie, mają również własny chór, który występuje pod firmą tamtejszego Związku studentów Polaków. Występy tego chóru przyczyniają się w wielkiej mierze do propagandy pieśni polskiej na terenie Brna i Moraw.

Reasumując pracę chóru »Jedności« wogóle, trzeba zaznaczyć, że chór zawsze stał na wysokim poziomie artystycznym, dysponując dobrymi młodeymi głosami i dobrze wyćwiczoną pieśnią. Na program koncertów składały się przeważnie pieśni kompozytorów polskich, jak Lachmana, Walewskiego, Sołtysa, Raszyka, Żeleńskiego, Noskowskiego, Kroszczyka, Rączki, Nowowiejskiego i in.

Na podstawie dzisiejszego poziomu chóru »Jedności« można przypuszczać, że w przyszłości godnie będzie reprezentował pieśń polską.

\* \* \*

### **Sekcja dramatyczna »Jedności«**

Sekcja dramatyczna »Jedności« została powołana do życia 21 lipca 1927 r. W r. 1928 wystawiła pierwszą swą sztukę »Polityka i miłość« Józefa Rączkowskiego w Trzyczynie, Suchej Górnej i Orłowej. W roku następnym przygotowała pod reż. p. dyr. Rudolfa Budnika dramat L. Rydla »Zaczarowane Koło«. Dnia 6 kwietnia 1928 wzięła udział również w wieczorku Związku Ewangelickiej Młodzieży w Trzyczynie, gdzie odegrała sztukę p. t. »Kalosze«. Dramat »Zaczarowane Koło« wystawiono podczas wakacyj letnich w Trzyczynie, Jabłonkowie i w Bystrzycy.

Do r. 1934 imprezy te były sporadyczne, co kilka lat, tak, że sekcja dramatyczna nie była tak głośna, jak sekcja chórowa. Przyczyną tego był brak ludzi, którzy by potrafili zorganizować sekcję i nadać jej pewną systematyczność w pracy. W r. 1934, a więc przed dwoma laty, pewna grupa członków Jedności z kol. A. Gajdzicą na czele, zdając sobie sprawę z tego, jak ważną rolę odgrywa w życiu społecznym teatr, postanowiła zreorganizować sekcję dramatyczną.



Myślą przewodnią było urządzanie przedstawień, nie jak dotychczas co kilka lat, ale regularnie przez każde święta i wakacje. Przy wyborze sztuk postanowiono zwracać uwagę w pierwszym rzędzie na wartość literacką, dalej na inne czynniki, stanowiące o dobrym utworze dramatycznym. Chodziło mianowicie o to, aby rozwinąć smak estetyczny widza, który w większości wypadków przyzwyczajony jest do 2-godzinnego śmiechu tanim kosztem. Dalej chodziło o to, by zmusić publiczność do myślenia, bo rozmaite farsy, czy licie operetki, to rzeczy, które nie poruszają poważniejszych zagadnień, działając tylko w czasie trwania przedstawienia optycznie, czy słuchowo. Nie pozostawiają natomiast w duszy widza żadnego oddźwięku.

Kierując się takimi pobudkami sekcja dramatyczna zaczęła swoją pracę od »Ślubów Panieńskich« pod reż. kol. A. Gajdzicy. Sztukę tę wystawiono podczas Świąt Bożego Narodzenia 1934 r. w Trzyńcu i w Jabłonkowie, podczas Świąt Wielkanocnych 1935 r. w Łakach i Szumbarku, wreszcie podczas wakacji letnich 1935 r. w Karwinie i Dąbrowie. Sztuka i wykonanie wszędzie bardzo się podobały. Drugą z rzędu komedią, wystawioną przez sekcję dramatyczną był »Papierowy Kochanek« jednego z najlepszych dramaturgów polskich J. Szaniawskiego. Komedię tę odegrano w czasie Świąt Bożego Narodzenia 1935 r. w Porębie i Jabłonkowie.

W roku jubileuszowym sekcja przygotowała »Spisek koronacyjny« z III aktu Kordjana J. Słowackiego, który wypełni jeden z punktów programu Akademii, urządzonej z okazji dziesięciolecia »Jedności«.

Prócz tego wyćwiczono doskonałą komedię »Roxy«, która będzie wystawiona jeszcze w czasie wakacji letnich w Suchej Górnej, Będowicach, Orlowej i Lutyni.

### **Sprawozdanie sekcji brneńskiej.**

Sekcja Brneńska jest komórką zasadniczo młodą w organizmie »Jedności«. Powstała bowiem w październiku 1933 r.

Od samego początku, kiedy młodzież nasza zaczęła napływać na wyższe uczelnie do Brna, kielkowała wśród niej myśl o założeniu polskiej organizacji akademickiej. Myśl ta dojrzała dzięki zasługom kol. dr. Tkacza, wówczas studenta praw, w r. 1926, kiedy to na Śląsku powstała »Jedność«.

Po założeniu »Jedności«, przez cały szereg lat, członkowie jej studiujący w Brnie, spotykali się w prywatnych mieszkaniach, urządzali odczyty i pogadanki, starali się zapoznać tamtejsze społeczeństwo ze Śląskiem przez czynny udział w różnego rodzaju imprezach o charakterze ogólnosłowiańskim.

Aby utrwalić węzły przyjaźni wśród siebie i pomagać sobie nawzajem, akademicy nasi starali się w jakiś sposób zorganizować. Była ich jednak przez długi czas zbyt szczupła garstka, żeby móc założyć sekcję »Jedności«. Wybierali więc z pośród siebie corocznie t. zw. »tate«, który był moralnym

przywódcą wszystkich jednościowców. »Tatą« został zwykle wybrany najstarszy kolega.

Po roku 1930, kiedy większa ilość naszych akademików udawała się na studia do Brna, postanowiono założyć sekcję »Jedności«, ponieważ dotychczasowe życie organizacyjne okazało się niewystarczającym. Chodziło również o utrzymanie ściślejszego kontaktu z centralą »Jedności«, a przede wszystkim o przygotowywanie w ciągu roku akademickiego programu pracy na czas pobytu wakacyjnego na Śląsku.

W październiku 1933 r. przystąpiono do założenia sekcji. Pierwszym jej prezesem został wybrany kol. Józef Wardas. W pierwszym roku istnienia, sekcja urządziła cały szereg wieczorów dyskusyjnych, na których roztrząsano zagadnienia naukowe, społeczne i polityczne. Praca zewnętrzna układała się w ścisłym porozumieniu ze Związkiem Studentów Polaków, który miał już swoją tradycję i wyrobione imię na terenie Brna i do którego należeli wszyscy członkowie »Jedności«. Wspólnie ze Związkiem urządzono cały szereg imprez o charakterze narodowym i wszechsłowiańskim. Na zmianę zasługują: obchód Imieniom Marszałka, Konstytucja 3-go Maja, Święta Narodowe 11-go listopada i wszechsłowiański wieczór pod protektorem przedstawicieli dyplomatycznych państw słowiańskich.

W drugim roku istnienia na czele zarządu sekcji stanął kol. Jan Adamus. W roku tym działalność sekcji rozwijała się w tym samym kierunku, jak w roku poprzednim. Współpraca ze Związkiem Studentów Polaków była jeszcze ściślejsza w celu zacieśnienia węzłów braterstwa z kolegami z Łotwy i z Polski. Z ich współudziałem omawiano na wieczorach dyskusyjnych kwestie dotyczące ludności polskiej na Śląsku i na Litwie, zastanawiano się nad możliwościami poprawy jej bytu i nad organizacją życia narodowego na tych terenach.

W trzecim roku kierownictwo sekcji spoczęło w rękach kol. Eug. Febera. Praca sekcji w czasie jego prezesury szła w kierunku wytkniętym przez poprzednie zarządy.

Starsza generacja kolegów, twórców życia organizacyjnego, opuściła Brno, pokończywszy swe studia. Odmłodzona sekcja stara się iść ich śladami i niczego nie chce uronić z ich dzieła, ale przeciwnie wnieść nowe pierwiastki twórcze do życia sekcji.

Bardzo ważną rolę w działalności sekcji odgrywa Chór męski, składający się naogół z nielicznej garstki chórzystów. Chór znajdował się u szczytu formy w r. 1933, kiedy swoim koncertem w radio brneńskim pod dyr. kol. inż. Kohuta i licznymi występami na terenie Moraw zyskał sobie uznanie krytyki fachowej i publiczności. Chór bierze dotychczas udział w każdej imprezie, czy uroczystości urządzonej przez Związek Studentów Polaków, lub sekcję.

Na specjalną zmianę w życiu sekcji zasługują urządzane corocznie z początkiem grudnia wieczory śląskie, wypełnione bogatym programem, na który składają się pieśni śląskie, monologi, deklamacje i dowcipne krakowiaki, komponowane przez kolegów. Na wieczorach tych nie brak praw-



Sekcja brneńska w r. bież.



dziwej, po ślasku przyprawionej warzonki z miodem. Uczestniczą w nich również koledzy z Litwy i z Polski.

Wolny czas spędzają członkowie sekcji w świetlicy Związku Studentów Polaków, gdzie mają do dyspozycji różne gazety i czasopisma polskie. Biblioteczka naukowa i beletrystyczna może zaspokoić głód wiedzy i umożliwić spędzenie przyjemnych chwil na pożytecznej lekturze. Radio, stół ping-pongowy i szachy wprowadzają wiele urozmaïcenia do szarego życia naszych studentów w Brnie.

W roku jubileuszowym sekcja liczy 24 członków studiujących przeważnie medycynę, politechnikę i prawo.

\*\*\*

### **Sekcja praska „Jedności”.**

Kiedy po roku 1928 zaczęła większa ilość abiturientów naszego gimnazjum orłowskiego udawać się na studia wyższe do Pragi, nastąpiła potrzeba skupienia przebywających tam kolegów w organizację, troszczącą się na miejscu o ich życie duchowe i materialne.

Po dłuższym zastanowieniu się nad formą mającej powstać organizacji zdecydowano w r. 1931 założyć sekcję

»Jedności« o osobnym regulaminie, nadającym szeroką samodzielność sekcji. Sekcja rozwijała i rozwija dużą działalność kulturalną, towarzyską, propagandową i t. p. Dzięki posiadaniu chóru w Pradze chór »Jedności« wogóle stanął na wysokim poziomie. Sekcja postarała się o specjalną salkę na zebrania, gazety i książki polskie. Miesięczne zebrania koleżeńskie, połączone zazwyczaj z ciekawymi odczytami fachowymi, utrzymują stały kontakt między kolegami i zaprawiają ich do przyszłej pracy społecznej.

Chór sekcji zapoznał społeczeństwo czeskie z pieśnią polską dzięki swym licznym występom, z których szczególnie należy podkreślić występ w Filharmonii praskiej, nadawany przez radio czeskie i polskie. Sekcja utrzymuje żywy kontakt z miejscowymi Polakami oraz bratnią organizacją »Ognisko Polskie«. Również koledzy interesują się życiem innych słowiańskich organizacji akademickich i nieraz z nimi współpracują przez urządzenie wspólnych imprez (wieczorki polsko-jugosłowiańskie, polsko-bułgarskie i in.).

Sekcja posiada osobny zarząd; dotychczasowymi prezesami byli: kol. dr. Ant. Machaj, Gustaw Taraba, Karol Dziadura, Józef Przeczek, Władysław Palowski.



Sekcja praska w 1935 r.



Chór »Jedności« po występie w radio toruńskim w 1936 r.

### **Członkowie „Jedności” za okres 10-lecia.**

#### **Członkowie honorowi.**

Dyr. Feliks Piotr, dyrektor gimnazjum, Orłowa  
Woj. Malhomme Leon, wicewojewoda śląski, Katowice  
Dr. Ripa Karol, konsul generalny R. P., Pittsburg

#### **Członkowie wieczysti.**

Dr. Balon Jerzy, adwokat, Czeski Cieszyń  
Dr. Buzek Jan, lekarz, Dąbrowa  
Buzek Karol, prezes Towarzystwa Rolniczego, Końska  
Dyr. Feliks Piotr, dyrektor gimnazjum, Orłowa  
Ks. Gazurek Jakób, proboszcz, Sucha Górna  
Górniak Jan, fabrykant, Świbica  
Dr. Olszak Wacław, lekarz, Karwina  
Ks. Płoszek Rudolf, proboszcz, Gnojnik  
Ks. Smyczek Paweł, proboszcz, Stonawa  
Towarzystwo Domu Narodowego, Cieszyń

Ks. Trombik Karol, profesor, Orłowa  
Włosok Jan, profesor, Orłowa

#### **Członkowie wspierający.**

Budnik Rudolf, dyr. szkoły wydziałowej, Bystrzyca  
Ks. Buchwaldek Franciszek, pastor, Bystrzyca  
Dr. Farnik Alojzy, inżynier, Katowice  
Ks. Dziek. Knyps Ludwik, proboszcz, Frysztat  
Dr. Koźdoń Fryderyk, lekarz, Sucha Górna  
Dr. Kuźnik Jan, adwokat, Jabłonków  
Inż. Machnik Józef, dyr. filii T. O. Z., Orłowa  
Ks. Maultz Karol, katecheta, Jabłonków  
Ks. Senior Michejda Oskar, Trzynieć  
Ks. Olszak Henryk, proboszcz, Trzynieć  
Szurmanowa Helena, naucz., Karwina  
Ks. Kons. Teper Karol, Będowice Dolne  
Toman Franciszek, dyr. szkoły wydziałowej, Będowice Dolne  
Dr. Wolf Leon, poseł, Frysztat

#### **Członkowie zwyczajni.**

Adamecki J., stud. teol., Marklowice D.  
Adamus Jan, stud. med., Cz. Cieszyń  
Dr. Bajorek Fr., konc. adw., Orłowa  
Balon Adolf, abs. med., Cierlicko Dolne  
Balon Karol, stud. praw, Cz. Cieszyń  
Baron Eryk, stud. WSH, Górna Sucha  
Mgr. Bartulec Józef, Gdynia  
Batorówna Janina, abs. gimn., Orłowa  
Berger Ernest, abs. fil., Poznań  
Ks. Bocek Paweł, wikary, Koszarzyska

Boczek Wiktor, stud. teol., N. Bogumin  
Ks. Bogacz Fr., wikary, Jabłonków  
Bonczek Em., abs. gimn., Sucha Górna  
Brachaczek Wład., naucz., Sucha Sr.  
Mgr. Brachaczek Józef, Katowice  
Bromek Karol, stud. fil., Śmiłowice  
Bubik Frydolin, stud. teol., Cz. Cieszyń  
† Bura Rudolf, profesor, Katowice  
Buryan Eug., stud. med., Niem. Lutyńia  
Dr. Buzek Józef, asystent, Wilno

Inż. Buzek Paweł, Chorzów  
Inż. Buzek Władysław, Dąbrowa  
Byrt Jan, stud. WSH, Sucha Górna  
Chlebek Emil, dypl. abs. WSH, Katowice  
Ks. Cieślak Jan, wikary, Karwina  
Cieślak Jan, stud. praw, Końska  
Cieślak Gust., dypl. abs. WSH, Katowice  
Ks. Cimała Eryk, katecheta, Szumbark  
Mgr. Chroboczek Józef, Cierlicko Dolne  
Chwajol Ludwik, stud. med., Łazy



Inż. Cygan Józef, Bogumin  
 Chlebik Edwin, stud. teol., Żuków  
 Ks. Cymorek Jerzy, wikary, Ligotka K.  
 Ks. Czvyż Jerzy, katecheta, Bystrzyca  
 Czyż Daniel, lekarz, Cieszyn  
 Dr. Dorda Alfred, lekarz, Kraków  
 Dorda Józef, stud. med., Zabłocie  
 Dostal Karol, lekarz, Cieszyn  
 Drózd Alojzy, prof., Orłowa  
 Inż. Duda Wiktor, Cierlicko Górne  
 Duława Al., stud. teol., Toszonowice G.  
 Ks. Durczok Erwin, wikary, Piotrowice  
 Dyakowski P., st. med., Spiska St. Wieś  
 Dziadura Karol, stud. WSH, Sucha G.  
 Dzik Teodor, profesor, Orłowa  
 Dr. Faja Augustyn, lekarz, Dąbrowa  
 Fajkus Dominik, abs. med., Sucha Dolna  
 Dr. inż. Farnik Alojzy, Katowice  
 Dr. Farnik Emil, lekarz, Cierlicko G.  
 Feber Eugeniusz, stud. med., Stonawa  
 Fierla Adolf, stud. fil., Orłowa  
 Ks. Fierla Bruno, katecheta, N. Lutynia  
 Ks. Fierla Władysław, wikary, Orłowa  
 Fierlanka Zofia, dyr. szk. gosp., Końska  
 Fierla Emanuel, abs. med., Praga-Žižkov  
 Frank Hugon, dypl. abs. WSH, Ustroń  
 Mgr. Franek Karol, Katowice  
 Fraczek Julian, dypl. abs. WSH, Kraków  
 Gajdzica Adam, stud. fil., Nydek  
 Inż. Gálocz Alojzy, Karwina  
 Ks. Gálocz Klemens, wikary, Frysztat  
 Gálgonek Leopold, abs. chem., Bogumin  
 Gáluska Józef, stud. teol., Cierlicko D.  
 Gáwlas Józef, stud. med., Sucha Średnia  
 Godula Wilhelm, stud. praw, Sucha G.  
 Goryl Karol, stud. politech., Bystrzyca  
 Gorgosz Teofil, stud. teol., Zabłocie  
 Górnjak Fr., stud. politech., Świbica  
 Goszyk Alfred, stud. med., Orłowa  
 Ks. Gottsmann Edward, wikary, Konnica  
 Gottsmann Oton, stud. praw, Karwina  
 Guziur Emanuel, prof., Orłowa  
 Inż. Guziur Oswald, Sucha Górna  
 Güirsching Józef, stud. med., Spiska S. W.  
 Guzowski Tad., stud. politech., Darków  
 Dr. Hanak Fr., konc. adw., Frysztat  
 Halama Gustaw, stud. fil., Żuków Dolny  
 Havlásek Erwin, stud. praw, Łazy  
 Inż. Heczko Jan, Cz. Cieszyn  
 Dr. Heczko Paweł, lekarz, Cieszyn  
 Heczko Paweł, dypl. abs. WSH, Katowice  
 Heinrich Eng., stud. med., M. Ostrawa  
 Heller, stud. teol., Piotrowice  
 Mgr. Hładysz Józef, prof., Poznań  
 Hurkot Stefan, stud. med., Głodówka  
 Hübnerówna Maria, stud. med., Orłowa  
 Ihaz Hugon, stud. med., Łazy  
 Jasiok Władysław, stud. teol., N. Lutynia  
 Jaś Władysław, stud. WSH, Leszna D.  
 Jochymek Paweł, stud. teol., Bukowiec  
 Kajzar Józef, stud. teol., Frysztat  
 Kajzar Paweł, Trzyniec  
 Kajzar Władysław, abs. praw, Trzyniec  
 Kaleta Paweł, abs. praw, Bystrzyca  
 Kaleta Karol, stud. med., Sucha Dolna  
 Kaleta Fryk, stud. med., Sucha Dolna  
 Kalnik Franciszek, stud. teol., Frysztat  
 Ks. Karpecki Jan, pastor, Bystrzyca  
 Dr. Kantor Karol, lekarz, M. Ostrawa  
 Kazik Józef, stud. praw, Stonawa  
 Inż. Kellner Albert, Cieszyn  
 Kiedroń Józef, stud. teol., Leszna Dolna  
 Kiedroń Karol, stud. teol., Stonawa  
 Inż. Kisza Karol, Ropica  
 Klisz Mirosław, stud. teol., Skrzeczów  
 Dr. Klus Adam, lekarz, Końska  
 Klus Antoni, abs. praw, Praga  
 Mgr. Kluz Karol, prof., Warszawa  
 Kołtuń Karol, stud. teol., Zabłocie

Inż. Kohut Bronisław, Dąbrowa  
 Ks. Konieczny Fr., katecheta, Orłowa  
 Mgr. Koziół Karol, prof., Cieszyn  
 Dr. Kożusznik Bog., lekarz, Petrkowice  
 Kożusznik Emil, abs. praw, Sucha Śr.  
 Kożusznik Wład., stud. leśn., Szumbark  
 Kreniec Henryk, stud. ak. gór., Karwina  
 Kroczek Eugeniusz, stud. med., Frysztat  
 Inż. Krygiel Bogusław, Sucha Dolna  
 Krygiel Alfred, abs. praw, Sucha Śred.  
 Krzemień Jan, abs. med. wet., Trzycieź  
 Kubala Adam, abs. gimn., Trzyniec  
 Dr. Kubatko Eugen., lekarz, Katowice  
 Kubica Paweł, stud. med., Łazy  
 Dr. Kubok Jan, lekarz, Końska  
 Kudzielka Albin, stud. teol., N. Lutynia  
 Kutarnia Jan, stud. med., Spiska St. W.  
 Łatoszyński Fryd., stud. med., Trzyniec  
 Lipka Czesław, stud. politech., Jabłonków  
 Łukoszówna Waleria, naucz., Łąki  
 Dr. Machaj Antoni, lekarz, Sucha Górna  
 Ks. Maciejczek Józef, wikary, Trzyniec  
 Majewski Wiesław, katecheta, Rychwałd  
 Malost Stefan, stud. med., Błędowice G.  
 † Marek Paweł, prof. gimn., Katowice  
 Mgr. Markiel Józef, aplik. sąd., Cieszyn  
 Ks. Marosz Jan, wikary, Bogumin  
 Mech Franciszek, stud. fil., Rychwałd  
 Mencner Fr., abs. praw, Dzieńmorowice  
 Ks. Michalec Fr., wikary, Lutynia  
 Michejdzianka Anna, naucz., Trzyniec  
 Michejda Adam, stud. med., Trzyniec  
 Michejda Tadeusz, lekarz wet., Katowice  
 Mitreżanka Maria, stud. med., Raj  
 Motyka Antoni, stud. med., Mosty p. J.  
 Motyka Józef, stud. teol., Bukowiec  
 Morawcówna Aniela, Karwina  
 Morcinek Jan, stud. politech., Milików  
 Morysówna Waleria, stud., pedagog., Łąki  
 Möhlwaldówna Aniela, Orłowa  
 Mrózek Fr., instr. sport., Bystrzyca  
 Myrdaczówna Irena, Górna Sucha  
 Niemczyk Fr., lekarz wet., Warszawa  
 Inż. Niemczyk Karol, leśn., Żywiec  
 Niedoba Alojzy, stud. med., Jabłonków  
 Niemiec Erwin, naucz., Katowice  
 Nowakówna Maria, abs. gimn., Orłowa  
 Ks. Nowak Józef, wikary, Frysztat  
 Ofiok Andrzej, stud. ak. gór., Końska  
 Okarina Jan, stud. kons. muz., M. Ostrawa  
 Onderkówna Bron., stud. fil., Karwina  
 Onderek Witold, stud. teol., Karwina  
 Olewnik Adolf, Sucha Górna  
 Ks. Olszak Józef, wikary, Jabłonków  
 Orszulik Jan, stud. tech., Karwina  
 Ostafin Zdzisław, abs. praw, Dąbrowa  
 Osuchowski Bron., abs. praw, Stonawa  
 Ks. Ożana Bron., katecheta, Trzyniec  
 Palowski Rudolf, stud. wet., Stonawa  
 Palowski Władysław, stud. fil., Karwina  
 Dr. Pasz Józef, adwokat, Cieszyn  
 Paszek Brunon, stud. politech., Stonawa  
 Dr. Pawlas Jan, lek. wet., Bystrzyca  
 Ks. Pawlas Władysław, wikary, Ustroń  
 Ks. Pawlas Alojzy, wikary, Bruzowice  
 Pawlas Wiktor, abs. gimn., Sucha Śred.  
 Pawlas Józef, abs. gimn., Błędowice D.  
 Pawliczek Bol., stud. praw, Frysztat  
 Paździora Erwin, abs. med., Karwina  
 Piechaczek M., stud. ak. gór., Karwina  
 Piechaczek Dom., stud. teol., Piotrowice  
 Płoszek Rudolf, abs. WSH, Jabłonków  
 Mgr. Poloczek Stefan, prof., Jabłonków  
 Popiołek Wład., abs. praw, Katowice  
 Przyszcz Ryszard, abs. praw, Dąbrowa  
 Przeczek Józef, abs. praw, Szumbark  
 Przeczek Rudolf, stud. WSH, Szumbark  
 Przeczek Rudolf, stud. fil., Datynie Dol.  
 Pustówcanka H., naucz. w., Cz. Cieszyn

Pustówka Teodor, lekarz wet., Katowice  
 Rakowski St., dypl. abs. WSH, Gnojnik  
 Rakowski Paweł, stud. med., Bystrzyca  
 Mgr. Ramsza Jan, prof., Bystrzyca  
 Mgr. Ramsza Rudolf, prof., Łuniniec  
 Reichenbach Józef, naucz., Żywocice  
 Rettke Adolf, stud. med., Skrzeczów  
 Roman Paweł, abs. teol., Trzanowice  
 Rusek Bogusł., stud. teol., Wierzniovice  
 Russek Jan, stud. fil., Zabłocie  
 Rusz Paweł, abs. med., Bystrzyca  
 Russówna Wanda, naucz., Orłowa  
 Russówna Danuta, Orłowa  
 Samcówna Wanda, abs. gimn., Bystrzyca  
 Schwartz Wład., stud. praw, Świbica  
 Ks. Słowik Alojzy, wikary, Jabłonków  
 Santarius Stanisław, stud. med., Orłowa  
 Smolka Artur, urzędnik, Cz. Cieszyn  
 Sosna Karol, stud. teol., Lutynia  
 Spiczak Ferdynand, sędzia, M. Ostrawa  
 Swaczyna Eug., stud. wet., Stonawa  
 Starostka Władysław, stud. fil., Dąbrowa  
 Ks. Staszek Emilian, wikary, Sucha Gór.  
 Inż. Stebel Franciszek, Stanisławice  
 Inż. Swaczyna Wincenty, leśn., Raj  
 Świder Franciszek, ak. szt. w., Karwina  
 Mgr. Szczepański Karol, Oldrzychowice  
 Mgr. Szczepańska Helena, Oldrzychowice  
 Szczerba Karol, urzędnik, Gdynia  
 Ks. Szeruda Józef, prof. gimn., Cieszyn  
 Ks. Szlachta Jan, wikary, Pietwałd  
 Sztwiertnia Walter, stud. WSH, Karwina  
 Szkuta Józef, dypl. abs. WSH, Niebory  
 Sznappa Rafał, sędzia, Sucha Górna  
 Sznappa Karol, stud. med., Darków  
 Inż. Szostek Alojzy, Karwina  
 † Inż. Szulc Władysław, Karwina  
 Inż. Szybka Karol, Karwina  
 Szymeczek Józef, stud. fil., Cierlicko G.  
 Ks. Szurman Gustaw, wikary, Nawsie  
 Taraba Gustaw, abs. praw, Sucha Śr.  
 Ks. Taska Józef, wikary, Łąki  
 Tkacz Józef, konceptant adw., Frysztat  
 Tolasz Ewald, stud. med., Końska  
 Ks. Tomanek Fr., wikary, Wędrynia  
 Topiarz Fr., stud. teol., Stanisławice  
 Trombik Jerzy, prof., Łuniniec  
 Trombik Leonold, stud. agron., Stonawa  
 Dr. Unucka Jerzy Stan., lek. wet., Cz. Cieszyn  
 Wadowski Engelbert, prof., Orłowa  
 Wałach Jerzy, stud. teol., Bystrzyca  
 Ks. Waloszek Adolf, wikary, Karwina  
 Wardas Józef, W. Szk. Dzien., Łazy  
 Wągiel Jan, dypl. abs. WSH, Pszczyna  
 Wierba Ant., abs. politech., Błędowice Ś.  
 Wilczek Jan, stud. politech., Karwina  
 Mgr. Wilczyński Henryk, Śl. Ostrawa  
 Wóćikówna Władysł., lekarz, Cieszyn  
 Wóćikówna Anna, stud. pedagog., Orłowa  
 Wojtal Witold, stud. ak. gór., Rychwałd  
 Woityła Willi., stud. techn., Mosty p. J.  
 Wolny Gabriel, lekarz, Cieszyn  
 Woźnica Karol, abs. praw, Zabłocie  
 Wranka Bruno, stud. med., Stonawa  
 Wolf Leon, stud. praw, Frysztat  
 Wzatek Jan, stud. teol., Piersna  
 Zadiora Piotr, stud. praw., Spiska St. W.  
 Zagóra Walter, abs. gimn., Kocobędz  
 Zahraj Antoni, stud. fil., Olbrachcice  
 Zajchowski Jan, stud. fil., Warszawa  
 Zielina Alfr., dypl. abs. WSH, Cz. Cieszyn  
 Zielina Jan, lekarz, Cieszyn  
 Mgr. Zielina Paweł, prof., Nydek  
 Zielina Władysław, Końska  
 Zuczek Józef, profesor, Orłowa  
 Zuczek Rudolf, abs. praw, Orłowa  
 Zmety Adolf, stud. teol., Zabłocie  
 Ks. Żyła Fryderyk, wikary, Karwina

Ponieważ Redakcja nie dysponowała odpowiednim spisem członków, dlatego prosimy przesyłać ewentualne po-

prawki, wzgl. uzupełnienia na adres »Jedności« — Czeski Cieszyn, hotel Polonia.

*Dział poświęcony 10-leciu »Jedności« redagował kol. Józef Wardas.*





Delegaci »Jedności« na zjeździe Związku Polskiej Młodzieży Akademickiej z Zagranicy w Berlinie w r. 1931.



Chór »Jedności« po ukończeniu wędrowki po Śląsku w r. 1935 w Suchej Górnej.



Chór »Jedności« w czasie swej wędrowki po Śląsku w r. 1935 w Trzanowicach.

## Dział regionalny

Gustaw Przeczek.

### Na kłękaniu.

Nad gronie piastowe pod niebo gwiazdziste  
głos dzwonu skądś płynie gazdowskim chodnikiem,  
odmawia przestworzy modlitwy wieczyste,  
u stóp włodarza wieczności zanika.

Przysiwy, poważny przystanął se gazda,  
Nabożnie skierował swe oczy w niebiosą  
i bawi się swoją przeznaczoną gwiazdą  
z radością w swej duszy, z nieziemską rozkoszą.

Już gwiazdki przetarły z uspienia żrenice  
i gonią z błyskotem jak dzieci fąfłate,  
już gasną okna, pod białym doszkiem mrze życie:  
wśród wonnych lip spoczęły bogobojne chaty.

### Ojczyzna.

Ojczyzna moja — to ten kraj rozległy,  
Gdzie szumią latem złote kłosa zboża,  
Gdzie łzy mych przodków w potoku się zbiegły  
I w nurtach Olzy hań płyną do morza — —

Ojczyzna moja — to te wszystkie drzewa,  
W których poszumie pieśni swojskie wioną,  
W których konarach płasze z wiosną śpiewa  
Śpiewkę radosną, uczuciem natchnioną — —

Ojczyzna moja — to te lasy czarne,  
W których wytnienia mogą szukać dniami,  
Ponad któremi słońce świeci skwarne,  
A nocą późną i miesiąc z gwiazdami — —

Ojczyzna moja — to te łzy dziecięce,  
Które za Matkę udręczoną płyną

Gdzieś w dali gadziny odzywa się stado,  
powoli, z porykiem idącej do obór,  
kilkoro pastuszków poważnionych z sobą  
przeciągłem strzelaniem z bicia kończy zwadę.

W opłotkach w świątyni woniącej zieleni  
odzywa się śpiewka na piastowską nutę,  
a dalej przy ganku zórawia skrzypienie  
rozdziiera wieczorne milczenie swą butą.

Które się łączą we wspólnej udreće,  
A które później potęgą zasłyną — —

Ojczyzna moja — to bagnatów groty,  
Które krew zdrajcom potrafią wytoczyć —  
Ojczyzna moja — bratnich ramion sploty,  
Które za Matkę krwią potrafią broczyć — —

Ojczyzna moja — to królów popioły,  
Które nas w boju pobudzą do męstwa,  
Ojczyzna moja — to młodych zespoły,  
Które jednością dążą do zwycięstwa — —

Ojczyzna moja — to nasze zapały,  
Które Bóg Wieczny we wolność zamieni —  
Ojczyznę wszyscy, co dążą do chwały,  
Bóg ich wysiłki w tryumf przepromieni — —



## 4 lata temu.

Czas szybko mija, czas goi rany. Wierzyć się nie chce, że to już 4 lata ubiegły od chwili, gdy w lasku cierlickim znaleźli tragiczną śmierć ś. p. Żwirko i Wigura. Pamiętamy, jak by to wczoraj było, jak straszna wieść o ich śmierci wstrząsnęła nami do głębi, słyszymy jeszcze te szlochy i widzimy łzy, płynące obficie na ich starcie do wiecz-



Ś. p. kpt. Żwirko ze swoim synkiem Henrykiem.

ności. Cztery lata minęły, lecz chociaż ból przycichł, ranę czas zagoił, wrażenia pozostaną niezatarte. To też w dniu 11 września, w czwartą rocznicę śmierci bohaterów przestworza, wszyscy rozpamiętujemy smutne dla nas i całego Narodu Polskiego chwile. A my młodzi ślubujemy, że pracować będziemy tak, abyśmy i my, za ich przykładem, sławy przyczynili Narodowi Polskiemu.

\* \* \*

### **Nowa pisownia polska.**

Zatwierdzenie przez Ministerstwo W. R. i O. P. w dniu 24 czerwca b. r. uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii umiejętności, dotyczących zasad pisowni polskiej, nakłada na nas obowiązek dokładnego jej poznania i przystosowania się do tych nowych zasad, które w całej rozciągłości będą obowiązywały po upływie roku.

W dzisiejszym szkicu, postaramy się więc po krótko scharakteryzować ważniejsze zmiany w pisowni polskiej, odsyłając czytelników, którzy chcieliby dokładniej poznać omawiany przedmiot, do oficjalnych wydawnictw Polskiej Akademii Umiejętności (do nabycia w księgarni M. Szk. w Cz. Cieszyńskie).

Najwięcej powodów do dyskusji na łamach prasy w czasie obrad Komitetu Ortograficznego dostarczyła sprawa pisania samogłoski »u« zamiast »ó«. Nowa pisownia nie wprowadziła tu żadnej zmiany i w dalszym ciągu piszemy »ó« w wyrazach, które w innych formach wymieniają się na »o« lub »e«, np. sól (soli), lód (lodu), głód (głodu), pióro (pierce), siódmy (siedem). W innych wyrazach piszemy »ó« chociaż w wymianie nie występuje »o« lub »e«, np. góra, król, skóra.

Poza tym piszemy »ó« w zakończeniach:

-ów (jako końcówka dopełniacza 1. mn. i zakończenia nazw miejscowych), np.: chłopców, parobków, domów, Lwów, Kraków, Jaworów.

-ówna, np.: Jaroszewiczówna, Bajarówna, aptekarzówna.

-ówka, np.: stalówka, majówka, makówka.

(Do wyjątków należy: zasuwka, skuwka, gdyż »u« należy do rdzenia wyrazu, a nie do przyrostka, np.: suwać i skuwać.)

Samogłoskę »u« piszemy w zakończeniach:

-uje, -ujesz, np.: pakuje, gotuje, pakuj, gotuj;

-unek, np.: pakunek, gatunek;

-un, -unka, np.: opiekun, opiekunka;

-ulec, np.: budulec.

Prócz tego »u« piszemy w zdrobniających lub spiczających wyrażeniach.

Na początku wyrazów »ó« piszemy wyjątkowo w wyrazach: ósmy, ósemka, ów, ówczesny, ówdzie, ócz, ód (oda), ós — na końcu wyrazów »ó« nie występuje.

Litera »o« występuje obok »ó«, np.: mowca-mówca, bolu-bólu. Szczegółowe wskazówki dotyczą dopełniacza 1. mn. rzeczowników żeńskich rodzinnych posiadających w temacie »o« przed spółgłoską dźwięczną »b«, »d«, »g«, »w«, »z« i utworzonych z nich zdrobnień, np.: woda-wód-wódka, noga-nóg-nóżka.

W wyrazach zapożyczonych kończących się na -or piszemy »o«, np.: dyrektor, aktor, doktor.

Samogłoskę »ą« zamiast »om«, »on« i »ę« zamiast »em«, »en« — piszemy w wyrazach rodzimych, a więc: łąka, dąb, ręka, lęk, często.

W wyrazach zapożyczonych utrzymuje się »om«, »on«, »em«, »en«, np.: plomba, koncepcja, stempel, kalendarz.

W wypadku jednak, gdy wyrażenia zapożyczone są mocno przyswojone, to piszemy je, jak rodzime, np.: brąz, ład, kołeda, pędzel.

Dużej zmianie uległo pisanie i — j.

Po spółgłoskach »c«, »s«, »z« piszemy »j«, gdy wyraźnie słyszymy »cj«, »sj«, »zj«, np.: reprezentacja, Rosja, Azja; gdy słyszymy »ć«, »ś«, »ź« — piszemy »i«, np.: babcia, Kasia, Kazia.

Po innych spółgłoskach piszemy stale »i«, np.: subiekt, diabeł, fioletoży, religia, kioszek, Dania (państwo), dania (obiadowe), Mania (imię), mania (nawyk), kurier, sympatia i t. d.

Wyjątkiem w tej ogólnej zasadzie jest pisanie »j« (oprócz połączeń »cj«, »sj«, »zj«) po przedrostkach: »nad-«, »ob-«, »od-«, »pod-«, »przed-«, »w-«, np.: nadjeść, objazd, odjechać, podjąć, wyjazd.

Również do wyjątków zalicza się pisanie triumf obok tryumf oraz Maria obok Maryja.

Rzeczowniki zakończone na »-ia« po »p«, »b«, »f«, »w«, »m« w dopełniaczu, celowniku i miejscowniku liczby pojedynczej — piszemy przez »ii«, np.: utopii, Arabii, armii.

Wyjątki: **głębia** (głębi), **rękojmia** (rekojmii), **skrobła** (skrobi), **stulbia** (stulbi), **ziemia** (ziemi), **hrabia** (hrabi), **margrabia** (inargrabi), **burgrabia** (burgrabi); nazwy miejscowe polskie na »-pia, »-bia, »-wia, »-mia, np.: Stupia (Słupi), Turwia (Turwi).

Po »n« piszemy »i« lub »ii«, gdy jest to zgodne z wymową:

-ni (gdy wymawiamy -ni), np.: latarni.

-nii (gdywy mawiamy nji), np.: Abisynii.

Po innych spółgłoskach, jak: »t«, »d«, »r«, »l«, »g«, »ch« — piszemy zawsze »ii«, np.: sympatii, Holandii, historii, Anglii, religii, monarchii.

Na początku wyrazów oraz po samogłoskach piszemy zawsze »i«, np.: iskra, imigracja, instrument, idei, nadziei, twoi, koi.

Oprócz wyrazów rodzimych, zakończonych na »-eja«, posiadamy zapożyczone: aleja, epopeja, prozopopeja; na »-ea« kończą się: farmakopea, gwinea, idea, orchidea, teodycea.

(Dok. nast.)

Zbigniew Krygler.



## Nasze sprawozdania.

### Krok naprzód.

W sobotę, dnia 5 b. m. odbyło się w Polonii w Cz. Cieszynie pierwsze Walne Zgromadzenie Zrzeszenia Organizacji Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji. Przeszło 50 delegatów, zastępujących 10 organizacji młodzieżowych na naszym terenie obradowało o przyszłości naszego młodego pokolenia. Ze sprawozdania czynności dotychczasowego Komitetu Przygotowawczego, oraz z referatów o programie pracy na przyszłość można sądzić jak wielkie zadania czekają młodych, jak dużo trzeba będzie energii, dobrej woli i wzajemnych ustępstw, by sprawę naszą polską wprowadzić na normalne zdrowe tory. Poważna dyskusja wykazała, że kwestię tę stawia się już dzisiaj ponad wszystko na pierwsze miejsce, zaś zagadnienie młodzieży jako problem naczelny. W wyniku wyborów, prezesem Z. O. M. P. obrano p. Em. Guziura, prof. z Orłowej, zaś sekretarzem p. Edw. Potysza, urz. z Cz. Cieszyna.

Szczegółowe sprawozdanie z braku miejsca podamy w następnym numerze.

\* \* \*

### Z kursu ZZEM w Nawsii.

Niezapomnianych pięć dni! Grono dobranej młodzieży zjeżdża się z różnych zakątków naszego kraju, ażeby wspólnie kształcić się, zdobywać potrzebne wiadomości do pracy młodzieżowej i spędzić w przyjacielskim nastroju sporo pięknych chwil młodości. Na kursie panował duch prawdziwie chrześcijański, braterski. Powaga i serdeczne wzruszenie przeplatane swobodną wesołością zlewały się w jedną harmonijną całość, pozostawiającą w duszy niezatarty ślad... Dobrze się czuła młodzież ewangelicka na kursie w Nawsii, tak dobrze, że było ogólnym życzeniem, by podobny kurs zorganizować jeszcze raz i by trwał dłużej.

Program był nadzwyczaj starannie przygotowany i tak urozmaicony, że nie odczuwało się żadnego zmęczenia chociaż jedno zajęcie następowało po drugim. Czas przeznaczony na odpoczynek i zabawę był tak szczęśliwie rozmięszony, że dawał prawdziwe wesełnienie i pokrzepienie. W wykładach niezliczona ilość rad i wskazówek a co najważniejsza dużo materiału pouczającego i dużo prawdy, podnoszącej na duchu. Nie mniejsze znaczenie miały dla nas zajęcia praktyczne, względnie pokazy praktyczne, jak należy pracować w poszczególnych sekcjach ZEM.

Organizacja kursu pierwszorzędna. Wszystkich obowiązywał regulamin, który nam przy otwarciu przeczytano, oraz szczegółowy program, któryśmy otrzymali powielony tak, że każdy z góry wiedział co ma nastąpić. I rzeczywiście wszystko się odbyło w oznaczonym czasie, najwyżej z paruminutowym opóźnieniem lub nicuniknionem przyspieszeniem. Pomieszczenie w lokalach szkolnych znakomite. Kuchnia doskonała i, trzeba to zaznaczyć, jedzenie obfite (cztery razy dziennie).

Niepodobna wymienić szczegółów w krótkim sprawozdaniu. Podkreślić należy, że Kurs urządzony przez ZZEM ma wielkie znaczenie dla sprawy młodzieży ewangelickiej a pośrednio dla

całej młodzieży polskiej na Śląsku, bo potrafił przełać w serca uczestników zapał i otuchę do pracy. Organizatorom należy się z naszej strony serdeczne podziękowanie.

Kurs ZZEM udał się doskonale pod każdym względem. Dla uczestników wielka korzyść i zachęta a przez nich pożytek dla sprawy. Chociaż towarzystwo było mieszane i na różnym stopniu inteligencji, to jednak potrafiło się świetnie żyć. Było nam dobrze razem. Nie tylko wtedy, kiedyśmy ze wzruszeniem słuchali słów pięknych, nie tylko przy zabawie i na wspaniałej wycieczce na Girową, lecz także gdyśmy podczas przerw zażywaliśmy się wzajemnie, bo czuliśmy się naprawdę jako członkowie jednej rodziny.

Niezapomnianych pięć dni. „Przyjaźń o bracia niech wiąże nas...” Uczestnik.

\* \* \*

### Komunikaty.

#### Jubileusz „Jedności”.

Dnia 12 września b. r. „Jedność” obchodzi swoje dziesięciolecie. O godz. 15-ej odbędzie się zebranie członkowskie w sali posiedzeń na I piętrze Domu Repr. w Cz. Cieszynie, po czym o godz. 17-ej odbędzie się w dużej sali Uroczyste Walne Zebranie, którego najważniejszym punktem będzie założenie sekcji seniorów.

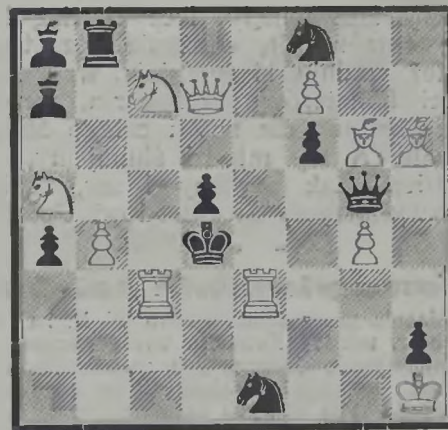
O godz. 19-tej odbędzie się Uroczysta Akademia, której program wypełnią występy chóru i występ sekcji dramatycznej. Odegrany zostanie „Spisek koronacyjny” z III aktu Kordiana J. Słowackiego.

Po Akademii odbędzie się zabawa towarzyska. Przygrywać będzie orkiestra jazzowa.

\* \* \*

### Kacik szachowy.

**Exarne:** Kd<sub>4</sub>, Hg<sub>5</sub>, Wb<sub>8</sub>, Ga<sub>8</sub>, Ga<sub>7</sub>, Se<sub>1</sub> Sf<sub>8</sub> Pa<sub>4</sub>, d<sub>5</sub>, f<sub>6</sub>, h<sub>2</sub>, (11).



**Białe:** Kh<sub>1</sub>, Hl<sub>2</sub>, Wc<sub>3</sub>, We<sub>3</sub>, Gg<sub>6</sub>, Gh<sub>6</sub>, Sa<sub>5</sub>, Sc<sub>7</sub>, Pb<sub>4</sub>, f<sub>7</sub>, g<sub>4</sub>, (11)  
Mat w 2 pociągnięciu.

### Rozwiązanie z Nr. 15.

**Białe:**

1. Gf<sub>1</sub>-a<sub>6</sub>
2. Ga<sub>6</sub>-b<sub>7</sub>, Hb<sub>1</sub>×c<sub>4</sub>
1. . . .
2. Hl, S mat.

**Exarne:**

1. Wd<sub>4</sub>-c<sub>4</sub>-e<sub>4</sub>-×f<sub>4</sub>-d<sub>3</sub>-d<sub>2</sub>-d<sub>1</sub>.
2. Se<sub>6</sub>×f<sub>4</sub>, Hb<sub>1</sub>×d<sub>3</sub>-e<sub>4</sub> mat.
1. Dowolnie, inaczej.



# OGNIWO

**DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI**  
**PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-**  
**MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM**

## **W 50 rocznicę Trylogii.**



Ks. Jeremi Wiśniowiecki robi przegląd wojsk swych na Mogile.

J. Kossak.

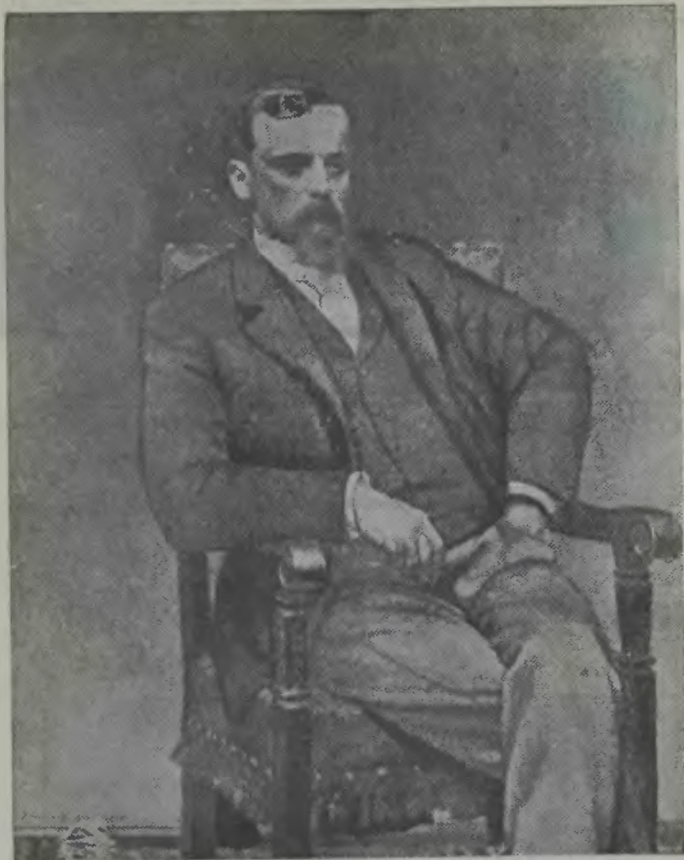
W roku bież. mija lat dwadzieścia od śmierci Henryka Sienkiewicza, a 50 lat od ukazania się „Trylogii”. „Ogniem i mieczem” ukazało się w r. 1884, „Potop” w r. 1886, „Pan Wołodyjowski” w r. 1888 — można więc powiedzieć, biorąc pod uwagę cyfrę średnią, iż w tym roku przypada półwiecze „Trylogii”.

Cała twórczość Sienkiewicza, a zwłaszcza jego powieści historyczne, z „Trylogią” na czele, było zawsze krynicą ożywczą polskości. Tak było w dobie po powstaniowej, kiedy się pierwsze powieści

historyczne Sienkiewicza ukazywać zaczęły, tak jest i dzisiaj.

Sienkiewicz, jak sam to przyznawał — pisał „Trylogię” ku pokrzepieniu serc i rzeczywiście swymi powieściami historycznymi cel ten osiągnął, a wszyscy ze starszego pokolenia pamiętają, jakie ożywienie uczuć narodowych wywołała „Trylogia”. Więcej nawet, bo nie tylko wśród ucisku rusyfikacji i germanizacji obudziła w społeczeństwie żywsze poczucie polskości, ale nadto wskrzesiła i skrzepiła w narodzie wolę zmartwychwsta-





H. Sienkiewicz.

K. Pochwalski.



Oleńka.

P. Stachiewicz.



Książki Kurcewiczowa.

P. Stachiewicz.



Helena Kurcewiczówna.

P. Stachiewicz.





## Zrzeszenie Organizacji Młodzieży Polskiej

W Cz. S. R. (Z. O. M. P.).

Kwestię młodzieży każde społeczeństwo zawsze stawia w rzędzie zagadnień naczelnych. Kwestię tą i w naszym społeczeństwie dobrze się rozumie, to też z biegiem życia i zmiany warunków, sprawy młodzieżowe społeczeństwo nasze stara się dostosować do nowych warunków, do nowego życia.

Organizowanie naszej młodzieży, zdawałoby się naogół, że jest ukończone, mamy przecież cały szereg organizacji młodzieżowych, które obejmują wszystkie warstwy polskiej młodzieży w Cz. S. R. Organizacje te mimo cech dodatnich posiadają i ujemne, a jedną z najważniejszych to jest to, że wszystkie te organizacje szły dotychczas luzem, każda osobno, bez uzgadniania programów, nie biorąc pod uwagę wspólnej linii postępowania w sprawach obchodzących całość naszego społeczeństwa. Lukę tą postanowiono zapłacić utworzeniem Zrzeszenia Organizacji Młodzieży Polskiej, jako najwyższej komórki organizacyjnej młodzieżowej w naszym społeczeństwie.

Jako krok wstępny do nowych zapatrywań na sprawę naszej młodości, a zarazem dla wysondowania nastrojów, jakie panują wśród naszej młodzieży — urządzono Pierwszy Zlot Młodzieży Polskiej w dniu 7 lipca 1935 r. Przy tej akcji tysiące naszej młodzieży zadokumentowały, że ponad wszystkie cele organizacyjne, ponad różnice religijne, czy stanowe wynosi w pierwszym rzędzie cele narodowe. Mocny tego wyraz dała nasza młodzież w uchwalonej rezolucji, gdzie uroczyście ślubowano, iż »młodzież polska w Czechosłowacji będzie dążyła ze wszystkich sił do zupełnej solidarności i jedności dla dobra ludu polskiego w Czechosłowackiej Republice i dla lepszej jego przyszłości, na chwałę całego Narodu Polskiego, którego częścią młodzież polska w Czechosłowacji się czuje«. Młodzież zebrana na Zlocie zaakceptowała dotychczasowe prace, wyraziła pełne zaufanie osobom, które rozpoczęły te prace i wezwała do dalszych wysiłków »dla stworzenia całkowitej jedności młodego pokolenia, które nie chce znać waśni i walk partyjnych i pragnie ramię przy ramieniu pracować dla sprawy polskiej«. Młodzież nasz zaapelowała dobitnie do starszego społeczeństwa »aby i ono ponad różnice partyjne i społeczne podało sobie dłoń do zgodnej i solidarnej współpracy narodowej«.

W tym też duchu i nastroju, jako dalszy etap pracy konsolidacyjnej, odbyło się na podstawie zatwierdzenia statutu, Konstytuujące Walne Zgromadzenie Z. O. M. P., dnia 5 września b. r.

Z całości programu zebrania wybijała się na pierwszy plan poważna troska o przyszłość na-

szego młodego pokolenia. Oprócz spraw formalnych, jak sprawozdania, wybory Władz ZOMP, w których wybrano prezesem p. Guziura Em., prof. z Orłowej, sekretarzem p. Potysza Edw., urzędnika z Cz. Cieszyna, oraz skarbnikiem p. Knoblocha J., urzęd. z Trzyńca, — miały miejsce aż dwa referaty na temat programu pracy ZOMP. Referaty te wykazały dobitnie ważność Zrzeszenia w dzisiejszej chwili, które ma na celu skupianie naszej młodzieży na platformie jedności narodowej, zgodną współpracę dla celów narodowych, oraz nadawanie tej pracy pewnego jednolitego tonu. Zarząd ZOMP będzie miał za zadanie wydawać dyrektywy w związku z tymi sprawami, — ponad wszystkim bowiem co nas dzieli, łączy nas jedna sprawa, a tą jest sprawa narodowa, polska! Nad pracą związaną ze sprawami narodowościowymi, która dotychczas szła niejednolicie, nieekonomicznie, musi ZOMP czuwać, musi ją rozszerzać. Przez organizowanie kursów i obozów musimy wychować jak najwięcej dobrych pracowników społecznych dla naszych organizacji. Brak nam również prelegentów, którzyby stale, w każdej chwili byli do dyspozycji organizacjom po wsiach, — i o kadry tych prelegentów Zarząd musi się starać. Naturalną jest rzeczą, że sprawa organizowania wszelkiego rodzaju imprez musi ulegać zmianie. Zamiast przyjeżdżać z tym samym referatem kilka razy do jednej wsi dla różnych organizacji — ekonomiczniej chyba jest zorganizować raz jeden odczyt dla wszystkich organizacji w gminie. Powstać musi w każdej gminie komitet, który te sprawy będzie organizował i uzgadniał. Odciażymy w ten sposób społeczeństwo od nadmiaru imprez, na co dzisiaj ogólnie się narzeka, nie zmniejszając przy tym dochodów organizacjom.

Sprawę jedyne go pisma »Ogniwo«, musi ZOMP jak również cała młodzież postawić na pierwszym miejscu. Rzecz jasna, że i w tym wypadku podstawą musi być współpraca wszystkich organizacji. Coraz większe spopularyzowanie »Ogniwa«, rozszerzenie i ulepszenie w jak najkrótszej przyszłości, — będzie dowodem naszej dojrzałości społecznej.

Inną bolączką naszego społeczeństwa jest słabość gospodarcza, szczególnie zaś młodzieży. Młodzież nasza jest bezrobotna, »nie ma uśmiechu na twarzy«, zaś społeczeństwo nasze jest za słabe i za biedne, by to zlikwidować. W każdym razie znajdujemy pewne możliwości, które mimo to są niewykorzystane dotychczas. W naszych organizacjach okazujemy się mało realnymi, mało praktycznymi i bez większej inicjatywy. Zorganizowanie przemysłu ludowego (stworzenie stroju turystycznego opartego o ludowy, wykorzystanie wzo-



rów, ornamentów ludowych na obrusy, kapy, firanki i t. p., wznowienie ceramiki śląskiej, wyrób zabawek dla 50 przedszkoli Macierzy, i t. d.), **przemysł sportowy** (wyrób sprzętu sportowego i turystycznego dla 30 klubów sportowych i szkół), **ogrodnictwo, warzywnictwo** (ciągle dotychczas produkty te przywozi się z Moraw i Słowaczyny), **chów drobnego inwentarza** — to wszystko są możliwości, które nie wykorzystujemy. Wogóle skierowanie zainteresowań młodzieży w kierunkach praktycznych będzie zadaniem ZOMP.

We wszystkich pracach powinna cechować nas zgoda, otwartość i wielka tolerancja. Jeśli Zarządy centralne w Zrzeszeniu zdolne były dotychczas w

ten sposób pracować, to spodziewać się należy, że po wsiach pomiędzy poszczególnymi organizacjami powinna **panować harmonia, współpraca**. Z. O. M. P. nie ma na celu centralizować, nie wkracza w programy poszczególnych organizacji, — ma na celu rozszerzać i iść z pomocą pracy społeczno-narodowej.

To też ZOMP musimy traktować za rzecz **najważniejszą**, bo jeśli spełni swe zadanie, to społeczeństwo nasze w przyszłości inaczej będzie się przedstawiało niż dzisiaj, — **będzie przedstawiało zwartą masę uświadomionych Polaków, którzy na swej ojczystej ziemi śmiało będą mogli spodziewać się lepszej przyszłości.**

## W 50 rocznicę Trylogii.

(Dokończenie ze str. 1.)

nia. Dziś dla pokolenia młodszego, wyrosłego już w Polsce niepodległej, te walory powieści Sienkiewicza mniej może wyraziście się przedstawiają, natomiast my, żyjący poza granicami Polski, odczuwamy niewątpliwie znacznie silniej te wszystkie wartości uczuciowe, ducha polskiego krzepiące, jakich „Trylogia“ jest zbiornicą.

Na czym polega to niezwykle oddziaływanie „Trylogii“? Przecież Sienkiewicz przedstawia czasy nie najświetniejsze z naszej przeszłości, przecież mieliśmy momenty wspanialsze, niż te wydarzenia, jakie się działy w Polsce w latach od 1647 do 1673, to jest do śmierci Władysława IV do

wstąpienia na tron Jana III, a jednak, gdy „Ogniem i mieczem“, pierwsza powieść z Sienkiewiczowskiej „Trylogii“, zaczęła wychodzić w odcinkach paru pism, od razu tak porwała czytelników, że — jak opowiada Stanisław Tarnowski, znany historyk literatury — młodzież pisywała w listach do rodziców nie o tym, co się z nią dzieje, lecz o nowej wyprawie Skrzetuskiego, lub Wołodyjowskiego, a młode panny błagały w listach autora, by nie dał Skrzetuskiemu zginąć. Wytrawny zaś krytyk Julian Klaczko, po ukazaniu się „Ogniem i mieczem“ nie zawahał się oświadczyć, iż po „Panu Tadeuszu“ powieść ta jest największym arcydziełem literatury polskiej.



Skrzetuski i Podbięta.

J. Kossak.



Zagłoba i Bohun.

J. Kossak.



Z tych faktów widzimy, że „Trylogia“ jednakowo porywająco oddziaływała na wszystkich, na młodych i na starych, na kobiety i na mężczyzn, na znawców literatury jak i na szeroki ogół czytających.

Czemuż to przypisać? Dlaczego „Trylogia“ tak jest bliską sercu każdego Polaka? Dlaczego w nas budzi zachwyt i uniesienie?

Bo, po pierwsze Sienkiewicz potrafił przeszłość naszą dziejową przedstawić przed oczyma naszymi, jak żywą, rozbrzmiewającą gwarem sejmików i życia obozowego, w momentach codzienności i chwilach prawdziwie historycznych, zarówno w postaciach pełnych bohaterstwa, jak i powszedniości.

A po drugie, Sienkiewicz nie moralizował, nie wypowiadał nudnych pouczeń pod niczym adresem, lecz po prostu przedstawił życie przeszłych wieków tak, jakim ono było: to huczne, to buńczuczne, pełne rozterek, ale i radości, dużo zawierające objawów sobkostwa, ale też wiele poświęcenia dla sprawy publicznej, dla Ojczyzny.

A po trzecie, czasy te były ciężkie dla Polski pod względem politycznym: bunt kozacki, najazd szwedzki, ataki tureckie. Zdawało się, że już zginie Rzeczypospolita, zwłaszcza, że wewnątrz panowały rozterki, a jednak nie zginęła, bo uratowała ją dzielność i poświęcenie miłujących ojczyznę synów.

Wobec smutnej rzeczywistości, wobec przyziemnej atmosfery, w jakiej płynęło życie w dobie po powstaniowej, Sienkiewicz, mocą swego talentu, wskrzesił przed oczyma współczesnych przeszłość, zdawało się jeszcze bardziej beznadziej-

ną, od chwili terazniejszej, a wskrzesił po to, żeby wskazać, iż nie ma tak ciężkich warunków i okoliczności w życiu narodu, by solidarny wysiłek, by ofiarność dla dobrej sprawy, by odwaga i męstwo nie przełamały przeszkód, nie przywróciły narodowi lepszych warunków bytowania.

„Trylogia“ przypominała i po dziś dzień przypomina rycerską przeszłość narodu, rozpałała jej obrazami wyobraźnię, pokazała, czym byliśmy i czym być możemy, rozbudziła uśpionego ducha rycerskiego w narodzie.

„Trylogia“ uderzała w struny bohaterstwa, sławiła siłę dzielnych ramion, ale też wykazywała, że dla ocalenia nie tylko jest potrzebna gotowość ofiary z własnego życia, lecz nade wszystko wiara prosta, niezachwiana, wiara w lepszą przyszłość, w zmartwychwstanie.

I jeszcze jedną prawdę „Trylogia“ nam głosi: sama wiara, nawet oparta o rycerskość, nie zbawi nas — trzeba doskonalenia wewnętrznego, wyzbycia się prywaty; „Trylogia“ przypomina wszystkim Polakom, że z najstraszniejszej toni naród zdołał się wyratować, gdy się zjednoczył i gdy wzrosła gotowość do ofiar w imię dobra ogólnego.

„Trylogia“ natchnęła cały szereg artystów-malarzy do wykonania licznych obrazów oraz rysunków, przedstawiających wydarzenia, opisane przez Sienkiewicza. Z ilustracjami do „Trylogii“ wydane były nawet specjalne albumy. Z tego obfitego materiału ilustracyjnego do numeru niniejszego wybraliśmy szereg reprodukcji obrazów i rysunków Juliusza Kossaka, Piotra Stachewicza i Kazimierza Pochwalskiego.

Franciszek Żwirko.

## Moje wspomnienia.

Poniżej zamieszczamy trzy rozdziały z książki ś. p. Żwirki p. t. „Moje wspomnienia“. Wspomnienia te napisał po skończeniu Międzynarodowych Zawodów Samolotów Turystycznych w Berlinie w roku 1932, w których ś. p. por. pil. Franciszek Żwirko i ś. p. inż. Stanisław Wigura odnieśli wspaniały triumf, zdobywając pierwszą nagrodę. Niestety nie danem im było oglądać owoców ich zwycięstwa, gdyż zginęli razem na swej maszynie, zaszczytną śmiercią lotników, na polach cierlickich, lecąc w dwa tygodnie po swym triumfie berlińskim z wizytą do Pragi.

### Lecę na zawody.

Już dziesięć dni minęło od chwili, gdy sekretarz Aeroklubu niemieckiego von Hoepfner drżącym głosem ogłosił oficjalnie, że pierwsze miejsce w Challenge'u 1932 r. zdobyła załoga polska, a jeszcze słyszę wyraźnie dźwięki nieśmiertelnego mazurka Dąbrowskiego, granego na lotnisku w Berlinie, jeszcze brzmiały w uszach trzykrotnie: „Hoch! Hoch! Hoch!“ — wzniezione na naszą cześć przez 50-tysięczny tłum, jeszcze widzę białoczerwony sztandar, wciągany na maszt i łopocący na wietrze...

Świadomość, że to właśnie my, że drużyna polska, traktowana z początku konkursu jak kopciuszek zabłąkany wśród tyłu asów lotniczych, których imiona opromieniała już europejska sława, zdobyła pierwsze miejsce w klasyfikacji zarówno indywidualnej jak i grupowej była nam najmiłą nagrodą za te trzy tygodnie ciężkich wysiłków i nieustannego napięcia nerwów.

Przyznaję to szczerze, że nie liczyliśmy początkowo na zwycięstwo. Nie znaleźliśmy jeszcze naszych konkurentów, nie widzieliśmy ich maszyn. Wiedząc jednak, jak fantastyczne wprost sumy wydali oni na przygotowanie się do zawodów, liczyliśmy się z tem, że walka będzie zacięta i że niełatwo przyjdzie nam zdobyć honorowe miejsca. W miarę jednak odbywania prób technicznych, w miarę zdobywania

punktów przez naszych zawodników, rosły w nas nadzieje i już w tydzień po przylocie do Berlina zdawaliśmy sobie jasno sprawę z tego, że w rozstrzygającej walce o tytuł zwycięzcy, polscy piloci i polskie samoloty odegrają decydującą rolę.

Zdaje się, że wówczas i nasi konkurenci, traktujący nas początkowo z dużą dozą lekceważenia, zmienili zdanie i zaczęli otaczać nas coraz większym zainteresowaniem.

Obserwowałem jak gromadzili się przed tablicą, na której codziennie wypisywano oficjalne wyniki, i kręcili głowami, widząc jak nam z dnia na dzień narastają punkty.

— Już teraz jestem pewien, że decydująca walka rozegra się między nami a Polakami — rzekł któregoś dnia jeden z pilotów włoskich do swego mechanika, studiując uważnie tablicę z wynikami.

I my też już byliśmy tego pewni...

Wiadomość o tem, że mam brać udział w zawodach, przyszyła zupełnie nieoczekiwanie.

Któregoś dnia, pod koniec maja, siedziałem w kasynie w Dęblinie, gdy wszedł ordynans i zameldował:

— Panie poruczniku, jest list do Pana porucznika.

— Dawaj go tu...

— Tam czeka listonosz, list jest polecony i trzeba pokwitować.

Rzuciłem okiem na kopertę. Nadawca — Aeroklub Rzeczypospolitej Polskiej.

Gorączkowo rozerwałem kopertę i... krzyknąłem z radości.

Sekretarz generalny Aeroklubu, major. dypl. Kwieciński zawiadamiał, że Aeroklub wyznaczył mnie jako jednego z sześciu pilotów, mających reprezentować Polskę na Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych w Berlinie. Zgodę szefa departamentu aeronautyki, płk. Rayskiego już uzyskano. Pytał teraz, czy ja się zgadzam.

Czy się zgadzam? — Ależ naturalnie, bez wahania. Hurra! Lecę na zawody do Berlina. Byłem tak uradowany, że chciało mi się krzyczeć z uciechy.





J. Kossak.  
Spotkanie Skrzetuskiego z Chmielnickim na Dzikich Polach.

Nareszcie! Nareszcie będę mógł zmierzyć się z asami europejskiego lotnictwa sportowego. W poprzednim konkursie nie powiodło mi się — wskutek defektu silnika musiałem wycofać się z zawodów — może teraz los będzie dla mnie łaskawszy.

Przed dwoma laty przecież doleciałem do Hiszpanii jako najlepszy z Polaków. Tam jednak, pod Samosierrą, pękły mi dwa zawory i wpadły do cylindrów, przebiły tłoki. Silnik stanął nagle w powietrzu i musiałem, chcąc nie chcąc, lądować. Usiadłem na wążutkiem ściernisku na stoku góry. Cud prawdziwy, że nie rozbiłem maszyny. O startowaniu z tego paska pola nie można było marzyć. Zresztą motor był tak poharatany, że bez warsztatowej naprawy nie można go było uruchomić. Ze łzami w oczach oglądaliśmy z Wigurą połamane części. Nie mieliśmy szans na zdobycie puharu, ale ósme, dziewiąte miejsce było pewne, i mimo to musieliśmy wycofać się z zawodów.

— No, tym razem może nie będę miał takiego pecha — myślałem, idąc z kasyna do domu.

W drodze spotkałem żonę.

— Wiesz, lecę na Challenge do Berlina. Patrz, list z Aeroklubu — wyrzuciłem z siebie jednym tchem, podając jej kopertę.



J. Kossak.  
Napad Bohuna na Kurcewiczów w Rozłogach.



J. Kossak.  
Spotkanie Skrzetuskiego z kniahinią Kurcewiczową i Helena.

Rzuciła wzrokiem na list i oddała mi go z radosnym uśmiechem.

— To świetnie, Franku, ogromnie się cieszę, że o tobie nie zapomniano — odpowiedziała.

Prawdziwa, 100-procentowa żona lotnika!

Tegoż wieczora nie zwlekając, odpisałem majorowi Kwiecińskiemu. Prosiłem, aby jako pasażera przydzielił mi inż. Stanisława Wigurę, mego serdecznego przyjaciela, jednego z konstruktorów »R. W. D. 6«.

Chciałem go mieć przy sobie podczas trudnych zmagani w konkursie. Przemawiało za tem kilka względów. Po pierwsze — serdeczna przyjaźń między nami, po drugie — pomoc, jaką mógł mi dać będąc inżynierem-mechanikiem, znającym świetnie motor, i konstruktorem płatowca, a więc tym samym rzecz prosta, znającym doskonale płatowiec. Poza tym inż. Wigura mówi po francusku, niemiecku i angielsku, mógł się więc wszędzie rozmówić, i wreszcie dla mnie rzecz najważniejsza, rzecz, która innym może wydać się śmieszna — inżyniera Wigurę uważałem za swoją mascotę. Ostatni Challenge to już siódmy z rzędu konkurs lotniczy, na którym lecąc z nim, zdobyłem pierwszą nagrodę.

No, czy nie być w takich warunkach trochę przesadnym! Tej nocy cały czas śniłem o konkursie...

### Wiwat R. W. D.!

Nasze R. W. D. budziły wszędzie ogólne zainteresowanie.

Ale bo też wykonane były pierwszorzędnie. Inżynierom Rogalskiemu, Wigurze i Drzewieckiemu (pierwsze litery ich nazwisk tworzą właśnie nazwę płatowca), udało się zbudować samolot, który odpowiada całkowicie stawianym mu wymaganiom. Zdołali tak szczęśliwie rozwiązać to zagadnienie, że i własności aerodynamiczne dali mu doskonale i dużą szybkość podróży, i jednocześnie bardzo małą szybkość lądowania, i silną konstrukcję, i luksusowe wykończenie kabiny, w której siedzi się wygodnie jak w samochodzie, i znakomitą widzialność zarówno z miejsca pilota, jak pasażera.

Skonstruować taki samolot, a jednocześnie nie przekroczyć wagi, to sztuka nielada, której inni konstruktorzy, poza inżynierami Państwowych Zakładów Lotniczych w Warszawie nie zdołali dokazać. »Pezetele«, poza »R. W. D.«, były najciekawszymi maszynami w konkursie.

Najbardziej interesowali się polskimi płatowcami Francuzi, którzy coraz to pytali o cenę i prosili nawet, żeby im złożyć ofertę, bo reflektowaliby na kupno »R. W. D.«.

Francuski minister lotnictwa, p. Painleve, podczas wizyty w Orly, najwięcej czasu poświęcił polskiemu samolotom.

Na jego prośbę demonstrowaliśmy automatyczne wyrzucanie drzwiczek w razie katastrofy. Drzwiczki w »R. W. D.« urządzone są w ten sposób, że jedno naciśnięcie palca zwalnia zawiasy i drzwi wypadają nazewnątrz. Jest to olbrzymim udogodnieniem w razie konieczności ratowania się przy pomocy spadochronu. Nic nie przeszkadza wówczas w skoku, nie trzeba porać się z zamkiem, szamo-





J. Kossak.  
Pan Wołodyjowski obserwuje walkę podjazdów.

tać z drzwiami, które pęd powietrza zamyka — jedno pociśnięcie palcem i droga wolna.

Zaraz na wstępie zawodów, jeszcze przed zaczęciem prób technicznych, odbyła się ocena maszyn. Wszyscy komisarze główni chodzili od samolotu do samolotu i szacowali go w zależności od wyposażenia, wygody i bezpieczeństwa.

Były więc punkty za składanie skrzydeł, za podwójne sterowanie, za przyrządy przeciwpożarowe, za siedzenia obok siebie, za luksus, za widzialność.

Każdy z nich w specjalnych karnecikach notował punkty, które następnie sumowało się i dzieliło przez liczbę egzaminatorów.

Już z tej pierwszej próby »R. W. D.« wyszły zwycięsko, dostały największą ilość punktów. »P. Z. L.«, które też wyposażone były znakomicie, otrzymały o 2 punkty mniej. Na trzecim miejscu znalazły się maszyny włoskie, a dalej dopiero niemieckie.

— Ho, ho, — kręcili głowami włoscy mechanicy, gdy wynik punktowania był już ogłoszony — Questi Polacchi zdobyli największą ilość punktów, wyprzedzili nawet nasze Bredy.

A gdy przyszły jeszcze inne próby, gdy »R. W. D.« ustaliły rekord najwolniejszego lotu, rekord nie do pobicia, nie mieli wprost słów zachwyty i z podziwem spoglądali na nasze maszyny.

Próba najmniejszej szybkości była morderczym egzaminem, już nie tylko zalet maszyny i umiejętności pilota, ale i jego nerwów.

Wzdłuż lotniska wytyczono białymi liniami pas szerokości 40 metrów i długości 800 metrów. Zadanie polegało na przelecień między tymi liniami w jak najdłuższym czasie na jednej wysokości, nie przekraczającej 50 metrów. Potem należało zawrócić i przelecieć tę trasę jeszcze raz.

Próba ta to wyższa akrobacja. Leciąco się na małym gazie, nie widząc przed sobą, bowiem maszyna ustawiona była pod kątem 45 stopni do ziemi, mając przód zadarty do góry, a ogon opuszczony w dół.

Najtrudniejsze było operowanie gazem. Gdy maszyna za bardzo przyspadała do ziemi, należało dodać gazu, ale tylko tyle, by broń Boże nie przekroczyć wysokości, na której rozpoczęło się lot.

Próba to bardzo niebezpieczna i nad wyraz denerwująca. Włoski pilot Donati nie wykonał jej za pierwszym razem. Osadził maszynę przed metą i zemdlął. Gdy go ocuciono, był bły jak papier i trząsł się cały ze zdenerwowania.

— Dajcie mi pół godziny czasu na wytchnienie — prosił komisji.

Nawiasem muszę dodać, że jedni Włosi podczas prób latali sami bez mechaników, zabierając na ich miejsce, odpowiednio wyważone worki z piaskiem, aby obciążenie samolotu wynosiło wymagane 200 kg. Widocznie niezbyt pewni byli swoich maszyn i nie chcieli narażać mechaników.

Nie obeszło się bez wypadków. Jeden z Francuzów na »Potezie« rozbił podwozie, uderzwszy nim z całej siły



J. Kossak.  
Skrzetuski przed Janem Kazimierzem w Toporowie.

o ziemię i jeden z Czechów również uszkodził maszynę. Szczęście sprzyjało tylko Orlińskiemu, który wylądował przed metą, ale nic mu się nie stało i zaraz poderwał maszynę do góry.

Powiedziałem mu potem, że w niczym nie należy przesadzać. Są okoliczności w życiu, w których trochę »gazu« nie tylko nie zawadzi, ale czasami może bardzo pomóc.

Wyznaczono nam start do tej próby na godzinę 10-tą rano, ale niebawem nam to poszło w smak. O 10-tej powietrze jest już nagrzane, rozrzedzone i napewno rzucaloby nas.

— Przyjedźmy wcześniej na lotnisko, może ktoś spóźni się i nas wypuszczą wcześniej — powiedziałem do Wigury. Istotnie jeden z Włochów nie zdążył przygotować się na czas.

— Może kto inny gotów do startu? — zawołał komisarz.

— My... — krzyknąłem.

— Proszę bardzo.

— Widzisz, dobrze wykombinowałem — szepnąłem Wigurze.

Wystartowaliśmy punkt o 8-ej. Wychyliłem się przez okno i, cały leżąc wprost w fotelu, wypatrywałem czy dobrze lecą. Wigura cały czas miał wzrok utkwiony w dwa stopery, które trzymał w ręku.



J. Kossak.  
Obóz między Piłą a Ujściem.





Zagłoba zdobywa sztandar.

J. Kossak.

— 59 km na godzinę — oznajnił, gdy wylądowaliśmy.  
— Hurra — zawołałem — to świetnie.  
Punktowanie zaczynało się dopiero od 63 km na godzinę, więc mieliśmy murowaną największą liczbę punktów. »R. W. D.« spisały się w tej próbie znakomicie, bo przecież Karpiński poprzedniego dnia zrobił tylko 60 km na godzinę.

Musieliśmy czekać jednak na oficjalne obliczenia. Regulamin przewidywał, że każda próba może być powtórzoną, przy tym liczy się zawsze lepszy wynik, ale równocześnie było powiedziane, że drugi lot nie może nastąpić później, niż w 20 minut po pierwszym.

Ale sędziowie nie śpieszyli się jakoś z podaniem wyników.

— Polemy jeszcze raz dla wszelkiej pewności. Może poprawimy wynik — rzekłem do Wigury.

Skinął mi głową i wsiadł do maszyny.

Druga próba wypadła lepiej niż pierwsza. Przelecieliśmy tę przestrzeń 1600 metrów w czasie jeszcze dłuższym.

— 57 i pół km na godzinę — zakomunikowano nam oficjalnie po trzech kwadransach. — Rekord nie do pobicia...

Mechanicy włoscy obstarali Wigurę i winszowali mu sukcesu.

### Zwycięstwo!

Staliśmy teraz przed decydującą rozgrywką.

Ostatniego dnia zawodów miał się odbyć wyścig na 300-kilometrowej trasie, którą już przebywaliśmy raz przy próbie najmniejszego zużycia benzyny.

Po obliczeniu wyniku rajdu przez komisję techniczną okazało się, że zajmujemy pierwsze miejsce, mając 456 punktów. Za nami na drugim miejscu gorszy o 6 punktów znajdował się Poss, na trzecim Hirtl.

Karpiński niestety stracił dużo na szybkości i zajął dalsze miejsce. Tak samo kpt. Giedgowd, którym nie powiodło się w rajdzie.

Wszystko zależy teraz tylko od tego, czy Niemcy zdołają prześcignąć nas na tej 300-kilometrowej trasie, czy zdołają wyciągnąć taką szybkość, żeby wyrównać chociaż posiadane przez nas punkty. Wówczas oni wezmą nagrodę, im przypadnie w udziale zwycięstwo i puchar międzynarodowy, — mają przecież lepsze wyniki w próbie startu, a to decyduje o wygranej w razie równej ilości punktów. Jeśli nie, jeśli »R. W. D.« okaże się w decydującej rozgrywce równie niezawodna jak w dotychczasowych próbach, zwycięstwo zostanie przy nas.

Kto to jednak wie, któż zdoła przewidzieć zupełnie pewnie, co kryje przed nami przyszłość!

Przyrzekliśmy sobie walczyć do upadłego i nie dać wydrzeć sobie zwycięstwa. Z tym mocnym postanowieniem siedliśmy do maszyny.

Mamy startować pierwsi.

Punktualnie o godz. 3.15 starter daje sygnał.

Gaz — i jesteśmy w powietrzu.



Śmierć Longinusa Podbipięty.

J. Kossak.

Wigura naciska dwa stopery, które trzyma w ręku.

Naprzód! Naprzód! Ze wszystkich sił naprzód!

Mijamy Tempelhof i gnamy wprost do Frankfurtu. Za nami przecież lecą Niemcy, aby nam wydrzeć zwycięstwo, za nami gna Poss i Morzik i Hirth i Szwajcar Fretz, którzy napewno nie żałują motorów.

Oto już Frankfurt. Ster na prawą burzę... wiraż... woreczek z meldunkiem i już Frankfurt zostaje za nami. Przed sobą mamy teraz Dobriluk i dalej Berlin.

— O Boże! Prędzej, prędzej!... — niecierpliwi się Wigura ze wzrokiem utkwionym w stopery.

Wreszcie morze dachów — to Berlin i lotnisko Tempelhof — meta wyścigu.

Nie przegania nas nikt. »R. W. D.« przybywa pierwsza. Przelatuje przed komisją sędziowską i ląduje.

Wyścig skończony!

Nie!... Trwa jeszcze. Przecież Niemcy wylecieli po nas, więc mogą przybyć nieco później i mimo to mieć większą szybkość.

Zdenerwowani wychodzimy z maszyny. Czuje, jak ręce mi się trzęsą. Po takim wysiłku, po tyludniowym napięciu nerwów musi przyjść odprężenie.

— Franku, wygrałeś, bezapelacyjnie wygrałeś — mówię do mnie, ściskając mi dłoń, major Woytyga, szef naszej drużyny.



Podbipięta z Putjanem pod Konstantynowem.

J. Kossak.



Nie chce mi się w to uwierzyć. Nie, to niemal niemożliwe! Więc zdobyłem dla Polski puchar międzynarodowy, więc »R. W. D. 6« jednak okazała się najlepszą maszyną turystyczną w Europie.

Ależ tak. Major Woytyga ma rację.

Po trzech kwadransach kier. zawodów von Hoepfner, bez jednego drgnięcia twarzy, ogłasza zwycięstwo polskiej załogi i polskiego płatowca.

Orkiestra gra »Jeszcze Polska«... Tu w Berlinie!...

Na maszt wciągają biało-czerwony sztandar...

Więc to wszystko nie sen, nie mara, ale rzeczywista prawda.

Morzik i Poss, którzy zajęli dwa dalsze miejsca, ścisną mi dłonie.

Nagle czuję na szyi drobne rączki dziecięce i ktoś całuje mnie w policzek. To mały synek Possa wina mi w ten sposób.

W tej chwili przypomina mi się Henio i wzruszenie ścisną mnie za gardło.

Wracamy do kraju!

Zegnajcie rycerscy współzawodnicy w konkursie!

Do widzenia!

Spotkamy się wszyscy za dwa lata w Warszawie, gdzie rozegramy następny podniebny bój o zaszczytny tytuł zwycięzcy. Niech nie braknie z nas nikogo!

W dwa dni po zakończeniu konkursu wystartowaliśmy w drogę powrotną do Polski.

Leciałem znów tą samą trasą, którą przybyłem przed dziesięcioma dniami, gdyśmy wyruszyli z Berlina, aby na przestrzeni 7 i pół tysiąca kilometrów rozegrać wielki wyścig o tytuł zwycięzcy i puchar międzynarodowy.

Tylko, że teraz nie ścigało mnie już grono konkurentów, z którymi musiałem walczyć o każdy metr przestrzeni, o każdą sekundę, aby nie dać się zdystansować, aby nie dać się zepchnąć z czołowego miejsca, jakie zajęliśmy w próbach technicznych.

Wówczas stała przed nami wielka Niewiadoma, teraz lecieliśmy radośni, zadowoleni z dobrze spełnionego obowiązku.

Mineliśmy granicę, na krótko lądujemy w Poznaniu i ruszamy wszyscy w dalszą drogę do stolicy.

Oto już Warszawa.

Na lotnisku mokotowskim tłumy. Widzę z góry setki samochodów i wokół nich morze głów.

Na nasz widok tłum zrywa kordony i zalewa środek lotniska. W jednej chwili zbita ciżba ludzka otacza samolot. Porywają mnie na ręce i niosą ponad głowami w stronę dworca lotniczego.

— Niech żyje porucznik Żwirko! — słyszę wokół okrzyki.

— Niech żyje polskie lotnictwo! — krzyknąłem jak mogłem najgłośniej, aby mnie usłyszeli najdalej stojący.

Jakże pragnę, aby tyn mój okrzyk usłyszała i zrozumiała cała Polska, jak długa i szeroka, »od fal Bałtyku po Karpat szczyty«!

## Nowa pisownia polska.

(Dokończenie.)

Poprawne pisanie wyrazów, w których występuje »rz« lub »ż« następczo i następczo w dalszym ciągu wiele trudności. Nowa pisownia nie wprowadziła zasadniczej zmiany i trudno jest ustalić jakąś ogólną regułę, dotyczącą poprawnego używania tych liter. Ogólnie można przyjąć, że »rz« występuje w wyrazach, które można wymienić na »r«, np.: rycerz (rycerstwo), pasterz (pasterstwo), korzec (korca).

Spółgłoskę »ż« piszemy, gdy wymieniamy się na »g«, »dz«, »h«, »z«, »ż«, np.: książka (księga), księża (ksiądz), drużyna (druh), woż (wozić).

Zawsze piszemy »rz« w zakończeniach: -arz, -erz, -mierz, -mistrz, np.: lekarz, pasterz, Kazimierz, zegarmistrz.

Po spółgłoskach: »p«, »b«, »t«, »d«, »k«, »g«, »ch«, »j«, »w« — piszemy »rz«, np.: przełęcz, brzask, trzon, drzeinka, krzywda, grzęda, chrząszcz, ujrzyć, wrzeczono.

Wyjątki: pszenica, pszonak, pszczoła, Pszczyna, Pszonka, kształt, kszyszek (ptak), bukszpan, gżenie sie, piegża (ptak), gżęgżółka (ptak).

Wyrazy z początkowymi częściami: »ob-«, »od-«, »pod-« — piszemy przez »ż«, np.: obżywać, odżywiać, podżegać.

Wyrazy z końcową częścią »-że«, zatrzymują »ż«, np.: idźże (idź-że), także (tak-że).

Kiedy się pisze »kie«, »gie«, »kę«, »gę«, a kiedy powinno się pisać »ke«, »ge«, rozstrzygamy na podstawie pochodzenia danego wyrazu. W słowach rodzinnych piszemy »kie«, »kę«, »gie«, np.: kiel, kępa, ogień, gęś — jak również w wyrazach zapożyczonych, ale mocno przyswojonych obowiązuje pisanie przez »kie«, »gie« (przez »gie« piszemy rzeczowniki pospolite zakończone w mianowniku na »-giel«, »-gierz«, np.: cyngiel, szwagier, pręgierz), np.: kielich, kierat. Wyrazy jednak mniej przyswojone zatrzymują pisownię przez »ke«, »ge«, np.: kelner, poker, agent, legenda.

Głoski »ch« (bezdźwięczne) i »h« (dźwięczne) niemniej od »ó« i »u« oraz »rz« i »ż« były atakowane na łamach dzienników, przyczem wysuwano tutaj słuszne twierdzenie, że większość Polaków nie odróżnia tego dźwięku w mowie.



Kmicicowa kompania.

J. Kossak.



Ucieczka Bogusława Radziwiłła.

J. Kossak.





J. Kossak.

#### Spotkanie rannego Kmicica przez miecznika z Oleńką.

Śluszne te na ogół uwagi nie zdobyły sobie jednak większej ilości zwolenników i obydwie głoski utrzymały się w naszej pisowni na dawnych prawach.

Piszemy »ch« jeśli w pokrewnych wyrazach odnajdujemy »rz« na końcu wyrazu (tu dwa wyjątki: Boh i druhi) i po »s«, np.: duch (dusza), paluch, schadzka.

Zgłoskę »h« piszemy jeśli w innych formach wyrazu lub w wyrazach pokrewnych mamy »g«, »ż«, »z«, »dz«, np.: wahać się (waga, ważyć), błahy (błazen) na początku wyrazów (również często pisze się tutaj i »ch«, np.: chata, chłop, chmura, nie jest to więc zasada), np.: herbata, heretyk; w częstkach rozpoczynających wyrazy: »hiper-«, »hipo-«, np.: hiperprodukcja, hipodron.

W wyrazach obcych na początku wyrazu piszemy »chi«, np.: chinina; w wyrazach rodzinnych piszemy »chy« na początku wyrazu, ale w bezokoliczniku przed zakończeniem na »-wać« — używamy »chi«, np.: chybotać, ale wymachiwać.

Częste wymawianie »sch« jako »sz« nawet przez rdzennych Polaków uważać należy za błąd, gdyż zgłoski te nie tworzą osobnego dźwięku (jak np.: w języku niemieckim), ale są wyraźnie rozgraniczone »s« — »ch«. Należy więc pisać i wymawiać: schemat (s — chemat, a nie szemat).

W przymiotnikach utworzonych od tematów kończących się na »d« (również »dz«, »dź«, »dż«) i »stadt« — piszemy w zakończeniu »dzki-dztwo«, np.: wojewódzki, województwo (wojewoda), frysztański (miasto Frysztat), w innych »-cki«, »-ctwo«, np.: krawiecki, krawiectwo (krawiec).

Na »-ski«, »-skie«, »-ska« zakańczamy wszystkie przymiotniki, np.: męski, śliska, niskie. Podobnie i »-stwo« piszemy zawsze na końcu wyrazu bez względu na zakończenie podstawowego, np.: męstwo (mąż).



J. Kossak.

#### Przeprawa króla Jana Kazimierza przez góry.

Przez »z« piszemy zawsze częstki »roz-«, »bez-«, np.: rozbiarać, bezimienny; jednak »wz-«, »wez-« są bardziej elastyczne i często używamy częstek »ws-«, »wes-«, np.: wznowić, wezbrać, wspólnie, wespół.

Zasadniczą i największą zmianą w nowej pisowni jest wprowadzenie zasady nie odróżniania rodzajów przymiotników i zaimków w narzędniku i miejscowniku liczby pojedynczej oraz w narzędniku liczby mnogiej. Piszemy więc: tym małym chłopcem, o tym małym chłopcu, tymi małymi chłopcami; tym małym dzieckiem, o tym małym dziecku, tymi małymi dziećmi.

Na »-em« kończą się zniemuchomiałe przysłówki (wtém, potem), nazwy miejscowe rodzaju nijakiego, zakończone na »-e« (Zakopane, w Zakopanem) oraz nazwiska zakończone na »-e« (Lange, -ego, o-gem).

W bezokoliczniku mają »-ić«, »-yć« te czasowniki, których czas przeszły kończy się na »-ił«, »-ył«, zaś na »-eć« te, których czas przeszły na »-ał« lub »-arł«, np.: lubić (lubił), siedzieć (siedział). Końcówka czasu przeszłego »-ł« występuje zawsze, nawet wtedy, gdy jej nie słyszymy, np.: usiadł, utonął. W imiesłowach piszemy »-wszy« po spółgłoskach, np.: usiadłszy, a »-wszy« po samogłoskach, np.: ujrzawszy.

Oto reguły nowej pisowni, która w Polsce wprowadzono się z dniem 1-ym września r. b. w szkołach. Będziemy musieli i my, zagranicą, przyzwyczaić się do nowych reguł, przyjmując pisownię obowiązującą dla wszystkich wydawnictw, jakie będą się ukazywały w Polsce.

Zbigniew Krygler.

Zygmunt Szczepański.

## Rola chóru

w wychowaniu społecznym i obywatelskim.

Pobieżny choćby rzut oka na życie, we wszystkich jego przejawach, pozwala stwierdzić, iż nurtują w nim najrozmaitsze prądy, kierunki i dążenia, których celem — gruntowna przebudowa dotychczasowych form, bądź też poszukiwanie nowych, lepszych dróg, któreby do celów wielkich, o znaczeniu ogólnoludzkim niemal prowadziły. Dążenia owe, walki, wzajemne tarcia najrozmaitszych prądów, skierowane są przede wszystkim, przeciw dotychczasowemu życiu społecznemu, a celem ich — przebudowa, na zasadach społecznym oparta, a zmierzająca konsekwentnie do zjednoczenia wszystkich sił żywych narodu.

W związku z przekształcaniem się życia społecznego, z jego dążeniami i ideałami, wyłania się nowy ideał człowieka-obywatela, przygotowanego do przyszłych zadań społecznych.

Wiele jest dróg, którymi narody do tego celu dążą, wiele środków, przy pomocy których celów starają się osiągnąć.

Możnaby wiele mówić o tych lub innych organizacjach, wiele o ich „drogach“ i „środkach“, wszyscy jednak musimy się zgodzić na jedno, że organizacje — jako komórki wychowawcze — są celowe i konieczne.



Wiele z pośród znanych nam organizacji społecznych ma już bogatą, a nieraz chlubną tradycję, wiele z nich odegrało zaszczytną rolę w Narodzie.

Do tych ostatnich śmiało możemy zaliczyć Chóry.

Te ciche i zazwyczaj niedocenione organizacje, nie noszą barwnych mundurów, nie głoszą szumnych i „wzniosłych“ haseł, ale i one mają swoją piękną kartę w historii Narodu, a nawet w historii kultury ogólnoludzkiej.

Nic oto nam jednak chodzi, ocenę pozostawiamy historii. Naszym zadaniem natomiast będzie, wykazać walory wychowawczo społeczne i obywatelskie, jakie daje Chór, jako organizacja społeczna, celowo pomijając wartości czysto śpiewacze i muzyczne, które są oczywiste.

Owe walory wychowawczo-społeczne i obywatelskie przedstawiają się następująco:

1. Chór, jako szkoła charakteru:
  - a) budzenie i umacnianie samodzielności,
  - b) kształcenie poczucia obowiązkowości i odpowiedzialności,
  - c) budzenie umiłowania dla pracy bezinteresownej,
  - d) kształcenie umiejętności podporządkowywania swej woli, woli kierownika chóru.
2. Chór, jako szkoła wychowania społecznego i obywatelskiego:
  - a) budzenie uczuć koleżeńskich.
  - b) podporządkowywanie swej woli i interesów woli i interesom masy (budzenie ambicji zespołowej),
  - c) wzajemna współzależność jednostki i zespołu, wpływająca ze wspólnych interesów,
  - d) umiejętność podporządkowywania się własnym przepisom, podyktowanym dobrem zespołu.
3. Chór, jako szkoła kultury estetycznej i moralnej.
  - a) przyzwyczajanie do zgody, ładu i porządku, którego praca w chorze musi być wyrazem,
  - b) przyzwyczajanie do radosnej, sumiennej i i uczciwej pracy,

c) budzenie umiłowania i szacunku dla pracy drugich,

d) budzenie i kształcenie uczuć estetycznych,

e) budzenie kultu dla rodzimej sztuki.

Widzimy z powyższej dyspozycji, że zagadnień jest wiele, niestety, ze względu na szczupłe ramy artykułu, będziemy je raczej szkicować, naświetlać, czerpiąc dane z obserwacji, aby uniknąć zarzutu gołosłowności.

Jakkolwiek zagadnienia powyższe nie tracą na wartości w odniesieniu do różnych kategorii chórów, a więc zarówno zawodowych, amatorskich, jak i szkolnych, w artykule niniejszym zwrócono szczególną uwagę na chóry amatorskie, rekrutujące się przeważnie ze sfer robotniczych, wieśniaczych, rzadziej urzędniczych, celowo pomijając chóry zawodowe, składające się z zawodowych śpiewaków i muzyków.

### 1. Chór jako szkoła charakteru.

Biorąc pod uwagę element zasilający nasze chóry amatorskie, jego stopień kultury, umysłowości, oraz warsztat codziennej pracy, wiek, tak często różny i środowisko, wydawałoby się napozór, że mamy do czynienia z ludźmi „skończonymi“, a już przynajmniej „samodzielnymi“, szczególnie, gdy są to ludzie starsi wiekiem. Przy bliższej obserwacji dojdziemy jednak do wniosku, że wszystkie te dane, a nawet wiek, nie nam jeszcze nie mówią o człowieku, szczególnie o jego charakterze, a także bardzo niewiele o jego samodzielności.

Praca codzienna, praca „dla chleba“ wykonywana jest często mechanicznie, rzadko z zamiłowaniem, jeszcze rzadziej (oczywiście są wyjątki) gra w niej rolę moment radości, własna, nieprzymuszona wola, przeciwnie, praca ta jest najczęściej narzucona twardą koniecznością życiową.

Jakże często jest się częścią wielkiego i skomplikowanego aparatu, spełnia się tylko czynności nakazane, często nawet bez udziału świadomości i woli, a nierzadko z oglądaniem się na pomoc i pracę drugich.

(C. d. n.)



J. Kossak.

#### Do Wodoktów!

W swaty z panem Kmicicem, z naszym zbawcą!  
Do panienki! Do wodoktów!



J. Kossak.

#### Wjazd Tatarów do Lwowa.



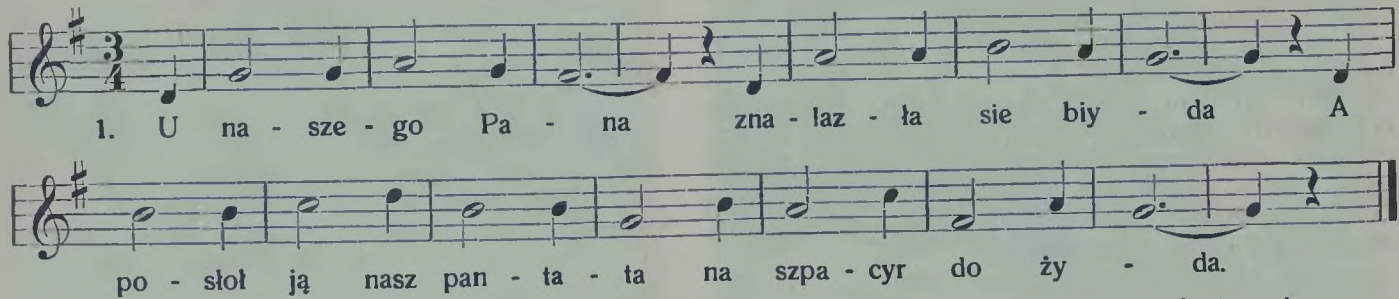
# Dział regionalny

## U naszego pana

## znalazła sie biyda .....

Spiwała: Cieślara Alojzja w Łazach.

Zanotował: tekst Piegza Karol, melodię Fierla Eugeniusz.



2. Ej żydzie, ej żydzie, dej gorzółki biydzie,  
Bo jak sie biyda opije, to du dóm spać pójdzie.
3. Biyda sie opiła, du dóm nie wróciła,  
Poszła óna kole stawu, tam sie utopiła.

4. Młynorz to uwidzioł, że sie woda trzepie,  
Sakramyncko biyda, wode mi występie.
5. Ty młynorzów synku, nie kochej sie we mnie,  
Chcesz dziółche z tysiącami, nie nóndziesz ich u mnie.

6. Joch chudobno dzioucha, móm fiertuszek jedyn,  
Ty se hledej taką frele, coby miała siedym.

K. P.

### Zbierajcie stare dokumenty.

Już ludzie na najniższym stopniu kultury pragnęli utrwalić ważne zdarzenia życiowe rysunkiem czy też pismem. Im naród kulturalniejszy, tym więcej posiada pamiątek, które wiernie ilustrują jego poglądy i sposób życia.

W każdej niemal rodzinie znajdują się stare zapiski, testamenty, umowy kupna i sprzedaży, umowy „wymyinkowe“, przedweselne, które dowodzą bystrej obserwacji i głębokiej znajomości psychiki ludzkiej. W przekonaniu, iż pamięć ludzka zawodzi, iż umysł ludzki jest chwiejny i że nieraz zaprzecza temu, co już raz uznał za dobre, usiłowano sprawy ważne, połączone z kwestią finansową utrwalić na piśmie.

I my, Słazacy, nie pozostaliśmy w tyle za innymi. Nasi przodkowie pozostawili nam szereg dokumentów, które cechuje trzeźwość umysłu, drobiazgowość i szlachetność postępowania.

Dokumenty te należy starannie wyszukiwać i zbierać, nie tylko ze względów powyżej wymienionych, ale i dlatego, że są one cennym zabytkiem językowym i że w niejednym wypadku mogą się przyczynić do wyjaśnienia przeszłości naszego narodu.

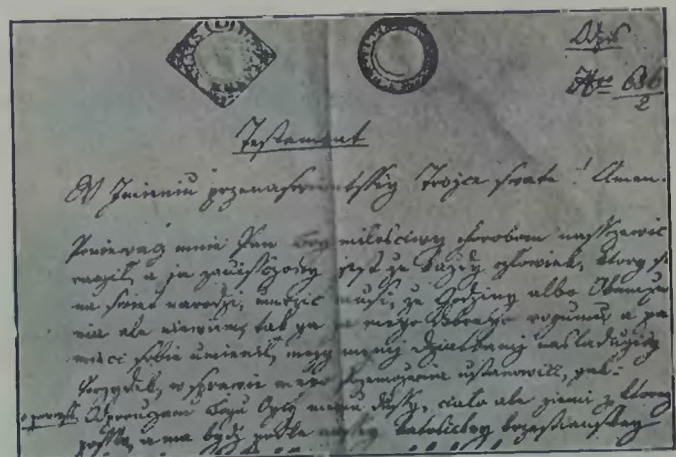
Ażeby P. T. Czytelników przynajmniej częściowo zapoznać z treścią takich dokumentów, podajemy poniżej umowę przedwesełną z r. 1820, zawartą pomiędzy panem młodym, Sagitariusem Janem, synem Jana Sagitariusza, wójta orłowskiego i łaskiego i młoduchą, Marią Prymusówną, córką ś. p. Karola Prymusa, byłego arendarza w Górnych Błędowicach i równocześnie umowę „wymyinkową“ pomiędzy państwem młodym, a ojcem „żynicha“.

Po przeczytaniu takiej starej umowy przedwesełnej, mimowoli nasuwa nam się pytanie, ile takich umów dzisiaj się jeszcze pisze i czy dzisiejsza młodzież tak jasno i trzeźwo patrzy w przyszłość, jak młodzież przed stu laty. Musimy z przykrością stwierdzić, że tak nie jest i że byłoby

korzystnem, gdybyśmy od czasu do czasu zaglądali do starych dokumentów i stamtąd wzięli sobie przykład.

(Przyp. red.) Wszystkich naszych P. T. Czytelników prosimy, aby — o ile gdzieś podobne dokumenty się znajdują — przysłali nam je do opublikowania. Mogą to być różne inne dokumenty jak: testamenty, kroniki, zapiski, protokoły i t. p. Sprawa jest ważna.

\* \* \*



Odpis Nro 686  
2

Testament.

W Imieniu przenaswientszey Trojce swate! Amen!  
Poniewacz mnie Pan Bog miłosciwy chorobom naszczewić raczył, a ja zauszczony jest że każdy człowiek, który se na Świet narodzi, umrzeć musi, że Godziny albo Okamienienia ale niewiem, tak ja za mego dobrego rozumu a pamieci sobie



umienił, mezy mymji dziatkamj nasledujicy Porządek, w sprawie mego Przemżenia ustanowici, jak:

po pierwsze. Odporuczam Bogu Oycy memu duszy, ciało ale ziemi z ktorey poszło, a ma byđz podle naszey katolickey krzestianskey Wiery, bez wszystkich Ceremonij welikich pochowane.

po druge. Odporuczam ja, żeby tutecznym żebrakom, a Cysarskim Inwalidom po jednym Renskim od mego Syna Wencła, jakżez gruntownego obywatela tegoż Gruntu pod Nro 94 były wypłacone.

po trzecie. Odporuczam ja tento cely Grunt pod Nrom 94. ktory on już kupnim sposobym obsiadł, jak stoj a leży memu Synowi Wencłowi w Padesat Renskich strzebernych Peniez, ktorou Czemu przez tychto padesat Rynskich strzeberney minicyi ja onemu take odporuczam, gdyż on Syn Wenzel za mną za cztery Rokj służby po cztery Renski strzebernych Peniez roczne zaderżanej ma, ktora se onemu od tego dziłu naiprzęd porażu, ostatek ale ma zostawać na jeho dził a na sypku dziedzinsku, ktora na temto Gruntie w reszcie stoi.

po czwarte. Ma Cera Halka, wdano za Franza Ostruschke ze Szombarku, odebrała pienć a dwacet Rynskich strzebernych Peniz, a potom zas drugim razem dwa Rynski, tak w Sumie odebrała dwacet sedem Rynskich, a jednu Krawu, ktora ztemto swoim erbownim dziłem z mojej pozostałości na dobrze odbyta jest, a po żadnym nic požadaci może.

po pate. Konczym ja teto ostatni dobru moju wole, w Imieniu przenaswientszej Troice swatej, tak jak sem ju napoczał, a proszeni w uniżonosci mey neymilościwey Wierchności, żeby tato moja ostatnia dobra wole od ney potwerżena była. Ktomu Koncu se tato ostatnia moja wola nie tylko odemnie ale i tychto nażadanych Swiedkow własnej Jmena Podpisami potwierdziła.

Jenż se stało w Dolnio Błędowiczach dnie 28-teho Maya 1817.

++ Simon Trzaskalik  
Testirer.

— Johan Klimsza  
przysiężny

Paweł Gasda nażadany  
Jmena Podpisowatel

Jan Bystron przisażny

— Andreas Thomann Foyt a Swiedek

— Mathias Kotschy

Vorstehende lezte Willensmeinung des Simon Trzaskalik von Niederbludowitz wird von Seite der hierortigen Grundobrigkeit seiner Laage nach in allen Punkten bestätigt. Schloß Niederbludowitz am 29-ten May 1817.

Im Namen der Frau Erbinnen

G. Radötzki

K. K. Ritts-tr

als Bevollmächtigter.

L. Ś.

Brün  
1  
Gulden

W Imię najsświętszej Troice Amen.

Pod dzisiejszem Datum stały się Smłowy cale a dokonale na buducne Czasy w niczem nieporuszone, między szlachetnym ctnym a dobrze zachowałym Młodzieńcem Ianem Sagitariusem, uczciwego Iana Sagitariusa\*) Foyta Orłowskiego a Łaiskiego młodszym Synem ich Żenichem z Strony jedney, a między ctną pocziwą a dobrze zachowałą Maryanną po nieboszczyku Karłu Prymusu byłwałem Arrendarzu w Gornich Błędowic pozostałą najmłodszą Cera iak Niewiastą z Strony drugiey, na naśladowający Sposób.

\*) Powyższy dokument daje także obraz tego, jakim zmianom ulegały nazwiska. W dokumencie nazwisko »foyta orłowskiego« podane jest jako Sagitarius, sam »foyt« jednak podpisał się Santarygius, zaś dalsze podpisy brzmią Sagtarygius (wzgl. Sajtarygius) i Satarygius. W urzędowym dopisku nazwisko brzmi również Santarygius. Dziś trudno ustalić, jak pierwotne nazwisko brzmiało (obecnie mamy Santariusiów i Sagitariusiów). Badanie pochodzenia nazwisk śląskich byłoby także wdzięcznym zadaniem dla naszej inteligencji.

Gdyż z Wolą Boga wszechmogącego ty dwie mianowane Osoby ieich terazniejszy panienski Stan przemienić, a do Stanu małżeńskiego Krześciańskim Sposobem wstąpić sobie umieniły, a przed wiary godnemi Osobami, iak też od Strony Niewiasty z dozwoleń iech Poręczników a od Strony Żenicha z dozwoleń Rodziców iego, dobrowolnym a nieprzynęconym Rękodaniem skutecznie wypełnić ślubili, a na naśladowający Punkta między sobą umłuwili, a to

1-mo Gdyby Bog wszechmogący mianowanego Żenicha Iana Sagitariusa w Roku a 6 tygodniach przez śmierć z tego świata bez Erbow powołać raczył, tak on swoiey miley Małżence za iey Panienski Wionek ledno sto Renskich W. W. a ślubne szaty zawodzi a wianuje.

2-do Ociec Ian Sagitarius Synowi swojemu Ianu Sagitariusowi oddawa swoy Grunt pod Nrem 69. w Orłowej za jedno sto pięćdziesiąt Rynskich W. W. ktorą Sumę ale Syn Rodzicom swoim płacić powinien będzie, gdy im tey wypłaty Potrzeba wyciągać będzie, tylko sobie wymawia naśladowający wymienek, to iest: swobodne pomieszkanie, ieden zagon na ziemniaki, ieden na kapustę, zagrody na Wiertelik Wysiewu dla krowy, a w Zagrodzie pod stodolą owoc.

3-tio Za Rok Ociec Synowi ten zawiedziony Grunt oddać się obowiązue.

4-to Naprzeciw temu zaś Niewiasta swemu milemu Manżelowi, gdyżby Bog dopuścił onę przez śmierć w Roku a 6 tygodniach bez Erbow z tego świata powołać 50 R. W. W. a ślubne Szaty zawodzi a cedyruie, a to z dowoleniem Poręczników a zwierzchności Gorni Błędowskiej.

5-to Gdyby Pan Bog za Rok a 6. tydni śmierć nie spodzianą na Żenicha dopuścił, tedy Grunt pozostały wdowie pozostawa, z ktorego ona ale Przyjacielem 150 R. W. W. wypłacić powinna będzie, Wymienek ale Oycowski bez naruszenia aż do ich śmierci zostawa.

To wszystko wiernie a uprzimnie bez wszystkiej Rady a prawnich Uskokow ma zachowane, a po w kościele wykonanym ślubie zachowane a wypełnione być ma, na co się tu obie strony swoimi Podpisami zawierzują.

W Gurnich Błędowitz dnia 5-go Octobra 1820.

Gdyby Pan Bog Niewiastę po Roku a 6 tygodniach bez Erbow z tego świata powołać raczył, tak ona swemu milemu Manżelowi 315 Rynskich W. W. z dowoleniem Zwierzchności a Poręczników zawodzi a cedyruie.

Od Strony Żenicha

Od Strony Niewiasty

Jan Santarygius  
... jako starosta

+++ Jan Fukala Poręcznik.  
Bernat Prymus Bratr a Świadek

Paweł Sagtarygius ...

... Satarygius... (częściowo nieczytelne)

Vorhergehende Ehepakten des Johann Santarygius von Orlau mit Marianna hinterbliebene Tochter nach gewesten Arendator Karl Prymus — werden auf Ansuchen des gegenwärtigen Arendators und Bruders der gennanten Braut — Bernart Prymus — dass diesem wirklich so und nicht anders sey — ihrem ganzen Inhalte nach amtlich durch nachstehende Fertigung bestätigt. Gegeben Amtsverwaltung

Ober Bludowitz am 4-ten November 1820.

Paul Świder.

Amtssigil  
Ober-  
Bludowitz

a prawnich Uskokow ma zachowane a po w kościele wykonanym ślubie zachowane a wypełnione być ma na co się tu obie strony zawierzują. Podpisano w Gornich Błędowiczach dnia 5-go Octobra 1820.  
Gdyby Pan Bog Niewiastę po Roku a 6 tygodniach bez Erbow z tego świata powołać raczył, tak ona swemu milemu Manżelowi 315 Rynskich W. W. z dowoleniem Poręczników a Zwierzchności zawodzi a cedyruie.  
Od Strony Żenicha Od Strony Niewiasty  
Jan Santarygius Jan Fukala Poręcznik.  
Bernat Prymus Bratr a Świadek  
Paweł Sagtarygius ...  
... Satarygius... (częściowo nieczytelne)



## Dział kobiecy

### Pullover sportowy.



Powyższy pullover zrobiony został z 400 gr pięknej błyszczącej, półjedwabistej, bardzo mocnej wełny; zużyto przytem 350 gr wełny ciemnobronzowej i 50 gr wełny koloru beige.

Ściągacz, mankiety i kołnierzyk robi się na drutach nr. 2½, cały pullover na drutach nr. 4.

Przód, zaczynamy robotę od dołu. Nabrać trzeba na cieńszy drut 88 oczek i robić ścięciem podwójnie karbowanym.

wanym 18 cm ściągacza. Ściągacz ten dobrze obcisła biodra i jest długi tak, że doskonale chroni przed zimnem, oddającym się sportom zimowym.

Powyżej ściągacza robi się na grubszych drutach ścięciem zwykłym (1 rząd prawy, 1 rząd lewy). W pierwszym rzędzie zwykłym robimy 4 oczka prawe, 2 oczka prawe, 2 oczka prawe razem, 4 oczka zwykłe, 2 oczka razem, 2 oczka razem i t. d. do końca rzędu, tak, że pozostanie nam na drucie 58 oczek, na których zrobimy 5 rzędów równo. W szóstym rzędzie dodajemy po 1 oczku z każdej strony roboty i powtarzamy to jeszcze 8 razy w każdym trzecim rzędzie, a gdy będziemy mieli 86 oczek na drucie, robić będziemy równo aż do pach.

Oczka na pachy spuszcza się, gdy przód ma 18 cm wysokości, licząc tylko ściągacz zwykły, bez ściągacza, a więc spuszcza się najpierw po 5 oczek z każdej strony roboty, a następnie jeszcze sześć razy po 1 oczku w każdym drugim rzędzie.

Na 64 oczkach robimy równo tak długo, aż przód ma 30 cm długości, nie licząc ściągacza.

Teraz spuszcza się pośrodku roboty 20 oczek i robi się tylko jedno ramię, przyczem w każdym drugim rzędzie spuszcza się dwa razy po 1 oczku od strony dekolту, robi się jeszcze 3 rzędy równo, a pozostałe 20 oczek spuszcza się w linii ukośnej, to znaczy po 5 oczek w każdym drugim rzędzie, poczynając od oczek zewnętrznych, bliższych rekawa.

Drugie ramię kończy się w ten sam sposób.

Plecę robi się tak jak przód, tylko oczka na dekolt spuszcza się o 2 cm wyżej niż w przodzie.

Kołnierzyk. Trzeba nabrać jasną wełną na cieńszy drut 80 oczek, i zrobić pas, ścięciem podwójnie karbowanym, wysokości 14 cm. Pas ten przyszywa się do dekolту, a z boku przyszywa się zatrzaski.

Rękaw. Nabrać trzeba 40 oczek na cieńszy drut i zrobić 10 cm ściągacza. Następnie przechodzi się na grubsze druty i zwykły ściągacz i robi się pięć rzędów równo, a następnie dodaje się po 1 oczku z każdej strony roboty w każdym trzecim rzędzie tak długo, aż rękaw w szerokości swej będzie miał 60 oczek. Robi się wówczas równo, a gdy rękaw ma 44 cm długości, spuszcza się po 3 oczka z każdej strony roboty w każdym drugim rzędzie, a gdy pozostanie nam 14 oczek, spuszcza się je z drutu jednocześnie.

## Harcerstwo

### Program pracy harcerek.

(Dokończenie.)

Jak wiadomo, służbę harcerską dzieli się zależnie od wieku na okresy: 1. należenia do gromady zuchów, 2. do drużyny młodszych lub starszych harcerek-rzy, 3. do zrzeszenia starszoharcerskiego. W dalszym ciągu okresy te dzielą się na etapy, zwane u zuchów gwiazdkami, a stopniami u harcerek i harcerzy. Nazwa tych ostatnich przypomina kolejne wspinanie się na coraz to wyższe szczeble i daje się wytłumaczyć tem, że na każdy stopień druhu czy druchna musi się przy próbie wykazać zdobyciem pewnych nowych umiejętności (z ratownictwa, terenoznawstwa, gospodarstwa domowego i t. p.), a także postępem w urabianiu charakteru według określonych punktów. A więc stopnie stanowią pewną zachętę do pracy, a zarazem odgrywają przy próbach rolę sprawdzianu, — są to niby słupy przydrożne, któremi mierzyny przebyta droga.

Każdemu okresowi pracy jest właściwy specjalny program, podyktowany znajomością fizjologii i psychologii człowieka. Otóż program 4 gwiazdek zuchów oparty jest na bogatej wyobraźni i spostrzegawczości dziecka, na jego zamyśleniu do ruchu, do budowania, do naśladowania czynności starszych, na zainteresowaniu światem zwierząt i budzącym się popędzie towarzyskim. Program pracy harcerek jest również dostosowany do zamyślenia i zainteresowań dziewczęcia. Dziewczynki pomiędzy 11 a 14 rokiem życia rwą się, podobnie jak chłopcy, do wycieczek i życie polowe wraz z całą t. zw. techniką harcerską ma dla nich nieprzyparty urok, — to też stopień pionierki ma przewagę tego właśnie elementu. A znowu w okresie dojrzewania dziewczęta mniej mają popędu do ruchu i zainteresowania ich idą raczej w kierunku służby bliżnim, gospodarstwa domowego, estetyki i t. p. W programie dla harcerek 14—16-letnich te działy są uwzględnione obok umiejętności polowych, które są nadal ważnym środkiem wyrobienia zdrowia i dzielności (stopień samarytański). W dalszym ciągu okres pracy prze-

wodniczek odpowiada budzącym się społecznym zainteresowaniom dziewczyny i stąd wynika cały szereg punktów próby. Podobne uzasadnienie posiadają także programy stopni dla chłopców. Dla młodzieży powyżej 20 lat i dla dorosłych nie ma już przepisowych programów — życie je ustala. Są tylko stopnie instruktorskie, innych członków czynnych i regulamin Kół Przyjaciół Harcerstwa, normujący ich zakres pracy.

Programy stopni poddawane są co kilka lat rewizji i z czasem ulegają ewolucji. Idzie ona w kierunku przystosowania coraz bardziej programu żeńskiego do psychiki niewieściej. Od programu prób męskich — nasze różnią się obszerniej potraktowanym działem estetyki, gospodarstwa domowego i opieki nad dzieckiem, natomiast krócej opracowane są działy ćwiczeń polowych, życia leśnego oraz sportów. Ciekawe jest, że stopnie polskich harcerek ukształtowały się podobnie do skautowych angielskich, chociaż powstawały w odmiennych warunkach i przez czas wojny nie było pod względem programowym żadnego kontaktu między instruktorami polskimi i zagranicznymi. Ogólnie można powiedzieć, że nasze stopnie są trudniejsze od angielskich, zawierają więcej materiału do przerobienia, a przedewszystkiem konkretniej ujmują stronę doskonalenia charakteru.

Może ta trudność jest jednym z powodów powolnego ich zdobywania. O ile się zdarza, że 14-letnie druchny zdają próbę ochotniczką, 16-letnie — pionierki, starszyna i rzadkie szeregowce — samarytanki, a programu starszych dziewcząt nie tykamy prawie wcale w drużynach, to taki stan jest wadliwy, druchny bowiem nie przechodzą całkowitego przeszkolenia harcerskiego i nie osiągają nigdy tego pełnego wyrobienia, jakie harcerstwo może dać jednostce. Przy tem tempie pracy druchny nie poruszają wcale (albo za mało) poważniejszych zagadnień natury społecznej, zawartych w programie starszych dziewcząt. Naskutek tego niektóre starsze harcerki uważają czasem harcerstwo za organizację dla dzieci, zrażają się i występują. Ten stan jest spowodowany do pewnego stopnia brakiem starszyny, tem, że dziewczęta zdolniejsze i bardziej zaawansowane zostają zastępowcami i przyboczni i potem mało mają czasu na dalsze pogłębianie własnej wiedzy i wyrobienia. Warto nadmienić.



że dla dziewcząt, rozpoczynających służbę w harcerstwie powyżej lat 16-tu, istnieje specjalny stopień starszej ochotniczki, dzięki któremu 3-stopniowy okres pracy młodszych harcerek zostaje skrócony i starsze dziewczęta mogą szybciej przystąpić do programu odpowiadającego bardziej ich zainteresowaniom.

Życie harcerskie płynie tak szerokim łozyskiem, że przekracza schematyczne programy stopni, które nakreślają przecież tylko minimalny zakres pracy harcerskiej. Chyba mało jest takich drużynowych, któreby zamykały robotę harcerską tylko do przygotowania się do prób i zdawania ich. Poszczególne druchny indywidualnie zdobywają dowolne sprawności, zastępują na zbiórkach i wycieczkach omawiają różne sprawy aktualne i mówią o całym szeregu zajęć, nie objętych bezpośrednio programem, ale związanych z życiem dziewcząt, z ich zainteresowaniami; drużyny mają swoją akcję społeczną, dochodową i warsztatową, życie towarzyskie, obrzędowość i tradycje, które nie dadzą się ująć w jakieś jednolite ramy. I tego wcale nie potrzeba! Nicch będzie jak najwięcej inicjatywy, samodzielnych poczynań, szukania lepszych dróg i form pracy!

(«Równajmy krok» — J. Tworowska.) Opr. I. Z.

## **Scenarzysta ludowy**

### **Niepunktualność.**

Jedną wadą imprez to chęć zysku materialnego. Drugą niepunktualność. Musi się oczywiście przysmakować, kiedy spóźnienie jest kilku czy kilkunastominutowe, lub kiedy zaszła jakaś poważna przeszkoda. Mamy jednak na porządku dziennym spóźnienia pół-, cało i więcej godzinowe. To troszeczkę za dużo. Rzucić to złe światło tak na widza, jak i urządzającego. Główna jednak wina spada tu na urządzających. Są oczywiście różne charaktery. Jeden człowiek jest punktualny, porywczy, nagły; inny ślamazarny, leniwy. Komitet urządzający imprezę nie może gonić za widzami po domach, pomagać im przy ubieraniu się i sprowadzać ich gwałtem na salę, lub też zaczynać program dla każdego nowoprzybyłego na nowo. Dlaczego ale mają cierpieć ci punktualni? Dlaczego muszą oni czekać całą nieraz godzinę na początek, kiedy zjawili się na sali w terminie, jaki ogłaszały afisze? O ile chodzi o punktualność, to o tę muszą dbać w pierwszym rzędzie urządzający i — powtarzam ponownie — oni są winni, o ile zebranie czy impreza zaczyna się z godzinowym czy dłuższym spóźnieniem. Niekoniecznie musi się zaczynać punktualnie z programem głównym, kiedy sala próżna, niema na miejscu »głównej ryby«, o którą nam się rozchodzi, chce się ją »specjalnie« w zagajeniu powitać i podziękować jej, czy inna jakaś zapała znalazła się na drodze. Można przecież zrobić jakiś przedprogram, by tak zadowolić punktualnych, nie zrażać ich do siebie i nie uczyć, zmuszać do niepunktualności, z drugiej strony przynaglać opieszających do pośpiechu i tak »okraść« ich częściowo, wreszcie zadowolić samego siebie, że dotrzymało się słowa. Co może się składać na taki przedprogram, który można ułożyć — na kolanie? Jest na miejscu orkiestra — niech urznie jakiego marsza czy walcika polkę. Brak orkiestry. Może jest jakiś chór, czy zebrać go dorywczo i zaintonować jakąś pieśń. Może znajdzie się jakaś harmonia ręczna czy inny instrument muzyczny i ktoś, kto potrafi z tego wydobyć kilka harmonicznych tonów. Stworzyć kocią muzykę, odegrać pantomimę lub przynajmniej wystąpić na podium i powiedzieć, że początek odsuwa się na tak a tak

długo, aby czekający wiedział na czym jest i mógł dowolnie rozporządzić wolną chwilą As.

## **O przyszłość młodzieży wiejskiej.**

Całe rzesze młodzieży są związane ze wsią i z jej właściwym warsztatem pracy t. j. gospodarstwem wiejskim, a jego kierownika nazywać trzeba rolnikiem bez względu na to czy posiada kilka, kilkanaście, czy kilkadziesiąt morgów ziemi. Każdy kto pracuje na roli, ma do czynienia z ziemią-matką, która żywi wszystkie warstwy społeczne, a przede wszystkim gospodarza wraz z jego rodziną i czeladzią. Rodzicielka ziemia jest wdzięczną za troskliwą opiekę ze strony człowieka. Praca wykonywana z miłością do ziemi i zawodu rolniczego, stwarza w życiu człowieka wiejskiego radość i zadowolenie.

Rolnik do swego zawodu potrzebuje przygotowania. Nawet ten, który go zdobyć nie pragnie i w swym dziwnym konserwatyzmie twierdzi, że przygotowanie fachowe jest szkodliwe, potrzebuje go przede wszystkim. Bo chodzi często w swej zarozumiałości zamknięty, szkodać nawet swemu otoczeniu przez rozsiewanie fałszywych pojęć o nauce i wiedzy rolniczej. A przecież jej należy się wszelka cześć i chwała, jej zasługą powstał dorobek rolnika dzisiejszej doby, za jej przyczynieniem powodzi się lepiej i tym, którzy są jej wrogami.

Każdy rzemieślnik, czy kupiec dba o najlepsze przygotowanie do swego zawodu. Chodzi mu o to, aby praca jego dobrze dawała wyniki. Pragnie uprzyjemnić sobie pracę, ulepszyć swój warsztat codziennego trudu. Dąży do tego, aby jak najmniejszym wysiłkiem wykonał jak najwięcej.

Rolnictwo też jest zawodem. Zawód to trudny i bardzo złożony. Potrzebuje wiele znajomości a nawet specjalizacji. Warsztat pracy rolnika bez względu na jego wielkość, przedstawia codziennie wiele zagadnień z uprawy roli i nawożenia, hodowli zwierząt i ich opieki, organizacji całego gospodarstwa, spraw zagospodarskich np. handlowych (kupno i sprzedaż), spółdzielczych, nie wyłączając społecznych wogóle. Wszystkie gałęzie wymagają odpowiednich wiadomości, aby nie zostały zaniedbane i nie przynosiły strat zamiast korzyści.

Ogrom zadań wymaga szerokiego przygotowania fachowego. Można go wprowadzić zdobyć doświadczeniem długich lat życia, to jednak jest za żmudne i za drogie. Każdy młody, wiejski chłopiec winien się zawczasu zastanowić nad swą przyszłością i wybrać jakiś zawód. Jeżeli nie idzie do rzemiosła, jeżeli nie chodzi do szkoły średniej, a ma zamiar pozostać przy plugu, wtedy powinien uświadomić sobie, że właśnie ta prosta a jednak bardzo złożona praca na zagonie i około bydełka jest pracą wdzięczną i przynoszącą to szczęście, jakie posiada wtedy kiedy pracuje. Bo praca jest dziś przywilejem. Praca na wsi, w gospodarstwie wiejskim nie jest gorsza od innej roboty. Trzeba w nią włożyć swą inteligencję i umysł. Trzeba się do niej przynajmniej.

Młody człowiek winien przede wszystkim podjąć się trudów, aby zdobyć jak najgłębsze i jak najlepsze przygotowanie do życia i zawodu. Nie trzeba opuszczać rąk i biadać z rozpaczą nad zagadnieniem, które nazywają — kryzys. Nie tracąc nadziei może śmiało powiedzieć sobie, że od niego tylko zależy los i powodzenie jego. Trzeba tylko »mierzyć siły na zamiary, a nie zamiary podług sił« woła Mickiewicz.

Synu wiejski, rozważ sobie co chcesz czynić. Teraz kiedy czas i sposobność, ucz się i kształć w swym zawodzie. Nie wierz tym co mówią, że wykształcenie rolnikowi nie jest potrzebne. Wielkość gospodarstwa nie decyduje tu wcale, lecz ważne jest to, z czego i jak żyć chcesz. Nie wmawiaj w siebie, że masz mało czasu, że brak ci pieniędzy. Wiedza jest bardzo tania, trzeba jej tylko zapracować. Idź ją zdobyć do Szkoły Rolniczej. Tam nauczysz się, jak umiejętnie uprawiać zagon swój i jak się nim opiekować. Poznasz rośliny i zwierzęta, ich rozwój i życie, aby nie było dla ciebie zagadką to, z czym się codziennie stykasz. Poznasz czynniki odgrywające w gospodarstwie wielką rolę i jako samodzielny gospodarz będziesz je mógł łatwiej uzgadniać i nimi kierować. Wiadomości zdobyte w Szkole Rolniczej, a utwierdzone w życiu praktycznym, przydadzą się nie tylko tobie, ale i twoim sąsiadom i kolegom w zawodzie. Dlatego zapisz się jeszcze w tym roku do Krajowej Zawodowej Szkoły Rolniczej w Cz. Cieszylinie, a nie pożałujesz swego kroku. Nauka we wspomnianej szkole rozpoczyna się



w listopadzie a kończy w kwietniu, tudzież trwa tylko dwie zimy po sześć miesięcy. Do szkoły można chodźć lub dojeżdżać, przy czym otrzymuje się zniżki. Do wpisów, które trwają aż do końca października należy przynieść ostatnie świadectwo szkoły ludowej, wydziałowej, lub innej, zezwolenie rodziców oraz 50 Kcz jako wpisowe i opłaty szkolne. Przyjmuje się chłopców w wieku od lat 15 w górę, bez specjalnych ograniczeń. Do nauki można wypożyczać książki i korzystać z biblioteki szkolnej.

Krajowa Zawodowa Szkoła Rolnicza w Cz. Cieszynie jest jedyną w Czechosłowacji męską szkołą rolniczą z językiem wykładowym polskim. Jej podwoje są otwarte dla każdego syna rolnika, który pragnie osiąść wiadomości potrzebne w przyszłej jego pracy. Sposobność tą trzeba skrzętnie wykorzystywać w myśl pięknego przysłowia »ucz się pókiś młody, bo na starość będzie już za późno.« A. N.

## Komunikaty.

### Komunikat ZOMP.

Zarząd ZOMP na swym ostatnim posiedzeniu ustalił następujące terminy zgromadzeń:

Zgromadzenia Zarządu ZOMP odbywać się będą w miarę potrzeby, jednak zawsze we czwartki o godzinie 4.20 (16.20).

Zgromadzenia Prezydium ZOMP odbywać się będą zawsze we czwartki po 1-ym i 15-ym w

miesiącu o godz. 4.20 (16.20). Poza tym Prezydium urzędować będzie w każdy czwartek od godziny 4-tej (16) do 6-tej (18) w lokalu „Ogniwa“, Cz. Cieszyn, Polonia I. p.

Sekretariat ZOMP urzędować będzie w każdą środę, czwartek i sobotę, również w lokalu „Ogniwa“, Cz. Cieszyn, Polonia I. p.

Trzanowice. Miejscowy Z. E. M. urządza w niedzielę, dnia 11 października 1936 o godz. 1/28 wieczorem w sali p. J. Klaubaufowej wieczorek, na którym zostanie odegrana sztuka K. Bergera p. t. „Wiosna Ludu“, czyli „Rok 1848 w Końskiej“. Na wieczorek wszystkich jaknajserdeczniej się zaprasza.

\* \* \*

## Od Wydawnictwa.

Do dzisiejszego numeru „Ogniwa“ załączamy czeki tym wszystkim abonentom, którzy jeszcze zalegają z prenumeratą za ubiegłe kwartały, oraz tym, którzy mają jeszcze do wyrównania ostatni kwartał bież. roku, z prośbą o przesłanie należności. Nie załączamy czeków jedynie tym, którzy mają prenumeratę wyrównaną do końca bież. roku.

\* \* \*

## Humor



— W taki sposób, to wóm członków w klubie nie będzie przybywać!

\* \* \*

### To już było.

Mały Fredzio wrócił do domu w opłakanym stanie. Na czole guz wielkości jafskiej pomarańczy, na policzku potężna szrama, cała twarz zalana krwią.

Matka zmywa mu buzię wodą, żeby sprawdzić, czy niema żadnej rany.

— Mam nadzieję, że nasek jest cały — mówi matka.

— Tak mamusi — odpowiada malec płaczącym głosem — zdaje się, że cały. Te dwie dziurki już były przedtem.

\* \* \*

### Uspokojenie.

— Kelner. W zupie pływa mucha.

— Mucha? O tak wczesnej wiosnie? To na pewno będzie karluch. Zaraz braciszka wyłowimy

### Odważny papa.

Dziecko: — Tatusiu! Czy ty się boisz lwa?

Ojciec: — Nie, moje dziecko.

Dziecko: — Tygrysa boisz się?

Ojciec: — Nie! Tygrysa też się nie boję.

Dziecko: — A wściekłego psa?

Ojciec: — I wściekłego psa się nie boję.

Dziecko: (zdziwione): — Więc widzę, że tatuś nikogo się nie boi prócz mamusi.

\* \* \*

### Na cmentarzu.

Zygmuś poszedł pierwszy raz na cmentarz. Czytając napisy na pomnikach, chłopczyk zamyślił się głęboko.

— Nad czym tak myślisz, Zygmusiu — zauważył ojciec.

— Ja nie rozumiem jednej rzeczy, tatusiu — odparł synek.

— Czego to?

— Na wszystkich pomnikach jest napisane „Szlachetny człowiek, dobry obywatel, wierny przyjaciel“, a więc gdzie ostatecznie są źli ludzie pochowani?

\* \* \*

### Różnice.

— Co ci jest, mój drogi?

— Ogłoszono mi upadłość.

— Co w tem strasznego, przecie masz żonę?

— Tak.

— No więc przepisałeś majątek na żonę?

— Nic podobnego!

— Ale masz troje dzieci?

— Tak, ale co z tego?

— No więc przepisałeś majątek na dzieci?

— Wcale nie!

— A więc przekazałeś cały majątek zagranicę?

— Także nie!

— W takim razie, mój biedaku, trudno to nazwać upadłością! Jesteś poprostu zrujnowany!



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*  
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-*  
*MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## **Wojciech Kossak** **malarz żołnierza polskiego.**



Wspomnienia z lat dziecińczych.

W. Kossak.

Szarża czerkiesów z eskorty gen. gub. hr. Berga, pędzących Krakowskim przedmieściem na Plac Zamkowy, gdzie odbyła się masakra bezbronných tłumów.

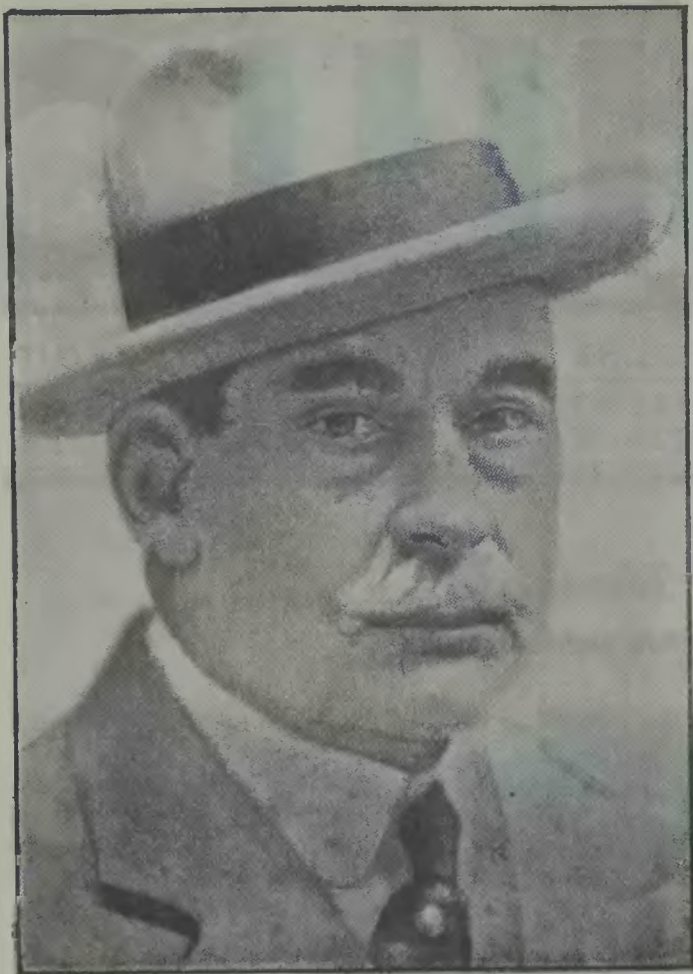
Przed niedawnym czasem dla uczczenia 60-lecia artystycznej pracy malarskiej Wojciecha Kossaka, w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, została zorganizowana wystawa jego dzieł.

Wojciech Kossak, utalentowany syn, również wsławnego w batalistycznym malarstwie naszym, — Juliusza, jest ojcem również malarza, choć o dużo mniejszym talencie — Jerzego, toteż ród Kossaków w tej linii przedstawia dynastię trzech pokoleń artystów-malarzy, którzy dziedzicznie przekazują sobie podobne właściwości, a więc wraz z wielkim talentem i specjalne zamiłowanie do rycersko-bitewnych tematów.

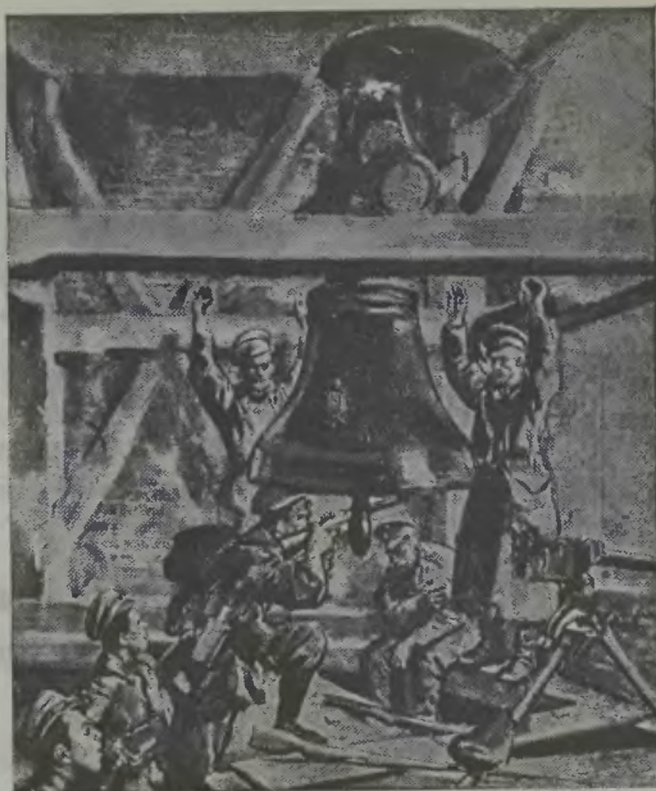
Prace Wojciecha i Juliusza cechuje jasnowidzkie wprost odczuwanie wojennych epizodów naszej przeszłości i ujęcie swych wizyj na płótnie w sposób bezpośredni, co było i jest główną przyczyną ich wielkiej popularności.

Wojciech Kossak jest malarzem tak płodnym, że trudno wyliczyć wszystkie jego dzieła. Na obrazach jego, obok wyczynów marsowych bohaterów, występuje na pierwszym planie koń, ten najmiłszy i nieodłączny towarzysz polskiego żołnierza, a nawet jego portrety ludzkie są zwykle związane z koniem i mają w sobie zacięcie kawaleryjskie. Jako próbkę zamieszczamy w numerze dzisiejszym kilka zdjęć z jego obrazów.





Wojciech Kossak.



W. Kossak.  
Zdobycie dzwonnicy w Brzostku.



Ułan i dziewczyna.

W. Kossak.



Obrońca Lwowa.

W. Kossak.





## Duma Narodowa

**to najpotężniejsza dźwignia polskości.**

Jesteśmy Narodem, który w wielkiej księdze dziejów ludzkości niejedną zapisał kartę czy to zwycięstwami bohaterskiego oręża, czy odkryciami sławnych uczonych, czy wreszcie na polu sztuki zdobywając naczelne miejsca. Mamy, o, mamy bardzo wiele takich chwil, które dziś przyświecają poprzez mgłę przeszłości, wskazując następnym pokoleniom drogę, po której mają zdążyć. I mamy z czego być dumni. Pola Chocima, Cecory, Wiednia, Warszawy — to zwycięstwa polskie, odniesione dla całego świata cywilizowanego. Nazwiska Kopernika, Skłodowskiej i wiele innych — to wielkie zwycięstwa myśli polskiej nad tajemniczą potęgą natury, a wreszcie nazwiska Słowackiego, Żeromskiego, Chopin'a — to wzloty najwyższe polskiego ducha.

Mimo to jednak, że piękne poza nami zamknęły się dzieje, mimo, że wielkie dzisiaj przeżywamy wzloty, nie mamy jeszcze dostatecznie rozwiniętej dumy narodowej. Dotyczy to zwłaszcza nas — Polaków zagranicą. Patrzymy pilnie dokoła i wiemy, że młodzież polska, zagranicą — przeważnie — urodzona nie zawsze dumy narodowej ma dostateczną ilość, nie zawsze w głębi serca chętni się z należenia do Narodu Polskiego. Wpadając w obce otoczenie, widząc zdobycze obcych, młodzież niejednokrotnie zapomina, że do ogólnego skarbcza ludzkości Naród Polski niejedno dorzucił bogactwo. Stąd, z niedostatecznie rozwiniętej dumy narodowej, rodzi się wynaradawianie się żywiołu polskiego, a brak dumy narodowej z nieświadomości dziejów powstaje.

Ileż nazwisk znajdziemy, których polskie pochodzenie nie budzi żadnej wątpliwości, a jednak pod nazwiskami tymi kryją się nie tylko nie-Polacy, lecz nieraz nawet wrogo dla polskości usposobieni ludzie. Ale jednocześnie znajdziemy nazwiska o obcym, niepolskim brzmieniu, zmieniane nawet, nieraz lub urobione dla łatwości wymawiania na modłę obcą, a jednak pod nazwiskami tymi kryją się szczerzy Polacy, gorący patrioci i najlepsi synowie Polski. To świadomość narodowa i w ślad za nią idąca narodowa duma utrzymała przy polskości tych ludzi.

Aby uniknąć procesu wynaradawiania się, aby miłość gorącą dla Ojczyzny w polskich sercach rozpaść, wystarczy dzisiaj patrzeć dokoła i obserwować jakim szacunkiem inni nas otaczają.

Popatrzymy dobrze, a zwłaszcza młodzieży pokazmy ostatnie zjawiska, których wymowa jest tak wielka, że podziw i zastanowienie wzbudzić musi.

Oto Naczelny Wódz Polski, gen. Edward Rydz-Śmigły, stanąwszy na ziemi francuskiej, witany jest ceremoniałem, jakim tylko panujących się wita.

Wiemy wszyscy jak wielka jest rola gen. Rydza-Śmigłego w Polsce i wiedzieliśmy z góry, przed wyjazdem Wodza Naczelnego do Francji, że przyjęty tam będzie z honorami królewskimi. Ale nie wszyscy zastanawialiśmy się dość głęboko nad tem, że hołd, publicznie przez sprzymierzeńców naszych Naczelnemu Wodzowi Polski składany podczas Jego pobytu we Francji, jest hołdem polskiej pracy i ciężkiej składanym.

Jeszcze 22 lata temu, nieliczna garstka Polaków poszła pod rozkazami Marszałka Piłsudskiego w bój o Polskę. Garstka ta rosła z każdym dniem, potęgiała z każdą niemal godziną. Dziś jest potęgą i zwie się: — Wojsko Polskie. Z wojskiem tym musi liczyć się każdy, chociażby był najsłabszy...

Jeszcze 18 lat temu ziemia polska dymiła oparami zniszczenia i krwi. Dzisiaj — bieli się na bursztynowym brzegu morza potężna Gdynia, — największy port na Bałtyku. Dzisiaj po stalowych torach, rozbudowanych linii kolejowych przebiegają wspinałe lokomotywy polskie, ciągnąc najlepsze w Europie polskie wagony.

Jeszcze 16 lat temu kominy fabryczne bezczynnie sterczały ku niebu, kto żyw bowiem ruszył do walki z czerwonym wrogiem, najeżdżającym Polskę. Dzisiaj dymią kominy Śląska, przywróconego na łono Macierzy potężną, wolą i bohaterskim czynem.

Skądże się wzięło to wszystko, co dzisiaj składa się na siłę i moc Polski?

Skądże, z jakich źródeł czerpaliśmy przez ostatnie 16 lat bogactwa, aby na ruinach i gruzach zbudować wielki gmach potężnego Państwa?

Skąd siły wzięliśmy dosyć i hartu, aby kroczyć w rodzinie narodów własną, niezależną od nikogo drogą?

Odpowiedź jest jedna i prosta: Z niewyczerpanego źródła miłości Ojczyzny, z wielkości polskiego ducha zbudowaliśmy Polskę.

To też świat cały patrzy dziś na nas z szacunkiem i uznaniem, to też świat liczy się z naszym zdaniem i opinią.

Oto realne wyniki i zdobycze nowej, dzisiejszej Polski.

I dlatego my — Polacy zagranicą widząc w hołdzie sprzymierzonej Francji, składanym polskiemu Naczelnemu Wodzowi, hołd dla polskiej wielkości — radością i dumą karmimy nasze serca.

Dumą, że zaszczyt nam przypadł należenia do wielkiego Narodu Polskiego.

A z dumy narodowej rodzi się nasz czyn godnego przygotowania następnego pokolenia do dźwignięcia jeszcze wyżej w codziennym wysiłku systematycznej i planowej pracy — sztandaru polskości.





Parlamentarz — Scena z roku 1920.

W. Kossak.

Jan Brzechwa.

## Maria — Antonina Lix. Porucznik ułanów polskich.

Karty naszej historii pełne są wielkich imion. Bohaterstwo bojowników o wolność i niepodległość Polski było bezprzykładne i napędlia dumę serca każdego Polaka. Ileż jednak podziwu muszą budzić ci wszyscy, którzy Polakami nie będąc, przelewali krew za naszą wolność. Będziemy zawsze z wdzięcznością wspominali imię generała Bema, czy pułkownika Nullo. Byli to mężowie zahartowani na polach bitew, to też dzielnie wspierali nasze szeregi swoim orężem.

Czyż można jednak bez wzruszenia wspominać dzieje młodej dziewczyny alzackiej, która nigdy nie była żołnierzem, która w Polsce znalazła się przypadkowo, i która bez chwili namysłu, w ciężkich dniach powstania styczniowego, rzuciła się do walki z moskalami.

Maria Antonina Lix urodziła się w r. 1839 w Colmar. Będąc jeszcze małą dziewczynką straciła matkę i wychowaniem jej zajmował się ojciec, dawny żołnierz pułku grenadierów francuskich. Znając tylko rzemiosło żołnierskie, postanowił córkę wychować po żołniersku. Kazał sprawić jej męskie ubranie, uczył ją fechtunku, strzelania i jazdy konnej. Dopiero po latach, za namowami sąsiadów oddał ją do pensjonatu żeńskiego, gdzie zaczęła prowadzić życie bardziej odpowiadające jej płci. Mając lat 17 otrzymała maturę, gdy jednak wróciła do domu, dom zastała pusty. Ojciec jej nie żył. Pozostawiona sama sobie, bez środków do życia, jak wiele innych Francuzek, udała się do Polski w poszukiwaniu chleba. Znalazła nie tylko chleb, ale również serdeczną przyjaźń i nienajbardziej rodzicielskie ciepło w domu hr. Łubieńskiego, która powierzyła jej wychowanie swych dzieci.

Maria Antonina Lix należała do tych Francuzów, którzy pamiętali o żołnierzach polskich, poległych na polach Francji i którzy uważali, że od chwili rozbioru Polski Europa pozostaje w grzechu śmiertelnym.

Przez sześć lat panna Lix żyła przyjemnie i dostatnio w atmosferze spokoju, gdy w r. 1863 wybuchło powstanie styczniowe.

Angielska »miss« i niemiecka »Fräulein« przerażone wypadkami czempredzej opuściły swych chlebobawców. Bohaterskie i chwalebne serce »mademoiselle Tony« nakazało jej pozostać przy boku ludzi, którzy otaczali ją przez tyle lat miłością i opieką.

Od tej chwili rozpoczęła się jej ofiarna praca dla nie-szczęśliwych powstańców. Po całych dniach i nocach pielęgnowała rannych w lazarecie utworzonym w piwnicach pałacu Łubieńskich, ułatwiała im ucieczkę przed Moskalami, przebrana za stangretę wiozła ich przez lasy i zaopatrywała w broń, czyniąc to wszystko z narażeniem własnego życia.

Hr. Łubieński, podejrzany o udzielanie pomocy powstańcom, ratując się przed zesłaniem na Sybir, zmuszony był udać się na wygnanie. Cały dom, złożony z samych kobiet i dzieci został pod opieką »Tony«, która, pomimo prośb i perswazji odmówiła wyjazdu.

— Jakżeż mogłabym to uczynić? — zawołała z oburzeniem. — Nie jestem ani Niemką, ani Angielką i musiałabym mieć pomidor zamiast serca na to, aby opuścić w nie-szczęściu ludzi, którzy mnie przyjęli do siebie jak przyjaciółkę i siostrę!

Tymczasem ruch powstańczy zataczał coraz szersze kręgi. Oddziały źle uzbrojone, lichy odziane, kryły się po lasach, obficie zraszając krwią przygodne pobojuwiska.

Do nowoprzybywających ochotników, dowódcy przemawiali takim mniej więcej językiem.

»Pięknie jest umrzeć za Ojczyznę, ale równie słodko jest żyć. Czy wiesz, bracie, że przystępujesz do sprawy świętej, ale że w walce naszej spłynie krew całego poko-



lenia? Rozważ dobrze, abyś potem nie żałował, bo wyrzec się musisz na zawsze wszelkich doczesnych radości. Jeżeli masz rodzinę, niechaj cię opłakuje zawczasu, bo cię już nigdy więcej nie ujrzy. Z nami będziesz cierpieć głód i chłód, nie będziesz miał gdzie głowy skłonić, a gdybyś chciał mieć, spotka cię z naszej ręki haniebna śmierć tchórza! Nie spodziewaj się niczego prócz kuli lub szubienicy, a twoja śmierć bohaterska nie przyniesie ci nawet chwały żołnierskiej. Czy decydujesz się walczyć w naszych szeregach?

— Tak! — odpowiadali ochotnicy, i szli na niechybną śmierć.

W takich właśnie tragicznych warunkach Maria-Antonina Lix rzuciła swój los na szalę powstania.

Zdarzyło się bowiem, że pewnej nocy nadeszła na ręce hr. Łubieńskiego depesza dla generała Bogdana Bończy, ostrzegająca go o zasadzce planowanej przez wojska rosyjskie. Bończa walczył ze swoim oddziałem w okolicy odległej o kilkanaście kilometrów i nie wiedział o groźącym mu niebezpieczeństwie.

Niewiadomo było, kto wypełni tę odpowiedzialną misję. Służbie nie można było zaufać. Czas naglił.

Alzatka, nic nie mówiąc nikomu, w sekrecie przed domownikami przebrała się w strój męski, osiadła najlepszego wierzchowca i pognąła w noc, mając tylko pistolet za pasem. Po drodze natknęła się na znaczny oddział kozaków. Bez chwili namysłu spięła konia ostrogami i jak wichur przeleciała pod gradem kul, trątuąc tych, którzy ją chcieli zatrzymać. O trzeciej nad ranem dotarła do kolumny generała Bończy.

— Kto idzie? — zawołała warta.

— Wiozę rozkaz wojenny.

— Hasło?

— Polska! Wolność!

W chwili jednak, gdy bohaterska dziewczyna oddawała depeszę adiutantowi generała, Rosjanie rozpoczęli natarcie. Ostrzeżenie przyszło zapóźno.

W jedno okamgnienie generał znalazł się w siodle, stanął na czele kolumny i zawołał donośnym głosem:

— Pierwszy pluton, naprzód!

Nikt się jednak nie ruszył.

— Drugi pluton, naprzód!

Żołnierze wyczerpani śmiertelnie i głodni stali, jakby przykuci do ziemi.

Wówczas Bończa, wiedziony ostateczną rozpaczą, rzucił się na szeregi wroga. Towarzyszyła mu garstka dragonów pod dowództwem Kickiego.

Po krótkiej walce Bończa zachwiał się w siodle. Rozległy się triumfalne okrzyki Moskali.

Wtedy to Maria-Antonina Lix porwała za pierwszą lepszą szablę, odwróciła się do żołnierzy i zawołała:

— Tchórze! Pozwolicie zmasakrować waszego dowódcę. Może przynajmniej nie dopuście do tego, aby jego trup świadczył o waszej hańbie. Krwią musicie zmyć plamę na waszym honorze!

To rzekłszy, rzuciła się w wir walki, pociągając za sobą, przebudzonych, jak gdyby z otętwienia, żołnierzy. Bila się z szaloną odwagą, rabiąc szablą na prawo i na lewo. Ciosy jej były nieomyślne, a pogarda śmierci zdumiewająca. Nie ustępowała w walce, dopóki nie przekonała się wreszcie, że zwycięstwo nad wrogiem jest zupełne. Przeważające siły rosyjskie były w odwrocie. Wówczas panna Lix odrzuciła z niesnakiem dymiącą szablę.

Bończa śmiertelnie ranny, wezwał ją do siebie. Leżał na łóżku polowym z posiekaną twarzą i kulą w piersi.

— Panie — rzekł słabym głosem — nie znam Cię i nie widziałem Cię dotąd nigdy. Niech Cię jednak Bóg błogosławi, za to, coś uczynił. Oszczędziłeś hańby moim żołnierzom, a mnie strasznego bólu, któryby mi zatruł moje ostatnie chwile. Skąd jesteś i jak się nazywasz?

— Jestem Francuzem. Nazywam się Michał — odparła Alzatka, oblewając się rumieńcem.

Wówczas generał zdjął z palca sygnet dowódcy i rzekł: — Weź to i przysięgnij mi, że nie opuścisz moich żołnierzy, dokąd nie zostanie zamianowany nowy dowódca. To jest ostatnie życzenie konającego. Chyba nie odmówisz mi, moje dziecko?

— Nie, generale. Przrzekam!

Odtąd walczyła w szeregach powstańców, uchodząc wciąż za mężczyznę, zawsze pierwsza tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo.

Na polu walki zamianowana została porucznikiem ułanów.

Jako dowódca 2-go szwadronu ułanów generała Sokoła, brała udział w najbardziej ryzykownych i niebezpiecznych wypadkach, walczyła pod Piaskową Skałą, pod Jędrzejowem. Ciężko ranna, cudem uniesiono ją z pobojuwiska. Po wyleczeniu się z ran wróciła do szeregów, lecz pozostała w nich niedługo. Wpadła w ręce patrolu rosyjskiego. Przed szubienicą ocaliło ją obywatelstwo francuskie. Odstawiona pod eskortą do granicy niemieckiej, powróciła do swej ojczyzny, opłakując gorzko losy powstania styczniowego, które właśnie dogorywało, stłumione ogniem i żelazem.

We Francji poświęciła się całkowicie sprawom Czerwonego Krzyża, który rozpoczynał wówczas swoje istnienie.

Raz jeszcze chwyciła za broń, gdy w kilka lat później nawała pruska zagrażała jej ojczyźnie. Jako porucznik wolnych strzelców, walczyła w obronie Francji, w obronie swej ukochanej Alzacji, wielokrotnie wymieniana w rozkazach dziennych, bohaterska i nieustraszona jak zawsze.

Po wojnie zamieszkała w Paryżu, wróciła do swoich damskich sukien i poświęciła się dobremu uczynkom.

Nie dożyła, niestety, ani wyzwolenia Polski, ani wyzwolenia Alzacji. Zmarła w roku 1909. Szabla honorowa, którą jej ofiarowali rodacy, nosiła napis: »Bóg i Ojczyzna«. W tych dwóch słowach zawiera się życie i dzieło bohaterskiej Alzatki.

## Macik językowy.

### Nowa ortografia.

Końcówka 6 i 7 przyp. liczby poj. oraz 6 przyp. liczby mn. w odmianie zaimków i przymiotników.

Dotąd we wspomnianych przypadkach obowiązywały 2 końcówki: -ym (-im), -ymi (imi), oraz -em, -emi. Pisaliśmy: dobrym człowiekiem ale dobrem dzieckiem, pięknym stołem ale pięknymi stołami itd. Nawet ludzie obcy z językiem pełniali tu błędy, które przy pośpiesznym pisaniu bardzo łatwo się zakradały.

Chcąc temu złu zaradzić twórcy nowej ortografii przeprowadzili radykalne uproszczenie. Usunęto zupełnie końcówki -em, emi, pozostawiając jedynie końcówki -ym (-im), -ymi (imi). Piszemy więc: dobrym człowiekiem i dobrym dzieckiem, pięknym stołem i pięknymi stołami, mądrymi paniami i eleganckimi paniami etc. Nie trzeba się więc już wogóle zastanawiać, bo każdy przymiotnik względnie zaimek (tym, czym, kim, tym samym nim) piszemy z końcówką -ym, -ymi (-im, -imi).

Twórcy nowej ortografii — upraszczając ją — starali się jednak szanować tradycję; stąd pochodzą nieliczne wyjątki i co do omawianej reguły. Oto one:

1. Pozostawiono formę tradycyjną -tem w kilku skostniałych przysłówkach czasu: potem, przedtem, wtem i w przysłówku wnioskującym zatem (w znac. więc). Poza tym jednak wszędzie jest forma tym. Np.: »Byłem na przedsta-

wieniu, zaś potem poszedłem do domu« ale »po tym przedstawieniu byłem bardzo zdenerwowany«; »przedtem byłem byłem u kolegi« ale »stał przed tym oknem«; »wtem odezwała się melodia walca« ale w tym zebraniu wzięło udział wielu członków«; »wracamy zatem (albo więc) do domu« ale »za tym miastem leży szerokie pole.«

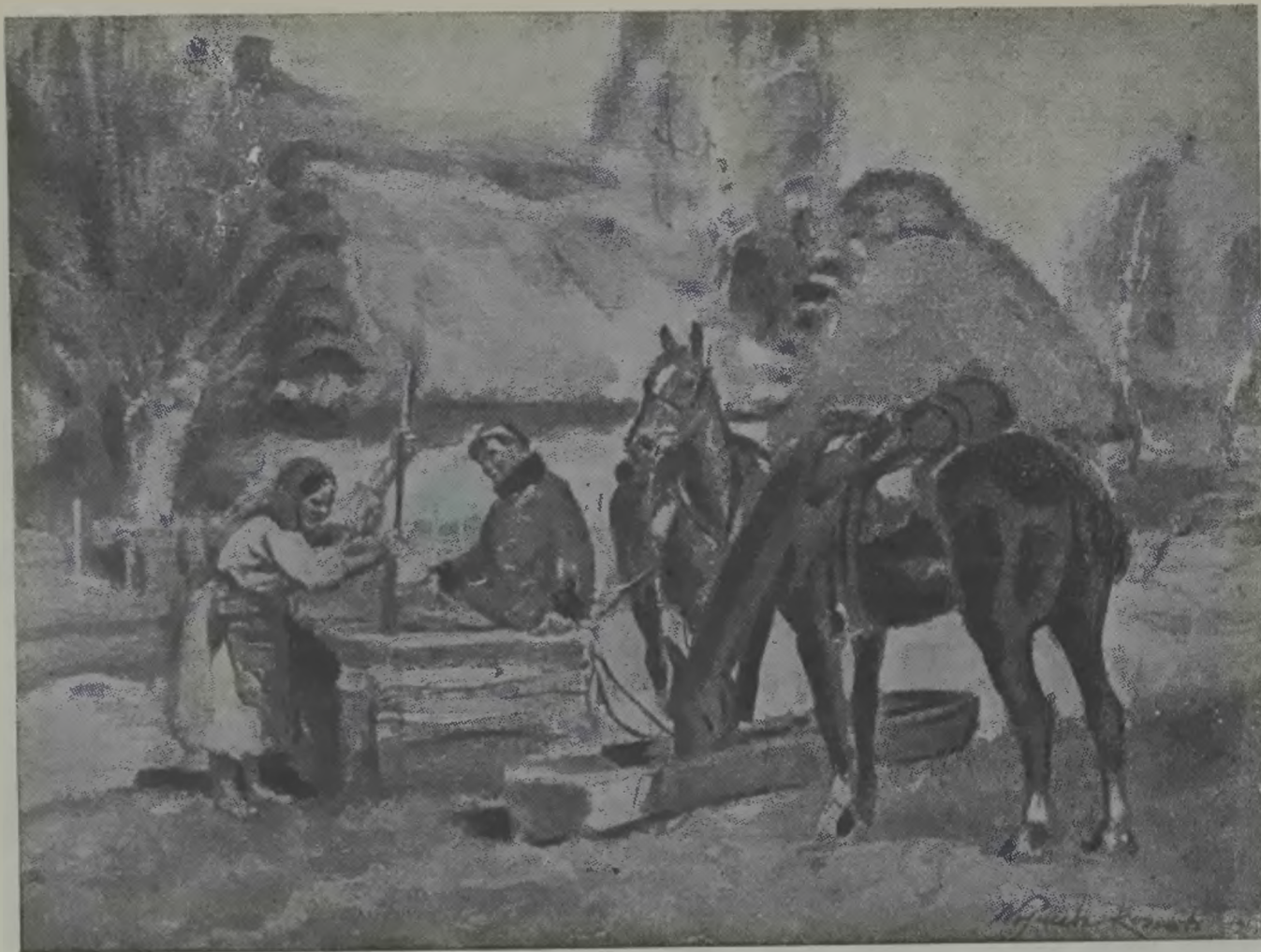
2. Końcówka -em pozostaje w 6 i 7 przyp. nazw miejscowości zakończonych na -e a odmieniających się przymiotnikowo; np. w Zakopanem, w Równem, w Wysokiem itp. Jeżeli nazwa składa się z przymiotnika i rzeczownika, przymiotnik ma końcówkę -ym (-in): w Starym Mieście, w Górnym i Dolnym Cierlicku, w Morzu Bałtyckim.

3. Nazwiska, zakończone na -e: Linde — Lindem, Franke — Frankem, Schimke — Schimkem itp.

Trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę, ażeby omówionego wyżej uproszczenia nie rozszerzać na 3 przypadek, jak zauważyłem w jednym z artykułów »Dz. P.«. Trzeci przypadek l. poj. ma u przymiotników i zaimków zawsze końcówkę -emu: temu zgrabnemu chłopcu, grzecznemu dziecku. Więc w tym przypadku nie trzeba się zastanawiać tylko pisać -emu.

A propos »Dz. P.«! Do redaktora działu sportowego (czy jest osobny, nie wiem) miałbym gorącą prośbę, aby Polak, Polka, Francuz, Niemiec — zatem nazwy narodów — pisał wielką literą, bo tak się pisało według starej i tak się pisze zgodnie z nową ortografią. Pisownia małą literą jest właściwa tylko niektórym dzielnicom Polski i jest błędna. Szczegółowiej o pisowni wielkich i małych liter w którymś z następnych »Ogniów«.





U studni.

W. Kossak.

Zygmunt Szczepański.

## Rola chóru

w wychowaniu społecznym i obywatelskim.

(C. d.)

Zgłaszają się więc tacy kandydaci do chorów amatorskich. Jednych pcha prawdziwe zamięłowanie do śpiewu, własna, nieprzymuszona wola, chęć miłej i kulturalnej rozrywki po pracy, często nudnej; drugich zaś chęć zabawy, zabicia czasu... Wszyscy oni nie zdają sobie często sprawy co ich czeka, nie widzą „pracy“ w chorze, chcą śpiewać, a to przecież łatwo!... przyjemnie... Niestety, już pierwsza lekcja otwiera im oczy. Dochodzą do wniosku, że chcąc śpiewać czysto, rytmicznie i ładnie, trzeba się wiele namozolić — trzeba pracować!

Prawdziwe jednak trudności występują dopiero wtedy, gdy następuje połączenie wszystkich głosów.

Wtedy dopiero okazuje się, że pomimo tego, iż każdy głos umie, „zna“ swoją partię, gdy już wszyscy zdawałoby się „na mur“ opanowali „swój“ głos, wszystko się „rozłazi“, że jeden głos „idzie za drugim“, że ni stąd ni zowąd wszystkie głosy śpiewają partię sopranu lub basu, że zamiast czterech głosów, brzmi jeden, czasem tylko dwa, a najczęściej osiem i więcej...

Zaczyna się praca „na nowo“, każdy głos osobno, aż do znudzenia. Po dłuższej dopiero pracy nadejdzie wreszcie chwila prawdziwej radości, która

wszystkim każe zapomnieć o wszystkich trudach i goryczach owej „roboty“, owych godzin mokołu, dosłownie w pocie czoła. Chwila ta nadejdzie wówczas, kiedy wszystkie głosy zaśpiewają swoje partie bez błędu, gdy się „uda“...

„Udało się wreszcie!“... Chmury pierzchły bezpowrotnie, wszyscy wracają zadowoleni do domów, są dumni!...

Tymczasem na następnej lekcji, ni stąd ni zowąd, znów się „nie udaje“, znów się wszyscy mylą, gubią, fałszują... Trzeba wracać do owej nudnej „roboty“ od początku, roboty tem przykrzejszej, że już zdawało się, że pieśń jest wykonana. Przyczyna tego prosta: brak kilku lub kilkunastu członków chóru, szczególnie tych, za którymi się „ciągnęło“, którzy „prowadzili“. Wpływa z tego smutne, ale nader cenne doświadczenie, tem cenniejsze, że chórzyści zdobywają je sami, a dzięki niemu dochodzą do jasnych i logicznych wniosków: praca w chorze musi być wyrazem ładu i porządku, zarówno wszyscy, jak i każdy z osobna, muszą dobrze umieć swoją partię, bez oglądania się na innych, muszą swój osobisty i samodzielny wysiłek złożyć dla dobra całości!



Bez tego samodzielnego wysiłku, bez tej samodzielnej i sumiennej pracy każdego członka zespołu, nie ma zadowolenia, nie ma postępu, nie ma radości.

Ponieważ jednak atmosfera pracy w chórze, radość, a więc i postęp chóru zależą od ciągłości i systematyczności w pracy każdego chórzysty, wykształca się powoli w duszy każdego z nich poczucie obowiązku i odpowiedzialności, bez których to czynników niema mowy o jakimkolwiek postępie i zadowoleniu pracy, a tym bardziej w pracy artystycznej — w chórze.

Chcąc opracować, choćby nietrudną pieśń cztero-głosową, trzeba na to co najmniej czterech do pięciu prób półtora-godzinnych (oczywiście, jest to zależne od zaawansowania zespołu). Jest to więc praca nielada, tym bardziej, że odbywa się ona najczęściej wieczorem, po całodziennej pracy zawodowej, często w ciasnej i dusznej izbie, gdzie nie-zawsze jest na czym usiąść. Nadomiar, gdy weźmiemy pod uwagę odległość, porę roku, szczególnie jesień, z jej słotami, lub wiosnę i lato, które nie nastrajają specjalnie do pracy w ciasnej i dusznej izbie, musimy stwierdzić, że są to przeszkody, bardzo utrudniające pracę w chórze, a nierzadko wręcz niweczą najlepsze chęci i najczystsze zamiłowania, jeśli ich nie wesprze silna wola.

Skoro jednak mimo to chór się „trzyma“, pracuje, wszyscy przychodzą systematycznie na lekcje, jest to niezbitym dowodem wielkiego wysiłku woli, nielada zaparcia się, nieprzeciętnego zamiło-

wania. Bezinteresowność tego wysiłku, jego cel i pobudka, które leżą w sferze pozamaterialnej człowieka, prowadzą w konsekwencji do umiłowania dla pracy bezinteresownej, pracy dla sztuki.

Najważniejszą, bodajże i najtrudniejszą ze wszystkich „danin“, które chórzysta musi złożyć na rzecz zespołu, jest „danina“ ze swego „ja“; danina niezbędna dla chóru i dyrygenta — ale przykra. Mianowicie chodzi o to, aby każdy członek chóru nauczył się słuchać dyrygenta, aby się nauczył podporządkowywać swoją wolę, woli kierownika chóru, oczywiście w imię sztuki, w imię ideału, do którego on i chór dążą. Czyż należy udawadniać potrzebę kształcenia tej umiejętności podporządkowywania swej woli, woli kierownika chóru? Przeciwnie, bez tej „daniny“, bez tej szczególnej umiejętności nie można sobie nawet wyobrazić pracy w jakimkolwiek zespole artystycznym, a tym bardziej w chórze amatorskim, gdzie bodajże wszystko zależy od dyrygenta, który jest zarazem nauczycielem i wychowawcą, szczególnie w dziedzinie sztuki. Najdonioślejszym jednak, z punktu widzenia wychowawczego jest fakt, że wszystkie wyżej cytowane wartości wychowawcze budzą się samorzutnie, bez „morałów“, bez „nakazu“, bez sztucznego „naciągania“ i nauczania. Budzi je bowiem i uszlachetnia sama praca w chórze, jej cel i charakter, co tym samym potwierdza tym dobitniej wychowawczą rolę chóru — jako organizacji.

(Dok. nast.)

## **Ruch kulturalno-oświatowy w Polsce.**

Poziom kulturalny społeczeństwa decyduje o rozwoju państwa, o jego stosunkach społecznych i gospodarczych, a tem samem o roli danego państwa w świecie. To też nowoczesne państwa szczególnie troskliwą opieką otaczają prace kulturalno-oświatowe.

W Polsce, odrodzonej do niepodległego bytu po wiekowej niewoli, sprawy kultury szczególną posiadają doniosłość, gdyż zaborcy przez cały czas swego panowania na naszych ziemiach wszelkimi sposobami hamowali rozwój kultury polskiej. Odrodzona Polska, przy olbrzymich zadaniach na każ-



**Prezydent I. Mościcki  
w Poznaniu.**

Przed dwoma tygodniami bawił p. Prezydent Mościcki w Poznaniu. Dostojnego gościa podejmowali przedstawiciele nauki, muzyki, literatury, plastyki, architektury i sztuki stosowanej. W auli Uniwersytetu poznańskiego nastąpiło urocz. wręczenie p. Prezydentowi dyplomu doktora honoris causa na cześć zasług, jakie położył na polu nauki. Zdjęcie przedstawia moment wygłaszania przemówienia przez p. Prezydenta w otoczeniu senatu akademickiego.



dem polu, odziedziczyła ogromne zaniedbania w dziedzinie kulturalno-oświatowej. W ciągu osiemnastu lat niepodległości zdołano osiągnąć bardzo poważny dorobek, świadczący chlubnie o Polsce i Polakach.

Prace kulturalno-oświatowe, prowadzone przy poparciu państwa przez samorząd terytorialny oraz instytucje i organizacje społeczne, obejmują całokształt zagadnień oświaty pozaszkolnej.

Z ramienia władz szkolnych działa na obszarze Państwa 124 instruktorów oświaty pozaszkolnej, prowadzących pracę kulturalno-oświatową wśród starszego społeczeństwa i dorastającej młodzieży, pozostającej poza szkołą. Fachowo przygotowanych pracowników oświatowych dostarczają corocznie organizowane kursy instruktorskie, któ-

śłuchaczy obojga płci. Bardzo żywą działalność w dziale oświaty pozaszkolnej rozwija wojsko, które w latach 1927—32 objęło akcją nauczania 512.900 szeregowych, z czego ponad 190.000 stanowili analfabeci, którzy w czasie służby wojskowej zdobyli umiejętność czytania i pisania po polsku. Za całe osiemnastolecie niepodległości liczba osób, które w wojsku nauczyły się czytać i pisać dosięga pół miliona.

Ogniskami, skupiającymi prace kulturalno-oświatowe w Polsce, są rozsiane po całym Państwie w pokaźnej liczbie 13.887 świetlice i 773 domy ludowe. Rozwój tych ostatnich daje miarę tempa pracy oświatowej w Polsce: gdy w r. 1919 istniało zaledwie 115 domów ludowych, to w latach 1920—28 liczba ich wzrosła o 226, w latach zaś



Sławny pułk czwartaków po zwycięstwie pod Olszynką z pułk. Bogusławskim, swym dowódcą na czele.



Wizja Wojska  
Wszystkie formacje polskie przeciągają w

rych w r. 1933/34 było 209 z ponad 3.000 słuchaczy, głównie z pośród nauczycielstwa i działaczy społecznych. Ten coroczny kontyngent fachowych oświatowców przyczynia się do stałego rozszerzania pracy kulturalno-oświatowej oraz pogłębiania jej metod.

Najważniejszym działem oświaty pozaszkolnej są kursy dla dorosłych, początkowe, zwalczające analfabetyzm wśród starszego pokolenia, pozbawionego szkoły w swej młodości za czasów zaborczych — oraz kursy dokształcające o wyższym poziomie, rozszerzające zakres wiedzy, zwłaszcza w dziedzinie wiedzy o Polsce. W ostatnim roku na obszarze całej Polski istniały kursy dla dorosłych w liczbie 5.688 zespołów, obejmujących 121.709

1929—32, mimo znacznego pogorszenia się warunków gospodarczych, w całej Polsce przybyło aż 392 domy ludowe, przy czym na ogólną liczbę 773 w miastach było 84 domy ludowe, na wsi zaś — 689, przy czym 560 posiadało własne, specjalne na ten cel wybudowane gmachy. Na podkreślenie zasługuje fakt, że większość domów ludowych powstała na obszarze najbardziej zaniedbanych kulturalnie kresów wschodnich.

Upowszechnieniem książki polskiej i zawartych w niej walorów kulturalnych zajmowały się liczne biblioteki oświatowe, których według ostatnich danych jest w Polsce 8.526 (3.412 w miastach, 5.114 na wsi) z 6 milionami 164 tysiącami tomów. Dodać należy, że liczby te obejmują jedynie biblio-



teki publiczne, obok nich zaś istnieją liczne księgozbiory i czytelnie prywatne oraz 1.009 bibliotek wojskowych z 685.500 tomami.

Tak rozpowszechnione wśród ludu polskiego zamięłowanie do pieśni znajduje swój wyraz w istnieniu 4.675 zespołów śpiewaczych, przyczem niektóre stoją na bardzo wysokim poziomie i liczą nieraz po kilkaset nawet członków.

Poza istniejącymi w większych miastach i postawionymi na bardzo wysokim poziomie artystycznym 57 teatrami stałymi i 31 objazdowymi zespołami, istnieje na obszarze Polski ponad 8.000 amatorskich zespołów teatralnych, głównie ludowych, urządzających przedstawienia o własnych siłach przy pomocy fachowej Związku Teatrów Ludowych.

Dbłość o zachowanie zabytków bogatej kul-

ralno-oświatowe, na czoło wybija się Związek Strzelecki, prowadzący 3.596 świetlic, 3.349 bibliotek i czyteln i posiadający 10.051 instruktorów.

Pracę kulturalno-oświatową wśród młodzieży prowadzi nadto Związek Harcerstwa Polskiego (73.800 harcerzy i 43.700 harerek) oraz organizacje młodzieżowe: Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej, Związek Młodzieży Ludowej, Związek Młodzieży Wiejskiej R. P. oraz Katolicki Związek Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, obejmujące działalnością głównie środowiska wiejskie, na terenie miejskim działa, gdy idzie o prace oświatowe, szereg lokalnych organizacji, a z pośród ogólnie polskich — Organizacja Młodzieży Pracującej, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego oraz szereg centralnych organizacji zawodowych.



ka  
zie przed Marszałkiem J. Piłsudskim.

W. Kossak.



Stefan Czarniecki pod murami Warszawy  
po zwycięskim ataku husarii polskiej na Szwedów.

tury ludowej, zwłaszcza ciekawej sztuki ludowej, znajduje wyraz w powstawaniu licznych muzeów regionalnych, gromadzących co ciekawsze okazy lokalne. Ostatnio liczba muzeów regionalnych osiągnęła 57 na ogólną ilość 146 muzeów polskich.

Z pośród społecznych organizacji oświatowych, istniejących z przed wojny, szczególnie żywą działalność rozwijają: na obszarze b. zaboru rosyjskiego — Polska Macierz Szkolna (248 kół, 19.448 członków, 773 biblioteki z 428.000 tomów), na obszarze b. zaboru pruskiego — Towarzystwo Czyteln Ludowych (240 kół, 12.059 członków, 1.311 bibliotek z 345.000 tomów).

Z pośród powstałych w niepodległej Polsce społecznych organizacji, prowadzących prace kultu-

Na szczególnie podkreślenie zasługuje masowy i nader wydajny udział w pracach kulturalno-oświatowych wśród społeczeństwa polskiego — nauczycielstwo, zwłaszcza szkół powszechnych. Nauczyciel polski nie ogranicza się do swych zajęć zawodowych na terenie szkoły, lecz ofiarnie i z zapałem działa i poza szkołą nad zwalczaniem analfabetyzmu i podniesieniem poziomu kulturalnego szerokich warstw społeczeństwa. Wielkie to zadanie, polegające na odrobieniu zaniedbań z okresu niewoli, spełnia dzisiejsze pokolenie polskie w niezwykle trudnych warunkach, zdołało jednak osiągnąć wyniki, stawiające Polskę w rzędzie państw silnych — swą kulturą.

W. Kietlicz-Wojnacki.



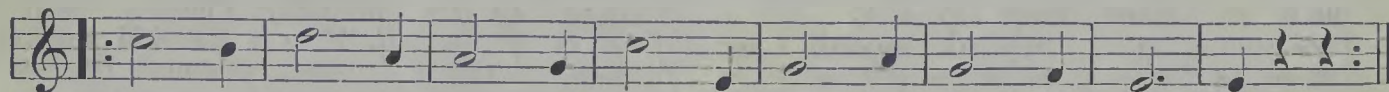
# Mamulko moja, bofi mnie głowa....

Spiewała: Al. Cieślarkowa z Łazów.

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.



1. Ma - mul - ko mo - ja, bo - li m - nie gło - wa,



O - de - szeł m - nie mój sy - ne - czek po - cie - cha mo - ja.

2. Nie doł mi płakać, ani sie smucić,  
Że sie może za pół roku, ku mnie nawrócić!
3. Pół roku przeszło, pismeczko przyszło,  
Czytej go ty moja miła, czytej go rychło.
4. Jak go czytała, bardzo płakała,  
Od wielkiego frasuneczku hnedka zemdlala.
5. Mamulko moja, jada malyrze,  
Dejcie mi go wymalować, choć na papiyrze.
6. Mamulko moja, pieknie malują,  
Dejcie mi go wymalować, z białą lelują.
7. Z białą lelują, jako róży kwiat,  
Wolę jo go bardzy widzieć, niżli cały świat.

P. K.

## Stare drzwi śląskie.

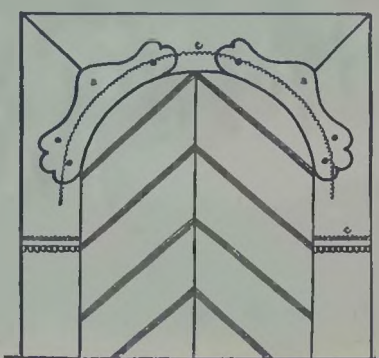
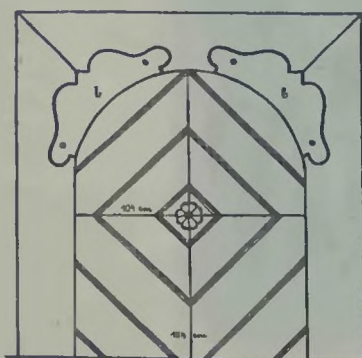
Każda wiedza opiera się na dokładnych i szczegółowych badaniach. Chcąc np. poznać dokładnie budownictwo śląskie, trzeba zacząć od gruntownego badania jego poszczególnych działów. Zwrócimy najpierw uwagę na dział starych drzwi wejściowych.

Okazów oryginalnych starych drzwi jest bardzo mało. W zagłębiu prawie że się ich już nie spotyka, a obserwować je jeszcze można w miejscowościach podgórskich, jak: w Jabłonkowie, Bukowcu, Piosku i innych. Do najbardziej charakte-

Charakterystyczne były również drzwi środkowe (właściwe), które były podwójne, t. zn., że na zwyczajnych drzwiach prostokątnych przybijano drugą warstwę deszczulek, które układano w dwojaki sposób:

1. symetrycznie od środka drzwi — zazwyczaj rozety — na wszystkie strony,
2. symetrycznie od linii środkowej po obu stronach wskos.

Bardzo ładna była nikielka i rozeta środkowa, która tworzyła ozdobę drzwi. Drzwi środkowe były zbijane dużymi gwoździami, ręcznie kutymi. W lepszych domach nad drzwiami było okienko



Raszkowa Zuz. Bukowiec 53. (1804) Kadłubiec Jan, Bukowiec l. 40. (1823)  
(b) wstawki (a) wstawki, (c) ozdoby

Piękna ozdoba na murze nad drzwiami  
(Jabłonków l. 189)

rystycznych okazów należą drzwi okrągłe w starych domach drewnianych, których konstrukcja jest bardzo oryginalna.

Odrzwia składają się z 3 grubych (do 30 cm) drzew kanciastych, których wiązanie jest wzmocnione u góry w rogach dwoma artystycznie wycinanymi »wstawkami«. Interesującym jest to, że przy każdych drzwiach są na wstawkach inne wycięcia.

Właśnie na rysunku podano kilka takich wzorów »wstawek« z Bukowca, Jabłonkowa i Nawsia. Wprawdzie zmiana jest czasem mała, ale zawsze można coś oryginalnego w rysunku wyszukać. Całe odrzwia były zbijane drewnianymi klinami i były silnej konstrukcji.

bez szkła — tylko z ładnie wycinanymi deszczulkami, pomiędzy którymi przechodziło powietrze.

Przy starych drzwiach nie było żadnych żelaznych zamków, tylko ze środka była drewniana »zokłodka«. Niekiedy na odrzwiach u góry był wykarbowany rok, w którym dom został wybudowany, a często napis: Jaworina lub Koniaków, t. zn. miejscowość, gdzie dom został zrobiony.

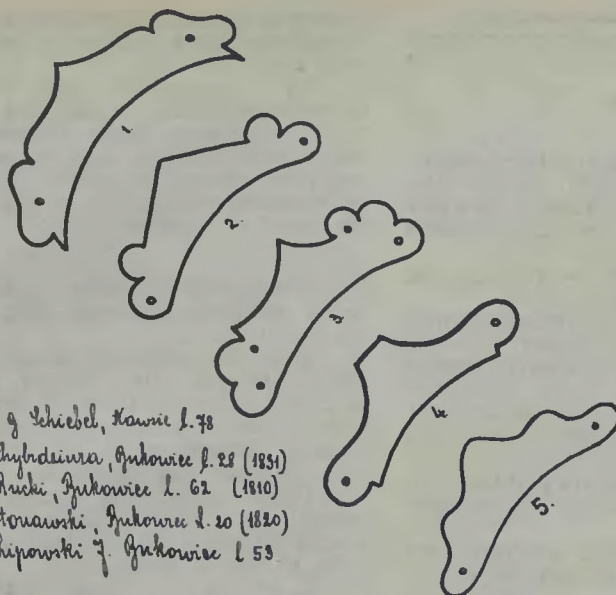
Było mianowicie dawniej zwyczajem, że dom gotowy można było zamówić, tak, jak zamawia się buty u szewca albo ubranie u krawca. Dwie były takie miejscowości na Śląsku, gdzie można było zrobić oryginalne zamówienie: Jaworzyna lub Koniaków. Tu bowiem mieszkali dużo cieśli, którzy według życzenia zrobili zupełnie gotowy dom, a





Jarnot, Jabłonków  
(Biała 27), 1782  
(x) wycinane deseczki

1. g. Schiebel, Kaniów l. 78
2. Chyldziński, Bukowiec l. 28 (1831)
3. Rucki, Bukowiec l. 62 (1810)
4. Storański, Bukowiec l. 20 (1820)
5. Lipowski, Bukowiec l. 59



następnie przywieźli go na miejsce zabudowania i do tygodnia złożyli, zbili klinami, pozatykali otwory mchem, zalepili gliną i dom był gotowy. Na pamiątkę, iż dom był właściwie zrobiony w ich wiosce, wyryli nad drzwiami napis »Jaworina« lub »Koniaków«. Takie domy można jeszcze dzisiaj spotkać w różnych miejscowościach podgórskich. Również można było dom przenieść z jednej miejscowości do drugiej, a może były i takie wypadki, że przez noc skradziono komuś cały dom, a rano gospodarz budził się w łóżku bez dachu nad głową.

Oprócz okrągłych drzwi prymitywnych były i lepsze drzwi w domach mieszczańskich. Kilka dobrych okazów takich drzwi można oglądać w Jabłonkowie. I tak: na rynku, obok wąskiej uliczki z łukami, w domu Nr. 14 są stare drzwi żelazne, ręcznie kute. Oprócz nich jest kilka ciekawych drzwi drewnianych, w których powtarza się charakterystyczny wzór promienistej elipsy. Widocznie drzwi robił jeden majster albo też wychodziły z jednego warsztatu.

Najbogatsze w rzeźby są drzwi u pp. Paduchów w starym Jabłonkowie (Biała), Nr. 17, na których znajdują się cztery wzory. Dużo spotyka się jeszcze w Jabłonkowie drzwi osadzonych w zaokrąglonych niszach z ławeczkami po bokach, co jest bardzo charakterystyczną cechą architektury śląskiej. Jeżeli chodzi o ozdobę koło drzwi na murze, to ładny wzór można oglądać również w Jabłonkowie na wąskiej uliczce pod starym cmentarzem w domu Nr. 189. Jest to śliczna kombinacja ornamentu roślinnego ze znakiem I. H. S. Szkoda by było, gdyby kiedyś właściciel tego domu ozdobę pozwolił z muru usunąć.

Okazów starych drzwi znalazłoby się w Jabłonkowie i innych miejscowościach Śląska jeszcze więcej, lecz trzeba tylko lepiej poszukać. Zadania tego mogli by się podjąć nasi rysownicy albo fotografowie, ponieważ jest to bardzo wdzięczne pole do popisu.

Materiał rys. pomógł zebrać p. kier. Doffek z Bukowca.

• • •





## Przyrzeczenie.

### I.

Sobota. Cisza i półmrok zalewały cały korytarz szkolny. Nagle w ten spokój wdarł się głos dzwonka. Na to hałaśliwe brzęczenie, drzwi klasy czwartej z hukiem rozwarły się, na korytarz wyszedł nauczyciel, a za nim wypadła garstka wesoło gwarzących uczniów.

— Te Józek — odezwał się Zbyś — prawda, że dzisiaj oddeklamowałem wiersz na jedynekę?

— E... skąd znowu! Ja dałbym ci przynajmniej dwójkę, bo nawet nie wiedziałeś, kto ten wiersz napisał!

— Ano widzisz, bo w mojej książce wyskrobał ktoś autora!

— Przecież jak wstałeś, to napisałem ci przez całą okładkę książki: Marja Konopnicka, a ty, jak zawsze, bąkałeś: Marjan Konopacki.

— Ty Zbyśku — wmieszał się do rozmowy Władek — jesteś zawsze ślepy i najważniejszych rzeczy nie widzisz. Pamiętasz...

— Oooooo!!!!... — przerywając rozmowę wykrzyknął nagle Zbyś, wskazując palcem na obraz wiszący na ścianie korytarza.

Kłótnia rozmowa nagle urwała się. Wszyscy spoglądali w kierunku wskazanym przez Zbyśka. Za ramą obrazu powiewała malutka czerwona chorągiewka.

— A cóż też to może oznaczać? — łamano sobie głowy.

— A widzicie, że nie jestem fujara! — krzyczał rozpromieniony Zbysiek — bo któż pierwszy spostrzegł chorągiewkę, jak nie ja.

— No, kiedyś taki mądry, to nas objaśnij poco ją tutaj wywieszono i co ona ma oznaczać!

— Naturalnie, że objaśnię! Czyż nie pamiętacie ostatniej zbiórki drużyny, na której drużyna zapowiedział, że w celu wyrobienia spostrzegawczości, na znak zbiórki będzie gdziekolwiekś, byle na widocznych miejscach, umieszczał przeróżne chorągiewki i tak: niebieska będzie oznaczała zwyczajną zbiórkę drużynową, biała wielką uroczystość w drużynie, zaś czerwona alarm.

— Aha?!... rzeczywiście! Zbysiek dobrze mówi i ja sobie przypominam ostatnią zbiórkę — odezwał się Władek.

— I ja!... i ja!... ja nawet nam zanotowane w dzienniczku!... — wołano jeden przez drugiego.

— Słuchajcie chłopcy — wtrącił Lusiek — najgorsza rzecz, że nie wiemy o której godzinie i gdzie odbędzie się alarm.

— To bardzo łatwe do odgadnięcia. Patrzcie: chorągiewka jest wetknięta za drugim obrazem od strony lewej, a za czternastym od prawej. Oznacza to godzinę drugą po południu. Chorągiewka jest przyczepiona do górnej ramy, co wskazuje na naszą salkę, która znajduje się na górze... — tłumaczył skupionym głosem kolega Józek.

— Dobrze gada nasz Józio! A zatem, punktualnie o godzinie drugiej zbieramy się w naszej salce.

— Czy tylko drużyna zastępowy wie o alarmie. Wicie chłopcy, dzisiaj musimy być pierwsi! Kto zawiadomi naszego »Wilka« o zbiórce? — zatroskał się Władek.

— Nie martw się — pocieszał go Lusiek — jakoś to będzie, a pozmie Zbysiek już dawno poleciał do naszego kochanego »Chudego Wilka«.

Po chwili Zbyś zjawił się z powrotem na korytarzu i szybko przyłączył się do grupki rozmawiających chłopców.

— Wicie! — krzyknął na całe gardło — nasz drużyna zastępowy to cwany chłop! on już przed nami wiedział o alarmie, ale powiedział mi, że zasługujemy na pochwałę, ponieważ nasz zastęp pierwszy zauważył i skapował się z tą chorągiewką!

Chłopcy zbici w gromadkę, szeroko opowiadali sobie o swoim zastępowym, o przyszłej zbiórce, snuli różne domysły. Dzwonek zwołujący na lekcję przerwał im rozważania. Z bólem serca porzucili gawędę, by udać się do klasy.

Ostatnia godzina mijania się skończyła i skoro dzwonek zaterkotał w dniu dzisiejszym po raz ostatni, cały zastęp czwartaków — »Wilków« — pędził na wyścigi do salki.

Przybyli pierwsi. Ustawili się w szeregu, zastępowy zbadał obecność. Za chwilę zaczęły zlaźać się inne zastępy a na samym końcu przybyli z ósmego roku nauki — podobno spóźnili się z powodu zadania.

Po odebraniu raportu od zastępowych, drużynowy przystąpił do objaśnienia alarmu, w jakim celu go zwołano.

... Wszyscy o godzinie szóstej wieczorem zbiorą się na podwórzu szkolnym w kompletnym stroju harcerskim

wraz z ekwipunkiem polowym... odbędą się ćwiczenia nocne. Specjalnie należy zabrać ze sobą mocne i wygodne buty oraz ciepły koc...

Po tych słowach, oczy zebranych zajaśniały jakimś dziwnym połyskiem, rozszerzone, z umiłowaniem ślizgały się po całej postawie druha drużynowego. A kiedy z ust jego padł rozkaz »rozejdź się!« wszyscy pędem rozbiegli się na wszystkie strony do domów, by na czas powrócić. Każdy w duchu radował się: toż to będzie heca!... tyle radości!... beztroski!... śmiechu!...

### II.

Punktualnie o godzinie szóstej, cała drużyna zgromadziła się na podwórzu szkolnym. Naturalnie »Wilki« znowu pierwsze przybyły.

Przed wyruszeniem, drużynowy razem z zastępowymi zrobili przegląd całej drużyny, zwracając specjalną uwagę na całość butów, dostateczną ilość i jakość koców, oraz należyte rozmieszczenie przedmiotów w plecaku. Następnie gospodarz drużyny zajął się przydzielaniem zastępom żywności, kotłów oraz namiotów.

Przed wymarszem drużynowy naznaczył dla każdego zastępu trasę ćwiczeń. Zastęp »Wilków« miał rozbić biwak w lesie odległym o 5 km. Inne zastępy miały uczynić to samo, tylko w innych miejscach.

Z pieśnią na ustach rozeszła się brać harcerska na harce.

Zastępowy »Wilków«, zwany także »Chudym Wilkiem«, poprowadził chłopców według zgóry określonego planu. Przeszli przez miasto i wioskę, skierowali się do pobliskiego boru. Tam na rozległej polanie zaczęto rozbijać biwak. Wśród śmiechu i śpiewu zabrano się do pracy. W przeciągu godziny biwak stanął, wewnątrz namiotów zapraszało na odpoczynek.

Jednak nie na błogie wylegiwanie się »Wilki« aż tutaj przybyły, lecz na harc, na trud.

— Józek, zwołaj zbiórkę zastępu — polecił swej dwójce zastępowy.

Zbiórka została natychmiast zwołana. Chłopcy z ciekawością wyczekiwali co dalej będzie. Zastępowy rozkazał zbierać drzewo.

— Będzie ognisko — myślał każdy, układając w kopy uzbierane suche konary.

I rzeczywiście. Wkrótce zastęp rozsiadł się wokół płonącego stosu polan. Rozpoczęły się śpiewy, opowiadano sobie wesołe kawały. Śmiech błąkał się po polanie, huczał, odbijając się wśród drzew boru. Potem gawęda.

— Jak sobie drużyna zastępowy przedstawia dzisiejsze nocne ćwiczenie? — rzucił pytanie Zbyś.

— Otóż — rzucił zastępowy — po ognisku, które niebawem zakończymy, rozrzućmy się w tyralierkę a później czołgając się, musimy podejść pod pagórek. Wicie? ten, na którym rośnie prastary dąb. Obecnie znajdują się tam inne zastępy, które otoczyły cały pagórek a które będą nam przeszkadzały w przedarciu się na polanę, znajdującą się pod dębem. Jeżeli przedostaniemy się przez łańcuch wart niespostrzeżeni przez nikogo, wtedy nasz zastęp wygrywa i zdobywa nagrodę — wszyscy z zastępu mogą przystąpić do przyrzeczenia...

### III.

Ognisko skończyło się. »Wilki« po ostatecznych wskazówkach jak należy zachowywać się podczas podchodzenia, rozrzućmy się w tyralierkę, przepadły w podszyciu lasu.

Cisza. W bładem świetle księżyca, bór tylko szeptał modły wieczorne w poszumie ciepłego wietrzyku a hen od pól dalekich rozlegało się żałosne kwilenie zbudzonej przepiórki. Poza tem najcichszy dźwięk, najłżejszy skrzyp łamanych gałęzi nie zakłócał panującego spokoju. Niktby nie pomyślał, że przed chwilą śmiech i pieśni napęływały cały bór, że obecnie 34 chłopców buszuje po całym lesie.

Cisza nie trwała długo. Na pagórku pod starym dębem, pojawiła się jedna postać, za nią wypelzła z trawy druga, trzecia... piąta...

Ileć razy jakaś głowa wychylała się z poza krzaków lub z bujnie rosnących jeżyn i borowisk wplecionych w wysoką trawę, tyleć razy rozlegał się stłumiony głos przezywający ciszę nocną:

— To ty Lusiek?

— Tak to ja.

— A gdzie Zbych?

— Ot, tam się wynurza.

— Czy Józio już przyszedł?

— Pelza za nami, ale ma trudną przeprawę, bo miejsca gdzie się przekrada, pilnuje zastęp »Orłów«, a wiesz, jakie one mają diabelskie oczy.



Nagle z poza kępy jeżyn wynurzył się zastępowy i podszedł do »Wilków« ukrytych pod zasłoną krzewów.

— Czy są już wszyscy?

— Właśnie nadchodzi Władek z Józkiem.

— Świetnie spisaliście się, niema co! Jestem z was dumny — wyszeptał zastępowy.

Po tych słowach przyłożył dłonie do ust, odwrócił się twarzą do księżyca i zawył żałośnie na wzór wilka, szukającego żeru. W odpowiedzi na te wycia, odezwał się krzyk wrony, a za chwilę reszta drużyny poczęła ściągać ze swych stanowisk. Każdy pchał się w stronę »Wilków«, podziwiał ich spryt. Na taką niespodziankę nikt nie był przygotowany. Stare wygi obozowe łamały sobie głowy nad tem, w jaki sposób mogli przejść niepostrzeżeni przez tak czujne warty. Największy jednak wstyd ogarniał każdego, że nie przyczynił się do wyłapania ani jednego »mirkusa«.

Posypały się opowiadania i ciekawe fragmenty w jaki sposób przekradano się. Potoki słów lały się dookoła. Kres rozmowom położył drużynowy, który przystąpił do zastępu »Chudego Wilka« i w te słowa się odezwał: Od uzyskania młodzika spisujecie się najlepiej w drużynie... zawsze pierwsi i punktualnie uczęszczacie na wszelkie zebrania... spełniacie z ochotą gromadne dobre uczynki... dzisiaj znowu w nieoczekiwany sposób zdobyliście pierwszeństwo podczas ćwiczeń... Sądzę, że będziecie dalej sumiennie pracować dla dobra drużyny, że wstydu jej nie przyniesiecie...

Dziś w nagrodę za waszą pracę odbędzie się wasze przyrzeczenie, zostaniecie przyjęci w szeregi wielkiej gromady skautowej. Dotąd byliście »ciurami« — po przyrzeczeniu zostaniecie pasowani na »rycerzy«, na bojowników idei harcerskiej... Czy macie w sobie tyle sił i dobrej woli, by zawsze spełniać obowiązki harcerskie? Jeżeli komuś sił brakuje, to może dzisiaj odstąpić, zaczekać do przyszłego przyrzeczenia.

Podczas mowy drużynowego, żaden z »Wilków« nawet okiem nie mrugnął. Wyprężeni na kształt strun, nieruchomo wpatrywali się w oblicze swego kochanego druha — wodza. Nikt też nie opuścił szeregu.

— Zatem — odezwał się drużynowy — macie wszyscy zamiar złożyć przyrzeczenie.

Ponieważ nikt nie odzywał się, popatrzył jeszcze raz po zebranych, podszedł do pobliskiego drzewa i trzykrotnie w nie uderzył w taki sam sposób jak dzieciółu kuja. Na te uderzenia tuż pod samym dębem zapłonęło ognisko. Na tle dębu pojawił się szereg z najstarszych harcerzy drużyny.

»Wilki« podeszły bliżej. Na znak dany przez drużynowego, szereg pod dębem załamał się i przerwał, odsłaniając wysoki kamień.

Na przedniej stronie głazu widniało wyryte Prawo i krzyż harcerski. Na wierzchu leżały poprzecznie złożone sztandar drużyny oraz narodowy. Przed kamieniem, tuż u stóp dębu, wznosił się wysoki krzyż brzozy.

»Wilki« rozwartymi oczyma patrzyły na otaczające ich przedmioty, w milczeniu oczekiwały dalszego przebiegu wypadków.

Drużynowy wystąpił na przód, stanął na stopniach pod głazem, i rozpoczął gawędę.

W dawnych czasach tutaj pod tym dębem znajdował się ołtarz ofiarny. Tu plemię Słęczan przysięgało sobie wzajemną miłość, dozoną wierność i pomoc. Gdy wici rozgorzały w całym kraju, tutaj się gromadzili, by później wspólnymi siłami bronić kraju od zalewu nieprzyjaciół... Ten prastary dąb i te szczątki puszczy świerkowej były świadkami sławy naszych przodków, pamiętają ich obrzędy... Wy, potomkowie Słęczan podejdźcie do ognia i kamienia i tak samo jak wasi przodkowie, złożcie przyrzeczenie, że będziecie bronić ideałów harcerskich. Wyciągnijcie ręce ponad ogień i głaz, symbole czystości myśli oraz prawości naszych hasel, powtarzajcie za mną słowa przyrzeczenia:

»Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i narodowi...

Nieść chętną pomoc bliźnim... Być posłusznym Prawu harcerskiemu.«

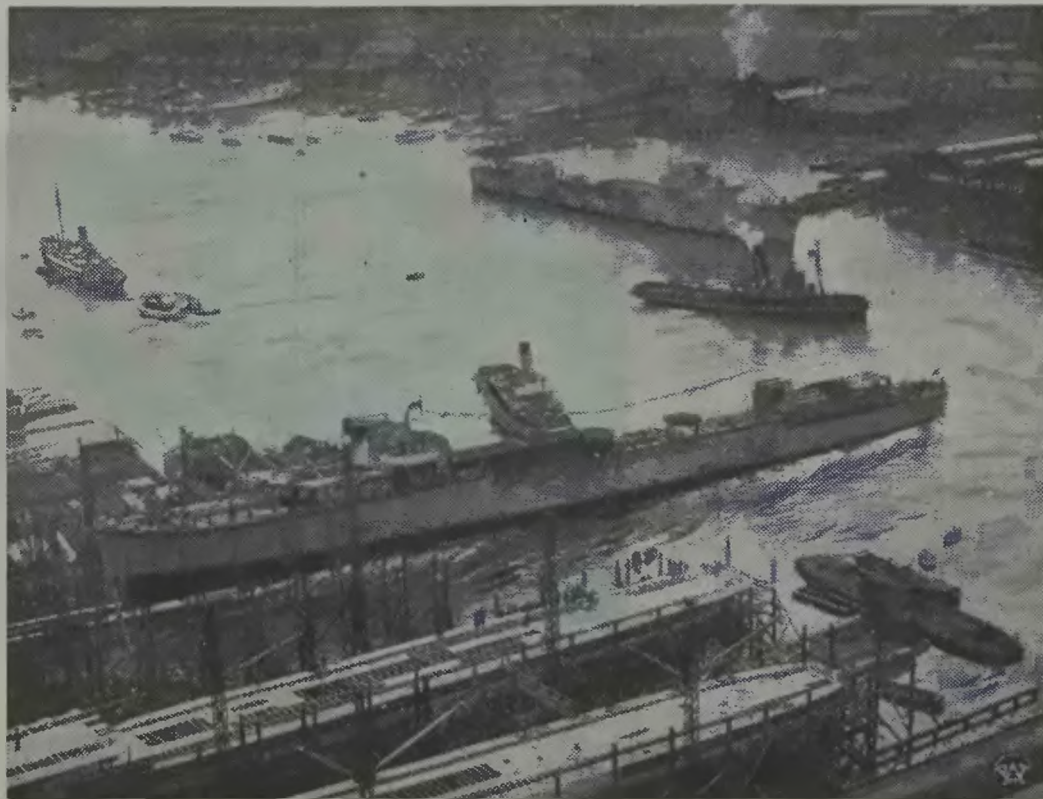
Po powtórzeniu przyrzeczenia, każdy chłopiec z zastępu »Wilków« podchodził do głazu, gdzie został pasowany na harcerza: przyklękał na stopniu pomiędzy ogniem i kamieniem, dwa palce prawej ręki, złożone jak do przysięgi, składał na drzewcach sztandarów. Tymczasem drużynowy przypinał na jego piersi krzyż harcerski, podawał mu lewą rękę i całował go w obydwie policzki; — »ciura« przestał być »ciurą«, stał się »rycerzem«, przyjęto go do wielkiej rodziny skautowej.

Kiedy ten obrzęd skończył się, cała drużyna podeszła do »Wilków« i z wielką serdecznością ścisnęła dłonie młodzieńców harcerzy.

Pod koniec wszyscy ustawili się wokół ogniska, obstawili kamień i dąb, złączeni węzłem braterstwa, wspólnie zanucili:

Nie rzucim ziemi...

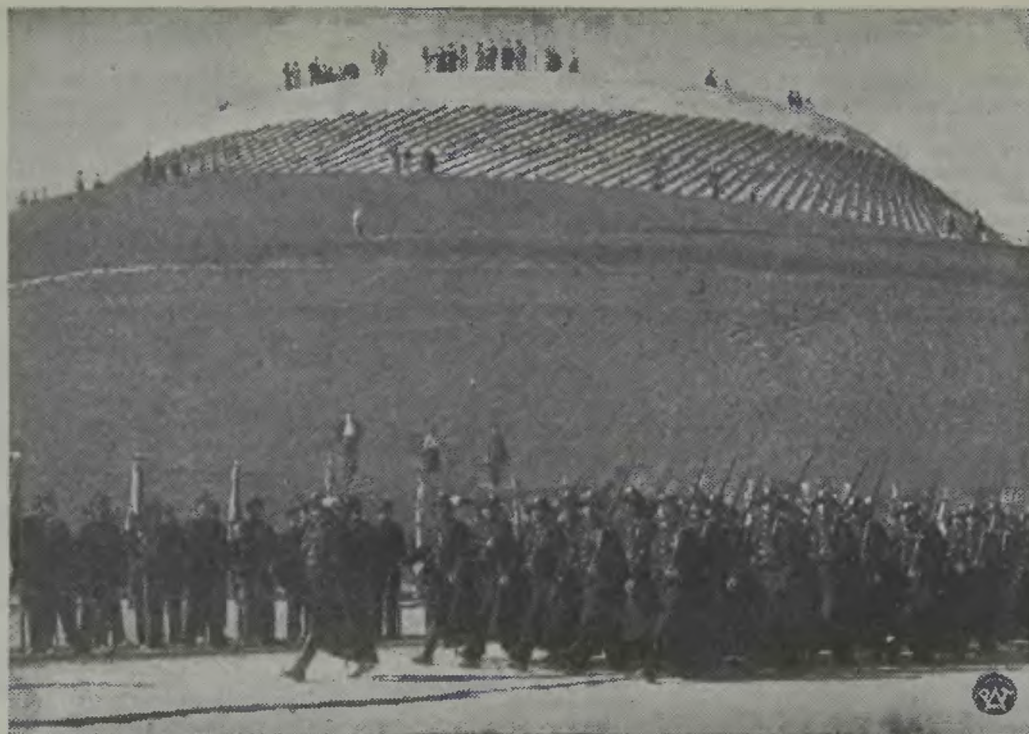
Bór zaszumiał, echo poniosło pieśń coraz dalej i wyżej aż złożyło ją w ofierze len u stóp Stwórcy.



Nowy polski kontr-torpedowiec »Błyskawica«.

W Anglii na wyspie White w Coves, w znanej stoczni angielskiej S. White and Co. odbyła się uroczystość spuszczenia na wodę drugiego po »Gromie« kontr-torpedowca polskiego O. R. P. »Błyskawica«. Zdjęcie przedstawia widok z lotu ptaka na stocznice w momencie spuszczenia »Błyskawicy« na wodę.





Kopiec na Sowńcu ku  
czci Marszałka Józefa  
Piłsudskiego

jest już na ukończeniu.  
Obecnie pozostaje już  
tylko do usypania szczyt,  
tak iż cały Kopiec ukoń-  
czony będzie za tydzień.

## Sport

### *Pierwsze przykazanie sportowe:*

#### *„Pilnuj swego zdrowia!”*

Jest powinnością bez wyjątku każdego człowieka dbać o swoje zdrowie, tak fizyczne jak i duchowe i wystrzegać się wszystkiego, co temu zdrowiu zagraża, lub je osłabia. Jednak szczególnie dotyczy ten obowiązek ludzi, uprawiających sport zawodniczy. Albowiem zawodnictwo sportowe wymaga bardzo często wielkiego stopniowania wysiłku, a do tego zdolne są tylko jednostki zdrowe i prowadzące regularny tryb życia. Jeżeli sportowiec pragnie w całości rozwinąć wrodzone mu zdolności zawodnika i zachować je możliwie najdłużej, to już od lat najwcześniejszej młodości musi sobie przyswajać regularny, rozumny tryb życia, dający organizmowi najlepsze warunki rozwoju sił i zachowania sprawności tychże.

Może niejeden z Czytelników-sportowców pomyśli, że opowiadanie dzisiejszej młodzieży, przeważnie bezrobotnej o dobrych warunkach i regularnym, ludzkim trybie życia jest satyrą, gadaniem głodnemu o gwiazdach. A jednak nie wolno nawet z obecnych warunków socjalnych młodej generacji robić tragedji, lecz raczej przeciwnie, w każdym, choćby najgorszym położeniu wyteżać mózg i szukać dróg naprawy i postępu ku lepszemu jutru. Motywów naprawy i odrodzenia ludzkości powinno się szukać i pilnować wszędzie, więc także i w ruchu sportowym, z tą wiarą, że wszystko, co w danych warunkach jest zdrowe i wzorowo porządne, staje się przykładem i bodźcem ogólnego postępu, ogólnej poprawy stosunków życiowych.

Nikt nie ośmielił się twierdzić, żeby ogół naszej młodzieży sportującej układał swój tryb życia całkiem nienagannie, poprostu wzorowo. Przeciwnie, wystarczy wejść tylko między młodzież spor-

tującą, aby poznać wszystkie przywary i słabości, właściwe całemu rodzajowi ludzkiemu. Nie trzeba nawet przybierać postawy kaznodziei, lecz trzymać się tylko sportu, jego celu i wymagań, aby oburzać się na niejedno i ciskać gromy na niejedną lekkomyślną głowę.

Mamy np. wielu sportowców i bezrobotnych, niedojadających, a palących tyle, że z dymem puszczony pieniądz starczyłby na codzienny pół lub cały litr mleka. Mamy wielu sportowców i bezrobotnych, nieumiejących się zabawić inaczej, jak tylko w sztucznej atmosferze alkoholu. Mamy wielu sportowców (i bezrobotnych), niechodzących z reguły spać przed północą...



Sztafeta z ogniem z Żułowa do Wilna.

Na inaugurację lekkoatletycznych mistrzostw Polski w Wilnie, specjalna sztafeta przyniosła ogień z płonącego ogniska w Żuławie do Mauzoleum Marszałka J. Piłsudskiego na cmentarzu Rossa w Wilnie. Sztafeta przebyła trasę 60 km.

Na zdjęciu sztafeta po przybyciu na cmentarz Rossa.



To jeno takie sobie „popularne“ grzechy, trzy z długiego rejestru, a już można by mówić na ich temat całymi godzinami.

Gdyby lekkomyślny sportowiec taki, jeden z drugim, zamiast zatruwać nerwy i serce nikotyną i robić z siebie „wiecznego śmierdziela“ wypił sobie garnek mleka i zjadł chlebem razowym, to posiliłby organizm i podniósł też ducha zwyciężaniem w sobie nałogu, a pieniądz albo by się zaoszczędził, albo dostał się do rąk naszego rolnika lub chałupnika.

Bardzo podobnie jak z nikotyną przedstawia się sprawa z jej rodzonym bratem, alkoholem. Podnieca do sztucznej, nienaturalnej wesołości, zachęca do lekkomyślności, hazardu, „bumlerki“ do późnej nocy, a pozostawia po sobie wycieńczenie i „humor zdechłego psa“. Każde organizmowi życie na kredyt, którego nikt nigdy jeszcze nie spłacił, chyba ofiarą zdrowia, a gdy o sportowcowi mowa, zwichnięciem kariery zawodnika.

Prawdziwy sport to nie tylko walka na boisku, lecz także i przede wszystkim walka zawodnika i w ogóle sportowca w samym sobie, walka ze słabością ciała i ducha, walka z ociężałością, nałogami i niedoskonałością swojego „ja“. Ta ostatnia właściwość sportu to główny filar jego idei i główny także miernik wartości społecznej sportowca i ruchu sportowego. Zrozumienie tej prawdy niech stanie się własnością całego sportu polskiego w Czechosłowacji, a w sumieniu ostatniego z naszych sportowców jako pierwsze przykazanie niech wyrzują się słowa: „Pilnuj swego zdrowia cielesnego i duchowego.“ s.

## **Dział kobiecy**

### **Dom czy praca zawodowa?**

Problem to niezmiernie ważny, a zarazem bardzo trudny do rozwiązania, a to z dwóch przyczyn: 1. praca zawodowa kobiet ako zjawisko masowe jest rzeczą nową, a więc jak każda nowość zwalczana jest przez tradycję, mającą ogromny wpływ na kształtowanie poglądów ludzkich, 2. drugim nieprzejednanym wrogiem pracy zawodowej kobiet jest bezwzględna walka o byt, którą reprezentują mężczyźni, zagrożeni w swym stanie posiadania. Kobiety bowiem powiększają konkurencję i to czasem bardzo niebezpieczną na polu zawodowym, oprócz tego wymykają się spod wyłącznej władzy »pana domu« chcą być nie rozrywką i wypoczynkiem mężczyzny, lecz pełnym, wartościowym członkiem. Cały więc świat męski wraz z tradycją woła na kobiety »wracajcie do domów«. Kuchnia i dzieci stają się hasłem w stosunku do kobiet u coraz większej ilości pań. Niejesteśmy i my kobiety bez winy. Musimy przyznać otwarcie, że część winy za ten wrogi stosunek do naszej pracy zawodowej spoczywa i na nas. W wielu wypadkach kobiety nie stały i nie stoją na wysokości swego zadania, skutki zaś tego ponosi cały świat kobiecy. Jest jeszcze inny bardzo szkodliwy skutek ograniczania prawa kobiety do pracy zawodowej. Jest nim powstanie poczucia niższości prac tak zwanych »kobiecych«, to znaczy domowych, od prac »męskich«, to znaczy wszelkich innych. Bardzo możliwe, że w przyszłości nastąpi podział pracy

między obydwie płcie, narzucanie jej jednak i to w dodatku jednostronne budzi w kobietach poczucie niepełnowartościowości pod wpływem której uginają się, tracą wiarę w siebie i stają się rzeczywiście do niczego, albo też u innych powstaje chęć odwetu, dążność do zdobycia wyższości chociażby zamaskowanej. Najpoważniejszym argumentem, który wytaczają przeciwnicy pracy zawodowej kobiet jest niby zaniedbywanie przez nie domu a zwłaszcza dzieci. Pewna słuszość w tem tkwi, gdyż kobiety współczesne nie umieją jeszcze pogodzić z sobą i zrównoważyć podwójnego ciężaru, domu i pracy zawodowej. Z czasem nastąpi tu równowaga, przy dobrej woli wszystkich członków rodziny. Ale czy rzeczywiście zainteresowanie matki szerszym światem i kontakt z życiem tak bardzo ujemnie odbija się na dziecku? Myślę że nie. Ileż to cichych dramatów rozgrywa się między dorastającymi dziećmi i matkami, szczególnie takimi, które pochłonięte całkowicie materialną stroną bytu rodziny, przestają interesować się wszystkim innym, co wychodzi poza zakres kuchni i spiżarni. Jakież smutne jest ich przebudzenie, gdy pewnego dnia przekonają się, że nie rozumieją swych dzieci. Myślę, że wzajemne porozumienie się duchowe rodziców z dziećmi jest ważniejsze, bardziej cenne od ustawicznej obustronnie męczącej troski o życie fizyczne. Uważam więc, że kobieta po wyjściu za mąż nie powinna żadną miarą zaniedbywać swych zainteresowań, ani tracić kontaktu ze swą pracą zawodową. Może poświęcać jej teraz mniej czasu, a o ile pozwalają na to warunki materialne, wykonywać ją bezinteresownie, ale zarzucać ją całkowicie, życie domowe czynić wyłączną treścią i celem życia, byłoby ze strony kobiety bardzo nieopatrnie, jeżeli nie wręcz tragicznie dla niej samej ze względu na obecne rozluźnienie węzłów rodzinnych. Wpływałoby ujemnie na utrzymanie kontaktu duchowego z dziećmi, a zarazem odbiło by się niekorzystnie i na ogólnym dorobku społeczeństwa, do którego kobiety, jako świeże, niewyczerpane jeszcze siły mogą wnieść nowe nieprzemijające wartości. Mu.

\* \* \*

### **Jak prać wełniane rzeczy.**

Wełna będzie zawsze grzała, lecz trzeba ją prać na zimno. Gorąca woda wpływa ujemnie na wyroby wełniane, wełna bowiem kurczy się i przestaje grzać. Dlatego należy prać wełnę jedynie na zimno. W tym celu do naczynia z litrem wody wrzuca się dobrą garść proszku do prania i bardzo starannie się go rozbija, tak żeby nie było widać wcale ziarenek proszku. Następnie trzeba rozczyn rozcieńczyć wodą zimną i w nim zanurzyć przedmiot przeznaczony do prania. Nie trzeć, a bardzo uważnie wygnatać raz koło rezu, obracając go na wszystkie strony. Wyjąć z brudnej wody i zanurzyć znów w świeżym rozczynie. Tę czynność powtarzać tak długo, dopóki woda nie będzie zupełnie czysta. Wtedy kilkakrotnie wypłókać w czystej wodzie, uważając, czy w niej nie pozostają osady. Wreszcie wyjąć przez wyciśnięcie, odwrócić na lewą stronę i powiesić w przewiewnym miejscu.

Prasować po lewej stronie, dopóki jest jeszcze wilgotne, żelazkiem dobrze gorącym, do czasu zupełnego wysuszenia. Powiesić na ramiączku i pozostawić na 24 godziny do wysuszenia.

W razie obawy o wytrzymałość koloru lub w razie nie-wiary we własne siły, najlepiej spróbować na małej próbce, gdyż sposób jest wypróbowany i niezawodny.

Białe wełny po praniu trzeba zawijać w białą bieliznę i tak przesuszać. Zapobiega to żółknięciu materiału.

\* \* \*



## **Komunikaty.** **„Polacy Zagranicą”.**

Nr. 10 miesięcznika »Polacy Zagranicą« otwiera cały szereg artykułów zarówno ideowych, jak i sprawozdawczych, poświęconych pobytowi gen. Rydza-Śmigłego wśród Polaków we Francji. Skolei następują interesujące artykuły: B. Habdanka — »Polska a odrodzenie narodowe Czechów«, L. Wichrowskiego: »Z życia brazylijskich Polaków«, »Hold Polonii Brazylijskiej w Belwederze«, J. Sawickiego: »O młodzież polską zagranicą«, dr. W. Rosińskiego: »Emigracja czy kolonizacja, w kraju — czy zagranicą«, T. Wojnowskiego: »Osadnicy polscy w Argentynie«, H. Karnickiej: »Zakonnicy krzewiiele polskości«, O.: »Emigracja włoska« i in.

Dział »Przewodnik oświat.-wychow.« zawiera szereg artykułów o charakterze instrukcyjnym, a mianowicie: »Nowe kadry działaczy oświatowych« — K. K. »Kierownik świetlicy« — H. Jabłońskiej, »Typy przewodników oświatowych« — dr. W. Okińskiego, »Piotr Skarga symbolem polskiej myśli patriotycznej« — I. Zawilskiej.

Wreszcie w dziale »Sport i Wychowanie Fizyczne« znajdujemy sprawozdanie M. Wasilewskiego ze świata sportu polskiego w Łotwie p. t. »Igrzyska olimpijskie młodej Polonii Łotewskiej«, wywiad E. Gotarda z wielokrotnym rekordzistą świata w pływaniu, Petrem Fickiem, artykuł »Sporty terenowe« kpt. J. Barana i reportaż B. Bonieckiego z wyprawy morskiej S. J. »Zawiszy Czarnego« p. t. »Harcerze polscy na morzu».

Bogato ilustrowaną treść numeru uzupełniają działy informacyjne: »Ze Światowego Związku Polaków z Zagranicy«, »Kronika«, »Z nowych wydawnictw« i »Rozmawiamy z czytelnikami».

\* \* \*

### **Uwaga chóry!**

Związek Polskich Chórów poleca chórom p. Jana Reichenbacha, Górna Sucha 220, który bardzo wzorowo i szybko powieła nuty. Zamówienia można skierowywać wprost, lub za pośrednictwem Zw. Pol. Chórów (pol. gimn. real. Orłowa).

\* \* \*

## **Humor**

### **Nieczyste sumienie.**

Spotkałem na ulicy Fredzia.

— Skąd wracasz?

— Od mojej narzeczonej!

— Musicie się bardzo kochać?

Fredzio zarumienił się, wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł nią starannie usta i spytał niepewnym głosem:

— Ale teraz już chyba nie znać?

\* \* \*

### **Dobra sposobność.**

— No i cóż ci lekarz zaordynował, mężusiu?

— Powiedział, że na mój rozstrój nerwowy będzie najlepszym lekarstwem górskie powietrze i dużo ruchu.

— To się doskonale składa! Idź zaraz na strych i zrób tam wiosenne porządki.

\* \* \*

### **Wytłumaczenie.**

— Czyś zauważyła, jak Fred flirtował wczoraj ze mną? Sądziłam, że nienawidzi kobiet?

— Owszem, ale od czasu do czasu musi dać pożywkę swojej nienawiści.

\* \* \*

### **Dobre serduszko.**

— Ojczulku, tam przed drzwiami stoi biedny człowiek, który bezustannie krzyczy. Czy mogę mu dać koronę?

## **Najbliższe audycje radiowe dla Polaków zagranicą.**

**Dnia 17 października** — słuchowisko p. t. »Na straży granic ducha« urozmaicone muzyką i piosenkami żołnierskimi w opracowaniu pp. Adama Kowalskiego i Ludwika Pagowskiego. Słuchowisko to zaznajomi słuchaczy z ofiarną, wypełnioną poświęceniem służbą żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza.

**Dnia 24 października** — odczyt p. t. »Polskie Wyprawy Polarne« w opracowaniu dr. Konstantego Jodko-Narkiewicza. Dr. Jodko-Narkiewicz, znany polski podróżnik, podzielił się ze słuchaczami wrażeniami z polskiej naukowej wyprawy polarnej na Szpitzbergen.

Audycja zakończona zostanie piosenkami ludowymi w wykonaniu chóru.

Przypominamy, że audycje radiowe dla Polaków zagranicą nadawane są przez Polskie Radio w każdą sobotę o godz. 19 według czasu środkowo-europejskiego i trwają 30 minut, czyli kończą się o godz. 19.30.

»Urwiś.« Wesolą tę komedię odegra młodzież orłowska na Wieczornicy, urządzanej z okazji Dnia Macierzy w dniu 18 b. m. przez Koło M. Szk. przy współudziale Chóru M. »Hasło«, Kółka Sam. i PKS. »Piast« w Domie Rob. w Orłowej. Pocz. o godz. 18-tej. Dobrowolne datki. Po wieczornicy zabawa.

»Dzień Macierzy Szk.« w Cz. Cieszyńskie odbędzie się w niedzielę 25 b. m. w sali szkoły wydz. o godz. 17-tej. Na program złożą się przemówienia okolicznościowe, występy chórów męskiego i mieszanego, sola fortepianowe i skrzypcowe, deklamacje, oraz występy znanych rewersów cieszyńskich. Dobrowolne datki.

Okręgowy konkurs śpiewaczy w Suchej Średniej. Tut. ZEM urządzi w niedzielę 18 października b. r. o godz. 16-tej w sali Domu Rob. okręgowy konkurs śpiewaczy, w którym weźmie udział 12 chórów okręgu suskiego. Po konkursie odbędzie się przy doborowej orkiestrze zabawa taneczna.

Fotografie ze Zjazdu Zw. Abs. Końszczanek można nabyć w Szkole Gosp. Wiejsk. w Końskiej u p. Jasiówniej.

\* \* \*

— A co on takiego krzyczy?

— Lody śmietankowe, podwójna porcja tylko koronę...

\* \* \*

### **Ostatnia pociecha.**

Samolot przelatuje nad Neapolem. Pilot odwraca się i mówi do pasażerów:

— Czy państwo znają przysłowie: zobaczyć Neapol i umrzeć?

— Naturalnie, że znamy.

— No, to doskonale, bo właśnie odłamało się skrzydło naszego samolotu.

\* \* \*

### **Trafna odpowiedź.**

— Powtórz wczorajszą lekcję historii. Co możesz powiedzieć o królowej Jadwidze?

— Złego nic. To była nadzwyczajna kobieta.

— No i co jeszcze?

— Co trzeba więcej, proszę pana? Daj Boże każdemu taką żonę.

\* \* \*

### **Dziecięce duszyczki.**

— Masz tu, Wandziu, czternaście orzeszków, daj połowę braciszkowi, a połowę weź sobie.

— Wandziu, czy ty nie potrafisz policzyć — dlaczego braciszkowi dałaś tylko cztery?

— Ja umiem liczyć, ale on jeszcze nie umie.

\* \* \*



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*  
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-*  
*MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## **Śiękno Podhala.**



Morskie Oko w Tatrach.

Fot. Zwoliński.

Wszędzie, w każdym szczególe, w kształcie drzewa wyrosłego na tej ziemi, w usypisku gleby i jej wypiętrzeniu, w wodach potoków, w bujności traw, w odmianach kwiatów, w uskokach wzniesień, w formach budowli, w kapliczkach przydrożnych, w kolorze nieba, w podmuchach wiatru kryje się odrębność i swoista piękność Podhala, wyznaczona śmiałymi liniami, prosta, wybitnie zuchwała, pozbawiona smętku i tęsknych niedomówień.

Wszelkie przejawy żywiołu nieba i ziemi wybuchają z siłą jakże potężniejszą, niż w nizinach, zwiększają grozę tragedii, rozgrywanych w powietrzu lub w chwilach spokoju, wydobywają z całokształtu pejzażu klarowany, niewypowiedziany spokój i niezmaconą niczem słodycz pogody. Wów-

czas, czy to się dzieje we wnętrzu Tatr, czy w cichych zakamarkach podgórskiego kraju zakwita radość objawiająca się niepohamowanym bogactwem barw, zieleni, skał, wonią kwiatów, gleby parującej szałem rozrostu, pod słońcem nie przysłoniętą żadną mgiełną gazą, płonącym jak żagiew, okrzykującym zwycięstwo życia i chwałę ziemi podhalańskiej.

Tymi słowy opisuje piękno tego uroczego zakątka Polski Rafał Małczewski, autor „Tatr i Podhala“, wydane go w przepięknym zbiorze książek pod wspólnym tytułem „Cuda Polski“. Winien się on znaleźć w każdym polskim księgozbiorze, zarówno domowym, jak i publicznym.

\* \* \*





Babia Góra — Widok na Tatry zimą.

Fot. Mgr. M. Füller.



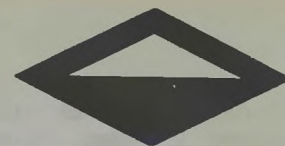
Orkiestra góralska.



Fot. Mgr. M. Füller.

Stary kobziarz-dudziarz Stanisław Mróz.





## Żdea i szara rzeczywistość.

Kiedykolwiek myśl nasza przenosi się na sprawy organizacyjne w ogóle, a na naszym odcinku pracy dla sprawy organizacji młodzieżowych w szczególności, popadamy w narkozę pojęć górnołotnych, t. zw. ideologicznych, mających niestety dla szarej rzeczywistości znaczenie pustych frazesów. Wszelka czynność organizacyjna kierowana dążnością do osiągnięcia wysokiego poziomu kulturalnego, łądzi się w samym znaczeniu wychowawczym i kształceniem charakterów przez zebrania, odczyty, chóry i teatry. Mówimy, że się skupiamy i gruntujemy podstawy naszego istnienia.

w takt polki gdy grana jest pieśń, którąby należało wysłuchać — stojąc.

Wzniosłe odczyty z zakresu literatury wzbudzają zapal do czytania sprawozdań z sali sądowej lub wszelkich notatek na temat »loupeż, vražda« i t. p. kulturalnych źródeł emocji. Podziw wzbudza czystość używanej potocznie mowy, wykazującej niezwykle rozwój życiowy, gdyż z dnia na dzień słyszymy w niej coraz to nowsze wyrazy, a tylko niekiedy daje się odczuć jakieś drgnięcie zastarzałości przez rzucone pytanie: »Jak się to mówi po polsku?« Nie można też wątpić o wysokim



Wesele podhalańskie.



Fot. Mgr. M. Füller.  
Stary baca.

Tymczasem niejednokrotnie okazuje się, że motyw do tego rodzaju przedsięwzięć organizacyjnych stanowi chęć uzewnętrznienia własnej ambicji jednostki — osoby, lub jednostki — organizacyjnej. Siła spajająca, działa tylko w chwilach zebrań, na estradzie czy scenie, a najczęściej opuszcza wszystkich z chwilą pozostania samym sobą. Przynależność jednostki do organizacji młodzieży polskiej można najłatwiej poznać po odznace w klapie surduta, czapeczce z fantazją nasuniętej na głowę, lub po całym ubraniu, gdy chodzi o odświętne wystąpienie elity organizacyjnej. Trudniej natomiast byłoby poznać członkostwo po samej pracy i sposobie postępowania jednostek.

Doniosłe znaczenie wychowawcze chóru uwidacznia się przez »wzniosłe« piosenki rekrutów lub z zapalem w czasie zabaw śpiewanych »devět kanarů« i »kukačka kuka«. Kult tradycji regionalnej zmusza wszystkich do modnego wstrząsania ciała

poziomie umysłowym z banalnej treści potocznych rozmów, w których znajomość aktorów filmowych świadczy o szczycie doskonałości.

Wartoby też przytoczyć konkretne przykłady na temat: poczucie obowiązku, rzetelność, mówienie prawdy i innych czynników składających się na całość czystych silnych charakterów, wykuwanych w kuźniach organizacji młodzieżowych.

Wystąpmy o stopień wyżej w nieznaną dla młodzieży krainę życia starszego społeczeństwa. Tu podziw nasz nie ma granic, gdyż poza rzeczami nowymi, o które młodzieży nie należy się troszczyć, znajdziemy wszystkie wspomniane zalety w doskonalszej formie.

Całe szczęście, że patrzymy ciągle przez cudowne okulary naszej doskonałości i dlatego potrafimy stwierdzić, że mętna woda jest czysta jak kryształ i jest odbiciem jasnego lazuru nieba.

-ko.



## Coś o fotografowaniu.

Wiadomem jest dzisiaj wszystkim, że fotografowanie stało się sztuką, a raczej rozrywką, przystępną każdemu. Rozrywką dlatego, bo daje nam możliwość pobawienia się samym zdejmowaniem, czy też później wykonywaniem zdjęcia fotograficznego, posiadającego w sobie coś z „czarnej magii”. Ale nie tylko to, bo jest jeszcze druga strona medalu, bodajże ważniejsza, będzie nią czynnik kulturalny w postaci utrwalenia różnych objawów naszego życia społecznego, czy też utrwalenia za jej pośrednictwem ginących zabytków naszej kultury względnie architektury.

Pozwolę sobie zatem rzucić parę myśli na temat zorganizowania, względnie skupienia u nas na naszym terenie ruchu fotoamatorskiego. Dużo interesujących się fotografią znajduje się pośród naszej młodzieży, czy to w Harcerstwie czy też w innych organizacjach młodzieżowych. Dużo jest może takich, którzyby chętnie wzięli udział w tym wdzięcznym sporcie fotograficznym, lecz niestety brak im może do tego podstawowych wiadomości, względnie odpowiedniej literatury, lub rad i wskazówek.

Byłoby zatem bardzo pożądanem, ażeby wszystkich tych interesujących się fotografią skupić razem i pracę ich sprowadzić na wspólne tory. Pracy tej na polu fotograficznym jest bardzo dużo i bardzo różnorodnej. Wymienić tu można choć parę np.: Zbieranie, względnie zdejmowanie różnych zabytków naszego budownictwa, zdobnictwa i innej sztuki ludowej. Sporządzanie zdjęć naszego tak bogatego w różnorodne krajobrazy Śląska. Urządzanie konkursów fotograficznych. Utrwalanie różnych objawów naszego życia społecznego i kulturalnego. Jest także wielu fotoamatorów, posiadających dużo ciekawych zdjęć, któreby zainteresowały szerszy ogół naszego społeczeństwa, lecz z powodu braku organizacji, zdjęcia te zostają często nie wykorzystane dla ogółu.

Teraz właśnie w sezonie jesienno-zimowym mogłoby się zorganizować jakiś kurs czy też cykl wykładów z teorii i praktyki fotograficznej. Wobec tego, że najwięcej naszej młodzieży interesującej się fotografią, znajduje się w szeregach naszego Harcerstwa i właśnie zamiar zorganizowania tego ruchu wyszedł z łona tej organizacji, zatem tu byłby odpowiedni teren do skupienia, względnie zorganizowania tejże. Tam możnaby utworzyć jakąś sekcję fotograficzną z ramienia której urządzanoby kursy czy wykłady, celem podniesienia poziomu tej gałęzi wiedzy wśród naszej młodzieży.

Jest bowiem dużo takich, którzy zakupią sobie aparat fotograficzny z tą myślą, że zdjęcia, których oni dokonają udają się stuprocentowo. Lecz tu następuje rozczerowanie — pomimo zużycia paru rolek filmu, lub kilku tuzinów klisz, ani jedno zdjęcie nie udało się nalczyć. W ten sposób zniechęca się dużo mniej cierpliwych adeptów sztuki fotograficznej, którzy może, będąc nalczyć poinformowani i zaznajomieni z fotografią, byłiby dobrymi fotografami amatorami. Wielu jest znowu takich, którzy wydają dużo pieniędzy osobom trzecim, czy to za wywoływanie lub powiększanie, względnie inne prace w zakres fotografii wchodzące — jedynie z tego powodu, że nie są nalczyć zaznajomieni z tymi pracami. Będąc już zorganizowaną jednostką, możnaby wszystkich zakupów materiałów fotograficznych dokonywać u jednego dostawcy, otrzymując tym samym dość pokaźną zniżkę.

Narazie więc otwieram na ten temat na łamach „Ogniwa” dyskusję, w nadziei, że znajdą się ludzie, którzy zainteresują się tą sprawą głębiej i przyczynią się do podniesienia, względnie zorganizowania ruchu fotograficznego na naszym terenie.

Fotoamator.

Henryk Sienkiewicz.

### Sąd Ozyrysa.

W dniu 11 listopada mija 20 lat od śmierci Henryka Sienkiewicza, jednego z największych powieściopisarzy polskich. Poniżej zamieszczamy jedną z mniej znanych jego utworów, nowelkę satyryczną.

A gdy umarł w Egipcie syn Psunabudes, Psunabudes, wielki minister któregoś tam Tutnesa z którejś dynastii, panującej przed napadem Hyksosów, dwie nieśmiertelne Idee pokłóciły się o jego duszę tak zapalczywie i napelniły takim hałasem nieskończone przestworza cichej wieczności, iż wszechmocny Ozyrys kazał im stanąć przed sobą i zapytał: — Kto wy jesteście, o duchy, kto jest ten grzesznik, którego me jastrzębie oko dostrzega między wami, i dlaczego w krainie Cisy klóćcie się, jak dwie przekupki w Memfis?

A na to odpowiedział pierwszy z duchów: — Ja, panie, jestem nieśmiertelna Głupota. Opiekowałam się tu obecnym Ekszellencją Psunabudesem, jak kochająca matka. Dyktowałam mu wszystkie jego słowa, byłam mu przewodniczką we wszelkich czynach. Nie odstępowałam go ani na chwilę, a ponieważ i on trzymał się mojej szaty stale i wiernie, ponieważ całe życie był, wedle egipskiego przysłowia, głupi, jak stołowe nogi, przeto chcę zabrać teraz jego duszę i umieścić ją w tej zaziemskiej krainie, którą ja władam, a która przeznaczona jest na wieki wieków siedzisko durniów.

Ozyrys zwrócił się do drugiego ducha:

— Mów ty teraz — rzekł, biorąc w ręce wagi, na których ważył wszelkie myśli, słowa i uczynki.

— Ja, o panie, jestem nieśmiertelna Niegodziwość. Nie przeczę wcale, że J. E. Psunabudes popełniał często na swym

wysokim stanowisku błędy godne osła, ale twierdzę, że przede wszystkim był szubrawcem. Jeśli pozwolisz panie, przytoczę ci na to tysiączne dowody, których głupota, choćby dlatego, że jest Głupota, nie potrafi nigdy obalić.

— Głupota — przerwał Jastrzębioko, podnosząc do góry swój opatrnościowy palec — nie umie tylko budować, często natomiast umie obalać, co powiedziawszy nawiasem, pytam się następnie, czego żadasz?

— Chcę, panie, zabrać tę duszę i umieścić ją w tej zaziemskiej krainie, którą ja władam, a która przeznaczona jest na pośmiertne wieki wieków siedzisko dla łotrów.

To mówiąc chwyciła za rękę Psunabudes, ale w tej samej chwili Głupota chwyciła go za drg, i obie, tamując dech w piersiach, czekały na wyrok Sprawiedliwego.

A Sprawiedliwy wpil swój ptasi wzrok w Psunabudes, i przypatrywał mu się przez czas dłuższy, a wreszcie rzekł:

— Widzę, że obie macie do niego prawo, więc chętnie bym was wysłuchał i rozsądził, ale zaprawdę położenie jest dziwne. Oto twoje dowody, o Głupoto, będą głupie, a twoje, o Niegodziwości, niegodziwe. Wobec tego nie mogę ich rozważać, a zatem żadnej z was nie mogę udzielić głosu. Jakaż więc na to jest rada? Oto zawołałam Mądrości, która wszystko przenika, i rozkażę jej, aby mi przedstawiła w krótkich, a mądrych słowach i żywot Jego Ekszellencji, i waszą sprawę.



— O panie, — szepnęła Głupota, — Mądrość jest moja osobistą nieprzyjaciółką.

Sprawiedliwy podniósł znów w górę swój opatrnościowy palec.

— Wierz mi Głupoto, że prawdziwa Mądrość jest zarówno nieprzyjaciółką Niegodziwości jak i twoją.

I w tejże chwili przywołał Mądrość, a ta stawiała się natychmiast i spojrzawszy na Psunabudesę nie zdziwiła się wcale, albowiem Mądrość niczemu się nie dziwi, ale uśmiechnęła się z pewnym zadowoleniem i rzekła:

— Ach to Jego Ekscellencja, który tajnym okólnikiem do gubernatorów zabronił mi pobytu w Egipcie!...

— Dla dobra państwa, słowo uczciwości... — począł się tłumaczyć Psunabudes.

Lecz Ozyrys nakazał mu milczenie, sam zaś zapytał:

— Powiedz mi Mądrości, czy ten zakaz był bardziej głupi, czy niegodziwy?

— Jednakowo, zupełnie jednakowo! — odpowiedziała Mądrość.

Więc Sprawiedliwy położył równe ciężarki na szalach, opartych o stopień jego tronu.

— Mów dalej — rzekł — aby się stało wreszcie wiadomo, który z tych dwóch duchów ma pomyśleć o najwłaściwszym dla Ekscellencji osiedleniu.

Więc Mądrość poczęła streszczać całe życie Psunabudesę, od wczesnej młodości aż do ostatniej chwili jego ziemskiej podróży. Wspominała, jak w akademii, w stubrannych Tebach, był zaciekle liberalnym, jak, wstąpiwszy następnie do rządu, zapisał się niebawem do działaczy państwowych i drwił z zasad, które za studenckich czasów wygłaszał, jak pod hasłem: »Egipt dla Egipcjan« pracował nad zjednoczeniem państwa pod władzą memfickiej biurokracji, jak wreszcie w ciągu długiego swego zawodu ustawicznie kogoś podejrzewał, wietrzył, przeciwko komuś wysyłał raporty, przed czymś ostrzegał, czegoś niedopuszczał, coś zamykał, coś ukracał i zamiast rozszerzać ludzką działalność i ludzkie życie, ustawicznie je obrzydzał, krępował i ograniczał.

— Czy nie sądzisz, że to są szelmostwa? — przerwał Ozyrys, dorzucając ciężaru na szalę niegodziwości.

— Nie przeczę, o Wszechkreściwy — odrzekła Mądrość — ale pozwól sobie zauważyć, że była w tym i głupota, tak wielka, jak piramida Cheopsa, albowiem Psunabudes, pracując niby dla potęgi Egiptu, w gruncie rzeczy go osłabiał, pracując niby dla jego sławy, ostatecznie go zohydzał, pracując niby dla porządku w państwie, wtrącał je w bezład i tworzył mu wewnętrznych nieprzyjaciół, a przy tym nigdy w jego zakutej głowie nie powstała na chwilę myśl, że cała jego robota może przynieść tylko szkody i klęski.

— Jeśli tak, — rzekł Sprawiedliwy — to trzeba dorzucić i na szalę głupoty.

— Trzeba — powtórzyła Mądrość — ale słuchaj mnie panie dalej. Został potem Psunabudes gubernatorem prowincji północnej Phath, zamieszkałej przeważnie przez Fenicjan i Greków, i zarówno jednych, jak drugich, począł gorliwie przerabiać na Egipcjan. Zabraniał im mówić i pisać na papirusach we własnym języku, prześladował ich wiarę i pozamykał ich szkoły, a przede wszystkim kazał im nosić czepki, które, jak wiadomo, są narodowym egipskim pokryciem głowy. W jego przekonaniu czepek stanowił Egipcjanina, jakie zaś myśli wrzały w tych głowach, którym narzucił czepki, nad tym nie był się zdolny zastanowić. Ci wszakże, którzy nie chcieli nosić czepków, mogli się od nich uwolnić łapówką, w ten bowiem sposób wzrastał majątek gubernatora.

Ozyrys podniósł po raz trzeci palec do góry i rzekł z powagą:

— Łapówki nie dowodzą głupoty.

— Zapewne, panie, ale nie dorzucaj ich na szalę niegodziwości, ponieważ w Egipcie wszyscy dygnitarze uważają łapówki za zwyczaj tak powszechny i tak zgodny ze starą tradycją egipską, że biorą je zupełnie z czystym sumieniem.

— Masz słuszość i jako bóg egipski, nie powinienem być o tem zapominać. Nie dorzucę też nic na żadną szalę, póki nie powiesz, jak postępował Psunabudes jako minister Faraona.

— Egipt, jak ci wiadomo, Sprawiedliwy, potrzebował wielkich i głębokich reform. Otóż Psunabudes, zostawszy ministrem, postarał się przede wszystkim o to, by te reformy nie były wielkie i głębokie, ale drobne i płytkie. Egipt po-

trzebował nowych i mądrych ludzi, którzyby byli przyjaciółmi wyżej wspomnianych reform, Psunabudes zaś powierzył ich wykonanie dawnym, głupowatym urzędnikom, którzy byli ich wrogami. Jaka z tego powstała karykatura i jaka szkoda dla Egiptu, to łatwo pojmie nie tylko tak przenikliwy umysł, jak twój, panie, albo, jak umysł krokodyla, kota, ichneumona, ale nawet zwykły, mialki rozum człowieka. Psunabudes był zbyt tępy, by rozumieć, iż państwo musi być od podstaw do szczytu przebudowane, a za mało uczciwy, by przeprowadzić sumiennie nawet te zmiany, których konieczność uznał i rozumiał sam Faraon.

— Niech mnie ibis kopnie — rzekł Ozyrys, dorzucając na obie szale — jeśli wiem, która w końcu przeważy!

A słowa Mądrości płynęły dalej:

— Oszukiwał zarówno Faraona, jak i lud. Faraonowi groził buntem ludu, ludowi wszczepił przekonanie, że Faraon chce go utrzymywać w niewoli. Poderwał władzę Faraona, ale nie rozszerzył wolności. Za jego czasów powiększyły się głody w Egipcie, a kraj napelnił się rozbójnikami.

— Chwała bogu, to jest, chwała mnie samemu! — zawołał Ozyrys — tu już nie ma przynajmniej wątpliwości, że to są łajdactwa czystej wody!

— O! nie tylko łajdactwa — odpowiedziała łagodnie Mądrość — gdyż Psunabudes okazał przy tym mniej rozumu, niż go posiada pęcherz wielbłąda. Czyny jego były złowroogie, ale on sam był durniem i głupota jego była tym większa, że się uważał za mądrego. Niezdolny był zrozumieć, że, gdzie trzeba wielkiej twórczej polityki, tam szachrajstwo nie może wystarczyć, i szachrował, szachrował bez końca.

— Prawda, masz słuszość, jak zawsze, i tylko tak dokładne wagi, jako moje, wskazać nam mogą, co z nim uczynić należy.

— Kilka słów muszę jeszcze dodać, o Wszechkulisty! Psunabudes drwił sobie z Egiptu, nie dbał o Faraona, myślał zawsze tylko o sobie, więc możnaby mniemać, że był tylko szuja. Ale, zważ jednak, panie, że gdyby Psunabudes rządził mądrze i uczciwie, to zyskałby na tym Egipt, zyskałby Faraon, a on sam nie tylko nicby z własnych korzyści nie urobił, ale stałby się jeszcze potężniejszym, i sąd historii wypadłby o nim inaczej.

— Więc znów chcesz powiedzieć, że osieł przeważał w nim jednak nad łotrem?

— Podnieś o Sprawiedliwy wagi, a przekonamy się natychmiast.

\* \* \*

Ozyrys podniósł szalę i trzymał je w górze, póki nie uspokoiły się zupełnie. Po czym spojrzął i zdziwienie, ale zarazem i zmieszanie, odbiło się na jego boskim obliczu.

— Na święty ogon Apolisa! — zawołał — głupota i szelmostwo nie przeważają się wzajem ani na jeden włos z mej brody. Co teraz zrobić!...

Jastrzębioki odrzucił wagi, objął głowę dłońmi i przymknął oczy.

Po chwili jednak twarz rozjaśniła mu się promiennym uśmiechem i zwróciwszy się do Psunabudesę, począł mówić zwolna i uroczyście:

— Ekscellencjo! Żaden z greckich, fenickich, ani z tu-tejszych młodszych bogów nie wiedziałby, co z tobą uczynić, gdyż widzisz, że nawet i Mądrość drapie się w tej chwili w głowę.

...Ale niepróżno zowią mnie bogi i ludzie Wszechmocnym, bo oto wszechmocą moją rozcynam, jak mieczem Faraona, wszelkie trudności i ogłaszam ci wyrok następujący: ...Wróć do życia i wróć na ziemię. Bądź do końca świata ministrem Faraonów i rozmaitych ludów: zabiegaj, kręć, prowadź, prezyduj, rządz...

...A gdy spełnią się wieki, musi się w końcu pokazać, czy jesteś większym łotrem, czy ostem...

...Wtedy i ja będę wiedział, który z tych dwóch duchów ma ci przygotować wieczystą rezydencję.

\* \* \*

To rzekłszy, obrócił Psunabudesę twarzą do niebieskich schodów i nagłym rozmachem swej boskiej stopy przyśpieszył jego powrót na ziemię.

W przepaściach wieczności zapadła głęboka cisza; natomiast Egipt zgotował widocznie owację zmartwychwstałej Ekscellencji, albowiem aż do bram nieba zaczęły dochodzić chóralne głosy, śpiewające radośnie:

— Psunabudes! O, Psunabudes!...

Mądrość poczęła się śmiać cicho.







Trzy Korony w Pieninach.



Ruiny zamku w Czorsztynie nad Dunajcem.

## **Dąż do samodzielności!**

Dzisiaj nie bardzo miło na świecie,  
Gdy kryzys gospodarczy wszystkich ciężko gniecie.  
Z roku na rok żyjemy, nadzieją karmieni,  
Ze już pewnie rok przyszedł naszą dolę zmieni.  
I nieczynni czekamy zjawienia się cudu,  
Któryby nas pozbawił codziennego trudu.  
Jedni, wiarą bogatsi, z nieba go czekają,  
Inni znów rządu ludowego wyglądają...  
Możecie wiecznie czekać na cudu zjawienie!  
Ni żaden zasięg nieba, ni losu zrządzenie  
Kryzysu nie usunie, ani wam pomoże,  
Jeśli własny wysiłek złej doli nie zmoże!  
Na kryzys gospodarczy lekarstwem uczynnym:  
„Przyczyni się według sił czynem samodzielnym!”  
Czyż to brak zarobku do próżniactwa nas zmusza?  
Pracy jeszcze dosyć dla tego, co się rusza,  
Tylko nie trzeba czekać do niej zaprzagnięcia,  
Boć korzystniejsze na własną pięść przedsięwzięcia!  
Czyż to zrządzeniem losu nam nieprzychylnego  
Mamy być wiecznie sługą u pana cudzego?  
Każdy może osiągnąć poprawę swej doli  
Bezustannym, celowym dążeniem swej woli  
I pokonaniem całych nawet gór trudności  
dopiąć celu: gospodarczej samodzielności.  
Boć prawdą jest: „Złoto wszędzie na drogach leży”;  
Trzeba je umieć szukać, kochana młodzieży!  
Już słyszę w oddali jakiś pomruk, szemranie  
Śmiechy szydercze, drwinki i powątpiewanie.  
I tak wnet jeden krzyczy: „Gębą wszystko idzie,  
Ale nam to pokażcie — bez pieniędzy — w biedzie!”  
Drugi zaś się uskarża: „Jabym wnet zaczynał,  
Cóż, kiedym za młodu w nauce nie wytrzymał.”  
Znów trzeci zauważa: „Piękne to jest wszystko,  
Ale sobie rozważcie, jakie Jan miał fiasko!”  
Inni się innymi „ale” na wymówkę kuszą,  
Lecz trafnie się to tłumaczy: „leniwą duszą.”  
Gdy pieniędzy dostatek, nie jest sztuką trudną  
Stać się samodzielnym przez pracę drugich żmudną.

Ty masz zaczynać bez grosza, Edisona\*) wzorem  
I stworzyć kuźnię pracy, jej będąc motorem!  
Gdyś zaś w twych młodych latach zaniedbał naukę,  
Nigdy nie jest zapóźno wypełnić tę lukę!  
Patrz tam na króla stali:\*\*) jak innych tylu  
Późno się zaczął kształcić — a za lat niewielu  
Dopiął swą silną wolą wytkniętego celu —  
Z hutnika stał się prezesem stali kartelu.  
Niepowodzenia niech hartu woli twej dają  
Jak synom Niponu,\*\*\*) co tak gęsto mieszkają,  
Którzy nie dbając, że ślepe siły natury  
Zniszczyły wczoraj doszczętnie ich domostw mury,  
Dziś znów budują na zgliszczach rodzinnych domów  
Nowe przybytki, bez strachu z przyszłych pogromów.  
A przez ten hart woli, ich potęgę wzrastanie  
Zbliża rychło Europy upadku zaranie.  
Twoje przedsięwzięcia wtedy zakończy fiasko  
Gdyś przed zaczęciem dobrze nie przemyślał wszystko  
Więc nigdy nie polegaj na uśmiech fortuny,  
Ale twórz mądrą pracą szczęścia podwaliny!  
Dla odwiecznych praw natury, w prądzie żywota  
Materiał bierny formuje potęgą młota.  
Kiedy przykro odczuwasz młota uderzenia,  
Nie skarż się na twą dolę; dąż do wyzwolenia  
I przemianą twej roli stań się młotem czynu,  
A twoją twórczą pracą służ ludu naszemu!

Ślązak — eł.

\*) Edison, sławny wynalazca-amerykański, był pochodzenia ubogiego. Już we wczesnej młodości musiał zarobkować i tak wspomagać swych rodziców, a przecież swą przedsiębiorczością dopiął tego, że stał się jednym z multimilionerów amerykańskich.

\*\*) Charles Schwab, amerykański król stali, w wieku 32 lat był jeszcze zwykłym sobie robotnikiem hutniczym. Cały wolny czas poświęcał samokształceniu. Awansował bardzo szybko na inżyniera a wkrótce po tym na dyrektora. Tę zawrotną karierę zrobił dzięki swej nieugiętej woli w ciągu 6 lat.

\*\*\*) Właściwa nazwa Japonii.



## Na marginesie wspomnienia pośmiertnego.

Dnia 22 września odszedł od nas w zaświaty nasz ziomek dr. Józef Buzek. Pogrzeb jego odbył się dnia 25 września w Końskiej, skromnie bez rozgłosu. Pochodził z rodziny Buzków, który to ród już od r. 1802 gospodaruje na roli w Końskiej.

Prasa polska po tej i tamtej stronie Olzy, jako też i mówcy pogrzebowi przedstawili w pięknym świetle jego życie, pełne niestrudzonej pracy i poświęcenia dla nauki i sprawy polskiej.

I od naszego pisma młodzieżowego »Ogniwa« należy się zmarłemu krótkie wspomnienie. Wszak brał on w ówczesnym życiu młodzieżowym żywy udział, wywierając nań nieraz kierujący wpływ. Był duszą tajnej organizacji młodzieży polskiej »Jedności« w ówczesnym gimnazjum niemieckim w Cieszyńcu. Należał do założycieli Stowarzyszenia akademików polskich na Śląsku »Znicz«. W »Jedności« wykładał historię i geografję polską. Do wykładów przygotowywał się bardzo sumiennie, studiując dzieła historyka Szuijskiego i Szmitta. W »Zniczu« kładł główną wagę na pracę wewnętrzną, na pracę członków nad sobą przez gruntowne studia, by stać się mogli pożytecznymi obywatelami swego kraju. Nie cierpiał lenistwa, był wrogiem karciarstwa i bezmyślnego marnowania czasu. On sam był nie-doścignionym wzorem pracowitości i żelaznej woli. »Nulla dies sine linea« (nie trwonici dnia ani godziny), było jego hasłem. Nie znał odpoczynku, ni jakiegś osobistej przyjemności. Proszę go pewnego razu, by poszedł ze mną do teatru. »Ach mój kochany«, odpowiada, »na takie rzeczy to ja czasu nie mam«. Po czym zamknął się w pokoju i zatopił się w aktach, tablicach statystycznych i w księgach, ślęcząc nad nimi aż do późnej nocy. Bywało, że go nieraz zorza poranna zastała jeszcze przy pracy.

Dzięki tym zaletom i nadzwyczajnym zdolnościom wspinał się na najwyższy szczebel hierarchii naukowej, został profesorem uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, później dyrektorem Głównego Urzędu Statystycznego w War-

szawie, piastował godność posła do Rady Państwa we Wiedniu, później wybrano go posłem do sejmu w Warszawie. Na każdym posterunku rozwijał nader owocną i twórczą pracę. Wydał 36 dzieł naukowych, które mu zapewniały przednie miejsce w świecie naukowym.

Dla charakterystyki zmarłego przytoczę na pozór drobne zdarzenie, które jednak znakomicie oświetla jego gorący patriotyzm, będący podstawą jego życia i gwiazdą przewodnią we wszystkich poczynaniach. Jako studenci uprawialiśmy podczas wakacyj bardzo gorliwie turystykę. Pewnego dnia przychodzimy na Jaworowy. W schronisku na stole leży księga gości. Przerzucamy z zaciekawieniem jej kartki. Znajdujemy na jednej z nich: »Heil Bismark«, »Hoch Deutschland«, »Nieder mit den Polaken«! Ogarnia nas święte oburzenie. Dajemy mu wyraz w dosadnych słowach, zamazując zacieramy ślady prowokujących nas wykrzykników. S. p. Józef zaś bierze pióro i pisze z rozmachem:

»Puszczać kosy na te chwasty,  
Co nam pola głuźszą.  
Kochać Polskę nie połowa,  
Ale całą duszą!«

Z piersi naszej popłynęła w dal razem z wichrami gromka pieśń Dąbrowskiego: »Jeszcze Polska nie zginęła«. W radosnym uniesieniu opuszczamy, zadowoleni tym protestem, schronisko.

Skreśliłem tych kilka słów, by zbliżyć naszej młodzieży tę świetlaną postać naszego rodaka i by utrwalić pamięć wielkiego syna ludu śląskiego także w jej kołach, by stał się jej promiennym wzorem i drogową wskazówką, jak pracować należy dla sprawy wielkiej, dla sprawy ojczyzny — pracować z zapalem, z zaparciem samego siebie, nie połową, ale całą duszą. —

Niechaj te słowa będą skromną wiązką kwiatów, rzuconych na świeżą mogilę naszego wielkiego ziomeka. Cześć jego pamięci!

Rówieśnik.

Zygmunt Szczepański.

## Rola chóru

w wychowaniu społecznym i obywatelskim.

(Dokończenie.)

### 2. Chór, jako szkoła wychowania społecznego i fizycznego.

Już na początku swej „karjery śpiewaczej“ uczy się chórzysta doceniać wartość kolegi-chórzysty, jako członka zespołu. Pamięta on długo owe dni „roboty“, kiedy to chór był zdekompletowany, pamięta te smutne „lekcje“, kiedy ani jedna pieśń „nie poszła“, gdyż kilku brakowało, gdy nie było za kim „ciągnąć“. Prawdziwe jednak węzły koleżeńskie, prawdziwe życie i scalenie się wszystkich członków chóru dokonuje się dopiero po pierwszym występie na estradzie.

Nieodłączna w takich chwilach trema, która jest niczem innym, jak poczuciem odpowiedzialności za to, co się za chwilę dzieć będzie, to „pierwsze bicie serca“, bladość, zdenerwowanie i niepewność, które zresztą towarzyszą nie tylko pierwszemu występowi, są tym świętym ogniem, krystalizującym uczucia koleżeńskie. Te właśnie wspólne przeżycia, czy to tryumfu, czy porażki, te wspólne dole i niedole, przeżyte na estradzie, hartują i spajają poszczególne ogniwa łańcucha, któremu na imię Chór. Na deskach estrady, na oczach widzów, pod wpływem wielkich wrzuseń, umacniają się uczucia koleżeńskie, budzi się świadomość podporządkowywania interesów jednostki, interesom masy — chóru, kształci się szlachetna ambicja zespołowa, która umacnia i utrwala wzajemną współzależność jed-

nostki i zespołu, współzależność ścisłą i doskonałą razem.

Wysubtelniony przez pracę gust i smak artystyczny, który się stopniowo budzi w duszy chórzysty, potęguje wrodzone człowiekowi dążenie do ideału, ideału sztuki.

To nieprzепarte dążenie do „absolutnej doskonałości“, które bodajże jedynie w dziedzinie sztuki daje się zaobserwować, pozwala członkowi artystycznego zespołu całkowicie zapomnieć o sobie i scalić się w jedno ze „swoim“ chórem. Rodzi się więc świadomość, że „ja“ i „chór“ to jedno, że my wszyscy — to chór! A świadomość ta jest jedyną drogą do rozwoju i postępu wszystkich chórow bez wyjątku.

To wszystko, co się powiedziało o uczuciach społecznych, da się wciągnąć również w orbitę uczuć obywatelskich; trudno bowiem wyobrazić sobie „obywatela“ bez „uczuć społecznych“.

Te dwa zagadnienia zazębiają się wzajemnie i nie bez słuszności możnaby powiedzieć, że prawdziwego „obywatela“ może zrodzić dopiero prawdziwy „społecznik“.

### 3. Chór, jako szkoła kultury estetycznej i moralnej:

Śmiało i bez ryzyka możnaby powiedzieć, że żadna organizacja społeczna, żadna organizacja o charakterze wychowawczym nie wyrabia tak szybko,



a zarazem w tak czystej i szlachetnej formie, takich pożytecznych nałogów, jak: poczucie zgody, ładu i porządku, których sama praca w chórze jest wyrazem i najpiękniejszym przykładem.

Sam przedmiot pracy — muzyka, jak sztuka, która różni się choćby tem od innych sztuk pięknych, że odbywa się w czasie, która tętni nieustannym rytmem (czynnik ładu), dźwięczy miłą dla ucha melodią (czynnik piękna) i harmonją, która wszystko łączy i godzi (czynnik zgody), jest sama przez się sztuką ładu, porządku i zgody, ich najidealniejszą formą. Bez tych czynników nie można sobie wogóle pomyśleć muzyki — jako sztuki.

Następnie chór, którego sama nazwa za siebie mówi: dwu, trzy lub wielogłosowy, jest symbolem zgody, zespolenia i zlania się w jedną piękną i zgodną całość dwu lub więcej czynników — głosów (nie mówiąc już o chórzystach), które podporządkowane bezwzględnej i absolutnej władzy — rytmowi, ucieleśnionemu niejako w pałeczce dyrygenta — tworzą całość, która wyklucza wszystkie inne — poza wymienionymi — elementy.

Stwierdziliśmy na początku, że „śpiewanie” w chórze jest „pracą”, a nie „zabawą tylko”, lub „zabijaniem czasu”. Wystarczy więc przypomnieć i podkreślić atmosferę, w jakiej się ta praca odbywa, ową radość, która towarzyszy pokonywaniu trudności, owo nieprzestające dążenie do doskonałości,

ści, roziskrzzone oczy, gdy się „udało”, aby przekonać, że chór uczy pracować radośnie i sumiennie, uczy radości pracy, uczy kochać pracę (dowodem liczni weterani chórów), a także uczy szacunku dla pracy drugich, uczy szacunku dla sztuki.

Poza wartościami czysto muzycznymi, które kształcą smak estetyczny, należy podkreślić znaczenie tekstu literackiego, który odpowiednio i celowo dobrany, jest również dziełem artystycznym, a jako takiemu trudno odmówić walorów wychowawczo-estetycznych.

Sam charakter pracy w chórze, jej cel i pobudka, leżą w sferze pozamaterjalnej człowieka.

Jeżeli więc weźmiemy pod uwagę, że chórzysta śpiewając w chórze, ma pełną świadomość tego, że pracuje, a nie bawi się tylko, to bezinteresowność tego wysiłku musi mu z konieczności otworzyć w duszy inny świat, inne korzyści, inną zapłatę za trud.

Uczy się więc pracować bezinteresownie, uczy się poznawać piękno i wielkość rodzinnej sztuki, uczy się kochać jej wielkich twórców, uczy kochać Polskę i, co najważniejsze, znajduje w tem pełne zadowolenie.

Bez „morałów”, bez „nakazu”, bez „odznaczeń” — samorzutnie, przez pieśń, przez pracę pełną wzruszeń idzie ku celom wyższym — ku pięknu!

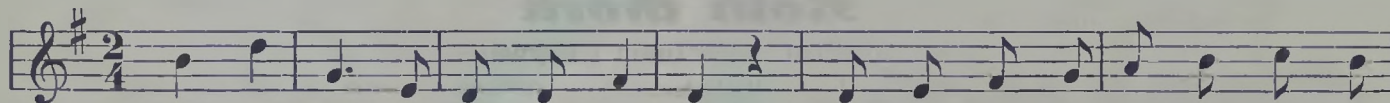
## Dział regionalny

### Czymu gruszeko

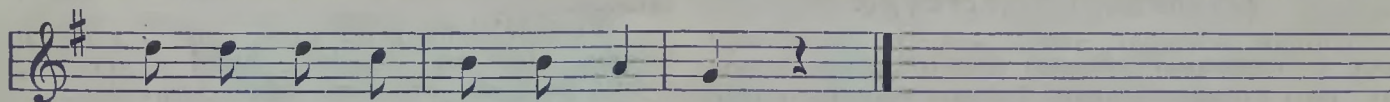
w dole stoisz....

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.

Śpiewała: Kempna Helena z Orłowej.



1. Czy - mu grusz - ko wdo - le sto - isz, czy - mu grusz - ko wdo - le sto - isz,



Czy sie ty tak su - cha bo - isz.

2. Jo sie sucha nic nie boję, kajch urosła to tam stoje.

3. Czymu gruszeko nie zakwitosz, czymu owoc nie wydowosz.

4. Jo już owoc downo dała, czerwónech grusieczki miała.

5. Z wyrchu ptozki odziubały, z dołu panny obszarpały.

6. Obszarpały na wóniarczki, swoim miłym za kłobuczki.

7. Obszarpała kaźdo swymu, a o biydno ni móim komu.

P. K.

### Stare zamki.

Nawiązując do ostatniego artykułu »O starych drzwiach śląskich«, zwrócimy uwagę na stare zamki u drzwi.

Otóż podobnie jak jest mało starych drzwi, jest mało starych zamków, a właściwie stare zamki spotyka się o wiele rzadziej niż stare drzwi, ponieważ zamki się prędzej niszczyły, wskutek czego częściej przy starych drzwiach spotykamy nowe zamki.

Najstarsze zamki były ręcznie kute, a więc były o wiele silniejsze niż dzisiejsze zamki fabryczne. Nie wchodząc w mechanizm zamka, co mógłby opracować tylko fachowiec, zwrócimy uwagę tylko na same okucia. Okucia te są niekiedy bardzo artystyczne i świadczą o wyrobionym guście

dawnego rzemieślnika. Widać często, że nie szczędził on czasu i pomysłu, aby zrobić rzecz ładną i gustowną, a przy tym silną i praktyczną.

Za wzór takiego arcydzieła sztuki ślusarskiej może posłużyć zamek u drzwi wejściowych w gospodzie pp. Pindurów l. 9 w Jabłonkowie (Biała), który zrobił w r. 1887 dawny majster ślusarski w Jabłonkowie, p. Józef Bernkopf. Zamek ten jest duży, masywny i ma bardzo ładne okucia (7 a, 7 b), na których znajdują się dwa monogramy (A B) i (M B), co miało oznaczać imiona i nazwiska właścicieli domu: Antoni Bibro i Maria Bibrowa. Rysunek okuć jest bardzo bogaty i świadczy o niepoślednim guście majstra.



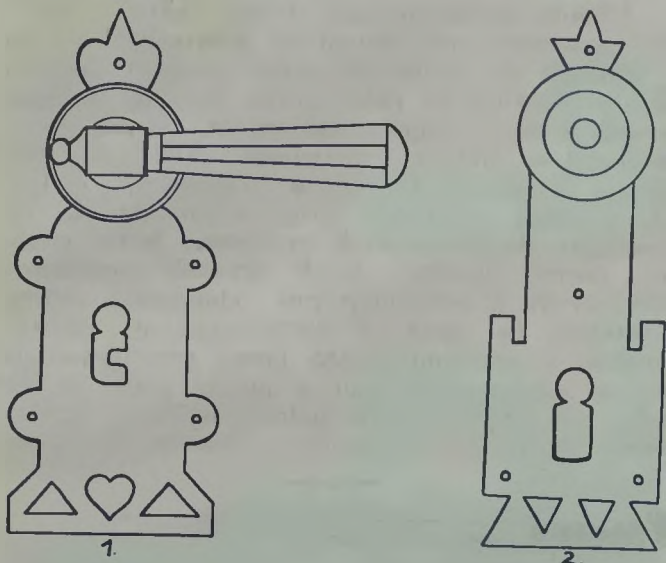
Nadmienić można, że chociaż zamek ten pełni już służbę około 50 lat, do dziś dnia jest zupełnie dobry i jeszcze przez drugich 50 lat może służyć właścicielom.

Charakterystyczny jest i długi, masywny klucz, którego można było użyć i do obrony. Był jednak niepraktyczny do noszenia, ponieważ potrzebna była na to specjalna kieszeń.

W Jabłonkowie i okolicy spotyka się dużo zamków ręcznie robionych, które wyszły na pewno od jednego maj-



Oryginalna klamka w kształcie głowy ludzkiej w szkole w Koszarzyskach.



1. Zamek w szkole lud. w Gródku 1. 77.  
2. Zamek u p. Wertfeinowej — Jabłonków (Biała) 1. 33.

stra, ponieważ ich wzór jest bardzo podobny. Zmiana jest tylko w dolnej części okucia, gdzie jest jedno albo też więcej trójkątnych lub sercowatych wycięć (rys. 1—2).

Stare zamki, ale już odlewane, można oglądać przy kościele ewangelickim i dawnej szkole w Nawsiu (rys. 3, 4, 5). Ich okucia i klamki są podobne do muszli. Oryginalna klamka odlewana, w kształcie głowy ludzkiej znajduje się przy głównych drzwiach w polskiej szkole lud. w Koszarzyskach (fotogr.).

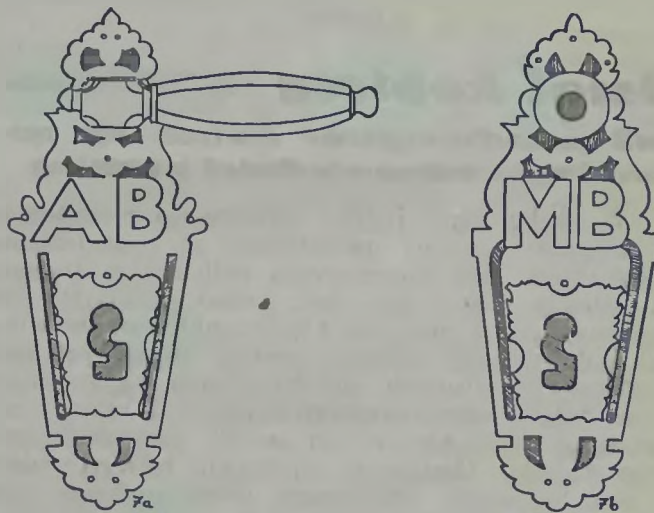
Podobnych starych zamków o artystycznym wykonaniu możnaby jeszcze znaleźć na Śląsku na dziesiątki, trzeba tylko poszukać.

Stare zamki spotyka się nie tylko przy drzwiach, lecz i przy »trówlach« i szafach śląskich. Jeżeli już ktoś taka

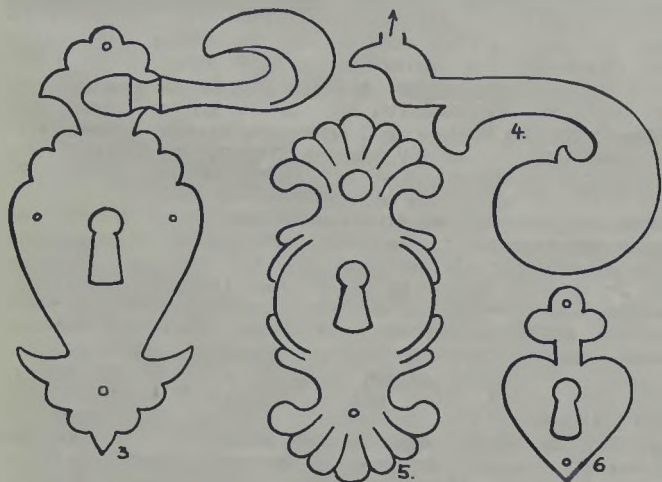
»trówlę« zniszczy (czego nie powinien robić), to niechaj przynajmniej nie niszczy zamku (rys 6). To samo odnosi się do zamków i kluczy od starych drzwi. Jeżeli zamek jest stary i oryginalny, to nie powinno się go wyrzucać do starego żelaza, tylko przechować albo oddać do muzeum.

Byłoby wskazaniem, aby młodsze nauczycielstwo, szczególnie w miejscowościach podgórskich, zajęło się przynajmniej odrysowaniem lub sfotografowaniem tych starych zamków. Ściągnawszy kilkadziesiąt takich rysunków i fotografii, możnaby opracować małe dzieło o artystycznych pracach ślusarskich i wykazać, że na Śląsku dużo było zdolnych ludzi w tym fachu.

Ślicznie i niekiedy wprost artystycznie są wykonane stare klucze, które same dla siebie tworzą osobny, bogaty dział.



7 a-b. Zamek w gospodzie p. Pindurów w Jabłonkowie (Biała) 1. 9.

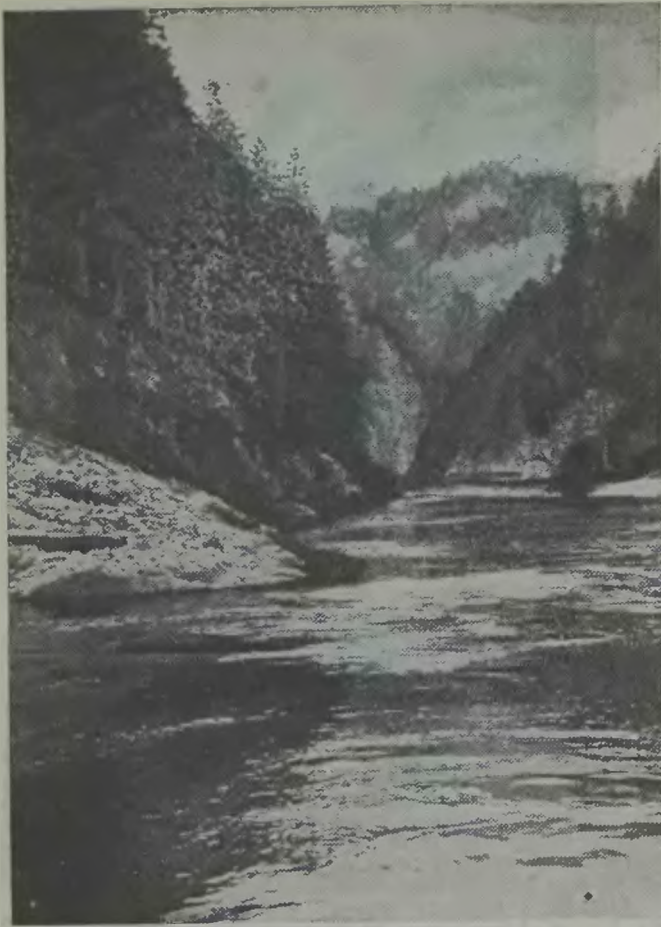


3. Zamek w starej szkole obok kościoła ew. w Nawsiu, 1. 47.  
4. Klamka od tego zamku.  
5. Zamek w ew. kościele w Nawsiu (od strony Jabłonkowa).  
6. Okucie trówły z Bukowca.

Oprócz tych zamków żelaznych spotyka się w wioskach podgórskich pomysłowe zamki drewniane t. zw. »kłodki«, które w odróżnieniu od fabrycznych są całe wykonane z drzewa. Nie tylko kłódka, ale i klucz jest wykonany z drzewa i ma niekiedy kilka zębów, tak że taką kłódkę trudno otworzyć wytrychem.

Takie pomysłowe »kłodki« można jeszcze oglądać przy stodołach w Bukowcu koło Jabłonkowa. Życzyliby sobie należało, aby ktoś taką kłódkę wyrysował w przekroju i objaśnił na rysunku jej mechanizm. Jest to bowiem specjalny wynalazek śląski.





Fot. Mgr. M. Füller.  
Pieniny.

## Dział Kobiety

### Jak przechowywać owoce nie posiadając odpowiedniej piwnicy.

W braku odpowiedniej piwnicy do przechowania owoców, można przechować je i w pokoju mieszkalnym, nie ogrzewanym, najlepiej w pokoju od północy. Pokój musi być jednak doskonale zaopatrzone przed mrozem. Owoce układane na stołach lub półkach w ten sposób, aby jedne nie przylegały do drugich. Jabłka układa się ogonkami w dół, gruszki ogonkami do góry. Dobrze jest przysłonić okna, aby w ten sposób zmniejszyć dopływ światła. Codzienne wietrzenie takiego pokoju jest konieczne. Otwierania okien unikamy tylko w czasie ostrych mrozów, lub ciepłych dni, które jednak w czasie zimy są u nas zjawiskiem rzadkim. Należy też unikać przeciągów — przeciąg bowiem wysusza powietrze, co wpływa ujemnie na odporność owoców.

Jednym ze wskazanych zabiegów jest staranne przebieganie się owoców. Jabłka i gruszki, na których ukazują się plamki, usuwamy natychmiast, aby nie zakażały sobą owoców zdrowych.

Pamiętajmy o tym, że owoce dojrzewają stopniowo. To też wybierając jabłka i gruszki do użytku, kierujemy się następującymi wskazówkami:

Jabłka dojrzewając nabierają pięknego zapachu, pokrywają się tłustym nalotem, odznaczają się piękną barwą. Przy naciśnięciu mięso ustępuje pod

palcem. Gruszki, dojrzewając miękną przede wszystkim u nasady ogonka. Lekki ucisk palca w tym miejscu poucza nas o tym, czy gruszka jest zdolna do spożycia. Dojrzała gruszka nabiera koloru żółtego.

Drugim bardzo dobrym sposobem przechowywania owoców jest taki:

Układa się owoce do skrzyń zbitych z drzewa surowego. Dno skrzyni od wewnątrz i jej boki wykłada się arkuszami dosyć grubego papieru. Na dno dajemy na palec grubą warstwę suchego sproszkowanego węgla drzewnego. Każdy owoc zawijamy w bibułkę i układamy warstwami, przekładając papierem i węglem drzewnym. Izolacja taka pozwala wyjmować owoce warstwami, nie dotykając do pozostałych powietrza, które powoduje psucie owoców. Jeżeli skrzynie napełniamy późniejszymi i wcześniejszymi odmianami, dajemy późniejsze na spód, a wcześniejsze na wierzch. Skrzynie z owocami można łatwo przechować nawet w opalonym pokoju a owoce psuć się nie będą. Do przechowania należy wybierać jedynie owoce okazowe, nieuszkodzone, zdrowe, bez plam.

## Sport

### W zdrowym ciele zdrowy duch.

Mens sane in corpore sano — powiedział jeden z piewów starożytności a słowa jego stały się atutem, punktem wyjścia dla wychowawców młodzieży, nie tylko jego czasów, ale i czasów nowożytnych. W zdrowym ciele zdrowy duch — oto hasło, którego trzymano się dawniej, a którego musimy się trzymać i dziś.

Nie wystarczy wychowywać młodzież pod względem intelektualnym i moralnym tylko, ale należy dbać narówni z tem o jej wyrobienie fizyczne. Te trzy elementy wychowania powinny stanowić jedną nierozdzielalną całość, jeśli mają dać społeczności cnotliwego człowieka a ojczyźnie dobrego obywatela.

Wiedzieli o tym dobrze Grecy i Rzymianie. U nich też spotykamy się z wychowaniem fizycznym na wielką skalę. My jednak daleko w tyle pozostaliśmy za Helladą i to nie tylko pod względem usportowienia ale i higieny. Nie możemy też jeszcze stanąć śmiało w parze z przodującymi w dziedzinie wychowania fizycznego narodami północy, Szwedami, Norwegami i Finami. Podczas gdy u nich na ćwiczenia ciała poświęca się w szkołach 10 godzin tygodniowo, nie wliczając w to gier i sportów, to u nas poświęca się na wychowanie fizyczne zaledwie 3 godziny tygodniowo. Jeśli zważymy jeszcze, że praca u nich odbywa się pod okiem specjalistów w tej dziedzinie i w warunkach o wiele lepszych niż u nas, zdamy sobie jasno sprawę z tego, jak dalece nas oni pod tym względem wyprzedzają. Nie ma się też co dziwić, jeśli przegląda się ich statystyki i widzi się prawie zerowy procent zachorzeń. To narody zdrowe, odporne na czynniki chorobotwórcze, a dlaczego? — bo prędzej od nas zrozumieli, czym jest dla człowieka wychowanie fizyczne.

Obecny kierunek wychowania fizycznego w Polsce jest prawie identyczny z systemem szwedzkim. Propaguje się hasło nie rekordu, ale ogólnego usportowienia mas. Szermierzem tej pięknej idei stała się »Polska Odnaka Sportowa«, wprowadzona w Polsce za wzorem Szwecji. Odnakę tę przyznaje się każdemu, kto wykazał pewną sprawność fizyczną w kilku grupach ćwiczeń, zbliżających się do ideału wszechstronności. W każdej grupie żąda się wyników nie najlepszych, lecz takich, które leżą w możliwości każdego zdrowego człowieka. Wyższe stopnie odznaki otrzymują nie lepsi, lecz ci, którzy przez pewien okres lat utrzymują nadal swoją sprawność fizyczną na poziomie, rosnącym odpowiednio do wieku. Piękne to hasło znajduje swój oddźwięk w całym szeregu powiedzeń, jak np.

Lepszy P. O. S. na kłapie  
Niżli rekord w łapie.

Rekord powinien być wypływem szerokiego usportowienia mas, a nie wynikiem mozolnej pracy i specjalnego, ostrego treningu, bo wtedy piękna idea sportu ulega spaceniu.



Ze sportu robi się rzemiosło. Swe wrodzone zdolności, podciągnięte intensywnym treningiem, robi się źródłem dochodu, z którego czerpie się pieniądze, często ze szkodą dla zdrowia. Profesjonalista, zaślepiony powodzeniami, nie uważa na środki, którymi dochodzi do celu, a które tak wielki wpływ wywierają na jego organizm. Sam zaś wyrubowanymi rekordami zniechęca się tych, którzy niezdolni są do podobnego wysiłku. I ci powoli usuwają się od udziału w ćwiczeniach, przysparzając trybunom widza.

Częściowo zapobiega temu, jak już powiedziałem, P. O. S. i coraz bardziej propagowana, zwłaszcza w szkołach, wszechstronność sportowa, ujęta w wieloboje. Tu nie pomoże być rekordzistą w którejś dziedzinie, tu wystarczy mieć wyniki średnie w kilku konkurencjach, a te nie tak trudno zdobyć, dysponując zdrowym organizmem i żylką wszechstronnego sportowca.

Poświęćmy więcej uwagi wychowaniu fizycznemu, jeśli mamy ciągnąć z życia wszystkie korzyści w jakie ono obfituje. Zdobądźmy mu prawo obywatelstwa i rozwoju, gdyż jednostki mocne i zdrowe razem wzięte, stanowią o faktycznej potędze narodu.

Sikora Oskar, abs. W. F. U. P.



Taniec góralski.

## Harcerstwo

Józef Żyła.

### Nasze zadania, nasze cele.

Minęło pięćdziesiąt lat od chwili, kiedy wielki psycholog i znawca dusz chłopięcych Lord Baden-Powell rzucił światu nową myśl, myśl wychowywania młodzieży w ideach nacjonalizmu i puszczalności — w tych dwu ideach, które wszystkim chłopcom świata są wrodzone i wspólne, a które bezpośrednio wiedzą do twórczej pracy oraz postępu ludzkości. W ślad za Baden-Powellem, tysiące idee te ugruntowało, rządząc się wdzięcznością względem Boga i swiego Narodu oraz umiłowaniem zgody, dobra i piękna. Miliony młodych wstępuje dobrowolnie w szeregi harcerskie, przejmując się ideologią, wierząc, że odrodzenie Narodu i postęp ludzkości od młodych wyjść musi.

Lecz ciężka jest walka o ideę, ciernista droga prowadzi do zwycięstwa. Ale najcięższa to świadomość, że starsi nie chcą zrozumieć dążeń młodzieży, nie chcą prawdziwie ocenić sił twórczych młodych.

Rozwijajmy propagandę, by starszych przekonać o wartości wychowawczej Harcerstwa, by ich pozyskać dla naszej pracy. Jednak na samym początku trzeba zaznaczyć: O stworzeniu w naszym okresie istnienia innego oblicza świata nie ma mowy. Do przebudowy potrzeba kilku pokoleń. Cóż zatem będzie naszą satysfakcją? — Myśl i duma, żeśmy pracę rozpoczęli.

Fiszając ten artykuł, chciałbym w krótkości poinformować wszystkich o wartościach Harcerstwa, jego zadaniach i celach; chciałbym przedstawić wielką potrzebę współpracy starszego społeczeństwa Śląska z powyższą organizacją.

„Harcerstwo to nie coś, co się umie, ale to jest coś czym się jest; jakość moralna, typ psychologiczny i życiowy; aby w wyrobieniu się młodzieży na nowy typ, przez Harcerstwo wskazany, kierować jej wysiłkami — trzeba ten typ ukochać i samym starać się w swoim życiu go wcielić“.

Oto słowa jednego z twórców Harcerstwa Polskiego. Dla uzupełnienia tego powiedzenia, potrzeba poznać drogi po jakich zdąża do swych celów Harcerstwo.

Harcerstwo — to ruch, czyli wielkie toczące się koło, złożone z przeróżnych zbiórek, wycieczek, obozów, zabaw i wszystkiego, co podpada pod nazwę harce, a przez co osiąga się wykształcenie harcerskie (stopnie i sprawności), które jest celem i do zdobycia silnego charakteru, nieugiętej woli, do wytworzenia jednostek wiernych Bogu a przydatnych Narodowi. Całe przeszkolenie wraz z całym systemem pracy opiera się na drużynie (gromadzie), która uczy młodzież wesołego współżycia, uczy pracy dla ogółu. W drużynie zanikają uczucia samolubne, tworzy się uświadomienie, że praca jest owocną wtedy, jeżeli nie jest wytworem jednostki lecz ogółu, a w dalszym ciągu, nie praca jednostek, lecz praca i dobra wola narodów może ludzkość popchnąć do lepszego bytu, zgody i wesołej współpracy.

W harcerskim systemie wychowawczym oparto się na zasadzie psychologicznej, która powiada: najlepszy wychowawca młodych to młodzi. Inne zdanie mówi, że rybak łowiąc ryby, nie kładzie na wędkę tego co mu się podoba, lecz to co ryba lubi. A zatem, inicjatywa pracy w Harcerstwie nie może wychodzić od osób starszych, często nie mogących zniżyć się do poziomu myślenia dziecka, lecz od samej młodzieży. Nie to co starsi chcieliby, lecz to co chce młodzież, daje Harcerstwo. Tutaj właśnie odzywa się wielka konieczność współdziałania starszego społeczeństwa z kierownikami jednostek organizacyjnych harcerskich. Odzywa się potrzeba, by starsze społeczeństwo w większym stopniu zainteresowało się harcerstwem, by wspierało go siłami nie tylko materialnymi ale przede wszystkim moralnymi.

Z zasady młodzi lubują się w rzeczach błahych — na młodzieńczych błahostkach powinno się oprzeć starsze społeczeństwo. Musi ono w błahostki wetchnąć wielką myśl wychowawczą, powinno w niewinne zabawy, wplątać mądrość życiową, rzeczy mniej wartościowe — w pojęciu starszych — zamieniać na drogi wychowawcze o pierwszorzędnej jakości, wiedące młodzież do wielkości, do ideałów.

Przeto wołam do szerokich warstw społeczeństwa o współpracę z nami — młodzieżą harcerską. Wszak mamy wspólny cel, wspólną troskę przed





### Burza nad Bałtykiem.

Ostatnie burze jesienne nad Bałtykiem pociągnęły za sobą wiele ofiar w łodziach i ludziach. Ostatnio zatoneły dwa statki estońskie, 8 ludzi załogi zginęło. Ale także szkody, wyrządzone na wybrzeżu, są znaczne, jak np. w Wielkiej Wsi, gdzie buduje się nowy port. Zdjęcie przedstawia port ten w czasie huraganowej burzy, podczas której woda całkowicie zalala molo i urządzenia techniczne, zatapiając karafy motorowe.

sobą: wychowanie śląskich dzieci — naszej przyszłości — w duchu narodowym, bowiem za to wychowanie jesteśmy odpowiedzialni przed Bogiem i Historią.

... Młodzież śląska to nie tylko nasza chluba i duma, lecz przyszłość i nadzieja nasza. Bowiem na jej, młode barki złożymy wkrótce los naszej Ziemi.

Jeżeli młodzież nasza okaże się słabą, bezwonną, bezmyślną, czeka nas zagłada. Jeżeli zaś w młodzieży polskiej znajdzie się moc, prawość charakteru, hart, męska wola i duch, któryby jej przewodził — możemy spokojnie patrzeć w przyszłość pewni, że naszego krwawego dorobku nie zniszczy, owszem pomnoży go, jeszcze więcej niż my osiągnąć.

## Jak pracuje młodzież w innych krajach.

### Młoda Polonia Łotewska.

Młodzież polska na Łotwie w poczuciu zwartej i jednolitej gromady, zdolnej do solidarnego działania skupia się w Związku Polskiej Młodzieży, który postawił sobie szeroki zakres działania.

Zarząd Główny Związku pozostaje w ścisłej łączności z zarządami filij, co umożliwia Związkowi wywiązanie się ze swych obowiązków.

Związek prowadzi poważną pracę kulturalno-oświatową. Młodzież korzysta ze świetlic, bibliotek, teatrów amatorskich, prowadzi akcję odczytową, organizuje zabawy i wieczornice. Posiada teatrzyk kukielkowy.

Do prac Związku należy także wychowanie fizyczne. Młodzież tworzy liczne sekcje sportowe, interesuje się wszelkimi sprawami, dotyczącymi podniesienia sprawności fizycznej.

Ruch i życie młodzieży wre na każdym odcinku terenu, bez względu na lepsze czy gorsze warunki.

Młodzież ta zorganizowana w Związku, pomimo rozpiętości wieku — 18—35 lat — odznacza się wysokim wyrobieniem społecznym. Nie zraża się przeciwnościami, lecz z zapałem i wytrwałością pokonuje trudności.

### Aktywność młodzieży polskiej w Szanghaju.

Mało kto wie, że na drugim krańcu świata, w Chinach, w wielkim międzynarodowym mieście, w Szanghaju, wśród nielicznej grupki Polaków rozwija się życie społeczne i kulturalne, oparte na bazie patriotycznej i narodowej, a mające na celu walkę z wynaradawianiem naszej młodzieży. Walkę tę prowadzą istniejący od czasu odrodzenia Polski Związek Polaków i przede wszystkim założony już później Związek Młodzieży Polskiej.

Działalność tego ostatniego ujawnia się w organizowaniu odczytów i pogadanek oraz różnego rodzaju imprez o charakterze narodowym, w urządzaniu kursów języka polskiego, w redagowaniu gazetki ściennej i t. p. W roku bieżącym powstała przy Związku orkiestra. Od pół roku organizacja posiada także własny organ prasowy, miesięcznik p. t. „Echo Związku Młodzieży Polskiej”. W najbliższym czasie ma być zrealizowany projekt nadawania dwa razy tygodniowo w miejscowym radio polskiego programu.

Jak widzimy aktywność młodzieży polskiej w Szanghaju jest wielka.

„Gdy się czasem Polka Panu Bogu uda, to już mówiąc po prostu, klękajcie narody”.

H. Sienkiewicz.

\* \* \*





Fot. Zwoliński.  
Warzenie »żętycy« na hali w Białem.

### **Znaczenie wykładu.**

Wykład ma wielkie znaczenie. Żywe bowiem słowo jest normalnie daleko więcej porywające, niż pisane. Ten, kto chce mieć wykład, musi sobie obrać odpowiedni temat.

Jaki temat należy obierać? O ile nie ma specjalnego polecenia czy okoliczności, z powodu której ma się mówić, obiera sobie każdy taki temat, jaki jest mu najprzystępniejszy, do którego opracowania ma pod dostatkiem źródeł i sporo może przytoczyć przykładów, przeżytych na „własnej skórze“. Temat należy opracować, przemyśleć. Z opracowaniem zaczynać zawsze wcześniej, a nie czekać do ostatniej chwili. Kiedy mi się nasunie odpowiednia myśl, z jakiej mógłbym skorzystać przy następnym przemówieniu, najlepiej myśl tę od razu przelać na papier. Nie zostawiać za jednym „tchnieniem“ napisanego referatu w zamkniętym biurku, lecz wracać doń, odczytywać, skreślać, uzupełniać, szlifować. Ludzie, którzy mają pierwszy raz przemawiać, lub tacy, którzy rzadko przemawiają i miewają treść, powinni wykładu nie tylko wyuczyć się na pamięć, lecz wyrecytować go głośno w domu i w obecności świadków. Należy znać nie tylko rzecz, o której się mówi, lecz choć w części rzeczy pokrewne. Referat powinien być wygłaszany a nie czytany. O ile bowiem czytam, muszę patrzeć na papier, osłabiam głos, nie mogę patrzeć na słuchaczy, posługiwać się gestami, kartki mi się rozlatują, zlepiają i t. d. Przemawiający powinien stać twarzą do słuchaczy. Między mową a słuchaczami powinien być pewien odstęp. Co się tyczy siły głosu, to ta jest zależną od miejsca. Daleko ciszej mówimy w pokoju, niż na rynku. Nie stać przy wykładzie na sztywno — na baczność, lecz używać ruchów, zawsze jednak w odpowiedniej mierze. Tyle tylko ile nam tego potrzeba dla podkreślenia naszych słów. Nie wykonywać oczywiście skoków, by się słuchacze w przestraszu usuwali, czy uderzeń, które wszystko drugocą. Modulować głos, bo jednostronność męczy, variatio zaś delectat.

Nie mam zamiaru mówić tu do tych, którzy kończyli kursa oratorskie i wyższe szkoły, lecz chcę się zwrócić do młodzieży, która zrzesza się w różnych związkach i nie ma wyższego wy-

kształcenia. Na początku już podałem częściowo znaczenie wykładu, obecnie uzupełniam. Kto chce opracować temat musi myśleć, nateżać swój mózg, szukać odpowiednich słów; uczy się poprawnie mówić, przyzwyczajając do publicznego wystąpienia, wyzbywa się niepotrzebnego wstydu i tremy, staje się śmielszym i odważniejszym.

Nie trzeba się tego wykładu bać, przedstawiać sobie go w strasznych jakichś barwach, czy porywać się na coś wielkiego. Niechno sobie to jest na początek paruminutowy odczyt, nawet zapożyczony z obcej książki czy gazety, niech to jest niewiele warty, niekoniecznie czysto literackim wypowiedziany językiem, ale własny referat. Nikt bowiem nie spada z nieba uczonym. Rozchodzi się o ten pierwszy krok, bo wiadomo, że — każdy początek jest trudny! Słuchaczom »swoim« na zgromadzeniu członkowskim, w Kółku Samokształcenia nie wolno oczywiście swego mówcy ostro odsądzać, kpinkować sobie z niego, zniechęcać do dalszej pracy, lecz zaklaskać mu z werwą, pochwalić jego wystąpienie, odwagę, delikatnym sposobem dotknąć niedomagań i to nie w formie nagany, lecz jako wskazówki, że tak może byłoby lepiej, więcej interesująco i porywająco.

Powie może wkońcu niejeden: No to wszystko bardzo ładne, ale o czym ja mam mówić?! Tym sobie absolutnie nie należy łamać głowy. Tematów, aż się proszą. Jestem robotnikiem w hucie, kopalni... Opowiem wrażenie, jakie mnie ogarnęło przy objęciu pracy, dalej przedstawię króciutko, jak to tam u »nas« chodzi. Inny był na wycieczce w mieście czy w górach, powie coś o tem. Ten coś o wiosce rodzinnej czy jakiejś jej części, ów jakiś fragment z własnego życia czy ludu miejscowego.

Przez wykłady się kształcimy, dowiadujemy coś nowego, uzupełniamy nasze wiadomości.

As.

### **Ciekawostki staropolskie.**

**600 towarzyszy pancernych gromi 70.000 Tatarów.**

W dziejach wiekowych zmagani Polaków z Turkami i Tatarami złotymi zgłoskami zapisała się wręcz nieprawdopodobna obrona garstki Polaków przed całą nawałą tatarską w Hodowie. W dzień się lat po pogromie Turków pod Wiedniem, podjął król Jan Sobieski nową przeciw nim wyprawę, wyruszając z nielicznym i słabo zaopatrzonym wojskiem na Wołoszczyznę. Po zwycięstwie pod Kamieńcem nastąpiło zawieszenie broni, po którym Tatarzy w sile 70.000 wdarli się aż pod Złoczów, odcinając od głównej siły wojska polskiego oddziały Zahorowskiiego i Tyszkowskiiego w sile 600 towarzyszy pancernych. Osaczeni ze wszystkich stron przez nawałę tatarską Polacy, schroniwszy się między płoty wsi Hodów, wytrzymali przez sześć godzin nieprzerwane szturmowanie stokrotnie silniejszego nieprzyjaciela, ciężkie zadając mu straty. Bohaterski opór garstki Polaków wprowadził zamieszanie w szeregach tatarskich. Wówczas za Zahorowskiiego ważył się na czyn wręcz nieprawdopodobny. Z garstką swoich walczących jak lwów towarzyszy, wypadł z za płotów, uderzając z szalonym impetem na tatarską tłumaczkę. Mrowie połańców nie wytrzymało natarcia i w panicznym popłochu rzuciło się do ucieczki. Z 70.000 Tatarów



ponad 2000 trupów i dwa razy tyle rannych zaginęło pobożowisko. W szeregach Polaków było zaledwie kilkudziesięciu zabitych i rannych, a wśród nich bohaterski wódz Zahorowski, na którego grobie król Jan Sobieski kazał wzniesć pomnik z napisem, głoszącym, że na tym miejscu »600 towarzyszków pancernych pod wodzą Zahorowskiego odparło 70.000 Tatarów z wielką klęską nieprzyjaciół, a swoją żadną.«

### **Jakto garść jeńców flotę turecką gromiła.**

Głośnym po całym świecie echem odbiło się sławne uprowadzenie 4 galer tureckich przez garstkę Polaków, z Markiem Jakimowskim na czele. Rycerz ten w r. 1620 dostał się pod Chocimem do niewoli tureckiej. Wywieziono go najprzód do Stambułu, gdzie w galerach zakuto go wraz z kilkudziesięciu rodakami, podobnie jak on, do niewoli wziętymi. Cekał ich ciężki los, sytuacja była bez wyjścia. A jednak Jakimowski, człowiek wielkiej odwagi i niemięszkiej fantazji, postanowił wyrwać się z rąk tureckich. Gdy galery, na których polscy jeńcy byli zakuci, płynęły do Aleksandrii, zerwała się potężna burza. Galery floty tureckiej miotane były przez rozszalałe fale. I ten właśnie moment wykorzystał Jakimowski na wykonanie szalonego planu. Wraz z kilku współjeńcami, uwolniwszy się z więzów, napadli na załogę swej galery, wybili ją w pień, a potem, resztę jeńców uwolniwszy, napadli na sąsiednie galery. Rozpoczęła się prawdziwa bitwa morska. Wyzwoleni jeńcy tureccy, pod kierunkiem Polaków, dzielnie stawili czoło całej flocie tureckiej, wyrządzając jej niemałe straty.

Jakimowskiemu nie tylko udało się obronić, lecz i uprowadzić cztery galery na pełne morze, zmylić pogoń Turków i po wielu przygodach dotrzeć do portu włoskiego w Palermo.

Wieść o niezwykłym wyczynie Polaków rozniosła się po całej Europie. Triumfalnie przyjmowano ich zarówno w Palermo jak i w Neapolu. W Rzymie Jakimowski złożył zdobytą na Turkach sztandary Papieżowi, który bohaterskiego polskiego żołnierza udekorował złotym krzyżem. — Wziawszy w Rzymie ślub z uwolnioną przez siebie, na tej samej co on galerze więzioną, branką, powrócił Jakimowski do kraju, by dalej w jego obronie walczyć z wrogami.

### **Zajęcia wielkich pisarzy.**

Czy pisarz może wykonywać równocześnie jakiś inny zawód bez uszczerbku dla swej twórczości literackiej? Przecież praca literacka to sztuka zdobywania sławy, a zawód to zarabianie na chleb.

Zdaniem niektórych poeta czy romansopisarz nie powinien wykonywać innej profesji, bo ta wpływa ujemnie na jego twórczość artystyczną, zabierając mu czas, oraz pozbawiając potrzebnego mu spokoju ducha. „Trudno wymagać — mówią — ochoty do pracy twórczej i potrzebnej równowagi ducha od artysty obciążonego kłopotami finansowymi i walką o chleb codzienny.“

Zdanie powyższe nie wydaje się jednak zupełnie słusznym. Przeciwnie, wykonywanie jakiegokolwiek zajęcia, byle odpowiadającego upodobaniu artysty, zapewniające mu życie bez trosk, daje tym

samym potrzebny dla pracy ducha spokój i pogodę umysłu.

Przekonujemy się o tem, czytając życiorysy pisarzy, którzy pracowali jedynie tylko dla „sławy“, a innym zajęciom, mniej poetycznym, oddawali się dla zdobycia codziennego chleba.

Wielu pisarzy utrzymywało się z nauczania (23 prc), z dziennikarstwa (64 prc.), inni służąc wojskowo lub w marynarce, wreszcie inni jako artyści teatru, czy jako adwokaci. Z zestawienia tych liczb przekonujemy się, że pisarzy, żyjących jedynie ze swej pracy literackiej, był procent znikomy.

Listę twórców w dziedzinie poezji rozpoczyna Homer, który, o ile można wierzyć podaniom, był ślepy i kulawy. Zatem kolebkę poezji piastował człowiek, który chromał; los jej nie zmienił się też i potem! Sokrates był synem rzeźbiarza i praczki, ekszołnierzem. Nie opuszczał on przez całe swoje życie Aten, wyjąwszy jednej wycieczki do Koryntu, nie napisał też ani jednego wiersza, a przecież uchodził za jednego z największych filozofów ludzkości.

Owidiusz był adwokatem, Solon prawodawcą i Sofokles dramaturgiem, zanim zostali tymi z czego zna ich historia, uprawiali zawód przemysłowców, i nie pozostali nimi nawet po osiągnięciu sukcesów w życiu politycznym.

A wielkiemu Dantemu co przyniosła poezja? — nic. Aby móc żyć, musiał wyszukać sobie jakiś inny zawód; i wybrał sobie zawód farmaceutyczny. Zaiste trudno sobie wyobrazić tego genialnego twórcę „Boskiej Komedii“ za ladą sklepową, ugniatającego pigułki, czy sporządzającego środki lecznicze.

Żołnierzami byli i pozostali Miguel Cervantes, autor „Don Kiszota“ jak i Ludwik Camoens, największy poeta portugalski (1521 do 1580). Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszy z nich stracił prawą rękę (Don Kiszota napisał lewą), a drugi oślepił wskutek kontuzji odniesionych w czasie bitwy. Camoensowi król Sebastian wyznaczył synekurę, aby mógł żyć spokojnie i tworzyć.

Aktorami byli Szekspir i Molier, a sławny komediopisarz włoski, Goldoni, adwokatem, którym też pozostał, mimo zdobytych laurów scenicznych.

Wielki myśliciel Benedykt Spinoza zajmował się szlifowaniem szkła optycznych, a Jonatan Swift, autor „Podróży Gulliwerów“ był opatem prebendarium. Podobnie, jak ten ostatni, żyło z dochodów dóbr kościelnych wielu literatów, gdyż inaczej nie daliby sobie rady w walce z życiem.

Chateaubriand i Lamartine byli dyplomatami, podobnie Dumas syn, podczas gdy Dumas ojciec rozpoczął swoją karierę literacką jako przepisowywacz aktów u notariusza. Wielki Balzac poznał wszystkie nędze życia ludzkiego i uprawiał wszystkie zawody i zajęcia, które miały jakikolwiek związek z książką. Był typografem, wydawcą, rzeczoznawcą pisma, przy czym ustawicznie walczył z nędzą i nigdy nie przestawał pisać, aż wreszcie zdobył sławę i bogactwo.

Znakomitemu kompozytorowi włoskiemu Józefowi Verdieemu przeznaczony był początkowo los sprzedawcy tytoniu i soli i byłby nim pozostał do końca życia, gdyby mu nie dopomógł do kształcenia się szlachetny i rozumny jego teść.

I wielu innych, o sławnych dziś w literaturze nazwiskach, pisarzy zmuszał los do oddawania się



zajęciom, nie zawsze im jako „wybrańcom muz” odpowiadającym. Umysły jednak, naprawdę wielkie umiały się zawsze wyzwolić i wzbić w górę, bo praca nie zabija prawdziwego talentu, lecz go hartuje i oczyszcza.

## Nasze sprawozdania.



Kółko amatorskie I Koła Macierzy Szkolnej w Końskie! odegrało dnia 18 października b. r. wesołą 5-cio aktową komedię M. Bałuckiego p. t. »Gęsi i gąski«. Z ról swych wywiązali się amatorzy bardzo dobrze o czym świadczyły burze oklasków zadowolonej publiki.

### Z okręgowych Zawodów śpiewaczych.

W niedzielę 18 października b. r. odbyły się Zawody śpiewacze okręgu suskiego z udziałem 10 chórów (około 300 śpiewaków). Pierwsze miejsce zdobył Chór miesz. Zw. Ew. Młodz. w Średniej Suchej — 27 punktów, drugie miejsce chór męski M. Szk. w Górnej Suchej — 26 punktów, a trzecie miejsce chór mieszany M. Szk. w Górnej Suchej — 23 punkt.

Dnia 25 paźdz. b. r. odbyły się Pawody śpiew. okręgu trzynieckiego z udziałem 9 chórów. Pierwsze miejsce zdobył chór męski »Hejnał« w Trzynie — 24 punktów, drugie miejsce Zw. Ew. Mł. w Trzynie — 23 punktów, a trzecie miejsce chór miesz. S. M. K. »Lira« w Trzynie — 22 punkty.

## Komunikaty.

### Terminarz okręgowych Zawodów śpiewaczych:

Okręg:

karwiński 15 listopada w Karwinie,  
orłowski 22 listopada w Orłowej,  
bogumiński 22 listopada w Skrzeczoniu,  
frysztański 28 listopada we Frysztaście,  
cz. cieszyński 7 lutego 1937 w Czeskim Cieszynie.  
Okręg jabłonkowski jeszcze nie ustalił terminu.

\*\*\*

### Związkowe Zawody śpiewacze

odbędą się dnia 4 kwietnia 1937 w sali Polonii w Czeskim Cieszynie. W nast. numerze »Ogniwa« zostanie podane, komu przysługuje udział w związkowych zawodach śpiewaczych.

\*\*\*

Końska. Stowarzyszenie Młodz. Katolickiej urządza w niedzielę 8 listopada b. r. w sali p. Waleczowej wieczorek. Program: Słowo wstępne, 2 sztuki p. t. »Bursztyny Kasi« (obrazek wiejski ze śpiewami i tańcami) i »Och ta Kasia«. Po przedstawieniu zabawa towarzyska. O jak najliczniejszy udział kochanych gości i szan. młodzieży uprasza

Zarząd S. M. K.

\*\*\*

Trzynieć. Dnia 8 listopada b. r. »Sila« urządza w Domu Robot. Akademii Krajową, na program której złożą się popisy gimnastyczne, występy chóru męskiego, rewelersów ze Stonawy, orkiestry »Sily« trzynieckiej, oraz odegranie Spisku koronacyjnego z »Kordiana« J. Słowackiego. Początek o godz. 19.

\*\*\*

Żywocice. Młodzież tut. wystawi w niedzielę 15 listopada b. r. w Domu Rob. 3-aktową komedię p. t. »Wojna z babami«. Humor! Śpiew! Śmiech! Początek o godz. 19.

\*\*\*

### Najbliższe audycje radiowe dla Polaków zagranicą.

Dnia 7 listopada b. r. — z okazji wzmocnienia radiostacji wileńskiej, Wilno nada dla Polaków zagranicą audycję o Tadeuszu Kościuszcze, w opracowaniu Antoniego Gołubiewa.

Dnia 14 listopada b. r. — audycja p. t. »Pisarz wiecznie żywy«, poświęcona Henrykowi Sienkiewiczowi, z powodu 20-ej rocznicy jego zgonu.

## Odpowiedzi Redakcji.

Dr. J. M., Drahowice. Dziękujemy za przysłane fotografie, za wzmiankę o kościele w Gruszowie, jak również za wyrażone w liście uznanie. Za przysłanie owych dokumentów byłoby Panu bardzo wdzięczni. Gwarantujemy za zwrot w stanie nieuszkodzonym po ewent. skorzystaniu.

Afka. Materiał wyczerpany. Prosimy o dalszy.

Taran. Nie możemy skorzystać. Zgadza się w zupełności z Pańskimi poglądami. Rozwiedzenie się nad bolesną dla wszystkich sprawą byłoby jednak dolewaniem oliwy do ognia. Podobne wyskoki, z którymi — Bogu dzięki — sama młodzież nie ma nic wspólnego, młodzież ta z czasem sama zlikwiduje.

Eres. Cierpliwości — robi się! Nie w jednym dniu Kraków zbudowano. Dobry to wszakże znak, że zainteresowanie nie słabnie. Tylko wytrwać.

Jotka. Ależ owszem — bardzo prosimy.

## Kącik szachowy.

Exame: Ke<sub>4</sub>, Sf<sub>8</sub>, Gc<sub>2</sub>, Pc<sub>3</sub>, f<sub>4</sub> (5)



Białe: Ke<sub>4</sub>, Wd<sub>3</sub>, Sd<sub>4</sub>, Sc<sub>6</sub>, Gf<sub>7</sub>, Pf<sub>2</sub>, g<sub>4</sub> (7)

Białe zaczynają i matują w drugim posunięciu.

### Rozwiązanie z Nr. 16.

Białe:

Czarne:

1. Gf<sub>1</sub>-a<sub>6</sub>

1. Wd<sub>4</sub>-c<sub>4</sub>, -e<sub>4</sub>, -x f<sub>4</sub>,  
-d<sub>3</sub>, -d<sub>2</sub>, -d<sub>1</sub>

2. Ga<sub>6</sub>-b<sub>7</sub>, Hb<sub>1</sub>x e<sub>1</sub>,  
Se<sub>6</sub>x f<sub>4</sub>, Hb<sub>1</sub>x d<sub>3</sub>-e<sub>4</sub> i mat.

1. . . . .

1. Dowolnie inaczej.

2. H, S mat.





— Dlaczego nie odpowiedziałas na jego pozdrowienie? Przecież was już kilkakrotnie widziałem z sobą tańczyć.

— Do tańców to ja go znam dobrze, ale za mało, aby pozwalał sobie pozdrawiać mnie na ulicy.

\* \* \*

## Docinek.

Randka w kawiarni. »Ona« przychodzi oczywiście bardzo spóźniona. Wita się z »nim« i z przekąsem zauważa:

— Kiedy zacząłem na ciebie czekać — odpowiada »on« — byłem gładko ogolony... Przez czas czekania wyrosła mi broda!

\* \* \*

## Dobre dziecko.

— Wyobraź sobie — mówi mąż do żony, przeglądając z rana gazetę — przeczytałem: w głąb Afryki, do osady, liczącej blisko trzy tysiące dzikich ludożerców wysłano zaledwie trzech misjonarzy.

— Biedni ludożercy — odzywa się na to siedmioletni Jasio — chcą ich chyba na śmierć zagłodzić.

\* \* \*



— Co, ja miałem jechać niedozwoloną szybkością? Wykluczone! Jada przecież do dentysty!

## Mocna wola.

— Jak trochę wypiję, to nie mogę pracować! Koniecznie pragnę z tem skończyć!

— Z pijaństwem?

— Nie, z pracą!

\* \* \*

## Znawca.

Nauczyciel opowiada dzieciom w szkole o planetach i mimochodem wspomina o kanałach na Marsie.

Nazajutrz Karolek mówi do kolegów:

— Wiecie? To wszystko, co nam wczoraj opowiadał nauczyciel o kanałach na Marsie, to bujda z chrzanem!

— Skąd wiesz?

— Mój ojciec mi mówił. On się na tem lepiej zna, bo pracuje w kanalizacji!

\* \* \*

## Tragedia szkocka.

W ekspresie Aberdeen—London konduktor przyłapał już po raz trzeci w ciągu tygodnia pewnego Szkota na jeździe bez biletu. Pociąg przejeżdżał właśnie przez most. Rozgniewany konduktor chwycił walizę Szkota i wyrzucił ją przez okno do rzeki.

— Morderco — ryknął Szkot — utopiłeś mego jedynego syna.

\* \* \*

## Medycyna.

Profesor ma wykład w klinice:

Istnieją wypadki, proszę państwa, kiedy sztuka lekarska jest absolutnie bezsilna. Oto ten pacjent naprzykład jest jednym z tych, którzy wbrew wszelkim oczekiwaniom powracają do zdrowia.

\* \* \*

## Grunt bezpieczeństwa.



— Ratunku, ratunku! gore!



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-  
MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## *W Rocznicę Listopadową.*



Witaj, gaju Grochowa, polskie Termopile  
Twe olsze potrzaskane sterczą na mogile  
Jak kolumny pomnika — a poległych kości  
Lśnią, jak głoski napisu, co powie przyszłości,  
Jak w świętych dniach lutego, gdy wrogów szeregi  
Morzem dział i bagnetów zalały twe brzegi,  
Tyś zbrojny piersią polską podobny był skale,  
Co roztrąca wzburzone oceanu fale,  
I póty je odpycha, miota — aż z rozpaczą  
Drogę swego odpływu muszlami naznacza!  
Tutaj muszlami były nieprzyjaciół ciała.  
Za nimi, jak za wałem młoda wolność stała,  
A przy niej jej obrońce — a nad ich głowami  
Powiewała olszyna zbiełona szronami —  
Niby baldachim z skrzydeł orła lub anioła,

Co miał osłaniać święte bohaterów czoła!  
I gdy w potrójnym szturmie, gęste wrogów strzały  
Szczyty drzew opiekuńczych kulami strącały,  
Ich gałęzie, spadając na rycerzy głowy,  
Przystrajały ich skronie, jak wieniec laurowy.  
O! gaju święty dla nas! Olszyno Grochowa!  
Pamięć o tobie Polak w późny wiek przechowa!  
Odrośną drzewa twoje — bo ziemia pod niemi  
Syta krwi, ugnojona kośćmi ruskimi!  
A gdy na głos zbudzonej ze snu Europy  
Wyjdziem na bój ostatni — gdy pielgrzymie stopy  
Tam poniesieni, gdzie myśli nasze wiecznie lecą,  
Gdy białe orły znowu nad Wisłą zaświecą —  
W owym dniu odrodzenia, w tę chwały godzinę,  
Szczepiąc drzewo wolności — zaszczepim olszynę!





Generał Skrzynecki na czele swego sztabu.

Mal. Jul. Kossak.



Gen. Dwernicki na czele swego sztabu.

Mal. St. Bagieński.





## **Zatriumfował bohaterski duch młodzieży polsk.**

W 18-tą rocznicę odrodzenia Polski.

Targana wichrami wojennych niebezpieczeństw i prądami sprzecznych dążeń, stała Polska, w przełomowym momencie swych dziejów, słaba, bezbronna, niezdecydowana, wśród zgiełku walk domowych, oparów krwi, w chmurach nadciągających bolesnych doświadczeń, pomiędzy dwoma ogniskami rewolucyjnej pożogi: Niemcami i Rosją. Gdy bowiem wybuchł przewrót w Berlinie, kraj okupowany był jakby zdany na łaskę zbuntowanego żołnierza. A ode Lwowa krwawy cień łuny pożarnej padał na całą Polskę, która stawała się wówczas spienionym morzem, a w nim wśród rozpętanych namiętności partyjnych miały utonąć zawiązki państwowej organizacji.

I oto, w tym rozpaczliwym, budzącym dreszcze trwogi momencie, gdy zdawało się, że nie ma siły, któraby zdołała ujarzmić wzburzone fale anarchii, opanować chaos powszechny i przezwyciężyć odśrodkowe tendencje partij, stanął w Warszawie, jakby zrzędzeniem Opatrzności, więzień z Magdeburga, apostoł i pionier niepodległości. Niezrażony piętrzącymi się trudnościami, ujął bez wahania w twarde dłonie leżącą na bruku stolicy i deptaną przez partyjne defilady władzę zmar-

tychwstającej Polski. Rada Regencyjna (11 listopada) powierzyła mu naczelne dowództwo armii, zaś po 3 dniach przelała nań pełnię swej władzy, którą on posiadał już sam, mocą własnej niezłomnej woli, wiarą najlepszych w narodzie, którzy go otaczali, nakazem dziejowej konieczności.

Pod wpływem ożywczego prądu energii, w spontanicznym porywie entuzjazmu, zerwała się do heroicznego czynu wierna komendantowi młodzież. Studenci i uczniowie, młodzi rzemieślnicy, handlowcy, urzędnicy, w ciągu dnia 11 listopada, więc jeszcze przed podpisaniem kapitulacji przez Erzbergera, w Warszawie i całej okupacji niemieckiej, niemal bez broni, ubezwładnili 50-tysięczny korpus okupacyjny, świetnie uzbrojony i wyszkolony, i w 24 godzinach zlikwidowali potężny i precyzyjny aparat niemieckiej administracji. Kraj był wolny od wroga.

Tak zatriumfował bohaterski duch młodzieży polskiej nad najgroźniejszym zapaśnikiem. Zaś komendant Piłsudski mógł po rozbrojeniu wyeksedjować Niemców do ojczyzny i rozpocząć pracę od podstaw.

## **Gen. Śmigły-Rydz Marszałkiem.**

Tegoroczne Święto Niepodległości obchodzone w szczególnie uroczysty sposób, gdyż połączone było z wręczeniem buławy marszałkowskiej Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych, Śmigłemu-Rydzowi. Uroczysty ten akt odbył się w dniu 10 b. m. o godz. 15-ej na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie w obecności rządu, senatu, sejmiku i delegacji wszystkich formacji wojska.

W historycznej chwili wręczenia buławy przez Pana Prezydenta zagrzmiało 20 strzałów, które oddała artyleria, ustawiona w pobliżu Zamku, oznajmiając wszystkim obywatelom, że d i e d z i c spuścizny po Wielkim Marszałku otrzymał godność wojskową przez tego Marszałka piastowaną.

Dzień 11 b. m. wypełniła rewia wojskowa, dzieląca się na dwie części: przegląd wojska na Polu Mokotowskim i defiladę w Al. Ujazdowskich. Przyjmowanie defilady dokonał na placu na Rozdrożu nowomianowany Marszałek, przy czym w specjalnej łóży zajął miejsce Pan Prezydent. Kulminacyjnym punktem była defilada grupy motorowej długości 7 i pół kilometra, złożonej ze zmotoryzowanej piechoty, artylerii i oddziału saperów, grupy broni pancernych, oraz przelot kilkanaście eskadr lotniczych wzdłuż trasy defilady.

\*\*\*

Wielki Marszałek, zanim opuścił na zawsze stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych Polski, wyznaczył swego następcę w osobie generała Śmigłego-Rydza. Nikogo z tych, którzy znają historię Polski z ostatniego ćwierćwiecza, ten wybór nie mógł zaskoczyć ani dziwić. Stało się tak bowiem nie pierwszy raz.

Dwadzieścia lat przedtem we wrześniu 1915 roku, kiedy wypadło Komendantowi Piłsudskiemu z częścią I-szej Brygady przejść na inny odcinek, wydał rozkaz do pozostałej części, w którym powiedział: »Żołnierze! Na krótki czas rozstaję się z Wami, powołany do innych czynności. W wypróbowane ręce podpułkownika Śmigłego-Rydza oddaję komendę nad Wami, wiedząc, iż otoczycie Go tym samym zaufaniem i miłością, z jaką odnosiliście się do mnie...«

Za drugim razem Komendant Piłsudski rozstawał się ze swymi żołnierzami na dłuższy już czas w listopadzie 1916 roku. Proklamacja państw centralnych z 5 listopada tego roku, po raz pierwszy od dziesiątków lat, głośno wypowiedziała słowa, dawno w Europie zapomniane: »Niepodległość Polski, Rząd Polski, Wojsko Polskie.« Józef Piłsudski opuścił swych żołnierzy. by, objawszy kie-



rownictwo Komisji Wojskowej w Tymczasowej Rodzie Stanu, podjąć walkę o zrealizowanie tych obietnic. Postanowił wtedy, że legioniści muszą



Marszałek Edward Śmigły-Rydz.

cofnąć podania o dymisję i trwać na posterunku, dopóki istnieje możliwość stworzenia Wojska Polskiego i pisał do pułkownika Śmigłego-Rydza następujące słowa: »Ufając głęboko Waszemu takto-

wi, który tak wysoko zawsze ceniłem, zwracam się do Was, abyście zechcieli wśród wojska być rzecznikiem mych uczuć i wyrazicielem mego zdania...«

Naturalną rzeczą już było, że kiedy za Józefem Piłsudskim zamknęły się bramy twierdzy Magdeburga, w kierowaniu akcją całego obozu niepodległościowego zastąpił Go nie kto inny, jak właśnie Edward Śmigły-Rydz, wówczas »obywatel Tarłowski«, Komendant Główny Polskiej Organizacji Wojskowej, i, że w tym pierwszym Rządzie, budzącej się do życia wolnej Polski, tekę ministra spraw wojskowych, zarezerwowaną dla Józefa Piłsudskiego, do czasu Jego powrotu, powierzone generałowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi.

Jeszcze jednym ogniwem łańcucha, który te dwie postacie złączył w naszych pojęciach tak silnie, były pamiętne dni sierpnia 1920 roku.

Naczelnny Wódz, który kieruje wielką bitwą, musi wykonanie poszczególnych zadań powierzyć dowódcom grup, czy armii. Oczywiście jest rzeczą, że kiedy miał powierzyć komuś zadanie, od wykonania którego zależał los bitwy i powodzenie wszystkich planów, mógł je powierzyć tylko człowiekowi, o którym wiedział, że wykona je tak, jakby On sam je wykonał.

Józef Piłsudski powierzył wykonanie historycznego manewru z nad Wieprza generałowi Śmigłemu-Rydzowi, dając tym dowód najwyższego zaufania.

Bezwątpienia od tamtej chwili następną przełomową datą w dziejach Polski był dzień 12 maja 1935 roku, dzień, w którym Marszałek Piłsudski musiał powierzyć swe zastępstwo w ręce nowego Naczelnego Wodza. Naturalnym więc było, że nie w inne ręce je oddał, jak właśnie w te, które 20 lat przedtem już znał za wypróbowane, że wybrał tego, którego już 20 lat przedtem uczynił rzecznikiem swych uczuć i wyrazicielem swego zadania.

Przyszła chwila, aby dać urzędową formę woli Marszałka Piłsudskiego, czyniącego generała Edwarda Śmigłego-Rydza swym następcą. Pan Prezydent Rzeczypospolitej, mianując generała Śmigłego-Rydza Marszałkiem Polski, nadał tej woli urzędową formę.

## Organizacje nasze — a czystość języka.

W artykule »Idea i szara rzeczywistość« poruszona została kwestia, jak daleko sięga wpływ wychowawczy, oddziaływany przez organizacje na naszą młodzież. Otóż kwestia ta, zwłaszcza na naszym terenie, jest wielce ważna, gdyż rozchodzi się o to, czy celem organizacji jest podniesienie naszego społeczeństwa na wyższy poziom kulturalny, czy też zakładanie organizacji ma być tylko coś z chęci uzewnętrznienia ambicji jednostki — osoby lub jednostki organizacyjnej.

W naszym życiu społecznym i narodowym źle się dzieje. Język polski ulega fatalnemu zeszpeceniu naleciałościami obcymi. Nasza młodzież smakuje się w obcej literaturze i wczytuje się w obcą prasę, przyswajając sobie w potocznej rozmowie obce

wyraży. W zagłębiu to już wprost trudno się będzie czasem przyznać do tego, że język, którym posługuje się tamtejsza ludność jest językiem polskim. Zdziwiająca jest ochota, z jaką nasi ludzie mówią obcym językiem i trafia się często, iż nienajmniej doskonale włada obcym językiem, tymczasem swój macierzysty zaniedbuje i strasznie kaleczy. Najważniejszym naszym atutem w walce o byt narodowy — może być prawdziwa polskość języka naszego ludu. Wszak wiemy, co głównie jest powodem renegactwa i poniewierki naszego języka polskiego na Śląsku, — to jego zaniedbanie. Język ten bowiem uległ takiemu zniekształceniu, iż inteligencja przestała się nim posługiwać. A przecież język polski to jeden z najładniejszych i naj-



muzykalniejszych języków europejskich. Należenie do jakiegokolwiek organizacji polskiej powinno się poznać po sposobie występowania jednostek na zewnątrz, przez pielęgnowanie języka ojczystego, unikanie naleciałości, otwarte i śmiałe używanie języka naszego, do czego mamy prawo zagwarantowane konstytucją. Czyż nie jest bowiem przykro słyszeć czasem w sądzie, lub innych publicznych urzędach, gdzie wszędzie wiszą napisy polskie, gdy pewne niezależne jednostki naszego społeczeństwa, chcąc się przychlebić, używają obcego języka? Że emigranci, którzy się znajdują w morzu obcym zczasem się wynaradawiają, temu nie można się dziwić, lecz że to się dzieje u nas w zwartym terenie etnograficznym przy granicy, promieniuja-

cej swą polskością, to rzeczywiście musi nasunąć różne refleksje i wprost widzi się bezowocność całych prac organizacyjnych, które może wychodzą na dobro tylko poszczególnym jednostkom.

Celem naszych organizacji powinno być zatem utrzymanie i reprezentowanie tej polskości na zewnątrz, aby ta polskość tkwiła silno i była widoczna i na ulicy. Dalej, przez podniesienie czytelnictwa polskiego, musimy przyswajać sobie poprawność w wyrażaniu się, bo przez czytanie kształci się wymowa. Mamy swoją prasę, więc powinna nam wystarczać. Jednym słowem praca organizacyjna musi mieć głębszy wpływ na nasze życie narodowe i je więcej uzewnętrzniać.

-ski-

## **Człowiek jest niemądry.**

Człowiek jest na swoją wiedzę naogół bardzo zarozumiały. Mało jest tylko ludzi, którzy razem ze starożytnym filozofem potrafią powiedzieć o sobie: »Wiem, że nic nie wiem.« Do tych nielicznych należał prezydent Akademii Francuskiej prof. Charles Richet. Był to człowiek olbrzymiej wprost wiedzy, a mimo to, a może właśnie dlatego, miał o sobie wyobrażenie nader skromne, ale i drugich potrafił brać pod lupę i wytykać im ich naukowe śmieszności, jak to wynika z poniżej przytoczonej rozprawki jego.

»Linné, tworząc swój system gatunków, nazwał człowieka »Homo Sapiens«, t. j.: człowiek mądry. Lecz jak mało uzasadnione jest takie wyróżnienie człowieka, dowodzą niezliczone przykłady oślej wprost głupoty, tak, iż nazwa jego brzmieć powinna »Homo Stultus« czyli człowiek głupi.

Przed niewielu laty poważny wcale pisarz Ernst Haeckel poważił się napisać dzieło o siedmiu tajemnicach wszechświata. Siedm tajemnic w wszechświecie, podobnie, jak mamy siedm dni w tygodniu, siedm ramion u świecznika świętego i siedm faz w stworzeniu świata. Dlaczego siedm, a nie dziesięć albo dwanaście, albo tysiąc, albo miliardy tajemnic w wszechświecie. Żadna z tych tajemnic dotąd nie została odkryta i prawdopodobnie też nigdy nie przestanie być tajemnicą. Przykład: co wiedzieliśmy przed Pasteurem o przyczynie chorób? Van Melmont opowiada, że z włożonej do glinianego garnka kószuli powstały myszy. Paracelsus, który sam uważał się za geniusza, wiedział, że kamienie posiadają siłę magnetyczną, zapomocą której kierują losami ludzkimi. Ambrozius Paraeus widział na własne oczy żywych diabłów, a lekarze 16 wieku opowiadają uczenie i z namaszczeniem o komicznych konwulsjach i koziołkach, jakie wykonywały złe duchy, gdy naskutek ich zaklęć wyskakiwały z ciał pacjentów. Jakaż to śmieszna kolekcja, o śmieszności bolesnej, powstałaby, gdyby się na nowo opublikowało wszystkie przez największych uczonych i profesorów na uniwersytecie wygłaszane głupstwa. Nawet, ktoby otworzył pierwszą lepszą stronicę jakiegokolwiek dzieła Pliniusza, Arystotelesa, Galenusa, Galilei-ego lub Leibniza, a więc największych wśród wielkich, musiał-

by ze zdumieniem stwierdzić, ile tam mieści się głupoty, a przede wszystkim także łatwowierności. Jeżeli już mistrzowie myśli ludzkiej tyle potrafili nabredzić głupstw, to coś dopiero mówić o masie pospółstwa ludzkiego. Nie rozumieli oni nic z niczego, a przecież wierzyli, że wszystko z wszystkiego rozumieją.

Dzięki swemu upartemu uporowi przeciwko wszystkim argumentom i dowodom, ślepy sceptyzm stoi na tym samym poziomie, co łatwowierność, tak, iż właściwie nie wie się wcale, co z obojga jest głupsze: czy wierzyć bez jakiegokolwiek dowodu, lub czy też wogóle nie wierzyć w żaden dowód. We swym niezrównanym dziele o obiegu krwi William Harvey pisze, że słyszał bicie serca w piersi. Pewien lekarz włoski odpowiedział mu: Złudzenie, całkowite złudzenie. W Londynie być może słyszał ton serca, w Wenecji nic o tem nie wiemy. Bernard de Pallise, Buffon i inni przyrodnicy stwierdzają, że w pewnych warstwach górskich znajdują się muszle skamieniałe. Voltairy, ów dowcipny i genialny Voltaire, usiłuje wmówić ludziom, że te szczątki zamierzchłej przeszłości przeniesione zostały przez pielgrzymów ze ziemi świętej i rozsypane w górach.

»Biedni ci nasi przodkowie.« Lecz nie szydźmy z nich, bo być może, że na tysiąc lat, albo jeszcze wcześniej, teorie nasze w dziedzinie fizyki, chemii, astronomii i medycyny będą tak przestarzałe, że tylko ten będzie o nich mówił, kto będzie je chciał wyszydzić. A jeżeli jaki znakomity profesor w przyszłości dalszej czytać będzie swym uczniom fragmenty z naszych dzieł dzisiejszych, wywoła tym tylko wybuchy śmiechu. I nasi uczniowie śmieją się z tego, gdy im dzisiaj mówimy o tym, że jeszcze przed 80 laty lekarze jednemu pacjentowi w ciągu kilku miesięcy niemniej niż dwieście razy puścili krew, i jak to jeszcze przed 50 laty chirurdzy tuż przed operacją instrumenty swoje wycierali w fartuch operacyjny.

Bądźmy skronni. Nasi praojcowie wydają się nam śmieszni. A my? Jakże nas sądzić będą nasi wnukowie? Zupełnie taksamo, jak my tamtych. Bo przecież jesteśmy »z tej samej gliny ulepieni, co i oni«.



# Bohaterki Powstania Listopadowego.



Marja Raszanowiczówna  
towarzyszka E. Plater,  
porucznik w Korpusie Giełguda.



Emilia Plater.



Antonina Tomaszewska  
odznaczyła się dzielnością,  
pporucznik w dywizji gen. Rólanda.

W głuchej puszczy, przed chatą  
[leśnika,  
Rota strzelców stanęła zielona,  
A u wrót stoi straż Pułkownika, —  
Tam w izdebce Pułkownik ich  
[kona  
Z wiosek zbiegły się tłumy  
[wieśniacze:  
Wódz to był wielkiej mocy  
[i sławy,  
Kiedy po nim lud prosty tak płacze  
I o zdrowie tak pyta ciekawy.  
Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,  
Konia w każdej sławnego  
[potrzebie  
Chce go jeszcze przed śmiercią  
[obaczyć,  
Kazał przywieźć do izby, — do  
[siebie.  
Kazał przynieść swój mundur  
[strzelecki,

Swój kordelas i pas i ładunki:  
Stary żołnierz, — on chce, jak  
[Czarnecki,  
Umierając, swe żegnać rynsztunki.  
A gdy konia już z izby wywiedli,  
Potem do niej wszedł ksiądz z  
[Panem Bogiem;  
I żołnierze od żalu pobledli,  
A lud modlił się, klęcząc, przed  
[progiem,  
Nawet starzy Kościuszki żołnierze  
Tyle krwi swej i cudzej wylali,  
Łzy ni jednej — a teraz płakali,  
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono  
[w kaplicy;  
Już przed chatą nie było żołnierza,  
Bo już Moskal był w tej okolicy.  
Przyszedł lud widzieć zwłoki  
[rycerza.  
Na pastuszym tapczanie on leży —  
W ręku krzyż, w głowach siodło  
[i burka,  
A u boku kordelas, dwururka.  
Lecz ten wódz choć w żołnierskiej  
[odzieży,  
Jakie piękne, dziewicze ma lica?  
Jaką pierś? — Ach, to była  
[dziewica,  
To Litwinka, dziewica—bohater,  
Wódz powstańców — Emilia  
[Plater!

A. Mickiewicz.



Emilia Plater w górze powstańców litewskich.



## W listopadzie.

Zdenerwowany wiatr zamiatał zeschnięte po ulicach liście,

Drżąca tajemnica krzyczała jesienną ciszą uroczyście,  
Łekliwe przecucie patrzyło z poza każdego domu węgła,

Iluzja nieufności szarej na przygnębieniu lic się łęgła...

Wiatr rzucił zimne krople deszczu, targał niemilosierźnie ciszę.

Jak rozpalone uczucia targały każdy nerw spiskowych,

Skoro zegarowe wahadło czyn przeznaczenia wykołysze,

Szczękanie spontanicznie orężem, aż pękną rosyjskie okowy...

Pożar na Solcu zagrał pobudkę: na pierwszy odgłos hufiec mały

Chciał wytoczyć juchę wampira, który polskie rozdzierał serca...

Zdołał umknąć — podszyty tchórzem... Nad całą Polską zolbrzymiały

Duch kreślił błyskawice zwycięstw — — lecz do wolności kobierca

Było daleko jeszcze, daleko.....

... Nim się rozwarło polskiej trumny wieko

I z krwi polskiej zrodzony, jak Feniks z popiołów,

Wyleciał wolny Orzeł szlakiem aniołów.....

Gustaw Przeczek.



Zdobycie kościoła na Woli przez Moskali.

## Powstanie Listopadowe w poezji.

Powstanie Listopadowe stworzyło niezwykle bogatą poezję patriotyczno-powstańczą, znaną dziś pod nazwą: liryki listopadowej. Rozwinęła się ona w iście błyskawicznym tempie jako barwny bukiet natchnień, myśli, uczuć i przeżyć charakterystycznych dla tej epoki, tak obfitującej w radosne horoskopy, w górne zamiary, w pełne poświęcenia i zapалу bohaterstwo, oraz w zmarnowane wysiłki, rozpaczliwym zamknięte zawodem.

Upadek Insurekcji Kościuszkowskiej, trzeci rozbiór Polski, tragiczne, a bezowocne ofiary Legionów Napoleońskich odebrały Narodowi nadzieję w możliwość zwycięskiej walki wyzwoleniczej i przyprawiły go o rozpacz. Wprawdzie Kongres Wiedeński przyniósł złudę niepodległości w postaci Królestwa Kongresowego, a car Aleksander I, przybierając na się tożę wielce liberalnego monarchy, ludził społeczeństwo polskie mglistymi obietnicami, które manily perspektywą

lepszego doli, — jednak swobody konstytucyjne, gwarantujące Polakom odrębny od Rosji ustój państwowy i niezawisłość wewnętrzną, stały się wkrótce fikcją, życzeniowość carska okazała się pozorną, a jego uczynki sprzeczne ze słowami.

Namiestnikiem Królestwa zamianowany został słabego charakteru generał Zajączek, naczelnym wodzem wojsk polskich — brat carski, dziki satrapa W. Książę Konstany, zaś pełnomocnikiem cesarza — przekupny i intrygancki, nienawidzący Polaków senator rosyjski, Nowosiłcow.

Wojsko polskie cierpiało okrutnie z powodu niesłychanej tyranii nowego wodza, który z łada powodu lżył je i znieważał czynnie. Na życiu prywatnym i społecznym ludności zaciążyła brzemieniem nie do zniesienia zaprowadzona przez Nowosiłcowa tajna policja, na wielką skalę uprawiająca szpiegostwo.



Ożywioną walkę za wzrastającą reakcją prowadziły liczne stowarzyszenia i konspiracyjne związki patriotyczne, zarówno w Królestwie, jak na Litwie i Rusi, lecz gdy w r. 1825 na trzecim z rzędu sejmie, — Aleksander, przybyły nań, ogłosił dodatkowy do konstytucji artykuł, znoszący jawność obrad — ostateczna desperacja ogarnęła naród.

Na starsze pokolenie depresja ta podziałała odrętwiająco, lecz dla młodego przeciwnie stała się lontem, przyłożonym do beczki prochu, rozdmuchując w nim zarzewie buntu przeciw gwałtowi, jarzmu i poniewierce. W obronie praw konstytucyjnych postanowiono wystąpić orężnie i wkrótce pod boki samego W. Ks. Konstantego, w faworyzowanej przezeń Szkole Podchorążych, powstał spisek, którego inicjatorem i głównym twórcą był młody podporucznik grenadierów, instruktor szkolny, Piotr Wysocki. Spisek ten rósł szybko w siły i znaczenie, rozprzestrzeniał się na prowincję, obejmował coraz to szersze kręgi i coraz liczniejsze grono patriotów wojskowych i cywilnych, lecz niestety nie wytknął sobie wyraźnego celu dla dalszej akcji, nie wyłonił z siebie silnego rządu rewolucyjnego i nie przygotował człowieka, któryby stanąwszy na jego czele poprowadził bohaterskie kadry do zwycięstwa.

To było przyczyną tragedii od pierwszej do ostatniej chwili całego przebiegu wypadków listopadowych.

»Godzina zemsty wybiła!« — wykrzyknął Wybicki pamiętnej nocy 29 listopada 1830 roku! Nie wybiła jednak niestety, tak bardzo upragniona godzina wyzwolenia na »zegarze dziejowym« losów Polski. Ochotnicy cisnęli się tłumnie, ludzi dobrej woli nie brakło, lecz twórcy spisku nie stało przerodzonych talentów i wiedzy, by móc stać się naczelnikiem sił zbrojnych powstania. Zeszedł też wkrótce z widowni, niemal zapomniany!

I czy tak nam już było sądzone i zapisane w księgach Woli Najwyższej, czy był to tylko wrogi nam zbieg okoliczności, że przez cały czas trwania rewolucji nie wybił się nikt godny stanowiska wodza, którego imię pociągnęłoby wojsko, a popularność porwała tłumy, przyczyniając się do powodzenia dzieła. Daremnie naród wyglądał go z upragnieniem i entuzjastycznie witał każdego nowoobranego, by wkrótce odwrócić się odeń z rozpaczą i pogardą, gdy za-wiódł pokładane w nim nadzieje.

Ani Chłopicki, ani Radziwiłł, ani Skrzynecki, ani żaden z czołowych generałów nie wykazał danych na dyktatora, nie umiał przekuć w czyn zapału patriotycznego rodaków, ani wyzyskać entuzjazmu bojowego żołnierzy naszych i konsternacji najeźdźcy, przeciwnie kunktatorstwo ich, niby popiołem, przytłumiło święty płomień listopadowego wybuchu.

Sily bojowe ówczesnej armii polskiej przy sprawnej organizacji były wystarczające, by zapewnić rewolucji pomysły wyniki. Jednak tragizmem chwili było to, że na starszych, okrytych sławą wojenną wiarusach napoleońskich przekleństwem ciążyło smutne doświadczenie tulaczki legionów na obczyźnie i stąd płynąca niewiara w powodzenie zamachu, przecenianie potęgi rosyjskiej i obawa daremnych ofiar, któreby nas tylko w głębszą pogrążyły mękę. Młodzi zaś wojskowi ze Szkoły Podchorążych, wychowani w ciasnych pętlach autorytetu W. Ks. Konstantego, wyćwiczyli się na świetnych oficerów liniowych, lecz nie posiadali szerszych horyzontów, a nieustępliwość regimu szkolnego raczej tłumila w nich przyrodzone zdolności, niż je rozwijała.

Zwycięzka bitwa pod Stoczkiem, krwawe wyczyny pod Wawrem, sławna Olszynka Grochowska, nęstwo partyzantkich oddziałów na Litwie, Żmudzi i Rusi oraz zwycięstwo jazdy Dwernickiego, bohaterstwo pułkownika Bema w przegranej bitwie pod Ostrołką i starego generała Sowińskiego, inwalidy bez nogi, który straciwszy wszystkich żołnierzy, sam jeden zginął na szafkach Woli, zakłuty moskiewskimi bagnietami, a także dobre rady generała Prądzyńskiego i wielu gorliwych patriotów a wreszcie triumfy i męczeństwa młodzieży i całego społeczeństwa, choć przyrzuciły wiele laurowych liści do wawrzynowego wieńca bohaterstwa listopadowego, jednak nie uratowały nas od niewoli, a wieniec sławy przysłoniły żałobne kiry.

Wszystkie wypadki i nastroje z tych dni chwały i grozy odzwierciedliła i uwieczniła dla potomności ówczesna pieśń rewolucyjna — górna i chmurna!

Nie małym wpływem na ideologię powstania listopadowego odbiła się »Oda do Młodości« Mickiewicza, według słów której potęgą zapału młodości jest tak wielka, że jest zdolna tęb trwać hydrze, i »zdusić scentaury«. Lecz rzecz osobliwa, że czołowe miejsce w poezji listopadowej zajął utwór Francuza Kazimierza Delavigne, przetłumaczony dwukrotnie na język polski przez naszych poetów, Br. Kicińskiego i Karola Sienkiewicza — z melodią układu muzyka Kurpińskiego, przypominającą nieco nutę Marsylianki. Zaszczepne swe obywatelstwo zyskała »Warszawianka«, nie tyle dzięki swej bojowej postawie, ile raczej z racji tego, że autor, wieszczym jasnowiedztwem jakby natchniony, zdołał odczuć najistotniejsze sedno hasła i cech listopadowej liryki i oddać je w takt serc powstańczych. Mamy więc w »Warszawiance« wszystkie motywy charakterystyczne dla poezji tej doby, a więc przede wszystkim apel do walki wyzwoleńczej, wyrażający sakramentalne pojęcie: »Na śmierć lub zwycięstwo!« Oto słowa »Warszawianki«:

»Oto dzień krwi i chwały,  
Oby dniem wskrzeszenia był.  
W gwiazdę Polski Orzeł Biały,  
Patrząc lot swój w Niebo wzbił.  
I nadzieją podniecony  
Woła do nas z górnych stron.  
»Powstań Polsko, zrzuć kajdany  
Dziś Twój triumf, albo zgon!«

Mamy dalej znany zew: »Do bronii!« w nieco odmienionym wariantcie:

»Hej, kto Polak, na bagnety!  
Hej, swobodo! — Polsko żyj!  
Takim hasłem cnej podniety  
Trąbo nasza wrogom grzmić!«

oraz apostrofę do wrogów

»Moskali, przeciw którym  
Pierś za Balkany stanie!«

i do niewdzięcznych Francuzów:

»Bracia, my wam krew dawali,  
Dziś wy dla nas nic, prócz łzy!«

Mamy i aktualną w owe czasy nawiązkę do okrutnej niedoli patriotów legionowych, zmuszonych daremnie walczyć za Ojczyznę na rubieżach świata.

»Lat dwadzieścia nasze męże  
Los po obcych ziemiach gnał,  
Dziś, o matko, kto poległ,  
Na twym łonie będzie spał!«

Mamy więc tu tak popularne dla ojczyzny miano matki, mamy też wspomniany:

Laur męczeński naszych braci.

Jest też tam mowa o symbolicznym pierścieniu, godłe ślubów z wolnością. Jest wreszcie wezwanie do Kościuszki i braci z za grobu słowami:

Błogosławcie bratni bóje.

Nie brak wreszcie apoteozy Orła Białego oraz apoteozy śmierci za wolność i Ojczyznę:

Leć nasz orle, w górnym pędzie!  
Ślawie, Polsce, światu służ!  
Kto przeżyje — wolnym będzie!  
Kto umiera — wolnym już!

Drugim takim utworem obcego pochodzenia, który zajmuje również czołowe miejsce w pieśniarstwie listopadowym jest wiersz niemieckiego poety J. Mosena, słynny: »Pulk czwarty« w przekładzie Brodzińskiego, zasadniczo różny tak w treści, jak w układzie i w nastroju od poprzedniego. To już nie surma bojowa, pełna nadziei w zwycięstwo, lecz krew mrozący w żyłach opis hekatombi najwaleczniejszego z pułków polskich, który pod wodzą pułkownika Bogusławskiego, bijąc się na bagnety, wyginał prawie doszczętnie, tak, że ledwo garstka zeń, zostawszy przy życiu, przedarła się przez granicę do Prus, gdzie została rozbrojona. Oto pierwsza zwrotka tej pogrzebowej wieśni:

Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę,  
Przysięga klęcząc: świadkiem naszym Bóg!  
Z bagnetem w rękę pójdzie w świętą sprawę,  
Śmierć hasłem naszym, niechaj zadrży wróg!  
Już dobosz zagrzmiał, już sojusz zawarty  
Z panewką pustą idzie w bój pulk czwarty.

A oto ostatnia:

Dziesięciu mężów oblakany krokiem  
Przychodzi chwiejnie pod graniczny słup.  
Ciekawym zewsząd patrzą na nich okiem  
Z nich każdy idzie, jak bez życia trup.  
— Kto idzie? Stójcie! — Krzykną obce warty.  
— My to dziesięciu — cały nasz pulk czwarty!

Ideologia rewolucji listopadowej był nie tylko kult śmierci ofiarnej na ołtarzu miłości i wolności ojczyzny, ale i walka o swobodę dla innych; Polacy bowiem uważali się niemal za pionierów wolności narodów, za jej czcicieli największych, za jej obrońców i patronów, hasło tak popularne wówczas za Zachodzie, zostało u nas wyidealizowane jeszcze.

Wobec takiego ujęcia sprawy i Powstanie Listopadowe wydawało się by nie tylko miejscową rozgrywką o wskrzeszenie Polski, ale także misją dziejową, świętą krucjatą wolnych przeciwko hordzie najeźdźców, to też śpiewano:

Krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy,  
Nie chcemy mordów, do łupieństw niezdolni,  
Tylko odzyskać Ojczyznę pragniemy  
Tylko być wolni!...

Wyjątek słów Wybickiego z pieśni »Do Boga«. Wobec takich przekonań śmierć wydawała się wyzwoleniem, w myśl hasła:  
»Kto umiera — wolnym już!«

\*\*\*

## Wojsko Polskie z 1830 r.



Wolny strzelec Grothusa — Pułk IV Ułanów »Dzieci Warszawskie«.



Oficer Inżynierów — Artyleria: tektona — plesza — konna gwardii.



Pułk IV Linowy — Pułk I Strzelców Konnych — Oficer i szeregowiec Kurpików.





Bitwa pod Stoczkiem — Mal. Jan Rosen.

Grzmią pod Stoczkiem  
[armaty,  
Błyszcą białe rabaty,  
A Dwernicki na przedzie  
Na Moskala sam jedzie.  
Hej za lance chłopacy!  
Czego będziemy tu stali?

Tam się biją rodacy,  
A myż będziemy słuchali?  
Chodźwa trzepać Moskali  
Bo dziś Polska powstała  
Niech nam Polski nie kała,  
Hej, zabierzwa mu działa!  
Generale, to chwaty!

Od lewego tam skrzydła  
Wiodą cztery armaty,  
I Moskali, jak bydła!  
Lecą, lecą wzdłuż błonia,  
Grzmią krakowskie kopyta,  
A Dwernicki wspiął konia  
I okrzykiem ich wita:

— Dzielnieście się spisali!  
Zawsze Polak tak bije!  
A krakusy wołali  
— Nasza Polska niech żyje!

W. Pol.

### **Ostatnie słowa bohatera**



Śmierć gen. Sowińskiego w dniu 6 września 1831 r.  
na stopniach ołtarza kościółka wolskiego.

Gdy trzechset dział gromy  
[grzmiące,  
Dały hasło na bój krwawy,  
A moskiewskich rot tysiące  
Biegły na szanice Warszawy,  
Garstka naszych, za wałami,  
Przy wolskim skryta kościele,  
Witając wrogów strzałami,  
Z ich trupów wał drugi ściele.  
Wódz o szczudle im przywodzi —  
Włos jego kryje siwizna,  
Lecz młodzieńczą siłę rodzi,  
Honor, wolność i ojczyzna.  
Wreszcie wszyscy wyginęli  
I Sowiński sam zostaje.

Poszanowaniem przejęty  
Dowódca wrogów się zbliża:  
„Krzych pardon!” — zdala wzywa,  
„Szaleństwem jest śmiałość taka.”  
Sowiński pierś mu przeszywa:  
„Oto jest pardon Polaka!”  
To były słowa ostatnie  
Zsiwiałego bohatera.



## Rekwizycja szperek.

(Wspomnienia z czasów wojny światowej.)

Jędryś Kidoń wymiatał miotełką piec kuchenny a żona jego, Maryna Kidońska, robiła masło. W tym rozwarły się z trzaskiem drzwi od sieni a do kuchni wpadła z oznakami największego przerażenia sąsiadka Hanula Gawłaska.

— Jezu Kryste, ludzie... — wrzasnęła, nie dokończywszy zdania, bo potknęła się o maślniczkę i runęła jak długa na podłogę. Maślniczka wywróciła się na nią, oblewając ją obficie gęstą śmietanką.

— Kyrie elejson, sąsiadko, co robicie! — krzyknął Kidoń, podnosząc Hanulę z ziemi i walając ją całą sadzą.

— Nale wiecie — zawołała sąsiadka, przychodząc do siebie, — to już je sumeryja, co się robi. Bezmali zaś fojt chodzą z jakąś konwisyją po dziedzinie i szpyrki rekwirowują.

— Dłobości — załamali Kidoniowie ręce. — Toć już nas teraz ze wszystkiego obdzierają! A kaj teraz są?

— U Bortliczka na Zolesiu, ludkowic mili! Bezmali mu całą świnie z koryta zebrali. Tak jesi co mocie, to schowajcie, bo wam te psi pakaże wszystko zbierać! Tym więcej, że z fojtem w złości żyjecie.

To powiedziawszy wypaliła z kuchni i puściła się, obłana śmietaną i zamorusana sadzą, do następnej chałupy z ostrzegawczą wieścią.

— Jak nejpędzy szpyrki schować! — zacydował Kidoń szybko.

— Ale kaj? — odparła na całym ciełe drżąca baba.

— A to już chyba na górze pod »sypanim«.

— Akurat że tam — przytwardzała nieco uspokojona Kidońska. — Tako ci tam dziura ukryto, pram na schowani szpyrek dobro.

Więc też nie tracąc czasu, pobiegli szybko do komory, zdjęli z haków uwędzone szperki i przy pomocy służącej Hanka ukryli je starannie w lochu pod »sypaniem«.

— Ani djabeł ich tu teraz nie wysznupie — uspokajał się Kidoń, zatykając dziurę starannie deską i cegłami.

— Żebyś mi Hanka nikaj nic nie fulała, kaj momy szpyrki, — ostrzegała Kidońska dziewczkę, grożąc jej palcem.

— Kajtać też tam — zapewniała Hanka swą dyskrecję. — Ani bych pyskiem nie ruszyła, moja gazdzinko.

— No tak — dorzucił ze swej strony Kidoń.

— Bo jakbyś myrcho kaj co drzysła, tobych ci gryzok rozwalił. Bo też ty mało co w gębie udziereć możesz. No ale teraz chytajmy się dali naszej roboty, bo już bec koło południa.

I zeszli ze strychu do kuchni. Tutaj dopiero uprzytomnili sobie, że masła nie będzie można zrobić, bo śmietana rozlała się z wywróconej maślniczki szeroką brudną kałużą po całej podłodze.

— Też ta szolono. Hana wpadła jak potrzask do kuchni — złościł się Kidoń. — Szkoda śmietonki i masła.

— Nale dyć nie hócż stary — uspakajała go żona. — Gdyby nas Hanula nie opamiętała, przyslibyśmy o całe szpyrki.

— Bajić że tak — przyznał udobruchany nieco gazda Kidoń. — Ale zawsze szkoda pore ćwiertek masła. Wiesz, jak teraz mieszczanie taki rzeczy przepłocają. A grejcarek dycki się przydo, ale kaj też ta pierońsko konwisyja teraz je?

— Może do nas przydą dziepro po południu.

— Może bajić tak. A ty Hanka idź se teraz do swojej roboty i to ci padom, żebyś skyrś tych szpyrek pary z pysku nie puściła. W sobotę kupię ci zato w Cieszynie u Lewińskiego szumną szatke.

Komisja rewizyjna z powodu nawału pracy nie zdążyła już w tym samym dniu do Kidoniów przybyć. Oczekiwali ich w następnym dniu.

Dziewka Hanka, wierna danemu słowu, nie puściła faktycznie przez cały dzień ani pary z gęby gwóli tych szperek schowanych, a dopiero pod wieczór zwierzyła się matce w sekrecie, iż służbodawcy jej schowali szperki na strychu pod »sypaniem«.

— Jyny żebyście też mamulko co kaj nie drzynęli — zaklinała mamę na wszystkie świętości.

— Kajtać też tam, moje dziecko — zapewniała matka. — Dyćby z tego było straszne piekło.

— Tak powiedzcie mamulko trzy razy »dalibóg« i piznijcie się w piersi, że nic nie powiecie — zażądała jeszcze córuchna.

— Dalibóg, dalibóg, dalibóg — biła się stara matka w wychudłe piersi, aż trzeszczało. — Nic bój się, nic nie powiem. Nale te bestje Kidonie, to oni jeszcze tela szpyrki mają? Mój Boże, a jo biedno kumornica ni mom raziutko ziemnioki czym pomaścić!

— Wiecie co mamulko? w nocy wylezę po kryjomu na gazdową górę, pajtnę nożem klin szpyry i przyniesę wam.

— Dobrze, dobrze — moje dziecko. Zrób to, chyba że i Pónbóczek nie bec miał nic przeciw temu, że się bogatym coś ujmie a ubogim do. Pónbóczek je przeca sprawiedliwy.

Kiedy Hanka opuściła matkę, poszła ta do wójtów na wieczorną pogadankę, w których była na »kumorze«. Zastała samą wójtową, gdyż mąż jej siedział jeszcze z komisją w gospodzie i zestawiał wykaz zrekwirowanej w gminie szperki.

— Cosik bych wam jeszcze pedała, roztoniło fojtko — zwierzała się komornicą pod koniec rozmówki.

— Na cóż też takigo, mówcie — nalegała zaciekawiona wójtowa. — Wy zawsze umiecie człowieka jakąś nowością rozweselić.

— Jyny byście się musieli fojtko trzy razy w piersi rypnąć i »dalibóg« pedzieć, że nie beecie nika padać, co wam teraz padać będę.

— Dolibóg, dolibóg, dolibóg i jeszcze roz dolibóg. A teraz mówcie prędko, bo pękne z ciekawości.

— A przedewszystko żebyście tego swojinu chłopu nie pedzieli.

— Jezu Chryste — zniecierpliwiała się już wójtowa — na dyć mówcie już co, mówcie. Padom wam, że pary nikomu nika nie puszcze.

(Dok. nast.)



## Dział regionalny

**Ej! w lesie,**

**w lesie pod sosną ....**

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.

Śpiewała: Al. Cieślarkowa z Łazów.



1. Ej, w lesie, w lesie pod sos - ną, tań - cu - je bra - ci - szek ze sio - strą,



Tak do - brze sie im tam tań - czy - ło. bo im tam słó - necz - ko świe - ci - ło.

2. Pójdźmy tu braciszku ztela precz, bo by nas źli ludzie wziyni w rzecz,  
Bo też tu są ludzie takawi, co jedyn drugigo obmówi.

P. Kawulok.

### **„Ciupel“.**

Na połudn.-zachodniej granicy Nawsia niedaleko Kozubowej, wznosi się stożkowaty pagórek, zwany przez miejscową ludność »Ciupel«. Na samym wierzchołku tego »Ciupla« są porozrzucane kamienie i głazy, których wokół nie ma. Otóż o »Ciuplu« tym, względnie o tych kamieniach istnieje następujące podanie:

Pewien »gazda« z okolicy miał starszego pastucha, który wypasał bydło na tutejszych pastwiskach i szalasach. Pewnego razu zauważył jak jedna z jałówek znika na pewien czas od stada. Zaciekawiony pasterz pomyślał: — »Na kany też ty bezkurcyjo gónisz, isto kansi na morową trowe, kiero ci słózi, bo jużże niejszumniejszo ze stada. Muszim dać na ciebie pozór.« To pomyślawszy, pasterz iął pilnie obserwować jałówkę. Naraz zauważył, jak jałówka nie-spostrzeżenie wymyka się od stada, jakby się bała, ażeby nie zauważono jej nieobecności. Pasterz ostrożnie poczał iść za nią.

Szedł długo, w górę, w dół, przez potok, to znów przez gąszcz nieprzebyty. W końcu jałówka znikła zupełnie tak, iż nawet łamanie suchych gałązek pod raciami ustało zupełnie i ślady wyciśnięte w ziemi znikły.

Zakłopotany pasterz nie wiedział co robić. Zrezygnował z rozwiązania zagadki i już miał wracać do stada, gdy nagle wzrok jego padł na niedaleki stożkowaty pagórek. — »Tam jeszcze wyndym i podziwom sie dołokoła, jesi ji kany nie-luwidzim.« To pomyślawszy iął się wdrapywać na ów pagórek. Uszedłszy kilkaset kroków, omal nie krzyknął ze zdziwienia. Cały wierzchołek pagórka usłany był jakimiś kamieniami, które błyszczały w zachodzącym słońcu tysiącami światełek. Przy jednym z tych kamieni stała spokojnie owa jałówka, liżąc go. — »Na bodej by to była sól? Musim to sprugować« — pomyślał i obuszkim odłupał kawałek i dał do ust. — »Prowdziwo sól,« krzyknął głośno tak, iż przelekniona jałówka uciekła.

»Jak to gazdowi powiym łó tej soli, to mie jisto wynagrodzi i do mi jednóm ze swojich chałup.« Cieszył się pasterz i z radości popędził ile sił starczyło do swego bydła, nie dbając o ciernie, które kawałami rwało jego ubranie, raniło ręce i twarz, z której krew się polała ciurkiem. Wieczorem, gdy pastuch spędził bydło do domu, baby podniosły wielki lament. — »Jisto wilk lebo zbój, napód na naszigo pastyrza, bo je cały łokrwawiony i zedrity.« — »Wszicko jedno, niech sie robiło co chciało, jyny że mocie krowy wszecki,« odparł pasterz krótko, a kobiety znając jego naturę »trochem dziwnóm«, dały mu spokój, nie wypytywały już, wiedząc, iż później sam to ochotnie opowie.

Wieczorem gdy był sam z gospodarzem, wyjawil mu swoją tajemnicę o odnalezieniu pokładów soli, pod warunkiem, że gazda da mu jakąś nagrodę. — »Już io ci dóm nagrodym, dóm, jyny mie tam zakludz kany łuna je,« rzekł gazda łakomie.

»A bedzieś ty pamiętoł to miejsce, kany ta sól je?« pytał gazda, gdy byli już gotowi do drogi.

»Na toć, dobrze pamiętoł to miejsce, je to na »Ciuplu« odpowiedział pasterz. Dwa cienie przedzierały się przez zarośla, dążąc do »Ciupla«, zagadkowego miejsca pokładów

soli. Księżyc w pełni niby gasnąca żarówka oświecał im drogę.

»Nó, tu je to miejsce,« cicho rzekł pasterz do gazdy, gdy przyszli na miejsce. Gazda zdumiał się na widok tylu głazów solnych. — »Ale czy tesz to jyny je prowdziwo sól?« rzekł gazda powątpiewając.

»Ale, prowdziwo sól, gazdoszku, prowdziwo,« zapewniał pasterz, »jyny skosztujcie jako łuna szmakuje.« To powiedziałwszy podał gazdowi kawałek.

»Nale parcie, tako fajno sól,« dziwił się gazda. Długo tak stał milcząc. Myśli toczyły walkę. Serce ścisnęło się łakomstwem wielkim. Nie chciał żeby kto inny także wiedział o tym bogactwie. »Łó tej soli nie śniy żodyn wie-dzieć,« pomyślał gazda i popatrzał złowrogo na pastucha. Lecz ten nie zauważył tego.

»Jano, siednij se tu ku mie, powiym ci cosi,« rzekł gazda do pastyrza, siadając na jednym z głazów solnych. Pasterz usłuchał. »Poczkej jeszcze na chwile, muszim jeszcze tą sól poczeszkać, czy łuna je prowdziwo!« To mówiąc, gazda dźwignął olbrzymi głaz do góry, wysoko, bowiem miał w rękach siłę niedźwiedzia. »Ale je to prowdziwo sól, ciężko jak sto diablów,« rzekł, trzymając głaz wysoko. Za chwilę dodał chytrze »Jano, dziwej sze, gwiozda leci ponad Łostry, isto bedzieś miol szczęścił.« Pasterz nie domyślając się nic złego, spojrział na Osty, gdy w tym... padł mu na głowę głaz solny ciśnięty z ręki gazdy. Poto-czył się w dół, zmiażdżony, nie wydawszy nawet jęku. »Do teraz żesz mi dowoł pozór na bydło, a teraz mi beś wachowoł, aby mi gdo tej soli nie łukrot,« powiedział gazda z szatańskim uśmiechem na ustach. Potem się zaczęły straszne dziwy robić na »Ciuplu«, straszne, straszliwe a sól zmieniała się na złomy skalne. Tak głosi podanie.

\*\*\*

### **Pamiętki polskie w Karlsbadzie.**



Pomnik Fryderyka Chopina.





Skała Polska.

Kultura polska za czasów Austrii promieniowała nie tylko w Galicji i na Śląsku. Jej wpływy sięgały nawet do samych Czech. Tak np. w Karlsbadzie, znanej to miejscowości kąpielowej (obec. nazwa Karlový Vary), u źródeł których szukają zdrowia corocznie tysiące osób z kraju i zagranicy, dzięki kuracjom polskim powstały piękne pamiątki. Są to przede wszystkim pomniki Adama Mickiewicza i Fryderyka Chopina. Bardzo ładną jest też Skała Polska z Orłem Polskim, Matką Boską i różnymi napisami. Obok zamieszczamy zdjęcia tych pamiątek polskich.

\*\*\*



Pomnik A. Mickiewicza.

## Ciekawostki staropolskie.

Jak Radziwiłł »Panie-kochanku« nauczył się abecadła.

Sławny ze swych przygód i niepohamowanej wielkopańskiej fantazji, książę wojewoda Karol Radziwiłł, od używanego nieustannie zwrotu przezwany „Panie-kochanku“, nie zdradzał w młodości najmniejszego zamiłowania do nauki. Do szesnastego roku życia nie potrafił rozróżnić ani jednej litery. Pasjonował się konną jazdą, polowaniem, ale do nauki nie podobna go było przymusić, gdyż przydzielonym sobie nauczycielom przeciwstawiał się w sposób wykluczający jakiekolwiek nalegania czy namowy. Martwiło to księżną-matkę, niewiastę na owe czasy wielce wykształconą i dla nauk z wielkim będącą uznaniem. Cóż, gdy do synalka czuła słabość i do niczego przymuszać nie chciała. Ogłosiła więc publicznie, że temu, kto dokaże tej sztuki i książkę bez sprzeciwiania się mu potrafi nauczyć czytać i pisać, ciepłą ręką na własność wypuści dwa piękne folwarki. Jakoż zgłosił się szlachcic nazwiskiem Piszcząło i od razu wziął się do rzeczy w niezwykle, a jak się okazało, jedynie skuteczny sposób. Oto na wielkiej tablicy wypisywał kredą litery, księcia ustawiał o kilkanaście kroków z pistoletem w rękę i mówił: „To jest „a“, wal w szelmę!“ Młodemu księciu wielce się taka zabawa podobała, strzelał do coraz innych liter, mimowoli zapamiętując sobie ich kształt, potem strzelał do podanych przez pana Piszcząło liter na wyrywki, aż niespostrzeżenie nauczył się odczytywać całe wyrazy, a potem i zdania. Z nauką pisania poszło już łatwiej i pan Piszcząło dostał przyobiecane dwa folwarki, a nadto został ulubionym młodego księcia towarzyszem zabaw.



Z naszej teki starych dokumentów: Akt uwolnienia od ciężarów pańszczyźnianych.



## Nagrody Gordon Bennetta.

W Warszawie, w lokalu Aeroklubu R. P., odbyła się uroczystość rozdania nagród uczestnikom zawodów balonowych o puchar Gordon Bennetta. Obecni byli przedstawiciele rządu, wojska, korpusu dyplomatycznego i liczni przedstawiciele lotnictwa, jak również zagraniczni uczestnicy zawodów. Zwycięzcy tegorocznych zawodów, acronaucie belgijskiemu — Deinuyterowi, wręczono puchar Gordon Bennetta. Poza tym otrzymał on dla Aeroklubu Belgii nagrodę Pana Prezydenta Rzplitej. Zdobywcy II-go miejsca, boliaterska załoga »L. O. P. P.« — kpt. Janusz i por. Brenk otrzymali drugą nagrodę regulaminową (7.000 zł.), nagrodę p. prezydenta m. Warszawy i nagrodę L. O. P. P.

## Międzynarodowe imprezy narciarskie.

Terminarz ważniejszych międzynarodowych imprez narciarskich w nadchodzącym sezonie przedstawia się nast.:

9—10 stycznia mistrzostwa Anglii w Grindenwaldzie; 16—17 stycznia międzynarodowe mistrz. Szwajcarii w kombinacji alpejskiej; 23—31 stycznia międzynarodowy tydzień w Garmisch Partenkirchen; 30—31 stycznia mistrzostwa Holandii w Arossa; 30 stycznia do 2 lutego mistrzostwa Austrii w kombinacji alpejskiej w miejscowości Ischl; 30 stycznia do 3 lutego mistrzostwa Węgier w Matra; 30 stycznia do 6 lutego mistrzostwo Czechosłowacji w Neuschl; 2—7 lutego zimowe igrzyska akademickie w Zell am See (z udziałem Polaków); 6—7 lutego mistrzostwa Austrii w kombinacji alpejskiej w Innsbrucku; 9—15 lutego mistrzostwa Niemiec w Altenbergu; 12—14 lutego mistrzostwa Finlandii w Kajana; 12—18 lutego mistrzostwa świata w Chamonix (z udziałem Polaków); 18 lutego — kilometr lancé w St. Moritz; 21 lutego Parsenn Derby w Davos; 21—23 lutego mistrzostwa Niemiec w kombinacji alpejskiej w Rottach; 24—28 lutego zawody Holmenkollen w Norwegii; 27—28 lutego mistrzostwa Szwajcarii w Bernie; 2—4 marca mistrzostwa Szwecji w Oernskoeldsvik; 4—6 marca mistrzostwa Norwegii w Toensberg; 7—8 marca zawody zjazdowe Arlberg-Kandahar w Miirren; 3—4 kwietnia mistrzostwa Finlandii w kombinacji alpejskiej w Salla.

## Łyżwiarские mistrzostwa świata i Europy.

Międzynarodowa Federacja Łyżwiarская ustaliła nast. terminarz mistrzostw łyżwiarских świata i Europy na sezon zimowy 1936-37, a mianowicie:

30—31 stycznia mistrzostwa Europy w jeździe szybkiej panów i mistrzostwa świata w jeździe szybkiej pań.

2—3 lutego akademickie mistrzostwa świata w jeździe figurowej w Zell am See.

6—7 lutego mistrzostwa Europy w jeździe figurowej pań i panów w Pradze.

12—14 lutego mistrzostwa świata w jeździe figurowej w Wiedniu.

13—14 lutego mistrzostwa świata w jeździe szybkiej panów w Oslo.

20 lutego mistrzostwa Europy w jeździe parami w Amsterdamie.

## Dział kobiecy

### Apteczka domowa.

Każda gospodyni domu, matka a szczególnie na wsi jest zarazem i lekarką domową — udziela bowiem pierwszej pomocy członkom swej rodziny czy też nawet sąsiadom. Dlatego też w każdym domu powinna być mała apteczka domowa. Jak taka apteczka ma wyglądać, co się tam ma znaleźć podaję niżej.

Na apteczkę przeznaczymy jakieś pudełko, które przechowujemy w suchym miejscu. Winny się tam znajdować:

1. Termometr lekarski: kto ma temperaturę powyżej 37° jest chory.

2. Buteleczka z jodyną (z ciemnego szkła i ze szklanym korkiem) do smarowania małych ranek, miejsc stłuczonych, obolałych. Smarować watą, którą należy wyrzucić po jednorazowym użyciu.

3. Kilka bandaży większych i mniejszych w opakowaniu.

4. Paczka waty czystej też w opakowaniu.

5. Ceratka do kompresów (okładów).

6. Kwas borowy: łyżeczka na szklanek ciepłej wody do płukania gardła.

7. Waselina borowa: Smarować przy katarze nosa, odparzeniach i pryszczach.

8. Olej rycynowy: Dla dorosłych łyżkę stołową, dla dzieci łyżeczkę kawową w celu przeczyszczenia.

9. Soda stołowa: Na koniec noża zapijając wodą przy zgadze, odbijaniu, posypywać miejsca oparzone.

10. Krople miętowe: Przy mdłościach, wymiotach i rozstroju żołądka po 15 do 20 kropli w łyżce wody.

11. Krople walerianowe: Przy atakach nerwowych i osłabieniach po 20 do 25 kropli w łyżce wody.

12. Amoniak: Do wacowania przy mdłościach i zemdleniach. Smarować przy ukąszeniach przez owady, np. pszczoły.

Dobrze też jest mieć zawsze w domu trochę suszonych ziół jak: rumianek, maliny, mięty, piołun, dziki bez i inne.

M. U.

## Nasze sprawozdania.



Chór męski M. Sz. w G. Suchej, który przy Zawodach Śpiewaczych w Śr. Suchej, dnia 18 października 1936 uzyskał drugie miejsce.



Chór mieszany M. Szk. w G. Suchej uzyskał w tych Zawodach trzecie miejsce.



## Odpowiedzi Redakcji.

Wszelkie listy i artykuły nadesłane nam w związku z polemiką na temat pracy młodzieży polskiej, która pojawiała się na łamach »Dziennika Polskiego« omówimy, względnie umieścimy w numerze następnym.

\* \* \*

## Komunikaty.

### Kurs charakterystacji.

Sekcja teatralna przy Zarządzie Głównym Macierzy Szkolnej urządza kurs charakterystacji teatralnej, a mianowicie:

1. w niedzielę 15 listopada 1936 od godz. 13-tej w szkole wydziałowej w Cz. Cieszynie dla powiatu Cz. Cieszyn,
2. w niedzielę 29 listopada 1936 od godz. 9-tej rano w sali »Praca« w Karwinie dla powiatu frysztackiego.

W kursach powinni wziąć udział wszyscy amatorzy i amatorki. Przynieść należy z sobą: szminki, lusterko stojące, wazelinę, puder, ręcznik.

Kurs będzie prowadził p. dyr. Karol Berger, przewodniczący sekcji teatralnej przy Zarządzie Głównym Macierzy Szkolnej.

\* \* \*

### Premiera krotowhili »Li-czang-szaj« K. Bergera.

Znany autor sztuk scenicznych K. Berger napisał nową rzecz. Jest to egzotyka, gdyż akcja odgrywa się w Chinach w międzynarodowym mieście Szanghaj. W pierwszym akcie w domu Gorczyńskiego, przedstawiciela polsko-chińskiego towarzystwa handlowego, w drugim i trzecim w ruinach starej świątyni buddyjskiej. Występują dwaj Polacy, jedna Polka, czterej Chińczycy, jedna Chinka i jeden Anglik. Stary brzydko kupiec chiński, z którym Gorczyński utrzymuje stosunki handlowe, zakochuje się na śmierć w pięknej Stasi, córce Gorczyńskiego, oczywiście bez wzajemności. Postanowił ją przeto gwałtem uprowadzić, co mu się jednak nie udaje, dzięki interwencji zazdrosnego o swą narzeczoną drugiego Chińczyka, oraz młodego antropologa polskiego.

Premiera tej sztuki odbędzie się w niedzielę, 22 listopada b. r. w sali polskiej szkoły wydziałowej w Cz. Cieszynie o godz. 19-tej. Odegra ją znany zespół cieszyński, pod reżyserią samego autora. Obsada ról daje gwarancję, że premiera wypadnie znakomicie.

**CZ. CIESZYN.** Chór męski M. Szk. w ramach 5-lecia swego istnienia urządza w niedzielę 15 listopada b. r. w sali pol. szk. wydz. Uroczystą Akademię z okazji 18 rocznicy odzyskania Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, na program której złożą się występy chóru, inscenizacje i zbiorowe recytacje. Początek o godz. 18. Dobrowolne datki.

**MISTRZOWICE-KONIAKÓW.** Koło Macierzy Szkolnej w Mistrzowicach-Koniakowie urządza dnia 22 listopada 1936 (niedziela) o godz. 6-tej wieczorem w sali na »Fibakówce« »Dzień Macierzy« z następującym programem: 1. Referat o znaczeniu »Dnia Macierzy«. 2. Deklamacja. Następnie miejsc. Kółko amatorskie odegra sztukę śląską K. Bergera p. t.: »Wiosna ludów« (powstanie w Końskiej r. 1848).

\* \* \*

## »Polacy Zagranicą«.

Ostatni, listopadowy numer miesięcznika »Polacy Zagranicą« przedstawia się zarówno pod względem doboru artykułów, jak i układu technicznego okazale. Otwiera numer »Hasło« Wacława Sieroszewskiego, w którym sędziwy Autor rzuca pod adresem wszystkich Polaków, zarówno mieszkających w kraju, jak i zagranicą, wezwanie, aby przez pracę dla własnego narodu dążyć do podniesienia całej ludzkości.

Dr. Czesław Kulikowski, zdając sobie sprawę z niedomagań gospodarczych w okresie kryzysu Polonii Brazylijskiej, otwiera dyskusję artykułem »O zapoczątkowaniu ruchu spółdzielczego wśród Polaków w Brazylii«. Również dyskusyjny charakter nosi artykuł W. Orzelskiego o zagadnieniach młodzieżowych na terenie Polonii amerykańskiej. Jest to zagadnienie kapitalne i artykuł powinien wywołać żywe zainteresowanie.

Ożywiony tegoroczny ruch wycieczkowy Polaków z zagranicy do Polski omawia Wł. Oszelda w swym artykule p. t. »A jednak »Stary Kraj« wabi i przyciąga«.

Obok licznych korespondencji z terenów osadniczych i emigracyjnych, ostatni numer miesięcznika »Polacy Zagranicą« poświęca również trochę miejsca doli tułaczey innych grup narodowych, w tym wypadku Gruzinom.

Przewodnik oświatowo-wychowawczy — obok prac programowych i korespondencji z terenów — przynosi wspomnienie o Henryku Sienkiewiczze z okazji listopadowych dni sienkiewiczowskich. Zaś dział sportu i wychowania fizycznego przynosi wśród innych prac ciekawy artykuł Z. Korośdowicza »Polski sport wysokogórski«.

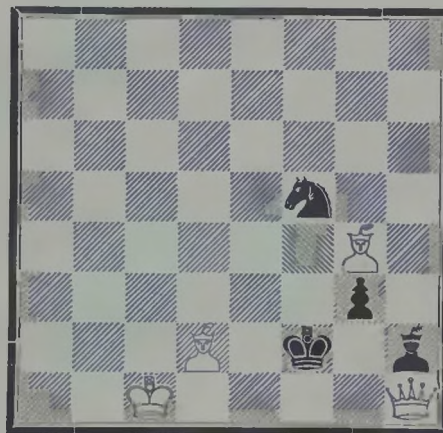
Wiele miejsca poświęcono w ostatnim numerze harcerstwu polskiemu zagranicą.

Uzupełniają numer liczne piękne ilustracje.

\* \* \*

## Kącik szachowy.

**Exarne:** Kf<sub>2</sub>, Sf<sub>5</sub>, Gh<sub>2</sub>, Pg<sub>3</sub> (4)



**Białe:** Kc<sub>1</sub>, Hh<sub>1</sub>, Ge<sub>2</sub>, Gg<sub>4</sub> (4)

Białe zaczynają i matują w drugim posunięciu.

**Rozwiązanie z Nr. 19.**

1. Sd<sub>4</sub>—e<sub>6</sub>
1. Dowolnie.
2. W, S albo G mat,

**Biuro Zrzeszenia Organizacji Młodzieży Polskiej  
w Czechosłowacji (Cz. Cieszyn, Polonia I p., red. »Ogniwa«)**

**jest czynne codziennie od godz. 9—16 (bez przerwy  
obiadowej)**

**we czwartki od 9—19**

**Prezydium urzęduje każdy czwartek od 16—19**

**prezes we wtorki i czwartki od 10—12 w pol. gimn. real. w Orłowej**





— Podziwaj się stary, z tego lotnika musi być morowy kurzok!

\*\*\*

## Na wojnie.

W całej armii nie było większej pary przyjaciół jak Tom i Bob. Niestety, pewnego dnia, podczas bitwy nad Sommą pocisk urwał Tomowi obie nogi.

Nieszczęśliwy cierpiał strasznie, miał jednak siłę dowlec się do Boba i poprosić go o zanieśienie do ambulansu. Bob wziął przyjaciela na plecy i popędził z nim wśród gradu kul. Ogień niebezpieczny był tak gwałtowny, że inny odłamek pocisku urwał Tomowi głowę. Nareszcie Bob przybył do ambulatorjum.

— Doktorze, przynoszę mego przyjaciela! Jest ciężko ranny!

— Ależ to trup! Niema przecież głowy!

— A to łgarz — woła Bob z oburzeniem. — Mnie powiedział, że mu szrapnel urwał tylko nogi.

\*\*\*



Hipnotyzer chciałby, a nie może zasnąć.

## Względy handlowe.

Złodziej skazany na areszt do sędziego:

— Proszę pana sędziego, czy nie mógłbym odsiedzieć kary za trzy miesiące?

Sędzia: — A to dlaczego?

— Bo mamy właśnie teraz sezon.

\*\*\*

## Wy tłumaczył.

Pewien zamożny człowiek, rozczulony przez żebraka losem jego żony i dzieci, udzielił mu większej jałmużny, niż to bywa w zwyczaju. Po pewnej chwili spotyka go w restauracji jedzącego ostrzygi i nie może się wstrzymać od wymówek.

— Panie — odpowiada żebrak — ma pan rację, ale niech mnie pan też wysłucha. Jak nie mam pieniędzy, to nie mogę jeść ostrzyg, jak mam pieniądze, to także nie mogę jeść ostrzyg, kiedy ja będę jadł ostrzygi?

\*\*\*

## Bardzo proste.

— Marysiu! — mówi pani domu do służącej — aż sześć bluzek dała Marysia do prania! Dlaczego tak dużo? Przecież panienka dała tylko dwie!

— Bo panienki narzeczony jest studentem a mój kominiarzem...

\*\*\*

## Uprzejmość i wytworność.

— Przepraszam — mówi młodzian, wchodząc do sklepu — ale widzę u pana na wystawie plakat, głoszący, że pan poszukuje uprzejmego młodego człowieka o wytwornych manierach. Czy mogę się zgłosić jako kandydat?

— Bardzo mi przykro, ale już od wczoraj to miejsce jest zajęte.

— To dlaczegoś, cholero, bydlaku skończony, nie usunął z wystawy plakatu?

\*\*\*



## Mały dyplomata.

Staś (który się podczas wizyty okropnie nudzi):

— Mamusiu, zdaje mi się, że już powinienem pójść do łóżeczka.

\*\*\*



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*

*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFORMACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*

## **Gen. Rydz-Śmigły Marszałkiem Polski.**



P. Prezydent Mościcki wręcza Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi buławę marszałkowską na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie.





Marszałek Edward Śmigły-Rydz, po otrzymaniu buławy marszałkowskiej, przemawia do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

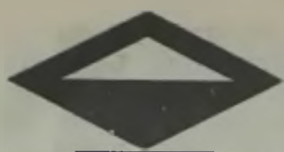


Buława marszałkowska, dzieło sztuki rytowniczej polskiego rzemieślnika jest wykonana z oksydowanego srebra i odznacza się wielką prostotą i szlachetnością w rysunku. Posiada ona monogram »E. R. Ś.« oraz datę »11. XI. 1936«.



Najmłodsza broń polska — marynarka w defiladzie w dniu Święta Niepodległości.





## **Sierwsza rocznica.**

W dniu 30 listopada b. r. minął rok od wyjścia pierwszego numeru »Ogniwa«. Podobne rocznice, to kamienie milowe na drodze do bliższego, czy dalszego celu, przy których zatrzymujemy się na chwilę, aby uprzytomnić sobie przebytą drogę i nabrać nowych sił do dalszej uciążliwej wędrówki.

Stojąc przy pierwszym kamieniu milowym na naszej drodze patrzymy wstecz, podług zegarka sprawdzamy, ile czasu, a podług stanu fizycznego, w jakim się znajdujemy — ile energii zużyliśmy na przebycie pierwszego odcinka. Zegarek powie nam, czy może nie szliśmy zbyt powolnie, nie wykorzystując należycie zasobu sił fizycznych, a mięśnie znowu, czy nie nadwyżyliśmy się. Przypominamy sobie również napotykanie na drodze większe i mniejsze przeszkody i zastanawiamy się nad tym, w jaki sposób unikać ich wzgl. przezwyciężyć w następnym odcinku. Cieszymy się z przebytego pierwszego etapu, który nas zbliżył do celu i nie przejmujemy się tym, że cel może jeszcze bardzo daleki.

Co jest naszym celem, to powiedzieliśmy sobie w pierwszym numerze naszego organu:

»Odrodzić, kształcić, wychować i zjednoczyć młodzież, zrobić ją lepszą, potężniejszą i silniejszą, rozbudzić w niej poczucie godności narodowej i honoru, wykuwać silne charaktery!«

Do tego celu idziemy gromadą po drodze twardej, wyboistej. Różna jest u młodych odporność na przeciwności, z jakimi każdy wędrowiec musi się liczyć. Jedni z wielkim zapałem, z śpiewem na ustach, weseli, wybierają się w drogę, wyprzedzają innych — lecz szybko się zmęczają, zniechęcają, pozostają w tyle za innymi, a nieraz przebywszy mały odcinek drogi, rezygnują z dalszej wędrówki. Inni znów bez zbytniego entuzjazmu robią pierwsze kroki, często nieśmiało, idą ostrożnie, nie nadwyżają swych sił fizycznych, lecz pokonawszy pierwsze trudności stają coraz to śmielej, miarowo, aż zespoleni rytmem marszu przestają odczuwać ból nóg, czują się swobodnymi, pierś rozpiera im jakaś niewypowiedziana radość, z której rodzi się pieśń harda, potężna. Są też i tacy, dla których cel jest niejasny, a którzy idą we wspólnej gromadzie tylko dlatego, ponieważ inni też idą. Mamy wśród siebie przedstawicieli wszystkich trzech grup i dlatego też pierwszy kamień milowy różnie wzbudza w nich uczucia. Ci z grupy pierwszej są niezadowoleni, marsz rozpoczęli pędem prawie, chcieli być jak najszybciej u celu, gniewali się na ślimacze w ich oczach tempo gromady. Zapał szybko zgasł i silnie starczyło utrzymać się na czele pochodu przez pierwszy choćby odcinek. Druga, najliczniejsza grupa, rokująca jak najlepsze nadzieje na przyszłość nie rozruszała się jeszcze należycie, zaś

trzecia idzie w tyle, nie zdając sobie sprawy, dlaczego właściwie maszeruje. Wszystko to znajduje wierne odbicie w »Ogniwie«. Wielu z pierwszych współpracowników, którzy chcieli szturmem zdobyć cel, pisząc masę mądrych referatów i artykułów na różne tematy — dawno odpadło. Materiału dostarczonego przez nich do pierwszego numeru było tyle, że stanowiłby grubą księgę. Nieumżliwością było wydrukować je wszystkie w pierwszym numerze. Niektórzy znowu nie zrozumieli, że marsz nasz, to nie wycieczka niedzielna dla przyjemności, lecz twarda konieczność, popychająca nas na przód i że dlatego trzeba rezygnować z różnych osobistych nawyczek. Grupa druga ma jeszcze niepewny krok, idzie z wysiłkiem, ale czuje się już lepiej i niedługo zwartą masą odmierzać będzie przestrzeń, dzielącą ją od celu. Młodzież z tej grupy zrazu nie odzywała się na łamach »Ogniwa«, gdyż przestraszyła się forsownego marszu, nie mogąc się dostosować do tempa i obawiając się, że nie da rady. Dopiero, gdy się przekonała, że ma w sobie dosyć sił do zdobycia celu, bo nie zmęczyła się jeszcze, podczas gdy wyprzedzający ich początkowo już się wyczerpali, nie mogą nadążyć i pozostawają w tyle, budzi się w nich pewność siebie. Trzecia zaś grupa woli zachowywać się biernie, nie mając jeszcze o zadaniach młodzieży należytego wyobrażenia.

Przedstawiliśmy tu pokrótce dodatnie i ujemne cechy maszerującej do celu gromady. Należy też wykazać je i u kierowników pochodu, w tym wypadku u »Ogniwa«.

Po wyjściu pierwszych numerów przekonaliśmy się, że zapał współpracowników nie udziela się reszcy czytelników i że przeciwnie dają się zauważyć pewne zniechęcenie. Spotkaliśmy się wśród czytelników z zarzutem, że »Ogniwo« jest przeznaczone dla pracowników młodzieżowych, instruktorów, jednym słowem, że wygląda na organ »starych«, udzielających mądrych rad młodym, nie zaś pismem dla szerokich warstw młodzieży. Był to pierwszy kamień na naszej drodze, o który potknęliśmy się. Wyciągnęliśmy z tego odpowiednią naukę i staraliśmy się dostosować do wypowiedzianych życzeń, obniżając cośkolwiek poziom, a równocześnie podnosząc wartość pisma. Zmieniliśmy także zewnętrzną szatę, zyskując na miejscu, przez przeniesienie do innej drukarni postaraliśmy się o lepsze wykonanie techniczne i większą punktualność w wysyłce, upiększyliśmy pismo ilustracjami, rozszerzyliśmy dział regionalny i wogóle staraliśmy się i staramy nadal o ciągłe ulepszenia. Oczywiście, że przy tym wszystkim napotykał się i napotykamy na różne trudności natury tak organizacyjnej jak i finansowej.



Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że »Ogniwo« ma jeszcze wiele braków. Popelniliśmy na początku przez zbytnią gorliwość błędy, które później było trzeba naprawiać. Ulegliśmy ogólnemu nastrojowi, za szybko chcieliśmy dotrzeć do celu, nie liczyliśmy się z trudnościami i przeszkodami, napotykanymi we własnych szeregach i u starszych, nie mówiąc o zewnętrznych i dlatego po przebyciu kawałka drogi musieliśmy zawrócić i marsz rozpocząć na nowo. A powodem wszystkiego było nienależyte przygotowanie, za które nie chcemy winić nikogo, nie wyłączając nas samych. Skutki dały się wkrótce odczuć: zamiast zyskać nowych abonentów, traciliśmy ich. Dziś, stojąc przy pierwszym kamieniu milowym z wstępnym ulgi przypominamy sobie początkowe i późniejsze trudności. W ciągu tego roku nie tylko, że osiągnęliśmy początkowy stan abonentów, ale powiększyliśmy go o przeszło 200 nowych abonentów. Cieszymy się, że najtrudniejszy odcinek mamy za sobą. Być może, że drugi etap będzie również obfitował w trudności, nawet przekonani jesteśmy o tym, nie lękamy się ich jednakże, ponieważ w walce z dotychczasowymi zdobyliśmy dużo cennych doświadczeń, zahartowaliśmy się.

Nauczyliśmy się mierzyć siły na zamiary i dlatego z ufnością spoglądamy w przyszłość. Cały rok poświęciliśmy badaniu warunków, w jakich młodzież nasza żyje i pracuje, przedewszystkiem zaś warunków gospodarczych. Wyniki tych badań nie publikujemy narazie, gdyż mają one służyć nie za materiał do dyskusji na łamach naszego pisma, ale za podstawę do realnej, owocnej pracy w kierunku naprawienia, co się naprawić da. Każdy, choćby najmniejszy sukces, odniesiony na tym polu, cieszyć nas będzie bardziej, niż najrzeczowszy artykuł o doli i niedoli młodzieży polskiej w Czechosłowacji.

Naszkicowaliśmy również w ogólnych zarysach zadanie, jakie »Ogniwo« ma spełnić w drugim roku swego istnienia. O sposobach realizowania dowiedzą się czytelnicy z następnych numerów.

Kierując wzrok przed siebie i gotując się do przebycia drugiego etapu naszej drogi, wyrażamy przekonanie, że gromada maszerująca z nami pomagać będzie w tym, by »Ogniwo« stało się piśmem, którego każdorazowe wyjście oczekiwane jest przez każdego młodego Polaka i każdą młodą Polkę z niecierpliwością.



Podchorążówka piechoty na czele z plutonem w historycznych mundurach z r. 1831 defiluje przed Marszałkiem Śmigłym-Rydzem.

## **W odpowiedzi na niesłuszne zarzuty.**

W związku z artykułem p. W. ogłoszonym w „Dzienniku Polskim“, a zarzucającym młodzieży polskiej brak idealizmu, otrzymaliśmy z kół młodzieży masę artykułów. Ponieważ, jak nam doniesiono, redakcja „Dz. P.“ odmówiła umieszczania dalszych artykułów dyskusyjnych na ten temat i ponieważ jesteśmy organem młodzieży polskiej, poczuwamy się do obowiązku skorzystania z nadesłanych artykułów. W całości drukować je nie możemy, gdyż zapełnilibyśmy nimi cały numer. Przeto ograniczamy się do cytowania najważniejszych ustępów z kilku artykułów, najlepiej naświetlających sprawę.

Pan „ebur“ w swoim „Liście do starych“ pisze m. i.:

...Młodym wskazywaliście na dobrobyt za Olzą, tam ich eksportując z ojcowskim przykazaniem: „Tam jest wasz chleb.“ Tutaj nie został nikt. A to byli ci młodzi, których nam dziś brak. Lecz tego wy nie widzicie, bo domagacie się po nas dwudziesto kilku letnich bohaterskich czynów. Między wami a nami brakuje jednej generacji, tej, któraby dziś liczyła 30 lat, tej, którą wysłaliście w świat, tej, któraby dziś tworzyła kadry owych młodych. W ostatnim dopiero roku wspomnieliście sobie na nią, na młodych, a przekonaliście się, że ich nie



ma. Lecz to wam nie przeszkadza, żeby zaatakować nas. Gdyby była konjunktura siedzielibyście na swych miejscach jeszcze drugich 50 lat, lecz tem-  
pora mutantor, przyszły ciężkie czasy, inna praca, bo bardziej odpowiedzialna, inne jej metody, widziecie smutny stan rzeczy, szukacie przyczyny, a tu nasunęli się wam na myśl młodzi. Umywacie ręce, zadowoleni, iż znaleźliście przyczynę: młodzi nie interesują się pracą...

...Wychowanie wasze było i jest przyczyną dzisiejszego stanu rzeczy. Wy i nikt inny tak nas wychował w domu, szkole, w gimnazjum. Wy świeciliście nam świetnym przykładem we wszystkich kierunkach codziennego życia. Do pierwszych klas chodziło nas tyle, że klasy nie mogły nas pomieścić, a z 14-tym rokiem również tyle wychodziło ze szkoły. A gdzie się podziały te setki młodych rok rocznie wychodzących? Która nasza organizacja je pochłonęła? Tu znów macie naoczny dowód waszego wychowania. Nauczyliście nas czytać, pisać a zapomnieliście nam powiedzieć, że to po polsku!...

...Z nowymi czasami rodzą się nowi ludzie. Są formowani czasami swego zrodzenia, lecz sami także formują. Zrodziliśmy się w czasach sportu, wśród hasel „frontem do przyrody“, więc tak nas one sformowały. Lecz sami także tworzymy. Widzimy to wszystko, bo patrzymy na świat otwartymi oczyma, jesteśmy świadomi swych braków, lecz wiemy też, iż sami staramy się o ich naprawę. Ale to już sami!

P. „Nowator“ w artykule p. t. „Tylko...“ pisze:

...Dobrze, jesteśmy więc hołotką! Ale na miły Bóg, skąd się z tak doskonałego starszego społeczeństwa wyłoniło tak zdegenerowane pokolenie młode? Przez jaki to niezrozumiały wybryk natury legną się w orlim gnieździe kury i kaczki? Czy też może tę młodzież dzisiejszą poronił księżyc w czasie pełni?

— Po wyliczeniu całego szeregu niemiłych zjawisk z życia i pracy starszego społeczeństwa, których nie chcemy przytaczać, autor pisze dalej: ...Z takich to i innych jeszcze „porywających przykładów“ uczy się nasza młodzież rozumieć życie i to są owe przeszkody, nieświadomie stawiane nam przez nasze społeczeństwo starsze. Są to rzeczy napozór błahе, ale kto przebywa ciągle w ich zatrutej atmosferze, staje się powoli takim, jakim jest jego otoczenie. Rzeczy naprawdę ważne, ignorowane i wyśmiewane przez innych, tracą w oczach młodzieży, która bądź co bądź potrzebuje kierownictwa, wszelką wartość...

...Niech więc nikt się nie dziwi, że w takich warunkach dojrzewająca młodzież dzisiejsza nie jest taką, jakąby być powinna. Nie można też od niej wymagać, aby odrazu zrzuciła z siebie łańcuch uprzedzenia do rzeczy dobrych, kiedy widzi, że inni, od których uczyć jej się trzeba, łańcuch ten ze wszystkich sił na sobie przytrzymują. Mimo wszystko jednak młodzież nasza pracuje nad sobą i to z wynikiem zadowalającym. Kto chce się o tym przekonać, może tak bardzo łatwo, ale musi wprzód oczyścić swe serce od nagromadzonego w nim od lat uprzedzenia i niechęci do młodzieży. Wtedy dopiero zobaczy mrówczą i naprawdę rzetelną pracę szeregu młodych entuzjastów, którzy z zaparciem siebie przerabiają ugór, zaniedbany oddawna i nie z ich winy.

Pan »Górnik« pisze w swoim liście:

...Ci panowie zapominają, że co innego jest debatować na posiedzeniach o szumnych planach, a co innego plan ten wykonać. Budowniczy zrobi ładny plan i cieszy się już zgóry na widok wspianego gmachu. Ale sam go przecież budować nie będzie. Do tego potrzebuje robotników. Dobrych robotników. Ale każdy wyśmiałby takiego budowniczego, któryby chodził od robotnika do robotnika i kazał im się zachwycać architekturą mającego powstać gmachu. A my młodzi jesteśmy właśnie owymi robotnikami. Robimy, bo wiemy, że robić trzeba, nie kładziemy cegły na cegłę dlatego, że przyszły gmach będzie miał ładny styl, ale dlatego, że będzie miał wielką użyteczność. Może nie rwie my się do pracy z szumnymi hasłami na ustach, ale robimy. Kto nam może zarzucić, że nie robimy? Niech nam pokażą jedną organizację społeczną, w której nie pracujemy — jeśli nas tylko do tej pracy dopuszczą! Jesteśmy pokoleniem, które widzi codziennie, jak wiele ideałów jest deptanych — od nas ideałów w szarej pracy codziennej nie oczekujcie. Nasze ideały są głęboko schowane w piersi, tłumione, ale nie zgaszone. Są inne od waszych, tak samo jak wasze były inne od ideałów waszych ojców a naszych dziadów. Tym, czym wyście się kiedyś zachwycali, my się zachwycać nie możemy, tak jak i wy nie potraficie zachwycać się naszymi ideałami. Dlatego zostawcie nas w spokoju, ponieważ na tym punkcie się nie zrozumiemy nigdy. O naszą przyszłość możecie być spokojni — nie wy nam ją zgotujecie, ale my sami i dlatego sami sobie z nią damy radę, bo dać musimy, kiedy was już nie będzie. A o los polskiego stanu posiadania możecie być spokojni. Tyle, ile wyście utrzymali, utrzymamy i my.

Pan N. N. w swoim artykule pisze:

...Że jestem dziś pracownikiem młodzieżowym, zawdzięczam samemu sobie. Nikt mnie ze starszych nie ratował wówczas, gdy po wyjściu ze szkoły chodziłem luzem i wchłaniałem w siebie odurzające hasła fałszywych światopoglądów. Wrażliwa dusza chłopca przeradzającego się w młodzieńca była w dwu latach kompletnie zatruta. Wszystko, co wyniosłem ze szkoły, poszło na marne, bo nikt ze starszych nie kierował mną w niebezpiecznych latach dojrzewania. Przypadkiem tylko trafiłem na ludzi, którzy się mną zaopiekowali i którzy mnie wrócili społeczeństwu. A ilu jest takich, którzy zginęli dla nas bezpowrotnie, bo nie mieli tego szczęśliwego przypadku i ulegli spaceniu. Nikt się o młodzież w latach od 14 do 18 lat nie troszczy, a jest to wiek najniebezpieczniejszy, który czyni wyłomy w szeregach dorastającej młodzieży polskiej. Tym się zajmijcie zamiast wydziwiać na brak idealizmu wśród młodzieży, która się musi zniechęcić do pracy społecznej, gdy zmuszona jest pracować w kilku organizacjach równocześnie...

Pan »emen« pisze:

...Nie wywracajcie panowie kota do góry ogonem. Poszukajcie lepiej braku idealizmu we własnych szeregach. Nie wykopujcie pomiędzy sobą a młodzieżą, która ma dobre oczy, jeszcze większej przepaści i nie zniechęcajcie jej jeszcze bardziej. Dziwić się należy, że w warunkach, w jakich żyje, wogóle jeszcze pracuje społecznie. Przyponiam



sobie, iż przed paru laty w którymś z naszych tygodników, zdaje się, iż było to »Prawo Ludu«, umieszczony był artykuł, wzywający lepiej sytuowanych, aby zrezygnowali ze swoich płatnych ubocznych funkcji na rzecz naszej bezrobotnej inteligencji, która zaangażowana jest w pracy społecznej, a nie ma widoków na jakikolwiek zarobek. Nie słyszałem aby odezwa ta odniosła jakikolwiek skutek. Od tego czasu stosunki pogorszyły się znacznie, a zrozumienie dla potrzeb młodych jest jeszcze mniejsze, bo jeśli już nam wówczas nie rzucono tego ochłapu, to nas przynajmniej nie atakowano, jak dzieje się to dzisiaj...

Pan »Młot« pisze:

...Nasze braki sami umiemy określić, bo mierzymy je na waszych. Aby te braki powoli usunąć, od tego mamy nasz własny organ, który w sposób pośredni oddziałuje na nas. Gdy czyni to w

sposób bezpośredni, jak ostatnio w artykule p. t. »Idea i szara rzeczywistość« może się to niejednemu z nas nie podobać, tymbardziej, gdy dzieje się to akurat w czasie, kiedy nas i p. W. w »Dz. P.« atakuje. Ale jeśli tak czyni, to z pewnością tylko dlatego, abyśmy nie popełniali tych samych błędów, które wy starsi nieraz popełnialiście i popełniacie: otaczanie się głaureolą doskonałości, stwarzanie towarzystwa wzajemnej adoracji. Dlatego też uważamy, że udzielanie nam nauk na łamach »Dz. P.« jest tak czasowo jak i miejscowo niewskazane...

Na tym kończymy i mamy nadzieję, że w przyszłości nie będziemy zmuszani do zamieszczania gorzkich lecz słusznych uwag i że przedstawiciele starszego społeczeństwa zaniechają nieprzemysłanych wystąpień, za skutki których sami musieliby ponosić odpowiedzialność.

Walenty Krzyszcz.

## **Rekwizycja szperek.**

(Wspomnienia z czasów wojny światowej.)

(Dokończenie.)

I opowiadała komornica wójtowej przyciszonym głosem wszystko, co się od swej córki dowiedziała. A koło północy, kiedy wójt wrócił podchmielony z gospody, opowiadała mu zaś jego wierna połowica, gdzie te bezkurcyje Kidoniowie szperkę schowali.

— Hale, pieróny jasne — wygrażał się wójt, dysząc z okrutnego zadowolenia — szak jo Kidoniom zagrzeję jutro tymi szpyrkami, namuduszu!

Nazajutrz z rana odwiedził czteroletni synalek wójta czteroletniego synalka Kidonia. Starzy żyli wprawdzie w wielkiej niezgodzie i nienawidzili się, lecz ci młodzi nie robili sobie nic z tego i lubili się bardzo.

— Czy wy Kidoniu macie dycki zimno? — pyta syn wójtów starego Kidonia.

— Zimno? Ale katać też tam. Cóż ci sie zaśśni, synku?

— No, bo wóm mój tata chcą dziśka szpyrkami zagrzoć — odpowiada naiwnie chłopak, obgryzując palec.

— Jakimi szpyrkami?

— Na tymi szpyrkami, co to macie kańsik na górze pod sypanim schowane.

Kidoniowi wypadła fajka z ust, aż mu dech zatrzymało, tak się straszecznie przeraził. Ale się wnet zreflektował.

— No dobrze, dobrze syneczku. Oto mosz dziesiątkę na cukierki, a idź se teraz do domu a nie mów żodnymu nic, żeś tu był.

Ledwo wójtów chłopak wyszedł za próg, skończył Kidoń z żoną co tchu na strych celem usunięcia szperki z kryjówki.

— To ci bestyje, dziady — kłął, drząc na całym ciele. — A Hance bachora wytrzępię z wańtucha, jak ją do pazurów chyć.

— Cicho, cichutko, chłopieczku, nie szarpej sie już tela i wyciągnij szpyrki, nim komisya nadejdzie, ale hónym! — Zatem Kidoń, zakasawszy rękawy, sięgnął głęboko do dziury.

— Cóż to tam je? — zdziwił się, dotknawszy

w dziurze coś miękkiego i kudłatego. A kiedy wyciągnął rękę nazad, trzymał w drżących palcach zdechłego kota.

— Jezu Kryste, co to? — krzyknęła Kidońka.

— To ci parada — kiwał Kidoń głową. — Włoz se myrcha kocur do dziury na szpyrki a tu ci cegła spadła na niego i zapuczyła go.

— Maciczko święto — rozplakała się baba. — Boroczek kociątko.

— Nie zwucz mi tu tela — skarcił ją Kidoń. — Oto bier szpyrki i nieś ich prędko do szopy, kaj ich w węglu zagrzebiemy. Jenó pierónym, bo konwisij może każdej chwili nadejść.

Uwinęli się raz dwa i zakopali szperki we węglu.

— Piernika — uderzył się Kidoń w czoło — dyć tych szpyrek było sześć, a tuś my jeno pięć zagrzebali. Musiała w dziurze jeszcze jedna zostać.

Raptem więc polecili jeszcze raz na strych. Rzeczywiście wyciągnęli z ostatniego zakamarka kryjówki zapomnianą szperkę i chcieli ponieść do szopy, gdy w tym ozwały się na dole w sieni obce i jakieś ostre głosy.

— Hallo, gospodarz Andrzej Kidoń sam tu!

— Pierona babko, to konwisyj! — szepnął Kidoń drżącymi szczękami. Kidońka skamieniała. Wybałuszywszy wyblakłe oczy, przyciskała bezwiednie zdrtniętymi ramionami szperkę do piersi.

— Hallo! — ozwał się powtórnie gromki głos z dołu. — Gospodarz Kidoń gdzie jest.

— Tu panowie, tu — odezwał się Kidoń, siłąc się na spokojny głos.

— Co tam robicie — spytał żandarm prowadzący komisję.

— Na oto z babką dziury w dachówce zatykomy. Zaroz zejde panowie, zaroz, zostańcie tam na chwileczke.

— Jenó se też sąsiodku nie fatygujcie — zawołał wójt szyderczym głosem. — My tam ku wóm też wyjdziemy.



— Schowej szpyrkę pod letnik — natarł Kidoń na żonę. Kidońka, ocknąwszy się nieco z przestachu, odskoczyła trochę na bok i przywiązała sobie z pośpiechem szperkę pod spodnicę do bioder. A był już też najwyższy czas, bo świetna komisja pięła się już po schodach na strych.

— Dzień dobry, panie gospodarzu — pozdrowił dosyć uprzejmie pan wachmistrz: — Rekwirujemy szperkę dla wojska. Proszę bez ogródek zeznać czy i ile macie w domu szperki.

— Ach, mój roztomily wachmisterku, na dyć my już ni mamy żodnej szpyreczki.

— Mówcie prawdę, gospodarzu, bo jeżeli potem coś znajdziemy, zapłacicie grubą karę.

— Przecaście takigo wielkiego kornika zabili — wtrącił wójt. — Każ macie z niego szpyrkę.

— No nimom, padom wom. Jo przeca nie taki bogocz, jak fojt, co do roku pięć korników zabijo.

— Nale beecie mi tam tela pyskować — rozsierdził się wójt. — Hań w dziurze pod sypanim macie schowanóm szpyrkę.

— Co sie wom też jeno nie śni wójcie — zachnął się Kidoń.

— Poczkejcie, zaroz sie przekonamy.

To powiedziawszy przyklęknął wójt i zanurzył skwapliwie rękę w ciemny otwór pod »sypanie«.

— Ha widzicie! — zawołał triumfująco.

— Jest? — spytali żywo członkowie komisji, wydłużając szyje.

— Już ci, że je — odparł wójt. — A już cało od pleśni kudłato.

— No wyciągnijcie ją panie wójcie! — polecił wielce zadowolony wachmistrz.

— Zaroz, zaroz panowie. — I wyciągnął zdechłego kocura z dziury. Na moment wszyscy zaniemieli, a potem gruchnęli homerycznym śmiechem. Tylko wójt, trzymając wciąż jeszcze w podniesionej ręce kota, dławił się ze wstydu i złości, nie mogąc przez chwilę głosu z gardła wydobyć.

— Na wy chachary jeden — wykrztusił wreszcie — jak śmiecie wy z wójta, osoby urzędowej, takigo błozna robić.

— Na któż to z was błozna robi? — oburzył się Kidoń.

— Przeca tu miały być szpyrki, a nie zdechły kôcur.

— Kto wom to zaś pedzioł?

Wójt podniósłszy się z klęczek, odrzucił kota, potarł ręką czoło, a powiódłszy mglistym wzrokiem w koło, zamamrotał do siebie: — Te pierońska komornicę po pysku spierym, co wlezie.

— No ale tu musi być jednak gdzieś szperka, bo aż w nosie z niej kręci — oświadczył wachmistrz.

— Tak, tak — potwierdzili ci drudzy. — Tu gdzieś szperka pachnie.

— No, tóż łowcie panowie, kiej wom pachnie — rzekła Kidońka. — Jak znajecie, to se ją weźńecie.

Szukali coś przez dwie godziny, wszystko do góry nogami w chałupie przewrócili, ale szperki nie znaleźli, mimo, że wciąż koło nich pachniała, bo Kidońka musiała z nimi chodzić i wszelkie dziury im w domu wskazywać.

— Daremne szukanie — machnął wkońcu wachmistrz. — Szperek nie ma i nie ma. Dzisiaj już nie więcej nie robię, bom się ogromnie zmachał. Odwiezicie mnie panie wójcie do miasta.

— Ale ja, czemu ni — rzekł przymilnie wójt. — Pójdą za mną zaroz do chałupy. Przyrzeczuję wózek i pojedziemy do miasta.

Parobek wójta wyciągnął ze szopy bryczkę i zaprzągnął do niej parę kasztanków.

— A dej tam na miękki siedzeni dlo pana wachmisterka ociepkę siana — poleciał mu wójt.

Zandarm wygramolił się na bryczkę i usadowił na wiązce siana. Jakoś się mu jednak niewygodnie siedziało, więc się podniósł, ujął wiązkę, chcąc ją w dogodniejszy sposób usadzić.

Naraz wypadł z rozczochranego siana kawał skradzionej Kidoniowi szperki, którą dziewczka Hanka schowała tutaj dla swej matki.

— Panie wójcie — zawołał wachmistrz cierpko. — Wyście swoją szperkę ukryli w sianie!

Wójt zbaraniał, usta rozdziawił, spoglądając na szperkę jak na jakie widmo.

— No, mówcie wójcie, co to wszystko znaczy? — nacierał zandarm. A wójt, uważając się zdradzonym, popadł zaraz w straszny gniew i huknął wściekle na żonę:

— Ty pierońsko babo, przeca żech ci mówił, żebyście tych szpyrek nie chowali do siana, bo to nie jest pewne.

— A co mi tu pyskujesz — odpaliła mu popędliwie żona. — Przecach my tak zrobili z cera, jakieś kozół. Szpyrki my dały do studni, i nie wiem, co za psiokrew dała ich nazoć do siana!

I poszła świetna komisja za wskazówką wójtową do studni i wyciągnęła szperki na światło dzienne. A jaka ta mpotem chryja była, i jakie z tego »zagranie« dla wójta wynikło, tego już chyba opowiadać nie trzeba.

## Ciekawostki staropolskie.

### Długowieczność w dawnej Polsce.

Sporo zgół rekordowych przykładów długowieczności podają stare kroniki polskie. Wspominają więc one o niejakiem Konstantym Wiśniowskim z ziemi radomskiej, że na początku XVII wieku, mając lat okragło 140 czuł się tak dobrze, że codziennie pieszo chodził do odległego kościółka, a zmarł „zdrowy w ciele“ poprostu „z pasji“, czyli zdenerwowania, w wieku lat 148-miu.

Krzepka musiała to być rodzina, bo też kroniki podają, że jego krewny, Sebastian Ossowski z Jabłonny, mając lat 115 z lekkością dosiadał konia, a ulubione orzechy gryzł własnymi zębami, aż miło.

Niejaki Dziak Feliks ze Sreńska, w ziemi płockiej, jak o tym świadczy napis na pomniku, przeżył 140 lat.

Zdarzały się podobne fakty i za bliższych nam czasów. W Krakowie wśród zmarłych między 1829 a 1849 aż 22 osoby liczyły powyżej 100 lat, a parę — powyżej 115. Niejaki Fryderyk Jabłonowski zmarł w 1823 r., licząc lat 138.

Długowiecznością cieszyły się również i kobiety: słynna w XVII wieku Katarzyna Odrowążówna umarła w 120-ej „wiośnie“ życia, a współczesna jej zakonnica, Anna Topslówna zmarła po przeżyciu 127 lat, z czego aż 78 lat spędziła w murach klasztornych.

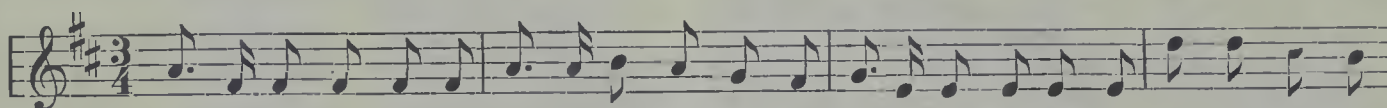


## Dział regionalny

### Moja mamuliczko ....

Śpiewała: Al. Cieślara z Łazów.

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.



1. Mo - ja ma - mu - lic - ko straszuje mnie wno - cy, Chodzujom tu ku mnie są - sia - d - wi



syn - cy, o - ni na mnie ga - ba - ją, po - ko - ja mi nie da - ją.

2. Idę do karczmiczki, stanę tam u słupa,  
Mój miły tańcuje, krąfleczkami cupa,  
Kole mie sie ociyro, a sy mnie sie wyśmiywo.

3. Idę do dómeczku siednym na stołeczku,  
Szpatnie sobie myślę o mym galaneczku,  
A ón przydzie zaburzy, wstón ma miła otwurz mi

4. O moja dzioucho musisz mi rozumieć,  
Bo jak chcesz tańcować musisz dobrze umieć,  
Bo jo też rod tańcuje, piękne dziouchy miłuje.

K. P.

### Ś. p. Karol Polok.

Jednym z młodszych malarzy i rzeźbiarzy śląskich, którym śmierć nie pozwoliła w pełni rozwinąć swego talentu, był niedawno zmarły ś. p. Karol Polok, syn górnika Andrzeja i Marii Poloków z Łazów. Urodził się w kolonii górniczej w Łazach, dnia 2 lutego 1911 r. Młodości swej nie miał usłanej na różach. Już w młodych latach musiał borykać się z życiem i walczyć o chleb. Przez 6 lat (1917—1923) uczęszczał do polskiej szkoły ludowej w Łazach. Nie ukończył całej szkoły wydziałowej, bo już wtenczas zachorował na krzywicę kości i przez 2 lata (1925—1927) nie ruszył się



Ś. p. Karol Polok.



Ś. p. Polok maluje krajobraz w Istebnej.



Ś. p. Polok K. (na lewo) w pracowni p. Konarzewskiego w Istebnej.

z łóża. Wróciwszy w r. 1927 częściowo do zdrowia, pozostał jednak upośledzony fizycznie i nie mógł poświęcić się jakiegokolwiek ciężkiej pracy fizycznej, wobec czego szukał zajęcia łatwiejszego. Wtenczas to rozwinęło się u niego dawne zamiłowanie do rysunku i rzeźby. Chodził po Śląsku i szukał sposobności, gdzie by mógł się tej sztuki należycie wyuczyć. Zapukał i do drzwi prof. rysunków, p. G. Fierli i tam przez lato pobrał kilka lekcji rysunków. Były to tylko lekcje doradcze, z których jednak ś. p. K. Polok wiele skorzystał. Ale on chciał nie tylko godziny, ale cały swój czas, całe swoje życie poświęcić malarstwu i oto dowiedział się, że tam gdzieś w górach, w Istebnej, jest artysta malarz i rzeź-

biarz, p. Konarzewski, który z podobnymi jak on chłopcami prowadzi szkołę malarską i rzeźbiarską. Nie namyślając się długo wyrobił sobie przepustkę, spakował rzeczy i wyjechał



do Istebnej, gdzie został przyjęty na naukę. Znalazłszy się tutaj w prawdziwej pracowni malarskiej od razu wyzdrowiał — nabrał energii i chęci do życia i zabrał się dzielnie do pracy. Lecz nie tylko warsztat i otoczenie na niego dodatnio wpływały, ale i sama okolica Istebnej. — Znalazł się w ulubionych górach, skąd pochodził jego ojciec, na świeżym powietrzu a jego schorzone płuca mogły głębiej oddychać a ponadto całymi dniami mógł robić to, do czego czuł zamiłowanie od swoich najmłodszych lat i czym się przejął do głębi duszy. Na święta przyjeżdżał do domu, do rodziców. Aby im pokazać, że nie marnuje czasu i że się już czegoś nauczył, przywoził ze sobą swoje prace — obrazy i rzeźby. Ulubionym jego tematem był krajobraz śląski (szczególnie Beskidy) i góral śląski. Tutaj należy zaznaczyć, że wielki wpływ na temat jego prac wywierał jego mistrz Konarzewski, który sam jest specjalistą w tych dwu kierunkach i który dla swoich uczniów był jedynym wzorem. Oprócz tego przywoził do rodziców różne rzeźby w drzewie, które wyrabiano w warsztacie p. Konarzewskiego dla kucharzyszy, spędzających lato w Wiśle, Ustroniu i Istebnej.

W tym czasie jego mistrz Konarzewski otrzymał zamówienie na malowanie kilku kościołów w Polsce. Razem z mistrzem i kilku kolegami jeździł z radością od miasta do miasta, szczególnie po Górnym Śląsku i malował kościoły albo też rzeźbił ołtarze. Podobały mu się prace dekoracyjne, a przede wszystkim większe prace figuralne na ścianach, gdzie można było śmiało pędzlem pracować. — A potem podobało mu się takie życie cygańskie, które pomagało mu poznać świat i ludzi.

I tak minęło mu na nauce lat cztery. Jakoś w grudniu 1933 r. kończono na gwałt przed świętami Bożego Narodzenia malowanie kościoła w Raszczykach na Górnym Śląsku. Zima już była dosyć ostra, a wiadomo, że w kościele, gdzie jest wszystko z kamienia, tym więcej daje się chłód i zima odczuwać. I tam malując przez kilka dni, bez należytego odzienia, przeziębził się i ciężko zachorował na nerki. Z resztkami sił dokończył pracę i pojechał do rodziców. Wróciwszy do domu, nie miał pieniędzy na jakieś radykalniejsze leczenie, tak że leczył się tylko jakimiś ziołami. Zdrowie się napozór poprawiło, to też kiedy przyszła wiosna, nie wytrzymał w domu. Słaby i chorowity, pojechał do ukochanych gór, do ukochanej Istebnej pomiędzy wesołych kolegów w nadziei, że tam z powrotem odzyska utracone zdrowie. Nie odżył jednak na nowo — choroba była już daleko posunięta, a przede wszystkim zaniedbana, tak że przerodziła się w gruźlicę obu nerek. Powrócił więc ponownie do rodziców skąd udał się do szpitala w Mor. Ostrawie, gdzie przeleżał 7 tygodni. Miał nadzieję, że może operacja uratuje mu zdrowie, ale było już za późno — trzeba było wyjąć obydwie nerki czyli przyspieszyć śmierć. W beznadziejnym stanie przywieziono go do Łazów i tu dnia 18 lipca 1935 r. zmarł cicho i spokojnie nieznany przez nikogo.

Nie zaznał on w ciągu swego krótkiego życia żadnego przepychu, żadnej radości a jednak w duszy przyniósł z sobą na świat umiłowanie piękna, umiłowanie sztuki. Nie miał sposobności uczeszczać do jakiejś wyższej szkoły, do

jakiejś akademii, sam chodził po świecie i pukał do drzwi tam, gdzie wiedział, że się czegoś nauczy i że się czegoś nowego dowie. Cierpiał często głód, cierpiał niedostatek, ale pomimo tego ciągle się uczył. Z łóżka wstał ciężko chory — trzęsący się — i poszedł się uczyć sztuki — szedł jak



Ś. p. Polak K. maluje w kościele na Górnym Śląsku. (Kłęczy w tyle obok p. Konarzewskiego.)

głodny, który czuje zapach ulubionej potrawy, ale siedzi po śmierci dla sztuki. Dla nauki położył swoje życie, dając przykład innym, że człowiek, kiedy chodzi o rzeczy wzniosłe, nie powinien się cofnąć przed niczym, chociażby przed śmiercią. Dał dowód, że i dziecko biednego górnika, wychowane w nędznym środowisku nosi w swym sercu często i perły.

## Kłacik językowy.

### Wielką czy małą literą?

Oto pytanie, które sobie każdy piszący musi często stawiać nie wiedząc jak dany wyraz napisać. Odpowiedzieć na to pytanie, choć by w najogólniejszych zarysach, pragnę w dzisiejszym »Kłaciku językowym«.

Piszemy wielką literą wyrazy na początku zdania, na początku nowego rzadka w wierszach i po dwukropku, gdy przytaczamy całe zdanie lub dłuższy jakiś opis. Np. Stało się to w następujący sposób: Przyszedł... Albo: Odpowiedział krótko i wżłowało: »Nie pójdę i basta,« ale: Na podwórzu znajdowały się: kury, gesi, kaczk...

Znaczenie wyrazu decyduje o pisowni wielką literą. Otóż naczelną zasadą jest tutaj, że wszelkiego rodzaju imiona własne piszemy wielką literą. Jeżeli krowie dano na imię Łaciata, to musimy ten wyraz napisać wielką literą, podobnie jak imię psa Burek, dębu Dewajtis, kotka Mrucek, oraz wszystkie Maćki, Kaśki, Maryśki, Jędrusy, Weronki itp. To są zresztą rzeczy, które nikomu poważniejszych trudności nie nastęrczają.

Mamy ale np. taką kwestię pisania tytułów gazet i książek. Zdawałoby się ta sama kwestia, bo to i tu i tu tytuł, a jednak pisownia traktuje je odrębnie. W pierwszym wypadku każe nam pisać wszystkie wyrazy tytułu wielką

literą, w drugim wypadku tylko pierwszy wyraz wielką literą. Piszemy: Dziennik Polski, Ilustrowany Kuryer Codzienny, Nasze Pismo, Głos Robotniczy i Włościański itp. Przyimki i spójniki w środku tytułu piszemy zawsze małą literą; podobnie małą literą piszemy tytuły nie ulegające odmianie: Na tropie, Na przełomie, Na szerokim świecie itp. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa pisowni tytułów książek. Jeżeli mianowicie w tytule takim nie ma imion własnych, to z wyjątkiem pierwszego wyrazu piszemy wszystkie dalsze małymi literami: Bez dogmatu, Bez ziemi i bez chleba, Przez kraj bogów, ludzi i zwierząt, W pustyni i w puszczu, Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela itp., ale: Pan Balcer w Brazylii, Pan Tadeusz, W Szwajcarii itp.

Wielką literą piszemy nazwy urzędów, instytucji publicznych, stowarzyszeń, a to we wszystkich częściach składowych z wyjątkiem przyimków, spójników i wyrażen w rodzaju: imienia, pod wezwaniem lub pod: Centralne Stowarzyszenie Spożywcze dla Śląska w Łazach, Związek Polskich Klubów Sportowych, Zarząd Główny Macierzy Szkolnej, Urząd Miejski w Ostrawie, Ministerstwo Szkolnictwa i Oświaty Ludowej itp.

Nazwy narodów, mieszkańców krajów i dzielnic, nazwy szczepów, plemion i ras piszemy wielką literą: Polak, Francuz, Niemiec, Czechosłowak, Poznańczyk (mieszkaniec Poznańskiego, ale poznańczyk — mieszkaniec miasta Poznania), podobnie Krakowiak i krakowiak (mieszkaniec miasta Kra-



kowa a także taniec), Cieszyniak (z Cieszyńskiego) i cieszy-  
niak (z Cieszyna); Słowianin, Germanie, Romanie, Buszmeni,  
Hotentoci, Aryjczycy, Semici, Murzyni, Indianie, Malajczycy,  
Mongolowie.

**Małą literą** piszemy nazwy bractw zakonnych, ugru-  
powień politycznych i wyznaniowych: jezuici, bernardyni,  
benedyktyn, franciszkanin, cystersi, socjalista, faszysta, komu-  
nista, endeck, żyd (człowiek Mojżeszowego wyznania, ale  
żyd — człowiek narodowości żydowskiej), mahometanie,  
chrześcijanie, ewangelicy, katoliki, unita.

**Przymiotniki**, utworzone od wyrazów pisanych wielką  
literą, piszemy z reguły literą małą: polski, francuski, cze-  
chosłowacki, żydowski, słowiański. Tylko przymiotniki **dzier-  
zawcze** na pytanie czy piszemy wielką literą: pałac Ra-  
dziwiłłowski, utwór Mickiewiczowy itp.

Jeżeli chodzi o takie wyrazy jak: morze, góra, ulica,  
plac itp., to piszemy je wielką literą tylko w tym wypadku,  
gdy są częścią składową danej nazwy, t. zn. częścią, bez  
której nazwa byłaby niepełną: Kamienna Góra, Morze  
Bałtyckie, Stary Rynek, Pałac Prasy, Ostra Brama.

Jest jeszcze cały szereg wypadków szczegółowych,  
których omówienie zabierałoby jednak wiele miejsca. Staralem  
się omówić przynajmniej najważniejsze wypadki i zasady  
pisania wielkich czy małych liter ze względu na znaczenie  
wyrazów.

Zachodzi jeszcze trzeci wzgląd, każący pisać wielką  
literą, a mianowicie względy uczuciowe i grzecznościowe.  
Uczucie szacunku lub umiłowania każe nam pisać czasem  
wyraz Ojczyzna, Kościół, Prezydent, Rząd wielką literą.

Wreszcie apel do czytelników »Ogniwa«, apel a raczej  
prośba: aby pomogli prowadzić ten kącik, jeśli już nie  
przez nadsyłanie artykułów, to przynajmniej przez zapyty-  
wanie w kwestiach wątpliwych. W ten sposób kącik na-  
bierze na żywość, bo dotąd może on być dla wielu nie  
interesujący, poruszając kwestie oderwane i teoretyczne.

Tymczasem pytania czytelników i odpowiedzi na te pytania  
tchnęłyby weń życie.

Afka.

### Polski port na Maderze przed 60-ciu laty.

Mało kto wie, że już przed 60-ciu laty, w do-  
bie, gdy Polska pozbawiona była niepodległego  
bytu istniał polski port morski i to na Maderze.

Otóż polski port ten powstał dzięki prywatnej  
inicjatywie znakomitego polskiego podróżnika hr.  
Benedykta Tyszkiewicza. Na własnym jachcie od-  
był on kilka podróży po dalekich morzach, w tym  
dwie dookoła świata, a pragnąc mieć stałą i nie-  
zależną bazę morską, nabył na Maderze odpowiedni  
teren i zbudował tam przystań morską, mającą,  
według jego zamierzeń, stać się punktem wyjścia  
dla polskiej penetracji morskiej i kolonialnej. Po-  
pierał Tyszkiewicz liczne polskie wyprawy, znacz-  
nie też przyczynił się do zrealizowania wyprawy  
Rogozińskiego do Kamerunu. Ów polski port na  
Maderze gościł statek tej wyprawy »Łucję-Mał-  
gorzatę«. Były to podniosłe chwile, kiedy się zda-  
wało, że wielkie plany zdobycia dla Polski wła-  
snych terenów kolonialnych zostaną urzeczywist-  
nione. Nie udały się te plany wobec tysiącznych  
przeszkód i trudności, lecz zaświadczyły przed  
światem, że i w tej dziedzinie Polska niezmiennie  
dąży do odzyskania pełni praw politycznych i rów-  
norzędnego stanowiska wśród narodów świata.

### Rzeźby śląskiego art. rzeźbiarza Nitry.



Góral.

Górnik.

Ślązaczka.

Pasterz z fletem.





Pieśń polska w ilustracji:  
Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski.



Pieśń polska w ilustracji: Mówi ojciec do swej Basi, cały  
zapłakany; — Słuchaj jeno, pono nasi biją w tarabany.

## **Związek Polskich Chórów**

**Uchwały Zarządu Związku Pol. Chórów z dnia 29 października 1936.**

### **I. Okręgowe zawody śpiewacze:**

Uchwalono, ażeby komisja sędziowska ogłaszająca wyniki tylko pierwszych trzech chórów. Wyniki reszty chórów, zostaną podane na konferencji dyrygentów, która się odbędzie bezpośrednio po ukończeniu zawodów śpiewaczych.

**II. Związkowe zawody śpiewacze** odbędą się dnia 4 kwietnia 1937 w Polonii w Cz. Cieszynie. W związkowych zawodach śpiewaczych mogą wziąć udział następujące chóry:

a) Chór, który w poprzednich zawodach zdobył pierwsze miejsce w klasyfikacji ogólnej (w tym wypadku chór T. N. P.).

b) Chóry, które zdobyły mistrzostwa okręgowe.

c) Sześć pierwszych chórów z tabeli związkowej. Tabelę związkową ułoży się po ukończeniu zawodów śpiewaczych we wszystkich okręgach — jest to spis chórów w kolejności co do zdobytych punktów, z wyłączeniem mistrzów okręgowych.

Chóry, które wejdą do związkowych zawodów śpiewaczych są reprezentantami całego swojego okręgu i z tego tytułu należy się im ze strony okręgu opieka, a w razie potrzeby i pomoc finansowa na wyjazd na związkowe zawody śpiewacze.

**III. Program jubileuszu Zw. Pol. Chórów w r. 1937 (10-lecie)** 4 kwietnia wyżej wymienione zawody śpiewacze.

3 lipca koncert muzykalno-wokalny w »Pracy« w Karwinie. Koncert odbędzie się pod hasłem:

»Wieczór autorów, utworów i wykonawców śląskich.« 4 lipca Złot Śpiewaków w Cz. Cieszynie (w tym dniu obchodzi swój jubileusz Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji a także na ten dzień przypada Krajowy Festyn Macierzy Szkolnej).

W dniu Złotu odbędzie się dopołudnia w Polonii w Cz. Cieszynie Jubileuszowe Walne Zebranie Zw. Polskich Chórów połączone z otwarciem wystawy związkowej. (Wystawa ma być wynikiem starań wszystkich chórów w myśl intencji ogłoszonych już w komunikatach. W tej sprawie zostanie chóróm dostarczony szczegółowy okólnik.)

W części popołudniowej Złotu jest przewidziany pochód, otwarcie Złotu w Parku Sikory, oraz odśpiewanie wspólnych pieśni. Uroczystości jubileuszowe w dniu 4 lipca jak Zw. Pol. Chórów tak i Harcerstwa prawdopodobnie będą pomieszczone w ramach ogólnego Złotu Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji, które ma zorganizować Zrzeszenie Organ. Młodz. Pol. w Czechosłowacji. (Z. O. M. P.)

Okręgowe wydziały mają za obowiązek tak poprowadzić prace organizacyjne, ażeby w Zlocie wzięły udział wszystkie chóry, w pełnej liczbie swych członków, jak czynnych tak też i nieczynnych. Zadaniem okręgowych dyrygentów będzie dopilnować przez wizytacje chórów, ażeby wyznaczone wspólne pieśni zostały należycie wyćwiczone. Pieśni obowiązkowe zostaną podane jeszcze w ciągu b. m.



#### IV. Zarząd dokonał nowego podziału na okręgi,

które nakrywają się z okręgami Macierzy Szkolnej, oraz Zrzesz. Org. Młodz. Pol. (Z. O. M. P.) Związek Pol. Chórów został podzielony na 10 okręgów (podane są i gminy, w których chórów nie ma):

1. Jabłonkowski: Jabłonków, Piosek, Bukowiec, Mosty, Boconowice, Łomna Dolna, Łomna Górna, Milików i Nawsie.

2. Bystrzycki: Bystrzyca, Nydek, Gródek, Karpęta, Koszarzyska i Wędrzynia.

3. Trzyniecki: Trzyniec, Leszna Dolna, Kojkowice, Łyżbice, Oldrzychowice, Tyra, Końska i Niebory.

4. Kam. Ligocki: Ligotka Kameralna, Gnojnik, Trzycież, Śmiłowice, Wielopole, Rzeka, Guty i Trzanowice.

5. Cz. Cieszyński: Cz. Cieszyn, Mosty, Stanisławice, Mistrzowice, Grodziszcz, Kocobędz, Żuków Dolny, Żuków Górny, Ropica i Sibica.

6. Frysztański: Frysztat, Stare Miasto, Raj, Darków, Piotrowice, Markłowice i Zawada.

7. Karwiński: Karwina, Stonawa i Łąki.

8. Suski: Sucha Górna, Sucha Dolna, Sucha Średnia, Będowice, Szumbark, Datynie, Cierlicko Dolne, Cierlicko Górne, Żywocice i Olbrachcice.

9. Orłowski: Orłowa, Łazy, Dąbrowa, Poręba, Lutynia Polska, Dziecmorowice, Rychwałd i Pietwałd.

10. Bogumiński: Bogumin, Szonychel, Skrzeczów, Zabłocie, Wierzniowice, Pudłów, Gruszów, Niem. Lutynia i Śl. Ostrawa.

Okręgowe Walne Zebranie należy przygotować już według nowego podziału. Walne nowych okręgów zorganizuje sam Związek.

Przypomina się, że najbliższe okręgowe zebrania mają się odbyć do 15 grudnia b. r., które powinny ustalić termin i program okr. Walnego Zebrania (do końca lutego).



Piękno Polski z lotu ptaka — Jezioro Garczyńskie.

### ***Jak pracuje młodzież polska w innych krajach.***

#### **Młodzież polska w Litwie.**

Wskutek ustaw litewskich, układanych przede wszystkim pod kątem widzenia utrudnienia organizacjom polskim dalszej działalności, praca młodzieży polskiej w Litwie natrafia na wielkie trudności. Mimo stosowania różnych szykan młoda Polonia litewska nie zraża się i wytrwale kontynuuje swą pracę. Od roku ub. wydaje także własne pismo. Jest to miesięcznik p. t. „Głos Młodych“, redagowany bardzo dobrze. Inna rzecz, że wydawanie miesięcznika nie przychodzi jej łatwo, musi bowiem przewyżczać niechęć władz. Temu też przypisać należy, że w sierpniu i wrześniu miesięcznik nie wyszedł. O co właśnie chodziło, tego się z numeru październikowego nie można dowiedzieć. W odpowiedziach Redakcji czytamy tylko: „Trudno tu dokładnie przedstawić przyczyny,

które spowodowały przerwę w wydawaniu naszego pisma. Możemy tylko zapewnić, że nie nastąpiło to ani wskutek niedbalstwa redakcji, ani wskutek lekceważenia przez nią interesów czytelników.“ Przeglądając jednak numer dokładnie można się domyśleć wszystkiego. Pierwsza i ostatnia stronica wypełnione są artykułami, nie mającymi z polskim ruchem młodzieżowym nic wspólnego, a propagującymi litewską jedność państwową i narodową. Tego bowiem wymaga nowa litewska ustawa prasowa, która prócz innych curiosów zawiera taki punkt: „Każdy redaktor winien zamieścić w czasopiśmie notatkę lub artykuł, których umieszczenia zażąda premier, lub osoba przez niego upoważniona, a to ze względu na bezpieczeństwo państwa lub narodu, albo też ze względu na inne potrzeby państwa lub narodu.“ Więc ze względu na „bezpie-



czeństwo“ lub „inne potrzeby“ ostatni numer „Głosu Młodych“ zapłacić musiał całe dwie strony artykułami takimi, jak n. p. „J. E. Wódz Narodu Antoni Smetona w obozie młodolitywinów i „Sanitary“ w Girulach“, „Wzmacniajmy wolność wypróbowaną drogą jedności“, itp. Redakcja — po wyjściu nowych przepisów ustawy prasowej — nie chcąc prawdopodobnie przekształcać pisma młodzieży polskiej na organ propagandy litewskiej, powzięła decyzję zawieszenia dalszego wydawania „Głosu Młodych“. Przekonawszy się jednak, że pozbawienie młodzieży polskiej własnego organu jest jeszcze gorsze, niż karmienie ją artykułami, dostarczonymi z centrali propagandy litewskiej, postanowiła wydawać swój miesięcznik w dalszym ciągu. Chociaż mogą być i inne jeszcze przyczyny.

## Dział kobiecy

### Podarunki świąteczne.

Boże Narodzenie już niedaleko. Dzieciarnia cieszy się na myśl o choince i gwiazdce, my zaś myślimy, jak pogodzić nasze mocno okrojone dochody z wymaganiami tradycji. Ponieważ poważną rubrykę w wydatkach przedświątecznych stanowią podarunki, o nich chcę pomówić.

Przede wszystkim musimy ustalić liczbę osób, które chcemy obdarzyć i sumę, którą rozporządzamy. Pamiętać należy tylko, że lepiej jest ofiarować drobiazgi, niż kupić rzecz kosztowną i martwić się potem, nie mając jej czem zapłacić. Poza tym prezenty kosztowne bywają często krępujące, gdyż osoba obdarowana poczuwa się do obowiązku takiegoż rewanżu.

Boże Narodzenie, to święto dzieci, o ich radości w dniu wigilijnym myślimy przede wszystkim. Tylko nie kupujemy dzieciom prezentów praktycznych jak pończoszki, buciki, sukienki, nie sprawiamy dzieciom ani setnej radości jaki da wózek, lalka, czy konik. Nie muszą to być zabawki kosztowne — nie. Same je sobie sporządzmy. Konika, wózek wytnijmy z tektury, pomalujmy farbą. Lalkę czy jakieś zwierzątko uszyjmy z resztek materii i takim tanim kosztem sprawimy dziecku wiele, wiele radości. Przy wybieraniu zabawek kierujmy się zamiłowaniem i stopniem rozwoju dziecka.

Kiedy podarunki dla dziatwy są już przygotowane, możemy pomyśleć o dorosłych. Dla męża portfel, papierośnica, aparat fotograficzny, szachy prezenty ładne, lecz kosztowniejsze, tańsze jak portmonetka, krawat też będą mile widziane. A jeśli mamy zręczne ręce weźmy druty lub szydełko zróbmy swetr, szalik, ciepłe rękawice, skarpetki lub chustkę do kieszonki. Matce i siostrze sprawiamy przyjemność perfumy, woda kolońska, kwiat do sukni, album, — z praktycznych: ciepłe pantofelki, ładny żabocił, szalik, ładna robótka ręczna, czy wreszcie prenumerata dobrego czasopisma. A najmilszym chyba podarunkiem dla wszystkich to dobra książka w gustownej oprawie.

Trzeba tylko dobrej woli i pracowitości, a można całą rodzinę obdarować stosując się do gustu i potrzeb osób, którym chcemy dać upominek.

M. U.

\* \* \*

## Harcerstwo

### Młodsze a harcerstwo.

(W opracowaniu J. Żyły.)

...Musimy wychowywać młodzież, ażeby nasz krwawy dorobek nie został zniszczony, na odwrót, pomnożony przez nowe zdobycze...

Przed naszymi oczyma przesuwają się obrazy współczesnej młodzieży.

Spojrzymy! Tysiące dzieci wiejskich z batem w rękę i workiem od deszczu na głowie, chodzą „za krowim ogonem“ i uczą się walki o byt. Nikt się o nie nie troszczy. Kilka lat szkoły powszechnej daje im wyobrażenie o wielkości i pięknie świata, pobudza młodzieńcze umysły i zapał, lecz wszystko to gubi się i marnieje w życiu małych pracowników — pustka i szarżyzna życia przygniata młode umysły. A później zdarza się, iż w tej monotoności pojawia się jakiś zgubny agitator i widzimy, jak to niuświadomiona, zapracowana młodzież wysuwa się z naszych szeregów, niknie bezpowrotnie nie tylko dla swego społeczeństwa, lecz dobra całego Narodu.

Bolesny to widok, lecz najboleśniejszy — to dziatwa miejska, dziatwa przeróżnych kolonii rozsiadanych gęsto po naszym zagłębiu — ci mali mieszkawcy szczupłych izdebek, poddaszy, piwnic.

Głód i nędza w domu ciasnym, nieprzytulnym, nieraz ciemnym i brudnym, wypędza dziecko na ulicę. Ulica staje się światem dziecka, bądź co bądź piękniejszym od domu.

Dziecko otwartymi, zachwyconymi oczyma patrzy na ten nowy świat, a ulica zmora — przyjmuje go jako nową ofiarę, uczy go swoich praw życia, zatrąca młodą, chciwą wrzącą duszę.

Widzieliście wszyscy małe obdarte dzieci kradnące opał. Ten opał, to pierwszy krok, wprowadzie nie samodzielną, bo nakazany przez zapracowanych rodziców, ale za nim idą szybko inne.

W duszy dziecka pojawiają się pierwsze potrzeby na uraczenie się, pojawia się potrzeba zdobycia za wszelką cenę pieniędzy na pierwsze radości dziecinne — na papierosa, wódkę, karty, rozpustne zabawy, kina.

Kto bliżej przypatrzył się takiej młodzieży, ten wie, jak ciężkie jest jej życie, jak stara się z niego wyrwać, ale wprost niepodobieństwem jest przemóc warunki otaczającego ją świata, wyrwać się z upadku moralności. Brak jej sił, brak pomocy, brak opieki i przewodnictwa duchowego. Dziecko zniechęcone walką ustępuje i upada.

Ale cóż winne jest dziecko, nie mogące żyć inaczej chociażby chciało? Cóż jest winna jego matka, cały dzień zajęta gospodarstwem lub inną pracą? Cóż winien jest ojciec lub brat ciężko pracujący na swoje utrzymanie, a zresztą tak samo za młodu chowany?

Nie zapominajmy, że te dzieci to nasza przyszłość, to nasze najcenniejsze do myślenia głowy, najskorsze ręce do czynu — to nasz przyszły potężny stan robotniczy.

Jesteśmy świadkami różnych krwawych przewrotów. Czyż trzeba udawać, że nie tyle polityczne ile moralne są przyczyny takich rewolucji? Jeżeli nie chcemy, aby i nas spotkała kiedyś taka klęska, pamiętajmy: nam nie wolno zapomnieć o tych dzieciach!

W tym wypadku nie rozchodzi się o przytułek dla kilku wymierających starców, lecz o młode, żywe siły Narodu! Miliony nierozwiniętych sił, pod wpływem przedwczesnego zwiednięcia, stale popycha słabym ramieniem i duchem ludzkość, która wewnętrznie wyczerpana i znudzona ciągle przystaje i zawraca jakoby wstąpiła w swe cele.

Nie wypada budzić nam w swych sercach litości nad tą młodzieżą! ale poczucie obowiązku, pracy i przewodnictwa!!

Trzeba jak najprędzej pójść do młodzieży, podać jej rękę, wyprowadzić na inne drogi, wskazać jej inne światy, opromienić to biedne życie.

Trzeba jej mówić o niestłyszanej dotąd ewangelii służenia Bogu i Narodowi, trzeba wskazać im rolę pracy społecznej i obowiązku, ubrać blaskiem bohaterstwa żołnierzy Idei i Narodu.

Harcerze! Pójdźmy do niej, bo my ją najłatwiej znajdziemy. Ona w nas od razu odczuje brata, ona pójdzie za nami nie tylko z ufnością i przekonaniem, ale i z zapałem.

Nie myślcie jednak, że tylko młodzież najniższych warstw nas potrzebuje. Spójrzmy na dziatwę klas średnich, zamożniejszych — na tę gromadę białych uczniów kujących



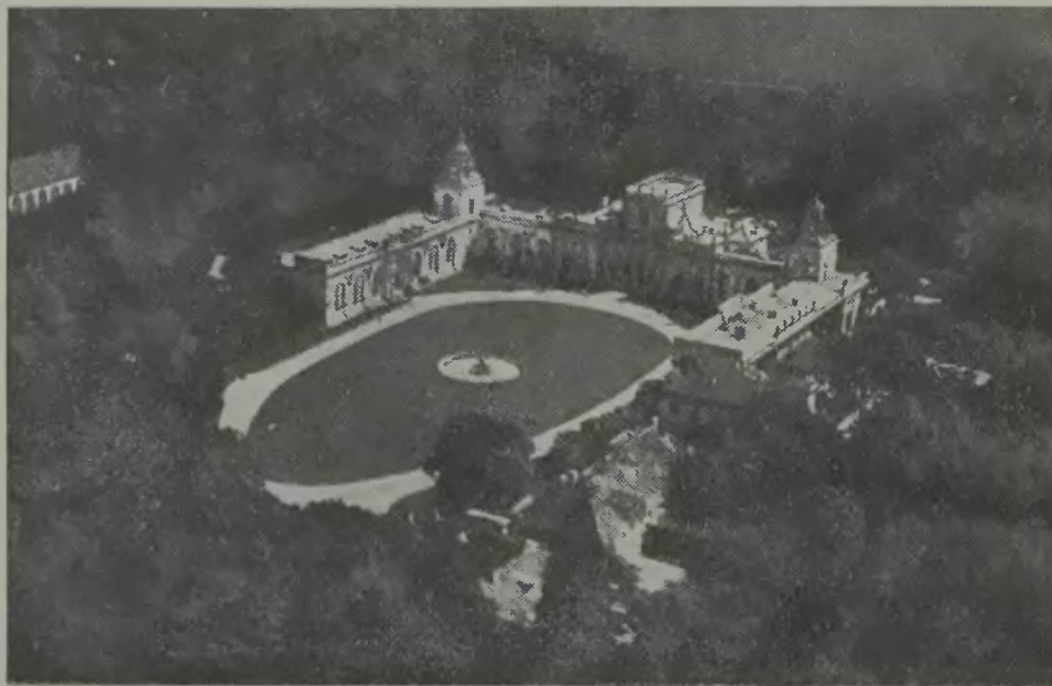
wiecznie lekcje. Rano niechętnie wstają, by iść do szkoły, siedzieć tam o głodzie, znużeni do 3 po południu, wracać przygnębionymi do domu, jeść obiad i znów siedzieć nad książkami do nocy.

Czyż nie szare i nie smutne jest ich życie? Czyż to w ten sposób nie wychowuje się pokolenia karłowatych duchem i ciałem groszorobów? W najlepszym razie to tylko pracowite mrówki — lecz nam nie mrówek trzeba, ale or-

łów, nie wątlých, ale żelaznych ramion, granitowych charakterów, niezłomnej woli i energii.

Do tej młodzieży smutnej, utrzymującej się szarym bezbarwnym życiem, pójdziemy pewni, że w ich zapadłej piersi znajdziemy odzew na nasze hasło »Czuwaj!« — że ją porwiemy swoim zapałem i poprowadzimy za sobą.

Naprzód! Z piosenką na ustach o kochanej ziemi, idźmy jak fala zalać cały świat!



Piękno Polski z lotu ptaka — Pałac w Wilanowie.

## Oświata i kultura dla robotnika w Polsce.

W listopadzie obradował w Warszawie II Krajowy Zjazd Delegatów Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego. R. I. O. K. należy do szeregu tych instytucji w Polsce, które rozpoczęły pracę na polu oświatowo-kulturalnym więcej niż skromnymi środkami i dzięki pełnej poświęcenia, samozaparcia i ideowej pracy, zarówno inicjatorów jak i organizatorów oraz pracowników organizacji, po pokonaniu wielu trudności, osiągniętymi rezultatami zasłużyły sobie na wyrazy pełnego uznania.

Szeroko zakrojona działalność Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury obejmuje: akcję świetlicową, akcję kształceniową, kulturalno-artystyczną, sportową, budowę robotniczych domów oświatowych i instruktorat oświatowy.

O szybkości rozwoju instytucji najlepiej świadczą cyfry. W roku 1930 RIOK posiadał jeden oddział, liczący około 100 członków. W r. 1934 istniały 34 oddziały, liczące około 3000 członków, w r. b. ilość okręgów, w których RIOK prowadzi prace wynosi 6, a w ramach 34 oddziałów skupia się 8000 członków. RIOK jest właścicielem bloku domów w Kościelnicy pod Katowicami i buduje trzy oświatowe domy robotnicze na terenie województw wschodnich w Pińsku, Stołpcach i Horodyszczy.

Akcja świetlicowa lub wywczasów robotniczych dąży do nawiązania bezpośredniego kontaktu z robotnikiem i pokierowania jego zainteresowaniami w kierunku ukształtowania światopoglądu i wykształcenia osobowości. Do tych celów RIOK zmierza przez tworzenie warunków do wypoczynku po pracy fizycznej wypełnionego rozrywką i nauką oraz przez wychowanie robotnika polskiego społecznie i obywatelsko. Większość świetlic RIOK-u prowadzi czytelnie gazet i czasopism. Przez świetlice RIOK przewijają się codziennie około 400 gazet i stokilkanaście tygodników i miesięczników, odbywają się też w nich poranki artystyczne i filmowe, gawędy koleżeńskie i wieczory dyskusyjne, wypełnione omawianiem m. in. tematów z zagadnień literatury, sztuki, przemysłu ludowego i t. p. Najlepiej zorganizowane świetlice RIOK

znajdują się w Pińsku, Brześciu n. Bugiem, Stołpcach, Lidzie, Toruniu, Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Dąbrowie Górniczej, Bielsku, Czechowicach, Chrzanowie, Łodzi, Żyrardowie, Lwowie, Borysławiu, Drohobyczu i Kielcach.

Poszczególne księgozbiory RIOK liczą od 50 do 2000 książek. Ogół posiadanych książek sięga cyfry 14.000 tomów.

Akcję kształceniową RIOK prowadził w roku sprawozdawczym w Poznaniu na Uniwersytecie Robotniczym, w Warszawie na Kursach Pionierów Oświatowych, w Chrzanowie na Kursach Pionierów Oświatowych, w Łodzi i Lidzie na kursach dla działaczy społecznych w organizacjach robotniczych. W Baranowicach, Stołpcach, Lidzie, Łucku, Bielsku i Warszawie urządzono szereg kursów rzemieślniczych murarstwa, ciesielstwa, stolarstwa, ślusarstwa, szewstwa, ogrodnictwa, trykotarstwa, introligatorstwa, kroju i szycia itd.

Odczytów wygłoszono we wszystkich oddziałach organizacji około 1000.

Akcja kulturalno-artystyczna obejmuje organizowanie kół śpiewaczych, orkiestr i kół teatralnych, liczących około 1000 aktorów-amatorów. W szczególności Okręg Śląski rozpisuje konkursy na sztuki amatorów-robotników. W Warszawie cieszą się powodzeniem poranki artystyczne, odbywające się co dwa tygodnie, na których frekwencja dochodzi do 2500 osób. W Poznaniu dzięki inicjatywie RIOK powstał Teatr Społeczny.

Działalność sportowa instytucji polega na pracy w zespołach sportowych, w robotniczych obozach wypoczynkowych oraz na organizowaniu kursów narciarskich, kolonii dziecięcych i różnego rodzaju wycieczek.

W ten sposób Robotniczy Instytut Oświatowy i Kulturalny im. Stefana Żeromskiego kształci i wychowuje polskiego robotnika, aby — jak mówi oświadczenie uchwalone przez ostatni zjazd — oddać przez swą pracę oświatową przygotowane kadry robotnicze i wszystkie siły klasowe Ojczyźnie, na wypadek konieczności odparcia niebezpieczeństwa z zewnątrz.

J. Ch.



## Nasze sprawozdania.

### Z premiery »Li-tszang-szaj«.

W niedzielę, 22 listopada b. r. odegrana została w Cz. Cieszyńcu przez Teatr ludowy przy M. Szk. nowa sztuka K. Bergera, 3-aktowa krótkowidła p. t. »Li-tszang-szaj«. Fabuła jest prosta i nie wnosi do zbioru sztuk scenicznych nic nowego, oryginalnego. Pociąga zato swą egzotycznością. Wystawienie tej sztuki pod reżyserią samego autora była pod każdym względem dobra. Amatorzy, jak zawsze, wywiązali się ze swych ról należycie. Barwność kostiumów na tle nowej dekoracji chińskiej zrobiła miłe dla oka wrażenie.

Zespół cieszyński odegrał nową sztukę z wielkim powodzeniem w Łyżbicach w niedzielę 29 listopada. W następną niedzielę, 6 grudnia odegra ją w Oldrzychowicach.



Fot. Elsner, Cz. Cieszyn.  
Scena z premiery „Li-tszang-szaj” w Czeskim Cieszyńcu.

**Żywocice.** Z okazji 15-lecia »Siły« młodzież robotnicza wystawiła w dniu 15 listopada b. r. udatnie wesołą komedię p. t. »Wojna z babami«.



Młodzież Kółka amatorskiego przy Kole M. Szk. w Piosku, która w r. 1935 i 1936 odegrała kilka przedstawień, jak: »Surdut i siermięga«, »Filozof«, »Ulicznik warszawski«, »Na wymiarze«, »Wesele cieszyńskie«.

### Odpowiedzi Redakcji.

**P. »Aika«.** 1. Tajemnica redakcyjna obowiązuje każdego szanującego się redaktora. Czasem jednak sami ludzie domyślają się z treści, sposobu pisania, i z tematu, jaki został poruszony, kto jest autorem. Tu już potem trudno kogoś winić. — 2. Tak jest — przez organizację ręczyy osobiście wobec władz za płacenie podatków.



Fot. Elsner, Cz. Cieszyn.  
Chór męski M. Szk. w Cz. Cieszyńcu, który w dniu 15 listopada b. r. obchodził 5-lecie swego istnienia.



Mogiła 20 poległych w r. 1919 żołnierzy polskich w Stonawie w dniu Zaduszek 1936 r. Straż honorowa harcerek.

**P. J. N., Żywocice.** Recenzji nie umieszczamy, a tylko całkiem krótkie sprawozdania z imprez.

**»Kacem 376«.** Prenumerata zapłacona do 1. X.

**M. M., Markłowice.** Prenumerata wyrównana do 31 XII b. r.

\* \* \*

### UWAGA CHÓRY!

W następnym numerze »Ogniwa« wyjdzie pieśń śląska J. Hadyny na chór mieszany »Cztery konie we dworze«. Zwracamy uwagę chórom, że pieśń ta będzie jako obowiązkowa na Związkowym występie w lipcu 1937 i poza »Ogniwem« nie będzie do nabycia.

\* \* \*

### OD WYDAWNICTWA.

**P. T. Abonentom** naszego pisma przypominamy, iż zbliża się koniec roku, dlatego prosimy wszystkich tych, którzy jeszcze nie wpłacili prenumeraty do końca b. r., by byli łaskawi natychmiast to uskutecznić.

Abonentom w Polsce dołączamy do dzisiejszego numeru blankiety czekowe z prośbą o przesłanie prenumeraty. Tym wszystkim, którzy mają wszystko wyrównane przesyłamy serdeczne podziękowanie.

Administracja.





Czyściciel okien czyści swoje okulary.

## Pojedynek.

- Czy kolega R. jest w swym pokoju?
- Jest, ale leży, bo wrócił z pojedynku.
- Ach, więc jest ciężko ranny?
- Nie, ale za to ciężko urżnięty.

\* \* \*

## Ten był ostrożny.

Szwarcblum umiera na tyfus i do swego łoża każe wezwać popa. Na rodzinę pada błąd strach. Co on będzie mówił z popem?

Gdy pop zjawił się, Szwarcblum zaczyna mu dyktować swą ostatnią wolę. Batuszka jest zdziwiony nie mniej od krewnych chorego.

— Gałubczyk, ale właściwie, to powinien pan wezwać rabina?

— Co — woła Szwarcblum — przy tyfusie rabina?

\* \* \*



Fatalista, który poszedł na polowanie na tygrysy.

## Dobry syn.

- Spotkałem wczoraj ojca pańskiego. Wspinał się trzyma, dobrze mu z tą siwą czupryną.
- Tak, te siwe włosy ma mnie do zawdzięczenia...



— Ja wam mogę pożyczyć zapasowego koła.

## Cenna pamiątka.

- Słuchaj, wyratuj mnie z ciężkiej biedy, pożycz mi 50 Kcz.
- Niepodobna.
- Dlaczego, przecież masz taki wielki majątek, to dla ciebie drobnostka!
- Niewątpliwie, ale nie mogę rozłączyć się z pieniędzmi... to pamiątka po ojcu.

\* \* \*

## W teatrze podczas antraktu.

- Mnie się ciągle zdaje, że ja pana już gdzieś widziałem!
- Bardzo możliwe, bo ja tam czasem bywałem.

\* \* \*

## Cudowne słowa.

- Wczoraj powiedziałem żonie kilka takich słów, że od tej pory wcale ze mną nie rozmawia.
- Leć natychmiast do urzędu patentowego i opatentuj te słowa. Możesz się stać milionerem!



Wynalazek surowego ojca rodziny, pozwalający mu na natychmiastowe ukaranie popełnionych przy stole niewłaściwości.



# OGNIWO

*DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI*  
*PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFOR-*  
*MACYJNYM - OŚWIATOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM*



»Na pasterkę« — rysunek Eismonda.

Janina Zabierzewska.

## **Wśród nocnej ciszy...**

Są dni przetkane gęsto białą mgłą grudniową.  
A pod gwiazdzistym niebem ziemia Mrokiem dyszy —  
I do nas od wiek wieków Żywe przychodzi Słowo —  
— Spiewamy »Wśród nocnej ciszy«. —

Chylimy swoje czoła przed nędznym Złóbkciem — w pokorze —  
zamiast serc oschłych stroimy choinkę — godowo.  
Bijemy się w puste piersi — Pokorne my raby boże!  
— Dziś ciemna noc — w jasnościach. Jutro dzień ciemny na nowo. —

A w taką noc przetkaną białą mgłą grudniową,  
gdy pod gwiazdzistym niebem ziemia Mrokiem dyszy —  
w lichej się rodzi stajence — Miłość. — Żywe Słowo  
wśród nocnej ciszy.





»Jasełka na dworze św. Kingi« — rys. Andriollego.



»Po kolędzie« — rysunek Potiechy.





### **Pomagajmy sobie nawzajem!**

Młodzież nasza pozostawała przez długie lata bez własnego organu. Miały dzieci szkolne swą gazetkę, natomiast młodzież starsza, zaprawiająca się do pracy społecznej, skazana była na czytanie tygodników, w dodatku partyjnych, które nie mogły, czy nie chciały zajmować się sprawami młodzieżowymi. Odbiło się to na całokształcie pracy społecznej. Powstał wreszcie polski dziennik, ale i ten nie mógł użyć swoich szpalt młodzieży w takich rozmiarach, jak tego sprawa wymagała i dlatego przystąpiono do wydania własnego pisma młodzieżowego.

Wydawnictwo starało się i stara dostosować pismo do potrzeb młodzieży. Nie przychodzi to z łatwością, a to z kilku powodów. Jednym z głównych to brak jakiegokolwiek tradycji. Nie było jeszcze na Śląsku pisma dla starszej młodzieży i dlatego też różne wśród czytelników są zdania, jak takie pismo ma wyglądać. Z listów, które przychodziły z kół młodzieży samorządnie i osobistych rozmów czerpałmy jednak różne cenne wskazówki. Jeśli nie mogliśmy się do nich zastosować w zupełności, to winę ponosi tu przede wszystkim brak funduszy. Przy dobrej jednak woli czytelników da się dużo osiągnąć i dlatego prosimy o zastosowanie się do hasła: Pomagajmy sobie nawzajem! My z naszej strony przystępujemy z nowym rokiem do następujących inowacyj:

**Dodatek powieściowy:** Jednym z najczęściej powtarzanych życzeń było, aby »Ogniwo« drukowało jakąś dłuższą, interesującą powieść. Życzenie to spełniamy. Począwszy z pierwszym numerem rocznika 1937 załączać będzie dodatek powieściowy w objętości 4 stron formatu »Ogniwa«, czyli 8 stron formatu książkowego. Drukować będziemy powieść p. t. »Przygoda jednej nocy« S. Bolesławskiego, opisującą emocjonujące przeżycia młodocianego robotnika w ciągu jednej nocy. Powieść tą o objętości około 90 stron mogą sobie czytelnicy dać oprawić.

**»Ogniwo«:** Równocześnie zaprowadzamy specjalny dodatek dla starszej młodzieży szkolnej, p. t. »Ogniwo«. W nim tak chłopcy jak i dziewczęta ponad lat 10 znajdą wiele ciekawego materiału: krótsze powieści, kącik »Własną siłą«, dział rozrywkowy itd.

Oba te dodatki nie uszczuplą dotychczasowej objętości »Ogniwa«.

**Samopomoc:** W nowym tym dziale wskazywać będziemy na różne, nie wykorzystane dotychczas źródła dochodu.

**Ilustracje z terenu:** Jest to punkt najboleśniej, gdyż wymaga wielkich nakładów pieniężnych. Koszt kliszy np.

wielkości widokówki wynosi około Kcz 70.— Będziemy się jednak mimo to starali przynosić więcej ilustracji krajowych niż dotychczas.

Niezależnie od tych inowacyj troską naszą będzie, aby »Ogniwo« w drugim roku swego istnienia stało się i pod innymi względami doskonalszym. W zamian za to oczekujemy od czytelników zastosowania się do naszych życzeń, a nie są one bynajmniej wygórowane. Oto one:

**Punktualność w płaceniu prenumeraty:** Wydawnictwo, które ma opieszalych prenumeratorów, wegetuje tylko i nie może się rozwijać. Traci czas — któryby o wiele lepiej mogła wykorzystać — na wysyłanie upomnień, które ponadto pochłaniają znaczne kwoty na portorium, papier, koperty.

Prosimy wziąć sobie to do serca i do końca roku wyrównać wszelkie zaległości. Dla większości czytelników nie czyni to żadnej różnicy, czy płacą z góry, czy też z dołu. Gdyby tylko tysiąc abonentów wpłaciło na początku roku jednoroczną prenumeratę Kcz 12.—, mielibyśmy 12.000.— Kcz, z których odsetki moglibyśmy użyć na ulepszenie pisma. A więc, kto może, niech nie zwleka, a zaraz po przeczytaniu nada na pocztę prenumeratę!

**Zyskanie nowych abonentów:** Każdy zyskany nowy abonent przyczynia się do rozwoju pisma. Im większy nakład tym tańszy poszczególny egzemplarz pisma, a co za tym idzie — możliwość ulepszenia i zwiększenia objętości pisma. W roku bież. zyskaliśmy przeszło 200 nowych abonentów. Jest to stosunkowo niedużo i na zmniejszenie ceny egzemplarza nie ma to jeszcze takiego wpływu, któryby wydawnictwo odczuło.

W nowym roku, — niezależnie od abonentów zśród młodzieży szkolnej — musimy zyskać conajmniej tysiąc nowych prenumeratorów. Gdy każdy z czytelników postawi sobie za zadanie zyskanie choćby jednego nowego abonenta, to możliwości rozwoju pisma będą całkiem inne, gdyż nakład powiększy się o przeszło 2000 egzemplarzy. A zadanie to nie jest trudne. Trzeba tylko dobrej woli. W porównaniu z innymi gazetami 50 halerzy za 16 stron — a od nowego roku 24 stronice — ilustrowanego i drukowanego na lepszym papierze pisma młodzieżowego, to kwota tak minimalna, że i ten najbiedniejszy może sobie pozwolić na zaabonowanie.

A więc z młodzieżowym zapalem do dzieła! Pomagajmy sobie nawzajem!

\* \* \*

### **Kącik językowy.**

#### **Głoska a litera.**

W »Dzienniku Polskim« dwukrotnie zauważyłem notatkę o tym, że Niemcy nie uznają czeskiej spółgłoski č. Muszę tu stwierdzić, że informacja taka jest nieścisłą, ponieważ Niemcy sami w swoim języku spółgłoskę cz mają. Wspomniane notatki nie dotyczyły spółgłoski cz, lecz litery č, a spółgłoska i litera to są dwie różne rzeczy. Tak różne jak jakiś przedmiot a jego obraz, jak ton i nuta.

Głoska (samogłoska i spółgłoska) jest elementem mowy mówionej, czyli innymi słowy jest tym podstawowym i najmniejszym składnikiem, z których składa się mowa ludzka. Można więc głoskę wymawiać i słyszeć. Jeżeli chcemy mowę utrwalić na piśmie, to używamy do tego odpowiednich znaków, noszących nazwę liter. Litery można zatem pisać i widzieć — są to więc znaki, oznaczające głoski, które są dźwiękami.

Notatki »Dziennika Polskiego« dotyczyły nie spółgłoski cz tylko litery č. Spółgłoska cz istnieje i w języku polskim, i w czeskim, i w niemieckim i w innych, ale w każdym jest inaczej oznaczana. Czyli ta sama spółgłoska jest w róż-

nych językach oznaczana różnymi literami: w języku polskim są to dwie litery cz, w niemieckim nawet cztery tsch. zaś w języku czeskim jedna odrębna litera č. I tej litery Niemcy czechosłowaccy nie chcą uznać w podręcznikach szkolnych dla szkół niemieckich w wyrazie a raczej skrócie Kč.

Warto przy tym zauważyć, że kiedy zaczęło się mówić o uproszczeniu pisowni polskiej, odzywały się w kołach językoznawców głosy za wprowadzeniem czeskich liter č, š, ř w miejsce dotychczasowych cz, sz, rz. Komitet tę sprawę rozpatrywał, lecz — głównie ze względów technicznych (np. przeróbka maszyn do pisania i drukarskich) — nie zyskała ona jego poparcia i pozostaliśmy przy literach dotychczasowych.

Proszę pamiętać, że trzeci przypadek liczby pojedynczej (na pytanie komu? czemu?) ma końcówkę -emu: temu pięknemu chłopcu, jednemu czystemu oknu, wielkiemu drzewu itp. Wprowadzona przez nową pisownię jednolita końcówka -ym dotyczy tylko 6 i 7 przypadku licz. poj., a w trzecim przypadku liczby mnogiej była ona oddawna: liczby mnogiej a nie pojedynczej.

Afka.



## W noc wigilijną.

... Wieczór już stał u progu, słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się po niebie krwawymi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, jakby zarzewiem posypane — ale wieś głuchła i przycichała; nosili jeszcze wodę ze stawu, rąbali drwa, to ktoś się śpieszył saniami, aż koniom śledziona grały, biegali, zrywały się tu i ówdzie głosy różne, ale zwolna, wraz jeszcze przez staw, skrzyślały wrótnie gdzieniegdzie, z gaśnięciem zórz i z tą popielatą sinością, jaka się sypała na świat, ruch zamierał, przycichały obejścia i pustoszały drogi. Dalekie pola zapadały w mrok, zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w noc swoją, a mróz się podnosił i tak ścisnął, że głośniejsze grały śniegi pod trepami i szyby malowały się w różgi i kwiaty dziwne!...

Wieś zginęła w szarych, śnieżnych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczery.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu — snop zboża, okryto ławy, czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś niewidne były zaraz z pierwszego wieczora, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać, jakby dynami sinymi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę widzieli.

— Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści, że była, tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, przyskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho ukląkł na śniegu, a za nim drudzy.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, ufnością i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty, pleniący złe, jako sakrament.

A gwiazda olbrzymia, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, skrzyły się po śniegach i świetlistymi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne a liczne, nieprzeliczoną a nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą płachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździemi.

— Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem się stało! — rzekł Rocho.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła, aby razem wieczerzać, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadłe i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta ciemność zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czią, kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, to pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie w mące obmaczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również o-maszczona, a naostatek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej maki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprażone, a przygryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni struch, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo, i mało kiedy, jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie — tylko Boryna raz po raz rwał się pomagać Jagusi a wyręczać, aż go stara skarciła.

— Siedźcie, nie się jej nie stanie, daleko jeszcze do czasu, a pierwsze święta na swoim, to niechaj się wkłada!

Ale Łapa skomlał z cicha, trykał łbem o zady, łasił się a przychlebiał, by mu prędzej dali, a boć, któren miał swoje miejsce w sieni, to często gęsto kuł dziobem w ścianę, to klekotał, aż się kury odzywały na grzędach.

Nie skończyli jeszcze, gdy ktosik zapukał do okna.

— Nie puszczać i nie obzierać się, to złe, wciśnię się i na cały rok ostanie! — wykrzyknęła Dominikowa.

Opuścili łyżki i słuchali strwożeni, pukanie znowu się ponowiło.

— Kubowa dusza! — szepnęła Józka.

— Nie pleć, ktosik potrzebujący; w ten dzień nikt nie powinien być głodny, ni ostawać bez dachu — odezwał się Rocho, podnosząc się, drzwi otwierać.

Jagustynka to była, stanęła pokornie u progu i przez łyzy, co się jej jak groch sypały, prosiła cicho.

— Dajcie ką jak i choćby to, co psu wyrzucicie, zmiłujcie się nad sierotą... Czekalam, że mnie dzieci zaproszą... czekałam, w chałupie mróz... na darmo wyzybiałam... na darmo... Mój Jezus... a teraz, jak ta dziadówka... jak... rodzone dzieci... samą mnie ostawiły i bez tej okruszyny chleba... gorzej niżli tego psa... a



tam u nich gwarno, pełno ludzi... chodziłam koło węglów... w okno zaglądałam... na darmo...

— Siadajcie z nami. Trzeba było przyjść wam zaraz z wieczora a na dziecińską łaskę nieczekać... jeno do trumny to ochotnie wbijają gwoździe ostatnie, by się upewnić, że nie wrócicie już po nic.

I z wielką dobrością zrobił jej miejsce wedle siebie.

Ale nie mogła nic przełknąć, choć jej Jagusia niczego nie żałowała i szczerym sercem zniewalała do jadła, cóż, kieć nie mogła, siedziała cicho, skulona i zaparta w sobie, że jeno po dryganiu pleców było widno, jaka ją męka ozdierała.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między nimi leżało to święte dzieciątko Jezus.

Ogromny, a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświeślał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamarznięte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem i poradzali zcicha i poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali ją zwolna...

Aż Rocho wyjął z zanadru książkę okreconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

»Jako to stała się nam nawina, panna porodziła syna, aż w Judejskiej ziemi, w Betleem, niebardzo podłem mieście, urodził się Pan w ubóstwie; na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej były mu bratami. — A ta sama gwiazda, co i dzisiaj świeci, spłonęła

wówczas dla tej świętej dzieciny — i drogę wskazywała Trzem królom, co chociaż pogany i czarne jako te sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, z za morz nieprzejrzanych, z za gór przybiegli z дарami, by prawdzie dać świadectwo.«

Długo czytał opowieść ową, a głos mu się wzmagął i rozmadlał i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnym, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz, olśnionych cudem i w najszczerzym odczuciu łaski Pańskiej, narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcymi, między żydy paskudne, między heretyki srogie! a w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przenajświętsza, o dziecinniecko słodka!... Myśleli i serca były współczuciem a dusze się zrywały i niosły we świat, jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek dzieciątka przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków Amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miętkie dzieuszysko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś, wsparłszy twarz na dłoniach, też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce.

#### Przyjaciół Mickiewicza organizatorem republiki Chile.

W dziejach Chile prawdziwie złotymi zgłoskami zapisało się nazwisko Ignacego Domeyki (1801—1889). Wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego, filareta, przyjaciel Mickiewicza, Czeczotta i Zana, po upadku powstania listopadowego, w którym brał udział, wyemigrował do Francji, skąd powołany został na katedrę chemii w uniwersytecie w Santiago, stolicy Chile. Wybitny uczony był zarazem niepospolitym organizatorem życia naukowego i gospodarczego. Jego podróże geograficzne i badania geologiczne przyczyniły się do podniesienia dobrobytu i rozwoju gospodarczego kraju. Badania i odkrycia mineralogiczne Domeyki umożliwiły rozbudowę górnictwa i przemysłu w młodej republice, której władze i ludność darzyły naszego rodaka poważaniem i największym uznaniem. Grupa Andów otrzymała nazwę Gór Domeyki, którego nazwisko umieszczone zostało również w nazwach wielu szczytów górskich, miejscowości i minerałów, tak że dziś pamięć o nim jest żywa i trwa.

Domeyko nie tylko niestrudzenie badał i coraz nowych dokonywał odkryć naukowych, lecz uczył Chilejczyków korzystać z bogactw kopalnianych ich kraju i postępów wiedzy, co walcie przyczyniło się do uniezależnienia gospodarczego Chile od zagranicy i podniesienia oświaty i kultury kraju. Pod koniec życia Domeyko powrócił do kraju, po paru latach ponownie jednak wybrał się w odwiedziny do Chilejczyków i wśród nich dokonał swego pracowitego i tak zasłużonego żywota.

\* \* \*



»Święta Rodzina na wychodźstwie.«

Mal. prof. J. Męcina-Krzesz.



Nie wiem co nas skłoniło zabrać na włóczęgę pannę Maryškę.

— Umiesz dobrze jeździć, Maryško? — upewniałem się kilka razy.

— Ho, ho!... Jeszcze jak!

— Nie zrobisz nam wstydu?

— Tylko się nie lękaj!...

Dobrze więc. Plecak nasze były lekkie, zawierające trochę jedzenia, wiatrówki, koce, latarki elektryczne i smary do nart. Ruszyliśmy w czwórkę. Obliczyliśmy, że zdołamy w ciągu jednego dnia przemierzyć na nartach całą drogę, od Stożka do szańców jabłonkowskich. Ja upierałem się, żeby z Kiczory pojechać od razu do Istebnej zakosami, panna Maryška i dwóch towarzyszy uwzięło się. Nie a nie!

— To dokąd chcecie jechać?

— Na Kubalonkę, stamtąd do Istebnej, a z Istebnej już wprost na szańce do Mostów.

— Dobrze, jedźmy na Kubalonkę! — zgodziłem się niechętnie. Chodziło o to, by zdążyć do wieczornego pociągu w Jabłonkowie i, by nim wrócić na wieczór wigilijny do domu w Cieszynie.

Pojechaliśmy. Śnieg był suchy, puszysty, lekki. Narty niosły świetnie. Lecieliśmy jak na skrzydłach. Migwały koło nas drzewa zamienione w jakieś ogromne czapy śnieżne, śnieg dzwonił pod nartami, mroźny wichur palił nas po twarzy, wyściskał łyż z oczu, a serce dygotało z wzruszenia. Miejscami sypaliśmy się w śniegu, zwłaszcza w wąskich, głębokich ścieżkach leśnych, w których nie było można ani płużyć, ani kijkami hamować.

Tutaj to pierwszy raz okazało się, że Panna Maryška jest patałachem. Oto w miejscach stromych siadała po prostu na kijkach, czyniąc wielki dyshonor braci narciarskiej.

— Co mi tam! — broniła się. — Milej mi zjechać na kijkach w sposób niehonorowy, niż honorowo przejechać się na nosie w śniegu i guza wynieść z wyprawy.

Na Kubalonce mały odpoczynek.

— Jedziemy! — popędzałem, bo chodziło o wyzyskanie czasu.

Najopieszalej zabierała się do dalszej drogi panna Maryška.

— Pierona, kości już mnie boją! — postękiwała.

— Wróć się!

— Ani mi się śni!... — zawołała, przypięła narty i pognęła pierwsza.

Po drodze wichur wznosił się, niebo zaciągało się ciężkimi, niskimi chmurami, a gdyśmy dojechali do kościoła istebniańskiego, przeszła nas ogromna śnieżycza. Jak długo wędrowaliśmy drogą między zabudowaniami wsi, nie odczuwaliśmy jej tak bardzo. Zaledwie jednak wyjechaliśmy w pola za kościół w Girowej, wszystko się zmieniło. Wichur wzmógł się, dał przenikliwie, bił w nas skrzydłami, wywracał do śniegu, parzył skórę na twarzy, zalepiał oczy śniegiem, i tworzył nieprzeniknioną zasłonę. Zdawało się nam, że znajdujemy się w ogromnej, wirującej kuli śnieżnej.

— To ja lubię!... To lubię!... — pokrzykiwała uradowana dziewczyna, lecz wichur zrywał

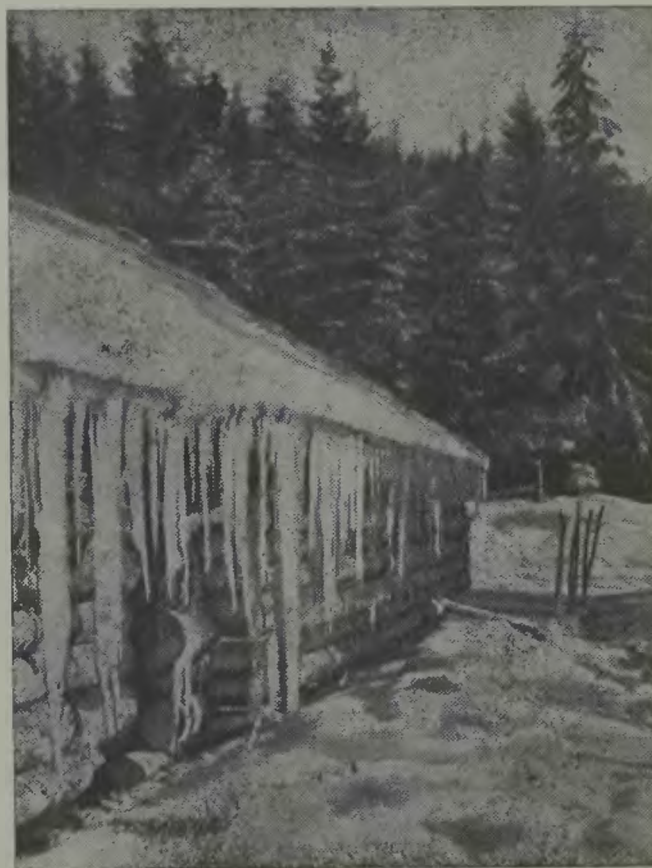
jej słowa z ust. Posuwaliśmy się teraz prawie o-mackiem. Wszystko zniknęło koło nas. Kierowaliśmy się tylko kierunkiem wichru, wiedząc, że dojdziemy w ten sposób na Girową, a stamtąd już zakosami spadniemy w dolinę przełęczą jabłonkowskiej.

Okazało się jednak, że trochę przeliczyliśmy się z własnymi siłami. Zwłaszcza z siłami panny Maryški. Śnieg stawał się teraz kopny i tak sypki, że narty tonęły w nim głęboko. Już teraz nie posuwaliśmy nimi, lecz kroczyliśmy z wysiłkiem, podnosząc je wysoko ze śniegu. Najgorzej było, gdy się ktoś z nas wywrócił. Narty zostawały na powierzchni, a tułów tonał głęboko w zawijach. Trudno było powstać o własnych siłach.

— Nie rozchodzić się! — wołałem od czasu do czasu, bo wiedziałem, że gdy ktoś z nas zniknie w zawierusze śnieżnej, już go nie znajdziemy. Wołać bowiem nie można, gdyż szum wichru zupełnie głużył słowa. A o przypadek nie trudno!...

Wędrowaliśmy przeto gęsiego, pannę Maryškę mając w środku. Dziewczyna ustawała w pochodzie.

— Daleko jeszcze? — zapytała, przytykając usta do moich uszu, żebym mógł ją zrozumieć. Spojrzałem na nią i trochę się zaniepokoiłem. Dziewczyna była już zmęczona. Dyszała ciężko, a jej niebieskie oczy zgasły. Były jakieś szare i ogromnie znużone.



Cuda zimy — utulona w śniegu chata góralska.



— Co tobie? — zapytałem.

— Śpiąca jestem!... — rzekła z wysiłkiem.

O, to źle... Nie wolno ustawać, bo nam dziewczyna gotowa zmarznąć! Skinałem na wszystkich i ruszyłem ostro w wichurę, nisko nachyleni, z odwróconymi twarzami przed wichrem.

Dotarliśmy w końcu na jakąś polanę.

— Tu powinien być zjazd na Girową! — rzekłem.

Zaczęliśmy szukać ścieżki, wyrabanej w gęstym lesie. Ani śladu. Czarny las wyje przeraźliwie, wicher przewraca nas, mróz daje się coraz bardziej we znaki, a ścieżki jak nie ma, tak nie ma.

— Czybyśmy zabłądzili? — zaniepokoiłem się trochę.

Jeliśmy brodzić w śniegu i szukać zjazdu. Mrok już zapadał, co nam jeszcze bardziej utrudniało orientowanie się w terenie. W końcu widziałem, że nie znajdziemy naszej drogi. Ruszyłem przeto na przełaj w domniemanym kierunku Girowej, a za mną reszta towarzyszy.

Odsadziłem się daleko, kiedy nagle zdawało mi się, że słyszę wołanie. Zatrzymałem się, jałem nasłuchiwać. Istotnie poprzez wycie wichru dochodzi mnie wołanie.

Trzeba było wracać.

Kierowałem się za głosem wołających kolegów. Koleiny moich nart były już bowiem zawiane. Długo błądziłem, zanim w końcu poprzez gęstą, białą, wirującą ścianę śnieżycy zamajaczyły mi cienie moich towarzyszy.

— Co się stało?

— Maryśka nogę zwichnęła!...

Istotnie dziewczyna leży w śniegu i prosto beczy. Łzy cieką po twarzy i zamarzają na policzkach.

Co tu robić? Jeżeli zdejniemy narty, zapadniemy się w śniegu po pas. Pierona jasnego! Rychło jednak powzięliśmy plan. Oto dwóch towarzyszy splecie dłonie, Maryśka usiadzie na nich jak na fotelu, ułapi kolegów za szyje, a trzeci pójdzie przodem i będzie drogę torował.

Dotarliśmy w ten sposób pod ścianę lasu. Tu było ciszej. Maryśka wciąż płakała, narzekając na dojmujący ból w nodze. Uradziliśmy przeto, że dwóch kolegów pozostanie przy niej i spróbuje zrobić ognisko, trzeci zaś pojedzie w dolinę szukać pomocy.

Szczęście nam sprzyjało. Zaledwie bowiem odbiłem się kijkami i jałem sunąć w dolinę, zamajaczyło mi z boku światelko, tkwiące w czarnym masywie. Była to góralska chałupa. Zapukałem, wywabiłem ludzi, znieśliśmy dziewczynę do izby i już było wszystko dobre. Ale wieczór wigilijny w domu przepadł. A szkoda. Teraz nasi najbliżsi będą się może niepokoić o nas. No trudno!...

Góral, stary gazda o pomarszczonej twarzy, obejrzał nogę Maryśki. Potem kazał żonie przynieść w cebrzyku gorącej wody, zanurzył w niej nogę dziewczyny, a kiedy się dostatecznie rozgrzała, ujął między kolana, szarpnął gwałtownie, dziewczyna wrzasnęła, i noga była naprawiona.

Nie było innej rady, jak przenocować w chałupie u gościnnych gazdów beskidzkich.

Tymczasem na dworze zapadł już zmrok. Gazda zaprosił nas do stołu, do wieczerzy wigilijnej. Głodni byliśmy jak wilki, przeto też wcale się nie wzbranialiśmy. Wieczerza była skromna. Przy

stole zasiedli oprócz gazdów i nas czworga, jeszcze wnuk gazdów i pasterka czy służąca. Razem więc osiem osób. W kącie stała mała choinka, na choince paliło się kilka świec, a na nalepie dymiły garnki smakowitą parą i zapachem. Gazda wstał, przeżegnał się poważnie i jał głośno odmawiać Ojczenasz. Myśmy powtarzali za nim święte słowa. Potem zaczęła się wieczerza.

Jedliśmy z jednej dużej misy. Sięgaliśmy głęboko łyżkami, lecz powoli, z namaszczeniem, jak przystało w taki święty wieczór. Miska zmieniała się. Była najpierw kapusta z ziemniakami, potem groch, ryż, grysik posypany cukrem i tartym piernikiem, pieczone ziemniaki, a następnie każdy z nas otrzymał po kawałku ryby wysmażonej. Dobra była. Aż palce lizać. Następnie oczekiwał nas jeszcze ser i suszone śliwki ugotowane. A na końcu orzechy. Każdy z nas otrzymał po cztery sztuki. Każdy zaś orzech miał przepowiadać stan zdrowia na jedną porę roku. Moje były wszystkie zdrowe. Maryśka miała pierwszy orzech zepsuty. Zmartwiał się biedaczka, bo była przekonana, że będzie chorować przez trzy miesiące i nic nie będzie z nart. Lecz kiedyśmy jej wytłumaczyli, że ów niezdrowy orzech oznacza jej nogę zwichniętą, z czego wyleczy się do tygodnia, znów zaczęła się uśmiechać.

Potem gazda wziął opłatek i jał się dzielić z nami i z domownikami.

— Na szczęście, na zdrowie, na święte Boskie pożegnanie! — powtarzał, kreśląc krzyż nad złamanym opłatkiem.

Syci i ogrzani czuliśmy się dobrze w starej chałupie góralskiej. Zapomnieliśmy o przeżytych wrażeniach. Za ścianami wył wicher, dudnił po kalenicy, prał śniegiem o małe szybki okienne, a węgły chałupy trzeszczały. Lecz my czuliśmy się bezpieczni.

— Umiecie panowie śpiewać kolędy — zapytał gazda.

— Ho, ho!... Jeszcze jak!

Janek, mój najmilszy kolega, pogrzebał w plecaku, wydobyl spory grzebień, owinał go w bibułkę, zerwaną z pod jakiegoś świętego obrazu,



Beskidy śląskie w zimie.



i zaczął grać. Na grzebieniu. A myśmy zaczęli śpiewać. »W żłobie leży, któż pobieży,

Kolędować Małemu!...«

Nawet mały owczarek wyszedł z pod pieca i zaczął słuchać naszego śpiewu. Janek dudnił na grzebieniu. Maryśka wydierała się wysokim sopranem, ja buczałem grubo basem, a drugi mój kolega, Robert, imitował tenorowy głos Kiepury. Gazda i jego domownicy również śpiewali.

Wicher wył za oknami, szalał koło chałupy, trząsał węglami, dudnił po dachu, a dach stękał, szyby okienne zaś brzęczały, zalepione śniegiem. My zaś śpiewaliśmy wszystkie kolędy, jakie tylko zdołaliśmy wygrzebać ze wspomnienia.

W śpiewie swym bezwiednie wyrażaliśmy wdzięczność swoją, jaką czuliśmy w tej chwili do gościnnego gazdy beskidzkiego, który nas przytulił, ogrzał, nakarmił, a teraz śpiewa z nami. Dziękowaliśmy Bogu, że nas wywiódł z ciężkiej obieży i radowaliśmy się szczerze, że się Chrystus narodził, który głosi pokój ludziom dobrej woli.

Kiedy nazajutrz zjechaliśmy w dolinę jabłonkowską, zgasła w nas wczorajsza radość.

— Tu są ludzie dobrej woli, lecz nie ma u nich pokoju!... — zauważyła Maryśka, wysuwając zziębniętą twarz z siana w sankach, a jej duże, niebieskie oczy znowu przygasły.

## Bolesław Prus.

Bolesław Prus, a raczej Aleksander Głowacki, gdyż tak brzmi jego właściwe nazwisko, urodził się w roku 1847, w okresie najgorszych walk i prześladowań Polaków w Rosji. Nieszczęśliwe powstanie styczniowe 1863 r. przekonało Polaków, że na drodze okrzętnych walk z potężną Rosją nie zdobędą lepszej doli, a zmarnują tylko najlepsze siły narodu. Zaczęto nawoływać do pracy społecznej nad uświadomieniem narodowym szerokich mas ludu, nad polepszeniem jego bytu materialnego i warunków życiowych. Zaczęto interesować się handlem, przemysłem, podźwignięciem upadającego rolnictwa, aby na tym terenie wywalczyć od Rosji niezależność gospodarczą, materialną, i wyrobić w narodzie, we wszystkich jego stanach, siłę, odporność i zrozumienie interesu publicznego.

Do pierwszych i wybitnych apostołów tego ruchu, tej pracy od podstaw należał Bolesław Prus. Już w czasie studiów w warszawskiej Szkole Głównej, hasło użyteczności i silne poczucie społeczne stało się podstawą jego działalności. Poświęca się naukom praktycznym — matematyce, przyrodzie, fizyce, elektrotechnice i przez całe życie, jako człowiek nastawiony praktycznie, był wielkim ich zwolennikiem. Bohaterami swych powieści nie czyni też nigdy artystów, poetów, marzycieli, ludzi szukających wielkich, a dalekich idei, lecz kupców, przemysłowców, nauczycieli, wynalazców, a więc ludzi czynu, szarych, codziennych pracowników, takich właśnie, jakich wówczas najwięcej było trzeba.

Działalność pisarską rozpoczął Prus nowelą i publicystyką, to jest pisanem artykułów w gazetach. Słynne są jego »Kroniki tygodniowe« w dziennikach warszawskich. Mówi w nich autor o stanie rolnictwa i wyzbywaniu się ziemi, o kryzysie ówczesnym, dając obrazki podobne do dzisiejszych stosunków. Gani próżniactwo, życie nad stan, skłonność do blichtru i fałszywej elegancji oraz niechęć do przemysłu i handlu. Porusza sprawę włościan, broni praw robotnika polskiego, walczy o prawa kobiet. »Kroniki« Prusa nie tylko opisują wszystkie przejawy, wszystkie grzechy i bolączki polskiego życia publicznego — wołają one także o sprawiedliwość dla ludzkiej krzywdy, wskazują drogi i sposoby naprawy.

Prawdziwymi arcydziełami są jego nowele. Tutaj znajdują jego współczucie istoty słabe, bezbronne, potrzebujące opieki — dzieci, sieroty. Ten

mały światek, dotąd w powieści polskiej zaniedbany, znajduje w Prusie doskonałego odtwórcę.

Talent Prusa dojrzewa, obejmuje większe horyzonty. Od doli jednostek i maluczkich sięga do życia narodowego. Pierwszym, większym jego utworem jest powieść »Placówka«. Jest ona odgłosem tej walki, jaki pruski hakatyzm wydał żywiołowi polskiemu. Daje mistrzowski obraz niezłomnej siły przywiązania do ziemi, odziedziczonej po ojcach. Bohater »Placówki«, chłop poznański Ślimak, walczy z nadludzkim wysiłkiem i zaciętością ze zorganizowaną gromadą niemieckich kolonistów o utrzymanie ziemi i z walki tej wychodzi zwycięsko. Autor wymownie i pięknie ilustruje w tej powieści naczelne wówczas hasło narodowe »trzymać się ziemi«, której obrońcą jest tutaj chłop twardy i odporny.

Następna powieść Prusa »Lalka« przedstawia całokształt życia ówczesnej Warszawy. Mamy tu wszystkie warstwy i wszystkie prawie przejawy społecznego życia. Bohaterem jest tutaj kupiec Wokulski, człowiek dzielny, pracowity i przedsiębiorczy, działacz społeczny.

W wielkiej — czterotomowej powieści »Emancypantki« porusza autor zagadnienie równouprawnienia kobiet z mężczyznami pod względem prawnym, społecznym i umysłowym i przedstawia cały szereg typów kobiet pracujących — nauczycielek, aptekarek, robotnic.

W powieści »Faraon« przenosi się Prus w XI wiek przed Chrystusem do dziejów starożytnego Egiptu i daje w niej swój program: wiary w postęp ludzkości przez uczucie i rozum. Ruch ludowy, rewolucyjny roku 1905 znajduje oddźwięk w powieści p. t. »Dzieci«, gdzie autor potępia sposoby walki rewolucyjnej, klasowy radykalizm i nienawiść między partiami. »Nie topić się we własnym wnętrzu, nie rozpraszać w zmysłach, lecz, chodząc po ziemi — trzymać głowę w niebie« — oto jakby testament autora. Umarł Prus w r. 1912.

Znaczenie Prusa w cieniu współczesnym jemu, a tak głośnych sław Sienkiewicza i Żeromskiego, nie uwydatniło się wyraziście. Mimo to jest ono bardzo wielkie. Prus był nauczycielem i wychowawcą narodu, wskazywał jemu drogi, po których iść winien, aby był swój narodowy utrzymać, bronił słabych i pokrzywdzonych, domagał się sprawiedliwości i serca. Powieści jego do dziś są żywe, interesujące, pouczające i godne czytania. —lek.







**Chór męski.**

4. Mo - ja mi - ła chodź ku mnie, po-wiedz-że mi co ci je? co ci je,  
co ci je,

**Chór mieszany.**

u - bi - ła mnie  
powiedz-że mi, co ci je? 5. Ej, bo - li mnie gło-we-czka, u - bi - ła mnie  
5. Ej, bo - li mnie gło - weczka, głowe - czka, bo

ma-te-czka, ma-te-czka, u - bi - ła mnie ma - te - czka  
ma - te - czka, bi - ła ma - te - czka. 6. U - bi - ła mnie skyrś cie - bie,  
u - bi - ła mnie ma-te-czka, ma - te-czka. 6. U - bi - ła mnie skyrś ciebie skyrś

że ja cho - dzę ku to - bie, ku to - bie że ja cho - dzę ku to - bie.  
że ja chodzę ku to - bie, że cho - dzę ku to - bie.  
cie - bie, za co ja cho - dzę ku to-bie, ku to - bie.

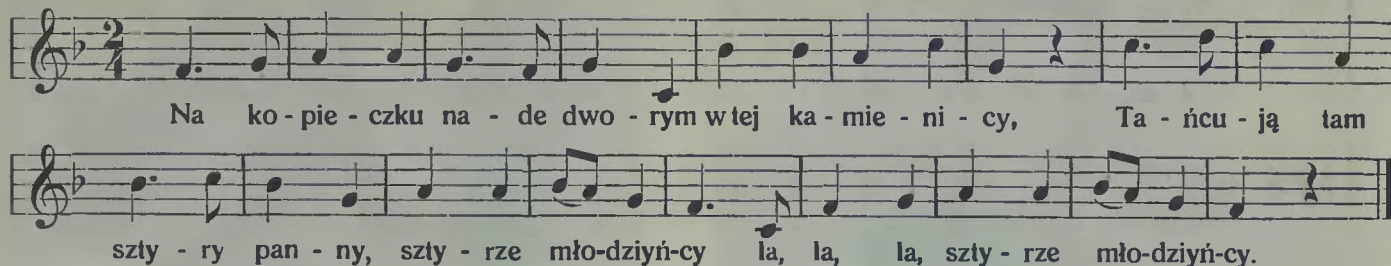


## Dział regionalny

### Na kopieczku nade dworym...

Śpiewała: Al. Cieślarkowa z Łazów.

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.



2. Jyny jedna panienczka nie tańcowała,  
Co swoigo iniluškigo na wojnie miała.
3. Dziwejcie sie tatuliczku z wysoki wieże,  
Jesi już też mój syneček z wojny nie jedzie.
4. Ej, jedzie ón szumnie jedzie, koń pod nim skocze,  
I cały sie w strybrze, złocie, w słońcu migoce.
5. Postowcie mu mamuliczko tyn stół dębowy,  
A na tymto, tym stoliku serwet czerwony.
6. A na tymto, tym serwecie talyrze białe,  
A na tychto, tych talyrych mięso pieczóné.
7. Siednij se ty nejmilejszy pokrowej sobie,  
A jak nimosz ty nożyczka, pojczóm jo tobie.
8. A jo ciebie moja miła o nóż nie proszym,  
Bo jo ciebie sztyry roky w sercu nie noszym.

### Masze Pieśni.

Przysłałam piosenkę do działu regionalnego, którą śpiewała moja ś. p. babka, p. Siudowa z Łak nad Olzą.

1. Boże miły Gody idom  
Każdy sie raduje do dom.  
Jyny jo sie nie raduję  
Jednym ciągiem maszeruję.
2. Ze słózbiczki na słózbiczke  
Bo już nimóm mamuliczki.  
Tatuliczek downo w zymy  
Brata mi na wojnę wziyni.
3. Starajom sie ludzie o minie,  
Że ni majom miejsca dlo minie,  
Nie starejcie sie ludkowio  
Dość jest miejsca na kierchowie.
4. Choćby przyszło i sto ludzi  
Już minie żoden nie obudzi  
Choćby przyszło bai dwiestą  
Nie ruszym sie z tego miejsca.

W. Sz.

Od Redakcji: Upraszamy Szan. Czytelników, którzy piosenkę tę znają, o przysłanie melodii do niej.

W Nr. 21 »Ogniwa« umieścił K. P. pieśń »Moja mamuliczko«... Jak wszystkie pieśni, tak i ta w różnych miejscowościach różnie się śpiewała. W Koszarzyskach będąc,

P. K.

### Ś. p. Wilhelm Gałgonek.

Nasz Śląsk ma prawdziwego »pecha« co do malarzy. Jeżeli pojawi się jakiś talent, to w młodym wieku zabiera go śmierć i nie pozwoli mu w pełni rozwinąć zdolności. Jednym z najmłodszych malarzy śląskich, który zginął śmiercią tragiczną w bardzo młodym wieku, był ś. p. Wilhelm Gałgonek. Nie ukończywszy jeszcze drugiego roku Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i nie rozwinięty jeszcze skrzydeł do lotu, znalazł śmierć w Tatrach. Życiorys jego jest krótki, ale nader bolesny.

Ś. p. Wilhelm Gałgonek urodził się dnia 7 września 1910 roku w Pudłowie koło Bogumina jako syn kolejarza Józefa Gałgonka i matki Zofii. Do szkoły wstąpił w Pudłowie w roku 1916 i uczęszczał tam 3 lata do r. 1919. W roku 1919 przenieśli się jego rodzice do N. Bogumina i dlatego następne 2 lata uczęszczał do pol. szkoły ludowej w N. Boguminie. Po ukończeniu 5 klas szkoły ludowej uczęszczał od r. 1921—24 do pol. szkoły wydz. w Niem. Lutyni, gdzie ukończył 3 klasy, po czym ukończył jednoroczny kurs przy pol. szkole wydz. w Mor. Ostrawie. Po ukończeniu klasy czwartej zapisał się w r. 1925 na pierwszy kurs polskich paralelek przy państw. seminarium naucz. w Śl. Ostrawie. Ukończywszy w r. 1929 kurs czwarty, zdał w czerwcu tego roku egzamin dojrzałości a zaraz po wakacjach otrzymał posadę nauczyciela pomoc. w polskiej szkole ludowej w Olbrachcicach. Nie uczył tam długo, bo tylko jeden rok.

Już od najmłodszych lat czuł w sobie wielki pociąg do malarstwa, które go interesowało. Jako mały chłopiec,

zanotowałem pieśń śpiewaną prawie na tę samą melodię, lecz o innej treści, lepiej może odpowiadającej treści zwrotki pierwszej. Poniżej podaję ją w całości:

Ej moja mamulko cosi mie tu straszny,  
Chodzą też tu ku mie od sąsiada chłopcy,  
Na okienko pukają, wypaść sie mi nie dają.  
Ej moja cerziczko zaradzimy temu,  
Domy se łóžeczka jedno ku drugimu,  
Bedzie sie nam dobrze spać, nie bedzie nas straszować.  
Ej moja mamulko źle wy to prawicie,  
Mocie wy tatulka to sie miłujecie,  
A jo muszę sama spać ni mom sie z kim miłować.  
Ej moja cerziczko ludzie powiadają  
Żeś jest jeszcze młodo do tego wydaju  
Że cie bedzie chłopiek bił, bedzie z ciebie pasy drzył.  
Ej moja mamulko na jarmark chodzicie  
Z takiego dziewczęcia pasów nie ujrzycie,  
A to bedzie piękna rzecz, jak jo będę męża mieć.  
Doczkej ty cerziczko jeszcze sześć niedzieli  
Sprawie jo też tobie rozkoszne wiesieli,  
Jak te gęsi podrosną, na pierzince radosna.

Śpiewała: Ruszówna Anna, Koszarzyska l. 41.  
Zanotował: Doffek Henryk.

uczęszczając do szkoły ludowej, najchętniej rysował i malował, a przeszedłszy do szkoły wydziałowej uważał za największy punkt honoru malować obrazy olejne. Do rozwoju jego zdolności artystycznych przyczyniło się w późniejszym wieku seminarium, a przede wszystkim sama Ostrawa ze stałymi wystawami obrazów w »Domu sztuki«. Tam najczęściej chodził ś. p. Gałgonek i czerpał pełną piersią i całą duszą podniecie do samodzielnej pracy na tym polu. Już w tym okresie wytworzył kilka drobnych prac, świadczących o niepoślednich zdolnościach malarskich. Tu trzeba zaznaczyć, że był nie tylko dobrym rysownikiem, ale i dobrym skrzypkiem oraz człowiekiem o bardzo miłym i spokojnym usposobieniu.

Zostawszy nauczycielem w miejscowości dosyć oddalonej od miasta, czuł się opuszczony. Widział, że zdolności jego się marnują i był przekonany, że inne było jego przeznaczenie na świecie. Dziwił się więc nie trzeba, że po roku pracy pedagogicznej porzucił posadę, spakował farby, szkicownik i pojechał do Krakowa, zapisując się do Akademii Sztuk Pięknych. Po egzaminie wstępnym, który zdał chlubnie, został przyjęty na rok pierwszy. Tak więc spełniły się jego marzenia i miał drogę do dalszych studiów i do sławy otwartą. Zaczął pracować z całą swoją młodzieńczą energią, z nadzwyczajnym pośpiechem, tak jak gdyby przeczuwał, że życie jego jest już policzone na dni. Oglądając dzisiaj te wszystkie rysunki z Akademii, mamy obraz tej gorączkowej pilnej pracy, z jaką musiał całymi dniami rysować





Ś. p. Wilhelm Gałgonek.

Ś. p. Gałgonek. Najmilszym jego zajęciem w wolnych chwilach, których miał nawiasem mówiąc bardzo mało, była gra na skrzypcach, sport i turystyka. Chociaż był człowiekiem dosyć wesołym, to jednak lubiał samotność i często sam jeden błąkał się po górach — marząc, podziwiając i obserwując przyrodę. I to jego umiłowanie samotności stało się powodem jego śmierci.

Po ukończeniu roku pierwszego zapisał się na rok drugi Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Szczęśliwie minęło pół roku, wypełnionego pilną pracą i studiowaniem i wesoło wracał ś. p. Gałgonek do swoich rodziców i braci do N. Bogumina na wakacje półroczne. Cieszył się tym bardziej, ponieważ dookoła widział ładną zimę, wskutek czego postanowił wyjechać na nartach sam w ulubione góry, aby nabrać trochę świeżego powietrza, upoić się pięknem gór i krajobrazu górskiego oraz by nabrać nowych sił do dalszej pracy w drugim półroczu. Ale »człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi«.

Dnia 23 lutego 1932 wcześniej rano wyjechał z nartami pociągiem z Bogumina do Łomnicy Tatrzańskiej i więcej nie wrócił. Przeszło kilka dni, a nie było o nim żadnej wiadomości. Zaniepokojeni rodzice zwracali się do urzędów, do hoteli i schronisk w Tatrach, telefonicznie i przez radio, ale wszystko było daremne. Ich syn Wilhelm zniknął jak kamień w wodzie. Nikt o nim nie wiedział, nikt o nim nie słyszał. Byli i tacy, którzy twierdzili, że pojechał gdzieś w świat szukać jako przyszły artysta nowych wrażeń i przeżyć, by potem prędzej stać się sławnym. Czekano od niego jakiejś wiadomości, jakiegoś znaku życia, ale bezskutecznie. I tak minęło 5 miesięcy. Dopiero 15 lipca 1932 przyszła naraz wiadomość, że pewien turysta, wermistrz z Prostějova, znalazł pod kamieniami w Tatrach w t. zw. Wielkiej zimnej dolinie (studenovodská dolina) rozkładającego się trupa młodego narciarza, przy którym znaleziono legitymację na nazwisko Wilhelma Gałgonka. Kiedy przyjechali rodzice, od razu poznali podług ubrania, że jest to ich zaginiony syn Wilhelm. Jak straszna była ich boleść i jak wielka ich rozpacz, może odczuć tylko ten, kto w tak tragiczny sposób stracił dziecko, jak oni.

Ś. p. Gałgonek musiał mieć śmierć bardzo ciężką i smutną. Miejsce, pozycja i stan jego zwłok pozwalają wnioskować o tym, w jaki sposób zakończył swoje młode życie. Najprawdopodobniejszym wydaje się to, że jadąc z góry na nartach, nagle w kamienistej i lodem pokrytej dolinie wjechawszy na kamień upadł i złamał nogę. Widząc, że jest na zupełnym pustkowiu, gdzie rzadko spotyka się człowieka i gdzie nie można liczyć na żadną pomoc, doczołgał się na kolanach i rękach do najbliższych głazów i ukrył się pomiędzy nimi, chroniąc się częściowo przed zimnem i wiatrem. Że droga ta była nadzwyczaj bolesna i trudna, świadczy o tym rozdarte na kolanach spodnie i podarte rękawy, co widać na fotografii. Ukrywając się pod kamieniem, myślał o naprawieniu złamanej nogi i dlatego zdjął but z nogi. Widać jednak, że już go siły opuściły albo noga napuchła, ponieważ buta tego już nie wziął z powrotem. Położenie jego musiało być straszne i beznadziejne; widział, że nadchodzi śmierć, a nie mógł się bronić. Może krzyczał, może wołał o pomoc, ale nikt nie słyszał jego głosu. Jego najmils, któ-



Zwłoki ś. p. W. Gałgonka, znalezione pod kamieniem 15 lipca 1932. .

rzy by na pewno szli mu z pomocą, byli daleko i nie wiedzieli, że tam biała śmierć już wyciąga po ich syna i brata swoje mroźne, białe ręce. Tylko milczące, majestatyczne, białe góry przyglądały się tej strasznej tragedii i może echem odbijały jego rozpaczliwe wołanie o pomoc, ale wołanie to ginęło gdzieś w urwiskach i przepaściach górskich. A tymczasem mróz dokonywał resztek zniszczenia. Odebrał mu siły i powoli obejmował jego ciało w swoje sztywne, mroźne objęcia, dając mu błogie uczucie przyjemnego snu. W tych to lodowych objęciach zasnęła piękna i szlachetna dusza. Tak więc daleko od kraju rodzinnego w pustej jak cmentarz dolinie, pomiędzy niebotycznymi górami, znalazł śmierć młody Ślązak marzyciel, malarz i muzyk, którego może piękna czekała przyszłość.

Prawda — że nie pozostawił po sobie większej pracy, ale jego śmiałe szkice i rysunki z Akademii Sztuk Pięknych pozwalają przypuszczać, że gdyby nie przedwczesna śmierć, na pewno zostałby niepoślednim malarzem. Niestety nie doczekał się tej pięknej przyszłości, o której tak zawsze marzył, gdyż jego życie zostało przecięte jednym pociągnięciem nieubłagalnego losu. Nie pozwolono mu rozwinąć młodych i odważnych skrzydeł do lotu. Leżał gdzieś trupem u stóp twardych, górskich granitów jako młody orzeł, co jeszcze przed chwilą śmiało sobie szybował po niebieskim sklepieniu, kiedy naraz rozległ się strzał i on, opuściwszy dumną głowę i skrzydła poleciał w dół, by zdruzgotać swoje kości na wystającej skale. Tak leżał pod kamieniami w Tatrach ś. p. W. Gałgonek, by więcej nie wrócić do domu i do Akademii. Ciało jego spoczęło dnia 19 lutego 1932 na maleńkim cmentarzu w Starej Lesznej pod Starym Smokowcem, daleko od rodziców i daleko od Śląska, ale pamięć o nim pozostanie zawsze pomiędzy nami.

\* \* \*



x miejsce pod kamieniem, gdzie znaleziono zwłoki ś. p. W. Gałgonka.



## Stara szkoła w Piosecznej.

Niechaj nikt, kto zwiedza okolice Jabłonkowa, nie ominię podgórskiej osady, zwanej Pioseczna. Trafić tam bardzo łatwo — idąc od Nawsia w stronę Jabłonkowa trzeba tylko skrócić jeszcze przed głównym mostem na lewo w górę ku nowemu klasztorowi, a następnie iść ciągle polami w prawo. Przechadzka jest na prawdę śliczna.. — Na prawo w dolinie nad rzeką leży stary Jabłonków, a w tyle za nim widzimy piękną panoramę gór: Kozubowej, Ostrego i Jaworowego. W przeciągu pół godziny dojdziemy do osady, zwanej Pioseczna. Jest tu kilka chat, a przed nimi nowszy, długi, murowany budynek — to polska szkoła ludowa w Piosecznej.



Stara szkoła w Piosecznej, l. 43.

Zatrzymacie się przed nią chwilę, a na pewno przyjdzie ktoś ciekawy z osady i opowie Wam wszystko co chcecie wiedzieć o szkole. Dowiedziecie się po kilku minutach, że szkołę tę wybudowano w r. 1873, lecz nie całą, bo tylko jedna klasę, a drugą dobudowano znacznie później. Dawniej szkoły w Piosecznej nie było — uczył tylko religii, czytania i pisania w swoim domu pod L. 5 prosty chłop, nazwiskiem Gazur, za co rodzice płacili mu za każde dziecko rocznie 40 »grejcarów« i  $\frac{1}{6}$  korca ziemiaków. Po nim, na tych samych warunkach uczył przez 8 lat niejaki Bury, ale w końcu zrezygnował z takiej posady z obawy, że umrze z głodu. Następnie wybrano nauczycielem Adama Byrtusa, ale ten zakosztowawszy słodczy i wygod stanu nauczycielskiego, podziękował po roku za posadę i uciekł. Nadmienić jeszcze należy, że do tego czasu nie było w Piosecznej osobnego budynku szkolnego i że uczono po domach u miejscowych gospodarzy. Dopiero w r. 1829 ówczesny burmistrz jabłonkowski, Franciszek Mentel, kupił starszy budynek drewniany pod L. 54 (kilka kroków od nowej szkoły — obecnie L. 43) i oddał go osadzie Piosecznej na cele szkolne. Wówczas ówczesny dozorca szkolny, proboszcz Piątek z Jabłonkowa, mianował nauczycielem tej szkoły Jerzego Byrtusa z Bągińca, przy czym roczna jego płaca wynosiła 48 guldenów.

Zaraz na początku roku szkolnego zapisało się do nowej szkoły 30 dzieci. Uczono tylko 5 przedmiotów, a to: religii, czytania, pisania, rachunków i śpiewu. Ponieważ jednak dzieci z roku na rok przybywało, budynek okazał się za mały i po 44 latach (1873) wybudowano nową szkołę, najpierw jedną klasę, w której nauczanie dalej powierzono Jerzemu Byrtusowi, z tym, że musi podlegać Janowi Netterowi, kierownikowi szkoły w Jabłonkowie. Podniesiono mu również po długich prośbach roczną płacę z 48 na 100 guldenów. W nowej szkole uczył jeszcze Jerzy Byrtus 6 lat, a po jego śmierci mianowano tu nauczycielem Filipa Jescha.

Stara szkoła pod L. 43 istnieje do dziś dnia i należy do p. Cieniałowej z Jabłonkowa. Jest to mała, bardzo stara,



Stara szkoła w Bystrzycy — Pasiekach l. 82, jeszcze przed 2 laty używana.

drewniana chatka. Że jest na prawdę stara, świadczy o tym jej metryka wyryta w drzewie nad drzwiami: Javorina 1689—1828 — co oznacza, że dom został zrobiony na zamówienie w r. 1689 u cieśli w Jaworzynie a w r. 1828 został przerobiony na szkołę. Ciekawe jest jej wnętrze. Z małej sieni prowadzą schody na strych a na prawo znajdują się drzwi do dawnej klasy, zamieszkałej dzisiaj przez lokatora. Jest to izdebka bardzo mała, wielkości może 3×4 m, bez drewnianej podłogi, a tylko z ubitą ziemią tak zw. »młotem«. Oczywiście ławek nie pomieściła ta izdebka — dzieci siedziały w kuczki na ziemi dookoła nauczyciela i słuchały lekcji. Mimo woli nasuwa się nauczycielowi pytanie, jaka tam mogła być dyscyplina i jaki porządek. Na to pytanie otrzymujemy od starszych obywateli krótką odpowiedź: »Kija nie żałowano.« Wymierzanie kary kijem ze względu na małe



Dzwonnica na chacie naprzeciw pol. szk. lud. w D. Lesznej.



rozmiary klasy nie było trudne, ponieważ nauczyciel siedząc w środku mógł łatwo dosięgnąć każdego winowajce.

Warunki więc nauczyciela były opłakane i sprzeciwiały się najprymitywniejszym zasadom higieny szkolnej — a jednak z takich szkół wiejskich wychodzili niekiedy ludzie bardzo światli i dobrze wychowani. Mimo woli nasuwają się na oczy te wszystkie śliczne, nowoczesne pałace szkolne, zrobione ze szkła, betonu i żelaza, pełne światła, powietrza, przepychu, wyposażone w tysięczne środki naukowe, bogate gabinety, biblioteki, czytelnie, sale gimnastyczne, fizykalne, rysunkowe, laboratoria, muzea, warsztaty, aule, łazienki, umywalnie, kuchnie, zakłady żupne, boiska, parki, pływalnie, sceny, aparaty kinematograficzne, epidiascopy itd. A jakaż byłaby odpowiedź dzisiejszych pedagogów na pytanie, — czy mądrzejsze i lepsze dzieci wychodzą z takich szkół? — zapewne krótka — mądrzejsze na pewno, ale czy lepsze? — trudno powiedzieć. Kto wie, czy ta mała izdebka góralska z 2 malutkimi okienkami, z walącym się już w kącie piecem, z wysokim progiem i niskimi drzwiami, ten stary dom, pochylony emeryt, który przez 24 lat przygarniał jak ojciec ubogie, góralskie dzieci, dając im do życia skarb największy — naukę, nie dał ludzkości stosunkowo więcej dobrych jednostek?

Nie jest to jednak jedyny »emeryt szkolny« na Śląsku — jest ich więcej, a wszyscy zasługują na to, aby za ich długie lata służby napisano o nich kilka słów. Kronikę tych starych budynków szkolnych powinno prowadzić Towarzystwo Nauczycieli Polskich podobnie jak prowadzi kronikę starych członków Towarzystwa. Wymienić tutaj można stare budynki szkolne w Gutach, Bagińcu, Nawsiu, Milikowie i w wielu innych miejscowościach na Śląsku. Byłoby wskazaniem, aby grona nauczycielskie w danych gminach opracowały historię tych starych budynków szkolnych i oddały ją do dyspozycji Zarządowi Gł. Tow. Naucz. Pol.



Schronisko granitowe na Hali Gąsienicowej w Tatrach.

## Harcerstwo

Prof. Alojzy Pawelek.

### Rola harcerstwa w życiu młodzieży.

(W opracowaniu J. Żyły.)

Poprzednio mówiłem wam, że trzeba iść do młodzieży, trzeba ją porwać za obą, wychowywać. A teraz powiem wam z czym i w imię czego do niej pójdziemy.

Któż z nas nie przeżywał w dzieciństwie rycerskich marzeń i bohaterских snów? Komuż nie śniły się wielkie postacie Zawiszy, Czarnieckiego, Wiśniowieckiego i innych, co to »w żelazie chodzili od stóp do głów?«

Te marzenia rycerskie, te pierwsze szlachetne porywy młodych dusz, giną zazwyczaj marnie, ustępując szarzyźnie dnia. Ginie zapal, przepadają bez śladu młode dążenia chłopca ku prawości i wielkości ducha.

Przecież te marzenia rycerskie są wspólne wszystkim; wrodzone, towarzyszą każdej młodości i dlatego powinny wskazać na ich wielką wartość wychowawczą. I nie niszczyć, lecz rozwijać je należy — hodować w duszy te zarodki bohaterstwa! Wszak i dzisiaj potrzeba nam rycerzy. — »Chociaż dziś inne zbroje i oręż, bój pozostał ten sam i przebojowan być musi i będzie!«

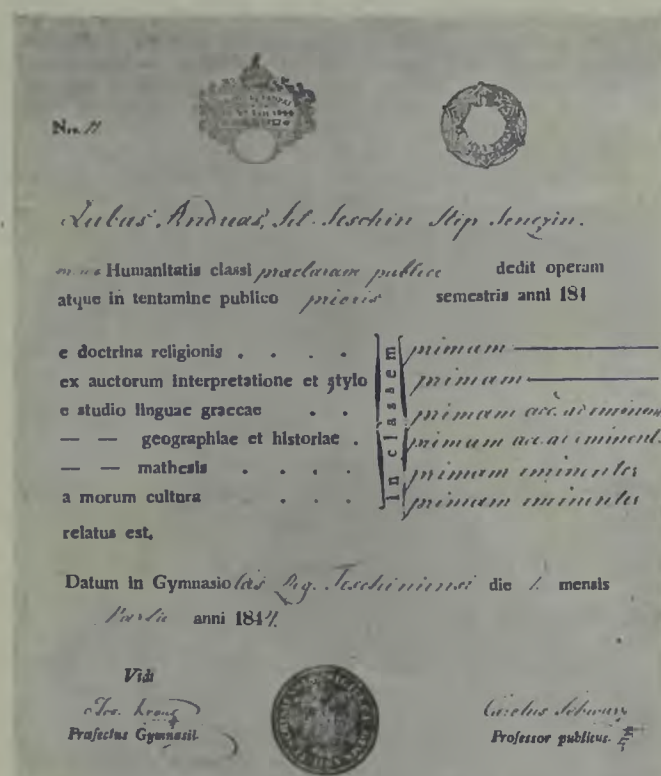
Te więc marzenia i porywy młodych serc, stara się rozwijać harcerstwo. Twórca Skautingu powiedział: Rybak nie kładzie na wędkę tego, co mu się podoba, lecz to, co ryby lubią. Tak też czyni harcerstwo. Nie morał suchy, nie nudną książkę ale ruch i życie daje młodzieży, ciągnie ją w pola i lasy, na harc i trud, pręż, mięśnie, raduje duszę.

Chłopiec wciąga się do zastępu, nie czując jeszcze doniosłości swej służby, ale wnet poznaje, że stanął na stanowisku i mimo swych kilkunastu lat, ma swój obowiązek, swoją pracę, którą kocha, swoją odpowiedzialność, którą rozumie. Uczy się tworzyć zamiary i zamieniać je w czyn. Uczy się realizować hasło, które w pierwotymie mówi: »bądź gotów«, a po polsku »czuwać!«.

Tylko ci mogą nie doceniać wpływu i powagi harcerstwa, którzy go jeszcze nie znają, lub znają powierzchownie. Harcerstwo, to nie tylko system wychowania, lecz dowód postępu ludzkości i próba reformy społeczno-wychowawczej.

Dotychczas wychowanie młodzieży powierzano jedynie szkole, ale ona zamiast przygotować do życia, staje się często czynem oderwanym, dalekim. W szkole uczymy się czegoś innego, — skończyliśmy ją — życie żąda znów czegoś innego. Żąda ono od nas przede wszystkim charakteru — a czy szkoła go nam daje? Wychodzimy z niej, posiadając wiedzę w tej lub innej dziedzinie, ale nie wynosimy z niej ani dzielności, ani energii, ani wytrwałości, ani zaradności i przygotowania do życia. Szkoła wychowuje nas w atmosferze wiecznego przygotowania się, harcerstwo daje nam czyn natychmiastowy i robi słusznie, wychowując ludzi w atmosferze czynu.

Harcerstwo powstało w atmosferze najbardziej wyjątkowego czynu — w boju.



Z naszej teki starych dokumentów:

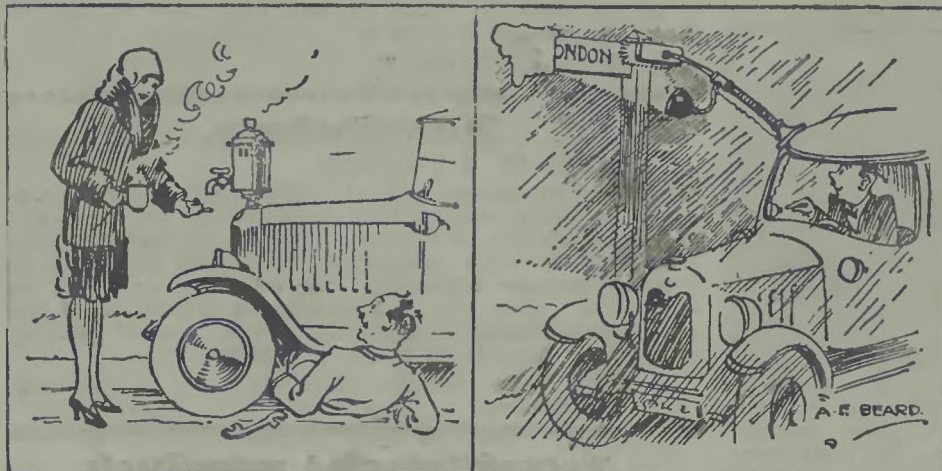
Świadectwo wystawione w ginnazjum w Cieszynie w r. 1844.  
(Ze zbiorów p. dr. J. Mazurka, Karlsbad.)







Na gwiazdkę dla automobilistów:



W lewo: samowar na chłodniku dla rozgrzania się gorącymi napojami w czasie naprawiania defektów.

W prawo: miotłka dla czyszczenia zaśnieżonych drogowyskazów.

\* \* \*

## Przytomny uczeń.

W obecności wizytatora nauczyciel zadaje swej klasie pytanie z zakresu arytymetyki:

— Mam dwa króliki, a żona kupiła sobie 3 metry weluru po 20 Kcz za metr, ile powinienem mieć lat?

Wszyscy zbaranieli i przez dłuższy czas żaden z uczniów nie daje odpowiedzi. Tylko Jasio Mądralski podnosi dwa palce do góry:

— Pan psor ma 46 lat.

— Rzeczywiście, a jak to obliczyłeś?

— Bo ja mam także brata półdjętę, to on ma 23 lata.

\* \* \*

## Sprzedż święteczna.



Wspólny los »panów stworzenia« w okresie przedświątecznym.

— Tak, Władziu — to już ostatnie pakieciiki.

— Przepraszam — nie nazywam się Władek. Mąż pani — stoi ot tam — jest naprawdę podobny do mnie.

\* \* \*

## Zagadki ormiańskie.

— Co to jest? Zaczyna się na »j« i stoi pod łóżkiem.

— Jedna para pantofli.

— Co to jest? Zaczyna się na »t« i stoi pod łóżkiem.

— Trzy pary pantofli.

— Co to jest? Wygląda jak koń, je jak koń, przodem widzi tak samo jak tyłem.

— Ślepy koń.

— Czem będzie murzyn, jak zje swego ojca?

— Syty.

— Czem będzie, jak zje ojca i matkę?

— Okragłym sierotą.

— Czem będzie jak zje całą rodzinę?

— Jedynym spadkobiercą.

\* \* \*

## Nieśmiały wielbiciel.

Do już nieco młodej pani Zuzy przychodzi jej nieśmiały i cichy wielbiciel, pan Kajtuś i po długim, a kwiecistym wstępie, z bijącym sercem oświadcza się:

— Pani Zuzo! Już dziesięć lat kocham się w pani!

— Więc czego pan chce?

— Żeby narzeczcie mnie wysłuchała.

— Tylko tyle?

— A cóż mam chcieć więcej?

— Ja myślałam, że pan zażąda emerytury.

\* \* \*

## Ostrożny narzeczony.

— O, panno Zofjo, rodzice nasi już się narzeczcie porozumieci w kwestji posagu, teraz więc nie mnie nie krępuje, aby pani wyznać moją gorącą miłość.

\* \* \*



## Niespodzianka gwiazdkowa.

— Czy mogę zamówić ubranie dla mego brata podług tego wieszaka?







[ksiaznica@kc-cieszyn.pl](mailto:ksiaznica@kc-cieszyn.pl)